
SEMINARJUM
Hist. Liter. Polskiej

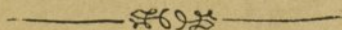
ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

1886.

TOM IV.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XLIV.



WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO
ulica Królewska, N. 29.

1886.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 20 Ноября 1886 года



SPIS RZECZY.

I. PSYCHOLOGIA.

2. RZECZY SPOŁECZNE.

3. NAUKI PRZYRODNICZE.

4. LITERATURA.

SPROSTOWANIE.

W spisie rzeczy tomu III „Ateneum“ z roku bieżącego opuszczono wzmiankę, że artykuł, p. n. „Podróż Czecha przez Polskę w grudniu r. 1604“ podany został do druku przez p. *Jana Karłowicza*.



PIERWSZA CZĘŚĆ FAUSTA.

STUDYUM LITERACKIE.

WSTĘP.

W pierwszéj połowie XVI-go wieku żył w Niemczech północnych niejaki Johan Faust z Knittlingen. Słynął on jako człowiek uczony i widocznie miał pewne zachowanie nawet u ludzi bardzo poważnych, skoro taka znakomitość jak Melanchton zaszczycała go swą znajomością i przyjaźnią.

Faust jednak wszedł na zbyt niebezpieczne drogi: oddał się studyom magicznym i praktykom czarnoksięskim. Oczywiście na téj drodze musiał wejść w stosunki z duchami piekielnymi; wedle ówczesnych bowiem pojęć piekło było ojczyzną magii, a szatan najwyższym jéj mistrzem. Jakoż niebawem rozeszła się pogłoska, iż Faust zaprzedał duszę dyabłu, aby za jego pomocą poznać wszystko na ziemi i niebie, oraz użyć wszelkiéj rozkoszy, jakiéj tylko życie dostarczyć może.

Po śmierci czarnoksiężnika, osobistość jego stała się przedmiotem legendy, która ze zgrozą opowiadała o jego niecném życiu i smutnym końcu: ostatecznie bowiem został on w okropny sposób porwany do piekła, gdzie w wiecznych mękach za swe zbrodnie miał pokutować.

Wiadomo, że wieki średnie natworzyły bez liku podobnych legend. Nietrudno było w owych czasach wpaść w podejrzenie o stosunki ze złym duchem, a najczęściej jako powód takich zbrodniczych związków podawana była zbyt wielka żądza wiedzy oraz uciech i rozkoszy ziemskich. Przyczyną tego był ówczesny pogląd na życie i stanowisko w niém człowieka. W wiekach średnich, w epoce silnej wiary, nauka chrześciańska, głoszona przez kościół,

uważaną była za jedyne źródło wszelkiej prawdy; pragnienie wiedzy po za granicami wiary poczytywano za bezbożną pokusę, prowadzącą człowieka na bezdroża błędu i grzechu. Z drugiéj strony, ówczesny ascetyzm religijny kazał unikać wszelkich przyjemności i rozkoszy życia: w umartwieniu grzesznego ciała wskazywał jedyną drogę, wiodącą do zbawienia. A więc żądza doczesnego szczęścia, podobnie jak żądza wiedzy, była pokusą szatańską; ludzie, dążący do zaspokojenia tak grzesznych pożądań, oddawali się dobrowolnie w moc złego ducha, dla marnéj ciekawości i uciech światowych wyrzekali się zbawienia. Naturalnym wynikiem takiego poglądu była legenda o zaprzedaniu się dyabłu, który wysługuje się człowiekowi w tém życiu za cenę posiadania jego duszy po śmierci.

Legenda faustowska, z tym średniowiecznym charakterem, przetrwała wpośród ludu aż do końca zeszłego stulecia, ulegając wielokrotnym przeróbkom i uzupełnieniom. Już w XVI wieku poeta angielski Marlowe utworzył z niéj dramat wysokiéj artystycznéj wartości; następnie i w Niemczech była ona wielokrotnie dramatyzowaną i w ciągu prawie dwóch wieków cieszyła się wielkiém powodzeniem na licznych wędrownych scenach, oraz na rozpowszechnionych wówczas teatrach maryonetkowych. Rzeczywiście, zawierała ta legenda wiele dramatyczności: walki wewnętrzne w duszy bohatera pomiędzy bojaźnią bożą a żądzą wiedzy i uciech światowych, chwile skruchy i daremne usiłowania wydobycia się z piekielnych więzów, wreszcie rozpacz, poprzedzająca ostateczne potępienie:—wszystkie te wielce dramatyczne motywa zostały bardzo umiejętnie zużytkowane przez Marlowe'a i autorów sztuczek maryonetkowych.

Znakomity estetyk Lessing pierwszy w nowszych czasach zwrócił uwagę na dramatyczne bogactwa zawarte w starych sztukach o Fauście i postanowił artystycznie je zużytkować. Około 1760 r. rozpoczął pisać swego Fausta, nie skończył go jednak głównie z powodu wieści, która się wkrótce rozeszła, iż Goethe, mający już wtedy sławę największego poety Niemiec, pisze również dramat osnuty na tym samym przedmiocie.

Goethe poznał także legendę o Fauście ze sztuk maryonetkowych, którym, jeszcze dzieckiem będąc, ze szczególném upodobaniem się przyglądał. Wrażenia dziecinne odezwały się w wieku młodzieńczym; stara średniowieczna legenda dostarczyła ogólnéj formy dla wyrażenia namiętnych uczuć, wrących w piersi genialnego młodzieńca: w 1773 r. pod wpływem najszczęśliwszego natchnienia rzucił na papier pierwsze, pełne ognia sceny swego poematu.

Od téj chwili Faust stał się główną myślą całego życia poety. W różnych epokach powracał do niego, dorabiał nowe sceny, zmie-

niał i uzupełniał napisane poprzednio, rozwijał coraz daléj rozległe myśli i uczucia, które w tym poemacie zamierzył wypowiedziéć.

Stosownie do swego zwyczaju, nie śpieszył się Goethe z drukiem: dopiero w 1791 r. został Faust po raz pierwszy wydany z nazwą fragmentu. W tém wydaniu zawierała się dzisiejsza część 1-a oprócz następujących scen: prologu w teatrze i w niebie, drugiéj połowy wielkiego monologu, scen ludowych i przechadzki z Wagnerem, spotkania z Mefistofelesem i początku układu z nim, wreszcie sceny śmierci Walentego. Następnie w bardzo różnych odstępach czasu uzupełniał poeta te braki, tak iż dopiero w 1808 r. wyszła z druku całkowita część 1-sza.

Jeszcze przed wydaniem pierwszéj napisał Goethe kilka pojedyńczych ustępów drugiéj części, mianowicie z epizodu Heleny; następnie jednak zwątpił o możności ukończenia téj barbarzyńskiéj, jak ją nazywał, kompozycyi. W r. 1827 wydał epizod Heleny jako oddzielną całość:—utwór ten znalazł wiele uznania; zachęcony tém poeta postanowił ukończyć całe dzieło i pracował nad niém aż do śmierci. W 1832 r., tj. w roku swéj śmierci, przyłożył ostatnią rękę do Fausta, a na kilka dni przed śmiertelną chorobą, w liście pisanym do W. Humboldta wyraził najwyższą radość z powodu szczęśliwego ukończenia téj pracy całego życia.

Z powyższego widzimy, iż Faust pisany był w przeciągu lat blisko 60-ciu: rozpoczął go poeta w 24 roku życia, ukończył w 84-m. Rzeczywiście więc jest to dzieło całego życia Goethego. Nosi téż ono na sobie ślady długoletniéj a przerywanéj pracy: pojedyncze sceny nie łączą się z sobą dość ściśle, różnią się bardzo charakterem i poetyczną wartością; szczególnie daje się to widziéć w odmiennym bardzo charakterze części 2-éj. Atoli ta długoletnia praca nad Faustem miała i dodatnie strony: pozwoliła poecie korzystać z bogatego doświadczenia, jakiego nabył w ciągu tak długiego życia; wskutek tego Faust stał się ogólnym wyrazem duchowego rozwoju jednéj z najpotężniejszych indywidualności umysłowych w czasach nowożytnych.

Oczywiście, w utworze będącym rezultatem pracy całego życia tak wielkiego jak Goethe poety i myśliciela nie mogło chodzić jedynie o artystyczne odtworzenie legendy ludowéj. Legenda służyła tylko poecie jako zbiór surowego materyału, który opracowując stosownie do wyższych estetycznych wymagań, przelewał weń swe własne myśli i uczucia.

Postać czarnoksiężnika Fausta w tém przetworzeniu zupełnie odmienny przybrała charakter: dążenia jego i uczucia, które prawowierność średniowieczna napiętnowała jako grzeszną żądzę i wynik

pokusy szatańskiéj,—w utworze nowoczesnego poety wystąpiły jako naturalne i uprawnione całkiem objawy, wynikające z najistotniejszych cech natury ludzkiéj. Faust, pałający namiętną żądzą prawdy i szczęścia, stał się przedstawicielem najwyższych uczuć i aspiracyi człowieka.

Prawda i szczęście to wiekuisty cel dążeń ludzkości, wielki problemat bytu, który nadaremnie usiłowały rozwiązać liczne systemata religijne i filozoficzne. Pomimo wielkrotnych pozornych rozwiązań występuje on zawsze otoczony nieprzeniknioną tajemnicą i nowe wywołuje usiłowania i zabiegi, nowe zawody i cierpienia, będące ich następstwem. Uczucia te i dążenia od wieków wstrząsały łono człowieka i znajdowały już swój wyraz w poezyi odległéj starożytności: w zuchwałych porywach greckiego Prometeusza, w bolesnych jękach biblijnego Hioba, w rozpacznym pesymizmie Eklezyasty. Filozofia kościelna średnich wieków usiłowała położyć im tamę i problemat bytu rozwiązać w sposób stanowczy, wskazując prawdę w dogmatach religijnych, szczęścia każąc oczekiwać w życiu przyszłém. Skoro jednak pod naciskiem nieprzepartego rozwoju osłabła wiara, będąca podwaliną gmachu średniowiecznych pojęć, gmach ten zachwiał się w swoich posadach; myśl ludzka zrzuciła krępujące ją więzy, lecz zarazem na nowo pogrążyła się w morzu zwątpień i niepewności; problemat bytu stanął przed nią znowu tajemniczy i niezgłębiony.

Daremne były wszelkie usiłowania rozwiązania go na polu samodzielnych badań i spekulacyi. Wprawdzie metafizyka nowoczesna nieraz głosiła, iż jest w posiadaniu prawdy absolutnéj, natworzyła bez liku systematów, mających do niéj prowadzić; każdy z nich jednak, zyskawszy efemeryczne uznanie, w rezultacie okazywał się nowym błędem, nowym zawodem. Nauka, rozjaśniając ciągle tajniki natury, posuwając naprzód wiedzę ludzką, nie mogła się wznieść do poznania przyczyn ostatecznych: owszem postęp jéj i rozwój wprowadza coraz większe zawikłanie w zasadniczą kwestyą bytu: z jednéj strony bowiem obala wszelkie metafizyczne marzenia i iluzye, z drugiéj okazuje, iż zawsze i wszędzie umysł ludzki w swych badaniach natrafi na pewien kres, poza który daremnie będzie chciał sięgnąć. Czasy nowożytne nie zdołały wytworzyć określonego systemu pojęć i wierzeń, który mógł-by zastąpić naiwną wiarę średnich wieków, wskazać człowiekowi cel jego dążeń, drogę, po któréj ma w życiu postępować. Wynikiem tego musi być zwątpienie i brak wiary w obec wyższych zadań i celów życia.

Ludzie, widząc, że wszelkie zasady i ideały dawnych wieków okazują się tylko złudzeniem; przekonawszy się nadto, że tylokrotne

usiłowania zdobycia prawdy, poznania ostatecznych kresów dążeń naszych do niczego nie doprowadziły, — wpadają w powątpiewanie: czy wogóle jest jaka prawda w życiu, czy są w niém jakieś wyższe ideały, czy, jednémi słowem, warto żyć, działać, dążyć do czegoś wyższego?

Naturalnie ten nastrój umysłowy w różnéj mierze i w różny sposób objawia się w całéj masie społecznéj. Przedewszystkiém, wielkie zasady i pojęcia przeszłości, rezultat duchowéj pracy wieków nie upadają odrazu. Przeobrażenia społeczne dokonywują się zawsze drogą stopniowego, nieskończonego różniczkowania; wskutek tego różne prądy umysłowe istnieją i rozwijają się współcześnie. Podobnie jak w średnich wiekach obok głębokiéj wiary zwątpienie i sceptycyzm występowały w postaci różnych herezyi i sekt religijnych—i w czasach nowożytnych obok ducha niewiary i zwątpienia istnieje dawna, bezkrytyczna, mniéj lub więcéj silna wiara. Jedni trzymają się jéj siłą duchowéj inercyi, niezdolni będąc wniknąć w jéj wewnętrzną treść i wartość, inni wskutek zewnętrznych warunków rozwoju psychicznego, usuwających ich z pod wpływu nowożytnych, postępowych idei i dążności. Niewątpliwém jest wszelako, iż jak w średnich wiekach silna wiara, tak w czasach nowożytnych brak jéj stanowi dominującą cechę społeczeństwa europejskiego.

W konsekwencyi takiego nastroju duszy, ludzie pospolitych i niskich instynktów wyrzekają się wszelkich podnioślejszych aspiracyi, własny interes obierając za wyłączny cel swych dążeń, żyją w ciasnéj sferze samolubstwa i praktycznego materyalizmu. Natury szlachetniejsze nie mogą uledz takiemu losowi: własna ich siła moralna nie pozwala im uwięznąć w pospolitych warunkach bytu, popycha na drogę wyższych dążeń. Zwątpienie więc o istnieniu celów tych dążeń musi wywoływać w ich duszy zamęt wewnętrzny i bolesną kolizyą uczuć. Taki stan duchowy niejednokrotnie odbił się w poezyi nowoczesnéj; wiele w niéj można wskazać znakomitych kreacyi, których on wybitną stanowi cechę. Ze wszystkich zaś najgłębsze, najdoskonalsze są niewątpliwie dwie: Hamlet i Faust. W tych dwóch genialnych kreacyach znalazły swój wyraz najgłówniejsze prądy uczuć i myśli, będące źródłem cierpień i walk tragicznych we wnętrzu wyższych duchowych indywidualności czasów nowożytnych: w Hamlecie—wiekuisty sceptycyzm, niepewność i wahanie wpośród zadań i celów życia, w Fauście—brak wiary i namiętne pragnienie czegoś, co by ją mogło zastąpić.

Zatrzymajmy się chwilę nad porównaniem tych dwóch postaci; ułatwi nam to głębsze wniknięcie w ogólną myśl poematu Goethego i posłuży za punkt wyjścia w szczegółowym jego rozbiorze.

Hamlet i Faust to typy szlachetnych natur, niemogących się pogodzić z niskimi warunkami swego bytu. Hamlet nie może patrzéć na bezkarny tryumf zbrodni, nie może wyżyć wśród tych pospolitych i nikczemnych ludzi, którzy stanowią jego otoczenie, — Faust nie może poprzestać na ograniczonéj wiedzy, pragnie przełamać ciasne szranki swego bytu. Wynikające stąd walki i usiłowania są źródłem kolizyi dramatycznéj w obudwu kreacyach; zwątpienie zaś i brak wiary w panowanie nad światem wyższéj moralnéj zasady, będącéj rękojmią ostatecznego tryumfu podniosłych aspiracyi człowieka—stanowią najpierwszą przyczynę tragiczności ich losu. Tutaj jednak kończy się podobieństwo, w dalszych swych cechach obiedwie kreacye zasadniczo się różnią.

Zauważmy przedewszystkiém, że Hamlet to przedstawiciel jednéj tylko strony natury ludzkiéj, doprowadzonéj do najdalszych krańców swego rozwoju: to uosobiona refleksya. Brak w nim wszelkich silniejszych uczuć i namiętności. Tragiczność jego sytuacyi wynika bezpośrednio z tego, iż on. człowiek rozległéj myśli, lecz pozbawiony czynnéj energii woli, postawiony jest wobec konieczności czynu; natura szlachetna, otoczona zepsuciem i podłością, którym uledz nie chce, a nad którymi zapanować nie umie. Gdyby nie ta szczególna sytuacya, gdyby Hamlet mógł żyć wyłącznie w sferze swych myśli i marzeń, życie jego płynęłoby prawdopodobnie spokojnie, wolne od wszelkich wstrząśnień dramatycznych. Że się tak nie dzieje, że właśnie Hamlet-marzyciel musi działać i ginąć tragicznie wskutek niemożności spełnienia tego zadania: w tém się ukrywa głęboki morał sztuki, wynikający z téj zasadniczéj prawdy, iż życie, to nie marzenie, lecz wielka arena czynu, wśród któréj każda jednostka własnemi siłami zdobyć sobie musi swój los i stanowisko. Tak więc główne źródło tragicznéj sytuacyi Hamleta tkwi we własnym jego ustroju psychicznym: mianowicie w przewadze hamującéj siły refleksyi nad czynną energią uczucia i woli. Zwątpienie i brak wiary, jako wynik ducha wieku, potęguje tylko wpływ pierwszéj siły, paraliżując jednocześnie działalność drugiéj. Wskutek tego Hamlet nie może się zdobyć na czyn, którego konieczność uznaje, i upada tragicznie wobec niezłomnéj potęgi sił życiowych, które na całym obszarze natury karzą nielitościwie wszelkie szkodliwe zboczenie w rozwoju naturalnych władz osobnika.

Zupełnie odmienną jest psychiczna natura Fausta. Władze jego duszy wszechstronnie i bogato rozwinięte czynią go ze wszech miar zdolnym do życia i czynu. Z całą energią natury żywéj i namiętnéj pragnie on żyć i działać. Ale wszelka działalność ludzka musi być określona przez jakiś cel. Faust nie widzi przed sobą ża-

dnego celu. Te, które stanowią przedmiot zabiegów pospolitych ludzi. nie mogą zaspokoić wymagań jego wyższéj natury, wzniosłe ideały, które niegdyś wiara wskazywała jako najwyższy cel dążeń człowieka, rozwiały się pod zimném tchnieniem krytyki i zwątpienia. Nie pozostaje więc nic, jak tylko dążyć do samodzielnego zdobycia prawdy absolutnéj, aby w jéj świetle poznać istotne cele i zadania życia. Ale wszelkie wysiłki Fausta dla zdobycia téj prawdy są daremne, rozbijają się o przyrodzoną ograniczoność natury ludzkiéj; ostateczny cel istnienia pozostaje zawsze zakryty przed oczyma naszemi. Następstwem tych bezowocnych dążeń i usiłowań jest tragiczna sytuacya Fausta; zatém nie wynika ona jak w Hamlecie z anormalnéj organizacyi psychicznéj bohatera, lecz źródło jéj znajduje się w ogólnych warunkach bytu ludzkiego. To jest zasadnicza różnica tych dwóch kreacyi. Obiedwie przedstawiają ogólne typy wyższych charakterów ludzkich, lecz Hamlet, to natura anormalna, jednostronna,— Faust posiada normalnie i wszechstronnie rozwinięte władze psychiczne. Zobaczymy niżéj, iż te różnice tłómaczą odmienne zupełnie rozwiązania sytuacyi tragicznéj w obudwu utworach.

Zaznaczona powyżéj różnica między Hamletem a Faustem jest przedewszystkiém następstwem odmiennych procesów tworzenia, którym te kreacye swój byt zawdzięczają. Hamlet, to kreacya zupełnie obiektywna; przynajmniéj, o ile mi wiadomo, nie mamy żadnych danych do przypuszczania, aby w niéj się odbijał charakter samego poety. Powstała ona prawdopodobnie tak samo, jak tyle innych postaci Szekspira, z obserwacyi zewnętrznéj charakterów ludzkich — genialny znawca serca ludzkiego odtworzył w niéj i połączył w jednę poetyczną całość objawy życia refleksyjnego, podobnie jak w Otellu, téj antytezie Hamleta, przedstawił wprost przeciwną stronę psychicznego życia: niepohamowaną, ślepą siłę namiętności.

Inny jest zupełnie proces powstania Fausta. Kreacya ta, jak tego dowodzi zeznanie samego poety, nie jest wynikiem przedmiotowéj obserwacyi charakterów ludzkich, lecz raczéj odbiciem własnych uczuć i dążeń poety. Goethe przelał w Fausta swą własną duszę, utworzył go na obraz i podobieństwo swoje. Chcąc więc należycie pojąć tę postać, trzeba przedewszystkiém zrozumiéć dobrze charakter i usposobienie duchowe samego poety. To ostatnie zadanie nie jest trudne wobec bogatéj literatury biograficznéj, odnoszącéj się do Goethego, w któréj zachowano najdrobniejsze szczegóły jego życia i najmniéj znaczące rysy charakteru. Wskutek tego postać poety bardzo zrozumiale i jasno nam się przedstawia. Jako najgłówniejsza cecha jego duchowéj natury uderza nadewszystko niezmiernie wszechstronne i harmonijne rozwinięcie władz psychicznych. Wia-

domo, iż Goethe łączył w sobie najbardziéj różnorodne przymioty duchowe: nadzwyczajną wrażliwość uczuciową i potęgę wyobraźni, a przytém jasną i trzeźwą myśl, ogromną zdolność badawczą i wielką siłę uogólniania. Dzięki temu, był on zarazem wielkim poetą i niepospolitym uczonym; jego przyrodnicze odkrycia zyskały uznanie powag naukowych, takich, jak St. Hilaire, Helmholtz, Lewes i wielu innych. Dodajmy do tego przymioty towarzyskie, usposobienie niezmiernie żywe i czynne, umysł wspaniały, pełen humanitarnych uczuć, klasycznie piękną powierzchowność, wreszcie żelazną organizacyą fizyczną, a będziemy mieli obraz natury ludzkiéj rzeczywiście wyjątkowo wszechstronnéj i bogatéj. — „Voilà un homme!“— wyrzekł cesarz Napoleon I po poznaniu Goethego. W tych słowach wielki wojownik, który niewątpliwie znać się musiał na ludziach, wybornie określił naturę poety. Istotnie, ze względu na ogół swych przymiotów, Goethe był doskonałym przedstawicielem czysto natury ludzkiéj. Otóż to wszechstronne i doskonałe rozwinięcie psychicznéj strony poety odbija się też w jego kreacyi, jak to powyżéj ogólnie zaznaczyłem, a w dalszym rozbiorze szczegółowo będę mógł okazać.

Nie należy jednak sądzić, iż Faust jest zupełnie wiernėm, podmiotowém odbiciem charakteru Goethego; myliłby się, ktoby w losach jego chciał szukać jakiejś analogii z życiem samego poety, jak to np. można widzieć w stosunku bohatera Dziadów do Mickiewicza. Wprawdzie dwa te utwory, Faust i Dziady wiele mają podobieństwa: obadwa są rezultatem twórczéj działalności całego życia dwóch wielkich nowoczesnych poetów; obadwa zawierają najgłówniejsze uczucia i myśli swych twórców, najważniejsze przewroty, jakie się dokonały w ich duchowéj naturze; — jednak znaczne są też między nimi różnice: głównie zaś to, iż Dziady są utworem bardziéj podmiotowym, w Fauście daleko więcéj przedmiotowości, więcéj materyału świata zewnętrznego.

Wogóle jest to charakterystyczną cechą twórczości Goethego, iż wszystkie prawie jego kreacye zawierają coś z własnéj jego natury i życia obok rysów zaczerpniętych z obserwacyi świata zewnętrznego. Przypominam np. Werthera; wiadomo, że stosunek jego do Karoliny jest dość wiernėm odbiciem miłości samego poety dla Karoliny Buff z Wetzlaru; dalsze jednak rozwinięcie charakteru Werthera: cechujący go nadmierny sentymentalizm, całkowite poddanie się uczuciu, prowadzące do samobójstwa i wiele innych rysów czynią go zupełnie różną od Goethego postacią. Toż samo ma miejsce w wielu innych postaciach, np. w Egmoncie, Tassie i t. d. Podobna też jest geneza Fausta. Powziąwszy ogólny pomysł téj krea-

cyi pod wpływem własnych uczuć i wrażeń, następnie oddzielił ją Goethe od siebie, dodał rysy obce swemu charakterowi i takim sposobem utworzył postać obiektywną, mającą swój własny, odrębny byt. Tak więc Faust w ogólnym zarysie swego charakteru jest wizerunkiem duchowym samego poety, w szczegółowém jednak rozwinięciu swych uczuć, myśli i czynów—kreacyą przedmiotową.

W takim charakterze, jako pewien obiektywny typ natury ludzkiéj, występuje Faust już w pierwszym fragmencie tragedyi z 1761 r. Na tym fragmencie nie mógł oczywiście poprzestać poeta: najprzód z tego powodu, iż przywiązywał wiele wagi do zasadniczéj idei swego utworu i pragnął ją wszechstronnie i zupełnie rozwinąć; następnie zaś dlatego, iż posiadając wysoce rozwinięte poczucie estetyczne, chciał stworzyć doskonałe i skończone dzieło sztuki. Stąd wynikała koniecznie potrzeba dalszego rozwinięcia i ostatecznego wykończenia poematu. Wykończenie zaś każdego utworu poezyi, nadanie mu charakteru estetycznéj całości polega na doprowadzeniu jego osnowy aż do pewnego punktu, stanowiącego naturalny kres rozwoju charakterów i biegu akcyi. Zachodzi pytanie, w jaki sposób mógł to osiągnąć Goethe w Fauście?

Na początku tragedyi przedstawił swego bohatera w kolizyi dramatycznéj, będącéj wynikiem dążeń jego do zrozumienia istotnych zadań życia i znalezienia w niém wyższych celów działalności. Rozwiązanie téj kolizyi, czyli doprowadzenie do ostatecznego kresu rozwoju akcyi mogło być dokonane w dwojaki sposób: albo przez upadek bohatera wobec niemożności przełamania przeszkód, stojących na drodze jego dążeń, lub też przez osiągnięcie celu tych dążeń. Któryż z tych dwóch sposobów mógł obrać Goethe?—czy mógł tragicznie zakończyć swego Fausta?

Wiadomo, że w nowoczesnym dramacie tragiczny los bohatera musi być wynikiem jego własnéj winy, w ten sposób otrzymuje on psychiczne umotywowanie. Hamlet ginie tragicznie skutkiem wad swéj organizacyi psychicznéj, niepozwalającéj mu zapanować nad warunkami zewnętrznemi; upadek Fausta w tragedyi Marlowe'a i w sztukach ludowych jest naturalną konsekwencyą pojęcia jego dążeń jako grzesznéj opozycyi przeciw jedynie prawdziwym zasadom bytu ludzkiego. Żaden z powyższych motywów nie może uzasadniać tragicznego rozwiązania w poemacie Goethego. Faust Goethego jest doskonałym typem człowieczeństwa w pełni rozwoju władz psychicznych, dążenia jego wobec pojęć nowoczesnych są uprawnionym objawem duchowych aspiracyi człowieka. A więc upadek Fausta byłby stwierdzeniem niemożliwości osiągnięcia wyż-

szych celów w życiu, negacyą podniosłych aspiracyi ducha ludzkiego, okrzykiem rozpacznego pesymizmu nad dolą ludzkości.

Takie rozwiązanie poematu było wprost przeciwne zasadom i pojęciom Goethego, który wierzył niezłomnie w postęp i rozwój społeczny, prowadzący do coraz wyższych i doskonalszych form bytu. A zatém poemat musiał się zakończyć apoteozą dążeń ludzkich. Faust, w rezultacie całego rozwoju, musiał dojść do jakiegoś doskonalszego stanu duszy, któryby mu umożliwił zrozumienie stanowiska człowieka w życiu i ostatecznych celów jego dążeń. Naturalnie rozwiązanie w tym duchu losów Fausta musiało przedstawiać ogromne trudności, będące wynikiem niezmiernie, nieskończenie prawie rozległego zakresu przedmiotu, który miał być ujęty w określoną artystyczną formę. Dlatego też pracował Goethe nad swém olbrzymiém dziełem przez całe życie, rozwijając i uzupełniając ciągle jego osnowę. Czy ostatecznie doszedł do zamierzonego celu? Czy przedstawił w kształtach artystycznych rozwiązanie problematu ludzkich dążeń? Odpowiedź na te pytania obecnie była by oczywiście przedwczesną.

Na tém miejscu chodziło mi jedynie o wskazanie zasadniczéj idei poematu, oraz głównego tematu jego osnowy. Zauważę tu tylko ogólnie, iż, niezależnie od wszelkich możliwych zapatrywań na Fausta jako logiczną i estetyczną całość, każdy przyznać musi, że poemat ten jest jednym z najgłębszych i najdoskonalszych utworów poezyi nowoczesnéj. Zawiera niezmiernie doniosłe i żywotne kwestye, daje wiele bardzo do myślenia, skłania do poważnego zastanowienia się nad życiem i jego najważniejszemi zadaniami. Z drugiéj strony, uznana powszechnie artystyczna doskonałość przedstawionych w nim typów i sytuacyi życia, stanowi niewyczerpane źródło estetycznego upodobania i podnosi nasz umysł w najwyższe sfery prawdziwego piękna.

I. **Zwątpienie i rozpacz.**

Faust rozpoczyna się bolesnym zgrzytem zwątpienia i rozpaczy, zgiełkiem walk wewnętrznych człowieka, miotającego się w więzach ograniczoności ludzkiéj. Cały wielki monolog, rozpoczynający tragedyą, przepełniony jest rozpaczliwemi uczuciami: zwątpienie, niewiara, zniechęcenie do życia, krańcowy pesymizm — oto główne jego motywa. A wszystkie płyną z jednego źródła, z niemożności przekroczenia granic, jakie natura stawia dążeniom ludzkim, zdobycia doskonałéj wiedzy i trwałego szczęścia w życiu.

Tutaj więc zawiera się zasadniczy motyw poematu: wiekuiste aspiracye ducha ludzkiego; stan uczuciowy zaś, w którym one się tu objawiają, stanowi punkt wyjścia dalszego rozwoju akcyi. Goethe wystawiwszy na początku swego utworu z całą mocą poetycką sytuacyą bohatera tragiczną, jako wynik jego dążności, stawia kwestyą na ostrzu noża. Jeśli wszelkie wysiłki ducha ludzkiego w dążeniu do najwyższych celów życia mają za ostateczny rezultat rozpacz i zwątpienie—to jakież rozwiązanie zagadki bytu? Czy są jeszcze inne drogi, mogące zaprowadzić człowieka do upragnionych celów, czy też ostatecznym wyrazem doli ludzkości—beznadziejna rozpacz Fausta? Oto pytania wynikające z osnowy wielkiego monologu. Odpowiedź na nie zawiera się w dalszym rozwoju akcyi poematu.

Ponieważ wielki monolog zawiera zasadniczy motyw całego utworu, nadto, ponieważ uczucia w nim wyrażone są odbiciem nastroju ducha poety, którego wynikiem jest cały pomysł Fausta: stąd więc wypada, iż tutaj powinniśmy też odnaleźć zasadnicze cechy charakteru głównego bohatera. W uczuciach, będących wynikiem najwyższego natężenia jego sił duchowych, powinna się odmalować w całéj pełni jego natura psychiczna.

Poeta wprowadza Fausta na scenę w chwili, gdy po długich latach pracy i mozołów, przebrnąwszy wzdłuż i wszerz całą dziedzinę nauki, doszedł do bolesnego przekonania, iż ostatecznie nic wiedziéć nie możemy. W téj wędrówce po obszarach myśli Faust pozbył się wszystkich złudzeń i przesądów, jaśniéj i głębiéj patrzy na rzeczy niż inni ludzie, ale zarazem odjętą mu została wszelka radość i nadzieja. Tak więc nauka, pozbawiwszy go wiary naiwnéj, zapewniającéj spokój duszy, dała mu w zamian tylko rozpacz i zwątpienie. Dlatego Faust pogardza wszelką wiedzą ludzką, odrzuca ją jako bezużyteczne narzędzie, zwraca się bezpośrednio do żywéj natury, z uniesieniem ciśnie się do wielkiéj jéj piersi, z wiekuistego źródła życia chce czerpać żywą prawdę.

Tutaj już okazuje się nam w ogólnym zarysie psychiczna natura Fausta. To nie zimny myśliciel, mogący tylko oddychać mroźną atmosferą abstrakcyi: umie on nietylko myśléć głęboko, lecz także zdolny jest czuć żywo, doświadczać bezpośredniego działania żywych sił przyrody. Taki psychiczny jego ustrój sprawił, iż w swém dążeniu do prawdy nie uwiązł on w jakimś filozoficznym systemacie, nie wpadł w te błędy, które tak często są udziałem myślicieli abstrakcyjnych, biorących swe spekulatywne urojenia za rzeczywiste prawdy. Bo zważmy, gdzie źródło wszelkich tego rodzaju obłędów? Niewątpliwie w jednostronnym rozwoju umysłu. Wiemy, iż wszelkie abstrakcye to uogólnienia wrażeń naszych odbieranych od

zjawisk natury: o tyle więc one zasługują na wiarę, o ile w bezpośredniéj obserwacyi, w odczuciu tych zjawisk znajdują potwierdzenie. Ludzie z wysoce rozwiniętą władzą myśli, ale pozbawieni wrażliwości uczuciowéj, skłonni są przyjmować te abstrakcyjne uogólnienia i snuć daléj ich pasmo, nigdy nie odwołując się do źródła, z którego one powstały, nie będąc zdolni szukać ich uzasadnienia w żywéj przyrodzie. Wnioski, wynikające z takiego rodzaju działalności umysłowéj, mogą być niekiedy bardzo logiczne, a jednak zupełnie fałszywe, gdyż fałsz może się zawierać w służących im za podstawę premisach, jako rezultatach błędnego uogólnienia. Ludzie z takim ustrojem umysłu mogą tworzyć wspaniałe na pozór, lecz w powietrzu zawieszone systemata filozoficzne, mogą w pewnych ograniczonych kierunkach myśli działać z wielkim pożytkiem, lecz nigdy nie będą zdolni do samodzielnego poznania doniosłych i zasadniczych prawd istnienia. Prawdziwie wielcy myśliciele, ci, którzy posunęli naprzód wiedzę ludzką, w nowych ją pchnęli kierunkach, byli zawsze ludźmi żywéj wrażliwości i głębokiego uczucia dla natury. Takim jest téż Faust i dlatego nie zabłąkał się on na manowcach jałowych spekulacyi, bo nieznalazłszy w nich prawdziwéj wiedzy, zwraca się do ostatecznego jéj źródła, do żywéj przyrody i nadnaturalną siłą potęg magicznych chce zmusić ją do wyjawienia tajemnic bytu.

Fakt magicznych studyów Fausta wziął Goethe z legendy i wprowadził go w osnowę swego poematu zgodnie z charakterem czasów, w których rozegrywa się jego akcya. Jednocześnie jednak magia, podobnie jak wszystkie średniowieczne wyobrażenia i pojęcia w utworze Goethego, służy do symbolizowania, przyodziania konkretną, zmysłową szatą pewnych intencyi i myśli poety. I tak tutaj zwrot Fausta do magii uzmysławia namiętne uczucie jego dla natury, pragnienie wniknięcia w istotną treść jéj objawów. Ale bo téż czémże była magia, jeśli nie wynikiem zwrotu do natury, żądzy odgadnięcia jéj tajemnic? Była ona przejściem od ślepéj wiary w przyczyny nadprzyrodzone zjawisk do przekonań opartych na znajomości praw natury; dlatego téż obok niejasnych pojęć praw naturalnych znajdowało się w niéj mnóstwo zabobonów i mistycznych wyobrażeń. Liczne tajemnicze symbole, używane przez średniowiecznych magików, alchemików i astrologów, były to w rezultacie uzmysłowienia jakichś mętnych poglądów na siły natury w dziwaczném połączeniu ze stekiem niedorzecznych, zabobonnych wierzeń. Goethemu wszystkie te magiczne symbole wybornie służą do poetycznego przedstawienia, zawarcia w konkretnych obrazach rozległych pojęć o różnych sferach zjawisk natury.

Znak makrokosmu, który Faust ogląda w magicznéj księdze Nostradama, jest właśnie jednym z tych symboli na pół mistycznych, na pół przyrodniczych; miał on przedstawiać fantastyczny układ wszechświata, płód bujnéj imaginacyi astrologów średniowiecznych. Goethe wyraża poetycznie za pomocą tego znaku ideę powszechnéj natury. Obraz kosmosu, w którym uzmysłowiona jest ta idea, nader żywy i piękny, składa się z przepysznych przenośni:

Jak wszystko tu się w całość wije
I jedno w drugiém działa, żyje!
Jak niebios siły snują się w szeregu,
Podając sobie złote wiadra w biegu!
Jak zwinném skrzydłem błogosławieństw krążą,
Z niebiosów na wskróś ziemi dążą,
I wszechświat harmonijnie wiążą! (1)

Również wspaniale oddane uniesienie, jakie w Fauście wywołuje ten widok. Zdaje mu się, iż odkryte już przed nim leżą wszelkie tajemnice, iż wzniósł się po nad granice człowieczeństwa i z wszechwiedzą bóstwa ogarnia całą naturę. Lecz wkrótce strącony zostaje z wysokości swéj ekstazy przypomnieniem, iż cały ten wspaniały widok to tylko subiektywne wyobrażenie jego umysłu. Tylko w symbolach ograniczonych wyobrażeń pojąć możemy wszechświat. Gdzież pochwycić tę nieskończoną naturę w jéj realnych objawach? Więc Faust ogranicza swe pragnienia: ogląda znak ducha ziemi, symbol natury ziemskiéj. Ta ostatnia jest nam bliższą niż cały ogół wszechświata; Faust czuje możność zawarcia i zniesienia w swém jestestwie całéj jéj potęgi. Magiczném zaklęciem wywołuje ducha ziemi. Ukazuję się straszliwe zjawisko. Pomimo grozy, jaką jest przejęty, Faust chce się z niém mierzyć, uznaje się mu równym — „Jesteś równy duchowi, którego pojmujesz — nie mnie“, odpowiada widmo i znika.

Duch ziemi, jak już wyżéj wspomniałem, jest symbolem ogółu ziemskiéj natury. Wielkość i straszliwość zjawiska, z którém Faust daremnie chce się mierzyć, wyobraża przewagę, jaką natura ziem-

---

(1) Wie alles sich zum Ganzen webt,
Eins in dem andern wirkt und lebt!
Wie Himmelskräfte auf und nieder steigen
Und sich die goldnen Eimer reichen!
Mit segenduftenden Schwingen
Vom Himmel durch die Erde dringen,
Harmonisch all' das All durchklingen!

Cytaty dajemy w nowym przekładzie Ludwika Jenikego, który następnie wydrukować zamierzamy. — (*Przyp. red.*).

ska w swéj całości posiada nad człowiekiem. Natura wszechświata, to wspaniałe widowisko, które możemy tylko z daleka oglądać i podziwiać; natura ziemska otacza nas bezpośrednio, możemy jéj dotykać, oddziaływać na nią, ujarzmiać pojedyńcze jéj siły; jednak nie możemy ani pojąć ogółu jéj zjawisk, ani ich opanować. Faust, który poprzednio chciał cały wszechświat ogarnąć; teraz, widząc swą słabość wobec drobnéj nawet jego cząstki, wpada w stan najwyższego przygnębienia, pod piorunującém wrażeniem ostatnich słów ducha upada zemdlony na ziemię. Z tego stanu budzi go wejście Wagnera.

Tutaj się kończy pierwsza połowa monologu, należąca do najwcześniéj utworzonych części Fausta i zawarta we fragmencie z 1791 r. Cały ten ustęp jest wypływem najszczęśliwszego natchnienia, jakie niezawsze się zdarza nawet największym mistrzom; wybitną jego cechą niezmierna siła polotu poetyckiego i potęga młodzieńczych namiętnych uniesień. Potężne natchnienie tryska tu z każdego słowa, siła uzmysłowienia pojęć i uczuć olbrzymia: każde prawie zdanie zasługuje na uwagę ze względu na niepospolitą plastykę i wyrazistość myśli.

Wogóle niewątpliwą jest rzeczą, iż wszystko to, co Goethe napisał pod wpływem owego pierwszego porywu natchnienia, stanowi najpiękniejszą część Fausta. Wtedy też powstała prawie w całości tragedya Małgorzaty. Jakkolwiek wszędzie w utworze Goethego znać wyższy poetyczny geniusz, nigdzie jednak nie jaśnieje on tak pełnym blaskiem, jak w tych niezrównanie pięknych scenach z lat młodzieńczych. Późniéj, rzadko kiedy przy tworzeniu Fausta dopisywało mu równie silne i świeże natchnienie, często zastępowane ono było przez mozolną pracę i refleksyą, co wywarło bardzo ujemny wpływ szczególnie na poetyczną wartość 2-giéj części.

Z kolei należałoby nam teraz zastanowić się nad sceną z Wagnerem; ponieważ jednak nie ma ona znaczenia w rozwoju uczuciowym Fausta, o który mi tu głównie chodzi, przeto uważam za właściwe pominąć ją na teraz i przejść od razu do drugiéj połowy monologu.

Wiadomo, iż druga część monologu napisana została w lat kilkanaście po pierwszéj. Znać w niéj też ślady przebytego doświadczenia, bliższego obznajmienia się z życiem. W pierwszéj części, jak widzieliśmy, wyraża się tylko namiętna żądza wiedzy; niemożność osiągnięcia jéj jest przyczyną cierpienia i rozpaczy. Teraz przybywa nowy motyw: zniechęcenie do życia, przeświadczenie o jego bezgranicznéj nędzy. Jednakowoż to ostatnie uczucie nie jest wcale w sprzeczności z poprzedniemi, owszem jest konsekwentnym ich wy-

nikiem. Faust chciał się wznieść po nad granice człowieczeństwa; poznał swe ograniczenie, został odtrącony przez wielkiego ducha „w niepewny ludzki los“, — teraz w zupełnie naturalny sposób przychodzi mu na myśl cała nędza tego losu, niemożność znalezienia trwałego szczęścia w życiu, zaspokojenia wyższych pragnień serca.

Faust, podobnie jak w sferze intelektualnéj, chciał dotrzéć do najgłębszéj treści prawdy,— i w życiu nie może się zadowolnić pozorem, chce sięgnąć do istoty rzeczy i zjawisk; dlatego wszędzie szuka wybitnych, typowych objawów, w którychby się wyrażały jakieś głębsze, charakterystyczne cechy ludzkiéj natury. A takich objawów próżno szukać w rzeczywistości: wszędzie narzucają się nam te powszednie, drobiazgowe czynniki, które ograniczają i zamącają wszelkie wyższe szczęście:

I najwznioślejsze nawet dary ducha
Z materyą obcą mieszają się wszędzie.

W takim stanie uczuć, Faust, zniechęcony ostatecznie do życia, wobec niemożności zaspokojenia dwóch namiętnych pragnień swéj duszy, pragnień istotnéj wiedzy i wyższego szczęścia, jednę tylko widzi drogę wyjścia: odważnie przekroczyć próg ziemskiego bytu, nie zadrżeć przed ciemną jaskinią wieczności. Tam, w wyższych duchowych sferach może się znajdzie rozwiązanie wielkich tajemnic. A jeśli tam nicość oczekuje? I w takim razie nie cofnie się Faust. Poczucie godności własnéj, wynik podniosłych aspiracyi ducha ludzkiego, nie pozwala znosić całéj nędzy żywota ziemskiego:

Czas dowieść czynem, że mężczyzny godność
Nie ustępuje dostojności bogów.

Tak więc czyn samobójstwa umotywowany jest przez wyłączne panowanie uczuć rozpaczy i zwątpienia w duszy Fausta; beznadziejny pesymizm, przenikający całą jego istotę, przedstawiony z taką siłą i żywością, iż samobójczy zamiar występuje jako psychologiczna konieczność.

Lecz oto nagle nadaje poeta nowy i niespodziany zwrot akcyi. Śpiewy religijne, głoszące zmartwychwstanie Chrystusa, wytrącają z rąk Fausta zatrutą czarę. Jednak nie uczucia religijne go wstrzymują:— to dawno on postradał. Ale z dźwiękami tych świętych pieśni łączą się wspomnienia szczęśliwych czasów dzieciństwa, z nimi budzi się przywiązanie do życia i natury.

Ta pieśń w młodości była mi zwiastunką
Igraszek i obchodu wiosny lubéj;
Dziś pamięć staje się mą opiekunką,
Co mnie wstrzymuje od stanowczej zguby.

Powyższa zmiana w ustroju duchowym Fausta jest konsekwentnym wynikiem jego organizacyi psychicznéj. Widzieliśmy już wyżéj, iż obok siły myśli wybitną jego cechą jest nader żywa wrażliwość. Tutaj ta ostatnia cecha występuje niezmiernie charakterystycznie. Pod wpływem silnie odczutego wrażenia powstają w jego duszy nowe uczucia, które ograniczają wyłączne panowanie poprzednich, przez co czyn samobójstwa, jako będący wynikiem wyłącznego panowania rozpaczliwych uczuć, staje się niemożliwy.

W następującéj teraz scenie *przechadzki* ta druga zmysłowo-wrażliwa strona natury Fausta okazuje się w całéj pełni. Faust, głęboki myśliciel, przedstawia się tutaj jako poeta, pełen zachwytu wobec budzącéj się ze snu zimowego przyrody. Widok wesołego tłumu, używającego przyjemności dnia świątecznego, wzbudza w nim żywe zajęcie jako typowy obraz życia; majestatycznie zachodzące słońce zapala jego wyobraźnię. Pod wpływem tych wrażeń nowe budzą się w jego duszy pragnienia: nieokreślona tęsknota do natury, żądza zespolenia się z nią, pragnienie wyższego bytu na jéj łonie. Te uczucia, oraz tlejąca jeszcze w jego umyśle żądza wzniesienia się do wyższych sfer duchowości wywołują fantastyczno-elegijny nastrój umysłu, wyrażający się w pragnieniu jakiegoś pośredniego bytu między niebem i ziemią.

Jeżeli duchy są w przestworach czystych,
Pomiędzy ziemią a niebem, w błękicie,
To niechże zstąpią z wyżyn promienistych
I w nowe, barwne mnie prowadzą życie.

Widzimy więc obecnie Fausta w stanie najwyższego naprężenia władz psychicznych. Siły zmysłowéj i duchowéj jego istoty wzmagają się do najwyższego stopnia, a żadna z nich nie może znaleść odpowiedniéj sfery działalności.

Rzeczywiście jest on teraz zawieszony między niebem a ziemią, między żądzą wyższego duchowego bytu, a przywiązaniem do życia i natury. Teraz to przystępuje do niego nowa siła, uosobiona w postaci Mefistofelesa, która ściąga go stanowczo na ziemię i nowy nadaje zwrot jego psychicznemu rozwojowi. Poznamy bliżéj w następstwie naturę téj siły.

Obecnie pozostaje nam jeszcze zastanowić się nad pewnemi żywiołami tragedyi, które pominęliśmy wyżéj, zajmując się wyłącznie charakterystyką głównego bohatera.

Przedewszystkiém ta wyborna postać Wagnera, która przez swój kontrast z Faustem tak znakomicie przyczynia się do uwydatnienia właściwości jego charakteru.

Wagner, to doskonały typ ograniczonego pedanta, człowieka ciasnéj głowy i poziomych pragnień. Podczas gdy Faust, idąc za popędem duszy, pragnie przekroczyć granice wiedzy ludzkiéj,—Wagner obraca się w mizernéj sferze swéj nauki, cały zajęty tylko tém, aby wszystkie kąciki i zaułki téj sfery jaknajsumienniéj przeszperać. Faust w ciągłéj walce między wyższemi pragnieniami ducha a skłonnością do żywéj przyrody, Wagner nie zna wcale takich sprzecznych uczuć, nie pojmuje entuzyazmu Fausta dla natury, sądzi, że prędko można się przesycić widokiem pól i lasów ; zbutwiała atmosfera starych szpargałów milsza mu nad wiosenne powiewy.

Ten kontrast uwydatnia się szczególnie w scenie, rozdzielającéj dwie części wielkiego monologu. Na ograniczone uwagi Wagnera Faust odpowiada nadzwyczaj głęboką i trafną krytyką tego powierzchownego, formalistycznego traktowania nauki i sztuki, jakie właściwe jest ludziom w rodzaju Wagnera. Ten ostatni nie jest nawet w stanie zrozumiéć rzeczywistego znaczenia słów mistrza i zwyczajem ludzi ograniczonych, powtarza wciąż swoje, wynosząc tę zewnętrzną, powierzchowną stronę wiedzy, którą jedynie jest w stanie zrozumiéć.

Wobec prometeuszowych zapędów Fausta, ten ograniczony, bezmyślny szperacz książkowy, traktujący naukę jako rzemiosło, stanowi wyborny kontrast a zarazem uzupełnienie. Te dwa typy, Fausta i Wagnera, w pewnéj mierze streszczają w sobie najogólniejsze cechy działalności ludzkiéj w życiu i społeczeństwie. Biorąc bowiem rzecz bardzo ogólnie, możemy rozpatrywać naturę człowieka pod dwojakim względem. Najprzód jest on osobnikiem, mającym swój własny, odrębny zakres rozwoju, polegającego na wszechstronném wydoskonaleniu ogółu właściwych mu sił fizycznych i psychicznych; następnie jest on jednostką społeczną, mającą za zadanie rozwinąć w sobie pewne szczególne władze, umożliwiające dokładne wypełnienie przypadającego jéj w udziale zakresu ogólno - społecznéj pracy. Pogodzenie tych dwóch dążności rzadko daje się całkowicie osiągnąć ; zwykle przeważa jeden lub drugi charakter w rozwoju : rozproszenie sił w nadmiernéj wszechstronności, lub też zamknięcie ich w ciasnéj sferze jednego zawodu, zamieniające człowieka w bezmyślną maszynę. Otóż Faust i Wagner stanowią krańcowe typy tych dwóch kierunków. W życiu widzimy pomiędzy temi krańcami mnóstwo pośrednich typów, które mniéj lub więcéj do nich się zbliżają. Oczywiście, więcéj zawsze Wagnerów niż Faustów. Zachodzi teraz pytanie: Jakie jest społeczne znaczenie tych dwóch typów ?

Ostatecznie, biorąc rzecz ze stanowiska utylitaryzmu społecznego, przyznać trzeba, że typ Wagnera więcéj wart niż typ Fausta

w danéj fazie jego rozwoju: Faust w teraźniejszym nastroju psychicznym, wobec zwątpienia i niewiary panujących w jego duszy, niezdolny jest do żadnéj użytecznéj działalności,—sumienny i akuratny Wagner, pełen wiary w każdą powagę, może być bardzo użytecznym pracownikiem w swoim mizernym zakresie. Tylko właśnie w tém rzecz, iż obecny stan psychiczny Fausta jest tylko jedną fazą jego rozwoju, podczas gdy zakres rozwoju Wagnera już zamknięty:—słaby jego umysł nigdy się nie wzniesie poza ciasną sferę zawodu; bezmyślna rutyna zawsze będzie główną sprężyną jego działalności.

Społeczeństwo, składające się z samych Wagnerów byłoby olbrzymią maszyną, niezdolną do życia i rozwoju. Że zaś społeczeństwo nie jest mechaniczną całością, lecz żywą organizacyą,—a istotną cechą życia jest rozwój i postęp: więc istniéć w niém muszą typy faustowskie, umysły wyższe, dążące ciągle do wzniesienia się ponad zakres swéj sfery, żądne samodzielnéj i twórczéj działalności, któraby nowe otwierała horyzonty, nowe wskazywała kierunki i drogi rozwoju. Działalność jednak każdéj jednostki społecznéj o tyle tylko może miéć dodatnie rezultaty o ile jest wynikiem współdziałania sił psychicznych w jednym, określonym kierunku. To ostatnie zaś możliwe jest jedynie wskutek pewnéj równowagi i ustosunkowania w rozwinięciu władz wewnętrznych, czyli wskutek osiągnięcia, lub zbliżenia się do pewnego stałego normalnego punktu rozwoju. A prawem jest ogólném w całéj naturze, iż każdy wyższy typ życiowy dłuższego potrzebuje czasu do osiągnięcia pełni swego rozwoju i większym podlega niebezpieczeństwom zboczenia z właściwéj drogi. Orgranizmy niższe rozwijają się prędzéj od wyższych i mniejszym podlegają zboczeniom. Podobnie ludzie ograniczonego umysłu prędko stosunkowo dochodzą do kulminacyjnego punktu rozwoju i zazwyczaj nie zbaczają z raz obranego kierunku, nie doświadczają wahań i niepewności w swych dążeniach. Przeciwnie ludzie rozległego umysłu, bogatszéj natury nieraz błądzą i zbaczają ze swéj drogi: starcia pomiędzy różnemi szeregami prądów umysłowych w różne popychają ich strony i utrudniają, lub czynią niemożliwym normalny rozwój psychiczny. O ile pomimo tych wszystkich wahań i zboczeń może człowiek dojść, na drodze samodzielnego rozwoju, w pośród ogólnych warunków życia, do pewnéj wewnętrznéj równowagi i harmonii duchowéj—to jest właśnie kwestya, na którą odpowiedź ma się znajdować w dalszéj osnowie Fausta.

Podobnie jak Wagner jest przeciwstawieniem Fausta w sferze dążeń umysłowych, tak w całym owym barwnym tłumie, który poe-

ta wprowadza w scenie przed bramą miejską, widzimy przeciwstawienie pragnień jego w sferze zmysłowego użycia i szczęścia.

Scena ta stanowi prześliczny rodzajowy obrazek, przedstawiony z przedziwną plastyką i realizmem. Występuje tu niezmiernie charakterystycznie ów prosty, wesoły ludek miejski, który całą duszą pogrąża się w uciechach dnia świątecznego, dla którego wycieczka za mury miejskie, odświętny strój, trochę śmiechu i krzyku jest już najwyższą przyjemnością. Oto przesuwają się przed nami najrozmaitsze postacie: rzemieślnicy, mieszczanie, studenci, dziewczęta, żołnierze. A każdy przemawia właściwym sobie językiem; krótkie urywki rozmów zmieniających się ciągle grup charakteryzują dosadnie różne typy. Cały ten różnobarwny tłum porusza się w różne strony, miesza, przewija: istny kalejdoskop życia w całym jego realizmie.

Ten obraz wesołości i zadowolenia świątecznych tłumów w żywéj pozostaje sprzeczności z nastrojem umysłowym Fausta. Jednak sprzeczność nie leży tu w naturze uczuć, lecz w ich stopniu. Faust, jak wiemy, pełen jest przywiązania do życia i natury, pragnie żywo szczęścia i rozkoszy, lecz może on znaleść zadowolenie i szczęście tylko w wyższych objawach życia. Ta sama natura, te blaski promienne słońca, które są uciechą gminu, i w duszy Fausta żywe budzą uczucie. Lecz jakże ogromna różnica w stopniu i rozległości tych uczuć? Dla gminu wystarcza aż nadto ta cząstka natury, która go bezpośrednio otacza. Jasny wesoły dzień wiosenny, ciepło słoneczne, świeże powietrze — oto wszystko, co czuje on i widzi w naturze. Jakże odmiennie Faust zapatruje się na nią! On pragnie całą przyrodę ogarnąć swém uczuciem, czuje się silny „ziemi ból i ziemi radość znosić"; w poetyczném rozmarzeniu chce wznieść się do jakichś niedościgłych wyżyn bytu: za słońcem lecieć i poić się blaskiem jego wiekuistym. Obecnie uczucie Fausta dla natury wyraża się tylko w takich poetycznych marzeniach i tęsknotach; w obecnych warunkach bytu nie może on znaleźć określonego przedmiotu tych uczuć i pragnień. W następstwie ujrzymy ich urzeczywistnienie.

Streszczam teraz w paru słowach rezultaty powyższego rozbioru wprowadzonych dotąd na scenę objawów i typów życia.

Faust to natura ludzka w całém bogactwie swych rozlicznych władz, w dążeniu do coraz wyższego udoskonalenia i rozwoju. Życie ludowe reprezentuje niski i ograniczony stopień bytu psychicznego, w którym władze, będące produktem wyższego rozwoju, w zarodkowym zaledwie ukazują się stanie. Wreszcie Wagner—to typ ograniczenia i jednostronności, nacechowany brakiem wszelkiego indywidualizmu, wszelkich wybitniejszych znamion człowieczeństwa.



Nadto zauważyć należy, iż tak postać Wagnera, jak ogół typów ludowych mają tylko epizodyczne znaczenie: nie grają żadnéj roli w rozwoju akcyi zasadniczéj, żadnego na nią nie wywierają wpływu; służą tylko dla podniesienia przez kontrast cech charakterystycznych głównego bohatera.

II. Przeczenie.

Zostawiliśmy Fausta w stanie wewnętrznego naprężenia sprzecznych sił psychicznych, z których każda dąży do wywarcia na zewnątrz swego działania. W obec tego należy przewidywać, iż ta z pomiędzy nich, która zostanie wzmocnioną przez wpływ czynników zewnętrznych, otrzyma stanowczą przewagę i zdecyduje kierunek dalszéj działalności Fausta. Te zewnętrzne czynniki występują uosobione w postaci Mefistofela. Ażeby więc zrozumiéć dalszy przebieg akcyi, musimy zbadać naturę i charakter téj nowo-wprowadzonéj postaci.

Wiadomo, że Mefistofel występuje też w legendzie o Fauście; stamtąd zaczerpnął Goethe pomysł swéj kreacyi. Jednakowoż, podobnie jak charakter bohatera głównego uległ zasadniczéj zmianie w opracowaniu Goethego,—i owa postać dyabła-kusiciela w tragedyi wielce się różni od swego pierwowzoru z legendy.

Mefistofel w legendzie jest to dyabeł w téj postaci, w jakiéj go sobie wyobrażała fantazya ludowa pod wpływem dogmatu religijnego. Wiadomo zaś, iż dogmatyka religijna przedstawiała w osobie szatana pierwiastek złego w życiu i naturze. Jako taki, jest on wiecznym nieprzyjacielem Boga, przeciw wszechmocy którego podniósł bunt zuchwały; miota się w bezsilnéj walce, sprzeciwiając się ciągle woli bożéj i dążąc do unicestwienia wszystkiego, co z woli téj powstało. Jest to więc duch wiecznego sprzeciwieństwa, „wróg wszelkich utworów bożych, a przedewszystkiém człowieka, którego, jako najdoskonalsze dzieło boże, ciągle zgubić usiłuje. Wyobraźnia ludowa, dążąc do wyrazistszego uzmysłowienia téj personifikacyi złego, nadała szatanowi pewną zewnętrzną postać, pewne znamienne cechy, które były wynikiem bądź idei zawartych w dogmacie, bądź dalszego ich rozwinięcia i przetworzenia, w których wreszcie nie obeszło się bez przymieszania jakichś zabytków prastarych wierzeń pogańskich.

Poeci, przedstawiając artystycznie postać szatana, brali różne cechy z dogmatu religijnego i ludowéj legendy, zmieniając je i uzupełniając własnemi dodatkami, stosownie do pojęć, które w téj postaci chcieli uzmysłowić.

Dla lepszego uwydatnienia postaci szatana w poemacie Goethego, przytoczę tu kilka przykładów najznakomitszych demonicznych kreacyi, z których zobaczymy najgłówniejsze sposoby pojmowania demonizmu dyabła chrześciańskiego.

Dante przedstawił postać szatana zupełnie w duchu tradycyi religijnéj, jako uosobienie wszelkiéj potworności moralnéj i fizycznéj, ducha nienawiści, będącego ostateczném przeciwstawieniem miłości bożéj, ożywiającéj i poruszającéj świat cały; Milton pojął go więcéj w duchu biblijnym, jako buntowniczego anioła, pełnego jednak tragicznéj wzniosłości; Krasiński w swoim Irydionie przedstawił go także w duchu biblii; jednak cecha buntu mniéj tu jest uwydatniona, więcéj zaś cierpienie będące jego następstwem: Massynisa to posągowa postać ze znamieniem wiekuistéj starości na czole, pełna głębokiego smutku i spokojnego tragizmu. Na tradycyi biblijnéj oparł się též Byron, przedstawiając Lucifera w Kainie; ale postać biblijnego szatana wziął on tylko jako zmysłową formę, w któréj wyraził swoje własne uczucia i pogląd na świat, mianowicie: uczucie głębokiego smutku w obec jego nędzy i cierpienia. Lucifer to upadły anioł, który został strącony z nieba dlatego, że nie chciał się poddać wszechmocnéj potędze, która, stwarzając świat, skazała go na wieczne cierpienie; nie walczy on z Bogiem, lecz, z głębokiem uczuciem smutku, wskazuje wszędzie nędzę i cierpienia wszystkich istot stworzonych. Jest to więc duch negujący wszelkie istnienie, ale negacya jego umotywowana jest nie demonicznym antagonizmem z wolą bożą, lecz przeświadczeniem o niedoskonałości i nędzy wszystkiego co istnieje.

Zobaczmy teraz, jakim jest szatan Goethego. Dominującą w nim cechą jest także przeczenie: sam on się przedstawia Faustowi, jako duch, który zawsze przeczy. Jednakże przeczenie jego zupełnie odmienny ma charakter od przeczenia Lucifera: w Mefistofelu niema ani śladu uczucia, które widzimy w Luciferze; jest to zimny szyderca, który nielitościwym swym sarkazmem chłoszcze wszystkie objawy bytu. Z tego względu Mefistofel Goethego zbliża się więcéj do szatana legendy, który także, jako duch wiecznego sprzeciwieństwa i opozycyi przeciw Bogu, często walczy bronią szyderstwa. Jednakowoż podobieństwo to jest bardzo powierzchowne. Szatan legendowy neguje to tylko, co istotnie jest dobre; przeciwnie szatan Goethego często bardzo swoim sarkazmem uderza na rzeczywiście ujemne objawy w życiu i działalności ludzkiéj. W ogóle stara się on okazać zawsze ujemną stronę każdéj rzeczy, a wiadomo, iż w tym naszym niedoskonałym świecie, obok dodatnich, wszędzie prawie znajdują się ujemne objawy; zawsze jest odwrotna strona medalu.

Otóż Mefistofel, o ile wyszydza i ośmiesza objawy ujemne, zasługujące rzeczywiście na to, jest wyobrazicielem zdrowéj, rozumnéj krytyki. Tylko, że ta krytyka jest jednostronna, wyłącznie ujemna, podczas gdy rzeczywistém zadaniem sądu krytycznego jest wszechstronne ocenienie rzeczy, a zatém wykazanie tak ujemnych jak i dodatnich ich stron. Ale wiemy, iż taka krytyka tylko w wyższéj działalności naukowéj może się pojawić; zazwyczaj zaś, w stosunkach społecznych, krytyka występuje jako objaw dążności negatywnéj przeciw istniejącemu stanowi rzeczy, którego byt opiera się na bezwzględnéj, niekrytycznéj wierze i uznaniu autorytetu. Wskutek tego sąd krytyczny ogólno-społeczny dąży przedewszystkiém do podniesienia ujemnych stron rzeczy i stąd to w mniemaniu powszechném z pojęciem krytyki łączy się zawsze coś ujemnego.

Są epoki, kiedy ta dążność krytyczna występuje ze szczególną siłą: mianowicie, dzieje się to wtedy, gdy istniejące stosunki bytu społecznego tracą swą żywotną siłę, stają się nieodpowiednie dla dalszego rozwoju. Wiadomo, że czasy nowożytne są właśnie jedną z tych epok: krytycyzm stanowi wybitną ich cechę Jest to naturalną konsekwencyą tych wielkich przeobrażeń, które oddzielają nowożytną epokę od średniowiecznéj. W średnich wiekach, stosunki społeczne, dążenia ludzkie skrystalizowane były w ścisłe formy organizacyi kościelno-politycznéj; w następstwie czego panowała wówczas bezkrytyczna wiara i powaga autorytetu we wszystkich sferach społecznéj działalności. Następnie, gdy wskutek cywilizacyjnego rozwoju, istniejący w średnich wiekach układ stosunków społecznych utracił swą wewnętrzną żywotność i częściowemu uległ rozkładowi; w tym rozkładowym procesie duch negacyjnéj krytyki oczywicie wybitną odegrał rolę, pod jego działaniem upadała powaga autorytetów, myśl ludzka wyswobadzała się z krępujących ją powijaków. Pierwszemi objawami tego prądu krytycznego były żywioły opozycyi w reformacyi przeciw powadze kościelnéj w sferze religijnéj, w humanizmie przeciw powadze scholastyki w filozofii i sztuce. Od tego czasu krytycyzm zyskał prawo obywatelstwa w umysłowej działalności ludów europejskich i występował wielokrotnie w różnych momentach i w różnych sferach społecznego bytu: w filozofii, sztukach, polityce, stosunkach socyalnych i ekonomicznych itp. Szczególnie zaś gwałtownie on wystąpił w racyonalizmie XVIII wieku i w końcu wybuchnął w rewolucyi francuskiéj namiętnym protestem przeciw całemu porządkowi społecznemu.

Widzieliśmy poprzednio, jak charakter życia nowożytnego odbił się w uczuciach i dążeniach Fausta:—teraz wprowadza poeta nowy żywioł tego życia w negacyjnych dążeniach Mefistofela. W Fau-

ście odbija się duch ludzkości nowożytnéj w całéj wszechstronności swych objawów, w całéj rozległości swych uczuć, pragnień i dążności; w Mefistofelu występuje pewien wyłączny, jednostronny szereg umysłowych objawów ducha ludzkiego w ogóle, a ducha epoki nowożytnéj w szczególności. Czynnik negacyi, rozproszony w umysłowéj atmosferze ludzkości i pojawiający się częściowo w pojedynczych objawach psychicznéj działalności jednostek, został przez Goethego wyosobniony, skupiony, że tak powiem, i uzmysłowiony w postaci Mefistofela. Mefistofel Goethego jest to więc krańcowy typ krytyki sceptyzmu i szyderstwa,—postać legendowego szatana jest zewnętrzną powłoką, alegoryą, w któréj uzmysłowione są te właściwości i dążenia ducha ludzkiego. Ostatecznie, szatan z dogmatu i legendy jest także niczém innem jak zmysłowym symbolem, jest on uosobieniem pierwiastku zła w naturze i duszy ludzkiéj, podobnie jak Mefistofel Goethego—pierwiastku krytyki i negacyi. Tylko, że w fantazyi ludowéj powstała postać szatana nieświadomie, jedynie wskutek niemożności zrozumienia pewnych objawów bez przypuszczenia wpływu jakiejś demonicznéj woli; wskutek tego postać ta nie mogła otrzymać ściśle określonego kształtu, lecz tylko mgliste jego kontury, nie może zatém stanowić skończonéj artystycznéj kreacyi. Przeciwnie poeta, tworząc świadomie, dążąc do uzmysłowienia w swéj kreacyi ściśle określonego ogółu pojęć i wyobrażeń, nadaje jéj jasny i skończony kształt artystyczny. W każdym razie jednak legenda dostarcza poecie pierwowzoru jego kreacyi, daje mu ogólne jéj kontury. Duch negacyi nie mógł bowiem być uzmysłowiony w jakiejś ludzkiéj postaci,—w negacyi wziętéj abstrakcyjnie jest coś antyludzkiego, demonicznego; istotą życia jest dążenie do czegoś pozytywnego; negacya sama przez się nie może stanowić głównéj treści charakteru człowieka; nie może mieć w nim umotywowania psychicznego:—gdy tymczasem w postaci szatana znajduje ona to umotywowanie w przypisywanéj mu przez wyobraźnię ludową nienawiści do całego świata, jako utworu woli bożéj.

Że w postaci Mefistofela nie chodziło Goethemu tylko o artystyczne odtworzenie wyobrażenia ludowego, to jest aż nadto widoczne. Gdybyśmy chcieli w ten sposób pojmować Mefistofela, wtedy znalazłoby się w poemacie wiele ustępów zupełnie sprzecznych z sobą. I tak, wiemy, że Faust jestto człowiek naszych czasów, wolny od wszelkich średniowiecznych przesądów; zaraz na początku wielkiego monologu powiada on, iż nie lęka sie piekła ani dyabła. Nawet w scenie kontraktu, kiedy dyabeł stoi osobiście przed nim, wypowiada swoje wątpliwości co do życia przyszłego:

O jakieś *tam* nie troszczę ja się wcale......
Nie ziębi mnie to, ani grzeje,
Czy kędyś miłość, czy nienawiść tleje
I czy w przyszłego bytu kole
Jest kto nagórze, czy nadole.

Podobnych ustępów możnaby więcéj przytoczyć;—byłyby one zupełnie niewłaściwe, gdyby postać Mefistofela miała być odtworzoną w duchu wyobrażeń ludowych, gdyż w takim razie brakłoby jednolitości w charakterze całego przedstawienia. Ponieważ jednak nie chodziło tu wcale o dyabła ludowego, lecz tylko o uzmysłowienie pewnych abstrakcyjnych pojęć, więc poeta zupełnie sobie dowolnie poczynał z materyałem legendowym, posługując się nim tylko o tyle, o ile to dla uzmysłowienia rzeczy było potrzebne, nie troszcząc się zaś wcale o zachowanie iluzyi w całości przedstawienia. Zresztą cały sposób traktowania roli Mefistofela potwierdza powyższy pogląd:—wszędzie, gdzie występuje on w charakterze legendowego dyabła, traktuje poeta jego rolę w sposób żartobliwy, ironiczny, wskazujący, iż nie chodzi tu na seryo o przedstawienie wyobrażeń ludowych. Wreszcie, jak słusznie zauważył Düntzer, jeden z komentatorów Fausta, sam kontrakt z dyabłem nie gra żadnéj istotnéj roli w rozwoju akcyi: służy on tylko dla ożywienia jéj, nadania zmysłowego pozoru; rozwój akcyi i jéj ostateczne rozwiązanie zupełnie jest od niego niezależne, co w swoim czasie szczegółowo postaram się okazać.

Düntzer, który bardzo trafnie określił stosunek Mefistofela Goethego do jego legendowego pierwowzoru, wyraził jednak pogląd bardzo powierzchowny na ogólne jego stanowisko w tragedyi, mianowicie uważa on, że Mefistofel jest uzmysłowieniem dzikich, zmysłowych namiętności Fausta. Pominąwszy już to, iż takie zewnętrzne usymbolizowanie wewnętrznych, indywidualnych uczuć ludzkich byłoby dosyć niefortunnym pomysłem, — zwrócić należy uwagę na to, iż zmysłowość nie stanowi głównéj cechy charakteru Mefistofela. Prawda, że występuje ona dość wybitnie pomiędzy innemi własnościami jego natury, ale oczywiście, nie jest tém, co najwięcéj zwraca naszę uwagę: najwięcéj przecież uderza nas w Mefistofelu ta niezrównana satyryczna werwa, dowcip, humor, ironia, których nigdy pono żadna kreacya poetyczna nie posiadała w tak znacznéj mierze i w tak doskonałym gatunku. Naturalną jest więc rzeczą, iż krytyka przedewszystkiém te cechy powinna podnieść w postaci Mefistofela; tymczasem Düntzer, rozwodząc się szeroko nad jego lubieżnością, zaledwie mimochodem wspomina o zawartym w nim pierwiastku satyrycznym. Poniżéj się przekonamy, iż zmysłowość, lubieżność, cynizm Mefistofela są tylko naturalną konsekwencyą głównéj jego cechy: przeczenia.

Pomimo jednak tego abstrakcyjnego charakteru roli Mefistofela, umiał Goethe, dzięki swemu poetycznemu geniuszowi, przedstawić ją z niezrównaną plastyką i żywością zmysłową. Stało się to głównie wskutek bardzo umiejętnego zużytkowania i połączenia w charakterze Mefistofela różnorodnych żywiołów psychicznych. Każda bowiem kreacya poetyczna tém żywiéj i plastyczniéj nam się przedstawia, im charakter jéj jest bardziéj złożony i im różnorodniejsze są składowe jego elementa; wtedy bowiem różnostronniéj i wyraziściéj daje się poznać, co jest właśnie warunkiem plastyczności wrażenia. W charakterze Mefistofela spotykamy najprzód żywioły zaczerpnięte z legendy i bardzo żywo odtworzone: złośliwość dyabelska, przewrotność, wykrętna sofistyka; daléj owe cechy, które głównie określają stanowisko Mefistofela w tragedyi: rozumna krytyka, humor, sarkazm, ironia, dowcip; nadto: lubieżność, cynizm, sceptycyzm,— a wszystko to przyodziane w zmysłowe znamiona, któremi wyobraźnia ludowa obdarzyła postać szatana, a które użyte z niezmiernym humorem i dowcipem wielce ożywiają akcyą i nadają jéj bardzo wybitny, zmysłowy pozór. Dzięki temu, pomimo abstrakcyjnego swego charakteru, Mefistofel jest jedną z najplastyczniejszych i ożywionych kreacyi poetycznych.

Przystępując teraz do szczegółowego rozbioru roli Mefistofela, należy nam się cofnąć do prologu w niebie, w którym się ona rozpoczyna. Prolog ten jest, jak wiadomo, naśladownictwem początku księgi Hioba. Podobnie jak tam szatan staje przed Panem pomiędzy aniołami i otrzymuje pozwolenie kuszenia człowieka, aby go z prawéj drogi sprowadzić; słowa, któremi przemawia Pan do szatana, są w części parafrazą tekstu biblii. Przedstawienie jednak charakteru Mefistofela zapowiada nam już jego rolę w tragedyi. W odpowiedziach swoich zdradza on ten szyderczy pogląd na świat, sarkazm i humor, które stanowią jądro jego charakteru: wyszydza wysokie dążenia i aspiracye człowieka, podnosi humorystycznie sprzeczność pomiędzy niskiemi instynktami jego natury i zapędami ku duchowéj doskonałości; człowiek wydaje mu się jakąś istotą chybioną i nieudaną, cała jego działalność — śmieszną i niedorzeczną. Tutaj więc mamy już zaznaczone to zaprzeczne stanowisko Mefistofela wobec dążeń ludzkich. Równocześnie jednak okazuje się i dodatnia strona jego roli, oraz właściwe znaczenie reprezentowanego przez niego żywiołu: „Tobie podobni nigdy mi wstrętni nie byli“ — mówi Pan; a następne jego słowa pouczają, iż działalność tego szatana-kusiciela zmierzać musi w ostatecznym swym rezultacie do spełnienia zamiarów bożych. Dążność człowieka łatwo omdlewa, dlatego dany mu jest towarzysz, który drażni, pobudza i jako szatan musi tworzyć.

Tutaj aż nadto wyraźnie wskazane jest znaczenie rzeczywiste owego ducha negacyjnéj krytyki, reprezentowanéj przez Mefistofela: jakkolwiek jest to siła ze swéj natury ujemna, o ile jednak negacyjny jéj wpływ dotyka objawów bezdusznéj, inercyjnéj działalności człowieka, staje się ona pobudką i bodźcem ożywiającym ducha ludzkiego, siłą czynną i dodatnią, która umożliwia człowiekowi ciągłe postępowanie naprzód i doskonalenie się. Takim sposobem ten duch wiecznego sprzeciwieństwa i negacyi jest jednym z organów, za pośrednictwem których urzeczywistnia się na ziemi wyższa idea, objawiająca się w działalności i dążeniu człowieka i w takiém znaczeniu ta siła negacyjna musi w swoim zakresie twórczo działać.

Tutaj miejsce zwrócić uwagę na styl prologu w niebie. Zarzucano tu poecie bluźnierczy nieprzystojny ton. Zapewne, jest w tém nieco słuszności: istotnie sposób przedstawienia Boga jest tu nieodpowiedni naszemu pojęciu o jego naturze i wielkości. Z drugiéj strony jednak można słusznie zapytać: w jaki sposób miał tu Goethe traktować przedmiot? Nigdyby wyobraźnia poetycka nie mogła stworzyć symbolów, któreby odpowiadały idei Boga, właściwéj umysłowi ukształconemu: można było tylko uzmysłowić jego postać w duchu prostackiéj, naiwnéj wiary; dlatego téż napisał Goethe swój prolog w stylu średniowiecznych legend. Wszak po wszystkie czasy używali poeci symbolów ludowych dla uzmysłowienia swych pojęć?— w Fauście jest to tém więcéj na miejscu, że w całym poemacie wyobrażenia średniowieczne służą za zmysłową szatę idealnéj jego treści. Zresztą sposób przedstawienia Boga jest o wiele szlachetniejszy u Goethego niż w średniowiecznych mysteryach: zbliżony więcéj do biblii, z któréj, jak wiemy, wzięty jest główny pomysł prologu.

Przechodzę teraz do czynnego wystąpienia Mefistofela w życiu Fausta. Dla wprowadzenia go do akcyi używa poeta środków znajdujących się w legendzie: Mefisto ukazuje się Faustowi w postaci czarnego pudla, Faust poznawszy demoniczną naturę psa, za pomocą magicznych zaklęć, zmusza szatana do ukazania się w naturalnéj postaci. Pierwsze wystąpienie Mefistofela i dyalog jego z Faustem traktowane w sposób pełen humoru i dowcipu. Słowa, któremi Mefistofel określa swoję naturę, jako „część siły, co zawsze złego chce, a zawsze dobre działa“ — potwierdzają określenie jego stanowiska w prologu. Daléj w wykrętném tłómaczeniu natury światła i ciemności, oraz w humorystycznéj skardze na ten niezdarny świat, przeciw dążeniu do bytu którego biedny dyabeł nic poradzić nie umie, zawierają się nadzwyczaj zręczne sofizmata, charakteryzujące demoniczną naturę Mefistofela, a wyrażone z niezrównanym dowcipem, pełnym naturalności i swobody.

Wogóle, w całéj téj scenie nagromadził Goethe mnóstwo materyału legendowego, który przetworzony został artystycznie w najwytworniejszym smaku w sposób pełen delikatnych odcieni i subtelności. Zauważyć należy, w jaki sposób poeta tak w téj scenie, jak i w następnych rozwinął cały ten aparat cudowności, który otacza Mefistofela i stanowi zewnętrzną, zmysłową powłokę akcyi, oraz poetyczną jéj ornamentacyą. Ten świat duchów i czarów przedstawił Goethe z taką powiewną lekkością, otoczył go takim czarem poezyi, iż stanowi on jednę z największych ozdób poematu. W téj scenie zwrócę tylko uwagę na ów prześliczny śpiew duchów niewidzialnych, który uzmysławia marzenia śpiącego Fausta, będące następstwem czaru: w ulotnych, dźwięcznych wierszach przesuwają się tu jakieś powietrzne obrazy, zasnute mgłą tajemniczą, zachodzące wzajemnie w siebie i oddające wybornie charakter sennego marzenia. Ta cudowność służy za poetyczne ramy, w których Mefistofel rozwija swą działalność, podbudzając, za pomocą czarodziejskiéj ułudy, zmysłowe pragnienia Fausta.

W następnéj scenie rozwinięty jest daléj legendowy żywioł poematu w układzie z Mefistofelem. Że ten układ nie ma istotnego znaczenia w rozwoju akcyi, o tém już wyżéj wspomniałem. Istotną rzeczą jest tu dalszy rozwój stanów uczuciowych Fausta, będący wynikiem poprzedniego jego nastroju psychicznego oraz wpływu Mefistofela. Zauważyłem na początku niniejszego rozdziału, że—wobec stanu w jakim się Faust znajduje, w chwili wystąpienia Mefistofela—dalszy rozwój jego psychiczny zależny będzie od wpływu zewnętrznych czynników, które mogą zapewnić przewagę jednéj z sił psychicznych działających w jego łonie. Otóż teraz w postaci Mefistofela poznaliśmy naturę tych czynników. Mefistofel, w konsekwencyi swego negacyjnego stanowiska wobec wszelkich wyższych dążeń ludzkich, pobudza zmysłowość Fausta, aby, wciągnąwszy go w wir niskich rozkoszy, wykazać całą nędzę i ułomność natury ludzkiéj, która nie może się utrzymać na wysokości podniosłych dążeń, a ugrzęznąwszy w pospolitém błocie życia, ginie w niém nie znalazłszy trwałego zadowolenia i szczęścia. Z tego widzimy, iż wpływ Mefistofela na Fausta nie wynika z jego istotnie zmysłowéj natury, jak uważa Düntzer, lecz jest następstwem sceptycznéj negacyi, tkwiącéj w jego charakterze, szyderczéj pogardy, jaką on żywi dla natury ludzkiéj.

Przyjrzyjmy się teraz, jakie skutki ten wpływ wywiera w psychicznéj naturze Fausta. Zbudzony z ułudnych marzeń, wywołanych przez czary, powraca on do smutnéj rzeczywistości. Przekonanie o niemożności zaspokojenia pragnień i uczuć, przepełniających jego

łono, wtrąca go w najwyższą rozpacz: pierwszą propozycyą Mefistofela udania się w wir życia i uciech odtrąca, utrzymując, że nie ma dla niego szczęścia — tylko od śmierci oczekuje wybawienia z mąk życia. Poprzednio widzieliśmy Fausta w stanie zwątpienia i rozpaczy, teraz, wskutek wpływu Mefistofela, wybucha namiętném przeczeniem i przekleństwem bytu i wszelkich jego objawów. Tę chwilę podchwytuje Mefistofeles, ażeby wyczerpane rozpaczą psychiczne siły Fausta zwrócić w kierunku swoich zamiarów. Chór niewidzialnych duchów, w przepysznych strofach śpiewa na poły szyderczą, na poły żałosną skargę nad zburzonym w duszy Fausta pięknym światem uczuć i pragnień. Faust, pod wpływem czaru i wskutek przeświadczenia o bezużyteczności wszystkich swych dążeń, ulega namowom Mefistofela, aby w zgiełku i gwarze życia szukać zadowolenia swych żądz i popędów zmysłowych.

Jednak tutaj już możemy przewidywać, że duch przeczenia nie dopnie swego celu: Faust wypowiada głębokie przekonanie, iż nigdy nie spocznie w swoich dążeniach, nigdy nie poprzestanie na próżniaczém używaniu rozkoszy chwili. Taki moment upojenia rozkoszą i próżniaczego spoczynku stawia jako termin swego układu z Mefistofelem:

Gdy rzeknę kiedy do przelotnéj chwili:
Stań! piękna jesteś jak uludy cień!
To już mnie w więzy zakuj swoje
I niech to będzie mój ostatni dzień.

Widzimy więc, że jakkolwiek cały układ z Mefistofelem jest tylko zmysłową powłoką rzeczywistéj akcyi, — jednak i w nim zawarł Goethe głębszą myśl społeczno-filozoficzną, wyrażającą zasadniczy motyw poematu: Faust w legendzie upada już w chwili i wskutek zawarcia układu z szatanem: dlatego czas trwania układu oznaczony jest pewną liczbą lat, w ciągu których zły duch ma wysługiwać się w zamian za zapewnione mu już posiadanie duszy Fausta; Goethe nie mógł przyjąć takiego przedstawienia układu, bo w nim daje się tylko poznać ograniczoność umysłu i pospolitość żądz bohatera, który, jak wszyscy ludzie ograniczeni, poświęca przyszłe dobro obecnemu zadowoleniu: dlatego to układ w tragedyi musiał całkiem inny otrzymać obrót. Tutaj sam układ z szatanem nie pociąga za sobą upadku i potępienia: bo ten szatan nie jest uosobieniem złego, lecz alegoryą negacyi i sceptycyzmu. Wtedy tylko upadek Fausta mógłby nastąpić, gdyby on, ulegając wpływowi tego czynnika negacyi, zrzekł się wszelkich wyższych dążeń, pogrążył się w apatyi i bezczynności. Ale upadek ten nie byłby wtedy wynikiem układu, lecz naturalną konsekwencyą praw rządzących życiem

i naturą ludzką. Istotą bowiem życia wogóle, a życia psychicznego człowieka, jako najwyższego jego objawu w szczególności, jest ciągła w niém czynność żywych sił, a w następstwie tego ciągły rozwój i postęp; więc ustanie téj czynności wstrzymanie rozwoju w jakiejkolwiek sferze życia równa się śmierci i upadkowi. Sferą bytu Fausta, jako reprezentanta człowieczeństwa, jest ogół stosunków moralno-społecznych. Życiem jednostek społecznych jest rozwój i postęp w téj sferze: te z nich, które pozostają w niéj bezczynne, żyją wprawdzie jako osobniki zwierzęce, mogą się przyczyniać do postępu sfer zwierzęcego życia, ale są martwemi rzeczami w życiu społecznéın, są ludźmi tylko z kształtu i imienia. W takiém znaczeniu możliwym byłby upadek Fausta. Ale, jak już zauważyłem, możemy przewidywać, że ten upadek nie nastąpi: poznawszy bowiem poprzednio potęgę psychicznych sił Fausta, słusznie możemy powątpiewać, aby te siły mogły kiedykolwiek ustać w swéj działalności, ażeby Faust zagrzązł w bezdusznéj apatyi używania. Jednak Mefistofel nie może tego przewidziéć i cieszy się nadzieją pewnéj wygranéj, bo jest on reprezentantem tylko jednostronnego poglądu na życie; widzi jasno i dokładnie ujemne jego strony, ale niezdolny pojąć dodatnich.

Rozważmy teraz stan uczuć i dążeń Fausta, będący następstwem związku z Mefistofelem. Wiemy, że ogólném następstwem wpływu tego ostatniego jest zwrot pragnień Fausta ku naturze i życiu. Ale w jakim zakresie, w jakim szczególnym kierunku zwracają się te pragnienia? Oto sam Faust wypowiada nader żywo obecny stan swych uczuć:

Gdy zatraciłem wiedzy zapał boski,
Nie zamknę odtąd piersi dla cierpienia.
To, co ludzkości bywa tu udziałem,
Ja zawrzéć pragnę w mém jestestwie całém
I sięgać duchem nizko lub wysoko,
Jéj zła lub dobra w sercu strzedz głęboko
I własne *ja* w istnieniu jéj rozwinąć,
By tak, jak ona, wkońcu w gruzach zginąć.

Poprzednio w wielkim monologu widzieliśmy dążenia Fausta do poznania ostatecznéj prawdy, jego zapędy w sferze intelektualnéj działalności: teraz w zmysłowo-uczuciowych pragnieniach objawia się druga emocyonalna strona jego jestewstwa. Jednak jak poprzednio, przebywając w sferach abstrakcyi, nie stracił Faust uczucia dla żywéj natury, tak obecnie znów, rzucając się namiętnie na jéj łono, poddając się biernie jéj działaniu, zachowuje on właściwe sobie wysokie stanowisko umysłowe, które wyraża się w niezmiernéj rozle-

głości uczuć i pragnień, czyli w znacznym w nich udziale pierwiastku intelektualnego.

Już poprzednio, porównywając uczucie Fausta dla natury z tém, jakie dla niéj żywi gmin prosty, zaznaczyłem odmienny charakter nastroju uczuciowego w różnych fazach psychicznego rozwoju. Obecnie, wobec téj pełni uczuć Fausta i tak charakterystycznego ich objawu, może nie będzie bez interesu zdać sobie dokładniéj sprawę z przyczyn, dla których taki a nie inny jest ich charakter, zbadać jedném słowem psychologiczne zasady uczuciowego rozwoju Fausta.

W tym celu muszę na chwilę odstąpić od głównego przedmiotu i zwrócić się do ogólnych psychicznych praw umysłowości ludzkiéj.

Wedle powszechnie przyjętego poglądu w psychologii, rozwój umysłowy polega na wytwarzaniu się pewnych sił występujących w umyśle naszym w postaci wrażeń, uczuć i pojęć i t. d. Jak wszędzie w naturze, tak i w sferze zjawisk psychicznych panuje zasada jedności sił: wszystkie zjawiska psychiczne są rezultatem rozwoju czynności jednéj siły; wszystkie wywiązują się jedne z drugich i pozostają w ścisłym z sobą związku: od najprostszego wrażenia aż do najwyższych uczuć, pojęć i idei istnieje nieprzerwany łańcuch stanów przejściowych; wyższe stany odróżniają się od niższych większą ilością wchodzących w ich skład elementów. Wiadomo nam jednak, że w działalności psychicznéj istnieją dwie wielkie, napozór zupełnie różne sfery: intelektualna i emocyalna, czyli sfera pojęć i myśli, oraz sfera wrażeń i uczuć.

Wychodząc z zasady jedności sił psychicznych, musimy przypuścić, iż te dwie sfery nie mogą się różnić zasadniczo, iż muszą być w nich pewne wspólne elementa. Cała masa badań i dowodów nowoczesnéj psychologii przekonywa, iż tak jest istotnie. Nie będę się tu oczywiście wdawał w wyczerpujące wywody, przytoczę tylko w ogólnych zarysach pewien pogląd w téj mierze, którego prawdziwość każdy może dostrzec w wewnętrznéj obserwacyi swych własnych stanów psychicznych.

Jest to już dziś powszechnie przyjętym w psychologii pewnikiem, iż wszelkie nasze poznanie polega na dostrzeżeniu podobieństw i różnic między dwoma lub więcéj przedmiotami, wrażeniami zewnętrznemi i t. p. jedném słowem dwoma stanami umysłu. Te stany mogą to być albo wrażenia bezpośrednio z zewnątrz odebrane, czyli pewne sensacye, albo ślady tych reakcyi, tj. ślady wrażeń niegdyś odebranych, albo wreszcie komplikacya pewnéj ilości sensacyi: zawsze sensacya jest tu ostatecznym elementem, a sensacya należy oczywiście do sfery emocyonalnéj, do sfery uczuć i wrażeń. Z drugiéj znów strony oczywistém jest, iż, aby doświadczać jakiegoś

uczucia, trzeba posiadać świadomość tego uczucia; świadomość ta może posiadać mniejszy lub wyższy stopień, ale zawsze istniéć musi. Jeśli uczucie, dosięgając najwyższego stopnia, przytłumia absolutnie wszelką świadomość: wtedy ustaje téż wszelka wrażliwość i uczucie; następuje stan omdlenia lub halucynacyi. Jedném słowem, aby coś odczuwać, trzeba być świadomym wrażeń; świadomość jest konieczným warunkiem wszelkiéj czynności emocyonalnéj, a wiemy, iż świadomość należy do sfery intelektualnéj—sfery pojęć i myśli. Tak więc widzimy, iż w obydwóch sferach występują te same czynniki psychiczne. Różnica zaś pomiędzy niemi jest ta: iż w sferze intektualnéj dominującym żywiołem jest świadomość, polegająca na zmianie dwóch lub więcéj stanów umysłu,—w sferze zaś emocyonalnéj dominuje sensacya, będąca bezpośrednim wynikiem wrażliwości naszéj na bodźce zewnętrzne: w pierwszym razie umysł zachowuje się więcéj czynnie, bo stany psychiczne zostają tu pobudzone mniéj lub więcéj niezależnie od bodźców zewnętrznych; w drugim zaś biernie, gdyż wszelka działalność jego uwarunkowana jest bezpośredniéj wrażeniami zewnętrznemi.

Stopień rozwoju psychicznego zależy w ogóle od ilości znajdujących się w umyśle stanów psychicznych prostych, które, na mocy właściwych mu praw, łączą się w rozległe grupy pojęć, idei. Im wyższy stopień rozwoju umysłu, tém w każdéj jego czynności więcéj złożone występują stany, odpowiadające rozleglejszéj sferze zjawisk zewnętrznych; ponieważ zaś w czynnościach emocyonalnych występują téż same stany psychiczne, co we wszystkich innych, tylko w bardziéj bezpośredniéj zależności od zewnętrznych wpływów: naturalną jest więc rzeczą, iż, w osobnikach wyżéj psychicznie rozwiniętych, działalność emocyonalna może być wywołana przez większą ilość, więcéj złożonych czynników zewnętrznych. W umyśle mało rozwiniętym pojedyncze, pospolite zjawiska wyczerpują działalność szczupłéj ilości jego sił psychicznych; przeciwnie naturę psychiczną bogatą, wysoko rozwiniętą, tylko bardzo złożone, typowe, ogólne objawy bytu mogą zadowolnić.

Powracam obecnie do właściwego przedmiotu. Może i tak zbyt długą była ta wycieczka w sferę psychologii; sądzę jednak, iż przyczynić się może do jaśniejszego i głębszego pojęcia obecnego nastroju psychicznego Fausta. Wobec powyżéj streszczonego poglądu, jasném jest, iż uczuciowe pragnienia Fausta muszą być proporcyonalne do jego poprzednich dążności w sferze intelektualnéj: podobnie jak poprzednio wiedzą swoją chciał on objąć całą naturę, tak obecnie chce ją ogarnąć uczuciem.

Wobec tych tytanicznych zapędów Fausta Mefistofel zachowuje się z właściwym sobie sarkazmem i wyszydza je nielitościwie; radzi mu udać się do jakiego poety, któryby go, podobnie jak bohaterów swoich poematów, obdarzył wszelkiemi możliwemi i niemożliwemi uczuciami i zamienił w chodzącą doskonałość. Przy téj sposobności dowcipnie wyśmiana przesada, jaka często się spotyka w nienaturalném idealizowaniu poetycznych kreacyi. W rezultacie Mefistofel radzi przedewszystkiém opuścić ciasną pracownię i jałowe spekulacye i wyruszyć na szeroki świat, na pełne morze życia. Wyborna jest uwaga, w któréj ośmiesza filozofów, kręcących się w zaklętém kole spekulacyi:

Powiadam ci: kto szpera nazbyt wiele,
Jest jako bydlę, które w błędném kole
Zły duch po wyschłym prowadzi rozdole,
A tam się wokół świeża trawka ściele.

Teraz więc Mefistofel, w charakterze bezwiednego czynnika, działającego w duchu wyższych praw,—oddaje pierwszą usługę Faustowi: odciąga go od bezpłodnych metafizycznych zaciekań, w których tyle wyższych umysłów zużywało daremnie swe siły i zwraca ku naturze i życiu, gdzie każdy głębszy umysł może znaleść tak wiele nauki, każdy człowiek żądny czynu—tak obszerne pole działalności.

Mefistofel, stosownie do swego poglądu na życie, sądzi, że, odciągnąwszy Fausta od dążenia do wiedzy i prawdy, już wygrał sprawę: zamierza wlec nieposkromionego ducha swéj ofiary przez dzikie orgie życia, przez płaską powszedniość, w któréj on uwięźnie i zginie na zawsze. Ale złośliwy sceptyk, w swéj jednostronności, nie wie o tém, że potok życia ma niebezpieczne wiry, groźne skały i błotniste topiele; ale ma także rozległe i czyste prądy, które unoszą człowieka ku wyższym celom. Faust rzuca się teraz w ten rwący potok życia; nieraz zagrzęznie w jego błotnistych kałużach i rozbije się o skały przeciwności,—ale, nie upadając na duchu, nie ustając nigdy w walce i dążeniu, wypłynie na czyste i jasne obszary, gdzie znajdzie ostateczny cel istnienia i rozwiązanie jego wielkiéj zagadki.

W rozważanym powyżéj ustępie tragedyi znajdują się jeszcze sceny epizodyczne, które jakkolwiek mało mają styczności z główną akcyą, wybornie jednak nadają się do rozszerzenia zakresu przedstawionych w niéj różnych stron życia, oraz do uwydatnienia pewnych cech głównych postaci tragedyi. Każda z tych cech posiada odrębne przymioty i w swoim rodzaju jest prawdziwém arcydziełem.

Najprzód ta sławna scena z uczniem, która należy do najświetniejszych ustępów roli Mefistofela. Tutaj to Mefistofel występuje jako przedstawiciel zdrowéj i rozumnéj krytyki. Znajduje on obszerne pole dla wywarcia swéj satyrycznéj werwy i gryzącego dowcipu, podnosząc i ośmieszając ujemne strony pedantycznéj i powierzchownéj nauki. Jakkolwiek, stosownie do czasu i miejsca akcyi, krytyka ta dotyczy bezpośrednio scholastyki średniowiecznéj,—jednak podniesione w niéj są tak ogólne ujemne właściwości i cechy różnych nauk, iż może ona być zastosowana również dobrze do każdéj epoki. Pedantyzm i bezmyślna rutyna bowiem zawsze, we wszystkich sferach działalności ludzkiéj, grają swoję rolę, gdyż zawsze istnieją umysły powierzchowne i ograniczone, które, niezdolne będąc do samodzielnego, głębszego objęcia przedmiotu, w bezmyślném powtarzaniu raz przyjętych formułek, w ślepém stosowaniu rutynicznéj metody widzą całą istotę nauki. Zresztą system scholastyczny nie upadł całkiem z końcem epoki średniowiecznéj: wprawdzie już w XVI wieku przestał on wyłącznie panować w nauce, ale wiele jego pojęć, zasad i metod przetrwało aż do naszych czasów w zmienionéj wprawdzie formie, ale z tą samą treścią i wartością.

Wiele z tych uwag satyrycznych, które tu Goethe przez usta Mefistofela wygłasza, poczerpniętych jest z własnych szkolnych wrażeń poety, o których mówi znacznie późniéj w „Wahrheit und Dichtung“ (Düntzer). Specyalnie krytyka jest tu zwrócona przeciw głośnéj za czasów Goethego idealistycznéj filozofii Wolffa. Do niéj się to zapewne odnosi ta kilkakrotna szydercza apologia wyrazów, które często tak doskonale zastępują w filozofii pojęcia.

Nie będę się tu szczegółowo zastanawiał nad trafnością satyrycznych uwag Goethego o prawie, logice, teologii, zwrócę tylko w ogóle uwagę na tę genialną bystrość umysłu, z jaką ocenił on słabe strony współczesnéj sobie nauki i dzięki któréj wzniósł się nad rozpowszechnione wówczas pojęcia i poglądy. Podnosiłem już to, iż Goethe był jednym z najdzielniejszych pionierów nowoczesnej nauki: podczas gdy współcześni mu myśliciele (jak np. jego przyjaciel Schiller) całkiem jeszcze byli pogrążeni w dosyć jałowych metafizycznych zaciekaniach,—Goethe zwrócił się do najpewniejszego źródła prawdziwéj nauki: do żywéj natury i w doświadczeniu, w obserwacyi jéj zjawisk szukał prawdy i wiedzy: wszedł on już wtedy na tę drogę, na którą w ostatnich dopiero czasach wkroczyła nowoczesna nauka. Przytaczam tu jako przykład uwagę Mefistofela o metafizyce:

Tam bacz, byś wniknął do jéj treści.
Co w mózgu ludzkim się nie mieści,

Co tli się w nim, albo-li nie tli,
To szumne słowo niby ci rozświetli.

Czy można dać trafniejszą a zarazem dosadniejszą definicyą metafizyki ze stanowiska nauki nowoczesnéj; wszak i współcześni filozofowie naturaliści, jak Spencer, Mill, Ribot itd. nieinaczéj się na nią zapatrują. Pomyślmy, że to było powiedziane wtedy, gdy jeszcze metafizyka wszechwładnie panowała nad umysłami, że jeszcze długo potém najzawołańsze w Niemczech głowy, jak Hegel, Schelling itd. snuły zuchwałe systemy metafizyczne, usiłując gwałtem pojąć to, co nie przystaje do mózgu ludzkiego.

Tyle o treści tych znakomitych uwag i myśli Mefistofela. Co do ich zewnętrznéj formy: to czyż trzeba wykazywać niezmierną żywość i plastykę ekspresyi? Tutaj właśnie szczególnie wybitnie występuje ten niesłychany talent plastyczny Goethego, dzięki czemu najwięcéj oderwane myśli wyrażone są w tak żywéj i dosadnéj formie, iż zdają się jak wyrzeźbione. Wszystkie te aforyzmy Mefistofela mają iście przysłowiową dosadność; nigdzie Goethe ani na chwilę nie wpada w prozaiczność: zawsze jest wielkim myślicielem i wielkim poetą. Ta zdolność łączenia tych dwóch tak odrębnych kierunków umysłowéj działalności jest jedną z najbardziéj charakterystycznych cech geniuszu Goethego.

Scena w piwnicy Auerbacha to pełen humoru rodzajowy obrazek z wesołego życia knajpiarskiego, które, jak wiadomo, szczególniéj w Niemczech tak wielu ma zwolenników. Trzeba znać trochę życie i obyczaje studentów niemieckich, aby ocenić całą niezrównaną typowość téj wybornéj sceny. Zresztą nie trzeba tu koniecznie szukać studentów niemieckich: bo gdzież braknie ludzi, którzy sobie umieją życie lekko i wesoło urządzać? którym butelka wina, kilku wesołych koleżków i szczypta płaskiego dowcipu starczą za wszelkie uciechy i wybornie mogą czas zapełnić. Co do poetycznego przedstawienia téj sceny, to zaznaczyć należy wyborną charakterystykę owych czterech wesołych kompanów, niezmiernie ożywiony i charakterystyczny dyalog, oraz niezrównany, pełen swobody i naturalności komizm. Tutaj przychodzi mi na myśl uwaga, którą czyni Lewes z okazyi innego ustępu Fausta (mianowicie prologu na teatrze), że właśnie w takich drobnostkach, w traktowaniu takiego pospolitego przedmiotu zdradza się prawdziwy poetyczny geniusz: w uniesieniu poetycznėm, wzbudzonėm przez jakiś wzniosły przedmiot, i mierny talent wznosi się niekiedy do wyższéj doskonałości; ale tylko prawdziwy mistrz może w doskonały sposób przedstawić pospolitość. Przypomnę tu niektóre ustępy z Pana Tadeusza, w któ-

rych pospolitość przedmiotu stokrotnie jest okupiona niezrównanym artyzmem formy.

Mefistofel wprowadza Fausta w tę wesołą kompanią, aby mu pokazać jak lekko daje się żyć; jednak nie należy mu przypisywać intencyi wciągnięcia Fausta w tego rodzaju życie: wszakżeż sam je ośmiesza w jego oczach. Ale to téż pamiętajmy zawsze, że nie trzeba brać zbyt seryo owéj kusicielskiéj roli Mefistofela: wiemy już, że ona jest tylko zewnętrzną powłoką rzeczywistego jego charakteru. W scenie téj nie chodziło poecie o przedstawienie jednego ze sposobów kuszenia Fausta, lecz o ukazanie pewnéj nowéj typowéj strony życia. Widzimy téż, że w ciągu całéj téj sceny Faust zachowuje się zupełnie obojętnie, Mefistofel zaś jest zawsze złośliwym szydercą, który drwi sobie do woli z wesołego ludku.

Zupełnie odrębnego rodzaju epizodem jest scena w kuchni czarownicy. Poprzednio mieliśmy realistyczny obrazek z życia,—teraz dziwaczną poetyczną fantazyą, w stylu najwięcéj wybujałego romantyzmu, w któréj dowolnie pomieszane są najsprzeczniejsze żywioły. Najdziksze pomysły wyobraźni ludowéj, a obok tego wytworny dowcip i subtelna ironia; głębokie satyryczne myśli łączą się z zupełną niedorzecznością, grubym komizmem, błaznowaniem. A wszystko to owiane lekkim swobodnym humorem stanowi wielce oryginalną i piękną całość poetyczną. Scenę tę, przeniknięta duchem północnego romantyzmu, pisał Goethe w Rzymie, w ogrodzie willi Borghese, wśród klasycznych wspomnień i rozkosznéj południowéj natury. Wiadomo, że lubił on podobne sprzeczności; zapewne dlatego, aby nie poddawać się jednostronnemu wrażeniu i panować zawsze nad zewnętrznemi warunkami. Podobnie, pełną szalonéj wesołości scenę w piwnicy Auerbacha pisał w czasie bardzo bolesnych cierpień serdecznych, po zerwaniu jednego z najgorętszych stosunków miłosnych.

(*d. n.*) *Walery Gostomski.*





TOWARZYSTWA
POPIERANIA PRZEMYSŁU I HANDLU
W EUROPIE ŚRODKOWÉJ I POŁUDNIOWÉJ.

W zeszycie styczniowym „Ateneum“ daliśmy obraz ruchu na polu popierania przemysłu krajowego i handlu wywozowego we Francyi. Obecnie przedstawiamy czytelnikom dane, odnoszące się do tegoż przedmiotu, jakie zdołaliśmy zebrać dla krajów Europy środkowéj i południowéj. Podane przez nas wiadomości są może zbyt niezupełne, niekiedy nawet ogólnikowe, lecz tłómaczy nas z jednéj strony trudność zebrania bliższych szczegółów, z drugiéj — cel naszych artykułów, które nie roszczą wcale pretensyi do wyczerpującego studyum o rozbieranym przedmiocie, ale mają raczéj służyć za zachętę i pierwszą wskazówkę dla ludzi dobréj woli, którzyby zechcieli skorzystać z zagranicznych wzorów i zaprowadzić coś podobnego w kraju naszym. A rzecz to konieczna wobec tego, że przemysł nasz dziś jeszcze nie może się wcale mierzyć z zachodnio-europejskim, który jednakże ciągle żywo się krząta koło wszelkich możliwych ulepszeń i postępu, kiedy my prawie że zasypiamy na mniemanych laurach, zdobytych jakoby na wschodnich rynkach cesarstwa. Że te laury wątpliwéj wartości zaczynają już więdnąć pod wpływem współzawodnictwa przemysłu rosyjskiego, wiemy o tém wszyscy, czas więc już wielki wziąć się energicznie do łącznéj pracy, by i one nawet nie uschły zupełnie.

A teraz przystąpmy do rzeczy.

Podczas gdy producenci francuscy lekceważą jeszcze potrzebę zapoznawania się bezpośredniego z konsumentem, współzawodniczący z nimi wytwórcy niemieccy próbują przez stowarzyszanie się, zrzucić z siebie wiekowe jarzmo, nałożone na nich przez komisantów. Dzięki całemu szeregowi instytucyi, obsługujących potrzeby producenta niemieckiego w wyszukiwaniu rynków zbytu dla jego

wyrobów, oraz dzięki przyjętéj przez niego zasadzie omijania pośrednictwa kupców przy sprzedaży wytworzonego przezeń towaru, zagadnienie obejścia się bez pośrednika-komisanta nigdzie nie jest tak bliskie rozwiązania jak w Niemczech. W kraju tym wszystkie towarzystwa, mające na celu popieranie przemysłu narodowego, bez względu na to, jaką noszą nazwę, dążą głównie do ułatwienia bezpośredniego stosunku konsumenta z producentem. Towarzystwa te, teoretycznie, mają przed sobą wspólny cel z pojedynczymi komisantami, lecz różnią się z nimi w środkach i cieszą się tą wyższością, że usługi ich są tańsze. We Francyi, jak widzieliśmy w pierwszym artykule, wszystkie urządzenia publiczne, mające na celu popieranie przemysłu i handlu wywozowego, nie będąc instytucyami handlowemi, mają na celu proste informowanie producentów, pozostawiając ich wyłącznie własnym siłom, w korzystaniu z dostarczonych wskazówek. To, co służy za cel dla towarzystw francuskich, jest tylko środkiem dla podobnych instytucyi niemieckich. Korzystają one z zebranych przez się wiadomości do przeprowadzenia aktu kupna-sprzedaży, bądź w swojém własném imieniu, jeżeli stanowią instytucyą, posiadającą kapitał zbiorowy, jak np. *Exportbank* w Berlinie, bądź w imieniu jednego ze swych członków, jeżeli są stowarzyszeniami przemysłowców, jak *Musterlager* w Sztutgardzie.

W dziejach tych instytucyi założenie towarzystwa Wirtemberskiego jest epoką, gdyż w jego statutach odnajdujemy poraz pierwszy te czynniki, które stanowią podstawę wszystkich innych (1). Towarzystwo to zostało założone w r. 1853 o kapitale 144,000 florenów, z których rząd dał 30,000, a prywatni przedsiębiorcy resztę. Pomimo drobnego kapitału zakładowego przedstawiło ono własnym kosztem przemysł Wirtembergii na wystawach powszechnych w Paryżu, Londynie (r. 1855 i 1862) i w pierwszych trzech latach dało dywidendy 4%. Dopóki ograniczało się ono dostarczaniem wytwórcom informacyi o potrzebach rynków zagranicznych, pobierając wzamian umiarkowane komisowe, dopóty posiadało zaufanie przemysłowców i koszta administracyi były pokrywane dochodami, wskazanemi przez statuty. Ale towarzystwo to, mające swój kapitał zakładowy, a więc stanowiące w obec prawa instytucyą handlową, nie zadowalniało się rolą protektora przemysłu krajowego i stało się samo w r. 1860 domem handlowym, prowadzącym interesy na własny rachunek. Z chwilą tego przekształcenia znikło poparcie, jakiego towarzystwo doznawało ze strony przemysłu wirtemberskiego, lecz zarazem produkcya tego kraju nagle się zmniejszyła.

---

(1) „Lettre de Francfort.“ Raffałowicz. L'Économiste, 1884.

Nieszczególnie prowadzone interesy zmusiły towarzystwo do likwidacyi w roku 1871. Tem nie mniéj w pierwszych latach swego istnienia oddało ono rzetelne usługi przemysłowi Wirtembergii. Fabrykanci tamtejsi zdając sobie z tego sprawę, nie przestali zajmować się opracowaniem projektu instytucyi, mającéj na celu popieranie ich interesów. Powodzenie wystawy przemysłowéj w Sztutgardzie w r. 1881 ułatwiło im zadanie. Wskutek odnośnéj petycyi, rząd zatwierdził zamianę czasowéj wystawy przemysłowéj na stałą wystawę wyrobów Wirtembergii. Instytucya ta pod nazwą *Exportmusterlager* istnieje dotychczas w Sztutgardzie i jest ściśle związana ze starszém już od niéj muzeum handlowém. Sztutgardzki *Exportmusterlager* jest stowarzyszeniem przemysłowców, opartém na wzajemności, gdyż zrażeni pierwszém niepowodzeniem przemysłowcy nie chcieli tworzyć instytucyi handlowéj z kapitałem zakładowym. Każdy członek wnosi 25 marek składki rocznéj na koszta administracyi. Zaraz w pierwszym roku stowarzyszeni za pośrednictwem téj wystawy otrzymali zamówień na 80,000 marek. Z ostatniego sprawozdania, ogłoszonego przez zarząd dnia 1 kwietnia 1885 roku, dowiadujemy się, że instytucya ta liczyła wówczas 415 członków (1). Wystawa wyrobów mieściła się w siedmiu salach, a wystawione przedmioty zajmowały 400 metrów kwadratowych. Toż samo sprawozdanie zaznacza ciągły wzrost zwiedzających wystawę i zwiększanie się zakupów zawieranych za pośrednictwem zarządu. I tak, w 1882 roku zwiedzających było 170 osób, z których 26 porobiło zakupy na podstawie wystawionych prób; w r. 1883 zwiedziło wystawę 217 osób, z których 120 poczyniło zakupy; w r. 1884 na 225 zwiedzających 110 zawarło tranzakcye za pośrednictwem zarządu. Od 1 stycznia 1884 r. komitet wystawy wysłał 700 niemieckich, 300 angielskich, 50 francuskich i 250 włoskich katalogów. W ubiegłym roku komitet wystawy otrzymał 270 zamówień i 4343 listy. Wysłał zaś 7782 listy, z których 300 z próbkami, a od 4,000 do 5,000 z cyrkularzami wystawy. 1-go lipca roku zeszłego została otwarta w Hamburgu filia wystawy sztutgardzkiéj. Filia ta nie prowadzi interesów na własny rachunek, to jest nie ma prawa otrzymywania zamówień, ale przedstawiając dodatnie strony produkcyi wirtemberskiéj, służy za przynętę do traktowania bądź bezpośredniego z wystawcą, bądź z zarządem wystawy. Stała wystawa wyrobów w Sztutgardzie, oprócz tego, że zaznajamia świat handlowy z produkcyą Wirtembergii, zastępuje miejsce reprezentanta w stolicy królestwa dla producentów

(1) *Export*, tygodnik wydawany przez towarzystwo geograficzne handlowe w Berlinie w Nr. 14 z przeszłego roku podnosi tę cyfrę do 423.

zamieszkujących odleglejsze prowincye. Ułatwiając zaś ich bezpośredni stosunek z nabywcami, choćby ci nie byli ostatnimi konsumentami, wpływa na zniżenie ceny wyrobów. Instytucya ta oddziaływa dodatnio na przemysł Wirtembergii jeszcze z tego względu, że przyczynia się do podnoszenia jego dobrego imienia za granicą, gdyż ekspedycye zamówień, otrzymanych za pośrednictwem wystawy, przechodzą przez poprzednią krytykę jéj zarządu.

Dodatnie rezultaty, osiągnięte przez towarzystwo wirtemberskie, zachęciły i inne kraje niemieckie do naśladownictwa. Za inicyatywą i wpływem towarzystw geograficznych prowincyonalnych liczba wystaw produkcyi miejscowéj rok rocznie się zwiększa. I tak, najprzód Towarzystwo geografii handlowéj i poparcia niemieckich interesów za granicą w Chemnicach (*Verein für Handelsgeographie und Förderung deutscher Interessen zu Chemnitz*) na posiedzeniu z dnia 22 kwietnia 1884 r. postanowiło urządzić stałą wystawę wyrobów w tém mieście na wzór sztutgardzkiego *Exportmusterlager*, a zarazem przesłało okólniki do kupców, jak i wogóle do poddanych niemieckich, zamieszkałych za granicą, z prośbą o przesyłanie *na koszt towarzystwa* prób wyrobów zagranicznych, znajdujących zbyt na rynkach odnośnych krajów. Kładę nacisk na wyrazach „na koszt towarzystwa“, gdyż zarząd instytucyi zauważył, że mała ta ofiara ze strony towarzystwa posłuży za „bodziec dla usłużności współziomków.“ Tym sposobem, nowopowstała instytucya, łączy w sobie muzeum handlowe, wraz z wystawą wyrobów miejscowych. Nie tworzy jednak oddzielnego towarzystwa, lecz pozostaje częścią składową towarzystwa geograficznego handlowego w Chemnicach.

W ostatnich miesiącach ubiegłego roku przemysłowcy sascy założyli w Dreźnie towarzystwo wywozowe—*Exportverein*. Instytucya ta ma na celu popieranie handlu wywozowego i oprócz innych środków statuty towarzystwa polecają komitetowi urządzanie wystaw wyrobów saskich w głównych punktach handlowych Europy. W lutym r. 1885 przemysłowcy bawarscy, nie chcąc pozostać w tyle za innemi krajami Niemiec założyli *Bayerisches Exportmusterlager*, którego statuty są wierną kopią sztutgardzkiéj wystawy wyrobów. Wygodne położenie geograficzne Monachium, oraz okoliczność, że miasto to jest licznie zwiedzane dla swych muzeów sztuki i dla wielu innych powodów, pozwala mniemać, że wystawa wyrobów bawarskich może się z czasem rozwinąć i tak samo, jak sztutgardzka, przyczynić się do rozwoju przemysłu krajowego. Żadnych jednak danych o tém towarzystwie jeszcze nie posiadam, gdyż nie drukowało ono dotąd żadnego sprawozdania. Z samych zaś statutów trudno przesądzać o przyszłém powodzeniu instytucyi.

Muzeum handlowe niemieckie w Berlinie (*Handelsgeographisches Museum zu Berlin*) różni się tém od instytucyi prowincyonalnych, że gdy te ostatnie, niezależnie od nazwy, jaką noszą, mają na celu popieranie przemysłu jednéj prowincyi, muzeum handlowo-niemieckie ma na widoku dobro całości produkcyi niemieckiéj. Instytucya ta stanowi część nierozdzielną towarzystwa geograficznego handlowego w Berlinie, którego członkowie są *ipso facto* członkami muzeum. O celach i środkach muzeum pouczają nas jego statuty (1), które podaję w dosłownem tłómaczeniu:

Artykuł I. Muzeum handl. niem. ma na celu przyczyniać się do rozwoju produkcyi niemieckiéj i zaznajamiać wytwórców niemieckich z warunkami i potrzebami rynków zagranicznych. W tym celu:

a) zbiera i klasyfikuje wyroby niemieckie, znajdujące zbyt za granicą, jakotéż materyały surowe, nadające się do zużytkowania przez produkcyą krajową;

b) urządza wystawy pojedynczych gałęzi przemysłu;

c) zbiera wszelkie dane statystyczne;

d) zwraca pilną uwagę na wyroby i materyały zagraniczne, jak i na sposoby fabrykacyi;

e) ogłasza konkursy na tematy naukowe i zagadnienia przemysłowe;

f) zdaje sprawę z czynnności i ogłasza rezultaty za pośrednictwem tygodnika „Export" (2).

Artykuł 2. Z zakresu działalności muzeum wyłączają się przedmioty o czysto naukowym charakterze, materye wybuchające, albo ulegające szybkiemu zepsuciu, jak również ta część produkcyi, która z natury swojéj jest przeznaczona dla zaspakajania potrzeb wewnętrznych rynków Niemiec.

Artykuł 3. Członkami towarzystwa są:

a) wszyscy członkowie towarzystwa Geogr. Handl. w Berlinie i

b) wnoszący jednorazowo 100 marek, lub 5 mar. rocznéj składki.

Artykuł 4. Członkami założycielami muzeum są wnoszący jednorazowo 500 marek.

Artykuł 5. W nagrodę za położone zasługi dla instytucyi, lub dla jego celów, komitet muzeum ma prawo udzielać tytuły członka honorowego i członka-korespondenta.

Artykuł 6. Rokiem rachuby jest rok kalendarzowy.

Artykuł 7. Środki na utrzymanie muzeum składają się:

---

(1) Satzungen des deutschen Handelsgeographischen Museums zu Berlin. *Export*, N. 17, rok 1881.

(2) Wydawanego przez Tow. Geogr. Handl. w Berlinie.

a) ze składek członków;
b) z opłaty za wejścia od osób nienależących do muzeum;
c) z darów, zapisów, donacyi i t. d.

Wyszczególnione powyżéj towarzystwa nie zamykają liczby wszystkich instytucyi, mających na celu poparcie przemysłu niemieckiego za pomocą stałych wystaw wyrobów. Myśl ta, raz zaaklimatyzowana, znajduje coraz szersze zastosowanie. Należy przewidywać, że niezadługo każdy poważniejszy punkt handlowy Niemiec, obok muzeum wyrobów miejscowych, będzie posiadał w swych murach stałą wystawę prób wyrobów głównych niemieckich ognisk przemysłowych.

Prasa specyalna od samego powstania do dzisiejszego rozwoju rzeczonych instytucyi nie przestała być życzliwą dla tych usiłowań, przyznając im wysokie znaczenie praktyczne dla rozwoju przemysłu i rozszerzenia handlu wywozowego. Znakomita praca W. Roscher'a i R. Janasza (1) „*Kolonieen, Kolonialpolitik und Auswanderung*," wskazując za przykład Francyą, gorąco zaleca rządowi niemieckiemu zająć się urządzeniem izb handlowych za granicą. Połączywszy je z wystawami wyrobów niemieckich, możnaby nadać izbom, obok ich charakteru politycznego, znaczenie handlowe. Rząd zaś miałby w nich urzędowego instruktora dla swéj polityki celnéj. Jaką wagę przywiązuje dziś producent niemiecki do potrzeby zapoznawania się bezpośredniego z konsumentem, niech posłuży za przykład „wystawa pływająca." Pisma nasze już wspominały o tym przedsiębiorstwie, podjętém przez *Exportbank* w Berlinie, a pozostającém pod opieką tamtejszego Towarzystwa Geograficzno-Handlowego. Na usługi przemysłowców niemieckich oddany został *ad hoc* przygotowany okręt, na którym mogli wynajmować miejsce dla pomieszczenia prób własnego wyrobu. Na pokładzie okrętu mieści się biuro, mające cenniki i wskazówki od wysyłających, z prawem przyjmowania zamówień w ich imieniu. Pierwsza wyprawa zwiedza porty morza Śródziemnego. Gdy nadmienimy, że za metr kubiczny miejsca płacono 250 marek, oprócz komisowego za dokonane tranzakcye, to zrozumiemy, że producent niemiecki nie cofa się dziś przed żadną ofiarą, dającą mu nadzieję rozszerzenia koła jego spożywców.

Przechodząc do innych towarzystw popierania przemysłu i handlu w Niemczech, mamy do zaznaczenia *Westdeutscher Verein für Colonisation und Export*. Ze sprawozdania za rok 1884 dowiadujemy się, że towarzystwo liczy obecnie do 700 członków. Główną uwagę zwróciło ono na zachodnią Afrykę. Ono to podało petycyą do Bi-

(1) Prezes towarzystwa Geogr.-Handlowego w Berlinie.

smarka o „ochronę interesów niemieckich“ w téj części świata i przez cały czas wypadków, których teatrem był Kamerun i inne wyżéj położone punkty brzegów zachodniéj Afryki, nie przestało zasilać rząd swemi radami i doniesieniami.

Handelsverein in Berlin, założony w roku 1882 o kapitale zakładowym 500.000 marek, zwrócił główną uwagę na odległy Wschód. Będąc domem handlowym o kapitale zakładowym, towarzystwo to przedsiębierze interesy na własny rachunek. W r. 1883 traktowało ono z rządem greckim o monopol dobywania soli, o kopalnie marmuru Kloebe w Grecyi, o kolej, mającą połączyć Jaffę z Jerusalem, o wodozbiory w Jaffie itp. Ale oprócz tego utrzymuje wystawę wyrobów niemieckich w niektórych punktach Wschodu. Założony w pierwszym roku istnienia towarzystwa *Exportmusterlager* w Epirze składał się, jak to wskazuje sprawozdanie na rok 1884, z okazów wyrobów 35 niemieckich i 9 austryackich fabryk. Wartość powierzonych mu towarów wynosiła 83,000 marek. Tranzakcyi zawarto na sumę 28.000 marek.

Mówiąc o instytucyach handlowych Niemiec, nie można nie wspomniéć o prawdziwéj sieci towarzystw geograficznych handlowych, któremi jest pokryte cesarstwo Niemieckie. Przyjmują one udział we wszystkich przedsięwzięciach handlowych z odległemi krajami wschodu i zachodu, południa, czy północy. Instytucye te tak się zżyły z warunkami handlu zamiennego Niemiec z innemi krajami, oddały krajowi tak wielkie usługi, wskazując mu nietylko drogę do czynu, ale nieraz ułatwiając mu możność dojścia do wskazanych celów, iż śmiało rzec można, że stały się osią handlu wywozowego Niemiec.

Niemcy liczą obecnie przeszło 15 samoistnych towarzystw geograficznych, a założone w roku 1878 Towarzystwo geograficzne handlowe w Berlinie ma dziś 20 filii (Zweigvereine), z których 7 w Niemczech, 10 w południowéj Ameryce i 2 w Australii (1).

Chcąc uniknąć niepotrzebnych powtarzań, nie będę tu przytaczać statutów Towarzystwa, które przedstawiają ten sam schemat, co francuskie. W wykonaniu jednak swych zadań Niemcy okazują się daleko praktyczniejszymi. Kiedy Towarzystwo paryskie zadawalnia się ogłaszaniem, czy to z trybuny przez usta podróżnika, czy téż przez opublikowanie w swém sprawozdaniu najnowszych odkryć, rezultatów poszukiwań i wypraw itd., berlińskie tymczasem tworzy w r. 1881 oddzielną instytucyą—Deutsche Export-Bureau mające za zadanie klasyfikować te wiadomości i trzymać je gotowe zawsze do użytku pu-

---

(1) Handelsgeographische Gesellschaften Europa's. Export N. 43 z r. 1884.

blicznego. Obok tego urządzone i utrzymywane za staraniem towarzystwa wspomniane już powyżéj, muzeum handlowe daje, szukającemu wskazówek dla handlu wywozowego, dokładne wiadomości o upodobaniach i potrzebach rynków zagranicznych, jako też o towarach niemieckich znajdujących zbyt na tych rynkach. Oto w jaki sposób tłómaczy samo Towarzystwo we wstępnym artykule swego organu potrzebę i cele owego biura (1):

„Jeżeli Towarzystwo Geograficzne Handlowe zdobyło sobie uznanie świata handlowego niemieckiego, to przypisuje je głównie temu, że we wszystkich swych pracach ma na celu korzyść materyalną społeczeństwa niemieckiego. Praktycznym tendencyom dzisiejszych społeczeństw nie wystarczają same teoretyczne studya, dla tego Towarzystwo, starając się zadosyć uczynić wymaganiom realnym stowarzyszonych, każdą poruszaną sprawę rozpatruje stosownie do rzeczy z punktu widzenia interesów osób pojedynczych, kół handlowych, albo całego społeczeństwa niemieckiego.“

„Bezwątpienia społeczeństwo, a właściwie tę jego część, która zajmuje się kwestyami ekonomicznemi, obchodzą wiadomości o odległych rynkach, ale dla bardzo niewielu tylko ludzi kwestye te przedstawiają interes wyłącznie teoretyczny“. „Jeżeli Towarzystwo za pośrednictwem biura wywozowego wysłało w przeciągu swego niedawnego istnienia do 100 inżenierów, techników i komisantów, to miało na celu nie tylko otrzymywanie za ich pomocą wskazówek o warunkach handlowych danych miejscowości, ale zarazem dostarczenie im zarobku, przez ułatwienie im sposobności do praktycznego zastosowania ich teoretycznych studyów.“

„Z drugiéj strony, czyż potrzeba dowodzić, jakie korzyści osiągnęło społeczeństwo niemieckie przez osiedlenie się 100 jednostek niemieckich w dalekich krajach.“ „Czyż osiedlający się na obczyźnie za wskazówkami towarzystwa komisant nie musi oprzéć swego istnienia na wyrobieniu nowego rynku zbytu dla towaru niemieckiego?“

Jednym z celów Tow. Geogr. Handl. jest popieranie przemysłu i handlu wywozowego niemieckiego. Ażeby mu zadosyć uczynić, należało urządzić instytucyą, mającą za zadanie praktyczne przeprowadzenie tego celu. Towarzystwo liczy nie tyle na swoje własne środki ile na współudział całego świata kupieckiego Niemiec, gdyż rozwój biura jest ściśle związany z jego własném powodzeniem.

Deutsche Export-Bureau stało się szybko naturalnym pośrednikiem pomiędzy przemysłem niemieckim a rynkami zagranicznemi. Składka roczna dla członków chcących korzystać z biblioteki i in-

(1) Export N. 12, rok 1884.

formacyi towarzystwa wynosiła 12 marek. Okoliczność, że wskazówki dla Niemców, mieszkających za granicą, były darme, świadczy o obywatelskich celach biura. W r. 1881 dochód biura wyniósł 41000 marek. Wydatki zaś 42000, z których 20000 m. było użyte na subwencyą dla redakcyi wzmiankowanego wyżéj tygodnika, *Export*. W ogólnéj cyfrze 42,000 m. wydatków jest 14000 wydanych na marki pocztowe! Świadczyło nader pochlebnie o stosunkach i działalności biura.

W imię przysłowia fracuskiego: *la où il n'y a pas d'intérêt, il n'y a pas d'action*, Deutsche Export-Bureau zostało zamienione na Export-Bank, to jest z instytucyi cywilnéj stało się domem handlowym. Export-Bank jest towarzystwem akcyjném o kapitale 250.000 m. i datuje się od dn. 28 stycznia 1884 r. Kapitał zakładowy towarzystwa składa się z 500 akcyi po 500 marek, całkowicie wpłaconych i rozebranych przez poprzednich członków biura wywozowego. Bank podejmuje się interesów komisowych, dostarcza informacyi o domach handlowych krajowych i zagranicznych i utrzymuje wydział, zajmujący się za względnie skromną opłatą rozbiorem chemicznym przynoszonych materyałów. Instytucya ta ma prawo urządzać filie i reprezentacye w kraju i zagranicą.

Abonament na informacye kosztuje rocznie 50 marek. Bank pobiera odsetkę dobrowolnie umówioną za doprowadzone do skutku tranzakcye. Za rok 1884 akcyonaryusze otrzymali 10% dywidendy. Rozwój interesów zniewoli dyrekcyą banku do podwyższenia kapitału zakładowego prawdopodobnie już w roku bieżącym. Niezależnie od celów ściśle handlowéj natury, Bank w spuściźnie po *Export-Bureau* utrzymuje wydział statystyczny, drukujący zebrane dane.

Z pomiędzy instytucyi belgijskich, mających na celu popieranie przemysłu krajowego, przedewszystkiém zasługuje na uwagę Muzeum handlowe (*Musée Commerciale*), według którego właśnie wzorował się znany nam już sztutgardzki *Exportmusterlager*.

Powstanie muzeum handlowego belgijskiego jest ściśle związane z instytucyą konsulatów w Belgii, których wzorowa organizacya jest jednym z najważniejszych czynników rozwoju belgijskiego handlu wywozowego. W kraju tym urząd konsula traci coraz bardziéj charakter dyplomatyczny, i konsulowie stają się prawie wyłącznie agentami urzędowymi dla dostarczania wskazówek o stosunkach handlowych kraju, w którym przebywają. Żadne społeczeństwo nie potrafiło wyzyskać lepiéj téj instytucyi i osiągnąć z niéj równie praktycznych rezultatów, jak Belgia. Konsul belgijski jest obowiązany zdawać sprawę w pewnych, z góry oznaczonych odstępach czasu, z ruchu handlu wymiennego Belgii z krajem, w którym przebywa.

Oprócz tego dostarcza wszelkich wskazówek handlowych tak ministeryum, jak każdemu poddanemu belgijskiemu, który się do niego zwraca (1). Do obowiązkowych czynności konsula należy również przesyłanie próbek wyrobów belgijskich, znajdujących odbyt na odnośnych rynkach, jako też próbek materyałów surowych kraju, w którym przebywa, a nadających się do zużytkowania przez produkcyą belgijską. Nadto konsul winien zwracać baczną uwagę na wyroby zagraniczne współzawodniczące z belgijskiemi i przesełać ich próbki, dla zapoznania producentów belgijskich z upodobaniami i potrzebami rynków zagranicznych. Przesyłane próby porządkują się i zachowują w Muzeum handlowém. Broszurka (2), wydana nakładem tego muzeum i rozdawana zwiedzającym, poucza nas o jego zadaniach i organizacyi. Instytucya ta ma na celu zaznajomienie przemysłu i handlu belgijskiego z potrzebami rynku międzynarodowego, a zarazem pragnie ułatwić bezpośredni stosunek między spożywcą a wytwórcą i chronić producenta belgijskiego od niebezpieczeństw konkurencyi zagranicznéj. W tym celu:

a) daje mu sposobność zapoznania się z ulepszeniami porobionemi w obchodzącéj go gałęzi produkcyi, a więc uczy go, w jakich warunkach jego wyrób może wytrzymać współzawodnictwo zagraniczne;

b) zapoznając go naprzód z gustem publiczności, dla któréj przeznacza on swój wyrób, chroni go od wysyłki towaru, nie mającego odpowiednich warunków.

Muzeum zostało zorganizowane ostatecznie dopiero w r. 1879. Pierwszy katalog nosi datę r. 1880.

Do osiągnięcia swych celów muzeum dąży przez:

1) wydawanie „Recueil Consulaire,“ pisma tygodniowego, specyalnie poświęconego doniesieniom konsulów;

2) zbieranie i dostarczanie publiczności wszelkich danych statystycznych, jak doniesienia i raporty izb handlowych, roczniki handlowe i informacyjne, i w ogóle wszystkiego, co może służyć za materyał dla statystyki handlowéj;

3) utrzymywanie stałéj wystawy wyrobów belgijskich, przeznaczonych do handlu wywozowego, oraz okazów i prób towarów znajdujących pokup na rynkach zagranicznych, a nadsełanych, jakeśmy to już wyżéj powiedzieli, staraniem konsulów belgijskich;

4) utrzymywanie stałéj wystawy towarów wwożonych do Belgii. Wystawa ta składa się przeważnie z prób materyałów surowych, służących potrzebom przemysłu belgijskiego.

---

(1) Export N. 12, rok 1884.

(2) La musée commercial, son but et son organisation.

Po Muzeum handlowém należy wspomniéć o *Société commerciale industrielle et maritime d'Anvers.* Towarzystwo to ma charakter półurzędowy i pozostaje w stałych stosunkach z ministeryum spraw zagranicznych, handlu i finansów. Bliższych wiadomości o jego czynnościach nie posiadam. Wiem tylko, iż za jego staraniem powstało muzeum wyrobów belgijskich w Szanghai (*Musée belge d'échantillons à Schanghai*), na utrzymanie którego rząd przeznacza 25,000 franków rocznie.

Do towarzystw popierania przemysłu i handlu w Belgii należy zaliczyć „Klub byłych studentów wyższego instytutu handlowego w Antwerpii (1), który przyjął nadspodziewanie szerokie rozmiary. Wyższość tego stowarzyszenia kolegów nad innemi podobnemi instytucyami wzajemnéj pomocy wychowańców jednego i tego samego zakładu polega na tém, że klub antwerpski ma na celu, oprócz zachowywania dalszych stosunków między kolegami, popieranie wspólnemi siłami przedsiębiorstw, podjętych przez jednego z członków stowarzyszenia. Do powodzenia klubu nie mało się przyczyniła ta okoliczność, że Instytut handlowy w Antwerpii jest jedną z najlepiéj urządzonych i prowadzonych szkół handlowych świata, i że znaczna część dzisiejszego wykształconego kupiectwa belgijskiego pobierała w nim nauki.

Klub byłych studentów instytutu zyskał sobie ogólną sympatyą. Wzorowo prowadzona instytucya ta zajmuje dziś bardzo poważne miejsce w szeregu towarzystw popierania przemysłu i handlu krajowego w Belgii. Nie tracąc swego pierwiastku moralnego, koleżeńskie to stowarzyszenie oddało rzetelne usługi krajowemu handlowi wywozowemu.

Statuty klubu zaznajomią nas najlepiéj z celami i środkami téj instytucyi. Przytaczam je w dosłowném tłómaczeniu (2):

1) celem towarzystwa jest utrzymywać między członkami klubu stałe i przyjacielskie stosunki;

2) pobudzać ich do przedsiębiorstw handlowych;

3) rozpowszechniać upodobanie do studyów nad handlem i ułatwiać je uczniom instytutu przez dostarczanie im dokumentów i dzieł, traktujących o kwestyach handlowych;

4) zakładać przy instytucie stypendya (*des bourses d'études*);

5) studyować zagadnienia handlowe;

6) bronić praw, jakie nadaje i jakie powinien nadawać patent instytutu.

---

(1) Cercle des anciens étudiants de l'Institut superieur de commerce d'Anvers.

(2) *Extrait des statuts*, powtarzane w każdym numerze organu stowarzyszenia.

Członkami klubu mogą być wszyscy wychowańcy instytutu; tak ci, którzy otrzymali patent z ukończonych nauk, jak i ci, którzy mogą się wylegitymować z przesłuchania kursów.

Członkowie wnoszą 10 fran. rocznéj składki. Komitet ma prawo przyjmować w imieniu klubu wszystkie darowizny, zapisy i t. d.; z czasem, gdy środki na to pozwolą, klub ma zamiar tworzyć stypendya dla ubogiéj młodzieży, pragnącéj się kształcić w naukach handlowych.

Stowarzyszenie to ma swój organ „*Recueil de Rapports Commerciaux et économiques*“, który oprócz roztrząsania bieżących spraw ekonomicznych i handlowych kraju, publikuje otrzymywane od członków-korespondentów wiadomości o warunkach handlowych za granicą.

W pierwszym zaraz numerze wzmiankowanego organu spotykamy się z pracą członka-korespondenta z Warszawy: „Exposé sommaire de la situation de l'industrie textile en Pologne depuis 1815 jusqu'à nos jours“ przez L. Poznańskiego.

W Austryi pierwsze miejsce pomiędzy zajmującemi nas instytucyami należy przyznać Muzeum wschodniemu w Wiedniu. *Das Orientmuseum* jest jedną z licznych kopii muzeum handlowego belgijskiego. Dwie te instytucye różnią się wszakże tém, że kiedy belgijska ma na celu popieranie handlu wywozowego wogóle, muzeum wschodnie ułatwia stosunki wytwórcy austryackiego jedynie ze wschodem Europy i z Azyą środkową. Z okazyi dziesięcioletniéj rocznicy powstania tego muzeum, wydawany przez niego organ (1), mówiąc o pobudkach, które skłoniły społeczeństwo austryackie do utworzenia i podtrzymywania téj instytucyi, szuka ich w charakterze produkcyi tego kraju, skierowanéj głównie ku wywozowi.

Położenie geograficzne Austryi, która na wschodzie graniczy z krajami o znacznie niższéj cywilizacyi, jakoteż jéj wiekowa polityka, wskazująca jéj Salonikę jako przyszły port austryacki, zmusiły niejako społeczeństwo do zwrócenia bacznéj uwagi na Wschód. Myśl utworzenia instytucyi, mającéj służyć za pomost dla stałego stosunku między produkcyą Austro-Węgier i rynkami odległego wschodu zrodziła wystawa powszechna w Wiedniu z r. 1873.

Wystawa ta dała dokładny obraz budzącego się życia na wschodzie; tutaj Europa poraz pierwszy miała sposobność poznać się bliżéj z produkcyą téj strony świata i od owego czasu zaczęła się z nią rachować. Przez utworzenie muzeum założyciele mieli na celu zaznajamianie wytwórców austryackich z postępami produkcyi Wschodu i potrzebami rynków tamtejszych dla ułatwienia handlu wywozowego Austryi do tamtejszych krajów. W tym celu muzeum (2):

---

(1) Oesterreichische Monatsschrift für den Orient z d. 15 stycznia 1885. Artykuł „Unsere Aufgabe.“ — (2) Beilage zu N. 11 der Oesterreich. Monatsschrift für den Orient.

1) utrzymuje bibliotekę dzieł o Wschodzie i posiada najpełniejszy zbiór kart geograficznych krajów tamtejszych;

2) utrzymuje stałe stosunki z instytutami handlowemi i wszelkiemi towarzystwami popierania przemysłu i handlu wywozowego;

3) zwracu baczną uwagę na rozwój społeczny krajów Wschodu;

4) wyszukuje i poddaje analizie chemicznéj tamtejsze materyały surowe;

5) urządza odczyty i ogłasza zebrane wiadomości;

6) wydaje pismo miesięczne „*Oesterreichische Monatsschrift für den Orient*“, które oprócz ogłoszeń i wezwań zarządu muzeum publikuje korespondencye ze Wschodem i zaznajamia czytelnika z wybitnemi przejawami życia tych krajów.

W r. 1871 zostałe założono w Wiedniu Austryacko-Węgierskie towarzystwo wywozu (*Oesterreichisch-Ungarischer Exportverein*) (1). Artykuł pierwszy statutów wskazuje, że zadaniem Towarzystwa jest dawać punkt oparcia rolnikom i przemysłowcom austryackim do tworzenia wspólnych przedsiębiorstw, mających na celu wywóz wyrobów austryackich za granicę. Nadto *Oest. Ung. Exportverein*, podobnie jak wszystkie inne towarzystwa tego rodzaju, zbiera wskazówki o stanie rynków krajowych i zagranicznych i pośredniczy w stosunkach pomiędzy swymi członkami a konsulatami austro-węgierskiemi za granicą. Składka roczna wynosi 15 guldenów. Towarzystwo rozporządza dziś funduszem, pozwalającym mu wysyłać swoim kosztem młodzież handlową za granicę dla dokończenia studyów. Niezależnie od instytucyi centralnéj, za staraniem *Exportverein*'u, a ze współudziałem „Muzeum wschodniego“ i „Towarzystwa przemysłowców“, zostało założone, na wzór paryskich, biuro informacyjne. Instytucya ta ma na celu dostarczenie wskazówek o domach handlowych wiedeńskich i prowincyonalnych austryackich. Według programu ma ona również śledzić za potrzebami rynków zagranicznych, zajmować się sprawami tranzytu i informować publiczność o wskazówkach, dostarczanych przez konsulów austryackich.

W innych krajach środkowéj i południowéj Europy spotykamy się tylko z jedną formą towarzystw popierania przemysłu i handlu wywozowego. Są to towarzystwa geograficzne handlowe, które coraz bardziéj zyskują na znaczeniu. Z pomiędzy nich zasługuje przedewszystkiém na wzmiankę Wschodnio-szwajcarskie towarzystwo geograficzno-handlowe w St. Gallen (2), powstałe w r. 1879. W roku 1884 liczyło ono członków 392. Dochód za ten rok wyniósł 4105,80 a rozchód 4012,95 frank. Według statutów towarzystwo ma na celu:

---

(1) Letre de Francfort. Raffalowicz, Economiste Français 1884.

(2) Ostschweizerische geographisch-commerzielle Gesellschaft in St. Gallen.

1) rozpowszechnianie wiadomości geograficznych ze szczególną uwagą na Afrykę i jéj stosunki handlowe, oraz popieranie przedsięwzięć i interesów szwajcarskich za granicą.

2) współdziałanie z towarzystwem międzynarodowym w Belgii (przekształconém dziś na niezależne państwo Kongo).

Członkowie wnoszą 10 franków rocznéj składki, albo jednorazowo 200 fr. Towarzystwo dzieli się na dwie sekcye:

1) *naukową*, obejmującą działy kartografii, etnografii i zawiadującą biblioteką towarzystwa;

2) handlowo-geograficzną, obejmującą zbiór materyałów surowych, z krain jeszcze dokładnie nieznanych, i powstającą wystawę wyrobów szwajcarskich.

Towarzystwo posiada swój organ wydawany p. t. *Mittheilungen der Ostschweizerischen Geogr.-commerciellen Gesellschaft in St. Gallen.*

Założona w r. 1867 *Societa Geografica Italiana*, liczyła w r. 1881 członków 1400. W r. 1878 sekcya towarzystwa, zajmująca się specyalnie geografią handlową, oddzieliwszy się, utworzyła samoistną instytucyę, ale niewystarczające dochody zmusiły ją w r. 1880 do połączenia się napowrót. *Societa Geografica Italiana* miała w r. 1881 kapitału zapasowego 66,500 lirów i rocznego dochodu 28,000 lirów. W tymże roku towarzystwo otrzymało od hr. Tolfeuer bogaty zapis, którego odsetki są przeznaczane w myśl ofiarodawcy na badania w celach handlowych.

Oprócz tego głównego towarzystwa geograficznego, mającego skądinąd czysto naukowy charakter, znajdujemy we Włoszech jeszcze dwa towarzystwa geograficzno-handlowe. Oba te towarzystwa zwróciły wyłączną uwagę na Afrykę. Są to *Societa d'esplorazione commerciale in Africa*, otrzymujące 4,000 lirów subsydyum rządowego i *Club Africano di Napoli*. Oprócz tych cywilnych towarzystw mamy do zanotowania towarzystwo o ściśle handlowym charakterze *Societa Italiana di Commerzio coll' Africa*. Instytucya ta jest domem handlowym z kapitałem zakładowym.

W Hiszpanii mamy do zanotowania jedno tylko towarzystwo *La Esploradora*, które również tylko Afrykę ma na uwadze.

W Portugalii Lizbońskie Towarzystwo Geograficzne ma sekcyę zajmującą się geografią handlową. Instytucya ta posiada trzy filie: w Oporto, Rio Janeiro i w Fayal. Główny port Portugali, Oporto, posiada własne towarzystwo Geogr. handl., utrzymywane kosztem miejscowéj izby handlowéj (1). *Józef Winnicki.*

---

(1) Handelsgeographische Gesellschaften Europa's. Export N. 43, rok 1881.



MIŁOŚĆ W OPAŁACH.

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW KROACYI.

IX. Spojrzenie.

Na audyencyą do cesarza młoda księżna włożyła na siebie ciemną z odbiciem granatowém suknię aksamitną, bufiastą i powłóczystą, która na pozór wydawała się ciężką i tém lepiéj przez to uwydatniała wiotkość okrytéj nią postaci. Ozdoby odpowiadały okryciu głównemu bogactwem i gustem. Pierś osłaniały koronki brabanckie, szyję z góry do dołu otaczała kryza, od któréj odbijały brylanty misternie urobionego naszyjnika i służyły za oprawę głowie, któréj szczegół każdy zastanawiał doskonałą rysów wykończonością. Owal oblicza, oczy, usta, nos, czoło miały zakrój klasyczny. przenikniony nawskróś wdziękiem, który, zdawało się, z głębi bił. Wdzięk potęgowały jedwabiste czarne warkocze, łuczyste czarne brwi i jakby przy ogniu nieco przyrumieniona płeć, powlekająca matem niby zabarwienie policzków i świadcząca o gorącu krwi. Dyszało od niéj południe, ogniste a rozkoszne i tajemniczych jakichś uroków pełne.

Księżna na pokoje cesarskie weszła zawieszona na ramieniu męża, mającego na sobie bogaty strój węgierski. Markiz cały był w złocie, brylantach, turkusach i szmaragdach. Od guzów jego blaski biły; szablę osypywały kamienie drogie; na kołpaku z pośrodka dyamentów wystrzelało pióro czaple; przy butach podzwaniały ostrogi złote. Strój tém się wydawał piękniejszy, że okrywał postać człowieka młodego i przystojnego, luboć nie marsowatego. Na obliczu rozlany miał wyraz tęschnotą nacechowanéj dobroci. Brody nie nosił, wargę zwierzchnią osłaniały mu wąsy niepokaźne, na ramiona spadały włosy długie nad czołem rozdzielone i gładko uczesane,

a tylko u dołu lekko w pukle podwinięte. Szczupły, wzrostu miernego, niósł na sobie z wdziękiem spięty pod szyją na klamrę kosztowną i przesunięty na lewo suto złotem szamerowany dołman.

Para ta, gdy się ukazała, wrażenie w komnatach zamkowych zrobiła. Wrażenie pochodziło nie od stroju bogatego, który pod dachem cesarskim zgoła rzadkością nie był, ale od postaci księżny. Paziowie, gdy mimo nich przechodziła, usta nieco i oczy szeroko otwierali, młodzi urzędnicy cywilni i wojskowi hołd piękności mimowolném głów chyleniem składali, starzy z rodzajem zdziwienia spoglądali. Na wstępie, gdy nazwisko swoje markiz wymienił, skłonił się mu jeden ze służbowych kamerjunkrów i drogę mu z ugrzecznieniem wielkiém wskazując, rzekł:

— Proszę....

Pod przewodnictwem jego przeszli księstwo szereg komnat i zatrzymali się w sali poczekalnéj, w któréj spotkał ich jegomość poważny w pończochach, trzewikach, we fraku, przy szpadzie, we fryzurze puklastéj, w łańcuchu na szyi i z długą w złoto okutą laską w ręku. Jegomościa owego przedstawił kamerjunkier księstwu, jako nadwornego mistrza ceremonii i przedstawił mu księstwo.

— O!—odezwał się mistrz z ukłonem. — Jakżem szczęśliwy, że spotyka mnie ten zaszczyt. . Wasza książęca mość — przemówił do markiza — nie po raz pierwszy stajesz wobec jego cesarskiéj mości.. A zapytać śmiem — na książęcą wejrzenie zwrócił — wasza książęca mości?...

— Jeszczem zaszczytu tego nie miała — odrzekła.

— A?.. O... — głową skinął. Zadanie to trudne, nie wątpię jednak, że wasza książęca mość z onego się wywiąże... Chodzi o to najbardziej, ażeby się nie zapomniéć, a raczéj nie zastraszyć wobec majestatu... Damy wszakże odważne bywają... Niech więc jeno wasza książęca mość, bez podnoszenia na majestat oczów, odważnie, jak najodważniéj wykona rewerencyę niską raz, potém drugi raz, wreszcie jeszcze raz... o... Przydygnąć trzeba z odwagą trzy, wyraźnie trzy razy... i to wówczas, kiedy ja, przodem trochę idąc, ręką znak dam....

Słowa powyższe wypowiedział tonem poufności życzliwéj, przy ostatnich zaś zrobił kroków kilka i pokazał ów znak, o którym wspomniał. Polegał on na lekkiém z boku kiwnięciu dłonią.

— Niech wasza książęca mość patrzy nie na oblicze najjaśniejszego pana, ale na dłoń moją— ciągnął daléj — i niech mi wybaczyć raczy śmiałość, z jaką jéj daję skazówki, których ważność wasza książęca mość sama najlepiéj ocenia...

Wyrazy ostatnie wyrzekł tonem przekonania głębokiego.

— Dziękuję wam, panie hrabio—odpowiedział markiz. Oceniamy łaskawość jego...

— A, mości książe—odparł. Pełnię jeno powinność moję względem dworu i majestatu, wobec którego giest każdy ma wysokie znaczenie swoje... Odwagi jeno, mościa księżno, a wszystko pójdzie dobrze... Gdyby najjaśniejszy pan przypuścić was raczył do ucałowania świętéj ręki swojéj, podejdziesz, pocałunek przyklęknąwszy nieco złożysz, rewerencyą głęboką oddasz i, twarzą do najjaśniejszego pana zwrócona, cofniesz się...

— Oczów nie podnosząc — dodał markiz.

— A to się rozumie... A!.. oczy podnosić?.. broń Boże!...

Księżna, z natury odważna i mająca dokładne o ceremoniale dworskim wyobrażenie, gdy mistrz ceremonii skazówki jéj dawał, uczuwać w sobie obawę poczęła. Do duszy jéj zajrzało zwątpienie, azali się z zadania wywiąże. Po za skórą chłód jéj przeszedł. Odchrząknęła zlekka i przysunęła się do męża, jakby w nim opieki i obrony szukała. Mistrz ceremonii, który ruch ten spostrzegł i zrozumiał, odezwał się:

— Odwagi jeno... odwagi... Proszę w pogotowiu być....

Rzekłszy to, wyszedł. Księżna do męża szepnęła:

— Boję się...

— A — odparł markiz — i czego?..

— Żebym się w czém nie zmyliła... Nie przypuszczałam, ażeby to tak uroczystém być miało...

— Wyobraź sobie, że do kościoła wchodzisz i do ołtarza wielkiego się zbliżasz...

Odchrząknęła, w zwierciadło naprzeciw zawieszone spojrzała, lekkim ciała ruchem odzież na sobie poprawiła, postawę przybrała i w części obawy się zbyła.

Po chwili mistrz ceremonii powrócił.

— Najjaśniejszy pan — przemówił — raczy waszym książęcym mościom pozwolić przed najjaśniejszém obliczem swojém stanąć.... Proszę...

Ze słowem ostatniém ruszył i krokiem miarowym, laskę przed sobą niosąc, prowadził młodą parę. Drzwi się przed niemi, przez halabardników obsadzone, otwierały, portiery podnosiły, wreszcie podniosła się portiera ostatnia i księstwo weszli do obszernéj, wspaniałéj, pozłocistéj, kobiercem wysłanéj i ludźmi zapełnionéj komnaty. Ludzi reprezentowały płcie obie. Byli oni uszykowani. Mężczyźni, dostojnicy wysocy, co się po odzieży ich poznać dawało—zajmowali stronę jedną, damy drugą i tworzyli kąt, którego wierzchołek stanowiło krzesło na podniesieniu, zajęte przez człowieka, ku któremu

wszystkie zwrócone były oblicza. Głowy wszystkie pochylone znamionowały uszanowanie. W komnacie panowała cisza.

Księżna od progu okiem do koła powiodła i rzut ten oka przywrócił w niéj równowagę moralną. Odzyskała odwagę. Są natury, którym obecność świadków odwagę odbiera; są natury, którym świadkowie służą za rodzaj rezerwy, dodającéj im ducha. Księżna należała do tych ostatnich, uczuła się, jakby podtrzymywaną i przy progu wykonała, na skinienie mistrza ceremonii, dygnięcie głębokie, powolne i długie. Do ziemi prawie przysiadła obok męża, który się ukłonem pochylił. Poszła następnie naprzód ku wierzchołkowi kąta, zatrzymała się i znów jak poprzednio dygnęła. Czuła na sobie niejako promienie dziesiątków kilku par oczów, wpatrujących się w nią ciekawie. To jéj nie mieszało — przeciwnie: odwaga w niéj rosła i nawet, o zgrozo! w pochodzie tym uroczystością taką nacechowanym przedstawila się jéj strona śmieszna. Odbiło się to na jéj obliczu, które się okrasiło uśmiechem, idącym z wnętrza. Śmieszność widziała nie w uroczystości, ale w skinieniach dłoni mistrza ceremonii, ruszającéj się, jakby na sprężynach. Dłoń się po raz trzeci poruszyła i ona po raz trzeci przysiadła głębiéj, powolniéj i dłużéj, jak poprzednio. Przed oczami swemi miała stopień podniesienia, na którém stało krzesło zajmowane przez Leopolda I. Cesarz znajdował się od niéj w oddaleniu kroków trzech. Zjęła ją ochota w oczy mu spojrzéć; powstrzymała się jednak i po chwilce o uszy jéj obiły się wyrazy następujące:

— Najjaśniejszy pan najmiłościwiéj waszym książęcym mościom pozwalać raczy ucałować rękę swoję....

Na podniesienie wstąpił najprzód markiz. Szabla brzękła, ostrogi dźwięk czysty wydały — księżna z pod oka śledziła ruchy męża i, kiedy on pocałunek składał, oblała wejrzeniem oblicze cesarskie.

Przejęło ją politowanie zgrozą podszyte.

Leopold I pięknością się nie zalecał. Byłaby to jednak rzecz mniejsza, gdyby przytém osoby swojéj nie przystrajał w dodatki, które niepowabność jéj potęgowały i uwydatniały. Odzież miał na sobie ciemną, złotem szamerowaną, pod szyję zapinaną i pod szyją zakończoną szerokim, białości śnieżystéj, haftowanym, wyłożonym kołnierzem, który służył za piedestał niejako dla głowy, przykrytéj peruką olbrzymią. Peruka ta nadawała głowie pozór potwornéj ułomności, polegającéj na zbyteczném rozrośnięciu się czaszki. Piętrzyła się ona na wierzchu i osłaniała czoło; z pod niéj wyglądały oczy, mające wyraz zaspania, po oczach szedł nos niekształtny i pod nosem wisiała warga, charakteryzująca rasę habsburską, lecz u Leopolda I rozrosła bardziéj, aniżeli u którego z poprzedników i z na-

stępców jego. Oczom księżny przedstawiły się przedewszystkiém, na tle białem kołnierza wyłożonego, peruka o rozmiarach niezwykłych i warga czerwona brodę wpół przysłaniająca. Ta ostatnia taki fizyognomii nadawała pozór, jakby Leopold I mięsa surowego kawał w zębach trzymał.

Młoda kobieta spojrzała, oczy spuściła i czekała na koléj swoją, która wnet nadeszła. Z oczami spuszczonemi i z dłoniami pod piersiami złożonemi na stopień weszła, kroków parę zrobiła, pod oczy jéj wpadła wyciągnięta w mankietach haftowanych ręka i ona, ku ręce téj się pochyliwszy, lekki na niéj pocałunek złożyła. Podczas kiedy akt ten dokonywała, oskrzydlali ją dwaj dostojnicy dworscy w pogotowiu do podtrzymania jéj, gdyby się tego potrzeba okazała, zdarzało się bowiem, że damy, przy całowaniu ręki cesarskiéj ze wzruszenia mdlały. I ona wzruszoną była, nie do tego atoli stopnia, ażeby aż zemdleć miała. Podtrzymanie wszakże przydało się. Cofać się musiała tyłem, byłaby przeto ze stopnia spadła, gdyby pod łokciami oparcia na dłoniach dostojników nie znalazła. Dzięki oparciu temu, zeszła bez wypadku i, na skinienie mistrza ceremonii, wykonała dygnięcie czwarte, a wykonawszy takowe, znalazła się obok męża u stóp podniesienia.

Spuszczenie oczów nie pozwalało jéj widziéć akcyi mimicznéj, jaka się na podniesieniu cesarskiém odbywała. W ciszy, jaka w komnacie panowała, zabrzmiały jéj w oczach wyrazy:

— Najjaśniejszy pan najmiłościwiéj zapytywać waszéj książęcéj mości raczy o zdrowie...

— Łaska ta najwyższa przejmuje nas wdzięcznością niewysłowioną — odpowiedział książe Frangopano. Dzięki Najwyższemu, księżna małżonka moja i ja dobrem cieszymy się zdrowiem i prosimy Pana Boga o jaknajczerstwiejsze zdrowie i jaknajdłuższe życie dla najmiłościwszego naszego cesarza i króla....

Po odpowiedzi téj nastało milczenie chwilowe, po którém znów, tymże samym wymówione głosem, zabrzmiały wyrazy.

— Najjaśniejszy pan najmiłościwiéj waszym książęcym mościom zezwolić raczy oddalić się i miejsca zająć....

Mistrz ceremonii po raz piąty skinął i księżna po raz piąty wykonała dygnięcie. Nie było to jednak ostatnie. Ceremoniał przepisywał siedem i właśnie na dwa jeszcze pozostawało czasu i miejsca. Cofając się od podniesienia cesarskiego, ujrzała skinienie i dygnęła, następnie ujrzała skinienie znów, dygnęła i usłyszała z ust mistrza ceremonii udzielone przez najjaśniejszego pana najłaskawsze pozwolenie zajęcia siedzenia. Obejrzała się i opuściła na obity czerwoném suknem taburet, stojący pomiędzy taburetami, zajętemi przez dwie

bardzo dostojne damy: księżnę wdowę Rakoczy, Batorównę z domu i księżnę Lobkowicz. Panie te uprzejmemi młodą księżną powitały uśmiechami, ale nie rzekły do niéj słówka jednego. W komnacie téj, w obecności cesarza, bez wyraźnego ze strony jego pozwolenia nikt ani wychodzić, ani odzywać się nie śmiał. Pomimo przeto, że osób było dużo, panowało milczenie pod sklepieniem malowanem, śród ścian, których gzymsy i fugi złocone służyły za ramy dla ozdób, zasłoniętych tu obrazami, owdzie zwierciadłami i układały się symetrycznie do okien, wygiętych w łuki gotyckie.

Pod sklepieniem tém i śród ścian tych panowało milczenie, przerywane od czasu do czasu głosem od tronu, brzmiącym monotonnie i z akcentem takim, z jakim brzmią wyrazy, które księża w kościele przy ołtarzu podczas mszy wymawiają. Słyszane w odstępach pewnych: „Najjaśniejszy pan najmiłościwéj zezwolić raczy“ wiele w tonie podobieństwa miało do „*Introibo et altare Dei.*“ Leopold I udzielił audyencyi jeszcze parę i przez czas ten księżna Julia miała możność rozpatrzenia się w obrazie, jaki sala przedstawiała. Cesarz zasiadał w otoczeniu dygnitarzy najwyższych, zajmujących na taburetach siedzenia po jednéj i po drugiéj podniesienia stronie. Z tyłu stał szereg posągów nie z marmuru ani ze spiżu, ale z ciała i kości, stanowiących istotę ludzi żywych, składających straż przyboczną cesarza. Kołpaki ich widniały, oręże jaśniały, oblicza człowieczy wygląd miały, ale nieruchomość absolutna wątpić kazała, ażeby to były istoty żyjące. Nic na nich nie drgało, ani się chwiało— kitki na kołpakach do góry sterczały tak, jakby nie z pierza, ale z żelaza były.

Nieruchomość podobną zachowywał cesarz i ci wszyscy, co go najbliżéj otaczali z wyjątkiem dygnitarzy trzech, którzy stali. Z tych jeden, szarfą przepasany i łańcuchem przyozdobiony, przemawiał, dwaj zaś inni damom przy wchodzeniu na podniesienie asystowali. Przemawianie następowało, gdy cesarz znak dawał, znak tak słaby, że z obecnych nikt ani go widział, ani rozumiał, albowiem domyśléć się nie można było, że podniesienie palca jednego znaczy udzielenie pozwolenia na ucałowanie ręki, podniesienie palca drugiego znaczy zapytanie o zdrowie, podniesienie zaś palca trzeciego znaczy odprawę gościa i t. p. Ten tylko ruch, jako téż wyciągnięcie ręki, gdy całowanie następowało, wykonywała osoba cesarska — zresztą żadnego. Ruch niejaki manifestował się pomiędzy tymi, co zajmowali boki idącego od tronu kąta. Ci głowy raz spuszczali, znów podnosili nieco i z pod oka wejrzenia zwracali na cesarza. Najznaczniejsze głów podnoszenie i najpilniejsze patrzanie miało wówczas miejsce, gdy osobistość nowa na podniesienie wstępowała. W razie ta-

kim, ze strony zwłaszcza niewieściéj, wzroki i słuchy natężano, wzroki zwłaszcza, albowiem do słyszenia nie było nic innego, jak powtarzane zawsze jednakowo wyrazy, wygłaszane przez dygnitarza, co najjaśniejszego pana w mówieniu wyręczał.

Księżna Julia rozpatrzyła się dowoli w téj reprezentacyi, nacechowanéj charakterem powagi uroczystéj. Oddziaływało to na nią. Przejmował ją rodzaj bojaźni bożéj, skruchy, pokory i tylko w głębi duszy swojéj uznawała, iżby wolała, ażeby na miejscu Leopolda I zasiadał na wywyższeniu człowiek nie z taką wargą, nie w takiéj peruce i nie taki niepowabny.

Gdy życzenie to sformułowało się, nagle powstał ruch. Wszyscy, co siedzieli, naraz jeden podnieśli się. Podniosła się i młoda księżna zdziwiona trochę— głowę wyprostowała i w chwili téj wzrok jéj spotkał się ze wzrokiem cesarza, patrzącego z wyrazem. Cesarz przechodził i w przechodzie rzucił wejrzenie przelotne. Wejrzenie to cechowała wymowa. Mówiło ono — mówiło coś, od czego powieki księżny spadły i oczy jéj się firankami rzęs zasłoniły. Przeminęło to jednak prędko. Cesarz przeszedł, poprzedzając postępujących za nim dygnitarzy, za którymi ruszyła straż przyboczna. Przed cesarzem głowy obecnych, jak kłosy od wiatru się chyliły. Wkrótce orszak za drzwiami zniknął i, po zniknięciu onego poczęło się powolne sali audyencyonalnéj wypróżnianie.

Księżna Julia znajdowała się pomiędzy księżną Rakoczy i księżną Lobkowicz. Jak skoro cesarz odszedł, pierwsza z pań tych do niéj się wnet zwróciła:

— Winszuję, z serca całego winszuję — rzekła.

— O księżno pani — zaczęła markiza.

— Winszuję, z serca całego winszuję — odezwała się księżna Lobkowicz.

Nie zdążyła na odpowiedź się zdobyć, gdy księżna de Sagan, hrabin kilka i baronowych kilka z powinszowaniami do niéj przystąpiło.

Po damach powinszowania składali jéj paziowie. Młoda kobieta nie rozumiała, skąd to pochodzi. Domyślała się, że powód tkwi albo w tém, że dostąpiła zaszczytu całowania ręki cesarskiéj, albo w tém, że w niczém przeciwko etykiecie nie wykroczyła. Księżny Rakoczy o powód zapytać chciała; powstrzymała się jednak, lękając się, ażeby zapytania jéj nie wzięto za naiwność udaną. Przyjmowała więc powinszowania i w towarzystwie liczném przechodziła przez te same komnaty, przez które przed godziną była weszła. U wnijścia do zamku księżna Lobkowicz, która jéj nie odstępowała, zwróciła się do niéj z prośbą:

— Byłby to dla księcia i dla mnie zaszczyt wielki, gdybyśmy księstwo u siebie na obiedzie dziś mieć mogli...

— Zaszczyt ów jest raczéj zaszczytem dla nas — odparła księżna Julia.

— Czekamy więc... O toż się książe ucieszy!..

— Ja jeszcze, co mój pan na to powie, nie wiem....

— Książe Franciszek nie sprzeciwia się zapewne woli pani; gdyby zaś sprzeciwiał się w razach pewnych, to nie teraz chyba, kiedy z powodu żony jego stał się fakt, o którym mówi Wiedeń cały... Młoda kobieta szeroko ze zdziwienia otwartemi oczami na księżnę Lobkowicz spojrzała, ta atoli zajęła się rozmową z markizem, zapraszając go na objadek przyjacielski.

— Obcego nikogo nie będzie—mówiła i opowiadała o przyjemności, jakiéj w kółku poufném będą doznawali.

Księżna Julia nie mogła o fakt zapytać. Zapytała o takowy męża, gdy z nim do kolasy wsiadła i do mieszkania swego, celem zmienienia toalety jechała. Ten atoli odpowiedział:

— Co za fakt?.. Czyż zaszło co nadzwyczajnego?...

— Cesarz nam audyencyi udzielił..

— I tyle... Chyba że...

— Co?—zapytała, dowiedzieć się chcąc, czego się mąż domyśla.

— Należymy do rodziny, która się łaską cesarską nie cieszy... fakt przeto odnosi się może do tego, że mimo to, najjaśniejszy pan przyjął nas łaskawie...

— Zapewne — odrzekła.

— Na dworze najmniejszy cesarza giest ma znaczenie ogromne, nie dopieroż przyjęcie łaskawe ludzi, zaznaczonych piętném niełaski...

Tłumaczenie to wydało się racyonalném. Księstwo do domu przyjechali, przeodzieli się i w półgodziny późniéj znajdowali się w pałacu Lobkowiczów.

Zapowiedź księżny Lobkowicz, jako „obcego nikogo nie będzie", urzeczywistniła się, ale z małym jednym wyjątkiem, tyczącym się osobistości duchownéj. Gospodyni na wstępie gości swoich uprzedziła.

— Trafił się nam gość, który się na obiad wprosił—rzekła i dodała: — ksiądz Müller... spowiednik cesarski... człowiek znaczenia ogromnie wysokiego, a przytém w towarzystwie bardzo miły...

Ksiądz z uprzejmością wielką powitał młodą parę, a księżnę Julię obrzucił wejrzeniem takiém, jakiém sędzia śledczy obrzuca po raz pierwszy widzianego delikwenta. Okiem ją zmierzył i oblicze swoje w uśmiech ujmujący przystroił.

Rozmowa, która się wnet zawiązała i toczyła przed obiadem, przy stole i po obiedzie, wiła się nakształt girlandy z przedmiotów rozmaitych. Ksiądz wplatał w nią dykteryjki żartobliwe i wyciągał na słowo księżnę Julię, która odpowiadała ze swobodą kobiety światowéj, zasobnéj w materyał do rozmowy. Mówiono o Wenecyi i Wiedniu, o życiu towarzyskiém i wypadkach politycznych, o Ludwiku XIV i jego stosunkach domowych — o wszystkiém, słowem, co stanowiło treść ogólną gawęd potocznych w momencie owym, bogatym w wypadki, znamionujące świtanie nowéj w dziejach epoki. Świtanie to odbijało się w salonach i rzucało odblask na rzeczy najbardziéj powszednie.

Po obiedzie panowie i panie podzielili się na dwa grona. Pierwsi przeszli do salonu; księżna Lobkowicz uprowadziła markizę do pokojów swoich. Tu i tam rozmowa nie ustawała. Ksiądz Müller zagaił materyą o stosunkach hiszpańskich, nadających się do horoskopów politycznych z powodu skojarzenia się węzłem małżeńskim dworu francuskiego z dworem hiszpańskim. Była to materya niezmiernie bogata. Antagonizm pomiędzy Burbonami a Habsburgami stanowił oś polityczną, około któréj obracały się sprawy tureckie, sprawy polskie, sprawy włoskie i wszystkie, jakim Europa za teatr służyła. Więc ksiądz Müller, książe Lobkowicz i książe Frangopano mieli o czém do mówienia.

— Żyjemy w epoce ciekawéj—zauważył ten ostatni.

— Ahm...—ksiądz Müller na to—w epoce, w któréjby z łatwością rzeczy pójść mogły krzywo, gdyby zależały wyłącznie od rozumu ludzkiego... Na szczęście czuwa nad nami opatrzność, któréj zrządzeniem na tronie cesarskim zasiada Leopold... Możemy być przeto o następstwa spokojni..

Na pokojach księżny Lobkowicz materya rozmowy miała również koloryt polityczny, a wyszła z tego punktu, że gospodyni domu uścisnęła księżnę Julię i nazwała ją heroiną dnia.

— W Wiedniu całém o niczém innéni, tylko o tobie mówią...

— Ależ — odparła młoda kobieta — cóż się koniec końcem tak nadzwyczajnego stało?..

— Jakto co?!..

— Najjaśniejszy pan audyencyi nam udzielił...

— I?..—księżna Lobkowicz na to.

— Oto wszystko...

— I spojrzał! — zawołała z przyciskiem.

— Spojrzał?—zapytała księżna Julia, zdziwiona akcentem, z jakim księżna Lobkowicz wyraz ten wymówiła.

— Spojrzał, ach! spojrzał!... Rzuciło się to w oczy nam wszystkim, zdarzyło się bowiem poraz pierwszy od czasu, jak najjaśniejszy pan na tronie zasiada... Spotkało to ciebie księżno, piękna... o.... Jest to wypadek tak nadzwyczajny, że wypadek ów cały świat wielki wiedeński poruszył do głębi...

X. **Zagadki.**

Spojrzenie cesarskie wywarło, w rzeczy saméj, wrażenie ogromne, które wyraz swój znalazło w nadskakiwaniach, jakiemi towarzystwo wiedeńskie otoczyło młodą parę. Dygnitarze, którym księstwo wizyty składali, niezwłocznie ich rewizytowali, a wielki marszałek dworu przysłał im zaproszenie na recepcye wieczorne do zamku.

— Ph...—odezwał się przeciągle hrabia Orfeusz, gdy zaproszenie nadeszło—kuzynka widocznie oczarowała cesarza...

Księżna domyślała się, że przyczyna odznaczenia, jakie ją spotkało, nie w czém inném tkwi, jeno w piękności jéj. Kobiety we względzie tym bywają niekiedy do przesady domyślne. W tym razie atoli rzecz się układała naturalnie, ta bowiem zachodziła okoliczność, o któréj powiedziéć było można, „że księżna piękna a Litawor młody.“ Litawor cesarski posiadał takież same kości i ciało i takąż samą krew, jak śmiertelnicy zwyczajni i od popędów krewkości nie broniły go bynajmniéj, ani reguły etykiety hiszpańskiéj, ani surowość obyczajów, zaprowadzona na dworze. Kto wie przytém, czy widok piękności nie poruszył w duszy jego uczuć, które edukacya tłumiła, lecz zniszczyć nie zdołała! Piękność oddziaływa nie na same jeno zmysły; powinowactwo jéj z dobrém jest bliskie; etyka chrześciańska aniołów i archaniołów przyozdabia we wdzięki jaknajsubtelniejsze, ażeby jaknajponętniejszemi uczynić reprezentowane przez nich cnoty. Zaręczyć więc nie można, że młody cesarz stanięcia przed obliczem jego młodéj księżny nie wziął w znaczeniu zjawiska anielskiego.

Że ona na nim wrażenie sprawiła, to wątpliwości nie ulegało. Gdy się na podniesieniu pojawiła, cesarz drgnął, oczy się mu nagle ożywiły i zabłyszczały, warga się podniosła i zadrżała; rękę wyciągnął i, gdy do niéj młoda kobieta usta przyciągnęła, nie cofnął jéj, wyciągniętą ją trzymał i księżnę oczami ścigał, póki miejsca nie zajęła. Następnie widać na nim było przez chwil kilka wzruszenie, nad którém nie od razu zapanował; gdy zaś zapanował, głowę spuścił i ukradkiem zwracał od czasu do czasu wejrzenia w stronę, w któréj księżna Frangopano siedziała. Dworacy, wysocy dygnitarze i mężowie stanu, co gesty jego wszystkie wystudyowali

i znaczenie onych na wylot znali, niczego podobnego świadkami nie byli.

— Włoszka...—szeptali sobie w duchu.

— Włoszka...—powtarzały w duszy damy dworskie, znające jeszcze lepiéj gesty cesarskie.

I sformułowało się ogólne, niesłychanie ważne i niezmiernie interesujące pytanie:

— Co z tego wyniknie?..

Około zapytania tego zasnuł się, niby około kołowrotka tkackiego, ruch umysłów w sferach najwyższych i wywołał ruch towarzyski. Stał się bowiem fakt zagadkowy, brzemienny następstwami, których rozum najbystrzejszy przewidziéć nie umiał. Każdy więc i każda pragnęli poznać bliżéj istotę, co fakt ów sprowadziła. Ciśnięto się do księżny Julii, względnie do markiza Frangopano, w którym upatrywano w perspektywie kierownika spraw politycznych, rozdawcę łask i względów monarszych.

Dygnitarze, goszcząc u księstwa, nie wahali się, celem sondowania gruntu, dotykać kwestyi drażliwych. Do kwestyi tego rodzaju należał naprężony nieco stosunek Zrinich do tronu, mianowicie zaś, stosunek eks-bana. Jeden z najpierwszych o takowy potrącił kanclerz...

— Hrabia Mikołaj...—odezwał się—o, hrabia Mikołaj...

— Źle zrobił...—podchwyciła księżna.

— Przez co?..

— Przez to, że urząd złożył...

— Ach! to wielka prawda...

— Ale złe to naprawić by się może dało...—podchwyciła.

— A to jak?..

— Wywierając na nim zemstę...

Kanclerzowi przy wyrazie ostatnim oczy dziwnie zamigotały.

— Zemstę szlachetną...—dodała.

— Szlachetną?..—zapytał.

— I wspaniałomyślną...

— Polegającą na?..

— Zamianowaniu banem brata jego...—odpowiedziała.

— A?..—odezwał się.

— Gdybyś wasza ekscelencya myśl tę najjaśniejszemu panu nasunął...

— O, księżno!..—odrzekł tym tonem, co zarazem zobowiązanie się i niezobowiązanie oznacza.

Myśl ta, z którą się księżna Julia przed kilku dostojnikami zwierzyła, ponieważ z ust jéj wyszła, poszła w obieg i stała się rodzajem

skazówki we względzie téj zagadki, jaka się w dniu audyencyi zrodziła. Zagadano o Piotrze Zrinim, jako o postawionym przez włoszkę kandydacie na godność bana i dziwiono się jeno, czemu ona na godność tę męża nie prowadzi. Wszak Frangopanowie banami bywali. Czemuż nie kieruje męża?

— Pokieruje go ona inaczéj... –domyślano się.

Nadszedł dzień recepcyi. Jarzące światło zalewało komnaty, przeznaczone na przyjmowanie gości—przyjmowanie, polegające na tém, że goście bawili się sami, niekiedy muzyka przygrywała, a zawsze w bufecie znajdowały się jadła i napoje, pozwalające zgłodniałym posilić się, spragnionym pragnienie ugasić. W ciągu wieczora nadchodził moment, w którym się najjaśniejszy pan pojawiał. Towarzyszyło mu dostojników dworskich kilku. Wchodził; goście się szykowali w dwa szpalery, śród których się przesuwał powoli, kiwając z lekka głową na prawo i na lewo panom i damom, co się przed nim nisko pochylali i zatrzymując się od czasu do czasu dla rzucenia po słów kilka niezrozumiałych osobistościom, na których się uwaga jego zatrzymywała. Tego lub téj o zdrowie pytał; temu lub téj słówko łaskawe rzekł i na odpowiedź nie czekał. W sposób ten recepcye się odbywały—zawsze jednakowo, bez zmiany najmniejszéj. W sposób ten odbyła się i ta, na któréj się księstwo Frangopano pojawili.

Sale zalewało światło, odbijające się w zwierciadłach, kryształy się iskrzyły, bronzy i złocenia wystawały, tu i owdzie potworzyły się grupy, z których jedne siedząc, drugie przechadzając się, zabawiały się rozmową. Do jednéj z grup, skupionych około podeszłéj księżny Rakoczy, wchodziła księżna i księżniczek kilka, w liczbie ich księżna Julia. Księżna Rakoczy nachyliła się do niéj i szepnęła:

— Przysuń się do mnie...

Gdy młoda kobieta ruch ten wykonała; księżna Rakoczy przysłoniła sobie usta wachlarzem i półgłosem zapytała:

— Hrabianka Helena Zrini... znasz ją?..

— Doskonale...—odrzekła.

— Powabna?..

— Urocza...

— Cnotliwa?..

— Czyż o tém wątpić można?.. Zriniówna...

— Tak... no... — odrzekła poważna matrona. Wątpić jednak można, co się prawowierności tyczy... Zriniowie na punkcie tym nie są zbyt twardzi...

— Przeciwnie... Zachowują zakon i pełnią obrządki; w domu kapelana mają...

— Słyszałam o tém... mnicha...

— Augustyanina... Człek świętobliwy...

— Świętobliwość augustyańska chwiejna nieco... o...—rzekła stara księżna.—Lepsza jednak taka, niż żadna, pomimo że nie pojmuję dla czego Zriniowie nie wzięli sobie kapelana z towarzystwa jezusowego... nie pojmuję...—dodała tonem zafrasowania i po chwilce zapytała:—Ale Helena?..

— Dziewczyna najbogobojniejsza...

— To mnie cieszy... Wiesz bowiem?.. syn mój do Czakowaca pojechał...

— Słyszałam o tém...

— Otóż to... Pojechał... Nie wiem jeszcze, czy co będzie z tego...

— Wasza książęca mość mówisz?..—zapytała księżna Julia tonem takim, jakby nie wiedziała o co chodzi.

— Mówię, że nie wiem, czy co z tego będzie...

— Z czego?..

Księżna Rakoczy jednak, jakby zapytania tego nie słyszała, prawiła daléj:

— Najjaśniejszy pan wprawdzie na ciebie spojrzał, ale to się tłómaczyć może rozmaicie... Zobaczymy... zobaczymy... Franciszek jednak, syn mój, pojechał... pojechał... Najjaśniejszy pan...—zaczęła.

I urwała. Ruch się zrobił.

— A!.—odezwała się, usiłując się podnieść. Jakaś kuzynka, która jéj nie odstępowała, pośpieszyła z podaniem ramienia i sędziwa niewiasta wstała.

— Chodźmy...—rzekła do księżny Julli.

Obie księżny, jedna siwa i żółta, druga młodością i pięknością jaśniejąca, uszykowały się w szeregu, oczekując na monarchę. Oczekiwanie potrwało chwil kilka. Ukazał się nareszcie, szedł powoli w odzieży aksamitnéj w kryzie białéj, w orderach i łańcuchu; peruka jego kiwała się raz w prawo znów w lewo, warga wisiała; nagle stanął niby wryty naprzeciwko księżny Julii, warga mu zadrgała, oczy wlepił i, zwracając się do księżny Rakoczy, zapytał:

— Pani... za Wenecyą... tęschnisz?..

Widocznem było, że zapytanie drogę zmyliło, dla tego też stara księżna odpowiedziała:

— Najjaśniejszy panie... łaski tyle...

— Mąż... zdrów?..

Mąż jéj, głośny Jerzy II, który do spółki ze Szwedami na Polskę był napadł, od lat czterech w grobie spoczywał.

— Najjaśniejszy panie...—odrzekła.

— Wdziękami swemi młodemi przyozdabiasz pokoje nasze...— wybąknął; warga mu zadrgała; na księżnę Julię z pod oka spojrzał, zlekka, jakby dla ulżenia sobie w piersiach duszności, odsapnął i daléj poszedł.

W sposób ten w annalach dworskich przybył fakt nowy, dziwniejszy i bardziéj zagadkowy, aniżeli poprzedzający. Wszyscy, co się w sali znajdowali, widzieli, że się cesarz przed księżną Julią zatrzymał i mówił. Ogół przekonany był, że przemawiał do niéj; ci jednak, co bliżéj stali, dostrzegli, że przemawiał do księżny Rakoczy; ci zaś, co stali jeszcze bliżéj, słyszeli wyrazy przemowy. Powstały stąd sprzeczności wnet na miejscu. Szeregi się rozprzęgły, grupy potworzyły, rozmowy ciche się pozawiązywały—wyrazy cesarskie z ust do ust krążyć i wywoływać zachwyt ogólny poczęły.

— Jakie to wielkie!.. jakie wspaniałe!.. jakie głębokie!..

— Najjaśniejszy pan o Wenecyi wspomniéć raczył...—odezwała się do jednego z baronów w pończochach i szarfie jedna z hrabin w sukni kanarkowéj, nadając wyrazom swoim akcent tajemnicy gabinetowéj.

— O Wenecyi...—odpowiedział baron.

— I o mężu...

Baron westchnął.

— Co to za mądrość głęboka!..

— Ach!.. głęboka...

Nikt, z tych nawet, co najdokładniéj wyrazy przez Leopolda I, wymówione słyszeli, omyłki nie zaznaczał. Bo i jakże! Omyłka się nie przypuszczała w ustach cesarskich. Ci przeto, co wiedzieli, jak się fakt wyraził, przypisywali omyłce myśl mądrą i głęboką, przypisywali jéj naumyślność doniosłości ogromnéj. Jedna tylko księżna Rakoczy nie podzielała opinii ogólnéj i jedna księżna Julia miała opinię od ogólnéj odmienną. Pierwsza nie wiedziała, co myśléć; druga instynktem kobiety młodéj odgadywała uczucia, jakie widok jéj w młodym człowieku wzbudzał. Zeszły się i spotkały dwa prądy magnetyczne, których zlanie się zależało od warunków jeszcze nieznanych. Podczas kiedy cesarz do księżny Rakoczy mówił, stojąc przed księżną Julią, téj ostatniéj krew falą do głowy uderzyła i sprawiła jéj rodzaj omdlenia—omdlenia takiego, jakiego doznawać musi motyl, gdy wiatr go rzuci na liść mimozy i liść się nad nim zawiera, ogarnia go, dusi i udusza. Młoda kobieta czuła coś nakształt gniecenia do koła siebie—czuła coś nakształt więznięcia skrzydeł—gorąco i słabo się jéj robiło. Odetchnęła i ulgi doznała, gdy się cesarz oddalił.

— Słyszałaś?..—zapytała jéj tonem poufnym księżna Rakoczy, uprowadzając ją ze sobą na miejsce dawniejsze.

— Słyszałam...—odrzekła.

— Wszystko?.. co do słowa?..

— Wszystko, zdaje się...

— Cóż ty na to?..

— A cóż!..

— Najjaśniejszy pan, o! najjaśniejszy pan... Powiem ci coś pod sekretem... Najjaśniejszy pan złożył dowód rozumu wielkiego, że się oddał w ręce ojców jezuitów... Gdyby z nim był ksiądz Müller, byłby mnie o zdrowie męża mego nie pytał... Wiesz dla czego?..

— Dla tego, że książe Jerzy nie żyje...

— To jedno, a po drugie, że jest—tu głos zniżyła i westchnęła—w piekle... oh, w piekle...

— Bóg miłosierny...—zaczęła księżna Julia.

— O! nie mów ty mi tego... Bóg miłosierny, zapewne, ale nie na takich, jakim on był, grzeszników zapamiętałych... O...—westchnęła—on w piekle i najjaśniejszy pan o zdrowie jego pytał.. Co to znaczy?..

Księżna Julia ramionami wzruszyła. Grzeczność nie pozwalała jéj staréj i bardzo poważnéj damy z błędu wyprowadzać. Nie powiadała więc, że zapytanie to stosowało się nie do nieboszczyka księcia siedmiogrodzkiego, ale do żyjącego markiza.

— Chyba...—zaczęła księżna Rakoczy tonem domysłu—chyba że... Ale nie... Był to grzesznik za wielki...

— Bywają więksi...—odparła księżna Julia.

— Co ty powiadasz!..

— Cóż nieboszczyk tak dalece złego popełnił?..

— Ach!..

— Na Polskę napadał...

— O, to rzecz najmniejsza... W tém racyę miał, jako ojciec syna, co po kądzieli ród swój z Batorych wyprowadza i może rościć pretensyę do korony polskiéj. . Ale... nieboszczyk—rzekła z oburzeniem—jezuitów odpychał... Wiesz?..

— Słyszałam o tém...

— Tak... odpychał... i dla tego do piekła poszedł, a najjaśniejszy pan o zdrowie jego pytał... Dzieją się rzeczy, których rozumem ludzkim pojąć nie sposób... Prawda?..—zapytała.

— Prawda...—odrzekła księżna Julia.

Rozmowę dalszą przerwało nadejście jakiegoś młodego wielkiego pana, który księżnę pozdrowił, obok nich miejsce zajął i mówić zaczął o wieści nowéj, co się tylko na pokoje dostała.

— Najjaśniejszy pan ma zamiar dać polowanie. .

— W rzeczy saméj?..—zapytała księżna Rakoczy.

— Taka pogłoska chodzi...

— Nic o tém słychać nie było...

— Przed chwilą... W chwili téj jednak pogłoska toczy się już, jak lawina...

— Która spadnie, rozbije się i nic z tego nie będzie...

— Kto wie...—odparł młody człowiek, przypatrując się z boku księżnie Julii.

— Ja bo polowań nie lubię...—odezwała się księżna Rakoczy, udziału w nich brać nie mogę...

— W powozie...—rzekł młody pan.

— Szkodzi mi powietrze świeże...

— Słyszałem jednak, że wasza książęca mość... niegdyś...

— Ach...—westchnęła. Niegdyś?.. Dosiadałam niegdyś konia nieježdżonego...

— Pani polowanie lubi?..—zapytał młody człowiek księżny Julii...

— Dosyć...—odrzekła.

— W Wenecyi się poluje mało... laguny...

— Ale laguny nie zalewają wszystkich posiadłości weneckich...

Przysunęła się księżna Lobkowicz.

— Zapewne państwo o pogłosce mówicie... zaczęła.

— Polowanie...—odrzekła księżna Rakoczy.

— Niespodziewane i nieprzewidywane...

— Dziwne, zaprawdę, dzieją się rzeczy...—księżna Rakoczy na to.—Czy jednak pogłoska to prawdziwa?..

— Jaknajprawdziwsza. . Najjaśniejszy pan oznajmić raczył wielkiemu łowczemu, którego spotkał w komnacie krągłéj... Będzie polowanie, będą inwitacye...

— I na jakąż to intencyą?..—zapytała stara księżna.

Na zapytanie to młody pan i księżna Lobkowicz równocześnie na księżnę Julię spojrzenia zwrócili i, luboć były to spojrzenia przelotne, młodéj kobiecie policzki krwią się oblały. Księżna Lobkowicz odpowiedziała:

— Najjaśniejszemu panu podobało się...

— Na kiedyż to?..

— Pojutrze...

— Jeżeli pogoda będzie sprzyjała...

— Naturalnie...

Nadszedł moment, w którym wedle przepisów, recepcya się kończyła. W momencie tym wielki marszałek dworu oznajmił gościom, jako najjaśniejszy pan oddalić się im pozwala i wnet na pokojach powstał ruch. Zaproszeni powstawali, żegnali jedni drugich i wynosili się. Księżna Lobkowicz, poprzedzając w towarzystwie księżny Julii jéj i swego męża, mówiła do niéj głosem zniżonym:

— Pojawienie się twoje, moja ty najpiękniejsza, sprowadziło zmiany nadzwyczajne i niesłychanie ważne.

— Zmiany?..—odezwała się młoda kobieta.

— Najjaśniejszy pan... ożywił się...

— Niepokoi mnie to...—szepnęła księżna Julia.

— Czemu?..

— Nie wiem...—westchnęła.

— Jj... niepokoić się nie masz czego... kto wie... kto wie...—powtórzyła księżna Lobkowicz dwa razy i zamierzała słów parę jeszcze dodać, lecz z powodu zbliżenia się osób innych poprzestać musiała na serdecznćm a długiém młodéj księżny uściśnieniu.

Z pożegnaniami do niéj ciśnięto się. Darzono ją ukłonami niskiemi, jakie składali mężczyzni i okazami czułości wielkiéj, z jakiemi wynurzały się panie. Powiedziéć nie można, ażeby to jéj zadowolnienia sprawiać nie miało. W sferze, do któréj należała, potrzeba wielkiego bardzo hartu ducha, ażeby nie dać przystępu próżności. Miłemi więc były młodéj księżnie hołdy, które odbierała, a miłemi jéj były tém bardziéj, że się takowych nie spodziewała. Wezwanie jéj do Wiednia miało znaczenie somacyi, nacechowanéj niełaską, dotykającą rodziny, do któréj mąż jéj należał i przypuszczalném było, że cecha ta odbije się na przyjęciu. Na to się zanosiło. W zetknięciu się najpierwszém towarzystwo okazywało jéj grzeczność wielką, ale zimną i sztywną. Lecz—cesarz „spojrzał“ i w chwili jednéj zimno i sztywność zmieniły się w serdeczność, podszytą rezerwą etykietalną, co w takiém, etykietą drobiazgową skrępowaném towarzystwie, jakiém było towarzystwo owoczesne wiedeńskie, wydawało się rzeczą naturalną.

W następnym po recepcyi dniu wielki marszałek dworu osobiście przywiózł księstwu inwitacyą na polowanie, mające odbyć się nazajutrz. Inwitacyą zaopatrzył w informacye ustne, nabrzmiałe wielką dla młodéj pary przychylnością. Informacye tyczyły się szczegółów etykiety, która i na łowach przestrzeganą była, a polegały głównie na tém, ażeby we wszystkiém i wszędzie zostawiać cesarzowi stanowisko przodowe i miejsce najpierwsze.

— Gdy—mówił—najjaśniejszy pan kogo do boku swego powoływać raczy, to się do osoby jego konno nie podjeżdża, piechotą nie

podchodzi bliżéj, jak na kroków siedem... Dawniéj było dziesięć ale świętéj pamięci cesarz nieboszczyk, postanowieniem powziętém na radzie aulicznéj dnia 7 marca 1651 roku, naznaczył kroków siedem...

Wymieniał i tłómaczył szczegóły inne. Nie omieszkał dać skazówki i co do toalety, dla któréj istniały przepisy szczegółowe; na odchodném zaś zalecił stawienie się na punkcie zbornym punkt o godzinie oznaczonéj.

— Punktualność bowiem—powiadał—jaknajściśléj jest przez najjaśniejszego pana przestrzeganą...

Jest do zauważenia, że hrabia Orfeusz, ani na audyencyi ani na recepcyi się nie prezentował—nie prezentował się zaś nie dlatego, że mu odmówiono, ale dla tego, że żądania nie zanosił. Księżna mu to wymawiała i do wystąpienia na dworze namawiała.

— Nosisz nazwisko, które ci obecnie szeroko drzwi otworzy... mówiła.

— Uhm... —odpowiedział z giestem przeczenie oznaczającém.

— Czemu?..—zapytała.

— Dla tego, że są to drzwi, przez które łatwiéj wejść, aniżeli wyjść...

— A to?..—zapytała.

— Przejście przez nie, jak przejście przez próg klasztorny, wkłada na duszę charakter raz wyryty i nigdy niezmazany.. Człek traci swobodę umysłu i woli...

— Przesadzasz...

— Patrz, księżno, na dworaków wszystkich: czy aby jeden z nich nie zmienił się w maryonetkę?..

— Przerażasz mnie...

— Nie przerażaj się...

— Jeżeli się i ja w maryonetkę zmienię?..

— To zależy...

— Od czego?..—zapytała.

— Od tego, jak będziesz siebie samę brała: czy, jako aktorkę, czy też, jako spektatorkę?.. Trudno to wprawdzie na taki lub inny nastroić się ton, można jednak... Mówię to z doświadczenia własnego... Udało mi się utrzymać w roli spektatora, kiedym się czasu onego w świecie polerował i napatrzyłem się tak dalece, że od patrzenia daléj ochota mi odpadła...

— Byłbyś wziął udział w polowaniu...

— Komedya, mościa księżno, ze zmianą dekoracyi...

— Niewinna jednak...

— O tém z góry nic mówić nie można... Niewinność tego rodzaju podobną bywa do zielonéj trawy porastającéj na trzęsawiskach... Wygląda to nakształt łąki rozkosznéj, a jest. w istocie rzeczy, topieliskiem...

Młoda kobieta zamyśliła się. Nowe, w jakiém się niespodzianie znalazła, położenie nie było dla niéj ani trochę jasném. Przeczuciem coś odgadywała i „coś“ owo przedstawiało się jéj tak, że przypuszczać mogła zagrażające jéj jakieś bliżéj nieokreślone niebezpieczeństwo. Na dworze Ludwika XIV wiedziałaby, o co chodzi. Na dworze Leopolda I, w którą jeno stronę wzrok zwróciła, w każdéj przedstawiała się jéj gęsta zasłona, przy któréj na warcie stała etykieta uniżona, wygładzona, wypolerowana, z głową pochyloną i dłoniami bogobojnie złożonemi, ale niezłomna i nieubłagana. Sprawy sobie z tego zdać nie umiała i na zastanawianie się czasu dosyć nie miała z powodu, z jednéj strony, wizyt ustawicznych, z drugiéj, ustawicznego myślenia o stosowaniu się do przepisanych drobiazgowo form.

XI. **Astrologia.**

Komnata miała wygląd niezwykły. Kształt jéj wewnętrzny przedstawiał koło regularne; sufit był sklepiony i zaopatrzony w okna, które od punktu środkowego rozchodząc się ku obwodowi, tworzyły gwiazdę ośmiopromienną. Każdy z promieni dochodził do gzymsu, po którego drugiéj stronie przedłużał się oknem podłużném. Komnata więc posiadała ośm okien—wyglądała nakształt klatki dużéj. Posiadała ośm okien, ale drzwi ani jednych. Wchodziło się do niéj przez podłogę, przez otwór otoczony balustradą. Środek zajmował stół krągły suknem czerwoném okryty, a zastawiony instrumentami astronomicznemi, pomiędzy któremi w oczy się przedewszystkiém rzucała ogromnych rozmiarów kula niebieska, osypana podzielonemi na konstelacye gwiazdami. Obok leżały większe i mniejsze lunety, linie, trójkąty, cyrkle, kompasy, papiér, kałamarze, pióra, wałeczki podłużne, rurki, miseczki jedne z piaskiem, drugie z żywém srebrem, jakotéż książek dużych kilka i pokreślone na tekturze figury, przedstawiające się pod postacią tych figur, jakie się dziś używają, jako wzory do posadzek. Figury podobne widziéć się dawały na ścianach do koła rozwieszone. W komnacie, któréj podłogę gruby okrywał kobierzec, znajdowało się stołków kilka i krzesło jedno. To ostatnie stało pod ścianą usunięte; na jednym ze stołków, przy stole siedział człowiek stary, okryty tą odzieżą, która w czasie owym służyła, jako uniform uczonych i miała podobieństwo niejakie do sutany

księży świeckich i habitu zakonnego. Uczeni stanowili stan i fach i odznaczali się śród śmiertelników zwyczajnych.

Mąż uczony przy stoliku siedział, przed nim stała lampa i rzucała odblask na oblicze pożółkłe i zmarszczkami okryte. Blask padał na karton znakami okryty i figurami pokreślony. Uczony jednak na figury nie patrzył. Łokcie miał na stole oparte a oczy powiekami zasłonięte. Spał. Spał i nagle ocknął się. Oczy przetarł, na zegar spojrzał—odchrząknął. Po odchrząknięciu ziewnął, znów odchrząknął i jął się na stole narzędzia niektóre przestawiać. Przysunął klepsydrę, zwierciadło wklęsłe i jakieś jeszcze narzędzie, odsunął nieco lunetę, wstał, spojrzał na zawieszony na ścianie duży barometr, powiódł okiem po półeczkach, na których stały słoje i słoiki szklanne z płynami i proszkami i zatrzymał się przed jedném z okien. Przez okno widziéć się dawało niebo gwiazdami obsypane. Starzec postał chwilę i przeszedł do okna obok. Przy tém postał znów i udał się do następnego. Obszedł okna wszystkie po kolei, obejrzał horyzont cały, zamyślił się i, usiadłszy przy stole na miejscu swojém, jął się znów przestawiać narzędzia. W ciągu czynności téj coś snadź o słuch jego uderzyć musiało, albowiem przerwał przestawianie nagle i zwrócił oczy ku otaczającéj otwór barjerze.

— A...—odezwał się po cichu sam do siebie i, cyrkiel w rękę ująwszy, począł stawiać takowy na leżącym przed nim, figurami poznaczonym kartonie.

Oblicze jego wyrażało natężenie uwagi, które nie harmoniowało z obojętnością poprzednią. Z obojętności przeszedł nagle do zatopienia się głębokiego w badaniu—do zatopienia się tak głębokiego, że ani słyszał, ani widział, jak z otworu w podłodze wysunęła się postać ludzka i, o baryerę ręką się opierając, na niego patrzała. Uwagę jego postać ta wówczas dopiero na siebie zwróciła, gdy postąpiła kroków kilka.

— Ach!..—zawołał, z siedzenia się zrywając z szybkością, na jaką wiek mu jego pozwalał, w głąb się cofając i przybierając postawę pokorną i uniżoną.—Wybaczyć mi racz, najjaśniejszy panie.

Osobistością, co weszła, był nie kto inny, jeno Leopold I.

Cesarz nic nie odpowiedział. Kroków parę postąpił, po stole, po rozstawionych na takowym narzędziach okiem powiódł i na krześle poręczowém usiadł.

Zapanowało milczenie. Starzec stał, cesarz siedział.

Leopold miał na sobie podbitą lekkiém futerkiem, długą, koloru ciemnego odzież i na głowie, zamiast peruki, ciepłą futrzaną czapkę. Bez peruki wyglądał bardziéj po ludzku, mimo że téż same pozostawały rysy oblicza, téż same przymglone oczy i taż sama obwisła

warga. Brakło jednak tego, co szpetność potęgowało i z racyi téj przedstawiał się pod postacią mniéj wstrętną. Usiadł, głowę spuścił, powieki zamknął, zdawało się, w głębokiém utonął zamyśleniu. Starzec, nie zmieniając postawy, z pod oka na niego patrzał; w oczach jego powoli kreślił się wyraz zadziwienia, które w końcu zmieniło się w zapytanie, mogące być w następujący wytłómaczone sposób:

— Co mu się stało?..

Milczenie panowało długą chwilę. Ciszę przerywało miarowe dygotanie zegaru, który szedł, nie zważając na obecność cesarza i znaczył czas zarówno dla niego, jak dla robaczka najmizerniejszego. Skazówka przesuwała się z minuty na minutę, wreszcie zegar szypieć począł, poprzedzając szypieniem bicie godziny i cesarz głowę podniósł. Podniósł głowę, westchnął, patrzał jakby starca nie widział, w końcu się odezwał:

— Cóż więc?..

— Najjaśniejszy panie.,.—odparł zapytany, głowę z uszanowaniem pochylając.

— Obserwowałeś, doktorze?..

— Obliczałem, najjaśniejszy panie...

— Co?..

— Kierunek promienia...

— Syriusza?..

— Nie, najjaśniejszy panie... Na horyzoncie naszym świeci obecnie blaskiem całym gwiazda wieczorna...

— Wiemy o tém...—przerwał cesarz.

— Weszła—dodał doktór—w konstelacyą waszą, najjaśniejszy panie...

— Wenus weszła w konstelacyą naszą!..—podchwycił cesarz żywo..

Leopoldowi I uradowanie zajaśniało na obliczu, z oczów mgła pierzchła; wstał, nie jak zwykł—z powagą monarszą—wstawać, ale jak wstaje zwyczajny, lat dwadzieścia cztery liczący, śmiertelnik i odezwał się:

— Widziéć to musimy...

Starzec mu lunetę podał. Cesarz, okiem na zegar rzuciwszy, podszedł do jednego z okien, lunetę do oka przyłożył i—snadź rzeczy świadomy—od razu ją na niebo, w punkt o który mu chodziło, zwrócił.

Patrzał długo. Po ustach jego od czasu do czasu uśmiech się przewijał i warga dolna mu drżała. Obserwował i obserwowany był. Starzec, z boku stojąc, przypatrywał się mu z tym w oczach wyrazem, który oznacza rozwiązywanie zagadnienia. Gdyby zaś kto

w chwili téj starca obserwował, poznałby, że wyraz w oczach jego, niepewny zrazu, upewniał się stopniowo i strzelił wkońcu wykrzyknikiem : *eureka!* Doktór zagadnienie rozwiązał. Do oczów jego wrócił spokój obojętny, ów spokój uczonego, którego nie wzruszają wyroki, występujące pod postacią rezultatów badań naukowych.

Cesarz lunetę od oka odjął i sam do siebie rzekł :

— Tak... Wenus w konstelacyi....

Rzekłszy to, lunetę starcowi oddał i miejsce swoje zajął.

— Horoskop? — odezwał się po chwili tonem zapytania.

— Nie stawiłem go jeszcze, najjaśniejszy panie...

— Czemu?...

— Wnijście do konstelacyi nastąpiło dziś dopiero....

— Dziś? — zapytał Leopold I tonem, w którym brzmiało zdziwienie lekkie. Nie w chwili, gdyśmy po raz ostatni audyencyą udzielali?..

— Dni temu pięć Wenus zbliżyła się—mówił starzec — zbliżyła się w sposób taki, że zachodziła wątpliwość, co do drogi, którą pójdzie... Widać w niéj było wahanie się tak, żem przypuszczał, iż się po dotycznéj prześliznie, nie wkraczając w środek tarczy.... Wkroczyła dziś dopiero, najjaśniejszy panie...

— Dziś — szepnął cesarz.

— Najjaśniejszemu panu wiadomo — ciągnął starzec— że światła niebieskie nastawiają drogi swoje nie wedle przeszłości, ale na przyszłość.... Drogi ich idą ku temu, co będzie...

— Stawże, doktorze, horoskop...

— Najjaśniejszy pan zejść mnie właśnie raczyłeś nad badaniem aspektu...

— Badaj daléj...

— Zabierze to czasu nieco—zauważył starzec tonem przestrogi pokornéj.

— To nic — odparł cesarz. Poczekamy...

Mąż uczony ręce zlekka zatarł, zlekka odchrząknął i zapytał:

— Wasza cesarska mość przeto pozwolić mi raczy?..

— Na co?..

— Do rzeczy przystąpić?

— Rób, doktorze... rób tak, jakbyś się nie znajdował w obecności cesarza... Cesarz znika w obliczu tych sił, co się nam pokazują tajemniczo na stropie niebieskim....

— Nie znika, najjaśniejszy panie—odparł starzec.

— Śmiertelnik każdy ma gwiazdę swoję...

— Ma... ale inną jest gwiazda śmiertelnika, odpowiadającego przed Najwyższym sam za siebie, inna śmiertelnika, odpowiadające-

go za miliony... Cesarz... cesarz zwłaszcza taki jak ty, najjaśniejszy panie, jest *legio*...

Słowa te zasępiły Leopolda I. Czoło sfałdował i, głowę zwiesiwszy, w milczeniu się pogrążył.

Doktór z boku przy stole usiadł i, rozłożywszy przed sobą karton czysty, naznaczył na nim punkcikami gwiazdy w takim, jak się w konstelacyi przedstawiały, rozkładzie. Zrobił to z pamięci — widocznie wprawę posiadał. Naznaczył następnie gwiazdę jeszcze jednę i począł od niéj, przy pomocy linii, przeprowadzać linie proste, co gdy uskutecznił, zamyślił się. Wpatrzony w figurę, przedstawiającą się pod postacią rozstrzelonych a z punktu jednego wyprowadzonych dłuższych i krótszych linii, myślał chwil kilka; następnie końce linii literami greckiemi pozaznaczał i cyrklem odległość tak punktu środkowego do końców, jakotéż końców pomiędzy sobą mierzył, zapisując na papierze osobnym wyniki mierzenia. Wyniki te ujął w formułę matematyczną—dodawał i odciągał, mnożył i dzielił. Zajmowało to czasu sporo. Zegar wybijał kwadranse, wybijał godziny: astrolog obliczał—cesarz czekał.

— Konjunkcya przeważa nad opozycyą — odezwał się wreszcie starzec.

— Hęm? — wykrzyknął cesarz, jakby przebudzony nagle.

— Konjunkcya, najjaśniejszy panie, przeważa nad opozycyą...

Cesarz westchnął.

— Teraz kwadratury zbadać należy....

— Badaj — rzekł Leopold I-szy.

Starzec, odsunąwszy papier, a przysunąwszy przed siebie karton, począł na figurze poprzednio nakreślonéj łączyć liniami prostemi końce linii rozstrzelonych. Wyszedł ztąd podzielony na trójkąty wielobok, w którym on wycinki kreślił i wykreślił czworobok nieregularny, ochwytujący najdłuższemi jednego z kątów ostrych ramionami punkcik, wyobrażający Wenerę.

— Horoskop się zaznacza — odezwał się starzec. Kwadratura wyszła i wasza, najjaśniejszy panie, konstelacya bierze w uściski gwiazdę, co w nią weszła...

— Bierze ją w uściski!—zawołał Leopold I-szy w uniesieniu.

Z siedzenia się zerwał i wnet, jakby niewidzialną pociągnięty ręką, napowrót usiadł.

Uniesienie świadczyło, że się w nim natura ludzka poruszyła.

Usiadł; przez chwil kilka milczał; z głębi piersi odetchnął i odezwał się głosem zwyczajnym:

— W uściski ją bierze... Horoskop tak stanął?..

— Tak się, najjaśniejszy panie, nastawił, ale...

— Ale... co?..

— Na tém nie koniec jeszcze...

— A... tak...—odrzekł cesarz, świadomy tajemnic sztuki. Światło jeszcze...

— Na jaki zamiar wasza cesarska mość chcesz, ażeby światło odpowiadało?—zapytał uczony.

— Na jaki zamiar ? — powtórzył cesarz.

— Na pokój?.. na wojnę?.. na postanowienie od tronu jakie?...

— Ach!.. nie na pokój, ani na wojnę, ani na postanowienie żadne... Nie... Idzie tu o co innego....

Wyrzekł słowa powyższe i zamyślił się, jakby odpowiedzi w głowie szukał. Po chwili zaczął powoli przez zęby cedzić, wymawiając wyrazy z wysiłkiem niejakim.

— Chodzi o nas... o mnie samego, ach!... o mnie — powtórzył głosem, żalem, czy pretensyą nabrzmiałym. — O mnie...

Zaimek „ja“ w liczbie pojedyńczéj wymawiał z brzmiącym dziwnie akcentem. Akcent ów znamionował gwałcenie czegoś, czy też czemuś na przekór czynienie, a to dla tego zapewne, że dla monarchy „ja“ nie istnieje. Istnieje dla niego „my“—liczba mnoga, która w nim w zasadzie neutralizuje człowieczość. Myśleć za wszystkich i czuć za wszystkich nie sposób inaczéj, jak nie myśląc o sobie i nie czując dla siebie. Nie wszyscy monarchowie do warunku tego nagiąć się mogą. Ale Leopold I należał do tego ludzi rodzaju, co się rolą swoją przejmują nawskróś. Zasada była dla niego tém, czém jest dla budowli fundament. Co mu w duszę wszczepiono, tém się przejął na wylot i z przekonaniem głębokiém wierzył, że pomazanie olejem przeistoczyło w niém naturę człowieczą. I mimo to, uczuł, że się natura jego ludzka poruszyła. Odezwało się w nim: „ja“

— Chodzi o *mnie*—mówił—o to, ażebym kiedy niekiedy o majestacie moim.. zapominać mógł...

Starzec z głową pochyloną milczał i czekał.

— Czy rozumiesz, doktorze? — zapytał cesarz.

— Ja, najjaśniejszy panie, rozumiéć nie potrzebuję... Rzecz się tyczy światła niebieskiego, które wyjaśnia i skazówki daje stosownie do postawionego mu zapytania...

— W konstelacyą weszła Wenus?..

— Tak jest, najjaśniejszy panie...

— Wenus... to jest piękność?..

— Piękność odwieczna, najjaśniejszy panie — odpowiedział.

— Zwróć-że się do niéj i powiedz jéj, że na odpowiedź od niéj czeka nie cesarz, ale młodzieniec, który piękność... pokochał... Tego dosyć?..

— Badałem aspekt i kwadraturę dla majestatu cesarskiego...

— Ha... — westchnął cesarz.

— Konstelacya zresztą, najjaśniejszy panie...

— Prawda... Niech więc idzie!..

Wyrazy ostatnie takim wymówił tonem, jakim poniter, podwyższając kolejno stawki, stawia wszystko na kartę i wymawia: *va banque!*

Głęboko odsapnął. Stary astrolog z lunetą ku oknu się zwrócił; pierwéj atoli, zanim badanie rozpoczął, zawinął się i z półeczek na okno poprzenosił: słoików z płynami różnobarwnemi trzy, dwie sztuki szkła pryzmatycznego i kredy białéj kawałek. Kredą zakreślił na podłodze do koła krzesła, na którém cesarz siedział, krąg i krąg ów podzieliwszy na części dwanaście, część każdą zaznaczył znakiem zodyakalnym. Od znaku, w którym się znajdowało słońce, przeprowadził drogę do okna i opisał takową krédą, niby ramą, ilustrując ramę cyframi chaldejskiemi. Daléj pałeczką czarnoksięską ku cesarzowi skinął, po znakach kredowych nią powiódł i na oknie ją złożywszy, do obserwacyi przystąpił. Przyłożył lunetę do oka— patrzał, patrzał, odjął, znów patrzał; do stolika odszedł, na figurę na kartonie spojrzał, coś zapisał i znów do okna przystąpił. Powtórzył to razy kilka, wreszcie przy stole stanąwszy i na notatki patrząc, mówić począł:

— Promienie gwiazdy, co w konstelacyą waszéj cesarskiéj mości weszła, skupiają się w ognisko Bereniki, dawczyni zwycięstwa i zwracają się stale w kierunku gwiazdy waszéj cesarskiéj mości; barwa ich jest barwą płomienia niebieskiego... Naliczyłem ich pięć, liczba nieparzysta, to znaczy konjunkcya bez opozycyi...

Zwrócił się do okna napowrót, ustawił słoiki i na zawarty w nich płyn spuszczał promienie za pomocą pryzmatów szklannych. Promienie się łamały w linie rozmaite. Starzec linie te na papierze znaczył, ułamki zestawiał, ściągał, kombinował i po pracy dosyć długiéj złożył z takowych napis, który w milczeniu cesarzowi do przeczytania podał. Leopold I spojrzał, brwi zmarszczył, przeniósł wejrzenie na stojącego z głową pochyloną starca, w papier się wpatrzył, wreszcie powolnie litera po literze wyczytał:

— J-u-l-i-a — i dodał: Ona...

Starzec głosem uroczystym zaczął:

— Horoskop wskazuje Julią, osłodę życia waszéj cesarskiéj mości ..

Rzekłszy to, laseczką czarnoksięską na odwrót znaków kilka dał; znaki zodyakalne i chaldejskie na zakreśleniu kredowém starł, drogę przerwał, słoiki i pryzmaty uprzątnął, lunetę na stole położył

i w postawie pokory uniżonéj, jaką był przybrał za wejściem cesarza, stanął.

Cesarz czas jakiś w zamyśleniu siedział, milczał, westchnął i milczenie przerwał, zapytując:

— Horoskop?...

— Najjaśniejszy panie — odrzekł starzec.

— Powtórz, doktorze...

— Najjaśniejszy pan kazać raczy mi robotę rozpocząć na nowo?

— Chcemy, żebyś jeno horoskop powtórzył...

— Niestety, woli waszéj cesarskiéj mości uczynić zadość nie jestem w stanie... Mówiły za mnie siły niebieskie, któreby znów zaklinać potrzeba...

— Napis...

— Napis? — zapytał.

— Karton nam pokaż — rzekł cesarz, oczami wskazując.

Starzec karton ze stołu wziął, cesarzowi go pokazał i cesarz nie wyczytał na takowym nic, nie nosił bowiem na sobie pisania śladów najmniejszych.

— O? — odezwał się zdziwienia tonem.

Starzec stał z kartonem w ręku.

— Było tu imie...

— Nie wiem — odparł.

— Zgoła? — zapytał cesarz.

— Najjaśniejszy panie—odpowiedział, nadając wyrazom akcent protestu uniżonego.

Cesarz wstał, do okna podszedł; chwil kilka wpatrywał się w punkt na niebie, w którym Wenus jaśniała, odwrócił się i krokiem powolnym ku baryerze się skierował; za baryerę ręką się ujął, spuszczać się począł i w otworze zniknął.

— Aaahf—odetchnął astrolog stary, wyczekawszy, aż w otworze znikła nie tylko osoba cesarska, ale i słuchu onéj donioslość.

Odetchnął, uśmiechnął się, biret doktorski na głowie sobie poprawił i na zegar okiem rzucił.

— Toć to północ już minęła... uu?.. Hm?.. Młoda kobieta młodemu człowiekowi w oko wpadła i... co?.. gwiazdy temu winne.... O gwiazdy!.. Trzeba jednak na kogoś odpowiedzialność zwalić: na kogoż, jeżeli nie na gwiazdy?..

Tocząc tę z samym sobą rozmowę, na stole porządek czynił, instrumenta poukładał, znaki z sukna postrzepywał i, książki przesuwając, nad jedną się zastanowił. Nie czytał jéj, ale patrzał na nią przez chwilę, oczy przymrużył, głowę nieco przekrzywil i tonem przekąsu odezwał się:

— Kopernikus... Ph?.. Czy co z tego będzie?... Nic chyba.... Było gadania trochę i gadanie poszło na wiatr.... nie — poprawił się i z uśmiechem dodal: na gwiazdy, które nie nadaremnie świecą, kiedy ludziom poczciwym zysk niosą... Gdyby nie gwiazdy, co bym ja począł z sobą?.. O gwiazdy!..

Że wszystko już ułożone i uporządkowane było, staruszek lampę wziął i temi samemi schodami, na których znikł cesarz, spuszczać się w dół począł. Schody kręcone szły przez cztery piętra i na piętrze każdém ustęp formował izbę, podobną do téj, w któréj założoném zostało obserwatoryum astrologiczne. Różnica polegała na tém, że obserwatoryum było sklepione, ustępy zaś miały sufity płaskie, opierające się na grubych belkach drewnianych. Na dole w ścianie widziéć się dawało drzwi troje — jedne wielkie, kute, te prowadziły na podwórzec, dwoje małych, również kutych, przebitych w murze w jednakowéj od pierwszych odległości. Tu się poczynały schody, po których gdy zeszedł mąż uczony, było cicho i pusto. Starzec się zwrócił do drzwi małych na prawo, klucz z kieszeni wydostał, zamek otworzył, wyszedł i pozostała za nim ciemność. Gdy jednak na pół godziny przedtém zeszedł był cesarz, ciemność rozpraszały latarnie i oświecały gromadkę ludzi uzbrojonych, którzy go przyprowadzili i odprowadzili. Leopold wyszedł drzwiczkami na lewo; warta ruszyła za nim i towarzyszyła mu przez długi, pusty kurytarz, doprowadzający do schodów. Na schodach on szedł przodem, warta postępowała za nim. Na piętrze pierwszém przedstawiły się znów drzwi, za któremi się znów otworzył kurytarz. Daléj nastąpiły komnaty. W jednéj z nich warta się zatrzymała, cesarz minął następną; słabo oświeconą i zakończył pochód swój w pokoju, dającym się od pierwszego oka rzutu rozpoznać, że był to pokój sypialny. Z boku, od ścian nieco odsunięte stało kotarami osłonięte łoże wspaniałe, w kącie na stoliku paliła się lampa alabastrowa; na kominie gorzał ogień. W pokoju przyległym służba na wezwanie czekała.

Długo jednak służba czekała nadaremnie. Leopold I nie wzywał jéj i sam się nie rozbierał. Usiadłszy najprzód przy kominku, w płomień oczy wlepił i dumał. Od kominka przeszedł do okna, otworzył je i oczami śledził migotania gwiazd w konstelacyi, w któréj Wenus jaśniała; od okna udał się do klęcznika, ukląkł na poduszce, dłonie złożył, głowę spuścił i pogrążył się w modlitwie cichéj, którą zakończył odezwaniem się głośnem:

— Panie, czyż ja nie mam prawa być równie szczęśliwym jak poddany mój!..

Klęczał chwilę jeszcze z głową do góry podniesioną i z wargą drgającą; z klęczek wstał, w dłoń klasnął—wbiegło trzech szatnych

i przystąpiło do osoby monarszéj, która wnet, z odzieży dziennéj rozebrana, w nocną przebrana, w szlafmycę zaopatrzona, w pościeli położona i ciepło okryta, do zażywania snu przysposobioną została. Dodawać nie potrzeba, że sen uciekał od powiek Leopolda I.

XII. **Na polowaniu.**

Luboć się cesarz położył bardzo późno, wstał jednak nazajutrz rano, to jest, o téj godzinie, o któréj wstawać zwykł; mszy porannéj w kaplicy zamkowéj wysłuchał, śniadanie spożył i, przebrawszy się stosownie, na łowy pojechał. Na koniu wyglądał nieświetnie. Rumak dzielny, co pod nim, munsztuk żując, szedł z zacięciem zrywania się do lotu, nie nadawał postawie jego akcentu rycerskości. Cesarz trzymał się pochyło i taką miał minę, jakby na siodle drzémał. Może i drzemał ze względu na to, że noc bezsennie spędził. Za nim w oddaleniu niejakiém postępowała eskorta świetna, złożona w części z gwardyi przybocznéj, w części z urzędników dworskich, wchodzących do korpusu łowieckiego. W przejeździe przez miasto wiedeńczycy i wiedenki zatrzymywali się i pokłonem pochylali. Cesarz mijał ich obojętnie. Za miastem kawalkada ruszyła kłusem i na miejscu zbornéni stanęła punkt o godzinie oznaczonéj, szykując się nieopodal od zastępu zaproszonych, złożonego z osób płci obojga.

Miejsce zborne znajdowało się w południowo-zachodniéj Wiednia stronie, pomiędzy Schönbrunnem a Kalksburgiem. W punkcie tym wznosił się zniszczony późniéj przez Turków pawilonik, przed którym w linii prostéj ciągnęła się baryera biała, oznaczająca zagrodzenie. Z boku nieco w baryerze otwierały się wrota na biegunach osadzone, za nią zaś widniały lasy, okrywające przestrzeń, rozlegającą się pomiędzy rzeczkami Wien, od któréj stolica nazwę wzięła, a Liesing, która Wiedeń zdala od południa opływa i, w połączeniu ze Schwechem, do Dunaju wpada. Przestrzeń ta przedstawia się pod postacią wyżyny wzgórzystéj, rozłożonéj symetrycznie do pasma, ciągnącego się z zachodu na wschód i stanowiącego podział wód, które w strumieniach spływają na północ ku Wienowi i na południe do Liesinga. Strumienie tworzą wąwozy, jedne urwiste, inne o spadkach łagodnych, inne znów urwiste i kamieniste. Śród lasów polany i miejsca otwarte formują mniejsze i większe wytoki, które, w kombinacyi z wąwozami, wytwarzają knieje i stanowiska myśliwskie.

Miejscowości téj część, wysokim ogrodzona częstokołem, zajętą była na zwierzyniec, część większa ku zachodowi wysunięta

przeznaczoną była na wyłączny dla cesarza myśliwski użytek. Łowy odbywały się w ten sposób, że ze zwierzyńca wypuszczano jelenie, sarny, zające, wilki, lisy, dziki, niekiedy niedźwiedzi nawet i te, przez psy gonione, wpadały do kniei i wychodziły na stanowisko cesarskie. Wszystko to było uregulowane i oprogramowane. Na stanowiskach cesarskich wznosiły się altany z balkonami, w kraty żelazne na wypadek wszelki zaopatrzone. Zwierz ten jeno od strzału cesarskiego nie zginął, który, bądź przeznaczony był na zapasy z psami, bądź też wymykał się, w bok szedł i knieją zmieniał. Żaden jednak nie uchodził, knieje bowiem obrzucano sieciami, buntownik się w takowe dostawał, uplątywał i z powrotem do zwierzyńca szedł. Że Leopold I dosyć często chybiał, więc myśliwi inni mieli sposobność strzelania; w razie takim jednak mówiło się, że „zranionego przez najjaśniejszego pana“ dokonywali.

Takiemi były łowy, na które księstwo Frangopano zaproszeni zostali. Z góry przez wielkiego łowczego wtajemniczeni, wiedzieli co ich czeka. Chodziło o wystąpienie stosowne, o przejażdżkę wświcie cesarskiéj i o uczestniczenie w końcu w śniadaniu, które się przyrządzało w Wiedniu i zastawiało, bądź—gdy pogoda sprzyjała—na otwartém powietrzu, bądź też w pawilonie. Pawilon na to był właśnie.

Dnia tego jednak pogoda dopisywała świetnie. Po mglistym nieco poranku nastąpił dzień jesienny jasny i cichy, nacechowany tą smętnością, którą zżółkłe liście nawiewają i obnażone gałęzie charakteryzują. Zastęp zaproszonych, nieliczny ale dobrany, uszykował się wzdłuż drogi, jak skoro eskorta cesarska ukazała się wdali. Jeźdźcy płci obojéj stanęli w szeregu jednym, w którym księżnéj Julii dostało się miejsce na skrzydle prawém. Młoda kobieta wyglądała pysznie. Pod nią był koń kary kruczéj czarności, arabskiéj rasy, ognisty a łagodny, na którym ona, w udrapowaniu odzieży, co kształty jéj uwydatniała, wydawała się niby geniusz wmieszany pomiędzy śmiertelników zwyczajnych. Jazda konna przyrumieniła jéj policzki; z pod odrzuconego w bok woalu gazowego, który z ukosa przez czoło wałkiem lekkim się przewijał, wyglądały oczy jéj duże, czarne. głębokie. Siedziała na siodle od niechcenia, prowadziła konia z wdziękiem niewysłowionym,—zdawało się, że była przewodniczką tego szeregu jeźdźców, co się w lewo od niéj ciągnął—że hetmaniła temu orszakowi świetnemu, w którym konie i ludzie, rynsztunki i odzieże odznaczały się wyglądem i bogactwem.

Cesarz zrobił zastępu tego przegląd—przed szeregiem przejechał i razy kilka głową skinął. Przegląd zaczął od lewego. Naskrzydle prawem zatrzymał się—widocznem było, że przemówić coś chciał,

lecz konia ściągnął i, ściągając, niewłaściwie go snadź zażył tak, że koń, zażyciem tém zdziwiony, na tylnych łapach przysiadł i przedniemi do góry się wspiął. Cesarz w siodle równowagę stracił—strzemiona i cugle wypuścił. Koniuszowie poskoczyli. Na szczęście koń, który intencyi złéj nie miał najmniejszéj, stanął i jeźdźcowi do odzyskania równowagi pomógł. Masztalerz go pogłaskał; cesarz strzemiona włożył i cugle ujął i, nie oglądając się, daléj ruszył.

Wypadek ten sprawił niejaki, pomiędzy damami zwłaszcza, niepokój. Słyszéć się dało ochów parę. Księżna Julia nie krzyknęła, strwożyła się jednak; pomyślała sobie, że najjaśniejszy pan nie należy do rodzaju jeźdźców znakomitych i dla tego wielkiém było zdziwienie jéj, gdy usłyszała, mimowolnie niby wyrywające się z ust, wykrzykniki:

— Jakże świetnie jego cesarska mość konia zażył!..

— Jakiż z najjaśniejszego pana jeździec doskonały!..

— O jeździec...—w duchu sobie powiedziała.

Politowanie ją zdjęło. Na zastanawianie się atoli czasu nie miała, w chwili téj bowiem wielki łowczy na damy skinął i wskazał im miejsce tuż za cesarzem. Damy się naprzód wysunęły. Amazonek dwanaście do Leopolda I, przyszlusowało. Cesarz, ochłonąwszy z wrażenia doznanego, wprowadził konia w ten chód szkolny, co się kurs galopkiem zowie. Damy wnet kursgalopkiem ruszyły. Za przykładem dam poszedł hufiec męski. Galopował cesarz, galopowały damy, galopowali dygnitarze wysocy, galopowała eskorta; tentent kopyt wszedł w takt miarowy a to dla tego, że ponieważ Leopold I z prawéj nogi konia swego do galopowania poruszył, więc wszystkie i wszyscy z nogi prawéj galopowali. Powstało stąd regularne: tra-ta-ta—tra-ta-ta—tra-ta-ta, które echo na lasy niosło i w ostępach powtarzało. Tra-ta-ta rozlegało się po okolicy. Młoda hrabina jakaś, co obok księżny jechała, za ruchem galopka ciałem się podając, zawołała:

— Ach! jakież to zachwycające...

— Co?..—zapytała księżna.

— Nie słyszysz pani... echa?.. Góry górom, lasy lasom jazdę naszą podają... Zdaje się, jakby nas jechało tysiące tysiące... Ach! nikt jak najjaśniejszy pan jazdy urządzać nie umie... Ach! te echa...

Tra-ta-ta—tra-ta-ta. Cesarz zadumany jechał przodem, mijając pikierów, którzy go, ustawieni wzdłuż drogi co kroków półtorasta, salutowali. Galopował, kiwał się i myślał. O czém myślał? Może o gwiazdzie téj, co w konstelacyą jego weszła i na którą mu astrolog horoskop postawił? Horoskop imię Julii wypisał. Kobieta żadna bardziéj, aniżeli ona, gwiazdą się zwać prawa nie miała. Jaśniała,

promieniła, światłem się mieniła i na karym źrebcu galopowała. Może Leopold myślał o tém, jak koniowi lekką być musiała, albo o tém, z jakiém uczuciem kary źrebiec na grzbiecie swoim ją dźwigał, albo o czémś podobném. Rzeczy takie przypuszczalnemi były z tego względu, że cesarz dopuszczał się w momencie tym, czego się przedtem nie dopuszczał nigdy, a mianowicie, głowę spuszczoną w bok wyginał i przez ramię w tył spojrzenia rzucał. Rzucał spojrzenia nie na kogo innego, tylko na księżnę Frangopano. W manewrze tym tak się wydoskonalił, że spojrzenia wydłużał i zmieniał je w patrzenie. Była to sztuka nie mała. Sztuka ta atoli sprowadziła zdarzenie nadzwyczajne.

Droga prowadziła wzdłuż strumienia Liesing do Breitenfurth i w Breitenfurth zwrócić należało w prawo, ażeby dojechać do uroczyska, zwanego Wilcze Doły (*Wolfsgraben*), na którém odbyć się miały łowy. Drogę tę cesarz znał doskonale, przewodniczył dobrze, dojechał do Breitenfurth i, zamiast wziąć się w prawo, w tył się zapatrzył i pogalopował wprost. Pogalopował cesarz, pogalopowały damy, pogalopowali zaproszeni panowie i dworzanie i eskorta—wszyscy. Na damach, panach i eskorcie nie sprawiło to wrażenia najmniejszego. Cesarz prowadził, oni się za nim garnęli. Dworzanie jednak zaniepokoili się ogromnie. Na Wilczych Dołach przysposobioném było polowanie i śniadanie. W cóż się to obróci? Dwa odyńce na uwięzi czekają przy parkanie, czeka niedźwiedź z lasów tyrolskich sprowadzony, czeka jeleni kilka, psy skomlą, dojeżdżacze w pogotowiu stoją, a cesarz towarzystwo łowcze Bóg wie dokąd prowadzi.

Za Breitenfurthem droga zmieniła postać, z szerokiéj bowiem, równéj i ujeżdżonéj stała się wąską pod górę idącą i nie noszącą na sobie śladów uczęszczania. Szczegół ten nie zwrócił na siebie uwagi cesarza. Galopował daléj pomimo, że koń nie szedł tym pewnym, co poprzednio, krokiem. Nie zważał na to, że przy drodze pikierów nie było i, dzięki okoliczności téj, nie była ona oczyszczoną z zawad, jakie przedstawiają podróżni. Skutkiem tego, trafił się chłop z furą drzewem nałożoną. Chłop z drogi nie zboczył, cesarz na niego wprost najechał i byłby ze spotkania tego nastąpił wypadek, gdyby nie koń, który furę z natchnienia własnego wyminął. Damy zdumionego chłopa objechały, panowie takoż; z eskorty gwardzista jeden mimojazdem dla zabawy korbaczem go ściągnął; wielki łowczy się przy nim zatrzymał i zapytał:

— Dokąd droga ta prowadzi?..

— Oj oj...—była odpowiedź.

— Czego stękasz?.. Nie stękaj, ale odpowiadaj!..

— Odpowiadam na zapytanie, co mi na plecy spadło...

— Odpowiadaj na to, co ci do uszów wpada, jeżeli ci uszy milsze aniżeli plecy... Dokąd droga ta prowadzi?..

— Na zrąb...

— A za zrębem?..

— W las...

— A za lasem?..

— W wąwóz pfalzauski...

— Czy z wąwozu tego można na Wilcze Doły wyjechać?..

— Można, ale trzeba do Breitenfurth wrócić...

Informacye te dostawszy, wielki łowczy ostrogami konia spiął i za orszakiem popędził.

Widoczném było, że cesarz zbłądził, nie było jednak nikogo, coby się go z błędu wyprowadzić ośmielił.

Kursgalopek szedł daléj porządkiem swoim z tą jeno różnicą, że się echo nie rozlegało. Dźwięczny tentent kopyt zmienił się w mętny łoskot deptania. Zaszła zmiana jeszcze jedna. Poprzednio damy jechały po sześć z frontu; na wąskiéj drodze musiały się wyszykować dwójkami. To ostatnie usunęło księżnę z pod promieni spojrzeń w tył cesarskich i zmusiło Leopolda I do wykręcenia się na siodle w celu dowiedzenia się, co się stało. Popatrzył, ale—czy widział? Od chwili téj spojrzeń w tył już nie rzucał, patrzał przed siebie i dojechał na zrąb, na którym tu i owdzie drzewo w sągach stało, tu i tam chłopi fury ładowali, ślady kół się rozchodziły i plątały, pnie sterczały, a w poprzek leżał dąb duży zrąbany. Na widok dębu tego koń cesarski kark wygiął, uszy nastawił, furknął, nogi zebrał i susem jednym na drugą stronę kłody się przerzucił.

Przerzucił się koń, przerzucił się cesarz, ale, niestety—nie na koniu. Koń, kitę do góry podjąwszy, brykać począł; cesarz zaś pozostał na ziemi grzbietem do góry, przedstawiając postawą swoją podobieństwo niejakie do X. Z siodła, niby z procy, wysadzony, zakreślił w powietrzu łuk i padł na ziemię plackiem, pozbywając się z głowy kapelusza i peruki. Kapelusz, peruka i on zajmowali miejsca oddzielne, pierwszy na prawo na ziemi legł, druga na pniu zawisła, trzeci zaś, na wielkie swoje szczęście—na to szczęście, co rodowi Habsburgów stale przyświeca—dostał się na miękki grubo warstwą liści suchych okryty grunt.

Wypadek ten z piersi dam wydobył jeden wielki okrzyk trwogi. Wszystkie przed dębem konie wstrzymały i, zanim okrzyk ich przebrzmiał, z po za kolumny damskiéj wyskoczył, wichrem mimo przepędził, przez dąb przesadził i na miejscu przy cesarzu konia osadził jeździec. Jeźdźcem tym był markiz Frangopano. W mgnieniu oka

z konia zeskoczył, pochylił się, cesarza ramieniem wpół objął, dźwignął i na nogi go postawił.

— Najjaśniejszy panie... co?..—ze spółczuciem przemówił.

Cesarz się zatoczył, wnet jednak poprawił się i o sile własnéj stanął.

— Wody może?..

Leopold I nic nie odpowiadał.

— Jak się wasza cesarska mość czujesz?..

Przez czas ten dojechał orszak cały; mężczyzni z koni pozsiadali i w oddaleniu, jakie etykieta nakazuje sformowali półkole, w którém oblicza wszystkie przyodziały się w wyraz smutku głębokiego. Masztalerze poskoczyli do konia cesarskiego i wnet go pojmali. Łagodne zwierzę brykało, lecz wziąść się dało.

Cesarz nic nie odpowiedział na ostatnie markiza zapytanie i wprawił go przez to w położenie fałszywe. Frangopano nie wiedział, co z figurą swoją począć. Spodziewał się podziękowania a nie dostawał odpowiedzi; patrzał w oblicze Leopolda I i widział, jak twarz jego, blada zrazu, odzyskiwała powoli barwę cery zwyczajną, jak oczy, które wyrażały przestrach, przybierały wyraz niezadowolnienia surowego. Trwało to chwil kilka; wreszcie cesarz odwrócił się do niego tyłem i wykonał skinienie, zrozumiałe jeno dla dworzan. Dworzanie poskoczyli. Wielki marszałek przystąpił w postawie, oznaczającéj oczekiwanie na rozkazy. Zamiast rozkazu usłyszał zapytanie.

— Gdzie się podział Breitenfurth?..

— Pozostał, najjaśniejszy panie, za nami...

— Przejechaliśmy go?..

— Przejechaliśmy, najjaśniejszy panie...

— Niech tam na nas czekają...

Rozkaz ten wielki marszałek orszakowi myśliwskiemu powtórzył i wnet damy się zwróciły, panowie na koń powsiadali. Markiz jeszcze, co ze sobą począć nie wiedział. Wydawało się mu, że mu się należy przynajmniéj, jeżeli nie Bóg zapłać serdeczne, to uprzejme bodaj głowy skinienie. Nie wiedział, że stoi w obec tego samego Leopolda I, który nie będzie się czuł obowiązanym dziękować Sobieskiemu, za pewną — „przysługę małą.“ Nie wiedział też, co począć z sobą,—aż marszałek na niego skinął, dając mu znak oddalenia się. Nie pozostawało nic innego: cofnął się, na koń wsiadł i w chwilę późniéj złączył się ze zjeżdżającym z góry orszakiem, w którym rozmowa toczyła się o wypadku, o zimnéj krwi i o heroicznêm znalezieniu się cesarza, a także o tém, że nad świętą osobą jego wyraźnie czuwa opatrzność.

— Ten pień...—ktoś się odezwał.

— Ach! pień...—ktoś zawołał.

— Bez przerażenia o tém myśléć nie można...

— Tak blisko...

— Tak blisko, że... peruka...

Na wzmiankę o peruce, jednéj z dam słabo się zrobiło, opanowały ją mdłości,—pogarnięto się do niéj z solami i było to wielkie dla księżnéj Julii szczęście, uwaga bowiem na mdlejącą damę zwrócona odwróciła się od niéj w chwili, kiedy ona śmiechem parsknęła. Do śmiechu pobudziło ją wspomnienie peruki na pniu. Koniowi cugle ściągnęła, usta sobie chustką od nosa zasłoniła i zapanować zdołała nad wybuchem, który by ją był na wieki skompromitował. Ochotę jéj do śmiechu zneutralizowały przytém słowa męża.

— Zdaje się—rzekł markiz półgłosem, przyszlusowawszy do niéj—żem się naraził na niełaskę cesarską...

— Skąd-że to!..—odparła.

— Etykietę zgwałciłem...

— W razach podobnych wolno chyba gwałtu się na etykiecie dopuścić...

— Zdaje się... Ale...

Ktoś podjechał; rozmowa się pomiędzy małżeństwem zerwała; księżna straciła do śmiechu ochotę.

Orszak, z góry zjechawszy, zatrzymał się w Breitenfurth przy karczmie.

— Cóż nastąpi daléj?..—rzucił ktoś pytanie.

— Dziś z łowów nic już nie będzie...—odpowiedział z dygnitarzy jeden.

Opinia ta znalazła uznanie o ile powszechne, o tyle jednogłośne; nie wiedziano jeno, jak się odbędzie powrót do Wiednia i czekano, bądź na rozkazy, bądź na powrót cesarza, w ogóle—na wiadomość ze zrębu. Z panów jedni z koni pozsiadali i przechadzali się, inni żartować poczęli z chłopami, których ściągnęła obecność jeźdźców płci obojga, przedstawiających grono, jaśniejące przepychem. Chłopi, w gromadę zbici, przypatrywali się oczami zdziwionemi. Wszystkie dzieci, prawie wszystkie niewiasty i nie jeden z mężczyzn mieli usta otwarte. Na zadawane im zapytania albo nie odpowiadali wcale, albo odpowiadali pomrukiem niezrozumiałym, a ściągali się w ilości coraz to większéj tak, że zebrała się pod karczmą ludność wsi całéj w momencie, gdy z góry kłusem wyciągniętym nadjechał łowczy wielki. Nadjechał, konia wstrzymał i głosem donośnym zawołał:

— *Pleno titulo* panie i panowie, uszykować się raczcie tak samo, jak pod pawilonem... Najjaśniejszy pan przybyć raczy za chwilę...

Wnet panowie rzucili się do koni, powsiadali i uszykowali się. Od karczmy drogi się rozchodziły—jedna do Wiednia, druga do Wilczych Dołów. Szereg wyciągnął się wzdłuż pierwszéj.

— A nie!..—zawołał wielki łowczy—nie tędy...

Drogę do Wilczych Dołów wskazał.

— Nie do Wiednia?..—ktoś zapytał.

— Nie...—odpowiedział.

— Łowy więc?..

— Łowy...—odrzekł wielki łowczy i, gdy się szereg wyrównał, dodał:—Najjaśniejszego pana okrzykiem uwielbienia powitać należy, za zbliżeniem się przeto osoby jego, niech w szeregu panuje milczenie, niech jeno oczy wasze, panie i panowie, wyrażają zachwyt i nie prędzéj, aż jego cesarska mość do środka szeregu dojedzie, niech nagle i mimowolnie z piersi wszystkich wydrze się okrzyk: *Hoch*!.. Koniecznêm jest, ażeby okrzyk był mimowolny...

Zwrócił się następnie do wieśniaków.

— Wy chłopi!..—podniesionym zawołał głosem. Wy, jak skoro okrzyk „*hoch*!“ usłyszycie, krzyczcie z sił całych... krzyczcie i czapkami wymachujcie... Rozumiecie?.. Który nie krzyknie i czapki w górę nie podniesie... kije!..

Powiódł następnie okiem po szeregu panów i gromadzie włościan i wkrótce potém ukazał się na drodze złożony z dworzan i gwardyi orszak, na czele którego jechał stępem cesarz w peruce i kapeluszu. Jechał, zbliżył się,—w szeregu panów oblicza jeźdźców przybrały wyraz rozrzewnienia radośnego i unabożnienia dziękczynnego, w oczach dam niektórych błyszczały łzy a dłonie ich niby do modlitwy się składały. Cesarz dotarł do środka szeregu—milczenia nie przerwał nikt i kto wie, co by było nastąpiło, gdyby nie wielki marszałek, który, brwi zmarszczywszy, ręką energicznie dał znak. Na znak ten z piersi wszystkich wydarł się nagle okrzyk grzmotny. Okrzyk chłopi podchwycili. *Hoch*! zabrzmiało donośnie, przeciągle, zawrzało i echem się poniosło na lasy i góry.

Leopold I zlekka kapelusz podniósł i zlekka głową skinął.

Okrzyk powtarzać się nie przestał, aż na dany przez wielkiego łowczego znak szereg się złamał i orszak sformował się tak, jak poprzednio, gdy z pod pawilonu ruszył.

Cesarz nie rzucał już spojrzeń w tył, jak na drodze z Wiednia do zrębu, niebawem też doprowadził grono gości myśliwych na Wilcze Doły, gdzie nastąpiło najprzód ogólne z koni zsiadanie, daléj rozprowadzanie na stanowiska w końcu trąbienie i hukanie. Leopold I

w otoczeniu dam, które wnętrze altany zajęły, zajął miejsce swoje na balkonie mając pod ręką dworzan, co muszkiety i lonty zapalone trzymali i w odwodzie gwardyą, która na warcie stała.

Słyszéć się dało zławianie się psów, i zławianie się to niebawem zmieniło się w to gwałtowne, chóralne, ze skowyczeniem połączone ujadanie, które znamionuje, że psiarnia goni na oko. Gonienie, echami po ostępach roznoszone, ozwało się w oddaleniu i stopniowo się wzmagało, zbliżało, aż zabrzmiało potężnie nieopodal i na strzał cesarski wyszedł duży, rozjuszony, kłami białemi i okiem zaognionéra błyskający odyniec, na którego psy, również rozjuszone, z tyłu i z boków się rzucały. Na widok ten dam kilka tłumiony okrzyk przerażenia wydało. Cesarz flintę wziął, na baryerze oparł, złożył się; giermek lont przytknął, wystrzał huknął—pies się wywrócił, odyniec daléj poszedł.

— Ranny!..—wygłosił pośpieszający za psami dojeżdżacz.

— Ranny!..—powtórzyły z kniei głosy, którym zawtórowały wystrzały, powtarzające się jeden po drugim.

Wkrótce trąbienie oznajmiło, że dzik zginął, hałas w lesie ustał i w czas jakiś późniéj wielki łowczy, poprzedzając niesionego na drągu odyńca, nadbiegł z zapytaniem, jaką najjaśniejszy pan zwierzynę ruszyć rozkaże.

Cesarz rozkaz dał. Trąbienie i gonienie powtórzyło się dla jelenia, który również zginął; powtórzyło się następnie dla drugiego jelenia i dla drugiego dzika—i tak daléj, aż się łowy skończyły i zastawiono—dla cesarza w altanie, dla gości pod niebem otwartém—śniadanie.

Po śniadaniu komendant gwardyi zażądał w imieniu cesarza od księcia Frangopano szpady, oświadczając mu, że do rozkazów dalszych aresztowanym jest w domu własnym.

XIII. **Przygoda wielkiego marszałka.**

Polowanie nie wypadło tak, jak—zdaje się—wypaść było powinno. Nieprzewidziany w programie wypadek spadnięcia z konia szyki pomieszał; aresztowanie markiza pomieszanie szyków spotęgowało. Odbiło się to na powrocie do stolicy, który się dokonał w tym samym, co wyjazd z takowéj porządku i z taką samą na pozór swobodą. W oczach jednak jadącego przodem cesarza malowało się roztargnienie, które się wyraziło przez to, że się cesarz, jak to w zwyczaju jego było, przy pawiloniku na punkcie zbornym nie zatrzymał i gości zaproszonych nie pożegnał. Przejechał—za nim pociągnęła kawalkata cała. Orszak posuwał się kursgalopkiem i dopiero u bra-

my miasta kursgalopek zmienił się na stęp a to dla téj przyczyny, że widziéć się dały drogą zalegające tłumy ludu. Koń cesarski z natchnienia własnego kroku zwolnił. Lud okrzyki „*Hoch*!“ wydawał; u saméj zaś bramy burmistrz na czele rady miejskiéj w strojach odświętnych drogę najjaśniejszemu panu zastąpił i w krótkiéj przemowie wyraził uczucie wdzięczności dla Pana niebios i ziemi, który świętą osobę jego opieką swoją osłonić raczył:

— W bolesnym—jak powiadał—wypadku... w wypadku o którym gdy wiadomość do miasta wpadła, serca wiernych poddanych twoich przejął smutek niewysłowiony... Wieść ta była dla nas wieścią Hiobową... Zmieniła ją radośna i dla tego, najjaśniejszy panie, widzisz na obliczach naszych w połączeniu nieoschłe jeszcze łzy smutku rozpaczliwego i wyraz radości niewysłowionéj...

Przy wzmiance o łzach i rozpaczy burmistrz się skrzywił; przy wzmiance o radości uśmiechem oczy napełnił i usta rozciągnął. Wypadło to arcykomicznie i byłoby dwór do śmiechu pobudziło, gdyby się był zaśmiał cesarz. Cesarz atoli, słuchając, wzrok miał w uszy konia, na którym siedział, wlepiony i najmniejszy oblicza jego ruch nie poświadczył, jako krasomówcze przemowy okresy do słuchu mu wchodzą. Przemowy nie słyszał; kontorsyi burmistrza nie widział; dolna mu warga drgała; dworzan płci obojga wargi drgały także, żaden z nich atoli, ani śmiechem nie wybuchnął, ani nawet uśmiechem ust nie okrasił. Każdy z nich stosował się do cesarza z wyjątkiem księżny Julii, która się stosowała do saméj siebie. Zawadzało jéj mocno—aresztowanie markiza. Luboć się już, jak jéj się zdawało, dostatecznie z etykietą i ze zwyczajami dworskiemi oswoiła, nie mogła jednak pogodzić się z myślą aresztu tego.

— Za co?..

Zapytanie to, w głowie młodéj kobiecie tkwiące, przeszkadzało jéj uwagę na akcentowaną mimiką komiczną przemowę zwracać. Patrzyła—nie widziała. Trzymała się gromady, nie wiedziała bowiem, co z sobą począć. Domyślała się, iżby *crimen lesae* etykiety popełniła, gdyby się od drużyny oddzieliła i do siebie udała. Trzymała się przeto gromady i z nią razem, pod przewodnictwem cesarza, dotarła na podwórzec pałacowy. Przed wnijściem główném cesarz się zatrzymał. Na dokonany przezeń ruch, znamionujący ochotę zsięścia z konia, z koni zsiadło towarzystwo całe. Odbyło się to szybko i porządnie. Masztalerze pomogli damom. Goście cesarscy znaleźli się na bruku podwórca prędzéj, aniżeli cesarz sam, który z bruku podwórca pośpiesznie wszedł na schody, przekroczył otworzone przed nim na ścieżaj podwoje i znikł. Znikł—bez oglądania się po za siebie.

Pośpiech ten miał na sobie pozór ucieczki—ucieczki, stanowiącéj sama przez się pogwałcenie etykiety dworskiéj.

Dworzanie osłupieli.

Bez rozkazu, bez skazówki najmniejszéj pozostawiona—porzucona raczéj—przed progiem płci obojga gromada nie wiedziała, co począć z sobą. Panowie i damy spoglądali jedni na drugich a w oczach ich malowało się zdumienie. Samo już poprowadzenie drużyny od punktu zbornego do zamku formę naruszało. Naruszało ją jednak w części. Najjaśniejszemu panu podobać się mogło po wypadku, o którym ludność stolicy zawiadomioną została, pokazać się ludności na czele zastępu, co był wypadku świadkiem. Powinien był jednak o świadkach pamiętać. Powinność ta frasowała szczególnie wielkiego marszałka dworu, który od pawilonu zbornego do zatrzymania się przed progiem zamkowym myślał nad rozwiązaniem niesłychanie ważnego zadania, przedstawiającego się mu pod postacią następującego zapytania:

— Gdyby najjaśniejszy pan najmiłościwiéj gościom na pokoje wejść rozkazać raczył, jak się wnijście to uskutecznić by mogło?..

Zapytanie tyczyło się odzieży. Wystąpienie gości na pokojach w odzieży łowieckiéj wydało się wielkiemu marszałkowi czynem, przechodzącym pojęcie wszelkie. Nie przypuszczał, ażeby się cesarz miał do tego zapomnieć stopnia i wprowadzić na posadzki pałacowe damy w amazonkach, mężczyzn w botfortach. Coś podobnego wydawało mu się wprost rzeczą niemożliwą. Uspokajała go atoli do pewnego stopnia nadzieja rozkazu. Nadzieja ta zawiodła. Dygnitarz znalazł się w kłopocie niewysłowionym. Stanął, we drzwi za któremi cesarz znikł oczy wlepił i miał wyraz człowieka zawstydzonego i przerażonego. Przerażenie pochodziło od poczucia ogromnéj, jaka na niego spadała, odpowiedzialności. Zwrócił się do wielkiego łowczego z zapytaniem w oczach. Wielki łowczy ramionami ścisnął i mruknął.

— *Casus fatalis*...

Sytuacyę wytłómaczył, ale rady nie udzielił.

Sytuacya wyrażała się przez to, że kilkadziesiąt osób, należących do najznakomitszych w cesarstwie rodzin, skwarzyło się na słońcu.

Słońce, luboć jesienne, przypiekało. Przypiekanie spowodowywał podwórzec zabudowany, w którym kamienie, szkła, blachy rozgrzane wypromieniały cieplik skoncentrowany. Damy wyglądały, niby piwonie. Księżnéj krew o mało z policzków nie tryskała. Było jéj duszno, a przytém niepokój ją przejmował. Oglądała się. Wydało się jéj, że w jedném z okien pałacowych widzi za szybą

oblicze cesarza. Spojrzała raz, spojrzała raz drugi; przekonała się, że w rzeczy saméj było to cesarza oblicze; nie łudziła się — chyba pod tym względem, iż wzrok cesarski na postaci jéj spoczywał. Przez szybę tego widziéć nie mogła. Złudzenie to jednak zadowolnienia jéj nie sprawiało—przeciwnie. Męża jéj aresztować kazał i jéj się przypatruje! Draźniło ją to. Chciałaby się usunąć jaknajrychléj.

Chęć tę podzielali z nią wszyscy.

Młody jeden pan, kapeluszem się wachlując, do marszałka podszedł i zapytał:

— Ekscelencyo... i jakże?..

— Polowanie się powiodło — odpowiedział dygnitarz.

— No... tak... — odrzekł młody pan tonem od niechcenia. Powiodło się....

— Znakomicie...

— O... znakomicie... Luboć...— zaczął tonem, zapowiadającym obiekcyą.

— Najjaśniejszy pan — podchwycił dygnitarz — wyrazić się raczył, że się powiodło znakomicie...

— A...—młody pan na to.—Jeżeli tak, wypadło więc jakby mu Dyana we własnéj przewodniczyła osobie... Ale... nie o to mi chodzi — zaczął.

Wielki marszałek przerwał:

— Wasza książęca mość arabczyka dosiadałeś... Czy to ten... zdobyty?..

— Nie... nie ten...

— Byłem przekonany, że ten...

— Tamto przecie siwy...

— Siwy?.. nie gniady?..

Wielki marszałek w sposób ten zagadywał, usiłując odwracać zapytanie, na które by odpowiedziéć nie umiał. Udawało się mu to z młodym księciem. Przystąpił jakiś baron—i tego zagadać potrafił. Powiodło mu się także z grafem. Wogóle z panami radę sobie dawał; ale zwróciła się do niego jedna z blondynek, rudawa trochę i nie dała mu się z tropu zbić.

— Ekscelencyo — zaczęła.

— Powinszować pani muszę — podchwycił.

— Ale....

— Wyglądałaś świetnie....

— Czy my tu na podwórzu długo jeszcze pozostawać mamy?— zapytała wręcz.

— Pogoda dzisiejsza dziwnie łowom sprzyjała — wielki marszałek na to.

— Czekamy już godzin dwie przynajmniéj...

— Godzin trzy — poprawiła szatynka, co do blondynki przyszlusowała.

— Cztery co najmniéj — odezwała się podchodząca w chwili téj brunetka.

— Pół godziny jeszcze nie ma—zareplikował wielki marszałek.

— Ekscelencyo! — wykrzyknęło kilka naraz.

Posypały się z ust pięknych sprostowania, co do czasu i reklamacye, co do pozostawania na podwórzu.

— Póki tego będzie? — odezwała się jedna tonem pretensyi.

— Panie! — zawołał wielki marszałek, dłonie podnosząc. Moje *pleno titulo* panie!.. Cierpliwości!.. chwileczkę jeszcze cierpliwości!.. Czyżbyście na tę zdobyć się nie mogły cnotę?..

— Sił brak! — odparła jedna.

— Ale nie brak poświęcenia—odrzekł marszałek.

— Poświęcenia? — powtórzyło kilka z akcentem zdziwienia; jedna zaś zapytała: — Dla kogo?..

— Dla najjaśniejszego pana... Dla najjaśniejszego pana — powtórzył dwukrotnie, dobitnie, z akcentem oznaczającym, że chodzi o rzecz wagi ogromnéj.

Z mężczyznami powiódłby się manewr podobny. Pokolenie, wychowane w poszanowaniu władzy bezwzględném, nie pytało o istotę poświęcenia i miało sobie za obowiązek najświętszy, gdy o nie w odniesieniu do osoby monarchy chodziło, dogadzać wszelakim przywidzeniom, fantazyom i dziwactwom. Poświęcało się jednakowo, czy poświęcenie polegało na zahazardowaniu życia, czyli téż na kiwaniu palcem. Z damami atoli rzecz nie poszła tak gładko, pomimo że i im na gotowości do poświęcenia się nie brakło, o czém poświadczył wydany przez jednę z nich okrzyk.

— Dla najjaśniejszego pana! — zawołała — ach!.. czegożbym ja dla najjaśniejszego pana nie zrobiła?.. Dla najjaśniejszego pana?..

— O księżno! — odparł wielki marszałek wzruszony i rozrzewniony.

— Tak... gdyby najjaśniejszy pan zażądał odemnie życia, dałabym mu bez namysłu życie... wszystko... ale...—zaczęła.

— Pani... — podchwycił wielki marszałek, przeczuwając restrykcyą jakąś groźną. — Chwilka cierpliwości mniejszą jest, aniżeli wszystko....

— Na podwórzu?.. na słońcu? — zapytała.

— Poświęcenie....

— Cóż najjaśniejszemu panu po poświęceniu, które prowadzi do zemdlenia?

Gdy wyraz ostatni wymówiony został śród dam, które wielkiego marszałka otoczyły, słyszéć się dały stękania i pojękiwania. Były to wszystko damy młode i mniéj więcéj piękne, wydawały więc stękania i pojękiwania dźwięczne. Wydzierające się z piersi ich achi i ochi brzmiały srebrzyście. Przypuszczać należy, że brzmienia te, zlewające się w rodzaj pewien chóru śpiewnego, wzruszały wielkiego marszałka, człowieka acz leciwego i poważnego, ale jarego i podpasionego, a więc odczuwającego na sobie wpływ kukań niewieścich. Położenie męża tego przyrównać by się dało do położenia przepióra śród bijących na trwogę przepiórek. Otaczające go damy podchwyciwszy ostatni téj księżny, co z nim mówiła, wyraz, jedna po drugiéj wywoływać poczęły:

— Jam bliska zemdlenia!..

— Duszno mi... oh!..

— Ja mdleję!.. ach!..

— Po co my tu? — odezwała się jedna głosem skargi tkliwéj.

Wielki marszałek miał na zapytanie to tłómaczenie racyonalne: „Cesarz rozkaz dać zapomniał." Ale—czyż on powiedziéć mógł, że „cesarz zapomniał"? W czasach owych było to rzeczą nieprzypuszczalną. Cesarz, pomazaniec boży, nie myli się i nie zapomina nigdy. Nie—wielki marszałek do tłómaczenia podobnego uciec się nie mógł. Nie pozwalało mu na to sumienie. Nieomylność cesarska stanowiła dla niego dogmat religii politycznéj, który ukuty na dworze hiszpańskim, przeszedł na dwory francuski, austryacki i na tym ostatnim wzmógł się w potęgę wielką. Wielki marszałek przeto myśl o zapomnieniu cesarskiém odganiał od siebie i raczéj by dopuścił, ażeby mu język w gębie usechł, aniżeli by miał odpowiedzialność własną podobném osłonić tłómaczeniem.

— Cierpliwości!.. poświęcenia!.. Poświęcenia, cierpliwości! — przemawiał do dam z błagalnym w głosie akcentem.

Akcent ten nie zdołał katastrofy odwrócić. Jedna z dam—hrabina czy baronowa któraś — zemdlała. Męska towarzystwa połowa pogarnęła się do niéj z ratunkiem. Słyszéć się dały okrzyki trwogi, okrzyki, które wielkiego marszałka zatrwożyły. Okrzyki podobne na podwórzu cesarskiém? — skandal!.. Mdlejące damy w zamku, w którym, niby w świątyni, chodzono na palcach i mówiono po cichu?.. Jeżeli nieczekanie na rozkaz było w mniemaniu jego występkiem, to występkiem jeszcze większym przedstawiło się mu dopuszczenie dam do rozruchów mdławych pod bokiem cesarza. Horror! Przed czémś podobném wzdragała się dworska dusza jego. Nie— tego on nie dopuści. Nie — tego on dopuścić nie może. Przed nim stanęła alternata, złożona z dwóch pogwałceń formalności, z których

jedno było złém, drugie gorszém jeszcze. Przedstawiło się mu do wyboru: to, albo to. Poznał, że wahać się nie można, poczuł w sobie popęd heroiczny—wybrał. Na odpowiedzialność swoję wziął złe mniejsze.

— Niech będzie co chce — odezwał się tonem, który drżeniem swojém zdradzał postanowienie heroiczne. Panie i panowie, w wypadku tym nadzwyczajnym odważam się na czyn, który mieć może następstwa groźne!.. Żegnam was w imieniu najjaśniejszego pana!..

Wyrazy ostatnie wymówił z pewnym rodzajem uniesienia, znamionującego dziwienie się odwadze własnéj. Wymówił je i stanął w postawie, wyrażającéj oczekiwanie na następstwa. Myśliwi tymczasem koni dosiadali. Panowie posługiwali damom, udzielając im pomocy do podnoszenia nóg na wysokość strzemion i usadowiania się na siodłach. Czynności téj młodzież oddaje się z ochotą. Wielki marszałek przypatrywał się onéj obojętnie, myśląc o czynie własnym, nie zważał przeto, jak jeden z grafów młodych podsadzał małżonkę jego, jak ona następnie rękę mu na siodle przysiadła, jak na młodego człowieka wymownie spojrzała i jak młody ów pan, wyekspedyowawszy wielką marszałkowę, poskoczył do markizy Frangopano i jéj również do wsiadania na koń pomagał. Ale mu ona na siodle ręki nie przysiadła. Podziękowała, wdzięcznie się uśmiechnęła i odjechała.

Jak skoro ona poprzedzając towarzyszącego jéj masztalerza, za bramą zamkową znikła, jedno z okien zamkowych z trzaskiem się otworzyło i w oknie ukazała się postać cesarska.

W chwili téj młody graf do wielkiego marszałka się zbliżył w intencyi zamienienia z nim słów kilku.

Lecz na doprowadzenie intencyi swojéj do skutku czasu mu zabrakło. Z okna słyszéć się dał głos cesarza. Głos zabrzmiał gniewnie, ucinkowo, metalicznie. Wielki marszałek skamieniał; młody graf również. Nie rozumieli oni tego, co cesarz powiedział. Wnet atoli zrozumieli. Przed nimi jawił się komendant warty pałacowéj i zwracając się do wielkiego marszałka w te do niego przemówił słowa:

— Z rozkazu najjaśniejszego pana mam zaszczyt aresztować ekscelencyą waszą... Upraszam ekscelencyi waszéj o oddanie mi szpady i o udanie się na strażnicę...

Wielki marszałek w milczeniu szpadę odpiął i oficerowi wręczył.

Komendant zwrócił się do grafa.

— Z rozkazu najjaśniejszego pana mam zaszczyt aresztować waszą nawskróśjasność... Upraszam nawskróśjasności waszéj o oddanie mi szpady i udanie się na strażnicę...

Nawskróśjasność w milczeniu, z wielkiém atoli w oczach zdumieniem, szpadę odpięła i oficerowi wręczyła.

— Proszę *pleno titulo* panów za mną—przemówił ten ostatni.

Wielki marszałek i młody graf poszli za oficerem, który ich zaprowadził na strażnicę i z oznakami grzeczności wielkiéj oddał pod wartę, zalecając komendantowi warty, ażeby ich nie puszczał bez wyraźnego najjaśniejszego pana rozkazu.

— Warta ścisła — dodał.

Wskutek zalecenia tego winowajcy ulokowani zostali w izbie do strażnicy przyległéj, zaopatrzonéj w drzwi mocno okute i w okna grubo okratowane. Meble w izbie téj składały się z pryczy i stołków paru. Służyła ona za więzienie dla paziów, gdy się z nich który zbytku lub przekroczenia dopuścił. Paziowie zależeli od zwierzchniéj wielkiego marszałka władzy. Z powodu tego była mu ona znaną, pozostawała bowiem w rozporządzeniu jego. Posyłał do niéj chłopców, smarkaczów i oto — dostał się sam. Nie spodziewał się czegoś podobnego. Stąd téż, gdy się drzwi za nim zamknęły, opanował go smutek wielki—tak wielki, że nie usłyszał wyrazów, które do niego wystosował młody graf.

— Oto się nam, ekscelencyo, trafiło!..

Wielki marszałek wyrazów tych nie słyszał. Na środku izby stanął, ręce wyciągnął, palce u rąk splótł i głowę spuścił.

— Oto się nam, ekscelencyo, trafiło!—powtórzył graf.

— Ha! — odrzekł wreszcie.

— I za cóż to?..

— Za co?..

— Dopuściliśmy się przestępstwa jakiegoś... Spadła na nas kara...

— Kto wié, czy to kara...

— Cóż więc?..

— Może więzienie prewencyjne — odpowiedział wielki marszałek z westchnieniem.

— I czeka nas sąd?..

— Kto wié...

— Który—ciągnął graf—wskazać nas może na utratę czci, majątku, na banicyą, na śmierć?..

— Kto wié...

— Od czegoż to zależy?..

— Od najwyższéj woli najjaśniejszego pana — odrzekł wielki marszałek tonem rezygnacyi pokornéj.

— To mi się podoba! — zawołał graf. Radbym jednak istotę winy mojéj znać...

Marszałek westchnął.

— Czy wiesz, ekscelencyo, czémeś przewinił?..

— Wiem — westchnął.

— A... to co innego... Powiedz-że mi...

Wielki marszałek głową pokiwał i na stołku usiadł.

— Powiedz przynajmniéj, jaki ja w winie twojéj udział wziąłem, albo wziąść mogłem?..

— Żadnego... zdaje się... — odpowiedział zapytany głosem niepewnym.

— Los twój jednak z tobą podzielam...

— Tak się najjaśniejszemu panu podobało...

— Jakaś w tém jednak musi być racya — zaczął graf — jakąś popełniłem winę... Kiedy?... jaką?... Dawniéj, czy obecnie?.. Dawniéj ?.. — zamyślił się na chwilę. Nie... nie przypominam sobie nic a nic... Obecnie zaś popełnić mogłem coś zdrożnego chyba w tym momencie, kiedy najjaśniejszy pan okno otworzyć raczył...

— Najjaśniejszy pan w oknie stał i patrzył...

— Patrzył... Cóż widział?.. Ach!.. — wykrzyknął graf i dłonią się w czolo uderzył. Niezawodnie widział!..

— Co? — zapytał wielki marszałek.

— A!.. co?.. Dokonałem dwóch czynności, z których jedna.... Nie widziałeś, ekscelencyo?..

Wielki marszałek przypominając sobie, wzniósł do góry oczy i po chwilce odpowiedział:

— Markizie Frangopano na koń wsiąść pomogłeś...

— Tak... Ale to nic...

— Pomógłeś wsiąść na koń żonie mojéj...

— Niestety — odparł graf z westchnieniem.

— Miałżebyś oddaną żonie mojéj usługę uważać za winę sobie.

Młody graf z pod oka na wielkiego marszałka spojrzał i odpowiedział:

— Nie .. nie ja uważam, ale najjaśniejszy pan dostrzegł może czego....

— Czego, naprzykład?.. Raczył chyba nie upodobać sobie tego, żeś pomocy udzielił małżonce winowajcy....

— Może... zapewne... — podchwycił graf tonem, jakim się wygłasza domysł, rozwiązujący zagadnienie. Tak... zapewne... W takim jednak razie, celem poznania doniosłości winy mojéj, radbym się, ekscelencyo, dowiedzieć o twojéj. .

— O mojéj?.. Ach! — odrzekł wielki marszałek.

— Czegóżeś się dopuścił?..

— Zgwałcenia formy — odpowiedział głosem takim, jakim by mówił: „Morderstwa.“

Odpowiedział i westchnął głęboko.

— W czém? — zapytał graf.

— Nie ma co taić... losy nas połączyły ciosem spólnym, wyznam więc przed tobą, żem pożegnał gości myśliwych bez czekania na rozkaz najjaśniejszego pana... Dopuściłem się występku ogromnego...— powtórzył z przyciskiem tragicznym.

Tragiczność przycisku oddziałała na grafa, który oczy szeroko otworzył i rzekł:

— *Casus fatalis*... Przecież... nadzieję mięć wolno....

— Nadzieja też mnie nie opuszcza... Liczę na Boga, na łaskawość, na miłosierdzie najjaśniejszego pana, a przytém i na to, że w razie tym zachodzi okoliczność, która winę moję do pewnego bodaj stopnia łagodzi...

— Winszuję ci, ekscelencyo, témbardziéj, że przypuszczam, iż okoliczność ta i mnie posłuży...

— Zapewne, widzi bowiem Bóg, który mnie sądzić będzie, że jeżelim winę popełnił, to nie dla czego innego, jak dla odwrócenia skandalu... Damy mdleć zaczęły... Wszak widziałeś — zapytał.

— Czemuż najjaśniejszy pan rozkazu pożegnania gości dać nie raczył? — odezwał się graf.

— Czemu?.. ha! — odparł wielki marszałek z giestem odpowiednim. Nie moja, nie nasza rzecz w to wchodzić... Taką była wola jego.. Wolę tę zgwałciłem w intencyi, która, mam w Bogu nadzieję, uwzględnioną i policzoną mi na karb gorliwości w służbie najjaśniejszemu panu będzie....

XIV. Głowy kapuściane.

Przygoda, jaka spotkała wielkiego marszałka dworu i młodego hrabiego, członka rodziny z dziada pradziada do dworu przywiązanéj, równie jak przygoda, któréj uległ markiz Frangopano, wywarły w wiedeńskim świecie wrażenie zaniepokojenia zagadkowego. Co do markiza, jakoteż co do wielkiego marszałka zagadka rozwiązać się dawała. Biegli w dogmatach, tyczących się majestatu monarszego, rozumieli, że pierwszy popełnił występek *lesae majestatis*, drugi zaś popełnił występek, który się także do téj odnosił kategoryi. Jeden świętą cesarza osobę w objęcia pochwycił, drugi na rozkaz nie czekał. Występki tego rodzaju wytłómaczyli wierszami Syrokomla i olówkiem Andriolli, przedstawiając chłopa, co „za czub wojewodę wlecze.“ Wojewoda, polując na kaczki, z czółna do wody wypadł, topił się i byłby się utopił, gdyby go chłop z wody za czuprynę nie

wyciągnął. Chłop za wyratowanie wynadgrodzenie sute otrzymał, za ujęcie atoli ręką chłopską czupryny wojewodzińskiéj dostał baty. Pomiędzy markizem Frangopano i wielkim marszałkiem z jednéj a Leopoldem I z drugiéj strony zaszedł wypadek analogiczny. W stosunku do cesarza byli oni tém, czém chłop był w stosunku do wojewody, z tym na niekorzyść ich dodatkiem, że stosunek ów potęgowała mistyka pomazania, czyniącego monarchę namiestnikiem bożym. Okoliczność ta pogarszała położenie winowajców — podnosiła występek do znaczenia zbrodni, któréj jednak dopuściło się tylko dwóch: markiz i wielki marszałek. Ale — jakąż była zbrodnia młodego hrabiego?

Pytanie to żywo mężów stanu, dworzan, starych i młodych, wojowników i ludzi cywilnych, ich żony, siostry i córki, wszystkich zajmowało. Zajmowało wszystkich tak żywo, że wobec niego na drugi plan zeszły stosunki dyplomatyczne i sprawy polityczne. Wysunęła się naprzód sprawa, która w cień usunęła Turcyą, Wenecyą, Polskę, Francyą, Hiszpanią a nawet i stolicę apostolską. Najdrobniejsze onéj szczegóły nabrały znaczenia ogromnego. Analizowano i komentowano każdy ruch, każdy gest Leopolda I. Zastanawiano się nad tém, jak on z konia zsiadł, jak na schody wstępował, jak w oknie stał, jak okno otworzył, jak patrzył, jak mu warga dolna drżała. Mówiono po cichu, tajemniczo; mężowie stanu nie wypowiadali przez ostrożność zdania swego, rezerwując się aż rzecz wyklaruje się dostatecznie. Tejże saméj o tyle o ile reguły trzymały się „damy stanu“ — rodzaj niewiast wielką acz niewidoczną przy takich, jakim był dwór wiedeński w czasach owych, dworach rolę odegrywających. Zaznaczała się śród nich stara księżna Rakoczy, wielka pani, wielka religijna zelantka, wielka jezuitów przyjaciółka i protektorka, żyjąca niby na uboczu i do niczego się niby nie wtrącająca. Ona także zdanie swoje rezerwowała i ostrożność zachowywała, ale o wszystkiém wiedziéć chciała, mając na widoku syna, który na północnych Węgrzech zajmował stanowisko panującego udzielnego i miał przed sobą do rozwiązania zadanie, przekazane mu w spadku po ojcu a niezmiernie skomplikowane interesami polityczno-religijnemi, opierającemi się o Konstantynopol, Wiedeń, Presburg, Klausenburg, Zagrzeb, a wybiegającemi ku Bukaresztowi, Jassom, Warszawie, Paryżowi, ku Moskwie nawet. Stara księżna śród powikłań tych wypatrywała dla syna drogę, przyświecając sobie pochodnią wiary. Pochodnia ta wydawała się jéj pewną. Dla tego téż trzymała się oburącz dworu wiedeńskiego, praktykując dewocyą, ciekawość, jakotéż kombinowanie zdarzeń i wysnuwanie z takowych wniosków. Taką była działalność jéj i — rzecz prosta — działalności téj za oś

służyła osoba cesarska. Leopold I był dla staréj księżny przedmiotem uwagi i badań ustawicznych. Studyowała go i myślała o nim we dnie i w nocy, modląc się i po modlitwie nastrajając ducha do modlitwy następnéj. Wiadomość o łowach zamierzonych wywołała na usta jéj uśmiech, po którym oczy wzniosła, westchnęła i rzekła:

— O Jezu najsłodszy!.. markiza Frangopano...

Domyśliła się, że łowy urządzone zostały na intencyą włoszki, któréj widok zapalił oczy Leopolda I połyskiem, nigdy przedtém nie oglądanym. Połysku tego nie dopatrzył nikt, tylko ona. Uśmiechnęła się, wnet bowiem wykombinowała widok dla syna we względzie układanego dlań małżeństwa z Heleną Zrińską. Markiza była małżonką brata rodzonego matki Heleny.

— To dobrze — w duchu sobie powiedziała, upatrując w tém palec opatrzności.

Na intencyą tę zamówiła niezwłocznie mszę jednę, drugą i trzecią, rozdawała ubogim jałmużnę i do ołtarza św. Franciszka obrus pannom swoim dzierzgać kazała. Stanowiło to ramy do zabiegów, ku którym się w duchu nastrajała, ustawiając wytyczne w kierunku młodéj kobiety, co zdołała postacią swoją wywołać połysk w oczach cesarza. Połysk ów zdradzał zagranie krwi młodéj w istocie, któréj serce wyziębiono a głowę rozpalano.

— Palec opatrzności — powtarzała sobie, przechodząc w myśli wszystkie kobiety piękne, co się przesunęły przed sennemi młodego cesarza oczami. Palec opatrzności... Byle się jeno ta kukułka wenecka do zniesienia w gnieździe mężowskiém jajka ułożyć umiała... A...

Głową kiwnęła. Znaczyło to, że przysposabiać ją na ten koniec zamierzyła. Nie wzięła się jednak do tego obcesowo, przekonaną będąc, że rzecz zrobi się sama, nie przypuszczała bowiem, ażeby się śród poddanek Leopolda I znaleść mogła kobieta, któraby nie ulegała urokowi okupionéj za jaką bądź cenę łaski cesarskiéj. Chodziło jéj też nie o konkluzyą zarysowującego się dramatu, ale o przystawienie do ognia tego pieczeni własnéj—o ujęcie sobie z góry téj, któréj w momentach pewnych Leopold I-szy nic do odmówienia mieć nie będzie.

Otwierała się dla księżny działalność dyplomatyczna wielce interesująca, a wymagająca wielkiego taktu, niemałéj przezorności i ogromnéj ostrożności. Nie nagliła przeto — wyczekiwała, studyowała. Do studyowania przybył jéj materyał świeży pod postacią młodéj kobiety i jéj do osobistości rozmaitych stosunku. Potrzebowała się w tém pierwéj dokładnie rozpatrzeć i rozpoznać.

— Po co ona przybyła?..

Zapytanie to przedewszystkiém w umyśle księżny strzeliło. Wiedziała, że do Wiednia powołał młode małżeństwo w formie życzenia wyrażony rozkaz cesarski; wiedziała jednak, że każdy, co rozkaz tego rodzaju przyjmuje, nie przyjmuje go bezinteresownie. Któż by się bezinteresownie do tronu zbliżał? Tron w czasie owym identyfikowano z ołtarzem,—a ponieważ do podnóży ołtarza nie przystępowano inaczéj, jak w celu zaskarbienia sobie miłosierdzia, łask i korzyści rozmaitych, a zatém w celu nie innym przystępowano do podnóża tronu. Jeden wyobrażał drugi z powodu jednakowego obydwóch pochodzenia. Stara księżna przeto domyślała się, że młode stadło przywiozło z sobą, jeżeli nie z góry powzięte, to *a posteriori* ukute widoki i zamiary, które w tym razie posłużyć by mogły za pomost pomiędzy stronami. Stąd zapytanie, tyczące się pobudek przybycia, miało znaczenie swoje.

Wiadomo, że młoda para z zamiarami przybywała. Hrabina Piotrowa powierzyła w Czakowcu młodéj księżnéj do przeprowadzenia interes, którego ta jeszcze poruszyć należycie czasu ani sposobności nie miała. Pochwycił ją wir życia dworskiego i pochłonął uwagę jéj całą. Rzuciła słówko tu i owdzie; słówko to w obieg poszło, doniosłość atoli miało tak długo, póki nie nadeszły wypadki, które je niejako zdmuchnęły. Aresztowanie markiza dało do myślenia. Po dokonaniu onego, przy osobie księżny Julii sformowała się próżnia niby: gdy z polowania powracała, panowie i panie stronili od niéj, jakby w gronie ich intruzką była. Gdy zaś po aresztowaniu markiza nastąpiło aresztowanie wielkiego marszałka i hrabiego, w umysłach nastał odmęt, podobny do fermentu w kadzi, w któréj wycisk winogradu na wino się przerabia. W mózgach ekscelencyi i nawskróś jasności różnych zrobiło się krążenie pierwiastków myśli, dające w rezultacie zawrót głów.

Księżna Rakoczy nie została uwiadomioną o wypadkach, jakie na polowaniu i w skutek polowania zaszły w takim, jak następowały, porządku. Doszły one wiadomości jéj w porządku odwrotnym, od aresztowania młodego hrabiego zaczynając. Wieczorami zbierało się u niéj kółko—parę dam, kilku panów, co nawy karyery swojéj trzymali na wodach fortuny Rakoczych i oglądali się na cesarstwo. W kółku tém żywo bardzo interesowano się termometrem atmosfery dworskiéj. Od chwili przeto wrażenia, jakie księżna Julia w czasie audyencyi sprawiła, zajmowano się nią z troskliwością szczególną—z tą jednak troskliwością, która się nie zdradza okrzykami i wybuchami a to z téj racyi, że towarzystwo to poufne składało się z ludzi w intrygach dworskich biegłych i wytrawnych. W gronie tém—rzecz prosta—pojawiały się sutany i birety, równie jak i habity zakonne.

Gościem częstym bywał franciszkanin, ojciec Spinola, który za cel życia wytknął sobie zlanie w jedno wyznania katolickiego z wyznaniem protestanckiém na podstawie ustępstw wzajemnych, ustępstw, domagających się od protestantów zrzeczenia się wszystkiego, co ich od katolików różni, od katolików zaś niczego. Na tém polegać miała wzajemność. Dzięki wzajemności tego rodzaju, ojciec Spinola znajdował w sferach rządzących, tak duchownych jak świeckich, uznanie i poparcie i miewał częstą z księżną Rakoczy styczność z powodu, że nazwisko Rakoczych służyło protestantyzmowi w Węgrzech i Siedmiogrodzie za sztandar i osłonę. Księżna w sprawie téj brała udział gorący. Przekonana, że mąż jéj skazanym jest na męki piekielne, pragnęła synowi losu podobnego oszczędzić. Garnęła więc do siebie osoby duchowne, nadewszystko zaś te, co w sferze dworskiéj tkwiły.

Wieczorem, w dniu, w którym tyle zaszło wypadków, przy ognisku jéj zasiadło grono zwyczajne. W gronie tém księdza nie było ani jednego. Zebrało się osób mniéj niż zwykle, co księżnę zdziwiło trochę. O powód obecnych zapytała.

— Zatrzymał ich zapewne wypadek?..—odrzekł zapytany.

— Jaki?..

— Aresztowanie młodego hrabiego X...

— O?..—odezwała się. Jakże się to stało?..

— Przyaresztować go kazał sam najjaśniejszy pan...

Stara księżna raz i drugi zcicha chrząknęła, chwilkę milczała i o szczegóły się dowiadywać jęła. Obecni, z których żaden w polowaniu udziału nie brał, poinformować jéj należycie nie mogli. Powtarzali, o czém słyszeli, a jeden rzekł:

— Nastąpiło to w skutek aresztowania wielkiego marszałka...

— O?..—odezwała się księżna. Toć całe chyba towarzystwo pod klucz się dostało...

— Nie całe, ale... i markiz jeszcze...

— A!..—zawołała.

W piersi jéj zbierał się okrzyk zdziwienia głośny. Powstrzymała się jednak i spokojnie zapytała:

— Skąd-że to poszło?..

— Wasza książęca mość wie, co najjaśniejszego pana spotkało...—odrzekł jeden.

— Nie wiem o niczém...

— Rzecz szczególna!.. Wiedeń cały zaalarmowany i do owacyi napędzony został...

— Z powodu?..

— Najjaśniejszy pan raczył... z konia spaść...

— Zapatrzył się na markizę...—podchwyciła.

Odezwanie się to niedyskretne wywołało śród obecnych wejrzenia zagadkowe i ściskania ramionami.

Księżna uwagi nie powtórzyła, ale z zajęciem troskliwém, w którém nastrój naciągany czuć się dawał, zaczęła:

— Z konia spadł!.. oh!.. z konia!.. no, proszę!.. I cóż?.. jakże?.. Złamał, zwichnął co sobie?.. Nieszczęście jakie?.. No?.. Oh! Boże jedyny!.. Trójco przenajświętsza!.. Ledwie żyję... ledwie dyszę, tak mnie ta wiadomość przejęła... Oh!..

— Nic z tego najjaśniejszego pana nie spotkało?..

— Jam przy tém nie był... nie wiem; ale ludowi radować się nakazano dla tego właśnie, że opatrzność nad najjaśniejszym panem czuwała...

— Czy pewno?..—zapytała.

— Nieinaczéj... i jutro w kościołach wszystkich odbędą się nabożeństwa dziękczynne...

— A...—w pamięci sobie księżna zanotowała i dodała:—Posłać muszę do wielkiego marszałka dworu z zapytaniem o zdrowie jego cesarskiéj mości...

— Wielki marszałek aresztowany...

— O!?..—wykrzyknęła.

— Miałem już zaszczyt o tém wysokości waszéj oznajmić!..

— Prawda... zapomniałam... Trzeba jednak, ażeby jego cesarska mość wiedział, że mnie obchodzi najdroższe zdrowie jego...

Zawiadomienie tego rodzaju trudności nie podlegało. Organizacya służby dworskiéj, doprowadzona do najwyższéj doskonałości swojéj, nie dopuszczala opróżnienia stanowiska i funkcyi dla tego tylko, że zabrakło nagle osobistości, co stanowisko to zajmowała i funkcyę tę pełniła. Dostojnik każdy posiadał zastępcę, do którego szlusował zastępca, mający znów zastępcę, mającego zastępcę itd. Gałęzie służbowe, hierarchicznie organizowane przedstawiały szeregi funkcyonaryuszy, przyozdobionych w tytuły z przystawkami: *ober*, *unter*, *hoch*, *gross* itp., wedle których utrzymywał się porządek ścisły. Miała przeto gdzie i jak zamanifestować się troskliwość księżny Rakoczy o zdrowie Leopolda I. Czy o to jéj jednak chodziło?

Zapewne, obchodziło ją zdrowie Leopolda I, jak obchodziło wszystkich, co wprost lub ubocznie od niego zależeli. Interesowano się niém w Paryżu, w Rzymie, w Wenecyi. Władca mocarstwa, zajmującego bardzo ważne w Europie stanowisko, nie był i być nie mógł osobistością, któréj zdrowie byłoby obojętném. Obecni podówczas w Wiedniu ambasadorowie francuski i wenecki, jako też legat papieski, jak skoro się o wypadku na polowaniu dowiedzieli,

wnet pocisnęli sprężyny wszystkie, celem pobudzenia gorliwości agentów swoich, którzy w zamku, cesarzowi służąc, funkcyą oczów i uszów króla francuskiego, doży weneckiego i stolicy apostolskiéj pełnili. Tych w rzeczy saméj, dla powodów bardzo ważnych, zdrowie obchodziło. Powody podobne przenikały troskliwość księżnéj Rakoczy, inaczéj jednak. Cechował je cel wyraźny, podszyty widokami osobistemi, osnuwającemi się około osobistości syna. Chodziło jéj o zbawienie duszy własnéj za pomocą zapewnienia synowi królowania w niebie i panowania na ziemi. Była to sprawa mocno powikłana i księżna by z pewnością podołać jéj nie mogła, gdyby nie miała podtrzymania i poparcia ze strony dyplomatów w sutanach i habitach, którzy w wieku owym po Europie krążyli, dworów się czepiali i interesy polityczne sprawowali. Stanowiło to cechę wieku.

Dzień, wypadkami zagadkowemi brzemienny, kończył się posępnie. Ciepło parne, jakie do południa panowało, ostygać powoli poczęło pod wpływem chmur, które się od zachodu pokazały i na horyzoncie się ku górze posuwały, idąc na spotkanie słońca. Słońce się za nie ukryło. Błękit niebios znikał stopniowo, aż znikł całkowicie i obciągnął się zasłoną dymną właściwą jesieni. Wieczór nastał bez księżyca i bez gwiazd. W mieście zapanowały ciemności. W ulicach tu i owdzie rzucały blask płomienie pieców garkuchnianych, przy których na rożnach obracano powoli pieczyste i pieczenie, przeznaczone dla podróżnych i roniące woń rozkoszną daleko. W dzielnicach oddalonych spotykać można było latarnie, zapalone u wnijścia do pałaców arystokracyi wiedeńskiéj—wielki zbytek na który pozwalali sobie jeno ludzie, co, dzięki bądź stanowisku wysokiemu, bądź bogactwom ogromnym, uważali siebie za obowiązanych swoje *durchlaucht* latarniami oświecać. Gdzie ani garkuchni, ani pałacu nie było, tam miasto zalegała ciemność absolutna, ruch wszelki ustawał, ulice pustoszały, przebiegał po nich chyba kot, lub przeciągał patrol drabów policyjnych. Rzadko bardzo zdarzał się zapóźniony na wieczerzy w domu obcym mieszczanin, niosący w żołądku funtów kilka mięsiwa i melszpajzów, poprzedzany przez pachołków z latarniami; częściéj trafiał się pojazd magnata, przed którym pajucy wieźli pochodnie smolne.

W dniu upamiętnionym spadnięciem Leopolda I z konia, wieczorem, pojazdy się po ulicach Wiednia snuły gęsto. Spotykały się i wymijały. Przy wymijaniu biegnący przodem laufrowie wykrzykiwali głośno imiona, nazwiska i tytuły. Jakichże nazwisk nie wygłoszono wieczoru tego! Wszystko, co Wiedeń posiadał najznakomitszego, znajdowało się w ruchu, spływającym, niby potoki w doliny, do mieszkań dostojników najwyższych. Wszystkich ważna zajmo-

wała sprawa. Niby to o wypadek chodziło; wypadek jednak stanowił maskę, która osłaniała niepokój, jaki ogarnął najwyższe towarzystwa sfery z powodu, że humor młodego cesarza zamanifestował się w sposób niezwykle zagadkowy. Wynalezienie do zagadki téj klucza: oto była troska ogólna. Szukano takowego—szukano wszędzie, z wyjątkiem domów czerwoną krédą niełaski naznaczonych. Kolasy magnackie nie zatrzymywały się przed progami ani wielkiego *Hof*-marszałka, ani młodego grafa, ani — szczególnie — księstwa Frangopano.

Pomiędzy godziną dziewiątą a dziesiątą, co było bardzo późno, albowiem w Wiedniu w epoce owéj o godzinie dziewiątéj spać się łożono, przy blasku dwóch pochodni smolnych, niesionych na drzewcach giętkich przez dwóch huzarów konnych, na okrzyki laufrów, rzucających nazwiska rozmaite, odpowiadać począł okrzyk :

— Jéj wysokość... jéj nawskróśjasność, najdostojniejsza księżna i pani z Batorych Rakoczy!..

Magnaci, którym do uszu wyrazy te wpadały, doznawali zdziwienia niejakiego. Jéj wysokość z powodu tak wieku, jako téż stanowiska towarzyskiego, wieczorami u siebie przyjmowała, jeżeli zaś z domu wyjeżdżała, to do zamku chyba, albo téż do osobistości jakiejś, zaliczającéj się do rodzaju „książąt krwi.“ Do rodzaju tego zaliczała się sama. Każdy przeto, co wywołanie nazwiska jéj usłyszał, zapytał siebie w duchu, dokąd ona jedzie i byłby zdziwionym mocno, gdyby widział, jak kolasa jéj zatrzymała się na przedmieściu przed domem latarniami nieoświeconym, pomimo że miał pozór pałacowy. Zdarzenie to wchodziło do téj kategoryi, co się intrygującą nazywa z powodu, iż wszyscy wogóle mieli ochotę do domu tego jechać, nikt atoli nie jechał z obawy kompromitacyi. Dom ten był mieszkaniem księstwa Frangopano.

Księstwo ze strony swojéj nie małego doznali zdziwienia, ujrzawszy w progach swoich, o téj porze spóźnionéj, gościa tak dostojnego. Dzień cały nie zajrzał do nich nikt, wieczorem zaś spadła figura taka! Markiz i księżna Julia, witając ją, mówili o wielkim, jaki ich spotyka, zaszczycie. Markiz przedstawił jéj krewniaka swego.

— Hrabia Orfeusz...

— Nie jesteśmy całkiem nieznajomi — odrzekła.

— Miałem ten zaszczyt — odpowiedział hrabia z ukłonem.

— Ale — przerwała, do gospodarstwa mowę zwracając—dziwić was musi moja wizyta spóźniona...

— W rzeczy saméj — zaczął markiz.

— Témbardziéj, że dziś do was żywy duch nie zajrzał...

— W rzeczy saméj — powtórzyła za mężem księżna Julia, któréj oczy, gdy patrzała na księżnę Rakoczy, napełniał wyraz niepokoju, połączony z tym wyrazem, w którym się przebija wzywanie o ratunek, pomoc lub radę przynajmniéj. Wyraz ten przypominał trochę trwogę gazelli i było z nim młodéj kobiecie do twarzy. Księżna Rakoczy patrzała na nią przez chwilkę z tém zadowolnieniem, z jakiém się patrzy na arcydzieło sztuki. Po chwili uśmiechnęła się i zapytała:

— Wiecie, po com do was przyjechała?

Księżna Julia odpowiedziała lekkim ramion ściśnieniem i zamierzała coś dodać, ale jéj stara księżna przerwała:

— Przyjechałam do was celem sprawdzenia domysłu swego.... Sprawdziłam takowy i mogłabym już odjechać, gdyby mnie nie przytrzymywała potrzeba uspokojenia was i rozmówienia się z wami.... Wszak prawda — zagadnęła — niepokój was ogarnął?

— Do pewnego stopnia — odrzekł markiz.

— Wyznajcie, że do stopnia wysokiego... Spadła na was niełaska, to jest rzecz straszniejsza, aniżeli powódź, pożoga, zaraza morowa, trzęsienie ziemi i inne tym podobne plagi, które szkody wielkie sprawiają, ale przemijają, podczas, kiedy niełaska, gdy jest rzeczywistą, trapić nie przestaje i dziś i jutro i zawsze, przybierając postaci coraz to odmienne... Niełaska straszniejszą jest nad wszystko... Owóż, uspokójcie się: plaga ta na was nie spadnie...

— Spadła już — wtrącił markiz.

— W sposób taki, w jaki deszcz wiosenny z grzmotami i błyskawicami spada na posiewy... Zachmurzyło się nad wami niebo dworskie, ale się wypogodzi niebawem... Wierzcie mi: ja się na tém znam....

Hrabia Orfeusz odchrząknął.

Księżna Rakoczy zwróciła na niego wejrzenie badawcze, pomilczała chwilkę i zapytała:

— Czy i ty się, hrabio, znasz?

— Ph... — odparł — potroszę... Pozwolić sobie mogę domyślać się...

— Nie domyślaj się, jeżeli nie chcesz o samym sobie dobrego stracić mniemania... Domyślaniem bawi się w chwili obecnéj w Wiedniu tysiące... tysiące głów...

— Śród ktorych moja jedna...

— Znalazłaby się — podchwyciła — jak na grzędzie zasadzonéj kapustą....

— Wysokość wasza jesteś złośliwą...

— Mówię jak jest i nie mylę się, gdyby bowiem było inaczéj, przed pałacem waszym stałyby w chwili téj kolas seciny... Dla was słońce wschodzi...

Rzekłszy to, wstała, ujęła młodą księżnę pod ramie i od niechcenia, jakby czyniąc zadość ochocie przejścia się, wyszła z nią do komnaty przyległéj.

— Piękna moja — zaczęła — powiedz mi, czego dla siebie pragniecie?

Księżnę Julię zapytanie to zaskoczyło z nienacka.

— Nie rozumiem, pani — odrzekła.

Jakich zaszczytów... urzędów?... Musieliście przecie do Wiednia przyjechać z czémś... z zamiarem jakimś....

— Z jednym tylko...

— Wykołatania dla Piotra Zriniego bańswa?.. Niczego więcéj?..

— Niczego—odpowiedziała i, jakby nagle przypominając sobie, dodała: Ah!...

— Hrabianka Helena?..

— Tak jest...

— To dobrze... Znajdujemy się na drodze dobréj... Losy nasze zależą, najpiękniejsza, od ciebie....

(*d. c. n.*) *T. T. Jeż.*





PRUSKA POLITYKA WYDALAŃ I WYWŁASZCZENIA.

Hit him he het no friend.

W prawie publicznem monarchii pruskiéj rok 1885 stanowić będzie ważną epokę, może nawet stanowczą w dalszych losach tego osobliwego państwa.

Osobliwém nazwać należy państwo pruskie ze względu na brak narodowościowéj podstawy własnéj. Wszystkie inne państwa europejskie mają taką podstawę, a jeżeli i Austrya nie ma fundamentu z narodowości austryackiéj, to jednak polega ona na zbiorze różnych rzeczywistych narodowości, przez państwo uznanych, pielęgnowanych. Jedne Prusy ukształtowaly się na podstawie zmyślonéj narodowości, jakiejś narodowości urzędowéj, która istotę swą zapożyczyła a formę wytworzyła przez politykę przebiegłą a misterną. Zapożyczona narodowość stała się służebnicą państwa, służebnicą zresztą dobrze karmioną za tak ważne posługi i w téj perspektywie, że przyjdzie czas, w którym albo się całkiem rozpłynie w prusacyzmie, albo prusacyzm znajdzie stosowną chwilę, żeby bez sromu rozpłynąć w niemczyznie. Polityka pruska posuwa się w obudwóch kierunkach daléj a daléj. Który ostatecznie weźmie górę, i dziś jeszcze przewidzieć nie można. Czy sztuka przemoże naturę, czy też przyrodzenie narodowe wstrząśnie kiedyś i w gruzy powali sztuczną formę budowy politycznéj to się w przyszłości przecież kiedyś okaże. Horoskopy stawiać byłoby rzeczą daremną.

Ileż to zachodów wymagają wszystkie sztuczne hodowle! Nie dziw więc, że i macierzyńska głowa polityki pruskiéj wysila się w pomysłach, żeby potężny już dzisiaj produkt téj cieplarnianéj hodowli utrzymać zdrowym w obiecującéj bujności.

Podziwiają w świecie składność pruskiéj maszyny rządowéj, jéj działanie zawsze prawidłowe, jej gotowość do funkcyonowania w każdym wymagalnym kierunku. Tak przecież jest w każdéj fabryce produkcyjnéj, dobrze wysmarowanéj i dobrze kierowanéj. A Prusy są właśnie taką fabryką państwa, ciągle ulepszaną wedle najnowszych zdobyczy nauk i doświadczeń. Gdyby nie ten fabryczny zakrój prowadzenia procederu państwowego, wcale by to państwo istniéć nie mogło, właśnie z braku przyrodzonéj podstawy. Ów przechwalany i podziwiany charakter fabryczny, nie jest ani szczególną zaletą ani wzorem powszechnie naśladowania godnym, lecz wynikiem i zastępcą sił i potęg naturalnych, któremi inne państwa stoją bez takich wysileń mózgu i mięśni swych poddanych i kierowników.

W ostatnich zwłaszcza czasach kierownictwo fabryczno-państwowego przedsiębiorstwa pruskiego, oddane w ręce niepospolitego męża, wzbudzało i wzbudza podziw w całéj Europie. Na podziw ten zasłużył on najzupełniéj. Sztukami wojny i pokoju doprowadził państwo pruskie jakoby na podnóża zenitu i nie ustaje w pracy, żeby pod fundamenta staropruskiéj budowy, podłożyć całkowicie i nieodwrotnie podwaliny z narodowości niemieckiéj, która się chętnie czy niechętnie poddaje téj operacyi, w mniemaniu, jakoby tylko o nią chodziło. A tymczasem, jak już powiedzieliśmy, wcale jeszcze nie wiadomo, o co chodzi: o Prusy czy o Niemcy. Nowy gmach cesarstwa już dosyć wykończony, ale przez dachy jego zawsze jeszcze przebijają wieżyce staropruskiego zamczyska i nikt o tém nie myśli, żeby dokonać przeprowadzki stanowczéj do nowego gmachu. Dwulicowość, tradycyjny przymiot czy przywara polityki pruskiéj, jak na zewnątrz tak i na wewnątrz się utrzymuje, licząc na dawne, tylokrotne powodzenia.

Jakże tedy rozumiéć twierdzenie na wstępie wypowiedziane, że rok 1885 ma stanowić epokę w warunkach bytu téj sztucznéj budowy, która się zwie monarchią pruską z jednéj strony a cesarstwem niemieckiém z drugiéj?

Państwo prusko-niemieckie jest, jak wiadomo, państwem konstytucyjném. Konstytucyjność ta dostała się poddanym jego, właściwie przypadkowo a raczéj z dobréj woli i słabego animuszu króla romantyka, platonicznego marzyciela, który za mało cenił bagnet i armatę i za słabe miał nerwy na krzyk berlińskiego „ludu.“ Konstytucya ta nigdy wprawdzie jeszcze nie doprowadziła prawa publicznego w Prusiech do stanu rzeczywistego konstytucyonalizmu, ale i przy całéj powierzchowności swojéj, jest ona kamieniem u nogi polityki pruskiéj, tak wewnętrznéj jak i zewnętrznéj, a mianowicie owéj

półzewnętrznéj w stosunku do Niemiec „związkowych.“ Kto pilnie śledzi wynurzenia ks. Bismarka, zauważył niejednokrotnie, jak on wzdycha do dawnych rządów absolutystycznych, jak wszelkie niepowodzenie, a raczéj nie zupełne dojrzewanie swych zamiarów, składa na nieszczęsną formę konstytucyjnych rządów. A jeżeli do dziś dnia jeszcze nie doczekano się w Pruso-Niemczech zamachu stanu, to nie jest temu winien pruski *major domus*, jeno wyższe instancye i wzgląd na podejrzliwość całego sąsiedztwa politycznego.

Nie ulega jednak wątpliwości, że niewygodna konstytucya pruska i prusko-niemiecka, zamiast żeby na postrach świata jednym zamachem miała być powaloną, podkopuje się zwolna, póki się sama nie wywróci i z suchot nie zamrze.

Kiedy się zażegł i rozpasał „kulturkampf“ czyli walka z kościołem katolickim, przenikliwsze umysły akcyą tę od razu poznały jako początek reakcyi wewnętrznéj. Tylko wolnomyślniki niemieckie w zaślepieniu swém i ograniczeniu, krzyknęli na tryumf: że przecież rząd pruski zrozumiał swe „niemieckie“ zadanie i jakoby w dalszym ciągu walki reformacyjnéj, występuje do zapasów ze śmiertelnym wrogiem „nowszéj kultury“ i „państwa nowożytnego.“ Konstytucyą gięto i dziurawiono jakby tarczę kurkową i rozpoczęła się w Prusach era praw wyjątkowych, za któremi poszły prawa dyskrecyonalne, czyli od woli i łaski rządu zależne. Wszystko „naród niemiecki“ przyjmował w zaufaniu, że środki te obmyślane są tylko *ad hoc* i że nie odezwą się w innym kierunku reakcyjne zachcianki rządu.

Otóż tedy właśnie rok 1885 wykazał, że zaufanie to było płonném, a rząd zrobił na torze reakcyjnym krok drugi, tak stanowczy, że dziś jest to publiczną tajemnicą, do czego w polityce wewnętrznéj ks. Bismark zmierza.

Wśród najgłębszego pokoju, rząd pruski wypędził z dzierżaw swych 30.000 poddanych państwa rosyjskiego i austryackiego a głównie Polaków! Rzeczy takie dzieją się niekiedy wśród wzburzonych namiętności, w przededniu lub w czasie wojny. Nie można też państwu, dbałemu o spokój i bezpieczeństwo wewnętrzne, odmówić prawa wypędzania za granicę obcokrajowców, którzyby się dopuścili szpiegostwa, burzycielstwa itp. Ale żeby „nowożytne państwo,“ przedmurze „kultury nowożytnéj“, bez powodu i bez podania powodu, wypędziło od siebie spokojnych, pracowitych obcokrajowców, jest rzecz niesłychana i nie można jéj sobie inaczéj tłómaczyć, jak wezbraniem instynktów i prądów reakcyjnych, które szukają pola popisu, żeby się zaprawiać daléj a daléj, wedle owego: *sic volo, sic jubeo*, albo *tel est mon plaisir*.

Właśnie tedy w téj mierze rok 1885 odsłonił stanowczą a rzeczywistą fizyonomią rządu pruskiego. Po zakusach uwydatnionych w walce „kulturowéj“ można było mieć jeszcze wątpliwości, po dokonaném wypędzeniu Polaków już wątpliwości niema. Reakcya rozpoczęła się od wypędzenia Jezuitów itp. od pogwałcenia kościoła, zakwitła przez wypędzenie Polaków, dojrzeje następnie—jak dość powszechnie utrzymują—przez poskromienie *żydów*, przygotowujące się w antysemityzmie, a potém nastąpi żniwo. Lecz czy się pogodnie sprzątnie? Poważnie myślący Niemcy zaczynają o tém powątpiewać i obawiać się o losy „*Vaterlandu.*“ Oczywiście, są to, zdaniem ks. Bismarka, „nieprzyjaciele państwa,“ ludzie bez wyraźnego i „wyrobionego patryotyzmu“ i zmysłu politycznego.

Lecz nie koniecznie potrzeba nam brać fakt wypędzenia ryczałtowego obcych poddanych, w związku z innemi objawami życia publicznego w państwie pruskiém. Fakt ten sam przez się jest tak osobliwym, że należy go grubo podkreślić w dziejach współczesnych i niepodobna, żeby zeń nie wynikły następstwa nieobliczonéj doniosłości.

Zobaczymy zaraz, jak on wstrząsnął posadami systemu reprezentacyjnego Pruso-Teutonii.

Reprezentacyi polskiéj w sejmie rzeszy przypadł udział wytoczenia sprawy o wydalania na arenę konstytucyjną. Zrazu mniemano, że zwolna rozwijająca się akcya przeciwko obcokrajowcom, nie przybierze znaczniejszych rozmiarów; mówiono, że to postrach, że po niejakim czasie furya policyjna uśnie i stępieje. Ale kiedy miasto tego, niebawem się przekonano, że w téj mierze przysłowie o „świętéj ziemi, która wszystko utrzyma,“ nie znajdzie zastosowania, kiedy owszem zaczęły się odzywać głosy, że to tylko uwertura do daleko smutniejszéj tragedyi, reprezentacya polska postanowiła wnieść w parlamencie niemieckim interpelacyą. Nie przypuszczano, żeby wystąpienie posłów naszych wpłynąć miało na zmianę i pohamowanie pruskiéj akcyi, ale bądź co bądź spodziewano się, że ks. Bismark w odpowiedzi na interpelacyą wyłuszczy niezrozumiałe powody swéj antypolskiéj polityki i zakreśli jéj granice, jéj cele, okryte grubą pomroką tajemniczości. Wszak bo władze wykonawcze, nagabywane przez najrozmaitszych interesantów, polskich i niemieckich, o powody surowego postępowania, albo milczały albo tłómaczyły się nieświadomością, a biedni wygnańcy i świstka papieru nie dostawali na pamiątkę proskrypcyi i oświadczano im w biurach policyjnych ustnie, żeby się wynosili, brano od nich podpis, że wyrok odebrali, ale dokumentów nie wydawano.

Cóż więc naturalniejsza, jak w państwie konstytucyjném zainterpelować rząd w sprawie tak doniosłéj. Interpelacya polska wniesioną została w parlamencie niemieckim d. 1 grudnia 1885. Była to niewątpliwie jedna z najważniejszych akcyi, jaką polscy posłowie w prusko-niemieckich sejmach podnieśli, zważywszy na skutek przez nią wywołany. A skutek był następujący.

Interpelacya stawiała rządowi rzeszy pytanie, czy się dowiedział urzędowo o fakcie i motywach wydalań pruskich i czy uczynił albo zamierza uczynić kroki przeciwko dalszemu wykonywaniu rozporządzeń wydanych przez rząd pruski.

Jak wiadomo, rząd nie ma w parlamencie niemieckim powolnéj większości. Wiadomo téż było z góry, że opozycya wobec interpelacyi téj zajmie nieprzyjazne dla rządu stanowisko. Zależało więc ks. Bismarkowi bądź-co-bądź na tém, żeby interpelacyi polskiéj kark skręcić, a kiedy się mimo wszystkie zabiegi dostała na porządek dzienny, wyprowadził w pole przeciwko niéj najgrubszą artyleryą, jaką posiada w swym arsenale parlamentarnym.

Niejednokrotnie już spotykał ks. Bismarka w sejmach zarzut ze strony opozycyi, że przyparty do muru, w sposób małoduszny zwykł się zasłaniać osobą monarchy, nietykalną wedle zasad i obyczajów parlamentarnych. Otóż i teraz, w odpowiedzi na interpelacyą oświadczył ks. Bismark, że odczyta cesarskie orędzie, w tym celu przygotowane.

U ks. Bismarcka wszystko jest pionem, kozerą. Posuwa, zagrywa on je wedle potrzeby w każdéj partyi inaczéj. Kozerami są stronnictwa; bije on jedne drugiemi; kozerą jest sejm pruski przeciw parlamentowi, rada związkowa przeciw niemiłym większościom parlamentu, a gdy wszystkie tuzy za słabe, wyprowadza w pole najwyższą kozerę monarszą. Tak się stało wobec interpelacyi polskiéj. Orędzie królewskie, nie wdając się w materyą sprawy, odmówiło parlamentowi kompetencyi i prawa do orzekania w sprawie wyłącznie pruskiéj. „Mylnem jest mniemanie — mówi ono — jakoby w Niemczech istniał rząd, któryby na drodze konstytucyjnéj mógł przeszkodzić środkom, zarządzonym w naszém państwie pruskiém ze względu na wydalanie obcych poddanych... Ważne i niezaprzeczone prawa majestatu naszego złożyliśmy chętnie w ofierze na ołtarz jedności niemieckiéj, ale... niemniéj chętnie i stanowczo dzierżyć będziemy prawa naszéj dziedzicznéj korony, ustawami związku obwarowane i t. d.“

Poważny styl i poważna a stanowcza treść orędzia nie byłyby może sprawiły zbyt złego wrażenia na potulnych w gruncie rzeczy politykach niemieckich, ale ks. Bismark zamiast się zadowolnić od-

czytaniem orędzia, wyciął jeszcze do większości reprymendę od siebie, niby z objaśnieniem, plącząc się w coraz większe sprzeczności. Co tylko zaprzeczył parlamentowi kompetencyi, a teraz zaręczał, że gdyby Polacy sami za pomocą drobnych frakcyjek, wrogich państwu, byli wystąpili z interpelacyą, zbyłby ją był jaką taką odpowiedzią; ale ponieważ 168 posłów takową poparło, głównie z centrum i część wolnomyślnych, musiała aż sama korona zaprotestować. Pruskiemu rządowi wolno w swoim domku robić, co mu się podoba, a najmniéj zważać może na parlament, który niby jakiś konwent rości sobie prawo do poskramiania woli samodzielnych monarchów niemieckich. Niedoczekanie wasze! otóż była mniéj więcéj konkluzya filipiki kanclerskiéj. Zakończył tém, że z powyżéj wyrażonych powodów na interpelacyą wcale nie odpowie i rzekłszy — uciekł na Pragę, czyli opuścił salę obrad, zabierając z sobą wszystkich kolegów od stołu rządowego.

Sytuacya była oczywiście wielce drażliwą. Jeśli namiętności prowokowane przez kanclerza zakipią, mogła nastąpić awantura w skutkach nieobliczona. W pierwszéj chwili zdawało się, że się na coś gwałtownego zanosi. Windthorst z centrum i Haenel ze stronnictwa wolnomyślnego, właśnie jakby na przekorę orędziu i kanclerzowi, zażądali dyskusyi nad interpelacyą, coby się równało potępieniu monarszego orędzia. Czy na ten wypadek w kieszeni kanclerskiéj była inna recepta gotowa na poskromienie parlamentarnego uporu, niewiadomo, bo do wybuchu rzecz nie doszła. Sam Windthorst po chwili namysłu postawił wniosek o odroczenie dyskusyi i wraz z konserwatystami wniosek swój przeprowadził. Powaga monarsza chwilowo i formalnie została uratowaną, a cała groza położenia skrupiła się na reżyserze téj tragi-komedyi ks. Bismarku.

Nieszczęście chciało, że zaraz za interpelacyą na porządku dziennym stała pozycya budżetowa, odnosząca się do pensyi kanclerskiéj, wynoszącéj 54,000 marek. Windthorst oddawszy cesarzowi, co jest cesarskiego, rzucił się teraz z całą zapalczywością podrażnionego lwa na tę pozycyą. „Pozycya ta — mówił — w korzystnéj chwili daje nam sposobność wypowiedzenia wszystkiego, cobyśmy wobec p. kanclerza w kwestyi co tylko rozstrząsanéj (interpelacyi) wyłuszczyć pragnęli.“ Nuże więc wytykać kanclerzowi partykularyzm tylekroć przez niego u centrum i Windthorsta zaczepiany; nuże mu wykazywać, że fałszywe ma o prawach zwierzchniczych pojęcie, że źle prawa wykonywa, że pozbawiony jest idei chrześciańskiéj, że przez Polaków właściwie nowym obuchem uderza w katolicyzm, bo 90% wydalonych jest wyznania katolickiego i t. d. i t. d.

Ks. Bismark, który tymczasem, po uratowaniu honoru orędzia monarszego przez Windthorsta, powrócił do sali obrad, bronił się nadzwyczaj słabo, pozostawiając sobie dalsze wywody do sejmu pruskiego, jako kompetentnéj instancyi.

Tak tedy na pierwsze uratowanym został także i parlamentarny honor interpelacyi polskiéj; zresztą uważała się ona tylko za odroczoną. Dalsze losy jéj zależéć miały od stanowiska, jakie wobec twierdzeń orędzia zajmą wielkie stronnictwa parlamentu. I wysunęła się tedy zakulisowa machinacya, żeby całéj sprawie, jak to mówią, łeb skręcić, zwłaszcza, że nastały dla parlamentu ferye świąteczne i noworoczne. Ale i nasi posłowie poruszali niebo i ziemię, żeby korzystną dla sprawy sytuacyą wyzyskać do ostateczności. Opozycya okazała się dość stateczną i po różnych zwłokach już d. 16 stycznia udało się obrady nad interpelacyą polską postawić na porządku dziennym. Była to druga klęska, jakiéj w tak krótkim czasie w sprawach polskich doznała parlamentarna polityka kanclerza.

Nie będziemy przywodzili czytelnikom na pamięć przebiegu téj nader ciekawéj dyskusyi. Wystarcza zaznaczyć jéj rezultat, mianowicie uchwałę parlamentu, orzekającą wedle najłagodniejszego wniosku Windthorsta, że wydalania rosyjskich i austryackich poddanych z Prus nie są usprawiedliwione i nie dadzą się pogodzić z interesami poddanych cesarstwa.

Zreasumujmy znaczenie położenia rzeczy. Rząd pruski wydala 30,000 obcokrajowców bez widomego powodu, cesarz i kanclerz odmawiają parlamentowi niemieckiemu kompetencyi do wejrzenia w tę sprawę, a parlament mimo to wydaje wyrok potępiający na politykę wydalań, na politykę kanclerza.

Wedle zwykłych pojęć o konstytucyjnych i parlamentarnych stosunkach, sytuacya taka powinna wywołać gruntowne przesilenie w jednym lub drugim kierunku. W Niemczech inaczéj; tu, jak słusznie ktoś powiedział w przeszłym numerze tego pisma, życie parlamentarne jest bezpłodném w dodatnie konsekwencye praktyczne. Zatém i w téj tak zaognionéj sprawie zaangażowane czynniki, po wielu homerowskich pojedynkach na słowa, cofnęły się do swych zasieków, a skrupiło się wszystko na skórze małych i słabych, na skórze naszéj. Tak zwykle bywa, gdzie mali i słabi wtykają palec między poważnionych olbrzymów.

Nie twierdzi się bynajmniéj, że abstynencya polska mogłaby była uchronić żywioł nasz od gromów, jakie nań spadły i spadają w Niemczech, to jednak pewna, że tak świetna i moralnie zwycięska akcya, jaka się polskim posłom powiodła w sprawie wydalań, anty-

polskie namiętności ks. kanclerza musiała doprowadzić do ostateczności. Żeby w własnym jego domu garstka zafukiwanego stronnictwa potrafiła mu przed oczami całéj Europy nawarzyć takiego piwa, musiało go dotknąć do żywego i spowodowało go do tém śmiertelniejszéj nienawiści dla wszystkiego, co polskie. Potrzeba mu było odwetu i to zaraz, czémprędzéj, póki zgrzybiałość cesarza pozwala kanclerzowi na prawie wszelkie zachcianki. Zaczęła się tedy owa gorączkowa fabrykacya praw antypolskich, które się posypały na nas gromami rozszalałéj burzy.

Nie mogąc podołać krnąbrnemu parlamentowi, przeniósł się ks. Bismarck z wyrobem tych praw na arenę sejmu pruskiego, a straszliwa tragedya prawodawcza nie obyła się bez odpowiedniéj uwertury, odegranéj pod gromką batutą żelaznego księcia.

Uwerturą tą była trzydniowa dyskusya, trzydniowa batalia nad t. zw. wnioskiem Achenbacha i towarzyszy. Wniosek ten obliczony był na zneutralizowanie wrażenia, jakie w kraju i zagranicą zrobiło wotum parlamentu w sprawie wydalań wypowiedziane. Wyrażał z góry zaufanie do zamiarów antypolskich rządu i zapowiadał, że sejm przyzna rządowi funduszów, ile tenże zażąda na poskromienie żywiołu polskiego w granicach j e d n o l i t é j rzeszy.

Ostrze wniosku tego wymierzone było przedewszystkiém przeciw parlamentowi i wywołało ponownie nader gwałtowne obrady, z których ostatecznie wynikł pewnik, że rząd posiada w sejmie zwartą większość, zdecydowaną iść z nim na przebój utartym gościńcem racyi stanu, nie bacząc na względy chrześciańsťwa, miłości bliźniego, na zdrowy rozum, na prawa istniejące, na konstytucyą państwa pruskiego i rzeszy niemieckiéj. Rewolucyjny żywioł w wewnętrznéj polityce ks. Bismarcka uwydatniał się w oświetleniu *al giorno*. Straszliwą była mowa jego, wypowiedziana bez nawiązania do przedmiotu, w samym początku dyskusyi, wypowiedziana, żeby się ulżyło zasmuconemu sercu kanclerskiemu po porażce, doznanéj w parlamencie. Kiedyś mowa ta bezstronnemu historykowi odsłoni prawdziwe tajniki duszy żelaznego księcia i w czarnych barwach odbije się na jego charakterystyce. Bezwzględność mówcy rzuciła się na wszystko i na wszystkich. Polaków posélał do Monaco, Niemcom zarzucił lokajską dumę z obczyzny, oświadczał, że powoływanie się na słowa i proklamacye królewskie nie warto fajki tabaki; zapewniał, że proklamacye królów pruskich, przy okupacyi ziem polskich wydane, były podstępem, obliczonym na głupotę nowych poddanych i tych, na których polityka pruska w dalszym ciągu zaborów miała apetyt. Ostatecznie z wyżyny swych historycznych i politycznych wywodów nie wahał się oświadczyć, jako mu jest wielce obojętném, c z y m u w o g ó l e k t o ś w i e r z y.

Tak chyba z trybuny nie mówił jeszcze żaden mąż stanu i tak nie rozpoczynał poważnéj akcyi politycznéj, jaką zapowiadały obrady nad wnioskiem Achenbacha.

Niepodobna nam streszczać tych wielce zajmujących acz smutnych dla nas obrad, bo wszystko co tu wypowiedziano, powtórzy się jeszcze przy obradach nad poszczególnemi wnioskami antypolskiemi. Zwyczajnie uwertura obejmuje motywa, dźwięczące w następującéj potém kompozycyi. Nadmieńmy tylko, że już tu zaryscwało się stanowisko, jakie stronnictwa zajmą wobec praw antypolskich. Konserwatyści i narodowo-liberalni stanęli po stronie rządu jako większość, a centrum i niemiecko-wolnomyślni stanęli wraz z Polakami w opozycyi, lubo i pierwsi i drudzy nie w zwartym szeregu.

Ale ponieważ do sprawy wydalań już nam powrócić nie wypadnie, zaznaczymy jeszcze, że dyskusya głównie na tém polu się obracała. Ks. Bismarck bez ogródki wyznał, że wydalania mają c e l p o l i t y c z n y. Dosyć mamy — mówił — własnych Polaków, żebyśmy jeszcze obcych żywić mieli. Musimy ich się pozbyć, a z sąsiadami w téj mierze jesteśmy w zupełném porozumieniu. Zrobimy z Polakami, co się nam podoba: zagranicznych wypędzimy, krajowych częścią poprzerzucamy do innych prowincyi, częścią osłabimy ich przez nasiedlenie niemieckie, nikt się za nimi nie ujmie dziś, bośmy urośli w potęgę a oni słabi: *hit him he has no friend.*

Chór mówców stronnictwa konserwatywnego i narodowo-liberalnego taki program kanclerski podnosił do apoteozy narodowego posłannictwa niemieckiego, jakie Prusom przypadło w udziale. Statystyka lat ostatnich niby wykazała, że w cichości się obecnie odbywa nowa wędrówka ludów ze wschodu na zachód. Robotnicy polscy krociami zalewają prowincye niemieckie aż do Westfalii. Siedziby przez nich opuszczone zajmują inni Polacy przybysze z za kordonu rosyjskiego i austryackiego. Widać w tém nawet *system* i *kierunek.*

Pojęcie „systematyczności“ w tak nazwanéj „agitacyi polskiéj“ spotykamy prawie na każdym kroku u dzisiejszych polityków niemieckich i u wykonawców tejże polityki. Wyobrażają oni sobie, że wszystko, co się u nas dzieje, dzieje się jakoby za jakąś niewidzialną komendą, wedle dobrze obmyślanego planu. No! plan ten chyba ułożyła Opatrzność i kieruje jego wykonaniem, bo w dziełach ludzi u nas wszystkiego raczéj dopatrzéć można, jeno nie ładu, planu, systematyczności. I dziś jeszcze nierządem stoimy. Nie jest-że to najwyższa ironia losu, że nas pomawiają o jakąś systematyczną propagandę, sztucznie i umiejętnie wytwarzaną?!!

Dosyć, że nas podziwiają! Ks. Bismarck nam przyznawał, że chociaż jesteśmy „Prusakami“ na 24-godzinne wypowiedzenie, do-

skonale potrafiliśmy na korzyść naszą wyzyskać wolności konstytucyjne, że póki w ministeryum pruskiém wyznań istniał oddział katolicki, tenże pozostawał pod komendą kilku magnackich rodzin (!!) polskich i dlatego musiał być zniesionym. Inni mówcy sławili Towarzystwo Pomocy Naukowéj, rozsiedlanie się polskich lekarzy, adwokatów, nawet rzemieślników, wzrost spółek pożyczkowych, prasy, czytelni; wszystko to celem wykazania „systematycznéj“ propagandy i na usprawiedliwienie proskrypcyi.

Natomiast centrum sejmowe, zawsze pod wodzą dzielnego Windthorsta w tém wszystkiém upatrywało tylko naturalny rozwój, któremu gwałtownemi środkami nikt nie zagrodzi i w chrześciańskiém państwie zagradzać nie powinien. Z téj strony napiętnowano też wydalanie jako zamach przeciwko żywiołowi katolickiemu jako środek barbarzyński, niegodny potężnego państwa. Jeśli macie za wiele obcych Polaków — mówił Windthorst — to nie wpuszczajcie nikogo do kraju, ale barbarzyństwem jest wypędzać spokojnych, zasiedziałych ludzi, dzieci i niewiasty brzemienne. Niesprawiedliwością nie obronicie niemczyzny!

Podobne stanowisko zajęli niemiecko-wolnomyślni. Zaprzeczali oni, żeby sprawa wydalań była sprawą narodową. Bo cóż dziś, mówili, u nas w kraju jest „narodowém“? To czego chce Bismarck i jego akolici. Nie odmawiamy rządowi prawa do wydalania i niewpuszczenia obcokrajowców; rozumielibyśmy, gdyby wydalano niespokojne żywioły, ale wszystko w czambuł wypędzać, nie wyłączając i 9,000 żydów, którzy przecież chyba wzmacniali żywioł niemiecki nie polski, to rzecz sprosna i niesłychana. Zgodzimy się, mówili daléj, na wszystkie dodatnie sposoby, których rząd użyje przeciw polskości, zawsze jednak z zastrzeżeniem, że nie pogwałca się praw zasadniczych i konstytucyjnych, których opiece podlegają porówno z wszystkimi także i polscy obywatele państwa; na gwałty zgodzić się nie możemy. Jeden z mówców zacytował nawet (Rickert), co pruski *Staatsanzeiger* napisał 28 sierpnia 1870 r. wobec wydalania Niemców z Francyi: „Wypędzenie Niemców z Francyi, najsromotniejsze pogwałcenie prawa międzynarodowego w XIX wieku, wykonywa się z gorliwością...“ A 29 sierpnia tenże *Staatsanzeiger* pisał znów: „Naród ten (Francuzi) napiętnował się grabieżą i wypędzeniem spokojnych obywateli odmiennéj (niemieckiéj) narodowości, co przypomina, jakobyśmy żyli w wieku barbarzyństwa....“

Mimo to wszystko, nie mogło być widoku na odwrócenie burzy, która zawisła nad głowami naszemi. Słusznie powiedział ks. Stablewski, że dyskusya nad wnioskiem Achenbacha obliczoną była tylko

na rozbudzenie narodowego fanatyzmu niemieckiego. Cel został osiągnięty. Nie pomogło nic, że centrum i postępowcy wywodzili, jako przecie niepodobna się zgóry godzić na nieznane jeszcze nikomu sposoby zwalczania polonizmu, póki ich rząd nie przedstawi; wierna i karna większość sejmowa przyjęła wniosek. Ks. Bismarck był pomszczony za klęskę, poniesioną w parlamencie, uwertura była skończona i mogła się teraz rozpocząć tragedya.

Dnia 30 stycznia zakończyła się powyżéj naszkicowana wstępna bitwa, a już 22 lutego przedłożył rząd sejmowi cały szereg wniosków do praw wyjątkowych przeciwko Polakom. Na czele szeregu tego był wniosek do prawa kolonizacyjnego dla Prus Zachodnich i Wielkiego Ks. Poznańskiego.

Wykupić dobra z rąk polskich, osadzić je chłopami i robotnikami niemieckimi. Otóż zamiar prawa. Na wykonanie zażądano od sejmu kredytu w wysokości 100 milionów marek.

Rząd pruski niejednokrotnie próbował u nas środka kolonizacyi, żeby po myśli swéj odmienić stan zaludnienia. Już Fryderyk Wilhelm I kolonizował Litwę osadnikami salcburskimi, wychodźcami religijnego prześladowania. Ładną o téj kolonizacyi opowiadano w sejmie anegdotę. Monarcha, chcąc się sam naocznie przekonać o stanie nowych kolonii, zjechał na miejsce. Było to właśnie w czasie, kiedy jakoś wilki bardzo się były dały we znaki dobytkowi kolonistów, a po wszystkich gminach radzono, jakby wilczą plagę poskromić. Na zebraniu takiém obecny król zapytał któregoś kolonistę o zdanie, w jaki sposób uważa, że możnaby się wilków pozbyć? „Daj im, najjaśniejszy panie, każdemu siedło „wolnego kmiecia“ (kolonisty), a zaraz uciekną i już nigdy nie powrócą“—odrzekł śmiałek, a zarazem w dosadny sposób pouczył monarchę, że kolonizacya nie miała powodzenia, a chłopi gromadami uciekali z kolonii.

Wielkim kolonizatorem był potém Fryderyk II-gi, zwłaszcza w Notecczyźnie. Są wprawdzie po dziś dzień kolonie, sięgające jego czasów, ale i on miał dużo zmartwienia z „motłochem“, który się parł do ryczałtowych urzędowych kolonii. „Nie na to nas łaska królewska tu przysłała—zwykli mawiać ci ludzie—żebyśmy pracowali, jeno żebyśmy dzieci płodzili“ (*zur Peuplirung*), to jest materyał na przyszłych żołnierzy.

W r. 1832 generał Grollmann, głównokomenderujący w W. Księstwie, a świadek ruchu i wypadków r. 1830 i 1831, podał rządowi nowy memoryał o kolonizacyi, obliczony na wykupywanie dóbr szlacheckich, bo właśnie szlachta jest złym żywiołem, którego się pozbyć należy. Z tego memoryału zrodził się ów znany system Flo-

twella, praktykowany od r. 1832—1840. Wykupiono wtedy ogółem 30 dóbr, z których część czasem powróciła znów w polskie ręce. Z tych to czasów datują się początki fortun takich magnatów jak Treskowy, Kennemanowie, którzy dziś są najzajadlejszymi apostołami wykorzenienia. Fryderyk Wilhelm IV był mężem charakteru wspaniałego i szlachetnego. Zaniechał on systemu wykupywania, a z funduszów pozostałych z téj gałęzi administracyi obławiali się raz poraz cichaczem różni lojalni dorobkowicze.

W ostatnich czasach myśl kolonizacyi odrodziła się pierwotnie w kołach postępowców i wolnomyślników. Ilekroć się odzywały utyskiwania na niepomierną siłę żywiołu polskiego, objawiającą się mianowicie przy wyborach, oni zawsze nastawali na rząd, żeby rozkolonizował „domeny“ czyli dobra rządowe, i tym sposobem przysporzył krajowi niemieckich mieszkańców, wyborców i t. d. Rząd zasłaniał się niemożnością, albowiem dobra skarbowe i lasy jakoby tworzyły jeszcze zastaw za długi publiczne z dawniejszych czasów. Zresztą w Księstwie i Prusach dobra te są stosunkowo zbyt szczupłe. Ale—rzekł teraz rząd—jeżeli koniecznie chcecie kolonizować, dajcie pieniędzy, wykupimy Polaków, będzie aż nadto miejsca dla przychodniów niemieckich.

Plan ten dojrzał wśród burzy wydalania i stał się niejako ich następstwem. Statystyka niby wykazała, że żywioł polski nie tylko nie znika dosyć pośpiesznie, ale owszem się wzmaga, trzeba więc Polaków jednych wypędzić, drugich wykupić, a kraj osadzić Niemcami, żeby państwo doprowadzać do narodowéj jednolitości i wewnętrznego bezpieczeństwa.

Dość ogólne jest jednak mniemanie, że nie sama statystyka spowodowała ks. Bismarcka do wydalań, do wykupywania, kolonizacyi i zażądania w sejmie s t u milionów marek na cele kolonizacyjne. Wszak to suma, za którą odbyć już można od biédy krótką kampanią!

Powodzenie, którem się przez długie lata panowania cieszył ks. Bismarck, zasadzało się na jego osobliwéj metodzie. Rzecz jest bardzo prosta: nigdy on, idąc jedną drogą, nie miewa jednego wyłącznie celu na oku. Co najmniéj stawia i ustawia sobie dwa zadania i cele, lub więcéj. Chybi jedno, to dopisuje drugie, niekiedy jedno i drugie, — ot cała tajemnica jego wielkości i jego powodzenia. Tak naprzykład w ostatnich czasach mierzył niby w wyspy Karoliny, a tymczasem otworzył sobie od tylu lat zamknięte, spiżowe wrota Watykanu.

Zapewne więc i akcya antypolska ma swoje b l i ź n i ą t k o, dziś jeszcze nieznane. Domniemywać się można rozmaicie, ale zga-

dywać nie warto. Kto ma 100 milionów w Księstwie, odważyć się może na więcéj jak na skupienie kilkunastu zbankrutowanych szlachciców polskich.

Bądź-co-bądź, dzięki powolnéj większości sejmu pruskiego, w trzykrotnych obradach, sześć dni trwających, stanęło prawo kolonizacyjne o 12 paragrafach. Już z liczb tych wnosić można, jak gorącą musiała być walka parlamentarna tém więcéj, że po pierwszém „czytaniu" odesłano wniosek do komisyi, która także kilka posiedzeń odbyła i różne porobiła poprawki. Ogólnie zarzucano wnioskowi rządowemu, że nosił na sobie wszelkie cechy dzieła stworzonego w pośpiechu, pobieżnie, jak to mówią, byle było, byle zawotowano 100 milionów.

Honorowe miejsce w parlamentarnym turnieju dostało się naszemu posłowi Władysławowi Wierzbińskiemu. Tak on, jak i późniéj odzywający się posłowie nasi zaznaczali, jako nie dla tego występują na trybunę, żeby wpłynąć na wynik obrad, zgóry przewidziany i przepisany, lecz żeby zaznaczyć niemoralność przyszłego prawa, a podnieść żywotność i niespożytość żywiołu, przeciwko któremu mobilizować trzeba aż sto milionów, kiedy na ostatnią wojnę niemiecką Prusy wcale kredytu nie żądały. Jak dawniejsze próby kolonizacyjne się nie powiodły, tak i ta nowa próba, na nienawiści oparta, tém mniéj się powiedzie. Nie lekceważymy téj nienawiści i przyszłych dzieł jéj, ale wiemy zgóry po któréj stronie może być zwycięstwo, a po któréj sromota. Tak mówił Wierzbiński.

Niepodobna streszczać całéj dyskusyi, jaka się snuła coraz daléj a daléj, na to oczywiście, żeby w historyi pozostał obfity materyał do scharakteryzowania i potępienia polityki pruskiéj. Zatém ugrupujemy tylko główne argumenta stron przeciwnych wedle odpowiednich punktów widzenia rzeczy.

Większość stanęła przedewszystkiém na stanowisku „narodowém." Państwo pruskie ma potrzebę zniweczyć obce naleciałości, które z biegiem czasu wciągnąć „musiało" do granic swych. Ponieważ naleciałości te nie chcą się rozpływać dobrowolnie w jednolitym organizmie państwowym, trzeba użyć środków dogodnych. Tak „nakazuje" interes niemiecki.

Zaraz zapytała opozycya, coby też rozumiano przez interes niemiecki? Oczywiście, że tylko to jest ideą, potrzebą niemiecką i interesem, co dziś ks. Bismarck tak uważa, wyzyskując serwilizm swego społeczeństwa (Stablewski), które odwykło od własnéj woli i własnego myślenia (Schorlemer). A ks. Bismarck wedle potrzeby bywa wstecznikiem, liberałem, rewolucyonistą. Z nim się zmie-

nia zarazem „interes niemiecki.“ Kiedyś ścigano apostołów jedności niemieckiéj jako zdrajców stanu (Kantak), dziś popełnia się gwałty w imię idei jednolitości na ludziach, którzy jéj się czynnie nie opierają.

Drugiego a więcéj realistycznego argumentu na wykazanie potrzeby kolonizacyi, dostarczyć miała większości statystyka. Żywioł słowiański nas zalewa (*ueberfluthet*) brzmiało hasło! Przypatrzmy się temu zalewowi.

W W. ks. Poznańskiém w r. 1870 było Polaków 1,009,885, Niemców 511,429. W r. 1880 było Polaków 1,111,962, Niemców 526,619; zatém Niemcy przez 10 lat wzrośli o 15,000 a Polacy o 102,077. W Prusach Zachodnich w r. 1870 było Polaków 641,619, Niemców 645,165. W r. 1880 Polaków liczono tamże 693,654, a Niemców 666,296. Zatém i tu Niemcy wzrośli o 21,000, zaś Polacy o 52,000.— Z liczb tych wywnioskowano, że jeśli Polacy w tym samym stosunku daléj mnożyć się będą, wyprą Niemców z Księstwa.

Daléj minister rolnictwa *Lucius*, podał następującą a bardzo ciekawą statystykę ziemi. W Księstwie Poznańskiém jest dóbr ziemskich, obejmujących co do obszaru ponad 155 hektarów, w ręku prywatnych 1,380,342 hektarów. Z tych Niemcy mają 45%=723.899 hek., Polacy 656,443 hek., a w ostatnich 25 latach przeszło z polskich rąk do niemieckich 225,922 hek., odwrotnie zaś tylko 30,358 hek. W Prusach Zachodnich zaś, w obwodzie rejencyjnym kwidzyńskim Niemcy dzierżą 336,536 hek., Polacy już tylko 84,115 hek. W ostatnich 25 latach Niemcy zdobyli 36,834 hek., Polacy odzyskali tylko 4.902 hek. W obwodzie gdańskim Niemcy mają 183,411 hekt. Polacy zaś tylko już 18,468 hektarów.

Mniejszą posiadłość, a więc niżéj 155 hektarów, bardzo trudno obliczyć; nawet rządowe statystyki są niedokładne. Przypuszczają, że $^{2}/_{5}$ całego areału przypada na chłopów. Od r. 1815 z 48,151 gospodarstw sprzężajnych znikło 8765 bądź przez podział na gospodarstwa niesprzężajne, bądź téż przez przykupienie do dominiów. Niżéj 50 hektarów liczą w obwodzie poznańskim w ręku chłopów polskich 434,100 hektorów, w ręku Niemców 195.000 hek. W obwodzie bydgoskim polscy chłopi mają jeszcze 221,600 hek., niemieccy już 204,500 hek. razem więc w księstwie chłopi polscy mają 650,700 hek., chłopi niemieccy 399,500 hek.

Nareszcie i statystyka wojskowa, wykazy poboru wojskowego z lat ostatnich miały dać dowód, że żywioł sławiański „zalewa“ niemczyznę.

Oczywiście, że od razu wykazano całą nicość téj statystyki. Jedno 10-lecie niczego jeszcze nie dowodzi, a zresztą liczbę Polaków

obejmują wszędzie zarazem i katolików Niemców, których w Prusiech Zachodnich jest bardzo dużo a i w Księstwie już niemało. Zabójczą zaś była dla zdrowego rozumu owa statystyka ziemi. Jeśli w 25 latach żywioł niemiecki zrobił tak ogromne postępy w opanowaniu ziemi, to pocóż, mówiono, obciążać kraj długiem 100 milionów, kiedy wywłaszczenie Polaków samo się dokona bez kosztów i gwałtu.

Zatém już w komisyi a następnie i w sejmie samym stronnictwo centrum (v. Huene) postawiło wyraźny wniosek, żeby rząd przedstawił dokładniejszy materyał statystyczny, udowadniający niebezpieczeństwa zalewu i potrzebę stumilionowéj kolonizacyi. Rząd zaś odmówił stanowczo. Musiał odmówić, bo nie miał w ręku nic, coby jego rzekome zapatrywanie potwierdzało. Cała teorya „zalewu" okazała się *ad hoc* zmyśloną. Nie dosyć szybko znikamy, zaznaczał słusznie ks. dr. Stablewski. Albowiem wedle statystyki naszéj (Kantak), od r. 1816 do ostatnich obliczeń liczba Polaków w kraju wprawdzie się podwoiła, ale w tymże czasie liczba Niemców się potroiła. Za podstawę tego obliczenia wzięto nie jedno 10-lecie, lecz czas od r. 1822—1837 i od r. 1875—1880 (ks. dr. Jażdżewski). Statystyka ministerstwa wojny także byla naciąganą, bo oparta tylko na ostatniém 3-leciu. Poseł Kantak wywiódł, że biorąc 5 lat ostatnich dochodzi się już wręcz do przeciwnych rezultatów i wykaże się, że w tym razie liczba rekrutów z polskiém wykształceniem elementarném w Gdańskiém spadła z 10,16 na 4,39%, w Poznańskiém z 40,65 na 37,62%, w Bydgoskiem z 26,25 na 20,83%.

Mimo to wszystko mówcy rządowi nie przestali twierdzić, że żywioł polski niemczyznę zalewa. Nawet oczywisty fakt, że ziemska posiadłość polska w ostatnich 25 latach cofnęła się o krocie hektarów, nie zdołała odmienić uprzedzonego sądu. Kto przekonanym być nie chce, tego nic nie przekona.

Inną była argumentacya opozycyi. Z ogólnego stanowiska potępiono wykupowanie Polaków za ich własne pieniądze, jako czyn niechrześciański, a ks. dr. Stablewski zaznaczył, że żaden z mówców rządowych nie śmiał odeprzéć tego zarzutu. Nieszlachetną też jest rzeczą wyzyskiwać smutne położenie rolnictwa na praktyki kolonizacyjne z polityczną tendencyą (Kantak); co więcéj kultura niemiecka przyznaje się do bankructwa, chwytając się środków gwałtownych, zamiast zdobywać pole przewagą swéj istoty (Scherlemer). W r. 1850 powiedział nie kto inny, jeno ówczesny prezes ministerstwa, ultrakonserwatywny baron v. Manteuffel, te pamiętne słowa: Rząd nie może przejmować starania o rozpowszechnienie narodowości niemieckiéj. Jeśli narodowość niemiecka potrze-

buje opieki władz administracyjnych, żeby utrzymać swą przewagę, niech nie liczy na przyszłość dla siebie“ (Kantak).

Dalej zaznaczono, że prawo kolonizacyjne sprzeciwia się konstytucyi i obowiązującym ustawom.

§ 4 konstytucyi pruskiéj opiewa (Kantak), że wszyscy „Prusacy“ (tj. obywatele państwa pruskiego) są równi przed prawem. Tymczasem nowa wyjątkowa ustawa degraduje część równych obywateli na jakiś poziom obywateli drugiego rzędu. Obywatele ci pełnią święcie swe obowiązki, oddają podatek z mienia i krwi. Obywatele ci, pod przewodem księdza z krucyfiksem w ręku, brali szturmem szańce dypelskie, zdobywali stanowiska nieprzyjaciół pod Nachodem (1866) i pod Spikeren (1870), a dziś wykupywać mają ich ziemie i nie wolno nikomu z nich nabyć od rządu jednéj skiby.

§ 3 konstytucyi Rzeszy opiewa (Kantak): „Żaden „Niemiec“ (tj. obywatel Rzeszy) nie może od władzy swego kraju ani od władzy innego kraju związkowego doznawać ograniczenia w uprawnieniu do prowadzenia procederu ani do n a b y w a n i a własności ziemskiéj“...

§ 1 prawa o wolności przesiedlania (*Freizügigkeitsgesetz*) opiewa: (Virchow) że każdy obywatel Rzeszy ma prawo w obrębie związkowym p r z e b y w a ć, gdziekolwiek zechce, i n a b y w a ć w s z ę d z i e p o s i a d ł o ś c i z i e m s k i e... a nowe prawo wyklucza możność rozkolonizowania wykupionych majątków pomiędzy włościan polskich. Wprawdzie już generał Grolman w r. 1832 powiedział, że tylko ślachta z domownikami swymi tworzy w Poznańskiém zły żywioł. Chórem téż do dziś dnia powtarzają grolmanowe epigiony, że chłop w Poznańskiém i t. d. błogosławi niemieckiemu porządkowi i szczęśliwym się czuje pod panowaniem żandarmów i komisarzy dystryktowych, a jednak temu urodzonemu koloniście ziemi powierzyć nie chcą. Dobry on na pastwę armatnią, nawet w potrzebie przygrywa mu się marsze zakazane, ale do współzawodnictwa w nabywaniu ziemi przypuścić go nie można; jakoby rząd miał prawo wybierać sobie nabywców ziemi tylko z pomiędzy Niemców a nie z pomiędzy wszystkich obywateli Rzeszy.

Uderzono następnie w trudności, z jakiemi kolonizacya spotkać się musi. Przepowiadano, że zrobi sromotne *fiasco* a 100 milionów roztrwoni się po części na ratowanie zbankrutowanych ziemian niemieckich, na zdzierstwa agentów, na nepotyzm, korrupcyą itd.—Powątpiewano téż wogóle, czy się znajdzie odpowiedni materyał na udziały chłopskie. Stosunki bytu, mianowicie téż w rolnictwie włościańskiém są tak niepocieszne, że ludzie hurmem z Prus uciekają za morze. Nastręczy się motłoch wyzyskiwaczy, zdrowe żywioły z prowincyi niemieckich nie odważą się na n i e p e w n e r y b y.

Charakter nowego prawa, mówiono daléj, jest przedewszystkiém d y s k r e c y o n a l n y. Nie określa jasno, jaki ma być stosunek nabywców rozkolonizowanéj ziemi od pierwotnego i właściwego dzierżyciela onéj, tj. rządu, lecz pozostawia rządowi do woli cały szereg form, w jakich umowy zawierać zechce. Wszystko to z obawy, żeby rozkolonizowane grunta w ten czy ów sposób nie mogły znów przejść do rąk polskich.

Obawa ta podcięła od razu pierwszy warunek powodzenia indywidualnéj własności tj. nieograniczoną rozporządzalność. Sprzedaż bezwarunkowa parcel nie jest wprawdzie wykluczoną, ale ponieważ jest rzeczą bardzo wątpliwą, czy na tę formę kolonizacyi znaleść będzie można dostateczną ilość kolonizatorów, wolno parcele wypuszczać w czasową dzierżawę lub nareszcie oddawać w posiadanie z zastrzeżeniem nieograniczonéj co do czasu renty (*Rentengüter*). Z wynalazku tego bardzo dumną była komisya parlamentarna, bo to jéj dzieło. Przypuszczają, że na te rentowe siedła rzucą się całe legiony kolonistów z żadnym lub małym kapitałem obrotowym, o którego utratę nie potrzeba im się obawiać tyle, co czasowym dzierżawcom. Takby się zdawało. A jednak wyliczono cały szereg zasadniczych niedomagań, jakie ten rodzaj renty za sobą pociągnie. Najprzód cała instytucya staje od razu w sprzeczności z powszechném prawem pruskiem, które zezwala tylko na amortyzacyjny stosunek rentowy najwyżéj do 30 lat, z téj zasady, że należy w państwie popierać rozwój i wzrost indywidualnéj, jasnéj a nie współdzielnéj, zagmatwanéj własności. Polityka antypolska rozgrzesza rząd z przestrzegania téj zasady. Wolno mu stosunek rentowy przeciągać w nieskończoność, ale może go też wedle umowy ukrócić. Jakież będą skutki tego stosunku? mianowicie też ze względu na to, że nabywcom bez pozwolenia rządu nie wolno parcel daléj odprzedawać? Przedewszystkiém ujawni się *zupełny* brak kredytu reczowego, bo któż da pieniądze na hypotekę, którą nie sam posiadacz wyłącznie rozporządza? Daléj bardzo utrudniony a prawie uniemożebniony jest podział dziedziczny. Bo jakże dzielić między spadkobierców realność, któréj stosunek rentowy sprzedać nie pozwala z wolnéj ręki, z wyzyskaniem wszelkich okoliczności i konjunktur, tylko w zupełnéj zawisłości od właściciela renty tj. rządu. Albowiem w przeciwnym razie mógłby kolonię nabyć Polak. Istne *koło błędne*. A jednakże nie udało się zagrodzić temu niebezpieczeństwu na wszelkie wypadki. W braku spadkobierców w prostéj linii, zdarzyć się może, że znajdzie się poboczny szczęśliwiec spadkobierca słowiańskiéj krwi; chyba że, obok renty, posiadaczom gruntów rentowych wpisywać będą do hipoteki zakaz wchodzenia w jakiekolwiek stosunki koligacyi

z żywiołem krajowym. Na chęciach w téj mierze nie zbywa, wszak o to potrącał bardzo na seryo ks. Bismark w owéj osławionéj mowie *à la Monaco.*

Słusznie też wyrażali mówcy z centrum obawy, że i kolonizacya wymierzoną jest przeciwko katolicyzmowi. Forytowani będą oczywiście tylko koloniści protestanccy, bo katolicy narażani bywają na spolonizowanie przez ułatwione z powodu tożsamości wyznania koligacye.

Takie oto wnioski i pewniki wysuwali mówcy opozycyi, pragnąc dowieść, jak trudném a wskutkach zawodném jest i będzie dzieło kolonizacyi, podjętéj nie w celach ekonomicznych, lecz w celach politycznych.

Ale to jeszcze nie wszystkie szkopuły, o które się rozbijać powinna nieczysta sprawa. Już uregulowanie stosunków i ciężarów kościelnych, szkolnych przedstawi w praktyce tysiączne trudności; głównie zaś prawo zasiedziałości (*Unterstützungswohnsitz*) nowe gminy przyprawi odrazu o bankructwo. Prawo to opiewa, że każdy członek gminy, każdy mieszkaniec, mniejsza o to czy wyrobnik czy właściciel, skoro w gminie bez przerwy przemieszkał dwa lata, a popadnie w niemoc lub nędzę, otrzymywać musi stale od gminy wsparcie, odpowiednie do stanu swego. Wiadoma rzecz, że w każdéj wsi szlacheckiéj mieszka po kilka, kilkanaście, niekiedy kilkadziesiąt rodzin wyrobniczych. Skoro wieś taka zakupioną zostanie na cele kolonizacyjne, wszystkie rodziny te zostaną wyrugowane i pójdą z torbami. Część znajdzie przytułek i pracę utrzymających się jeszcze ziemian, ale w miarę jak wykupywanie wzmagać się będzie, uszczupli się pole przytułku i pracy dla naszych wyrobników. Popadną w nędzę a gminy nawiedzone tym proletaryatem odséłać będą żebraków do miejsc zasiedziałości, czyli do nowych kolonii, na które tym sposobem spadnie ciężar nieznośny i nie przyczyni się do ich powodzenia.

Już to przyznać trzeba opozycyi, że temi i podobnemi argumentami walczyła do ostatka z zacięciem i wytrwałością. Nie o naszą skórę walczyła tak mężnie (tj. Niemcy) ale o honor swéj ojczyzny. Ten przez posłów z centrum i wolnomyślników został rzeczywiście uratowanym. Pokazało się, że są jeszcze liczne zastępy mężów w Niemczech, które stosunek państwowy opierają na sprawiedliwości. Cześć im, cześć np. takiemu Windhorstowi, przyznającemu, że my jesteśmy obywatelami państwa równouprawnionemi, że żadnych praw nie utraciliśmy, cześć takiemu Virchowowi, wołającemu: nam nie wolno germanizować, mamy tylko prawo żądać, żeby się dzieci polskie po niemiecku nauczyły!

Co do trudności z jakiemi się kolonizacya spotka rząd dziś po uchwaleniu prawa i zagarnięcia 100 milionów, zupełnie ich sobie nie tai i dla tego właśnie kazał sobie pozostawić do woli tyle sposobów postępowania, żeby miéć wybór stosowny do okoliczności. W tym celu zastrzegł téż sobie i powołał do działalności osobną komisyą, złożoną nie tylko z biurokratów ale i z ludzi, mających styczność z życiem praktycznéin. Komisya ta corocznie *sejmowi* zdawać będzie sprawę z zakupionych majątków, ze sprzedaży takowych, z rozkolonizowania, z przygotowań odpowiednich i z administracyi dóbr zakupionych.

Zależéć będzie od téj komisyi, czy sprawa pójdzie właściwym co do założenia a dla nas niepożądanym torem. Prawo samo jest dość giętkiém i elastycznéin a w uzasadnieniu prawa powiedziano: zamiaru dopnie się tylko wtedy, jeśli rząd będzie miał w działaniu wolne ręce. Znaczy to tyle, że co do szczegółów jeszcze przedsiębiorcy sami nie wiedzą, jak postępować. Znają tylko główny cel, wywłaszczenie osiadłéj szlachty, a w miarę okoliczności zmieniać będą i zastosowywać środki. Pieniędzy jest podostatkiem, czas zbytecznie nie nagli, więc z namysłem i spokojem biorą się do dzieła.

W pierwszéj chwili u nas mówiono sobie: co oni nam zrobią temi swemi 100 milionami. Roztrwonią pieniądze na liche kupna, na nepotyczne ratowanie zbankrutowanych Niemców, na zagospodarowywanie zniszczonych majątków. Dziś już sądzimy trochę inaczéj. Komisya kupiła już kilka znakomitych majątków po bajecznie taniéj cenie a stosunki naszych ziemian są w dwóch trzecich tak rozpaczliwe, że tą samą drogą postępując, komisya zakupi na subhastacyach tyle dóbr, ile sama zechce. Z kolonizacyą nie myślą się śpieszyć, może nawet lata jeszcze miną, zanim na dobre się do niéj wezmą. Dla popisu tylko tu i owdzie przyśpieszą i tę czynność, żeby wykazać możliwość. Większość zakupionych majątków administrować będą jako dominia i ciągnąć z nich dochody z powodu taniego kupna. Praktyczni ziemianie niemieccy, powołani do komisyi, są nawet przeciwni gwałtownéj kolonizacyi a obiecują sobie, że i przez folwarczne gospodarstwo cel wywłaszczenia Polaków osiągniętym być może.

Tymczasem więc cała uwaga komisyi zwróconą jest na zakupna. W powiatach landraci sporządzają statystykę „słabych“ ziemian polskich. Do komisyi należą generalni dyrektorowie ziemstw kredytowych, którzy badają stan hipoteczny i tak dziś już w tajnikach komisyi taksuje się każdy „słaby,“ kiedy i za ile przejdzie *sub hasta* do wnętrzności *omnivorae Germaniae*.

O szczegółowych zamiarach działającéj komisyi różne chodzą wersye. Nie uważamy za potrzebne powtarzać lub krytykować takowych. Jeżeli wszystko, co mówią, jest prawdą, zapewne i ta komisya z czasem wejdzie na manowce. I owszem, nie myślimy jéj otwierać oczu. Wolimy ją chwalić i przeceniać jéj wielki rozum, żeby czémprędzéj usnęła na laurach. Nie możemy jednak odmówić sobie zrobienia jednéj przygany. Bezwzględność całego prawa, całego postępowania, charakteryzuje się najlepiéj przez to, że do komisyi powołano właśnie i naczelnych urzędników ziemstw (tj. towarzystw kredyt. ziems.). Zatém ziemianie polscy utrzymują z własnych funduszów naczelników instytucyi kredytowych ziemskich na to, żeby ci dokładali starań około wywłaszczenia swoich mocdawców. Jakiż to obrzydliwy stosunek. Nie wiadomo, czém więcéj gardzić, czy zasadą niemoralną, czy osobami, które w tym stosunku usługi swe oddają molochowi racyi stanu. Rzecz zaiste dotąd niebywała w „państwie prawa.“ Lecz i tu już wszystko jest możebném. Wszakże i o obecnym nowym naczelnym prezesie (Zedlitz-Trütschler) mówiono w kołach szlachty szląskiéj, że jest nadto „porządnym“ człowiekiem, żeby się miał oddać na posługi tych praktyk, a jednak „porządny“ człowiek się nie zawahał. Tacy oni wszyscy!!

A my?! U nas oczywiście płacz i zgrzytanie zębów. Przesilenie, od wielu lat dolegające rolnictwu w ogóle sprawia, że doskonale skruszali, z pewnym *haut gout* dostajemy się na jatki naszéj teutońskiéj macochy. Wielokrotnie wytykano to w parlamencie i w sejmie, że się nie godzi wyzyskiwać takiego położenia ziemian na rzecz państwa. Hipoteki przeciążone, nieurodzaj chroniczny, ceny ziemiopłodów obniżone do ostateczności, dochody coraz mniejsze obok wzrastających wydatków, słowem chwila jakby stworzona na wywłaszczenie.

Lecz co gorsza, że o ile jesteśmy materyalnie i biernie najzupełniéj przygotowani do téj tragicznéj akcyi, o tyle pod względem intelektualnym, pod względem energii ducha i możności obmyślenia czynnego odporu, zaskoczyła nas takowa zupełnie nieprzygotowanych. Ztąd ów ogólny popłoch i dobrowolne chęci ustępowania z gleby ojczystéj, ztąd owa bezradność co do środków ratowania się z toni.

I nie dziw, że tak jest. Zaskoczyła nas wielka kwestya ekonomiczno-finansowa, a my nie przypuszczaliśmy nigdy, żeby sprawa nasza na tém polu rozegrać się miała. Wytężaliśmy zawsze wszystkie siły nasze na politykę; z chlubą o sobie to powiedzieć możemy, że nawet ks. Bismarka biliśmy na arenie parlamentarnéj, przed Europą, przed ludem, na wiecach, w prasie, a on widząc, że

nam na tém polu nie podoła, przerzucił się na inne, i bije nas teraz tam, gdzie nas dotąd bili tylko żydzi,—*sub hasta.* Nasza drzémka ekonomiczna mści się teraz straszliwie, gdy z potrzeby naraz chcielibyśmy na poczekaniu przedzierzgnąć się w ekonomiczno-finansowo-ratunkowe społeczeństwo. Niestety takie przewroty nie dzieją się raptownie, na to potrzeba pracy i usiłowań całych generacyi.

A wszakże chełpiliśmy się zawsze tém, że u nas kwitną prace organiczne, niby coś przecie z ekonomii?! Tak jest kwitły, ale nie wszystkie kwiaty wydają owoce i plony. Warzy je mróz, pali posucha. A u nas te prace były i są albo drobnostkowe, albo pozorne, albo skierowane na niewłaściwą drogę, albo osłabione.

Jeden stan włościański, powiedziéć można, zrobił prawdziwe postępy, wszedł na drogę rzeczywiście zarobkową, chociaż i on jeszcze zamiast zyskiwać traci ziemię, ale bezporównania wolniéj niż ziemianie. On jeden żyje z pracy, reszta społeczeństwa, mniéj lub więcéj, zjada kapitał. Jedni go zjadają przez to, że ukryty i lękliwie strzeżony, gnuśnieje, drudzy przez niewłaściwy obrót jaki mu nadają.

Smutno to przyznać, ale nadzieja nasza nie zasadza się tymczasem na świadomie przez nas samych urządzonym oporze. Jeżeli nie zginiemy w téj toni, uratuje nas Opatrzność i dzielność naszego przyrodzenia, żywotność nasza. Groza położenia jest tak straszliwą, że byłoby daremném łudzić się nadziejami jakiejś drobiazgowéj pomocy, przewidzianemi skutkami takowéj.

Społeczeństwo nasze, jakkolwiek nadwątlone, przedstawia jeszcze bardzo poważną zaletę nie tylko moralną ale i ekonomiczną. A społeczeństwa najsłabsze są jeszcze zawsze olbrzymami. Utoczą nam krwi dużo, ale przecież sami wrogowie nie łudzą się tém, żeby przed upływem kilku generacyi skutek praw antypolskich miał nas zupełnie pognębić. Zważmy, że już 1000 lat trwa ta walka. Potrwa jeszcze długo. A tymczasem może przecież otworzą się oczy słowiańskich plemion, żeby poszukać w geografii, gdzie leży słowiański Tanenberg?!

Do tego czasu przerzedzą się nasze szyki. Księstwo spaść może do roli Szląska lub Łużyc, ale i na tém przecież jeszcze nie koniec: wszak i z pod Białéj Góry wracają jeszcze narody do znaczenia i siły.

Zdaje się, że najbliższym praktycznym celem rządu jest, żeby uniemożebnić reprezentacyą polską w sejmie i parlamencie. Dla tego usiłowania kolonizacyjne zwrócone być mają głównie na powiaty przedstawiające jeszcze wielką siłę wyborczą. I rzeczywiście każdorazowe wybory będą najlepszą miarą, czy prawa antypolskie odnosić będą skutek czy nie. A zatém czekajmy.

W. S.

———



SZKOŁY HISTORYCZNE W POLSCE.

(Główne kierunki poglądów na przeszłość).

Potomność będzie ze swego stanowiska wzruszać ramionami nad rozumem wieku naszego.

Lelewel.

Kierunek teologiczny, jaki w poglądach na wszystkie stosunki życia zapanował u nas w dobie reakcyi katolickiéj, i w zapatrywaniach na dzieje piętno swe odbił. Jeżeli fakta współczesne: urodzaje—wpływowi koronacyi obrazu, zwycięstwa—łasce nadprzyrodzonéj, a klęski przypisywano karze za grzechy,—musiano i do wymiaru przyczyn zdarzeń zamierzchłych, oraz pochwycenia wątku całego procesu przeszłości narodu skali używać téj saméj. Jakoż annaliści, pamiętnikarze i publicyści z XVII wieku, ile razy usiłują tłómaczyć fakt historyczny lub chaos wypadków nanizać na nić moralnego porządku, do teologicznego się niemal zawsze uciekają kryteryum. Autor *Exorbitancyi powszechnéj* (z r. 1628) pomyślność królestw funduje „na czci Boga prawdziwego i sprawiedliwości między ludźmi“, a w klęskach narodu widzi „kaźń Pańską“ (1). Najgłośniejszy z dziejopisów wieku XVII, Kochowski, wierzy w lata klimakteryczne i w opisywanych przez siebie czasach znajduje stwierdzenie przepowiedni astrologów o wznawiających się co rok siódmy nieszczęściach. Dębiński, według którego wolności polskie rozkwitać poczęły „za wniesieniem światła wiary chrześcijańskiéj“, spostrzega w dziejach palec boży, określający narodom lata istnienia. „Kto się — powiada — historyom, a w nich upadającym państwom *reflexe* przypatrzy, jaśnie obaczy, że wszystkie, zwłaszcza znaczniejsze,

(1) Wydanie Turowskiego, str. 9 i 21.

miały *certos suae durationis terminos* i jakoby *fatales periodos*, które im albo znaczne lub *in pejus* lub *in melius* odmiany, albo zgoła upadki przynosiły.“ Raz ów *fatalis periodus* przypadał co lat 250 — przez taki mniéj więcéj czas trwały monarchie: medyjska, perska od Cyrusa do Daryusza, grecka od Aleksandra do podboju przez Rzymian, longobardzka; drugi raz „znaczne na królestwa odmiany albo upadki przychodzić zwykły“ co lat 500,— tak długo istnieli Asyryjczycy, królestwo greckie od Cekropa do Kodrusa, rzeczpospolita lacedemońska i rzymska; to znowu spostrzegać się dają przełomy co lat 700, a dowodów dostarczają dzieje Kartaginy i Rzymu. Przełomy takie przebyła i Polska: pierwszy za Bolesława Chrobrego, „kiedy *ex principali statu ad regiam* przyszła *majestatem*“; drugi za najazdów tatarskich, trzeci się zbliża. Co ów trzeci przyniesie? „Kiedykolwiek do takich peryodów państwom przychodziło, miały zawsze niektóre pewne znaki i jakoby *proximas causas* bliskiego upadku, albo następującéj odmiany.“ Twierdzono, iż „prowidencya protekcyi boskiéj sprawuje, że ustawicznie się walimy, a przecie stoimy; ustawicznie gaśniemy, a przecie jako słońca jakie, po zachodzie wschodząc, jaśniejemy; ustawicznie giniemy, a przecie żyjemy....“ Rozumiano, że rolę osób na dworach książąt pełnią na świecie — wielkim dworze Boga, królestwa, które na rozmaite się dzielą kategorye i różne mają powinności a funkcye. „Więc Polakom między inszemi i tę też funkcyę naznaczył, żeby go rekreowali i cieszyli. I tak, kiedy Bóg z nieba na sejmy, na sejmiki, na wojenne wyprawy, na rządy i na wszystkie insze postępki nasze patrzy, bardzo się cieszy i rekreuje. Żeby tedy ta rekreacya Bogu nie zginęła, oddał Polskę naszą prowidencyi swojéj w osobliwą opiekę, aby jéj upadać nie dopuściła“ (1).

Pogląd taki na przeszłość znalazł nawet swego Bossuet'a w osobie jezuity, Szymona Maichrowicza, który w czterotomowém dziele: *Trwałość szczęśliwa królestw albo ich smutny upadek wolnym narodom przed oczy stawiona* (2) najwyższe zagadnienia dziejowe rozwiązywał z właściwą teologom łatwością. Że dla krótkości naszego życia nie możemy, zdaniem Maichrowicza, nagromadzić przez bezpośrednie doświadczenie mądrości, niezbędnéj do zabezpieczenia ojczyzny od ruiny,— musimy się zagłębiać w przeszłość, która okazuje przyczyny trwałości i upadku królestw i przezorności naucza. Zaszczepił rządca świata w stworzeniach swoich świadomość, że jak przez niego wyprowadzone zostały z nicości, tak jego również ręką wszech-

---

(1) Dębiński. Różne mowy publiczne seymikowe y seymowe. 1727, w drukarni Jasney Góry Częstochowskiey, str. 33, 38—40, 43. — (2) Znamy dwa pierwsze tomy w wydaniu lwowskiém z r. 1764, resztę w wydaniu kaliskiem z r. 1783.

mocną zepchnięte być mogą w wiekuistą nikczemność. Potęga i trwałość państwa jest wynagrodzeniem zasług, słabość i upadek następstwem grzechu,— stwierdzają to zarówno dzieje powszechne, jak polskie. Władcy nasi, począwszy od przybyłego z Kroacyi Lecha, przez lat 415 rządzili się, lubo poganie, światłem rozumu, przyrodzoną cnotą, wspaniałością umysłu i serca, a nagrodził im to Pan Bóg zwycięstwami i wprowadzeniem wiary Chrystusa (II. 13). Od Mieczysława zasługiwali sobie Polacy, oprócz chwały wiecznéj, na korzyści doczesne, do których dopomagała im Najświętsza M. Panna i święci (II. 23). Związkiem chrześciańskiéj miłości spojeni Litwini, Polacy i Rusini za grunt trwałości i szczęścia królestwa wzięli cnotę, pobożność i szacunek dla wiary; jedno było mówić: Polak i katolik,— nie uznawali za synów ojczyzny, lecz za odrodków od wszystkiéj poczciwości tych, którzy przeciwko starodawnéj powstawali religii. Jagiełło i Witold wzgardzili koroną, którą ofiarował im naród, uporczywie utrzymujący kacerstwo Husa. Prawowierni Polacy po wszystkie wieki i lata ku obronie wiary świętéj stanowią prawa pobożne, krew dla niéj oddają, majętności i życie; błędy kacerskie wytępiają odważnie i mocno. Wypędzili aryan, upokorzyli kalwinów i lutrów (III. 124). „I ta jest przyczyna, że tyle nad insze narody ze krwi swojéj pozyskali świętych obrońców przed Bogiem: śś. Stanisława, Jadwigę, Salomeę, Kunegundę, Kazimierza, Jozafata Kuncewicza, Jacka, pięciu męczenników, dwóch pustelników, Stanisława Kostkę, Jana Kantego, Jana z Dukli, Szymona z Lipnicy, Władysława z Gielniowa i inszych" (II. 25). Osobliwsza dla narodu naszego przychylność nieba, że Chrystus, że przeczysta Matka i Panna, że tylu świętych założyło sobie w Polsce szczególniejsze mieszkanie, że nas ratują, w wierze prawdziwéj i w złotéj utrzymują wolności (II. 33).

Pisano współcześnie, zwłaszcza w pierwszéj połowie wieku XVIII, o wielu sprawach rzeczypospolitéj rozsądnie (Karwicki, Jabłonowski, Leszczyński, Stanisław Poniatowski), nie zdołano jednak krytyki istniejącego porządku oprzéć na szerszéj podstawie historycznéj, żaden bowiem z autorów całości dziejów ze stanowiska filozoficznego ogarnąć nie umiał. Wtenczas, kiedy Monteskiusz pomiędzy zdarzeniami dziejowemi przyczynowy znajdował związek, a Wolter, nie uznając wpływów nadprzyrodzonych, źródła dla wielu doniosłych faktów szukał w stanie psychicznym ludzi, — pisarze nasi błąkali się po manowcach teologicznych majaczeń i po nad stanowisko Maichrowiczów skrzydeł nie wznieśli. Pierwsza, o ile wiemy, próba uogólnienia dziejów polskich, podjęta ze stanowiska nie religii, lecz nauki, ukazała się w r. 1760, lecz wyszła z pod pióra współziomka Woltera. Nie przynosi to chluby literaturze rodziméj, tém bardziéj, że żaden

z pisarzy naszych wieku XVIII nie zdobył się na dzieło, któreby tak systematycznie uogólniało całość dziejów polskich i zawierało pomysły tak trafne, jak *Compendium politicum seu brevis dissertatio de variis Poloni imperii vicibus* Cezara Pyrrhys'a de Varille (1).

W Polsce pierwotnéj znajduje Pyrrhys monarchię nieograniczoną, dziedziczną; zjazdy magnatów istniały, lecz po to jedynie, żeby książęcych rozkazów wysłuchać, nowemu panu wierność zaprzysiądz lub w razie wygaśnięcia dynastyi powołać inną. Tak się działo za Lechów. Za następnéj dynastyi było toż samo, chociaż trzeba zaznaczyć, że panowie lichego Piasta wynieśli tylko przez zazdrość. Gdy żaden nie mógł władzy ująć w swe ręce, wolał raczéj człowieka podłego (*obscurum hominem*) zalecić, niż równego sobie przeciwnika dopuścić. Często w czasach późniejszych panowie książąt zrzucali, a nowych sadzali, lecz to przez nadużycie czynili, nie zaś przez prawo. Nie naród, lecz Mikołaj z Bzury, niby Warwick, koronę różnym podawał; nie naród, lecz biskup poznański Władysława Łokietka w r. 1300 od władzy usunął. Panami kierowała przewrotność i chciwość; zjazdy, na których sponiewierali swych książąt, nie sejmami, buntowniczymi raczéj były ruchami. Polacy, fałszem się brzydząc, muszą to przyznać, że przez lat 787 dziedziczna i nieograniczona kwitnęła monarchia.

Od Kazimierza W. osłabła władza monarsza. Krzyżacy, mając sobie na zjeździe wyszogrodzkim ustąpione Pomorze, położyli warunek, żeby umowę senatorowie stwierdzili. Król zgodził się na to, powołał senatorów do stanowienia o pokoju i wojnie, następnie względem osadzenia na tronie siostrzeńca zezwolenia ich żądał i w taki sposób na miejsce nieograniczonéj monarchii arystokracyę pod przywilejami postawił. Za Jagiellonów arystokracya: 1) obiera króla i z nim 2) o wojnie i pokoju stanowi, 3) prawa wydaje, 4) sądzi, 5) skarbem szafuje, 6) zajmuje urzędy, 7) radzi o wszystkiém na zjazdach. W siedmiu kardynalnych prawach władza królewska poniosła uszczerbek i w taki sposób arystokracya pod wolnością (*sub libertate*) stanęła u steru. Powoli wynurza się szlachta. Rada była z początku, że panowie ograniczali monarchię; lecz skoro spostrzegła, że senat władzę z królem podzielił, i ona zapragnęła w rządzie udziału. Okoliczności dążnościom sprzyjały. W roku 1404 powstały sejmiki, w 1454 Kazimierz Jagiellończyk powołał szlachtę do stanowienia uchwał, wypowiadania wojny i zawierania pokoju; za

(1) Bliższe szczegóły o życiu jego i pismach podaliśmy w rozprawce: *Cezar Pyrrhys de Varille. Przyczynek do historyi literatury politycznéj wieku XVIII.* (W dodatkach tygodniowych do N. 3, 10, 17 i 24 *Nowin* z r. 1880).

Olbrachta i Aleksandra swobody szerszem jeszcze popłynęły korytem, aż Zygmunt I w r. 1510 uznał nietykalność posłów ziemskich i jako za obrazę majestatu naznaczył karę za wyrządzone im krzywdy. Objęła więc za Kazimierza Jagiellończyka rządy demokracya, chociaż na stanowisku samodzielném nie trzymała się długo. Do r. 1536 stanowiono na sejmach większością, do 1652 zrywała obrady mniejszość, a od Jana Kazimierza jednostki. Samodzielne stanowisko zajmowała szlachta tylko do r. 1536,— w następnych czasach intrydze i dumie panów pozwoliła zawładnąć, przez co rozum pysze, wolność swywoli, honor złotu ustąpił. W okresie zrywania sejmów przez mniejszość i decydowania jednomyślnością magnaci, jak za własnych rządów, rej wiedli, a kierowała nimi przewrotność i chciwość. Obieranie królów dla tego nad sukcesyę przenieśli, żeby się sami o tron mogli ubiegać lub żeby z kandydatów do berła krzesać korzyści; sposobu odbywania elekcyi nie pozwolili opisać, żeby łatwiéj dokonywać mogli nadużyć, żeby szerszy upust mieli dla gwałtów. Podtrzymywali zrywanie sejmów, iżby śród nierządu uciskali obywateli drobniejszych a dobrych, żeby na gruzach powagi prawa srożał wyniosły egoizm. Przyprawiło to rzeczpospolitę o ruinę, żadne bowiem społeczeństwo bez praw istnieć nie może, bez powagi prawo jest marne, a powagi nie masz bez rządu.

Konarski, z którego wskazówek Pyrrhys korzystał, o anarchii i historyi parlamentaryzmu w Polsce w kapitalném swém dziele spostrzeżeń zamieścił wiele, zawarłszy się jednak w obrębie sprawy obrad sejmowych, do rozleglejszych uogólnień nie doszedł. Dopiero po pierwszym rozbiorze, zwłaszcza w dobie sejmu wielkiego, na temat historyozofii rozprawiano wymownie i dużo.

I.

Pojmowanie dziejopisarstwa i celów jego w XVIII wieku. Dwa kierunki poglądów na przeszłość: 1) republikański, reprezentowany przez Wielhorskiego, 2) monarchiczny przez Naruszewicza i publicystów postępowych z doby sejmu wielkiego. Według Wielhorskiego przyczyną anarchii było odstępstwo od „pierwiastkowéj ustawy“ republikańskiéj; według stronnictwa monarchicznego doprowadziła do upadku słabość rządu, wynikła przez podkopanie władzy królewskiéj. Zapatrywania Naruszewicza i publicystów stronnictwa reformy na osobistości historyczne i fakta.

Cel uprawy dziejów wskazywało ludziom wieku XVIII Cyceronowskie określenie: *historia est testis temporum*, *lux veritatis*, *vita memoriae*, *magistra vitae*, *nuntia vetustatis*. „Historya — pisze Naruszewicz — jako oświata prawdy, iściec i sędzia dzieł starożytnych, po-

winna mówić do ludzi, onych nauczać i prostować.... Popełnione omyłki w legislacyi, uchybione pory w potyczkach, zaniedbane korzyści w dobrych okazyach, gorliwość niewczesna lub interesowana, zła ekonomika w skarbie, złe lub dobre przedsięwzięcia w aliansach, niezdolność urzędników na magistraturach, rzucane nasiona i w pierwiastkach niezatłumione domowych niechęci, wyzuwanie się królów *ex regalibus*, skutki mieszanego rządu i elekcyi królów, swawola wolności, przyczyny wielości rzadko kiedy skutkujących praw, uciążliwość i niewola poddaństwa, różność religii i onych tolerancya, tudzież inne tym podobne czynności publiczne i prywatne mają być celem piszącego z krytyką historyę; to jest aby opowiadając, co się działo, oświecał razem czytającego bez miłości i nienawiści, jeśli się to dobrze lub przeciwnie dobru pospolitemu działo“ (1). Wymagano od dziejopisa, żeby chłostał występki, a okazywał tryumf dobrego nad zbrodnią (2); żądano, żeby historya była nauką obyczajów i cnoty. Uznawano potrzebę pisania prawdy, lecz pod krytyką nie rozumiano nic innego, jak zajęcie określonego stanowiska moralnego ku ocenie faktów i ludzi. „Przykłady przodków — powiada Naruszewicz — nie mogą nas uczyć, chyba same będą pierwéj do pewnych prawideł cnoty, sprawiedliwości i obywatelstwa przywiedzione“; po zebraniu materyału i odpowiedniém rozsegregowaniu go należy weń, według rzeczonego dziejopisa (3), tchnąć „ducha mądrości, który, mówiącemu kredyt i powagę sprawując, ugina umysły i giętkie kędy chce zaprowadza.“

Była więc historya w mniemaniu ludzi wieku XVIII trybunałem karzącym, przewodnikiem w polityce i etyką. Musiała stać się nawskróś utylitarną, skoro zalecano jéj do wymiaru zdarzeń zamierzchłych używać skali etyki najnowszéj i wywody poświęcać względem praktycznym. Przez ów utylitaryzm w dobie ogólnego wrzenia politycznego pociągała ku sobie historya sił wiele, tém bardziéj, że dla szlachty polskiéj w kwestyach ustroju wewnętrznego przeszłość stanowiła instancyę ostatnią. Zwracali się do dziejów wszyscy, w sprawach politycznych biorący udział i w arsenale ich dobierali stosownéj do widoków swych broni. Różnorodność jéj zadośćczyniła potrzebom najbardziéj skrajnym,—na kanwie jednéj i téj saméj przeszłości każde stronnictwo haftowało zastosowane do swych celów ścieżki historycznego procesu narodu. Inne odsłaniała przeszłość widoki republikanom, inne postępowcom, zwolennikom rządu silnego.

---

(1) Historya narodu pol. wyd. Bobrowicza. I, str. XXVII. — (2) Krasicki. List do Adama Naruszewicza o pisaniu historyi. — (3) *L. c.*, I, str. XXVII.

Polska, Scytyą czyli Tartaryą europejską pod panowaniem Kserksesa zwana, zawojowaną była — według Wielhorskiego (1) — przez Sarmatów, których znowu pod wodzą Lecha podbili Sławacy. Lubo dynastya Lecha sterowała krajem sprawiedliwie i mądrze, po wygaśnięciu jéj jednak zgromadza się naród do Gniezna i, obawiając się, aby rząd jednego nie obrócił się w tyranię, obiera dwunastu znaczniejszych z pomiędzy siebie mężów i każdemu z nich jedną wydziela prowincyę. Dali w ten sposób Polacy państwu swojemu kształt województw sprzymierzonych czyli formę konfederacyi, a zdarzenie to stanowiło początek porządnéj wolności. Pod narodem, który wojewodom swym nadawał powagę i władzę, rozumiéć oczywiście należy szlachtę, bo chociaż, według Wielhorskiego, pospólstwo zażywało pierwiastkowo wolności i posiadało własność, wyłączone jednak zostało od uczestnictwa w rządzie, skoro nad służbę wojenną przełożyło rzemiosło i rolę, nad chwałę—życie spokojne i zyski. Po wojewodach panowały znowu jednostki, lecz nie prawem sukcesyi. Polacy od pierwiastków swoich używali przyrodzonego prawa w obieraniu sobie królów; niekontenci z panowania, nietylko mieli władzę wyrzucania im przestępstw, lecz i wyzuwania ich z władzy. Podział państwa przez Bolesława Krzywoustego potwierdził naród, który o wszelkich sprawach państwa rozstrzygał na sejmach. Król najmniejszéj w prawodawstwie nie miał powagi, osobą swoją na rząd rzeczypospolitéj nie wpływał. Konfederacya, złożona z prowincyi, województw, ziem i powiatów reprezentowała bez króla rzeczpospolitę wszechwładną; bez niego odbywać się mogły i sejmy. Rząd rzeczypospolitéj według pierwiastkowéj ustawy, ujawnionéj w atrybucyach zorganizowanych po śmierci Lecha województw, spoczywał w ręku skonfederowanych prowincyi i ziem, figurujących w pomnikach prawodawstwa polskiego pod nazwą stanów. Samowładność rzeczypospolitéj, spoczywająca w sejmie, na tyle dzieliła się części, ile sejmików; udzielność znowu ostatnich składała się z wszechwładztwa biorących udział w sejmikowaniu osiadłych szlachciców. Słowem, pierwiastkowy układ rządu polskiego na następujących, według Wielhorskiego, stanął zasadach :

1. Obierani na sejmikach posłowie ograniczeni byli instrukcyą, a reprezentowali tylko udzielność swoich województw.

2. Wszechwładztwo, które reprezentowali owi posłowie, spoczywało w szlachcie, na sejmikach zebranéj.

3. Izba poselska skupiała w sobie wszystkie rzeczypospolitéj stany.

---

(1) O przywróceniu dawnego rządu według pierwiastkowych rzeczypospolitey ustaw. 1775.

4. Pod nazwą stanu rozumiéć należy prowincye, województwa, powiaty i ziemie.

5. Najwyższa rzeczypospolitéj udzielność zawierała się w trzech prowincyach, z województw, ziem i powiatów złożonych.

Dobrze było w rzeczypospolitéj, dopóki ojcowie pierwiastkowych rządu trzymali się zasad; skoro pod nazwą stanu rozumiéć poczęli senat, izbę poselską, a czasem prowincye i województwa, — że prawami kardynalnemi stały się zdrożności i błędy, utraciło państwo władzę prawodawczą, okazałość i siłę. Uświęcenie prawne nadużycia, zwanego *liberum veto*, było pogwałceniem zasadniczéj ustawy; pierwszy sejm zerwany nadał rządowi polskiemu kształt inny. Pomnożyły się bezprawia i błędy, gdy królowie przywłaszczyli sobie rozdawnictwo urzędów i łask, gdy ludzie krwi wątpliwéj wdzierać się poczęli do funkcyi szlacheckich.

Wielhorski żadnego zgoła w organizacyi wewnętrznéj Polski nie spostrzegał rozwoju: niby *deus ex machina* najdoskonalsza, według niego, forma rządu dzięki roztropności i cnocie przodków w jednéj powstała chwili. „Wzgarda, powiada, praw pierwiastkowych, dawnéj szczerości i cnotliwéj prostoty zaniedbanie, wzruszając nieznacznie podwaliny, na których rząd gruntownie zdawał się zasadzonym, chylą go ku upadkowi i nakoniec w bezdenną pogrążają przepaść, gdzie czas wszystko miesza, trawi i niszczy.“

Do fantazyi rozegzaltowanego pomysłami Russa autora traktatu *O przywróceniu dawnego rządu* republikanci wieku XVIII niewiele potrafili dorzucić. Te same rozwijał pomysły Wybicki w *Listach patryotycznych* (1), polemizujący ze Staszycem autor *Uwag nad uwagami* i najwięksi z doby sejmu wielkiego rzecznicy przeszłości: hetman polny i kasztelan witebski, Rzewuscy. Erudycyę swoją nanizali na nić doktryny o idealnéj cnotliwości i mądrości praojców; w ogłupieniu i demoralizacyi potomków znajdowali klucz do zrozumienia genezy upadku.

Teorya podboju, o którą Wielhorski potrącił, lecz konsekwencyi nie wysnuł z niéj żadnéj, rozleglejsze uzasadnienie znalazła u pisarzy stronnictwa reformy, a była punktem wyjścia do hipotezy o wewnętrznym ustroju Polski pierwotnéj. Decydującym w téj kwestyi był oczywiście historyk z zawodu, który w sprawie rozpowszechnienia krytyczniejszych na przeszłość poglądów zasługi położył wielkie.

Nad Wartę i Wisłę przybyli, według Naruszewicza, Słowianie zbrojno: opanowawszy ziemie cudze, ludność autochtoniczną obyczajem Franków, Sasów, Normandów i innych narodów obrócili

---

(1) I, str. 23, 19—31, 161—165 *passim*..

w stan niewolniczy i grunta podzielili pomiędzy siebie. Zbrojny najezdnik, choć obcy, został panem, dziedzicem, szlachcicem; tubylec poddanym chłopem. Wodzowie najezdników zabrali najwięcéj, rycerstwu dostały się cząstki pomniejsze z obowiązkiem ciężarów feudalnych i służby wojennéj (VI, 93. X, 51). Aż do śmierci Bolesława Krzywoustego rządzili Polską Piastowie najabsolutniéj, despotycznie. Dzielili testamentem państwo pomiędzy dzieci, sami wypowiadali wojnę i nakazywali pospolite ruszenie, stanowili prawa i szafowali dochodami skarbowymi, sądzili osobiście lub przez mianowanych przez siebie urzędników, byli względem całego narodu panami życia i śmierci, a wszystkie dobra, nawet szlacheckie, stanowiły lenność i olbrzymim na rzecz króla podlegały ciężarom (X, 47). Podział królestwa pomiędzy synów Krzywoustego, a bardziéj jeszcze rozdrobnienie za Piastów, rozrodzonych na Mazowszu, w Wielkopolsce i Śląsku, osłabiło władzę monarchiczną, a magnatom i szlachcie przysporzyło majątków, powagi i mocy. Każdy książę chciał być udzielnym, każdy pragnął miéć dwór własny i wojsko, kancelaryę oddzielną i sąd osobny. Powstało z tego powodu mnóstwo urzędników, zabiegających około pomnożenia fortuny, a rosnących w ambicyę. Śród ustawicznych wojen domowych wynikła potrzeba zobowiązywania szlachty, podniecania w niéj zapału do walki. Nadawali więc książęta waleczniejszym w nagrodę dobra prawem dziedziczném, dzierżawném lub lenném, opróżniali skarb przez uwalnianie rycerstwa od podatków i ciężarów publicznych (IX, 148. X, 52). Mieli przecież w zasadzie książęta władzę nieograniczoną; powoli tylko, zbiegiem różnych, osłabiających monarchizm wypadków, najprzód arystokracya, a późniéj znaczenia w państwie nabrała i szlachta (X, 46). Zjazd wiślicki z r. 1347, na którym opublikowane zostały ułożone z rozkazu króla ustawy, nie przyznawał jeszcze uczestnikom prerogatyw politycznych; rzucił wszelako absolutny Kazimierz nasiona przyszłéj arystokracyi, skoro celniejszych obywateli do naradzania się względem spraw ważnych zawezwał. Chciał sobie monarcha zobowiązać w ten sposób ludzi wpływowych, iżby, przez usunięcie Piastów mazowieckich i śląskich, siostrzeniec został jego następcą. Śmierć Kazimierza otworzyła rozleglejsze pole arystokracyi—prałatom i baronom, a nawet i nic pod względem politycznym nieznaczącéj dotychczas szlachcie. Przywiléj koszycki samowładną monarchię o ostatnią przyprawił ruinę: uformował z panów i szlachty nowy stan feudalny, wolny i współrządzący, ograniczający króla najprzód w postaci rady senatu, następnie sejmu (X, 55, 57).

Poglądy Naruszewicza (1780—1785) rozrabiali publicyści obozu postępowego w traktatach politycznych, pamfletach i mowach. Opie-

rali się na kronikarzach i pomnikach prawa polskiego, stosowali też, podobnie jak Naruszewicz, analogię z Europą zachodnią, śmiało niezbadane jeszcze jéj stosunki na grunt przenosząc słowiański.

Autochtonami obszarów nad Wartą i Wisłą byli, według kanonika Jezierskiego (1), Sarmaci, ludzie „prostoty świętéj i niewinnego życia.“ Chodowali pszczoły i polowali na zwierza; skórą okryci niedźwiedzią przysłuchiwali się w gąszczy leśnéj kwileniom słowika, uczucia własne wylewali w tonach fujarki. Gdy część Sarmatów z Wandalami i Gotami opuściła swoje siedliska dla obalenia świato-władnego Rzymu,— wyludnione obszary nad Wartą i Wisłą stały się przedmiotem najazdu: spłynęły z terytoryum Sklawonii gromady wojowników i zalały znaczną część Europy północnéj: Czechy, Śląsk, Pomorze, Łużyce, Polskę i Ruś. Pokrewieństwo językowe pomiędzy przybyszami a Sarmatami ułatwiało porozumienie się ludów, lecz nie złagodziło skutków najazdu. Słowacy, posiadłszy kraj cudzy gwałtem, pozbawili ludność rolniczą wolności i zabrali jéj ziemię; z pogardą poglądając na rzemieślnika i kupca, usunęli jednocześnie od obrad publicznych mieszczaństwo.

W takiż sam sposób konsekwencye najazdu przedstawia Kołłątaj. „Późniejsze zepsucie, powiada, gdy śmiały próżniak chciał być pracą drugiego żywiony, gdy się odważył wydrzeć chleb, który był własnością innego, zupełnie zagłuszyło początkowe społeczności prawa, a zbliżając ludzi ku niewoli, poddało ich w ręce zdobywcze i silnéj swawolnych próżniaków kupy. Ta jest prawdziwa genealogia sławnych owych rozbójników i przelewców krwi ludzkiéj, przed którymi spokojny rolnik i właściciel gruntu uklęknąć musiał, a kochając własną ziemię i nie chcąc jéj odstąpić, stał się niewolnikiem zuchwałego wydziercy, który sobie przywłaszczył panowanie i nad jego osobą i nad jego ziemią“ (2).

Pierwsi królowie panowali, według Kołłątaja, dziedzicznie, całe terytoryum sarmackie uważali za własność, którą oddawali w posiadanie lennikom. Z ziemi nadanéj korzystał lennik w zakresie, oznaczonym przez przywiléj i obowiązany był wykonywać *jura regalia*. Rozciągały się one do polowania, rybołówstwa, ścinania lasu i dobywania kruszców; poddawali też panujący jedne włości w niewolę drugim, nakazując, aby zostająca w posiadaniu lennika odrabiała pańszczyznę na rzecz wsi królewskiéj, składała osep ze zboża i inne znosiła przykrości. „Dość było, powiada Kołłątaj, wmówić w ludzi, że terytoryum należy do panującego, aby wszystkie nieprzyzwoitości

(1) Rzepicha, matka królów, żona Piasta. Warszawa, 1794, str. 18—24.—(2) Listy anonyma. II, str. 76.

o własności przypuścić, aby człowieka nawet za własność poczytać" (1). Uznawszy ziemię wraz z ludźmi na niéj osiadłymi, od panujących sobie nadaną, za własność użytkową, uważali się lennicy za istoty wyższe i smakować poczęli w dostojeństwie korony. Nie szukali swobód w źródle prawdziwém, lecz w przywilejach, aby, zająwszy z początku pozycyę stanu niejako pośredniego pomiędzy królem a poddanymi, stali się potém sami przez się panującymi w narodzie. Ościenne przykłady zbyt dzielnie dopomagały im do tak wielkiego celu. Spoglądali oni na panów rzeszy niemieckiéj, a zazdrośni przywilejów feudalnych, dzielnie do serca brali, aby, stawszy się elektorami królów, wystąpili potém z kandydaturą do tronu. Uwalniające szlachtę od ciężarów przywileje Ludwika i Władysława Jagiełły stały się za Kazimierza IV przyczyną zjazdów poselskich. Zwoływane dla uchwalenia poborów dwa, za Aleksandra i Zygmunta I, uformowały statuty, zapewniające, że „król nic bez rady i zezwolenia panów, prałatów, baronów *etc.* stanowić nie będzie" (2). O dalszych losach narodu i państwa rozstrzygnęła zmiana w sposobie obejmowania tronu.

„Cokolwiek pisarze dziejów polskich, powiada Jezierski (3), wzmianki czynią o obieraniu wolném książąt z familii Piasta, to jest próżném wyobrażeniem prawdy i naciąganiem widoczném... Rozrodzony dom Piasta dzielił się Polską jakby dom szlachecki ojczystemi wioskami i lubo na krakowską stolicę możniejsi panowie wzywali książąt, a czasem ich i strącali,—było to skutkiem chciwości i niespokojności, nie zaś polityczną z prawa elekcyą." Sukcesyjnie panowali i Jagiellonowie, tytułujący się dziedzicami Polski i Litwy; naród nie obierał ich, lecz jedynie, jako mających prawo do spadku, przyznawał. Przyznawanie to przecież, niebędące niczém innéni, jak aktem obrządkowym, dalekim od wprowadzenia modyfikacyi w panowaniu Jagiellonów dziedzicznėm, stało się punktem wyjścia do zniesienia sukcesyi. Zadośćuczynienie testamentowi Kazimierza Jagiellończyka, zapewnienie tronu dla Jana Olbrachta i Aleksandra wbrew prawu starszego brata ich, Władysława; zastosowanie się do zrzeczenia ostatniego na rzecz Zygmunta I i wyniesienie Zygmunta Augusta za życia ojca,—„wszystko to zdawało się być darem przychylności narodu do panującéj familii, a w saméj rzeczy zmierzało do tego, aby kiedyś pozbawić się sukcesyi i na wzór rzeszy niemieckich tron polski zrobić dziedzictwem możnowładztwa" (4).

(1) Mowa Kołłątaja na sesyi sejmowéj d. 10 listopada 1791 r. w materyi starostw. (2) Kołłątaja uwagi nad pismem Rzewuskiego o sukcesyi tronu. Warszawa. 1790, str. 26,27.—(3) O bezkrólewiach w Polszcze. Warszawa, 1790.—(4) Kołłątaja uwagi nad pismem Rzewuskiego, str. 27.

„Po śmierci Zygmunta Augusta na pierwszym sejmie warszawskim postanowiono wykreślenie z tytułów króla nazwy dziedzica; bezkrólewia, które do tego czasu bywały *naturalne* z powodu śmierci monarchy i *przypadkowe*, jak np. po uwiezieniu Kazimierza I przez Ryksę,—zaczynają być *prawne*; elekcye, które za rodziny Jagiellonów były jedynie aktem obrządku ogłoszenia nowego króla, również stają się *prawne*. W bezkrólewiu prawném, które stało się pryncypalną rządu zasadą, władza prawodawcza i wykonawcza w całéj zupełności przechodziła do rąk narodu; przez zaprowadzenie elekcyi prawnéj zyskali możność ubiegania się o tron kandydaci różnych familii (1).

Cel zaprowadzenia elekcyi prawnych ujawnił się zaraz po śmierci Zygmunta Augusta: obok trzech obcych dwudziestu panów polskich wystąpiło z kandydaturą do tronu. Dla wielości zazdrosnych nie utrzymał się żaden z krajowców; żaden z nich nie pozyskał berła i po ucieczce Henryka; liczyli przecież, że pod panowaniem cudzoziemca zdołają przygotować dogodne dla widoków swoich warunki. System ówczesnego możnowładztwa uosobił naśladowca konstytucyi rzeszy niemieckiéj, Zamojski. On pierwszy okrył się powagą dwóch najważniejszych w rzeczypospolitéj urzędów: zrobił się kanclerzem i hetmanem, żeby mieć w ręku siłę narodu, bo władzę sądowniczą i związki z obcemi państwami. Zamierzając władzę polityczną w narodzie przelać na uprzywilejowane możnowładztwo,—dla prawnego wyczynienia panów ze stanu szlachty zaprowadził majoraty, licząc, że rozpowszechnią się szybko. Czego nie udało się dokonać Zamojskiemu, podjął za Jana Kazimierza Lubomirski,—ci dwaj magnaci torowali Piastom drogę do tronu. Lecz na Michale i Janie III stępił się możnowładztwa do korony apetyt; spostrzegłszy niedogodność wynoszenia nad siebie równego, dla silnego i skutecznego przewodzenia w narodzie użyli sposobów innych. Przeprowadzili prawo, usuwające Piastów od tronu; uchwalili też, aby władza hetmańska była dożywotnią, żadnych nie miała granic, żadnego dozoru. Doszło nakoniec do tego, że o los Polski dwa nieustannie utrzymywały się spory: magnaci podkopywali do reszty władzę tronu, królowie starali się osłabić znaczenie panów. Wybuchły wojny domowe i bunty pospólstwa; przez kraj obcy przechodził żołnierz. Niszczał naród, znaczne od rzeczypospolitéj odpadały prowincye (2).

Modelowali pisarze stronnictwa reformy wewnętrzny ustrój Polski średniowiecznéj na wzór stosunków Europy zachodniéj; w poglądach na dobę późniejszą samodzielniejsze, a w zgłębianiu genezy

(1) Tamże, str. 12.—(2) Tamże, str. 30, 43, 45.

upadku państwa oryginalne stanowisko musieli zająć. Kiedy republikanci szukali przyczyn ruiny w wynaturzeniu się pokoleń i spaczeniu ustaw pierwotnych,—pisarze stronnictwa reformy uważali upadek za następstwo słabości rządu. Według tamtych jedną z przedniejszych skaz pierwiastkowéj ustawy było przywłaszczenie przez królów rozdawnictwa urzędów i łask, a główną osłabienia państwa przyczyną „dyfidencya między majestatem i wolnością"; według drugich, wszystkie klęski wyniknęły z braku subordynacyi w narodzie i siły, którą stwarza jedynie dobrze uorganizowany rząd.

Polska, według Kołłątaja (1), nie była monarchią, bo się ta z domem jagiellońskim skończyła; nie była rzecząpospolitą, bo ta reprezentowała się tylko co dwa lata przez sześć tygodni. Czém że była?— „lichą i niedołężną machiną, której ani jeden popychać nie może, ani wszyscy popychać nie chcą, a jeden zawsze zastanowić zdoła." „Bez pewnego rządu—mówił Naruszewicz (2), bez siły, zasiłków i zgody, bez powszechnego ducha miłości ojczyzny" żadne społeczeństwo, zwłaszcza groźnemi mocarstwami otoczone, istniéć nie może. Według Krasickiego (3) naród polski „bez rządu, bez mocy, bez rady stał się łupem postronnych." „Gdzie zwierzchność bez powagi, igrzysko z urzędu, Przemoc szczególnych dzielna, a prawo bez względu; Gdzie duma swobodności trzyma miejsce cnoty, Tam nie Rzymian następce, ale Hotentoty"—pisał biskup warmiński (4).

Kiedy ideałem republikantów był król bez mocy i władzy (5), a niektórzy dostojność jego, jako „najpierwszą bezprawia i nieszczęść przyczynę", pragnęli widziéć zniesioną,—postępowcy poczytywali monarchizm za najprostszą formę siły państwowéj i w osłabianiu jego upatrywali upadek. „Szukaj—pisał Naruszewicz (6), nieszczęścia w twéj własnéj swobodzie I boléj na jéj opłakane zyski: Żaden kraj cudzéj potęgi nie zwabił, Który sam siebie pierwéj nie osłabił. Stargawszy węzeł pokoju i zgody, Niegdyś w najwyższéj władzy osadzony, Rozbiegliście się jako liche trzody Bez wodza, rządu, rady i obrony... Cóż kiedy niesfór głów tysiąca zrobił? Wiążąc bezczynne monarchów ramiona? Zdzierał publiczność, swe prywaty zdobił, Szerzył ze starostw dziedziczne imiona. A pod pozorem wolności mniemanéj Określał króle, rozmnażał tyrany..."

Pogląd taki na genezę upadku w ścisłym był związku z zapatrywaniami na sprawy polityki bieżącéj. Wielbili postępowcy pomy-

(1) Listy anonyma. II, str. 21.—(2) Głos przy założeniu pierwszego kamienia na kościół Opatrzności boskiéj r. 1792 d. 3 maja na placu ujazdowskim mlany.—(3) List do Adama Naruszewicza o pisaniu historyi.—(4) List do Ant. Krasickiego o obowiązkach obywatela.—(5) Wielhorski *l. c.* str. 274.—(6) Głos umarłych.

sły Russa, czcili Franklina i Waszyngtona, nie sądzili przecież, aby rząd republikański był dla Polski naczasie. Staszyc proponował mocną organizacyę monarchiczną, „rzeczpospolite bowiem, a tém bardziéj oligarchie w pośrodku samodzierstw żadną miarą kwitnąć nie mogą" (1); w ten sam sposób argumentował Kołłątaj (2). Strojnowski za cechy dobrego rządu uważał: jedność, dzielność i trwałość. Potrzeba koniecznie, dowodził (3), aby w konstytucyi był „jeden pewny, mocny i trwały punkt centralny, w któryınby się wszystkie rządu części ściśle jednoczyły, silnie wspierały i z któregoby nieustanny i porządny swój obrót odbierały." Nie wielbili modnéj naówczas tak zwanéj wolności naturalnéj, byli owszem za ujęciem jéj w karby. „Wolność naturalną, pisał Krzywkowski (4), nietylko nie mam cnotą, ni szczęściem, lecz strasznym występkiem i zwierzęcą skłonnością; gdyby się nią rodzaj ludzki rządził, nie miałby społeczeństwa, nie miałby narodu, nie miałby opatrzonych potrzeb, ani religii, ni praw, ni rządu, ni miast, ni manufaktur, ni rękodzieł, ni handlu... Te oryginały wolności naturalnéj dają się znajdować w niektórych dotąd miejscach Afryki, a nawet wożą czasami na widowisko... Wolność w naturze swéj nie jest słodyczą, nie jest cnotą i sama sobą nie sprawuje rozkoszy..; trzeba na nią tyle mieć względów, ile jest dobra dla kraju i obywatelstwa, ile jest urządzona... Przerobiona na prawo społeczności, we wszystkich rządach ograniczoną została... Dano jéj reguły i przepisy, od których zawisają moc, powaga, bogactwo i szczęśliwość narodów... Skoro od urządzenia wolności ludzkiéj, téj to matki wszystkich namiętności i zbrodni, wszystko zawisa, więc wnosić trzeba, że wolność, do doskonałych niedoprowadzona klub, psuje nam wszystko... jest źródłem kłótni, niesnasków, nierządu... Bądźmy wolnymi, ale rządnymi; niech zdziczałe wolności korzenia, rozumem poznane, rozumem zniszczone zostaną; niech wolność ograniczoną będzie"...

Przy naturalnym pochopie ludzi do mierzenia przeszłości skalą poglądów subiektywnych, pod wpływem zresztą wzorów francuskich, naginających dzieje ludów do form polityki bieżącéj,—nie dziw, że monarchiści nasi na zjawiska historyczne przez szkła własnych ideałów patrzéli, że do doktryny swojéj usiłowali naginać wszystko. Poczucie potrzeby siły rządowéj, wcielonéj w monarchizm, stało się dla nich miarą krytyczną, wynalezieniem owego stanowiska moralnego,

---

(1) Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego. 1785, str. 60,230.—(2) Listy anonyma. III, str. 87.—(3) Mowa o konstytucyi rządu ustanowioney d. 3 i 5 maja r. 1791, czytana na posiedzeniu publiczném Szkoły głównéj W. X. Lit. d. 1 lipca r. 1791.—(4) O wolności polskiey przez... Szambelana JKMci. Roku 1790.

którego wymagał Naruszewicz ku ocenie faktów i ludzi. Postępowi pisarze polityczni używali téj miary śmiało, zwłaszcza przy ocenie najbardziéj zdyskredytowanych przez kronikarzy średniowiecznych i republikantów książąt z dwunastego stulecia. Nie tai sympatyi dla Władysława II i Mieszka III Jezierski (1), kierunek działalności tych Piastów chwali i przymioty podnosi. Wyrzuca wprawdzie Władysławowi dumę i chciwość, bo chciał braciom wydrzéć dzierżawy; zaznacza przecież, że gdyby program jego się udał, utrzymałby się przy Polsce Śląsk, nie trapili by kraju pożogą Tatarzy, nie cierpiałby naród wojen domowych. Mieszka Starego poczytuje za jednego z największych monarchów, czernionego przez kronikarzy tendencyjnie. Nie chciwość i obłudę, lecz widzi w nim wielkomyślność i przezorność, o podniesienie państwa dbałość niezwykłą. Nie mogli, zdaniem Jezierskiego, mądrzy Piastowie zbawiennych przeprowadzić zamiarów, albowiem domy „Jaksów, Świętosławów, Kmitów, Bogoryów, Śreniawitów ujęte były sposobem myślenia zuchwałym, jednych książąt wyganiając, drugich na ich miejsce wzywając... Z takich to, powiada, pierwszych nasion powstała polska wolność, nie mieszcząca nic więcéj pod tém świetném imieniem przez wszystkie wieki, tylko partye zuchwalców."

Téj saméj skali używał i historyk z zawodu. Trafnie zauważył o biskupie smoleńskim Lelewel (2), że „jakby z zawierzeniem uprzedzenie oblegało pracownią i groźbami głos jego głuszyło; jakby nałóg potrząsał w jego ręku prawdę kreślącym piórem, tak nieraz chwieje się w obliczu czytelnika i rzecz na jego zdaje przyzwolenie;" z bojaźliwości téj jednak prawdziwą rzeczy istotę wyłuskać łatwo. „Zamieniła, powiada Naruszewicz, nierząd feudalny w monarchię dzielność Bolesława I... Ze zgonem walecznego króla, a za następstwem mniéj dzielnych jego potomków wzniosła znowu głowy arystokracya i, gdy był czas potemu, korzystając z zamieszków krajowych lub słabości panujących, bezprawia swoje w przemocy nad gminem, duchowieństwem, owszem samymi dziedzicami tronu rozszerzała... Fatalny krajowi podział królestwa na różne głowy uczynił znowu jak słabszymi książąt w swoich udziałach, tak potężniejszymi prywatnych... Władysław II przypłacił wygnaniem, chcąc znowu pod jednego siebie całą podgarnąć monarchię... Równego doznał losu i brat jego młodszy Mieczysław Stary, za takoweż przedsięwzięcie" (VI, 95). Ubolewa historyk, że rządna niegdyś monarchia stała się w dobie dzielnicowéj widokiem anarchii: „w takowych bezprawiach nie mógł, zdaniem jego, stać długo na-

(1) Goworek herbu Rawicz wojewoda sandomierski. Powieść z widoku we śnie. Warszawa, 1789.—(2) Rozbiory dzieł. Poznań, 1844, str. 291.

ród, chyba pod rządem jednego, któryby dostojnością korony znakomitszy, od swoich i obcych był szanowniejszy zupełnością władzy nad całą rzecząpospolitą" (VIII, 54). Uwielbia Przemysława II, że „ojczyznę podźwignął, wlewając pierwszy w jej rozszarpane ciało ducha rządu, jedności i subordynacyi" (VIII, 61); karci magnatów, że „pod różnymi pozorami, prywatny spisek dobrem publiczném barwiącymi", wypędzili z Wielkopolski Łokietka, z powodu czego kraj znowu „przemocy i często dziwactwom możniejszych krajowców podlegać musiał" (VIII, 71). Nie powstrzymywał się Naruszewicz od wniosków praktycznych, wprost stosowanych ku usłudze chwili bieżącej. Bajkę rokoszu glinianskiego za króla Ludwika zbija dlatego, żeby „zacne domy w przodkach swoich przez włożenie na nich potwarzy o zdradę i skazanie na śmierć zelżywą zostały oczyszczone" (X, 120); uważając prawo niemieckie za zyskowne jedynie dla osób prywatnych, radzi wskrzesić *jus polonicum*, „które moc państwa, powagę, skarb, ekonomikę, wojsko i pobory do wysokiegoby stopnia przyprowadziło" (IX, 148); dla ułatwienia reformy w sprawie poddaństwa głosi, że ucisk chłopstwa nie z ducha ustaw polskich, ani z charakteru narodu, lecz pochodzi z nadużyć, co rzeczpospolita „sama według woli swojéj poprawić może" (IX, 267).

Dogadzał więc Naruszewicz ówczesnym o historyi pojęciom sumiennie. Zająwszy wobec przeszłości stanowisko monarchiczne, ferował z wysokości swoich wyroki na fakta i ludzi, wnioskował ku usłudze chwili bieżącéj, dla moralnego pożytku społeczeństwa chwalił i gromił,— słowem tchnął w opowieść swoją owego „ducha mądrości", który nad umysłami czytelników zupełną autorowi zapewnić miał władzę. Chociaż „duch mądrości" dość bojaźliwie wyzierał z tekstu, a śmieléj się ukazywał w przypiskach,— w saméj rzeczy celu swojego dopiął. Zapatrywania Naruszewicza zyskały powagę dogmatu nietylko u pisarzy stronnictwa reformy w dobie sejmu wielkiego, lecz wszechwładnie panowały przez lat kilkadziesiąt i w stuleciu następném.

II.

Kontynuacyę Naruszewicza podejmuje Towarzystwo przyjaciół nauk, które program dzieła ogłasza w r. 1809 w *Prospekcie historyi narodu polskiego* i w *Krótkim zbiorze dziejów*. Pomija teoryę najazdu, uznaje obieralność Jagiellonów, zresztą stoi na gruncie Naruszewicza. Poglądy głównych epigonów biskupa: Kwiatkowskiego i Niemcewicza, który najdosadniéj wyraził kierunek szkoły.

Choć się Naruszewicz najzupełniéj w swém dziele wyzwolił od cudowności i baśni; chociaż, nie wierząc we wpływy nadprzyrodzone, zajął wobec dostępnego mu materyału stanowisko krytyczne, wymaganiom przecież współczesnéj historyografii francuskiéj zadość-

czynił tylko w połowie, niedostatecznie bowiem uwzględnił potrzebę wyjaśnienia stosunków Polski wewnętrznych. W znanym *Memoryale względem pisania historyi* dosadnie akcentował konieczność gromadzenia odnośnych źródeł, dotknął nawet obyczajów, téj, jak się wyraził, „powierzchownéj cechy, częstokroć grunt i skłonności wnętrzne wyrażającéj“ ; do tytułu dzieła wprowadził naród; — chociaż jednak potrzebę uwzględniania tego wszystkiego rozumiał, przy wykonaniu rzeczy, głównie na politykę zwracając baczność, zadaniu uchybił. Ułożył nie historyę narodu, lecz państwa polskiego i jego monarchów; materyi nawet, w tak ścisłym z polityką będącéj związku, jak forma rządu, nie wcielił w organizm wykładu, lecz się rozwodził nad nią przeważnie w dopiskach. Zaprawiony na dziejopisach rzymskich z końca lub z doby upadku rzeczypospolitéj, którzy, kreśląc dzieje współczesne, głównie na politykę zewnętrzną i na trzęsące państwem osobistości zwracali uwagę ; pozbawiony zresztą materyałów, dotyczących układu społeczeństwa i jego kultury, traktował Naruszewicz historyę w starożytném pragmatycznêm znaczeniu. Jednostronność jego słusznie uczeni z początku bieżącego stulecia tłómaczyli brakiem prac przygotowawczych: „żaden naród—pisał Kołłątaj (1) — nie uzyskał inaczéj doskonałego dzieła swéj historyi ogólnéj, tylko przez długie wprzód przysposabianie materyałów nieuchronnie do tego potrzebnych.“ Dla posunięcia roboty Naruszewicza uważał Kołątaj za rzecz konieczną: wydać dopełniony dyplomataryusz Dogiela, ułożyć dzieło krytyczne o pisarzach rzeczy polskich, ogłosić teksty wszystkich historyków krajowych (*Scriptores rerum polonicarum*) z waryantami, objaśnieniami, rejestrem i całym aparatem, ułatwiającym badanie ; radził napisać szereg monografii, wyjaśniających stosunki Polski wewnętrzne. Nie wprowadzono w życie pięknych znakomitego publicysty pomysłów, jednostronności przecież Naruszewicza pragnęli uniknąć kontynuatorowie, pobudzani do pracy i ułamkowością dzieła, doprowadzonego do Władysława Jagiełły. Zamierzyli ogarnąć wszystkie strony życia narodu, za wzór biorąc dzieła Gibbona, Robertsona i Hume’a.

W listopadzie r. 1809 ogłosiło Towarzystwo przyjaciół nauk w *Pamiętniku warszawskim* wypracowany przez Stanisława Potockiego i prałata Prażmowskiego *Prospekt historyi narodu polskiego*, który obok planu zamierzonego wydawnictwa wygłaszał zapatrywania na przeszłość i pojęcia o zadaniu historyi. Uważało Towarzystwo za cel swój „cokolwiek ojczyzny się tyczy zgromadzić i od nie-

(1) W liście z 15 lipca 1802 r. do Jana Maja (*Korespondencya listowna z T. Czackim.* I, str. 14).

pamięci zachować, szczególniéj zaś przywiązanie do niéj w rodakach ożywiać, utrzymywać, rozszerzać"; za najważniejszą zaś ku dokonaniu tego sprężynę poczytywało historyę. Powinna, według *Prospektu*, historya przedstawić w przyczynowym związku pasmo wydarzeń („pokolenia wypadków") aż do pozbawienia narodu bytu politycznego; wskazać powody upadku państwa „pomimo niezaprzeczonéj waleczności jego obrońców, pomimo szlachetności uczucia w obywatelach, pomimo obfitych źródeł bogactwa krajowego"; zdemaskować powinna w końcu te fałszywe pojęcia, które obłąkały i przyprawiły przodków o zgubę. Przyczyn wzrostu, potęgi i upadku szukać należy w charakterze narodu—w dobrych i złych nałogach, w przymiotach i wadach, „które, jak okrętem kierujące wiatry, na obszernéj go wieków popychają przestrzeni i albo na szczyt chwały wynoszą, albo pogrążają w przepaści." Ponieważ na ukształtowanie lub zmianę charakteru wiele zbiega się przyczyn, baczyć przeto powinien historyk: na „najpierwszą i najmocniejszą"—religię, na układ społeczny („kształt rządu") i władzę rządzącą. Jeżeli religia pierwotna przedstawia skłonności narodu, to chrystyanizm cywilizacyjne i polityczne odsłania widoki, początkowo bowiem wspólnością zasad zbliżał do siebie wszystkich, podczas reformacyi rozdzielał, różnymi czasy w rozmaitym stopniu to mocniejszą, to słabszą wywierał na umysły przewagę. Przedstawiając układ społeczny, wytłómaczyć powinien historyk przyczynę podziału narodu na stany i wzajemny ich względem siebie określić stosunek; władzę rządzącą okazać powinien w kolejno następujących po sobie postaciach: w formie monarchizmu, szlachetczyzny i zanik jéj w anarchii. Oprócz religii, układu społecznego i formy rządu zaleca *Prospekt* zwracanie uwagi na oświatę, spokojność wewnętrzną, bogactwo, bezpieczeństwo zewnętrzne.

Do oświecenia zalicza: rozkrzewianie zasad życia towarzyskiego, uprawę umiejętności i kunsztów, instrukcyę publiczną, podróże za granicą i napływ cudzoziemców.

Spokojność zabezpieczają prawa i władza sądowa.

Źródłem bogactw: rolnictwo, rękodzieła, handel lądowy i morski, a podstawą ich: podział gruntów, przemysł i praca.

Bezpieczeństwo zewnętrzne zapewnia: obrona, skarb, kierunek stosunków dyplomatycznych i środki, przedsiębrane do odparcia przemocy.

„W zbiorze tych wszystkich rysów znajdzie się doskonały obraz narodu. Dziejopis, który w każdéj epoce, pod każdém panowaniem z pilnéj ich nie spuści uwagi, który na związek ich i wpływ do zdarzeń baczność czytelnika zwracać potrafi, prowadzić go będzie ze

znajomością przyczyn po różnych stopniach wzrostu, potęgi, chwały, nikczemnienia, słabości, podległości narodu, aż do zupełnego bytu jego politycznego zniszczenia.“

Chociaż przyczyn wzrostu, potęgi i upadku kazało szukać Towarzystwo w charakterze narodowym, t. j. w nałogach, przymiotach i wadach, a także w religii, układzie społecznym i władzy rządowéj; pomimo tego za podstawę podziału historyi na epoki wzięło tylko czynnik ostatni. Zdaniem Towarzystwa, podstawy do podziału na epoki szukać należy „w zmianach, jakim podlegał naród“, pomiędzy niemi zaś „najwidoczniejsze są władzy rządzącéj.“ Nie bez sprzeczności z sobą zaznacza, że we władzy rządzącéj „zawiera się najpierwsza przyczyna jak dawnéj potęgi, tak późniejszego upadku narodu“ i następujący zgodny, jak zapewnia, z używanym przez dotychczasowych dziejopisów krajowych zaleca podział.

I. Czasy przedchrześciańskie: powstanie narodu, kształt rządu, religia, obyczaje, sposób wojowania, rolnictwo, rękodzieła, związki z sąsiadami.

II. Monarchia udzielna od wprowadzenia religii chrześciańskiéj za Mieczysława I do śmierci Bolesława Krzywoustego.

III. Osłabienie władzy monarchicznéj przez wpływ magnatów do połączenia dzielnic pod jedno berło i nadania praw pisanych, t. j. od Władysława II do śmierci Kazimierza W.

IV. Wzrost swobód stanu szlacheckiego, przyjęcie przez niego zupełnego udziału w rządzie, — od Ludwika do śmierci Zygmunta Augusta.

V. Upadek władzy królewskiéj, wpływ mocarstw zagranicznych, powiększający się nierząd demokracyi szlacheckiéj i możnowładztwa do utraty niepodległości narodowéj, — od Zygmunta Augusta do sejmu konstytucyjnego r. 1788.

VI. Wprowadzenie nowéj formy rządu, usiłowania narodu względem utrzymania niepodległości do utraty bytu politycznego.

VII. Naród pod obcém panowaniem do utworzenia księstwa warszawskiego.

Do *Prospektu* dołączyło Towarzystwo również w *Pamiętniku warszawskim* ogłoszony *Krótki zbiór dziejów narodu polskiego*, jako zawiązek dzieła, które wykonane być miało na skalę olbrzymią. W owym *Krótkim zbiorze* zawarte zostały, według zapewnienia przedmowy, „ważniejsze wypadki, na które szczególniejszy wzgląd miéć należy; okazany ich jest pomiędzy sobą związek, wytknięte są przyczyny, które wpłynęły naprzód do podniesienia chwały i potęgi narodu, późniéj do jego poniżenia i utraty niepodległości, nakoniec do chwalebnego bytu politycznego odzyskania.“

Słowiańszczyzna pierwotna miała organizacyę gminowładną: lud wodza obierał i rad jego był uczestnikiem,— „taki właściwie jest rząd wszystkich jeszcze z dzikości nieotartych narodów." Za utworzonéj przez syna Piastowego, Semowita, monarchii jedynowładnéj na trzy naród dzielił się klasy: rycerzów, mieszczan i wieśniaków; król, pan udzielny, każdéj prawa i powinności przepisał. „Wieśniacy byli właścicielami swych gruntów, z których daniny i podatki do monarchy należały; mieli wolność przenoszenia się z jednego miejsca na drugie; prawem dziedzictwa brali spadki po przodkach. Nie odbierał im król tych swobód, gdy między rycerzów majętności dzielił, lecz tylko tymże część zysków, sobie przypadających, odstępował." Od śmierci Bolesława Krzywoustego samowładna monarchia upada, — każdy z książąt dzielnicowych, potrzebując wsparcia magnatów, przez różne na ich korzyść ustępstwa powagę tronu osłabił. „Uczuli wartość swoją możnowładcy, skruszyli zaporę, która ich dzieliła od tronu; nie śmiejąc jeszcze odmieniać dynastyi, przywłaszczyli sobie osoby panującego i wspólną z nim w radzie decyzyą." Pod dziedzicznéni szlachty zwierzchnictwem pogarszać się począł los kmieci, chociaż przypomniał ciemięzcom Kazimierz W., że poddani nie są ich niewolnikami, lecz współwłaścicielami gruntu. Do ostatecznéj ruiny władzy monarchicznéj przyczynił się Ludwik, zapewniła bowiem sobie szlachta moc obierania panów i stanowienia podatków. Panowanie Jagiellonów, obejmujących tron prawem elekcyi każdego z osobna, zawiera czasy demokracyi szlacheckiéj „przeciąg najświetniejszy dla Polski." Dopełnił swobód szlacheckich na zjeździe w Radomiu w r. 1505 Aleksander, ogłaszając, jako nic odtąd ważnego w sprawach publicznych stanowione nie będzie bez zezwolenia posłów od ziemian. Od śmierci Zygmunta Augusta szerzy się anarchia i przyprawia państwo o ruinę. Śród rokoszów i buntów kozackich „postąpiono w anarchii krok jeden, lecz tak śliski, iż już nic rzeczypospolitéj od upadku wstrzymać nie mogło. Skutek to był błędnéj publicznéj instrukcyi. Zniknęła znajomość prawdziwych ojczyzny interesów od czasu, jak w szkołach miejsce potrzebnych ludowi wolnemu wiadomości zastąpiła jedynie nauka łacińskiego języka; czytała młodzież autorów klasycznych, zapalały wiek niedoświadczony swobody ludu rzymskiego, stąd złe przystosowania, fałszywe wyobrażenia w dojrzalszych latach przenoszono wraz z zagęszczonym duchem prywaty do obrad publicznych. Na sejmie warszawskim r. 1652 poseł Siciński sądził się mocnym, jak niegdyś trybun rzymski, zniszczyć swém sprzeciwieniem się uchwały sejmowe, a nikt mu tego prawa nie zaprzeczył." Skutkiem wadliwéj instrukcyi publicznéj i duch tolerancyi w narodzie niknął. „Pierwsi Socy-

nianie doznali praw surowości; dyssydentom zapewniały wprawdzie poprzysięgane przez królów pakta wolność sumienia, lecz źle zrozumiana prywatnych gorliwość tak częstych dopuszczała się gwałtów, że konstytucyą za Zygmunta III powściągnąć te bezprawia musiano. W celu podobno skuteczniejszego im zaradzenia ścieśniono swobody dla różnowierców przez zakaz publicznego nabożeństwa i budowy nowych kościołów.... Zadano wreszcie cios ostatni dysydentom, uznając ich za niezdatnych do posiadania urzędów.“ Za Augusta II anarchia dochodzi do szczytu. „Najwyżsi urzędnicy przywłaszczyli sobie samowładztwo w swoich wydziałach, podskarbi nikomu nie zdawał rachunku z dochodów publicznych, wojsko pod udzielnymi rozkazami hetmana, bezsilne na obronę kraju, służyło ku uciśnieniu obywatelów. Marszałek miał w stolicy nieokreśloną władzę nad życiem i honorem mieszkańców. Mnożyły się zwaśnienia między znakomitszymi domami. Trybunały stosowały się do woli mocniejszych. Wyroki sądowe zbrojną ręką były popierane lub pozbawiane egzekucyi. Miasta bez opieki samowolnéj jurysdykcyi kanclerzów podlegały, wieśniacy arbitralności dziedziców zostawieni. Jedyny sposób zaradzenia tym bezprawiom—sejmy były zrywane.“ Charakterystycznėm jest, że według autorów *Krótkiego zbioru* „August II posiadał wszystkie przymioty wielkiego króla, lecz krępowała jego władzę konstytucya rządowa. Tlała przeciw niemu w sercach dawniejszych przeciwników nienawiść: jedyna prerogatywa tronu—rozdawnictwo urzędów i starostw — mnożyła liczbę niechętnych lub niewdzięczników.“ Stanisław August najlepsze miał chęci: szerzeniem oświaty, poprawą rządu, zaprowadzeniem dobréj administracyi pragnął zatrzéć pamięć gwałtownego wyboru. Z pierwszym rzeczypospolitéj rozbiorem niepodległość się kończy, chociaż w dobie Rady nieustającéj naród widocznie na różnych stanowiskach się dźwiga. „Zaprowadzona nowa instrukcya przez magistraturę edukacyjną, założona przez króla szkoła rycerska rozszerzały światło. Kodeks cywilny, przez Jędrzeja Zamojskiego ułożony, lubo przyjętym nie został, objawił jednak nieznane dotąd prawdy; rozchodziły się po kraju pisma, które zwracały wszystkich uwagę na stan i prawdziwe pożytki ojczyzny. Wzrastał pod sprzyjającym naukom królem smak obcéj literatury, a przez nią oswajano się z konstytucyami najlepszych rządów; zaczęto poznawać źródła bogactw krajowych, powoli umniejszały się stare przesądy, a tym sposobem gotowała się nowa rewolucya, którą przyśpieszył nowy stan rzeczy w Europie.“ Dźwigając się z anarchii, ukrócili Polacy na sejmie wielkim nieograniczoną wolność, królowi silniejszą nadali władzę, lecz spisek magnatów, szukających oparcia w Rosyi, reformy obalił, państwo pogrzebał.

Naszkicowana w *Krótkim zbiorze* historya niewiele przynosiła pomysłów nowych: była właściwie ujętym w szemat zsumowaniem poglądów Naruszewicza i luźnych, w broszurach z wieku XVIII rozrzuconych spostrzeżeń. Uderza w niej przecież pominięcie teoryi najazdu i uznanie Jagiellonów za królów, panujących prawem elekcyi; znać, że skutkiem zmiany warunków politycznych wrzekomy podbój Sarmatów przez rycerstwo słowiańskie pożytku przynieść już nie mógł, podobnie jak dziedziczność tronu, w której obronie publicyści wieku zeszłego tyle stępili kopii. Zresztą, poglądy *Krótkiego zbioru* nie dla wszystkich współczesnych były dogmatem, nie zgadzał się z niektórymi sam prezes Towarzystwa, nie mogący uwierzyć, żeby panowanie Jagieillonów zawierało „przeciąg najświetniejszy dla Polski.“ Ukaże się—mówił Staszyc na posiedzeniu Towarzystwa 22 grudnia 1809 r.—że i ta panowania starych Zygmuntów świetność była tylko utrzymującym się zewnętrznym blaskiem, odbijającym się jeszcze z dawnéj sławy i z narodu ogromności; wewnątrz ciało polityczne już natenczas pełno zepsucia miało.“

Ustępowało Towarzystwo Naruszewiczowi pod względem dokładności określenia sposobu pisania historyi, lecz w wyobrażeniach o niéj w zasadzie różniło się mało. Naruszewicz cztery w pracy dziejopisarskiéj widział momenty: „zebranie rzeczy pilne i oszczędne, rozłożenie łatwe i porządne, krytykę mądrą, ozdobienie gładkością pióra powabne, a ochotę czytania utrzymujące“ (1); Towarzystwo zaś żąda, żeby tekst wszystkie w przyczynowym związku zawarł wypadki, żeby zaopatrzony był w cytaty źródeł z uwzględnieniem objaśnień i uwag. Istotę pojęć o historyi zarówno Towarzystwa przyjaciół nauk, jak i ludzi, powołanych przez nie do pracy, najdosadniéj wyraził Kołłątaj. „Historya, w ścisłém znaczeniu uważana, pisał (2), nie jest umiejętnością, ale prostem opowiadaniem życia i spraw ludzi, dziejów i wydarzeń małych lub wielkich społeczności, uważanych pod wielorakimi względami: umiejętności, nauk, kunsztów, dobrych i złych spraw, szczęśliwych i nieszczęśliwych wydarzeń“... Pocóż—pyta daléj—„robić naukę z tak różnych i niesfornych czynów, dziejów, wydarzeń, wynalazków, pomyłek, błędów i przestępstw ludzkich? Dobre i złe czyny naszych poprzedników, odpowiada, służą nam za wzór lub przestrogę w moralném życiu. Umiejętności moralne, tak jak i fizyczne, doskonalą się zczasem; jedne prawdy odkryte prowadzą nas do dalszych, zatém wynalazki tak w umiejętnościach fizycznych jako i moralnych jedne pokolenia podawać powinny dru-

(1) Memoryał względem pisania historyi narodowej.—(2) W liście z 12 sierpnia 1805 r. do Mirowskiego (*Korespondencya listowna z T. Czackim*. III. 172).

gim, zapisywać pomyłki i błędy, śledzić ich powody, odkrywając, dla czego wszyscy ludzie lub nimi rządzący, znajdując się w pewnych okolicznościach, musieli tak a nie inaczéj działać, takie a nie inne zasady życia moralnego przyjąć, obłąkać się z drogi prawdy lub się jéj statecznie trzymać. Gdybyśmy nie mieli historyi, nie wiedzielibyśmy o wynalazkach przeszłych pokoleń, o ich moralnych prawidłach, o pobudkach, które do ich obioru skłoniły; a zatém nie korzystalibyśmy ani z ich dowcipu, ani z ich doświadczenia. Bylibyśmy zgoła zawsze poczynającymi we wszystkich przedmiotach naszych potrzeb fizycznych i moralnych, nie zaś doskonalącymi się w wynalazkach i prawdach, które ojcowie nasi odkryli. Historya ułatwia nam to wszystko, opowiadając lub zapisując, co się przed nami działo dobrze lub źle, komu winni jesteśmy przytomne szczęście lub nieszczęście w stosunkach opinii, moralności, prawodawstwa, polityki, umiejętności, kunsztów i rzemiosł," „Jak w osób partykularnych życiu, dowodził Staszyc (1), tak w narodów istnieniu są takie kroki, są takie pewne czyny, które raz popełnione wiodą za sobą w resztę życia niezzowny bieg szczęścia lub nieszczęścia. Takich to stanowczych czynów dochodzić, one nieprzerwaném pasmem wypadków wiązać jest doskonałego pisarza dziejów umiejętnością." Przekonywał, że dzieje bytu dawnego powinny być największą nauką przyszłości; tak samo jak *Prospekt*, według którego, historya, oprócz budzenia w rodakach przywiązania do kraju i zapalania młodzieży do poświęceń, powinna „rozkrzewić poznanie fałszywych wyobrażeń, jakie obłąkały przodków naszych, abyśmy od podobnych późne pokolenia zachowali."

Nie sprzeniewierzano się przeto określeniu Cycerona; cel dydaktyczny akcentowano mocniéj, niż pisarze wieku zeszłego. Z powodu rozwiniętego w masach szlacheckich legitymizmu, reformatorzy sejmu wielkiego, źródła szkodliwych instytucyi szukając w bezprawiu, konieczność proponowanych przez się urządzeń usprawiedliwiali istnieniem ich w czasach zamierzchłych; dla pogrobowców wobec nowych warunków politycznych cel podobny ustąpić musiał pierwszeństwa aspiracyom ku utrzymaniu narodowości, trosce o odzyskanie bytu. Rozumieli pogrobowcy, że w interesie programu swego również uciekać się muszą do faktów, lecz czerpanych ze stron życia, nadających się do oświetlenia dydaktycznego, o co legitymistom wieku XVIII chodzić w równym stopniu nie mogło.

Dzieje pierwotne opracować miał Czajkowski z Kołłątajem, panowanie Kazimierza W. Dzierzkowski, Zygmunta I Ossoliński, Zygmunta Augusta Czartoryski, Henryka i Stefana Batorego Tarnowski,

(1) Na posiedzeniu Towarzystwa przyjaciół nauk 22 grudnia 1809 r.

Zygmunta III Niemcewicz, Władysława IV Kwiatkowski, Jana Kazimierza Krajewski, Michała i Jana III Stanisław Potocki, Augustów i Poniatowskiego Prażmowski, czasy pomiędzy ostatnim podziałem i utworzeniem księstwa warszawskiego Kalasanty Szaniawski. Dopisało niewielu: Niemcewicz, Kwiatkowski, Krajewski.

W suchéj, rocznikarskiéj robocie Krajewskiego myśli przewodniéj dopatrzéć trudno; uwydatniał ją za to Kwiatkowski, a najdosadniéj w całém traktowaniu przedmiotu Niemcewicz. Według Kwiatkowskiego dziejopisarstwo „roztrząsając publiczne państw dzieje i przytaczając w potomności czyny ludzi, nietylko chwalebne wzory życia ich czytającym wystawia, ale oraz uczy, jak być w społeczności obywatelskiéj użytecznymi." Nie dość na tém: pragnie autor *Dziejów narodu polskiego za panowania Władysława IV*, „abyśmy, czytając sprawy niegdyś przodków naszych, wad i ich zdrożności się strzegli, a cnoty ich i dzieła chwalebne na pamięci mając, z uwielbieniem naśladowali." Nie spożytkował przecież Kwiatkowski katechizmowych aspiracyi w samym rzeczy wykładzie, zdradził zaś, że go te same o przeszłości polskiéj prześladowały pojęcia, które wypowiedzieli pisarze wieku zeszłego. Pragnął być widocznie, jako dziejopis, mentorem panujących i ludów; „historya, głosił, uczy królów jak rozkazywać, a poddanych jak być posłusznymi", — i w saméj rzeczy Władysławowi IV i narodowi w sprawie Kozaków, duchowieństwu w kwestyi dysydentów spóźnionych przestróg nie szczędził. Był zwolennikiem silnego rządu: ganił niedoskonałość konstytucyi, przewagę szlachty i możnowładztwa, źle zrozumianą wolność polską i zbytnie ograniczenie władzy królewskiéj.

Niemcewicz zapatrywania swoje na przeszłość sformułował w *Uwagach nad upadkiem i charakterem narodu polskiego*, stanowiących *Śpiewów historycznych* rozdział ostatni. Rodzajność ziemi, dowodził, usposabiała nas do rolnictwa, natarczywość sąsiadów zmuszała do wojen; ukształtowały się z tego powodu dwa w narodzie pierwiastki: rolników, najprzód wolnych, późniéj ujarzmionych i ludzi wojennych, czyli szlachty, otrzymującéj wielkie od królów nadania, dostojeństwa i nagrody. W karbach była szlachta trzymaną przez królów tęgich, lecz po podziale państwa, korzystając z frymarków potomków Krzywoustego o berło, wzrosła i zaciążyła nad wszystkiém, aż zniszczyła równowagę między sobą, ludem i tronem. Wzbicie się jednéj części narodu w bogactwo i władzę, ujarzmienie innych, stało się przyczyną osłabienia całości. Rychło szlachta uboższa odgrywać poczęła rolę narzędzia w stosunku do możnych: ostatni rządzili wszystkiém, namiętnościami swojemi ogarnęli ojczyznę i spychali ją w przepaść. Odnoszone w czasach dawniejszych nad nie-

przyjacielem zwycięstwa wyrobiły mniemanie, że bez wojska stałego, bez rządu, podatków i skarbu dość jest wsiąść na koń, by najazd odeprzéć. Trwano w nałogu, gdy w całéj Europie system rządzenia się zmienił, gdy ludy barbarzyńskie lub słabe w moc rosły, gdy wszędzie obok swobód władza wykonawcza coraz więcéj nabierała tęgości. Szlachtę tylko mając za naród, królów za podwładnych urzędników, lud za narzędzie dochodów i bogactw, czekaliśmy w gnuśności do chwili, w której przebudzenie się i rozpacz szlachetna już były spóźnione. Takim błędom przypisuje Niemcewicz upadek: winę zwala nie na naród cały, lecz na zbytnią powolność królów i ślepotę magnatów.

W *Dziejach panowania Zygmunta III* cel dydaktyczny przebija ostro, a towarzyszy mu obcy pisarzom wieku zeszłego sentymentalizm i morał. „Jeżeli zbyt późno, powiada autor, z popełnionych błędów nauka zasmuci nas, cośmy skutków tych błędów doznali,— pocieszające wspomnienia chwały przodków naszych, ich nieraz obywatelstwo w obradach, odwaga w boju, wytrwałość w ciężkich przygodach... słodkie w sercach naszych wzbudzić mogą uczucia.“ Radby opisywać „wielkie tylko wypadki, silnie uderzające charaktery, to co żywo wzbudza ciekawość, co na całe ludzi stowarzyszenia wielki wpływ mieć może“; nie waha się pominąć sporów religijnych za Zygmunta III „obszerne bowiem onych wywodzenie więcéjby przynieść mogło zarumienienia, niżeli pożytku.“ Pragnąłby przez odtworzenie chwalebnéj przeszłości osłabić grasującą w kraju cudzoziemszczyznę, obudzić szacunek dla pamiątek, przywiązanie do rzeczy swojskich. Nic przecież nowego do dotychczasowych poglądów na przeszłość nie wniósł. W Zamojskim widzi „potęgę możnowładztwa wyższą nad majestat i prawo“; wyrzeka, że w rzeczypospolitéj „każdy czynił, co chciał, rząd tylko jeden nie miał ni woli, ni władzy“; w buntach rokoszowych za Zygmunta III spostrzegał „zarody téj niesforności, która, długo powtarzając się późniéj, w r. 1793 Polskę naszą do ostatecznego przywiodła upadku.“

Pomimo obfitych wzorów, jakich dostarczała produkcya naukowa zachodu, epigonowie Naruszewicza dalecy byli od wprowadzenia nowych do historyi pierwiastków, talentem niedorównywali nawet staremu mistrzowi. Oprócz Jana Potockiego, który do badań nad pierwotną Słowiańszczyzną zastosował tak zwaną metodę odwrotną; Wawrzyńca Surowieckiego, który na tém samém polu uznanéj dobił się sławy; chaotycznego wreszcie, lecz wielostronnego i bystrego Czackiego, — kontynuatorowie Naruszewicza byli ludźmi geniuszu miernego, możność rozwinięcia rozpoczętych przez uczonego biskupa dociekań leżała po za granicami ich talentu i wiedzy. Za-

sługa wprowadzenia do badań dziejowych archeologii należy się Chodakowskiemu; na etnografię i antropologię pod wpływem A. Humboldta, Malte-Bruna, Klaprotha, Edwardsa i innych w małéj rozprawce: *Myśli o zastosowaniu fizyologii do historyi, mianowicie polskiéj* (1) zwrócił uwagę St. Rzewuski. Że, jak się wyraził Bielski, „mieszaniną zapakowań jest wszystek świat, ludem różnym“, — umiejętne, według autora, rozklasyfikowanie składowych Polski pierwiastków, zbadanie właściwości rasowych każdego i oznaczenie czasu osiedlenia się ich na terytoryum rzeczypospolitéj niewątpliwąby nauce historyi przyniosło korzyść.

---

(1) Warszawa, 1830. 8⁰, str. 27. Odbicie z *Pamiętnika fizycznych, matematycznych i statystycznych umiejętności z zastósowaniem do przemysłu.* (Zeszyt 6 i 7 z r. 1830).

(*d. c. n.*) *Władysław Smoleński.*





KOTLINA PRYPECI I BŁOTA PIŃSKIE

POD WZGLĘDEM PRZYRODNICZYM.

Dokończenie.

Ażeby zrozumiéć i ocenić słusznie rozwój błót Poleskich, trzeba miéć przedewszystkiém w pamięci, że był czas, w którym niziny tutejsze, zalane wodą, przedstawiały pewien rodzaj jeziora, do którego uchodziły rzeki, tworzące dzisiejsze dopływy Prypeci. Wody tych rzek obfitowały w rozdrobnione minerały, głównie w wapno, piasek i glinę, jak to i obecnie ma miejsce; ale ilość tych minerałów była wtedy daleką większą, ponieważ wyniosłości, zamykające kotlinę Prypeci, nie były jeszcze pokryte roślinnością. Minerały te osadzały się na dnie owego jeziora, tworząc mielizny i wyspy, na których ukazały się pierwsze rośliny, wytworzyły się najstarsze błota. Ale ani ta roślinność, ani te wyspy nie były stałe. Wytwarzanie się osadów wodnych nie było ani powolném ani jednostajném, lecz odbywało się najpotężniéj w wodach wzburzonych powodziami, a szło za prądem rzek tutejszych, którego kierunek był również zmiennym. Z tego powodu osadzały się cząstki ziemne, zawarte w wodzie, po różnych miejscach, raz w jedném, drugi raz w drugiém, wskutek czego ogólna głębokość wody się zmniejszała, dno jeziora bezustannie się podnosiło i coraz to nowe mielizny i wyspy na jaw wychodziły. Ale następstwo téj nieprzerwanéj i nieokiełzanéj pracy żywiołu wodnego było takie, że owe pierwotne wyspy, pokryte już błotami, znalazłszy się niespodzianie, w niższym poziomie, zostały zalane przez wodę, a roślinność, jaka się na nich rozwinęła, pokryta nowym pokładem osadów, straciła swoję żywotność raz na zawsze. W ten sposób powstały pokłady torfów, jakie we wnętrzu ziemi w różnych miejscach na Polesiu odkryto. Płynąc rzeką Strumieniem z Pogości do Pińska widziałem wzdłuż brzegów potężne pokłady starych torfów, przepełnione mnóstwem korzeni i gałęzi, pokryte osadami rzecz-

nemi, grubemi na 1 do 2 metrów, a przy pomocy wiercenia wykryto takie same torfy i w znacznéj od tutejszych rzek odległości. W miejscowości Samory znaleziono pokład torfu na 2 stopy i 6 cali gruby w głębokości przeszło 15 stóp pod powierzchnią ziemi, a w Zabołociu znaleziono inny, nieco cieńszy, w głębokości 11½ stopy. W ten sposób zmieniała się ciągle powierzchnia tutejszéj gleby a pierwotna roślinność musiała walczyć ciągle i z wodnym, i z ziemnym żywiołem, jakoż można uważać za pewne, że z owych błót, jakie rozwinęły się na najstarszych mieliznach, na środku jeziora, ani jedno do dni naszych się nie przechowało. Ale wroga siła żywiołów musiała z czasem osłabnąć, bo i ogólny poziom wód uległ, wskutek pogłębienia się koryta Dniepru i ułatwienia im odpływu, obniżeniu i ilość minerałów, niesionych przez rzeki, znacznie się zmniejszyła, wskutek czego obszary suche poczęły brać przewagę nad zalanemi. Gdziekolwiek gleba uwolniła się od wody, tam rozwinęły się wilgotne łąki i moczary, gdzie zaś pozostała pokryta wodą, lecz nie zbyt głęboką, tam powstały trzęsawiska, szuwary i oczerety a wszystkie te formacye zlawszy się w jednę całość wytworzyły roślinną szatę tych błót która przechowała się do dni naszych. Zniszczenie téj roślinności wskutek działania sił przyrodzonych jest już obecnie niemożebném, ale pomimo to nie można jéj uważać za zupełnie ustaloną; zmienia się ona przedewszystkiém z tego powodu, że stosunki hydrograficzne całéj krainy powolnéj ulegają zmianie a następnie i dlatego, że coroczne powodzie nie zawsze i nie wszędzie w jednakowéj działają mierze. Bieg tutejszych rzek nie jest jeszcze ustalonym. Nietylko zmieniają one często kierunek, lecz zmieniają i poziom i postać dna; po każdéj prawie powodzi ukazują się w nich nowe mielizny i nowe wyspy, które tamując bieg wody zmieniają jéj szybkość i poziom i działają tak samo, jak zatory lodowe. Powyżéj takiéj przeszkody stan wód jest wyższy, po za nią niższy; wskutek tego, gdy w jednych miejscach wilgotność gleby w pewnym okresie czasu się zwiększa, to inne ulegają równoczesnemu obsuszeniu. Zmiany takie oddziaływują niezawodnie i na stan roślinności, ulega ona przeebrażeniu, ale tak powolnemu, że potrzeba dłuższego czasu, ażeby jego skutek stał się widocznym. Do téj przyczyny wypada odnieść fakt, że gdy gleba w jedném miejscu ulega silniejszemu zabagnieniu, to w inném sama przez się obsycha. Ponieważ takie zmiany wychodzą jednym na korzyść drugim na szkodę, przeto tamują swobodny rozwój gospodarstwa a zaradzić im zdoła jedynie ogólne odwodnienie, połączone z uregulowaniem biegu rzek tutejszych.

Wszelka gleba sucha na Polesiu, jak wogóle w całéj środkowéj Europie, była w czasach przedhistorycznych pokrytą lasami. Można

uważać za rzecz pewną, że lasy i błota były pierwotnie jedynemi formacyami roślinnemi, właściwemi téj krainie. Najnowsze poszukiwania czynią prawdopodobném, że nawet owe wydmy piaszczyste, ogołocone miejscami z wszelkiéj roślinności, nad których zalesieniem tak skrzętnie pracują obecnie w zachodniéj Europie, były już raz porosłe lasami, i że obecną postać dopiero po ich wytępieniu otrzymały. Gleba pokryta roślinnością zielną, a zatém łąki właściwe istniały tu tylko na południowéj i północnéj granicy i przechodziły z jednéj strony w stepy czarnomorskie z drugiéj w tundry polarne. Uprawa gleby rozwinęła się na całym obszarze Polski i Rusi po porębach leśnych a wyjątkowo po błotach, zamienionych przez osuszenie w łąki.

Lasy poleskie odznaczają się niezwykłą jednostajnością. Na glebie piaszczystéj rośnie wszędzie sosna i daje sośninę, czyli bór, formacyą tak czystą, że można ujechać nią nieraz kilka kilometrów, nie napotkawszy żadnego innego drzewa po drodze. Ale po brzegach tych borów występuje często obficie brzoza, osika, dąb długoszypułkowy a po moczarach, przeciętych strugami leśnemi, rosną bujne olszyny. Gleba w lasach sosnowych bywa nadzwyczaj płonną, na znacznych niekiedy obszarach prawie zupełnie ogoloconą z roślinności, a gdyby nie moczary i torfowiska, przerywające monotonią tych lasów, nie byłoby tutaj nic, coby uwagę badacza, choćby na chwilę, przywiązać zdołało. Ale zmienia się postać lasu, gdzie piasek pomieszany z gliną korzystniejsze dla rozwoju roślin przedstawia warunki; zmniejsza się tu ilość sosen, a ich miejsce zajmuje głównie brzoza i dąb a zawadzi się niekiedy i lipa i jarzębina, wskutek czego powstaje las mieszany, z przewagą drzew liściastych. Podszew leśną tworzy w takim lesie zazwyczaj leszczyna, a gdzie téj nie staje, tam porasta ziemię bujny trawnik, złożony z różnorodnych form roślinnych a miejsca takie przypominają żywo urozmaiconą i bujną roślinność, pokrywającą glebę czystych typowych dąbrów na Podolu i Ukrainie. Gdzie stare, czyste gliny albo iły wystąpiły na jaw w postaci suchych wyniosłości, tam rozwinął się gęsty zarost typowéj grabiny, a jeźli gleba jest wilgotną, to rosną na niéj osiki i świerki. Zarosty grabowe i świerkowe tworzą jednakże na Polesiu tylko odosobnione wyspy w pośród monotonii tutejszych lasów i zachodzą w téj postaci na samę krawędź błót Poleskich. Na uroczysku Szerszeń, należącém do wsi Rokitna, widziałem świerki, których pnie dochodziły do dwóch stóp średnicy.

Nieco większą rozmaitosć przedstawiają lasy bliżéj Prypeci i rzek do niéj uchodzących, na glebie pokrytéj osadami rzecznemi. Oprócz sosny, dębu i brzozy, które należą do najpospolitszych, mo-

żna tu napotkać obie lipy, jawory, klony, brzosty, wiązy, a nawet i jesiony, a podszew leśną, złożoną przeważnie z leszczyny, urozmaicają czasem trzmielina, szakłaki i jarzębina. Gleba użyźniona osadami rzecznemi odpowiada szczególniéj warunkom życiowym dębów. Wspaniały zarost, złożony z olbrzymich, odwiecznych okazów tych drzew, z małą domieszką osik i jesionów znalazłem w majątku hr. Wiktora Platera, na uroczysku Dubieczmia, na północ od Dąbrowicy. Na glebie tego zarostu z lekka tylko ocienionéj, rozwija się bogaty zarost zielny, obfitujący w kilka rzadszych roślin a Dubieczmia jest istną oazą wśród monotonii lasów poleskich.

Ale najciekawszém zjawiskiem była dla mnie roślinność drzewna, pokrywająca rozrzucone po błotach i zupełnie odosobnione ostrowy. Sosny jest tu stosunkowo mniéj, a natomiast ukazują się obficie drzewa, które zwykle unikają gleby piaszczystéj. Na Tuchowskim ostrowie, nad rzeką Lwą, rośnie oprócz sosny, dąb, brzoza, olsza, osika, jarzębina i kruszyna, a na Łykoczynie i innych ostrowach, rozrzuconych po Wjacko-Bobrowickich błotach, znalazłem prócz wyżéj wymienionych drzew oba gatunki lipy, graby, świerki i leszczynę. Drzewa te tworzą tu wszędzie bezładną mieszaninę; pojedyncze ich okazy dochodzą do znacznych rozmiarów, lecz jest ich zato stosunkowo mniéj, wskutek czego las bywa rzadszy, widny i przejrzysty. Ponieważ ostrowy te, zupełnie odosobnione, są nie zaludnione i roślinność ich pozostała dotąd wolną od napaści ze strony człowieka, przeto sądzę, że drzewostan tutejszy odpowiada najbardziéj roślinności, jaka rozwinęła się pierwotnie na suchéj, piaszczystéj glebie Polesia. Lite sośniny i brzeziny, nużące wzrok swoją jednostajnością, powstały tu dopiero pod wpływem człowieka. Pierwotne lasy téj krainy musiały być zarostem mieszanym, w którym drzewa liściaste miały nawet przewagę nad szpilkowemi.

Liczba form, wchodzących, wskład roślinności Polesia jest w porównaniu z rozmiarami téj krainy w ogóle mała a ze względu na systematyczny charakter swéj flory musi Polesie być zaliczoném do najuboższych okolic w Europie. Nie tylko liczba gatunków, żyjących na téj glebie, jest ograniczona, lecz jedne i te same formy powtarzają się wszędzie do znużenia, a należą one przeważnie do takich, które na całym niżu Europejskim, od żuław Renu, aż do podnóża gór Uralskich, są wszędzie rozpowszechnione. Brakuje tu prawie zupełnie gatunków endemicznych, to jest takich, które za wyłączną własność téj krainy dałyby się uważać, a jeżeli zdarzy się gdzie jedna, albo druga forma, zbaczająca od właściwego typu, to znamiona jéj są tak słabe, że przez botaników starszéj szkoły zaledwie za odmianę tegoż typu, a nie za właściwy gatunek uważaną

być by mogła. Tym brakiem form endemicznych odznacza się nietylko nasze Polesie, lecz i sąsiednia Litwa i cały niż germański, co tém więcéj zastanawia, że okolice południowe, bezpośrednio z zapadłością Poleską graniczące, jak Podole i Ukraina, obfitują bardzo w rośliny endemiczne, których znaczna liczba i za Zbrucz, na galicyjskie Podole, przechodzi. Posiadają i okolice północne, Szwecya, Norwegia, Laponia i Finlandya, wiele sobie właściwych form roślinnych.

To ubóstwo roślin na Polesiu, jak i jednostajny układ tutejszéj roślinności, robią takie wrażenie, jak gdyby szata roślinna, pokrywająca glebę całéj téj krainy była utworem stosunkowo młodszym, dziełem nagłéj i szybkiéj kolonizacyi roślinnéj, wskutek czego formy pospolite, posiadające wyższy stopień żywotności i dlatego łatwiéj z miejsca na miejsce się przenoszące, rozpostarłszy się po całym jéj obszarze, utrudniły przystęp roślinom innym, wybredniejszym,—i jak gdyby formy osiadłe na téj glebie nie miały dość czasu do zmienienia swéj postaci, do przeobrażenia się w nowe endemiczne gatunki. Pogląd ten zgadza się w zupełności z dziejami rozwoju téj krainy, bo wiemy już że niż europejski nietylko najpóźniéj wyłonil się z morza, że w systemie lądów europejskich, ze względu na swój wiek, ostatnie zajmuje miejsce, lecz że i późniéj jeszcze gleba jego wielorakiéj ulegała zmianie. Przez cały czas trwania epoki lodowéj, a zatém wówczas, gdy lodowiec północny pokrywał niż germański i sarmacki, posiadały i góry środkowéj Europy, Karpaty i Alpy, obfite lodowce a klimat téj części Europy był od dzisiejszego zupełnie odmiennym. Roślinność jaka się pierwotnie, przed nastaniem lodowéj epoki, na całym owym niżu rozwinęła, uległa wrogiemu działaniu tego klimatu i zmarniała prawie do szczętu; mamy na to niezbite dowody, że w epoce lodowéj żyły tutaj rośliny właściwe okolicom zimnym, rośliny, których ojczyzną są dzisiaj po części wyniosłe, chłodne góry środkowéj Europy a po części okolice biegunowe, tworzące brzegi morza lodowatego.

Alpejsko-polarny charakter miała także roślinność, jaka pokrywała ziemię graniczącą od południa z lodami i takie same rośliny żyły wszędzie daléj na północy, gdziekolwiek ziemia była wolną od pokrywy lodowéj. Odmienny był i świat zwierzęcy w owéj epoce, bo w pokładach dyluwialnych, obecnie mało co nad poziom morza wzniesionych, znaleziono ślady zwierząt alpejskich i północnych, jak świstaka, kozicy, koziorożca, lemminga, lisa polarnego, rena, wołu piżmowego i innych. Gdy pod koniec epoki lodowéj klimat téj części Europy się ocieplił, poczęły i lody cofać się ku północy i ku wierzchołkom gór karpackich, a za niemi poszły i chłodne rośliny,

jakie z niemi warunkami klimatycznemi całéj epoki ściśle były złączone. Gleba po równinach, uwolniona od więzów lodowych, wilgotna i naga, przedstawiała wdzięczny grunt dla kolonizacyi roślinnéj. Kolonizacya ta szła u nas od południowego wschodu, z krainy czarnomorskiéj, wskutek czego i szata roślinna tych stron pierwotnie wschodnio-południowy charakter przybrała; ale niż germański począł się najpierw ożywiać od strony zachodniéj, od strony Francyi, zachodnie rośliny przeważały na nim pierwotnie. Te dwa prądy, posuwając się bezustannie w raz obranym kierunku, połączyły się z sobą i pomieszały, zawsze jednak w tym sposobie, że ślady ich są jeszcze i dzisiaj widoczne. Nad brzegami morza baltyckiego, żyją do dziś dnia rośliny galijskiego pochodzenia (*Myrica Gale*, *Lobelia Dortmanna*, *Lamium incisum*, *Coryspernum intermedium*, *Digitalis ocholeuca* i inne), podczas gdy na południu przeważają formy stepowe, między któremi znaczna liczba traw, roślin wargowych, bórakowatych, główkozrosłych, motylkowych i gwoździkowych.

Nietrudno zrozumiéć, że rośliny, które żyły na nizinach naszych podczas epoki lodowéj, nie mogły utrzymać się długo na swojém stanowisku w obec późniejszych warunków, bo znalazły się niespodzianie pod wpływem tak wrogich żywiołów, jak zmiana klimatu i nacisk ze strony nowych przybyszów, których ilość bezustannie się zwiększała. Zostały one prędzéj lub późniéj otoczone zupełnie odmienną i lepiéj do warunków miejscowych zastosowaną roślinnością. Im więcéj rozpowszechniały się przybywające z jednéj i drugiéj strony formy, im bardziéj zwiększała się liczba ich okazów, tém niekorzystniéj przedstawiały się warunki życiowe dawniejszych mieszkańców a ta walka o byt, utrudniona bezustannie przez stopniowe ogrzewanie się powietrza, miała ten skutek, że nie tylko liczba okazów tych pierwotnych roślin bez przerwy się zmniejszała, lecz że i pojedyncze ich gatunki ginąć poczęły. Ginęły one przedewszystkiém po wyniosłościach, które wystawione na działanie słońca prędzéj obsychały; nieco korzystniejsze warunki dla swego istnienia znalazły one po zapadłościach i nizinach, bo śniegi, wylęgające po takich miejscowościach w porze wiosennéj, skracają peryod rozwoju roślin a bezustanne parowanie wody, pokrywającéj miejsca niższe wpływa na obniżenie ciepłoty powietrza, wskutek czego i klimatyczne warunki miejsc takich potrzebie tych roślin lepiéj odpowiadały. Z tego téż powodu ginięcie utworów epoki lodowéj po moczarowatych nizinach w ogóle wolniéj się odbywało i tylko w części dokonaném zostało. Ponieważ warunki te nie rozwinęły się nigdzie w tak korzystnéj formie, jak na nizinach Polesia, przeto nic dziwnego, że liczba form polarno-alpejskich, żyjących jeszcze obecnie tak tutaj, jak i po mo-

czarach sąsiedniéj Litwy jest większa, aniżeli gdziekolwiek indziéj. Są to żywe świadki jednego z największych przewrotów, jakich widownią była ziemia nasza, są one zarazem największą ozdobą tamtejszéj, zresztą tak ubogiéj flory i zasługują z pewnością na to, aby im kilka szczegółowych słów poświęcić.

Wspomnieliśmy już, że żyje na błotach pińskich wierzba lapońska; zdarza się ona tutaj dość często po obu stronach Prypeci, zarówno po torfowiskach, jak i halach. Niepodlega żadnéj wątpliwości, że krzew ten pochodzi z okolic polarnych, bo jest dzisiaj pospolitym w Szwecyi, Norwegii, Laponii i Finlandyi, a nawet w Grenlandyi, podczas gdy w prowincyach nadbaltyckich, na Litwie i Polesiu, rośnie wyłącznie na glebie moczarowatéj, zimnéj i ginie nagle na południowéj granicy błot. Po za tą linią ukazuje się tylko sporadycznie, jak np. w północno-wschodniéj Galicyi (Poturzyca pod Sokalem), w Tatrach i Sudetach. Botanicy niemieccy podają coprawda dla téj rośliny kilka stanowisk w Alpach, nowsze poszukiwania przemawiają jednak za tém, że okazy z tych stanowisk należą do zupełnie innego gatunku, nazwanego przez botaników wierzbą szwajcarską (*Salix helvetica*). Rosną na Polesiu jeszcze dwie inne północne wierzby; z tych wierzba siwa (*Salix livida*) ma zakres rozsiedlenia prawie taki sam, jak lapońska, lecz sięga daléj ku południowemu zachodowi, bo znajdowano ją wielokrotnie w Poznańskiém i Galicyi, południowa jéj granica jest natomiast silniéj naznaczona, gdyż w Karpatach nie rośnie wcale, a na Szląsku, około Gurowa, jest dzisiaj bliską wyginięcia. Trzeci gatunek, wierzba mirtowa (*Salix myrtilloides*), pospolita na północy, trzyma się na niżu sarmackim wyłącznie torfowisk i należy do rzadszych. Widziałem ją na Polesiu około Sech i Klesowa, a w Galicyi rośnie również w Poturzycy razem z lapońską; rośnie ona nadto w trzech miejscach na Szląsku, jak nie mniéj w Bawaryi około Monachium i w Alpach bawarskich.

Po wierzbach zasługują przedewszystkiém na .wzmiankę dwie polarne jeżyny (*Rubus arcticus* i *R. Chamaemorus*), nie znalezione dotychczas co prawda na właściwém Polesiu, lecz wykryte przez profesora Gorskiego (1) w kilku miejscach sąsiedniéj Litwy. Takiegoż samego pochodzenia są prawdopodobnie i dwie karłowate brzózki (*Betula humilis* i *Betula nana*), żyjące na Litwie, chociaż zakres ich rozsiedlenia jest obszerniejszy, bo zdarzają się dość często w wysokich górach środkowéj Europy. W ten sam sposób przybył do nas bardzo ciekawy gatunek koniczyny, nazywany przez botaników *Trifolium Lupinaster*, rosnący obficie w Dziadowskiéj puszczy,

---

(1) Por. wykaz roślin w dziele Eichwalda: Naturhistorische Skitze, i t. d. str. 162.

dziedzicznym majątku Jundziłłów i w kilku innych miejscowościach Litwy i prowincyi nadbaltyckich, a pochodzący z północnéj Syberyi. Z innych roślin północnych, żyjących obecnie na Litwie, wymienię tylko dla przykładu *Carex norvegica*, *Potamogeton norvegicus*, *Linnaea borealis*, *Andromeda caliculata* i *Tanacetum boreale*.

Rośliny, które przybyły w te strony z południa, a zatém z gór środkowéj Europy, różnią się pod względem rozsiedlenia tém, że należą wogóle do rzadszych, są przywiązane do pewnych, nielicznych stanowisk, a liczba ich okazów wogóle ograniczona. Byt ich jest tutaj widocznie bardziéj zagrożony, aniżeli roślin polarnych. Pierwsze miejsce zajmuje między niemi znana dobrze naszym lekarzom, a szczególnie homeopatom, *Arnica montana*, z rodziny główkozrosłych, o wielkich żółtych kwiatach i łodydze prawie bezlistnéj. Żyje ona w cieplejszych górach Europy; nie ma jéj w Tatrach, ani na Babiéj górze, lecz po połoninach Czarnéj Hory należy do pospolitszych. Nie schodzi ona w Karpatach nigdy poniżéj 1200 metrów, nie ma jéj również ani na Podolu, ani na Wołyniu, a ukazuje się dopiero na północy od Prypeci; pierwszy jéj ślad znalazłem w odległości kilkunastu kilometrów od Pińska, w Porzeczu, gdzie przez zasłużoną badaczkę tamtejszéj flory, p. Maryę Twardowską najprzód spostrzeżoną została. Im daléj ku północy, tém jest pospolitszą, jakoż w lasach Dziadowskiéj puszczy znalazłem ją w kilku miejscach, w wielkiéj liczbie okazów. Z innych roślin, niewątpliwie alpejskiego pochodzenia, znajdowanych na Polesiu i w sąsiednich okolicach, wymienię tylko ważniejsze, a mianowicie: *Lycopodium Selago*, *Eriophorum alpinum*, *Tofieldia palustris*, *Gymnaclenia odoratissima*, *Swertia perennis*, *Empetrum nigrum*, *Prenanthes purpurea*, *Trifolium spadiceum* i *Arabis alpina*.

Ale najciekawszym zabytkiem z epoki lodowéj jest tutaj niezaprzeczenie azalea pontyjska, krzew o kwiatach pomarańczowych i mdłym zapachu, znany dobrze naszym ogrodnikom, gdyż bywa z dawien dawna hodowanym po szklarniach i w mieszkaniach. Roślina ta żyje obecnie tylko na Kaukazie i w Małéj Azyi, w górach wyniosłych na górnéj granicy lasów. Napotykałem ją w wielkiéj ilości wzdluż drogi przecinającéj łańcuch gór kaukazkich od Tyflisu do Władykaukazu, szczególniéj obficie na Gudaurze i pod Kazbekiem, gdzie nie schodzi nigdy poniżéj 1600 metrów. Pierwszą wiarogodną wzmiankę o istnieniu téj rośliny na Polesiu podał Besser w wykazie roślin drukowanym w r. 1822 (*), ale że źródła, z którego o znachodzeniu się azalei na Polesiu dowiedział—nie wymienia, prze-

(*) Besser: Enumeratio pt. Volhyniae, Podoliae etc. str. 11.

to i fakt, sam przez się zagadkowy, wymagał sprawdzenia. Nieco dokładniejszą wiadomość zawdzięczamy Gorskiemu, który wymieniając ją między litewskiemi (1) powiada, że rośnie w Dąbrowicy, o 10 mil od Pińska i nad rzeką Słuczem na Wołyniu. Wspomina o téj roślinie i Rogowicz w swojéj florze gubernii Wołyńskiéj (2), a za miejsce jéj znachodzenia wymienia Owrucz, Olewsk, Kamienszczyznę i Ozierańską Rudnię na południowém Polesiu.

Istnienie azalei w tym odległym zakątku Europy nie mogło wobec świadectwa tak poważnych uczonych, jak Besser, Gorski i Rogowicz, podlegać wątpliwości; ale że wiadomość ograniczająca się li tylko do podania stanowiska, szczególniéj gdy chodzi o roślinę tak ciekawą i zagadkową, jak azalea, nie czyni zadosyć dzisiejszym wymogom naukowym, przeto téż wybierając się na Polesie, postanowiłem przedewszystkiém zająć się zbadaniem tego szczegółu. Jakoż już wkrótce po przekroczeniu granicy Wołynia przekonałem się, że wykształceńsi mieszkańcy tego kraju nietylko znają bardzo dobrze tę roślinę, lecz i wiele się nią zajmują, gdyż próbowano nawet w kilku przypadkach przesadzenia jéj do ogrodów, lecz zawsze bez skutku. Pierwszą pewniejszą wiadomość, zebraną o niéj na miejscu, zawdzięczam hr. Rzyszczewskiemu, właścicielowi Rokitna, wsi na saméj krawędzi błot pińskich położonéj, który nietylko wskazał mi stanowiska, gdzie odszukanie rośliny uważał za niezawodne, lecz i wycieczkę w tamtą stronę ułatwił. Jakoż przekonałem się, że azalea na południowéj granicy błot pińskich, pomiędzy Horyniem i Uborcią położonych, nie jest rzadką; jak już wspomniałem, zna ją dobrze lud poleski i tureckiém bagnem nazywa. Pierwszy jéj ślad znalazłem we wsi Borowe, o 30 kilometrów od południowéj grancy błot, późniéj zbierałem ją w Karpiłówce, Kisyryczach, Rokitnie, Horoszkach, Ośniku i Sechach (3). Rośnie ona tutaj po brzegach lasów, na glebie piaszczystéj albo gliniastéj, zawsze wilgotnéj, pokrytéj mniéj lub więcéj cienkim pokładem torfu, w licznych, ale rozrzuconych okazach. Porównana z kaukaską przedstawia lekkie różnice, gdyż liście jéj są mniejszych rozmiarów, na dolnéj powierzchni zlekka popielatéj barwy, a kwiaty poleskich okazów drobniejsze. Gdzie rośnie obficie, tam znajdowałem zazwyczaj znaczną ilość zupełnie obumarłych, zeschłych okazów, co obudziło we mnie obawę, że może piękna ta roślina znajduje się tutaj w stadyum ginięcia. Po dokładniejszém

---

(1) W dziele Eichwalda str. 143.

(2) A. Rogowicz: Obozrenje siemiennych i wysszych sporowych rastienij, wcho diaszczych w sostaw flory gubernij Kiewskawo uczebnawo okruga. 1869, str. 163.

(3) W Dąbrowicy, wymienionéj przez Gorskiego, daremnie jéj szukałem.

jednak zbadaniu przedmiotu obawa okazała się bezpodstawną, gdyż krzew ten rozwija się w taki sposób, że gałęzie jego po trzech albo czterech latach obumierają, a na ich miejsce nowe od korzenia się ukazują, wskutek czego co roku kilka gałęzi zasycha i kilka innych na ich miejsce wyrasta. Ale po kilkunastu latach takiego rozwoju słabnie żywotna siła okazów starszych, nowych gałęzi przybywa coraz mniéj i roślina traci swój żywot. Jakoż bardzo stare jéj egzemplarze składały się z kilkunastu gałęzi suchych, w pośród których jedna, albo druga opatrzona liśćmi i kwiatami wskazywała, że życie jeszcze nie zupełnie w niéj zamarło.

Ponieważ azalea we właściwéj swéj ojczyźnie posiada obecnie wszystkie znamiona rośliny alpejskiéj, przeto stanowisko jéj na Polesiu da się zrozumiéć jedynie wówczas, jeżeli odniesiemy je do epoki lodowéj. Ale ten pogląd natrafia na przeszkodę w niezwykléj odległości Polesia od Kaukazu. Rośliny polarne i karpackie mogły się z łatwością pomieszać na niżu sarmackim, bo lody północne i karpackie stykały się tu ze sobą prawie bezpośrednio. Ale między Kaukazem i Skandynawią związek taki nigdy nie istniał; lody północne nie dotknęły nigdzie ani Podola ani Ukrainy, a chociaż miały i góry Kaukazu i Armenii swoję epokę lodową, to lody ich nie zeszły nigdy na niziny. Dwa tylko przypuszczenia mogą dać klucz do rozwiązania téj zagadki. Można uważać za rzecz pewną, że wpływ lodów północnych sięgał w owéj epoce daleko ku południowi i że tak klimat, jak i roślinnność krainy czarnomorskiéj były wówczas od dzisiejszych zupełnie różne. Na podstawie bardzo starannych studyów przyszedł Engler (1) do przekonania, że dzisiejsze stepy musiały obfitować w epoce lodowéj w wilgoć, a roślinność ich musiała odpowiadać dzisiejszym błotom i tundrom. Ponieważ wpływ ówczesnego klimatu sięgał daleko na wschód i na południe, bo po góry Armenii i po Atlas afrykański (2), przeto musiała i dolna granica azalei na Kaukazie leżéć o wiele niżéj, roślina mogła snadno rozpościerać się po tych błotach i tundrach i zajść aż na Polesie; gdy późniéj wskutek zmiany klimatu płaszczyzny czarnomorskie zamieniły się w stepy, wyginęła ona na nich, wskutek czego i stanowisko na Polesiu od związku z Kaukazem zupełnie oderwane zostało. Przemawia za takim poglądem silnie ta okoliczność, że wierzba lapońska ma się także znajdować, według Wimmera, i w Multanach. Ale możebną jest rzeczą, że wędrówka azalei odbyła się przez półwysep bałkański i Karpaty siedmiogrodzkie, że istniała ona niegdyś w tych górach i że

(1) Entwickelungsgeschichte der Pflanzenwelt, I, str. 161.

(2) W. B. Dawkings, Die Höhlen und die Ureinwohner Europas str. 305—310.

tylko wskutek zmiany klimatu z nich wypartą została. Możnaby przytoczyć liczne przykłady roślin europejskich, znajdujących się w stadyum ginięcia, lecz wystarczy dla nas, gdy wspomnę tylko o jednym, bliżéj nas obchodzącym. W r. 1864 znalazł Ascherson z kilku towarzyszami podróży na Giewoncie w Tatrach, rododendron szorstki, krzew pospolity w Alpach i Siedmiogrodzie, którego nikt poprzednio w Tatrach nie zauważył. Gdzie ta roślina znajduje się w górach środkowéj Europy, tam występuje w wielkiéj ilości, prawie gromadnie, a istnienie jednego odosobnionego okazu, na stanowisku tak odległém, jak są Tatry, nie może być przypisaném jednorazowemu, przypadkowemu przeniesieniu. Wypada raczéj przypuścić, że krzew ten rósł niegdyś i w Tatrach tak obficie, jak w Alpach, lecz że wskutek zmiany klimatu, lub w ogóle wskutek niekorzystnych warunków życiowych nie tylko się nie rozmnaża, lecz przeciwnie liczba jego okazów tak się tu zmniejszyła, iż obecnie jest w Tatrach blizkim zupełnego wyginięcia. Przykład ten ma dla zrozumienia ogólnego rozsiedlenie azalei tém większą doniosłość, iż rododendron jest z nią blisko sprokrewniony, gdyż oboje do tejże saméj rodziny należą.

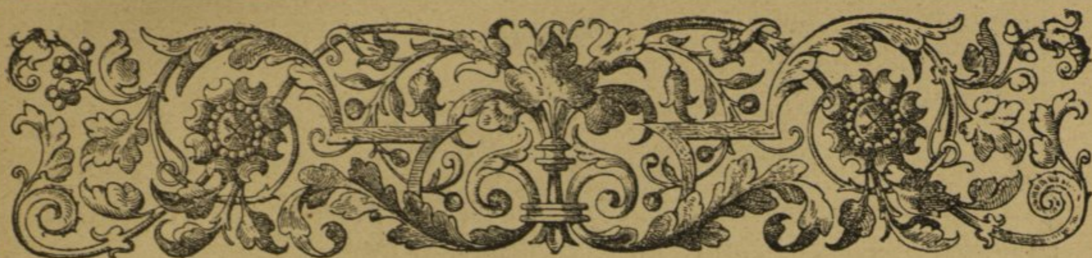
Tak więc roślinność tego zakątka Europy składa się z różnorodnych pierwiastków, odpowiadających tak odmiennym krainom klimatycznym, że pobieżny przegląd tutejszéj flory mógłby niedoświadczonego badacza wprawić w zdumienie i nie małego nabawić kłopotu. Krytyczny rozbiór przedmiotu wykazuje jednak, że różnorodna ta mieszanina nie jest ani bezładną, ani przypadkową, lecz że stoi w najściślejszym związku z rozwojem tutejszéj roślinności, że jest jéj prostém następstwem, a pogląd rozwinięty w powyższych ustępach, został w ostatnich czasach niespodziewanie prawie, na innéj drodze stwierdzony. Torf powstaje, jakeśmy mówili, z nagromadzenia części roślinnych, tak słabo zmienionych, że oznaczenie gatunków, jakie go wytworzyły, daje się częstokroć z łatwością uskutecznić. Ponieważ wytworzenie się grubszych torfowisk wymagało bardzo długiego ciągu czasu, wielu set, a nawet wielu tysięcy lat, przeto można się było spodziewać, że zadeterminowanie roślin, przechowanych w różnych pokładach torfowisk, pozwoli nam poznać i przeobrażenia, jakim roślinność odpowiedniéj miejscowości, od chwili ukazania się torfu, aż do dni naszych ulegała. Zadanie to spełnił najprzód szwedzki naturalista Steenstrup. Oznaczył on szczątki drzew zawarte w starych torfowiskach szwedzkich i przekonał się, że na samym spodzie znajdują się w nich tylko liście osiki, powyżéj ukazują się pozostałości sosny, nad nią leży pokład zawierający liście i owoce dębu krótko-szypułkowego a zwierzchnie pokłady torfu za-

wierają szczątki olszy i buka, to jest drzew jeszcze i teraz tam rosnących. Ponieważ wymienione wyżéj drzewa postępują od północy, a zatém od granicy tunder, ku południowemu zachodowi w tym samym porządku i odpowiadają pewnym pasom klimatycznym, przeto można uważać za rzecz pewną, że i szczątki ich, w ten sam w torfowiskach szwedzkich ułożone sposób, również pewne peryody klimatyczne, a mianowicie stopniowe ocieplanie się powietrza, przedstawiają. To przypuszczenie zamieniło się w pewność od czasu, gdy Nathorst, prowadząc daléj rozpoczęte przez Steenstrupa badania, wykazał, że w Danii i Anglii spodnie pokłady torfu, obfitujące w liście osiki, leżą na iłach i glinach, zmieszanych ze żwirem lodowcowym, w których znajdują się ślady roślin polarnych (*Salix herbarea*, *S. polaris*, *S. reticulata*, *Dryas octopetala* itd.). W ten sposób rozwój flory téj części Europy został doprowadzonym wstecz aż do epoki lodowéj, do owych czasów gdy lody sunące z północy ku południowi pokrywały niziny nadbaltyckie, osadzając na miejscu okruchy skał skandynawskich a gleba naga stercząca z płaszczyzny lodowéj żywiła rośliny polarne.

Skrzętne poszukiwania, prowadzone w ostatnim dziesiątku lat przez geologów, botaników i zoologów zetknęły się w ten sposób niespodzianie u wspólnego celu. Dały one świadectwo jednemu z najdziwniejszych przewrotów, jakie miały miejsce na północnéj półkuli, przewrotowi, który dotknął nie tylko powierzchnię ziemi, lecz i otaczające ją powietrze, zmienił zarówno świat zwierzęcy jak i roślinny, a tém samém wpłynął potężnie i na rozwój ówczesnego człowieka. Z faktem tym geografia musi się liczyć na każdym kroku.

Dr. Antoni Rehman.





CALDERON.

EL MAGICO PRODIJIOSO.

Tercera jornada v. 2845,

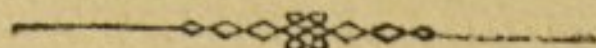
GŁOS. Jak się zwie najwyższa chwała
Życia tego?
CHÓR. Miłość, miłość.
GŁOS. Nie znajdziesz na świecie stworzenia,
By nie wybił na nim piętna
Miłosnego żar płomienia.
Więcéj tym, że kocha, żyje
Człowiek, niż tym, że oddycha.
Miłości jedynie chętna
Drzewina, ptak, lilia biała
Z życiowego gdy kielicha
Pić chcę rozkosz, miłość pije.
Więc jaka najwyższa chwala
Życia tego?
CHÓR. Miłość, miłość.

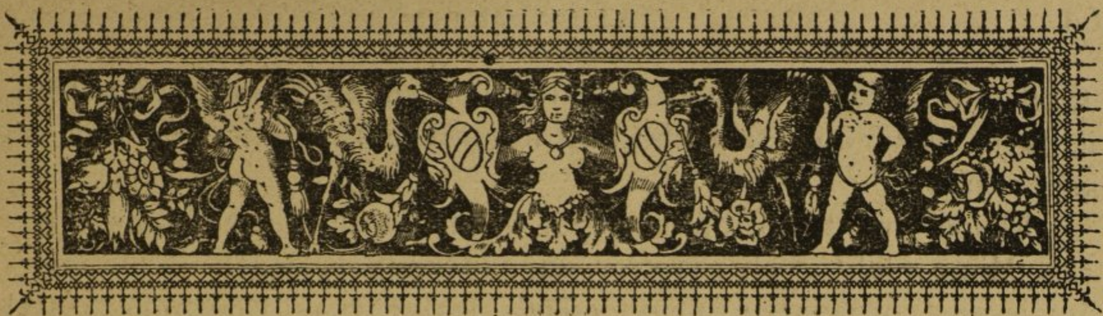
JUSTYNA. Fantazyi krain wietrznico
Myśli moja, pochlebnico,
W jaką tajemną godzinę
Biedna dałam ci przyczynę
Do takich serca owładań?
Skąd moc płynie, skąd tchnie żar
Tych ognistych we mnie gadań,
Skąd ten szeptów w koło gwar,
Co tak szumi, szumem rośnie;
Jak się zowie ból, tak głośnie
We mnie drżący?
CHÓR. Miłość, miłość.

JUSTYNA. Co to? Słowik rozkochany
Gada do mnie z pośród bzu,
Wierny lubczyk zasłuchanéj
Weń słowiczki, w noc do snu
Na gałązce kołysanéj.
Milcz słowiku, bo się trwożę
Słysząc, jak się żali ptak,
Że mię chęć doznania zmoże,
Ile też czuć człowiek może,
Jeśli ptaszę czuje tak.
Lecz nie. To gałązka wina
Co lubieżnie się przegina
Porwać drzewa pień objęciem,
Aż pod liści przysłonięciem
Zielonych mdleje krzewina.
Nie nęć mię, gałązko zielona,
Zadumać się, co kochanie,
Bo doświadczyć we mnie wstanie
Chęć, czém męskie są ramiona.
A jeśli nie winna wić,
Może ten kwiat heliotropu,
Co nie schodzi z słońca tropu
I by ciepłe blaski pić,
Okiem ciągle za nim toczy.
Niech cię żalu łza nie mroczy,
Kiedy zwiędniesz w cieniu, kwiecie,
Bo się zachce mnie kobiecie
Widzieć męskie we łzach oczy.
Zmilcz słowiku zakochany,
Winna wici, rozwiąż dłonie,
Płochy kwiecie, ochłodź skronie,
Mówcie, jako w was wezbrany
Jad się burzy?...

CHÓR. Miłość, miłość.

Edward Porębowicz.





POWIEŚĆ SPÓŁCZESNA WE FRANCYI.

IV. IDEALIŚCI.

„Za życia została zwyciężona—za grobem doczekała się zwycięstwa.“ Temi słowy kończy Oktawiusz Feuillet swoję powieść o biednéj Aliecie de Vaudricourt („La Morte“ 1886) (1), za którą do przedwczesnego grobu wpędzony zgryzotami małżonek przyzywa księdza, aby umrzéć w duchowéj komunii z nierozumianą za życia wyznawczynią nierozumianego także Boga.

Nie samych to przekonań religijnych podobno, historyą *ideału*, w ogóle, i *idealizmu* zamierzył nam przedstawić ostatni z wielkich idealistów w tragicznym losie swojéj „Zmarłéj.“ Nie zwątpił on o tryumfie ostatecznym, o prędszém czy późniejszém odwalaniu wieka grobowego i zmartwychpowstaniu w promiennéj apoteozie. Ale tymczasem zobaczył grób, i płacząc, stanął nad nim. I tak dalece opanowała nim świadomość tego pogrzebu, że on, autor „Sybilli“, pisząc tę ostatnią już może powieść swoję, przyswoił sobie dla oddania hołdu „zwyciężonym“ barwę zwycięzcy. I napisał powieść w realistycznym, ba, w naturalistycznym nieledwie stylu, powieść opartą na „dokumentach ludzkich“ *à la Zola* i na „eksperymentach“ *à la Goncourt*, powieść bez intrygi prawie i bez perypetyi, powieść zaczynającą się od dziennika, a więc od „protokółu“ i kończącą się na protokóle, powieść, w któréj—proh pudor!—dr. Tallevaut przywdziewa biały fartuch dla dopełnienia przed oczyma czytelnika jednéj z najbogatszych we wstrętne szczegóły operacyi chirurgicznych, a w któréj sam autor trzyma od początku do końca w ręku krwawy skalpel fizyologiczno-psychologicznéj analizy. Od początku do końca widać go zakasującego rękawy i mówiącego: „zobaczycie, co Oktawiusz Feuil-

(1) Przekład polski w „Gazecie Polskiéj“ i w „Tygodniku Mód“.

let, co autor *Pana de Camors*, co członek akademii francuskiéj potrafi, kiedy się weźmie do realizmu i do naturalizmu. Zobaczycie dopiero eksperyment!“

Eksperyment nie odpowiedział w zupełności oczekiwaniom mistrza. Mimo niektórych zwrotów, zapożyczonych, jeżeli się nie mylę, od najrealistyczniejszego z pomiędzy idealistów, od Cherbulieza, styl członka akademii pozostał akademickim, a przecinane skalpelem analitycznym postaci pozostały abstrakcyami. Odnaleźliśmy w osobie panny „Tallevaut,“ wychowanicy doktora-ateusza, dawną naszę znajomę, „kobietę fatalną“ w czarnéj amazonce, „kobietę-sfinksa“ o enigmatycznym uśmiechu i złowieszczém spojrzeniu, o któréj ręczyć możemy, że i tym razem nie zobaczył jéj gdzieindziéj autor jak w fantastycznych kręgach własnéj wyobraźni. I nie skądinąd zaczerpnął on resztę swojego personelu. Nie w Żokej-Klubie z wszelką pewnością przedstawiono mu hr. Bernarda de Vaudricourt, spowiadającego się przed pobożnymi rodzicami swéj narzeczonéj z religijnego sceptycyzmu, cierpiącego w dokonanym, mimo téj spowiedzi, związku z „Aliettą de Courteheuse“ na brak moralnéj harmonii między nim a ukochaną małżonką i żeniącego się po jéj śmierci z pokrewną sobie pojęciami emancypantką. Hr. de Vaudricourt, jeżeli istnieje w saméj rzeczy i jest członkiem arystokratycznego klubu, tedy nie wierzy może, a nawet prawdopodobnie, ani w Boga ani dyabła, ale nie przyznaje się do tego nikomu, ani nawet samemu sobie, i chodzi kiedyniekiedy do kościoła, bo tak chce „dobry ton“ towarzystwa, do którego należy, i dba o to, aby żona jego chodziła tam jak najczęściéj, a emancypantek wychowanych przez doktorów-ateuszów boi się jak ognia. Podobało się autorowi przedstawić tkwiący istotnie na dnie dzisiejszego społeczeństwa antagonizm moralny, więc obmyślił personifikacye ścierających się z sobą pojęć i kierunków, i do tych fikcyi zastosował, nie bez pewnéj ironicznéj intencyi, „metodę eksperymentalną“ swych kolegów naturalistów. W dodatku zaś—taką jest w temperamencie autora przewaga pierwiastków idealistycznych—sam ów antagonizm, tak jak on pojął go i przedstawił, to jeszcze fikcya, albo bardzo wyjątkowe zjawisko. Gdyby tego rodzaju antagonizm, psujący harmonią pożycia małżeńskiego i do tragicznego fatalnie wiodący rozbratu, był rzeczą powszednią, tedy życie społeczne musiałoby ustać w tym kraju. Bo niemasz na całéj tego kraju przestrzeni jednego kościoła, któryby w każdą niedzielę nie dawał świadectwa o istniejącym rozdziale między dwoma połowami społeczeństwa. Ale rozdział ten jest rozdziałem, nie antagonizmem. Żona normandzkiego chłopa słucha kazania w kościele a mąż jéj pali przez ten czas fajkę pod kościołem, co im nie przeszkadza wracać

następnie do domu pod rękę. I tak samo *prawdziwa* pani de Vaudricourt klęczy na aksamitnym klęczniku w eleganckim kościele ś-éj Magdaleny, podczas gdy hrabia de Vaudricourt zabawia się opodal w klubie, poczém oboje jadą w najlepszéj komitywie do lasku Bulońskiego. Dlaczego zaś tak się dzieje? Dlatego, że w gruncie rzeczy nie chodzi tu już o treść, jak niegdyś w epoce wielkich walk i wielkich namiętności religijnych, ale o formę; o formę, któréj jedna połowa społeczeństwa trzyma się jeszcze, a któréj druga przestała się trzymać, ale pod którą obie nie widzą już nic prawie prócz wielkiéj, niczém nie wypełnionéj próżni. Ten brak treści obok trwającéj prawem bezwładności formy, z towarzyszącym mu orszakiem kompromisów, obłudy przed innymi i przed sobą samym, wątpliwości, niesmaków i wewnętrznych przedewszystkiém rozstrojów, oto *prawdziwy*, istotnie tragiczny antagonizm dni dzisiejszych,—mimo którego przeszedł p. Feuillet, zapędziwszy się w ponętniejsze okolice własnéj fantazyi.

Co się tyczy zaś kontrastu zaznaczonego jednocześnie przez autora między religijną i cnotliwą „Aljetą“ z bezwyznaniową i zbrodniczą panną „Tallevaut,“ to albo kontrast ten nie ma żadnego sensu, albo ma sens ten, że mężczyzna niereligijny może być uczciwym—bo „Bernard de Vaudricourt“ jest takim—ale kobieta niereligijna nie—co znowu wychodzi na nonsens, i na krzywdę jawnie wyrządzoną dość licznemu już w dzisiejszych czasach—przynajmniéj tutaj—zastępowi takich kobiet. O ile zresztą powieść Feuillet'a osnuta jest na tym kontraście, a osnuta jest na nim przynajmniéj do połowy, o tyle powieść ta napisana już została przez Delpit'a w „Le mariage d'Odette“ (1880) i, jeżeli nie pod względem obrobienia artystycznego to pod względem obserwacyi życiowéj i dedukcyi filozoficznéj, napisana nierównie lepiéj. „Odetta,“ córka sawanta bezwyznaniowego, dająca się uwieść własnemu szwagrowi, malarzowi „Claude,“ jest typem z natury uchwyconym; panna „Tallevaut, wychowanica bezwyznaniowego doktora, trująca najlepszą przyjaciółkę za pomocą umiejętnie rozdzielonych dawek akonitu, dla wydania się za jéj męża, „Bernarda de Vaudricourt“, jest tylko potworem zagadkowym.

Zatrzymałem się nad tą ostatnią kreacyą znamienitego pisarza, (którego będący na schyłku zawód powieściopisarski wychodzi zresztą po za obręb studyów niniejszych), dla tego że znajduje w téj kreacyi wyrazistą charakterystykę téj fazy, któréj doczekał się w tutejszym ruchu literackim obumierający *idealizm*. Aby stworzyć coś, coby odpowiadało duchowi czasu, siłą wynikających z tego ducha prądów popchnięty autor-idealista pokusił się o naśladownictwo pogardzanych dotąd form artystycznych. I zabrał się do przepisywania

realisty Delpit'a i zapożyczył się u naturalisty Goncourt'a i uwziął się stąpać ich śladami po ziemi, ale mimo wszystkiego zginął w obłokach i — w niedorzeczności. Na to zeszedł idealizm pod piórem wielkiego niezaprzeczenie pisarza. Forma to, bez możliwéj już wątpliwości, zużyta, na teraz przynajmniéj przeżyta i prawdziwie „umarła.“ Nie starczy dla jéj wskrzeszenia nawet tak potężnego natchnienia i talentu. Tém bardziéj nie sprostał takiemu zadaniu drugorzędny i przeżywający się także i także ku realizmowi i naturalizmowi grawitujący w ostatnich czasach talent drugiego akademika, Cherbulieza.

Znalazła się przecież niedawno gromada młodszych talentów, które pokusiły się o podjęcie téj rezurekcyi. Młodość nie zna rzeczy niepodobnych, I nie potrafiłbym sprzeczać się z tym faktem, że jak dotąd, całe niepoślednie powodzenie towarzyszyć się zdaje temu przedsięwzięciu. Na okładce leżącego przedemną „Właściciela Kuźnic“ czytam: *wydanie dziewięćdziesiąte trzecie*. „L'Abbé Constantin“ figuruje na półkach mojéj biblioteki w *pięćdziesiątém drugiém* wydaniu. Autorowie zaś tęskniący do „Revue des deux Mondes“ wiedzą o upodobaniach pana Brunetière, pamiętają o tém, że ani Daudet, ani Zola, ani nawet Claretie nie przekroczą nigdy tych progów, które przekracza tak często p. Rabusson i wybredny dwutygodnik, brzydzący się „małymi naturalistami“, wychowuje całe pokolenie małych idealistów, do których od wczoraj należy sam Jerzy Ohnet.

Z tymi to niespodzianymi epigonami i z zagadkowém zjawiskiem, którego dostarczają ich niezaprzeczone tryumfy — mam tutaj sprawę. Zagadka jest zresztą dość łatwą do rozwiązania. Rzecz to jednéj z tych naturalnych reakcyi, które pociąga za sobą nie mniéj naturalna skłonność każdego zwycięskiego prądu do przesady, do zapędzenia się za daleko w danym kierunku. Jerzy Ohnet jest naturalném następstwem Huysmans'a. Inną zupełnie stronę kwestyi stanowi wartość rzeczywista tych reakcyjnych przejawów i z nią właśnie porachować się jest mojém zadaniem.

1. Jerzy Ohnet.

„Klara de Beaulieu“ wychowana została w domu rodzicielskim ze swoim kuzynem, księciem „de Bligny“ i, jak się to często dzieje między kuzynami, odebrała od niego przysięgę wiecznéj miłości, którą ślubowała mu wzajem ze swéj strony. Ale młody książę pojechał w charakterze sekretarza ambasady do Petersburga, gdzie się rozbałamucił i zgrał w karty, a tymczasem matka „Klary“ przegrała

w Londynie proces o spadek milionowy, stanowiący jedyne wiano jéj córki. Następstwem tych wszystkich zdarzeń i okoliczności staje się to, że pewnego dnia panna „Athenais Moulinet“, córka zbogaconego fabrykanta czekolady i śmiertelna, od czasów pensyonarskich nieprzyjaciółka arystokratycznéj i dumnéj panny „de Beaulieu“, odwiedza tę ostatnią i oznajmia jéj o swoich zaręczynach z księciem „de Bligny.“ Ugodzona ciosem podwójnym „Klara“ obmyśla natychmiastowy odwet. Przed chwilą właśnie zgłosił się był z prośbą o jéj rękę młody p. „Derblay“, właściciel położonych w sąsiedztwie Kuźnic. Panna „de Beaulieu“ nie raczyła nawet zwrócić uwagi na tę prawie znieważającą, w jéj pojęciu, propozycyą. Témbardziéj, iż ukryto dotąd przed nią niepomyślny wypadek procesu londyńskiego. Teraz atoli zmienia ona zdanie. Przywołuje do siebie zuchwałego pretendenta, i po krótkiéj z nim rozmowie przedstawia go pannie „Moulinet“ i samemu przybywającemu w téj chwili księciu „de Bligny“ jako swojego narzeczonego.

Takiém jest założenie utworu, który doczekał się wczoraj u Ollendorfa setnego i któregoś wydania, a na scenie teatru „Gymnase“ przed rokiem trzechsetnego i któregoś przedstawienia. Co jest w tém założeniu nowego i oryginalnego? Szukam i nie znajduję; zawadzam zawsze o Juliusza Sandeau czy o którego innego ze starych idealistów. A jednak, aby odżywić przeżytą formę, trzebaby chyba przynieść z sobą coś nieprzeżytego jeszcze. Co przynosi z sobą Ohnet? Jedno chyba. W staréj idealistycznéj szkole tego rodzaju kombinacya matrymonialna *in extremis*, do któréj ucieka się dumna i mściwa „Klara“, nazywała się *un mariage de dépit*; u p. Ohnet'a nazywa się ona *un mariage de vengeance*. Ten sposób pojmowania rzeczy jest wyłączną własnością Ohnet'a. Ale skąd się on wziął u niego? Dlaczego panna „Moulinet“ czuje się do żywego dotkniętą przez kombinacyą, która czyni z niéj księżnę „de Bligny“, a z jéj nieprzyjaciółki panią „Derblay“ po prostu? Szukam znowu i znowu nie znajduję.

„Klara de Beaulieu“ zostaje tedy panią „Derblay“, i tu zawiązuje się dopiero prawdziwy wątek powieści. W godzinę bowiem po ślubie (który to ślub z woli „Klary“ odbywa się o północy w ciasnéj i ciemnéj kaplicy — *par dépit* zawsze, powiedziałby Juliusz Sandeau, *par vengeance*, powiada Jerzy Ohnet—) pani „Derblay“ oświadcza mężowi, że kocha większą niż kiedykolwiek miłością swojego kuzyna, księcia „de Bligny“ i z téj przyczyny pragnie pozostać samą téj nocy oraz nocy następnych. Aczkolwiek niemile wzruszony tą logiczną dedukcyą, Właściciel Kuźnic uznaje jéj słuszność i oddala się, zamykając na klucz za sobą drzwi wiodące do jego własnego

apartamentu; ostrzega tylko nieczułą małżonkę, że gdyby kiedykolwiek przyszła jéj saméj ochota otworzenia tych drzwi, tedy pamiętać ona zechce o tém, że klucz jest po tamtéj stronie, a on, póki żyw, nie obróci tego klucza w zamku. — „Klara“ słucha ze wzgardą tego ostrzeżenia; niebawem jednak przypadek przewidziany przez pana „Derblay“ urzeczywistnia się i staje się węzłem powieści czy dramatu. Jakim sposobem? Tym sposobem, że „Klara“ dostaje tyfusu; po przebyciu zaś téj niebezpiecznéj choroby przestaje kochać, jak gdyby ręką odjął, księcia „de Bligny“, a zakochuje się w panu „Derblay“. Dlaczego? To znowu sekret Ohnet'a. Najprawdopodobniéj dla tego, że inaczéj nie byłoby powieści ani dramatu. Powieść i dramat polegają właśnie na tém, że teraz oboje małżonkowie kochają się namiętnie, ale dzielą ich owe drzwi na klucz zamknięte w pamiętną noc ślubną. Oczywiście gdyby *on* obrócił klucz w zamku, albo gdyby *ona* zapukała do drzwi, rozdział wziąłby koniec. Ale tego oboje nie chcą. Czasem (zapewne w księżycowe nocy) zbliżają się oboje po kolei do fatalnego progu, ale duma powstrzymuje ich i wracają do samotnego a bezsennego łoża.

Tu więc tkwi „*l'idée maîtresse de l'oeuvre*“, mówiąc językiem poważnych krytyków, których „odsetki autorskie“ pobierane przez szczęśliwego autora z kasy teatru „Gymnase“ i z kasy „Ollendorfa“ napełniły namaszczeniem; tu ujawnia się pomysł, któremu, w pojęciu zazdrosnych swych współzawodników, zawdzięczył młody pisarz kolosalne swe powodzenie. Jakoż pomysł to szczęśliwy bezsprzecznie; wypróbowany nawet, i dziwić się można, iż którykolwiek z owych zazdrosnych nie wyprzedził młodego pisarza w zużytkowaniu téj *trouvaille*—co, jako z wynalazkiem należącym od dość dawna do użytku publicznego, nie przedstawiało zbytecznéj trudności. Niemasz chyba paryżanina, którytby nie pamiętał, na scenie unieśmiertelnionéj przez tryumf „Pięknéj Heleny“, aktora Dupuis i aktorki Celiny Chaumont w jednoaktowéj farsie, p. t. „Les Sonnettes.“ Widzę jeszcze przed sobą teatr podzielony na dwie izdebki z drzwiami zamkniętemi na klucz pośrodku i rozdzieloną przez nie parę małżeńską. Dupuis w sięgającéj do pięt liberyi wykwintnego stangreta i Celina Chaumont w stroju eleganckiéj subretki byli wybornymi. Pamiętam także wesołego *titi*, na paradyzie, wołającego od czasu do czasu piskliwym falsetem: „*ouvrira!—ouvrira pas!*“ Udział własnéj pomysłowości Ohnet'a polegać więc może tutaj jedynie na przeniesieniu gotowego pomysłu z farsy do powieści i do dramatu.

Tu i tam zresztą, w farsie i w dramacie, intryga rozwiązuje się przez ostateczne otworzenie drzwi. Tylko, jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, na scenie teatru „Variétés“ zwycięstwo zostaje po stronie

niewieściéj. Przeciwnie zaś u Ohnet'a strona niewieścia kapituluje. Dumna „Klara“ zdobywa się na energiczne pukanie do drzwi, gdy zaś nieugięty „Właściciel Kuźnic“ czyni się głuchym, doprowadzona do rozpaczy „Klara“ wybija szybę w oknie: wypędza mianowicie w grubijański i skandaliczny sposób ze swojego domu księżnę „Athenais de Bligny.“ Jak należy rozumieć ten postępek? W świecie rzeczywistym, a nawet może w świecie starych idealistów, „Właściciel Kuźnic zrozumiał by go podobno w ten sposób, że dumna „Klara“ kocha więcéj niż kiedykolwiek księcia „de Bligny“, skoro maltretuje jego żonę, a chce się pozbyć swojego męża, skoro naraża go na mordercze spotkanie z obrażonym w osobie swéj małżonki księciem, który naturalnie, jak wszyscy idealni książęta, strzela jaskółki w lot z pistoletu. W osobnym świecie Ohnet'a inaczéj się rzeczy mają. „Właściciel Kuźnic“ bierze postępek pani „Derblay“ za dowód miłości dla siebie samego i rozczula się do tego stopnia tym dowodem, że przychodząc żegnać nazajutrz swą małżonkę, przed udaniem się na plac boju, obiecuje jéj prawie otworzenie drzwi za powrotem, jeżeli opatrzność pozwoli, aby wrócił żyw, — gwoli czemu zaleca jéj zaniesienie gorących modłów do Przedwiecznego. W każdym innym świecie znowu niż w świecie idealnym Ohnet'a, mąż, który idąc się strzelać, uznałby za stosowne oznajmiać o tém swojéj żonie, uszedłby za *cztery litery.* W świecie idealnym Ohnet'a p. „Derblay“ uchodzi za bohatera. Prawda, że nie domyśla się on tego, iż uprzedzona w ten sposób małżonka zechce wyręczyć opatrzność osobistą na placu boju interwencyą. Co dowodzi, że nie jest bardzo domyślnym. Może i ta interwencya, w téj formie, którą jéj przypisał autor nie byłaby możliwą w innym świecie. Albo może znowu uciec się wypada do tego wniosku, że książę de Bligny nie jest tym wytrawnym strzelcem, którym uczynił go autor, skoro zamiast czekać sposobniejszéj chwili, jak upoważniają go do tego warunki pojedynku, wybiera do pociągnięcia cyngla tę właśnie chwilę, w któréj, w miejscu nienawidzonego przeciwnika, piękna i ukochana „Klara“ staje przed nim, zasłaniając piersią swoją pierś męża, a zatykając ręką wylot jego pistoletu. Jakkolwiekbądź strzał książęcy zamiast ugodzić pana „Derblay“, ugadza białą rączkę jego żony i krwawą tą ofiarą ochroniony i przebłagany „Właściciel Kuźnic“ otwiera drzwi na oścież.

Mniemam zresztą, iż wszelki spór z autorem o logikę, konsekwencyą i sens jego pomysłów byłby w tym przypadku prostą naiwnością, skłaniam się bowiem osobiście do przypuszczenia, iż to, czemu zawdzięczył on powodzenie, to właśnie brak logiki, konsekwencyi i zdrowego sensu. Realistyczna i naturalistyczna szkoła nakarmiła i przekarmiła publiczność temi esencyonalnemi ale gryzą-

cemi przyprawami, i wysuszone jéj podniebienie zatęskniło do innego pokarmu. Co zaś stosuje się do założenia, treści i rozwiązania streszczonego dopiero co utworu, to stosuje się i do pojedynczych postaci w nim występujących. „Właściciel Kuźnic“ zaczyna od tego, że spotkawszy na swoim gruncie polującego margrabiego „de Beaulieu“, brata „Klary“, napastuje go w sposób dość brutalny, następnie zaś dowiedziawszy się z kim ma do czynienia, zamiast przedstawić mu się i naprawić błąd swój, zostawia mu w prezencie zabitą przez się zwierzynę, (któréj margrabia przyjąć naturalnie nie chce od nieznajomego) i ucieka. Czyli, że zamiast postąpić, jak przystało na dobrze wychowanego i rozsądnego człowieka, postępuje jak żak. I jak żak jeszcze zwierza się ze swéj miłości dla panny „Klary“, (którą spotkał w kościele! i wzorem wszystkich żaków obrzucił przez kilka niedziel płomiennemi spojrzeniami) przed przyjacielem swoim, rejentem „Bachelin.“ I jak żak zawsze, wiedząc o uczuciach panny Klary dla księcia „de Bligny“, o jéj uczuciach dla siebie samego, o jéj dumie, któréj dowodów nie szczędzi mu ona przy pierwszém spotkaniu, o wszystkiém co go od niéj oddalać powinno, upada jéj do nóg za pierwszem skinieniem i „radość nieskończona przenika jego duszę.“

„— Pragnę — odzywa się doń „Klara“—abyś dał pan do zrozumienia, że jesteśmy zaręczeni od kilku już dni. Nie potrzebuje tłómaczyć panu powodów, dla których uciekam się do tego podstępu. Duma moja dyktuje mi go. Musisz pan zresztą nie żywić żadnych złudzeń względem stanu mojego serca.... A teraz bądź pan łaskaw zostawić mnie samę, ale nie oddalaj się; mogę potrzebować pana.“

I radość nie przestaje przenikać jego duszy i nie waha się on iść do ołtarza z tą, która przyjęła w podobny sposób jego miłość i jego poświęcenie; ale zaledwie ślubna obrączka spoczęła na jego palcu, staje się cud: ten żak, ten niezgrabny, nieśmiały i niedorzeczny młodzieniec przemienia się w dojrzałego, wytrawnego i imponującego męża, o charakterze twardym, jak stal wyrabiana w jego Kuźnicach, w ideał męskiéj woli, siły i energii!

A „Klara“? „Klara“, która zaczyna od tego, że rzuca swój wieniec ślubny pod nogi biednéj Zuzannie, siostrze dopiero co poślubionego męża, proszącéj ją czułemi słowy o gałązkę kwiatu pomarańczowego:

„— Jeżeli te kwiaty przynoszą szczęście, nie potrzebuję ich. Oto są, weź je wszystkie!“

Która w godzinę późniéj rzuca znowu mężowi pod nogi swój posag—istniejący zresztą, jak wiadomo, jedynie w jéj własnéj, dziwnie nieoświeconéj wyobraźni.

— „Mój majątek należy do pana. Zostawiam go panu. Niech będzie on okupem mojéj wolności!“

Zkąd biorą się u niéj późniéj delikatne uczucia i wzniosłe poświęcenia? Jużci nie z praw logiki i naturalnéj konsekwencyi. Świat to osobny, absolutnie a w dodatku dziwacznie idealny—ale powitany bądź co bądź z entuzyazmem, mimo swej dziwaczności, mimo pospolitości tego, co w nim jest starém, a niedorzeczności tego, co jest nowém, mimo nie okupującego wreszcie tych niedostatków, zdumiewającego owszem ubóstwa formy. Na 253-éj stronie książki przygnębiony dotąd i wysokie barki pokornie pochylający „Właściciel Kuźnic“ (ob. s. 64), *wyprostowywa* swą kolosalnych niebawem rozmiarów sięgającą postać; i to powodzeniem uwieńczone ćwiczenie gimnastyczne przypada mu tak dalece do smaku, że powtarza on je odtąd przy każdéj sposobności; *i prostuje* się tedy na stronie 259 i jeszcze raz na stronie 284 i znowu, po raz niewiem już który, na stronie 451, co autor wyraża, przez wracający za każdym razem frazes: „*Le Maitre des Forges dressant sa haute taille*“... Aliści na stronie 390-éj, zachęcona przykładem „Klara“, bierze się do naśladowania męża, i od téj chwili prostują się już oboje, na wyścigi, przy każdym zawrocie kartki.

Tu więc znowu, w formie, którą przybiera jego natchnienie, tak samo jak w jego treści, uchyla się nasz idealista od wszelkiéj dyskusyi. Nie dyskutuje się z takiemi biedotami. I to właśnie odsądza, w mojém pojęciu, od wszelkiéj doniosłości ten czysto sporadyczny przejaw spółczesnéj powieściowéj i artystycznéj wogóle twórczości, którego zresztą niezaprzeczenie autor „Sergiusza Panina,“ „Hrabiny Sary“ i „Właściciela Kuźnic“ pozostaje najwybitniejszém uosobieniem. Dla udzielenia temu kierunkowi reakcyjnemu sięgającéj po za chwilowy kaprys trwałości i na dalszy rozwój artystycznego życia wpływ swój wywrzéć mogącego znaczenia, trzebaby przedewszystkiém artysty, artysty, któryby się zespolił z tym kierunkiem, i potęgą talentu zespolić z nim potrafił smak i instynkt ogółu. Owóż artysty takiego brakuje dotąd i brakować podobno będzie. Ohnet może być jeszcze raz wtóry, trzeci i dziesiąty szczęśliwym *producentem*, mistrzem w swojém rzemiośle—które to rzemiosło polega na przemyślném eksploatowaniu natrafionéj pomyślnéj weny — ale mistrzem w sztuce nie pokazał się on ani tu, ani w téj lichéj ramocie, któréj polski książe (*sic*!) „Sergiusz Panin“ jest bohaterem, (a w któréj to chyba znaleźć można nowego, że włoski mistrz Ghirlandajo, którego mieliśmy dotąd za malarza, był rzeźbiarzem, skoro wyrzeźbił wschody wspaniałego pałacu pani Devaresnes), ani gdzieindziéj.

O przyszłości, któréj razem z nim wyglądać może wskrzeszony przezeń rodzaj, dał nam Ohnet sam wyobrażenie, pisząc po „Właści-

cielu Kuźnic“ swoję „*La Grande Marnière*“—i przepisując w niéj „Właściciela Kuźnic“. Bohater nowéj powieści, „Pascal Carvajan“ jest wprawdzie adwokatem, ale gdyby nie ten szczegół, przysiądz by można, że się ma przed sobą „Filipa Derblay“, patrząc jak uniża on zrazu plebejuszowską swoję godność przed arystokratycznemi wdziękami panny „de Clairefont,“ a prostuje ją następnie aż pod obłoki. A już co się tyczy panny „de Clairefont“, nie może być wątpliwości, to Klara de Beaulieu pod innėm nazwiskiem:

— Jestem Pascal Carvajan, oświadcza spotkany na drodze przez zabłąkaną amazonkę i o drogę a późniéj o nazwisko zapytany młodzieniec. Za przykładem Oktawiusza Feuillet, Jerzy Ohnet nie umie wyobrazić sobie swych bohaterek inaczéj jak w konnym stroju.

„Zaledwie usłyszała panna „de Clairefont“ to nazwisko, twarz jéj przybrała wyraz niezmiernéj wyniosłości, oczy uzbroiły się w surowe i twarde spojrzenie, uśmiech pogardy przeleciał przez usta, i tnąc powietrze szpicrutą, jak gdyby dla ustawienia między nią a nim wyraźnéj i nieprzebytéj przegrody, przywołała swojego psa, puściła konia kłusem i oddaliła się, nie odwracając głowy.“

To dzieje się na 11 éj stronie książki. Przechodzę od razu do 452-éj. W ciągu 441 poprzedzających stron, Pascal Carvajan *wyprostował się*, ocalił rodzinę panny „de Clairefont“ od ruiny, jéj brata od niesławy i, dokonawszy tych wszystkich prac Herkulesowych, wybiera się opuścić okolicę w któréj mieszka piękna i wszystkiemi siłami duszy ukochana, ale dumna i pogardliwa „Antonina de Clairefont.“ Żegna się przeto ze swoim przyjacielem i powiernikiem, rejentem „Bachelin“ — nie przepraszam, tym razem przyjaciel rejent nazywa się „Malézeau“—gdy przychodzą oznajmić mu, iż nieznajoma dama prągnie widziéć się z nim.

Tak jak w „*Le roman d'un jeune homme pauvre*,“ mówiąc nawiasem, i tak jak w „*L'abbé Constantin*,“ i tak jak gdzieindziéj jeszcze, w tych samych idealistycznych okolicach.

Damą nieznajomą jest naturalnie dumna i pogardliwa „Antonina de Clairefont,“ która, stanąwszy przed zdumionym, jak przystało, młodzieńcem, mówi doń:

„Poświęciłeś pan kiedyś dla mnie teraźniejszość swoję i przyszłość; dałeś całe życie twoje. Czy chcesz w zamian przyjąć ofiarę mojego życia?“

I Numa idzie za Pompiliusza i powieść się kończy i można bez wielkiego wysiłku wyobraźni napisać dziesiątki powieści na tym samym osnutych temacie, i ten rodzaj kompozycyi zakreśla, jak sądzę, granice, z których nie wyjdzie spółczesny neo-idealizm. Zacząwszy od przepisywania Juliusza Sandeau i Oktawiusza Feuillet, skończy on na przepisywaniu samego siebie. *Kazimierz Waliszewski.*



WRAŻENIA LITERACKIE.

— **Źródła dziejowe.** Tomy XIV i XV. Polska w XVI wieku pod względem geograficzno-statystycznym opisana przez Adolfa Pawińskiego. Tomy III i IV: Małopolska. (Warszawa, 1886, skład w księgarni Gebethnera i Wolffa, cena każdego tomu rs. 2 kop. 50). Podjęte przed wielu laty przez p. Pawińskiego wydawnictwo, którego tytuł przytoczyliśmy, a które szanowny profesor prowadzi z wytrwałością godną podziwienia,—zbyt mało jest rozpowszechnione wśród publiczności; powiadamy: zbyt mało, — bo treść pomieszczanych w tém wydawnictwie pomników historycznych wielce jest zajmującą. Przedstawiwszy w dwóch poprzednich tomach obraz geograficzno-statystyczny prowincyi Wielkopolskiéj w XVI wieku, obecnie daje nam p. Pawiński odpowiedni obraz Małopolski czyli trzech województw: krakowskiego, sandomierskiego i lubelskiego, w epoce początków panowania Stefana Batorego. Przedstawienie rzeczy wysnute jest ze źródła urzędowego, bo z rejestrów poborowych. W każdém województwie idą z kolei składające je powiaty, rozpadające się na parafie, zwane w krakowskiém „farami,“ a w parafiach wymienione są wsi, ich właściciele, liczba gospodarzy rolnych, przestrzeń gruntów, ilość ogrodników, komorników, rzemieślników itd. Osobno zgrupowane są miasta z ich ludnością i uiszczanemi ciężarami podatkowemi. Wiadomości o województwie krakowskiém odnoszą się do r. 1581, o sandomierskiém do lat 1569—1583, o lubelskiém do 1531. Dla umożliwienia badań porównawczych p. Pawiński dołączył rejestry z dat innych, a w przypiskach daje wiadomości o zmianach, jakie w późniejszych czasach zaszły co do niektórych szczegółów, mianowicie o nowopowstałych wsiach, parafiach, zaliczeniu ich do innego powiatu itd. Wykazy abecadłowe właścicieli ziemskich spo-

rządzone na podstawie rejestrów skarbowych z lat rozmaitych, ale zawsze z XVI wieku, i spis wsi, zamieszkałych całkowicie lub częściowo przez szlachtę zagrodową, uzupełniają tę poważną pracę, skorowidz zaś miejscowości ułatwia korzystanie ze skupionego tu skrzętnie materyału. Wydawca obok nazwy, znajdującéj się w rejestrach skarbowych, zamieszcza częstokroć w nawiasach nazwę wsi dzisiejszą, jeśli między pierwszą a drugą zaszła znaczna różnica, albo jeżeli rodzić się może pod tym względem jaka wątpliwość. Pozwolimy tu sobie przedstawić kilka dorywczych spostrzeżeń. Wieś nazwana *Sulikowice* w parafii Szreniawa powiecie Proszowskim (str. 26), będzie zapewne tém samém co dzisiejsze *Sulisławice*; o wsi figurującéj w powiecie Wiślickim parafii Szydłów, pod nazwiskiem *Zyznowa Wolya* (str. 224), mniemam, że teraz zowie się ona *Czyżowa wola*; przy dwóch wsiach w parafii Padłów, tegoż powiatu, mianowicie *Milonin* i *Drohecz*, wydawca wyraził wątpliwość przez postawienie znaków zapytania (str. 235), które są zbyteczne, istnieje bowiem *Miłonin* nad rzeką Brenką, a *Zdrohec* jest na lewym brzegu Dunajca, koło Zabawy. Podobnież możnaby usunąć pytajnik przy wsi *Wolia Thessarowa* w powiecie Chęcińskim (str. 272), mapa bowiem sztabu podaje ją pod tak samo niemal brzmiącą nazwą *Teserowa wola*: zaopatrzony także pytajnikiem *Przibradow* (str. 274) jest to dzisiejszy *Przygradów* koło Zakrzewa. Wieś *Bobrowniki* w tymże powiecie objaśniono jako *Bobrownicką Wolę*, które to objaśnienie powtórzono jeszcze niżéj, i tym razem słusznie, przy następnéj wsi *Wolia* (str. 274); według powołanéj już mapy, Bobrowniki istnieją dotąd pod pierwotną swą nazwą a leżą nad brzegiem Pilicy. Wieś *Wolica* w powiecie Lubelskim, którą utożsamiono z *Wolą Przybysławską* (str. 359), słuszniéj pono uznać za *Wolicę*, na północ Kurowa, na drodze do Michowa. Na str. 286 wpadła nam w oko omyłka druku: *Gossna*, winno być *Gossan*.—Prof. Pawiński, według chwalebnego swego zwyczaju, dołączył i tym razem obszerną (stron 112) rozprawę, zawierającą wyniki szczegółowych jego studyów nad ogłoszonym w tych dwóch tomach materyałem. Rzecz podzielona jest na trzy części. W pierwszéj autor mieści swe obliczenia rozległości powiatów i województw i zestawia je z dawniejszemi obrachowaniami; w drugiéj zajmuje się zaludnieniem téj części kraju; w trzeciéj wreszcie, najciekawszéj, roztrząsa „stosunki własności ziemskiéj,“ rozpatrując kolejno: dobra królewskie, dobra duchowne, wielką i średnią własność szlachecką, nakoniec drobne gospodarstwa szlachty zagrodowéj, na któréj ukształtowanie podaje własne swoje poglądy. Ta mianowicie część godna jest szczegółowego rozbioru, nie wątpimy téż, że specyaliści nie pominą milczeniem téj tak ważnéj pracy.

= Profesor Władysław Łuszczkiewicz, pierwszy i jedyny, zdaje się, z pomiędzy naszych techników pracownik na polu dziejów polskiego budownictwa, ogłosił niedawno nową pracę p. n. **„Ruina Bohojawleńskiéj cerkwi** w zamku Ostrogskim na Wołyniu. Przyczynek do dziejów architektury z początku XVI wieku," objaśniając wykład swój 13-ma drzeworytami. Podjęcie téj pracy, połączonéj z czysto lokalnemi i nie napotykanemi w innych krajach przeszkodami, tém bardziéj było naglące, że gmach, o którym tu mowa, ma być wkrótce odbudowanym, przyczém liczne cechy wpływów sztuki zachodniéj ulegną bezwątpienia zagładzie. Robotę już rozpoczęto: jedna ze ścian została zburzoną. Świątynia ta, wzniesiona w r. 1521 przez słynnego Konstantyna księcia Ostrogskiego, była zajmującym okazem wzajemnego oddziaływania na się pomysłów stylu gotyckiego i bizantyńskiego. Świątynia wyróżniała się od innych tém, że była *inkasztelowana*: ściana jéj północna stanowiła zarazem zewnętrzny mur obronny zamku i odpowiednio temu fortecznemu charakterowi, miała zamiast okien strzelnice a od góry zaopatrzona była na zewnątrz w galeryą dla przepatrującéj okolicę straży,—rzecz niezbędna w okolicy wystawionéj na nieustające najazdy tatarskie. Prof. Łuszczkiewicz zwraca uwagę na jednę osobliwą okoliczność: na niezwykłą wysokość progu w portalu głównym (zachodnim), tak iż dochodzić doń można było chyba po pomoście, zarówno z podwórca zamkowego, jak i zwnętrza budynku. Autor nie objaśnia téj osobliwości architektonicznéj, stawia tylko pytanie: „czy pomost ten nie stoi w związku z mostem zamkowym," wprost niego prawie znajdującym się. Bacząc na to, że portal, boczny w ścianie południowéj miał prawdopodobnie próg równie wysoki, jak wnosić można z nagłego załamania i obniżenia linii cokułowéj przy drugiéj skarpie po lewéj ręce (fig. 1), widocznie dla tego, aby wyminąć otwór drzwi;—że okna okrągłe w ścianach, przez które wejść można było do gmachu, były pewnie przeznaczone na strzelnice, broniące właśnie tych wejść, możemy i w nadmierném wyniesieniu progów dopatrywać zamiaru wzmocnienia obronności budynku: w razie wdarcia się nieprzyjaciela na dziedziniec zamkowy, służyłby on załodze za cytadelę, w któréj, po usunięciu ruchomych schodków drewnianych, bronić by się daléj mogła z za wysokiego proga, niby z poza „kobylenia." Praca prof. Łuszczkiewicza, napisana bardzo jasno i ilustrowana dobremi rysunkami, dla ziemian Wołyńskich szczególniéj winna być zajmującą lekturą.

= Dziejom podobnież sztuki w dawnéj Rzeczypospolitéj poświęcone jest studyum prof. Maryana Sokołowskiego p. tyt. **Malarstwo ruskie**. Pobudkę do niego dała przeszłoroczna wystawa arche-

ologiczna we Lwowie. Autor, wsparty obszernym aparatem erudycyi, naczele charakteryzuje sztukę bizantyńską, z której się urodziło malarstwo na Rusi, zaznacza jego początki i kierunki późniejszego rozwoju. Następnie zastanawia się nad zabytkami sztuki ruskiéj i wogóle wschodniéj w Polsce za Jagiełły i jego następców. Obszerny ustęp zajęło przedstawienie dzieła malarzy ruskich a rodzaj litewskich w kaplicy przy katedrze na Wawelu, uskutecznionego w głównéj części z rozkazu Kazimierza Jagiellończyka. Od malarstwa ściennego północnego, któremu dał początek Kijów, a dalszy rozwój wiodły wzory niemieckie, p. Sokołowski przechodzi do malarstwa na drzewie, wskazując kolebkę onego na południu, na Rusi Czerwonéj, z któréj wyszedłszy, kształciło się późniéj pod wpływem Polski, Wołoszczyzny i Węgier. Wystawa Lwowska dała autorowi sposobność do wielu ciekawych spostrzeżeń i wniosków. Do tekstu dołączono pięć wielkich tablic fotodrukowych. Najmiléj w oko wpada wyobrażenie ikonostasu z Rohatyna, wykonanego z wielkim smakiem,—najbardziéj zaś uderza swą oryginalnością obraz sądu ostatecznego, znajdujący się w Rozdole. Niemowlęctwo w kompozycyi godzi się tu z pewnym sprytem w rozmieszczeniu nader licznych szczegółów, które malarz uważał za niezbędne; poradził sobie w ten sposób, że zamiast perspektywy, przyjął, że tak powiem, geometryczno-piętrowy układ epizodów. Pan Sokołowski, dbały zawsze w pracach swoich o pewien wykwint pisarski, nie zaniedbał go i w téj pracy. Możemy ją miłośnikom sztuki śmiało zalecić.

= **Lisiewicz Zygmunt**. *Język urzędowy na Rusi Czerwonéj między r. 1340 a 1506.* (Lwów, 1886). Jestto ciekawe zestawienie statystyczne, wykazujące jakiego języka używano w aktach urzędowych wydawanych na i dla Rusi Czerwonéj przez ciąg wieków średnich, począwszy od przyłączenia jéj do Polski, za Kazimierza Wielkiego. Z pomiędzy przeszło 2000 znanych nam dyplomatów, z tego czasu pochodzących, tylko 47 pisanych było po rusku, inne zaś w małéj części po niemiecku, a reszta po łacinie. Ostatni, znany dokument, pisany po rusku, pochodzi z r. 1430, odtąd, aż do r. 1506 nie spotykamy już tego języka w dyplomatach. Z pomiędzy wspomnianych 47 dokumentów ruskich, pochodzi 25 od panujących, a to: od Kazimierza Wielkiego 2, od Władysława Opolskiego 2, od Władysława Jagiełły 9, od ks. Fedora Lubartowicza 9 i ks. Świdrygiełły 3. Inne dokumenta wychodzą bądźto od osób prywatnych, bądź téż od urzędników na Rusi Czerwonéj; pewna ich część jednak nie dochowała się nam w oryginale, wiemy tylko, że istniały niegdyś w języku ruskim, późniéj jednak, na żądanie stron przełożone na język łaciński, zachowały się nam w tekście łacińskim w potwierdzeniach królew-

skich. Z aktów sądowych województwa ruskiego, przechowujących się we Lwowie, a obejmujących setki tysięcy zapisek, widać również wyłączne niemal panowanie łaciny; autor znalazł w nich nie więcéj jak dwie zapiski skreślone w języku ruskim. Przy końcu swéj pracy podaje autor spis dyplomatów odnoszących się do dziejów Rusi Czerwonéj, zredagowanych w języku ruskim; nie umiemy tylko wytłómaczyć sobie, dla czego w spisie tym pomieścił także dyplomata wojewodów mołdawskich „i niektóre inne w języku ruskim pisane,“ pomimo, że jak sam zaznacza nie mają one nic wspólnego z kwestyą urzędowego języka na Rusi Czerwonéj. Przecież nie „dla kompletu“ jak się wyraża, będzie mu bowiem niezawodnie najlepiéj wiadomo, że spis kilkudziesięciu dyplomatów nie wyczerpuje „kompletu“ ruskich (w ogóle) dokumentów. Spotykamy też pewną trudność arytmetyczną: Według twierdzeń autora i według spisu przy końcu pracy zamieszczonego znanych mu dyplomatów czerwonoruskich, po rusku pisanych jest 47. Z tych przypada według obliczenia jego 25 na dyplomata wydane przez panujących, reszta pochodzi od urzędników i osób prywatnych, i to, jak oblicza: 10 z powiatu żydaczowskiego, 6 z ziemi halickiéj, 7 z ziemi lwowskej 1 z ziemi przemyskiéj, razem 24, co wespół z wspomnianymi 25 dokumentami czyniłoby liczbę 49, a nie 47. Czego pracy téj przedewszystkiém nie dostaje, to wyjaśnienia kwestyi, którą autor, jeżeli nie rozwiązać, to przynajmniéj poruszyć był powinien: kiedy i pod jakiemi warunkami używano języka ruskiego w pismach urzędowych. Gdy bowiem już od chwili przyłączenia Rusi Czerwonéj do Polski język łaciński był tam w używaniu, obok tego zaś pojawiają się jeszcze przez pewien czas wyjątkowo dokumenta ruskie, przeto zachodzi pytanie, jaki był powód téj rozmaitości języka urzędowego, czy istniały pewne wypadki, w których tego a nie innego wolno było używać języka? Być może, iż było to pozostawionem dowolności wystawiających dokument, w każdym razie jednak należało okoliczność tę stwierdzić. W końcu jedna jeszcze uwaga. W konkluzyach swojego badania wywodzi autor, że między rokiem 1340 a 1430 używano ruszczyzny obok łaciny, odtąd zaś wyłącznie łaciny w aktach urzędowych. Zdaje nam się, że oznaczenie takiéj ściśléj, datą roku (1430) określonéj granicy jest cokolwiek za śmiałe; wprawdzie ostatni znany dokument ruski pochodzi z roku 1430, ale któż wie, czy podobne dokumenta nie były wystawiane i późniéj, choć się nie dochowały do naszych czasów. Sam autor przyznaje, że wiele ich mogło zaginąć; czyż nie jest możliwym wypadek, że zatraciły się dokumenta z datą późniejszą? Rok 1430 nie ma w dziejach Rusi Czerwonéj takiego znaczenia, iżby stanowić mógł epokę dla jéj urzędowego języka; jeżliby cho-

dziło o wynalezienie takiego roku, sądzimy, że więcéj odpowiadałby tu rok 1435, w którym opierając się na przyrzeczeniu statutu jedlneńskiego z r. 1433, wprowadzono także organizacyą prawa polskiego.

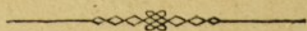
= **Paul Viollet. Précis de l'histoire du droit Français.** *Paris 1886.* Jedna z bardzo do niedawnych czasów zaniedbywanych nauk, a które w świetny obecnie zaczynają rozwijać się sposób, jest historya prawa francuskiego. Jak wiadomo uprawiano we Francyi nauki prawnicze głównie ze stanowiska praktycznego. Ztąd mniéj zwracano uwagi na prawo rzymskie i kanoniczne, a cały punkt ciężkości przenoszono na rozległe i bardzo szczegółowe komentowanie obowiązujących ustaw. Żadna też literatura nie wydała tyle, tak obszernych i tak drobiazgowych komentarzy, jak francuska. Spostrzeżono niebawem, że tak daleko posunięta jednostronność, złe bardzo wydaje owoce. Nauka prawa zaczęła w porównaniu z Niemcami i Belgią bardzo we Francyi upadać, ztąd ucierpiało i nowsze ustawodawstwo, a gdy się obejrzano za przyczynami tego upadku, przekonano się, że głównym złego powodem jest wadliwy ustrój wydziałów prawa. Głównie za wpływem ministra oświaty p. Wiktora Duruy (1863—1869) nastąpiły pierwsze usiłowania reformy, przyznano prawu rzymskiemu i dawnemu francuskiemu, przynależne wśród innych dyscyplin miejsce. Wśród zmienionych w ten sposób stosunków, można się było spodziewać, że Klimrath, Lafferière, Giraud, de Rozière, godnych znajdą niebawem następców lub towarzyszy. W jednym tylko zakładzie naukowym wykładano historyą prawa francuskiego w sposób umiejętny. Zakładem tém była l'Ecole des Chartes, a profesorem p. Adolf Tardif. Znakomitemu temu uczonemu przypada w znacznéj części zasługa, wyrobienia wszystkich niemal obecnie na tém polu pracujących badaczy. Gdy tak stała się historya prawa ojczystego przedmiotem obowiązkowym, niezbędném było dostarczenie młodzieży uniwersyteckiéj podręczników, z którychby się mogła do egzaminu przygotowywać. Dawniejsze tego przeznaczenia książki były albo za obszerne, albo bez żadnéj wartości. Kilku profesorów, mianowicie pp. Gautier, Gasétat i Ginoulhiac prawie równocześnie wydali podręczniki zastosowane do programów rządowych. Z tych doczekała się już książka p. Gautier drugiego wydania. Wszystkim trzem tym dziełom nie brak pewnych zalet, ale są to ostatecznie tylko książki szkolne, nie mogące mieć pretensyi do ścisłéj naukowości, a więc dla zagranicy prawie bez znaczenia. Innego wcale zakroju jest dzieło p. Pawła Viollet, bibliotekarza fakultetu prawnego w Paryżu. Uczony ten znanym już był we Francyi od lat prawie dwudziestu, a pierwszą jego pracą, która mu zapewniła sławę i w Europie, była ogłoszona

w *Bibliothèque de l'Ecole des Chartes* rozprawa: „Caractère collectif des premières proprietés immobilières.“ Praca ta pojawiła się w tym samym zupełnie czasie, co słynne dzieło Laveleya o własności i niezależnie od niego do tych samych przeważnie dochodziła rezultatów. Zwracamy nawiasowo uwagę, że wspomniana rozprawa p. Viollet ukazała się w tłómaczeniu rosyjskiém w r. 1882. Głównem jednakże, pomnikowém dziełem naszego autora miało być pierwsze umiejętnie dokonane wydanie jednego z najdawniejszych pomników prawa zwyczajowego we Francyi, znanego jako „les Etablissements de Saint Louis.“ Wielkiemi funduszami rozporządzające towarzystwo historyczne francuskie (*Societé de l'histoire de France*) podjęło to zadanie i dostarczyło potrzebnych p. Viollet środków do odbycia bardzo licznych podróży za rozmaitemi pomnika tego rękopismami. Trzy grube tomy téj publikacyi pojawiły się już do r. 1883, ostatni ma się niebawem ukazać. Zbrojny materyałem źródłowym i rękopiśmiennym, zebranym w jak najskrzętniejszy sposób, mógł p. Viollet całkiém stanowczo wypowiedziéć swe zdanie o publikowanym przez siebie pomniku. Uważa on go za pracę prywatną, a nie za dokonaną przez Ludwika IX kodyfikacyą. Olbrzymia przy téj sposobności roztoczona erudycya, zmysł krytyczny i niesłychana dokładność wydawnicza zjednały p. Viollet zasłużoną sławę. Stanął on odrazu w rzędzte takich znakomitości jak pp. Tardif i de Rosière. Ale wydania i objaśnienia dawnych źródeł prawnych małemu gronu uczonych są zazwyczaj tylko znane; inna książka miała p. Viollet uczynić bardziéj znanym niż wszystkie poprzednie. W r. 1884 wyszła pierwsza część jego historyi prawa francuskiego, zajmująca się prawie wyłącznie źródłami. Ktokolwiek ją wziął do ręki, poznawał, że to nie lada podręcznik, nie mniéj lub więcéj udatna kompilacya, ale dzieło na wskróś oryginalne, pierwszorzędnéj wartości. Tego zdania była zwłaszcza Akademia napisów, która przyznała p. Viollet już za tę pierwszą część wielką nagrodę Goberta. W dwa lata późniéj pojawiła się i część druga poświęcona historyi prawa prywatnego; historya prawa publicznego jest zapowiedzianą. Całość dzieli się na trzy księgi; pierwsza zajmuje się źródłami i to 1) prawa galickiego, 2) rzymskiego, 3) kanonicznego, 4) germańskiego, 5) francuskiego; druga poświęcona jest osobom, a to najprzód kwestyi stanu osób, a daléj stosunkom rodzinnym; trzecia traktuje o rzeczach i obligacyach. Główne zalety książki p. Viollet stanowią: jasny wykład, panowanie nad przedmiotem, dokładna znajomość literatury francuskiéj i obcéj. Jest to niezawodnie najlepszy podręcznik do historyi prawa w całéj europejskiéj literaturze. Aby dać przykład oczytania autora, powiemy tylko, że w jednym pojedyńczym wypadku cytuje

on kodeks Dyplomatyczny Wielkopolski. Rozumie się samo przez się, że literatura niemiecka jest mu niegorzéj znana, jak np. p. Brunnerowi, profesorowi prawa niemieckiego w Berlinie, a w czém bardzo nad Niemcami góruje, to, że równie dobrze mu jest wiadomą literatura angielska, włoska i hiszpańska. *Précis* p. Viollet jest nietylko wykładem historyi prawa francuskiego, ale równocześnie niezmiernéj wartości przewodnikiem bibliograficznym do historyi prawa w ogólności. Oczekując z upragnieniem zapowiedzianego tomu drugiego, polecamy gorąco książkę francuskiego prawnika, jako jeden z najcelniejszych tworów literackich w dziedzinie historyi prawa; powinna ona zastąpić zbyt u nas czytane podręczniki niemieckie, z których żaden nie może się mierzyć ze znakomitem dziełem pana Viollet. *B.*

= **Illa** *przez Kazimierza Przerwę.* (*Kraków, Nakl. Żupańskiego i Heumana. 1886, str. 49*).—Jest-to dość udatne naśladowanie Anhellego pod względem stylu i tonu. W fantazyjnych dziejach Gryfa, Sokoła i Illy (gwiazdy przewodniéj kraju) podaje autor w słowach pełnych prostoty i melancholii rady narodowi, żeby kochał, ufał, miał wytrwanie i unikał stronnictw. Uczucia przebijające się w tym utworze są szlachetne i piękne; myśli, lubo nie nowe, mogą i powinny być przypominane. Wadą téj „fantazyi“ jest jéj ogólnikowość co do treści, a dobrze zapóźniony romantyzm co do formy. Dziś chcąc przemówić do ogółu, potrzeba i wyraźniéj i realniéj zarówno zastanawiać się nad rzeczami, jak niemniéj przedstawiać je czytelnikom. Że autor pragnie krzepić siły ufnością i nadzieją, to pochwalić tylko można, że chciałby widzieć wszystkie klasy zjednoczone w dążeniu i pracy, to również w zasadzie dobrą jest rzeczą; ale że marzycielskim tonem przemawia, to mu może mniejszą liczbę słuchaczów zjednać.

= Wydawnictwo **Słownika Geograficznego** Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich, prowadzone pod redakcyą *Bronisława Chlebowskiego* i *Władysława Walewskiego* posuwa się naprzód bez przerwy. Niedawno wyszedł już zeszyt 81 (od str. 641 do 720). Obszerniejsze artykuły w tym zeszycie są: Ostr, Ostra, Ostrawa, Ostród, Ostróg, Ostrołęka, Ostroróg, Ostrów i t. d.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Jeszcze o polityce pruskiéj. — Złudzenia poetów co do naszéj wartości. — „Nasza wina“ w Poznańskiém.—Nieopatrzność po wsiach i w Warszawie. – Nawet emeryci!—Projekty zniesienia adwokatów prywatnych. — Pieniactwo na prowincyi. — Pokątni doradcy. — Wstręt do prowincyi w lekarzach i adwokatach. — Skutki tego. — Adwokatura prywatna ostatnią tamą. — Prospekt „Głosu“ i jego przewodnie hasło. — Twierdzenie p. Popławskiego.—Zdanie pani Konopnickiéj.— Piękność stylu p. Potockiego.—„Przegląd literacki.“ Poważna krytyka.

Zanim doszedłeś, czytelniku, do niniejszéj kroniki musiałeś już czytać artykuł o „Pruskiéj polityce wydalań i wywłaszczania.“ Jeżeliś tego nie zrobił, to cofnij się. Pierwszeństwo należy oddać gruntownemu omówieniu kwestyi, bezpośrednio dotyczącéj bytu naszego. Pragnę przytém zwrócić uwagę na niektóre zawarte tam twierdzenia i wskazane fakty: „Komisya (kolonizacyjna) kupiła już kilka znakomitych majątków po bajecznie niskiéj cenie, a stosunki naszych ziemian są w dwu trzecich tak rozpaczliwe, że, tąż samą drogą postępując, komisya zakupi tyle dóbr, ile sama zechce.“ Za gorsze jeszcze uważa autor, że o ile materyalnie dojrzeliśmy do ruiny, do tego, aby pochłonął nas obcy żywioł, o tyle téż pod względem *intelektualnym*, pod względem *energii ducha* i możności obmyślania czynnego odporu, zaskoczyła nas takowa zupełnie nieprzygotowanych. „Ztąd ów ogólny popłoch i dobrowolne chęci ustępowania z ojczystéj gleby, ztąd owa bezradność co do środków ratowania się z toni.“

Rzeczywiście to gorsze. Czém zajęta była myśl, czém zapełnione uczucia, jeżeli dosyć czujnéj uwagi nie zwrócono na laboratoryum pruskie, już od tylu lat bezustannie kujące środki zagłady? Trudno było przypuszczać, że się przemoc tak daleko posunie, to prawda, ale należało być przygotowanym na wszystko. Dziś panuje bezradność, apatya zamiast obrony; bezmyślne trwonienie czasu zamiast skupiania środków bytu na niepewne jutro! Oto do czegośmy doszli. Więc

hymny i opowieści poetów o patryotyzmie, co się złamać nie pozwoli, co się wyczerpać nie da, były tylko złudną fantazyą! Pieścili oni marzenia dzieciństwa naszego zapewnieniami, że są ludzie, co wstając i kładąc się, w chwilach smutku i wśród uniesień radości, myślą tylko o jednem, a tymczasem tu i tam — wszędzie widzi się, jak pod falami obcego życia ustępuje hart naszéj wytrwałości. Entuzyazm, co się rozpala w jednéj chwili i gotów jest do ofiar najwyższych, a zaraz późniéj gaśnie, jak pękająca w powietrzu rakieta, nie stanowi siły żywotnéj. Hucząca kaskada toruje czasem drogę, przerzuca wodę z jednego łożyska do drugiego, ale i ona jednym rzutem wszystkiego nie dokona i ona musi długo rzucać się i zdruzgotać. Gdy zaś trzeba wykonać mozolną pracę, lub przenieść ruch na dalszą przestrzeń, wtedy konieczny jest jednostajny, nieustający nigdy prąd.

Z klęskami naszemi w Prusach stanie się prawdopodobnie toż samo, co z oceną wypadków z końca wieku zeszłego. W pierwszéj chwili wyrwą się przekleństwa i złorzeczenia na wroga, późniéj trzeba się uderzyć w piersi i zawołać „moja wina.“ Nie usprawiedliwia to bynajmniéj gwałtu, że został dokonanym na bezbronnym, nie może i nie powinno zmienić uczuć naszych dla ks. Bismarcka, ale oto znowu okazuje się, żeśmy po szkodzie równie niemądrzy, jak przed szkodą, że jeszcze raz sami sobie przypisać musimy klęski. Powinniśmy byli wiedziéć dobrze, że oszczędzać nas nikt nie będzie, że liczyć na obronę praw istniejących znaczy to samo, co wierzyć w trwałość chmur na niebie. Chcąc istnieć tam, gdzie dotąd tryumfy walki otacza uwielbienie świata, trzeba być zabezpieczonym od ciosów ze wszystkich stron; zapomnienie o tém na chwilę odsłania nieprzyjacielowi nagie ciało.

Choćby dziś, po wielu latach opuszczenia rąk, ocknęły się w Poznańskiém gorące uczucia, choćby za jakąkolwiek ofiarę chciano ocalić byt narodowy — cóż z tego? W tym razie wszelkie poświęcenie szczupły tylko plon przynieść może. Tu trzeba środków materyalnych, a tych na zawołanie nie ma.

A teraz, czy smutne doświadczenie w Poznańskiém wpłynie w czémkolwiek na życie nasze? Sądząc z wczoraj o jutrze, odpowiedź niestety przeczącą dać potrzeba. Ogół nie został zdaje się jeszcze przekonany, iż dla usunięcia bankrutów znajdą się zawsze chętni uzurpatorzy. Posiadanie chleba na dzień dzisiejszy jedynie, to wstęp do nędzy. Chociażby nawet ona nie nadeszła, to skądże wziąć na niesienie pomocy innym potrzebującym. Wprowadzenie do życia u nas zasad szkoły Anthystenesa, gdyby było tylko możliwe, byłoby bardzo pożądane. Tam gdzie niewiadomo, co jutro od ludzi zażąda, należy ograniczać o ile tylko można, aby nie być nie-

wolnikiem żadnego przyzwyczajenia i módz z sobą zrobić wszystko, czego dobro ogólne zapotrzebuje.

Życie nad stan i nieopatrzność przypisują zwykle jedynie lub przedewszystkiém szlachcie, rolnikom: tymczasem, zdaje się, że żadna cząstka narodu od wady téj wolną nie jest. W Warszawie ludzie potrafią zupełnie tak samo całe życie stać nad krawędzią ruiny, jak na wsi. Świeżo sądom oddaną została sprawa jakiejś lichwiarki z ulicy Kościelnéj, która pożyczała na książeczki emerytalne. Jeżeli ludzie starzy, mający z miesiąca na miesiąc stałą sumkę, znający życie, nasyceni niém, wolni od różnych pokus młodości nie potrafią zachować równowagi, to czegoż można wymagać od innych! Może się zdarzyć wypadek, że nadzwyczajne katastrofy oddadzą kogoś bez winy w ręce lichwiarzy, ale tu wiele książeczek pozostawało w zastawie, a przytém sam fakt nie jest wcale pierwszy.

Wykorzenienie wady, która przez wiele pokoleń wrastała w charakter narodu, nie da się uskutecznić za jednym zamachem. Ludzie tacy nawet, którzy widzą doskonale złe i boleją nad skutkami jego, nie potrafią panować nieustannie nad sobą, jeżeli przez wiele lat przywykali dogadzać zachciankom. Przypominać więc o obowiązku należy na każdym kroku, wszelkimi sposobami, a nadewszystko zaś w dzieciach rozwijać potrzeba odpowiednie popędy. Kilka miesięcy temu zwracaliśmy uwagę na dobroczynne skutki zaprowadzenia w domach puszki do składania groszy, złotówek, pochodzących z ograniczeń. Przypominamy znowu czytelnikom o tém. Drobny to środek, ale i grzechy nasze, często drobne, składają się na klęski olbrzymie.

Od dawnego dosyć już czasu krążą pogłoski, powtarzane z rozmaitemi waryantami, o zniesieniu przy sądach w całym państwie instytucyi adwokatów prywatnych. Jest-to sprawa kraj nasz obchodząca bardzo blisko, i taki lub inny jéj obrót odbije się na różnych warstwach społeczeństwa dotkliwiéj, niż to można z pozoru przypuszczać.

Ogólna reforma sądowa w 1876 roku zaprowadziła już ważne zmiany w urządzeniu palestry. Według dawniejszéj procedury, obowiązującéj w Królestwie, zwłaszcza cywilnéj, wolno było stronom stawać samym jedynie w Sądach Pokoju, a i w tedy wymagane było uprzednio złożenie obron na piśmie; ta okoliczność była powodem, że nawet w tych najniższych instytucyach, gdzie przymusu prawnego nie było, żadna niemal sprawa nie obeszła się bez udziału obrońcy, fachowego prawnika, mianowanego przez Komisyą Sprawiedliwości, a więc odpowiedzialnego i znanego sądowi. W 1876 roku ustawy sądowe, nadane Cesarstwu w 1864, z małemi modyfikacyami w 1876,

rozciągnięte zostały na Królestwo. Zamiast dawniejszych czterech stopni, obrońcy podzieleni teraz zostali na dwie kategorye: przysięgłych i prywatnych. Pierwszymi mogą być jedynie ludzie, posiadający stopnie naukowe (wyjątkowo sąd może nadać ten tytuł prawnikowi bez uniwersyteckiego dyplomu). Na prywatnego obrońcę trzeba zdawać egzamin jakiś, co daje prawo stawania w Sądach Gminnych i Pokoju, jak również w Zjazdach. Prócz tego dozwolono stronom samym bronić się bez wszelkiego pośrednictwa, a nawet dać się zastępować w podawaniu skarg i w obronie osobom, nie mającym z prawem żadnych stosunków i sądom wcale nieznanym. Ostatni ten punkt nowych ustaw otworzył szerokie pole pieniactwu, uprawnił niejako pokątnych doradców, których i tak po wsiach i miasteczkach naszych nie brakowało. W oczach gminu prawo stawania trzy razy do roku w sądzie (a kto tam może skontrolować ścisłość téj liczby przy nawale spraw) nadało charakter obrońców licznéj czeredzie szewców bez roboty, szynkarzów, podupadłych obywateli i t. d., którzy rzucili się do adwokatury.

W sprawie téj udzielił nam informacyi prawnik z prowincyi, dawny przez lat 30 obrońca przy Sądzie Pokoju, obecnie obrońca prywatny. Pozostając przez cały czas swojéj praktyki w jednéın miejscu, zna on stosunki na wylot i na zmianę patrzał własnemi, bardzo kompetentnemi oczyma. Pisze on:

Dawniejszy Sąd Pokoju i Policyi Prostéj w Tykocinie, mający dziesięciomilowy okrąg juryzdykcyi, złożony przeważnie z drobnéj szlachty, bo tylko gdzie niegdzie znajduje się dwór i wieś włościańska, sądził na rok spraw cywilnych 250, a czasem mniéj nawet, a w końcu—po podwyższoniu atrybucyi—do 300, spraw zaś karnych instruował 200 do 250. Dziś jeden Sąd Gminny rozstrzyga spraw cywilnych i karnych najmniéj dwa a nawet trzy tysiące, a sądów takich z dawniejszego okręgu powstało trzy i jeden Sąd Pokoju. Wprawdzie atrybucye sądu dawnego były szczuplejsze i od roku 1864 niewiele spraw wpływało z gmin, — nie to jest jednak prawdziwa przyczyna takiéj różnicy cyfr, gdyż w samym miasteczku wszystkie sprawy wchodziły albo do sądu miejscowego, albo trybunału, pierwszych spraw bywało 50 na rok, a drugich 10 najwyżéj. W dzisiejszym Sądzie Pokoju liczba spraw dochodzi do *tysiąca!*

Prawnik ten sądzi, iż główną i jedyną przyczyną takiego wzrostu pieniactwa jest działalność podburzająca pokątnych doradców. Dawniejsi rękodzielnicy, przekupnie, porzuciwszy pierwotne środki zarobkowania, starają się nowe rzemiosło uczynić jaknajzyskowniejszém. O jakiejś moralności, o trzymaniu się dróg i przepisów prawnych mowy być nie może. Zdarza się, że taki improwizowany adwo-

kat ma stałych świadków, którzy występują we wszystkich sprawach, jakie tylko on prowadzi. Oni wszystko widzieli, czego tylko wymaga mistrz i wspólnik, wszystko słyszeli, co tylko potrzebne jest do wygrania sprawy. Należąc przeważnie do niższych warstw społeczeństwa, pokątni doradcy znają doskonale życie wszelkich odłamów ludu, jego słabości, nawyknienia, przesądy schlebiają im i wyzyskują. Ulubioném i najplenniejszém polem operacyi jest naturalnie szynk. W miasteczku, o którym mowa, takich adwokatów jest przeszło 10, którzy czynni są od rana do nocy, we wszystkich zakątkach czyhają na ofiary, i jakiś roztropniejszy interesant walkę staczać musi, zanim się od nich zdoła odczepić.

Prócz tego pisaniem skarg trudnią się jeszcze pisarki sądowe. Niektórzy z tych mężów nie przekroczyli 15 roku życia, pomimo to potrafią udzielać rad i wmawiają w publiczność, że to tylko podanie może odnieść pożądany skutek, które napisane zostało w sądzie. Oczywista rzecz, że przeczytawszy takie bazgroty, najczęściéj domyśleć się o co rzecz idzie niepodobna albo się nabiera wprost fałszywego o sprawie wyobrażenia. Sędziowie nie mogą nie widziéć nieudolności w skargach, skomponowanych przez pisarków swoich, jak również tego, że strona bywa nieraz narażoną na koszta, lub nawet na odpowiedzialność skutkiem niesłusznego uczynienia komuś zarzutu kradzieży lub oszustwa; są między niemi jednak tacy, którzy nietylko nie wzbraniają takiéj bazgraniny, lecz nieraz sami odsyłają interesantów do swojéj kancelaryi.

Informujący nas prawnik opowiada wiele wypadków, ilustrujących działalność doradców pokątnych, przytoczemy jeden fakt, rzeczywiście wielce charakterystyczny.

Jakiś żyd za fałszerstwo czy téż oszustwo został skazany wyrokami sądów w Cesarstwie na roty aresztanckie. Próbowano go odrazu uwolnić, ale się to nie powiodło. Zanim wyrok zdążył wejść w wykonanie, odbiera Sędzia Pokoju w Tykocinie pocztą skargę jakiejś żydówki z Sokół (miasteczko tegoż samego powiatu), obwiniającą owego aresztanta o kradzież, jakoby przez niego u niej uczynioną. Sędzia stosownie do przepisów procedury zawezwał władze o dostawienie mu przestępcy na dzień oznaczony do sprawy. Rzeczywiście oskarżonego przywieziono, ale powódka nie stawiła się; sędzia zmuszony był przeto sprawę odroczyć i wyznaczyć nowy termin, a podsądnego zatrzymać w areszcie miejscowym. Areszt zaś ten posiada tę tylko niedogodność, że zmusza lokatorów, ożywionych gorętszą chęcią wyjścia na świat, do obierania drogi nie przez drzwi lecz przez okno — okratowane zresztą. Naturalnie też aresztant ów nie omieszkał zniknąć. W drugim terminie stawiła się skar-

żąca i oświadczyła: że żadna kradzież u niéj spełnioną nie została, że żadnéj skargi nie podawała i nikogo nie upoważniała do podpisywania jéj; kto zaś skargę za nią podał i podpisał, nie wie. Rzecz cała na tém się skończyła, gdyż odszukać sprawcy niepodobna było.

Instruktor nasz zwraca uwagę, iż podobny wypadek miejsca by miéć nie mógł, gdyby wymagany był na skardze podpis osoby znanéj i odpowiedzialnéj. Zapewne; nam się jednak zdaje, że nie należy sięgać tam, gdzie dostać nie można. Natomiast pomyśléć należy o użyciu przeciwko złemu środków, znajdujących się pod ręką. Najwłaściwszą siłą do usuwania nadużyć niepowołanych doradców są adwokaci. Oni, nie zawsze może, ale niejednokrotnie mogli by wyświetlić nadużycia i zapobiegać szerzeniu się zarazy. W maleńkich miasteczkach i w osadach przy sądach gminnych w najlepszym razie znajdują obrońcy prywatni, a więc przeważnie weterani z dawnego sądownictwa, zawsze niepewni swego jutra, gdyż kwalifikacye ich nie są zupełnie w porządku i wiedza lingwistyczna posiada niepokojące ciemne plamy, a przy tém rok rocznie trzeba nanowo uzyskiwać pozwolenie, którego nieraz jedno słowo Sędziego Pokoju może pozbawić. Od starych ludzi w takiém położeniu trudno jest wymagać jakiejś energii i wysiłków, mogących doprowadzić do zadarcia z tym i owym. Tymczasem świeża inteligencya, młodzi adwokaci przysięgli są na prowincyi „*nieobecni*.“

Tu znowu okazuje się, że winy, przypisywanéj cząstce, dopuszcza cały ogół inteligentny. Pomijam już urzędników rożnych instytucyi prywatnych i państwowych, którzy dla niezrozumiałych nieraz powodów nie chcą się puścić z Warszawy. Zdaje się, że przyczyna ich oporu leży w błędnych pojęciach o prowincyi, obawiają się nudów, nie wiedząc, że w stolicach powiatowych w winta grają już równie umiejętnie, jak we wszystkich stolicach państwa. Ale od lekarzy np. to już chyba można czasem wymagać, aby w postanowieniach swoich kierowali się nieco i względami niezupełnie osobistéj natury. Wiele miasteczek miesiące całe bywa pozbawionych pomocy medyka, ten zaś, który się zdecyduje przenieść rezydencyą do jakiegoś odleglejszego zakątka, uważa to za rodzaj wygnania, od którego pragnie jak najprędzéj uwolnić się. Czy gorzéj postępuje magnat, co, mając środki, unika wiejskich nudów i bawi się w Paryżu? Takie dążenie do stolicy pozorowane bywa najczęściéj chęcią kształcenia się, magnetycznym wpływem ogniska życia umysłowego. Tymczasem w wielkiéj ilości wypadków (naturalnie nie zawsze) Warszawa nęci przykładami tych lekarzy, którzy zdobyli wielką praktyką fortunę i jeżdżą własnemi karetami. Na prowincyi znajdzie

się zawsze skromny kawałek chleba, pewniejszy niż wybijanie się w Warszawie, ale za to trzeba się wyrzec nadziei blasku. Takie czynniki są bardzo silne i rzadko kto się im oprzéć potrafi; tém téż bardziéj należy osłabiać ich siłę, pokazując inną, obywatelską stronę sprawy.

Zupełnie tak samo rzecz się ma z adwokatami. W Warszawie widzimy tłok, który doprowadza do marnéj, demoralizującéj nawet czasem konkurencyi. Wydzieranie sobie klientów bywało już powodem zajść skandalicznych. Słyszéć się zdarza, że adwokaci przysięgli na schodach kolegów stawiają faktorów, którzy zawracają klientów, werbując ich dla własnego pryncypała. Fatalna tendencya skupiania się w uprzywilejowanym punkcie wpływa na zniżenie stanu obrończego i pozbawia prowincyą inteligentych pierwiastków.

Ku lepszemu zwrotu jakiegoś dopatrzéć trudno, przyczyny tego zjawiska tkwią nie w zewnętrznych okolicznościach, lecz w dążeniach, upodobaniach i pretensyach samych adwokatów. Tak np. istnienie na prowincyi adwokatów prywatnych nie jest najmniejszą przeszkodą dla rozsiedlania się młodszych sił po wszystkich zakątkach kraju. Takich adwokatów jest bardzo mało, a nawet w razie współzawodnictwa wszystkie szanse zwycięstwa były by po stronie dyplomowanych prawników. Zdaje się jednak, że dotąd nie powstała nawet myśl, że może jakiś kandydat lub rzeczywisty student poświęcić się wyłącznie stawaniu w sądach gminnych.

Wobec takiego stanu rzeczy, jeżeli się sprawdzą pogłoski, że instytucya adwokatów prywatnych zostanie zniesioną, to zniknie i ta słaba tama, jaka dotąd chroniła ludność od pokątnych doradców. Ci ostatni panować będą już zupełnie niepodzielnie, gdyż żadna racya nie przybędzie, aby adwokaci przysięgli zaczęli udawać się tam, gdzie dziś ani myślą osiadać. Przedstawia się to tém groźniéj, że jeżeli reforma ma się zasadzać—jak chodzą pogłoski—na usunięciu ustawy dopełniającéj z roku 1874, i powróceniu do praw z roku 1864, to zniknie nawet formalne ograniczenie, zabraniające osobom prywatnym stawania w sprawach cywilnych więcéj niż trzy razy do roku.

Zjawił się ostatnich dniach prospekt „Głosu“, zapowiadający ukazanie się 1-go numeru tego pisma na dzień 2 października. Zapowiedź składa się z dwu części: z ustępu programowego saméj redakcyi i drobnych artykułów przyszłych współpracowników.

Czytając pierwszy ustęp, nie należy zapominać, że głoszenie komunałów i frazesów w prospekcie stało się u nas obowiązującym niemal zwyczajem. „Głos“ nie stanowi wyjątku, ale wyróżnia się pomimo to większą ścisłością w określaniu swych celów i tendencyi.

Przewodnim hasłem pisma będzie: *uznanie ludu za najgłówniejszy składnik społeczności narodowéj.*

Druga część prospektu przypomina jednodniówki, wydawane na korzyść pogorzelców i powodzian; są tu drobne artykuliki licznych przyszłych współpracowników. Wśród nich spotykamy nazwiska: Bałuckiego, Dygasińskiego, Jeża, Orzeszkowéj. Naturalnie, że w oświadczeniach tylu różnorodnych ludzi dojrzeć można brak jednolitości; wprawdzie panującym, obowiązującym tonem są różne demokratyczne aforyzmy, ale pomimo to, tu i owdzie przebijają się sprzeczności, a nawet niezgodność z naczelną zapowiedzią redakcyi w pierwszéj części. Bardzo ciekawą rzecz napisał p. J. L. Popławski. Zaznaczył on fakt istnienia w każdym narodzie dwu odmiennych, niezależnych od siebie i nawet nie łączących się z sobą (choć się stykają) cywilizacyi: ludowéj i „uprzywilejowanéj.“. „Lud — twierdzi p. Popławski—posiada własną religią, własną moralność, własną politykę, więcéj — własną naukę.“ Byłoby bardzo pożądaném, abyśmy w „Głosie“ znaleźli rozwinięcie tego twierdzenia, a co najważniejsza, uzasadnienie jego. Obawiamy się jednak, że autor już obecny artykulik uważa za skończony wyraz swéj teoryi, a ostatni ustęp za argumentacyą. P. Popławski tak mówi: „cywilizacya chłopska nie stoi nieruchomie, ale, chociaż powoli bardzo, przeradza się i rozwija. Ta niezaprzeczona ewolucya— to właśnie dowód jéj samodzielności. Niepodobna ująć w formy podstaw jéj i zasad, w najogólniejszym chyba zarysie wskazać można w przeciwstawieniu z indywidualizmem, anarchią i wiecznym niepokojem myśli kultury uprzewilejowanéj—uczucie gromadzkie, ład wewnętrzny i spokojną twórczość kultury ludowéj.“ Tych ogólników za wystarczające rozumowanie uważać chyba nie można.

Pani Marya Konopnicka twierdzi: „Poezya nasza dopóty prawdziwie narodową nie będzie, dopóki obok „Pana Tadeusza“, który jest epopeją szlachecką, nie stanie epopeja chłopska.“ Ten pewnik wyrzuconym być musiał przez fale wezbranéj miłości dla ludu. Jestem przekonany, że odezwie się on gromkiém echem w sercach szkolnéj młodzieży. Widzę już dzielnych a surowych krytyków z szóstéj i siódméj klasy, jak na podstawie tego zdania odsądzają literaturę naszą od wszelkiéj wartości, lub nawet czas tracą nad ziszczeniem marzenia p. Konopnickiéj i uczynienia literatury prawdziwie narodową. Ośmielę się zapytać, co p. Konopnicka nazywa literaturą prawdziwie narodową, i gdzie jest szczęśliwe plemię, które takową posiada, który z poematów świata uważa szanowna autorka za epopeję chłopską?

Prawdziwie ładnym pod względem formy, choć niezrozumiałym nieco co do treści, jest króciutki utwór p. Potockiego. Piękność

stylu ma w sobie coś pieszczącego, nietylko się oderwać nie można zacząwszy, ale powrócić trzeba skończywszy. Nie wielu autorów współczesnych umie tak ponętnie malować piórem. Jeżeli p. P. tego rodzaju utworami zasilać myśli „Głos", to bezwątpienia stanowić one będą prawdziwą ozdobę pisma.

Za nowy niemal i odrębny tygodnik uważać obecnie można literacki dodatek do „Kraju." Początkowo literacka część nie miała w tém piśmie własnego przybytku i skromny przytułek znajdywała bądź w odcinku, bądź w tyłach pisma. Z biegiem czasu rozrastała ona się coraz bardziéj, stała się oddzielnym dodatkiem, a obecnie uzyskała nawet niezależny tytuł: „Przegląd literacki", nie odłączając się jednak od starszéj siostry, części społeczno-politycznéj. We wstępném słowie redakcya oświadcza, iż starać się będzie, aby w tak usamowolnionym dodatku znalazł się przegląd wszystkich wypadków i objawów z dziedziny polskiego życia umysłowego; przyczém pominięte nie zostaną te, które, przenosząc poziom pospolitych, mają wszystkim przyświecać, jako źródła i drogowskazy. Znając staranność dotychczasową redakcyi „Kraju", nie wątpimy, że przyrzeczenia swoje spełni. Pierwszy numer jest bardzo urozmaicony.

Niejednokrotnie na tém miejscu narzekaliśmy na niewłaściwy ton, jakim zwykle przemawiają u nas krytycy. Z tém większą przyjemnością zwracamy teraz uwagę czytelników na zjawisko, nie wyjątkowe naturalnie, ale rzadkie w téj sferze. Mówimy o ocenie książki p. Dawida „Zaraza moralna", dokonanéj przez p. Jana Gadomskiego i drukowanéj w Bibliotece Warszawskiéj w zeszycie sierpniowym. Przyzwyczailiśmy się do szarpania osób zamiast rozpatrywania rzeczy, do wyszukiwania usterek głównie lub nawet jedynie, do wywłóczenia jakichś twierdzeń i zdań podrzędnych, mających z główną myślą związek pośredni tylko. Tutaj krytyk poznajamia czytelnika z ideą przewodnią autora i mówi o tém poważnie, ze znajomością przedmiotu, bez docinków i popisywania się z erudycyą; na każdym kroku czuć zamiłowanie rzeczy uczciwych, widać szlachetną myśl i uczucie, które kierowało piórem;—to téż praca p. Gadomskiego pobudza czytelnika do myślenia a nawet podnosi. Powątpiewanie w kimś zjawić się może, jakim sposobem krytyka filozoficznéj pracy zdoła wywrzeć podniosłe wrażenie. A jednak tak jest. P. Gadomski nie zadowolnił się jedynie roztrząśnięciem wywodów autora, lecz poszedł nieco daléj. Książka p. Dawida, analizując przeważnie rujnujące społeczeństwo czynniki, wywrzeć by mogła na tego lub owego czytelnika przygniatające wrażenie. Recenzenci nawet niektórzy, niedosyć dokładnie, jak się zdaje, zrozumiawszy myśl autora, zarzucili mu, iż skazuje życie ludzkości na zagładę. Jakkolwiek

zdanie to nie jest słuszne, w każdym jednak razie powiedziéć można, iż po przeczytaniu „Zarazy moralnéj" nasuwają się pytania, wątpliwości i obawy, bardzo niepokojące. Filozof mógł na tém zatrzymać się, jego zadanie się skończyło; zabiera wszakże głos serce kochające i trwożne o byt i pyta: co robić? Jeżeli pytanie to spędza sen z powiek potężnym władcom, jeżeli niepokojem napełnia najsilniejsze i najszczęśliwsze państwa i społeczeństwa, jeżeli wobec niego bezsilnie stoją najpotężniejsze umysły, — to co my mamy robić, my, najbiedniejsi z biednych, najupośledzeńsi z upośledzonych; my, zdeptani przez los i pływający zaledwie na cienkiéj desce wpośród morza przeciwności, które nas usiłuje pogrążyć w falach na wieki? Czy nie lepiéj zamiast się upierać przy życiu zamknąć oczy, opuścić ręce i czekać śmierci. Wypadki zdają się wskazywać to, jaką jedyną drogę rozsądku, ludzie wyśmiać gotowi upór, złudne nadzieje, waryackie marzenia. I zdarza się, że narody całe ulegają, godzą się z myślą o śmierci. Ale w chwilę potém wyrywa się im z piersi galileuszowe: *e pur si muove!* Do szczytu marzeń dojść nie zdołamy prędko, ale... praca ludzka posiada moc czarodziejską. Nie cofajmy się przed tą cząstką, która jest dla nas dostępną.

„Nie opuszczajmy rąk, nie opuszczajmy! — woła p. Gadomski. Pracujmy w zakresie przystępnym! Dbajmy o czystość literatury, o zdrowy kierunek prasy, o uczciwe zasady tak w życiu potocznem, jak w polityce, o wyrobienie charakterów ludzkich, o współczucie i solidarną wzajemność klas i warstw społecznych. Badajmy nakoniec i poznawajmy siebie samych, abyśmy nie byli ślepi wobec nasuwających się z kolei czasu zagadnień społecznych, abyśmy wiedzieli jak sobie radzić na nie i jak się oryentować w nawale społecznych zjawisk. Gdy tego wszystkiego nie zaniedbamy, nie strawi nas jad występku." Wtórujemy jak najgoręcéj tym uczciwym słowom.

Ludwik Straszewicz.

OFIARA.

Złożone przez p. M. S. w redakcyi „Ateneum" rubli sr. 10, „nieprzyjęte za lekcye, a przeznaczone na wpis lub książki dla niezamożnego studenta przyrodnika", doręczone zostały młodzieńcowi, zaleconemu piśmiennie przez siedmiu jego kolegów.

Wydawca, **W. Spasowicz.** — Redaktor, **Piotr Chmielowski.**



PROLETARYAT WIEJSKI
I ZAPOWIEDZIANE POŻYCZKI DLA WŁOŚCIAN
Z FUNDUSZÓW UŻYTECZNOŚCI OGÓLNÉJ.

Niektóre pisma krajowe podniosły w ostatnich czasach kwestyą bezrolnéj, lub skąpo uposażonéj ludności wiejskiéj. Zaliczywszy ją do proletaryatu, i jako taki traktując, doszły do wniosków nie zawsze zgodnych z rzeczywistym stanem rzeczy. Projektowany użytek „funduszu użyteczności ogólnéj“ nie znalazł również u nich aprobaty, z powodów nie tyle może pogwałcenia praw dyspozytorów funduszu, ile z mniemanéj bezskuteczności środka.

Ważność sprawy, zainteresowanie się nią ogólne, nie pozwalają i nam pominąć jéj milczeniem ; tém więcéj, że w téj nierozjaśnionéj dotąd kwestyi przyjrzenie się jéj wszechstronne bardzo jest pożądane.

Ażeby uzyskać swobodę dyskusyi, pomijamy kwestyą prawowitości użycia wspomnianego funduszu, która to kwestya rozebrana zresztą została nieco dawniéj w „Gazecie Rolniczéj“ (1883, N. 39), nie wiele pono pozostawiając do dalszego roztrząsania. Natomiast, chcemy przyjrzéć się sprawie ze strony utylitarnéj, ze strony pożytku, jaki rokuje dla kraju wypuszczenie kilku milionów rubli pomiędzy ludność wiejską,—jakie korzyści obiecywać sobie po tém użyciu kapitału możemy, lub jakie szkody nam grożą.

Wiadomo, że władze wyższe postanowiły „fundusz użyteczności ogólnéj“, zebrany z oszczędności Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, a wynoszący jakoby około 3 milionów rubli, obrócić na pożyczki dla włościan, celem ułatwienia im nabywania na własność przestrzeni dworskich. Projekt ten spotkał w prasie zarzuty nie tylko co do sposobu jego urzeczywistnienia, ale i co do saméj zasady. Pomiędzy innemi zarzutami spotkaliśmy i te, że przez zwiększenie po-

siadłości włościańskich ubędą ręce do pracy, których posiadłość większa tak bardzo potrzebuje, że pożyczka, udzielona wydziedziczonym, bezrolnym, pomocy rzeczywistéj im nie przyniesie, bo ciężar gniotącego ich długu, zaciągniętego na kupno ziemi, przewyższy korzyści posiadania ziemi, i wyrodzi większy niż dziś proletaryat rolniczy; to znów, że część ludności wiejskiéj pozbawiona, z powodu zmniejszenia obszarów dworskich, możności spożytkowania pracy na służbie dworskiéj lub najmie, wytworzy nową gałąź proletaryatu, który już i dziś, pomimo tych zarobków, istnieje.

Samo przeciwieństwo zarzutów wykazuje ich jednostronność. Przyjrzyjmy się im pokrótce.

Czy większa posiadłość może stracić robotnika? Myśl o téj ewentualności słusznie rodzi obawy w szeregach większych właścicieli. Obawy te wszakże pochodzą z niedostatecznego poznania rzeczy. Postaramy się to zdanie nasze usprawiedliwić.

Cyfry statystyczne przekonywają, że żaden może kraj w Europie nie jest tak hojnie uposażonym w ludność rolniczą, jak właśnie nasz. Kiedy we Francyi przypada na głowę ludności rolniczéj 5,30 morgów przestrzeni, a w Prusach 3,60 morgów, — tedy w Królestwie Polskiém wypada zaledwie 2,73 morgi ziemi uprawnéj, łącznie z łąkami na takąż samą jednostkę ludności. Jeżeli w owych krajach para rąk wystarcza do obrobienia $3\frac{1}{2}$—$5\frac{1}{2}$ morgów, powinna wystarczyć i u nas; z tego względu, poniekąd już zupełnie wszystko jest jedno, czy między ludność rolniczą rozdzieloną będzie ziemia w taki lub inny sposób: bo zbywający czas jednych może być spożytkowanym na gospodarstwach innych, potrzebujących pomocy rąk sąsiadów. Małorolni właściciele, jacy z biegiem czasu wytwarzać się muszą, o ile ścieśnienia prawne nie staną na przeszkodzie do równego podziału ojcowizny,—są nawet najpożądańszym i poważnym bardzo elementem robotników folwarcznych, czego przykład mamy już dziś na tak zwanych noworolnikach,— owych obdarzonych po roku 1864 służących dworskich. Braku robotnika w ciągu roku nie doświadczają i dziś gospodarstwa nasze; zdarza się on jedynie w pewnych chwilach tylko, jak we żniwa, przy sprzęcie roślin okopowych, lub pieleniu buraków,—kiedy roboty te wykonanemi być muszą w krótkim i ściśle ograniczonym czasie, a wypływa to nie tyle z liczebnego niedostatku robotnika, ile z natury samych robót, nie cierpiących zwłoki, czułych na zmiany atmosfery i naglących do pośpiechu. Nie podobna dla tych robót powiększać stałéj służby folwarcznéj; więc małorolny sąsiad-włościanin, przywiązany do ziemi, przychodzi wtedy z pożądaną pomocą, im zaś jest liczniejszym, tém dla większego gospodarstwa lepiéj.

A jeszcze jedna uwaga. Przez uprzedaż pewnéj przestrzeni własności większéj bezrolnym włościanom, niechaj ubędzie pewna ilość rąk roboczych, obsługujących przedtém przestrzenie dworskie; to przecież jednocześnie z tym ubytkiem pracowników ubywa i przestrzeni dworskiéj, która w ich ręce przechodzi; zmniejsza się zapotrzebowanie najemnéj pracy i czeladzi dworskiéj, co razem wzięte, w zupełności równoważy inny niż dawniéj podział własności ziemskiéj, skoro rąk roboczych bynajmniéj przy tym nowym podziale nie ubywa.

Więcéj może niebezpieczeństwa przedstawiałaby owa parcelacya dla interesów dzisiejszych wyrobników wiejskich, czy to stałych służących, czy najemników dziennych, żyjących wyłącznie z zarobków po dworach. Niebezpieczeństwo to byłoby rzeczywiście poważném, gdyby wykup ziemi dworskiéj zastosowanym był na wielką skalę. Fundusz jednak, przeznaczony na wykup ziemi dworskiéj, wynosi zaledwie 0,3% jéj obecnéj wartości, gdybyśmy ją jak najtaniéj nawet szacować chcieli. Taki stosunek nie może wywołać przesilenia w tym kierunku, ile, że i część ludności, o któréj w téj chwili mówimy, znalazłaby upust w nowozakładanych osadach, powstałych z parcelacyi.

Nie znajdujemy tedy powodu do przypuszczania jakichkolwiek strat zarówno dla większéj własności, jak i dla jéj otoczenia. Natomiast wiele względów przemawia na korzyść projektowanego spożytkowania „funduszu użyteczności ogólnéj.“

Najpierwszym jego wynikiem będzie niejakie podniesienie cen ziemi. Owa nieznaczna na pozór suma około 3 milionów rubli, któréj doniosłość nie wieleśmy szacowali, gdy była mowa o jéj wpływie na zmniejszenie zarobku po dworach, może być bardzo doniosłą w skutkach przy przechodzeniu z rąk do rąk własności ziemskiéj. Ten różny jéj wpływ tłómaczyć się daje tém, że kiedy zmniejszenie o $^1/_3$% przestrzeni folwarcznéj jest tak małém, że go robotnik wiejski odczuć nie powinien, bo zawsze jeszcze 99$^2/_3$% pozostałych folwarków potrzebuje jego pracy i bez niéj się nie obejdzie,—to nie w tym samym stosunku znajduje się liczba folwarków do sprzedania. Więc na te, które sprzedaży ulegną, i niewielka konkurencya owych paru milionów może wpłynąć bardzo skutecznie i cenę ziemi podnieść. Nie potrzeba być na to prorokiem, ażeby skutek podobny przewidziéć. Dostarczony tani kredyt (jak dotąd kredyt Tow. K. Z.) wpływa zawsze korzystnie na wzrost cen ziemi, nie może więc i w tym razie pozostać bez skutku.

Zaprzeczyć jednak niepodobna, że na częściowéj téj parcelacyi straci większa własność część swéj posiadłości nieruchoméj, na ko-

rzyść drobnéj posiadłości. Czy to będzie z pożytkiem dla gospodarstwa społecznego — nie śmiemy twierdzić. Ale skoro powszechne obdłużenie, wobec niezbyt pomyślnych widoków dla gospodarstw rolnych, zmusza znaczną część ziemian do likwidacyi; gdy likwidacya ta dokonywa się w najgorszych dla nich warunkach, przy pomocy kapitałów, użyczonych przez lichwiarzy, na których zyski i sprzedający i kupujący składać się muszą; gdy dążność do rozpadania się większych posiadłości na drobne gospodarstwa jest zjawiskiem powszechném i objawia się niezależnie od ułatwionéj pomocy kredytowéj, która się jeszcze nie urzeczywistniła; toć lepiéj, zarówno dla sprzedających jak i kupujących, że zmiany w ustroju stosunków własności odbędą się z najmniejszemi dla stron interesowanych stratami i nie spowodują przesileń. Pomoc więc kredytu państwowego, za nią wzrost konkurencyi nabywców i cen na ziemię, pożyteczne tylko skutki przynieść mogą.

Według tego, cośmy wyżéj powiedzieli, interesa większéj własności ziemskiéj bynajmniéj nie ucierpią z powodu utworzenia kredytu, mającego za zadanie rozszerzyć teren drobnych gospodarstw. Wreszcie nawet wyłącznie z jéj stanowiska, można powiedziéć, że skoro już niepodobna odwrócić naturalnego prądu rozdrabniania się własności ziemskiéj, kredyt projektowany ten tylko będzie miał skutek, że pozwoli dokonać jéj w korzystniejszych niż obecne warunkach. Gdyby zaś w bliższéj lub dalszéj przyszłości nadeszła chwila sprzyjająca rozwojowi większych gospodarstw i wywołała dążność do skupienia się ziemi w większe posiadłości,—same one naturalném ciążeniem znów zrastać się będą, jak to miało już miejsce przed 40-ma z górą laty, kiedy drobno-szlacheckie parowłókowe posiadłości wsiąkały w rozległe sąsiednie folwarki lub skupiały się w jednych ręku.

Jeżeli ze stanowiska interesów większéj własności moglibyśmy miéć jakiekolwiek wątpliwości co do skutków zapowiedzianego kredytu i pozory ich niekorzyści, — tedy taż sama kwestya, ze stanowiska interesów téj ludności, dla któréj kredyt ów jest przeznaczonym, potrzebuje również niejakiego wyjaśnienia.

O ile wiadomości nas dochodzą, pożyczki na zakup ziemi dworskiéj udzielane być mają włościanom bezrolnym lub małorolnym, posiadającym własność ziemską mniejszą od 3 morgów. Rozległość pojedyńczych działek, jakie wytworzyć się mają z owego zakupu, mają nie przechodzić 6 morgów, wykazanych jako norma przestrzeni niezbędna do samodzielnego utrzymania rodziny. Fundusz, przeznaczony na pożyczki, przenosi 3 miliony rubli, które częściowo tylko w ciągu lat kilku spożytkowane być mają. Według oblicze-

nia jednéj z gazet, można z pomocą owego funduszu utworzyć w ciągu lat 10-ciu około 7,250 działek włościańskich, z ludnością około 30,000 głów. Ponieważ fundusz ten byłby wypożyczanym tylko i służył bez przerwy do wykupywania nowych przestrzeni, przeto ludność, w ten sposób bonifikowana, wzrosłaby w ciągu lat 100 do 300,000 głów, czyli 6% dzisiejszéj ludności rolniczéj.

Z zestawienia cyfr tych okazuje się, że fundusz pożyczkowy jest bardzo ograniczony, w porównaniu do potrzeb ludności. Potrzebujących ziemi w chwili obecnéj nie można obliczać na podstawie cyfr z lat dawniejszych. Skutkiem śmierci obdarowanych włościan, mnóstwo ich spadkobierców pozostaje bez ziemi, chociaż rodziny ich liczą się do obdarowanych, ponieważ ich ojcowie byli obdarowani. Dzisiaj, osady, niedochodzące 12 morgów przestrzeni, są już niepodzielne i w takich razach jeden tylko ze spadkobierców pozostaje na ojcowiznie; reszta zaś rodzeństwa zadawalać się musi spłatą w pieniądzach, za które rzadko tylko może znaleść osadę, odpowiednią jéj środkom i pozostaje bezrolną, wydziedziczoną, podobnie jak służba dworska. Dołączając do niéj tę ludność, która, skutkiem przejść różnych, własność utraciła, możemy już na miliony liczyć rzesze bez ziemi, spragnione jéj posiadania niechętnie przerzucające się do innych zajęć, i dla których posiadanie kawałka ziemi jest szczytem marzeń. Cóż im ta mała sumka obiecuje? Oto, że zaledwie nieznaczna ich cząstka z pożyczki téj skorzysta.

Cokolwiekbądź, dobre i to na początek, a ludność krajowa nie może przyjąć projektu rządowego inaczéj, jak z zupełném uznaniem. Działalność projektowanego banku włościańskiego, czy jak tam nowa instytucya nazwaną zostanie, jakkolwiek nie zaspokoi wszystkich potrzeb, nie pozostanie bez śladu i bez pożytku.

Pożytek ten odczuć się da jeszcze i we wpływie na stopę procentu, przez rolników obecnie opłacanego. Włościanin, nabywający ziemię za pożyczone pieniądze, opłaca od nich 30 — 36% rocznie, w jedynych dzisiejszych na ten cel instytucyach kredytowych — to jest u lichwiarzy małomiasteczkowych. Bywają wypadki, że tacy spekulanci kupują folwarki na parcelacyą, odprzedają częściami chłopom na tak zwaną „spłatę". w którą oblicza się szacunek ziemi wraz z 30—36% za czas kilkoletni, i to wszystko rozkłada na raty, w ciągu lat kilku przez nabywców spłacane. Tam, gdzie ziemia płaci się 60—75 rubli za morgę, chłopi płacą kapitaliście przez lat 6 po 150 rubli za działkę 6-morgową, czyli że w miejsce 360—450 rubli, spłacają 900 rubli. Dla takich pożyczka będzie prawdziwém dobrodziejstwem, bo ich ze szpon lichwy oswobodzi; dla innych o tyle się do obniżenia stopy procentu przyczyni, o ile włościanin będzie miał

w banku swoim rezerwę i nie na lichwiarzu wyłącznie środki nabycia ziemi opierać będzie zmuszony. Z rozwojem instytucyi może przytém działalność jéj być rozszerzoną, czy to za pomocą emisyi obligów, czy listów zastawnych, lub tym podobnych znaków obiegowych, które tém potrzebniejszemi się okażą, że nie tylko na kupno gruntów dworskich, ale i na spłatę współsukcesorów włościanin pożyczki potrzebować będzie. Zaopiekowanie się interesami ludu, a szczególniéj włościan, każe się spodziewać, że podobne rozszerzenie działalności instytucyi kredytowych dla drobnych właścicieli nie należy do niepodobieństw,—a potrzeby tego ludu do jak najszybszego otworzenia takiego kredytu przynaglają.

Zarzucano także, że włościanin nabywający działkę sześciomorgową, musiałby przez lat kilka opłacać z niéj po 56 rubli, których z ziemi wyciągnąćby nie mógł. Jest-to rzecz bardzo względna. W ziemiach dobrych spłaci je z łatwością, w innych trudniéj mu to przyjdzie; ale ulga, jakiéj dozna, spłacając 56, w miejsce 150, i tak będzie znaczną, ażeby jéj zasługi odmówić można. Wreszcie przedłużając termin amortyzacyi pożyczki, można będzie raty coroczne obniżyć, gdyby to okazało się koniecznem.

Nie tykamy tu zresztą techniczněj strony projektowanych banków. Sądzimy, że niedługa praktyka wskaże im najlepsze drogi działania i dopomoże najskuteczniéj nie tylko do ustosunkowania czasu amortyzacyi, ale także i unormowania wysokości pożyczki. Wnosząc jednak z tego, co widzimy dokoła siebie, należy mniemać, że pożyczka, udzielana bodajby w granicach mnożnika 80 podatku gruntowego, będzie silną dźwignią i pomocą dla włościan nabywców. Gdy jednak obok takiéj pożyczki, reprezentującéj mniéj więcéj jednę trzecią szacunku ziemi, potrzeba będzie nabywcy uiścić resztę szacunku, postawić budowle, zaprowadzić inwentarze, a niekiedy i zasiewy, o pożyczkę tę będą mogli się ubiegać jedynie tacy włościanie, którzy i swego mienia cośkolwiek posiadają,— a do korzystania z jéj dobrodziejstw staną nie najubożsi, wydziedziczeni, proletaryat, jak ich niektórzy nazywają,—lecz posiadacze albo gospodarstw własnych w sąsiedztwie lub drobnych kapitałów. Pierwsi przedstawiając bezpieczeństwo pożyczki, niezbędnéj dla dopełnienia sumy szacunkowéj, wolni od potrzeby stawiania nowych budowli; drudzy, zasobni we własne kapitaliki, będą zawsze mieli pierwszeństwo przed innymi, bo posiadają przewagę środków. Wydziedziczeni i ubodzy będą i nadal mieli najmniéj szans wyjścia z dotychczasowego położenia—chociaż intencye twórców projektu ich przedewszystkiém miały na myśli.

Jeszcze słów parę o użyciu nazwy „*proletaryat*“, z jaką spotykaliśmy się w ostatnich czasach. Pod tę rubrykę podciągnięto lu-

dność wiejską bezrolną i małorolną. Zdaje się to nam być nadużyciem wyrazu. Bezrolny włościanin, dokąd ma zapewniony całoroczny zarobek, a do téj kategoryi należy przedewszystkiém stała służba dworska, nie może być zaliczony do proletaryatu. Gdybyśmy wszystkie klasy pracujące, a nieposiadające własności nieruchoméj, do proletaryatu zaliczać chcieli, byliby w tym szeregu urzędnicy, lekarze, inżynierowie, adwokaci, uczeni i t. d., o ile tylko nie posiadaliby własności nieruchoméj. Takiego jednak rejestru układać niepodobna. I tu więc proletaryatu, w ścisłém słowa znaczeniu, prawie nie ma. Zarobek, jaki gospodarstwa większe, lub zamożniejsze dają ludności wiejskiéj potrzebującéj pracy, rozkłada się pomiędzy nią dość jednostajnie. Apatya i wrodzone Słowianinowi lenistwo, o ile nie zmusza go do pracy konieczność, ułatwiają zresztą ten równy rozdział zarobków; bo gdy chłop zarobi tyle, że ma na pierwsze potrzeby najbliższéj chwili, niechętnie szuka zarobku, pozostawiając go tém samém innym, potrzebniejszym.

Nie stąd też grozi chłopu naszemu widmo pauperyzmu. Źródła jego szukać trzeba w przymusowém obdłużeniu, do jakiego doprowadza go prawo o niepodzielności osad włościańskich i konieczność spłacania współspadkobierców. Wobec tego, co pokolenie dług osady wzrasta; jeżeli syn odziedziczy przeciętnie $^1/_3$ osady, wnuk już $^1/_9$, a na resztę jeden i drugi zadłużać się musi, i pozostaje tytularnym zaledwie właścicielem tak samo, jak dzięki fałszywie zrozumianemu interesowi własności większéj i niepodzielności hypoteki, nikt dziś, prócz ordynatów, nie siedzi na ziemi ojczystéj, — a jeżeli jeszcze pozostał, dźwiga brzemię długów, które go prędzéj lub późniéj zgniecie. Tu tedy potrzeba taniego kredytu i w tę stronę inicyatorowie banków włościańskich winni baczniejszą zwrócić uwagę, jeżeli realne interesa ludności wiejskiéj mają na względzie. Skoro pewne względy polityczne zaprowadziły porządek, ustanawiający niepodzielność osad włościańskich i porządek ten zmienionym być nie może, niechajby przynajmniéj posiadacz osady znalazł środki do wykonania tego prawa bez ruiny. Ziemia, jaka pozostaje w ręku włościan, daje zupełną gwarancyą dla wszelkich pożyczek, które dla spłaty współspadkobierców zaciągniętemi być by mogły; osobnym regulaminem możnaby zastrzedz dla tych pożyczek pierwszeństwo hipoteczne i zorganizować instytucyą kredytową na ten cel jedynie. Jeżeli tedy interes ludności wiejskiéj był pobudką do użycia funduszu użyteczności ogólnéj na pożyczki dla włościan, celem powiększenia ich posiadłości,—tenże sam interes domaga się instytucyi, któraby dopomogła téj saméj ludności w sprawie jeszcze naglejszéj, bo w sprawie zabezpieczenia jéj tego, co już posiadła, i dała środki na

spłaty peryodyczne spadkobierców osady, w pożyczkach amortyzujących się choćby w okresie 25-letnim i niskim obłożonych procentem. Zapewniwszy spłatę peryodyczną należności drogą administracyjną, nie byłoby trudności do rozszerzenia skali pożyczki do $^2/_3$ wartości osady i wyrugowania lichwiarzy, wysysających dziś ludność wiejską.

Lat 20 nie minęło jeszcze od wprowadzenia w wykonanie ukazu o uwłaszczeniu włościan, a trudno już znaleść osadę włościańską, którаby nie była obciążoną długiem. Jest-to przedsmak tego, co je w dalszéj przyszłości czeka, gdy działy coraz drobniejsze nastaną. Sprawa to ważna, lekceważyć jéj nie może nikt, komu idzie nie tylko o los téj ludności, ale i o losy kraju. Wiszące nad nią widmo nędzy może ją zepchnąć naprawdę w szeregi proletaryatu, a rozrost tego żywiołu z pewnością ani tym, co się do niego przyczynili, ani tym, co byli niemymi jego świadkami, na pożytek nie wyjdzie.

H. Wiercieński.





PIERWSZA CZĘŚĆ FAUSTA.

STUDYUM LITERACKIE.

III. **Tragedya miłości.**

Przystępuję teraz do ustępu tragedyi, który ze wszystkich największą cieszy się popularnością.

Przyczyną tego jest przedewszystkiém sama natura przedmiotu. Niekażdy może zrozumiéć owe tytaniczne dążenia Fausta, lub ocenić subtelną ironią i głęboką satyrę Mefistofela,—ale któż nie zrozumie uczuć zawartych w epizodzie Małgorzaty, przedstawionych z taką siłą i prawdą, a przytém w tak uroczo pięknéj formie? Następnie, epizod ten zawiera daleko więcéj rzeczywistéj, zewnętrznéj akcyi niż poprzednie sceny. Tam sytuacya dramatyczna jest wynikiem wewnętrznéj kolizyi uczuć i dążności,—tutaj zewnętrznych czynów i zdarzeń: naturalną jest zaś rzeczą, iż ta ostatnia, jako bardziéj zewnętrzna plastyczna, żywiéj musi przemawiać do wyobraźni. Wreszcie, zauważę tu nawiasem, iż niemało się przyczyniła do spopularyzowania tego ustępu poematu opera Gounoda, jedno z najpiękniejszych arcydzieł muzyki, w którém znakomity kompozytor w cudnéj formie i z porywającą siłą ekspresyi wyraził główne uczuciowe motywa miłości Fausta i Małgorzaty.

Już z powyższych uwag wypada, iż istnieją wybitne różnice pomiędzy epizodem Małgorzaty a tém, co go poprzedza. Rzeczywiście, epizod ten stanowi w pewnéj mierze odrębną całość poetycką, która, jak się to niżéj okaże, łączy się ściśle z główną osnową poematu, niemniéj jednak w swoim zakresie posiada pewną samoistność. Główną bohaterką jest tu oczywiście Małgorzata: około niéj skupia się cały dramatyczny interes, jéj urocza postać najplastyczniéj występuje na tle akcyi, jéj miłość, cierpienie, upadek najsilniéj przema-

wiają do serca i wyobraźni, wreszcie charakter jéj jest tu zupełnie i wszechstronnie rozwinięty, stanowi poetyczną kreacyą całkowicie wykończoną.

Nastręcza się tu przedewszystkiém pytanie: jaką w ogóle rolę odegrywa Małgorzata w poemacie—jakie jéj znaczenie w rozwoju zasadniczéj jego osnowy? Ażeby to pytanie rozwiązać, musimy sobie uprzytomnić główne, poprzednie momenty akcyi.

Na początku tragedyi, w wielkim monologu widzieliśmy Fausta pogrążonego w rozpaczy, wskutek niemożności zaspokojenia pragnień wiedzy i szczęścia, w dążeniu do których streszcza się cała psychiczna jego istota. Badania i spekulacye naukowe nie odkryły przed nim prawdy, a odciągnąwszy go od rzeczywistego życia, pozbawiły możności doświadczenia nawet tego względnego szczęścia, jakie człowiek może znaleść w chwilowém choćby zaspokojeniu pragnień zmysłowo-uczuciowéj strony swego jestestwa. Faust, zapatrując się na ogół objawów życiowych ze stanowiska abstrakcyjnego myśliciela i widząc w nich wszędzie ogromną przewagę cierpienia, nie poznawszy zaś w swém własném doświadczeniu piękniejszych stron życia,—musiał dojść do ostatecznego zwątpienia o możliwości znalezienia w niém prawdziwego szczęścia. To zwątpienie w połączeniu z utratą wiary we wszelką wiedzę ludzką jest przyczyną rozpaczliwego nastroju jego duszy.

W takim stanie uczuć znajduje go Mefistofel. Zadanie tego ostatniego, w konsekwencyi właściwego mu negacyjnego stanowiska w obec wszelkich objawów działalności ludzkiéj,—polega na odciągnięciu Fausta od wyższych dążeń i pogrążeniu go w duchowéj apatyi i martwocie. W tych widokach zużytkowywa on niezaspokojone pragnienia wysoce rozwiniętéj zmysłowo-uczuciowéj natury Fausta: ostatecznie zohydza w jego oczach wiedzę i naukę, w rozkoszach życia wskazuje mu źródło prawdziwego szczęścia, zamierzając uwięzić na zawsze duchową jego siłę w bezdusznéj apatyi używania i w dzikich namiętnościach zmysłowych. Dla dopięcia tego celu używa Mefistofel popędów zmysłowéj miłości, téj najwyższéj rozkoszy, do jakiéj zdolną jest cielesna natura człowieka i dlatego wplątuje Fausta w stosunek miłosny z Małgorzatą. Ale tutaj właśnie duch przeczenia okazuje swój fałszywy bo jednostronny pogląd na życie i dla tego w postępowaniu swojém błądzi i wprost przeciwne zamierzonym osiąga rezultaty.

Zapatrując się wyłącznie z ujemnéj strony na wszelkie wyższe objawy życiowe, widzi on w miłości płciowéj jedynie pospolitą, zmysłową jéj stronę, nie dostrzega zaś i nie pojmuje wyższych jéj składowych żywiołów, skutkiem tego nie przypuszcza uszlachetniającego

jéj wpływu, widzi w niéj tylko środek opanowania duszy ludzkiéj przez dziką żądzę. Zobaczmy, jaka jest ta wyższa natura miłości i na czém polega dodatni jéj wpływ.

Miłość płciowa, w podnioślejszém i szerszém jéj pojęciu, to niezmiernie złożony kompleks uczuć, którego punktem wyjścia jest prosty popęd zmysłowy, a najdalsze ewolucyjne ogniwa sięgają w najwyższe sfery moralnéj natury człowieka. Zauważmy bowiem, iż podstawą wszelkiego moralnego rozwoju społeczeństwa jest odpowiedni rozwój uczuć altruistycznych,—zarodkową zaś postacią tych uczuć jest niewątpliwie popęd płciowy jako objaw dążności zachowawczéj gatunku, która to dążność, w swéj wyższéj i rozleglejszéj formie, jest także ostateczną treścią wszelkiego altruizmu. O ile więc w życiu społecznèm uczucia altruistyczne osiągnęły mniéj lub więcéj znaczny udział, muszą one przedewszystkiém wystąpić w téj sferze pojawów życiowych, która jest bezpośrednim produktem rozwinięcia prostego popędu płciowego, tj. w miłości płciowéj i wynikających z niéj uczuciach rodzinnych; stąd wynika, iż sfera stosunków płciowych i rodzinnych prędzéj niż wszelkie inne stosunki życia otrzymuje przez udział altruizmu wyższy moralny charakter. Stosunek miłosny dwojga ludzi, stojących na pewnym stopniu moralnéj kultury, nie może się opierać wyłącznie na prostym zmysłowym popędzie; wyższego porządku uczucia, określające ich moralną istotę, znajdują w tym stosunku swój wyraz i nadają mu szlachetniejszy charakter. Główny udział w tym uszlachetniającym wpływie przypada kobiecie: w obecnym bowiem ustroju społecznym rola jéj życiowa ograniczona jest prawie wyłącznie do sfery stosunków rodzinnych; naturalną jest więc rzeczą, iż w uczuciach, będących podstawą tych stosunków, wyraża się cała jéj psychiczna istota. Podczas gdy mężczyzna zużywa siły swéj duszy na rozległéj arenie ogólno-społecznéj działalności: kobieta wszystkie swe zasoby duchowe, całą treść swéj moralnéj istoty składa w stosunku miłosnym, podnosząc przez to niezmiernie jego etyczną wartość. Takim sposobem kobieta przez miłość oddziaływa dodatnio na moralny charakter mężczyzny.

Rozważmy teraz o ile Małgorzata, jako pewien typ niewieściéj natury, zdolną jest wywrzéć taki dodatni wpływ na Fausta.

Głównym rysem charakteru Małgorzaty jest siła miłości w najobszerniejszém i najwznioślejszém jéj pojęciu. Miłość, pełna poświęcenia i zaparcia siebie, uszlachetnia jéj postać i wznosi ją na wyższe stanowisko moralne. Ta okoliczność, iż miłość prowadzi ją do upadku, nie poniża moralnéj wartości jéj charakteru, nie świadczy o przewadze w jéj jestestwie zmysłowych popędów: bo najprzód nie ulega wątpliwości, iż upadek Małgorzaty, podobnie jak to najczęściéj bywa

w tego rodzaju zdarzeniach, nie tyle wynika ze zmysłowéj jéj natury, ile z nadmiaru miłosnego zaufania, z całkowitego oddania się ukochanemu, które sprawia utratę wszelkiéj siły odpornéj, wszelkiéj prawie samodzielności; następnie zaś, o ile nawet zmysłowość ma pewien udział w upadku Małgorzaty, wina jéj w téj mierze okupiona jest stokrotnie cierpieniem i dobrowolną pokutą, które świadczą o przewadze w jéj duszy etycznych żywiołów nad pospolitą zmysłowością. W ogóle bowiem pamiętać należy, iż moralna wartość człowieka nie polega na zupełnym braku niższych popędów w jego życiu psychiczném, gdyż to byłoby przeciwne naturze, lecz na dominującym wpływie w niém wyższych sił duchowych. Że w charakterze Małgorzaty te ostatnie siły przeważny mają udział, to okazuje nietylko podniosły charakter jéj miłości i fakt dobrowolnéj pokuty, lecz nadto cały ogół jéj cech moralnych: głęboka wiara i pobożność, prostota serca, szczera ufność, uczucia rodzinne i mnóstwo podobnych rysów, które w każdém jéj słowie, w każdém uczuciu tak wybitnie okazują w niéj doskonały, moralny typ natury prawdziwie kobiecéj.

Co do zewnętrznych, estetycznych cech Małgorzaty, grających tak ważną rolę w stosunku kobiety do mężczyzny: to czyż trzeba szeroko się rozwodzić, aby okazać, iż pod tym względem, jest ona cudném zjawiskiem. Kto raz przeczyta Fausta, nie może się oprzéć urokowi téj postaci: w każdém poruszeniu jéj umysłu, w każdém uczuciu, w każdém nieomal słowie i ruchu jest jakiś czar niewysłowionego wdzięku; jakiś niepochwytny powab miękkości niewieściéj. Jeśli wewnętrzne przymioty jéj duszy czynią ją doskonałym typem moralnéj natury niewieściéj, to, z drugiéj strony, niezrównana piękność i wdzięk wznoszą ją na wyżyny ideału estetycznego kobiecości.

A wszystkie te przymioty Małgorzaty, tak moralne jako téż estetyczne, podniesione są niezmiernie przez bijącą w oczy prawdę swych objawów. Całe jéj zachowanie wskazuje, iż nie ma w niéj ani odrobiny sztuki i fałszu, wszystkie jéj uczucia, czyny i myśli płyną z najgłębszych właściwości jéj psychicznéj istoty, są bezpośrednim objawem jéj czystéj i pięknéj natury.

Wreszcie zauważyć należy, iż cały sposób przedstawienia postaci Małgorzaty czyni ją nietylko tak typowém i pięknem zjawiskiem, lecz nadto, przez umiejętne i wszechstronne nagromadzenie różnorodnych cech i przymiotów nadaje jéj nadzwyczajną plastyczną wydatność. Jest to jedna z tych kreacyi poetycznych, które z nieprzepartą siłą narzucają się naszéj wyobraźni, jak żywe stają przed naszemi oczami i zmuszają nas nieomal do wiary w swą realną egzystencyą.

Już to w ogóle wiadomo jest powszechnie, iż Goethe osobliwie był szczęśliwy w tworzeniu postaci niewieścich. Żaden poeta nie utworzył tylu i tak doskonałych typów kobiecych. Dorota, Karolina w cierpieniach Werthera, Klara w Egmoncie, Otylia w Powinowactwach z wyboru, Mignon i Filina w Wilhelmie Meistrze:—oto kilka wydatniejszych przykładów. A w całéj téj galeryi tak różnorodnych, a zawsze tak niezrównanie prawdziwych i pięknych typów—Małgorzata, ze względu na głębokość charakteryzujących ją cech i najwyższy artyzm w ich przedstawieniu, zajmuje niewątpliwie najpierwsze, a przynajmniéj jedno z najpierwszych miejsc.

Naturalną jest rzeczą, iż taka istota jak Małgorzata musiała wywrzéć nadzwyczaj silne wrażenie na umyśle Fausta. Wiemy, iż obdarzony on jest zarówno żywą wrażliwością zmysłowo-uczuciową, jak wielką siłą duchowo-intelektualną: Małgorzata, jako tak urocze zjawisko natury zadawalnia wymagania pierwszéj strony jego jestestwa, jako wyższy moralny typ podnosi i uszlachetnia jego duchową istotę. Miłość Małgorzaty jest dla Fausta pierwszém dodatniem następstwem porzucenia bezpłodnych spekulacyi i zwrócenia się do realnego życia; w stosunku tym znajduje on to, czego nadaremnie szukał poprzednio i o możliwości czego zwątpił zupełnie: pozytywny objaw życia, zdolny zaspokoić wyższe pragnienia natury ludzkiéj i dostarczyć jéj przynajmniéj kilka chwil prawdziwego szczęścia. Takim sposobem Mefistofel przez wplątanie Fausta w ten stosunek, działając w zamiarze wprost przeciwnym, wyświadcza mu mimo woli niewątpliwą przysługę, umożliwia dalszy postęp na drodze udoskonalenia psychicznego. Wprawdzie w pierwszéj chwili i w niektórych dalszych momentach akcyi, zły duch zdaje się być bliski swego celu:—niewieści powab Małgorzaty wzbudza w Fauście przedewszystkiém żądzę zmysłową, jako najprostsze, a zatém najpierw występujące zjawisko psychiczne, lecz wkrótce uczucie jego zostaje uszlachetnione przez wyższe psychiczne żywioły: piękność i wdzięk ukochanéj wywołują estetyczny zachwyt, moralne jéj przymioty wzbudzają szacunek i cześć głęboką—jedném słowem, prosty popęd zamienia się w złożone uczucie prawdziwéj miłości.

Wskutek ujemnego wpływu Mefistofela, zmysłowa żądza osiąga chwilową przewagę nad wyższemi uczuciami i duch przeczenia cieszy się krótkim tryumfem w obec tragicznéj katastrofy Małgorzaty; ostatecznie jednak upadek jéj oraz cierpienie i skrucha pokutnicza, będące jego następstwem, dodatnio wpływają na moralną naturę Fausta, budząc w nim siłę duchowego współczucia, która stanowi najwyższą humanitarną treść jego jestestwa.

Prawda, że ten ostatni wynik stosunku Małgorzaty i Fausta w téj części tragedyi, jak to na właściwém miejscu zobaczymy, zbyt słabo i pobieżnie jest przedstawiony. Motyw ten powraca w dalszém rozwinięciu w zakończeniu 2-éj części, gdzie Faust pociągnięty przez wieczno-kobiecy ideał wznosi się do najwyższych sfer duchowego udoskonalenia. Żałować jednak należy, iż i tam przedstawienie owéj ostatecznéj fazy rozwoju Fausta nie jest zupełnie zadawalniające, zawarte jest bowiem tylko, podobnie jak cała osnowa 2-éj części, w dosyć mglistych symbolach, pozbawione realnéj siły i żywszego kolorytu. W każdym razie przyznać trzeba, iż jakkolwiek w wykonaniu poetyczném swoich idei nie zdołał Goethe wznieść się tu do właściwéj sobie zwykle doskonałości artystycznéj: sam jednak pomysł przedstawienia najwyższego humanitarnego ideału w uszlachetniającym wpływie miłości i poświęcenia jest niezmiernie piękny, głęboki i odbija w sobie najwznioślejsze strony ludzkiego ducha.

Taki jest w ogólnych zarysach charakter i takie znaczenie epizodu Małgorzaty. Jak wskazane powyżéj zasadnicze jego motywa rozwinięte i przedstawione zostały w szczegółach: to nam okaże bliższy przegląd i rozbiór pojedyńczych scen, do czego obecnie przystępujemy.

Faust spotyka na ulicy Małgorzatę, powracającą z kościoła. Piękność i wdzięk młodéj dziewczyny czyni na nim nadzwyczajne wrażenie, a ponieważ pozostaje on obecnie pod bezpośrednim wpływem napoju czarownego, wrażenie to objawia się w gwałtownéj pożądliwości zmysłowéj, wyrażającéj się w sposób wielce pospolity i brutalny. Jednakże w bezpośrednio następującéj scenie w pokoju Małgorzaty, gdzie Mefistofel go wprowadza w czasie jéj nieobecności, uczucie jego przybiera już całkiem odmienny, szlachetniejszy charakter. W monologu, który tu Faust wypowiada, występuje już nie prosta pożądliwość zmysłowa, lecz ten nader złożony kompleks uczuciowy, w którego skład wchodzą często najsprzeczniejsze żywioły, a który nazywamy właściwie miłością. Prosty popęd płciowy gra tu naturalnie także swoję rolę, ale inny przybiera charakter: brutalna pożądliwość zamienia się w tę nieokreśloną tęsknotę, która stanowi specyficzną cechę miłości płciowéj, a jest nie czém inném, jak objawem prostego popędu, ograniczonego w swobodnym swym wylewie przez działanie innych wyższego porządku stanów psychicznych. Tutaj, we wspomnianym monologu te wyższe uczucia nader charakterystycznie się wyrażają. Faust, wchodząc do dziewiczéj izdebki Małgorzaty, przejęty zostaje pełnym szacunku podziwem w obec téj harmonii i spokoju, któremi tu wszystko oddycha, a w których zdaje się objawiać czysta dusza młodéj dziewczyny; uczuwa

trwogę, odrazę do siebie samego i do swych grzesznych żądz, żal i zgryzotę, iż ośmielił się znieważyć swoją obecnością ten cichy przybytek niewinności. Wyobraża sobie: gdyby w téj chwili weszła ukochana, jakże strasznie musiałby cierpieć za swą zbrodnię, u nóg jéj w prochu błagałby przebaczenia. To też gdy Mefistofel budzi go nagle z miłosnéj zadumy, gwałtownie wykrzykuje: "Precz! precz! nigdy tu już nie powrócę.

Następna scena rozpoczyna szereg tych przepysznych poetycznych obrazów, stanowiących tragedyą Małgorzaty, w których Goethe nagromadził tyle różnorodnych uczuć, począwszy od pełnéj niewysłowionego uroku naiwności dziewczęcéj aż do najwyższéj tragicznéj grozy, cierpienia i rozpaczy. W téj scenie widzimy pierwszy objaw budzącego się w sercu Małgorzaty uczucia. Spotkanie z Faustem i jego trochę zuchwała zaczepka pozostawiły pewne, dość silne i dość miłe wrażenie,—postać śmiałego zalotnika żywo utkwiła w jéj pamięci. Pod wpływem nieokreślonego nastroju budzących się uczuć śpiewa tęskną balladę ludową. Ballada ta jest jakby wstępem do mającego się wkrótce rozegrać miłosnego dramatu, osnowę jéj stanowi melancholijny wyraz uczucia głębokiéj, trwalszéj nad śmierć miłości. Zasadniczy motyw epizodu Małgorzaty występuje tu w lirycznéj pieśni, pełnéj niewysłowionego czaru poezyi,— rzewny smutek, który ją przenika, jest jakby zapowiedzią, mającéj się rozegrać w następnych scenach bolesnéj tragedyi. Nie potrzebuję zastanawiać się dłużéj nad wrażeniem, jakie czynią na Małgorzatę znalezione klejnoty: z bijącą w oczy prawdą objawia się w niém to tak właściwe kobietom uczucie próżności i zamiłowanie w strojach. Rys ten uzupełnia charakterystykę jéj czysto-niewieściéj natury. Pomijam tu następną scenę między Faustem i Mefistofelem jako epizodyczną i przechodzę do sceny w domu Marty oraz przechadzki w ogrodzie.

W pierwszéj z tych scen Mefistofel, który poprzednio w rozmowie z Faustem przewidywał trudność opanowania swym demonicznym wpływem czystéj duszy niewinnego i pełnego szczeréj wiary dziewczęcia, ucieka się do pośrednictwa Marty, jakby w myśl naszego przysłowia: gdzie dyabeł nie może, tam babę pośle. I rzeczywiście, Marta jest jakby stworzona na taką dyabelską pośredniczkę: jest to typ pospolitéj, przewrotnéj kobiety, traktowanéj przez poetę z wybornym, pełnym charakteru komizmem. Humorystyczny jéj dyalog z Mefistofelem daje nam poznać nader charakterystycznie pospolitość jéj uczuć i myśli. Wrażenie, jakie czyni na niéj wiadomość o śmierci męża, czułe wspomnienie o nieboszczyku, chęć upewnienia się jednak o jego śmierci, — wszystko to rysy pełne dosadnéj typo-

wości. Małgorzata w całéj téj scenie mały bierze udział: żywe współczucie, jakie objawia dla mniemanego cierpienia Marty, daje poznać dobroć jéj niewinnego serca, odpowiedzi na ambarasujące komplementa Mefistofela wskazują na prostotę i naiwność jéj myśli.

Wyborna scena w ogrodzie dostarcza nowych rysów do charakterystyki Małgorzaty. Kontrast dwóch przechadzających się par służy do tém lepszego uwydatnienia poetycznéj miłości Małgorzaty i komicznéj zalotności Marty. Pełne uczciwéj szczerości zwierzenia Małgorzaty określają bardzo charakterystycznie właściwy jéj ogólny nastrój umysłowy, a jednocześnie przez swoje szczegóły dostarczają wiele rysów uzupełniających jéj charakterystykę. Naiwność, która stanowi jednę z wybitnych cech Małgorzaty, a szczególnie w niniejszéj scenie jest uwydatniona, określa wogóle typowo prosty i niewinny umysł młodéj dziewczyny. Niezależnie jednak od tego ma w sobie coś specyficznie niemieckiego. Wiadomo, że młode Niemki w szczególnie wysokim stopniu posiadają tę cechę. Ta naiwność, jeśli kontrastuje zbytecznie z warunkami bytu towarzyskiego staje się czasem śmieszną,— o ile jednak jest wyrazem naturalnéj prostoty i szczerości uczuć, posiada wysoką estetyczną wartość, jako objaw prawdy i natury w przeciwstawieniu do konwencyonalnego fałszu i sztuczności, które cechują zazwyczaj nasze stosunki towarzyskie. Goethe zużytkował znakomicie tę właściwość kobiet niemieckich, podnosząc przez nią niezmiernie wdzięk i urok poetycznéj swéj kreacyi. Oczywiście, że naiwność Małgorzaty nie zostaje w sprzeczności z warunkami jéj bytu towarzyskiego, owszem wybornie z nimi harmonizuje,— połączona zaś z żywą i głęboką uczuciowością, umożliwia wyrażenie wewnętrznych poruszeń duszy w sposób niezmiernie naturalny i czyni postać Małgorzaty prawdziwie czarującém zjawiskiem natury, jedną z najpiękniejszych i zarazem najprawdziwszych kreacyi poetycznych.

Opuszczam teraz na chwilę rozbiór roli Małgorzaty i zwracam się do Fausta. Scena w lesie i jaskini (*Wald und Höhle*) daje nam poznać obecny stan jego uczuć. Sytuacya jest następująca: Faust obawiając się następstw swéj gwałtownéj namiętności dla Małgorzaty i przewidując, iż może zniszczyć spokój i niewinność ukochanéj, ucieka od niéj i w samotném ustroniu zatapia się w kontemplacyi natury. Widzieliśmy poprzednio w wielkim monologu, w scenie przechadzki z Wagnerem i w scenie układu z Mefistofelem, jak żywe posiada Faust uczucie dla natury: z wewnętrzną tęsknotą zwraca się tam do niéj, pragnie odczuć w swém łonie działanie potężnych jéj sił, ogarnąć ją swém uczuciem. Otóż teraz te pragnienia w znacznéj części znajdują urzeczywistnienie. Uczucie, jakie żywi dla Mał-

gorzaty zbliża go do natury, budzi w jego piersi jednę z najwyższych naturalnych potęg. Teraz Faust czuje się jedném ogniwem w tym wielkim łańcuchu zjawisk przyrody; może wzierać w głęboką jéj pierś jak w łono przyjaciela; w niezliczonych miryadach tworów widzi pokrewne, bratnie sobie istoty. Zwrot do potężnego ducha, którym się rozpoczyna ten monolog, trochę niejasny, a przynajmniéj daje powód do bardzo dziwacznych wykładów myśli poety. Tak np. tłómacz polski Fausta p. Jezierski słowa: „nienapróżno twarz swoję ku mnie zwróciłeś w płomieniu" — objaśnia w ten sposób, iż w nich leży napomknienie co do podania biblijnego o ukazaniu się Mojżeszowi bóstwa w krzaku gorejącym, a w całym monologu widzi wspomnienia o przedwieczném, rajskiéj jednolitości człowieka z naturą. Pominąwszy już, iż ten wykład jest niekonsekwentny, bo jakiż ma związek widzenie Mojżesza z rajskim bytem człowieka, — ale jest on przytém bardzo naciągnięty i nieuzasadniony. Ten ustęp daleko prościéj i naturalniéj daje się objaśnić. Nie ulega wątpliwości, iż Faust zwraca się tu do ducha ziemi, który w płomieniu též ukazuje mu się w pierwszéj scenie tragedyi. Wiemy, że duch ziemi jest symbolem ziemskiéj natury, — rzecz więc prosta, iż jemu, t. j. naturze zawdzięcza Faust to uczucie wewnętrznego szczęścia, jakiego doznaje obecnie. Również łatwo da się wytłómaczyć i ten ustęp, w którym Faust skarży się, iż dany mu jest przez potężnego ducha ów zimny, szyderczy towarzysz, który zamąca i psuje pełnię wyższego szczęścia. Wiemy, iż zadanie Mefistofela polega na odciągnięciu Fausta od dążenia w pozaświatowe sfery, zwróceniu jego dążeń ku ziemi, ku naturze, — zatém słusznie Faust uważa Mefistofela jako zesłańca, jako jeden z organów owego potężnego ducha. W całym tym monologu przebija nader charakterystycznie naturalistyczny pogląd Goethego na życie ludzkie i jego stosunek do ogółu przyrody: pogląd, który jest jedną z zasadniczych idei wielkiego poety, wielokrotnie wyrażoną w różnych jego dziełach. Goethe, znakomity przyrodoznawca, jeden z poprzedników współczesnéj teoryi rozwoju, pojmował już wybornie tę wielką prawdę, która dopiero za naszych czasów ogólniejsze znajduje uznanie, mianowicie powszechność i jednorodność praw przyrody. To braterstwo z ogółem tworów przyrody, do jakiego się tu Faust poczuwa, nie jest jakiémś mistyczném wspomnieniem rajskiego bytu — jak niefortunnie przypuszcza p. Jezierski — ale wynika z przeświadczenia o jednolitéj naturze wszystkich zjawisk przyrody, w któréj wszystko się łączy w jednę wielką całość, w jeden nieskończony łańcuch rozwoju. Jest to jeden z tych poglądów, w którym Goethe uprzedził swój czas, co kilkakrotnie podnosiłem, jako wybitną cechę jego geniuszu.

W następującym potém dyalogu Mefistofel stara się skłonić Fausta, aby powrócił do swéj kochanki i dokonał uwiedzenia biednéj dziewczyny. Faust broni się przeciw tym pokusom szatana, ale własna jego rozgorzała namiętność czyni obronę zbyt słabą. Teraz, kiedy z takiém uniesieniem rzucił się na łono natury, nie może się oprzeć najpotężniejszemu z jéj popędów. Mefistofel w téj scenie, jak wogóle w całym epizodzie Małgorzaty, występuje przeważnie w charakterze kusiciela, starającego się zwrócić Fausta w kierunku pospolitéj zmysłowéj rozkoszy. Ta to scena dała zapewne Düntzerowi powód do uważania Mefistofela za uosobienie zmysłowych popędów; poprzednio jednak starałem się okazać, że rola, jaką on tu odegrywa, cynizm będący jéj cechą, są tylko konsekwencyą negacyi i sceptyzmu, które stanowią zasadnicze cechy jego charakteru: Mefistofel wciąga Fausta w wir zmysłowości, ażeby w końcu wyszydzić tak samo nędzę natury ludzkiéj w tym zakresie, jak poprzednio wyszydza ją w sferze wyższych duchowych dążeń. Zresztą i w tym epizodzie zachowuje on zawsze właściwy sobie sarkastyczny ton, i wypowiada wiele wybornych satyrycznych myśli, pomieszanych z nader zręczną sofistyką. Zwrócę uwagę na owe humorystyczne opowiadanie o zabraniu przez księdza klejnotów, komiczny dyalog z Martą, dowcipną uwagę o zakochanych, którzy na rozrywkę lubéj gotowi słońce, księżyc i wszystkie gwiazdy wysadzić w powietrze. Przykładowo wymieniłem te kilka miejsc; gdyby bowiem kto chciał wszystko wyliczać, co godne uwagi w roli Mefistofela, musiałby ją prawie całą przepisać.

Scena przy kołowrotku zapowiada zbliżającą się w całéj grozie tragedyą miłości. Dotąd poznaliśmy spokojne, czyste serce niewinnéj dziewczyny: jéj piękną naturę, wśród któréj budzą się i rozwijają pierwsze błyski uczucia. Teraz to uczucie dochodzi do najwyższéj potęgi, w przecudnym monologu wyraża Małgorzata miłość, która przenika całą jéj istotę. A obok tego budzą się w jéj duszy bolesne przeczucia o straconém nazawsze szczęściu i spokoju. Głowa jéj w obłędzie—na sercu ciężar—myśl stargana. Uczucie wyraża się tu z porywającą siłą ekspresyi i najwyższą prawdą psychiczną. Zwracam uwagę na tę pyszną gradacyą uczuciowego nastroju: Małgorzata przypomina sobie postać ukochanego, jego chód wspaniały, szlachetną postawę, uśmiech ust, oczu potęgę.

Urok mowy jego	Und seiner Rede
Koi mnie, czaruje,	Zauberfluss,
Uściśnienie dłoni,	Sein Händedruck,
Ach! i całus czuję!	Und ach! sein Kuss!

Pod wpływem wyobraźni wznosi się żywość uczucia, aż wkońcu wybucha namiętnym okrzykiem żądzy:

Gdybym mogła wreszcie	Ach, dürft' ich fassen
Ująć go, przytrzymać!	Und halten ihn!
Wiecznie go całować,	Und Küssen ihn
Jakbym tylko chciała,	So wie ich wollt,
Choćbym w tych całusach	An seinen Küssen
Sama zginąć miała.	Vergehen sollt'!

W następującéj scenie przedstawiona jest jeszcze jedna szczęśliwa chwila stosunku dwojga kochanków. Tutaj spotykamy nowy charakterystyczny rys miłości Małgorzaty. Pełne szczeréj wiary i pobożności dziewczę podejrzywa o obojętność religijną kochanka,— troszcząc się o zbawienie jego duszy z naiwną prostotą usiłuje go nawrócić. Zapytania jéj w kwestyi wiary wywołują sławną odpowiedź Fausta, która powszechnie jest uważana za poetyczny wyraz panteistycznych przekonań Goethego. Rzeczywiście jest to wspaniały hymn na cześć bóstwa, objawiającego się w naturze i ma w sobie zatém pewien charakter panteistyczny. Jednakowoż sądzę, że panteizm Goethego, tak jak on się tu i w innych miejscach objawia, ma pewien odrębny charakter: mianowicie nie jest ugruntowany na jakiejś apriorystycznéj teoryi filozoficznéj, lecz na uznaniu *a posteriori* powszechności praw natury — jest więc raczéj naturalizmem. Powyżéj już zaznaczyłem to naturalistyczne stanowisko Goethego. I tutaj jest ono widoczne. Faust uznając zjawiska natury, jako ostateczny przedmiot naszéj świadomości, w nich jedynie widzi objaw niepoznawalnego w swéj istocie pierwiastku, będącego zasadą i źródłem istnienia. Jest to więc religia naturalna, którą i współcześni filozofowie naturaliści, jak np. H. Spencer, uznają jako konieczny czynnik ludzkiéj umysłowości. Przytém zaznaczyć należy, że to wyznanie wiary Fausta jest charakterystycznym objawem obecnego stanu jego duszy. Poprzednio rozpaczliwie wątpił on o istnieniu jakiejkolwiek wyższéj zasady bytu, następnie rzucił straszliwe przekleństwo na wszystkie objawy życia. Teraz pod wpływem tych uczuć, jakie Małgorzata obudziła w jego sercu, szczęścia, jakie mu daje jéj miłość, uznaje w życiu i naturze objaw bytu jakiejś najwyższéj, najdoskonalszéj istoty. To téż stosownie do obecnego swego stanu w uczuciu, w szczęściu, miłości, sercu widzi ten niepojęty pierwiastek istnienia. Wreszcie zaznaczyć należy szczególnie wybitnie okazujące się w téj scenie charakterystyczne różnice we wzajemnym stosunku tych trzech typów, które wypełniają głównie pierwszą część tragedyi: Faust, Małgorzata i Mefistofel. Z jednéj strony Małgorzata— wcielenie wiary i miłości, wszystkiego, co najwięcéj pozytywne w życiu, co najwyższą nadaje mu wartość; na przeciwległym krańcu Mefistofeles—negacya życia, duch krytyki i sceptyzmu, a w pośród tych

dwóch tak sprzecznych istot—Faust, natura ludzka w rozwoju, dążeniu do udoskonalenia, ulega naprzemian wpływom obojga. Wpływ Małgorzaty objawia się w zbudzeniu w nim szlachetniejszych uczuć miłości i wiary w podniosłe strony życia i natury ; wpływ Mefistofela w pobudzeniu dzikiéj żądzy, negującéj przyrodzone prawa moralne. Obecnie wpływ Mefistofela osiąga przewagę, ślepy popęd zwycięża wyższe uczucia, wchodzące w skład jego miłości, któremi powodowany Faust uważał za zbrodnię przekroczenie progu mieszkania ukochanéj i uciekał przed pokusą własnéj żądzy, obecnie ulegając jéj korzysta z miłosnego odurzenia kochanki. Przy końcu téj sceny upadek Małgorzaty daje się przewidziéć.

Dalszy rozwój akcyi jest dość niejasny, w wielu miejscach niedostatecznie uzasadniony i obok pierwszorzędnych piękności zawiera bardzo słabe strony. Już-to wogóle akcya w Fauście nie rozwija się jednym ciągiem, lecz idzie skokami, pojedyncze sceny nie łączą się z sobą ściśle; wynika to z saméj natury przedmiotu. Poprzednie jednak sceny, jakkolwiek nie stanowią nieprzerwanego ciągu, pozostają jednak z sobą w pewnym logicznym związku. Otóż tego związku brak niekiedy w dalszych scenach. Chodziło tu o przedstawienie tragicznych następstw upadku Małgorzaty: poeta nagromadził więc pewną ilość wysoce tragicznych sytuacyi, niezbyt troszcząc się o konsekwencyą w ich następstwie. Pierwszą słabą stroną jest fakt śmierci matki Małgorzaty, spowodowanéj, jak się domyślać trzeba, usypiającym płynem, który Faust daje kochance. Faust poleca Małgorzacie nalać trzy krople tego płynu do napoju matki, co sprowadzi mocny sen, pozostawiający wszelką swobodę kochankom. Przypuścić należy, jak to czyni Düntzer, że Małgorzata w pomięszaniu zbyt wiele wlała płynu, następstwem czego była śmierć matki. Ale sama ta okoliczność, iż trzeba się dopiero domyślać istotnego przebiegu tak ważnego zdarzenia — jest już niemałą wadą. Daléj, w scenach bezpośrednio następujących po upadku Małgorzaty, śmierć matki nie jest widocznie przypuszczaną : jest o niéj wzmianka dopiero w scenie w kościele, co oczywiście jest także niekonsekwentne. Prawdopodobnie przyczyną tego jest, iż Goethe, który, jak wiadomo, w różnych czasach tworzył pojedyncze sceny swego poematu, pisząc następne sceny, zapomniał o szczególe zawartym w poprzedniéj. Drugą ujemną stroną jest scena śmierci Walentego, mianowicie rola, jaką w niéj Faust odegrywa. Rzecz dzieje się tu w nocy przede drzwiami Małgorzaty; Faust przychodzi w towarzystwie Mefistofela, chce nowego podarku dla kochanki; słucha obojętnie jak Mefistofel śpiewa złośliwą piosnkę, w któréj wyszydza nieszczęście Małgorzaty. Walenty ukazuje się, aby pomścić hańbę siostry, — Faust zabija go

w pojedynku przy pomocy Mefistofela i następnie z tym ostatnim ucieka. Otóż oczywistém jest, iż całe to zachowanie się Fausta w nazbyt poniżający sposób wystawia jego charakter i nie zgadza się ze szlachetnym gruntem jego moralnéj natury. Wprawdzie Faust wypowiada tu poczucie swéj winy, mówi o ciemnościach zapełniających wnętrzne jego duszy, z drugiéj strony dodać należy, że pozostaje on pod wpływem demonicznym Mefistofela. Ale co do pierwszego, to wyraz téj świadomości winy jest zbyt słaby; co do drugiego zaś, to naturalne jest, że Mefistofel mógł Fausta popchnąć do występków, nawet do zbrodni, przez pobudzenie jego namiętności, jak to widzimy w uwiedzeniu Małgorzaty, ale mniéj jest naturalne, aby go mógł skłonić do postępowania, obrażającego wszelkie delikatniejsze i wyższe uczucie — do czynów świadczących o niskim sposobie myślenia. Trzeba bowiem zawsze pamiętać, że Mefistofel to nie zwykły dyabeł ludowy, któremu-by Faust zaprzedał duszę, lecz uosobienie pewnych wpływów zewnętrznych oddziaływających na niego raz w kierunku dodatnim, to ujemnym, zależnie od nastroju psychicznych sił jego w różnych sytuacyach życia. Tak poeta zawsze przedstawia znaczenie wpływu Mefistofela, zawsze on wyzyskuje w swych widokach naturalne właściwości charakteru Fausta, nie pozbawiając go jednak samodzielności. Otóż z tego stanowiska zapatrując się na postępowanie Fausta w scenie śmierci Walentego, musimy uznać w niém brak prawdy i konsekwencyi, gdyż jest ono nacechowane najzupełniejszą biernością, a przytém zdradza takie strony charakteru, jakich w Fauście żadną miarą przypuścić nie możemy, mając na uwadze ogólne wrażenie, jakie na nas czyni jego postać w tragedyi. Chodziło tu widocznie poecie o podniesienie tragizmu sytuacyi Małgorzaty i, podobnie jak poprzednio fakt śmierci matki, również w mniéj szczęśliwy sposób przedstawił dla osiągnięcia tego celu śmierć Walentego z ręki Fausta. Niezależnie od tego znajdują się w téj scenie bardzo piękne miejsca. Twarda, żołnierska dusza Walentego wyraża się z wielką siłą w szorstkich i dosadnych słowach; nielitościwa jego srogość względem siostry uzasadniona jest przez głębokie poczucie honoru, tragiczność sytuacyi Małgorzaty wznosi się do najwyższego stopnia.

Trzy sceny: u studni, przed obrazem Matki Boskiéj i w kościele dają poznać stopniowe wzmaganie się cierpienia i rozpaczy w duszy Małgorzaty.

Scena u studni, traktowana w guście bardzo realistycznym, przedstawia nader typowo bezwzględny, nielitościwy głos potępienia pospolitéj opinii publicznéj wobec wszelkiego przekroczenia przez kobietę istniejących wyobrażeń moralnych. Wiadomo, że właśnie

kobiety są w takich razach najskorsze do rzucenia kamieniem na biedną grzesznicę, jak to czyni Elżbietka w niniejszéj scenie.

Monolog, w którym Małgorzata przypomina sobie, jak to i ona niegdyś umiała być surową dla innych, zanim własne doświadczenie nauczyło ją wyrozumiałości,—podnosi jeszcze realizm i charakterystyczność téj sceny.

W cudnéj modlitwie przed obrazem Matki Boskiéj wyraża się stan okropnego przygnębienia i rozpaczy Małgorzaty. Jest coś poruszającego do głębi duszy w tym obrazie nieszczęśliwiéj, cierpiącéj istoty, uciekającéj się ze szczerą wiarą i ufnością pod opiekuńcze skrzydła najwyższego ideału miłości i miłosierdzia. Krótki, urywany wiersz, z nierówną miarą i na nierówne podzielony zwrotki podnosi jeszcze plastyczność w wyrażeniu zamieszania i rozpaczy, panujących w duszy Małgorzaty.

Wreszcie tragiczność wznosi się do najwyższéj potęgi w pysznéj scenie kościelnéj. Nigdy pono poezya nie zdołała za pomocą równie prostych środków wywołać tak potężnego wrażenia. Sytuacya nader prosta: Małgorzata w kościele wpośród tłumu ludzi, dręczące ją myśli i wyrzuty sumienia uosobione w postaci złego ducha. Dokoła brzmią uroczyste tony organu i rozlega się ponury chór, głoszący straszliwość sądów bożych nad grzesznikami. Krótki, nierymowany, najdowolniéj poszarpany wiersz, w którym zły duch ze straszliwą żywością wyraża wielkość grzechu i okropność kary, okrzyki rozpaczy nieszczęśliwéj grzesznicy, a nadewszystko ów hymm *Dies irae*, w którym poeta średniowieczny z całą żywością wyobraźni, rozgorzałéj religijną ekstazą, kreśli ponurą grozę ostatecznego sądu: wszystko to potęguje do najwyższego stopnia tragiczność téj niewymownie pięknéj sceny. Powtarzający się dwukrotnie wiersz ostatniéj zwrotki: „*Quid sum miser tunc dicturus*"—wyobraża przygniatające wrażenie, jakie czyni na umyśle Małgorzaty zapowiedź straszliwego sądu.

Po téj scenie tak głęboko tragicznéj naraz czytelnik przeniesiony zostaje w dzikie orgie sabatu czarownic. Kontrast bardzo dziwaczny i niezbyt artystyczny. Zapewne, bezwzględnie biorąc, cały epizod nocy Walpurgi jest wadą ogólnéj budowy tragedyi:—główna akcya zostaje przerwaną przez nader długi epizod, który ani treścią, ani charakterem prawie się z nią nie łączy. Jednakże wada ta zupełnie różna od tych, które powyżéj wskazałem: tam znajdują się wadliwe sytuacye w saméj głównéj akcyi i użyte zostały z konieczności w braku innych lepszych; tutaj poeta wtrącił ten epizod, bo mu się tak podobało, bez żadnéj konieczności i oddzielił go zupełnie od głównéj osnowy. Komu się podoba, może opuścić cały ten ustęp

i przejść odrazu do ostatnich scen tragedyi i w przedstawieniu scenicznem Fausta zawsze też on bywa opuszczany. Jest to więc całość zupełnie odrębna i jako taka nie przynosi żadnéj ujmy innym scenom tragedyi. Prawda, iż jest tu pewien związek z akcyą główną, ale nader słaby. Wyobrażona jest tu mianowicie szalona orgia rozpasanéj zmysłowości, w którą Mefistofel wciąga Fausta, aby oderwać go od nieszczęśliwéj kochanki. Ale ta strona jest bardzo pobieżnie traktowana,—główną zaś rzeczą są ustępy nie mające żadnego związku z biegiem akcyi: głównie satyra zwrócona przeciw najrozmaitszym ogólnym i szczególnym stosunkom: społecznym, literackim, politycznym, osobistym itd., są tu rzeczy, dotyczące współczesnych i miejscowych faktów, które zatém obecnie bez komentarza są już zupełnie niezrozumiałe. Uważany jako odrębna całość, epizod ten niepospolite ma zalety. Jest to dziwna mieszanina najrozmaitszych żywiołów poetyckich. Ogólne tło obrazu stanowi dzika legenda ludowa o sabatach czarownic i diabelskich orgiach. Na tém tle, z iście romantyczną dowolnością, porozrzucał poeta różnorodne postaci i obrazy, odtworzone z niezrównaną plastyką i żywością, poruszające się w szalonym wirze jakiejś demonicznéj gorączki zmysłów. A wszystko prawie przeniknięte głębszą myślą satyryczną, przyodziane w szatę wytwornego humoru i dowcipu—obok których znów występuje czasem prostackie błaznowanie, gruby komizm, przechodzący niekiedy granice przyzwoitości. Jednèm słowem, rzecz bardzo dziwaczna, ale pomimo tego niepospolicie w swoim rodzaju piękna.

Nie będę się jednak zatrzymywał tu nad szczegółami, gdyż chodzi mi przedewszystkiém o przedstawienie głównéj osnowy poematu, dla któréj ten epizod żadnego prawie nie ma znaczenia.

W scenie bezpośrednio następującéj po nocy Walpurgi (pochmurny dzień,—pole) przedstawiona jest rozpacz Fausta z powodu nieszczęścia kochanki i wściekły jego gniew przeciw Mefistofelowi, który utaił wiadomość o jéj okropnym losie. W jaki sposób dowiedział się Faust o nim, przedstawia to poeta dosyć niewyraźnie w nocy Walpurgi. Faust widzi tam postać młodéj dziewczyny, w więzach z czerwoną pręgą na szyi,—w téj postaci dostrzega podobieństwo do Małgorzaty. Mefistofel jednak odwraca jego uwagę od tego zjawiska, podając je za ułudę czarodziejską. Przypuszczać należy, że nowe nalegania Fausta zmusiły Mefistofela do wyjawienia prawdy. W dyalogu, następującym po tém odkryciu, Faust wybucha szaloną rozpaczą, oburzeniem, gniewem, dochodzącym do wściekłości. Uczucie to wyrażone w słowach niezmiernie silnych i dosadnych,—zbytnia tylko wielomówność osłabia nieco wrażenie. W obec tych

szalonych wybuchów, Mefistofel zachowuje się z lodowatą, szyderczą obojętnością. „Ona nie pierwsza“—taką szyderczą pociechę rzuca złośliwy sceptyk w odpowiedzi na rozpaczne skargi Fausta. Te słowa podnoszą i rozszerzają tragiczność sytuacyi. Przez usta nieubłaganego szydercy wyrażony tu jest ciężki wyrzut, zwrócony do całego społeczeństwa, wśród którego podobne potworne anormalności dziać się mogą, które upadek niewinnéj istoty, grzeszącéj tylko nadmiarem miłości i zaufania, sądzi z bezwzględną surowością, podczas gdy jéj uwodziciel znajduje najzupełniejsze pobłażanie. Wreszcie dodać jeszcze należy, że ten dyalog jak również scena śmierci Walentego wtrącone zostały znacznie późniéj w osnowę tragedyi, mianowicie w latach 1800 i 1803, podczas gdy wszystkie pozostałe sceny epizodu Małgorzaty powstały w r. 1774—75, równocześnie z pierwszą połową monologu, w czasach najszczęśliwszych twórczych natchnień Goethego. Te późniejsze sceny, pod względem poetycznéj siły i świeżości natchnienia, po większéj części nie dorównywają dawniejszym; były one za zwyczaj rezultatem usilnéj pracy i wielokrotnych przeróbek. Szczególniéj odnosi się to do dwóch wspomnianych scen. Pomimo wielu bardzo szczęśliwych miejsc należą one w całości do mniéj udatnych ustępów tragedyi. Toż samo da się powiedziéć o następnéj sześciowierszowéj zaledwie scenie w blizkości rusztowania,—z tą tylko różnicą, iż ta ostatnia wydaje mi się zupełnie zbyteczną, nie zawiera w sobie nic charakterystycznego i żadnego nie ma znaczenia w biegu akcyi (1).

---

(1) Co do dwóch ostatnich scen (Pochmurny dzień—pole i Noc—otwarte pole) Scherer podaje ważne wyjaśnienia, oparte na przypuszczeniu, iż rzeczy te są pozostałością pierwotnego prozaicznego opracowania Fausta, które miało być dokonane w latach 1771 i 72, a zatém w epoce Götza von Berlichingen. Hipotezę tego prozaicznego Fausta opiera Scherer na wielu wskazówkach, poczerpniętych z obecnego tekstu poematu, oraz z życia Goethego. Wspomniane sceny w owym pierwotnym planie bardziéj racyonalne i uzasadnione zajmowały stanowisko. Mianowicie Scherer uważa, iż pierwsza z nich jest tylko fragmentem, poprzedzona ona była przez coś, w czém się zawierało wyjaśnienie losu Małgorzaty. Otóż przypuścić można, iż to wyjaśnienie znajdowało się właśnie w następnéj scenie (w bliskości rusztowania). Faust z Mefistofelem przelatują около rusztowania, przy którém uwija się gromada czarownic, z rozmów ich Faust dowiaduje się o śmierci grożącéj kochance i teraz dopiero powinien nastąpić dyalog w scenie przy pochmurnym dniu. Przypuszczenia co do takiego stosunku tych scen czyni zrozumiałą drugą z nich. Tak jak obecnie ona stoi, zupełnie jest niepojętém, dla czego Mefistofel nie pozwala się zatrzymywać Faustowi i nagli do pośpiechu,—powinnoby być zupełnie odwrotnie: Faust powinienby pragnąć pośpiechu, Mefistofel zwłoki. Trudno pojąć, dla czego Goethe, w obec tych niekonsekwencyi, pozostawił tę scenę w późniejszym tekście i na tak niewłaściwém miejscu, (Wilhelm Scherer: Aus Goethes Frühzeit. – Strassburg 1879).

Ostatnia wreszcie scena w więzieniu pod względem dramatycznéj siły i głębokości uczucia zawiera pierwszorzędne piękności; powstała ona téż, jak się domyśla Düntzer, na podstawie bardzo zasadniczych dowodów, w znacznéj przynajmniéj części, w dawniejszym okresie twórczości Goethego, jakkolwiek nie zawiera się w pierwszém wydaniu Fausta z r. 1791, prawdopodobnie z powodu braku związku jéj osnowy ze zdarzeniami poprzednich. Poeta, wytworzywszy sobie ogólne pojęcie o przebiegu akcyi, napisał ostateczne jéj rozwiązanie, odkładając na późniéj opracowanie pośrednich scen;—że to opracowanie mniéj szczęśliwie wypadło, o tém już wyżéj była mowa. Zauważyłem już pewne niekonsekwencye w poprzednich pomysłach, służących do podniesienia tragizmu sytuacyi Małgorzaty. Również niezupełnie zadawalniające przedstawienie ostatniego tragicznego motywu—morderstwa dziecka. Ze słów Fausta na początku ostatniego dyalogu z Mefistofelem, dowiadujemy się, iż Małgorzata długo w nędzy i opuszczeniu tułała się, aż w końcu jako morderczyni dziecka została uwięziona. Otóż z tego należy się domyślać, iż z jednéj strony powszechna pogarda i hańba,—z drugiéj nędza, niemożność może wyżywienia dziecka doprowadziły ją do ostateczności i w przystępie obłędu rozpaczy popełniła dzieciobójstwo. Ale ten stan jéj przed popełnieniem zbrodni nie jest dostatecznie uwydatniony. Taka tkliwa, pełna miłości istota, jak Małgorzata, tylko w stanie obłędu mogła stać się zbrodniarką,—ale tego się tylko domyślać możemy: w tekście spotykamy bowiem zaledwie parę słów, które naprowadzają na ten domysł. Wprawdzie w scenie więziennéj widzimy Małgorzatę w stanie obłąkania, ale ten stan mógł być dopiero następstwem zbrodni. Przytém zachodzi tu pewna chronologiczna niedokładność, mianowicie od sceny śmierci Walentego do sceny więziennéj, jak z przebiegu akcyi wnosić można, upływa zaledwie parę dni czasu, co nie zgadza się ze wspomnianemi wyżéj słowami Fausta.

Jakkolwiek jednak niedostatecznie uzasadniona jest tragiczna sytuacya téj sceny, przedstawienie jéj jest ze wszech miar mistrzowskie: okropność położenia Małgorzaty,—jéj katusze moralne, wreszcie zwycięstwo nad wszystkiemi uczuciami wiary i skruchy pokutniczéj,—przedstawione z porywającą siłą i prawdą.

Faust przybywa dla ocalenia kochanki; z wnętrza więzienia dochodzi go śpiew, świadczący o smutnym stanie umysłu nieszczęśliwéj. Piosenka, którą śpiewa Małgorzata, wzięta jest z poezyi ludowéj, nie wiele ją tylko zmienił Goethe. Düntzer podaje oryginalny tekst ludowy. Przytoczę tu w paru słowach treść jéj: zła macocha zabiła dziecko męża i dała je ojcu do zjedzenia jako potrawę; sio-

strzyczka pozbierała kości i pogrzebała pod drzewem,—a dusza dziecka uleciała jako ptaszek leśny. Małgorzata nuci w obłędzie tę okropną powieść o zbrodni dzieciobójstwa pod wpływem wspomnień swéj winy; przybycie Fausta nie przywraca jéj przytomności, bierze go za kata, który już przyszedł ją na śmierć prowadzić. Słowa, w których błaga o życie, wspomina swą utraconą młodość i piękność, skarży się na swój los ciężki,—niewymownie rzewne, a przytém tak proste, tak naturalne w ustach biednego dziewczęcia. Charakterystyczne jest bardzo, kiedy wyobrażając sobie w obłędzie, iż jéj źli ludzie zabrali dziecko, aby ją jako zbrodniarkę skazać i do niéj stosują ową okropną piosnkę o morderczyni dziecka—dodaje te słowa, w których maluje się tak żywo jéj dobre serce i prosta duszą:

I śpiewają o mnie pieśni,
Wiesz, jak ta piosenka gminna.
Co ja im winna?
Kto im to kazał?

Wreszcie poznaje głos kochanka i daléj ciągnie się ten okropny dyalog, w którym Faust błaga z rozpaczą i używa wszelkich środków, aby ją skłonić do opuszczenia więzienia,—a ona, na przemian w najwyższym obłędzie, to znowu odzyskując chwilami przytomność, wyraża w bezładny sposób najrozmaitsze uczucia. Miłosne pieszczoty, wspomnienia chwil szczęśliwych mieszają się ze wspomnieniami okropnych zdarzeń przeszłości. Straszliwe obrazy przesuwają się w jéj umyśle; a wpośród tego całego chaosu uczuć i myśli, przebija ciągle poczucie własnéj winy, dobrowolne poddanie się karze. Wszystkie te uczucia wyrażone z całą plastyką poetyczną, z wielką siłą ekpresyi, w sposób odpowiadający naturze charakteru Małgorzaty. Mniéj charakterystyczne są tu uczucia i całe zachowanie się Fausta, ale jest to wynikiem saméj sytuacyi: rola jego bowiem ograniczona tu jest naturą sytuacyi do próźb i błagań o jaknajszybsze opuszczenie więzienia; w granicach zaś téj roli uczucia Fausta i słowa, w których się one wyrażają, są bardzo żywe i naturalne.

Wreszcie ostateczny, nader zręczny zwrot akcyi nadany zostaje przez ukazanie się Mefistofela. Na widok téj postaci, do któréj Małgorzata instynktowny zawsze wstręt uczuwa,—trwoga ją ogarnia, zdaje jéj się, iż zły duch chce ją porwać: w gorącéj modlitwie zwraca się do Boga o ratunek, ucieka z przerażeniem od kochanka, który chce ocalić jej życie a zgubić duszę. W téj chwili Małgorzata zostaje oczyszczoną i rozgrzeszona: cierpienie, żal, skrucha dają jéj wybawienie. Na słowa Mefistofela: „Osądzona jest,“—głos z góry odpowiada: „Ocalona.“ Faust znika z Mefistofelem; głos z wnętrza, głos jego kochanki, teraz już czystéj duszy, odkupionéj potęgą miłości i cierpienia, woła za nim po imieniu.

IV. Zakończenie.

Rozwój charakteru Fausta nie został oczywiście w téj części tragedyi ukończony. Kreacya to pomyślana na zbyt rozległą skalę, aby charakterystyczne jéj cechy mogły być w jednéj tragedyi wyczerpane; wiądomo, że Goethe wątpił nawet, aby ją kiedykolwiek mógł wykończyć; tylko niezwyle długie życie pozwoliło mu w późnéj już starości to uskutecznić. Jednakowoż w 1-éj części tragedyi charakter Fausta został przedstawiony w najgłówniejszych i najistotniejszych cechach: tak, iż teraz już możemy rozumiéć i ocenić jego istotne społeczne znaczenie, oraz psychologiczną prawdę i estetyczną piękność.

Pod względem społecznym Faust to najogólniejszy typ nowoczesnych dążeń i aspiracyi: w nim znajdują swój wyraz najgłówniejsze prądy, wstrząsające w obecnéj dobie łono społeczeństwa europejskiego, pojęcia i uczucia najwybitniéj charakteryzujące nowoczesne życie. I tak: w pierwszéj fazie rozwoju, poprzedzającéj rozpoczęcie właściwéj akcyi,—Faust zużywa swe siły w dążeniu do poznania ostatecznéj prawdy, pragnie się wznieść na niedostępne dla ducha ludzkiego wyżyny wiedzy. Zostaje zawiedziony w tém dążeniu, wtrącony w chaos zwątpień i niepewności, wśród których duch jego miota się w rozpaczliwych wysiłkach. W takim stanie widzieliśmy go w wielkim monologu. Podobnie ludzkość nowoczesna,—po utracie pierwotnéj, naiwnéj wiary,—po ostateczném bankructwie licznych systematów filozoficznych, pozostaje niepewna swéj drogi, w chaotycznym zamęcie pojęć i dążności.

Pod względem psychologicznym, widzieliśmy, iż we wszystkich uczuciach i dążeniach Fausta ukazuje się zawsze natura ludzka w całém bogactwie swych sił psychicznych i harmonijném ich ustosunkowaniu.

Naustępnie widzimy, jak Faust, pod wpływem ducha negacyi i sceptyzmu, wyrzeka się wszelkich wyższych dążeń. Mefistofel jest tu przedstawicielem tego ducha krytycznéj negacyi, który w pewnych epokach ze szczególną siłą występuje w łonie ludzkości, pozornie niszczy i obala wszystko, a w istocie pobudza nową, wyższą, postępową działalność. Widzieliśmy też, iż w rezultacie wpływ jego na Fausta jest dodatni; odciąga go od bezpłodnych metafizycznych zaciekań, zwraca do życia i natury. Ten zwrot w usposobieniu Fausta, uzasadniony poprzednim stanem jego umysłu, oraz wpływem zewnętrznym objawia się w psychologicznie prawdziwéj i logicznéj formie, jak to na właściwém miejscu było wykazane.

Wreszcie w ostatnim ustępie 1-éj części poematu, w tragedyi Małgorzaty, Faust gra drugorzędną rolę; główną bohaterką jest Małgorzata, jako uosobienie jednego z najwyższych dodatnich objawów życia. Jednakowoż w granicach téj roli charakter Fausta, wpływ jaki nań wywiera miłość Małgorzaty, zmiany w nim zachodzące — przedstawione są z żywą ekspresyą i w sposób psychologicznie prawdziwy.

Tutaj miejsce powiedziéć o zarzutach, jakie niektórzy czynią roli Fausta w epizodzie Małgorzaty. Zarzucają mianowicie, iż Goethe apoteozuje tu egoizm, obraża uczucie sprawiedliwości, uwalniając swego bohatera od wszelkiéj kary. Przedewszystkiém zauważyć należy, iż poeta wcale nie idealizuje, nie usprawiedliwia czynów Fausta; przedstawia owszem nader żywo odzywającą się w jego umyśle świadomość winy i bolesne zgryzoty. Że zaś Faust popełnił tę winę, wynika to, jak wyżéj było okazane, z naturalnego rozwoju jego stanów uczuciowych. Zresztą pamiętajmy, że Faust, to ogólny typ natury ludzkiéj,— a czyż tylko cnoty same wchodzą w jéj skład? Czyż błędy, upadek, grzech, nie są pospolitym udziałem człowieka? „Błądzi człowiek, póki dąży"— mówi Goethe w prologu i zawsze jest wierny téj prawdzie: dzięki temu, jego poetyczne kreacye to nie jakieś chińskie cienie cnót i doskonałości, ale ludzie pełni prawdy i realizmu. Dlatego Faust błądził poprzednio w swych duchowych zapędach, błądzi następnie wśród wiru uczuć i burzy namiętności. Upadek jego moralny uzasadniony jest przez owę siłę demonicznéj negacyi, która ogarnia go swym wpływem: wpływ ten z jednéj strony, jak widzieliśmy, dodatni—musiał miéć jednak, ze względu na swą naturę, i ujemne rezultaty w negacyi wyższych objawów życia i pobudzeniu niskich żądz i namiętności. Jednakże to uzasadnienie postępowania Fausta w epizodzie Małgorzaty nie odnosi się do tych rysów, które spotykamy w scenie śmierci Walentego, a których ujemną wartość na właściwém miejscu wykazałem. Pomijając jednak tę małoznaczną scenę, cały rozwój charakteru Fausta w tym ustępie poematu jest konsekwentny i logiczny. Że zaś Faust nie ponosi kary za swe przewinienie, że nie ginie razem z Małgorzatą,— jest to skutkiem istotnego znaczenia jego roli, celu, jaki poeta za jéj pośrednictwem chciał osiągnąć.

Chodziło Goethemu, jak wiemy, o przedstawienie typu człowieka nowoczesnego, dążącego do zrozumienia i wypełnienia istotnego zadania życia. W tém dążeniu musiał on błądzić, musiał upaść wielokrotnie, bo to jest nieodłączną właściwością natury ludzkiéj,— ale podnosząc się z upadku, nie ustając w dążeniu, miał w końcu dojść do swego celu. Rozumie się, iż wobec takiego zadania nie mógł poeta skończyć zawodu swego bohatera w samym jego po-

czątku. Wogóle nie można przecież czynić poecie zarzutu z tego, iż postawiwszy sobie pewne zadanie, konsekwentnie zmierzał do jego rozwiązania. A jednak często krytycy Fausta, jak słusznie zauważył Lewes, nie zdają sobie sprawy z téj tak naturalnéj zasady i oceniają utwór Goethego nie ze stanowiska autora, ale ze swego własnego; przedstawiają swój własny pomysł Fausta i gniewają się, że Goethe nie uwzględnił go w wykonaniu swéj kreacyi. Z takiego fałszywego wychodząc stanowiska, rozumie się, że do fałszywych dochodzą wniosków i stawiają poecie całkiém bezzasadne zarzuty. Taka metoda oceniania poetycznych kreacyi spotyka się często w krytyce, częściéj wobec Fausta, gdyż ze względu na wielką rozległość téj kreacyi trudniéj tu zrozumiéć rzeczywistą intencyą poety, łatwiéj podsunąć mu swą własną.

Zwróćmy teraz uwagę na dramatyczność i tragiczność w roli Fausta. Że Faust jest postacią wysoce dramatyczną, tego dowodzić, zdaje się, niepotrzeba; walka uczuć, która wre w jego piersi, tytaniczne dążenia do niedościgłych celów nadają mu wielce dramatyczny charakter. Ale ta dramatyczność jest szczególnego rodzaju, odpowiednio do wyjątkowego w poezyi charakteru roli Fausta; mianowicie nie polega ona na żadnéj szczególnéj sytuacyi zewnętrznéj, powodującéj dramatyczną kolizyą, jak się to dzieje zwykle w utworach tego rodzaju poezyi. Sytuacya jest tu możliwie najogólniejsza, stanowią ją bowiem ogólne warunki ludzkiego bytu; dramatyczność polega na dążeniu bohatera do przełamania przeszkód, jakie działalność jego spotyka w tych warunkach. Podczas gdy zwykle dramatyczna kolizya jest następstwem w części wewnętrznego usposobienia bohatera, w części danéj sytuacyi zewnętrznéj; w Fauście ma ona swą podstawę wyłącznie w wewnętrznych psychicznych czynnikach umysłowości bohatera. Z natury bowiem rzeczy, każda istota ludzka znajduje się w téj saméj, co Faust sytuacyi; tylko ustrój psychiczny Fausta sprawia, iż nie może on się pogodzić z tą sytuacyą i całą mocą swych uczuć i myśli dąży do przekroczenia jéj granic. Ponieważ ze wszystkich niemożliwych do przezwyciężenia przeszkód te, które Faust spotyka, są najniemożliwsze,—następstwem tego musi być tragiczność. Tragiczność ta wzrasta w ciągu całéj drugiéj połowy monologu, dosięgając najwyższego szczytu w zamiarze samobójstwa nie jest jednak posunięta do ostateczności — bohater nie ginie; gdyż, jak wiemy, takie zakończenie nie zgadzałoby się z ostatecznym celem roli Fausta.

Z tego, co wyżéj powiedziano, wypada, iż tak samo jak postać Fausta jest ogólnym typem natury ludzkiéj, dramatyczność i tragiczność jéj jest odbiciem doli całéj ludzkości, o ile ona dąży do wyż-

szych celów, walczy z ograniczonością swéj własnéj natury, cierpi krwawo i boleśnie pod naciskiem nieprzyjaznych potęg natury. Wreszcie dodać należy, iż tego rodzaju dramatyczna kolizya może być tylko okazana w wewnętrznéj walce uczuć i myśli; niema tu żadnych szczególnych zdarzeń i sytuacyi, stanowiących zewnętrzną szatę dramatyczności,—cały dramat rozegrywa się w wewnętrznym świecie ducha ludzkiego. To téż głównie wyżéj określona dramatyczność zawarta jest w wielkim monologu. W scenie przechadzki z Wagnerem rola Fausta nacechowana jest liryzmem; toż samo w monologu przed zjawieniem się Mefistofela. W scenach z Mefistofelem interes dramatyczny skupia się głównie na tym ostatnim; przystąpienie Fausta do układu nie przedstawia szczególnego interesu i traktowane jest przez poetę w sposób humorystyczny i dosyć pobieżny,—dlaczego?— o tém wyżéj była mowa. Wogóle liryzm ma tu téż znaczny udział w roli Fausta, choć znajdują się tu ustępy bardzo dramatyczne. Wreszcie w tragedyi Małgorzaty dramatyczność, charakteryzująca rolę Fausta, łączy się z innego rodzaju dramatycznością, która jest wynikiem danéj specyalnéj sytuacyi, stanowiącéj osnowę miłosnéj tragedyi. Główną rolę w téj ostatniéj gra, jak wiemy, Małgorzata. Dramatyczność roli Fausta uwarunkowana pewnemi szczególnemi sytuacyami wyraża się głównie w scenie z Mefistofelem (*Wald und Höhle*), w któréj Faust nadaremnie walczy ze swą namiętnością, w drugiéj scenie z Mefistofelem (*Trüber Tag*), w któréj dowiaduje się o tragicznym losie kochanki, wreszcie w pysznéj scenie więziennéj. Najpiękniejsze objawy liryzmu znajdujemy w monologu *Erhabner Geist* (scena w lesie i jaskini), oraz w wyznaniu wiary w dyalogu z Małgorzatą (druga scena w ogrodzie Marty).

Charakter Małgorzaty w pierwszéj części tragedyi doprowadzony zostaje do ostatecznego kresu swego rozwoju. Miłość stanowiła główną jego cechę. To uczucie w ziemskiéj, zmysłowéj naturze łączy się nieodzownie z niższemi jéj popędami: wpływ tych ostatnich, jakotéż niedoświadczenie i ślepa ufność niewinnéj dziewczyny sprawiają upadek, polegający na naruszeniu praw i zasad istniejącéj społecznéj moralności. Moralność ta mści się przez cały szereg tragicznych następstw, wtrącających Małgorzatę w otchłań cierpienia i hańby. Jednakże po nad zasadami etycznemi, będącemi wynikiem każdoczesnego społecznego rozwoju, istnieją wyższe i wznioślejsze zasady, znajdujące swą podstawę w najistotniejszych cechach rozwoju ludzkości: pierwszą z nich jest zasada miłości, w któréj wyraża się najwyższa idea humanitarna, będąca ostatecznym, dającym się pojąć kresem społecznych dążeń; drugą jest zasada przebaczenia, wypływająca jako nieunikniona konsekwencya z tamtéj. Te wzniosłe idea-

ły społecznego altruizmu znalazły najpełniejszy swój wyraz w chrześcianizmie, który je sformułował, przyodział w zmysłową szatę symbolów i dogmatów i w téj postaci postawił przed oczyma ludzkości, niezdolnéj jeszcze w danéj fazie rozwoju, pojąć tych idei w oderwanéj postaci. W tym téż duchu i w tym kształcie rozwiązał Goethe los swéj Małgorzaty: potępiona przez sprawiedliwość ludzką, znajduje ona przebaczenie u boskiéj sprawiedliwości. Cierpienie i pokuta są rękojmią oczyszczenia jéj serca; miłość, stanowiąca główne tło jéj charakteru, podnosi ją do najwyższéj apoteozy w ostatecznem zakończeniu 2-giéj części poematu.

Należy teraz zwrócić uwagę na dramatyczność i tragiczność w roli Małgorzaty. Pod tym względem jest ona doskonałym typem nowoczesnéj dramatycznéj kreacyi. Wiadomo, że główna cecha nowoczesnego dramatu na tém polega, iż wszystkie dramatyczne i tragiczne jego sytuacye winny być uzasadnione przez cechy tkwiące w charakterze działających osób, w myśl tych słów Schillera: „In deiner Brust sind deiner Schicksals Sterne."

Temu warunkowi czyni zadość kreacya Małgorzaty. Widzieliśmy, iż cała tragiczność jéj losu jest następstwem właściwości jéj charakteru: niedoświadczenia, ślepéj ufności, miłosnego odurzenia i t. d. Wprawdzie te wady, jeśli wogóle można je tak nazwać, są bardzo małe i w żadnym razie nie zasługują na tak srogą karę; głównie są tu winne stosunki społeczne, które tak łatwo pozwalają na upadek niewinnéj istoty, a tak srogo go karzą,—ale ta okoliczność nie czyni ujmy warunkom dramatyczności. W nowoczesnym dramacie nie chodzi o to, aby tragiczność była karą za winę, lecz aby znajdowała uzasadnienie we właściwościach charakterów ludzkich, bez względu na to, czy te właściwości uważać będziemy jako przewinienia, wady, czy téż jako cnoty. Owszem, im wyższy jest charakter, im szlachetniejszemi powoduje się pobudkami, tém więcéj wzbudzać będzie sympatyi, interesu, a zatém wyższą mieć będzie estetyczną wartość. Właśnie w kreacyi Małgorzaty znajdujemy urzeczywistnienie tych warunków: piękna, czysta jéj postać wzbudza w nas najwyższy interes, a cały przebieg zdarzeń w jéj życiu umotywowany jest psychiczną i społeczną koniecznością. Konieczność ta wyraża się w tym pewniku, iż istota z takim charakterem, z duszą tak niewinną i niedoświadczoną, z sercem tak pełnem miłości i ufności—w danych warunkach społecznych i wpośród tych pokus, które ją otaczały, upaść musiała i musiała cierpieć tragiczne następstwa swych czynów. Podniesienie się zaś jéj z upadku i ostateczna apoteoza, która kończy jéj rolę, zadawalniają nasze uczucie sprawiedliwości.

Pozostaje mi jeszcze dodać kilka ogólnych uwag o roli Mefistofela. Oczywiście nie może być mowy o jakimkolwiek rozwoju jego charakteru. Nie jest to bowiem żaden ludzki charakter, któryby podlegał zewnętrznym wpływom i pod ich działaniem się rozwijał, lecz uosobienie pewnéj, abstrakcyjnie wziętéj właściwości umysłu ludzkiego. Zresztą i zewnętrzna jego postać, jako demona, nie dopuszcza możliwości rozwoju: jako istota demoniczna pozostaje on po za sferą wszelkich czynników życia i ich wpływu. Wskutek tego nie może on téż być postacią dramatyczną w ścisłém znaczeniu: jakkolwiek bowiem posiada pewne zamiary, dąży do pewnego celu, lecz ponieważ rozporządza nadnaturalnemi środkami, za pomocą których działa i usuwa stojące na drodze przeszkody, więc nie może zachodzić kolizya dramatyczna wobec tych przeszkód. Wprawdzie spotykamy w poezyi postaci demoniczne, nacechowane dramatycznością: np. szatan Miltona, Massynisa Krasińskiego; ale dramatyczność ich jest wynikiem kolizyi nie ze zwykłemi przeszkodami, jakie człowiek na swéj drodze spotyka, lecz z bezpośrednim objawem najwyższéj, potężniejszéj od nich woli Bożéj. I Mefistofel staje się téż dramatyczny przy końcu 2-éj części, gdy wchodzi w kolizyą z tą potęgą,—lecz w téj części nie ma to miejsca i dlatego téż nie ma w jego roli istotnéj kolizyi dramatycznéj.

Pomimo tego jednak Mefistofel jest postacią nadającą się ze wszech miar do dramatu, a przyczyną tego jest komizm, cechujący jego rolę. Gdyby tylko satyra i krytyka, główne, jak wiemy, składowe czynniki charakteru Mefistofela, zawierały się w jego roli, nie miałby on w sobie żadnych żywiołów dramatycznych; komizm, będący w części wynikiem tych cech głównych, a w części od nich niezależny, nadaje mu dramatyczne znaczenie. Zobaczmy dla czego i w jakiém znaczeniu komizm jest żywiołem dramatycznym. Istota poezyi dramatycznéj, wziętéj w najobszerniejszém znaczeniu, polega na okazaniu właściwości charakteru poetycznéj kreacyi za pomocą kolizyi pomiędzy jéj postępowaniem a warunkami zewnętrznemi. Jeśli ta kolizya ma za następstwo natężenie wszystkich sił dla zwalczenia przeszkód, wtedy mamy dramatyczność w ścisłém znaczeniu; jeśli następstwem jéj jest cierpienie i upadek bohatera, wtedy zachodzi tragiczność; jeśli zaś wynikiem kolizyi jest tylko mniéj lub więcéj silny kontrast, niepociągający za sobą ani cierpienia, ani szczególnych wysiłków,— wtedy, jak każdy tego rodzaju kontrast, wywołuje on śmieszność, czyli jest komiczny. Z tego powodu komizm słusznie do dramatycznych żywiołów poezyi jest zaliczany. Komizm jednak w roli Mefistofela nie jest następstwem mimowolnego komicznego kontrastu postępowania z zewnętrzném otoczeniem, ale wy-

nika z dążności jego satyryczno-krytycznéj: dla tém większego wyszydzenia i ośmieszenia jakichś stosunków, sam on się stawia umyślnie w sytuacyi, kontrastującéj z nimi komicznie; w ten tylko sposób powstaje po większéj części komizm w jego postępowaniu. Przypomnę tu dla przykładu dyalog z Faustem, w którym Mefistofel opowiada o zabraniu przez księdza klejnotów ofiarowanych Małgorzacie. Kontrast komiczny jest tu bardzo silny: dar dyabelski, przeznaczony na uwiedzenie Małgorzaty, poszedł na ofiarę do kościoła; a niezależnie od tego w całém przedstawieniu rzeczy zawiera się głęboka satyra. W scenie z uczniem komiczną jest rola tego ostatniego, w roli Mefistofela nie ma właściwie komizmu, lecz niezmiernie dowcipna i dosadna satyra. Komizm w scenach z Martą i w piwnicy Auerbacha jest więcéj lekkiego rodzaju, satyra więcéj powierzchowna, jak tego zresztą sama sytuacya wymaga. W epizodzie nocy Walpurgi i w scenie u czarownicy obok głębokiéj satyry zawiera się komizm jeszcze lżejszego rodzaju, przechodzący niekiedy w błaznowanie, ale i w tém błaznowaniu dowcip, choć pozbawiony głębszéj treści, bardzo jest artystyczny i w najlepszym smaku, z wyjątkiem paru miejsc, gdzie przechodzi w trywialność. Ta ostatnia jednak nie czyni ujmy roli Mefistofela: jest naturalnym objawem cechy cynizmu, która znowu konsekwentnie wynika z ogólnéj cechy przeczenia. Zresztą każdy przyzna, że Goethe w bardzo umiarkowanéj mierze pozwolił sobie trywialności, tyle tylko, ile było potrzeba dla dobitniejszego scharakteryzowania Mefistofela, dla uczynienia bardziéj dosadną, żywą, plastyczną tej niezrównanéj, jedynéj w poezyi kreacyi.

Powyższy rozbiór dał nam poznać główne składowe żywioły 1-éj części tragedyi, teraz chodzi o to, aby sobie zdać sprawę z wrażenia, jakie czyni połączenie ich w jedno dzieło sztuki.

Właściwie, wyczerpujący pogląd w téj mierze mógłby być wyrzeczony dopiero po zbadaniu i ocenieniu części drugiéj; część 1-sza sama przez się nie stanowi skończonéj całości, jest bez wątpienia arcydziełem, ale arcydziełem fragmentarycznem. Jednakowoż i z obecnego punktu widzenia, ze względu na to, iż mamy przed sobą, w każdym razie, bardzo wielką część całego dzieła i pod względem estetycznym niewątpliwie najważniejszą, możemy wytworzyć sobie pewne ogólne pojęcie o jéj artystycznym charakterze i wartości.

Przedewszystkiém, że Faust nie jest tragedyą klasyczną, tego, zdaje się, nie trzeba dowodzić i z tego stanowiska nie będziemy go też oceniać. Brak jedności miejsca i czasu, pomieszanie żywiołów komicznych z tragicznemi itp. wady, którychby nie wybaczył krytyk XVIII wieku, nas obecnie wcale nie rażą; największy nowoczesny dramaturg, Szekspir, przyzwyczaił już nas do tego rodzaju dramatu.

Ale posiada Faust inne właściwości, które nawet ze stanowiska nowoczesnego poglądu wydają się wadami: przerwy w akcyi, niedostateczne umotywowanie pewnych sytuacyi, przewaga liryzmu w niekrórych scenach—oto główniejsze z nich. Zaznaczyłem na właściwém miejscu pewne ujemne strony tragedyi stąd wynikające. Nie dowodzą one jednak, aby Faust nie był genialném arcydziełem, ale dowodzą tylko tego, że największy nawet artystyczny geniusz nie może się wznieść do absolutnéj doskonałości; tak samo, jak nigdy człowiek nie może posiąść w życiu absolutnéj prawdy i absolutnego szczęścia: bo natura ludzka względną jest, do absolutu nigdy, wznieść się nie może. Dlatego niema bezwarunkowo takiego arcydzieła sztuki, któreby pewnym zarzutom podlegać nie mogło.

Co zaś do innych wad Fausta, to przytoczę tu przedewszystkiém trafne słowa p. de Staël: „Niepodobna, mówi znakomita autorka, aby taki człowiek, jak Goethe, nie widział wad swego dzieła; ciekawém byłoby tylko wiedziéć: dlaczego je pozostawił?"—Otóż na to pytanie ogólnie można odpowiedziéć, że stało się to niewątpliwie dlatego, iż Goethe miał jasne poczucie swego geniuszu i, tworząc w natchnieniu, nie oglądał się na istniejące estetyczne wymagania. Natchnienie twórcze to samorodna siła, która płynie z głębi duszy poety i zmusza go do wylania na zewnątrz uczuć i myśli przepełniających jego łono i do nadania im takich kształtów, jakie najodpowiedniejsze są dla pełnego ich wyrażenia. Bo zważmy: zkąd się biorą formy i reguły artystyczne? Oczywiście, wyciągamy je z dzieł genialnych twórców; powstają ztąd, iż jakiś wyższy geniusz twórczy w takiéj właśnie, a nie innéj formie mógł wyrazić swe artystyczne pomysły. Następnie te formy przez powtarzanie i naśladownictwo zyskują utrwalenie i stają się pewnemi typami estetycznéj ekspresyi. Ale te typy nie są wiecznotrwałe: ulegają zmianom; bo zmienia się ciągle ogół uczuć, wyobrażeń, idei, które, rozproszone w całéj atmosferze społecznéj, objawiają się w najpełniejszéj mierze w umysłach wielkich twórców. Te zmienione żywioły psychiczne, o ile wywołują działalność twórczą, mogą nie znajdować w istniejących artystycznych typach odpowiedniego dla siebie zewnętrznego kształtu wskutek tego powstają nowe formy, które jeśli znajdą naśladowców stają się nowemi typami estetycznéj ekspresyi,—w przeciwnym razie zajmują stanowisko w sztuce wyłączne i odosobnione. Wiele jest, jak wiadomo, tego rodzaju dzieł w poezyi; przypomnę tu obok Fausta: Dziady, Boską komedyą, niektóre utwory Byrona, Słowackiego, Krasińskiego itd. Wszystkie te utwory dadzą się mniéj lub więcéj podciągnąć pod jeden z wielkich działów poezyi, nie podchodzą jednak pod żaden szczególny jéj typ. Faust należy niewątpliwie do

rodzaju dramatycznego, nie odpowiada jednak zupełnie wszystkim warunkom istniejących w tym rodzaju typów. Że z tego wynikają pewne niedogodności, np. trudność przedstawienia Fausta na scenie, to się nie da zaprzeczyć; można do pewnego stopnia nad tém ubolewać, ale nie można z tego czynić zarzutu poecie: gdyż on tylko w téj, a nie innéj formie mógł wyrazić ogół tych uczuć i pomysłów twórczych, które stanowią osnowę jego poematu. A że te uczucia i pomysły odbijają dziwnie prawdziwie i głęboko najistotniejsze objawy ducha ludzkości, że są odtworzone z porywającą siłą ekspresyi i w formach niewymownie plastycznych i pięknych: musimy uznać Fausta za genialne arcydzieło, niezależnie od wszelkich zarzutów, jakie można mu czynić ze stanowiska istniejących estetycznych wymagań. Interesującą wielce byłoby rzeczą zastanowić się nad szczególnemi własnościami estetycznéj formy Fausta, wykazać dlaczego właśnie takie a nie inne estetyczne środki nadawały się do pełnego wyrażenia uczuć i pomysłów poety: wymagałoby to jednak oddzielnego studyum, które nie może wchodzić w zakres niniejszéj pracy. Poprzestając więc na tych ogólnych uwagach, przechodzę na zakończenie do kwestyi jedności akcyi w Fauście.

Jakkolwiek estetyczne warunki twórczości poetyckiéj ulegać mogą mniéj lub więcéj doniosłym przeobrażeniom i zmianom: są jednak pomiędzy nimi takie, które pozostają zawsze niezmienne, gdyż wynikają z najistotniejszych cech umysłu ludzkiego, występujących w jego estetycznéj działalności i określających wszelkie wymagania w zakresie téj działalności. Jednym z takich warunków jest artystyczna jedność w każdém dziele sztuki:—ona bowiem jest przyczyną, iż dzieło to stanowi pewien określony przedmiot, w którym panuje wewnętrzny ład i harmonia, co jest oczywiście pierwszym warunkiem estetycznego upodobania. Otóż zachodzi pytanie: czy Faust odpowiada temu warunkowi?

Z całego powyższego rozbioru charakterów działających osób okazuje się, iż zasadnicza akcya Fausta skupia się około psychicznego rozwoju głównego bohatera. W wielkim monologu dramatyczna akcya rozegrywa się we wnętrzu duszy Fausta, w kolizyi ścierających się sprzecznych uczuć, w któréj objawiają się zasadnicze cechy jego natury psychicznéj i z któréj wynikają zmiany i przewroty w jéj wnętrzu. W następnych scenach występują pewne czynniki zewnętrzne, uosobione w dwóch tak sprzecznych postaciach Małgorzaty i Mefistofela, których wpływ wywołuje nowe zmiany, nowe przewroty w duszy Fausta. Negacyjny wpływ Mefistofela ma za rezultat porzucenie poprzednich dążeń, zwrot do życia i natury,—następnie zaś upadek moralny i cierpienie; miłość Małgorzaty podnosi i uszlachet-

nia charakter Fausta, odkrywa przed nim piękne i dodatnie strony życia; wreszcie, gdy pod wpływem Mefistofela, Faust upada moralnie i wciąga w swój upadek Małgorzatę:—jéj postać, oczyszczona przez miłość, pokutę i cierpienie, ukazując mu się w apoteozie pociąga go za sobą do najwznioślejszych sfer moralnego udoskonalenia. Ten ostatni wpływ dopiero w 2-éj części w pełni zostaje uwydatniony i w téj jednak zaznaczony jest dość wyraźnie w owym ostatnim głosie wzywającym Fausta, którym się kończy tragedya.

Tak więc widzimy, iż ogólny stosunek między głównemi postaciami tragedyi odpowiada warunkom jedności akcyi; ale zachodzi jeszcze pytanie: czy w rozwinięciu szczegółowém ról zachowana jest właściwa równowaga? Może tu zachodzić wątpliwość co do roli Małgorzaty. Wiemy, że epizod tragedyi, w którym ona występuje, stanowi w pewnéj mierze skończoną i samodzielną całość, w któréj Małgorzata jest główną bohaterką. Otóż czy ta okoliczność nie narusza jedności akcyi? Przedewszystkiém, zauważyć należy, iż nie można wymagać od utworu poetyckiego absolutnéj jedności: w utworach większych rozmiarów taka jedność byłaby nawet wadą, byłaby bowiem jednostajnością, a istotą całości estetycznéj jest jedność w rozmaitości. Im rozleglejszy jest zakres dzieła poetyckiego, tém naturalnie pojedyncze jego części większe mieć muszą rozmiary. W poemacie tak olbrzymiego zakresu, jak Faust, epizody muszą miéć téż szczególne rozmiary i stanowić same przez się rozległe całości: z tego więc względu tragedya Małgorzaty nie czyni ujmy jedności akcyi. Przyznać wszakże trzeba, iż ze względu na swą szczególna piękność i doskonałość, z którą nie mogą iść w porównanie mianowicie sceny 2-éj części—epizod ten skupia w sobie szczególniéj estetyczny interes i przez to narusza do pewnego stopnia artystyczną równowagę całości. Jednakże w utworze téj rozległości co Faust, pisanym w ciągu całego życia poety, taki brak równowagi artystycznéj był rzeczą nieuniknioną, a, w każdym razie, niema powodu ubolewać, iż poeta, który w całém swém dziele okazał się niezrównanym mistrzem,—w niektórych jego ustępach wzniósł się jeszcze nad zwykłą miarę swego twórczego natchnienia i przeszedł, można powiedziéć, sam siebie.

Wreszcie, co do drugorzędnych postaci i scen tragedyi, takich jak Wagner, Marta, sceny ludowe itd.—to, z wyjątkiem epizodu nocy Walpurgi, który jest tylko, że tak powiem, mechanicznie połączony z całością i, jako taki, nie potrzebuje być brany pod uwagę; wszystkie one choć nie mają wpływu na bieg głównéj akcyi, przyczyniają się jednak do uwydatnienia różnych jéj momentów i różnych cech

głównego bohatera i takim sposobem łączą się z nią w jednę całość, podnosząc niezmiernie jéj piękność przez swą niezrównaną typowość i doskonałość artystyczną.

Ostatecznie, streszczając, na podstawie całego powyższego rozbioru, sąd nasz o Fauście, o ile go dotąd poznaliśmy: możemy powiedziéć, iż jest on nietylko jednym z najświetniejszych wytworów geniuszu ludzkiego pod względem głębokości myśli, siły i rozległości uczuć, ale nadto, pomimo wszystkich zarzutów, jakie mu można uczynić ze stanowiska estetycznego,—jest jedném z najdoskonalszych dzieł sztuki.

Walery Gostomski.





SEJM CZTEROLETNI

W OPRACOWANIU

KSIĘDZA KALINKI.

Sejm Czteroletni napisał X. Waleryan Kalinka ze Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego. Tomu Drugiego część I, 1881; część II, 1884—1886. Lwów. Nakładem księgarni Seyfartha i Czajkowskiego. Wydanie pierwsze (jednocześnie wyszły trzy edycye różnych formatów).

Na tém samém miejscu przed pięciu laty (1) zdaliśmy sprawę z tomu I-go znakomitéj, a tak skwapliwie przez powszechność naszą przyjętéj pracy ks. Kalinki; dziś mamy już przed oczyma ukończony tom drugi i znów pośpieszamy podzielić się wrażeniami z czytelnikiem, zanim się ukaże zakończenie całego dzieła. Spieraliśmy się wtedy z szanownym autorem o pogląd zasadniczy i o kilka wniosków szczegółowych, zapowiedzieliśmy jednak, że przy końcu badań na ostatnich kartach prac naszych może się znaleść „jeśli nie jednomyślność, to przynajmniéj zgodność, jakiéj z ksiąg początkowych nie możnaby wywróżyć.“ Obecnie z przyjemnością zaznaczam, że przepowiednia ta zaczyna się iścić.

Tom niniejszy składa się z dwóch ksiąg: pierwsza (raczéj czwarta) p. t. „Przyjaźń z Prusami“ obejmuje całą akcyą dyplomatyczną przywódców sejmu czteroletniego aż do kwietnia 1791 roku, a więc nie tylko sprawę przymierza pruskiego, ale też układów z Turcyą, Szwecyą, Anglią, oraz uboczne rzuty oka na sprzymierzone z sobą Rosyą i Austryą. Sieć intryg, sprzecznych wpływów, interesów, albo czasem fantazyjnych rojeń, która początkujących dyplomatów polskich oplątywała, występuje pod biegłem piórem ks. Kalinki z zupełną jasnością i logiczną konsekwentnością. Wybornie jest zdemaskowana bezinteresowność i prawość „pośrednika narodów“, króla

(1) Ateneum 1881, luty, tom I, zesz. II, str. 324—354.

Fryderyka Wilhelma II, który w ciągu kilku miesięcy z jednéj strony zawiera traktat przymierza z Polską, a z drugiej ofiaruje w Petersburgu przyzwolenie swoje na powrót wpływu czyli właściwie przemożnego panowania Imperatorowéj nad Rzecząpospolitą, gdy ta miała się okupić sprzymierzeńcowi ustępstwem Gdańska, Torunia i „kilku“ powiatów wielkopolskich (str. 76). To znów w Konstantynopolu poseł pruski przeszkadza z cicha Piotrowi Potockiemu w układach o przymierze z Turcyą (str. 183) i t. p. Godną podziwu jest przenikliwość, z jaką ks. Kalinka odcyfrował w przedrukowanych tu i owdzie reskryptach Katarzyny tajemny plan Potemkina ogłoszenia się hetmanem Ukrainy, skasowania Unii i zawezwania ludu w południowych województwach Polski do połączenia się z Rosyą (str. 115 przypisek). Było to pod koniec 1789 r. pod wrażeniem paniki, jaką w Polsce wywołała tak zwana sprawa buntów ukrainnych. Potemkin zamierzał wkroczyć w 60,000 od gubernii mohilewskiéj i posunąć się aż ku granicy galicyjskiéj, pod Zborów i Zbaraż. Tylko cesarz Leopold bezwiednie ochronił Polskę od wielkich nieszczęść na Rusi, może od wznowienia koliszczyzny (str. 120).

Mniéj zrozumiałą dla nas okazuje się polityka austryacka, mianowicie Kaunitza. Nie umiemy wynaleść właściwéj wagi dla propozycyi jego, uczynionych posłowi polskiemu Woynie (str. 38). Propozycye te były bardzo ponętne i od pruskich korzystniejsze, ale czy szczere, czy nie po to tylko wypowiedziane, aby rozerwać bliskie już zakończenia układy o traktat pruski? Niemniéj przeto ciężki spada na sumienie przywódców sejmowych, Ignacego Potockiego i samego „Arystydesa“ polskiego, marszałka Małachowskiego zarzut, że depeszę Woyny z rzeczonemi propozycyami zataili przed sejmem, wbrew obowiązkom swoim i przysiędze, złożonéj przy wstąpieniu do Deputacyi Interesów Zagranicznych (str. 41, 57; coś jednak o tych propozycyach wiedziano w izbie — str. 55). Rozumiemy teraz, że ks. Kalinka miał poważne powody do nazwania pewnéj grupy sejmowéj stronnictwem pruskiém, skoro wiedział o spełnioném przez nią tak wielkiém przestępstwie, o zwierzaniu się przed Lucchesinim z propozycyi austryackich i szwedzkich (str. 41, 191), o zapędach Ignacego Potockiego w podziwianiu wspaniałomyślności i szlachetności Fryderyka Wilhelma II, o projekcie oddania tronu polskiego młodszemu jego synowi i t. p. Wszakże pobudki moralne tych błędów i złudzeń odejmowały im cechę występku, lub hańby. Sam ks. Kalinka zaświadczył dawniéj o bezinteresowności pieniężnéj stronników przymierza pruskiego, a teraz przytoczył na korzyść Ignacego Potockiego odrzucenie ofiarowanego mu orderu orła pruskiego i na korzyść całéj deputacyi kilka faktów oporu i odmowy na propozy-

cye pruskie, jak tylko okazały się dla Polski niekorzystnemi (str. 26, 57, 110). Tak nie postępują najemnicy, dusze zaprzedane, zdrajcy. Więc ks. Kalinka w każdym razie postąpił zbyt surowo, zamieniając dawniéj przez spółczesnych nadaną nazwę stronnictwa patryotycznego na pruskie.

Surowość ta narusza nawet równowagę szal sądu historycznego, ponieważ inna wcale miara bywa stosowana do słów i czynności Stanisława Augusta. W przedmowie szan. autor podnosi i odpiera uczyniony mu przez recenzentów zarzut „zbytniéj wyrozumiałości.“ Oświadcza, że nie zatajał umyślnie win „najnieszczęśliwszego ze wszystkich królów polskich“; że wykazał takie błędy jego, o których dotąd mniéj, albo wcale nie wiedziano; że recenzenci walczyli faktami i sądami, zaczerpniętemi właśnie z zaskarżanéj książki. W istocie ks. Kalinka nic nie zataja, a jednak powyższemu zarzutowi podlega, ponieważ wykłada, tłómaczy, oświetla życzliwie i stylizacyą pochlebną podnosi politykę Stanisława Augusta nad wartość rzeczywistą. Tak np. widzi mądrość jego w niechęci do przymierza pruskiego, w domaganiu się przedewszystkiém traktatu handlowego i zniesienia ucisku cłowego na Wiśle oraz otworzenia granicy szląskiéj dla wywozu polskiego (str. 22, 42). Przyznaje mu „zasługę“, że nigdy nie był sojuszowi tureckiemu przychylny, że podpisanie traktatu odpornego i zaczepnego udaremnił dodaniem warunku: „o ile Prusy i Szwecya wojnę z Rosyą prowadzić będą“ (str. 184, 186, 168). Pochwala jego ociąganie się z nominacyą posła do Szwecyi w przekonaniu, „że ona pożytku Rzpltéj nie przyniesie, a Imperatorowéj nie będzie przyjemną“ (str. 187). Gdy zaś dłużéj zwlekać nie można było, król zamianował Jerzego Potockiego do Sztokholmu, lecz „aby umniejszyć znaczenia téj nominacyi“, wyznaczył zarazem posłów do Kopenhagi i Drezna (str. 188) bez żadnéj wówczas potrzeby, z narażeniem skarbu na zbyteczne koszta, o które dawniéj się spierał. Daléj, Stanisław August „zrozumiał donośność angielskich propozycyi i o ile stanowisko jego dozwalało, dopomagał do pomyślnego zakończenia negocyacyi“ z ofiarą Gdańska i Torunia królowi pruskiemu (str. 246). A gdy się raz mu zdarzyło puścić mimo uszu propozycyą Stackelberga spłaty długów przez dwory cesarskie, to ks. Kalinka podwakroć podnosi tę „wspaniałomyslność“! (str. 35 i 252).

Rady królewskie „zacne i roztropne“ rzadko były przyjmowane z ufnością przez stronnictwo patryotyczne, za co autor gromi przywódców, przy każdéj sposobności, wytykając im nieznajomość dyplomacyi, brak przezorności, łatwowierność, niemal nieudolność polityczną. My nie wdamy się w krytykę szczegółową całéj kampanii

dyplomatycznéj sejmu czteroletniego; gotowiśmy uznać z autorem niedostateczne uzdolnienie całéj Deputacyi Interesów Zagranicznych: ale nie możemy spuścić z uwagi, że jéj rozumowania i motywy postanowień nie mogły być wyświetlone należycie, skoro autor nie czytał protokułów sesyi tajnych sejmu i czerpie swe wiadomości wyłącznie prawie z korespondencyi z Debolim, t. j. od samego Stanisława Augusta, skoro patrzy tylko przez jego okulary, skoro czyni program jego osią swego systematu krytyki politycznéj. Wszystkie rady „roztropne“ co do przymierzy już-to z Prusami, już z Turcyą lub Szwecyą wypływały z jednego źródła mądrości politycznéj: nie robić nic nieprzyjemnego dla Imperatorowéj, nie urażać Rosyi. Ks. Kalinka mniema, że „gabinet petersburski dozwalał Rzpltéj pewnych ulepszeń administracyjnych i pomnażania wewnętrznych zasobów pod warunkiem, że Polska wpływowi Rosyi ulegać będzie dobrowolnie“, nazywa zerwanie z Rosyą i przechylenie się do Prus „pierworodnym grzechem sejmu“: ale nie zapominajmy, że sejm ten zapragnął uwolnić kraj od uciążliwéj i upokarzającéj gwarancyi, że uczuł urok niepodległości narodowéj i że tém właśnie zarobił sobie na sławę tak u spółczesnych, jak u potomności. Skoro zaś ów grzech sejmu był pierworodnym, to nie dziw, że przewodnicy jego nie mogli żywić zaufania do Stanisława Augusta, który wciąż, nawet po rzekomem odstąpieniu od stronnictwa rosyjskiego, wszedłszy w serdeczne stosunki ze stronnictwem patryotyczném, głosząc znane hasło „król z narodem“, zwierzał się ze spraw dyplomatycznych Stackelbergowi (np. str. 51, 64), lub czuwał bojaźliwie nad usuwaniem wszelkiéj decyzyi, któraby mogła być Imperatorowéj nieprzyjemną.

Nie dość na tém. Obrachunek niepowodzeń i uchybień stronnictwa przewodniczącego został obciążony nienależném „debet“ w takich wypadkach, w których autor posiadał niedokładne albo téż błędne wiadomości. Tak, wytykając szkodliwość i kosztowność poselstwa do Turcyi, podaje koszt w przesadnéj cyfrze 60,000 dukatów (str. 186), tymczasem rachunki skarbowe z obu dwuleci sejmowych zawierają dwie sumy: zł. 405,000 i 460,640, które czynią razem tylko 48,000 dukatów. [Zanotujemy nawiasowo, że Szkoła oryentalna w Stambule nie wtedy i nie przez starostę szczerzeckiego zakładaną była, lecz przed rokiem 1766 przez Tomasza Aleksandrowicza, który jeździł w poselstwie do Porty z zawiadomieniem o wstąpieniu na tron Stanisława Augusta (1)]. Opisując niemal z szyderstwem niezdarność i nieczynność posłów czyli ministrów polskich przy dworach zagranicznych, autor ogarnia též swoją naganą Ogińskiego (str. 194), cho-

(1) Wewn. Dzieje Polski t. III, tab. 176, str. 168, przypisek 2; tab. 203.

ciaż ten potrafił pomyślnie i szybko znegocyować 10-milionową pożyczkę holenderską w Hadze, zaszczepił tam sympatyczne dla sejmu usposobienie i jeździł do Londynu na układy z Pittem. W ustępie o rozprawach z dnia 1 kwietnia 1791 r., kiedy to zapadła uchwała o nierozdzielności Rzpltéj, ks. Kalinka powtarza z wiarą, a przynajmniéj bez żadnego objaśnienia śmieszne słowa Stanisława Augusta: „Widoczna była niechęć do mojéj osoby i to tak dalece, że już *cicho* szemrali, iż *rozsiekać* mię potrzeba“ (str. 238). Czyż można brać za dobre takie obawy tchórza? czy podobna przypuścić scenę rozsiekania w tém gronie arcy-sentymentalnnych i aż zanadto wydelikaconych ludzi, o których sam Ignacy Potocki powiadał: „*ils ne sont ni méchants*, *ni cruels*; *ile ne versent pas du sang*; *ce sont les hommes les plus doux et les plus moutons de la terre*“ (1).

Posiedzenie z d. 15 marca, na którém uchwalono zawarcie traktatu pruskiego, wywołuje w umyśle czytelnika zgorszenie, jeśli nie oburzenie na kierowników intrygi sejmowéj, szczególnie zaś odczytanie depesz ks. Jabłonowskiego z Berlina przez Matuszewicza, które „musiały być podrobione.“ Dla czego „musiały“? Na czém oparty jest tak ciężki zarzut? Oto, na streszczeniu owych depesz w raporcie posła austryackiego de Caché i na kombinacyach autora, z tegoż streszczenia wysnutych—podstawa tém wątlejsza, że to posiedzenie sejmowe odbyło się przy drzwiach zamkniętych i protokół jego nie jest autorowi znany (str. 56,51). Zarzut, a chociażby przypuszczenie fałszerstwa przy takim stanie materyału, bez dokumentu, bez porównania i sprawdzenia dowodów, nie może, nie powinien być stawiany, a więc *nie* „godzi się powiedziéć, że przy téj uchwale nie strzeżono ani prawa, ani dobréj wiary“ (str. 57).

Wymagałyby też dokładniejszego sprawdzenia: zakaz wywozu zboża do Rosyi i skasowanie zawartych kontraktów „z niemałą szkodą dla armii moskiewskiéj, która mogła być ogłodzoną, lecz z większą jeszcze krzywdą polskich obywateli, którzy stracili jedyny odbyt na swoje produkta (str. 243). Nie przypominamy sobie z przejrzanych akt zarządu skarbowego, aby straży granicznéj dawano stosowne instrukcye wykonawcze, a nie słychać też wyrzekań pokrzywdzonych obywateli, którzy na wszelkie uszczuplenie intrat wielką okazywali czułość.

Wreszcie powtarzają się niejednokrotnie błędne twierdzenia z tomu I-go, że w owéj epoce handel polski upadał, że kraj coraz bardziéj ubożał, że Rada Nieustająca lepiéj rządziła, że pod zarządem

---

(1) Dziennik Bułhakowa pod d. 16, XII, 1791 w Dokumentach do ostatnich lat panowania St. Aug. wydanych przez samegoż X. Kalinkę (str. 280).

króla wojsko było przez cudzoziemców chwalone, gdy armią sejmu czteroletniego jenerał Kalkreuth zganił (str. 244, 19, 105, 242, 249, 125, 124). Mniemania te zbijaliśmy w poprzedniéj recenzyi i dowodzenie swoje utrzymujemy.

Gdy do tak długiego szeregu argumentów logicznych dodamy wrażenia stylowe, tok wysłowienia, ujmującego, przeniknionego czcią i sympatyą, gdy o króla chodzi, surowego, zimno-krytycznego, czasem satyrycznego, jeśli jest mowa o Ignacym Potockim lub jego stronnikach: to się okaże znaczna przewaga na szkodę ostatnich, a na korzyść pierwszego.

Dwa razy jednak w tym tomie ks. Kalinka sięgnął do głębi duszy Stanisława Augusta i dostrzegł jéj nicości, moralnéj mianowicie: 1) z powodu mowy d. 15 marca, w któréj wbrew własnym przekonaniom i zabiegom król oświadczył zgodę na zawarcie traktatu pruskiego bez punktów handlowych; 2) w uwagach nad bohaterstwem Gustawa III pod Swenskasund. „Nie było w jego (Stanisława Augusta) charakterze zdolności poczucia się królem"...

„Na téj sesyi nie był królem, tylko udawał króla, jak nie raz jeden w swém życiu" (str. 161, 54). Na to spostrzeżenie godzimy się w zupełności i sami wyraziliśmy je w zamknięciu swojéj monografii, lecz ks. Kalinka nie zdecydował się na wszechstronne wyzyskanie i rozwinięcie tego określenia, na wyznaczenie właściwéj wagi takiemu defektowi, jak brak poczucia królewskości w królu. Wolał osłabić własny wniosek słodzącymi dodatkami o przykrości podobnych wyznań, o innych przymiotach i zasługach, których Stanisław August „miał więcéj od Gustawa" itp.

W ogóle zaś krytyka polityki zagranicznéj sejmu czteroletniego budzi w umyśle naszym znaczne wątpliwości. Jakkolwiek na tém polu przyznajemy się do braku przygotowania, doświadczenia i kompetencyi, pozwalamy sobie wynurzyć domysł, że sąd ściśle naukowy o wartości układów czy to z Prusami, czy z Turcyą, Szwecyą, Anglią jest niemożliwy w obec braku dostatecznéj siły zbrojnéj, która stanowi zasadniczy i najważniejszy warunek powodzenia w dyplomacyi. Skoro wiemy, że w latach 1789 i 1790 armia polska ani doprowadzoną do stutysięcznego etatu, ani wyćwiczoną należycie nie była, to już z góry przewidziećbyśmy mogli, że wszelkie sojusze zawierane tak wedle planu Stanisława Augusta z Rosyą przeciwko Turcyi, jako też wedle życzeń stronnictwa patryotycznego przeciwko Rosyi z Turcyą i Prusami, nie mogły Polsce przynieść istotnych i trwałych korzyści, jedném słowem nie mogły miéć powodzenia. To też cenimy najbardziéj w wykładzie ks. Kalinki te zdrowe uwagi; że zawarłszy traktat zaczepny, nie można usuwać się od przewidzianéj w nim

wojny bez narażenia się na zawód w blizkiéj przyszłości (taki błąd popełniono podczas układów w Reichenbach); że zgoda Fryderyka Wilhelma II z Austryą rozdarła przymierze pruskie w połowie, a zgoda z Rosyą musiała je rozedrzéć w swoim czasie do reszty; że niedorzecznością jest żądać od sprzymierzeńca opieki, poręczenia swoich posiadłości, swojéj niepodległości, gdy jemu za tę usługę druga strona niczém się nie wywzajemnia; że niemądrze myśleli Galicyanie, gdy, zabierając się do powstania przeciwko rządowi austryackiemu (1), żądali pieniędzy i wojska od króla pruskiego a sami „nie ofiarowali nic“ na własną swoję sprawę. W takich oto faktach objawia się dochodząca do naiwności dziecięcéj nieudolność myślenia i niedołęstwo czynu politycznego w owoczesném społeczeństwie polskiém.

Część druga tomu II, ukazująca się na półkach księgarskich w lat pięć po pierwszéj, obejmuje prace sejmu z r. 1790 nad naprawą Rzpltéj przez reformy wewnętrzne: skarbowe, kościelne i organiczno-państwowe, tj. dotyczące formy rządu. Tu ks. Kalinka spotkał się na jednéin polu badań z nami, lecz ku pożytkowi nauki i zadowolnieniu czytelnika ogląda zwykle inne strony przedmiotu, odsłania nowe perspektywy. Tak, z głębokiém znawstwem i żywém poczuciem sprawiedliwości wyłożył sprawę unicką, przytoczył żądania krzeseł senatorskich dla episkopatu, kilkakrotnie od papieżów nadsyłane, potępił tak opór rządu polskiego przeciwko tym żądaniom jako też zaniedbanie oświaty w całém duchowieństwie unickiém. Mniéj sprawiedliwości widzimy w sądach szan. autora o duchowieństwie katolickiém: gdy okazuje pobłażanie proboszczom, fałszywie zeznającym swoje intraty dla umniejszenia podatku (str. 263); gdy broni Skarszewskiego, skazanego na śmierć w r. 1794, i posuwa się aż do twierdzenia, że „nic zgoła nie można było mu zarzucić“ (str. 400), chociaż znaną jest wina główna tego biskupa, spełniona na sejmie grodzieńskim (rozgrzeszenie z przysięgi na konstytucyę 3 maja), znanemi są także wahania Kościuszki w bezsenną noc zanim zdecydował się pod wpływem Niemcewicza na ułaskawienie, tj. na

---

(1) Sprawa Galicyjska zresztą wydaje się nam nieco przesadzoną w § 124 i 125. Wykład opiera się przeważnie na depeszach posła austryackiego de Caché, który, zdaje się widział więcéj niż było w rzeczywistości, a i z tych depesz nie widać, żeby ludność Galicyi myślała naprawdę o powstaniu. Pisma i czynności komisyi pełnomocnéj we Lwowie ostatecznie dały się pogodzić z lojalnością a czasem nosiły cechę zaprzaństwa narodowego jak np. prośba do Leopolda o zapewnienie takiéj przyszłości, iżby ona „ani w nas, ani w synach naszych nie wzbudzała tęsknego żalu za przeszłością naszą“ (str. 93).

zamianę kary śmierci dożywotniém więzieniem; wreszcie gdy ponownie gromi sejm za zajęcie dóbr biskupstwa Krakowskiego na użytek skarbu, broniąc nietykalności majątku kościelnego, a właściwie grubych intrat wyższego kleru, chociaż od owego czasu aż do dnia dzisiejszego wszystkie rządy we wszystkich krajach zniosły dawne średniowieczne uposażenie kleru, a sejm polski wyznaczył aż nadto hojną pensyą biskupom (100,000 złp.). Nikt przecież nie zaprzeczy, że biskupi krakowscy oddawna już używali dóbr swoich nie w tych celach dobra publicznego, w jakich niegdyś otrzymywali je od zapisodawców, że bogactwo ich nie przynosiło pożytku istotnego ani krajowi, ani kościołowi, ani religii. Gdzież tu jest wina przywódców sejmowych, jeśli poszli za wyobrażeniami o państwie nowożytném, na jakie musiała przeobrazić się Polska, chcąc ocalić istnienie swoje? Jako historyk polityczny ks. Kalinka, zdaje mi się, powinien-by wytknąć marszałkowi Małachowskiemu i ks. Czartoryskiemu chwiejność zdania i słabość logiki w zabiegach o całkowite odwołanie uchwalonego prawa, naganić niewłaściwą uległość wpływom nuncyusza; tymczasem pochwala on właśnie ich „dobre chęci", a nawet w rozumowaniu swojém okazuje się *plus catholique que le Pape* skoro Pius VI nie nastawał na odwołanie uchwały, lecz zadowolnił się poprawką o wyznaczeniu biskupom proporcyonalnego uposażenia w dobrach zamiast pieniędzy (porówn. str. 300, 304, 307).

W wykładzie rozpraw podatkowych, a szczególnie w sądzie o deputacyi koekwacyjnéj ks. Kalinka nie przyjął naszych wyjaśnień, utrzymując dawne swoje twierdzenie o nierzetelności społeczeństwa lubo w złagodzonéj nieco formie (str. 270, 271). Zyska na tém czytelnik, albowiem będzie miał do rozsądzenia sprawę z dwóch stron obejrzaną: czysto administracyjnej i etyczno-obyczajowej. Ten ostątni pierwiastek występuje wybitnie w całém dziele tak dalece, że wywołuje częstokroć zamianę metody historycznéj na homiletyczną. Błędy, klęski polityczne, albo nawet nieumiejętność w zarządzeniach administracyjnych są częstokroć przypisywane grzechom, zepsuciu obyczajów, potrzebie „interwencyi Bożéj" itp. Związek pomiędzy szeregami pojęć naukowo-krytycznych i teologiczno-mistycznych daje się jednak wyrozumiéć ze str. 273, gdzie szan. autor mówi o wpływie silnego rządu na moralność ludu w pogańskim Rzymie oraz w nowożytnéj Hiszpanii i Prusach; wszelako ustęp ten nie jest dostatecznym dla mniéj wyćwiczonych umysłów. Dla sejmu zaś czteroletniego metoda rzeczona o tyle jest niekorzystną, że zaostrzyła nieufność do wnioskodawców wszelkiéj reformy, że wywołała nadmierną podejrzliwość względem pobudek wszelkiego projektu lub

czynu, że wzmogła rygor sądów i zmniejszyła stopień wyrozumiałości dla przywar narodowych (1).

Wysoką cenę przywiązujemy do rozdziału III-go, poświęconego charakterystyce literatury politycznéj owoczesnéj. Uderza nas szczególnie studyum o wpływie J. J. Rousseau w Polsce. Radykalny filozof, twórca teoryi o stanie natury i umowie społecznéj znalazł w szlacheckiéj Rzeczypospolitéj mnóstwo sympatycznych dla siebie urządzeń i zasad. Ks. Kalinka wynalazł w pismach jego cały szereg wywodów, które użyczały uzasadnienia i powagi najdziwniejszym anachronizmom i błędnym wyobrażeniom szlachcica staréj daty, jak np. nie dbać o handel, finanse, przemysł zbytkowy, zamiast podatków pobierać dziesięcinę, wyrzec się skarbu, wojska stojącego, fortec, artyleryi, liczyć tylko na kawaleryę, nie ufać królom, pielęgnować wolność republikańską, utrzymując chłopa w poddaństwie, ba, nawet ścieśnić granice zbyt rozległéj rzeczypospolitéj (str. 356—359). Najgłębiéj przejąć się miał wpływem Russa, Staszic; ks. Kalinka widzi u niego „całe traktaty, wyjęte żywcem z Umowy Społecznéj,“ lecz obok tego widzi téż drugiego człowieka—polskiego statystę, ideologa, obserwatora. Ztąd wynikać mają liczne sprzeczności w twierdzeniach i teoryach. „Wszystkie myśli, wszystkie środki przezeń nastręczane do tego jedynie zmierzają, jak ludność i produkcyą podwoić, skalę podatkową podwyższyć, skarb zbogacić, jednem słowem, na ten czy inny sposób Polskę zbrojniejszą uczynić i od nowego podziału zasłonić. Bez wątpienia te ostatnie żądania są zacne i roztropne, ale po co je mąci i utrudnia pierwszemi?.. Jakże chory ma zawierzyć lekarzowi, który jednę rzecz chwali, a inną, przeciwną doradza?“ (str. 363).

Nam nie zupełnie trafia do przekonania tłómaczenie takie. Staszic zaczyna zwykle od rozumowania szczerze polskiego, prawie staroszlacheckiego i zgodność jego z Russem może pochodzić właśnie z zaznaczonych powyżéj sympatyi genewskiego filozofa dla Rzeczypospolitéj; potém, wykazując złe skutki dawnego stanu rzeczy i niezgodność ze społecznym stanem państw obcych, tłómaczy konieczność reform, któreby zabezpieczyły Polskę od upadku. Stacza on walkę z samym sobą i w imię patryotyzmu wyrzeka się miłych sercu wyobrażeń, urządzeń, nałogów, uprzedzeń. Sądzę, że w téj walce wewnętrznéj, w tém przezwyciężaniu siebie samego leży tajemnica uroku i wpływu, jakiego doznawał współczesny czytelnik jego, znaj-

(1) Tak np. gadulstwo mówców sejmowych jest wytykane w saméj tylko części drugiéj po kilka razy, na str. 260, 266, 481, 513, 524. Wspominaliśmy dawniej, że podobny zarzut czyni Taine izbie francuzkiéj.

dujący się w podobnym stanie umysłu. Daléj ks. Kalinka mówi o Staszicu z gorącém uznaniem lubo nie przyznaje mu tak wielkiego, jak my znaczenia, i „nie śmie twierdzić:“ czy książka taka, jak „Przestrogi“ wywarła wpływ na opinią szlachty?

Hugo Kołłątaj, poddany nowemu badaniu, wyszedł zeń w szpetnéj postaci. Zaszkodziło mu zastosowanie skali etycznéj przez szan. autora, wiadomo bowiem, że nie był moralnie czystym człowiekiem. Szkodziły mu następnie sądy „bez głębszego rzeczy poznania“ np. o reformie Akademii Krakowskiéj (str. 374), przez uszczuplenie i zniżenie jego wielkiéj zasługi. A najbardziéj zaszkodziły ostre, ale (dodajmy) zupełnie słuszne słowa, jakie napisał w r. 1793 o Stanisławie Auguście, iż ten „zmiennikiem był, krzywoprzysięzcą i zdrajcą“ oraz domysły, przez spółczesnych głoszone, że w r. 1794 Kołłątaj chciał ukarać go śmiercią. Ks. Kalinka bowiem usprawiedliwia najgorszy i najwystępniejszy postępek z całéj biografii Kołłątaja—oświadczenie się za Targowicą d. 24 (raczéj 23 lipca) 1792... pospołu ze Stanisławem Augustem (str. 386—389); od roku zaś 1793 potępia go tam nawet, gdzie poszlaki są niedostateczne lub niewiarogodne, lub gdzie winy niemasz. „Jego to sprawą, powiada, były podwójne wieszania w Warszawie, które miały oczyścić kraj ze zdrajców... Z Warszawy te krwawe orgie miały się rozlać po całym kraju... lecz Kościuszko Kołłątajowi pogroził“ więzieniem (str. 396). W zasadzie żądanie surowéj kary na zdrajców, przypisywane Kołłątajowi, nie stanowi winy, ani błędu politycznego. Przecię sam ks. Kalinka oświadczył się za ścięciem głowy Ponińskiemu (str. 492). W wykonaniu zachodzi nieprawidłowość, że wymiar kary nastąpił nie przez kata, lecz przez lud, raczéj przez motłoch. Jaki był atoli w tym fakcie udział Kołłątaja? wiadomości nasze nie są na tyle dokładnemi i pewnemi, iżbyśmy na nich twierdzenie oprzéć mogli. Bezpośrednim sprawcą rozruchu był Konopka, zwany sekretarzem Kołłątaja, ale tenże Konopka figurował już w aktach Komisyi Policyjnéj w r. 1792, że złajał publicznie w kościele ksks. Reformatów kaznodzieję nieprzyzwoitemi słowy; sprawę tę jednakże komisya odesłała tylko do sądu cyrkułowego, który puścił ją płazem; nadto Konopka został późniéj umieszczony w wojsku, „jakby w nagrodę pięknego dzieła“ (1). Człowiek taki nie koniecznie mógł być ślepém i posłusznèm narzędziem, a co do pogróżek Kościuszki, który winowajców istotnie ukarał, to już nie mamy żadnego poważnego dowodu i śladu, żeby je czynił Kołłątajowi. Autor uwierzył następnie plotkom, jakoby Kościuszko „bał się Kołłątaja,“ jakoby, chcąc położyć koniec wichrzeniom Hugonistów,

---

(1) Wewn. dzieje Polski t. IV, cz. II, str. 179.

zamyślał o jakimś „akcie energicznym“, dla którego potrzebném mu było nowe zwycięstwo; poszedł więc na Fersena, lecz nie „śmiał wszystkiego wojska wyprowadzać z Warszawy“, rzucił się z drobną garstką i przegrał bitwę pod Maciejowicami (str. 397). Powody wyprawy Maciejowickiéj wyjaśniają się z akt kancelaryi obozowéj jenerała Sierakowskiego ; nie miały one nic spólnego z „wichrzeniami Hugonistów“ i wynikały z sytuacyi militarnéj, a chociaż korespondencya ta wojskowa dotąd nie była znaną (1), wszakże do rozproszenia fałszywych zarzutów i domysłów wystarczały znane powszechnie dwie okoliczności: 1) że w najzaufańszém gronie, w którém Kościuszko spędził ostatni wieczór przed wyjazdem z Warszawy, znajdował się Kołłątaj ; 2) że komendę w obozie Mokotowskim, t. j. naczelne dowództwo nad całém wojskiem pod Warszawą Kościuszko powierzył Zajączkowi, hugoniście.

Sąd o zarządzie Kołłątaja wydziałem skarbowym należałoby odłożyć do chwili zrewidowania ksiąg tego wydziału. Ks. Kalinka przyznaje Kołłątajowi w stopniu wyższym, niż Staszicowi, rozum polityczny, zdolność administratorską i organizacyjną, talent pisarski, ale w smutném zakończeniu świetnego niegdyś zawodu widzi słuszną pokutę i przestrogę Opatrzności za chciwość i niepomierną ambicyą. Usprawiedliwia też dawnych kolegów z sejmu czteroletniego, którzy, dzierżąc na początku XIX wieku najwyższe godności w kraju, nie zatrzymali Kołłątaja w Warszawie, żeby z jego zdolności i światła korzystać. Zdaniem naszém, nie zasługują oni za to na pochwałę. Kołłątaj był pierwszorzędną zdolnością polityczną, mężem stanu niepospolitym, siłą umysłową największą wśród swego pokolenia. Był-to *ein schlechter Mensch*, *aber ein guter Musikant.* Takimi wszakże bywają najczęściéj ludzie polityczni; ambicya i chciwość są prawie niezbędnemi sprężynami ich charakteru ; trzeba ich tylko trzymać na wodzy, nie wypuszczać z obrębów prawa. Nielepszym od Kołłątaja moralnie był Mirabeau, ale był jedynym człowiekiem, który umiał obalić *ancien regime* i nową drogę dla Francyi otworzyć; to też za trumną jego postępował w żalu i z czcią głęboką cały Paryż, zapominając o wszelkich jego wadach i grzechach, oceniając jego talent polityczny i dzieła dokonane. U nas sprawy narodowe szwankowały, niestety! zbyt często dlatego, że kierowali niemi *gute Menschen*, *aber schlechte Musikanten.* Owi koledzy z sejmu czteroletniego powinni byli przedewszystkiém pamiętać, że Kołłątaj był czynnym, wpływowym, wybitnym członkiem tego rządu, który potrafił naprawić ich błędy i wykonać nieurzeczywistnione w łatwiejszych warunkach

(1) Znajdzie ją czytelnik w części II tomu IV Wewn. Dziejów Polski str. 534—563.

uchwały. Nie godzimy się tedy na zdanie ks. Kalinki, że powstanie Kościuszkowskie „zadało imieniowi Kołłątaja cios zabójczy w opinii poważnéj narodu“; przeciwnie uświetniło je i wywyższyło ponad imiona Małachowskiego, Ostrowskiego, Stan. Potockiego, które wówczas świeciły nieobecnością, niestety!

W liczbie pięciu najwydatniejszych przedstawicieli literatury politycznéj został zamieszczony anonim, autor broszury, czyli raczéj małéj książki p. t. „Myśli polityczne dla Polski.“ Mieliśmy ją w ręku, lecz nie dostrzegliśmy szczególnych zalet; ks. Kalinka zaświadcza, że i u spółczesnych „przeminęła niepostrzeżenie“, dodając: „za mądra była na swój czas; lecz i późniéj mało uwagi na nią zwracano“ (str. 428). Pomimo to nazywa ją „niezwyczajném zjawiskiem“, znajduje na jéj kartach niepospolity, zdrowy rozsądek, gruntowną o rzeczach wiadomość i siłę—te najważniejsze przymioty człowieka politycznego. Na tych przymiotach oraz na „tonie górnym“ ks. Kalinka opiera przypuszczenie, że autorem jéj był prymas, Michał Poniatowski. Już w pierwszym tomie czytaliśmy cały paragraf poświęcony temu dostojnikowi, ale wśród wielu najpochlebniejszych wyrazów uwielbienia, nie znaleźliśmy ani jednego faktu, któryby je usprawiedliwiał. Jeśli ów brat Stanisława Augusta posiadał tak znakomite przymioty człowieka politycznego, to czemuż ich nie okazał na właściwéj arenie politycznéj—w czynie? Zdaje się, że ks. Kalinka pierwszy tworzy tę wielkość; dla nas jednak nie jest ona zrozumiałą.

Głośna broszura „O sukcesyi tronu w Polsce“, napisana przez Seweryna Rzewuskiego, nastręczyła sposobność do skreślenia całéj biografii tego magnata staroświeckiego, na podstawie nieznanych w druku papierów familijnych i do uwydatnienia pojęć o republikanckiéj wolności w Polsce z niezbędną elekcyą królów i *liberum veto*.

Wiadomo, że literatura polityczna z epoki sejmu czteroletniego jest bardzo obfita, ale wybrane przez szan. autora pisma charakteryzują dosyć wyraźnie panujące w stronnictwach prądy mniemań. Tym sposobem padło więcéj światła na dyskusyą o formie rządu. Zgodnie z założeniem swojém ks. Kalinka przygania ograniczeniom władzy królewskiéj, a szczególnie Ignacemu Potockiemu, że w ciągu swéj pracy nad konstytucyą nową „nie uważał ani razu za stosowne poradzić się Stanisława Augusta, który, od lat 30-tu mając w swém ręku interesa publiczne (?), lepiéj niż kto inny znał ich potrzeby i warunki.“ Zadawalnia go dopiero uchwała z d. 20 września o wyborze następcy na tron za życia N. Pana, ponieważ mogła zamknąć „owe wrota elekcyi, owe pakta Henrykowe, któremi tyle nieszczęść do Rzpltéj wpłynęło.“ Zaraz potém wszakże ks. Kalinka, nie krępując się własnym programem politycznym, zapisuje nader ważne i niespo-

dziane spostrzeżenie: „Czemuż na tém nie przestano? Czemuż złe dwuwiekowe chciano odwalić na jednym sejmie, za jednym zamachem? Umieć zatrzymać się wporę.... uszanować powody, a choćby uprzedzenia swych przeciwników... —to sztuka, to mądrość, rzadkie nawet u ludzi politycznych... I stało się, że zbyt rącza gorliwość uniosła jednych, a z niéj zła wola lub nierozum drugich nie omieszkały skorzystać.“

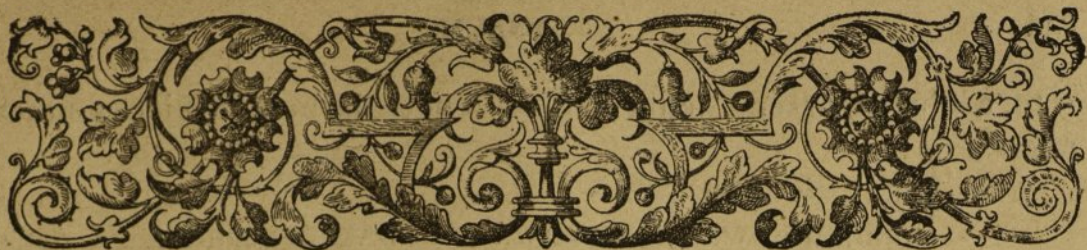
Miło mi jest zaznaczyć, żeśmy się spotkali na tym wniosku o szkodliwości gwałtownego narzucania zasady sukcesyi, lubo dochodziliśmy do niego różnemi drogami. Dowodziłem, że zamieszka Targowicka była bezpośrednim skutkiem owego fatalnego błędu autorów konstytucyi trzeciego maja (1), a nie wątpię, że i ks. Kalinka miał to samo na myśli, kreśląc powyższe słowa. Zgodność taka, bez poprzedniego porozumienia i na odmiennych drogach badania osiągnięta, wzmacnia wiarogodność spostrzeżenia i wyjdzie na pożytek nauce.

Podobną zgodność zapatrywań i wniosków znaleźliśmy też w wykładzie sprawy miejskiéj, kończącéj tom niniejszy. Wymownie i gorąco wychwala ks. Kalinka prawo o miastach, nazywa je ważnym krokiem na drodze naprawy Rzeczypospolitéj, datuje od niego nową epokę w dziejach sejmu. Z podnieconém zaciekawieniem i żywém zainteresowaniem oczekiwać będziemy przedstawienia téj nowéj epoki w tomie następnym. Radzibyśmy nakłonić szanownego autora, aby pracy swojéj nie zamykał na ostatniéj limicie sejmowéj, dnia 29 maja 1792, lecz doprowadził ją do ostatnich dni istnienia rządu, przez sejm wytworzonego, a przez Targowicę obalonego w sierpniu tegoż roku. Spodziewamy się, że wtedy zniklłoby pomiędzy nami dużo punktów spornych i ujawniłaby się zgodność we wszystkich bodaj ostatecznych wnioskach i sądach ku pożytkowi czytelników, ku podniesieniu wiarogodności prac historycznych, a więc ku chwale historyi jako nauki.

---

(1) Wewn. Dzieje Polski część II tomu IV str. 596—600 i zamknięcia str. 25.

Tadeusz Korzon.



MIŁOŚĆ W OPAŁACH.

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW KROACYI.

XV. **Konjunktury.**

Markizostwu wizyta księżny Rakoczy nie wyjaśniła sytuacyi, luboć uspokoiła ich. Uspokojenia powód opierał się na téj od dawna znanéj i wypróbowanéj regule, że łaska pańska na pstrym jeździ koniu. Pomimo przeto, że niełaska wynikła z powodów bardzo ważnych—ze zbrodni, należących do rodzaju *lasae majestatis*—liczyć można było na zmianę wiatru, nawiewającego humory. Pomiędzy monarchami, zajmującymi takie jak Leopold I, stanowisko, a kobietami zachodziło podobieństwo wielkie. Humor znaczył u nich wiele i sprowadzał kaprysy, dzięki którym niełaska w jedném oka mgnieniu w łaskę się nierzadko zmieniała. W wieku Ludwika XIV było to rzeczą pospolitą. Tak rzecz tę rozumiał hrabia Orfeusz, który, nie będąc interesowanym osobiście, zapatrywał się na wypadki obiektywnie i czynił wnioski z punktu rozwagi chłodnéj. Widzenie swoje wykładał on tak:

— Reguła etykiety stoi, jak skała... Obejść jéj nie sposób w warunkach zwyczajnych... Ale w mocy najjaśniejszego pana jest wytworzenie warunków nadzwyczajnych, które pozwolą sprawę na inne przenieść pole...

— Na jakie, naprzykład?..—zapytał markiz...

— Na którém byś się zasługą odznaczyć mógł... Jesteś poetą i wojownikiem, cesarz przeto wezwać cię może, bądź do napisania sonetu, bądź téż do odniesienia świetnego zwycięstwa...

— Bez wojny?..

— To rzecz najmniejsza... Wojna, która w niczém etykiety nie nadweręża, jest chwili każdéj na zawołanie cesarskie... Chodzi jeno

o to, ażeby do przeniesienia sprawy z pola na pole istniała podnieta jakaś...

— Jaka?.. w czém?..

— Jaka?.. nie wiem; w czém?.. w duszy najjaśniejszego pana... W duszy... w sercu...—dodał po chwilce namysłu. Jest się cesarzem... jest się człowiekiem...

Hrabia Orfeusz znajdował się na drodze do odkrycia podniet psychicznych, z których wysnuwać można było przypuszczenie zmiany niełaski w łaskę. Mylił się jednak co do punktu zarówno wyjścia i dojścia, a omyłka jego w następujący wyraziła się sposób.

— Leopold I jest wprawdzie jezuitów wychowankiem, nie wszyscy się atoli wychowańce jezuitom udają... Andrzej Batory, Jan Kazimierz krzywo im poszli, przypuszczać więc się godzi, że w Leopoldzie I zachowały się popędy szlachetne, które mu wyjaśnią, że postępek markiza, luboć formalnie jest pogwałceniem przepisów, nie jest jednak zbrodnią w intencyi, że wyszedł on z pobudek troskliwości o zdrowie cesarskie... z pobudek téj cnoty chrześciańskiéj, co się nazywa miłością bliźniego...

— Być może...—odrzekł markiz, wysłuchawszy z uwagą tego psychologii w odniesieniu do Leopolda wykładu.

Księżna nic nie odpowiedziała. Zdawało się, że w zamyśleniu i rozmarzeniu tonęła, co było rzeczą naturalną, ze względu na postawienie kwestyi przez księżnę Rakoczy co do zależności losów od niéj—od księżny Julii. Psychologiczny hrabiego wywód usiłowała w myśli do osoby własnéj odnieść i szukała punktów łączności. Markiz się odezwał:

— Chwiejna to jednak podstawa...

— Chwiejna.... to prawda...—potwierdził hrabia.

— I... jeżeli księżna Rakoczy nie opiera się na innéj, wróżąc nam powrót do łaski, to liczyć nie ma na co...

— Zapewne...

— I liczyć nie ma na co... i rozprawiać nie ma o czém...—rzekł markiz z akcentem zniecierpliwienia. Rozprawiamy *de lana caprina*... W sumieniu mojém uczuwam się spokojny... Nie myślałem o cesarzu, gdym ujrzał człowieka plackiem na ziemi leżącego i pośpieszyłem na ratunek jego, jakbym pośpieszył był na ratunek drwala, gdybym go ujrzał w położeniu podobném...

— W tém też wina twoja, krewniaku dostojny—odrzekł hrabia—żeś zrobił dla cesarza, co byś był dla drwala zrobił... Pomiędzy cesarzem a drwalem zachodzi przecie różnica jakaś...

— Nie w tém jednak położeniu...

— W każdém... Występkiem jest myślić inaczéj... Grzeszysz, nie tylko czynem, ale myślą i mową...

— Nie mówmy więc o tém... Mówmy o czém innném... Zapomniałem, że *molae deorum sero molunt* i śpieszyłem, niby zbieg jaki, ze Trstu do Czakowca, z Czakowca do Wiednia... Żałuję pośpiechu tego; mogłem *festinare lente* i zamiast w komedyi łowów wziąć udział w łowach rzeczywistych, jakie się obecnie w lasach, kniejach i ostępach czakowackich odbywają... A zresztą... wolałbym się był zgoła ze Trstu nie ruszać...

— Dla tego, że *secessum et otia quaerunt carmina scribentes*...— zauważył hrabia Orfeusz.

— I dla tego i dla czegoś jeszcze...—odrzekł markiz, z wyrazem miłości w oczach na młodą i piękną spoglądając żonę.

Markiza wejrzenia tego nie odczuła, jak się zdaje, nie dała bowiem na nie odpowiedzi właściwéj. Oczy jéj nie strzeliły wymową kochania. Wzrok miała na męża zwrócony, patrzała jednak, tak, jakby próżném było zajmowane przezeń miejsce. Patrzanie tego rodzaju złą bywa, dla małżonków zwłaszcza, wróżbą. Tknęło ono markiza; wzrok jego strzelił zdziwieniem; brwi zmarszczył i żonę zainterpelował:

— Julio!...

— Ha ha!..—drgnęła, niby ze mu nagle przebudzona.

— Zamyśliłaś się?..

— A... tak...—flegmatycznie, na oczy firanki rzęs spuszczając, odpowiedziała.

— Pani się frasujesz—wtrącił hrabia Orfeusz—niepotrzebnie... Ostatecznie... cóż złego stać się może?.. Domowy areszt nie zapowiada sądu zbyt surowego; gdyby zaś sąd wydać miał wyrok najsurowszy, toć wyroki wszelkie podpisuje cesarz, mocen, jeżeliby taką była jego dobra wola, nawet na śmierć skazanego na stopniach tronu posadzić... Przytém i to jeszcze na uwagę wziąć należy, że markiz podlega sądom nie cesarskim, ale korony węgierskiéj...

— Tak...—potwierdził markiz.

— A zatém... nie frasuj się, pani i koligatko dostojna... Księżna Rakoczy nie napróżno ze słowami pociechy i uspokojenia przyjeżdżała... Nie ryzykowała by się, gdyby wam co zagrażało... Coś ona wie...

— Wie?..—z akcentem zapytania odezwała się księżna. Skąd?..

— A!..—odparł hrabia. Jest to, najprzód przy dworze *persona grata*, a następnie, u ojca Müllera spowiadając się, spowiada ojców Müllera, Menegattiego, Sinellego, Spinolę i wszystkich mężów świętobliwych, co nad duszą młodego cesarza czuwają... Jeżeli kto przeto, to przedewszystkiém ona posiadać może i musi świadomość sprężyn

tajemnych, poruszających czynność dworską na zewnątrz... Ona tego szczególnie pilnuje...

— Nabożeństwu duszą całą oddana...—zauważyła księżna.

— Właśnie téż... Gdyby nie to, nie mogłaby być ojców wielebnych spowiednicą... Na drodze téj utrzymują ją troski rozliczne: o zbawienie duszy własnéj, o zbawienie duszy syna, o zapewnienie dla tego ostatniego, spadkobiercy Batorych i Rakoczych, dóbr wiekuistych i doczesnych... i inne, i inne, z temi w bliższéj lub dalszéj pozostające styczności... Z troskami temi nabożeństwo się ściśle kojarzy... Zobaczysz ją wasza książęca mość jutro w katedrze św. Szczepana...

— Na nabożeństwo powszednie ma kaplicę domową...

— Ale jutro będzie niepowszednie...

— *Quo titulo*?..—zapytał markiz.

— Naród cały powołanym jest do zanoszenia do Stwórcy modłów dziękczynnych za odwrócenie od monarchy obrazy, jaka mu zagroziła...

— Hm...—mruknął markiz. Na dobry ład, naród zanosić by powinien modły o to, ażeby się monarcha lepiéj na koniu trzymać nauczył...

— Zapewne...—zaczął hrabia i miał coś jeszcze na języku, ale mu przerwała kiężna:

— Czy i ja mam na nabożeństwie być obecną?..

— Nie inaczéj...—odparł hrabia.

— Franciszek aresztowany...

— Tém bardziéj... Wasza książęca mość modlić się powinnaś podwójnie: za siebie i za męża...

— W katedrze?..

— Stanowisko towarzyskie waszéj książęcéj mości nie pozwala jéj modlić się za cesarza w jakimś na przedmieściu kościołku.

Młoda kobieta westchnęła. Westchnienie to pierś jéj podniosło, jak westchnienie zwyczajne, których moc taką śmiertelnicy ronią, wyszłe atoli z piersi w towarzystwie drżenia lekkiego, które, gdyby zanalizowane być mogło, wykazałoby pierwiastek trwogi. Zatrwożyła się, usta otwierała w celu przemówienia jakiegoś i wyrazy jéj na ustach skonały. Miała zamiar zapytać, czy w katedrze cesarz będzie. Czemu nie zapytała?

Czemu? Stało się z nią coś dziwnego a bardzo zwykłego i naturalnego. W duszę młodéj kobiety zaroniło się powiedzenie kobiety staréj, ziarnem zapadło i kiełkowania proces rozpoczęło. Mężowi i męża krewniakowi dobranoc oddała; przy okazyi téj powiedziała, że się niezdrową czuje; odeszła, rozebrała się, położyła i drzwi od

sypialni kameryerze zamknąć kazała. W komnacie, w lampie alabastrowéj, bladym płomykiem gorzała oliwa wonna. Księżna się zdaleka w płomyk ten wpatrywała i wpatrywanie się to hypnotyzowało ją. Doznawała w sobie czegoś nakształt przelewania się płynu subtelnego. Sprawiało jéj to draźnienie rozkoszne, łączące się z widziadłem, które jéj z oczu nie schodziło. Widziała cesarza—widziała go, kiedy oczy miała otwarte i kiedy się jéj na źrenice nasunęły powieki i wydęły na takowych wypukło, mając u spodu rzucające na policzki cień rzęsy jedwabiste, u góry łuki brwi czarnych. Widziała cesarza, ale nie tego, co ją na audiencyi i recepcyi przyjmował i na łowach jéj przewodniczył—nie. Ten jéj z oczu i z pamięci znikł, ustępując miejsca cesarzowi w najczystszéj i najbardziéj uroczéj pojęcia tego ekspresyi, przedstawicielowi piękna, potęgi i wspaniałości. Płomyk lampy migotał; ona widziała i ten płomyk i tę postać, która, zdawała się, komnatę całą sobą zapełniala, posiadała jednak kształty człowiecze. Uderzały księżnę szczególnie. ramiona, piersi i usta— ramiona grube, mocne, muszkularne, piersi szerokie, usta wydatne i krwi pełne. Odczuwała je na sobie i w sobie, w złudzeniu uścisku, w którym się gięła, niby trzcina, i topiła, jak wosk w ogniu. Był to cesarz idealny—pan, mocarz, Herkules, w obec którego nie istniała możliwość oporu ze strony niczyjéj, zwłaszcza zaś ze strony kobiety słabéj. Takiego widziała, o takim roiła; wyraz „cesarz“ w duszy jéj grał słodko, niby echo harfy, grzmiał hucząc, jak gromy w górach— zachwycał ją i trwożył. W zachwycie i trwodze spędziła noc całą, spała i nie spała, nawpół uśpioną zeszła ją kameryera; na palcach się zbliżyła, cofnęła się i wychodzić chciała, kiedy ją księżna odedrzwi przywołała.

Kameryera trzymała w ręku tackę srebrną, a na tacce list.

— Od kogo to?..

— Od jéj wysokości księżny Rakoczy...

Ksieżna Julia kopertę rozerwała, list, który był krótki, oczami przebiegła i rzekła:

— Księżna po mnie przyjedzie... Czy to późno?..

— Dziewiąta na pólzegarzu...

— Trzeba mi się prędko ubrać...

— Co jaśnie oświecona pani włoży?..

— Strój do kościoła... Jaka tam pogoda?..—zapytała.

— Z nocy deszcz padać zaczął i pada...

Księżna stosownie do tego przygotować sobie kazała odzież, wytworną, bogatą, a do okoliczności zastosowaną. Okoliczności nakazywały jéj żałobę. Włożyła więc na siebie materye i aksamity barwy ciemnéj i przystroiła się w futerka i koronki. Odzież się na

niéj drapowała, służąc jako oprawa, uwydatniająca jéj kształty i wysuwająca niejako na plan pierwszy oblicze, wpół przysłonięte zasłoną przejrzystą. Z pod zasłony przeglądało czoło jasne i warkocze grube. Wiały od niéj uroki i ponęty, niby zakryte a do szczegółów najdrobniejszych wykazane.

— O tak!.. dobrze!.. doskonale!..—zawołała księżna Rakoczy, gdy, przyjechawszy około jedenastéj, obejrzała ją od stóp do głowy. Uzbroiłaś się.,. Widzę, że rozumiész o co chodzi... Wyglądasz prześlicznie...

— Wasza wysokość na mnie łaskawa...

— Gdzie o interes idzie, tam się komplimenty nie prawią... Wyglądasz czarująco... Jedziemy...

Księżny wsiadły do wspaniałéj, na żółto pomalowanéj, rzeźbieniem i herbami przyozdobionéj kolasy, którą ciągnęło sześć koni a poprzedzał laufer eskortowany przez huzarów. Biedny laufer piechotą biegł po błocie i wygłaszał nazwisko damy dostojnéj, zajmującéj wnętrze kolasy. Powietrze, przesiąkłe wilgocią deszczu jesiennego, napełniał huk jękliwy dzwonów, zwołujących mieszkańców stolicy do domów bożych. Wszystko co żyło do kościołów śpieszyło. Ruch w mieście zapanował ogromny. Lud pospolity deptał bruki piechotą, ciągnąc bokami ulic a pozostawiając środek żółtym, czerwonym, zielonym, błękitnym i innéj barwy karetom, wiozącym członków rodów wysokich i wysokich dostojników, z których każdemu towarzyszyła eskorta konna i każdego nazwisko i tytuły ogłaszał laufer. Okrzyki te w powietrzu przy wtórze dzwonów brzmiały i ściągały na siebie uwagę tych, co piechotą szli. Niektóre wywoływały oznaki zadowolenia. Lobkowiczowi, Montekukulemu krzyczano: „Niech żyje!“ Wiedeńczycy mieli w sferach wysokich faworytów swoich, wybieranych zazwyczaj śród tych, co stali najbliżéj tronu, który w czasach owych posiadał cały wielkości i świętości urok. Dla tego téż, gdy się ukazała, ośmiu końmi zaprzężona i szereg długi pojazdów poprzedzająca, a przez gwardye szlacheckie eskortowana kareta cesarska, krzyk „*Hoch*!“ wszczął się i nie ustawał tak długo, aż się zatrzymała przed krużgankiem katedry. Był to ciąg jeden wrzawy radosnéj ludu, kochającego monarchę swego. Kareta się zatrzymała, wrzawa ustała; cesarz śród szpaleru gwardyi wkroczył na krużganek, gdzie na powitanie jego oczekiwała kapituła z kardynałem arcybiskupem na czele; zatrzymał się, wysłuchał krótkiéj po łacinie księcia kościoła przemowy i duchowieństwem oskrzydlony, przestąpił próg świątyni, pod sklepieniem któréj uroczystym tonem odezwały się organy.

Zbytecznem byłoby dodawać, że kościół był przepełniony. Bliżéj drzwi wchodowych tłoczył się lud; ławki zajmowali *honoratiores* coraz to dostojniejsi w miarę, jak się siedzenia zbliżały ku wielkiemu ołtarzowi, odgrodzonemu baryerą. Za baryerą, po stronie prawéj, znajdowała się stala cesarska, aksamitem karmazynowym wybita, w klęcznik z poduszką zaopatrzona, herbem państwa i koroną przyozdobiona i ustawiona naprzeciwko stal, przeznaczonych dla osób pomiędzy najdostojniejszemi najdostojniejszych. Jedną z tych ostatnich zajęła księżna Rakoczy, drugą obok księżna Frangopano.

Za wejściem cesarza wszyscy z miejsc powstali. Leopold I przeszedł przez środek nawy kościelnéj z oczami w dół spuszczonemi, nie patrzał ani na prawo, ani na lewo, ani nawet przed siebie; promienie wzroku jego obejmowały jeno tę część podłogi, na któréj stopy w trzewikach z brylantowemi klamrami stawiał; na poprzedzające wielki ołtarz stopnie wkroczył, do stali wszedł, usiadł, na klęcznik się osunął, przeżegnał się i, siedzenie zająwszy, ku wielkiemu ołtarzowi obliczem się zwrócił. Nie widział nic i nikogo, z wyjątkiem stołu wspaniale przyozdobionego, na którym odbyć się miała ofiara pańska i kapłana, który ze mszą wyszedł. Celebrował sam arcybiskup w asystencyi biskupów i kanoników. Wystąpienie cechowały wielka uroczystość i wielka pompa. Kazanie miało za tekst: „Aniołom moim każe cię piastować,“ a nabożeństwo zakończyło się wystawieniem przenajświętszego sakramentu i hymnem: *Te Deum laudamus*. Rozmiary téj wystawy kościelnéj nie licowały z rozmiarami przygody chyba o tyle, że i na gładkiéj drodze nogę złamać a kęsem chleba powszedniego udławić się można. Potrzebne jednak były. Nadarzyła się okazya pokazania ludności majestatu cesarskiego w obłokach dymu kadzidelnego, w blaskach wystawy—skorzystano z takowéj tém skwapliwiéj, że majestat ów w osobie Leopolda I prezentował się bardzo niepokaźnie.

Cesarz siedział naprzeciwko dam i panów, zajmujących miejsca honorowe. W szeregu ich znajdowała się księżna Julia Frangopano.

Księżna zachowywała na zewnątrz spokój zupełny. Pochylona nad książką do nabożeństwa w modlitwie się być pogrążoną zdawała. Wejście jednak cesarza wywarło na nią wrażenie. Zaniepokojenie lekkie widziéć się dało w oczach, które zamigotały i wnet rzesami się osłoniły, jakby w obawie, ażeby kto wrażenia tego nie dostrzegł. Wraz z tém na lica wybiło ledziuchne zarumienienie. Cesarz miejsce zajął i oznaki te znikły; księżna z pod oka oblała postać jego wejrzeniem raz, oblała poraz drugi i trzeci i następnie nie przestawała na niego od czasu do czasu z ukosa spoglądać. Spoglą-

dała a w oczach jéj, w głębi zrenic, malował się wyraz politowania, odpowiadający powtarzającemu się w umyśle ustawicznie zapytaniu: „To cesarz?.. I to cesarz?.. cesarz“?..

Przypuścić by można, iż młoda kobieta przeprowadzała paralelę, pomiędzy tym cesarzem rzeczywistym, a tamtym, co się jéj z płomyka lampy alabastrowéj w postaci nocnego widziadła ukazał. Ale nie. O widziadle owym ani myślała—nawet o niém zapomniała. Ludziom często się zdarza nie pamiętać snu najbardziéj sensacyjnego. Pozostawała atoli reminiscencya, polegająca na różnicy, jaka zachodziła pomiędzy owym mocarzem wyrojonym, a tym co, ubrany w ciało i kości, korzył się przed tajemnicą ofiary mistycznéj, przedstawianą przy ołtarzu. Świadczyło to, że młoda księżna w cesarzu szukała człowieka a w człowieku czegoś, co by ją uzupełniało i czego by ona uzupełnieniem była, nakształt tego, jak się w zlewie harmonijnym tonów muzycznych uzupełniają wzajemnie bas i kwinta. Natura jéj niewieścia prowadziła ją do szukania doboru, tłómaczącego się za pomocą uczuwanego z góry pociągu, lgnięcia istoty jednéj do drugiéj—lgnięcia, którego wyraz w znaczeniu podniosłém tłómaczy się miłością a przewodnikiem bywa tego lub innego rodzaju urok. Jakiż urok wydzielał z siebie Leopold I? Nie inny, jak władzy. U stóp swoich miał słuchających rozkazów jego miliony ludzi; miliony składały mu cześć bożą prawie, i na rozporządzenie jego oddawały cześć swoję, swoje mienie i życie. Od władzy bije ogromny, zdolny głowę zawrócić urok, który na młodą kobietę nie oddziaływać nie mógł. W duszę jéj zręcznie, luboć od niechcenia, wsączoną została insynuacya, ukazująca w perspektywie panowanie nad władcą. Uległa wpływowi, ale w sposób oderwany—fantastyczny.. Na gruncie realnym narzucała się jéj reguła doboru i uprzykrzenie do umysłu jéj cisnęło się zapytanie: „To cesarz?“

Zapytanie to modlić się księżnie przeszkadzało i to sprawiało, że cała ta, taką pompą wystawną nacechowana uroczystość wydała się jéj śmieszną. Przypominała sobie Leopolda I, biorącego rozwód z kapeluszem; peruką i rozkraczonego w postaci żaby na ziemi. Śmiech ją pod piersiami łechtał, a zarazem uczuwała łechtanie innego rodzaju, wstrętliwe i przerażające, którego by doznała, gdyby żaba na nią wlazła. Usiłowała sensacyą tę podwójną od siebie oddalić. Wsłuchiwała się w nabożeństwo, wczytywała w modlitwy. Było to nadaremnie. Śmiać jéj się chciało; wstręt nią wstrząsał; usta przygryzała, zęby zaciskała i musiała z siebie wydobywać całą, do jakiéj zdolną była, siłę woli, ażeby na zgorszenie najwyższym kościoła i państwa dostojnikom bądź śmiechem nie wybuchnąć, bądź też wstrętem nie syknąć.

— To cesarz?.. i to cesarz?..

Wejście jéj do kościoła i zajęcie miejsca w stalach obok księżny Rakoczy przyjęte przez dostojników wszelakiego rodzaju zostało, jako wielkiéj doniosłości zdarzenie. Sprawiło ono zrazu zdumienie ogólne. Wytrawni jednak politycy i dyplomaci, jeżeli zdumieniu niekiedy ulegają, to nigdy długo mu nad sobą panować nie dają. Zastąpiło je przeto wnet uważanie śledcze, które w języku dyplomatycznym nazywa się studyowaniem sytuacyi. Przedmiotem studyów dla radców i radczyń, dla wojowników i mężów stanu, dla ludzi świeckich i ludzi duchownych stały się dwie osobistości: Leopold I i księżna Julia. Studya te z tego wychodziły punktu, że księżna Rakoczy nie odważyłaby się prezentować w warunkach takich z księżną Julią, gdyby w kroku tym nie upatrywała następstw ważnych. O istotę następstw owych chodziło, a chodziło tak bardzo, że w nabożeństwie nikt inaczéj, jak formalnie, udziału nie brał, nikt ceremonii nie widział, nikt kazania nie słuchał, nikt dziękczynień, z wyjątkiem jednéj księżnéj Rakoczy, przed tron boży nie słał.

Księżna Rakoczy szczerze się modliła i szczerze Bogu za spadnięcie cesarza z konia dziękowała. Nie przeszkadzało jéj to wejrzeń badawczych od czasu do czasu na Leopolda I zwracać. Wejrzenia zwracała i niekiedy je dłużéj zatrzymywała. I ona studyowała. Zrazu studya rezultatów nie dawały; cesarz, w modlitwie pogrążony, znieruchomił się, niby posąg, przykryty peruką ogromną; nie pokazywał patrzącym oblicza, a z peruki niczego dojść nie można było. Aż arcybiskup przed ołtarzem, przy grzmotowym wtórze organów i podniesieniu głosu, zaintonował: *Salvum fac imperatorem nostrum*. Wówczas cesarz głowę od pulpitu podniósł, wzrokiem powodzić do koła rozpoczął i nagle wzrok zatrzymał. W senliwością nabrzmiałych oczach jego jawił się błysk przelotny. Wybiegł i znikł; wywołał jednak to następstwo, że od chwili téj cesarz co moment wejrzenie zwracał na przedmiot, który błysk wywołał, a którym była postać księżny Julii.

Księżna Rakoczy podchwyciła błysk w przelocie i takie to na niéj wrażenie wywarło, że młodą kobietę łokciem trąciła i z przyciskiem znaczącym chrząknęła; wnet jednak się pochyliła, westchnęła i za arcybiskupem drżącym od wzruszenia głosem wywodzić poczęła: *Salvum fac*...

Gdy po nabożeństwie skończoném do karety obie te damy wsiadły, stara księżna młodą niezwłocznie zapytaniem zaczepiła:

— A co?.. hę?.. tryumfujemy?.. co?..

I na odpowiedź nie czekając, prawiła daléj:

— Nie będziesz tego mocarza na nitce wiodła, jeżeli chyba tego sama nie zechcesz... Rzecz się już daléj sama zrobi, potoczy się,

niby piłka z góry na dolinę rozkoszną... Bańśtwo dla Piotra pewne.. Dziś jeszcze wyprawię gońca do Franciszka z upoważnieniem oświadczenia się o rękę Heleny i z błogosławieństwem swojém.. Szkoda, że w momencie tym nie mamy pod ręką jakiéj jeszcze w rodzaju tym sprawy do ubicia... Ha... — westchnęła.

XVI. Operacya zakulisowa.

W tym samym dniu, w którym się nabożeństwo dziękczynne odbyło, w Wiedniu zaszła zmiana towarzyska ogromna. Przed nabożeństwem znajdował się jeden, na który z czołobitnością i hołdami spieszono, dwór; po nabożeństwie dworów takich stanęło naraz trzy, a mianowicie: cesarski, książęcy-Rakoczy i książęcy-Frangopano. Cesarski, rzecz prosta, prym trzymał dla powodów, które wykazywania nie potrzebują. Dwa domy książęce przedstawiały się jako instancye tajemniczo-zagadkowe i niezmiernie obiecujące. Krok księżny Rakoczy wyglądał na pozór nakształt zuchwalstwa, które jednak, wedle jednozgodnéj wszystkich, co się w kościele studyom oddawali, obserwacyi, na cesarza dobre wywarło wrażenie. Nic nie rzekł, złego humoru nie okazał, nikogo nie kazał aresztować: dla ogółu stanowiło to wróżbę, w któréj biegli w materyi dworskiéj upatrywali doniosłości ogromnéj zmiany. Cesarz od chwili *Salvum fac*, niby w obraz cudowny, w księżnę Julię się wpatrywał.

— O...—każdy z najbieglejszych w umyśle sobie zakarbował.

Cesarz młody — księżna piękna.

Nie było ani jednego, coby nie znał historyi Herkulesa, przyjmującego funkcyą prządki i historyi Samsona, wydającego tajemnicę włosa dla pięknéj kobiety. Historya zburzenia Troi, dzięki piękności kobiecéj, również była powszechnie wiadoma. Budowano więc na fundamencie, co miał takie po za sobą precedensy.

Najpierwszym z mężów stanu, co wschodzącą nad głową młodéj kobiety jutrznię powitać pośpieszył, był książe Lobkowicz z małżonką. Książe zasłonił się pretekstem, oświadczając na wstępie, iż czyni zadość téj cnocie chrześciańskiéj, co więźniów odwiedzać nakazuje.

— Nie uskarżam się zbytecznie na więzienie moje... — odparł markiz.

— Formalność czysta... Najjaśniejszy pan musiał dostojność waszą, dla przykładu, na czas jakiś swobody pozbawić... Obszedł się z wami łaskawiéj, jak z marszałkiem i hrabią, których zamknąć rozkazać najmiłościwiéj raczył....

— Będzie nad nami sąd....

— Może... zapewne... zależy to od jego cesarskiéj mości woli....

— Od woli jego królewskiéj mości węgierskiéj—poprawił Frangopano.

— No tak...—tonem niepewnym nieco odrzekł książe, znał bowiem skłonność Leopolda I do nieszanowania ograniczeń konstytucyjnych, przywiązanych do korony węgierskiéj i usuwających obywateli królestwa z pod dowolności monarszéj Tak... zapewne... Bądź co bądź jednak, nie będzie to niczém innêm, jak dopełnieniem formalności, którą znana jego cesarskiéj mości łaskawość złagodzić i osłodzić potrafi... Serce jego najwięcéj nad tém boli, że dostojność waszą ukarać musiał...

Rozmowa potoczyła się o dobroci serca Leopolda I, o bogobojności i o innych zalecających go cnotach.

Po Lobkowiczu nadjechał kanclerz Hocher, po nim ktoś z magnateryi węgierskiéj; węgra zmienił czech, z którym równocześnie pozdrowienie składał Montekukuli, poprzedzający jednego z dygnitarzy kościelnych. Wizyty nie ustawały, odwiedzający sadzili się na grzeczność i serdeczność, wynurzali się, kołatali do przyjaźni młodych księstwa, od których się przed południem, niby od zapowietrzonych, odwracali, ofiarowywali im usługi swoje. Niektórzy z nich przewidywali zmianę w odniesieniu do Węgier polityki i przyznawali słuszność pretensyom węgierskim bez względu na to, że celem okiełznania takowych zawartym został po świetném st.-gotardzkiém zwycięstwie, niekorzystny vasvarski pokój. Damy ze strony swojéj zbliżały się i przysiadały do księżny Julii, prawiły jéj komplimenty, wychwalały jéj gust we fryzowaniu włosów i dobieraniu barw, unosiły się nad wonią wódek, którą jéj odzież wydzielała i polecały jéj pamięci i względom łaskawym to syna, owa wnuka, inna męża, krewniaka lub kogoś, co był jéj obojętnym, ale, albo posiadał wielkie, nie cenione należycie zalety, albo też uległ jakiemuś od woli jego niezależnemu nieszczęściu. Udzielały jéj przytém, pod pieczęcią tajemnicy, wiadomości różnych ciekawych i interesujących o faktach i fakcikach, co się już stały i o innych, których następstwa w ciągu dalszym ukazać się miały.

Chorągiewka się obróciła i serdeczność wielka otoczyła parę, która ze względu na to, że należała do rodziny Zrinich, uchodziła za podejrzaną i była dotychczas tolerowaną. Tolerancya ustąpiła miejsca uznaniu zupełnemu, bezwarunkowemu i potęgującemu się z dnia na dzień. Zupełność i bezwarunkowość uznania tłómaczyła się formą stosunków towarzyskich, które po wsze czasy polegały na wyśrubowywaniu wynurzeń do stopnia najwyższego. W zakresie tym nie ma miary pośredniéj; jedni drugim bezwzględnie przyznają

niepospolitość i żnakomitość, tak, że potęgowanie niemożliwém się prawie staje. Stało się jednak — zachodziło. Z dnia na dzień młoda para, pomimo że markiz wciąż w stanie aresztu domowego pozostawał i markiza z racyi téj na pokojach cesarskich prezentować się nie mogła, odbierała dowody przyjaźni coraz to tkliwszéj ze strony tych wszystkich, co się przy wielkiém grzeli ognisku. Niektórzy z dygnitarzy najwyższych oświadczali się z gotowością poświęcenia dla księcia lub księżny Frangopano. Nie było to bez kozery. Za kulisami coś się dziać musiało.

— Coś się dzieje—zauważył hrabia Orfeusz, który z boku stojąc, przypatrywał się wypadkom z punktu obiektywnego. Czy nie wypada powiedziéć: *Timeo Danaos et dona ferentes?...*

Uwagę tę wygłosił późnym wieczorem, kiedy księstwo znużeni całodziennném gości przyjmowaniem, o spoczynku myśleli.

— Hm... hm?.. — mruknął markiz.

— Miałyżby się na tronie zmienić dyspozycye względem Czakowca?..

— Zdarzają się rzeczy nadzwyczajne...

— Zapewne...

— Co to żnaczy, że z Czakowca wiadomości nie mamy? — podchwyciła księżna.

— Ucztują, polują... polują i ucztują, nie dziw przeto, że czasu nie mają do pomyślenia o wyprawieniu do Wiednia gońca... Zresztą, może—dodał—na gońca z Wiednia w Czakowcu oczekują...

— Mam ochotę napisać do Piotrowéj — księżna na to.

— Wstrzymaj się, aż się rzeczy wyjaśnią nieco—rzekł książe— to i ja napiszę do Piotra..

— Wyjaśnią się, napiszemy znów — odparła tonem téj niecierpliwości niewieściéj, którą budzą zachcenia nagłe. Idę, piszę... mam noc całą dla siebie... *Adio*, panowie....

Odeszła, zostawiając męża i krewniaka; pokojówce się rozebrać kazała; na siebie włożyła szlafroczek ciepły, na nogi pantofelki futrzane, na głowę czepeczek nocny, i zasiadła przed stolikiem nieopodal od komina, na którym polana brzozowe jasnym, wesołym i rozkoszne ciepło szerzącym gorzały płomieniem. Przed nią stały dwie świecy woskowe w lichtarzach srebrnych, leżał papier, stał kałamarz, w kałamarzu tkwiło pióro. Do pisania zabrała się nie od razu. Pierwéj pomyśléć musiała i gdy myślała, wytworzyla z siebie obrazek rodzajowy zachwycający. Kobieta piękna zachwycającą jest zawsze. W obrazku tym atoli zachodziła niezwykłość pozy, przedstawiającéj zamyślenie w obec pióra i kałamarza, w oświetleniu świec jarzących i płomienia z drzewa brzozowego. W oświetle-

niu tém, opłomieniającém jéj policzki, zamyślenie przybierało akcent téj zagadkowości tajemniczéj, która potęguje uroki niewieście. Uroczo téż odbijało od takich, jak stół, papier, kałamarz i pióro, przedmiotów pospolitych, kancelaryą o mil sto cuchnących.

Zamyślenie jéj nie trwało długo. Pióro w paluszki pieszczone ujęła, w inkauście je umoczyła, w kałamarzu strzepnęła, nad papierem się pochyliła i pisać się jęła. Pisała szybko. Biała jéj ręka suwała się po papierze tak prawie, jak ręka Liszta lub Rubinsztejna suwa się po klawiszach. Popędzały ją obfitość i bogactwo treści. Opisywała hrabinie Piotrowéj kolejno: nowe, jakie zabrała znajomości, audyencyą, recepcyą, polowanie, aresztowanie markiza, nabożeństwo dziękczynne, zmianę nagłą w stosunkach towarzyskich, jaka po nabożeństwie nastąpiła i różne do faktów tych odnoszące się szczegóły. Pisała, pisała, i gdy się jéj pod pióro polowanie nasunęło, pofolgowała sobie, zdając z wypadku, jaki cesarza spotkał, sprawę w sposób humorystyczny. Biednego Leopolda I ośmieszyła na koniu i na ziemi. Przy okazyi téj skreślić nie omieszkała postaci i rysów oblicza jego. We względzie tym nie żałowała ani barw, ani porównań. „Widziałam małp wiele — pisała — alem tak brzydkiéj nie widziała. Biedny człowiek.“ Tak się wyraziła o mocarzu, któremu hołdowały miliony, a chciała dodać jeszcze: „wstręt budzi“, ale się wstrzymała nie dla tego, iżby się rozmyślić miała, ale dla tego, że myśl tę zepchnęła inna, która jéj w tém oka mgnieniu do głowy wbiegła.

Przy pisaniu młoda kobieta siedziała tak długo, że pokojówka, która czuwać aż ona do łóżka pójdzie musiała, trzykrotnie drzewa w kominie dokładała. Zapisała więc ćwiartek kilka i już dobrze z północy było, kiedy wstała od listu niedokończonego. Listu nie dokończyła, w ostatku bowiem przypomniała sobie, że hrabina Piotrowa powierzyła jéj dwie ważne sprawy, o których ona słówkiem nie wspomniała. Dla napisania czegoś o sprawach tych, potrzebowała się z księżną Rakoczy widziéć. Dla tego to pisanie zawiesiła, na kameryerę zawołała, i gdy ta ją z pończoch wyzwoliła, w łóżku ułożyła i ciepło okryła, rzekła do niéj:

— Jutro mnie rano zbudzisz...

— Jasna pani tak długo czuwała...

— To nic... Muszę, zanim się procesya wizyt rozpocznie, z domu wyjechać, powrócić i list dokończyć...

— Pracy tyle!.. Jasna pani — zaczęła.

— Cóż robić!.. — przerwała pokojówce księżna, westchnęła i w chwilę późniéj znów ją lampy alabastrowéj płomyk hipnotyzował, ale tym razem widziadła nie wywołał. Młoda kobieta prędko

zasnęła. Do sprowadzenia na nią snu przyczynił się zapewne szum głuchy, jaki sprawiał deszcz jesienny o okiennice dudniący.

Deszcz dudnił, ona spała i obudziła się w rzeczy saméj wcześnie — około dziewiątéj. Ubrała się z pośpiechem tak wielkim, że w godzinę późniéj siedziała już obok księżny Rakoczy, która tylko co w kaplicy zamkowéj mszy wysłuchała. Księżna powitała ją uprzejmie.

— Czekałam, wyglądałam ciebie — mówiła. Gdybyś mnie nie odwiedziła, byłabym cię dziś najechała... Mam ci dużo, dużo do opowiadania i do powiedzenia.... a najprzód najjaśniejszy pan — zaczęła z akcentem znaczącym—ten mi zaszczyt wyświadczyć raczył, iż mnie w gabinecie swoim przyjął... Miałam posłuchanie partykularne i przedstawiłam mu sprawę swoją i sprawę Piotra, ale nie od siebie...

— W imieniu Piotra? — zapytała księżna Julia.

— Nie... W twojém...

— W mojém?! — wykrzyknęła zdumienia tonem.

— W twojém, moja najpiękniejsza, a to raz dla tego, żeś z żądaniami temi do Wiednia przyjechała, powtóre dla tego, że imie twoje słodko w uszach najjaśniejszego pana brzmi....

Na słowa ostatnie rumieniec na policzki młodéj kobiety wybiegł.

— *Est modus in rebus* — rzekła księżna stara i zapytała: — Czy rozumiész po łacinie?..

— Nie wiele — odpowiedziała.

— Wy we Włoszech po włosku się porozumiewacie, my zaś mamy u siebie wieżę Babel językową i dlatego uczymy się po łacinie... *Est modus in rebus* znaczy, że trzeba z wiatrem płynąć... Wiatr na najjaśniejszego pana wieje od ciebie i dlatego odwołałam się do imienia twego...

— Jakżeż?.. skądże?..—zaczęła młoda księżna, jąkając się, jakby jéj co w gardle zawadzało.

— Jak?.. skąd?.. wié—odparła księżna Rakoczy tonem insynuacyi dobrotliwéj — ten chłopczyna, co z łuku do serc tak śmiertelników zwyczajnych, jak cesarzy strzela... Ja o tém nie wiem i nikt nie wié, to jeno pewne, że się tak stało, i ponieważ się tak stało, więc z tego korzystać należy... Opatrzność okazyi takich nie często nastręcza i nie każdemu nasuwa...

— Ja jednak... — tonem repliki odezwała się młoda kobieta i ucięła.

— Co ty?...

— Męża mam....

— O tak... masz... to pewne...

— Więc?..

— Bądź spokojna... to się zrobi... Interesuje się tém bardzo żywo ksiądz Müller... To rzecz jednak późniejsza, teraz zaś posłuchaj mego z posłuchania partykularnego sprawozdania... Powiedziałam najjaśniejszemu panu wręcz, żeś przyjechała z zamiarem zanegocyowania związku małżeńskiego pomiędzy synem moim a hrabianką Heleną Zrińską i wyjednania dla hrabiego Piotra stanowiska bana Kroacyi.... Cesarz to sobie powiedziéć pozwolił...

— I obiecał...

— I nic nie obiecał, nic nawet nie odpowiedział, ale — powtórzyła dobitnie, wyrazy skandując—powiedziéć pozwolił...

Księżna Julia nic na to nie odrzekła.

— To wiele, to już bardzo wiele — ciągnęła księżna Rakoczy daléj. Pozwolenie takie, udzielone na mocy imienia twego, oznacza przywiązany do osoby twojéj warunek, dzięki czemu sprawę za załatwioną uważać należy.... Jam już Franciszkowi posłała upoważnienie i błogosławieństwo; ty zawiadom hrabiego Piotra, że niebawem na stolicy bańskiéj zasiądzie....

Księżna Julia zrozumiała układającą się za kulisami operacyą, dowiedziała się, że operacyą tę prowadzą dwie takie, jak księżna Rakoczy i ojciec Müller, powagi i doznała czegoś nakształt zamętu w głowie. Zamętu powód tkwił szczególnie „w przywiązanym do osoby jéj warunku" — w warunku, tyczącym się nie jéj tylko saméj. Gdyby o nią samę chodziło, bez wahania się dałaby folgę wstrętowi, i nie szukając zasłony w obowiązku zaprzysiężonéj wiary małżeńskiéj, powiedziała wręcz, że się Leopoldem I brzydzi. Domyślała się jednak, że takie drażliwéj téj sprawy postawienie odbiłoby się fatalnie na mężu jéj, na rodzinie Zrinich i na całéj téj sferze, co się w nich ogniskowała. Zaznaczyć przytém potrzeba, że od chwili, jak poznała cesarskie względem siebie sentymenta, uczuwać względem męża poczęła spotęgowanie przywiązania i miłości. Gdyby cesarz był takim, jak ów, co się jéj w płomyku lampy pokazał, kto wie, azali by twardo na punkcie wiary małżeńskiéj stała. Tak atoli, rzecz się przedstawiała inaczéj.

Księżnéj Rakoczy nie odpowiedziała nic, ale, jak się do niéj przed chwilą z przyjazdem, tak się od niéj obecnie z odjazdem śpieszyła.

— Uciekasz już... co?... — zapytała stara księżna tonem uprzejmości serdecznéj.

— Muszę... Łaskawi odwiedzają nas...

— Gości was oblega dużo?

— Dużo — odpowiedziała.

— Solicytorowie... Tłum, co się do drzwi waszych ciśnie, ubiega się o twoje, moja najpiękniejsza, względy, przeczuwając w tobie potęgę... nowego Pompiliusza Egeryę....

— Nic z tego nie będzie — bąknęła księżna Julia.

— E?.. — odezwała się przeciągle księżna Rakoczy, za ręce ją trzymając i w oczy jéj z uśmiechem słodkim patrząc.

Młoda kobieta oburzoną się czuła; oburzeniu jednak folgę w karecie dopiero dała. W popędzie pierwszym chciała o wszystkiém męża zawiadomić; nim atoli do domu dojechała, zmiarkowała się, postanowienia nie powzięła żadnego, rzecz na delatę puściła, zresztą postąpić sobie nie mogła inaczéj, zastawszy dygnitarzy kilku, których bawić trzeba było. Dzień na przyjmowaniu odwiedzających upłynął; wieczorem markiz ją zapytał:

— Masz list gotowy?.. Jutro rano goniec odjeżdża....

— Słów kilka jeno dopiszę — odrzekła.

Znów do pisania zasiadła, siedziała, myślała i namyśliła się. Ułożyła sobie plan postępowania. Za warunek warunek. Na śliską, co prawda, weszła drogę, zamierzyła bowiem ze stroną biegłą i potężną układy prowadzić, warunki stawiać, do niczego się nie zobowiązywać i do rezultatów pomyślnych dojść, ale drogi innéj do wyboru nie miała. Albo, albo. Liczyła trochę na siebie, więcéj na opatrzność, list zakończyła, doniosła hrabinie Piotrowéj sucho i krótko o nadziejach dla jéj męża, list zamknęła, poleciła kameryerze, ażeby takowy gońcowi nazajutrz wręczyła i przed ułożeniem się na spoczynek gorąco i długo do Madonny się modliła. Modliła się szczerze, czuła się bowiem zagrożoną przez niebezpieczeństwo wielkie, do odwrócenia którego potrzebowała pomocy téj, którą matką niebieską zwała i za orędowniczkę uciśnionych uważała. Sentymenty, jakie w cesarzu wzbudziła, przedstawiała sobie pod postacią utrapienia, zagrażającego zwalaniem zarówno ciała i duszy.

— Odwróć, Matko, odemnie ten kielich słodyczy mętnych.... i nie dopuść utrapień bliskim moim....

Zalecało to dobrze kobietę światową. W sferze téj jakaż księżna nie stłumiłaby w sobie wszelkich dla człowieka tron zajmującego wstrętów? Tron! Ażeby doniosłość pojęcia tego zrozumiéć, przenieść się potrzeba myślą w wieki owe i przedstawić sobie te blaski, tę potęgę, te uroki mistyczne, jakie od niego biły. Nasi w linii prostéj przodkowie osobę monarchy od tronu oddzielali — pierwszą za bajbardzo mieli, przed drugim czoła chylili i dlatego zapewne byli monarchistami wątpliwymi i republikanami nieosobliwymi. W księżnéj Julii zasada monarchiczna ugruntowaną była mocniéj, stąd opór, jaki się w niéj z góry przejawił, miał znaczenie na zakarbowanie karbem głębokim zasługujące.

List jéj rano dostał się przedewszystkiém do rąk markiza, który od chwili, jak jeszcze świtać nie poczynało, pisaniem był zajęty. Pisanie jego polegało na przepisywaniu. Nie było to atoli kopiowanie zwyczajne, ale przestawianie liter w sposób taki, że formowały się z nich wyrazy dziwaczne, z których się szykował język niezrozumiały i niebywały. Sposób ten, znany i dziś w razach pewnych pod nazwą „klucza“ praktykowany, posiadał w wieku owym zastosowanie szerokie. Pisanie jednak kluczem stanowiło w państwach niektórych przestępstwo kryminalne i dopuszczało się wyjątkowo, za upoważnieniem specyalném osobom wysokie zajmującym stanowiska. Upoważnienie tego rodzaju posiadali: ban kroacki, palatyn węgierski, wielkorządca Styryi, ambasadorowie i inni. Ci kluczem korespondencyą pomiędzy sobą i z osobistościami przez siebie w misyach specyalnych delegowanemi prowadzić mieli prawo, pod warunkiem atoli złożenia klucza w rękach wielkiego kanclerza państwa, który miał w celu tym osobne pod ręką biuro. Warunku tego markiz nie dopełnił i dopełnić nie mógł dla racyi bardzo prostéj. Prawo klucza mu nie przysługiwało. Mimo to posługiwał się takowym. Listy popisał — bruliony popalił — koperty z papieru grubego powykrawywał; następnie listy swoje i żony wielką pieczęcią popieczętował, adresy *pleno titulo* ponapisywał i wszystkie razem do torby skórzanéj włożył. Torba, mocno uszyta, zaopatrzoną była w zamek. Markiz zamek zamknął, klucz do kieszeni schował i w dłonie klasnął. Na klaśnięcie w ramach drzwi pojawił się hajduk.

— Goniec — rzekł.

Hajduk znikł i w chwilę późniéj do komnaty wkroczył huzar w wysokich z ostrogami butach, w burce i kołpaku; przy boku mu wisiała szabla, z za pasa sterczały głownie pistoletów.

— Gotoweś do drogi? — zapytał markiz.

— Koń stoi osiodłany — była odpowiedź.

— Masz-że, oto — zaczął markiz biorąc ze stołu w czworo złożony papier—glejt dla ciebie.... schowaj go w zanadrze, ażebyś miał do pokazania na zawołanie każde... A oto—dodał, torbę mu wręczając — posyłka... Nie potrzebuję ci zalecać, ażebyś jéj pilnował, jak oka w głowie...

— Słucham — rzekł huzar.

— Glejt—ciągnął markiz—przez gubernatora podpisany i opieczętowany, więc cię nikt nie zatrzyma... bylebyś się nie upił... Upij się w Czakowcu dopiero..

— Słucham — powtórzył huzar.

— Oto pieniądze na drogę... Konia karm, sobie nie żałuj na słoninę, paprykę i chleb, *boru* pij w miarę, ale *palewki* ani wąchaj...

— Słucham....

— Koń pewny? — zapytał.

— Tatar... ten, com go pod Zrinigradem zdobył: nogi żelazne, piersi jak brama, zad jak u kanonika, łeb jak u barana...

— Jedź-że z Bogiem i w drodze nie marudź...

— Słucham—raz jeszcze powtórzył huzar, na miejscu się zwrócił i wyszedł.

Koń osiodłany w rzeczy samėj czekał. Jeździec popręg spróbował, wędzidła w pysk koniowi włożył, za czuprynę go pociągnął, ze stajni wyprowadził i przed włożeniem nogi w strzemie, po niebie okiem powiódł.

— Wypogodzi się, czy nie? — zapytał gapiących się przed stajnią pachołków.

— Kto to wie — odparł jeden.

— Toż namoknę zanim dojadę!..

— W Czakowcu się przy ogniu osuszysz i przy Marionie zagrzejesz....

— Przedewszystkiém się upiję, jak Pan Bóg przykazał—rzekł, na konia wsiadając.

Przeżegnał się, trzy razy dla odpędzenia uroków splunął i ruszył.

W przejeździe przez miasto nie spotkało go nic osobliwego. Jechał stępem po chlapanicy; niekiedy z pod kopyt końskich woda w bryzgach tryskała; przedmieście minął, do rogatki dotarł i tu „*halt!*“ usłyszał. Drogę mu zastąpiło strażników kilku.

— Skąd?.. dokąd?..

— Z miasta za miasto... Nie widzisz? — odpowiedział.

— Takich, co tak odpowiadają, nie puszczają ani naprzód, ani z powrotem—rzekł ze strażników jeden, przy pysku końskim stanowisko zajmując.

— Nie puścisz ty mnie? — odparł huzar tonem drwiącym.

— Nie puszczę, póki nie odpowiesz po ludzku...

— Ja ci odpowiem nie po ludzku... Glejt pokażę i ty, chociażeś człowiek niby, nie przeczytasz, a ja pojadę sobie...

— Kiedyś z glejtem, to w daleką jedziesz drogę — strażnik na to. Więc, *pajtasz*, z konia zsiądź i do kapetana chodź...

— Zsiądę i pójdę, co mi tam, a ty mi konia tymczasem potrzymaj....

Rzekłszy to, huzar nogę prawą przez grzbiet koński przerzucił, na lewėj się na ziemię osunął, na strażnicę wszedł i glejt z zanadrza wydobywszy, przełożonemu wręczył. Ten ostatni na papier jeno okiem rzucił, wnet do strażników wyrazów kilka po niemiecku przemówił. W momencie tym huzar ujrzał się otoczonym. Pochwycić go,

związać i powalić było dziełem chwili jednéj. Jął się wrzeszczeć: „glejt!“—gębę mu zawiązano, na strażnicy przez półgodziny przetrzymano, następnie na wóz wyniesiono, płaszczem niby nieboszczyka przykryto i powieziono.

Jazda nie trwała długo. Huzar, gdy go z woza zdjęto i, oręż mu i torbę zabrawszy, pod ręce poprowadzono, poznał, że się znajduje w murach więzienia.

Na kurytarz go długi wprowadzono i przez jedne ze znajdujących się tam drzwi do celi wtrącono.

W celi, jak skoro się obejrzał, ujrzał postać jakąś i usłyszał imie swoje.

— Janasz!.. tyś tu?..

— A no..:—odrzekł, poznając towarzysza niedoli zarazem z głosu i z postaci. I pan porucznik tu?.. *Servus*... Skądże?..

— Z Czakowca...

— A ja do Czakowca... Ściągają nas, jak widzę, stąd i stąd... Kiedyżeś pan szwabom w ręce wpadł?..

— Wczora...

— Rano?..

— Wieczorem późnym...

— No... no... Tfu!..—splunął.

XVII. **Agenci polityczni.**

W Czakowcu, po wyjeździe księstwa Frangopano, czuć się dała próżnia. Powód onéj odnosił się nie do markiza i nie do krewniaka jego, ale—szczególnie i wyłącznie—do księżny. Ubytek jéj miał podobieństwo do ubytku dzieciny najmłodszéj w łonie rodziny licznéj. Niby to pełno a próżno. Nie stało istoty, która wszystkich zajmowała pomimo, że sama odegrywała rolę bierną i zaznaczała się jeno obecnością swoją; zaznaczała się jednak tak, że się nią troszczyli wszyscy razem i każde z osobna; uśmiechali się do niéj, wdzięczyli; interesowali się nią, zachwycali; dla starych i młodych stanowiła ona przedmiot myśli i postrzeżeń ustawicznych; karbowano sobie jéj uśmiechy, odzéwy, skrzywienia, chimery; wybaczano jéj przykrości największe a uczuwano dla niéj wdzięczność za najmniejszą z jéj strony przyjemność i, gdy jéj nie stało—gdy ją, naprzykład, na mamki oddano—dziadek, babka, ojciec, matka, wujaszkowie, ciotunie, braciszkowie, siostrzyczki, służba płci obojéj i domownicy wszyscy oglądają się za nią i powiadają: „nie ma.“ Przez ubytek ten stała się próżnia.

Podobną bardzo w zamku czakowackim próżnię sprawił ubytek księżny Julii.

Nie długo bawiła, nie zajmowała osobą swoją miejsca więcéj, jak osoba każda inna, mimo to zapełniała budowlę obszerną. Zapełnianie to było uzupełnieniem, było harmonijném tego obrazu, jaki układała rodzina Zrińskich, wykończeniem, tego wieńca, jaki się w niéj i przez nią uwijał, uakcentowaniem. W obrazie, w wieńcu owym miejsce zajęło było piękno doskonałe. Zanim się pojawiło, panowała pełnia; gdy jednak ubyło, zrobiła się próżnia, która się dotkliwie czuć dawała każdemu i każdéj.

— Nie ma jéj...—myślano i powtarzano.

Piękno w społeczném, w towarzyskiém, w rodzinném życiu odegrywa rolę niezmiernie ważną—rolę, która całkowicie a bezwzględnie kobiecie przypada.

Rola ta w zamku czakowackim pozostawała nie zajęta. Hrabina Mikołajowa pretensyi do niéj nigdy nie miała; hrabina Piotrowa już przekwitła; hrabianka Helena niedokwitła jeszcze—pączkiem była—nie posiadała ani téj pewności siebie, ani tego wdzięku, ani tego uroku, jaki jest następstwem świadomości rozkwitu zupełnego. Hrabianka błyszczała, księżna jaśniała i olśniewała. Ta to jéj jasność olśniła cesarza; w Czakowcu zaś pozostała w postaci wspomnienia, które rozkosz sprawiało i żal wywoływało.

— Czemu odjechała?..

— Czemu nas pozbawiła siebie?

W sposób ten żal wyrażali hrabia Mikołaj, hrabia Piotr, ksiądz Marek nawet. Ze strony niewieściéj wyraz ów brzmiał równie silnie i szczerze a to dla tego zapewne, że ze strony téj nie było miejsca na zawiść. Obie hrabiny chętnie pierwszeństwa księżnie ustępowały; hrabianka zaś wujenką się zachwycała, znajdując w niéj zachwycającém to mianowicie, że koronę swoję nosiła tak, jakby nie wiedziała, że głowę jéj wieńczy.

To też, po wyjeździe księżny, mowa o niéj była ustawicznym prawie rozmów przedmiotem, a byłaby wyłącznym, gdyby nie spodziewany zjazd, którego moment zbliżał dzień każdy upłyniony.

Spodziewanie zjazdu szło o lepsze ze wspomnieniem o księżnéj i powoli, nieznacznie brało nad tém ostatniém górę. Taką jest kolej rzeczy ludzkich. Smutki najsroższe, żale najcięższe, wspomnienia najdroższe zacierają się z czasem w deptaku zajęć powszednich. Tu zaś nadchodziło zajęcie powszednie. Zjazd pod pretekstem łowów jesiennych zwołany, miał znaczenie doniosłości wielkiéj. Miał to być rodzaj sejmu i zarazem sprzysiężenia, mającego na celu wyzwolenie chrześciaństwa z pod nacisku tych opiek, co się narzuciły, ochraniać

go od ciosów nie umiały i oddychać mu swobodnie przeszkadzały. Walka państwa Niemieckiego z państwem Ottomańskiém była parciem się jednego na wschód, drugiego na zachód i odbywało się na grzbiecie i ze szkodą tych narodów, co pomiędzy dwoma temi państwami stanowisko pośrednie zajmowały a nie mogły się parciom bronić dla tego tylko, że bytowały w odosobnieniu. Złemu temu, oddającemu narody życia i zalet pełne na pastwę Niemcom i Turkom, zjazd zaradzić za zadanie miał. Zadanie to przeto, ze względu na ważność swoję, w cień usunąć wspomnienie o księżnéj i żal po niéj zneutralizować musiało. Nie przeszkadzało to jednak temu, że się ona przypominała. Przychodziła szczególnie na myśl zawsze, gdy przedstawiano sobie w wyobraźni ustrój uczt. W ustroju tym przedstawiał się tron dla królowéj przeznaczony. Niebyło na nim kogo posadzić. Królowa uczt ulotniła się. Należało jednak z losem się zgodzić i bez niéj się obchodzić.

Przygotowania wzrastały w miarę, jak się zbliżał moment zjazdu, którego epoka oznaczona dokładnie pozwalała przygotowania regulować. W regulowaniu ich zachodziło podobieństwo do kipienia wody. Przed wrzeniem ciągnie się długie szypienie, które ucicha nagle przed momentem najpierwszego zawrzenia. Moment taki nastąpił w przygotowaniach. Rzemieślnicy, którzy się w zamku i do koła zamku roili, pozabierali narzędzia, pozdejmowali rusztowania, oczyścili miejsca roboty i usunęli się, zostawiając po sobie ślady w odświeżeniach, malaturach, złoceniach, przystawkach i na nowo dokonanych budowlach. Na podwórcu zamkowém stanęły galerya z wystawą i teatr dla komedyantów i kuglarzy; na zewnątrz zamku, na błoniu—szopy długie, przeznaczone dla pojazdów, koni i pachołków gościnnych, jako téż dla huzarów, dragonów i ludu pieszego, pozostającego w służbie hrabiów Zrinich. Do każdego z działów, na jakie się rozpadało zadanie podejmowania gości, wyznaczeni zostali z góry przystawi, obowiązani czuwać nad porządkiem. Na zewnątrz zamku rozporządzał się kapitan, wewnątrz—majordomus. Pierwszy wykomenderowywał na służbę i dyżur, drugi maszyneryę służbową w ruchu utrzymywał i miał pod rozporządzeniem swojém kucharzy, kuchcików, pachołków rozmaitego rodzaju, kredencerzy, piwniczych, dworzan, jakotéż wykomenderowywanych przez kapitana huzarów do obnoszenia półmisków. Huzary we względzie tym odegrywali na Węgrzech rolę taką, jak kozacy w Polsce: służyli do boju i do stołu. Wszystko to zorganizowane, przysposobione, przećwiczone zostało przed tém, zanim się goście zjeżdżać zaczęli. Po wykończeniu czynności téj nastał moment uciszenia, przerwany nie nagle, jak uciszenie wody co wrzenie poprzedza, ale napływem stopniowym.

Napływanie gości rozpoczęło się od przybycia jednego z książąt kościoła—biskupa z Węgier górnych. Przybycie to sprawiło zdziwienie niejakie. Biskup ów uchodził za osobistość podejrzaną, luboć podejrzywaną bez dowodów, na téj jeno podstawie, że się na biskupa nadawał, jak—nieprzymierzając—wół do karety. Z racyi téj nie przesłaną mu została inwitacya wyraźna; niewyraźna zaś doszła do niego, jak do wielu innych dla tego, ażeby w sposób ten zamaskować zjazdu cel istotny. Tego rodzaju gości spodziewano się, późniéj jednak, jeżeli nie pod koniec, to w momencie, w którym obrady ustąpią miejsca ucztom i zabawom. Na moment ów on się właśnie nadawał, pożądanym był nawet z powodu zacięcia i humoru, z jakim jadał i pijał. Prawiąc dykteryjki i sypiąc żarty, w stanie był od niechcenia spożyć szczupaków, karpi, sumów funtów dziesiątek, ćwierć jesiotra, podświnka całego z kapustą, misę paprykaszu z drobiu z haluszkami i wypić półtora garnca wina. Odpowiednio też wyglądał. Tusza wielka przy wzroście małym czyniła go podobnym do beczki, policzki mu się świeciły jakby oliwą smarowane, oczki jaśniały i z głębi zalewającego je tłuszczu strzelały wyrazem, wedle jednych, dowcipu, wedle drugich, przebiegłości, wedle innych, chytrości. Ci ostatni wskazywali na jego z jezuitami stosunki. Nie stanowiło to jednak dowodu: któż bowiem z jezuitami, co się wszędzie pchali i wszystkich, prałatów zaś zwłaszcza, obłazili, w stosunkach, *volens, nolens*, nie pozostawał?

Prałat ów tedy przybył najpierwszy.

Kiedy się, zwiastująca przybywanie jego, trąbka ozwała, zabrzmiała niby hasło zakończenia wyczekiwania i wywołała ciekawość: kto jedzie? Ciekawość obudziła się przy stole—obiadowano. Hrabina Mikołajowa odezwała się:

— Minut kilka wcześniéj, byłby z nami obiad rozpoczął...

Kazała wnoszenie dalsze dań powstrzymać i początkowe powtórnie z kuchni przynieść, jak skoro gość miejsce zajmie.

— Rzecz ciekawa: kto zjazd rozpoczyna...—ktoś rzucił.

— Czy nie Wesseleny?..—ktoś zapytał.

— Tak by wypadało, ale... Wesselenyego tak wcześnie spodziewać się nie można... — była uwaga, którą jeden z obecnych uczynił...

— Czemu?..—odparł pytający.

— Nie domaga, a przytém czasem swoim dowolnie nie rozporządza...

Z punktu tego poszły odgadywania—wszystkie o sto mil od dostojnego prałata oddalone. Z powodu tego ukazanie się jego sprawiło zdziwienie. Gospodarz wyszedł na spotkanie i z nim powrócił. Bi-

skup toczył się przodem; na wysokość środka stołu doszedłszy, stanął, ramiona podniósł i głosem tragicznym zawołał:

— Głodnym!..

— Jezus Marya!..—krzyknęła z przerażeniem hrabina Mikołajowa. Czemże ja eminencyą waszą posilę?.. W połowie obiadu jesteśmy...

— To nic...—odrzekł zasiadając. Połowa druga posłuży mi, jako prolog, który będziem ciągnęli... ciągnęli... aż wytoczy się na stół sztuka jaka, którą—dodał głowę przed hrabiną pochylając—miłościwa pani łaskawie przyrządzić rozkaże...

— Jakiéj sztuki, eminencya, życzyłbyś sobie?..

— Jakiejkolwiek, chociażby niepokaźnéj, byle ważkiéj... Przejeżdżając, widziałem zdala na błoniu szopę, przed szopą ognisko a przed ogniskiem obracanego na żerdce barana...

— Huzary pieczyste sobie przyrządzają...—bąknął kapitan Bukowacki.

— Jeżeli je czostkiem naszpikowali—odparł prałat—mogła by się od ogniska przenieść pomiędzy nas na stół i uzupełnić świetnie obiad ..

Hrabina na posługacza skinęła i kazała mu pójść do szopy po udziec barani, dając w zamian za takowy huzarom odpowiednią ilość słoniny.

— Nie udziec, miłościwa hrabino... nie udziec...—zareplikował biskup. Co Pan Bóg złączył, tego nie dzielmy... unikajmy obrazy bożéj...

— Więc obydwa udźce...

– Znów grzeszne dzielenie...

— I cąber...—dodała hrabina.

— I łopatki przednie...—poprawił prałat.

— Chyba przeto barana całego?...—zapytała.

— Pewno..,—odrzekł. Tymczasem zaś... *in nomine patris et filii.*

Przeżegnał się, kielich gorzały wychylił i wziął się do uprzątania z talerza postawionéj przed nim polewki opieprzonéj. Po téj nastąpiło danie, po którém domownicy z gościem do spółki obiad kontynuowali. Ciąg ten dalszy odbywał się wesoło. Ksiądz, płodząc koncepty i podżartowując z księdza Marka, który nie wiele jadł i mało pił, zmiatał talerze, wychylał puhary i wzdychał do baraniny. Nareszcie baran pieczony wniesiony został na blacie i postawiony przed prałatem.

— A, bądź pozdrowioną, pieczeni, przypominająca praojców naszych czasy heroiczne!!.—odezwał się tonem deklamacyjnym. Kto mi pomoże?..

Na zapytanie to odpowiedziało milczenie, które przerwał hrabia Mikołaj.

— Wasza wielebność może się bez sprzymierzeńców obejdziesz...

— Ha!.. poświęcę się... Sprawa ta zanadto jest dobra, ażeby się w obec niéj na sprzymierzeńców oglądać...

Blat przysunął i jął się, od przodu poczynając, pieczeń spożywać. Krajał i jadł. Wyekspedyował łopatki przednie, żebra, cąber, udo jedno, udo drugie; pozostawał ogon, o który na drugim końcu stołu zawiązała się sprzeczka.

— Biskup ogon zostawi...—rzekł jeden.

— Nie zostawi...—odrzekł drugi.

— Zostawi...

— Nie zostawi...

— Zakład... o co?..

— O pacierze...—odpowiedział biskup, który słyszał ten półgłosem prowadzony spór. Z okazyi każdéj korzystać należy, celem przysparzania chwały bożéj... Przegrywający zmówi siedem, wygrywający trzy pacierze, ja zaś... ogon zjém...

Rzekłszy to, odsapnął, haust wina pociągnął i do aktu ostatniego przystąpił. Z ogona niebawem kosteczki jeno pozostały.

— *Consumatum est*...—rzekł. Gdyby takimi, jak ja, byli wszyscy spodziewani biesiadnicy, zjazd zrobiłby szeroki w fortunie hrabiów Zrińskich wyłom... Nie w téj jednak intencyi—do hrabiego Mikołaja mowę zwrócił—z przyjazdem się pośpieszyłem, ale w téj, ażeby stanowisko z góry zająć... Dostojność wasza—ku hrabinie głową skinął—wie już, com zacz, spokojny więc jestem o siebie... Głodu się nie lękam... Wy mnie będziecie żywili, ja wam będę czoła rozchmurzał...

Usta złożył, dwoma palcami je przycisnął i z pomiędzy palców zagwizdał czardasza, któremu, podczas gdy gwizdał, odpowiadały od czasu do czasu przy stole okrzyki.

— Hu ha!..

Kobiety się na siedzeniach kręciły od ciarek, co im po za skórą przechodziły.

Gwizdanie skończył, wstał, ruszyli się wszyscy i oczekiwali na odmówienie modlitwy dziękczynnéj. Lecz biskup ku kapelanowi głowę skinął:

— Twoja to powinność i twoje prawo, wielebny...

Ksiądz Marek, jak zwykle, w głos odmówił po łacinie modlitwę—obiad się skończył.

Taki to najpierwszy zawitał gość. Powiedzieć należy, że się on nadawał, jakkolwiek bowiem przygotowane były różnego rodzaju rozrywki, powołane do bawienia, rozrzewniania i śmieszenia, zabawa szwankuje, gdy wesołość nie tryska z pomiędzy samychże biesiadników. Prałat był tym żywiołem, co tryskanie wesołości z góry zapewniał. Przyjechał on w towarzystwie kapelana swego, słusznego, chudego i milczącego, a nazywającego się pater Hieronimus. Pater nosił w kieszeni brewiarz z przystosowanym pugilaresem i ołówkiem...

Po biskupie ściągać się poczęli goście inni. W tym dniu jeszcze nadjechał Barkoczy i Nadasdy, nazajutrz Tekiely, Bathani, Janowicz, Pejacewicz i inni. Jedni przybywali sami, ze służbą jeno, niektórzy konno, inni przyjeżdżali w towarzystwie żon, córek, synów, krewnych albo znajomych bliskich. Zjeżdżali się więc przedstawiciele płci obojéj starzy i młodzi, ci wprost dla wzięcia udziału w ucztach i łowach, ci w widoku powzięcia postanowienia w sprawach publicznych, ci w celach wylęgłych w mózgach fantastycznych, na których nie brakło w koronie węgierskiéj. Jakiś naprzykład, szlachcic z okolicy karpackiéj, skoligacony z domami polskiemi, tego był przekonania, że się zawiązuje konfederacya czakowacka, nie wiedział jeno przeciwko komu: przeciwko Leopoldowi I, przeciwko Janowi Kazimierzowi, czy przeciwko sułtanowi; jechał jednak z postanowieniem przystąpienia do konfederacyi i dla tego przywiózł z sobą bernardyna ze Lwowa.

W gronie przybyłych nie brakło na bernardynach, kapucynach, benedyktynach, franciszkanach i rozmaitego rodzaju braciszkach. W wieku onym dwory panujące i możnowładcze w sferze téj rekrutowały agentów politycznych. Braciszkowie zakonów żebrzących snuli się po świecie, jedni za jałmużną, drudzy sprawując interesy i gromadząc wiadomości. Dwór francuski za pomocą agentów tego rodzaju podtrzymywał niepokoje na Węgrzech. Na wieść przeto o zjeździe w Czakowcu ciągnęli oni, niby krucy na żer, z Węgier, ze Styryi, z Czech, z Polski. Jakiś pater Deodatus, polonus, przyszedł *per pedes apostolorum*, mieniąc się wysłańcem kasztelana Gembickiego, umocowanym przezeń do szukania po świecie dla Polski króla. Dla wysłańców tego rodzaju wyznaczono izbę osobną, napełnioną po okna słomą, która im za posłanie i okrycie służyła. Jak skoro który przychodził, wnet go tam prowadzono i wręczano mu miskę i kufel z informacyą, o któréj dnia porze ma iść do kuchni po jadło i do piwniczego po wino. Ojcowie dostawali jadło i napój każdy osobno i spożywali, jak i gdzie któremu się podobało. Ten z miską lokował się w izbie, ów na wolném powietrzu. O godzinie ozna-

czonéj, ranną porą, hrabia im posłuchania udzielał. Wpuszczano ich do kancelaryi po jednemu. Pater Deodatus przedstawił się mu z kolei, wyrecytował pozdrowienie od kasztelana i przedstawił sprawę treściwie a wyraźnie. Osnowa onéj hrabiego zafrapowała:

— Jakto króla przecie macie!..

— Śmiertelny jest...

— Czy nie domaga?..

— Domaga ci on, ale... kres czeka go, jak śmiertelnika każdego, Polska przeto ma przed sobą elekcyą...

— Uhm...—hrabia na to.

Elekcya polska obchodziła go, jak wiemy.

— Kasztelan przeto?..—zapytał.

— Zawołać mnie do siebie kazał, miodem utraktował i powiedział: „Księże Deodacie, włóczysz się po krainie węgierskiéj, nie mógłbyś tam wypatrzéć kandydata jakiego, z którego by był pożytek ojczyznie i chwała Bogu? Mieliśmy stamtąd sławnéj pamięci króla, Stefana. Muszą się tedy królowie tacy poławiać raczéj tam, aniżeli gdzie indziéj, mieliśmy bowiem Francuza... uciekł, mieliśmy Szweda, który nam licha na głowę nawołał takiego, że, gdyby nie Matka Boska Częstochowska, nie bylibyśmy się odkaraskali od szwedzkiéj imprezy; Węgier zaś dopisał nam jak należy“..,

Hrabiemu nie wypadało powiedziéć: „Ja kandydatem jestem“; powiedział przeto:

— Może by się znalazł kandydat, jakiego kasztelan sobie życzy: wielkiego i sławnego, sławniejszego nawet aniżeli Batorych, rodu.

— Oto to...—zakonnik na to.

— Ogromnéj fortuny...

— Właśnie...

— Statysta i wojownik...

— I to się przyda, a przynajmniéj nie zawadzi...

— Dobry katolik...

— Co to... to nie...—odparł braciszek.

— Jakże!.. przecie kasztelanowi o chwałę bożą chodzi...

— Szczególnie, a nadewszystko, albowiem: kto z Bogiem, Bóg z nim...

— Państwu więc katolickiemu katolika na króla potrzeba...

— Nie inaczéj, *excellentissime*, i dla tego kasztelan powiedział do mnie: „Na ziemi węgierskiéj pełno kalwinów i Turków... wypatrz, księże Deodacie, kandydata pomiędzy kalwinami albo Turkami“...

— Ale jakże... — wykrzyknął hrabia zdziwiony. Kalwin?.. Turek?..

— Nawróci się, *excellentissime* i... wielka będzie radość pomiędzy aniołami bożemi...

Wyrazy te wymówił z podniesionemi do góry dłoniami i oczami.

Hrabia usta zacisnął, przez nos odsapnął i mruknął:

— Hm...

Ksiądz prawił:

— Śród kalwinów są panięta z rodu i fortuny; śród Turków szlachectwo wątpliwe, kasztelan przeto nakazał mi poczynać sobie z nimi ostrożnie i zasięgać we względzie tym u miłościwości waszéj rady, nieprzystojnie by bowiem było, gdyby na tronie polskim zasiadł broń Boże, nie-szlachcic, jak przeciwnie, byłoby to z wielką dla narodu polskiego chwałą i z nieobliczonym tu na ziemi i tam w niebie pożytkiem, gdyby zasiadł szlachcic z antęnatów, Turek na świętą wiarę katolicką nawrócony...

— Hm...—odparł hrabia. U Turków w ogóle szlachty nie ma...

— Są, co mają za antecesora owego proroka niby, Mahometa... Czyby się nie udało jednego z potomków jego skaptować?..

— Trudno... trudno i niebezpiecznie... Kto zaręczy, że, czy to kalwin, czy téż Turek nawrócony nawrócił się szczerze...

— Szczerze czy nie szczerze, byle się nawrócił... Przystawiło by się do niego dozór taki, iżby raz na tronie polskim, tak musiał tańczyć, jak mu grają...

— Moja rada: nie spuszczać się na to—odrzekł hrabia—a raczéj, gdy o kandydata chodzi, zwrócić się do takiego, co, łącząc w sobie przymioty rodu, fortuny, rozumu i serca, nawracanym być nie potrzebuje... Wszak się Stefan Batory nie nawracał...

— To prawda...—wtrącił mnich.

— Nie nawracał się i Zygmunt Waza...

— Ale byłby się nieochybnie złutrzyć musiał, gdybyśmy go byli nie obrali...

— Nie nawracał się jednak i jeżeli poprzednikowi swemu na tronie nie wyrównał w przymiotach innych, to mu nie ustąpił we względzie gorliwości religijnéj... Nie należy przeto we względzie tym, takim ważnym, na hazard rzeczy puszczać...

— Przedstawiam rzecz wedle polecenia kasztelana Gembickiego...—zareplikował ksiądz Deodat.

— Powrócisz więc, księże, do kasztelana i przedstawisz mu uwagi moje przyjacielskie...

— Uczynię to, *excellentissime*, i mam nadzieję, że... ubóstwo moje—tu ręką ku kolanom hrabiego skinął—wspaniałomyślnie na peregrynacyą tę powrotną zaopatrzéć raczysz...

— Z podróżą wstrzymaj się jeszcze... Może się do uwag i imię kandydata doda...

— Byle imię to — podchwycił mnich — *anagrammatice* dobrą brzmiało wróżbą. To ważne, o! to ważne: kasztelan mi to zalecił szczególnie....

— Zobaczymy... tymczasem zaś rozgość się w domu moim — odparł hrabia i zapytał: — Czy ci nie brak na niczém?...

— Na czemże?.. Z łaski bożéj i waszéj, *exellentissime*, na słomie się wyleguję i misę strawy dostaję; tylkom — tonem prośby dodał — miskę wyszczerbił... gdyby mi ją odmienić...

Hrabia służebnika przywołał i taki mu rozkaz dał:

— Braciszka tego ulokować w izbie z pościelą, wziąć go na stół służebny i pamiętać, ażeby był syty...

— I napojony — wtrącił mnich pokornie.

— Cztery kufle wina wyznaczyć na niego...

— Jagierskiego? — zapytał z przymileniem.

— Niech i tak będzie—hrabia na to i dodał:—Niech tam o nim będzie staranie i pamiętanie szczególne, ażeby miał do woli jeść i pić przez czas swego w Czakowcu pobytu....

XVIII. **Anagrammatice**.

Zaroił się zamek czakowacki gośćmi i agentami politycznymi, osłaniającymi się maską, która z powodu, że za często i przez wielką ilość ludzi wkładaną bywa, nie osłaniała należycie. Z pod habitów przeglądały rogi. Lepiéj osłaniał się biskup Istwan, ów prałat, o którym mówiło się w rozdziale poprzednim. Za maskę służyły mu: apetyt i humor—jadł, pił, baraszkował i nasłuchiwał. Do nasłuchiwania natura wyposażyła go w narząd, którym były w sposób szczególny sformowane konchy uszne, odstające, na brzegach pozaginane i posiadające własność ruszania się. Dzięki temu chwytać mógł dźwięki zdaleka i słyszeć rozmowy półgłosem prowadzone. Tu mówił, tam słuchał, rozróżniając wyrazy, wypowiadane naraz w dwóch, w trzech miejscach. W sposób ten często udawało mu się pochwytywać nitki i wątki czynności, o których-by wiedziéć nie powinien, jedni bowiem wystrzegali się go, dla drugich był to człowiek lekkomyślny, na zaufanie nie zasługujący. Byli jednak tacy, co go zaufaniem obdarzali i wczesne jego do Czakowca przybycie do zaufania się onego odnosiło. Chodziło mu o rozpoznanie z góry gruntu i o zajęcie naprzód stanowiska obserwacyjnego o ile można najdogodniejszego.

Po obiedzie odprowadzono go do komnaty gościnnéj. Jako dostojnikowi kościoła należała się mu komnata oddzielna a jedna z lepszych. Podczas kiedy on przy stole siedział, znoszono pod okiem

kapelana tłumoki jego i kapelan komnaty gościnne oglądał. Ta, do którego go zrazu wprowadzono, nie podobała się mu.

— Nie — rzekł. — To nie dla jego eminencyi...

— Najlepsza — odrzekł marszałek dworu.

— Zobaczymy inne...

Wybrał taką, któréj okno na krużganek frontowy wychodziło. Marszałek mu uwagę czynił, że jest mniéj dogodną, on atoli na to nie zważał—do niéj tłumoki znieść kazał i, przy pomocy pachołków biskupich, urządził ją na mieszkanie dla prałata. Przysposobiono pościel, rozłożono kobierzec, zawieszono u wezgłowia krucyfiks, poustawiano na stole sprzęty różne, i kiedy wielebność po obiedzie, celem wydychania się po jadle, nadszedł, znalazł wszystko w porządku należytym.

— Uf... uf... — odsapnął razy parę, na krześle siadając. Cóż tam? — zapytał.

— Nic jeszcze — odpowiedział kapelan.

— Przyjechaliśmy w porę... no...

Prałat na siedzeniu się poprawił, nogi rozstawił, palce na brzuchu splótł i, obracając młyńca palcami dużemi, oddał się drzemce poobiedniéj. Trawił. Jadając raz na dobę, a jadając dużo, potrzebował koniecznie godzinki do uregulowania maszyneryi żołądkowéj. Po godzinie téj aż do obiadu w dniu następnym nie brał posiłku żadnego, popijał jeno wino z burkutem, co go czyniło rzeźwym i ruchliwym. Zresztą obchodzi nas nie jego sposób życia, ale sposób zachowywania się podczas pobytu w Czakowcu, a to celem zaznaczenia interesu, jaki w sferach rządzących wzbudzała osobistość Mikołaja Zrińskiego i stronników jego.

Prałat się przedrzemał, okno otworzył i wdychał powietrze świeże, zwracając uwagę na ruch na podwórzu. Czynił to od niechcenia, co z natury rzeczy wypadało, ruch bowiem zamykał się w sferze domowników, przenoszących się z celem jakimś lub bez celu żadnego z miejsca na miejsce. Zatrzymał jeno dłużéj nieco wejrzenie na przechodzącym powolnie żołnierzu, ale to nie dla czego innego, jeno dla szykowności młodzieńca. Żołnierz szedł i oglądał się. Biskup się zaciekawił: na co on patrzy? Zwrócił w kierunku tym oczy i mruknął do siebie:

— Ahm...

Pokazała się mu w przeciwległém oknie postać hrabianki. Przeniósł wejrzenie razy parę z hrabianki na żołnierza, z żołnierza na hrabiankę i uczynił uwagę następującą.

— Jeżeli się z Rakoczym targ dobija i kontrakt ułoży, to w kontrakcie tym mogą się znaleść punkty ciemne... Rzecz to jednak wagi

pomniejszéj... Książęta korony noszą na to, ażeby mieli czém osłaniać rogi...

Żołnierz przeszedł, postać hrabianki znikła, czas jakiś nie było się czemu na podwórzu przypatrywać, aż słyszéć się dał odgłos zwiastującéj gościa trąbki.

— Ktoś nadjeżdża—rzekł do siebie. Jedzie ten, coby był pierwszy, gdybym go nie uprzedził... Rzecz ciekawa: kto też to?

Odpowiedź na pytanie to nie dała na siebie czekać długo. Za murami na moście odezwał się turkot i tentent, w bramie ukazał się orszak jeźdźców, na których czele jechał chłop setny w dołmanie z futerkiem i złotem przeszywanemi potrzebami, w kołpaku z kitą; u boku mu wisiała w jaszczurowéj pochwie szabla krzywa, u nóg mu dzwoniły rycerskie złote ostrogi.

— Nadasdi... *judex curiae*... — rzekł biskup sam do siebie i pilniéj się przypatrywać jął.

Osobliwego nie wpadło mu w oko nic. Za orszakiem jeźdźców toczyło się kilka w cztery konie w lejc zaprzężonych węgierskich koczy. Przewódca orszaku przed krużgankiem konia zatrzymał, zsiadł; na spotkanie jego wyszli obaj hrabiowie, Mikołaj i Piotr. Biskup uszy nastawił. Do słuchu mu doszły najprzód wyrazy powitania zwykłe, następnie zapytanie:

— Wesselenyi jest?...

— Nie ma jeszcze — odpowiedział hrabia Mikołaj.

— Tottenbach?...

— I jego nie ma...

— Przyjechać przecie mieli wcześniéj, ażeby można było pomówić swobodnie....

— Zawsze się sposobność wyosobnienia znajdzie—zauważył Piotr.

— Uhm... — zakarbował sobie biskup w myśli.

Hrabiowie z gościem weszli do wnętrza zamku; służba jęła się wypakowywać kocze.

W chwil kilka późniéj wszedł do izby kapelan. Biskup do niego przemówił:

— Zanotuj Wesselenyjego: Tottenbacha i Nadasdiego... umowa ze Zrińskimi na osobności...

Kapelan brewiarz z kieszeni wyjął, pod ścianą na stołku przysiadł i ołówkiem wyrazów kilka nakreślił.

Było to więc, jak widzimy, rekognoskowanie informacyjne, formalne. Czynność tę nazwać by można inaczéj, ale by nazwanie inne ubliżało dostojeństwu wysokiemu. Biskup się przeto trudnił rekognoskowaniem, które prowadził z punktu każdego, na którém się w ciągu dnia znajdował. Czynił to do spółki z kapelanem na dwa

warsztaty. Sam obserwował sferę wyższą, kapelan krążył pomiędzy służbą; postrzeżenia gromadzone zaciągały się do notatnika, przeznaczone na użytek, o którym oni dwaj jeno wiedzieli. Powtarzało się to w dniu pierwszym, drugim i następnych.

Przybywający agienci w habitach należeli do kapelana, który każdego z nich okiem badawczém mierzył, jakby przez skórę przejrzeć chciał. Uwagi jego nie uszedł ksiądz Deodat.

— *Polonus*... — rzekł do siebie. — Po co on tu?... któremu teraz panu służy?...

Nie zapytywał go jednak. Natura czy też metoda jego w obcowaniu z ludźmi na tém polegała, że z mówienia swego tryb pytający usunął absolutnie. Na pytania odpowiadał, sam atoli takowych nie zadawał; jeżeli zaś zadawał, to nie innym, ale sobie. Z powodu tego należał do rodzaju małomównych. Za to słuchał dużo i chętnie. Do mówiących się podsuwał, nieopodal nich usiadał lub stawał, brewiarz wydobywał, otwierał, ustami ruszał a ucho nastawiał. Widziéć go w pozycyi téj można było w miejscach różnych a wszędzie niby od niechcenia. Nie podsłuchiwał niby a podsłuchiwał i we względzie tym był on przedstawicielem wiernym wieku swego, w którym wzajemne pomiędzy ludźmi podejrzywanie się panowało ogólnie i prawda chodziła z obliczem zasłoniętém. Za pomocą zapytania wręcz dowiedziéć się o niéj było więcéj, aniżeli trudno. Podsłuchujących było dużo. Szpiegostwo w pierwotnéj postaci swojéj nadawało akcent stosunkom pomiędzy ludźmi, mianowicie zaś w sferze działalności politycznéj. Na podsłuchach był z braciszków każdy. *Polonus* we względzie tym wyjątku nie czynił: i on ucho nastawiał, z myślami się krył, ale należał do rodzaju pytających. Chodziło mu szczególnie o imiona chrzestne przybywających gości. Jak skoro nowy jaki do zamku zawitał magnat, wnet się dowiadywał:

— Jak się nazywa?.. Jak mu na imie chrzestne?...

Nazwisko mu zazwyczaj powiadano. Taki a taki: Karoly np., Nadasdy, Esterhazy, Palffy etc. Z imieniem jednak szło trudniéj. Nie każde każdemu było znane i tylko jeden kapelan biskupa Istwana nie zawodził we względzie tym ciekawości braciszka *ex Polonia*. Z powodu tego ten ostatni kapelana się trzymał, szukając go, ile razy trąbka zwiastowała przybywanie gościa nowego.

— Jak się nazywa?...

— Tak a tak.

— Na imie mu chrzestne?..

Kapelan powiadał i braciszek *polonus* na stronę się usuwał, pod mur zawsze w miejsce jedno i toż samo, w którém wysypanie piaskiem przedstawiało powierzchnię gładką, szedł, siadał i patykiem

coś na piasku kreślił. Rzecz prosta manewr ten baczności kapelana nie uszedł.

— Co to *polonus* robi?...

Dowiedziéć się byłoby łatwo, gdyby braciszek, z pod muru odchodząc, śladów roboty swojéj nie zacierał. Obserwując ślady te, kapelan dostrzegał jeno litery pojedyńcze, z których sensu wywiązać nie umiał. Spróbował więc pod murem przysiąść się do braciszka; podszedł, brewiarz wydostał i, z pod oka obserwując, dopatrzył, że on napisał najprzód imię: Emericus. Było to imie gościa, którego w téj właśnie chwili gospodarz, na krużganku witali. Braciszek imię to napisał i rzuciwszy na pogrążonego w czytaniu kapelana okiem, napisał je pod spodem odwrotnie; wypadło: Sucireme. Następnie litery wyrazu pierwszego zestawiał z literami drugiego i nakreślił wyraz trzeci z tych samych co pierwszy liter. Daléj, za pomocą takiego zestawiania nakreślił wyraz czwarty, piąty, szósty i t. d., bez końca.

— Uhm...—mruknął do siebie w duchu kapelan.

Dowiedział się, co robi braciszek *polonus*.

Sztuka układania anagramów należała w wieku siedemnastym do sztuk, posiadających znaczenie mistyczne i z racyi téj cenionych wysoko. Przyczyniła się ona, jeżeli nie do wyniesienia na tron polski, to do usprawiedliwienia wyboru Michała Korybuta, z którego imienia „Michael" uczony jakiś ułożył anagram: „Jam Lech" i wyszukał przyjścia jego proroctwa w Tacycie. Odkrycie téż to ucieszyło szlachtę niezmiernie. Kapelan odkrył tajemnicę roboty braciszka i zanotował ją sobie w myśli, albowiem odkrycie to połowiczném dopiero było. Braciszek układa anagramy—w jakim celu? Kapelanowi nasunęło się zadanie ważne, do rozwiązywania którego w ten przystąpił sposób, iż sobie do odmawiania modlitw wybrał miejsce pod murem tuż obok miejsca tego, na którém ksiądz Deodat na piasku przyszłość Polski budował i zajmował je, ile razy gość nowy na zamek przybywał. Dzięki temu pomiędzy dwoma tymi agentami ułożył się i uregulował stosunek. Braciszek jak w dym pod mur szedł, o imię zapytywał i do roboty się brał.

Pomiędzy gośćmi, w piątym czy szóstym dniu zjazdu, trafiła się postać, która wszystkich zaciekawiła pomimo, że był to jeden z bliższych sąsiadów, Turek z Kanisy. Kanisa, ufortyfikowana i w garnizon silny zaopatrzona, znajdowała się w posiadaniu tureckiém. Dowodzący w niéj pasza miał, jako bejlerbej, za zadanie dozorowanie granicy i ściąganie informacyi o tém, co się za granicą dzieje. Żywo przeto interesował go zjazd w Czakowcu. Hrabia go z grzeczności sąsiedzkiéj na łowy zaprosił, on się jednak od wzięcia osobiście w za-

bawach udziału „grzecznie“ wymówił i odpowiedział, że na miejscu swojém przyśle jednego z bejów. Obok tego wyprawił do Czakowca agentów, Greków i Ormian, którzy sklepiki galanteryjne pootwierali i wyszynki pozakładali. Działalność tych ostatnich tonęła w cieniu. Bej wystąpił ostentacyjnie, przyjechał na czele orszaku, złożonego ze spahisów a poprzedzanego przez deliego, odzianego w świecidła, w kołpak błazeński, w lisie ogony, wykrzywiającego się na koniu i wtorującego na bębenku surmaczom, piszczalnikom i tołumbasistom, sprawiającym hałas ogromny. Sam bej, na dzielnym siedzący koniu, odznaczał się strojem jaskrawym i postawą rycerską. Gdy orszak jego na podwórzec zamkowy wkraczał, służba pogarnęła się ciżbą. W ciżbie tu i tam przerzucały się habity. Obecnym był i braciszek *polonus*, patrzał, zagapił się, zapomniał na razie o nazwisko zapytać — przypomniał to sobie późniéj, obejrzał się i zoczywszy w modlitwie zatopionego kapelana pod murem, do niego wprost się udał.

— *Reverendissime*, jeżeli ci nie bardzo przeszkodzę, pozwól zapytać siebie....

— Pytaj.....

— Wiem, że przyjechał Turek, ale nie wiem, co za jeden...

— Bej....

— A... bej... szlachcic... No... Jakże się zwie?...

— Sapit....

— Hm?.. To coś od *sapio*... *sapientia*... Hm?..—głową wstrząsnął. A jakże mu na imię chrzestne?..

— Turcy się nie chrzczą...

— Ano... jać to wiem... Aleć... przecie i u nich : co nazwisko to nazwisko, co imię to imię.

— U nich nazwisk nie ma...

— Jakto!—wykrzyknął ze zdziwieniem. Ani u szlachty?..

— Ani u szlachty...

— I dla czegóż to tak?..

— Zwyczaj taki....

— Ahm...—mruknął braciszek. Więc to imię... niby niechrzestne, imię jednak?.

— Imię....

— Sapit?..

— Sapit bej — odpowiedział kapelan.

Zadowolniony odpowiedzią tą, braciszek o kroków parę odszedł, usiadł i na piasku kreślić się jął: Sapit, Tipas, Staip i t. d., i t. d., aż nakreśliwszy wyraz ostatni, nagle skoczył, oblicze jego zajaśniało wzruszeniem głębokiém, oczy zaświeciły uradowaniem, z ust wydzierały się wyrazy : 18*

— Mój Boże!.. rzeczpospolita!.. król!.. wróżba pomyślności i chwały!.. Znalazłem!.. ja!.. ja?.. *pater Deodatus!.. Reverendissime*, patrz na mnie!...

Kapelan patrzał na braciszka, jak się patrzy na człowieka dotkniętego nagłem zmysłów postradaniem, dziwił się, wierny jednak metodzie swojéj nie pytał i, w brewiarzu zagłębiony, z pod oka obserwował.

Braciszek chwilę sporą miotał się, zżymał, wykrzykiwał, wreszcie, uspokajając się powoli, głośno myśléć począł.

— Toć mi nic już nie pozostaje, jak stąd, drogą najkrótszą do Warszawy wracać, ażeby jaknajrychléj kasztelana zawiadomić, żem kandydata znalazł... Tak... idę... o... Dzieła dokonałem...

Popatrzył jeszcze na piasek, uśmiechnął się zadowolnieniem wewnętrznem, westchnął westchnieniem rozkoszy i, podnosząc oczy na zamek, zamyślił się.

— Ale — dodał po chwili — z hrabią pierwéj rozmówić się muszę... hm?.. muszę... Kasztelan zapyta...

Rzekłszy to, udał się krokiem pośpiesznym ku zabudowaniom, w których znajdowało się biuro, przyjmujące żądania posłuchań, przez hrabiego Mikołaja udzielanych.

Po odejściu jego kapelan podniósł się i na piasku napisy czytał. U góry znajdowało się imie „Sapit“, u dołu „Piast.“

— Tak... *anagrammatice* — szepnął i głową kiwał.

W chwil kilka późniéj, na zapytanie biskupa „Cóż tam“, odpowiedział:

— Wysłaniec z Warszawy porozumiewa się z hrabią Mikołajem o przyszłego na tron polski kandydata...

— A? — odezwał się prałat tonem zainteresowania żywego.

— Wysłaniec kandydata znalazł...

— No... i któż to?.. Rakoczy?..

— Nie...

— Któż?..

— Sapit bej...

— *Quo titulo*? — zapytał biskup w wysokim stopniu zdziwiony.

Kapelan mu rzecz wytłómaczył.

— Uhm? — odmruknął. Racya... Polacy gotowi racyą tę uznać i Turka sobie na króla wziąć... Hm?.. To ważne, bardzo ważne, nie mniéj jednak ważnem jest samo porozumiewanie się... Dociec nie mogliśmy sprawy, co tu nurtuje... Oto nurt główny... Hm?... cóż ty na to?..

— Nic — odpowiedział kapelan, ramiona ściskając.

— Anagram anagramem — ciągnął biskup. — Anagram drogą swoją, a swoją kadydaci, których by z Węgier kopami do Polski wieść można: Rakoczy, Koemeni, Abaffi, Teköli, Zrini...

Ostatnie wymówiwszy nazwisko, zastanowił się i dodał:

— Zrini?.. tak... Batory drogę pokazał... Sprawę tę na oku miéć potrzeba i podczas zjazdu i po zjeździe... szczególnie po zjeździe... Zostaniemy więc tu na dłużéj...

— Zabraknie nam pretekstu — zauważył kapelan.

— Zachoruję — odparł biskup. — Zachoruję, będę konał, i konając, muchy im z nosa powyciągam... Na to jednak pora jeszcze będzie... Cóż z Warasdina? — zapytał.

— Zawsze jedno...

— Wspominałeś o dwóch drabach....

— Pokazują się i znikają....

— Na pewne jednak z Warasdina przychodzą?..

— Na pewne...

— W zamiarach?..

Kapelan ramionami na znak nieświadomości wzruszył. Biskup dorzucił:

— I ja nic z Erdödiego ani z żony jego wydobyć nie mogłem... Kobieta o niczém może nie wie; ale on... w Wiedniu był... Ostrożny jednak....

Po rozmowie téj, która w porze przedobiedniéj miejsce miała, biskup odpowiednio przyodziany wytoczył się na pokoje. Odpowiedniość przyodziewka jego polegała nie na stosowaniu się do przepisów kościelnych, ale na stosowaniu przepisów do fantazyi własnéj. Nosił więc sutannę krojem tuniki, bramowaną fioletami; z pod tuniki wyglądały buty palone, a przy butach pobrzękiwały ostrogi. Obecność jego na pokojach zawsze była pożądana z powodu, że z sobą wnosił rzecz w towarzystwie wysoce cenioną: radość. Samo pojawienie się jego oblicza rozjaśniało. Tak było zawsze, toż samo powtórzyło się obecnie. Za wejściem prałata wszyscy w komnacie gościnnéj zgromadzeni uśmiechać się i słówka żartobliwe rzucać poczęli. We względzie tym gość z Kanisy, człek już szpakowiejący, wyjątku nie czynił. Bej również w uśmiech oblicze przystroił i uprzejmem *hosz giełdy* powitał biskupa, który obok niego miejsce zajął. Biskup na pozdrowienie pozdrowieniem odpowiedział i gościowi, wedle zwyczaju, życzenie złożył.

— Bodajbyś był zdrów, beju, i rósł, jeżeli nie wzdłuż, to wszerz...

— E... *jak*... —odparł Turek. Życzenie to nie podoba mi się...

— Czemu, beju?..

— Czemu?.. tć!.. — cmoknął, do góry głową rzucił i następnie nią pokręcił.

— Jest ono najprzód szczere, następnie rozumne....

— Uhm?..— Turek na to.

— Szczere, życzę ci bowiem, beju, tego samo co sobie, rozumne: czy wiesz dla czego?..

— Ty wiesz...

— Owóż, posłuchaj, co ci powiem... Wszystko, co rośnie, znaczy, że jest młodem; z ustaniem rośnięcia poczyna się starość; życząc ci przeto, ażebyś rósł, życzę ci nie zatrzymania się młodości... Młodość zaś, to rzecz nie głupia: czy nie prawda?..

— Prawda — odrzekł Turek — ale i to prawda, że wolałbym z tobą ścinać się orężem, aniżeli językiem...

— Niesłusznie, beju, z mego bowiem języka nie płynie gorycz...

— Przeciwnie... słodycz miodowa, ale z miodu takiego, co truje...

— Cóż znów!—zareplikował biskup.—Jakaż naprzykład w tém, com powiedział, trucizna?...

— Życzysz mi młodości, ale ciężkiéj... Z młodością podobną nie zajechałbym z Dyarbekiru do Kanisy...

— Nic by w tém nie było złego; zresztą... życzenie moje odnosi się nie do tego, co było, ale do tego, co będzie... a już nadal, beju, mógłbyś się nieść kazać, gdyby ci wypadło z Kanisy dokąd daléj, do Warszawy naprzykład ciągnąć....

— Do Wiednia chyba — odparł bej z uśmiechem.

— Kto wié... Proroctwo, co do ciebie, o Warszawie mówi....

— Proroctwo!.. jakie?..—podchwycił Turek, któremu na dźwięk wyrazu tego oczy zabłyszczały.

— Wyczytał je jeden wędrowny derwisz chrześciański...

— Gdzie?.. gdzie?..

— Na piasku...

Turek się śmiać jął i zawołał:

— O język.. o język!.. Człowiek ten na wszystko odpowiedź na języku na pogotowiu trzyma...

— Nie koniecznie na języku samym... Czyś co o Polakach słyszał?..

— Lachy... lachy... Jakżebym o nich słyszéć nie miał?..

— Wiesz, że jak im król jeden umrze, to oni drugiego po świecie szukają...

— Ano... o tém wiem...

— Wyobraź-że sobie, że oni szukają, szukają i znajdują... ciebie....

— Mnie?.. czemuż mnie koniecznie?..

— Dla tego właśnie, że szukają...

— Króla? — zapytał Turek.

— A no... króla... Nie mógłbyś być padyszahem, ani cesarzem niemieckim, ani dożą weneckim, ani papieżem rzymskim dla tego, że padyszah się rodzi i cesarz się rodzi, a doża i papież, luboć się nie rodzą, ale pierwszy powinien być wenecyaninem, czém ty nie jesteś, drugi nie powinien być obrzezanym, jakim jesteś; Polacy zaś na rzeczy takie nie zważają i, gdybyś im w oko wpadł, mogli by ciebie... fiu!.. z Kanisy do Warszawy na ramionach w powietrzu zanieść.

Turka to zastanowiło. Pomyślał i po chwili odezwał się z akcentem zamyślenia:

— Gdybym im... w oczy... wpadł...

— Wpaść byś mógł tém łatwiéj, im byś był grubszy...

— Ph...—dmuchnął i wąs sobie pogładził...

— A Polacy, widzisz—ciągnął biskup—teraz właśnie za królem się oglądają, Jan Kazimierz bowiem nie jest człowiekiem wiecznym... umrze i...

XIX. **Krytym sztychem.**

Żartobliwość tonu, w jakim biskup z bejem rozmowę toczył, treść rozmowy saméj wydawała żartem. Za żart brali ją wszyscy w ogóle, z wyjątkiem Turka z powodu, że był członkiem społeczeństwa, co się na żartach nie zna, jakotéż, z wyjątkiem osób paru, dla których kandydatura do tronu polskiego żartem nie była. Wytoczenie jéj na stół te ostatnie brać mogły, jako przypadkowość—jako potrącenie kwestyi bez intencyi. I tak zapewne brały, co jednak nie przeszkodziło Nadasdemu, na pierwszą o kandydaturze polskiéj wzmiankę, chrząknąć i Piotrowi Zrińskiemu do ucha szepnąć:

— Czy słyszysz?..

Piotr na to skinieniem głowy odpowiedział.

— Sprawa na dobie...

Znów skinienie głową odpowiedzią było.

— Mikołaj umie porę właściwą wybrać..

Słowa powyższe, w porządku, w jakim je Nadasdy wymawiał, prałatowi w słuch wchodziły i na mózgu się karbowały. Coś podobnego nieprzypuszczalném było. Dzieją się atoli rzeczy nadzwyczajniejsze. Prałat, ponieważ słuch ostry posiadał, więc słyszał; z tego zaś co słyszał nietrudno mu już było, jak Cuvierowi szkielet słonia z kości jednéj, odtworzyć szkielet sprawy. Zaszedł jakiś układ i do układu należeli: Zrińscy i Nadasdy z pewnością, Wesselenyi i Tottenbach przypuszczalnie,—któż jeszcze? Głównéj układu osnowy domyślał się ale szczegółów onego nie znał. Czuł się jednak na dobréj drodze i spodziewał się powoli, po odrobinie, pozbierać wiadomości,

z których się da ułożyć całość szykowna. Graf Nadasdy nadzieję w nim wzbudzał. Był on tą krową, co wiele ryczy. Brakło przytém osobistości jednéj, która do sprawy wchodzić musiała a nie nadjechała jeszcze. Osobistością tą był młodziutki książę Franciszek Rakoczy, pan górnych Węgier, pretendent do panowania w Siedmiogrodzie, spadkobierca pretensyi, widoków i tajemnych nawet pożądań niespokojnego rodzica swego i pretendent domniemalny do ręki starszéj hrabiego Piotra córki. Z racyi téj hrabianka była także ze strony prałata przedmiotem obserwacyi dyskretnéj. Przypatrywał się jéj z boku a zdaleka i, podpatrzyszy w dniu pierwszym przybycia oglądanie się na nią oficera młodego, i oficera tego na oku miał. We względzie informacyjnym, do wyjaśnienia rzeczy szczegół najdrobniejszy potężnie niekiedy przyczynić się może. Dla tego też nie pomijał szczegółów, odnoszących się do hrabianki tém bardziéj, że się odnosiły one do dziewczyny ponętnéj i trąciły zdaleka sprawą ciekawą.

— Jeżeli się tych dwoje do siebie ma—myślał—to młody Rakoczy będzie się miał z pyszna...

Co do sprawy głównéj domysły jego płonnemi nie były. Sprawa ta od dni kilku stała na podstawie układu omówionego gruntownie. Czekano jeno na palatyna grafa Wesselynyego, i w obecności jego odbyła się w bibliotece zamkowéj konferencya, udział w któréj wzięli: grafowie Mikołaj i Piotr Zrińscy, grafowie Wesselenyi, Tottenbach i Nadasdy i ksiądz Marek. Zagajenie onéj trudności nie przedstawiało najmniejszéj, chodziło bowiem o wyzwolenie krajów węgierskich z pod dającego się coraz to mocniéj uczuwać nacisku niemieckiego na co z góry zgadzali się wszyscy. Trudność przedstawiało obmyślenie akcyi i oparcie onéj na gruncie pewnym, na sile, któréj, jak doświadczenie uczyło, nie posiadały zrywania się powstańcze na Węgrzech. Należało szukać jéj i wewnątrz i na zewnątrz, a mianowicie: w Polsce i księstwach Multańskich. Graf Mikołaj skreślił plan federacyi podobny wielce do tego, jaki powzięli byli synowie Kazimierza Jagiellończyka, gdy jeden dzierżył Czechy i Węgry, drugi Polskę, trzeci Litwę. Obecnie rzeczy przybrały postać odmienną. Czechy były powalone i wyżyłowane, Węgry podzielone, Siedmiogród odpadł, Polska znajdowała się w stanie skołatania, przedstawiała jednak całość organiczną, która do zdrowia w ręku lekarza biegłego powrócić mogła i z któréj można było oś do działalności przyszłéj zrobić. Konferencya przeto około Polski się zogniskowała.

— Dajmy Polsce króla położeniu rzeczy odpowiedniego.

Takim był owéj, w lat kilka późniéj, w głośnym a krwawym procesie, na jaw wyszłéj konferencyi punkt ogniskowy.

— Króla?.. kogo?..

Na zapytanie to, na które bracia Zrińscy odpowiedź mieli gotową, odpowiadać nie mógł ani Mikołaj, ani Piotr. Odpowiedź jednak nasuwała się sama. Na króla Polsce potrzebnym był mąż rozumu wielkiego i cnoty nieposzlakowanéj, statysta i wojownik, rozważny i przedsiębioczy. Gdy Tottenbach, namiestnik Styryi, męża tego imie wymówił, Wesselenyi odrzekł:

— Z ust mi wyjąłeś...

— Właśniem: „Mikołaj" powiedziéć chciał... rzekł Nadasdy.

— *Ecce homo*...—odezwał się ksiądz Marek. Koroną imienia jego jest *laus*—chwała...

— Zaszczyt mi czyni orzeczenie wasze...—odpowiedział hrabia Mikołaj. Przewidziałem je jednak... świadkiem Piotr, z którym ewentualność tę szeroko omówiłem... Mówię to, nie chcę bowiem być *per amicos opprimatus* i wyłuszczyć wam chcę zamiary i poglądy moje, ażebyście z całkowitą rzeczy świadomością do sprawy rękę przyłożyć mogli... Usunąłem się od bańStwa dla tego właśnie, ażeby kandydaturę swoję do tronu polskiego sposobić, na tronie zaś polskim chcę być *primus inter pares*, to znaczy, miéć pod ręką: Węgry, Siedmiogród i księstwa Multańskie a to w tym celu, ażeby *viribus unitis* stawić czoło z jednéj strony Niemcom, z drugiéj Turkom i wyswobodzić od jednych i drugich wszystko, co zagarnęli... Gdybym został królem polskim, usiłowanie moje całe zwróciłbym na wytworzenie rzeczypospolitéj wielkiéj, rządzonéj przez wicekrólów dożywotnich i obieralnych. W sposób ten władza dostawałaby się w ręce najzasłużeńszych, byłaby zachętą do cnoty i wynadgrodzeniem za takową... Czy—zapytał—zgoda na proceder taki?..

— Zgoda...—odpowiedzieli Wesselenyi i Tottenbach.

— Zgoda...—odrzekł Nadasdy—tém bardziéj, że pewny jestem, iżby Węgrzy na wicekróla obrali Wesselynyego a po Wesselenyim mnie...

— Obrali by ciebie przedemną...—odparł Wesselenyi—ja bowiem nie doczekam ani śmierci Jana Kazimierza, ani spółubiegania się o koronę polską Mikołaja...

— Śmierć i życie w ręku Boga...—wtrącił ksiądz Marek.

Wzmianka o spółubieganie się o koronę kwestyą tę na stół wytoczyła, była to bowiem kwestya najważniejsza, osiowa. Przyjaciele, których, ze względu na materyą i naturę zajmującéj ich sprawy, spiskowcami nazwać można, nie łudzili się co do trudności, jakie kwestyą tę otaczały. Uczuwali się jednak na siłach trudności te usunąć. Posiadali środki; posiadali w Polsce, w sferze magnatów, stosunki rozległe i przyjaciół serdecznych. Liczyli przytém na poparcie

skompromitowanego niewczesném kandydatów podsuwaniem dworu francuskiego. Chodziło jeno o zajęcie się sprawą tą szczere i rozumne, o nieżałowanie trudów i nakładów, a z góry liczyć można było na nagromadzenie szans, zapewniających rezultat.

Do szans zaliczał się również zamiar skojarzenia Rakoczego z hrabianką Heleną węzłem małżeńskim. Związek ten potęgował znaczenie Zrinich, sprzymierzając wpływy ich na południu ze stanowiskiem udzielném młodego księcia na północy.

Porównywując przeto wszystkie *contra* ze wszystkiemi *pro*, wypadało, że rzecz była do zrobienia, byle się do roboty wziąć gorliwie.

— Nie pożałuję siebie... rzekł Nadasdy. Prosto z Czakowca na Litwę, do Radziwiła na polowanie ruszę...

Hrabia Mikołaj wspomniał o kasztelanie Gembickim i o księdzu Deodacie. Wzmianka to wrażenie sprawiła z powodu mianowicie poszukiwania kandydatów śród Turków.

— Musiało Polakom dokuczyć, kiedy im do głowy strzelają koncepty podobne...—zauważył któryś.

— Braciszek powiada, że się o Turka stara celem nawrócenia go i pomnożenia przez to chwały bożéj...—rzekł hrabia Mikołaj.

— Trzebaż go odesłać... z nazwiskiem czy bez nazwiska kandydata?..—zapytał hrabia Wesselenyi.

Przy odpowiedzi na zapytanie to zdania się podzieliły i zgodzono się wreszcie na to, ażeby braciszka odesłać bez nazwiska, ale z takiém kandydata opisem, ażeby nietylko kasztelan Gembicki, ale każdy spraw politycznych świadomy hrabiego Mikołaja mógł poznać.

Na tém rzecz stanęła. Przyjaciele dłonie sobie podali, zobowiązując się słowem szlacheckiem stawać jeden za wszystkich i wszyscy za jednego i zwracać usiłowania całe na zapewnienie powodzenia kandydaturze Mikołaja.

— *Vivat rex*!..—wykrzyknął hrabia Nadasdy.

— Ryb przed niewodem nie łap...—odrzekł hrabia Mikołaj. Okrzyk ten wydasz, kiedy go wydać można będzie, tymczasem zaś, przyjaciele moi—do wszystkich słowa te wystosował—bądźcie mi w obec świata i ludzi świadkami, żem dostojeństwo bana złożył ze siebie nie dla tego, żem ciężaru dźwigać nie chciał, ale na to, ażeby barki moje przysposobić do udźwignięcia ciężaru jeszcze większego... Opowiedźcie, żem rąk nie złożył na próżnowanie, że... pracuję...

Przy słowie ostatniém wskazał na rozłożone na stole księgi.

Po konferencyi téj upłynęło dni kilka. Na zamku brzmiało wesele. Stoły zastawiano coraz to większe, czas zaś od siedzenia przy stole pozostający obracano na rozrywki rozliczne. Na teatrze dawa-

no przedstawienia po włosku i po łacinie; śpiewacy popisywali się z pieniem; kuglarze pokazywali sztuki; poranki obracano na popisy rycerskie, albo też na przejażdżki po okolicy; z amatorów niektórzy czynili wycieczki łowieckie; wieczorami banda cygańska przygrywała do tańca i na pokojach zamkowych młodź kręgi zataczała, kończąc ochotę taneczną czardaszem, po którym od tańców dalszych ochota odpadała. Następowało to nie późniéj, jak około dziewiątej wieczorem i o dziesiątej w zamku czuwali jeno stróże nocni i wartownicy orężni. Na murach odzywały się od czasu do czasu okrzyki strażnicze; po komnatach sen przelatał tu cicho, owdzie przy wtórze mocnych sapań i hałaśliwych chrapań, tworząc swego rodzaju muzykę, brzmiącą chóralnie tam, gdzie młódź męska pokotem spała. Następowało budzenie się ogólne, które *mutatis mutandis* sprowadzało powtórzenie dnia poprzedniego. Starsi i poważniejsi rozprawiali *de publicis*. Młódź się uciechom oddawała. Tak upłynął dzień po dniu, aż nadszedł ów, w którym Sapit bej wizytę celem przyświadczenia o dobrych stosunkach sąsiedzkich złożył. W dniu tymże samym zaszło zdarzenie ważniejsze jeszcze. Przyjechał gość pożądany, młody książę Rakoczy.

Sam przyjazd księcia, który przybycie zwlekał dla tego tylko, że czekał na opóźniające się dla względów politycznych upoważnienie matki, dobrą był wróżbą. Znaczyło to, że upoważnienie otrzymał. Nie znano jeszcze szczegółów, mimo to fizyognomia ogólna zgromadzenia przybrała akcent zadowolnienia, które szczególnie odbijało się na obliczu hrabiny Piotrowéj. Wyjątek stanowiło ludzi dwoje: młody oficer i hrabianka. Patrząc na nich, biskup rzekł do siebie:

— Gruchali...

Poznał to z zachowania się młodych ludzi.

Oficer na hrabiankę zwrócił żalu i wyrazu zapytania pełne wejrzenie, na które ona odpowiedziała wejrzeniem, wyrażającém trwogę. Młody człowiek z pośpiechem wyszedł; hrabianka zrobiła kroków kilka od boku matki, lecz, przez tę ostatnią upomniana, powróciła i, blada, z oczami spuszczonemi asystowała ceremonii powitań, odbywających się z akcentem uroczystym.

Książę, znany w dziejach pod imieniem Franciszka I, postacią swoją wydawał czém był. Zewnętrzność jego, szykowna i młoda, zdradzała wielkiego pana nieobdarzonego hartem ducha. Od pierwszego rzutu oka nie można w nim było poznać syna ojca przedsiębiorczego i zuchwałego. W wyrazie fizyognomii jego przebijała się miękość, za oprawę któréj służył strój bogaty węgierski, połyskujący od złota i kamieni drogich. Złote ostrogi u nóg mu podzwaniały,

złota rękojeść w jaszczur oprawnéj szabli u boku się wahała, od złotych klamer i guzów odbijały wysokiéj ceny brylanty; naszycia na dolmanie wyglądały nakształt napierśnika pancernego a składały się ze sznurów roboty szmuklerskiéj, w których zielony jedwab łączył się ze złotemi niciami. Otoczenie jego w również świetnych wystąpiło strojach. Książę, witając się z hrabiami Mikołajem i Piotrem, przedstawiał im osobistości, znajdujące się w orszaku jego i wymieniał kolejno nazwiska: Andrassy, Pulszky, Karponiay, etc.

— Miło mi wysokość waszą w progach Zrinich powitać...—były słowa, które do niego hrabina Piotrowa wystosowała.

— Bądźcie przekonaną, dostojna pani, żem do progów waszych podążał z upragnieniem...—odpowiedział młody książę.

— Znajdujecie w nich przyjaźń życzliwą...

— Za którą odpłacam wzajemnością zupełną...

— Oto córka moja, hrabianka Helena...—rzekła, oczami na stojącą obok panienkę wskazując.

Książę się skłonił i wejrzeniem z pod oka oblał od stóp do głowy sądzoną swoję.

Hrabianka prędko odzyskała równowagę moralną, którą pojawienie się gościa było nieco nadwerężyło. Bladość jéj z liców ustąpiła, oczy podniosła i ukłonem na ukłon odpowiedziała.

— Hm...—odsapnął przez nos obserwujący pilnie młodą parę biskup i w myśli dodał:—No... a oficer?..

Podejrzywał; gdyby jednak miał możność do serca dziewczęcia zajrzéć, przeświadczył by się, że podejrzenia jego podstawy nie miały. Pomiędzy hrabianką a Jowanowiczem nie zaszło nic, co by wychodziło po za sferę sympatyi, jaka się w sercu jéj dla młodego człowieka obudziła. Sympatya bywa wstępem, prologiem, przewodnikiem bożka miłości, którego by może była sprowadziła, gdyby nie zbyt wielka odległość dzieląca dziedziczkę wielkiego imienia i wielkiéj fortuny od prostego a ubogiego szlachcica. Przytém młodość i wstydliwość dziewicza na przeszkodzie stawała. Szykowny i atmosferą poetyczną owiany żołnierz, posiadający o wilach wiadomości młodzieniec wrażenie na niéj sprawił — podobał się jéj — zajął ją i wzbudził w sercu jéj, nie miłość dla siebie, ale obawę do tego, co jéj na małżonka był z góry przeznaczony. Znalazła miarę porównania, wyrażającą się pod postacią formułującego się samo przez się zapytania: „Czy ten takim jest jak tamten?“ I tyle. Zapytanie tego rodzaju dla małżonków niebezpieczném bywa; niebezpieczeństwo atoli odnosiło się do przyszłości, która się w chwili téj mętnie i zagadkowo hrabiance przedstawiała. Płonnemi przeto były podejrzenia prałata, zabawiającego Turka rozmową i zarazem czyniącego po-

strzeżenia i nastawiającego ucho. To ostatnie, chwytając tu i owdzie frazesy oderwane i wyrazy pojedyncze, zachwyciło słowa, które urzędnik biurowy, podszedłszy do hrabiego Mikołaja, do niego wystosował:

— Mnich *polonus* prosi miłościwości waszéj o udzielenie mu posłuchania...

— Późniéj... jutro...—odpowiedział hrabia.

— Nalega... mówi, że mu pilno...

— Powiedz mu, żem zajęty...

— On by się z hrabią Piotrem lub z kim innym rozmówił...

— Może rozmówienie się z nim polecę komu...—odrzekł hrabia z niecierpliwością. Niech czeka...

— Ahm...—zakarbował sobie biskup w myśli i, nie zwlekając, towarzystwo opuścił. Gdy z siedzenia wstawał, Turek się do niego odezwał:

— Ij... siedź!..

— Cóż wysiedzę?..—odparł.

— Mógłbyś wysiedziéć kurczęta, gdybyś miał pod sobą jaja, ale że ci jaj nie podsypano, więc z siedzenia twego ten pożytek, że mnie bawi twoje językiem klapanie... Mówisz mi o królestwie... mów daléj...

— Poczekaj, beju... może się o niém czegoś więcéj dowiem...—odpowiedział biskup, odrzekł, udał się do izby swojéj i kapelana po księdza Deodata posłał.

W chwilę późniéj braciszek *polonus* z rękami złożonemi i głową pokornie schyloną przed obliczem prałata stanął. Biskup okiem go zmierzył i tak do niego przemówił:

— Hrabia Mikołaj nie może ci w chwili téj posłuchania udzielić.

— Wiem o tém... niestety...—westchnął braciszek.

— Cóż mu powiedziéć masz?..

— Znalazłem do korony polskiéj kandydata i pilno mi wracać do kasztelana Gembickiego, z polecenia atoli kasztelana, wracać nie mogę bez rozmówienia się z hrabią...

— Kogóż znalazłeś?..

— Beja tureckiego... Bej to szlachcic... Na imię mu Sapit...

— Piast...—podchwycił biskup.

— Tak jest, *eminentissime*...—odezwał się braciszek, podnosząc na biskupa oczy, wyrazu pełne.

— Hm?.. to kandydat dobry, ale nie wywiążesz się z zadania, jaki na ciebie kasztelan włożył, jeżeli mu Piasta tylko na kandydata podasz...

— Cóż, kiedy innego wyszukać nie mogę...

— Czemu?.. Czyś już o tém z hrabią mówił?..

— Mówiłem...

— I cóż?..

— Hrabia powiada, iżby się znalazł kandydat nie jeden...

— Nie powiedział który...

— Nie, *eminentissime*...

— Wymienić mu bowiem samego siebie nie wypadało...—rzekł biskup, odgadując o czém nie wiedział, a raczéj strzelając na chybił trafił z punktu tego, że każdy magnat węgierski z ochotą by czoło koroną polską przyozdobił.

Postawienie kwestyi kandydatury upoważniało go do użycia manewru tego, celem dowiedzenia się o rzeczy.

— Nie wypadało i nie wypada...—prawił. Należy to do ciebie, wielebny... Ty mu sam kandydaturę nasuń.

— Hm?.. uhm?..—braciszek na to.

— Czyżbyś co przeciwko niemu miał?..

— Nic... to jeno, że imię jego *anagrammatice* wróżbą żadną nie brzmi...

— Nie brzmi *anagrammatice*, ale za to brzmi *grammatice*, a to ważniejsze... Czyż się nie kończy na: *laus*?.. Koniec dzieło wieńczy... Czytaj imie: Nic-ol—*laus*... Niby to nic, a wkońcu chwała...

— Tak...—odrzekł braciszek—tak, to prawda... Gdyby hrabia był kalwinem...

— A na cóż ci kalwin?..

Ksiądz Deodat rzecz wytłómaczył. Biskup odparł:

— To pięknie i chwalebnie, bardzo chwalebnie... Wiedzże, że hrabia *conditioni* téj odpowiada w zupełności, z nadmiarem nawet: je chleb kalwiński, jako dziedzic fortuny, zgromadzonéj przez kalwina zażartego, a przytém, sam niedowiarkiem jest... Popytaj o niego ojców jezuitów... Niedowiarek gorszy od kalwina..

— To prawda...—odrzekł braciszek skonwinkowany...

— Owóż, ofiaruj mu kandydaturę od siebie, *discrete*, nie powiadając, żem ci ją doradził i, przed puszczeniem się w podróż, ze mną się jeszcze rozmów, chodzi tu bowiem o rzecz ważną: o nawrócenie niedowiarka... kasztelanowi dwóch nastręczysz kandydatów: Turka i niedowiarka... będzie temu rad...

— Polecił kalwina wyraźnie...—wtrącił ksiądz.

— Wytłómaczysz mu różnicę... Kalwin wieprzowinę spożywa w adwent otwarcie i chwali się tém; niedowiarek spożywa, ale się nie chwali... Pana Boga oszukuje... Hrabia na tronie polskim nie będzie mógł tego czynić...

— O nie!...—podchwycił braciszek—będzie dozorowany zbliska.

— Hrabia powiada, że mięso to ryba niechrzczona...

— Cóż innego powiadają kalwini?.. Co to za przewrotność, mój Boże!..

— Otóż widzisz... Idź-że z Bogiem, a pamiętaj dyskrecyą potrzebną zachować... nie powiadaj nawet—dodał od niechcenia niby—żeś się ze mną widział...

Braciszek na ręku biskupa pocałunek złożył, z czołem pochylonėm błogosławieństwo jego przyjął i z pokorą oddalił się.

Po odejściu jego biskup uśmiechnął się uśmiechem zadowolnienia, kapelana przywołał, podyktował mu do konotatnika *pro memoria* wyrazów kilka, że się zaś zbliżała pora obiadowa, na pokoje wyszedł, ale się już do Turka nie zbliżał. Sapit bej mu już potrzebny nie był. Uwagę jego zajmował Franciszek I, który z hrabiną Piotrową rozmową się zabawiał. Ulokował się tak, ażeby rozmowy téj dźwięki do ucha mu wchodzily. Słuch nastawiał, o niczém atoli ciekawém dowiedzieć się nie mógł, rozmowa bowiem, przeskakując z przedmiotu na przedmiot, czerpała materyą z przejawów życia powszedniego. Hrabina zapytywała o zdrowie księżny matki i o sposób, w jaki ona w Wiedniu czas przepędza; zapytała następnie o Koszyce, czy to miasto wielkie, daléj, o Debreczyn, wreszcie, o jakość dróg. Na téj materyi ostatniéj rozmowa się zatrzymała dłużéj z powodu, że Franciszek I miał dużo do mówienia o wybojach i o stromych w Węgrzech północnych zjazdach. Opowiadał. Hrabina z wielkiem słuchała zajęciem, wtrącając od czasu do czasu słówko w celu nie innym, jak dla podsycania rozmowy w kwestyi, w któréj, jak się zdaje, jego wysokość mocną się czuła.

(*dok. nast.*) *T. T. Jeż.*





WYJĄTKOWE PRAWA SZKOLNICZE

dla W. Ks. Poznańskiego,

Prus Zachodnich i części Szląska Górnego.

Dwie dźwignie potężne podsadził rząd pruski pod żywioł polsko-słowiański, psujący mu harmonią i jednolitość państwa: dźwignię ekonomiczną a drugą szkolniczą.

O pierwszéj pisano już obszernie w piśmie waszém; postaram się żeby wedle życzenia waszego w krótkich słowach rozpisać się o drugiéj.

W ciągu nieszczęsnego roku 1886 ukuł sejm pruski trzy prawa szkolnicze, obliczone na podkopanie polskości w prowincyach pruskich, zawierających ludność mieszaną. Pierwsze prawo dotyczy ustanawiania i służbowego stosunku nauczycieli elementarnych, drugie obostrza kary za zmudę w uczęszczaniu do szkoły, a trzecie zamierza upowszechnić tu szkoły uzupełniające (*Fortbildungsschulen*) przeznaczone dla terminatorów i młodszéj czeladzi, którzy opuściwszy z 14 rokiem szkołę ludową, rychło zapominają, czego się w niéj nauczyli.

Zastanówmy się z kolei nad materyą trzech praw.

I.

Jak wiadomo istnieje w Prusiech przymus szkolny, ale dziwny to zbieg okoliczności, że państwo, które przez swego „szulmeistra" odnosiło już takie zwycięstwa jak pod Sadową, nie zdobyło się jeszcze na organiczne prawo szkolne. Zapowiedziano takowe w konstytucyi pruskiéj, ale dotąd nie przystąpiono do uiszczenia się z obietnicy. Sprawa sama przez się nie jest łatwą, wywoła-

łaby niesłychanie drażliwe walki parlamentarne, więc się rządzi szkołami daleko wygodniéj za pomocą rozporządzeń ministeryalnych i niższych urzędów administracyjnych, lub, co najwyżéj — prawodawstw prowincyonalnych.

Zatém i m i a n o w a n i e nauczycieli elementarnych nie było dotąd uregulowane przez ogólne prawo i różne w téj mierze istniały praktyki. Nauczycieli elementarnych mianował albo rząd, albo gmina, albo patron dominialny. Rząd oczywiście wszędzie zastrzegł sobie swoje *veto*, ale najczęściéj wykonywać go nie mógł, nie chcąc szkół ogołocić z nauczycieli. Ztąd wynikało, że w okręgach polskich bądź-co-bądź nauczyciel czuł się więcéj zależnym od gminy lub patrona, niż od rządu, zwłaszcza póki inspekcya czyli dozór nad szkołami spoczywał w ręku duchownych. Od czasu jak inspekcyę duchowną zniesiono a ustanowiono specyalnych powiatowych inspektorów szkolnych z ramienia rządu (1872), oraz lokalną inspekcyą oddano wyłącznie w ręce niemieckie, stanowisko nauczycieli elementarnych straciło na niezależności, ale jeszcze mu pozostało ubezpieczenie nieodwołalności. Raz zatwierdzony nauczyciel, bez wytoczenia wątpliwego w skutkach procesu dyscyplinarnego, rugowanym być nie mógł z pod ramienia swego prywatnego patrona, który go mianował dla siebie a nie dla państwa.

Otóż tedy pierwsze z nowych wyżéj wymienionych praw wydano celem złamania resztki samodzielności nauczycieli elementarnych i usunięcia ich z pod wpływu patronów prywatnych.

Słusznie utrzymywano w sejmie, że to nowa sztuczka reakcyjna. Probuje się eksperymentu w mieszanych czyli polskich prowincyach, a następnie, zamach na autonomią gmin i patronów prywatnych rozciągnie się na całe państwo.

Tymczasem kot reakcyjny jeszcze schował pazury. Kiedy ze strony Niemców, zamieszkałych w prowincyach pomienionych powstała o to wrzawa, mogąca całe prawo narazić na odrzucenie w sejmie, rząd w prawie w y j ą t k o w é m zgodził się na wyjątki. Jak to? zawołały miasta niemieckie, za to, że w szkołach naszych propagujemy system „symultanny“, że dusimy polskość wszelkiemi siłami, za to i nam odebrać mają prawo powoływania nauczycieli do naszych szkół?

Rząd tedy co do formy zrobił ustępstwo. Nowe prawo oddaje mu pod wyłączne rozporządzenie nominacyą nauczycieli ludowych w obwodach rejencyjnych: gdańskim, kwidzyńskim, bydgoskim, poznańskim i opolskim, wyjmuje jednak z pod prawa tego p o w i a t y m i e j s k i e (Gdańsk, Poznań, Bydgoszcz), wyjmuje dalej zupełnie

lub prawie zupełnie niemieckie powiaty, jak wałecki (*Deutsch Crone*) malborski, suski, elbląski i prócz tego w Prusach Zachodnich położone miasta z liczbą przenoszącą 10000 mieszkańców, jeśli same o to stawią wniosek.

Powiedzieliśmy, że rząd pod względem formy zrobił ustępstwo, i tak jest, bo w Prusach wogóle wszelkie ustępstwa są formalne. W rzeczy saméj bowiem autonomia szkolna dawniejsza, zwłaszcza co do gmin, była wielce wątpliwą. Gminy powoływały i brały nauczycieli na próbę, ale rząd zatwierdzał. W gminach miejskich angażowały nauczycieli magistraty, a następnie po próbie, zapytywały magistraty u drugiéj „władzy" miejskiéj, t. j. u reprezentacyi czyli u radnych miast, czy się zgadzają na instalacyą. Reprezentacye miały prawo objawić zdanie, ale uchwała w razie odmownym nie miewała nigdy następstw praktycznych przymusowych. Radni miejscy mogli tylko odmówić w etacie pieniędzy na pewną posadę, ale i w takim razie rząd zmusić ich mógł do wypłaty. Nigdy téż takiéj opozycyi nie próbowano. Teraz, wedle nowego prawa, zachowaną została „autonomia szkolna" dla okręgów niemieckich, ale siekierka tonie i tam już tylko między magistratami a rządem, radnych czyli reprezentacyi miejskich, a więc z wyborów obywateli wynikłéj władzy miejskiéj, wcale już nie pytają, tylko każą płacić. Czy to nie postęp reakcyjny?

Nowe prawo nie tylko że rządowi oddało prawo instalacyi nauczycieli ludowych, ale oddało mu jeszcze i prawo przenoszenia tych nauczycieli z prowincyi polskich i mieszanych gdziekolwiek bądź do innych szkół rządowych w prowincyach czysto niemieckich.

Jest to środek nietylko groźny na przyszłość, ale i bolesny nad wyraz dla teraźniejszości. Z drżeniem serca obawiamy się z dnia na dzień gromu, który spadnie na wszystkich, a przynajmniéj na bardzo znaczne części naszych pedagogów ludowych, w których choć iskra samodzielności pozostała. Z żonami i dziećmi powędrować oni mają między żywioł zupełnie obcy i nienawistny, bo trzeba wiedzieć, że przykład z góry dany oddziałał dziś już na najszersze koła ludności. Byle ciura niemiecki czuje się dziś wobec nas krzyżakiem, powołanym do tępienia i upakarzania naszego żywiołu. Szczęśliwi ci, co się dostaną w katolickie okolice Niemiec; tam jeszcze, z wyjątkiem Szląska, jest więcéj odwagi cywilnéj i poczucia słuszności.

Jak dotąd rugi na polu szkolnictwa odbywają się tylko ze szkół wyższych. Przeniesiono świeżo kilkudziesięciu nauczycieli Polaków nad Ren, do Holsztynu, na cztery wiatry. W szkolnictwie ludowém jeszcze cisza, może cisza przed burzą, któż to wie, a może też stosunki okażą się tu silniejszemi nad złą wolę ludzką.

Na szczęście bowiem, Prusy jeszcze nie posiadają wystarczającego materyału nauczycielskiego, a zatém niema do zbytku materyału na przerzucanie, zwłaszcza że w dalszych prowincyach patronat prywatny nie został jeszcze zniesionym i tylko ochotników oraz dzierżycieli rządowych posad brać można na uwagę. Co dobre, to się trzyma rodzimych stosunków i okolic, na ochotnika wędrują do nas nie najlepsze żywioły, bo wiadomo już dziś powszechnie, że praca niemieckiego szkolnictwa w polskich szkołach równa się pracy Tantala. On nie umie ani słowa po polsku, dzieci ani słowa po niemiecku: ucz teraz i rozkrzewiaj oświatę, kulturę. Słyszałem niedawno na własne uszy, jak dziecko wiejskie powracając ze szkoły, a zapytane po niemiecku: „ile masz lat“, odpowiedzialo bez namysłu po polsku: „mój ojciec służy za fornala.“ Snać tego rodzaju konwersacya musi być w szkole chlebem codziennym.

W 5-ciu obwodach rejencyjnych, dotkniętych nowém prawem, liczy się 150,000 ewangielickich a 400,000 katolickich dzieci na 236 miast a 7204 gmin wiejskich, w których jest 5081 szkół ludowych, 516 miejskich z 2364 nauczycielami, a na wsiach jest 6359 nauczycieli i nauczycielek; z tych 2000 ewangielickich a 4000 katolickich. Zwłaszcza nauczycieli katolickich brak wielki, bo jeśli w przecięciu na nauczyciela ewangielickiego przypada 75 dzieci, to na katolickich po 100 i więcéj, w obwodach polskich od 92—115.

Czy wobec tych liczb i stosunków administracya szkolna i na polu szkolnictwa ludowego będzie mogła przeprowadzić zamierzone rugi, wątpić by należało. Lecz cóż to u nich? choćby zepsować szkołę, mówią, trzeba poświęcić miliony i całe generacye, byle dopiąć swego, t. j. wzmocnienia żywiołu niemieckiego.

Przeprowadzenie prawa znoszącego autonomią szkolną w 5-ciu wschodnich obwodach rejencyjnych nie odbyło się w sejmie bez ciężkich walk i zapasów. Nie to, że nasi posłowie, jak należało, oczywiście, występowali przeciwko niemu z całym zapasem właściwych argumentów, lecz i opozycya niemiecka zwalczała nowe prawo jako groźny zakus reakcyjny.

Centrum katolickie stanowczo mu się opierało. Windthorst wywodził, że prawo to oddać musi wszystkich pedagogów pod niewolnicze jarzmo rządu, że służyć będzie do rozpowszechnienia pogaństwa w szkole ludowéj, zerwie związek między rodzicami, gminami a szkołą, gorzéj jak ongi w Sparcie. Samowładztwo państwa jest właściwym celem — mówił — a antypolska tendencya prawa tylko płaszczykiem reakcyi, która się następnie przeniesie i na prowincye zachodnie.

Szczególnie boleśnie dotknęło posłów katolickiego stronnictwa sejmowego rozpostarcie nowego prawa i na Szląsk, na obwód opolski, zamieszkały, jak wiadomo, przeważnie przez ludność „polską“, t. zw. Górnoszlązaków. Zaręczali posłowie katoliccy, że ci Górnoszlązacy są najlepszymi patryotami pruskiemi, a „wielkopolskiéj“ agitacyi wcale na Szląsku nie znać. Kwestya językowa, mówili, jest tam rzeczywiście tylko kwestyą językową nie zaś kwestyą polityczną.

Niestety i z naszéj strony przywtórzyć trzeba temu zapatrywaniu najzupełniéj. Przywtarzał mu i p. minister Gossler, godził się, że na Szląsku agitacyi „wielkopolskiéj“ niema, ale mogłaby być, mówił; temu należy zagrodzić za pomocą szkoły, bo szlachty polskiéj tam już niema, żeby ją wykupywać.

Dla nas takie orzeczenie ministra jest oczywiście bardzo smutném świadectwem. Więc ostatecznie cała owa bramarbasada o zdobyciu Szląska dla poczucia narodowego, była prostą przechwałką z rzędu tych, na które tak chętnie chorujemy. Jeżeli w czém, to tu się wykazuje całe nasze szowinistowskie niedołęstwo. Tyle lat pracy, walki pełnéj ofiar, tyle przechwałek, że „kulturkampf“ odzyskał dla nas Szląsk stracony od tylu wieków, a tu mamy podwójne świadectwo urzędowe, że agitacya polska nic a nic na Szląsku nie wskórała.

Tak tedy i my wystawić możemy naszym „przechwałkowskim“ to smutne świadectwo, że na Szląsku nic nie zdziałali, niczego nie zdobyli, że mianowicie duchowieństwo tamtejsze mimo wspólność broni kulturkampfowéj, dla wszelkich aspiracyi polsko-słowiańskich jest zupełnie wrogo usposobione, a nasiedlenie niemieckich nauczycieli wykorzeni do reszty i tak skromną polskość górnoszląską;— jeżli Opatrzność ludowi swemu nie da dostatecznéj siły odpornéj, nasi działacze mu jéj nie dadzą.

II.

Przechodzimy teraz do drugiego prawa o karach za zmudy szkolne.

Przymus szkolny pociągnął oczywiście za sobą w skutkach system kar za nieposyłanie dzieci do szkoły. Kary te z powodu braku ogólno-państwowego prawa szkolnego, są w różnych prowincyach różne, wedle ustaw i przepisów prowincyonalnych. Tak mianowicie ordynacya szkolna dla Prus Królewskich z 11 grudnia 1841 ustanawia, że zmudy szkolne, po wysłuchaniu powodów uniewinniających, karane być mogą grzywnami za każdy dzień zmudy od 4 fenigów

aż ostatecznie do 50 fen. Regulamin zaś zkolny z 18-go maja 1881 obowiązujacy na Górnym Szląsku, dopiero po całotygodniowéj zmudzie przypuszcza zastosowanie kary do wysokości 50 fen. albo w razie niemożności—odpowiedniéj robocizny na korzyść gminy.

Prawo nowe wydane 6 maja 1886 znosi właśnie te przepisy poszczególne, a upoważnia najwyższy urząd administracyjny w prowincyi do wydania nowych, odpowiedniejszych rozporządzeń na zasadzie ogólnego prawa krajowego i konstytucyi z 21 stycznia 1850 roku.

A zatém znów władza administracyjna, władza policyjna zyskuje przewagę nad prawem i nowy krok naprzód zrobiono w kierunku reakcyjnym, dzięki niepohamowéj powolności sejmu pruskiego a raczéj jego mameluckiéj większości dla zamiarów rządowych.

Różni mówcy opozycyjni daremnie wywodzili, jak ciężko dowolne przepisy policyjne dotknąć mogą ubogą ludność i odstręczać ją będą od szkoły i rządu. W prowincyach wschodnich, o które prawu nowemu chodzi, nie nowina że dzieci muszą 3—10 kilometrów drogi odbywać zanim się dostaną do szkoły. W mroźny czas zimowy, w plutę wiosenną lub jesienną, z obawy przed grzywnami przybywać będą skostniałe, zmoczone do szkoły. W południe, dla oddalenia, nie mogą wracać na obiad, zadowolnić się będą musiały kawałkiem suchego chleba, przemiękłego, wymrożonego. Mniéj ludzki nauczyciel nie pozwoli im nawet podczas pauzy obiadowéj pozostać w lokalu szkolnym. Więc chyba zmarnują zdrowie, a jaka tam z tego będzie nauka? W takich barwach malowano sytuacyą.

Lecz na to niema względu. Przy zielonym stole ministeryalnym, na podstawie małodusznych raportów (*bericht*) inspektorów szkolnych, zaopiniowano, że mianowicie dzieci polskie nie robią w szkole ludowéj postępów z powodu, że nieregularnie do szkoły uczęszczają. Nie system sprzeciwiający się wszelkiéj pedagogice, z obcym językiem wykładowym, jest winowajcą cofającéj się oświaty, lecz zmudy szkolne, a więc znieść dawne i łagodniejsze przepisy, oddać dzieci i rodziców pod samowolę policyi, wtedy i Hiszpan się wykształci na chińskim języku.

Na ten cel już naczelny prezes Prus Wschodnich rozporządził dnia 26-go czerwca 1886, że rodzice i opiekuni za każdy dzień przez dziecko zmudzony podlegać mają karze od 25 fenigów do 2 marek; a chlebodawcy, którzyby dziecko powstrzymali od nauki szkolnéj pł[illegible] będą za każdy dzień od 1—30 marek. W Prusach Zachodnich w pierwszym wypadku naznacza się kara od 10 fenigów do 1 marki dziennie, a w drugim aż do 60 marek.

tak wszędzie daléj a daléj, srożéj a srożéj.

Nowy porządek, jak przewidują, będzie miał ten skutek, że oczywiście regularność w uczęszczaniu do szkoły się powiększy, ale kosztem czego? — oto kosztem zdrowotności i populacyi. Mnóstwo dzieci wypędzanych przez biednych i ponękanych rodziców na mróz i niepogodę, przypłaci ofiarę dla szkoły zdrowiem i życiem. Krajowi ubędzie rąk do roboty, państwu ubędzie rekruta, ale żandarm i komornik odnosić będzie także tryumfy, a panowie inspektorowie szkolni po 10 latach wymyślą nowy powód, dla czego polskie dzieci nie robią postępów w niemczyźnie.

A ile biedaków zubożeje ostatecznie pod grozą prześladowań za zmudy szkolne? Nie powiedziano tego oczywiście, ale może i to jest celem tych obostrzeń, żeby biedną a litującą się nad zdrowiem swych dzieci ludność polską, nielitościwemi karami zmarnować ekonomicznie.

Ależ wszak tyle nowych szkół niebawem natworzą, że dzieci spacerem chodzić będą do szkoły, nie jak dziś, że podróże do nich odbywać muszą.

III.

Statystyka r. 1882 wykazała, że w Prusach istniało 1261 szkól uzupełniających (wieczornych i niedzielnych), z tych 644 przemysłowych po miastach a 617 po wsiach. Szkółki te przeznaczone bywają dla terminatorów czyli uczniów rzemieślniczych, handlowych i młodzieży wiejskiéj, z ludowéj szkoły już wyzwolonéj, żeby nie zapomniała, czego się w takowéj nauczyła, albo żeby choć w części douczyla się tego, czego w szkole nauczyć się nie zdążyła, lub wreszcie, żeby się wyćwiczyła w różnych zręcznościach zawodu lub domowego przemysłu.

Szkoły te jak na całym świecie tak i w Prusiech zawdzięczają pierwotne istnienie swe stowarzyszeniom, a zatém wolnéj inicyatywie obywatelskiéj.

Jakiś statysta przemądrzały snać pozazdrościł laurów swobodnemu działaniu oświatowemu i przekonał rząd, że on powinien tę samorodnie wybujałą latorośl przywiązać do swego kołka—przymusu. Tyle już jest przymusu w państwie pruskiém, czemuż go niema być trochę więcéj? Jest przymus szczepienia ospy dla niemowląt, potém idzie przymus szkolny od 7—14 roku, potém przymus wojskowy, landwerowy, landszturmowy, jedynie między 14 a 20 rokiem była dotąd swoboda zatrudnień i nauki; czemużby i téj nie ukrócić na korzyść i pod strychulcem wszechmocności państwa! Zwłaszcza jeśli to kwadruje do polityki antypolskiéj.

Co prawda, to młodzież nasza ludowa w epoce od 14—20 roku, pod względem nauki teoretycznéj i oświaty, używała całkiem niekłamanéj swobody. Bardzo niewielkim szeregiem polskich szkół uzupełniających poszczycić się możemy, tak, że w gruncie rzeczy nie wypadałoby nam ostatecznie gniewać się o tę nową instytucyą przymusowej oświaty, gdyby uwzględniać zechciała prawdziwe potrzeby naszéj młodzieży. Ale jeżeli Windthorst w sejmie wyraził obawę, że szkoły te będą nową pepinierą bezreligijności, pogaństwa, to czemże one dopiero będą dla nas?

Lecz czyż będą one rzeczywiście istniały? Czy przymus ten będzie mógł być przeprowadzonym? Wątpiono już o tém w sejmie, a jakoś jak na tymczasem z praktyką przeprowadzenia idzie tępo.

Cóż począć z tą masą młodzieży z najnierówniejszym przygotowaniem szkolném? z młodzieżą zdziczałą, niesforną? Jak ją karać? Chłostą, aresztem? Chyba na każdéj lekcyi obok nauczyciela obecnym będzie żandarm lub patrol żołnierski.

A jakże się dzieje w wolnych szkołach wieczornych? W wolnych dzieje się dobrze, bo do nich uczęszczają tylko wybrani, chętni, pragnący nauki i oświaty. A tu wszystko hurtem spędzić mają: porządnych, łotrzyków, którym co innego w głowie jak ułamki dziesiętne lub historya brandeburska.

To téż pedagogia nie wiele sobie po téj instytucyi obiecuje; ale na papierze już ona istnieje.

Sejm zawyrokował, że minister handlu ma gminom w W. Ks. Poznańskiém i Prusach Zachodnich dawać zapomogi na takie szkoły uzupełniające, albo téż całkiém z funduszów państwowych takowe urządzi. Może w koszarach, może w więzieniach, w pustych kazamatach fortecznych, bo jak się zdaje, np. gmina poznańska nie ma ochoty swych „pałaców“ szkolnych oddawać na ofiarę tatarskich obyczajów zdziczałéj po większéj części młodzieży, na uzupełniającą naukę skazanéj. Któż odpowie za szkody i nadużycia? Ilużnauczycieli, nawet za dobrą zapłatę, zaryzykuje walkę z krnąbrnością i nieobyczajnością 18-letnich kawalerów, zwłaszcza w większych miastach, gdzie obyczaje w téj sferze już dawno poszwankowały. Trudna to zatém będzie sprawa.

Że nie jest niemożebną, pouczają przykłady takich państw, jak Saksonia, Wirtembergia i Badenia, gdzie rzeczywiście przymus dla szkół uzupełniających istnieje. Ależ tam też stosunki są zupełnie odmienne. Odmiennym też był powód przeprowadzenia przymusu. Potrzeba wynikła z życia, nie została zaś narzuconą jak tu przez politykę, nie liczącą się z rzeczywistością. Prawda, że już ordynacya procederowa Rzeszy przewidziała szkoły takie, ale właśnie pytanie zacho-

dzi, czy wykonanie jest dziś na czasie. Dużo miast z Prus i z Poznańskiego zgłosiło się po zapomogi, bo to pieniądz gotowy a dobra nota u rządu, ale skutek wątpliwy bo wątpliwy, mimo kar surowych za zmudę, szkody i nieobyczajność. Chyba jeszcze bardziéj zapełniać się będą więzienia, bo jak zwykle, kary pieniężne w razie niemożności zapłacenia zamieniać się mają na karę więzienną.

Przyjrzawszy się zbliska nowemu prawodawstwu wyjątkowemu w Prusiech, trudno nie powiedziéć z Szekspirem: *Something is rotten in the state of Prussia*. Z panem Bogiem! daléj a daléj. Idea prawa, idea sprawiedliwości, słuszności turbuje się na każdym kroku, szlachetniejsze uczucia tępieją, zdrowy rozum marnieje w objęciach hipokryzyjnéj argumentacyi, państwo wyrzeka się opieki nad słabym, szkoła porzuca zasadę pedagogii, racya stanu spada do poziomu brudnego geszeftu politycznego. To się pomścić musi. Takie targanie ducha musi sprowadzić wewnętrzną chorobę duchową, która następnie oddziała i na fizyczny organizm państwa, sprowadzi rozprzężenie. Mógłby ktoś z tego skorzystać.

Nawała niemiecka nie pierwszy już raz uderza gwałtownie na brzegi wschodnie: pochłaniała ona jednę po drugiéj małe krainy słowiańskie. Polska chwyciwszy w krytycznéj chwili, za Mieszka I, oburącz za krzyż i miecz chrześciański, uratowała nasze kresy plemienne przed lat tysiącem; dziś komu innemu przypadło zadanie bronić tych kresów mieczem od nacisku zbrojnego. Nam pozostaje obowiązek bronić się od przewagi ekonomicznéj, od nacisku kultury germańskiéj wytężoną a nieustającą pracą na wszelkich polach, szerzeniem i rozwijaniem oświaty, kształceniem w sobie cnót społecznych, wzmacnianiem ducha jedności i zgody. Zadatki ruchu w tym kierunku szczupłe są ale widoczne: jeśli nie damy im zwątleć, nadchodząca burza przeminie bez wielkiéj szkody.

Tylko niesforność i ślepota ubezwładnia.

Tylko zwątpienie i opuszczenie rąk zabija.

W. S.



SZKOŁY HISTORYCZNE W POLSCE.

(Główne kierunki poglądów na przeszłość).

III.

Prąd demokratyczny w r. 1831 i zmiana kierunku poglądów na przeszłość. Lelewel, przypisując upadek sprzeniewierzeniu się starosłowiańskiéj zasadzie równości i wolności wszystkich, oskarża królów, arystokracyę i ziemian. Szlachtę bierze w obronę Wróblewski, monarchizm Hoffman, papiestwo i katolicyzm Dzieduszycki. Walewski przyczynę ruiny znajduje w upadku lojalności.

Rozumieli pisarze postępowi wieku XVIII doniosłość ucisku mieszczaństwa i chłopstwa, pojmowali wpływ jego ujemny na sprawę publiczną; nie w sponiewieraniu przecież plebejów, lecz w słabości rządu główną upadku znajdowali przyczynę. Zwolennicy państwa silnego wiedzieli o możności istnienia monarchii potężnéj przy braku równouprawnienia stanów, stąd owo wysunięcie w śledzeniu przeszłości na plan naczelny kwestyi organizacyi i wzajemnego do siebie stosunku władz rządowych, a względne zaniedbanie sprawy klas niższych. Zmiany, zaprowadzone w stosunkach prawno-społecznych przez kodeks Napoleona i ustawy konstytucyjne z r. 1807 i 1815, pobudki do zmodyfikowania punktu widzenia epigonom Naruszewicza dawać nie mogły. Zapatrywania monarchiczne ustąpiły w historyi miejsca socyalnym dopiero po katastrofie z r. 1831, kiedy wypłynęło na widownię stronnictwo ludowe.

Pierwszy posiew tego stronnictwa rzucili ludzie wieku zeszłego, lecz, jako działający przeważnie z pobudek filantropijnych, nie zdołali jeszcze wznieść się do zasady oparcia bytu politycznego Polski na ignorowanym przez tyle wieków żywiole. Roboty Andrzeja Zamojskiego, księdza Brzostowskiego, Stanisława Poniatowskiego,

Chreptowicza uważać należy za słabą tylko zapowiedź téj wiosny ludowéj, któréj pierwszą jaskółką był dyktator w chłopskiéj sukmanie. Chociaż na mocy ustaw konstytucyjnych księstwa warszawskiego i królestwa kongresowego otrzymał chłop wolność osobistą i zyskał dostęp do życia politycznego,—że jednak odrabiał pańszczyznę, a dla przyjęcia udziału w zgromadzeniach gminnych musiał okazać własność ziemską lub rany, odebrane na wojnie, faktycznie przeto do równości z patrycyuszami drogę jeszcze miał znaczną. Ciężką dotknięty dolą i surowy moralnie, obojętnie patrząc na heroiczne porywy szlachty, nie wzmacniał jéj swojem ramieniem, przez co rezultat ruchu listopadowego czynił niepewnym. Właśnie w zwątpieniu o możności dźwignięcia sprawy przez samą szlachtę, pod hasłem: siła kraju leży w ramieniu ludu! Towarzystwo patryotyczne nowy zainaugurowało programat. Rozumiało, że dla pozyskania ludu, wyzwolić go trzeba z pod jarzma pańszczyzny, obdarzyć własnością i dopuścić do rzeczywistego w obywatelstwie udziału; chciało, słowem, za pomocą przewrotu socyalnego w martwy dotychczas pierwiastek moralną tchnąć siłę i pchnąć go do czynu. Rozwinął się ostatecznie ten program pod wpływem prądów socyalnych, nurtujących po rewolucyi lipcowéj we Francyi a skrystalizował się w organie emigracyjnym, *Demokracie polskim* i w poznańskim *Roku.* Zapałowi do ludu towarzyszyła w stronnictwie demokratycznem nienawiść ku arystokracyi i szlachcie, na którą zwaliło odpowiedzialność za klęski. Starali się demokraci odgadnąć tajemnicę powstania szlachty i bez aparatu historycznego, drogą jedynie spekulacyi stworzyli dyskredytującą patrycyuszów teoryę gwałtu. Natura, pisali (1), stwarzając wszystkich ludzi wolnymi, jednakowe dla utrzymania ich przy życiu dała im prawo do używania powietrza, wody i ziemi. Nikt wyłącznym panem powietrza lub wody ogłosić się nie mógł bez gwałtu i nastawania na życie innych; nie mógł tembardziéj zająć w wyłączną posiadłość ziemi, która dla wydania plonu ludzkiéj potrzebuje pracy. Faktem jest niezaprzeczonym, że chłopi w dawnych czasach byli właścicielami gruntów: zabrała je szlachta przemocą, wolnych ludzi przywiązała do gleby, zmusiła ich do odrabiania pańszczyzny. Powinna oddać, co posiadła nieprawnie; włościanie słusznie mogą gwałt odeprzeć gwałtem. Jako zaporę oświaty i wolności, jako średniowiecznego upiora, obrażającego oko wieku XIX, przez niwelacyę wzgórzy społecznych składali demokraci szlachtę w grobowym dole. Powiew demokratyczny inną, niż Naruszewicz i naśladowcy

---

(1) M Kubrakiewicza uwagi nad konstytucyą 3 maja 1791 r. co do prawa własności gruntu (Lelewel. *Polska. Dzieje i rzeczy jéj.* III, str. 3 i 4 w przyp.).

jego, do oceny przeszłości kazał stosować skalę i odsłonił widoki nowe.

Już w r. 1819 w rozbiorze *Pielgrzyma w Dobromilu* rzucił Lelewel uwagę, że „przed zaprowadzeniem w okolice Wisły chrześciaństwa był wszystek lud wolny, stan rolniczy równy orężnemu, dopóki wzrastające w Słowiańszczyźnie mocarstwa i dojrzewający na zachodzie feudalizm nie wywarły swych skutków“ (1). Nie była to bynajmniéj myśl nowa, poruszyli ją i rozrabiali historycy i publicyści wieku zeszłego (2); stała się jednak podwaliną nowego na przeszłość poglądu w opublikowanych w r. 1844, a głośnych tegoż historyka *Uwagach nad dziejami Polski i ludu jéj*.

Szczep lechicki, na rozmaite ludy podzielony od wieków, w jednę połączył się całość i pod przywództwem samowładnego króla historyczny rozpoczął żywot. Była w narodzie obok gminu pragnąca wyniesienia się klasa Lechitów, przezwana szlachtą (z-lechcic), prawnie przecież od reszty ludności nie różniła się niczém. Wszyscy mieszkańcy byli wolni; wszyscy, nie znając własności osobistéj, dzierżyli w charakterze posiadaczów nadane im przez monarchę grunta państwowe, za których użytkowanie najróżnorodniejszym na rzecz skarbu podlegali ciężarom. W bezkrólewiu po Mieszku II pierwsze pomiędzy obywatelami wynikło starcie: gminowi przywodził Masław, Lechitom Kazimierz. Zginął Masław, kmiecie ponieśli klęskę, a zdarzenie to uważać należy za pierwszy cios dla obywatelskiego gminu, którego dola coraz bardziéj stawała się sroższą. Dla ucisku Lechitów raz jeszcze kmiecie za Bolesława Śmiałego porwali za broń, lecz znowuż ulegli. Losy gminu dzielił samowładny do śmierci Bolesława Chrobrego monarchizm: słabł w miarę dźwigania się szlachty, a przez upadek Śmiałego zachwiany został do gruntu. Po śmierci Bolesława Krzywoustego występuje wyczynione ze szlachty bogatszéj możnowładztwo i steruje sprawą publiczną aż do r. 1374. W pierwszych leciech sześćdziesięciu (1139—1180) w walce z dowolnościami Władysława II i Mieszka Starego okazuje ono pojęcia wzniosłe i dzielność, lecz od synodu prawodawczego łęczyckiego do koronacyi Łokietka przez rozpasany indywidualizm wyosabnia się przywilejami i wdzierstwem. Rozpustę możnowładzców przytłumił Łokietek i nadany przez Ludwika andegaweńskiego przywilej koszycki. Dźwignął się w pociągniętym do życia publicznego stanie rycerskim duch oby-

---

(1) Rozbiory dzieł, str. 87. (2) „Ta niewola, w któréj są teraz u nas poddani nie była przedtém, jak teraz, ale stopniami rosła... W krajach pobraterskich nam Lutyków, Sasów i innych rząd był gminowładny, więc i u nas w pierwszych początkach podobny być musiał“ (*O poddanych polskich.* Roku 1788. Przypisek 4).

watelski i dla anarchii możnowładczéj nieprzełamaną utworzył tamę. Po ostatnich połyskach wysilającej się arystokracyi, (1374—1454) gminowładztwo szlacheckie dojrzewa w statutach nieszawskich, a za Olbrachta i Aleksandra do najwyższego dochodzi szczytu. Pochłonąwszy w sobie panów a ujarzmiwszy lud i mieszczaństwo, pomiędzy rokiem 1562 i 1607 ostatecznie szlachta rzeczpospolitę urządza i wszechwładztwo swoje rozwija do reszty. Ale „człek nadzwyczajny, który w sile wieku swego natchnął lud szlachecki wysokiemi gminowładnemi wszechwładztwa pojęciami, powinowacąc się z Batorym, jego widzeniom monarchicznym potakując, podniósł nieprzyjaciela rzeczypospolitéj, z którym ubijać się wypadało.“ Sam Zamojski zniewolony był pod koniec życia wystąpić przeciwko knowaniom Wazy, a rozpalone przez niego zarzewie rychło w wielki miało wybuchnąć pożar. „Lud szlachecki, ze złéj wiary królewskiéj markotny, przywykły mieć przewodników, dał się prowadzić wichurze. Zebrzydowski, Jan Radziwiłł, Ostroróg wezwali go i tłumnie ruszył podpisać rokosz pod Sandomierzem. Cień Zamojskiego zdawał się popierać wielkie narodowe poruszenie, a tron zadrżał w posadach swych odgłosem gróźb zgasłego naczelnika, odgłosem, tysiąckroć powtórzonym przez gniewny lud.“ Pod Guzowem gmin szlachecki ponosi klęskę; z upadku jego możnowładztwo nieobliczone odnosi korzyści. Jeżeli doba gminowładztwa szlacheckiego przez zwrót do zasad słowiańskich zapewniła Polsce potęgę, to w okresie od r. 1607 żywioły cudzoziemskie, biorące górę nad myślą narodową, sprowadzają upadek. Duch narodowy postawił braterstwo i równość; cudzoziemszczyzna podnosi na wzór zachodu pierwiastek arystokratyczny, którego polityce nieograniczone zapewnia wpływy. Wbrew duchowi narodowemu Wazowie usiłują ugruntować w Polsce swoją dynastyę, wpływ rzymski nie dopuszcza formacyi kościoła niepodległego, obudza prześladowanie dysydentów,—ścieranie się najróżnorodniejszych, niemożliwych do pogodzenia żywiołów sprowadza odmęt i nierząd. Sprzeniewierzenie się leżącym w duchu narodu, a urzeczywistnionym w zupełności raz tylko, w pierwotnéj Słowiańszczyźnie, zasadom równości wszystkich i wolności stało się istotną przyczyną upadku.

Poglądy Lelewelowskie niczém innem nie były, jak wznowieniem teoryi Wielhorskiego i republikantów z doby sejmu wielkiego. Pomimo różnicy w szczegółach, nieskończonéj wyższości Lelewela pod względem materyału dowodowego i ścisłości argumentacyi, wspólnego punktu wyjścia w poglądzie na przeszłość przedzielonych przez szkołę monarchiczną generacyi zaprzeczyć nie można. Jak Wielhorski, tak i Lelewel „pierwiastkową ustawę“ republikańską po-

czytują za podwalinę bytu, zboczeniu od niéj przypisują anarchię i ostateczną ruinę, tylko że pierwszy zawarł swój ideał polityczno-społeczny wyłącznie w szlachcie, gdy drugi podniósł go do rozmiarów żywiołu plebejskiego, powiększył o ogrom ludu. Demokratyczny w dzisiejszém znaczeniu tego wyrazu autor *Uwag* zajął względem szlachty stanowisko wyzywające, stał się, jako dziejopis, rzecznikiem haseł Centralizacyi, zwalającéj winę upadku nie na samą tylko arystokracyę i królów.

Pomysły Lelewela spożytkował w dziewięcio-tomowych *Dziejach rzeczypospolitéj polskiéj* (1843—55) Moraczewski, snuł późniéj z ich kłębka demokratyczny Schmitt, a jednocześnie dostrajali się do wyzywającego względem szlachty stanowiska mistrza różni historycy przez wskrzeszenie zaniedbanéj od naśladowców Naruszewicza teoryi najazdu (1). Wywodzenie szlachty od korsarskich Normandów (Szajnocha), od saskich Lazzów (Maciejowski) i kaukaskich Lezgów (Sękowski) niczém innem nie było, jak przybraniem w formę naukową demokratycznéj teoryi gwałtu, umiejętném stwierdzaniem wysnutych drogą spekulacyi domysłów. Ulegając parciu ducha czasu, nieświadomie, bez powziętéj z góry tendencyi łączyli historycy głos swój z wrogim szlachcie pokrzykiem (2).

Po klęskach demokratów w r. 1846 i 1848, jak na zachodzie, tak i u nas zapanowała reakcya: pierwiastek ludowy, zdyskredytowany niepowodzeniami w wysiłkach przez rzeź galicyjską, ustąpił miejsca żywiołom zachowawczym najrozmaitszych kierunków. Górę bierze w stosunkach praktycznych i wyobrażeniach: szlachetczyzna, ultramontanizm i monarchizm, a zwrót nowy w życiu społecznem i myśleniu odbić się musiał i w poglądach na przeszłość. Reprezentowany przez Lelewela kierunek ostrą, jako rewolucyjny, w różnych obozach znalazł naganę. W twierdzeniu, że z chwilą wprowadzenia do Polski cywilizacyi chrześcijańskiéj zmniejszyły się wolności gminu, dostrzegano „śmiałe i niewątpliwe wywrócenie i zaprzeczenie katolicyzmu;“ posądzano dziejopisa, że przez zaprzeczenie istnienia za pierwszych Piastów własności prywatnéj „wybija szeroki gościniec majątkowéj spólności, komunizmowi;“ ganiono niechęć ku szlachcie, „zagładzenie bowiem lechickich żywiołów popchnie ku znikczemnieniu, ku duchowemu a najopłakańszemu zepsuciu“ (3).

---

(1) Anonim w broszurze: *Polens Untergang. Ein charakteristisches Gemälde dieser Adels-Nation* (Cölln, 1808) szlachtę polską wywodzi od Sarmatów, lud uważa za słowiański. Innych śladów teoryi najazdu nie znamy.—(2) Zrozumiał to Maciejowski, lubo dość późno. W ogłoszonéj w r. 1874 *Historyi włościan* uroczyści: zapewnia (str, 22, 303), że przybyłych z Saksonii Lazzów Wielkopolanie przyjęli gościnnie; że za wyświadczone krajowi usługi obsypali ich darami —(3) Przegląd poznański z r. 1848, t. VII, str. 1—16.

Apologię szlachty podjął w trzytomowém *Słowie dziejów polskich* (1858—60) Wróblewski, który skrystalizował i na grunt filozoficzno-historyczny sprowadził panujące w literaturze emigracyjnéj ideały i sądy. Chociaż punktu wyjścia zapożyczył od Lelewela, a na materyale dowodowym Moraczewskiego się oparł, doszedł przecież do uogólnień, o jakich żaden z poprzedników nie myślał.

Słowo, tj. zasadniczą ideę narodu znajduje Wróblewski we wstręcie, jaki Słowianie mieli do wszelkiego rodzaju niewoli. Znamienna cecha praojców przeszła i na nas: „narodowym jest u nas wolny charakter ludu, a to w stopniu i potędze, do jakiéj żaden inny nigdy podniesionym nie był.“ Gdy różne narody narzucały podbitym jarzmo, myśmy od samego początku zwyciężonych przez siebie własną obdarzali wolnością. „Takie jest najogólniejsze znaczenie i tajemnica naszego słowa, taka w głównym zarysie jego fizyologia i odrębność.“

Pierwotne społeczeństwo słowiańskie żyło w gminach osobnych, złożonych z rodów. Patryarcha kierował rodem, gromada gminna o sprawach swoich stanowiła na wiecach, na których wybierała także ku wykonaniu uchwał starszyznę. Stanowiono zaś o wszystkiem i wybierano jednomyślnością,—*liberum veto*, jako zasadnicza ustawa, przestrzegane było u Słowian święcie. Gminy stanowiły małe rzeczypospolite bez żadnego związku federacyjnego, który tylko przygodnie podczas wojny się trafiał, kiedy na wiecu powszechnym obierano dowódców. Spostrzega Wróblewski w organizacyi Słowiańszczyzny trzy pierwiastki, niby prawa moralne, stale rządzić nami mające: 1) wolność i równość wszystkich, 2) w obradowaniu jednomyślność i 3) obieralność.

Przeznaczeniem naszém było, według Wróblewskiego, szerzenie wolności na wschodzie, przywrócenie ludom jego znamion zatraconéj słowiańskiéj zacności, dla urzeczywistnienia czego zachodziła konieczność stworzenia rządu silnego. Zadanie zaprowadzenia dobréj organizacyi wewnętrznéj po unii lubelskiéj, tj. po ustąpieniu z widowni dotychczasowych Polski piastunów: królów i duchowieństwa—legło na panach i szlachcie; nie było zaś niewykonalném, skoro zależało jedynie od usunięcia z rządów rzeczypospolitéj zarodów anarchii. Zarody owe przecież nie znikły, potęgowały się owszem z winy panów i królów. Magnaci, zamiast zrzec się przewagi politycznéj na rzecz rycerstwa, jęli się walki bez końca. „Dopokąd drżeli o wolność, dopótąd nie przeszkadzali szlachcie w jéj występowaniu na czoło narodu; od czasu zaś unii lubelskiéj, skoro znikły wszelkie obawy od dziedzicznéj Litwy, skoro już ustała potrzeba przywabiania szlachty litewskiéj słodyczami swobód polskiéj,—poczęli bez-

płciowém swojém możnowładztwem spychać stan rycerski z jego znaczenia, nie dopuszczać go do szczytu przewagi, którego już dopadał i dali anarchię"... Z drugiéj strony podsycali anarchię pragnący samowładztwa królowie. „Nic pewniejszego, że Polska dziedzicznie i samowładnie rządzona przyszłaby do wielkiego znaczenia i potęgi, a byt swój polityczny na zawszeby utrwaliła; ale nic także pewniejszego jak, że przeto Polacy staliby się obcymi swojemu powołaniu i naturze wolnego ludu." Usiłowało rycerstwo w duchu zasady gminowładno-szlacheckiéj naprawić rzeczpospolitę w rokoszu Zebrzydowskiego, lecz, poniosłszy porażkę, osłabło w godziwéj chęci osiągnięcia wszechwładztwa, folgę dało zabiegom arystokracyi i królów. Nierozstrzygnięcie walki *słowa* narodu z dwiema przeciwnemi mu zasadami: monarchiczną i możnowładczą mieści w sobie tajemnicę upadku. Sposób ratunku leżał w ostatecznéın rozwinięciu i uzupełnieniu instytucyi szlachecko-gminowładnych: należało pozbawić królów środków, mogących wolną rzeczpospolitę obalić, trzeba im było odjąć prawo szafunku łask i urzędów. Król pozbawionyby został narzędzi demoralizowania obywateli, możnowładztwo musiałoby uledz rycerstwu, jako najwyższemu szafarzowi zaszczytów i nagród. Że uzupełnieniu instytucyi gminowładnych stanęli na przeszkodzie magnaci i króle,—„ogół narodu (tj. szlachta) zawsze, według autora, swojemu powołaniu, swojemu pierwotnemu słowu posłuszny, czysty staje od winy zatracenia ojczyzny."

Oprócz rehabilitacyi gminu szlacheckiego, któréj podjęcie sam Wróblewski za najważniejszą sobie poczytywał zasługę, zasadniczo autor *Słowa* od poglądu Lelewelowskiego odskoczył przez przyznanie narodowi polskiemu monopolu na wolność i misyi zaszczepiania lub wskrzeszania śród innych ludów znamion słowiańskiéj zacności. Mniemania tego rodzaju błąkały się po pismach emigracyjnych, najgorętszymi ich rzecznikami byli poeci. „Jeden naród polski, pisał Mickiewicz, nie kłaniał się bałwanowi i nie miał w mowie swojéj wyrazu na ochrzczenie czcicieli jego, którzy nazywają się z francuskiego egoistami...

„I szły króle polskie na obronę chrześcian w dalekie kraje, król Władysław pod Warnę, a król Jan pod Wiedeń na obronę wschodu i zachodu.

„Nigdy zaś króle i mężowie rycerscy nie zabierali ziem sąsiednich gwałtem, ale przyjmowali narody do braterstwa, wiążąc je z sobą dobrodziejstwem wiary i wolności"...

Takież mniemania o posłannictwie szlachty polskiéj w rymy wkładał Krasiński.

Przeciwko teoryi republikańskiéj wystąpił Hoffman, który takie stanowisko zajął względem Lelewela i jego naśladowców, jak względem Wielhorskiego biskup smoleński.

Słowiańszczyzna pogańska, twierdził, miała wiele instytucyi niezmiernie powabnych: rządy bez królów, wspólność majątkową, bezwarunkową równość,—zniszczyła je przecież nielitościwa ręka czasu, ustąpić musiały miejsca światu innemu. Żałować téj przemiany byłoby—wbrew Lelewelowi—rzeczą niewczesną, cywilizacya bowiem chrześciańska wynagrodziła ją hojnie. Zaprzecza Hoffman, żeby zadaniem narodu było konserwowanie pierwotnego swojego typu, „pierwiastkowéj ustawy“: cywilizacya, chociaż szanuje znamiona szczegółowe i właściwości rasowe poważa, musi je przecież modyfikować ustawicznie stosownie do okoliczności i potrzeb czasu. „Narodowość, jakkolwiek szanowna, musi miéć swoje granice, inaczéj trzebaby nam wracać do czasów przedpotopowych.“ Kto chce Polskę zrozumiéć, badać ją powinien w epoce chrystyanizmu, nie zaś w dobie pogańskiéj.

Chrystyanizm zastał już w Polsce rozbicie społeczeństwa na stany, będące wynikiem nierównego podziału bogactwa. Że w kraju tak wyłącznie rolniczym, jak Polska, cały majątek zasadzał się na władaniu ziemią, do władania zaś owego przywiązany był obowiązek posługi wojennéj (*jus militare*),—dzielili się przeto mieszkańcy na posiadających własność i nieposiadających jéj, na rycerzy i kmieci. Człowiek gminu, kmieć, nabywszy własność ziemską, stawał temsamém w szeregach rycerstwa czyli szlachty, zbliżał się do źródła, z którego płynęły łaski i sowite korzyści. Nie powstała więc szlachta ani wskutek podboju, ani z naśladownictwa instytucyi zachodnich, lecz była wykwitem stosunków społecznych miejscowych. Nie było początkowo szlachectwo dziedziczném, zawisło raczéj od przypadku, skoro pozyskiwano takowe przez nabycie ziemi, a utracano przez ustąpienie z niéj. Każda jednak arystokracya majątku, jeżeli jéj nie powstrzymują ostrożne przepisy prawodawcze, dąży naturalnie do przeistoczenia się w dziedziczną, rodową, a najpierwszym ku temu środkiem przybieranie nazwisk familijnych i herbów. Nazwiska i herby były dla uprzywilejowanego rodu dowodem prawnym, zamieniły arystokracyę osobistą na dziedziczną, zbudowały pomiędzy stanem rycerskim a gminem nieprzełamaną zaporę. Dostęp do arystokracyi dziedzicznéj otwierała jedynie szczególna łaska monarchy, mającego prawo nadawania uszlachceń lub przychylność rodzin rycerskich, mogących przygarnąć do swego herbu sposobem adopcyi. Mógł jeszcze każdy mieszkaniec kraju własność ziemską nabywać; jeżeli jednak nie był herbowym, patrzali nań rycerze okiem pogar-

dy, uważali go za żywioł pośród siebie zbyteczny, aż zapanowała zasada, że posługa wojenna stanowi obowiązek i przywiléj tylko szlachciców. Niosąc sama służbę rycerską, sądziła się być szlachta nieobowiązaną do składania ciężarów publicznych, od których uwolniła się za króla Ludwika; za Olbrachta usunęła plebejów, jako nienależących do obrony, od prawa nabywania własności ziemskiéj.

Dla braku feudalizmu nie mogła się w Polsce ustalić ani monarchia, ani arystokracya, ani demokracya.

Nad wszystkimi stanami panował w Polsce pierwotnéj król dziedziczny, stanowiący o wszystkiém samowolnie, niepodlegle i ostatecznie. Władza jego, żadném prawem nieograniczona, była absolutną, ale w duchu chrześciańskim, opartym na miłości bliźniego, na obowiązku opiekowania się szczęściem i wolnością wszystkich kraju mieszkańców. Ogół narodu, czując się jeszcze niezdolnym do czynnego udziału w rządzie, pozostawiał monarsze najszersze pole działania. I była Polska spokojna wewnątrz, silna jednością na zewnątrz, gdy ją na klęski i burze naraził podział, dokonany przez Bolesława III. Pozyskało wprawdzie społeczeństwo wolność, ale uprzywilejowaną w stanach szczególnych,—nabyło dążeń ujemnych, które jak nić czerwona snuły się od tego czasu przez wieki. Na nieszczęście brak było Polsce narodowego a silnego mieszczaństwa, któreby—jak to się działo gdzieindziéj—przyszło z pomocą królom, podało rękę klasie rolniczéj i szerzyło wyobrażenia wolności powszechnéj. Po osłabieniu monarchizmu, ponieważ żywioł demokratyczny, gnieciony ciemnotą i ubóstwem, nie mógł jeszcze marzyć o władzy,—przyszła kolej na arystokracyę; że jednak nie miała żadnéj organizacyi, żadnéj hierarchii, przeszedł rząd nie do kilku, ani do kilkudziesięciu, lecz do rąk każdego z osobna. Masa szlachty, znarowiona powabem mniemanéj równości, pędzona wiatrem interesu, przesądu lub namiętności, przelewała się naprzemian, jak wzburzony potok od jednego do drugiego magnata, żadnemu nie ślubując wiary, żadnego nie popierając stale,—nic nie budowała, wszystko niszczyła. Braku feudalizmu było następstwem, że żaden z żywiołów społecznych, czyto monarchiczny, czy arystokratyczny, czy demokratyczny nie mógł wziąć góry, nie potrafił silną dłonią ująć steru sprawy publicznéj. Za Jagiellonów trudno doszukać się formy rządu, niełatwo odgadnąć, gdzie się znajdowało wszechwładztwo: w królu, w reprezentacyi krajowéj, czy też w pojedyńczych ziemiach. Każdy z tych czynników rościł o nie pretensyę, ale żaden nie mógł stanowczego otrzymać zwycięstwa. Jeden psuł rządy drugiemu, z powodu czego zatrzymał się wewnętrzny rozwój narodu. Stan uprzywilejowany, zamiast podzielić się władzą z królem lub narodem, monopolizował na rzecz

własną wszelkie korzyści społeczne; nie uorganizowawszy się, nie zabezpieczywszy ani powagi sejmom, ani mocy obowiązującéj prawom, zasiał jeszcze w epoce złotego wieku oświaty ziarno anarchii (1).

Z punktu widzenia ultramontańskiego oceniał przeszłość Polski wychowaniec jezuitów, Dzieduszycki.

Kościół i państwo, odpowiadające dwom pierwiastkom człowieczeństwa: duszy i ciału, są głównemi podstawami społeczeństw. Ku osiągnięciu przez człeka szczęścia wiekuistego, sam Pan Bóg „przepisał prawa, wytknął drogę, dał przewodników, słowem ustanowił kościół"; co dotyczy zaś pomyślności ziemskiéj, „pośrednio tylko moc swą wywierając, użyczył najszlachetniejszemu swemu stworzeniu wolność w wyborze i ukształcaniu warunków istnienia i dobrego a swobodnego bytu." Choć cele i prowadzące do urzeczywistnienia ich środki kościoła i państwa są różne, instytucye te przecież szkodzić sobie nie mogą, wzmacniają się owszem wzajemnie. Jeżeli państwo wpływa na przyszłość kościoła, ostatni odpłaca mu, jednocząc ludzi w sposobie myślenia, kształcąc zasady i obyczaje, podnosząc posłuszeństwo dla władzy do rzędu cnót. Nie idzie zatém, żeby kościół mógł być państwu podległym; naodwrót, organ pomyślności doczesnéj jest podrzędny ułatwiającemu osiągnięcie szczęścia wiecznego.

Dobrze było Polsce, dopóki szanowała wolę papieżów i przyznawała im prawo wpływania na najwyższe w kraju zwierzchnictwo; ku upadkowi poczęła się chylić, skoro się sprzeniewierzyła katolicyzmowi,— religia bowiem stanowi najpewniejszą, owszem jedyną podwalinę narodów i państw, źródłem jest życia i opoką trwałości. Reformacya, rodząc w obywatelach zarozumiałość i dumę, przyprawiła rzeczpospolitę o zgubę. Kiedy upadła wszelka powaga; kiedy owi biskupi, tyle dotychczas szanowani ojcowie w kościele, a starsi koledzy w radzie narodowéj, obarczeni zostali wzgardą, w poniewierkę pójść musiała władza królewska, majestat urzędów i praw. Od tego czasu wszczęła się niejedność, wżarła się w charakter narodowy niezgoda, stać zaczęła Polska bezrządem. Jednym z najgorszych a bezpośrednich skutków różnowierstwa było podczas reformacyi dopiero powstałe rozdwojenie stanowcze pomiędzy poddanym a panem. Łagodził dawniéj poddaństwo patryarchalny stosunek, na wspólności religii, pochodzenia i potrzeb oparty; kiedy panowie wyznanie zmienili, kmiecie zaś katolicyzmowi zostali wierni, zerwał się

---

(1) Obraz rządu i prawodawstwa dawnéj Polski (*Przegląd poznański* z r. 1847 t. V, z r. 1848 t. VI, z r. 1849 t. VIII i IX). Historya reform politycznych w dawnéj Polsce. Lipsk, 1867. Przyczyny podziału monarchii polskiéj po Bolesławie Krzywoustym w wieku XII. Kraków, 1872.

główny węzeł serca,—słabszą stronę ogarnęła nieufność, obawa i niechęć; szlachtę pochopność do prześladowania i gwałtów. Dźwignęła się Polska za Batorego, który „sprawy Boga i religii nad rzeczy światowe przenosił i w pierwszych dla drugich podpory i mocy szukał“, a miał ku pomocy Zamojskiego „kanclerza najroztropniejszego“ i Sokołowskiego „kaznodzieję prawie boskiego.“ Dzięki Zygmuntowi III upadek, zapowiadany przez zgubne żywioły, opóźniony został na długo. Rokosz Zebrzydowskiego, „bagno, które, pochłonąwszy i skupiwszy w sobie mętne napływy, wydaje na wszystkie strony naraz niezdrowe wyziewy“,— był, zdaniem Dzieduszyckiego, ostatniém wielkiém wysileniem różnowierstwa, zamachem na kościół katolicki i na najmocniejszą jego podporę—zakon Lojoli. Reakcya na korzyść prawdziwéj religijności i dobrych obyczajów zamach niebezpieczny zniszczyła, przytłumiła zło, które się zagnieździło z różnowierstwem za Zygmunta Augusta i wstrzymala ruinę. Nie zgadza się Dzieduszycki z Lelewelem, żeby okres upadku rozpoczynał się od Zygmunta III; sądzi, że i za Władysława IV nie zeszła Polska ze szczytu. Dla czego właściwy upadek upatruje w czasach Jana Kazimierza, kiedy przecież za panowania tego króla tryumfował kościół przez wypędzenie aryan — odgadnąć trudno. Według Dzieduszyckiego, dla podźwignięcia rzeczypospolitéj trzeba było „spoić rozchwiane polskie społeczeństwo“, ku urzeczywistnieniu zaś tego należało się wytrwale trzymać programu pierwszego Wazy—różnowierstwo wytępić (1).

Nie obeszło się w historyografii i bez poglądów ultramontanizmowi przeciwnych: Adryan Krzyżanowski nieszczęścia wszystkie przypisuje jezuitom; Waleryan Krasiński i Józef Łukaszewicz zaród złego w upadku reformacyi dostrzegli. Ponad stanowisko polityczne i wyznaniowe wzniósł się „do najwyższych, jak sam zapewnia, sfer filozofii historyi powszechnéj“ i poszukiwał praw, według których rządzi światem Opatrzność, urzędnik austryacki, Antoni Walewski. Rościł pretensyę do zreformowania nauki historyi polskiéj, usiłował nowe dla niéj otworzyć tory.

Od stworzenia człowieka zaczęła się walka, która wypełniła całą historyę starożytną, średniowieczną i nowożytną; dziś się toczy i po nas trwać będzie,—walka spirytualizmu (duchowości) z materyalizmem (ze zmysłowością, zwierzęcością), ducha z ciałem, rozdwojenia i opozycyi z dążeniem do zgody, protestacyi z powagą. W zapasach dwóch przeciwnych światów oryent, reprezentant materya-

(1) Piotr Skarga i jego wiek. Kraków, 1850—51. Zbigniew Oleśnicki. Kraków, 1853—1854.

lizmu, zawsze uległ w końcu okcydentowi, przedstawiającemu duchowość. Niewątpliwą jest przewaga spirytualizmu nad materyalizmem, dobra nad grzechem, stworzyła bowiem w tym celu Opatrzność kościół, iżby czuwał nad ludzkością moralnie i utworzyła dla niéj władzę polityczną cesarza. Gdy z upadkiem państwa rzymskiego władza cesarska runęła, kościół ją przywrócił, żeby z nią razem przewodnikiem był królów narodowych i książąt.

Wiek X w pierwszéj połowie był burzącym, niszczącym; w drugiéj okazał się twórczym: przywrócił cesarstwo, papieży otoczył powagą, ludy pogańskie z chrześciaństwem połączył. Te dwa przeciwne charaktery stulecia, w którym Polska, potrzebną się stawszy Opatrzności wyprowadzoną została przez nią z ukrycia, odbiły piętno swoje na przyszłości narodu. Już przy kolebce śpiewano mu o zburzeniach i rewolucyach;—wspomnienia młodości utkwiły w jego pamięci, stąd, jak wiek X, w całym pochodzie swoim bywał burzliwym, do zmian nagłych, nie zaś do wytrwania w jednym kierunku pochopnym. Tę zasadniczą właściwość Polski, oprócz czasu powstania, tłómaczą i warunki geograficzne—urodzenie się jéj w otoczeniu narodów pół-dzikich, pozbawionych najistotniejszych ustaw, do utrzymania ładu koniecznych. Musiała, nie mając przykładów, stać się sama dla siebie wzorem i improwizować ustawy. Ponieważ improwizowane, nie na tradycyi oparte, potęgą czasu niewzmocnione ustawy muszą być słabe; brała przeto w Polsce górę społeczna i polityczna niesforność, prowadziła naród do upadku, zwłaszcza, że bezpieczeństwa nie było i zewnątrz.

Że zawiązek Polski był monarchiczny—wątpić nie można; cały przebieg dziejowy przypada do miary takiego początku. Radosne okrzyki, jakimi witano bajecznego Kraka i Leszka, w XI, XIV, XVII i XVIII stuleciu rozlegały się nieraz. Chociaż zasadą Polski była monarchia, odzywało się w niéj przecież i ciało słowiańskie, skłonne do zbytecznéj wolności, nawet do równości, a zatém walczące nieustannie z duchem. Kiedy w zapasach takich duch słabnie, ciało musi zamierać i państwo upada. Skoro na widok groźnego niebezpieczeństwa zdobywa się duch na wysilenia, zwycięża chorobliwe skłonności ciała i przywraca mu zdrowie,— dźwiga się jednocześnie i państwo. Spadła Polska z wysokości, na jakiéj ją postawili: Mieczysław I i Chrobry, gdy za Ryksy pogańskiém lodoborstwem oderwała się od chrześciańskiéj rzeczypospolitéj,—podniósł ją przy pomocy benedyktynów Kazimierz Wskrzesiciel. Przeciwny był jedności chrześciańskiej podział Krzywoustego, gnuśniała też Polska, żyła dla wojny domowéj, dopóki Łokietek dziedziczności władzy swojéj od wątpliwości nie zwolnil i nie otrzymał od papieża korony. Gdy syn jego

wielkie dzieło przywrócenia zasady dynastycznéj nadwyrężył, a siostrzan Kazimierza, Ludwik andegaweński, również nie miał potomka,—nie chciał naród pozostać bez rodziny panującéj i narzucił Jadwidze małżeństwo z Jagiełłą. Kiedy narodowi monarcha nierozważny, słaby Zygmunt August, dynastyę odebrał,— zdołała rzeczpospolita znaleść Jagiellończyka po kądzieli. Zygmunt III był restauratorem, plemię jego panowało bez przerwy i ocaliło Polskę od najazdu Karola Gustawa. Ratowała więc ciągle naród lojalność. Wtenczas dopiero, gdy mu zabrakło głównego warunku zdrowia — dynastyi dziedzicznéj; gdy nawet z ceremonialnym objawem lojalności zerwał i po skonie Jana III synów jego w elekcyi pominął, — musiał upadać.

„Więc przez cały żywot podczas niepodległości żył naród świetnie jedynie pod warunkiem i w miarę okazywanéj lojalności swoim królom. Rozbiory, które mu obcych królów nadały, nie zmieniły tego stosunku, opartego zdawna na jestestwie i duchu narodu polskiego. Król Polaków niepolskiego pochodzenia nie przestaje być królem polskim; Polakom najmniéj przystoi pytać swego monarchę o narodowość, skoro sami wybierali Francuza, Litwina, a potém wybierali znów Francuzów, Węgrów, Szwedów, Niemców, Moskwę, a nawet Prusak głosy elektorów za sobą miewał. Gdy naród powitał radosnymi okrzykami Pawła I, działo się dobrze Litwie i Rusi. Gdy otaczał lojalnością wskrzesiciela i jego następcę cesarza Mikołaja, był naród, mimo rozbiory, jeszcze znakomitym. A gdy zbiegiem błędów, przestępstw i wypadków osądziła mniejszość narodu lojalność dla Mikołaja I za bezpotrzebną, nastąpiły okropności. Znów się tulił do Aleksandra II i doznawał łask monarchicznych, ale gdy nowym buntem, najbrzydszym ze wszystkich poprzednich, odwrócił się od swego króla, ujrzał cmentarz w miejscu niedawno temu kwitnącego, między wszystkimi polskimi najszczęśliwszego kraju. Słowem, bez uszanowania króla był jedynie zbiorem barbarzyńców, jak przed Mieczysławem I; o téj epoce nic nie spomina historya, bo cóż powie o barbarzyńcach? W czasie ostatniego powstania wpadł znowu w barbaryę, a to najgłębszą barbaryę; historya pewnie o téj epoce niczego napisać nie zdoła.... Naród utracił byt polityczny, ale narodowy byt utrzymać mają powinność Polacy, a jedynie przez pracę, naukę i wierność dla kościoła utrzymać go mogą. A przecież niezbędnym warunkiem pracy, nauki i spełniania obowiązków wiary jest lojalność, jako podstawa domowego bezpieczeństwa i pomocy rządowéj. Wreszcie, Polacy nie zachowają narodowości, jeżeli jéj główną cechę postradają, a tą cechą, właściwością, przez którą się naród polski od wielu innych, mianowicie od

wschodnich różnił i różni, była lojalność, zasada, streszczająca całe dzieje narodu polskiego... Opozycya Polaków, nawet do anarchii prowadząca, nie zapominała nigdy o świętobliwości krwi bożego namazańca; Jan Zamojski, Maksymilian Fredro i tylu innych nie byli zdrajcami króla, jeno na sprawę publiczną fałszywie się zapatrywali. Ileż to namiętnych, rozognionych buntowników padało do nóg królów, błagając z płaczem i ze szczerym żalem o przebaczenie za obrazę majestatu? Zaprawdę, byliby szczęśliwymi królowie, gdyby narody, którym panują, miały wszystkie błędy, lecz oraz wszystkie dobre własności polskiego... Stąd doznawał i doznaje naród polski wiele względów od monarchów, nawet od tych, którzy mu krzywdę w wieku XVIII uczynili... Jeżeli Polacy będą, jak dotąd, po zgubnym roku 1863 wypełniali powinności wobec monarchów, pewnie nie zapomną monarchowie o prawach nietylko z jego własnéj winy pokrzywdzonego narodu. A lojalność przychodzi Polakowi tak łatwo, jak język, skoro stanowi cechę jego jestestwa i jego właściwości. Zatém sam patryotyzm polski domaga się lojalności; zerwanie z nią byłoby zerwaniem z przeszłością i z narodowością samą... Zerwanie z prawowitością byłoby dla narodu polskiego samobójstwem. Łącząc się z dzikim chórem europejskiéj rewolucyi, byłby tylko cyfrą dla rachunku liberałów; najprzód ich narzędziem, a potém ofiarą" (1).

IV.

Ruch naukowy, wywołany przez otwarcie w uniwersytetach katedr historyi i założenie Akademii umiejętności w Krakowie. Młode siły naukowe w Warszawie, we Lwowie i Krakowie. Praca dziejopisarska płodzi liczne monografie, zwraca się zaś głównie ku zbadaniu stosunków Polski wewnętrznych. Nowe światło rzucają na czasy przedhistoryczne: Wojciechowski, Sadowski, Sokołowski; na ustrój Polski pierwotnéj Piekosiński, Smolka, Bobrzyński, Małecki. Smolka ogarnia wiek XII, Hube modyfikuje pogląd Helcla na ustawodawstwo Kazimierza W. Dzieje parlamentaryzmu wyświeca Bobrzyński, stan skarbowości za Batorego Pawiński, czasy Stanisława Augusta Kalinka i Korzon.

Wszyscy historycy, od Naruszewicza począwszy, skończywszy na cynicznym Walewskim, przyczynę upadku Polski przypisują anarchii. Zgoda w skonstatowaniu tego faktu panuje zupełna, różnice

---

(1) Filozofia dziejów polskich i metoda ich badania. Kraków, 1875. Dumanie Polaka nad pięcioletniemi (1655—60) dziejami narodu i ich bezpośredniemi (roku 1661) wynikami (*Przegląd polski* z roku 1872, t. IV). Halucynacye Walewskiego ocenił Henryk Schmitt w książce: *Rozbiór krytyczny pomysłów historyozoficznych i odkryć dziejowych pana...* Lwów, 1875.

leżą w przedstawieniu przyczyn bezrządu. Naruszewicz z epigonami źródło anarchii znajduje w słabości rządu, będącéj następstwem zbytniego ograniczenia władzy królewskiéj. Lelewel z naśladowcami przypisuje bezrząd królom, magnatom i szlachcie, że pierwsi zaszczepiali przeciwne powołaniu narodu pierwiastki cudzoziemskie, ostatnia zaś nie chciała zrealizować ideału równości powszechnéj i wolności. Wróblewski zwala odpowiedzialność na królów i magnatów, że nie rezygnowali ze swych pretensyi na rzecz wszechwładztwa szlachty. Hoffman ma żal do szlachty, że się nie chciała władzą podzielić z narodem lub królem. Dzieduszycki widzi źródło anarchii w sprzeniewierzeniu się katolicyzmowi, Krasiński i Łukaszewicz w klęsce reformacyi, Krzyżanowski w gospodarce jezuitów, Walewski w upadku lojalności. Teorye upadku rzeczypospolitéj snuli pisarze z wyznawanych przez siebie doktryn, jakie płodził duch czasu. Posiadał każdy model polityczny, według którego pragnął ukształtować odbudowywaną w marzeniach czy w czynnych porywach Polskę; nie poprzestając na aspiracyach, skierowanych ku celom praktycznym, skalą ideału swego mierzył jednocześnie i przeszłość. Historyę bowiem pojmowano jako mistrzynią życia, zawsze poczytywano przeszłość za arsenał ku zaopatrzeniu w dogodny do walki o chwilę bieżącą oręż. W miarę komplikowania się stosunków życiowych mnożyła się i liczba ideałów politycznych, uwydatniała się też niejednozgodność w poglądzie na przeszłość. Wyparci z kraju uczestnicy wypadków r. 1831 dużo w stosunkach zachodnich do ściślejszego zdefiniowania swych doktryn znaleźli podniet.

Nie każda przecież doktryna jednakową znalazła liczbę wyznawców, nie każda w zastosowaniu do historyi stworzyła szkołę. Idea monarchiczna miała na emigracyi zorganizowane, grupujące się około Adama Czartoryskiego stronnictwo; znajdowała uzasadnienie w czasopismach (*Kronika emigracyi polskiéj*, 1834—39. *Trzeci Maj*, 1839—1848) i w założoném w Paryżu Towarzystwie historyczno literackiém, a przez takich popierana była w nauce rzeczników, jak pokrewny Hoffmanowi Waleryan Kalinka i Karol Sienkiewicz; jezuitom i legitymistom brakło gruntu trwalszego, — teorya Dzieduszyckiego niewielu, Walewskiego prozelitów w nauce nie wytworzyła wcale. Najpopularniejszą była doktryna Lelewelowska, zwłaszcza wzmodyfikowanéj postaci, którą w *Słowie dziejów Polski* wyraził Wróblewski. Opiewana przez poetów, propagowana przez publicystów, stała się niemal pacierzem opinii, a tém większéj nabrała mocy, że rzeczników znachodziła w filozofii i w nauce prawa. Maciejowski w badaniach nad historyą prawodawstw, odkrywając u Słowian starożyt-

nych „wiele mądrego i do nowszych nawet czasów przydatnego wątku“, teoryi Lelewelowskiéj o doskonałości praojców nowy, pansławistyczny nadał zakrój. Myśliciele, jak Trentowski i Tyszyński, widzieli w Słowianach powołanie do stworzenia filozoficznéj syntezy ze skrajnych romanizmu i germanizmu kierunków.

Powiódł za sobą Lelewel tłumy, chociaż pod względem metody badania i formy adepci jego miary są różnéj,— niektórzy ze współcześników, jak Szajnocha, który przyswoił sobie technikę Macaulaya i Thierry'ego, Morawski, moralizowaniem w sześciotomowych *Dziejach narodu polskiego* (1870—72) przypominający Szlossera, stanowiska zajęli odrębne. Dla braku w kraju katedry historyi polskiéj okazała się trudność wykształcenia zastępu pracowników, rozporządzających jednolitymi w badaniu środkami i mających ściśle określony cel pracy,—niemożliwem było powstanie szkoły we właściwem tego słowa znaczeniu. Rekrutowali się uprawiacze dziejów przeważnie z autodydaktów; przyswajali sobie chaotyczność mistrza i lekceważenie konstrukcyi, nie wynagradzając wadliwości niezaprzeczonemi zaletami jego, jak intuicya w dociekaniu i lotność. Oprócz ogarniających całość dziejów, jak Moraczewski, Schmitt i Wróblewski, większość, nie wyjmując Maciejowskiego i Wiszniewskiego, stanowiła antykwaryuszów, skrzętnie gromadzących dawnych czasów pamiątki bez systematu i wątku. We Lwowie grupowali się około *Biblioteki naukowego zakładu imienia Ossolińskich*, redagowanéj (od r. 1828) przez Siarczyńskiego, Słotwińskiego, Kłodzińskiego i Pola, a od r. 1862 przez Augusta Bielowskiego; w Krakowie około *Rocznika Towarzystwa naukowego* (1817 — 71), w zaborze pruskim około *Roczników Towarzystwa przyjaciół nauk poznańskiego* (1860 — 69), w Warszawie około *Biblioteki warszawskiéj* (od r. 1841),— większość ze wszystkich stron Polski jednoczyła się przez czas pewien około 28 tomowéj *Encyklopedyi powszechnéj* Orgelbranda (1859—68). Niezaprzeczone przez skrzętność w poszukiwaniach położyli dla nauki zasługi: Baliński Michał z Lipińskim jako badacze geografii dawnéj Polski, Jaroszewicz, Kraszewski i Stadnicki Kazimierz przez śledzenie dziejów litewskich, Kozłowski Mazowsza, Mecherzyński i Wejnert organizacyi miast, Łukaszewicz historyi dysydentów, Sobieszczański i Rastawiecki sztuk pięknych, Przeździecki Aleksander, Baliński Karol i dwaj Gołębiowscy czasów jagiellońskich, Romanowski stosunków kościelnych, Wegner ostatnich lat rzeczypospolitéj, Jocher jako bibliograf. Różnych momentów przeszłości dotykał niesłychanéj pracowitości, źródłowy, a nienajgorszy w konstrukcyi Bartoszewicz, celujący głównie jako biograf.

Zebrali epigonowie Lelewela ogrom materyału w monografiach, nie zaniedbali i wydawnictwa źródeł. Grabowski Ambroży, Wójcicki, Wiszniewski, Raczyński Edward, Kraszewski, Bartoszewicz, Balińscy Michał i Karol, Przeździecki, Nowakowski, Broel Plater, Koźmian Andrzej Edward, ks. Sadok Barącz, Szczęsny Morawski, Mosbach, Jarochowski, Żegota Pauli, Przyłęcki, Tyszkiewicz Eustachy, Batowski, Podgórski August, Piotrowski Eligi—ogłaszali przeważnie do ostatnich wieków rzeczypospolitéj pamiętniki, listy, akta, rachunki, dyaryusze itp. Czynili to przygodnie, niesystematycznie i niedość umiejętnie; niektórzy, jak Raczyński Edward, opuszczali z tekstu pomników nielicujące z ich przekonaniami ustępy. Dalecy byli od wykonania programu, nakreślonego przez Kołłątaja w r. 1802; gdyby nawet dopisywały niezbędne do takiéj pracy wiadomości techniczne, dla uskutecznienia jéj brakło im organizacyi, która wyjść mogła tylko z instytucyi naukowéj; brak było i środków. Z powodu małéj zasobności Towarzystwa naukowego krakowskiego i Towarzystwa przyjaciół nauk poznańskiego (założonego zresztą dopiero w r. 1859), chwytały za sztandar nauki jednostki, usiłujące dla dziejów Polski dokonać, co robiły za granicą uniwersytety i akademie, popierane przez rządy. Raczyński Edward ogłasza *Codex diplomaticus Majoris Poloniae* (1840) i *Codex diplomaticus Lithuaniae* (1845); Muczkowski, Rzyszczewski i Bartoszewicz *Codex diplomaticus Poloniae* (1847—58); Działyński Tytus *Acta Tomiciana* (1852—60), *Lites ac res gestae inter Polonos, Ordinemque Cruciferorum* (1855—56) i *Źródłopisma do dziejów unii* (1856); Hube *Antiquissimae constitutiones synodales provinciae gnesnensis* (1856), Helcel *Starodawne prawa polskiego pomniki* (1856, 1870), Krupowicz *Zbiór dyplomatów do dziejów Litwy* (1858), Daniłowicz *Skarbiec dyplomatów* (1860—62), Lubomirski *Kodeks dyplomatyczny księstwa mazowieckiego* (1863), wreszcie Bielowski *Monumenta Poloniae historica* (1864). Przysparzali materyału i cudzoziemcy: Stenzel, Grünhagen, Hirsch, Toeppen i Strehlke, Frantzen, Voelky, Voigt, Perlbach, Bunge, Hasselbach i Kosegarten—wydawcy kronik i dyplomataryuszów do dziejów Śląska, Prus, Warmii, Inflant, Kurlandyi, Pomorza; dopomogli nauce naszéj i autorowie opracowań: Roepell, Ferrand, Smitt, Raumer i Janssen.

Nowy impuls nauce dziejów dało otwarcie Szkoły głównéj warszawskiéj (1862), ufundowanie katedry historyi polskiéj w uniwersytecie jagiellońskim (1869) i lwowskim (1882); najdonioślejsze zaś miało znaczenie przekształcenie w r. 1872 Towarzystwa naukowego krakowskiego na Akademię umiejętności. Instytucya ta, skupiwszy około siebie siły, wyrobione w uniwersytetach niemieckich, dzięki energii sekretarza a zarazem profesora na katedrze historyi polskiéj,

Szujskiego, w krótkim stosunkowo czasie wielkich na polu wydawnictwa materyałów potrafiła dokonać rzeczy. I. *Pomniki dziejowe wieków średnich* (*Monumenta medii aevi*) zawierają: kodeks dyplomatyczny katedry krakowskiéj św. Wacława, kodeks listów z XV stulecia, kodeks dyplomatyczny małopolski, najstarsze księgi i rachunki miasta Krakowa, kodeks dyplomatyczny miasta Krakowa, *Codex pistolaris Vitoldi*. II. *Pisarze dziejów polskich* (*Scriptores rerum polonicarum*): dyaryusze sejmów koronnych r. 1548, 1553 i 1570, kroniki Bernarda Wapowskiego część ostatnią, Stefana Franciszka z Prószcza Medekszy księgę pamiętniczą, listy Zbaraskiego, Wielewickiego dziennik spraw domu zakonnego OO. jezuitów. III. Objęte po Helclu *Starodawne prawa polskiego pomniki*: statut Taszyckiego (1532 r.), dzieła statystów z XV wieku, *Acta expeditionum bellicalium* (1497 i 1498), materyały do historyi procesu sądowego itp. Oprócz powyższych ogłosiła Akademia: IV. *Monumenta comitiorum Regni Poloniae* (dyaryusze sejmów warszawskich z r. 1672, 1673, 1674), V. *Acta Poloniae historica*, VI. *Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce*, VII. *Sprawozdania komisyi do badania historyi sztuki w Polsce*, VIII. *Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału historyczno-filozoficznego*; wzięła też na siebie i nakład dalszych tomów Bielowskiego *Pomników* w opracowaniu uczonych lwowskich. Najżywszą około wielkich wydawnictw czynność rozwinęli: Piekosiński, Bobrzyński, Zakrzewski, Smolka, Prochaska, Szujski, Waliszewski, Kluczycki, Wisłocki. We Lwowie profesor Liske ogłasza z fundacyi Stadnickiego *Akta grodzkie i ziemskie* z *czasów rzeczypospolitéj polskiéj* z *archiwum tak zwanego bernardyńskiego*, Hirschberg *Zbiór pamiętników do historyi powstania polskiego r. 1830—31*. W Poznaniu staraniem Towarzystwa przyjaciół nauk wyszedł *Codex diplomaticus Majoris Poloniae*, w opracowaniu ks. Korytkowskiego *Liber beneficiorum archidyecezyi gnieźnieńskiéj*, nakładem Żupańskiego *Pamiętniki* z *XVIII wieku*, *Historya powstania listopadowego* Barzykowskiego itp. W Warszawie nakładem biblioteki ordynacyi Krasińskich *Muzeum Konstantego Świdzińskiego*, zabiegami Pawińskiego i Jabłonowskiego kilkanaście tomów *Źródeł dziejowych* i *Pamiętniki* Matuszewicza, staraniem Lubomirskiego *Zapiski ziemi czerskiéj*, Wierzbowskiego: *Krzysztofa Warszewickiego niewydane pisma* i *Uchańsciana*. Krzątają się we Włocławku nad publikacyą uchwał synodów polskich bracia Chodyńscy, Parczewski z Kalisza rozpoczął na własną rękę wydawnictwo *Analectów wielkopolskich*. W celu nadania wydawnictwom jednolitości pod względem metody, napisał Wincenty Zakrzewski dla dokumentów z wieku XVI instrukcyę; Akademia umiejętności wysyła uczonych dla poszukiwań archiwalnych za granicę i rezultaty ogłasza drukiem; dla oryentowa-

nia się w dotychczasowym dorobku piśmiennym narodu podjęła nakład pomnikowéj *Bibliografii* Estrejchera i *Katalogu rękopisów biblioteki uniwersytetu jagiellońskiego*, który sporządził Wisłocki. Kętrzyński ogłasza *Katalog rękopisów biblioteki zakładu narodowego imienia Ossolińskich*, a Kurzmann z Sosnowskim księgozbioru Raczyńskich w Poznaniu, Estrejcher wydał *Zestawienie przedmiotów zawartych w 136 tomach Biblioteki Warszawskiéj*, Polkowski *Skorowidz do Pamiętnika religijno-moralnego*, wydawanego w Warszawie od r. 1841 do 1862; redakcye: *Tygodnika illustrowanego i Kłosów* spis artykułów swoich wydawnictw.

Tak obfitemu gromadzeniu materyału historycznego towarzyszyła przemiana pojęć, wywołana po wstrząśnieniu r. 1863 przez względy lokalne, a regulowana wpływem nauki zachodniéj. Przemiana owa dotyczyła zarówno ideałów społecznych, jak i poglądów filozoficznych, zaznaczyła ją zaś około r. 1866 młodzież, kształcąca się w Szkole głównéj warszawskiéj. W miejsce filozoficznego idealizmu Kremera, Libelta i Cieszkowskiego przyswajała sobie—prawda, że nie z pierwszéj ręki—poglądy Comte'a, Taine'a i teoryę Darwina; zrywała z ciasnotą katolicyzmu i szlachetczyzny, sztandar wolnomyślności i demokratyzmu podnosząc wysoko. W miejsce praktykowanych dotychczas porywów, w których ojcowie tyle bezskutecznie stargali sił, stawiała program pracy organicznéj; propagowała swobodę badania naukowego, wojnę wypowiedziała powagom. Na nieszczęście, z wyjątkiem lektorów: Przyborowskiego i Kwiet'a († 1865), którzy przez stosowanie metody umiejętnéj do językoznawstwa budowali w słuchaczach zapał i takich wykształcili uczniów, jak Baudoin de Courtenay, Malinowski i Kryński, profesorowie wydziału filologicznego Szkoły głównéj wobec budzących się śród młodzieży kierunków pozycyę zajęli obojętną lub wrogą. Z filozofów i historyków jedni nie dorośli do wysokości katedr, drudzy gasili zapał wstecznictwem. Wykształcony w uniwersytetach niemieckich Plebański żadnego zgoła nie wywarł wpływu,—jedna, o ile wiemy, wyszła z jego seminaryum historycznego rozprawka Goldberga (1). Słuchał wykładów jego Ernest Sulimczyk Swieżawski, ten przecież najsłabsze chyba odziedziczył po mistrzu strony, pomijając bowiem ekscentryczność poglądów, pod względem metodycznym stanowi wraz z Zygmuntem Komarnickim w rozwoju chaotyczności epigonów Lelewela etap ostatni. Następcy Plebańskiego. prof. Pawińskiemu, nie szczęści się również,—uzdolniony wydawca źródeł, Teodor Wierzbowski, uczniem jego jedynym. Większą liczbę pracowników wykształcił

(1) *Zwanzig Jahre aus der Regierung Sigismund's*, I. Lipsk, 1870.

fakultet prawny; jurystą jest Kraushar, Parczewski, Rembowski i autor *Dawnego mazowieckiego prawa* (1880), Dunin. Zresztą warunki w jakich się znajduje Warszawa, żadnéj pracy naukowéj w ogóle, a w szczególności badaniu przeszłości sprzyjać nie mogą.

W szczęśliwszém się znalazła położeniu młodzież wszechnicy lwowskiéj. Powołany został w r. 1869 do Lwowa przez Wydział krajowy galicyjski do wydawania aktów grodzkich i ziemskich młody wychowaniec uniwersytetów niemieckich, uczeń sławnego paleografa berlińskiego Jaffé'go, Ksawery Liske. Mianowany w r. 1871 profesorem nadzwyczajnym historyi, w uorganizowaném przez siebie seminaryum żywą a płodną rozwinął czynność. Pełen zapału dla nauki, a życzliwie usposobiony dla żądnéj wiedzy młodzieży, w seminaryum swojém w krótkim stosunkowo czasie mnóstwo różnego uzdolnienia wykształcił fachowców. Stanowi to szczególną, a dodatnią cechę Liskego, że nie gardzi umysłami słabszymi, że, rodzaj i zakres zajęć uczniów stosując do ich zdolności, każdy stopień inteligencyi umie dla nauki wyzyskać. Ograniczają się słabsi na umiejętności czytania i robienia kwerend, na układaniu itinerariów lub regestrowania dyplomatów; lotniejsi uprawiają subtelną analizę pomników, wnikają w treść rzeczy, dochodzą do uogólnień i wniosków. Badania swoje zamykają uczniowie Liskego w zakresach szczupłych, prowadzą je zaś drobiazgowo, z pedantyzmem niemieckim. Unikanie widoków rozleglejszych, niezawsze usprawiedliwiona donioslością przedmiotu drobiazgowość w badaniu pozbawia ich prace żywotności, a czyni je często oschłemi. Robią one wrażenie takie, jakby autorom chodziło bardziéj o erudycyę, niż o rzecz samą; więcéj o zamanifestowanie uzdolnienia technicznego, niż o zgruntowanie przedmiotu. Szczupłość zakresu badań ogranicza rozległość poglądu i z konieczności powstrzymuje autorów od rewolucyjnych w dziedzinie historyozofii zawichrzeń. Cieszą się też młodzi uczeni lwowscy opinią prawomyślności,—o ile wiemy, pod zarzutem istotnéj czy wrzekoméj tendencyjności nie stanął z nich żaden. Bądź co bądź, pod względem ilościowym i jakościowym zastęp uczniów Liskego budzi zdumienie: Smolka, Hirschberg, Lucas, Maurer, Papée, Balzer, Czermak, Finkel, Prochaska, Kwiatkowski, Lorkiewicz, Semkowicz, Kalitowski, Błażowski, Bostel, Górski—to tylko główniejsi. Smolka zajął po Szujskim katedrę dziejów polskich w Krakowie, Semkowicz i Finkel są docentami historyi powszechnéj we Lwowie. Największemi się zdolnościami odznaczał zmarły przedwcześnie (1882 r.) „genialny", według słów mistrza, Stanisław Lucas, po którym nabyła biblioteka Ossolińskich 44 tomy odnoszących się do wieku XVII wypisów z archiwów: ministeryum spraw zagranicznych w Paryżu i ksią-

żąt orleańskich w Chantilly. Tak zwane „teki Lucasa“ wyzyskuje obecnie Kubala i Czermak.

Słabą była działalność pedagogiczna Szujskiego: obiecujący Mikrot umarł przedwcześnie, pozostali: Sutowicz, Kisielewski i Leniek. Seminaryum Bobrzyńskiego wydało zdolnego historyka—prawnika, Ulanowskiego; ze szkoły Smolki wyszedł Stefczyk i Grossé.

Ilościowa przecież produkcyjność młodszych wychowańców seminaryów jest słabą; niektórzy w szczupłych rozprawkach szkolnych lub przez współudział przy wydawnictwie trzeciego tomu *Monumentów* Bielowskiego ujawnili jedynie uzdolnienie do badań. Nagromadzony przez szkołę Lelewelowską, a w czasach ostatnich przez instytucye naukowe i siły prywatne materyał zużytkowywali w monografiach, oprócz wymienionych wyżéj wydawców, przeważnie uczeni starsi: we Lwowie Małecki, Wojciechowski, Szaraniewicz, Hirschberg i dwaj naśladowcy Szajnochy: Kalicki i Kubala; w Krakowie Kalinka, Zakrzewski, Lewicki, August i Maryan Sokołowscy, Sadowski; w Poznaniu Jarochowski i Kantecki, w Warszawie Hube, Łaguna i Korzon. Dotknęli wszystkich niemal stron przeszłości, niezaniedbując krytycznego zbadania źródeł. Zainaugurowana przez Zeissberga (1) analiza pomników piśmiennych średniowiecznych zajęła najlepsze siły uczonych lwowskich: skryptor biblioteki uniwersyteckiéj, obecnie profesor na katedrze historyi, Tadeusz Wojciechowski ocenił roczniki polskie X—XV wieku; Semkowicz rozebrał Długosza, Lucas podługoszową część kroniki Wapowskiego, Hirschberg dzieła Justa Ludwika Decyusza, Finkel Kromera.

Najpilniejszą stosunkowo obudziły uwagę i najdzielniejsze pociągnęły ku sobie siły czasy Słowiańszczyzny i Polski pierwotnéj. W badaniu czasów przedhistorycznych najwalniejsze położyli zasługi: Wojciechowski, Sadowski i Maryan Sokołowski; w dociekaniach nad organizacyą Polski Chrobrowéj Małecki, Piekosiński, Bobrzyński i Smolka.

Że „główne błędy, które najmocniéj wstrzymywały postęp badań starożytności, nie pochodzą tyle z braku wiadomości lub sumienności krytycznéj, ile z braku właściwéj metody,“—rozwinął i spożytkował Wojciechowski zapomniany Jana Potockiego sposób śledzenia odwrotny, a to dla rozwiązania kwestyi: „czy i jak daleko wstecz można dowieść jedności etnograficznéj dzisiejszych mieszkańców Chrobacyi z innymi narodami, o których mamy wiadomość, że dawniéj mieszkały w tym kraju.“ Za podstawę badania wziął fakty lingwistyczne, tj. znalezione w spisie urzędowym z r. 1676 nazwy miej-

(1) Dziejopisarstwo polskie wieków średnich. Warszawa, 1877.

scowości: przez wydobycie z każdéj dziejów pojedynczéj osady zamierzył osiągnąć historyę pierwotną całego kraju. Każda grupa nazw miejscowych wyraża pewien wypadek dziejowy, mianowicie sposób zajęcia ziemi. Grup takich znalazł Wojciechowski pięć. Pierwszą stanowią nazwy miejscowe, oznaczające jakąś właściwość topo- lub geograficzną, np. wysokie, zagórze; wyrażające pracę ludzką: poręba, rudka; mieszkańców, określając ich nie imieniem osobowem, lecz topograficznem: morawiany, dębiany. Do drugiéj grupy należą nazwy, zakończone sposobem patronymicznym na *ice*: krzesławice, myślenice; do trzeciéj oznaczające własność osobistą bez względu na to, czy przedmiotem posiadania była ziemia czy ludzie: dalechów, dalechowy; do czwartéj nazwy ludzi, zajętych jakąś służbą gospodarczą lub przemysłową: kuchary, skotniki; do piątéj nazwy, które są również imionami osobowemi, ale nie wyrażają związku rodzinnego, ani stosunku służbowego, lecz wymieniają wprost mieszkańców miejscowych z imienia lub przezwiska: kruki, facimiechy. Na podstawie dokumentów z XII i XIII wieku autor dowodzi istnienia wsi szlacheckich i zakończonych patronymicznie osad chłopskich książęcych. Nazwa osady odpowiadała na pytanie: kto tam mieszka? (krzesławice, myślenice); nazwa wsi na pytanie: czyja? (pomianowa), albo czyj dwór? (zębocin). Aż do połowy wieku XIII żaden szlachcic nie posiadał w swoim majątku ziemi, mającéj nazwę patronymiczną, t. j. nie władał chłopską osadą. Oprócz osad i wsi istniały kolonie służebne, wojskowe i przysiołki, odpowiadające grupom nazw: pierwszéj, czwartéj i piątéj. Nazwy osad chłopskich są dawniejsze, niż wsi i przysiołków; tamtych więcéj było pierwotnie, niż drugich. Osadnictwo, wyrażone nazwami patronymicznemi, było najstarszém i zupełnie odrębném od czterech innych kierunków, a mianowicie od wsi szlacheckich. Przez porównanie ze stosunkami Słowiańszczyzny zachodniéj przychodzi Wojciechowski do wniosku, że najstarsza forma osiedlenia się przypada na stulecie II, a w V wieku poczęła się wytwarzać własność szlachecka. A więc już w czasach Ptolomeusza Słowianie niezaprzeczenie mieszkali nad Wisłą (1).

Gdy Wojciechowski udowodnia autochtonizm, podaje dzieje osadnictwa i kreśli w ogólnych zarysach ustrój społeczny Słowian,— Jan Nep. Sadowski w dziele: *Drogi handlowe greckie i rzymskie przez porzecza Odry, Wisły, Dniepru i Niemna do wybrzeży morza baltyckiego* przedstawia stosunki praojców w czasach przedhistorycznych z ucywilizowanymi narodami południa. Za podstawę wykazania arteryi handlowych ludów południowych ku Baltykowi przyjmuje: 1) do-

(1) Chrobacya. Kraków, 1873.

stępność drogi ze względu na fizyograficzne własności gruntu; 2) odkrycie na niéj zabytków; 3) zgodność kierunku drogi ze świadectwami pisarzy starożytnych; 4) zbieg warunków ekonomiczno-handlowych, od których zależy wybór kierunku. Opisawszy suche przesmyki między moczarami i obejścia puszcz, zakreśla autor drogi, któremi kupcy przez Czechy, od Moraw i ze strony zachodniéj nad Wartę i ku ujściu Wisły, a ze wschodu Dnieprem, Prypecią, Jasiołdą, Szczarą i Niemnem przybywali nad Narew po bursztyn. Maryan Sokołowski spostrzeżenia nad budownictwem w czasach przedchrześciańskich przedstawił w rozprawie: *Ruiny na ostrowie jeziora Lednicy*, a doszedł do wniosku, że pogańscy praojcowie nie znali sztuki wiązania mocnych i systematycznych murów; że nawet w X i XI wieku nie było u nas budynków świeckich kamiennych. Dopiero w XII wieku mogły się pojawiać co najwięcéj mury wokoło grodów, w XIII wieże, a w miejscowościach wyjątkowych zamki; w XIV zaledwie stuleciu jednocześnie z silniejszym, społecznym i politycznym rozwojem zaczęło się budownictwo drewniane powszechniéj na kamienne zamieniać. Sadowski i Sokołowski pierwsi usiłowali zużytkować umiejętnie materyał archeologiczny, w którego gromadzeniu niepoślednie położyli zasługi: Przyborowski Józef, Kopernicki, Ossowski, Zawisza, Kirkor i inni.

Ustrój wewnętrzny Polski pierwotnéj wywołał z powodu szczupłości odnośnych źródeł tyle przeczących sobie hipotez, że, ze względu na małe prawdopodobieństwo odkrycia materyałów obfitszych, do ujednostajnienia poglądu chyba nie przyjdzie. Czy Polska, jako państwo, powstała przez najazd, czy skutkiem działania przyczyn wewnętrznych, lokalnych; czy w pierwotnym ustroju przeważającą była własność osobista, czy też tylko istniała wspólna,— są to pytania zasadnicze, których nie zdołano pozytywnie rozwiązać. Kwestya natury własności taką samą w najnowszych badaniach stanowi zagadkę, jak i sprawa powstania państwa. Nawet niepodnoszona od czasów Szajnochy teorya najazdu nowego znalazła rzecznika w osobie Franciszka Piekosińskiego, autora rozprawy *O powstaniu społeczeństwa polskiego w wiekach średnich i jego pierwotnym ustroju.* Wśród dzierżaw słowiańskiego świata,— powiada — na obszarach pomiędzy Odrą, Wartą, Notecią i Wisłą mieszkał w ósmem stuleciu szczep lechicki, oddany rolnictwu, pasterstwu, pszczelnictwu, łowiectwu i rybołóstwu. Dzielił się na dwie klasy społeczne: jedna, oddana głównie uprawie roli, żyła w osadach zbiorowych; druga zakładała sadyby na większych obszarach, osobno. Osady pierwszéj nosiły nazwę od założyciela i protoplasty rodu, np. od Bolecha-Bolechowice, od Sulecha-Sulechowice; sadyby drugiéj brały nazwę również

od właściciela, lecz przymiotnikową, np. od Bolecha-Bolechowa. od Sulecha-Sulechowa. Ludność klas obu osobiście wolną była; zajęte przez siebie ziemie posiadała na własność. Prawdopodobnie pod koniec wieku ósmego pomiędzy Odrą i Wartą zjawia się obca drużyna wojenna, która śród autochtonicznéj ludności olbrzymi zrobiła przewrót. U ujścia Łaby przez długie wieki mieszkał inny szczep lechicki, który od sąsiednich Normandów przejął rycerskość i skandynawską kulturę; on to, party orężem sąsiednich Sasów, czy wyprawami Karola W., siedziby swoje musiał opuścić i wyruszył na wschód. Pod wodzą najdzielniejszych z książąt—Popielów, przekroczył Odrę, osiadł nad brzegami Warty w okolicach Poznania i Gniezna, a ludność miejscową ujarzmił. Liczebnie słabszy, nie rozpraszał się szczep ten po kraju, lecz dźwigał grody i w nich osadzał rycerstwo; część autochtonów, mianowicie ową ludność, w osobnych mieszkającą sadybach, wcielał do swoich drużyn; drugą pod grodami lokował, to kazał jéj różne ku wyżywieniu załóg rycerskich i dworu książęcego wypełniać służby. Skutkiem zaboru, wódz naczelny przybyszów stał się wyłącznym właścicielem podbitych obszarów i panem wszystkiéj ludności. Autochtonowie zamienieni zostali przez zwycięzców na ludność niewolną, przeszli pod wyłączną dyspozycyę zaborcy. Zwycięzcy przez nieustanne wyprawy ciągle rozszerzali granice swoich nabytków; Bolesław Chrobry, książę z dynastyi Piastów, która miejsce Popielów zajęła, zaborczość do najwyższego posunął stopnia. Powstałe w ten sposób państwo potężne stało się przytułkiem dla gnębionych przez Niemców Słowian z pomiędzy Odry i Łaby, dla licznych książątek, wyzutych z siedzib, dla tułających się wreszcie normandzkich konungów. I uformowały się w dobie Bolesława Chrobrego trzy grupy społeczne: 1) klasa poddańcza czyli niewolna z autochtonów, z jeńców wojennych, osadzonych na roli, z włościan obcokrajowych i z niewolników złożona; 2) klasa rycerstwa pospolitego, czyli szeregowego z przybyszów z nad Łaby i z przedniejszych (owych właścicieli sadyb osobnych) autochtonów powstała; 3) klasa rycerstwa przedniejszego czyli znakowego, pochodząca od udzielnych niegdyś książątek, którzy pod wodzą Popielów przybyli nad Wartę i Wisłę lub od owych rycerzów, którzy na dworze Piastów szukali gościny. Pierwsza grupa siedziała na roli i składała na rzecz księcia daniny; druga, jako jednolita drużyna rycerska, stanowiła obronę monarchii; z trzeciéj rekrutowali się dowódzcy pospolitego rycerstwa, naczelnicy prowincyi i grodów. Sądownictwo nad klasą poddańczą pełnili komesowie grodowi i prowincyonalni lub ich zastępcy; nad rycerstwem szeregowem ciż sami zastępcy lub dowódzcy wojenni; nad rycerstwem znakowem, przebywającém stale

na dworze, jurysdykcyę pełnił monarcha. Tylko klasa poddańcza, jako wyłącznie pracująca na roli, obowiązaną była do służb książęcych i danin; wolne było od nich nieposiadające ziemi rycerstwo szeregowe, na którém ciążyła jedynie wojskowość.

Władza książęca, chociaż z dowództwa wojennego wynikła, faktycznie od samego początku ograniczoną była przez rody udzielnych niegdyś i równych Popielom a Piastom książątek. Bez ich rady nic nie przedsiębrał taki nawet monarcha, jak Chrobry; potęga tych rodów, przebywających stale na dworze i pełniących różne urzędy, była tém większą, że całe rycerstwo szeregowe składało się z potomków ich dawnych poddanych; że ścisły istniał związek moralny pomiędzy rycerstwem i jego różnych stopni wodzami. Buntowali się nieraz potomkowie drobnych książątek, rozbić nawet pragnęli z mozołem dźwignięte państwo i dopiero Bolesław Krzywousty złemu zaradził. Zrozumiawszy niebezpieczeństwo, rycerstwo znakowe z dworu usunął, obozowiska szeregowego zwinął. Tamtemu i temu w różnych prowincyach znaczne lecz puste nadawał obszary ziemi, przez co potężny dotychczas żywioł rozproszył i znakomicie osłabił. Z powodu nieograniczonéj podzielności majątków pomiędzy potomstwo, rycerstwo szeregowe do zupełnego doszło ubóstwa i charakter pierwotny straciło. Zniknęło wkońcu, miejsce zaś jego zajęło rozmnożone rycerstwo znakowe, będące jedynym od tego czasu reprezentantem siły zbrojnéj w narodzie. Nie zmodyfikowały przecież przemiany takie podziału pierwotnego społeczeństwa na grupy. Mamy w XIII wieku: 1) pochodzącą z rycerstwa znakowego uprzywilejowaną szlachtę herbową; 2) z rycerstwa szeregowego powstałych uprawnionych ściercałków i władyków; 3) prawnie ograniczoną klasę poddańczą. Podstawą tego podziału nie własność ziemska, lecz był stopień posiadanego rycerstwa, o którym znowu stanowiła rodowość.

Hipoteza Piekosińskiego wywołała *Uwagi o pierwotnym ustroju społecznym Polski piastowskiéj* Smolki, który się stanowczo przeciwko najazdowi oświadcza. „Znamy—powiada— z historyi rozmaite typy państw, powstałych z najazdu... ale niema przykładu, żeby państwo powstało kiedykolwiek z najazdu szczepu współplemiennego,—wszędzie najeźdzcy reprezentują pierwiastek plemienny, od ujarzmionéj ludności odrębny. Z tego powodu hipoteza Szajnochy, jakkolwiek z gruntu nieuzasadniona, ma znacznie więcéj wewnętrznego prawdopodobieństwa, niż pomysły Piekosińskiego.“ Według Smolki, dla wyjaśnienia genezy państwa polskiego użyć wypada analogii z resztą Słowiańszczyzny, w któréj dziejach (z wyjątkiem państwa bułgarskiego i ruskiego) organizacya państwowa objawia się w jednym,

znanym dobrze i charakterystycznym typie. „Wszędzie — powiada autor—spotykamy się z tém samém zjawiskiem, że szczepy słowiańskie, rozdrobnione na większą lub mniejszą liczbę małych plemion, wydobywają się z nicości przeddziejowego bytu za sprawą przedsiębiorczych dynastów plemiennych, którzy wszystkie plemiona całego szczepu, albo przynajmniéj część ich znaczną, zagarniają pod swoje panowanie, rozciągając hegemonię nad dawnymi sąsiadami swoimi, t. j. innymi dynastami, lub strącając ich na stanowisko przedniejszéj tylko warstwy społecznéj w nowéj organizacyi państwowéj. Stwierdza się to w dziejach wszystkich szczepów słowiańskich, z wyjątkiem Rusi i Bułgarszczyzny, z wyjątkiem również tych plemion, które nie doczekały się takiéj genezy organizacyi państwowéj i zmarniały w przedwiekowém rozdrobnieniu, nie wytworzywszy w karbach silniejszego ustroju państwowego odrębnéj indywidualności narodowéj. Najbliższy nam przykład podaje historya w genezie dwóch sąsiednich państw słowiańskich, z których jedno przemknęło się tylko przelotnie na widnokręgu dziejów, drugie zaś wieki całe przetrwało: w państwie morawskiém i początkowych dziejach czeskich." Na takiéj analogii oparty, Smolka dowodzi, że obszar Polski przed utworzeniem się państwa zamieszkiwały drobne, odrębnie żyjące, ale pokrewne plemiona; że panujący u Polan nad Wartą Piastowie: Ziemowit, Leszek, Ziemomysł i Mieszko przez podbój szczepów sąsiednich dali początek monarchii. Z potomków podbitych dynastów pochodzi szlachta rodowa, o któréj wyraźnie wspomina Gallus,—wyższy wyczyn ludności wolnéj, dziedzice niewielkich obszarów, stanowiący typ w budowie społecznéj plemion lechickich. Genezę państwa polskiego przez analogię z Czechami przedstawił Smolka poprzednio w rozprawce: *Niepoprawny ród*; sam zaś układ społeczny odtwarza w ten sposób. „Nieliczna szlachta rodowa, pochodząca z dynastów plemiennych; przeważna swą liczbą klasa władyków — właściwe jądro tworzącego się dopiero narodu — i ludność niewolna, przywiązana do gleby w posiadłościach dawnych dynastów plemiennych i księcia,—oto trzy warstwy społeczne, nad któremi się wznosi władza książęca. Od pierwszego uposażenia kościoła władykowie, mieszkający w kasztelaniach, które się dostały katedrom biskupim, zaczynają się staczać z wyżyny dawnego stanowiska społecznego; zczasem wzrastają posiadłości kościelne wskutek nowych darowizn ziemi z przywiązaną do niéj ludnością niewolną. Potęga materyalna władzy książęcéj opiera się na systemie danin i posług, które ciążą na ziemi, a które spełnia cała ludność, uprawiająca ziemię, a więc i władykowie, jak za dawnych czasów odrębności plemion, i ludność niewolna zarówno posiadłości książęcych, jak kościelnych i pań-

skich. Wolni są od nich osobiście tylko potomkowie dawnych dynastów, oraz duchowni. Pierwsi służą księciu na dworze i jako urzędnicy na grodach, z których rycerstwo prowadzą do boju; drudzy krzewieniem nauki Chrystusa służą młodemu państwu. Siłę zbrojną stanowi klasa władyków, powoływana na wyprawę wojenną, kiedy tego potrzeba. Z pośród niéj niektórzy, porzuciwszy zagon rodzinny, stale służą księciu, jako wojownicy, rozlokowani po grodach, kosztem jego utrzymywani. Im potężniejszy książę, im częstsze i szczęśliwsze przedsiębierze wyprawy, tém większą może utrzymać liczbę wojowników, którzy, nigdy nie zdejmując rynsztunku, w rzadkich tylko chwilach pokoju stoją załogą po grodach."

Z inną teoryą wystąpił Bobrzyński (*Geneza społeczeństwa polskiego na podstawie kroniki Galla i dyplomatów XII wieku*), który najazd również odrzuca, oprócz niewolników i jeńców żadnych w społeczeństwie ówczesném obcych żywiołów nie widzi. Opierając się na kronice Galla i dokumentach z XII stulecia, autor *Genezy* aż siedm klas społecznych rozróżnia. Pierwszą stanowią niewolnicy prywatni i książęcy, rekrutujący się z jeńców wojennych, przez kupno i z przestępców za zbrodnie. Byli oni w stosunku do osób prywatnych rzeczą, nie składali żadnych prestacyi książęcych lub danin; pełnili na dworach swych panów, jako czeladź, osobiste posługi. Drugą klasę formują dziedzice czynszownicy książęcy. Podlegali jedynie monarsze, mieli wolność osobistą, pracowali na własny rachunek, panującemu tylko składali daniny. Trzecią grupę stanowili pochodzący z nadań książęcych poddani kościelni; czwartą ludzie wolni—nieliczni dziedzice, nabywający ziemię na własność; piątą rycerstwo; szóstą szlachta rodowa—potomkowie książąt, przed powstaniem Polski panujących udzielnie; siódmą—kler zakonny i świecki. Z owych grup siedmiu niewolnicy, dziedzice czynszownicy i szlachta rodowa w dwunastém stuleciu obumierają i nikną; włościanie poddani, rycerstwo i kler rozwija się silnie; klasa wolnych dziedziców w téj dobie dopiero rozpoczyna się kształcić przez wyzwalanie ludności poddańczéj, obcych przybyszów, z odpadków rycerstwa i kleru. W kwestyi powstania państwa zgadza się Bobrzyński ze Smolką, lecz różni się w poglądach na naturę własności. Według Smolki dziedzice niewielkich obszarów stanowią typ w budowie społecznéj Polski pierwotnéj; zdaniem Bobrzyńskiego „całe państwo było niejako jedną wielką wsią, a cała ludność była wieśniaczą. Przeciążona służbą wojskową i rozlicznemi daninami i powinnościami, nie miała żadnéj własności gruntowéj; niepewna jutra czekała, gdzie ją w każdéj chwili rozkaz książęcy przerzuci, ale nie podlegała nikomu, tylko monarsze i jego urzędnikom i żadnych innych panów nad sobą nie miała."

Strona polityczna Polski pierwotnéj również roztrząsaniu uległa i nowe oświetlenie w kilku cennych znalazła rozprawach. Gdy zbadaniem dziejów Mieszka I zajął się cudzoziemiec, Zeissberg,— Karłowicz przedstawił pochód Chrobrego na Kijów (*Wyprawa kijowska Bolesława W.)*, udowodniając, że oprócz dokonanego w r. 1018, innego nie czynił; Żukowski wyświetlał stosunki tegoż monarchy z Rzymem (*Stosunki Bolesława Chrobrego ze stolicą apostolską*), Lewicki zaś podjął rehabilitacyę następcy (*Mieszko II*), wszystkie klęski, jakie za panowania jego dotknęły Polskę, tłómacząc zbiegiem okoliczności zewnętrznych. Podania o mnichostwie Kazimierza Odnowiciela wyświecali: Malinowski (*Rzecz o pobycie Kazimierza w Clugny*), Wojciechowski (*O Kazimierzu Mnichu*) i Smolka (*Tradycya o Kazimierzu Mnichu*); w sprawie konfliktu pomiędzy Bolesławem Śmiałym a Stanisławem ze Szczepanowa kilku pomniejsze (Swieżawski, Skorski, ze stanowiska Długoszowskiego Kalinka), Franciszek Stefczyk obszerną wydał rozprawę (*Upadek Bolesława Śmiałego*), w któréj uzasadnia domysł Czackiego o związkach biskupa z Czechami. Po uskutecznieniu restauracyi państwa za Kazimierza I, zaczynają się, zdaniem autora, nowe w społeczeństwie objawiać prądy. Lud odstępuje od dotychczasowych przewodników — potomków dynastycznych rodów lechickich i przywiązywać się poczyna do Piastów. Najwyższa warstwa społeczna, odrośle książąt niegdy udzielnych, porzuca myśl szczepowego separatyzmu, lecz dąży do uprzywilejowanego w państwie stanowiska, do ograniczenia władzy monarszéj. Rzutki politycznie a despotyczny Bolesław znalazł się z jednéj strony w kolizyi z czeskim Wratysławem, który tak samo, jak król polski, marzył o zjednoczeniu Słowiańszczyzny zachodniéj; z drugiéj strony w antagonizmie z przykrzącymi sobie absolutyzm monarchy możnymi. Nie przebierający w środkach Wratysław szukać począł pomiędzy możnowładcami owymi przyjaciół „aby podstępnie i zdradą, gdy otwarcie nie zdołał, zgubić przeciwnika i odrazu zrealizować swoje do Polski pretensye, przybliżyć tak dotychczas odległy, lecz ciągle przyświecający cel zjednoczenia zachodniéj Słowiańszczyzny. Istotnie znalazł posłuch przynajmniéj u części malkontentów, a między innymi u krakowskiego biskupa Stanisława, który również był prawdopodobnie potomkiem książęcego, kto wié, czy nie jakiego chrobackiego rodu, a mógł miéć nadto swe specyalne powody niechęci do króla. Spiskowcom chodziło o zwalenie Bolesława z tronu, a Wratysławowi nadto o sąsiednie Czechom polskie prowincye, przedewszystkiém ziemię krakowską.... Uknuty atoli w ten sposób spisek przedwcześnie został odkryty i doszedł do uszu Bolesława... Między ofiarami zemsty królewskiéj znajdował się i biskup krakowski.“

Z rozprawą Stefczyka wiąże się wcześniejsza praca Lewickiego (*Wratysław II królem polskim*), według któréj czeski książę, nic nie zyskawszy na upadku Bolesława Śmiałego, dla urzeczywistnienia swoich względem Słowiańszczyzny widoków wysługiwać się począł cesarzowi, przez co otrzymał od niego w r. 1086 na sejmie w Moguncyi tytuł króla polskiego za obietnicę pomocy ku podbiciu krain nad Wisłą. Małecki opracował czasy Krzywoustego (*Panowanie Bolesława Krzywoustego*), rzucił też w szeregu rozpraw (w *Przewodniku naukowym i literackim* z r. 1875), na okres Polski pierwotnéj dość pesymistyczny pogląd ogólny. „Było z czego, powiada, wytworzyć silną władzę monarszą, choć wolną od despotyzmu i za tę cenę zapewnić narodowi świetną rolę jednego z pierwszorzędnych mocarstw w historyi. Było aż nazbyt pokuszeń pójść za innymi ideałami: unikać starcia tam, gdzie było konieczne; być popularnym za życia, sławionym przez kronikarzy po śmierci, a potomności przekazać— sprawę przepadłą. Jedno i drugie zależało od czujności i instynktu politycznego, od trudu i dzielności panujących nad Polską.“ Małecki pierwszy pokusił się o rozwianie mgieł idealnych, jakiemi Bolesława Chrobrego otoczył Szajnocha; surowo ocenia zaniedbanie Słowiańszczyzny nadłabskiéj dla tryumfu nad Dnieprem. „Pozorna świetność wyprawy kijowskiéj stanowi ujemną, wręcz złowieszczą stronę tego dziejowego wypadku. Przez całe dzieje polskie już potém snuje się, jak nić czerwona, ta nieszczęśliwa zasada, że co się straciło lub czego się nie dopięło w stosunku do zachodniego sąsiada, który się ciągle wpijał i wżerał w nasze wnętrzności, to nam odbijać należy na pograniczach wschodnich... Pierwsze zainaugurowanie téj polityki fatalnéj było mimowolném, — nie zamierzoném wprawdzie, ale przecież spełnioném dziełem chrobrego króla naszego.“

Opracowania Polski dzielnicowéj rozpoczyna dyskusya nad sprawą podziału. Małecki dowodzi (*Testament Bolesława Krzywoustego*), że dzielenie państwa pomiędzy synów stanowiło w całéj Słowiańszczyźnie zakorzenioną zasadę; że Krzywousty, zaprowadzając seniorat, pragnął zapobiedz zamieszkom, jakich sam doznał i jakich doświadczali przodkowie. Separatyzm książęcy po wypędzeniu Władysława II, nie na testament, lecz zwalić należy na karb rewolucyi, którą wywołali magnaci. Inne stanowisko zajął Maksymilian Kantecki (*Das Testament des Boleslaw Schiefmund*), upatrujący w testamencie Krzywoustego nie seniorat, lecz prymogeniturę; dowodzący, że następcą Bolesława IV był syn jego, Leszek, który nie objął dzielnicy krakowskiéj jedynie z przyczyny wątłego zdrowia. Poglądy Kanteckiego surowa dotknęła krytyka; pomiędzy innymi wystąpili z aparatem dowodów burzących Semkowicz i Smolka, oświadcza-

jący się za zasadą starszeństwa. Kwestye szczegółowe z XII stulecia opracowywali: Mosbach (*Piotr syn Włodzimierza*), Leniek (*Pełka biskup krakowski*), i Górski (*Stosunki Kazimierza Sprawiedliwego z Rusią*); spostrzeżenia nad sztuką, mianowicie budownictwem i rzeźbą tych czasów ogłasza Władysław Łuszczkiewicz (*Kościoły i rzeźby Duninowskie. Kościół kolegiacki łęczycki* itp.); całość wieku aż do ustąpienia Władysława Laskonogiego z dzielnicy krakowskiéj ogarnął Stanisław Smolka (*Mieszko Stary i jego wiek*). Z frazeologią Szajnochy lubo bez jego talentu maluje autor fizyonomię kraju, przedstawia układ społeczny, opowiada o walce potomków Krzywoustego z możnymi. Chociaż się oparł na źródłach znanych i pod względem faktycznym odkryć nie robi, jednakże ściśle konsekwentném przeprowadzeniem walki monarchizmu z możnowładczą potęgą i przez organiczne ujęcie całości wieku nadał swéj pracy urok nowości. Nie jest Smolka doktrynerem, zohydzającym Władysława II, jak Bartoszewicz, lub idealizującym, jak Hoffman; dobitnie a z kunsztem kreśli fiskalną działalność Mieszka i stosunek Laskonogiego do kleru. Dosadnie akcentuje wysiłki książąt, marzących o wskrzeszeniu samowładnéj monarchii Chrobrego i przyczyny chybionych zabiegów w odpowiedniem rysuje świetle. Sądzi—a opiera swój pogląd na analogii ze stosunkami zachodu,—że monarchia jednolita, skupiwszy szczepy z nad Warty i Wisły i odtrąciwszy najazdy Niemców, zadanie swoje spełniła, przez co musiała ustąpić miejsca stosunkom innym. Rozwój pochłanianego dotychczas przez państwo społeczeństwa wymagał rozbicia monarchii i osłabienia władzy książęcéj; stąd to zabiegi energicznych i konsekwentnych dynastów, jako wymierzone przeciwko duchowi czasu, nie miały pod sobą gruntu i spełzły na niczém.

Stosunki prawno-społeczne XIII stulecia opracował na podstawie dyplomatów Romuald Hube (*Prawo polskie w w. XIII*); sprawą wprowadzenia do Polski reform gregoryańskich zajął się Stosław Łaguna. W niewielkiéj lecz kunsztownéj pod względem konstrukcyi rozprawce (*Dwie elekcye*) udowadnia zagęszczone w XII i na początku XIII stulecia małżeństwa księży; charakteryzuje dwór książęcy, życie mieszczan, stan nauk,—wszystko dla stworzenia tła ku uwydatnieniu walki dwóch stronnictw, z których jedno usiłowało po śmierci biskupa Pełki wprowadzić na katedrę krakowską Wincentego Kadłubka, drugie Giedkę. Najznakomitszymi z książąt pierwszéj połowy XIII stulecia zajęli się: Sokołowski August (*Konrad książę na Mazowszu i zakon niemiecki*) i Smolka (*Henryk Brodaty*); przyczynki do najazdów tatarskich, dziejów Leszka Czarnego i Przemysława II podał Bolesław Ulanowski (*O współudziale Templaryuszów w bitwie pod*

Lignicą. Drugi napad Tatarów na Polskę. Przyczynek do dziejów Pawła z Przemankowa. Kilka słów o małżonkach Przemysława II.); do historyi budownictwa i rzeźby Łuszczkiewicz.

Jeżeli, z wyjątkiem monografii Bobrzyńskiego i Swieżawskiego, dotyczących buntu wójta Alberta, ku wyświetleniu czasów Łokietka po pracach Lelewela i Szajnochy nie dorzucono nic prawie, to za to literatura panowania Kazimierza W. do najobfitszych należy. Jan Leniek opracował sprawę układów z Krzyżakami o odstąpienie Pomorza (*Kongres wyszehradzki w r. 1335*); Szujski wyjaśnił warunki, na jakich zrzekła się Polska zagrabionych przez zakon prowincyi (*Warunki traktatu kaliskiego r. 1343*). Podał też Szujski szczegółową wiadomość o buncie szlachty wielkopolskiéj, wynikłym z powodu wprowadzanych przez króla administracyjno-sądowych urządzeń (*Maćko Borkowicz wojewoda poznański i pierwsza konfederacya rycerska r. 1352*); ten sam temat podjął współcześnie i identyczny osiągnął rezultat Aleksander Brandowski (*Baron Maciej Borkowicz*), który i w sprawie założenia przez Kazimierza wszechnicy pracę wydał niewielką (*Założenie uniwersytetu krakowskiego w r. 1364*). Najbaczniejszą zwróciła uwagę działalność prawodawcza Kazimierza i kilku cennych doczekała się rozpraw. Bobrzyński (*O założeniu wyższego i najwyższego sądu prawa niemieckiego na zamku krakowskim*) i Piekosiński (*O sądach wyższych prawa niemieckiego w Polsce wieków średnich*) wyświetlają sprawę kolonizacyi i samorządu osad na prawie niemieckiem; Hube po Bandtkiem, Lelewelu i Helclu na nowo podjął sprawę statutów (*Prawo polskie w XIV w.*). Helcel w działalności prawodawczéj Kazimierza W. cztery dostrzegł momenty, z których każdy wyłonił statut: najprzód powstał dzielnicowy małopolski, który autor nazywa krakowskim pierwszym; po nim wielkopolski (piotrkowski), następnie znowu małopolski (krakowski drugi), w końcu zwód ogólny wislicki. Uznaną przez znakomitszych historyko-prawników hipotezę Helcla Hube wywraca: oświadcza się za dwoma jedynie statutami: małopolskim i wielkopolskim; istnienia innych, mianowicie owego zwodu powszechnego, zaprzecza. Od zarzutów szkoły Lelewelowskiéj, nie mogącéj zapomnieć straty Pomorza i Śląska, broni Kazimierza W. Szujski (*Charakterystyka Kazimierza W.*), w działalności jego upatrujący szczyt utylitaryzmu politycznego i usiłowanie stworzenia państwa nowożytnego, na wzór zachodnich. „Dwudziestodziewięcioletnie panowanie jego wygląda jak skończone arcydzieło wytrwałéj, cierpliwéj, zawsze celu świadoméj organizatorskiéj pracy; arcydzieło, na którém znać rękę mistrza... Król młody, niepopularny, musiał mieć pewność siebie..; musiał mieć więcéj, jak przekonanie, bo natchnienie geniuszu, który mu kazał iść drogą ustępstw

i poświęceń, wstrętnych zrazu, a przecież koniecznych. Musiał mu mówić: ani kroku daléj! bo zakon krzyżacki ma murowane grody, a ty zgliszcza tylko i horodyszcza drewniane; ma kwitnące rolnictwem, handlem i przemysłem kraje, a ty kraj wycieńczony i zaniedbany; bo sojusznikiem tego zakonu jest najpierwszy rycerz Europy, Jan, który może po raz drugi na zgubę Polski skuteczniejszą jeszcze, niż w r. 1331 ułożyć wyprawę... Granitowym pokładem są dzieje rządów Kazimierza, a równie twardéj rdzennéj warstwy, jak ta, która po nim pozostała, nie położył żaden rząd, żadne panowanie w Polsce. To, co się w dziejach powszechnych nazywa monarchią nowożytną, co opiera się na zasobności skarbowéj króla, na ukróceniu zbytniéj potęgi i oporu stanów, politycznie uprawnionych...; na stworzeniu siły wojennéj nie z feudalnego obowiązku, ale środkami saméj władzy państwa,—próby te stworzenia monarchii nowożytnéj w Polsce były częste, ale porównawszy je z tém, co robił i czém był Kazimierz W., musi się uznać, że jeśli późniéj jeszcze jego następcy chwytali się jego wskazówek i śladów pracy, jako jedynéj tradycyi,—żaden już nie był wstanie przebudować gmachu, który on, acz na mniejszém terytoryum, przed wiekami postawił.“ Oddzielną monografię poświęcił Szujski następcy Kazimierza (*Ludwik węgierski i bezkrólewie po jego śmierci*); on też jest twórcą tak zwanéj teoryi przestrzeni, wygłoszonéj z okazyi zjednoczenia Litwy z Koroną (*O młodszości naszego cywilizacyjnego rozwoju*). Panowania Władysława Jagiełły dotyczą prace: Kanteckiego Klemensa (*Elżbieta trzecia żona Jagiełły*), Chylińskiego Michała (*Pamflet Falkenberga na soborze konstancyeńskim*), Maurera Romana (*Proces królowéj Jadwigi. Urzędnicy kancelaryjni Władysława Jagiełły*), Sutowicza Juliana (*Zjazd łucki. Stosunek Władysława Jagiełły do Husytów czeskich*), Augusta Sokołowskiego (*Projekt rozbioru Polski w w. XV*), wreszcie Antoniego Prochaski (*Szkice historyczne z XV wieku. Ostatnie lata Witolda*), który w sprawie poglądu na ruch husycki w Polsce (*Polska a Czechy w czasach husyckich aż do odwołania Korybuta z Czech*) przeciwnika znalazł w Smolce. Prochaska, zauważywszy w husytyzmie pierwiastek plemienny i wyznaniowy, pierwszemu tylko przypisuje oddziaływanie na Polskę, zaprzecza zaś wpływu czynników religijnych i społecznych, ruch cały w ramach sprawy dyplomatycznéj stara się zawrzeć. Smolka (*Unia z Czechami*) dowodzi, że jednoplemienność z Czechami małe w ruchu husyckim posiadała znaczenie, zaważyły zaś głównie względy lokalno-polskie, mianowicie przewaga, jaką duchowieństwo posiadało nad szlachtą. W innéj rozprawie (*Witołd pod Grunwaldem*) tłómaczy Smolka przyczyny, dla których zwycięztwo nad Krzyżakami przyniosło w pokoju toruńskim z r. 1411 korzyść tak małą. Zdaniem autora,

uniemożliwił otrzymanie ważniejszych rezultatów Witold, który dla tego, żeby i na przyszłość być Polsce potrzebnym, żeby stanowisko swe wzmocnić, nie chciał zakonu druzgotać do szczętu.

Literatura panowania Kazimierza Jagiellończyka pod względem ilościowym o lepsze idzie z dotyczącą ostatniego Piasta. Rozprawy: Papée'go (*Polityka polska w czasie upadku Jerzego z Podjebradu. Kandydatura Jagiellończyka na biskupstwo warmijskie*), Mikrota (*Włodko z Domaborza kasztelan nakielski i jego stosunki z Kazimierzem Jagiellończykiem*), Grosségo (*Stosunki Polski z soborem bazylejskim*), Sutowicza (*Walka Kazimierza Jagiellończyka z Maciejem Korwinem*) potrącają kwestye polityki zewnętrznéj; donioślejszych pytań, mianowicie stanowiska Ostroroga i znaczenia ruchów szlacheckich dotyczą prace: Pawińskiego, Rembowskiego, Swieżawskiego, Bobrzyńskiego, Hubego. Profesor wszechnicy wrocławskiéj, autor czterotomowych dziejów polskich (*Geschichte Polens*), obejmujących wiek XIV i XV, Jakób Caro, doszedłszy (*Jan Ostroróg i traktat jego o naprawie rzeczypospolitéj*), że Ostroróg kształcił się w uniwersytecie erfurckim, usiłował działanie wpływów niemieckich na pisarza naszego wykazać, znalazł nawet wzór dzieła jego w pisemku niejakiego Rejsera (*Reformatio Sigismundi imperatoris*). Przeciwko poglądom uczonego Niemca wystąpił Pawiński Adolf (*Jana Ostroroga żywot i pismo o naprawie rzeczypospolitéj*), dowodząc, że humanizm, pod którego wpływem nasz statysta za granicą się kształcił; husytyzm, obozujący w sąsiednich Czechach; słowem nowe kierunki, nurtujące w ówczesnym świecie, urobiły poglądy Ostroroga na stosunek Polski do Rzymu, zapatrywania na układ społeczny, budowę państwa i stanowisko monarchy. W pomysłach, dotyczących sądownictwa, administracyi i zarządu skarbowego spostrzega autor w Ostrorogu brak dojrzalszego sądu i wytrawności; przyznaje jednak, że pismo jego „jako samoistny, nienaśladowany utwór zdolnego pióra i ukształconego umysłu zajmować będzie zawsze poczesne miejsce w rocznikach naszéj oświaty.“ Przeciwko Pawińskiemu oświadczył się Rembowski Aleksander (*Jan Ostroróg i jego memoryał o naprawie rzeczypospolitéj*), który genezę memoryału Ostroroga znajduje w teoryach politycznych zachodu, wpływu zaś husytyzmowi odmawia. Takie same w zasadzie stanowisko zajął w téj sprawie Bobrzyński (*Jan Ostroróg, studyum z literatury politycznéj XV stulecia*), gdy Swieżawski (*Jan Ostroróg i klasy niższe społeczeństwa polskiego w XV wieku*) widzi w Ostrorogu magnata, godzącego na wolności klas niższych, mianowicie mieszczaństwa. Sprawę przewrotu wewnętrznego w ruchach szlacheckich podczas wojny z zakonem o Prusy zachodnie przedstawił Bobrzyński (*O ustawodawstwie nie-*

szawskiem Kazimierza Jagiellończyka). Dowodzi, że szlachta przez otrzymanie przywilejów pod Cerekwicą, Nieszawą i Opokami zaprowadziła nowe, prowincyonalne organy prawodawcze w postaci sejmików; że pochłonęła w ten sposób magnatów, a ujawniła dążność do sponiewierania mieszczaństwa. Pomysły Bobrzyńskiego, dopełnione przez Hubego (*Statuta nieszawskie z r. 1454*), w dalszém rozwinięciu (*Sejmy polskie za Olbrachta i Aleksandra. Stanisław Zaborowski, studyum z literatury polskiéj*) dotyczą panowań: Olbrachta i Aleksandra, które oprócz rozpraw: Czernego (*Panowanie Olbrachta i Aleksandra*), Kniaziołuckiego (*Johann Albert König von Polen in seinen ersten Regierungsjahren*), Jabłonowskiego (*Sprawy wołoskie za Jagiellonów*), Lucasa (*O rzekoméj wyprawie na Turka w r. 1497*) opracowań rozleglejszych nie mają. Zdaniem Bobrzyńskiego, Olbracht tak samo, jak Kazimierz, opierał się przeciwko możnowładztwu na szlachcie, na której korzyść w statucie piotrkowskim z r. 1496 pognębił mieszczaństwo i chłopstwo, zaprowadził nowy organ prawodawczy w postaci sejmu jednoizbowego, złożonego tylko z przedstawicieli od ziemian. W bezkrólewiu po Olbrachcie dźwignęło się możnowładztwo, uzyskawszy od Aleksandra w r. 1501 akt mielnicki, zaprowadzający rządy arystokratyczne; rychło przecież, bo w r. 1504 powołuje monarcha naprzekór panom przedstawicieli od szlachty na pierwszy sejm dwuizbowy i w taki sposób stwarza nowy organ prawodawczy, jednoczący w sobie trzy o znaczenie polityczne walczące pierwiastki.

Politykę zewnętrzną Zygmunta I przedstawiają monografie: Liskego (*Studya z dziejów XVI w.*), Smolki (*Polska i Austrya w latach 1526 i 1527*), Finkla (*Poselstwo Jana Dantyszka*), Pułaskiego (*Wojna Zygmunta z Bohdanem wojewodą mołdawskim w r. 1509*), Warnki (*De ducis Michaelis Glinscii rebellione*), Lucasa (*Przyłączenie Mazowsza do korony polskiéj. Erazm Ciołek*), Hirschberga (*Jan Łaski arc. gnieźnieński sprzymierzeńcem sułtana tureckiego. Dziesięć pierwszych lat panowania Zygmunta I. Stronnictwa polityczne w Polsce za Zygmunta I. Przymierze z Francyą z r. 1524*); skarbowości dotyczy praca Lubomirskiego (*Trzy rozdziały z historyi skarbowości w Polsce 1507—1532*). Politykę zewnętrzną Zygmunta Augusta opracowywali: Krasiński (*Przyczynek do historyi dyplomacyi w Polsce*), Pawiński (*Sprawy Prus książęcych za Zygmunta Augusta*), Karwowski (*Wcielenie Inflant do Litwy i Polski 1558—1561*), Szujski (*Stosunki dyplomatyczne Zygmunta Augusta z Austryą. Ostatnie lata Zygmunta Augusta. Anna Jagiellonka*), który nakreślił i sylwetkę ostatniego Jagiellona (*Charakterystyka Zygmunta Augusta*). Monografie osobistości i rodzin podali: Kraushar (*Olbracht Łaski*), Walewski (*Marcin Kromer*), Zakrzewski (*Rodzina*

Łaskich w XVI w.); sprawy wewnętrzne opracowywali: Mosbach (*Początki unii*) i Przeździecki Aleksander (*Jagiellonki polskie XVI wieku*), reformacyę Lorkiewicz (*Bunt gdański w r. 1525*), Kubala (*Stanisław Orzechowski i wpływ jego na rzeczpospolitę wobec reformacyi*), Zakrzewski (*Powstanie i wzrost reformacyi w Polsce*) i Szujski (*Odrodzenie i reformacya*). Ważny do reformacyi przyczynek stanowi źródłowa monografia cudzoziemca, Liubowicza (*Istorja rieformacii w Polszie*), który się specyalnie zajmuje dziejami Polski.

Pierwsze bezkrólewie opisał Piliński (*Bezkrólewie po Zygmuncie Auguście*), panowanie Henryka Emanuel de Noailles (*Henri Valois et la Pologne*), drugie interregnum Zakrzewski (*Po ucieczce Henryka*) i Wierzbowski (*Zabiegi cesarza Maksymiliana o koronę polską 1565—1576*). Panowanie Batorego wyjaśniają monografie: Zakrzewskiego (*Stosunki stolicy apostolskiéj z Iwanem Groźnym*), Sutowicza (*Sprawa Zborowskich na sejmie z r. 1585*), a zwłaszcza Pawińskiego (*Stefan Batory pod Gdańskiem. O synodzie Piotrkowskim z r. 1577*), którego praca nad skarbowością za tego króla (*Skarbowość w Polsce i jéj dzieje za Stefana Batorego*) do najcelniejszych należy. Bezkrólewie po Stefanie zgłębiali: Caro (*Interregnum Polens in J. 1587*), Sieniawski (*De interregno post Stephani regis discessum. Das Interregnum und die Königswahl in Pohlen vom J. 1587*), panowanie Zygmunta III Sokołowski August (*Przed rokoszem. Dyabeł Stadnicki. Polityka polska za Zygmunta III*), Kudelka (*Bitwa pod Kirchholmem*), Sieniawski (*Die Regierung Sigismunds III*), Szujski (*Maryna Mniszchówna i Samozwańce*); stosunki kościelne Likowski (*Historya unii kościoła ruskiego z rzymskim*), Pełesz (*Geschichte der Union der ruthenischen Kirche mit Rom*), Szaraniewicz (*Patryarchat wschodni wobec kościoła ruskiego i rzeczypospolitéj polskiéj*), Bobrzyński (*Kazania sejmowe Skargi*). Panowanie Władysława IV i Jana Kazimierza z wyjątkiem sylwetek batalijnych i monografii (*Szkice historyczne. Jerzy Ossoliński*) Kubali, rozpraw: Kalickiego Bernarda (*Władysław IV królem chłopów. Bogusław Radziwiłł koniuszy litewski*), Dubieckiego (*Kudak, twierdza kresowa i jéj okolice*), Jarochowskiego (*Wielkopolska w czasie pierwszéj wojny szwedzkiéj od r. 1655—1657*), Seredyńskiego (*Sprawa elekcyi za panowania i po ustąpieniu Jana Kazimierza*) i Czermaka (*Jerzy Lubomirski*) rozleglejszych opracowań nie mają. Zapomniane prawie zostały czasy Michała Korybuta,—oprócz pracy Jarochowskiego o Kalkstejnie (*Sprawa Kalkstejna*) nikt ich nie dotknął. Sobieski, chociaż materyału do panowania jego jest dużo, również czeka opracowań, niewiele bowiem przynoszą rozprawki: Helcla (*O dwukrotném zamęźciu Ludwiki Karoliny Radziwiłłówny*), Kanteckiego (*Spisek w r. 1688*), Jabłonowskiego (*Krzysztof Grzymułtowski*), Zawadzkiego (*Jakób i Kon-*

stanty Sobieski). Wystąpił z dziełem czterotomowém Leliwa (*Jan Sobieski i jego wiek*), lecz krytyka odmawia pracy jego wartości. Bogatą jest literatura czasów Augusta II i Stanisława Leszczyńskiego, których strona polityczna pilnego znalazła badacza w Jarochowskim (*Dzieje panowania Augusta II od śmierci Jana III do chwili wstąpienia Karola XII na ziemię polską. Opowiadania i studya historyczne. Nowe opowiadania i studya historyczne*); a wewnętrzna, o ile dotyczy reform, w Aleksandrze Rembowskim (*Stanisław Leszczyński jako statysta*). Tegoż panowania i rządów Augusta III dotyczy monografia Kanteckiego (*Stanisław Poniatowski ojciec króla Stanisława Augusta*), a ostatniego bezkrólewia praca Gustawa Meinerta (*Wyniesienie na tron Stanisława Augusta*). Czasy Stanisława Augusta dostatecznie zbadane nie są, chociaż prace: Kisielewskiego (*Reforma książąt Czartoryskich na sejmie konwokacyjnym r. 1764*), Zaleskiego Bronisława (*Żywot księcia Adama Czartoryskiego. Korespondencya krajowa Stanisława Augusta*), Pilata (*Literatura polityczna sejmu czteroletniego*), Chylińskiego (*Hugo Kołłątaj wobec Targowicy*), Tyszkiewicza (*Króla Stanisława Augusta ostatni pobyt w Grodnie*), Kraszewskiego (*Polska w czasie trzech rozbiorów*), a zwłaszcza Kalinki (*Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta. Sejm czteroletni. Sprawa ruska na sejmie czteroletnim*) i Tadeusza Korzona (*Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta*) wyjaśniają stron wiele. Niemałą pomocą do zrozumienia ostatnich czasów rzeczypospolitéj są dzieła cudzoziemców, mianowicie: Broglie (*Le secret du roi*), Roepell'a (*Polen um die Mitte des XVIII-ten Jahre*), Sołowiewa (*Istorja padienija Polszi*), Kostomarowa (*Poslednije gody riecziрospolitoj*), Iłowajskiego (*Sejm grodzieński 1793*), Beera (*Die erste Theilung Polens*), Janssena (*Zur Genesis d. ersten Theilung Polens*) i innych.

(*dok. nast.*) *Władysław Smoleński.*





POWIEŚĆ SPÓŁCZESNA WE FRANCYI.

---

2. Ludwik Halévy.

Autor-to libretta do „Pięknéj Heleny“, autor do współki z Meilhac'iem dziesięciu wodewilów, fars i operetek przedstawionych na scenie teatru „Variétés“ i teatru „Vaudeville“, autor „Pana i Pani Cardinal“ oraz „Panien Cardinal“, autor powieści p. t. „Criquette“ i powieści p. t. „L'abbé Constantin.“ Z tym inna sprawa. Jeżeli dar przyswajania sobie dowolnie każdego rodzaju, bez stworzenia w żadnym nic wyśmienitego, ale bez zniżenia się także w żadnym do poziomu mierności jest rzeczą sztuki, tedy sztuka spółczesna uznać winna w Halévym jednego ze swych mistrzów. Jeżeli aktor Furier, naśladujący do złudzenia postawę, ruchy głos i fizyonomią samę aktora Barona i dziesięciu innych aktorów, jest artystą w swoim rodzaju, tedy i Halévy jest artystą. Przeznaczyłem miejsce temu, od wczoraj „palmy zielone“ noszącemu, akademikowi między idealistami dla tego, że on sam upomniał się o to miejsce w historyi *powieści spółczesnéj* swoją ostatnią kreacyą. Dawniejszą swoją twórczością należy on raczéj do realistycznéj szkoły a nawet poniekąd do szkoły braci Goncourt. Istotą swojego talentu, natchnienia i instynktu artystycznego nie należy do szkoły żadnéj. To Proteusz literacki i wieczny zmiennik, żołnierz i zbieg z pod wszystkich sztandarów, dworak wszystkich panujących ideałów—*dopóki panują*, lub zdają mu się panującemi. Potężny prąd realistyczny wytworzony przed dwudziestu laty narzucił mu się. Poszedł on bez oporu za tym prądem i przyczynił się bez wątpienia wesołemi swemi kreacyami do utorowania mu drogi. „Piękna Helena“ zrobiła więcéj dla zapewnienia tryumfu nowym pojęciom i tendencyom artystycznym niż jedna i druga powieść Goncourt'ów albo Zoli. Ludwik Halévy *spopularyzował* realizm.

Oto niezaprzeczony jego i prawdopodobnie jedyny tytuł do pamięci potomności. Nie mam zresztą zapewne potrzeby zatrzymywania się nad tą stroną i fazą jego zawodu. Menelaus z Agamemnonem i Kalchasem nie dopominają się o to, abym przedstawiał ich któremukolwiek z mych czytelników. Ani też „Pani Cardinal“ ze swoim mężem i płochemi córeczkami. Tém bardziéj, iż kreacye te wykraczają po za obręb właściwéj kompozycyi powieściowéj. Wodewilowe to zawsze motywy, przedstawione w formie scenicznego, tylko za długiego dla sceny monologu. „Pani Cardinal“ ze swoją macierzyńską miłością dla umieszczonych w *corps de ballet* wychowanek, ze swoją troskliwością w dobieraniu im przyzwoitych protektorów, „pan Cardinal ze swoją powagą i godnością w obronie ogniska domowego, są to zresztą typy, które pozostaną w galeryi spółczesnych portretów. Kto nie pamięta pana „Cardinal“ oburzającego się na słowo „miłość“, wyrzeczone przed nim przez świeżo zrekrutowanego dla panny „Wirginii“ markiza:

„— Nie przedemną o tych rzeczach, panie margrabio; nie chcę słyszéć o tych rzeczach!—Ależ trzeba abym się porozumiał z pańską córką. — Nie rozumiem, o czém pan margrabia mówisz; nie powinienem wiedziéć, o czém pan margrabia chcesz mówić; zresztą czekają na mnie o godzinie czwartéj; muszę wyjść, wychodzę, ale z nadzieją, że nie żegnam pana margrabiego, a mówię mu do widzenia.“

Jakże by miała także wyjść komu z pamięci epicznych rozmiarów sięgająca rola pana „Cardinal“ podczas komuny, kiedy spadająca na dach jego domu i na 1500 fr. szkody wyrządzająca bomba wersalska czyni zeń zapamiętałego demagoga, kiedy ofiarują mu do wyboru miejsce w biurach zarządu wojennego, albo pozycyą w magistraturze, aż wreszcie, zgodnie z życzeniami pani „Cardinal“, dziennik urzędowy powołuje go na stanowisko sędziego pokoju. Bo pani „Cardinal“, która sprzyjała pierwéj Wersalczykom — ze względu na operę i balet — przerzuciła się na stronę komuny, odkąd p. Thiers uczynił się „bombardnikiem“ i odkąd doleciał jéj uszu huk armat wymierzonych w piersi drogiego małżonka.

„— Nędznicy! strzelają do pana Cardinal!“

I napróżno w téj tragicznéj chwili doprasza się pan „hrabia de Glayeul“ o zabranie z sobą panny „Pauliny.“

„— Nie, panie hrabio, nie dzisiaj; nie wtedy to, gdy p. Cardinal naraża się na tak straszne niebezpieczeństwa, mogłabym rozdzielić się z mojém dzieckiem. Innego dnia, ile pan hrabia zechcesz.“

Materyału jednak na powieść niema w tém wszystkiém. Pierwszą próbą autora w prawdziwéj powieściowéj formie jest dopiero w 1883 roku wydana „Criquette.“ Tym razem zapożyczył się autor

wręcz u Goncourt'ów. „Criquette“ jest monografią sieroty, córki ubogiéj paryskiéj straganiarki, która zaczyna od tego, że sprzedaje bukieciki z fijołków na ulicy, późniéj roznosi ciastka w teatrze „des Batignolles“, późniéj debiutuje, jako ośmioletnia dziewczynka na scenie teatru „de la Porte St. Martin“, późniéj dostaje się pod opiekę aktorki „Rozity“, metresy księcia „Sawelina“, późniéj wpada w ręce „Aurelii“, byłéj pokojówki, przedzierżgniętéj w poważną prowincyonalną matronę, późniéj ucieka od téj niegodziwéj protektorki, rzuca się w objęcia dawnego towarzysza niedoli „Pascala“, kabotyna z teatrów prowincyonalnych i kabotynuje z nim pospołu w „Le Mans“, późniéj zdradzona przez niewiernego kochanka, któremu nie wystarczyła jéj zbyt idealna miłość, odrzuca miłość i ofiarowane sobie imię hr. „de Serignau“, a nakoniec umiera ze smutku i wycieńczenia, pielęgnując rannych bohaterów z armii nad Ligerą.

Produkt to oczywiście téj saméj szkoły, z któréj wyszły „Chérie“ Juliusza de Goncourt i „Une Vie“ Maupassant'a; kompozycya w analitycznym i eksperymentalnym rodzaju, do któréj wtrącone epizody i perypetye służą jedynie dla uwydatnienia kolejnych przejawów typu obrazowego za przedmiot analizy i eksperymentacyi. Autor nie jest wprawdzie bardzo konsekwentnym w tym względzie. Wspomnienia z wczorajszéj maniery, z „Pana i Pani Cardinal“ prześladują go. Powieść otwiera się całą seryą rodzajowych obrazków, w których nie wiadomo komu i czemu przypada pierwsze miejsce, czy oryginalnemu stowarzyszeniu dwojga dzieciaków na współkę „robiących interesa“ z bukiecikami i ciastkami, czy arcy-realistycznie przedstawionym zakulisowym tajemnicom małych i dużych scen stołecznych, czy pannie „Rozicie“ i jéj loży, czy pannie „Aurelii“ i jéj ambitnym kombinacyom. Od siódmego rozdziału na 130 stronie wchodzi dopiero autor na seryo w rolę prawdziwego monografisty. Nie dziw, iż potrzebował na to czasu. Obrazki owe wstępne są zresztą ładne, zwłaszcza te, w których figuruje sama bohaterka powieści, choć i innym nie brakuje humoru i téj werwy komicznéj, która bądź co bądź pozostanie podobno zawsze najcelniejszym przymiotem słynnego librecisty i wodewilisty. Ośmioletnia „Criquette“ gra rolę księżniczki *Colibri*, któréj przedstawiają brzydkiego, garbatego konkurenta. Przy pierwszéj próbie wprawia ona w entuzyazm dyrektora teatru, trzech autorów sztuki i cały personel teatralny niezrównaném *pied de nez*, któróm wita tego niefortunnego adonisa. „*Un pied de nez canaille sans l'être*“ — jak sam tłómaczy. Poczém, „ulegając instynktowemu popędowi stworzonego dla sceny temperamentu“, oddala się szybko w głąb teatru z podniesionemi w górę i trzęsącemi się od oburzenia rękami. Aliści, skutkiem nagłego tego a nieprzewidzia-

nego poruszenia, dwaj mali murzynkowie, dźwigający ogon jéj sukni, przewracają się i zaczynają płakać.

— Brawo! — woła jeden z autorów — oto nowy doskonały *efekt!*

— Nigdy w życiu!—protestuje drugi autor.— Nie trzeba, ażeby te malce płakały, to smutne.

— Właśnie trzeba, żeby płakały— odzywa się trzeci autor — to bardzo zabawne.

Ztąd kłótnia gwałtowna między dwoma współpracownikami, podczas gdy trzeci pozostaje w niepewności. Uznaje doskonałość *efektu*, co do upadnięcia malców, ale nie umie powziąć decyzyi co do ich płaczu.

Wszystko to jest wybornem. Nie mniéj wyborną jest sylwetka panny „Rozity", która rozkochuje się w biednéj osieroconéj córce straganiarki i gotowa uznać ją za własne dziecko, ale dowiaduje się, że prawo nie pozwala na to, i oświadcza przed rejentem intencyą zapisania jéj całego swego majątku, ale przypominają jéj, że majątek ten składa się z samych długów, ostatecznie zaś goni za księciem „Sawelinem" w głąb Rosyi, powierza swą pupilkę przewrotnéj „Aurelii" i zapomina o niéj po kilku tygodniach. Doskonałym także p. „Lemuche", dyrektor teatru w „Le Mans" a były „pensyonarz" Teatru Francuskiego, kędy, podług powtarzanych przy każdéj sposobności opowiadań, upamiętnił swój pobyt świetnemi kreacyami, grał z panną Mars i podzielał tryumfy Talmy. Jakoż rzeczywiście w tragedyi pięcioaktowéj p. t. „Jan ks. Burgundzki", w któréj Talma oczarowywał widzów, miał on, „Lemuche", powierzoną sobie rolę oficera pałacowego, składającą się z trzech niecałych wierszy. I tak daléj. Poczciwy zresztą i szlachetny, choć nie zapominający o swoich interesach.

A już wizerunek panny „Aurelii" to prawdziwy portret *à la Balzac*. Panna „Aurelia" jest córką ogrodnika, służącego na wsi u hr. „de Lustrac." W dwudziestym czwartym roku panieńskiego i surowego życia uwiódł ją przybyły z Paryża pomocnik architekta odnawiającego zamek hr. „de Lustrac", pół rzemieślnik, pół-artysta, a cały blagier imieniem „Piotr Grassou." Po czterech miesiącach walki z sobą „Aurelia" uciekła za nim do stolicy. Źle przyjęta, doczekała się niebawem tego, że ją znudzony kochanek częstował razami w miejscu pocałunków, a trochę późniéj tego, że ją porzucił. Zostawiona na bruku bez sposobu do życia, zapoznała się z wszystkiemi rozmaitościami nędzy, spróbowała wszystkich rzemiosł, aż dostała się do panny „Rozity." Zgodzona zrazu za szwaczkę, mianowana niebawem naczelną kamerystką i ochmistrzynią, zaprowadziła wkrótce wzorowy ład w domu, w którym dotąd panowały swawola

i rozbójnictwo całéj służby. Nie pozwoliła kraść nikomu, oprócz niéj saméj. I swoim własnym zaś zyskom zakreśliła pewną skrupulatnie przestrzeganą granicę. Po czternastu latach panna „Rozita“ ma 300,000 fr. długu, a panna „Aurelia“ 300,000 fr. majątku. Wielka, przez książąt Sawelinów zasilana, eksploatacya rozkoszy zbilansowała się akuratnie. I wtedy panna „Aurelia“ wypowiada służbę swojéj do Rosyi odjeżdżającéj pani, zabiera z sobą niejaką zrujnowaną hiszpańską grandesę, hr. „Guarenę“, dla eksploatowania jéj stosunków towarzyskich, tak jak eksploatowała dotąd wdzięki panny „Rozity“, osiedla się w Beauvais, zatapia się w dewocyi i w dobrych uczynkach i niebawem zajmuje jedno z pierwszych miejsc pośród niedomyślającego się jéj przeszłości prowincyonalnego świata. Zabrawszy z sobą, jak powiedziano wyżéj, małą „Criquette“, daje jéj staranne wychowanie i zamierza wydać ją za młodzieńca należącego do jednéj z lepszych miejscowych rodzin. Ale „Criquette“ upiera się przytém, aby jéj przeszłość wyjawioną została przed zaręczynami jéj przyszłemu mężowi. Zamknięta w swoim pokoju, ucieka nocą do Paryża i wiemy już co poczyna daléj. „Aurelia“ oznajmia Belowaceńskiemu towarzystwu, że jéj pupilka, nieprzezwyciężonemu powołaniu ulegając, wstąpiła do jednego z klasztorów paryskich i „Criquette“ nie słyszy już o niéj. W chwili, w któréj „Criquette“ umiera, była jéj opiekunka wybiera się na posiedzenie komitetu dam Belowaceńskich, zajmujących się losem „opuszczonych dziewcząt.“

Są jeszcze obok tego portretu w drugiéj połowie powieści pana Halévy ustępy, których nie wyrzekł by się Alfons Daudet, ba! sam Emil Zola.

„Agencya teatralna, kierowana przez pana Carmelle, mieści się od pół wieku w starym i smutnym domu przy ulicy Louvois.

„Ileż śpiewaków i śpiewaczek, ileż aktorów i aktorek zużyło stopnie wilgotnych i ciemnych wschodów, wiodących do biura agencyi. Ileż Rüy-Blasów i Lukrecyi! Ileż Fernandów i Leonor! Ileż starych pułkowników i młodych wdów *à la Scribe!* Ileż Giboyer'ów i Dalil! Ileż Dam Białych i Dam Kameliowych! Ileż Perrichonów i Fanfan-Benoitonów! Ileż Adryan Lecouvreur i Markizów de la Seiglière! Ileż Indyan i Charlemagne'ów!

„Ztąd to wyprawiają się, pośpiesznym pociągiem i bez gwarancyi, wszystkim zakłopotanym dyrektorom prowincyonalnym tenorowie i barytonowie, prymadonny i lekkie śpiewaczki, pierwsi kochankowie i drudzy kochankowie, ojcowie i matki, finansyerzy, komicy, *użyteczności* duże i *użyteczności* małe, młode kamerystki i kamerystki komiczne, *niewinności* zupełne i *niewinności* niezupełne, jedném słowem *niewinności* wszelkiego gatunku.

„I wszyscy i wszystkie, rozsypując się na powierzchni Francyi, Europy i dwóch Ameryk, idą puszczać w świat, pod formą dramatów, oper, komedyi, wodewilów i operetek krzyki, gniewy, morderstwa, bufonerye, otrucia, śmieszne *qui-pro-quo*, ucieszne *coq-à-l'âne*, małżeństwa z inklinacyi i małżeństwa dla pieniędzy, samobójstwa, kłótnie domowe, prośby, groźby, klątwy, przestrachy, dziwactwa, arlekinady, ekstazy, kalembury, upojenia, szaleństwa, pantalonady, przekleństwa rodzicielskie, podstępy niewieście, nienawiści rodzinne, wdarcia się do domów po drabinie, serenady, zasadzki, pojedynki, miłości platoniczne, przysięgi, że się umrze *pierwéj niż się będzie niewiernym*, pożegnania ze szczęściem i z życiem, poróżnienia i powroty do zgody, wyłudzenia testamentów, gwałty, marzenia pod gwiazdzistemi niebiosy, wezwania do miłości, do chwały, do honoru, jedném słowem wszystko co się może śpiewać, wszystko co się może deklamować, wszystko co się może tańczyć, wszystko co może pobudzać do płaczu, wszystko co może pobudzać do ziewania, wszystko co zasługuje na oklaski, wszystko co zasługuje na wygwizdanie, wszystko co może dać okazyą do płomienistych oświadczeń, do czułych barkaroli, do scen patetycznych, do komicznych śpiewek, do efektownych tyrad i do aryi z ruladami...."

Nawet w „Au bonheur des dames“ niemasz chyba więcéj wyczerpującego wyliczenia. Ale co obok tego wyliczenia i jego wyraziście realistycznéj tendencyi, co obok portretów „Aurelii“ albo „Rozity“ i ich wyraziście realistycznego charakteru robi postać saméj „Criquette“, postać z rosy i tęczy urobiona, o tak idealnych konturach, z jakiemi nawet u romantyków spotkać się nie łatwo. Skąd bierze się takie u téj dziewczyny, wyrosłéj niby trawka z bruku paryskiego, obeznanéj z życiem za kulisami teatrów paryskich, wypielęgnowanéj na kolanach „Rozity“ a późniéj w rękach „Aurelii“, skąd bierze się w niéj ta moc najczystszych pierwiastków etycznych? Ztąd, że się tak podobało autorowi. Innego wytłómaczenia szukać chyba nie warto.

„Pascal“ zdradził tę, która ukochała go całą duszą i która dla niego porzuciła wszystko, a hrabia „de Serignac“, którego miłość odrzuciła ona dawniéj, kiedy „Pascal“ był przy jéj boku, choć ta miłość, miłość szlachetnego, dzielnego i pięknego mężczyzny, namiętnie wyrażona, poruszyła niedotknięte dotąd struny jéj serca,—hrabia „de Serignac“ wraca teraz i przemawia znowu namiętnie i czule. I biedna „Criquette“ czuje, że tamta pierwsza miłość gaśnie w jéj zbolałém sercu, a nowa budzi się i opanowywa nią. Ale powiedziéć „Pascalowi“, który prosi o przebaczenie: „Nie kocham cię już, kocham innego, i oto on, młody piękny i bogaty,—nigdy!“

Dla czego?

— „Kochać was obu — szepcze umierająca Criquette do stojącego przy jéj łożu hr. „de Serignac“, którego pielęgnując na pobojowisku zaziębiła się — nie byłabym mogła... A więc.. dobrze tak... zupełnie dobrze...“

Dla czego? Dla tego chyba, że podobało się p. Halévy być tym razem idealistą, tak jak po „Criquette“ podobało mu się napisać „Księdza Konstantego.“

„Ksiądz Konstanty“ otworzył Halévy'emu wstęp do „Revue des deux Mondes“ i do Akademii francuskiéj. „Ksiądz Konstanty“ powitany został przez pewną publiczność jako tryumf zmartwychpowstającego i do nowego życia, do nowych świetnych przeznaczeń budzącego się idealizmu. Przez kilka miesięcy cały zastęp samozwańczych krytyków nie przestawał rzucać między nogi Daudetowi i Zoli niezrównanego „Księdza Konstantego.“ Ztąd konieczność dla mnie poświęcenia bodaj jednéj kartki na tém miejscu „księdzu Konstantemu.“ Inaczéj zaniechałbym chętnie tego zadania. „Ksiądz Konstanty“ jest historyą młodéj, kolosalnie posażnéj amerykanki, miss „Percival“, która rozkochuje się w młodym oficerze artyleryi, „Janie Reynaud“, i, dając mu pierwszeństwo przed innymi, hrabiowskimi i książęcymi konkurentami, a widząc potrzebę przezwyciężenia jego szlachetnych skrupułów, oświadcza się sama o jęko rękę; albo też naodwrót historyą młodego oficera artyleryi, „Jana Reynaud“, który zakochawszy się w kolosalnie posażnéj a przystojnéj skądinąd amerykance, miss „Percival“, i widząc się kochanym, postanawia pod natchnieniem szlachetnych skrupułów, oddalić się na zawsze od jéj boku z ukrytą w sercu tajemnicą téj podzielanéj miłości, ale daje się zatrzymać i powieść do ołtarza.

A „ksiądz Konstanty“? Ksiądz Konstanty gra w téj niewinnéj intrydze epizodyczną rolę poczciwego wiejskiego proboszcza, którego miss „Percival“ i jéj siostra pani „Scott“ pielęgnują i obdarzają hojnie najpierw dla tego, że jest ich proboszczem — pani Scott i jéj siostra należą mimo swego amerykańskiego pochodzenia do wyznania katolickiego — i poczciwym staruszkiem, a późniéj dla tego, że jest wujem „Jana Reynaud“, który korzysta ze spadających na jego ubogą plebanię jak z nieba okruchów amerykańskich kopalń dla uszczęśliwiania dokoła biednych swych parafian i służy do ułatwienia pierwszych stosunków miss „Percival“ z jéj przyszłym mężem, a zresztą nie służy do niczego w powieści. Więc skąd tytuł powieści? To historya długa, jak mówi Grabiec Słowackiego. Ztąd, że tytuł powieści to rzecz niezmiernie ważna; że „ksiądz Konstanty“ to tytuł pełen obietnic dla czytelników, zwłaszcza dla czytelników „Revue

des deux Mondes,“ którzy domyślają się pod nim mnóstwa ciekawych i ucieszných rzeczy, a choć doznają zawodu to nic nie szkodzi; i ztąd znowu że, kiedy ma się na myśli wizyty u członków akademii, przepisane przez tradycyą kandydatowi do czterdziestego fotelu, dobrze jest mieć z sobą „księdza Konstantego,“ albowiem księża suknia cieszy się za dni dzisiejszych dobrym zapachem w salonach stołecznych, innych niż salony oficyalne, a wiadomo, iż „Akademia“ jest pierwszym z nieoficyalnych salonów stołecznych;—i z wielu względów jeszcze.

Ładną jest zresztą ta postać „księdza Konstantego“ i zapewne nawet prawdziwą, choć oczywiście nie typową w swéj idealnéj, seraficznéj doskonałości. I ładną także historya miss „Percival“ i artylerzysty „Jana Reynaud“: a czy prawdziwą? W chwili prawie, w której „ksiądz Konstanty“ wychodził z pod prasy, dzienniki stołeczne oznajmiały o zaręczynach pewnéj prawdziwéj *miss* amerykańskiéj, o kolosalném, na kopalniach srebra zahipotekowaném wianie—z pewnym księciem rzymskim. Dajmy zresztą na to, że historya jest prawdziwą, czy prawdopodobną, ale słyszeliśmy już mało sto razy tę historyą! Historya to czapli chodzącéj po wysokiéj desce. Czy potrzebowaliśmy ją słyszéć raz jeszcze? Halévy opowiedział ją po raz setny i któryś z wielkim wdziękiem; dziękujemy panu Halévy, ale wolelibyśmy coś nowszego. Dajmy i na to w końcu, że niemasz nic nowego pod słońcem i że Halévy jest mistrzem w opowiadaniu starych bajek. Bajka to zawsze i nic więcéj, a że Halévy dostał się za tę bajkę do akademii Francuskiéj, dokąd nie dostał się ani Daudet, ani Zola, ani żaden z Goncourt'ów, ani Flaubert, dawniéj, ani Balzac, to może być pochlebném dla pana Halévy,—ale nie dla akademii Fracuskiéj.

Że zaś nie starczy téj bajki i odrobiny wody różanéj, którą rozlał w niéj autor dla odwrócenia bystrego i szerokiego potoku, jakim płynęło w inną stronę natchnienie jego rówieśników, to mi się zdaje także rzeczą niezawodną.

W gruncie rzeczy zresztą „ksiądz Konstanty“ zawdzięczył swój rozgłos i swoje powodzenie temu przedewszystkiém, że podpisał się pod nim librecista „Pięknéj Heleny“ i autor „Pani Cardinal.“ I w gruncie rzeczy Halévy pozostanie dla potomności tym librecistą i tym humorystycznym autorem, uczniem, pod względem powieściowéj formy, téj osobnéj szkoły, którą wytworzył tygodnik p. t. „*La vie Parisienne*,“ z której wyszedł swojego czasu Gustaw Droz, wychodzi zaś za dni naszych wyrabiający się talent autorki „Bob'a,“ „Autour du mariage,“ „Plume et Poil,“ itd. (Pani de Martel, podpisującéj się pseudonimem „Gyp“). Talent bardzo niewyrobiony jeszcze, skoro

doczekaliśmy się od niego niedawno téj lichéj a paszkwilem trącącéj ramoty, któréj tytuł „Le Druide“ zdradza dość jawnie skierowane przeciwko dziennikowi „Gaulois“ intencye autorki. Talent drugorzędny, nawet podług miary tego, czego się po nim spodziewać można, i nie zasługujący przeto na obszerniejszą w tych studyach wzmiankę.

3. Szkoła „Revue des deux Mondes.“

Szkoła to osobna, niezaprzeczenie; szkoła nie godząca się niezawodnie, mimo swych klasycznych tendencyi, z tą klasyczną zasadą, iż wszystkie rodzaje są dobre, prócz rodzaju nudnego; szkoła mająca swój własny, osobny i ściśle określony rodzaj, którego granice wytknęli raz na zawsze z jednéj strony Oktawiusz Feuillet z drugiéj Wiktor Cherbuliez i po za któremi niemasz zbawienia dla kandydata do ceglastéj okładki, chociażby temu kandydatowi było na imię Daudet, Zola, albo nawet Dumas syn. Jednemu autorowi „Małżeństwa Piotra Loti“ udało się je przekroczyć, a i to jedną tylko nogą.

Rodzaj to zasadniczo idealistyczny, mimo pretensyi niektórych jego reprezentantów do powinowactwa z Balzac'iem. Najwybitniejszemu z nich, panu Andrzejowi Theuriet, podobało się nawet umieścić w ustach jednego ze swych bohaterów „Michała Verneuil“ (1883) szumny panegiryk wielkiego mistrza „komedyi ludzkiéj.“ Michał Verneuil, tytułowy bohater powieści, popisuje się tym panegirykiem przed mieszkańcami miasta Tours, kędy pełni skromne obowiązki profesora sekundy w miejscowém liceum, żywiąc przytém ambitniejsze nadzieje i występując, dla utorowania im drogi, z odczytami publicznemi. I oto, w ciągu takiego odczytu, spostrzega się młody i początkujący w swym zawodzie prelegent, że jego realistyczne tendencye obrażają obecnego w sali arcybiskupa, zmienia przeto natychmiast ton i treść swéj prelekcyi, wtrąca do niéj improwizowane na cześć chrześciańskiego ideału peryody; kierując się daléj chwytanemi z postawy innych swych słuchaczy wskazówkami, improwizuje przez całą godzinę, dogadzając domyślnym ich upodobaniom i pojęciom, i naturalnie zdobywa powszechny aplauz. Ten młody i początkujący prelegent nie jest bynajmniéj wyjątkowo uzdolnionym mówcą; autor przyznaje mu talent bardzo mierny i gotuje mu najzupełniejsze fiasco za pojawieniem się na katedrze paryskiéj, a jednak zaczyna od tego, że mu każe dokazywać tam, w Tours, takiéj sztuki krasomówczéj, na jaką nie zdobył by się podobno żaden z teraźniejszych, przeszłych i przyszłych prelegentów całego świata. Takim jest realizm pana Theuriet.

Rodzaj pana Theuriet i rodzaj „Revue des deux Mondes“ jest jeszcze i przedewszystkiém zasadniczo konwenansowym. Bo sztuka polegająca na niewolniczém naśladownictwie danego typu nie może jak tylko być konwenansową. Pewna rozmaitość formy i treści dozwoloną jest w tym rodzaju. Można uprawiając go, zawadzić nawet o pornografią jak to uczynił p. Rabusson, w „Dans le monde“ (1883).

„Księżna d'Altenay,“ ulegając czułemu wezwaniu młodego oficera kawaleryi „Rogiera de Tremont,“ przybyła do jego mieszkania, opowiedziawszy w domu, że jedzie na dni kilka do swych dóbr bretońskich:

„Stanąwszy przed łóżkiem, które zdawało się czekać na nią jak ołtarz na swoję ofiarę—chociaż pozostawało wstydliwie przykrytém kretonową swoją zasłoną w kwiatki—Magdalena zarumieniła się bez żadnego wysilenia (*sic*), a gdy Rogier, lubiący jak się zdaje światło, zapalił kandelabry, schowała twarz w ręce, zakłopotana istotnie swoją postawą. Uczuła wtedy, że palce młodego jéj towarzysza, pracujące od niejakiéj chwili z zaciekłością około guzików jéj stanika, dały nagle folgę swéj niecierpliwości. Spojrzała i zobaczyła Rogiera o dwa kroki przed sobą, patrzącego na nią spojrzeniem tak pełném uwielbienia, czułości i posłuszeństwa, że jéj pomięszanie i wstydliwość opuściły ją w téj saméj chwili... Pozwoliła mu wtedy dokończyć niedyskretnéj swéj roboty, którą był rozpoczął tak niezgrabnie. Dopomogła mu nawet; bo w takich razach mężczyzna, któremu pilno, jest niepojęcie powolnym. Poczém oddała się w całości, bez targu, bez dyskusyi, bez afektowanych skrupułów, bez zastrzeżeń w myśli lub czynie... Pięć dni z rzędu trwała prawdziwa orgia miłości; bo dla ludzi zdrowych a tém samém nie nadto skłonnych do metafizyki, miłość jest bankietem raczéj jak idyllą. Magdalena zapomniała o Bretanii, o swoich zaniedbanych majątkach, o czekających na nią dzierżawcach. Zapomniała jeszcze o wielu rzeczach, ale nauczyła się tylu innych, że znalazła się kompensata“...

Oczywiście p. Hennique jest cokolwiek brutalniejszym w opisie analogicznéj i tak samo w wersalskiéj oficerskiéj kwaterze umieszczonéj sceny między panią „Hébert“ a panem „de Ventujol“ (w „L'accident de Mr. Hébert“) ale różnica doprawdy nie wielka.

Można także, jak tego zwycięzko dowiódł młody p. de Bounieres swojemi „Les Monach“ (1884) pogrążyć siebie i czytelników w uciechach salonowéj i skandalicznéj reporterki. Ale trzeba zawsze oblać swoje pomysły tą specyalną mieszaniną eteru i wody różanéj, któréj formułę wynaleźli dwaj mistrzowie szkoły. Można powiedzieć o pani d'Altenay, że miała „ząbki młodego psa bonońskiego,“ ale trzeba dodać, że miała „małą konchę z różowego koralu zamiast ucha“

i wyrazić, że z temi ząbkami i z tą konchą stanowiła „mieszaninę snu i życia, „amalgamat ideału i ciała, poezyi promiennéj i palącéj zmysłowości.“ A zaś jak ognia trzeba się wystrzegać wszelkiéj oryginalności, wszelkiéj pretensyi do indywidualizmu, wszelkiego zapędu w nowe niezwiedzane okolice po niewydeptanych ścieżkach.

Tym sposobem wytworzyło „Revue des deux Mondes“ cały zastęp pod-Feuillet'ów i pod-Cherbuliez'ów, którzy, zacząwszy od przepisywania Feuillet'a i Cherbuliez'a, kończą na przepisywaniu samych siebie. Każdy z nich posiada jeden, dwa lub trzy najwyżéj tematy, które obrabia i przerabia z roku na rok. Taki Theuriet trafił na pomysł dwudziesto-kilkoletniego młodzieńca, który zakochuje się w trzydziesto-kilkoletniéj wdowie, żeni się lub chce się z nią żenić, i póżniéj dopiero, za późno, spostrzega że ta wdowa ma córkę podobną do siebie ale ośmnastoma laty młodszą, z którego to spóźnionego odkrycia wynikają naturalnie tragiczne komplikacye. W „Michel Verneuil“ młodzieniec ten jest profesorem liceum i żeni się z córką po wymienieniu z matką czułych oświadczeń a nawet uścisków, ale córka dowiaduje się o wszystkiém. W „Sauvageonne“ tenże młodzieniec jest leśniczym rządowym i żeni się z matką, ale zostaje później kochankiem córki, która na szczęście jest tylko córką przybraną. Ten sam to jednak tu i tam młodzieniec, bez żadnéj możliwéj wątpliwości, tak samo pospolity, ani nadto zły ani nadto dobry, ani nadto mądry ani nadto głupi, i ta sama matka, rozsądna, zimna nawet, ale ulegająca późnemu porywowi rozbudzonych zmysłów i ocknionéj wyobraźni, i ta sama córka źle wychowana, ekscentryczna, rzucająca się na szyję mężczyznom, i ta sama powieść.

Wszystkie te postaci należą zresztą do wspólnego wszystkim wychowańcom „Revue des deux Mondes“ magazynu akcesoryów. Z panną „du Coudray,“ którą Theuriet zawodzi, bez asystencyi macierzyńskiéj, naprzód do mieszkania a później w objęcia profesora *sekundy*, „Michała Verneuil,“ spotykamy się i u pana Th. Bentzon'a, w jego „Tête Folle“ (1883). Tylko tu nosi ona imię panny d'Ercquy i wybiera się o północy do lasu dla spotkania pięknego magnata węgierskiego. A niewiem czy i „Lia Monach“ pana de Bonnieres, przyjmująca w swojéj dziewiczéj sypialni—o północy także pięknego Rogiera d'Espagnes nie jest tą samą osobą. Jednak na szarym końcu i jakby z łaski przez wybredny dwutygodnik pomieszczona powieść pana Bonnieres jest może tą z pomiędzy spółcześnie nam przezeń udzielonych, w któréj mieści się największa stosunkowo suma motywów oryginalnych. Obraz izraelskiéj rodziny „Monachów“, wędrującéj z karczmy pod Krakowem na Frankfurt i Wiedeń do Paryża, etapami szybko rosnącéj fortuny, jest z natury pochwyconym i udat-

nym. Bo w żyłach pięknéj Lii płynie krew polskiego, galicyjskiego żydka. Ojciec jéj matki, „Rebb Itzig“ szynkował półkwaterki w okolicach Krakowa, i nie zaniechał tego rzemiosła nawet po wydaniu swéj córki za kantorowicza frankfurckiego, „Monacha“, spotkanego w Toeplitz. W roku 1870-ym cała rodzina, razem z wystraszonemi z Frankfurtu przez wojnę „Monachami“ znalazła się w ubogiéj nadwiślańskiéj karczmie. Niebawem jednak „Monach“ podążył do Wiednia, wzbogacił się tam szybko i nabył tytuł barona. Krach dosięgnął go; ale przeniosłszy się do Paryża, potrafił on niebawem powetować tę klęskę. Charakterystyka moralna tego wędrownego plemienia wskazuje w panu de Bonnieres trafnego badacza. Stara „Monachowa“ jest skrupulatką w materyi religijnéj, utrzymuje przy sobie kantora, młodego i eleganckiego żydka, dla odmawiania modlitw, oraz kucharza purystę, w długim surducie. Syn jéj a ojciec „Lii“ ulega wpływom otaczającego go wśród nowéj fortuny świata, ale drży przed matką i wraca od czasu do czasu, za jéj przyczyną, do zaniedbywanych praktyk religijnych. „Lia“ sama jest już zupełnie wyemancypowaną i kieruje się tylko względami własnéj ambicyi, którym wszelako wchodzi w drogę kompromitująca zapalność krwi wschodniéj i trudnego do utrzymania na wodzy temperamentu. Przywiódłszy młodego i szlachetnego „Rogiera d'Espagnes“ do owych nocnych odwiedzin, które w jego pojęciu przywiązują go do niéj na zawsze, nie umie ona oprzéć się popędowi rozdrażnionéj zmysłowości i rzuca się sama w jego objęcia z namiętnym bezwstydem, który przejmuje go przestrachem i wstrętem. Odpycha on ją i oddala się—co zresztą, mówiąc nawiasem—daje nieszczególne wyobrażenie o jego własnym temperamencie. Za czém obrażona „Lia“ pobudza dawniejszego swego konkurenta, markiza „de Courtaron“ do pomszczenia jéj w pojedynku, który przyprawia o śmierć nieszczęsnego „Rogiera.“ Przed doprowadzeniem nas do téj katastrofy, rozwija Bonnieres przed nami szereg scen z życia paryskiego, namalowanych nie bez werwy, humoru i dowcipu. Ładnym jest obrazek zabawy dobroczynnéj „dla ubogich ułomnych“, urządzonéj staraniem „komitetu dam katolickich“ a kosztem izraelity „Monacha“. „Lia“ ubrana w białą atłasową suknię, pokrytą bukiecikami z naturalnych fiołków,—która to suknia, podług powtarzanéj przez „Monacha“ uwagi, *raz* tylko może być włożoną—sprzedaje kwiaty. Gdy nie staje rozchwytywanych za bajeczną cenę kwiatów, „Lia“ wpada na pomysł sprzedawania po lujdorze bukiecików zdobiących jéj suknię, i naturalnie pomysł ten spotyka się z szalonėm powodzeniem. Uzbrojony w nożyczki „Rogier d'Espagnes“ dopomaga do szafowania pachnącego towaru. Ciekawym także opis prywatnego cyrku, w którym kwiat

arystokratycznéj młodzieży popisuje się łamańcami na trapezie i konnemi igrzyskami. Doskonałym nareszcie bal u „Monachów“:

„Z postępem wieczoru coraz to większa swoboda rozprzestrzeniała się między zaproszonymi wszelkiéj kategoryi. Tracono powoli wszelkie uszanowanie dla miejsca i dla gospodarzy. Każdy czuł potrzebę niszczenia się po swojemu za narzucony sobie przepych i zbytek. Używano i nadużywano bufetu ze wstrętném żarłoctwem. Zabierano zewsząd kwiaty, przyczepiając je do gorsów i do klap frakowych. Rabowano zdobiące zimowy ogród winnice tak brutalnie, że w kilku miejscach wisiały wyrwane z ziemi szczepy same. „Monach“ przebiegał salony, rozpromieniony. Widział w tém wszystkiém dowód, że zabawa udaje się. Nie najmniéj dobrze wychowani pozwalali sobie najwięcéj.... Ktoś zaproponował, aby rozrzucić skórki od mandarynek, dla wywracania gości. Inny założył się, że wypije trzydzieści szklanek ponczu. Uczeń ze szkoły politechnicznéj chciał uorganizować pochód studencki, gęsiego (*monôme*). Malarz-dowcipniś, nazwiskiem Serizier, kazał się anonsować: Cerisiez de Montmorency. Przedstawiono go „Monachowi“ jako księcia....“

Wszystko to jest udatném niezaprzeczenie, ale niezaprzeczenie także niema w tém wszystkiém nic, coby postawioném być mogło naprzeciw genialnych kreacyi Daudet'a albo Zoli i wystarczało do przywiązania umysłów i wyobraźni, odciągniętych w inną stronę potężniejszym prądem natchnienia. Niemasz nic z tego, czém narzucają się umysłom i wyobraźniom przeznaczone do takiéj roli dzieła: głębszéj myśli jakiejkolwiek, skierowanéj do jakiegokolwiek ideału tendencyi artystycznéj, filozoficznéj czy humanitarnéj nie szukać w tych ramotach i ramotkach. Szkoła wytworzona przez nadużywającą zdobytego stanowiska „Revue des deux Mondes“ żyje eksploatacyą potężnéj firmy; ale i ta potęga nie ma zapewnionéj przyszłości przed sobą. „Revue des deux Mondes“ doświadcza losu wspólnego wszystkim instytucyom, które stoją na miejscu, śród wiecznym pędem ku tajemniczéj mecie porwanego świata naszego. Spółczesne dźwignięcie się i szybki rozwój kilku współzawodniczących wydawnictw („Nouvelle Revue“, „Revue bleue“, „Revue artistique et littéraire“ i t. d.) wskazują, iż świat poszedł swoją drogą, na któréj pan Brunetière i jego uczniowie zatrzymać go nie potrafią.

4. Powieściopisarki.

Georges Sand nie żyje. Może godziłoby mi się ograniczyć do téj nekrologicznéj wzmianki mój przegląd spółczesnego niewieściego powieściopisarstwa. Nie mam bowiem i nie mogę mieć zamiaru być

wyczerpującym na tém miejscu. Poprzestać mi wypada na zaznaczeniu wybitniejszych objawów twórczości piśmienniczéj w obranym za przedmiot studyów niniejszych rodzaju; z pomiędzy zaś uprawiających dziś ten rodzaj piór niewieścich żadne podobno nie objawiło swéj wyższości jakiémkolwiek dziełem zasługującém z tego względu na rozbiór szczegółowy. Z wyjątkiem zresztą pani Durand (Henry Gréville), spadkobierczynie dzisiejsze „Lelii“ i „Korynny“ są raczéj dyletantkami niż powieściopisarkami z rzemiosła. W godnéj przekazanego sobie imienia córce marszałka Davoust, margrabinie de Blocqueville wspominać będzie przyszłe pokolenie raczéj jednę z ostatnich wielkich dam świata tutejszego, i gospodynią ostatniego podobno z prawdziwych, wszystkim arystokracyom otwartych salonów, niż autorkę kilku powieści, o których mówi się: „*il y a de belles pages*“, tak jak w słynnéj komedyi Pailleron'a nieoceniony generał mówi o odczytanéj przed nim tragedyi: „*il y a un beau vers.*“ Podobnież i urocza Julietta Lamber (pani Adam), jeżeli zdarzy się jéj przejść do potomności, przejdzie do niéj jako jedna z przyjemniejszych kobiet tego czasu, szczęśliwa na chwilę wskrzesicielka, w swoim salonie przy bulwarze Poissonière, nieśmiertelnych tradycyi pani Récamier i redaktorka „Nouvelle Revue“, nie zaś jako autorka „Poganki“ („Païenne“, 1883). W przedmowie do téj ostatniéj powieści, czytam pod adresem Aleksandra Dumasa, syna:

„Tobie jednemu, kochany przyjacielu, mogłam przypisać tę *Pogankę*. Nie podoba ci się ona, ponieważ jest apoteozą miłości; znajdziesz w niéj atoli podwójny prąd mistyczny i zmysłowy, który dostarczy ci, jak sądzę, ciekawego przedmiotu do obserwacyi.“

Nie wiem czy i co Aleksander Dumas znalazł w zaleconym sobie „podwójnym prądzie“, ponieważ nie zwierzył się z tego przed nikim; osobiście nie potrafiłem znaleść w nim nic, prócz staréj kłótni między platoniczną a zmysłową miłością, utopionéj w powodzi liryczno-dytyrambicznych, po części od „Lelii“ i „Korynny“ zapożyczonych frazesów i prócz wielkiéj liczby nie usprawiedliwionych niczém, jak mi się zdało, pretensyi.

Mniéj pretensyonalną nierównie jest pani Henry Gréville, autorka dobrze czterdziestu, jeżeli nie więcéj, nie próżnujących na półkach romansów, których ambicya nie sięga pospolicie po za skromną intencyą zabawienia specyalnéj, przeważnie niewieściéj klienteli szeregiem mniéj lub więcéj udatnie zawiązanych i rozwiązanych intryg. Długi dawniejszy pobyt w Rosyi, dokąd zawiodły autorkę koleje pierwotnego zawodu nauczycielskiego, skłania ją do częstego obcowania ze światem tamecznym, jego krajobrazami i postaciami, a nie pozostaje nawet obcym podobno pewnym właściwościom jéj stylu.

Nierzadko też posługuje się ona wspomnieniami anegdotycznemi, wywiezionemi z dalekiego tego wygnania, które zresztą nie zostawiło jéj, jak się zdaje, zbyt przykrych wspomnień. Do takiego anegdotycznego rodzaju należy np. wielką poczytnością ciesząca się „Raïssa." Historya to, prawdziwa podobno, ubogiéj dziewczyny, zgwałconéj przez oficera od kawalergardów, którego cesarz skazuje na poślubienie swéj ofiary, utratę majątku na jéj rzecz i wydalenie do Syberyi. „Raïssa" daje się powieść do ołtarza, ale nie przyjmuje majątku, odsyła skrupulatnie zbierane przez się z wielką zabiegliwością dochody przymusowemu małżonkowi; gdy zaś ten zapada na tyfus, biegnie śród zimy pielęgnować go. Oczywiście tyle poświęcenia nie pozostaje bez nadgrody (inaczéj pani Gréville nie byłaby idealistką i nie mówiłbym o niéj na tém miejscu) i z woli monarchy za „Pompiliusza" wydana, „Numa" zostaje żoną Pompiliusza z jego wyboru.

Milszą czułym sercom niewieścim i rozmarzonym wyobraźniom od téj cokolwiek awanturniczéj bohaterki jest „Sonia." Typ to dość wdzięczny, najwdzięczniejszy podobno z tych, które wyszły z pod tego samego pióra, tylko nie całkiem oryginalny, coś nakształt Goethowskiéj „Mignon", przeniesionéj nad Wołgę. „Sonia" jest biedną sierotką, wydartą znęcającym się nad nią rękom przez ubogiego studenta, wychowana przezeń czy przez jego matkę, przyjęta za sługę, a wreszcie poślubiona, po zawiedzionych nadziejach związku z piękną i dumną „Lidią" córką generałowéj „Gorelin." Kontrast między płochą miłością „Lidyi" z głębokiém przywiązaniem „Soni"; rozwój i stopniowe przekształcenie tego ostatniego przywiązania, zrazu instynktowego, zwierzęcego prawie, późniéj niewolniczego, aż wreszcie prawdziwém kobiecém natchnionego uczuciem; walka dwóch uczuć w sercu, namiętną miłością dla „Lidyi", tkliwą czułością dla „Soni" przejętego młodzieńca, wszystkie te z prawdziwym artyzmem oddane i zestawione rysy przynoszą zaszczyt autorce. Generał „Gorelin" poczciwy wojak, nieustraszony przed armatami a drżący przed obliczem małżonki i szukający ucieczki przed dolegliwościami małżeńskiego pożycia w obcowaniu z dwoma tuzinami kolejno zapalanych fajek, jest także doskonałym, ale także nie nowym. Co widać tu nowego, to jakiś religijno-mistyczny nastrój ducha, może trafnie zaobserwowany, może należący istotnie do oryginalnych przejawów ludowego geniuszu rosyjskiego, ale trochę niespodziany u czternastoletniéj Soni i trochę fantastyczne w niéj przybierający kształty. Wobec rozpaczającego przy zwłokach ukochanéj matki pana swojego, czternastoletnia, nawpół dziecinna a nawpół dzika „Sonia" przeobraża się nagle w kapłankę jakąś, napominającą poważnemi i uroczystemi słowy do rezygnacyi i męskiéj stałości, w Sybillę prze-

mawiającą z trójnoga. Pani Gréville jest zapewne tego zdania, że „quand on prend de l'idéalisme, on ne saurait trop en prendre."

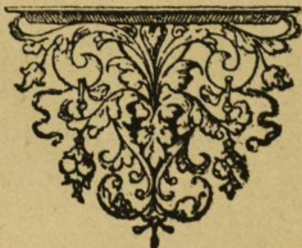
Pełną życiowéj obserwacyi i z natury żywcem uchwyconych szczegółów jest historya „Kumiasynów" („Les Koumiassine", 1875), ale także utopiona w bezmiernéj powodzi idealizmu. Idealnie dobrym okazuje się książę „Szuroff", idealnie złą hrabina „Kumiasyn" idealnie poczciwą guwernantka szwajcarka, panna Bochet. Guwernantki są zawsze idealnie poczciwemi w powieściach pani Gréville. Nadto przytém, tu i wszędzie, we wszystkich utworach szanownéj autorki, natłoczonego bogactwa scen, obrazów i obrazków niezawsze usprawiedliwionych dającym się przywiązać do nich interesem. Nadto rozwlekłości i rozwodnienia. Znać, iż autorka pisząc, ma dużo czasu przed sobą, a nie znać aby przypuszczała, iż czytelnik może być mniéj obficie zaopatrzonym w tym względzie.

Ostatecznie dużo tu rzeczy ładnych, ale sporo także mdłych i ckliwych; dużo prawdziwych, ale tyleż samo co najmniéj fantastycznych. Nikt się tém nie otruje, ale mało kto się pożywi.

W tych samych mniéj więcéj granicach, tylko z nierównie więcéj ograniczoną miarą artystycznych zasobów, idealistkami są wespół z autorką „Raisy" i „Soni" wszystkie — po za panią Adam — spółczesne przedstawicielki niewieściego w formie powieściowéj natchnienia. Okoliczność to niezaprzeczenie pochlebna dla zaszczyconego takim wyborem artystycznego kierunku, ale nie mniéj niezaprzeczenie nie wystarczająca dla zabezpieczenia jego losów.

Ostatecznie cierpi idealizm spółczesny na brak niezbędnego w każdym kierunku, ale w tym kierunku właśnie niezbędniejszego jeszcze pierwiastku życiowego: na brak idei i ideałów.

K. Waliszewski.





ZARAZA MORALNA.

O Zarazie moralnéj. Studyum psychologiczno-społeczne przez J. Wł Dawida. Warszawa, 1886. str. 224.

Tytuł książki sam wskazuje, że treść jéj należy częścią do etyki, a częścią do psychologii; jeżeli zaś autor ogół rozstrząsanych zjawisk nazwał *Zarazą*, to oczywiście jest-to tylko przenośnią. Pewien ruch, uczynek, słowo tylko przenośnie można zarazkiem nazywać; niemniéj utarło się nawet w mowie potocznéj nazywanie pewnych objawów niemoralnych, częściéj się powtarzających w społeczeństwie, epidemiami. Ale jeżeli takie objawy ujemne nazwano epidemiami, musi zachodzić niejakie podobieństwo między procesem, jaki zarazek materyalny sprawia w organizmie fizycznym jednostkowym, a procesem, jaki w organizmie umysłowym, psychicznym sprawia niemoralny czyn lub słowo. I tak jest w istocie; podobieństwo między obu procesami zachodzi, i na téj analogii można budować studyum o zarazie moralnéj, pamiętając jednak, zwłaszcza przy wyciąganiu wniosków, że to tylko podobieństwo.

Już starzy wiedzieli, że człowiek jest zwierzęciem najbardziéj naśladowczém, *zoon mimekotaton*; jest-to wielki dar natury, na nim bowiem, tj. na téj zdolności do naśladowania innych, polega cała pierwszych lat naszych edukacya. Nim człowiek ile-tyle dojrzeje, nim się w nim rozwinie świadome działanie, żyje naśladownictwem; co ważniejsze, ogromna większość rodu ludzkiego nie wychodzi poza naśladowanie, nie pozbywa się téj owczéj właściwości do śmierci. Jabłko pada niedaleko od jabłoni. Na wzór rodziców urabiają się dzieci, a na wzór króla, dwór jego. Jeżeli ojciec uprawia jakieś rzemiosło, naukę, sztukę; jest bardzo prawdopodobném, że syn nabierze do nich zamiłowania. Uczeń w szkole naśladuje najdzielniejszego kolegę; stara się tak samo jak on nosić włosy, paznogcie, krawat. Na téj dążności do naśladowania polegają mody. Rzecz to znana, więc dość o niéj napomknąć, ażeby przed umysłem czytelnika stanę-

ły całe szeregi faktów z życia towarzyskiego, świadczące o skłonności przyrodzonéj człowieka do naśladowania. Mając na uwadze tę właściwość psychicznéj strony człowieka, spotykaną powszechnie i w świecie zwierzęcym, przynajmniéj w wyższych gatunkach zwierząt, możemy zrozumiéć wpływ otoczenia ludzkiego na jednostkę, zarówno w dodatnim, jak i w ujemnym kierunku. Autor roztrząsanéj tu książki wziął sobie za zadanie rozważyć właśnie wpływ otoczenia na człowieka pod tym ostatnim względem, mianowicie, o ile ono przez czyny i słowo oddziaływa na jego demoralizacyą.

Ażeby zrozumiéć zjawiska stanowiące zarazę moralną, potrzeba wziąć pod rozbiór dwie strony: człowieka i jego otoczenie, czyli świat ludzki, w jakim żyje. Ponieważ zaraza moralna polega na naśladownictwie czynów, uznawanych za niemoralne, więc trzeba zacząć od analizy naśladownictwa. Usposobienie do niego stanowi powszechną właściwość duszy ludzkiéj, szczególniéj we wcześniejszym peryodzie życia, lub też przy braku uprawy umysłowéj, przy żartkich namiętnościach, a niewyrobionéj woli. Dzięki kojarzni wyobrażeń, widok cudzego ruchu prawie mimowiednie pociąga za sobą z naszéj strony ruch podobny i to tém pewniéj, im bardziéj usposobienie nasze, czyli predyspozycya, ku temu się nadaje. Predyspozycya taka może leżyć zarówno w psychicznéj, jak i fizycznéj, albo lepiéj fizyologicznéj, stronie człowieka. Szczególniéj pod tym względem zasługują na uwagę stany nerwów; jednostki zbyt żywo czujące, wogóle newropaci, pochopniejsi są do naśladowania podniet, dochodzących z zewnątrz, aniżeli organizmy silne. Pomijając objawy patologiczne i nie wdając się w rozstrzyganie, o ile każde zboczenie moralne, będące niby chorobą duszy, wynika z zachwianéj równowagi sił organizmu, a ile w akcie niemoralnym przypada na dziedziczność; przejdźmy do wpływu, jaki otoczenie wywiera na jednostkę. Tu już mamy do czynienia z faktami konkretnemi, które autor bierze z naszego społeczeństwa. I tu jednakże trzeba poprzestać na ogólnikach, dla braku ile-tyle wiarogodnéj statystyki. Do ogólników należą takie np. twierdzenia: „Klasa bogatych właścicieli ziemskich, kapitalistów, rentierów przepędza większą część dnia, roku w bezczynności“; w klasie najuboższéj „część pewna nie pracuje wcale dla braku pracy, z lenistwa lub pijaństwa... robotnik fabryczny, szwaczka, pracując, mogą jednocześnie marzyć, przyglądać się, słuchać opowiadania... Kobiety, prócz może klasy najuboższéj, pracują mniéj od mężczyzn, a przytém praca ich przeważnie mechaniczna pozwala na względną bezmyślność“ (54—55). Twierdzenia te, niczém nie poparte, wyglądają na ogólnikowy morał, a nadto grzeszą nieprawdą psychologiczną, albowiem nawet przy pracy mechanicznéj, jeżeli się

ją jako-tako odbywa, ani marzyć, ani przyglądać się jednocześnie niepodobna, chyba może przy robieniu pończochy, lub toalecie. Za to prawdą jest, że niektóre klasy pracujących jak np. po biurach, szkołach, późniéj zaczynają robotę, niż w innych krajach, że niektóre warstwy, tak zwane inteligentne do późnéj nocy przeciągają zabawy, a tém samém nazajutrz dłużéj spać muszą, i że wogóle jesteśmy narodem bardzo próżniaczym. W takiém otoczeniu młodsi i starsi znajdują niemało podniet do występku; jeżeli zatém w nich samych znajdą się czynniki takie, jak i pożądanie zysku, odziedziczone instynkta złośliwe i wstręt do życia, zjawią się niechybnie i występki. Przeciwko występkom działa represya sądowa, i opinia; pierwsza z nich została sparaliżowana przez wyjęcie wielu wykroczeń z pod kompetencyi władz administracyjnych i oddanie zwykłym sądom, które znów mniéj energicznie mogą dochodzić winy z powodu licznych formalności, krępujących postępowanie śledcze. Autor zdaje się nad tą zmianą procedury ubolewać zgodnie z mnóstwem spółczesnych ludzi; ale i sądy administracyjne, dawniejsze, nie były tak idealne: ukrócenie ich samowoli nie byłoby złém samo w sobie, lecz gdy do téj zmiany przyłączyły się pewne teorye deterministyczne, widzące w zbrodniarzu chorego, a w zbrodni chorobliwe zboczenie, zależne od odziedziczonéj organizacyi, to w istocie mógł się obniżyć moralny poziom społeczeństwa. Co się tyczy opinii jako środka powściągającego czyny niemoralne, należy zauważyć, iż bywa ona dwojakiego rodzaju; przemytnicy i koniokrady mają swoję opinią a znów skarb i właściciele koni, swoję; opinie te są oczywiście sobie przeciwne. Wiedząc, jak powstaje opinia, niewiele na nią można liczyć w powściąganiu występków; może ona być uważana za karę odstraszającą tam tylko, gdzie ogół mieszkańców uczciwy, a jednostki występne są nieliczne i odosobnione. W wielkich miastach, opinia o jednostkach, zwłaszcza pospolitych, przestaje ścigać winowajców, gdy się przeprowadzą na inną ulicę: słowem, opinia, jako hamulec występku, okazuje się bardzo niedostatecznym środkiem powściągającym. Dzięki szerzeniu się czynów występnych cała atmosfera publiczna przesiąka niemi i wówczas opinia także staje się dla nich pobłażliwszą, albowiem sama publiczność znajduje w sobie grunt do sympatyzowania z występnymi. Na to wszystko można się zgodzić z autorem; trudniéj przystać na twierdzenie, że między przyczynami powodującémi większą pobłażliwość dzisiejszéj opinii, mieści się również „rozpowszechnienie i ugruntowanie pojęć demokratycznych" (90). Argumenta przytoczone w książce na poparcie tego zdania, niekoniecznie przekonywają czytelników.

Oprócz sprawiedliwości karzącéj i opinii, na powściąganie naśladowania czynów niemoralnych wpływa też i religia: ale o ile wpływa, daleko trudniéj rozstrzygnąć, niż gdy chodzi np. o wpływ kodeksu karnego. Autor nie dodaje, o jakiéj religii mówi; bo, że nie wszystkie jednakowo wpływają na czyny ludzkie, rzecz pewna z porównawczéj historyi religii. Klasyfikując znów religijność rozmaitych warstw, autor czyni dowolne przypuszczenie, jakoby wśród naszéj młodzieży szkolnéj zakładów średnich i wyższych miało być nie więcéj jak około 5% wyznających chociażby deistyczną formę religii (95). Wszelka statystyka musi pod tym względem chybić; do duszy ludzkiéj, do sumienia trudno zajrzéć a témsamém ocenić, o ile pewne pojęcia religijne prowadzą za sobą takie, a nie inne czyny, zwłaszcza, że na czyny ludzkie składa się mnóstwo pobudek, śród których religijne mogą się tylko w pewnéj mierze przyczyniać. Kto „w głębi duszy wyznaje wzniosłe zasady bezinteresowności i miłości bliźniego“ ten nie może być „nieuczynnym, chciwym, wyzyskującym cudzą pracę“ (97). Jeżeli zaś jest takim, to w głębi duszy owych zasad nie wyznaje: silne, głęboko tkwiące w duszy przekonania i zasady prowadzą do odpowiednich sobie czynów; jeżeli nie prowadzą, to nie były głęboko zakorzenione, i w walce z namiętnością lub interesem uległy. Chcąc z tego dylematu wyjść obronną ręką, autor zbija „domniemanie,“ iż człowiek jest istotą „jedną albo jednolitą“ i na dowód tego szuka przykładu w patologii. Przykład ten mamy szczegółowo opisany w monografii dra A. Berjona (*La grande Hystérie chez l'homme*—1886). Chory czuje się raz w jedném miejscu inną osobą, drugi raz, w inném miejscu znów inną, a te zmieniające się stany jego świadomości czyli osobowości lekarze wywołują w nim dowolnie. Fakt nadzwyczaj interesujący dla psychologa, ale gdyby podobnych było więcéj, jeszcze stan anormalny chorego, nie może decydować o funkcyonowaniu świadomości w stanie normalnym; w stanie normalnym czujemy się sobą do końca życia. Przerwa świadomości jest niewątpliwie wynikiem nieładu w organizmie, i fakta podobne wspomnianemu świadczą jedynie o zależności działań umysłowych od funkcyi somatycznych, lecz nie mogą zachwiać bezpośredniego czucia, że jesteśmy, pomimo wszelkich zmian, sobą, że nie tracimy poczucia swojego *ja*, swojéj osobowości. Dowód wzięty z powyższego faktu nie rozstrzyga zatém ani pytania o jednolitości naszego *ja*, ani o wpływie pojęć religijnych na powściąganie człowieka od czynów niemoralnych. Wpływ ten jest większy, niż autor przypuszcza, w tych zwłaszcza sferach, gdzie brak innych pobudek do działania; ale o tém statystyka mało, lub nic nie może powiedziéć. Pomimo tego w dalszym ciągu rozbieranego pytania, autor

mniéj przypisując wpływu wierze religijnéj na hamowanie występków, przyznaje, iż może ona „działać dobroczynnie, utrudniając wyrabianie się podniet, zmniejszając dla nich usposobienie w człowieku“ (115). O to właśnie chodzi. Dlatego też godzimy się z autorem, gdy mówi, że religia „zajmując umysł człowieka obrazami nadziemskiego szczęścia, piękna i sprawiedliwości“, może powściągać gonienie za rozkoszą zmysłową, za użyciem, a podnosić żywotność organizmu i czynić go zdolniejszym do znoszenia trudów i cierpień.

Innym czynnikiem, powściągającym człowieka od naśladowania czynów niemoralnych, jest „uczucie moralne, uważane jako uczucie obowiązku“ (118). Autor uczucie to uważa za czynnik „o wiele donioślejszy od wierzeń religijnych.“ Może tak być w bardzo szczupłéj liczbie ludzi gruntownie ukształconych, oddzielających w swojéj świadomości nakazy religijne od kategorycznego imperatywu moralności; ale dla całych mas, tak dobrze w naszém społeczeństwie, jak i gdzieindziéj uczucia i nakazy religijne nie różnią się od moralnych i pierwsze drugim nadają sankcyą; wspiera je w téj sankcyi prawo karzące, opinia: zawsze jednak one udział w niéj mają. Co może znaczyć kategoryczny imperatyw Kanta dla milionów ludzi nie wiedzących, co prawa, a co lewa ręka? Jeżeli zaś odróżniają prawą od lewéj, to sfera ich uczuć i wiadomości niewiele daléj sięga.

Jeszcze mniéj nas zadawalnia twierdzenie autora, jakoby to uczucie moralne, było instynktem odziedziczonym. Nie sądzimy, ażeby za pomocą teoryi ewolucyjnéj, można było wyjaśnić rodowód tego, co nazywamy sumieniem, czy instynktem moralnym. Można uważać za pewne, że nie przynosimy z sobą na świat żadnych wiadomości, a témsamém odróżnienia dobra od zła moralnego. Co najwyżéj, przynosimy taki lub inny organizm, mniéj lub więcéj sposobny do przyjęcia takich lub innych wrażeń, przynosimy z sobą pewne dążności w nim złożone, a więc odziedziczone; resztę, cały świat idei wyrabia w nas otoczenie (*le milieu*).

Wpływu oświaty, a bliżéj mówiąc ukształcenia, jakie dają szkoły elementarne, średnie i fachowe czyli specyalne, na umoralnienie człowieka, autor nie przecenia, utrzymuje nawet, że rozpraszając niektóre przesądy, oświata podkopuje pewne wierzenia zbawienne, religijne, społeczne, wcześniéj, niż na ich miejsce zdoła postawić hamulec rozumowy (141). Wyjątek od tego stanowią: etyka, historya i literatura, jako wprowadzające do umysłu pewien zasób wyobrażeń moralnych. Rozważając ten przedmiot, tj. wpływ oświaty na umoralnienie społeczeństwa, autor często zwraca się po przykłady do stosunków miejscowych. Słusznie zaznacza, że interesa umysłowe tém lepiéj

mogą się rozwijać, im społeczeństwo znajduje się w lepszym dobrobycie materyalnym (156). Otóż ten dobrobyt, po ostatnich klęskach, stał się głównym celem uczuć i usiłowań mnóstwa ludzi „z ujmą dla interesów idealnych“ (?). Czy tak jest w istocie? Czy autor nie poszedł w tym sądzie, za mniemaniem dość powszechném, jednak nie bardzo zasadném. Patrząc uważnie na spółczesnych od ćwierć wieku, stykając się z mnóstwem młodzieży, nie dostrzegliśmy obniżenia idealnych celów w dzisiejszém pokoleniu. Ale jeżeli prawdą jest, o czém sam p. D. nie wątpi, że bez środków materyalnych, idea nic nie poradzi; więc nic dziwnego, a tém mniéj nagannego, nie widzimy w tém troskaniu się o chleb powszedni ze strony rodziców i dzieci. Tak samo nie dziwimy się, że w uniwersytecie tutejszym przeważa frekwencya medyków nad innemi wydziałami; nie stanowi to dowodu obniżenia dążeń idealnych, lecz jest koniecznem następstwem naszego społecznego położenia: usuwa nam się ziemia z pod nóg, a człowiek może snuć ideały dopiero po zaspokojeniu żołądka.

Reasumując w ostatnich rozdziałach analizę czynników dodatnich i ujemnych, tamujących lub przyśpieszających działanie zarazka moralnego; rozebrawszy wpływ, jaki wywiera oglądanie, słyszenie i czytanie o występku, autor konkluduje: „Im więcéj złych czynów spełnionych, tém więcéj spełnionem być musi w najbliższéj przyszłości.“ Jeszcze więc o ostatnich rozdziałach i o konkluzyi słów parę.

W rozdziałach tych prawie na wszystko pisać się można, co p. D. mówi o ujemnym wpływie oglądania, słuchania i czytania o występku; czy jednak w literaturze naszéj powieściowéj przeważają obrazy i charaktery ujemne nad dodatniemi (217), tego nie śmielibyśmy twierdzić. Więcéj jednak, niż ta wątpliwość uderzyła nas konkluzya: „im więcéj złych czynów spełnionych, tém więcéj spełnionem być musi w najbliższéj przyszłości.“ Nic-że nie znaczy przeciwdziałanie woli jednostkowéj i zbiorowéj? Czyliżby po takiéj konkluzyi nie należało iść z kamieniem do dna? Nie; wola, bez względu na teorye o jéj pochodzeniu, rozwoju i determinacyi przez czynniki, leżące w jednostce i w otoczeniu, pozostanie przy inicyatywie do poprawy złego, do powstania z upadku; konieczność, o jakiéj mowa w świecie moralnym, inną jest od konieczności fizycznéj; więc téż z tego, że popełniono w danéj społeczności taką a taką sumę czynów niemoralnych, nie wynika, że w najbliższéj przyszłości *musi* być znów tyle, lub więcéj takichże czynów popełnionych. Będziemy usiłowali, *conabimur*, opierać się zgubnemu działaniu wszystkich czynników ujemnych—tak mówi dzielniejszy człowiek, a już w tém usiłowaniu leży cecha wyższego stopnia moralności. W przeciwnym razie, gdyby téj inicyatywy w nas nie było, gdyby fatalnie po złém

jeszcze gorsze musiało następować, próżnaby była nasza wiara, a nietylko wiara, lecz i przekonanie, o możliwości postępu.

Różniąc się z autorem niniejszego studyum w niektórych pojęciach etycznych i psychologicznych, spotkaliśmy daleko więcéj takich, na które można się zgodzić. Z uznaniem trzeba podnieść spokojny, metodyczny sposób traktowania rzeczy, analizę bystrą w wielu kwestyach, szczególniéj, w rozdziale gdzie mowa o naśladownictwie. Obiecujemy sobie powitać w autorze psychologa niepospolitéj siły; dowodem tego dawniejsze jego mniejsze i to obecne większe studyum, pisane rozważnie, z intencyą obywatelską, językiem dość poprawnym, może trochę w tonie pesymistycznym, ale kto z nas dzisiaj może być optymistą?

F. Kr.





OSTATNIA POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z. KACZKOWSKIEGO.

Zygmunt Kaczkowski: Abraham Kitaj, powieść z czasów Jana III.

W r. 1884, gdy powieść Sienkiewicza „Ogniem i mieczem“ wyszła w osobnéj odbitce, Kaczkowski w szeregu listów do A. Z. napisał bardzo obszerne i bardzo szczegółowe nad nią uwagi. Pod względem objętości przypominała ta praca młodzieńczy list tegoż autora o „Deotymie w Krakowie,“ ale pod względem nastroju była od niego całkiem odmienna. Gdy w owym liście sypał same entuzyastyczne pochwały, tu mówiąc ze szczerém ale rozważném uznaniem o znakomitym talencie młodego powieściopisarza, wytykał równocześnie wielkie wady zarówno w pomniejszych jego nowelach jak i w „powieści z dawnych lat.“ Nie na miejscu by tu było powtarzanie zarzutów szczegółowych co do układu, opisów i charakterów, ale nie podobna nie wspomnieć o zarzucie ogólnym. Największym błędem powieści „Ogniem i mieczem“ jest, zdaniem Kaczkowskiego, brak w niéj myśli dziejowéj; ciało historyi odtworzone tu zostało pięknie, niekiedy wspaniale; ale ducha w niém niema. Uzasadniając doniosłość tego zarzutu, Kaczkowski uogólnia swe wymagania od powieściopisarza historycznego w słowach następnych (1).

„Zapewne, że nie każdemu jest dane, kto wziął pióro lub pędzel do ręki, objąć całą ideę dziejową i ożywić jéj duchem obraz przedstawionéj epoki; ale zawsze mamy prawo wymagać, abyśmy widzieli przynajmniéj usiłowanie, ażebyśmy przynajmniéj spostrzegli zrozumienie najwyższéj dla historycznego powieściopisarstwa zasady—a zasadą tą jest: iż właściwém zadaniem historycznego poety nie jest to, ażeby tę lub ową dobę dziejową w jéj odosobnieniu wiernie

---

(1) Zob. „Wędrowiec“ 1884, N. 42.

odtworzył, ale przeciwnie, aby przedstawił, jak duch dziejowy, jak geniusz narodu się w danéj epoce i w danych wypadkach wyraził. Jednéin słowem: dziejowa myśl powinna być celem, a epoka środkiem, a nie odwrotnie. Takie pojęcie zadania poety, pracującego na polu historyi, jest bezwątpienia nowszych czasów nabytkiem... Wiek dziewiętnasty... ducha dziejów tak dobrze odsłonił, jak archeologowie powygrzebywali guziki i sprzączki najdawniejszych kaftanów rycerskich. Dzisiaj téż słusznie wymaga się od powieściopisarzy historycznych odtworzenia przedewszystkiém ducha dziejów, a obraną przez nich epokę uważa się tylko jako miejsce i środek, w którym i za pomocą którego ten duch ma się wyobrazić przed nami. Przed laty trzydziestu pojęcia te znajdowały się jeszcze zaledwie w stanie przeczucia, lecz dzisiaj stały się już własnością umiejętnéj krytyki u wszystkich oświeconych narodów; dowiedlibyśmy zatém tylko, iż nie dotrzymujemy kroku postępowi oświaty ogólnéj, gdybyśmy ich nie uczynili także naszą własnością.“

Takie względem innych stawiając wymagania, usprawiedliwiał się wprawdzie Kaczkowski ubocznie z braków powieści swych dawniejszych, ale zarazem poddawał się ciężkim warunkom na wypadek, gdyby się napowrót wziął do uprawy téj niwy od tak dawna przez siebie zarzuconéj. Jakoż wieść, iż Kaczkowski pisze powieść z czasów Jana Sobieskiego obudziła wśród inteligencyi bardzo poważne zainteresowanie, gdyż każdy był ciekaw, czy i o ile krytyk Sienkiewicza uczyni zadość wielkiemu zadaniu, które powieściopisarstwu historycznemu naznaczył.

Gdy się oczekiwany ciekawie „Abraham Kitaj“ drukować zaczął, nie potrafił zająć uwagi czytelników w takim stopniu, w jakim interesowały powieści Sienkiewicza; nie można w nim było odnaleść ani téj plastyki charakterów, ani téj barwności kolorytu, ani tych szczegółów zajmujących, co w utworach Litwosa; a tok opowiadania bywał nawet niekiedy nudnie kronikarskim. Wybrawszy temat opowieści z téj chwili dziejowéj, w której Polacy po raz ostatni za bytu Rzeczypospolitéj zabłysnęli wielkim czynem dziejowym na widowni europejskiéj, gromiąc Turków pod Wiedniem, nie mógł oczywiście autor pominąć faktu tego milczeniem, ale zamiast użyć całego swego talentu na jego zobrazowanie, wolał go przedstawić sucho i bezbarwnie, topiąc go tym sposobem w morzu drobiazgów życia rodzinnego i towarzyskiego. Tym sposobem ominął samochcąc sposobność ujęcia sobie czytelników za pośrednictwem przemówienia do ich serc i wyobraźni wspomnieniem świetnych czynów przeszłości.

Ale tu właśnie nastręcza się pytanie, czy Kaczkowski nie zrobił tego naumyślnie. Wszak nie wszystko, co jest poczytne i popu-

larne, już przez to samo za doskonałe uznane być winno; wszak nie wszystko, za czém ogół przepada, na uznanie głębszéj rozwagi zasługuje. Może autorowi chodziło o dokonanie zadania donioślejszego niż rozciekawienie czytelników lub też schlebianie ich upodobaniom? Może w myśl swojéj teoryi powieściopisarstwa historycznego pragnął przedstawić przedewszystkiém ducha dziejów z całą możliwą dokładnością, a chcąc tego dopełnić nie mógł opisowi wiktoryi wiedeńskiéj nadać większego znaczenia, niż je miała w rzeczywistości?

Jakoż jeżeli z tego punktu widzenia rozejrzymy się w „Abrahamie Kitaju“, to nas owo kronikarskie przedstawienie zwycięstwa pod Wiedniem razić już tak bardzo nie będzie. Zwycięstwo to jak meteor zalśniło na chmurném niebie Rzeczypospolitéj, ale ani chmur, coraz większemi zastępami zbierających się nie rozproszyło, ani tém bardziéj słońca lepszéj przyszłości nie ukazało. Ani przez króla, ani przez naród nie było ono wyzyskane pod względem politycznym, ani zewnętrznie co do stanowiska Rzeczypospolitéj wobec potęg europejskich, ani wewnętrznie co do urządzenia skarbu, wojska i wymiaru sprawiedliwości. Jak przed niém, tak i po niém Polska była już czémś bardzo małoznaczącém w Europie, a we wnętrzu swojém też same miała czynniki rozstroju, tylko że się one z każdym lat dziesiątkiem zwiększały. Gdyby Kaczkowski uczynił był zwycięstwo wiedeńskie środkowym punktem powieści, to niewątpliwie mógłby artystycznie podnieść ją znacznie, a przytém połechtałby przyjemnie uczucie dumy narodowéj; ale by się minął z prawdą historyczną i nie odtworzyłby owego ducha dziejów, co za przedniejsze zadanie utworu takiego poczytywał. W niczém nie ujmując doniosłości samemu faktowi, wolał jednak obok niego postawić dalsze trzy niepomyślne wyprawy przeciwko Turkom z jednéj strony, a z drugiéj odmalować rozmaite choroby, na które Rzeczpospolita cierpiała. Obok dzielności i odwagi w boju, obok szlachetności charakterów przedstawił więc niekarność, prywatę, samowolę, nieradność społeczeństwa, a przedewszystkiém słabość siły wykonawczéj, która sprawiała, że postanowienia i wyroki były przedmiotem naigrawania się większych i mniejszych łotrzyków.

Na tak zrozumianém tle czasu daje się dopiero należycie zrozumiéć awanturnicza historya Abrahama Kitaja.

Ten mieszaniec z ojca Polaka i matki Węgierki, ochrzczony Abrahamem, na pamiątkę oszukaństwa ze strony teścia względem zięcia, wychowany po śmierci rodziców przez kasztelana Fredrę, już młodzieńcem zdradzał namiętne a burzliwe usposobienie, kiedy się puszczał w zaloty do swego opiekuna. Rozstawszy się z nim, prze-

był szkołę życia w rozmaitych okolicach kraju i zagranicy, wyćwiczył się w rzemiośle wojenném, wypolerował się w formach towarzyskich, nauczył się mówić kilkoma językami, wygimnastykował umysł, nabył takiéj zręczności i układności, że gdy tylko chciał, potrafił najrozważniejszych nawet wywieść w pole i przychylnie dla siebie usposobić. Wędzidła religijne i moralne pozrywał, w Boga nie wierzył, a za jedyne prawo etyczne poczytywał siłę i własne zachcianki. A miał tych zachcianek sporo, gdyż pragnął, ażeby wszyscy i wszystko według jego woli się układali. W wyprawie wiedeńskiéj wziął udział i zaraz w pierwszém natarciu tak się odznaczył, iż zwrócił na siebie uwagę króla nie tém, żeby się karnością celował, bo przeciwko niéj zgrzeszył, ale tém, że się na niebezpieczeństwo rzucił z lwią odwagą. Miał on już po odniesioném zwycięstwie ułożony plan połączenia się z Węgrami i natarcia na Niemców; chciał plan ten osobiście królowi przedstawić, ale gdy go kasztelan Fredro do Sobieskiego nie dopuścił, zawrzał gniewem i okazał niebawem, że gotów działać na własną rękę. W nieszczęśliwéj bitwie pod Parkanami, gdy inni uciekali, i on uciekał także; ale na napomnienie, ażeby pozostał przy królu, odpowiedział wobec Jana III, że gdy króla zabiją, to Polacy wybiorą sobie innego, a gdy jego samego zabiją, to go nikt nie wskrzesi — i sunął daléj. Nie myślał on jednakże jeszcze wówczas opuszczać obozu polskiego, ale gdy zwierzchnik zwlókł odpowiedź na jego pytanie, czy może wrócić pod chorągiew, oddał się całkiem pomysłom swojéj fantazyi. W drugiéj, zwycięskiéj bitwie pod Parkanami już udziału nie wziął, a zebrawszy obfite łupy, o które zawsze nadzwyczaj chciwie się ubiegał, pociągnął do kraju. Na granicy Węgier i Polski stoczył w obronie swych łupów utarczkę z bandą rozbójników, herszta ich, żyda Wulfa, powiesił; a osiadłszy w swym majątku zaczął się rozglądać po sąsiedztwie, przedewszystkiém zaś postanowił afekt Krzysi Borowskiéj, narzeczonéj swego brata, który dostał się był do niewoli tureckiéj, ku sobie zwrócić i znacznym jéj posagiem fortunę swoję podeprzéć. Tak zręcznie i tak umiejętnie sprawą tą się zajął, że zjednał sobie ze wszystkiém i Krzysię i jéj matkę, a nawet jéj ojca-odludka, który roiąc plany reformy rzeczypospolitéj, nie rymujące z usposobieniem braci szlachty, za waryata był przez nią podawany. Przed matką i córką roztaczał swoje bogactwa, czém ujmował ich oczy i wyobraźnię, oraz znajomość świata i układność towarzyską, czém podbijał ich serca. Wobec ojca rozwijał poglądy jakby z głowy Borowskiego wyjęte, wykazując potrzebę uczynienia z ludu polskiego potęgi politycznéj, którąby można było przeciwstawić samolubnéj a niekarnéj szlachcie i tym sposobem dojść do utrwalenia rządu sil-

nego. I byłby osiągnął swój cel łatwo, bo już wszyscy uważali jego brata za przepadłego, a Krysia całą duszą lgnęła ku niemu, gdyby nie ta niesforna fantazya, która go unosiła niekiedy po za granice przez rozum wytknięte. Raz zachciało mu się wobec Borowskiego usprawiedliwić opryszków przez postawienie na równi ich grabieży z postępowaniem rycerzy na wojnie, a wyciągnięty przez swego rozmówcę na słowa, przyznał się, że w Boga nie wierzy i że za jedyne prawo uznaje siłę. Wtedy odludek, który nie był wprawdzie religiantem i ze świętych podżartowywał nawet potrosze, ale który wiarę w Opatrzność i w moc zasad moralnych uważał za fundament uspołecznienia, odnalazł w sobie duży zapas energii i nie tylko odprawił przewrotnego Abrahama ze swego zacisza, ale nadto powrócił do dawno opuszczonego dworu, gdzie żona z córką przebywały, postawił straż przed nim i nie dozwolił przestąpić wrót jego temu, co miał się niebawem z jego Krzysią małżeństwem połączyć. A gdy brat Abrahama, Rafał, potrafił uciec z niewoli i przybył do kraju, zakrzątnął się coprędzéj Borowski, by Krzysia wyszła za niego. Zakipiała wtedy krew w Kitaju i pobudziła do zerwania ze społeczeństwem uczciwém. Już on i dawniéj miał bandę z rozmaitych włóczęgów złożoną, z którą łotrował po Węgrzech; ale teraz ją zwiększył, werbując do niéj nawet szlachtę chodaczkową, i zaczął palić wsie i miasteczka, ażeby się zemścić na tych, co mu byli wstrętni, lub też z łupów nagromadzić takie bogactwa, któreby mu starczyły na utrzymanie poważnéj siły zbrojnéj i zapewnienia sobie tym sposobem bezkarności. Wobec takiego szlacheckiego opryszka okazuje się w całéj smutnéj okazałości bezradność społeczeństwa i niemoc urzędu. Napróżno kasztelan Fredro zbiera szlachtę, by obmyśliła środki zapobieżenia dalszym pożogom i rabunkom; za środkami takiemi są ci jedynie, w sąsiedztwie których najbliższém zdarzyły się owe klęski; inni zaś daléj mieszkający nietylko o zebraniu siły zbrojnéj nie myślą, ale jeszcze przedrwiwają zbyt wielką płochliwość kasztelana. Gdy zaś przekonano się, że sprawcą nieszczęść jest Abraham Kitaj, to tylko mała garsteczka ludzi z różnych powodów, najczęściéj osobistych, nieprzyjaźnie względem niego usposobiona, myśli o pozbyciu się łotra i oddaniu go w ręce sprawiedliwości. Gdy wskutek zeznania samego króla o obrazie majestatu przez Abrahama został wyjęty z pod prawa ten, co praw nie szanował, wyrok pozostał tylko wyrokiem, z którego Kitaj się naigrawał. Ogół szlachty nie myślał o ściganiu brata szlachcica w obawie utraty swojéj złotéj wolności. Trzeba szczęśliwego wypadku na to, żeby Abraham został schwytany, gdy w zameczku granicznym podstępnie zdobytym, kapitan Mieczko, który z Kitajem oddawna miał na pieńku,

beczułki prochu zapalił. Związany i odstawiony do starosty sanockiego, który miał także złość do Kitaja za szpetne pokiereszowanie mu syna, już ma być stracony; ale tu się okazuje nieudolnosć w wymiarze kary. Skutkiem braku dozoru i niekarności służby zamkowéj, Abraham z więzienia wychodzi sobie swobodnie przy pomocy swéj bandy, a kat ścina głowę jakiegoś żyda... I na lat kilka milknie nawet wieść o Abrahamie. Nie próżnował on jednak. Udał się na Mołdawią i tam po swojemu politykę traktował. Gdy Sobieski odbywał wyprawę wołoską celem zdobycia tronu dla królewicza Jakóba, znalazł się Kitaj na tyłach wojska polskiego, hetmaniąc dobrze uzbrojonemu oddziałowi i nie zależąc od nikogo. Oddawał on niemałe usługi wojsku, gdyż dzielnie prażył Tatarów, ale téż dbał i o swoje interesa, bo niemniéj dzielnie łupieżył. Zdawało się, że Kitaj chciał się owemi usługami zrehabilitować w oczach szlachty, boć to nie był rozbójnik zwyczajny, tylko szlachcic z gorącą fantazyą. Już król zwrócił uwagę na niego; już się Abraham zbliżał do króla, ale zawsze po swojemu z butą i obcesowo, gdy mu znów jak po zwycięstwie wiedeńskiém kasztelan Fredro stanął na zawadzie, powiadając mu, żeby odesłał swą asystencyą i wprzód się opowiedział komu należy, ażeby audyencyą u króla uzyskać. Niecierpliwy Abraham buchnął obraźliwą przymówką; nastąpił pojedynek; Kitaj zginął nie od miecza sprawiedliwości, ale z ręki tego, któremu młodzieńcem chciał żonę zbałamucić.

Taki-to okaz rozbujałego indywidualizmu i nieokiełznanéj swobody wysunął Kaczkowski na plan pierwszy swego utworu, ażeby uwydatnić ten najsilniejszy pierwiastek rozkładowy, jaki się we wnętrzu Rzeczypospolitéj znajdował. Wobec tego zgubnego pierwiastku inne z dobrych i wpływowych stają się obojętnemi, w działaniu swém nieskutecznemi. A jest ich niemało, bo powieściopisarz chciał wszechstronnie obraną przez siebie chwilę dziejową odmalować. Jest tu Sobieski „żołnierz nie mający sobie równego w swoim czasie, wódz znamienity a często nawet miewający pomysły natchnione, ale nieudolny mąż stanu, czasami zręczny w kabałach, ale nie posiadający ani umiejętności badania przyczyn, ani daru przewidywania odleglejszych wypadków, ani stałości w raz powziętych zapatrywaniach, do tego próżen wszelkiéj organizatorskiéj zdolności.“ Jest tu Borowski, człowiek z umysłem jasnym i głębokim, który widział dokładnie złe nurtujące w Rzeczypospolitéj i podawał zbawienne środki zapobieżenia mu, środki takie, jakie statyści wieku XVIII wygłosili następnie; ale będąc w poglądach swoich osamotnionym, ogłoszony za waryata, nie oddziaływał na ogół i tylko w rozmowach prywatnych opinie swoje wypowiadał. Jest tu i szlachcic rycerz,

Rafał Kitajgrodzki, który może być uważany za przedstawiciela młodzieży szlacheckiéj, bijącéj się dzielnie, nie myślącéj wiele, nie dbającéj o wygody, ale téż nie pragnącéj żadnych zmian w ustroju Rzeczypospolitéj. Gdy za młodu trochę sobie krwi w walkach upuści, osiada na roli, gospodaruje i staje się potém podobnym do kasztelana Fredry, dobrego człowieka, dobrego sąsiada, powolnego królowi gdzie idzie o sprawy kraju, ale niegarnącego się ku niemu z własnéj chęci i o reformach nie myślącego. Jest tu jeszcze jeden młodzieniec szlachecki, należący do rodzaju domatorów, co lubią wygódki i chętniéj jeżdżą karetami niż wierzchem, co na wyprawy wojenne się nie kwapią, lubo ostatecznie do wojenki wstrętu wielkiego nie czują i gdy już koniecznie potrzeba, to się bić będą odważnie. Jego ojciec, starosta sanocki, lubi hulać i weselić się, a urzędu swego nie zbyt pilnować; gdy mu dokuczy podagra, sprasza dwunastu bernardynów i każe im śpiewać pieśni nabożne, a przytém pić wino, przekonany jest bowiem, że jak bernardyni naśpiewawszy się i nalawszy się winem, już chodzić nie będą mogli, to on wtedy wstanie i rzeźwo się rozrusza, jakby podagry nie miał nigdy. Jest i biskup i władyka, jest kapitan zameczku granicznego i kilku sług starych szlacheckich, są żydzi, jest i kozak; słowem jest taka obfitość osób i sytuacyi możliwych, że gdyby Kaczkowski chciał był wszystkie należycie rozwinąć treści wystarczyłoby mu na parę dużych tomów. Ale powieściopisarz wolał być zwięzłym, byle tém wydatniéj owa myśl dziejowa, ów smutny stan Rzeczypospolitéj z końca wieku XVII wystąpił na jaśnią. Pomylił się; gdyby był artystyczniéj swe zadanie rozwinął; gdyby był wprowadzone osoby i zdarzenia nie po kronikarsku zbywał, ale je malował naprawdę, toby wówczas myśl dziejowa, którą chciał wyrazić, daleko widoczniéj niż obecnie stanęła przed wyobraźnią i rozumem czytelnika, tak, że autor nie potrzebowałby w epilogu pisać do niéj komentarza. Komentarz-to dobry i rozumny, ale w utworze artystycznym mniéj właściwy.

Co się tyczy języka i stylu, to Kaczkowski ściśle wykonał to, co w krytyce Sienkiewicza jako wymagania postawił. Powiedział on tam słowa następne: „Mnie się zdaje, że odtwarzanie języka wieku w tekscie powieści nie tylko nie jest potrzebném, bo przecież dzisiejszym językiem można daleko dokładniéj opowiedzieć, jak się te rzeczy działy i wyglądały, niżeli niedostatecznie wyrobionym językiem dawniejszych wieków,— ale jest także zasadniczo niedopuszczalném, bo w takim razie powieść z tych wieków, które nie pozostawiły po sobie pomników językowych, byłaby niemożebną, kiedy tymczasem pewnie nikt nie zaprzeczy, iż może zjawić się pisarz, który doskonałą powieść napisze z czasów Bolesławowskich lub Ka-

zimierzowskich... Język współczesny wiekowi może w opowiadaniu tekstu tylko tam być użytym, gdzie ten tekst opowiada człowiek wiekowi współczesny. Natomiast koniecznością jest odtwarzać język wieku w dyalogach, o ile to jest możebném, bo inaczéj w prawdopodobieństwo tych dyalogów trudnoby było uwierzyć.“ Jest wprawdzie maleńka sprzeczność w argumentowaniu powieściopisarza, ale nie podnosząc jéj, należy stwierdzić fakt, że „Abraham Kitaj“ pisany jest wogóle językiem właściwym Kaczkowskiemu z bardzo rozważném użyciem archaistycznego zabarwienia, że rozmowy są charakterystyczne zarówno w języku jak i stylu; ale zarazem dodać, że w rozmowach tych tak samo pragnęlibyśmy widziéć więcéj barwności, jak w opowiadaniu zdarzeń więcéj artyzmu. Najnowsza powieść Kaczkowskiego historyczna odznacza się nadzwyczaj szerokim i wielostronnym poglądem na dzieje, podobnie jak ostatnia jego powieść społeczna „Graf Rak“ celowała głębokiém wniknięciem w stosunki spółczesne; ale zarówno jednéj jak i drugiéj zbrakło téj werwy i tego ożywienia, téj plastyki i tego artyzmu, jakiemi w pierwszych swoich Nieczujowskich opowiadaniach zdobył sobie autor sławę przebojem. Dawniéj był lepszym artystą niż myślicielem dziś lepszym myślicielem niż artystą.

P. Chmielowski.





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Monumenta Poloniae historica. Pomniki dziejowe Polski, tom IV, wydany nakładem Akademii umiejętności w Krakowie, opracowany przez członków lwowskiéj komisyi hist. tejże akad. Lwów w komisie księgarni Gubrynowicza i Schmidta. 1884. 4°, 992 i VIII przedmowy.

Tom IV Monumentów tak ściśle związanych z imieniem ś. p. Bielowskiego, któremu świat naukowy zawdzięcza dwa pierwsze i wielką część trzeciego tomu, jest owocem prac komisyi histor. Lwowskiéj, któréj Akademia krakowska poruczyła dalsze prowadzenie dzieła, rozpoczętego przez Bielowskiego. Lwia część przypadła w tym tomie do opracowania d-rowi Kętrzyńskiemu, następcy Bielowskiego w dyrekturze zakładu IM. Ossolińskich, który też z trudnego zadania, jakiego się podjął, bardzo sumiennie się wywiązał. Wzorowe edycye źródeł, które tutaj po największéj części po raz pierwszy wychodzą w druku, krytyka tekstu, objaśnienia szczegółów tamże zawartych, szczęśliwa i trafna kombinacya z porównań użytych przy wydawnictwie kodeksów, wskazują nam w sumiennym wydawcy męża nadzwyczaj bystrego krytycyzmu, który wszelkie trudności jakiejkolwiek one są natury pokonywuje z pożytkiem dla nauki a pole jéj umie wzbogacać. Metodyczność, ścisłość i bystrość krytyczna są zaletami, które tu podnieść należy, tém bardziéj że z liczby 31 pomników w tym tomie wydanych, 25 i to najcenniejszych zawdzięczany jego opracowaniu.

Luźny tylko jest związek pomiędzy wydanymi pomnikami; wartość ich różnolita, to pewna wszakże, że co do drugiéj kwestyi, te żywoty świętych, patronów naszych, po największéj części tutaj reprezentowane, są utworem raczéj literackiéj aniżeli ścisło-historycznéj wartości. Są to legendy, cuda itp, próby pióra przeznaczone dla użytku

księży, dla zbudowania braci zakonnéj lub wiernych, lub w celach kanonizacyi tychże świętych spisywane, w których tedy rzadko tylko spotykamy jakąś ciekawą lub ważniejszą wzmiankę historyczną. Autor bowiem, po największéj części skromny zakonnik, cele etycznéj natury mając na oku, pomijał inne, które mu zresztą były bądź obce bądź nieznane. Nie wypływa stąd, aby źródła te były właśnie z tych powodów bez wszelkiéj wartości historycznéj—przeciwnie znajdujemy tam i wzmianki o monumentach dziejowych i tyle arcyciekawych szczegółów do życia wewnętrznego, do obyczajów i zwyczajów epoki piastowskiéj, tyle rysów skąd inąd nieznanych, że trud wydania tych pomników opłaca się sowicie dla nauki historyi.

Pierwszy pomnik „*De persecutione iudeorum Vratislaviensium*“ wiąże się jeszcze z III tomem Monumentów, a mianowicie z wydaną tamże relacyą o procesie prowadzonym przeciwko żydom Wrocławskim o profanacyą hostyi w 1453 r. P. K. wydaje inną relacyą cokolwiek odmienną w szczegółach od pierwszéj, a to z rękopisu bibl. Ossolińskich, w którym rzecz tę, pisaną niewątpliwie przez Polaka, odnalazł. Pominięty przez Arndta i przez Szląskich uczonych *krótki rocznik Trzebnicki*, a daléj *uwagi marginesowe Długosza* na jednym z kodeksów bibl. Zamojskich, będącym niegdyś własnością naszego historyka, uwagi polegające na źródłach dziś zaginionych, stanowią dalsze dwa numera. Nie małym przyczynkiem do historyi biskupów włocławskich są wydane w dalszym ciągu dwa *katalogi* tychże, pierwszy w heksametrach z końca XIV w., drugi obszerny z późnéj kopii z XVII w., znajdującéj się w jednym z kodeksów bibliot. ces. w Petersburgu. W dalszym ciągu idzie szereg wydanych przez p. K. Prussica; otwiera go *Chronica terrae Pr.*, wydawana już kilkakrotnie z odpisu Lelewela, uskutecznionego z kodeksu dziś zaginionego. Kronikę, uważaną nie bez słuszności jako źródło Annałów toruńskich, wydaje p. K. z całą sumiennością, ściśle zatrzymując ortografią Lelewelowską. *Zapiski Gołubskie* z początku XVI w. odkrył autor w archiwum kościelnym w Gołubiu i tu je po raz pierwszy wydaje. Następuje fragment *de magna strage*, kompletnie tu wydany, rzecz małéj wartości hist.; daleko większéj wagi jest *katalog biskupów Warmińskich* z kodeksu ks. Czartoryskich, z kontynuacyą doprowadzoną do 1625 r., mający do 1416 r. wspólne źródło z wydanym przez Wölkiego katalogiem. Po *katalogu mistrzów* z tegoż kodeksu idzie *liber mortuorum monasterii Pelplinensis*, podający arcyciekawe daty zejścia tak dostojników zakonu jakotéż wielu książąt, biskupów i innych dobrodziejów tamecznego klasztoru Cystersów, w całości wydany z zasobnym aparatem krytycznym. I następny pomnik po raz pierwszy głoszony drukiem a zawiera *liber mortuorum z klasztoru*

Kartuzów pod Gdańskiem, z odpisu Jerzego Schwengla—z którego pochodzi i następny pomnik, zawierający *spis opatów Oliwskich* do 1569 r. jakotéż i *fragmentum menologii Zukoviensis*, zawierający dwa skony książąt Pomorskich, tudzież wiążący się ściśle z tym pomnikiem *Series priorissarum et prepositorum Zukoviensium.*

Wydanie wszyskich tych Prussiców zawdzięczamy p. K. Ostatnie tylko dwa numera, które właściwie także do Prussiców jeszcze należą, zawdzięczamy opracowaniu p. Balzera. Jest to po raz pierwszy wydany *tractatulus contra cruciferos regni Polonie invasores* pióra Henryka Zbigniewa z Góry, studenta uniwersytetu krak., pisany w 1464 r. potwierdzający z jednéj strony jak ważną była sprawa krzyżacka, jak wielkiego miał zakon w tradycyi hist. sprzymierzeńca, a z drugiéj strony, jak w Polsce jéj ważność pojmowano, kiedy poświęcano téj kwestyi polityczną broszurę, a są ślady, że nie jest ona ostatnią. Z tego roku 1464 pochodzi i *mowa* anonima—oba dzieła sumiennie wydane przez uczonego docenta prawa polskiego na lwowskim uniwersytecie, z poparciem cytat z prawa kanonicznego i dzieł teologicznych.

Ważniejszy dział tego tomu, zawierającego, jak na wstępie referatu zaznaczono, żywoty świętych, rozpoczyna *legenda o świętym Wojciechu.* Jest to jeden z najdawniejszych pomników literatury historycznéj w Polsce. Autor, jak wydawca K. słusznie zaznacza korzysta przeważnie z t. z. Bruna, zna atoli i Kanaparyusza, oprócz tego ma rozdziały o charakterze legendowéj cudowności. Trafnie dowodzi p. K. że pomnik ten należy odnieść do wieku XII, i że on jest źródłem *Miraculów* tegoż świętego, których druk zaraz następuje. Na podstawie porównań dwóch druków i siedmiu innych kodeksów podaje nam p. K. wzorowy tekst cudów, zaznaczając, że mogły być napisane krótko przed 1295 rokiem, tj. przed koronacyą Przemysława, zaś po r. 1260, gdyż autor ich czerpie i z Wincentego „Vita St. Stanislai.“

Dalszy numer zawiera *Vita Minor St. Stanislai*, najdawniejszy i dotąd drukiem nie ogłoszony pomnik życia św. Stanisława, z kodeksu kapituły krak. (którego podobiznę wydał ks. kan. Polkowski) i jedénastu innych kodeksów lwowskich i krakowskich. Wydawca p. K. przekonywująco dowodzi, że napisał go Dominikanin krakowski około 1230 r. a chociaż tenże nieznał innych źródeł jak tylko Galla, Wincentego i tradycyi ustnéj, to jednakowoż podaje tak ciekawe uwagi do stosunków społecznych i prawnych téj odległéj epoki, że pomnik ten, źródło „Vitae majoris“ wraz z „Miraculami“ należy do najważniejszych wydanych w IV tomie Monumentów. Co do ostatnich (*Miracula*, 285—318) to wydał je p. K. z urzędowéj kopii, niestety bez po-

czątku i końca, jaką komisarz apostolski, minoryta Jakób z Velletri sporządzić kazał 1252 r., przeprowadzając inkwizycyą cudów ze świadków żyjących, którzy za przyczyną świętego od rozmaitych chorób uwolnieni zostali. Oryginał téj inkwizycyi odszuka się zapewne w archiwum Watykańskiém.

Vita major St. Stanislai jest według niezbicie uzasadnionego wywodu p. K. dziełem Wincentego Dominikanina, nie identycznego z Wincentym z Kielc, jak to dotychczas nawet i to ze stron bardzo poważnych sądzono. Wydawca wykazuje, że autor pisał rzecz na wezwanie biskupa Prandoty a korzystając z dwóch poprzednich prac (V. minor i Miracula) ukończył dzieło około 1260 roku jeszcze niewykończone i nieogładzone. Tekst Bandkiego, jak wykazał K., jest tylko skróceniem „Vitae majoris“—którą autor ogłasza drukiem, używając do ustalenia tekstu 14 rękopisów. Zawiera ona mnóstwo szczegółów skądinąd nieznanych o cudach św. Stanisława, rozwijających obraz kultury w XIII wieku i to po za granicami nawet ówczesnéj Polski. Objaśnienia tekstu źródłami dyplomatycznemi zasługują na jak najzupełniejsze uznanie.

Od tegoż wydawcy pochodzą jeszcze z większych żywotów, żywoty *Św. Kingi* i *Salomei*. Pierwszy na podstawie trzech rękopisów: pargaminowego Zamojskich z XV w., z Jagiellońskiéj bibl. XVI w. i klarysek krakowskich, który jest kopią rękopisu z 1401. Z porównania tych trzech kodeksów dochodzi autor do rezultatu, że trzeci rękopis stoi bliżéj oryginału zaginionego, aniżeli starsze co do wieku rękopisy pierwszy i drugi; daléj że żywot téj świętéj, jaki nam Długosz postawił, wskazuje, że historyk ten miał tekst bardziéj pokrewny oryginałowi zatraconemu aniżeli nawet tekst III będący kopią rękopisu z 1401 roku. Zgodzić się również należy z przekonywującemi wywodami wydawcy, że autorem „Vitae“ był spowiednik klarysek ze Starego Sącza, franciszkanin, który czerpał z nieznanéj dziś kroniki węgierskiéj (a która to posłużyła za źródło kronice Marci z 1358 r.) i „vita major“ św. Stanisława, a pisał rzecz po 1320 roku. Inny minoryta spisał około 1329 r. *cuda świętéj Kingi*. Liczne szczegóły, charakteryzujące życie ówczesne w Polsce, podnoszą pomnik żywota świętéj Kingi do rzędu najważniejszego ze wszystkich ogłoszonych w IV tomie Monumentów.

W dalszym ciągu spotykamy się z wydanym przez dra K. żywotem świętéj Salomei, królowéj Halickiéj, siostry Bolesława Wstydliwego, pisanym przez Stanisława franciszkanina około 1290 r. a więc jeszcze za życia świętéj Kingi, która zmarła w 1292 roku. Do ustalenia tekstu posłużyły dwa rękopisa starsze, wyżéj wspomniane, w których znajdujemy i żywot św. Kingi, jakotéż rękopis Ossoliń-

skich, zawierający proces kanonizacyjny tejże świętéj (z 1663—65 r.). Mało tu szczegółów znajdujemy do jéj żywota cuda natomiast dostarczają dość szczegółów charakterystycznych do epoki z końca XIII wieku.

Do rzędu niewydanych pomników należą: *Mors et miracula beati Verneri episcopi Plocensis*, spisane przez Jana dziekana Płockiego około 1263 r. a może nieco później, jak podnosi w swéj recenzyi Perlbach, około 1280. Tekst pochodzi z kodeksu Zamojskich (Legenda aurea Jacobi de Voragine) a czerpał stąd Długosz, który rzecz o śmierci błogosławionego niemal dosłownie wziął do swego dzieła. *Translatio St. Floriani* (755—62) w trzech tekstach z sześciu rękopisów XV w. nie ma téj historycznéj wagi, co pomnik poprzedni. Bardziéj interesującym jest pomnik „*de pincerna ducis Polonie* (Boleslai III) *a morte liberato*, tudzież rzecz *o cudach na grobie królowéj Jadwigi*, powtórnie tu wydana (po raz pierwszy w edycyi Piekosińskiego Cod. dipl. cathedr. Crac. II 448—450), których wszystkich pomników edycye zawdzięczamy niestrudzonemu pracownikowi panu Kętrzyńskiemu.

Żywot *Mojżesza Węgrzyna*, napisany przez Polikarpa, mnicha monasteru Peczerskiego pod Kijowem około 1231 r., w opracowaniu prof. Kałużniackiego, w tekście ruskim wraz z tłómaczeniem polskiém, dostarcza kilka nieznanych szczegółów do ostatnich lat panowania Bolesława Chrobrego, podanych tu w postaci legendarnéj; zresztą może być uważany za przyczynek do historyi obyczajów epoki w któréj autor rzecz swą pisał. Rolę Józefa w obec Putyfary, odgrywa tu Mojżesz w obec pewnéj pięknéj niewiasty polskiéj. Chętnie używane przez Kałużniackiego klamry prostokątne z powodu rozwiązania skróceń przy edycyi tekstów ruskich, odpadły tu z powodu braku tychże.

Objętością odznacza się i pomnik żywota *Świętéj Jadwigi* księżny, szląskiéj, ważny stąd, że odźwierciadla życie wewnętrzne, domowe, zwyczaje i obyczaje ludu Szląskiego, wydany starannie przez dra Semkowicza (501—653). Nieznany z imienia autor pisał ten żywot w latach 1278—1300 kreśląc najdrobniejsze szczegóły o cnotach świętéj, skąd poszło, że dzieło jego w celu zbudowania wiernych pisane, natchnęło nie jednego artystę do ilustracyi cudów i czynów miłosierdzia i pobożności świętéj. Wydawca zużytkował wydanie Stenzla, oparte na 6-ciu kodeksach, a liczbę ich dopełnił kodeksem Ostrowskich i korzystał nadto z odpisu (z nieznanego dziś kodeksu), który to odpis znajduje się dzisiaj w bibl. Ossolińskich. Lubo wydawca zarówno jak Stenzel za podstawę tekstu bierze kodeks Wrocławski kapitulny, znajdujemy jednakowoż w téj nowéj edycyi lepsze lekcye aniżeli u Stenzla. Mniejszą wartość od żywota św. Jadwigi po-

siada wydany również przez Semkowicza *żywot św. Anny*, żony Henryka Pobożnego, z jedynego kodeksu Wrocławskiego.

Pomniki zakończa *żywot świętego Jacka* w edycyi prof. Ćwiklińskiego. Błędna kopia z niekoniecznie dobrego kodeksu Chigiańskiego stanowi tekst tego żywota. Jakie trudności powstały stąd przy edycyi pojmie łatwo każdy, kto się raz ustaleniem tekstu zajmował. Niepodobna wyjść z labiryntu hipotez, przypuszczenia cisną się na myśl i wypierają inne przedtem powzięte i miane już za prawdopodobne. Zresztą i sam żywot, skreślony ręką Stanisława Dominikanina krakowskiego po 1352 r. w téj postaci, jak go mamy w rękopisie Chigiańskim, wygląda na dzieło tak liche i niedokładne, że należało chyba oczekiwać wierniejszéj kopii oryginału który dziś za zaginiony uważać należy, lub co już najmniéj, postarać się o dobre skolacyonowanie kopii Chigiańskiego kodeksu, gdyż odpisu, jaki wydawcy posłużył za tekst, niepodobna uważać jako skolacyonowany.

Oto krótka treść prawdziwie monumentalnego dzieła. Zdawszy zeń w ogólnych rysach sprawę, ciśnie się nam pod pióro słówko na zakończenie. Dwa lata mijają odkąd tom ten olbrzymi w rozmiarach, zaopatrzony w indeks, stanowiący dla się odrębną całość, opuścił pracę i jest w handlu w komisie księgarni Gubrynowicza i Schmidta. A są to *monumenta Sacra Poloniae*, powinny być przeto w ręku przewielebnego duchowieństwa, przedewszystkiém kapituł, seminaryów, bibliotek klasztornych, kapitulnych, a jednakowoż komisanci uskarżają się, że dzieło zalega w magazynach tudzież na półkach księgarskich. Może winna temu cena 15 zł. za tom, a może i obojętność dla Monumentów. W każdym razie, odezwa komitetu redakcyjnego nie powinna napotkać na chłód, jakiego doznaje dzieło same w handlu księgarskim. Odezwa ta, pomieszczona w przedmowie, dotyczy dalszéj przyszłości dzieła. Na tom V materyał już przygotowany i druk kroniki Bernardyńskiéj Jana Komorowskiego, obejmującéj 25 arkuszy druku, (edycyą przygotował prof. Liske) jest już ukończony, ale dla dalszych tomów proszą komitetowi o pomoc w podawaniu wiadomości o dawnych rękopisach, o materyałach kryjących się po bibliotekach kapitulnych i klasztornych, po strychach nieraz dawnych kościołów itp. a zawierających nieraz bardzo cenny i zupełnie nieznany materyał historyczny. Oby ta odezwa znalazła jak najszerszy odgłos, a miejmy nadzieję, że owocem jéj będzie niejeden jeszcze pomnik w dalszych tomach Monumentów.

Dr. A. Prochaska.

= **Saturnin Kwiatkowski: Jan Giskra z Brandysu.** *Rys biograficzny z 15 w. We Lwowie 1886.* Pomiędzy najemnikami czeskimi, którzy w niespokojnych czasach 15 w. na wschodzie Europy odgrywają taką samą rolę, jak Szwajcarowie na zachodzie, służąc za pieniądze różnym panom i sprawom, zajmuje znakomity wódz i dzielny partyzant Jan Giskra z Brandysu najwybitniejsze miejsce. Znana ta i ciekawa wielce postać, mająca znaczenie zarówno dla dziejów czeskich i austryackich, jak węgierskich i polskich, znalazła w p. Kwiatkowskim skrzętnego i pracowitego biografa. O urodzeniu i pochodzeniu jego, o młodości i pierwszych latach służby wojennéj, nie wiemy zgoła nic pewnego; dopiero po śmierci Albrechta II Habsburga († 1439) występuje na szerszą widownią. Jak pierwéj temu, służy on teraz wiernie wdowie jego Elżbiecie, która w imieniu syna swego Władysława Pogrobowca broni praw do węgierskiéj korony przeciw Władysławowi Warneńczykowi, królowi polskiemu, i jego stronnictwu. Stoi on od samego początku sporu, oddany zupełnie, przy partyi habsburskiéj i jest jéj najdzielniejszym rzecznikiem na Węgrzech, a nie zdradza jéj nawet wtedy, gdy pojmuje za żonę siostrzenicę biskupa jagierskiego, gorącego stronnika Warneńczyka. I po klęsce warneńskiéj jest Giskra, jako generalny starosta Pogrobowca, główną podporą rakuskiego stronnictwa, a siedząc na hrabstwie saroskiem i ziemi spiskiéj, silne zajmuje stanowisko w północnych Węgrzech. Po śmierci Władysława Pogrobowca (1457), rozpoczyna się ostatni epizod udzielnego panowania Giskry w tych stronach; wypełnia go pięcioletnia krwawa wojna, którą wiedzie król Maciej Korwin, wróg partyi rakuskiéj z całą energią, wziąwszy sobie za cel wypędzenie czeskich najemników z Węgier. W przewidywaniu niekorzystnego dla siebie końca téj walki z potężnym przeciwnikiem, stara się Giskra o pozyskanie Polski dla swych awanturniczych planów. Zjawia się mianowicie na sejmie Piotrkowskim 1458 i namawia króla do podniesienia praw swych do korony węgierskiéj, przyrzekając pomoc swoję, oraz zaprzyjaźnionych z sobą panów i miast węgierskich, a kiedy odmowną otrzymuje odpowiedź ofiaruje swe usługi w wojnie z zakonem. Nie wskórawszy na razie nic, wrócił w kilka tygodni znowu do Polski, udał się do Prus i jego to wpływowi na czeskich żołdaków, walczących po stronie zakonu udało się doprowadzić do ośmiomiesięcznego rozejmu. Na Węgrzech wrzała tymczasem walka daléj, lecz po upadku Spiżu i Sarosu nie udało się Giskrze utrzymać swego stanowiska, pogodził się z Maciejem i otrzymał prócz pieniężnego wynagrodzenia obszerne posiadłości we wschodnich Węgrzech. Odtąd znika on z widowni, nie wiedziéć nawet, gdzie i kiedy umarł. Słynny ten kondotier uważany za ojca zasady: wojna żywi wojnę,

na czele swych walecznych i dobrze wyćwiczonych weteranów husyckich, których wiódł zawsze do zwycięstw, niepospolitą uzyskał sławę u współczesnych. Ruchliwy, rzutny, spadający nagle na wroga,—ztąd prawdopodobnie nazwa „Iskra",—hojny dla podwładnych, był bożyszczem swych żołnierzy. Był on jednak nie tylko dobrym wodzem, odznaczał się i talentem administracyjnym, oraz wzrokiem politycznym „który mu pozwalał patrzéć daléj niż na koniec miecza." Rozprawa p. Kwiatkowskiego jest pierwszą biografią, przedstawiającą całość życia i czynów wojowniczego tego czeskiego najemnika. Najdokładniejsze wyzyskanie wszelkich możliwie dostępnych źródeł, oraz jasne opowiadanie czynią to wyczerpujące studyum ciekawém i ważném zarówno dla dziejów Węgier jak Polski, choć z drugiéj strony przyznać trzeba, że przez to mozolne wyszukiwanie i zestawianie rozbitych czasem szczegółów, rzecz, jak na „rys biograficzny" jest cokolwiek za ciężką. *F. Bostel.*

= **Stahlberger T.: Mickiewicz w Weimarze 1829 r.** *Kraków 1886.* Pobyt Mickiewicza w Weimarze i jego spotkanie się z Goethem jest niewątpliwie jednym z donioślejszych faktów w życiu naszego wieszcza, ztąd też często był on przedmiotem opisów i komentarzy ze strony biografów zarówno Mickiewicza jak Goethego. Zdarzenie się dwu tych największych poetów XIX wieku, w uroczystéj chwili 80-éj rocznicy urodzin wielkiego autora „Fausta" nadawało spotkaniu temu jeszcze poważniejszy nastrój i doniosłość. Ten też epizod jest właśnie przedmiotem pracy p. Stahlbergera. Zebrał w niéj autor skrzętnie wszystkie najdrobniejsze wiadomości do tego faktu się odnoszące i złożył w jednę harmonijną i wdzięczną całość. Praca p. St. nie przynosi żadnych nowych i nieznanych szczegółów, napisana jednak wielce starannie i poprawnym językiem, stanowi pożądany przyczynek do literatury Mickiewiczowskiéj, jako akcentująca właśnie doniosłość owego głośnego spotkania dwu wieszczów, i wiernie a szczegółowo owę chwilę pobytu Mickiewicza w Weimarze przedstawiająca.

= **Poeyze Adama Mickiewicza.** *Wydanie zupełne w 4 tomach. Lwów, księgarnia polska, 1886* w 16-ce. Nowa ta edycya samych tylko poezyi wielkiego wieszcza nie posiada żadnych zalet pod względem krytycznym; ani co do tekstu, ani co do układu nie kierowano się w niéj jakiemikolwiek zasadami naukowemi; co wchodziło dotychczas w skład utworów poetyckich Mickiewicza, to oddrukowano bez dodania wprawdzie wielkich omyłek, ale też i bez koniecznych sprostowań. W układzie rządzono się zupełną dowolnością rozpoczęto od „Pana Tadeusza", który zajął tom pierwszy, najobszerniejszy (str. 403); mieszczą się tu objaśnienia samego poety i odmianki tekstu. Tom drugi (str. 303 i 2 karty nlb.) zawiera: 1) Sonety erotycz-

ne, 2) Sonety krymskie, 3) Ballady i romanse, 4) Tłomaczenia (Giaur, wiersze drobne, zdania i uwagi z Jakóba Boehme, Anioła Szlązaka i Saint-Martina). W tomie trzecim (str. 314 i 2 karty nlb.) wydrukowano „Grażynę“, „Konrada Wallenroda“ i cały szereg tak zwanych „wierszy różnych,“ zestawionych całkiem przypadkowo, bez cienia nawet myśli grupującéj. Tom czwarty wreszcie (str. 311 i 1 karta nlb.) obejmuje „Dziady“ naturalnie wraz z „Ustępem.“ Taki układ nie może mieć żadnego umiejętnego znaczenia. Wydawca też o takiém znaczeniu bynajmniéj nie marzył; chciał się ogółowi przysłużyć jaknajtańszém wydaniem poezyi Mickiewicza i zamiaru tego dokonał. Dał druk wyraźny, papier cienki wprawdzie, ale nie zły i naznaczył bardzo nizką cenę: za cztery tomy zł. reński 1 i centów 60. Teraz uprzystępnienie nabycia utworów Mickiewicza doszło już do téj miary, jaką mają podobne wydania u Niemców, Francuzów lub Anglików.

= **Spis przedmiotów** *zawartych w 80 tomach Przeglądu polskiego, zestawił Jarosław Pieniążek. Kraków 1886.*—Zbyteczną, a na tém miejscu chyba niewłaściwą byłoby rzeczą udowadniać pożyteczność tego rodzaju spisów i zestawień ułatwiających badaczom często długie i mozolne poszukiwania. Wymagać jednak musimy od prac w tym kierunku podejmowanych dokładności wszechstronnéj, jeżeli mają one rzetelną i prawdziwą przynieść korzyść badaczom. Zestawienia tego rodzaju są w swoim zakresie rodzajem bibliografii. Jeżeli w niéj dokładności i ścisłości niema, praca cała traci wartość. Wszak miał p. P. wzory podobnych zestawień d-ra Estreichera dla Biblioteki warszawskiéj oraz Tygodnika illustr., według których mógł zupełnie dokładnie i odpowiednio wszelkim naukowym wymogom uskutecznić swą pracę. W zestawieniu p. P. znajdujemy przedewszystkiém spis przedmiotu uskuteczniony alfabetycznie według nazwisk autorów. Metoda ta jest błędną, gdyż utrudnia zoryentowanie się w poszczególnych działach i materyach, których ugrupowanie najważniejszém jest w danym razie zadaniem. Nie znajdujemy daléj w dziale rozbiorów literackich wskazówek, jakie dzieła poddane są rozbiorowi, ale zaznaczono tylko ogólnikowo: „Przegląd literacki“ poczém odsyłacz do kilkudziesięciu stronic. Wierzymy, że w ten sposób przeprowadzone zestawienie zabrało nierównie mniéj czasu i pracy autorowi niż wyszczególnianie całego materyału, ale czy w obec tego warto było całą pracę podejmować, ośmielamy się wątpić. W podobny sposób przeprowadzone zestawienie żadnego oczywiście nie przynosi pożytku i szkoda tylko podjętéj zarówno pracy jak nakładu. Cena wreszcie 1 złr. za broszurkę o 62 str. poczytana być musi za wielce wygórowaną.



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Nareszcie! — Niezawodne skutki banku ratunkowego. — Czyny zachętą. — Sapieha i Potocki. — Skutki niezależności naszych umysłów i charakterów. — Zobowiązanie ogółu w „Gazecie Polskiéj.“ — Powinność. — Wybryk p. Sg. — Głos nienawiści. — Projekt Politechniki w Warszawie. — Czy ona dziś na czasie? — Dawny wniosek hr. Rzyszczewskiego. Dyplomatyczne stosunki Łodzi z Warszawą. — Jeszcze pomnik Mickiewicza. — Dyktatura marszałka. — Pro domo sua. — Rozmowa ślepych o kolorach. — Francuskie miesięczniki jako najwyższy argument. — Co się komu należy.

Nareszcie!... Nareszcie w Poznaniu przystąpiono do zorganizowania obrony ziemi. 80-ciu obywateli założyło bank, którego celem będzie odpieranie kolonizacyjnych zamachów ks. Bismarcka. Kapitał zakładowy wynosić ma 3 miliony marek w 3 tysiącach akcyi, po 1000 marek każda. Kierunek instytucyi oddany został w ręce komisyi wykonawczéj, do któréj wybrano pp. Stanisława hr. Żółtowskiego, dr. Zygmunta Sułdrzyńskiego, dr. Witolda Skarzyńskiego, dr. Władysława Łebińskiego i kupca Wł. Jerzykiewicza.

Gdy wieść ta, istotnie pocieszająca, rozbiegła się po szerokim świecie, każda pierś polska, niezawiędła w troskach doli osobistéj, musiała poczuć ulgę niemałą!.. Nareszcie!... Uledz bez walki, bez wyprobowania wszelkich środków obrony, bez spełnienia obowiązku wobec przeszłości i przyszłości byłoby hańbą, byłoby świadectwem, że miłość bytu narodowego wygasła, że wartość społeczna rodaków naszych w Księstwie i w Prusach stała się niższą nawet od téj, jaką ma w opinii wrogów. Może bank nowy nie zdoła stać się skuteczną tamą od nawały marek, kolonistów i praw wyjątkowych, może przemoc pomimo wszelką obronę tryumf odniesie, — ale siła napastników osłabnie kiedyś, fale najazdu opadać będą, i jak szczyty drzew po potopie wychylać się zaczną szczątki życia, bytu, dążeń i nadziei polskich. Dla przyszłych pracowników apatya, niedbalstwo dziś byłyby najfatalniejszą tradycyą, drugim sejmem grodzieńskim. Chociażby nieudany opór daje rękojmię, że siły i uczucia jakieś są i działać

kiedyś zaczną, pozwala się spodziewać, że życie przetrwa niszczące wpływy gospodarki pruskiéj.

Miejmy nadzieję, że tylko pierwszy krok był trudny, że gdy raz siła napięta ujawniła się w czynie, daléj już tryskać będzie, nieustając, wciąż rosnącym potokiem. Każde dokonane usiłowanie wleje nową otuchę, obudzi zapał, zaświeci jako zachęta, przykład i przypomnienie obowiązku. Fakt założenia banku wywołał rzeczywiście natychmiast oznaki gorliwości. Jakiś przyjaciel „Kraju" petersburskiego, na pierwszą wieść o organizowaniu czynnéj obrony w Poznańskiém oświadczył, że z chwilą założenia banku ratunkowego gotów jest złożyć 10,000 marek na 10 akcyi, z oddaniem ich na własność towarzystwa pomocy naukowéj imienia d-ra Marcinkowskiego. „Kurjer Poznański" znowu za inicyatywą pani J. S. otworzył subskrypcyą na akcye wspólne, kupowane za pomocą drobnych składek. Akcye, w ten sposób nabyte, złożone zostaną w przyszłym banku bez procentów, jako fundusz „bratniéj pomocy" na ratowanie ziemi naszéj. W przeciągu dni kilku z nadesłanych składek utworzył się już fundusz, równy wartości kilku tysiąco-markowych akcyi. Podobno w Księstwie popierają „w pewnych kołach" gorąco myśl ustanowienia, za przykładem Czechów, *postu narodowego*, t. j. ograniczania się we wszystkich wydatkach przez jeden dzień w tygodniu, aby zaoszczędzone pieniądze złożyć w kasie „bratniéj pomocy." Ostatniego tego projektu nie można za gorąco poprzéć i pochwalić. Operacye banku mogą zawieść, ale wdrażanie się do oszczędności, zrzekanie się uciech i przyzwyczajeń na rzecz celów ogólnych z pewnością bez korzyści nie przeminie i w znacznéj części wynagrodzi szczerby, prawami pruskiemi poczynione w naszym organizmie. Ciągłe przypominanie sobie o obowiązkach społecznych zacieśni związek, łączący jednostki z ogółem i wzmoże siły tego ostatniego. Ludzie, co dla wyższéj myśli uwolnią się od jarzma nawyknień, co żyć będą w ciągłém ograniczaniu zachceń dla przyszłości narodu, potrafią wiele zrobić.

Według zapewnień gazet, dwaj magnaci galicyjscy, ks. Adam Sapieha i hr. Artur Potocki z Krzeszowic poprą czynnie poznańską instytucyą ratunkową. Obaj ci panowie mają olbrzymie środki materyalne, a o dobrych ich chęciach wątpić nie można. Obaj są zawsze *obecni*, gdy kraj potrzebuje pomocy, obaj dali dowody, że fortuny na cele publiczne nie żałują. Dla tego też z udziału ich w téj sprawie rokować pomyślnie dla instytucyi można.

Celem banku będzie: dopomagać właścicielom ziemskim, których interesy są zachwiane; nabywać majątki z wolnéj ręki i na licytacyach; nareszcie skupione grunta odprzedawać z zyskiem jednemu

nabywcy, parcelować je, lub téż nareszcie wydzierżawiać. Hasłem ma być: bronić nie osoby, lecz ziemię. Nie będziemy tu szczegółowo roztrząsać zasad, na jakich wsparto urządzenie banku, powinni to zrobić skrupulatnie znawcy, otaczając go od pierwszéj chwili gorliwą i rozważną opieką, udzielając nie tylko rad, lecz w razie potrzeby i bardziéj czynnéj pomocy, czy to przy opracowywaniu ustaw, czy przy wykonywaniu zadania. Zapewne dziś jeszcze plan pracy nie został ostatecznie nakreślony i z biegiem czasu i wypadków będzie na podstawie doświadczenia ulegał zmianom i ulepszeniom.

Wyrażono już obawę, która i nas niepokoi, że bank chociażby tak ściśle przystający do ustaw państwowych, jak płyn do naczynia, może być zamknięty i nawet zrujnowany, jeżeli będzie bruździł woli kanclerskiéj. Wobec tego przychodzi naturalnie na myśl, czy w razie zwiastuńczych oznak prześladowania, dla ratowania ziemi nie można by było znaleść innego organu niż zbiorowy i oficyalnie uznany komitet. Zdaje się, że nie, i to jedynie wskutek fatalnych wad kilkowiekowéj anarchii. Irlandczykami rządził przez tyle lat z wielką korzyścią dla narodu O'Connel, dziś w razie potrzeby powierzono by Parnellowi wszystkie siły, mienie zarówno, jak i usługi osobiste. My ani ufać, ani słuchać, ani iść karnie za przywódcą nie potrafimy. Gdyby wśród nas stanął już nie O'Connel, nie Parnell, nie Cavour, ale człowiek, którego charakter i umysł byłby ekstraktem przymiotów wszystkich mężów stanu, to i wtedy znosilibyśmy go cierpliwie, tylko przez bardzo jakiś krótki przeciąg czasu. Późniéj zaraz demokracya wniosłaby oskarżenie o wszystkie zbrodnie przewrotności, egoizmu, opowiadała by gorszące anegdoty, gdyby tylko jednego dnia był u dwu aż posiadaczów większéj własności; albo téż arystokracya pozbawiła by go zaufania, gdyby głośniéj nieco wyznał, że zbawienie widzi w parcelacyi, lub coś podobnego. No, a prócz tego byłyby naturalnie tłumy niezadowolonych ze względów osobistych, opozycyonistów z zasady, lub z powodu chronicznie złego humoru, przy rozstrojonym żołądku i nacisku lichwiarzów; wielu by odpychał sposób układania włosów, lub uśmiech niedosyć pewny, a nie zabrakło by i takich, których irytuje wszelkie uznanie powszechne, szczególniéj jeżeli zaszczyconemu niém można zarzucić mylne poglądy na... nieśmiertelność duszy przypuśćmy. Fatalne rozgoryczenie, które odpycha ludzi, jak cząsteczki gazu, jest smutną chorobą, niszczącą nasz organizm narodowy nieustannie. Wielu ludzi żyjących, albo raczéj marniejących w pojedynczém szamotaniu się, uważa za coś szczególnie godnego uznania niepodporządkowanie swojéj osoby i woli pewnemu prądowi. Nieuleganie obcym wpływom, niezależność jakaś metafizyczna tylko przez słabe umysły uważaną być może

za zaletę, zasługę i zasadę w życiu; uganianie się za podobnemi marami, lub nawet nieleczenie się z zakorzenionych nałogów anarchii przynosi wielką szkodę społeczeństwu.

„Gazeta Polska“ powiedziała kiedyś poznańczykom: „Wy wypracujcie plan, my wszyscy spełnimy swoją powinność.“ Gazeta nie miała mandatu do przemawiania w imieniu ogółu, ale każdy, czytając te słowa, pragnął by się sprawdziły i chętnie powtórzyłby sam podobne zapewnienie. Pamiętajmyż wykonać owe zobowiązania. Niechaj ciągłe dowody przekonywają poznańczyków, że nie są odosobnieni. Niechaj widok uczuć i dążeń solidarnych dodaje im otuchy i wytrwałości w ciężkich przejściach. Mamy wśród siebie ludzi bogatych, którzy w takiéj chwili o obowiązkach obywatelskich nie zapomną i pójdą za przykładem Sapiehy i Potockiego, ale udział kilku bogaczów nie zwalnia nikogo, od przyjęcia udziału w sprawie ogólnéj. To, że akcya kosztuje aż 1000 marek (500 rs.), nie może stanowić przeszkody dla tych, którzy tak dużéj sumy nie mają. Czego nie jest w stanie dać jeden, to potrafi zebrać dziesięciu lub stu. Trzeba tylko, aby ludzie energiczniejsi zakrzątnęli się koło tego. Na cele daleko mniéj ważne potrafiono organizować loterye, wieczorki i tym podobne sposoby zbierania większych sumek. Żaden stan wyłączonym być nie powinien, kto nie może dać rubla, niech da choć dziesiątkę. Powszechne przejęcie się sprawą nietylko pozwoli kupić poważną ilość akcyi, ale moralnie będzie miało tę dobrą stronę, że tylu ludziom pozwoli wziąć udział w życiu ogółu. Spełnijmy powinność!

Zdawało by się, że pierwszy akt solidarnéj pracy nad obroną bytu, który chociażby chybił głównego celu, przynieść musi korzyść moralną, powinien zostać powitany przez prasę polską sympatycznie. Przewidzieć skutków niepodobna, należy więc zapewnić usiłowaniom jak najwięcéj szans powodzenia, należy nie osłabiać siły rzutu. A jednak znalazło się pismo, znalazł się literat, który garść drwin i urągań rzucił na powitanie pracy narodowéj. Gdyby wszystkie pisma postąpiły w ten sposób, gdyby ginący poznańczycy usłyszeli tylko słowa zniechęcenia, czy nie doznali by boleści cięższéj niż po szyderstwach ks. Bismarcka, czy nie wpłynęło by to fatalnie na nasze stosunki wewnętrzne i tak już z przyczyn zewnętrznych coraz gorsze? Czytałem dwukrotnie artykuł p. Sg. (*Wędrowiec*, Nr. 42, „Z wędrówki“) i zrozumieć jego myśli przewodniéj nie zdołałem, o co mu chodzi— dowiedzieć się nie byłem w stanie. Po pierwszych słowach sądziłem, że autor ma jakiś własny plan, i dlatego ośmielił się tak drwiąco traktować usiłowania ludzi poważnych w sprawie poważnéj, aby zwrócić

uwagę na własny pomysł zbawczy. Tymczasem to tylko popis dowcipu, urąganie dla sprawienia sobie satysfakcyi, koncepty dla konceptów. Przy czarnéj kawie, wśród wesołéj rozmowy cygańsko-literackiéj takie banalne i tanie wymyślania szlachcie są bardzo niewinną rozrywką, trzeba jednak pamiętać, że tego, co się tam usłyszy, nie zawsze godzi się powtarzać, zwłaszcza gdy chodzi o rzeczy wielkiéj wagi. Zapewnianie, że lud jest jedyną siłą narodu, wydaje się widać p. Sg. nową prawdą jakąś i dlatego rzucił ją w oczy inicyatorom banku, a jednak czas już wielki po za formułkę tę, wytartą jak trojak saski, choć ćwierć kroku daléj zrobić. Spodziewać się należy, że to sykanie jednych ust nie osłabi ruchu, zrodzonego przez uczucie zdrowe; ale doprawdy smutek ogarnia, że nawet w takich doniosłych wypadkach nie możemy być wolni od wybryków rozkiełznanego warcholstwa.

Mówiąc o p. Sg., nie mogę pominąć innego jego wystąpienia w 40 numerze tegoż pisma. Tam znowu ofiarą padł dr. Henryk Nusbaum za to — mówiąc bez ogródek — że jest żydem. Wzrastający wciąż prąd antysemityzmu porywa coraz szersze koła; jak każda nienawiść jest ślepy, zrozumiéć głosu rozsądku nie chce i w każdéj chwili gotów w błoto wdeptać przeciwników. Podnosić głos przeciw temu—stracona praca! Pytać, gdzie pędzicie, co za ziarna siejecie, kto owoce zbierać będzie — daremne wysiłki, spienione usta, tylko gniewne wykrzykniki wydawać mogą. Chociażby protest wyrwany został z piersi przez najczystszy w swém źródle ból obywatelski, rzucą zań w twarz obelgą przedajności. Pomimo to, potrzeba jakaś wewnętrzna każe nam mówić nieraz bez względu na to, o kogo chodzi, bez względu na osiągnięcie rezultatu, byle niesprawiedliwość nie została bez zaprzeczenia. Zresztą kiedyś przecie ochłoniemy z szału, wtedy niesłuchany dziś głos przemówi do tych, co się zajmą tępieniem narosłych chwastów. D-r Nusbaum w prospekcie „Głosu“ powiada, że ograniczanie żydów z powodu ich odmiennéj religii jest postępowaniem niewłaściwém i że on „zostanie żydem“, to jest nie ochrzci się, gdyż do tego przekonania go nie skłaniają, a pod naciskiem ustępować nie należy. „Gdybym—mówi on—w celu uzyskania lepszego o sobie sądu, lub dla osiągnięcia jakich praw i przywilejów zmienił wiarę — skłamałbym zasadzie.“ P. Sg. wkłada w usta d-ra N. taką apostrofę do żydów: pozostańcie żydami, niezależnie od religii, któréj ani idea (?), ani etyka nie jest tak wzniosłą jak religia i etyka chrześciańska. W „Głosie“ ani tych słów, ani podobnéj myśli niema; natomiast d-r N. twierdzi: „Tylko miłością, cnotą obywatelską, wywalczać sobie powinni żydzi uznanie i miłość. Nie zżymać się nam na niesprawiedliwość chwili obecnéj, ale *czynami zmusić*

przyszłość do sprawiedliwości, a istotnych zasług naszych owoce niech orzeźwią nasze przyszłe pokolenia“... „Rezygnacya milcząca, pobłażanie wspaniałomyślne, miłość szczytna, altruizm poświęcający się w stosunku do braci nieżydów — tą drogą jedynie żydzi zamkną usta krzykliwéj nienawiści — te winny być bodźce ich życia, godła ich działalności.“ Nie chcę się wdawać w ocenę, czy twierdzenia d-ra N. są słuszne, czy też to tylko złudzenia. Ale pytam się każdego nieuprzedzonego człowieka, czy w przemówieniu tém jest co nieobywatelskiego, zasługującego na publiczne wyświecanie i urągowisko. Nienawiść rozbudzona ani ocenić, ani odczuć nie może, ona potrzebuje jedynie potępiać i pastwić się. Pan Sg. wyrzuca dr. N. „dmuchanie z wiatrem“, wśród różnych omówień daje bardzo wyraźnie do zrozumienia, iż przyczyną nieprzyjmowania chrztu jest jedynie ta okoliczność, że katolicyzm stał się obecnie u nas złym interesem. Nawet antisemicie niewolno, choćby na chałaciarza, którego jedyném rzemiosłem jest oszustwo, rzucać insynuacyi nieuzasadnionych; tymczasem d-r N. jest pracownikiem, jest obywatelem i ma pewne zasługi. Stosunki staną się nie do zniesienia, uniemożliwią wszelką pracę, wszelkie zabranie głosu, jeżeli niechęć z tego lub innego względu i słabość do złośliwych konceptów pchać będzie do szyderstwa i stawiania ludzi pod pręgierzem.

Towarzystwo Popierania Przemysłu i Handlu nie rozpoczęło jeszcze powakacyjnych posiedzeń. Gazety jednak już doniosły, że natychmiast na pierwszych zebraniach rozpatrywany będzie projekt założenia w Warszawie szkoły politechnicznéj. Wniosek w téj sprawie został postawiony jeszcze w początkach r. b. i oddany pod rozpatrzenie komisyi, w skład której weszli pp. St. Przystański, M. Paszkowski, J. Dynowski, E. Diehl i W. Leppert. W dziejach instytucyi projekt ten jest wypadkiem doniosłym. Dobrze, odpowiednio do potrzeb miejscowych urządzona politechnika zmniejszy potrzebę uciekania się do pomocy zagranicy i wytworzy ognisko odpowiednie. Młodzież nie będzie opuszczała kraju, jadąc tam, gdzie naukę dają pośledniejszą, a wpływy działają fatalne. Komisya, złożona ze specyalistów, potrafi niewątpliwie urządzić rzecz jak należy, ośmielamy się jednak zwrócić uwagę na pewną okoliczność natury ogólniejszéj, nie technicznéj. Może by wypadało rozejrzéć się w dziejach innych szkół. Założyciele ich mieli zamiar popierać wiedzę, a tymczasem obecnie za własny grosz, ze stratą dotkliwą, popierać muszą zupełnie co innego. Chodzi więc o to, że gdy cel postawiony będzie inny, gdy wola, nie mająca siedziby w Towarzystwie Popierania P. i H. rządzić zacznie, czy korzyść krajowa, osiągnięta ze szkoły, odpowie włożonym nakładom? Czy w chwili obecnéj politechnika w War-

szawie może być tak dobrą, aby nie puścić téj młodzieży za granicę, która tam wiedzę techniczną czerpie. A czerpie ją wielka ilość, bo inżynierów mamy dużo. Nie występujemy wcale ani z radą, ani z żądaniem, zwracamy tylko uwagę na okoliczność, z którą w chwili obecnéj liczyć się trzeba. Zresztą p. St. Przystański będzie mógł lepiéj niż ktokolwiek inny poinformować komitet o stanie rzeczy.

Do tego samego zakresu czynności Towarzystwa, co starania o założenie Politechniki, należy wniosek Zygmunta hr. Rzyszczewskiego, przedstawiony na posiedzeniu sekcyi I-széj w d. 28 listopada 1885 roku. Przypominamy teraz o nim, gdyż rok niedługo dobiega, a dotąd żaden głos jeszcze nie powiadomił ogółu, jaki obrót wzięła sprawa. Projektodawca zwracał wtedy uwagę, że wiele młodzieży ze średniém i wyższém wykształceniem teoretyczném ciśnie się dziś na drogę praktyczną. W zajęciach, wymagających wyższéj wiedzy technicznéj, uczuwać się daje obecnie pewne przepełnienie; natomiast drugo- i trzeciorzędne stanowiska w zakładach przemysłowych zajmują cudzoziemcy, rzadko posiadający jakiekolwiek teoretyczne wykształcenie. Szkół, które by wydawały dobrych majstrów i podmajstrzych, nie ma w kraju prawie zupełnie, należy więc braki zastępować i potrzeby wypełniać przez przyjmowanie do fabryk na praktykantów młodzieży z pewném wykształceniem bądź ogólném, bądź fachowém. Dotąd robiło się to, ale luźnie, przy niesystematyczném jedynie poparciu ludzi dobréj woli, pomimo to jednak wyniknęły bardzo pomyślne rezultaty i wyrobiły się siły techniczne pierwszorzędnéj nieraz wartości. Ale taka robota bez planu nie odpowiada potrzebie. Według więc projektu hr. Rz., Towarzystwo Popierania Przemysłu i Handlu stać się powinno jak gdyby centralném biórem, pośredniczącém pomiędzy ofiarującymi miejsca i pragnącymi odbyć praktykę. Wniosek został przyjęty. Towarzystwo miało rozesłać do znaczniejszych fabryk w kraju okólnik, zawiadamiający o projekcie, tłómaczący potrzebę kształcenia praktykantów i żądający przysłania wykazu ilości miejsc, jak również powiadamiania w miarę, gdy się takowe otwierać będą, a także informacyi co do warunków przyjęcia. Poszukujący miejsc znowu powinni zgłaszać się do sekretarza towarzystwa, składać tam dowody wykształcenia i wszelkie wiadomości o zamiarach, środkach i warunkach. Bióro zarządu nie tylko daje poszukującym pracy wykaz wakujących miejsc, ale w razie potrzeby udziela rady, daje listy rekomendacyjne, korzysta ze stosunków i wpływu członków. Oddział warszawski miał się w tym względzie zwrócić do oddziałów łódzkiego i tomaszowskiego z prośbą o współdziałanie. Wniosek żądał, ażeby po zamknięciu roku Towarzystwo ogłosiło w pismach sprawozdanie

z czynności z tego zakresu z wymienieniem tych fabrykantów, którzy zgodzili się przyjmować i przyjęli w ciągu roku praktykantów, rekomendowanych przez oddział. Na tém się wiadomości pewne co do sprawy całéj kończą. Zapewne, zgodnie z ustawą, dopiero po zamknięciu roku bieżącego dowiemy się o stosunku żądających miejsc do ofiarujących takowe. Czyby jednak nie było możebném i właściwém, ażeby bióro Towarzystwa dawało znać przez pisma: ile i jakie miejsca są do obsadzenia; jacy fabrykanci odpowiedzieli na zapytanie, ilu nie odpowiedziało wcale? Tego rodzaju wiadomości byłyby bardzo pożądane dla pragnących dostać się na praktykę, a fabrykantom przypomniały by o obowiązku odpowiedzi na okólnik. O ile zdołaliśmy dowiedzieć się, Towarzystwo w lutym r. b. rozesłało około 300 okólników i dotąd odebrało bardzo niewielką ilość odpowiedzi, z których znaczna część odmównych. Pomimo to jednak ilość zażądań miejsc była mniejszą od zaofiarowań. Jeżeli to prawda, to może szkoda, że cała sprawa nie jest dosyć głośną, i może lepiéj byłoby nie czekać zamknięcia roku, lecz częściéj (przynajmniéj w razie, gdyby były miejsca do obsadzenia) zawiadamiać ogół o stanie rzeczy?

Oddziały łódzki i tomaszowski nie odpowiedziały dotąd na prośbę warszawskiego. Bardzo jest rzeczą zrozumiałą, że projekt hr. Rzyszczewskiego, dążący do wyrobienia miejscowych sił przemysłowych, mógł się niepodobać fabrykantom cudzoziemcom, ale w stosunkach międzypaństwowych nawet, przy bardzo chociażby nadwątlonéj przyjaźni obowiązuje grzeczność. Przecie łódzcy i tomaszowscy producenci nie chcą chyba uważać stosunków dyplomatycznych z Warszawą za zerwane? Tak przynajmniéj można sądzić z tego, że niektórzy z tamtejszych potentatów starają się, aby tu wiedziano o szpitalach, przez nich zakładanych, o szkołach technicznych, o kościołach, fundowanych dla innych wyznań i tak daléj. Dziwném jest, że z taką pochopnością do rzeczy nadzwyczajnych, do filantropii na wielką skalę nie idzie w parze współdziałanie z ogółem w rzeczach drobnych.

Jakieś nieprzychylne bóstwo musiało na cały wiek bieżący wystarać się dla nas o karę ciężkiego porodu wszelkich rzeczy użyteczności ogólnéj. Czy co zależy od nas jedynie, czy spoczywa w sferach wyższych, musi wprzód długo męczyć się w głowach projektodawców, w pismach, w przeróżnych instancyach zanim zdoła urzeczywistnić się. Wszystkiego musimy za długo wyczekiwać, od banku ratunkowego poczynając, a kończyć na tramwajach warszawskich. Dziwnie dramatyczne losy ścigają szczególniej projekt pomnika Mickiewicza. Nowe zebranie komitetu postawiło znowu spra-

wę na tym punkcie, na jakim stała ona w chwili ukończenia składek przed kilku laty. Ma być rozpisany nowy konkurs. Nie można jednak powiedziéć, że nie jesteśmy bliżsi końca, owszem, kołowanie nieustanne wśród naturalnych w takiéj sprawie trudności i sztucznych, wytworzonych przez niesforność przedstawicieli opinii, doprowadziło komitet do bardzo, według nas, szczęśliwéj myśli oddania całéj sprawy w energiczne ręce marszałka Zyblikiewicza. On postawi pomnik i prawdopodobnie postawi go lepiéj niż chwiejny komitet; dał już nieraz dowody, że krzyki choćby najdotkliwsze nie wykoleją go z obranéj drogi; ale z drugiéj strony nie przeszkadzajmy mu. Przyjdźmy z góry do mocnego przekonania, że to jest człowiek wypróbowanéj wartości obywatelskiéj, poważny, zasługujący na zaufanie i to przeświadczenie niech broni nas późniéj od popierania różnych protestów w sprawach, których nie znamy bliżéj i na których znać się nie możemy.

W 42 numerze „Przeglądu Tygodniowego“, redaktor sam, lub téż któryś ze współpracowników wydrukował w „Echach“ rozmowę swoję z „przyjacielem literatem“, w któréj zawiera się dowodzenie, że dwa miesięczniki „Ateneum“ i „Biblioteka Warszawska“ są zbyt nudne, aby mogły być czytane. Przyjaciel literat wyznaje otwarcie na wstępie: „Ja sam wiem o Ateneum tyle tylko, że ma jakąś płową okładkę z rysunkiem kościołka i popiersia, a Biblioteka Warszawska nosi obłóczkę zieloną, jeśli się nie mylę“ (omylił się, w tém nawet i red. Przeglądu go sprostowała). Przedstawiciel Przeglądu zaś utrzymuje, że to „wyborne miesięczniki.“ Zachodzi teraz pytanie, czy autor „Echa“ sam czytał i widział pisma, o których mowa była, czy téż nie? Jeżeli nie, to dysputa dwóch ludzi o przedmiocie nieznanym mogła być bardzo zajmującą, pełną wrażeń, ale nie nadaje się chyba do powtarzania drukiem, szczególniéj, jeżeli treść jéj dotyka bliźnich w sposób niebardzo pochwalny. Jeżeli zaś czytał, to uległszy słabości gawędzenia ze ślepym o kolorach, powinien był zwyciężyć i dowieść światłemu literatowi, że „miesięczniki są wyborne.“ Tymczasem przyjaciel zwyciężył i powołując się na tytuły artykułów i liczbę kartek zamknął autorowi z Przeglądu usta, przez co wszystkie wywody jego stały się zarzutami przeciwko omawianym pismom. Pomijając cudowność wypadku jasnowidzenia „przyjaciela literata“ i dziwną chęć zgody jego przeciwnika, rozpatrzmy same zarzuty. „Te nasze poważne pisma oddają przysługę ludziom, nie mającym gdzie drukować prac swoich, ale nie czytającemu ogółowi“, jako przykład wskazany jest artykuł p. Gostomskiego o Fauście. „Zginiesz, a nie odczytasz!“— upewnia przyjaciel, mający widocznie bardzo skromne pojęcie o zamiłowaniu swego interlokutora do lektury.

Prócz tego „takie nawet *dobre* rzeczy i *na czasie*, jak *Szkoły historyczne w Polsce* przez Wł. Smoleńskiego, lub *Kotlina Prypeci i błota Pińskie pod względem przyrodniczym*, kwalifikują się do czysto specyalnych pism.“ To wszystko poparte jest nieuniknionym w takich wypadkach argumentem: „Porównajno miesięczniki francuskie, niemieckie, angielskie z naszemi.“ Sądzę, że mamy prawo przypuszczać, iż literat warszawski, który ocenia „Ateneum“ i „Bibliotekę“ z okładki, powoływane na świadectwo pisma zagraniczne zna jedynie ze słyszenia; zresztą miesięczników francuskich, nadających się w tym razie do porównania, nie ma. Mniejsza z tém jednak, weźmy najpoczytniejsze wydawnictwo książkowe—dwutygodnik „Revue des deux Mondes“ i będziemy się nań powoływać. Dla czego artykuł o Fauście jest niewłaściwy? Nie z powodu wykonania, bo o tém niema mowy w „Echu“, nieodpowiedni więc jest chyba wybór treści i liczba stronnic. Nam się zdaje, że chyba więcéj jest warta praca o jednym z największych utworów europejskiéj literatury, niż rozprawy, pochwały, lub szykany wierszyków i nowelek współczesnych, które wyrastają i giną bez wpływu i śladu. W innych literaturach i społeczeństwach istnieją stowarzyszenia i pisma poświęcone studyom nad dziełami geniuszów, czyż by u nas jeden artykuł był już zbytecznym? W „Revue des deux Mondes“ znajdujemy artykuły: „Un poete franc-maçon devant le saint office au XVIII siecle“, stronnic 31, — „Le poète Grillparzer et Bethoven“, str. 29, — „L'art flamand et l'art italien au XV siecle“, str. 34 i w tym samym numerze artykuł o Heinem str. 13 i t. d. i t. d. (powołuję się na kilka zaledwie zeszytów, wziętych na chybił trafił z roku bieżącego i zeszłego). Dobry, ale za specyalny jest artykuł p. Smoleńskiego „Szkoły historyczne w Polsce.“ Czy jest choć jeden średnio nawet inteligentny polak, dla którego podobna treść byłaby niedostępną. Cytat z „Revue d. d. M.“ robić nie mogę, bo musiałbym $^1/_8$ część artykułów zacytować i to o rzeczach bardzo specyalnych, a przytém drukowały się tam kilkotomowe dzieła historyczne. Następnie, czy mniéj jest interesujący dla polskich czytelników artykuł p. Rehmana o błotach pińskich niż dla francuza bardzo długie opisy Normandyi p. Baudrillarda, studyum o obronie brzegów morskich (str. 36), lub (w tymże zeszycie) „Les mines et les mineurs“ (aż 47 str.).

Rozwodziliśmy się dla tego tak długo nad tym przedmiotem, aby dowodnie wykazać niesłuszność zarzutów, i oparłszy się na tém, przejść do zwrócenia uwagi na objaw ogólniejszéj natury, choć nas bezpośrednio dotyczący. Prąd potrzeb umysłowych i materyalnych, który literaturę robi coraz lżejszą, coraz bardziéj przystosowywaną do potrzeb nerwów, niż umysłu, coraz bardziéj starającą się odpo-

wiadać żądaniom czytelników, niż uczyć, nie jest pomyślnym w skutkach objawem społecznym. Do książek nawoływać trzeba i robić to należy. Pisma poważne, miesięczniki, nie zastąpią książki, ale w pewnym stopniu jednak mogą dodatnio dopełniać i prostować gorączkową fabrykacyą tygodników i gazet. Fakt, że „Ateneum" i „Biblioteka" z trudnością egzystować mogą, jest pokrewny zjawisku małego odbytu książek, nieraz niezależnie od ich dobroci. Przeciwko temu oddziaływać należy, budzić smak do rzeczy gruntowniejszych. Gdyby nawet pismo od czasu do czasu pomieściło pracę, kierując się jedynie tą pobudką, iż nigdzie indziéj ona miejsca nie znajdzie, to w tém zdrożnego nic niema i nie usprawiedliwia inteligencyi z zarzutu, że się trzyma zdala od pism poważniejszych. Boć przecie drukując rzeczy nie poczytne, robi się to nie dla osobistéj pociechy autora, lecz wskutek wartości saméj pracy dla społeczeństwa. Ktoś może znaleść artykuł nieodpowiedni dla niego, ale powinien rozumieć, że takowy przydać się może niejednemu pracownikowi nad daną gałęzią zjawisk. A przedewszystkiém powinna to rozumiéć prasa, która przecie wié dokładnie, że oba miesięczniki są prowadzone nie dla interesu wydawniczego, lecz z pobudek społecznych. To naturalnie nie wyjmuje ani „Ateneum", ani „Biblioteki" z pod kontroli, ale — mówiąc otwarcie — daje prawo do życzliwości i poparcia, boć to sprawa nie pana X. lub Y., lecz ogółu niejako. Nie o pochwały chodzi, lecz o zwracanie uwagi, o radę i krytykę. Tymczasem wzmianki doszukać się w pismach trudno, a gdy się nareszcie zjawia, nosi widocznie na sobie ślady pośpiechu, nas niczego nauczyć nie może, czytelników źle informuje i w końcu odstręcza od czytania poważniejszych rzeczy. Czy to słusznie?

Ludwik Straszewicz.



Wydawca, **W. Spasowicz.** — Redaktor, **Piotr Chmielowski.**

OGŁOSZENIE KONKURSU.

Stypendyum imienia Śniadeckich z fundacyi ś. p. Seweryna Gałęzowskiego, w kwocie 5000 franków rocznie ma być nadane z końcem roku bieżącego. O stypendyum to ubiegąć się mogą docenci obu uniwersytetów krajowych, lub jednego z zagranicznych (ci ostatni z warunkiem dostatecznéj do wykładu biegłości w języku polskim). Gdy stypendyum to z ostatnich lat trzech przyznaném było kandydatom poświęcającym się naukom przyrodniczym, przeto, na mocy porozumienia między Radą administracyjną Szkoły Polskiéj w Paryżu a miejscowym komitetem wykonawczym, stypendyum następne ma być przyznane na rok jeden kandydatowi, oddającemu się naukom humanitarnym.

Do podań, które najdaléj po koniec Października b. r. wnosić należy do Akademii Umiejętności (Kraków, ulica Sławkowska) dołączyć należy:

1) Dowód, że kandydat jest docentem, jakiego przedmiotu, jak dawno, ilu miewał słuchaczy;

2) Prace naukowe bądź już drukiem ogłoszone, bądź w rękopiśmie będące;

3) Program studyów, które w ciągu roku przedsiębrać zamierza.

Po upływie pierwszego półrocza kandydat będzie obowiązany złożyć sprawę z prac naukowych, któremi zajmował się w tym czasie i usilność swoją w téj mierze w właściwy sposób udowodnić.—Sumę sobie przyznaną stypendysta odbierać będzie w ratach półrocznych z góry.

W Krakowie dnia 28 Września 1886 r.

Stanisław Tarnowski,
Sekretarz gen. Akad. Um.

SPROSTOWANIE.

W zeszycie październikowym „Ateneum“, na str. 13, w cytacie z „Fausta“ Göthego, zamiast:

Jak *zwinném* skrzydłem błogosławieństw krążą —

powinno być:

Jak *wonném* skrzydłem błogosławieństw krążą.



DWIE CYWILIZACYE.

Życie umysłowe naszego społeczeństwa już od kilkunastu lat płynie równym, spokojnym ruchem. Ani czas i warunki zewnętrzne, ani usposobienie umysłów niesprzyjają gwałtownym wstrząśnieniom i wielkim zmianom. Idee, hasła, żądania, postawione i rozwijane niegdyś przez wychowańców Szkoły Głównéj, zostały bądź przyjęte ogólnie, bądź też, choć sporne jeszcze, uzyskały prawo obywatelstwa, bądź nareszcie zmodyfikowały się i znikły zupełnie. Odtąd nabywanie nieznanych dawniéj zdobyczy wiedzy, lub przetrawianie starych odbywało się bez szczególnych manifestacyj, na drodze powolnéj i cichéj pracy. Od czasu do czasu wprawdzie dawały się słyszéć energiczniejsze wykrzykniki nowych apostołów politycznych, społecznych i filozoficznych, którzy pragnęli przedostać się do uwagi powszechnéj i zawrócić myśl i działalność społeczeństwa na odmienne tory, głosy te jednak milknęły wkrótce, nie znalazłszy echa, gasły jak płomyki, niepodsycane powietrzem. W ostatnich dniach nowy głos zaalarmował buńczucznie publiczność naszą hasłem po części nieznaném u nas jeszcze, po części zaś objawiającém do tego pretensyą.

Rodowód nowych formuł bywa różny. Jedne powstają w gabinetach uczonych, jako owoc mozolnéj pracy. Aby dotrzeć do nich, trzeba zbadać wielką liczbę oddzielnych zjawisk, dopatrzéć się między takowemi jakiegoś ścisłego związku i roztrząsnąwszy go krytycznie, dojść do zwięźle ujętego rezultatu. Cała ta robota kosztuje dużo wysiłków, wydobycie prawdy na wierzch przychodzi nie łatwo, gdyż łupina pozorów jest twardą. Formuły takie przyjmują się powoli, bo w ostateczném swém brzmieniu przeczą złudzeniom i uświęconym przesądom, a nie każdy zdoła wedrzéć się na rusztowanie dowodzeń. Szerząc się jednak z trudnością i krok za krokiem, postępują one

nieustannie i nie mijają bez dodatniego wpływu. Bywają znowu hasła, które rodzą się z uczuć głównie, są mniéj głębokie, ale przez to właśnie trafić łatwo mogą do przekonania ogółu; jeżeli zjawią się w chwili, gdy społeczeństwo jest usposobione do ich przyjęcia, to znajdują prędko znaczny rozgłos, poruszają i pobudzają większość, co ich nie chroni od wczesnego zestarzenia się i rychłego zniknięcia nawet z pamięci ludzkiéj. Mogą one wpłynąć poważnie na bieg zdarzeń, wykoleić na chwilę prawidłowy rozwój, ale w umysłach kiełkujących ziarn nie zostawiają. Im społeczeństwo potrafi krytyczniéj spojrzéć na takie formuły, tém lepiéj, tém mniejszy wynika zamęt. Program „Głosu“, nowozałożonego w Warszawie tygodnika, uważamy właśnie za hasło tego rodzaju; doniosłego znaczenia on—naszém zdaniem—miéć nie będzie, pragniemy jednak, aby wskutek sympatycznéj, przezeń wywieszonéj chorągwi ludowéj nie był przyjmowany bez dokładnego zbadania, aby sami twórcy i apostołowie jego byli nagleni o dokładniejsze zdawanie sprawy ze swych myśli, co niewątpliwie przyczyni się i do rozwoju samego programu i do powiększenia sumy wpływów dodatnich, jakie społeczeństwo osiągnąć może z nowego pisma.

Zasady „Głosu“ są ultra demokratyczne, podnoszą one zupełną cywilizacyjną odrębność składowych części narodu i dochodzą aż do żądań podporządkowania interesów „warstw odrębnych (?)“ interesom ludu. Ta okoliczność tém bardziéj zmusza nas do rozważania nowych haseł. I nam interesy i rozwój cywilizacyjny ludu leżą również na sercu, i myśmy stawali w obronie zasad demokratycznych; ale chcemy, aby je rozumiano i popierano, jak można najwłaściwiéj. I my pragniemy, aby lud był poważnym czynnikiem w życiu społeczeństwa i za takowy został uznany; ale za najwyższą zasadę społeczną uważamy interesy narodu całego, im tylko, nigdy zaś interesom żadnéj poszczególnéj, chociażby liczebnie potężnéj większości, winny być podporządkowywane interesy „warstw odrębnych.“ My pragniemy pracy nad rozwojem i podniesieniem ludu i dla tego właśnie widzimy niebezpieczeństwo w otaczaniu jakąś idealną aureolą chłopa, wykwitu zaniedbania, ciemnoty i małego uspołecznienia. My widzimy konieczność dokładnego zbadania ludu, jego niedoli i potrzeb, jego myśli i uczuć, i nie chcemy, aby temu przeszkadzały jakieś z góry przyjęte uprzedzenia o jego cywilizacyi,—*à priori* zbudowana doktryna i oparta jedynie na samém uczuciu—bardzo zresztą szanowném.

Niegdyś, kilkadziesiąt lat temu, prądy demokratyczne zachodnio-europejskie porwały emigracyą naszę, która następnie ognia swych uczuć i myśli udzieliła ogółowi w kraju. Mówiono w owym

czasie dużo w pismach i książkach, o prastaréj i prasłowiańskiéj gminie, która winna być wzorem wszelkiego dobra, o niesprawiedliwościach, jakie osiadły na ustroju społecznym, niby ił po wylewie Nilu nawoływano wtedy do uznania w ludzie skarbnicy cnót wszelakich. „Nasze przekonania, to apoteoza ludu"—wołał jeden z najgorętszych, Dembowski. Z biegiem czasu, kiedy na zachodzie mgły tych pojęć pierzchnęły pod wpływem pozytywnéj wiedzy socyalnéj, u nas prąd przeistoczył się w dążenie realne do rozwiązania sprawy włościańskiéj. W ziemiach, położonych daléj na wschodzie niż nasza, sentymentalny demokratyzm europejski pierwszéj połowy wieku bieżącego znalazł grunt bardzo urodzajny i nietylko kiełkował, lecz się przeradzał, przetwarzał w liczne odmiany, pleniąc się w najlepsze, kiedy we Francyi i w Niemczech już tylko opóźnieni ludzie przypominali sobie jego panowanie.

W najnowszych czasach, gdy na kraj nasz poczęły mocniéj oddziaływać ruchy i pojęcia, zrodzone, lub przerodzone na wschodzie, „narodniczestwo", „samobytniczestwo" wabi młodzież, działając przeważnie na uczucie sprawiedliwości, lub nawet na patryotyzm. Wiadomo, jak pisma rosyjskie wymawiają nam szlachetczyznę, jak nie umieją głębiéj wejrzéć w nasze stosunki przeszłe i obecne, lecz z góry, na podstawie moralnego przekonania i słyszanych anegdot, stawiają nam zarzuty, często tak odpowiadające rzeczywistości, jak astronomiczne pojęcia murzynów prawdziwemu ruchowi planet. Nierzadko z zabawną naiwnością starają się leczyć nas z zastarzałych ran społecznych, biorąc pod opiekę lud wobec „panów." Znaliśmy sami ludzi, których patryotyzm cierpiał na tém, iż nam można tyle wad zarzucać i to ich robiło polskimi „narodnikami." Nie mamy ani zamiaru, ani możności odgadywania, gdzie i jak powstały te mianowicie fale chłopomanii, które w postaci programowych artykułów „Głosu" wpadły do naszego społeczeństwa; bardzo być może, że są one wytworem samoistnego wyślenia i badań, to jednak pewna, że barwą swoją przypominają mocno źródło i wpływy, o których wyżéj mówiliśmy.

Najdobitniéj nowe hasła wyrażone zostały przez p. J. L. Popławskiego w prospekcie: „lud posiada własną religią, własną moralność, własną politykę – więcéj—własną naukę, słowem kulturę własną, któréj czynniki składowe nie mogą być uważane jako niższe formy rozwoju odpowiednich kategoryj kultury naszéj. Różnica jest tu jakościową nie zaś ilościową; to nie niższy stopień rozwoju, ale odrębna jego forma." Twierdzenie to nie jest osobistém zdaniem p.

Popławskiego, gdyż taką samą zupełnie myśl znajdujemy w pierwszym numerze w artykule, podpisanym „Redakcya“: „Naczelną zasadą „Głosu“ jest *podporządkowanie interesów warstw odrębnych interesom ludu*, powołanie go nie do takich form życia narodowego, jakie wytworzyła dogorywająca już w całéj Europie, a z duchem dziejów nowożytnych niezgodna cywilizacya „stanowa“, lecz do takich, do jakich dojść on może drogą przyrodzonego rozwoju zadatków *własnéj* kultury, drogą uświadomienia własnych swych dążeń i kształcenia własnych ideałów.“ Czytając pusty frazes o dogorywającéj cywilizacyi europejskiéj, pomimowoli nasuwają się na myśl znane wykrzykniki o „zgniłym zachodzie,“ całe też rozumowanie przypomina mocno wywody „naroduików.

Nie znalazłszy w „Głosie“ dosyć treściwego ustępu, który można by tu było przytoczyć, a który by wyraził całkowicie nowe zasady, musimy je streścić sami, wedle sił i rozumienia naszego jak najściśléj. Przytoczone już cytaty i te, na które niżéj powoływać się będziemy, przekonają czytelnika, że lubo innemi słowami idea przewodnia „Głosu“ wyrażoną jest wiernie.

Przed tysiącem lat była na ziemiach polskich swojska, przyrodzona cywilizacya słowiańska, lub lechicka. Podbój (orężny, czy téż może tylko cywilizacyjny) skasował starą, a narzucił nową, obcą, rzymską, katolicką i kosmopolityczną. Pierwsza pomimo tylowiekowego upośledzenia nie zginęła, lecz żyje wśród ludu. Dzisiaj, gdy narzucone ideały, obyczaje itd. wydały same tylko gorzkie owoce, gdy byt nasz został zagrożony, należy zwrócić się do kultury przyrodzonéj; ta, jako silnie zakorzeniona wśród większości narodu wzrośnie szybko, wyodrębni nas wśród nieprzyjaciół, powoła nieprzebrane siły do działania i najlepiéj ochroni nasze istnienie. Naturalnie, że wtedy lud jako reprezentant téj cywilizacyi, która panować ma niepodzielnie w przyszłości, występuje na pierwszy plan, jego interesom należy podporządkować interesy innych warstw, gdyż teraz interesy ludu—to przyszłość kraju, to jego ideały.

Bardzo być może, że do ostatniego słowa w takiém twierdzeniu „Głos“ doszedł inną drogą. Może szlachetne współczucie i miłość dla zgnębionych wiekową niewolą, kazały mu zwrócić szczególną uwagę na lud, dążyć do podwyższenia poniżonego. W imię sprawiedliwości za dziejowe krzywdy dać należy chłopu panowanie; ażeby dojść do tego trzeba zapewnić pierwszeństwo ideałom, potrzebom, żądaniom ludu.

Mniejsza jednak o drogę, dosyć, że nowe hasło żąda uznania faktu istnienia odrębnéj cywilizacyi chłopskiéj i w imię dobra narodu domaga się powszechnego nawrócenia do niéj. Pomijamy rodowód

kultury; nie wdajemy się w to, jaką drogą przyszła do nas cywilizacya ogólno-europejska, — rozpatrzmy tylko, czy przytoczone zostały dowody na stwierdzenie istnienia *dziś* różności dwu kultur, a następnie rzućmy okiem na skutki podporządkowania interesów.

„Lud — twierdzi nowe czasopismo — posiada własną religią, własną moralność, własną politykę, więcéj — własną naukę, słowem kulturę własną.“ O religii chłopskiéj i pańskiéj „Głos“ pomieścił dwa aż duże artykuły w 3 i 4 numerze. Jest tam bardzo wiele doktrynerskich, mglistych i bałamutnych frazesów o klerykalizmie i niewłaściwości utożsamiania cech religijnych z narodowemi, o szkodach, wynikających z zasklepienia się społeczeństwa naszego w ortodoksyi i szlachetczyźnie. Następnie, równolegle wysnuwane są dowodzenia, że na barki wiary ludowéj kładą samozwańczy kierownicy narodu zbyt wielki ciężar, zbyt wiele na nią liczą. O odrębności dwu religii powiedziano bardzo mało i to prawie nawiasowo. „Od lat tysiąca lud polski przebrał dawne swe ideały w nową szatę chrześciaństwa; przeniósłszy stare bogi do innego Olimpu, stworzył on właściwą sobie wiarę, zwaną w języku urzędowym religią katolicką. Od lat dwudziestu przeszło panowie polscy stworzyli właściwą sobie katolicką politykę, dla któréj nazwą odpowiednią jest— *klerykalizm.*“ Kiedyż więc zjawiła się dwoistość religii, cecha dwoistéj cywilizacyi? Z powyższéj cytaty wynika, że przed 20 laty dopiero, przez 980 lat zaś była jedna wiara, jedna religia. To jednak przeczy innym twierdzeniom „Głosu“ o różnicach tysiącoletnich. Zresztą 20 lat do wyodrębnienia się cywilizacyi bodaj że nie wystarcza. W innym znowu miejscu powiedziano: „W przeciwstawieniu do kosmopolitycznego klerykalizmu panów, religia naszego ludu jest religią swojską, odrębną w sobie i różną od innych, a to dzięki tkwiącym w niéj domieszkom pogaństwa, oraz związanéj z niém większéj skłonności do antropomorfizmu i uzmysłowień namacalnych (jajo wielkanocne, „święcone“, opłatek, wianki, sobótka, „zielone“ święta, siano wigilijne i t. p.).“ Bezpośrednio potém redakcya „Głosu“ z daleko mniejszą pewnością robi uwagę: „Na większą odrębność lud nasz zdobyć się nie umiał.“ Że do katolicyzmu weszło wiele zabytków, obyczajów i pojęć pogańskich, to wątpliwości nie ulega; nie tylko u nas, ale wszędzie zjawisko podobne miało miejsce. W starożytnéj Grecyi i Rzymie przedhistoryczne obyczaje dotrwały do czasów Zeusa i Jowisza, a późniéj przeszły nawet aż do świata chrześciańskiego. Takie jednak splecenie dwu szeregów wyobrażeń, różnego będących rodu, jest faktem powszechnym i pod względem terytoryalnym i pod względem stanowym. Gdyby nawet „Głosowi“ udało się wyszukać kilka, a chociażby i kilkanaście zwyczajów

i obrzędów, praktykowanych jedynie przez lud, to i wtedy udowodnienie odrębności „religii chłopskiéj“ nie posunęło by się ani na krok naprzód; malowane jajko i sobótka, jeżeli należy do religii, to tylko jako trzeciorzędny dodatek. Ale powaga argumentu nawet tak daleko nie zachodzi, nie został wymieniony ani jeden obrządek, ani jeden zwyczaj, który nie byłby w użyciu wśród wszystkich warstw narodu. Całe masy wiejskiéj i miejskiéj inteligencyi z najmocniejszém przekonaniem i wiarą dają święcić „baby“ wielkanocne, podściełają siano pod obrus na wigilią i czynią to uroczyściéj i skrupulatniéj niż lud. Jeżeli pod jakim względem, to pod względem szanowania obrządków zwyczajowo-religijnych panuje zupełna jedność pomiędzy chłopami i klasą inteligentniejszą. Co więcéj, wbrew temu co głosi nowe hasło, zarówno dla obywatela wiejskiego, jak dla plebana z prowincyi, dla urzędnika z powiatu, jak i dla ludu „Częstochowska Panienka“ znaczy więcéj od papieża.

Na tém jak dotychczas ograniczają się dowodzenia odrębności cywilizacyi chłopskiéj przez wykazanie istnienia oddzielnéj chłopskiéj religii. Jedyny przytoczony argument nie stosuje się wcale do rzeczy. Niepodobna przytém nie zwrócić uwagi, jakie dziwnie zacieśnione pojęcie o religii znajdujemy w tych nowych teoryach. Nie ma religii, któraby nie dawała jakichś pojęć o świecie, o społeczeństwie, o człowieku, któraby nie miała kultu, któraby nie posiadała tego, co francuzi nazywają *régime*, to jest ustaw i zasad. Publicysta „Głosu“ spraw tych nie dotknął.

Trudno nam jest rozumiéć, jak się da pogodzić ratowanie naszéj odrębności przez nawracanie do swojskiéj kultury chłopskiéj z wyznawaną przez „Głos“ potrzebą uwzględniania wyników najnowszych wiedzy? Przecie wierzeniom religijnym ludu daleko jeszcze nawet do odkryć Kopernika.

Jeszcze jedna uwaga w téj sprawie. Zasadą naszą w rzeczach wyznań i religii jest najwyższa tolerancya, gdy jednak mowa o wyodrębnianiu swojskości, to należy liczyć się ściśle ze wszystkiemi względami. Kosmopolityzm kultu katolickiego (na który „Głos“ narzeka) ma dla nas w téj chwili strony dodatnie, jakich by nie miał kult, posługujący się językiem narodowym. W Prusach mogliby np. wydać rozporządzenie, aby kazania były mówione i psalmy śpiewane po niemiecku....

Przejdźmy teraz do innéj cechy wyodrębnienia cywilizacyjnego chłopów, do *moralności*.

Mówić o moralności chłopskiéj — to wstąpić na pole nader obszerne i zasługujące na szczegółowe badania. Zamiast tego, znajdujemy w „Głosie“ tylko apodyktyczne wyrocznie. W najjaśniéj sformułowanym artykule „Ze wsi“ (N. 5) czytamy: „Rysem cechującym

pojęcia prawne ludu w odniesieniu do prawa własności, jest ścisłe odróżnianie dwóch jego kategoryi: własności rzeczy, będących wytworem pracy ludzkiéj, a produktów naturalnych, istniejących darmo. Ścisły indywidualista w pierwszym wypadku, chłop co do drugiego stosuje nieraz poglądy, nie licujące wcale z etyką klas wyższych, wychowanych na pojęciach prawa rzymskiego. Powierzchownie rzecz biorąc, kładziemy na karb demoralizacyi lub rozbudzonéj chciwości instynktów to, co jest często konsekwentnym wynikiem zapatrywania na stosunki społeczne, jakie lud wyznaje i nieraz zdumieni jesteśmy niemało, dowiadując się o jakimś poważnym i uczciwym gospodarzu, któremu z zaufaniem zupełném powierzylibyśmy każdą sumę pieniężną do przechowania, że nie robił sobie wielkich skrupułów, gdy chodziło o wyprawę nocną do lasu dworskiego." Czyż to stanowi *cechę* pojęć prawnych ludu, że odróżnia własność rzeczy, będących wytworem pracy ludzkiéj i produktów, istniejących darmo? Czyż najgorliwszy wyznawca i najrodzeńsze dziecko kultury rzymskiéj, bankier londyński lub szlachcic podlaski, nie robi kapitalnéj różnicy pomiędzy winem, sprowadzaném z Węgier, i wodą z rzeki? A następnie, czy lasy, przez całe wieki uważane za nieprzebrane zarówno przez szlachtę jak i przez chłopów, nie zbliżały się w pojęciach *obu* tych warstw pod względem wartości do wody rzecznéj lub powietrza. Czacki, mówiąc o lasach wspólnych (a więc pomiędzy posiadaczami — szlachtą) i wrębach w takowych, wspomina o nieopatrzności właścicieli, wynikającéj z przeświadczenia o niewyczerpalności zasobów drzewnych („O litewskich i polskich prawach"—wyd. Turowskiego, str. 202 i 203). Prawa polskie — wyraz pojęć i woli klas wyższych — nie uważały szkody leśnéj za kradzież, tak jak jéj nie uważa lud. W dziele p. Dunina „Dawne prawo mazowieckie" na str. 193 czytamy: „Kradzieży jak łotrostwa dochodzono z urzędu, karano ją śmiercią przez powieszenie, a w razie ucieczki konfiskacyą majątku"; na str. zaś 194: „Szkody, uczynione w cudzych lasach i polach téż uważać należy za rodzaj przestępstwa, które ulegało karze pieniężnéj; wysokość jéj zależała od tego, czy przestępca dopuścił się ich gwałtownie." Nawet prawa obowiązujące u nas do roku 1876, stały zupełnie na takim samym gruncie, mógł ktoś wielokrotnie przegrać sprawę cywilną ze skargi prywatnéj o szkodę w lesie i nie był ścigany kryminalnie, coby nastąpiło, gdyby takie same drzewo ukradł z dziedzińca. Prawo, obowiązujące dziś, również wyrąbania drzewa, rosnącego w cudzym lesie, nie zalicza do kategoryi kradzieży i tylko w wyjątkowych wypadkach karze aresztem winowajcę. Nie należy wcale sądzić, żeby prawa dawniejsze były ustępstwem na rzecz pojęć, panujących wśród ludu,

wcale nie, gdyż chodziło tam wyłącznie o sprawy między szlachtą; a zresztą gdyby wyższe warstwy nie podzielały takich pojęć, to dla dobra swego starałyby się je wykorzenić.

Nam się zdaje, że zupełnie gołosłowne twierdzenia, bez dokładnego wyjaśnienia wszystkich okoliczności co do odmiennych w tym razie pojęć społecznych ludu i etyki chłopskiéj, nie mogą być poważnym dowodem odmiennéj kultury ludu. Są one równie wątłe, jak ów wywód dwu oddzielnych religii stanowych. Wypadałoby zbadać bliżéj kwestyą moralności: toczy się obecnie wiele spraw o kradzieże leśne, należałoby posłuchać zeznań świadków, oskarżonych i poszkodowanych, jak równie brzmienia wyroków. Dzisiaj sprawy te w większości wypadków rozstrzygają sędziowie gminni, obywatele, dawniéj — chłopi-wójci. Należałoby się téż dowiedzieć, czy „panowie“ robią sobie skrupuły z drzewem z lasów rządowych? Nareszcie, jak się zapatrują na ścinanie samowolne drzew chłopi, gdy się to stanie w ich posiadłościach? Chyba są równie niezadowoleni, jak odmienna od nich cywilizacyjnie szlachta. Obecnie np. do sądu w gminach stelmachowskiéj, kowalewskiéj i piszczatowskiéj (powiat mazowiecki, gubernia łomżyńska) weszła sprawa, charakterystyczna pod tym względem. Majątek Kowaleszczyznę nabyli od Rostworowskich chłopi wraz z lasem; gdy niedawno zgłosili się włościanie ze wsi Pszczołczyn do korzystania służącego im serwitutu leśnego, to nowi właściciele odmówili im pozwolenia na ugaj. Faktów dochodzeń szkód leśnych przez chłopów jest bardzo wiele. Wobec tego za śmiałe jest głoszenie o „konsekwentnym wyniku zapatrywań na stosunki społeczne, jakie lud wyznaje“; konsekwencya ta zmienia się odpowiednio do tego, czy kto jest posiadaczem, lub nie. Kultura, co przetrwała tysiące lat ucisku, nie byłaby tak kruchą, aby się miała rozsypać zaraz na drugi dzień po spisaniu przez chłopów aktu kupna. Może ta różnica pojęć, różnica jakościowa dwu cywilizacyi, to jedynie tylko różnica dwu egoizmów, posiadającego i niemającego nic.

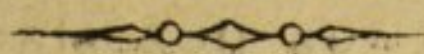
Przytém dobrze byłoby zawsze pamiętać o tém, że jak teorya Kopernika wyższą jest od wierzeń ludu, tak samo jakieś pojęcia społeczne, przez to że chłopskie, nie są więcéj warte od badań i wniosków Spencera dajmy na to, lub Marxa, jeżeli go kto woli, niezależnie zupełnie od tego, czy uczony należy do gnijącéj cywilizacyi stanowéj, czy téż nie.

O polityce odrębnéj ludu i jego własnéj nauce, „Głos“ nie pisał jeszcze. Był wprawdzie w 5-m numerze artykuł: „Pańskie i chłopskie potrzeby umysłowe“, ale tymczasem jest to jedynie polemika postępowców z konserwatystami o wolności myśli— rzecz nieraz już w czasopiśmiennictwie naszém roztrząsana.

Każdy na to się zgodzi łatwo, że dwie warstwy narodu, pozostające w odmiennych warunkach, muszą się różnić od siebie. Stąd jednak wcale nie wynika ani odrębność cywilizacyi, ani potrzeba, ani nawet możność nawracania do jakichś rajów z przed lat tysiąca. Owo podporządkowywanie, biorąc rzecz teoretycznie, to chyba ruch wsteczny. W wiekach, gdy panował niepodzielnie ustrój wojenno-feudalny, jedna klasa była podporządkowaną drugiéj; szlachtę od chłopów, żołnierzy od rolników dzielił mur trudny do przebicia, wtedy różnice były wielkie rzeczywiście; teraz zbliżenie nastąpiło, przechodzenie z jednéj warstwy do drugiéj stało się możliwém i nieuniknioném. Odgrzebywać dziś dawne różnice, rozdymać je do niebywałych nigdy rozmiarów—to stracone wysiłki, to naciąganie faktów do doktryny. Ustrój obecny, gdzie pracy przypada naczelne miejsce w życiu społecznėm, wymaga współdziałania wszystkich klas w jednym celu, nie zaś podporządkowywania jednych drugim.

Teraz zastanówmy się, coby pociągnęło za sobą ziszczenie się nowych haseł. Ludowi ma przypaść naczelne stanowisko w życiu narodu. Wątpliwém jest, czy wobec hegemonii ludu, możliwą będzie sama egzystencya warstw innych. Klasy oświecone, znając przeszłość i teraźniejsze warunki, widząc kawał świata szerszy niż granice parafii, kierowały o tyle o ile pracą, tendencyami, usiłowaniami narodu, doskonaliły je; gdy lud będzie sam sobie mistrzem i przywódcą, rola inteligencyi się skończy, a wraz z nią i jéj istnienie stanie się zbytecznėm. Nawoływanie do parcelacyi *bądź co bądź*, nietylko wtedy, gdy dobro kraju, ratunek ziemi tego wymaga, lecz zawsze i wszędzie w imię doktryny, do tego samego niemal dąży.

Jeżeli to prawda, że masa bierna, właśnie dla tego że bierna, trudniejszą jest do zniszczenia, że łatwiéj odpiera napór bezwładnością samą,—to i tak chyba wiekowanie w stanie biernéj obrony nie może być naszym ideałem. Czy wtedy zjawienie się ludzi, przerastających ogół inteligencyą, posiadających stanowisko niezależne, które ich zwolni od mozolnéj pracy na kawałek chleba powszedniego, nie stanie się potrzebą nieodzowną? Powołujemy się zwykle na Czechów, jako na naród chłopów; zapewne, w czasach letargu była tam jednolitość, ale pobudka odrodzenia zabrzmiała z piersi uczonych, inteligencyi, nie z piersi chłopów—rolników lub rzemieślników; zjawienie się klasy wyższéj było koniecznym warunkiem odrodzenia.





MIŁOŚĆ W OPAŁACH.

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW KROACYI.

XX. Morderstwo.

Na przybycie młodego Rakoczego oczekiwano nie tylko dla tego, że do osoby jego odnosiła się sprawa matrymonialna, ale i dla tego jeszcze, że bez niego hrabia Mikołaj nie chciał wyprawić wielkich, które przysposabiano, łowów. A była już na to pora wielka. Pogoda dotrzymywala, zachodziło atoli pytanie: jak długo wytrzyma? Rozmaite na niebie i na ziemi znaki zapowiadały zmianę. Na horyzoncie pokazywały się od czasu do czasu chmurki złowrogie; na śmietnikach grzebały się kury; bardziéj jednak aniżeli chmurki i kury zatrważającém było wiercenie w kościach, jakiego doznawali ludzie starzy. Zmiana pogody w powietrzu wisiala. Z przybycia więc księcia korzystać należało i, sprawy wszelkie na późniéj odkładając, załatwić się z polowaniem wielkiém.

Wyprawienie polowania nie przedstawiało w Czakowcu trudności. Wszystko ku temu było z dawien dawna obmyślone. Korpus łowiecki znajdował się w porządku pod przewództwem łowczego, zawiadującego służbą liczną i wyćwiczoną, odpowiedzialną za oręż, rogi, sieci, psy, konie i ludzi. Łowczy, podłowczowie, dojeżdżacze, sieciarze, psiarki wiedzieli z góry, jak i co czynić mają. Dwór myśliwski hrabiego nie ustępował w niczém dworowi myśliwskiemu cesarza, różnił się jeszcze od tego ostatniego w tym względzie, że polem działalności jego były nie zwierzyńce, ale knieje. Hrabiego przeto interwencya w urządzeniu polowania polegała jeno na wyznaczeniu miejscowości i zapowiedzeniu rozmiarów. W celu tym z łowczym odbywał naradę i jemu już pozostawiał staranie. W tym razie narada miala miejsce przedtém jeszcze, zanim goście przybywać zaczęli, to jest przed przyjazdem biskupa tak, że nie pozostawało jak rano wstać i gromadnie na pola popisów łowieckich wyjechać.

Hrabia tedy wstał tak rano, że nie świtało jeszcze, przy świecach się ubierał i podczas kiedy odzież wkładał, posługujący pachołek oznajmił mu, że czeka na niego mnich jakiś.

— *Polonus*? — zapytał.

— Zdaje się... Wszyscy oni, jak wilcy, jeden do drugiego podobni....

Ponieważ z budzeniem gości chwilkę jeszcze wstrzymać się można było, hrabia przeto do kancelaryi swojéj przeszedł i mnicha wezwać kazał.

— Cóż mi, ojcze, powiesz dobrego?..

— *Exellentissime* — odrzekł zapytany — trafiło się mi znalezienie skarbu na drodze...

— No?..

— Kandydat jeden i kandydat drugi... jeden Turek, drugi od lutra gorszy... niedowiarek...

I jął się mu opowiadać kwalifikacye Sapit beja, którego nazwisko, gdy przez braciszka wymówione zostało, wprawiło hrabiego w zdumienie.

— A drugi? — zapytał.

— Drugim jesteś ty sam, *exellentissime*....

Zdziwiło hrabiego i to, zdziwienia atoli nie okazał po sobie. Zapytał jeno:

— Skąd-że?..

— To, co u Turka jest *anagrammatice*, u dostojności waszéj wypada *grammatice* i *laus coronat opus*... „Nic—o!—chwała..." Śpiewając więc chwałę Boga, który mnie, ze sług swoich najostatniejszemu, dał skarby takie znaleść, pośpieszę do ojczyzny swojéj i powiem kasztelanowi: „Masz, wybieraj!.."

— Odchodzisz więc?...

— Ano... Z zadania się wywiązałem i czekam jeno na przekaz, jaki dostojność wasza zechce przezemnie kasztelanowi przesłać...

— Przedewszystkiém... pozdrowienie, a potém....

Hrabia się zamyślił. Trudność postawienia kandydatury swojéj w Polsce usuwała się przed nim w sposób niespodziany, acz dziwny trochę. Wtręt Turka do myślenia mu dawał. Czy to pomoże, czy zaszkodzi? Rozważał najprzód to ostatnie. Czyżby się Polacy na Turka zgodzić mieli? Gdyby to był jaki z imieniem głośném pasza, jakiś dostojnik wysoki, syn sułtański lub coś podobnego—ha!.. ale—bej nieznany? Co za przeszkoda zajść by z jego strony mogła. Była to rzecz nieprzypuszczalna—przeciwnie Jak w rozprawie *argumentum ad absurdum* służy do przekonania o prawdzie, tak przy wyborach stawianie kandydatów niemożliwych służy do uwydatnienia możliwego.

Przeprowadziwszy w myśli szybko rozumowanie powyższe, hrabia dokończył odpowiedzi:

— ....a potém: cóż?.. gdyby mi Polacy losy swoje powierzyć zechcieli, starałbym się, ażeby *laus* czczym nie była wyrazem.. Zresztą — dodał — uprzedź kasztelana, że téj zimy nie jeden z przyjaciół moich do Polski zawita i zapewne brat mój tam pojedzie; gdyby zaś zapytał, co porabiam, powiedz mu, że hołdując téj prawdzie, iż *quod procedere non potest*, *recedit*, uczę się, czytając pilnie Długosza i innych polskich autorów... Ot co... Pozostaje mi ciebie, księże, na podróż zaopatrzéć....

Rzekłszy to, wsunął braciszkowi do ręki złota sztuk kilka i odpuścił go z dobremi na drogę życzeniami.

Braciszek do biskupa się zgłosił. Biskup przyjął go w łóżku.

— No... i cóż tam?

Ksiądz Deodat podziękował mu za radę dobrą.

— Hrabia kandydaturę przyjął?..

— Przyjął....

— A daléj?

— Przyjaciele jego do Polski pojadą....

— Ahm... — z akcentem zakarbowania w umyśle odezwał się biskup.

W chwilę późniéj braciszek, poły podkasawszy, z węzełkiem w jednéj, z kijem w drugiéj ręce, drogą do Szerdaheli zmierzał i „Kto się w opiekę“ śpiewał, a kapelan biskupi pisał o kandydaturze hrabiego Mikołaja Zrini raport, pod adresem nuncyusza papieskiego w Wiedniu. Dzień świtać poczynał.

O świtaniu dnia nastąpiło budzenie gości, które odbyło się w sposób taki, że kapelan na siedzeniu podskoczył i dużym żydem pisanie swoje zaznaczył. Nagle na podwórzu zamkowym zawrzały trąby i kotły i na murach huknęły wystrzały działowe. Hrrr bum bum! Kapelan inny papier wziął, pisanie *ab ovo* rozpoczął, a po komnatach gościnnych uśpieni zrywali się. Po komnatach niewieścich wstawano także, albowiem i damy do wzięcia w łowach udziału powołane były. Jedne wyjechać miały w pojazdach, drugie wystąpić konno. W zamku ruch gorączkowy zapanował; służba przebiegała, nawoływała się; ten chwytał to, ów owo; wkradł się nieład, z którego w końcu wywiązał się ład i ład ów wyraził się pod postacią orszaku, złożonego z pojazdów i jeźdźców. Orszak z podwórca wyruszył, szereg pojazdów na drodze się wyciągnął; jeźdźcy podzielili się na większe i mniejsze grona, ciągnące przy, przed i za pojazdami. W porównaniu z wyjazdem na polowanie cesarskim, zaznaczonym wypadkiem, na którego następstwa w Wiedniu z niepokojem naj-

wyższym oczekiwano, wyjazd ów wyglądał, jak pochód hordy niesfornéj w porównaniu z maszerowaniem na placu parady armii wyćwiczonéj. Obracało się to jednak na korzyść łowów hrabiowskich. Panowała w nich swoboda. Damy nie trzymały się w szeregu. Tu jechała jedna, ówdzie druga. Hrabinie Piotrowéj towarzyszyła hrabina Erdödi; obok pań tych galopował hrabia Erdödi, który się znajdował w usposobieniu szczególném: rozmowniejszym był, jak zwykle i w rozmowie się plątał, jakby co innego mówił a o czém inném myślał. Hrabianki, siedzącéj na arabczyku karym, nie odstępował Franciszek I i za nią, niby cień, rzucony o kroków kilkanaście, jechał Jowanowicz. Hrabina Mikołajowa i ksiądz biskup w orszaku się nie znajdowali—mieli oni przybyć późniéj, na punkt zborny, na którym przysposabiała się uczta myśliwska. Nieład ów trwał jeno do skraju lasu. Przy pierwszéj kniei towarzystwo dostało się pod rozkazy łowczego, który z niego wydzielił część czynną i tę w las na stanowiska poprowadził, pozostawiając drugą losom własnym. Ta ostatnia, złożona po większéj części z płci nadobnéj, zajęła stanowisko wyczekujące. Z dam jedne z koni pozsiadały, drugie parami lub trójkami przejeżdżały się po polach. Do tych ostatnich należała hrabianka Helena. Kawaler dostojny ją opuścił, przyszlusowała do matki, lecz ponieważ w ucho wpadła jéj rozmowa o Franciszku I, jaką hrabina Piotrowa z hrabiną Erdödi toczyła, zwróciła konia w prawo nieco, ukróciła mu cugli i dłonią go po grzywie głaskała. Powodem było to, że koń niepokój okazywać począł — niepokój, który pochodził stąd, że w lesie powstała nagle wrzawa. Założone ze strony przeciwnéj psy pobudziły echa leśne, zagrały rogi, odezwały się hukania, które wytworzyły rodzaj muzyki, mętnéj, dzikiéj lecz uchu miłéj. Hrabianka się wsłuchiwała i coraz to odstawała od matki. Ściągnęła arabczykowi cugle, obejrzała się—o kroków kilka stał na koniu oficer młody. Skinieniem głowy pozdrowienie mu przesłała. Podjechał.

— Czemużeś nie w lesie? — zapytała.

— Czemu — odrzekł, jakby go zapytanie zaskoczyło niespodzianie.

— Czy ci łowczy stanowiska nie wyznaczył?...

— O stanowisko nie prosiłem....

— Łowów nie lubisz?...

— Łowy ja lubię, ale... dziś w nich udziału nie brać wolałem....

Ozwał się wystrzał jeden i drugi. Koń pod hrabianką się wspiął i chrapnął. Cmoknęła, po grzywie go pogłaskała—uspokoił się.

— Jak się zachowuje wila, gdy do królestwa jéj wpada napaść taka?...

— Przysłuchuje się wrzawie, jak ty, panno... Wila, a ty....

Zaczął i zamilkł.

— Co? — zapytała hrabianka.

— Wszystko jedno — odrzekł, kończąc myśl urwaną....

Hrabianka na to nic nie odpowiedziała. Konia zwróciła i pojechała stępem. Strzały się powtarzały, mnożyły. Oswojony z niemi koń zaprzestał się żachać. Trzeba go było zwrócić, albowiem przejazd w kierunku tym dalszy trudnym się z powodu krzaków i pochyłości gruntu stawał. W chwili kiedy hrabianka zwrot dokonywała, w krzakach przesunęło się dwóch ludzi. Wychodzili z głębi lasu. W rękach nieśli buławy, któremi się, jak laskami podpierali. Ludzie ci zwrócili na siebie uwagę i hrabianki i oficera.

— Co to za jedni? — zapytała.

— Coście za jedni? — krzyknął na nich młody człowiek.

Oni, zamiast odpowiedzi, w krzaki się wsunęli i w wąwóz wpadli. Ścigać ich sposobu nie było. Koń w gęstwinie przejść nie mógł. Oficer poskoczył, nawrócić jednak musiał i, odpowiadając niejako na zapytanie hrabianki samemu sobie, odrzekł:

— Zapewne są to złodzieje na zwierzynę, którą myśliwym z pod rąk wykradają....

— Co za buławy!..

— Zdarza się, że psy w głębi kniei osadzą odyńca lub niedźwiedzia... Złodzieje na wypadek taki czyhają, podbiegają i zanim myśliwi pośpieszą, jedném uderzeniem niedźwiedzia lub odyńca zabijają i unoszą... Dla tego to mieć oni muszą buławy takie....

Objaśnienie to dało początek rozmowie o łowach, podtrzymywanéj przez hrabiankę nie dla tego może, ażeby się dowiedzieć o szczegółach wykradania zwierzyny, ale dla podtrzymania sprawiającéj jéj zadowolnienie rozmowy. Bywają sytuacye sercowe takie, w których się uczuwa potrzebę słyszenia głosu miłego. Może jéj głos Jowanowicza miłym był. Jadąc przeto stępem, toczyła z towarzyszem rozmowę, którą przerwało wynurzenie się myśliwych z kniei. Wyszli gromadką ze zdobyczą, z ożywionemi obliczami, z hałasem; książe Franciszek I do hrabianki podszedł i opowiadać począł, jak mu w gęstwinie jeleń „zwierciadło“ pokazał; łowczy od czasu do czasu w róg uderzał, zwołując na punkt zborny tych, co się jeszcze nie pokazali; wreszcie ściągnęli i wszyscy, nie brakło nikogo, hrabia Mikołaj dał rozkaz, — towarzystwo wesołe do innéj przeniosło się kniei.

Znów nastąpiło rozstawianie myśliwych, zakładanie psów, nawoływanie dojeżdżaczy, zławianie się ogarów na tropach, gonienie na tropie, gonienie na oko, zalanie ostępów leśnych potokami mu-

zyki wokalno-instrumentalnéj, strzały, hałasy, opuszczanie kniei, zbieranie się na punkcie zbornym i przenoszenie się na inne popisów pole. Powtarzało się to pięć razy—do południa i po spolowaniu kniei ostatniéj nadeszła pora, w któréj się myśliwym posiłek należał. Na koniec ten wszystko się w pogotowiu znajdowało. Na wyznaczonym z góry punkcie kucharze krzątali się od rana; pachołkowie zawczasu stoły pozastawiali; hrabina Mikołajowa, ksiądz biskup i parę jeszcze osób nadjechali; nie pozostawało, jak zasiąść do biesiady, do któréj wabiła wydzielająca się z kotłów woń rozkoszna gulaszu. Gulasz na Węgrzech tę samę w życiu odegrywa rolę, co bigos w Polsce. Biesiadnicy do stołu zasiedli, jedli, pili, opowiadali, żartowali—wesoło im było, wesoło tak dalece, że pod koniec nastąpiły toasty i przemowy po łacinie. Toast pierwszy wniósł Andreassy na cześć hrabiego Mikołaja, iż jelenia strzałem trafnym od razu powalił; toast piąty czy szósty wniósł Nadasdy na cześć młodéj pary, któréj nie nazwał, pozostawiając to domyślności słuchaczy, ale o któréj prawił dużo, wróżąc z połączenia jéj korzyści dla kraju ogromne i zaszczyty. Kiedy o zaszczytach wspomniał, biskup krzyknął:

— *Vivat rex!..*

Okrzyk ten wydał niechcący niby, a wydając, miał oczy w hrabiego Mikołaja wlepione. Hrabia spojrzał na biskupa ze zdziwieniem; Nadasdy na chwilkę oniemiał, następnie odchrząknął, słów kilka dodał i przemówienie swoje zakończył:

— *Et caetera... et caetera...*

Biskup głos zabrał.

— Wnoszę—zaczął—zdrowie króla lasów, tego niewidzialnego i tajemniczego króla, któremu hołdujemy mimo, że go nie znamy i który tém się zaleca, że nie on od nas, ale my od niego daninę pobieramy....

Opowiadał o królu tym w sposób humorystyczny, słuchaczy do śmiechu pobudził i zatuszował wrażenie, jakie sprawił okrzykiem nie w porę wydanym.

Uczta myśliwska zakończyła się wesoło i po uczcie łowy rozpoczęły się na nowo. Towarzystwo znów przenosić się poczęło z miejsca na miejsce, zmierzając do kniei wyznaczonéj na łowów punkt ogniskowy z powodu, że znajdowało się w niéj legowisko niedźwiedzia. Na niedźwiedzia wszyscy razem i każdy z osobna ochotę ostrzyli. Myśliwi na stanowisku udali się z oszczepami i rozstawieni zostali w sposób taki, ażeby, gdy zwierz na którego wyjdzie, pobocznicy mogli z pomocą śpieszyć. Łowczy instrukcye dawał.

— Strzał hasło — powtarzał. Strzał trafny w lesie zdarza się rzadko; zwierz raniony rozjusza się i na strzelca rzuca, należy nieść

mu pomoc niezwłoczną, ale, broń Boże! przed strzałem... Strzał hasło!.. Strzał hasło! — nakazywał.

Ta łowów część rokowała moment uroczysty i dla tego ci wszyscy, co się do kniei nie udali, czekali zgromadzeni w punkcie zbornym, jedni konno, drudzy w pojazdach, inni piechotą. Biskup w *koczi* swoim przybrał pozycyą wpółleżącą i na łokciu wsparty zaczepiał słówkiem tego i owego. Z kolei zaczepił młodego Jowanowicza.

— Nie pachnie ci las, młodzieńcze... hę?...

— Nie dostało by mi się w nim stanowiska u wagi kniei — odpowiedział zagadnięty.

— Hm... hm?.. — odparł biskup. — Wolisz stanowisko u progu wysokiego....

— *Eminentissime!*—odrzekł z przyciskiem młody człowiek, któremu krew do głowy uderzyła.

Przez szacunek atoli dla fioletów do wyrazu tego nic nie dodał — na stronę odjechał.

W momencie tym las odgłosem łowów zawrzał. Odgłos pierwszy doszedł zdaleka i wywołał natężenie oczekiwania. Wszyscy słuchy nastawili. Nastała chwila ciszy, las głucho szumiał i do uszu wpadł odgłos powtórny, który, jak poprzedni, w ciszy utonął. To samo spotkało trzeci i czwarty. Było to zławianie się psów, które wietrzyły, na trop jednak jeszcze nie wpadły, naszczekiwały w pojedynkę, aż szczekanie ozwało się najprzód podwójne, daléj potrójne, poczwórne i przeszło nagle w gromadne. Psy trzydziestu kilku głosami zagrały razem. Graniu temu zawtórowały okrzyki dojeżdżaczy, klaskanie harapów i wrzaski rogów myśliwskich. Ostępy zawrzały hałasem ogromnym, hałasem, służącym za ustęp i za wtór do strzału pierwszego, owego strzału przez łowczego zapowiedzianego, zastrzeżonego i w instrukcye szczegółowe zaopatrzonego. Na strzał ów z wytężeniem uwagi oczekiwano. Hałas wrzał, zbliżał się, coraz to się wyraźniejszy stawał; zdarzało się, że psy tuż obok ujadają; echa ujadaniu w tysiąc, w milionkrotnych odbiciach wtórowały. Strzał słyszéć się nie dawał. Oczekiwano—oczekiwano. Oczekiwanie wkońcu rozstrzygnęło się w sposób niespodziany i nieprzewidywany, uderzając nie słuch ale widzenie.

Strzał się słyszéć nie dał. Ukazał się niedźwiedź.

Niedźwiedź bez strzału z lasu nieopodal od gromady oczekujących wyszedł i, poprzedzając docierającą do niego a ujadającą zajadle trzodę ogarów, w pole ruszył. Ujadanie straszyło go widocznie, albowiem śpiesznie mu się działo. Z sił całych rwał.

Nagle jego ukazanie się sprawiło na punkcie zbornym popłoch nie tyle pomiędzy ludźmi, co pomiędzy końmi. Woźnice konie w po-

jazdach ledwie ułagodzić zdołali; arabczyk pod hrabianką w bok się rzucił, wspiął się, furkał, prychał—ledwie nieledwie, dzięki krwi zimnéj i zręczności téj, co go dosiadała, do spokoju powrócił. Za niedźwiedziem i psami w pogoń rzucili się huzary a z nimi i Jowanowicz. Z głębi lasu wynurzali się jeden po drugim dojeżdżacze, oglądali się z wyrazem zdumienia na obliczach i pędzili w ślad za huzarami. Zdumienie było wyrazem ogólnym, jaki się na twarzach oczekujących płci obojga przebijał.

Po wysypaniu się z lasu służby łowczéj wysunął się łowczy, człek w latach podeszłych; na koniu siedział; w ręku jedném harap długi, w drugiém róg bawoli trzymał. Oblicze jego wyrażało ńie zdumienie, ale oburzenie: oczy gniewem strzelały, z ust klątwy padały. Wypadł, za znikającemi w dali niedźwiedziem, psami, huzarami i dojeżdżaczami okiem rzucił, stanął, róg do ust przyłożył i na zbór uderzył. Tony drżące a potężne polały się z rogu, echa je podchwyciły, łowczy, któremu się policzki wydęły, lica poczerwieniały i oczy krwią nabiegły, dął, rogiem zlekka wstrząsał, dął — wreszcie od ust róg odjął.

— *B... a terem, a tiszen, a zanja!.. I.... ja niegowa majka, otac Jezus Christus!*—klął po węgiersku i po kroacku. I jakiż to, jaki głupiec wielki niedźwiedzia puścił?.. Co to się stało!.. Skończenie świata!.. — i znów kląć w ojca, w matkę, w Trójcę świętą, w Pana Boga, w Jezusa Chrystusa i w kozę począł.

Doborem i dosadnością klątew celują Węgrzy i Słowianie południowi.

Łowczy folgę dawał złemu, jaki go słusznie opanował, humorowi; tymczasem zaś z lasu myśliwi jeden po drugim wychodzić poczęli. Każdy wychodził z zapytaniem na ustach.

— Co to się stało?..

Łowczy zamilkł—zęby jeno zacisnął i odwracał się, nie mając do kogo wyrażenia „głupiec wielki“ zastosować, ci bowiem, co się z lasu wynurzali, byli to sami baronowie, hrabiowie, książęta—sama szlachta wysoka: Nadasdowie, Bathaniowie, Karolyowie, Andrassyowie, Tekölowie, Erdödyowie, wreszcie hrabia Piotr, książe Franciszek I Rakoczy. Z nich to któryś niedźwiedzia puścił. Każdy pytał: „Co to się stało?“

Wrócili dojeżdżacze z psami; wrócili huzary z Jowanowiczem: niedźwiedź góry dopadł i nie było już co myśléć o nim. Łowczy by chętnie nie myślał o niczém; ochota go zbierała plunąć i do domu odjechać i byłby to uczynił, gdyby program nie obejmował obsadzenia jeszcze dwóch kniei, z których jedna z powodu dzików szczególne miała znaczenie. Pomimo jednak, że się zgromadzili już wszy-

scy, przenosić się do kniei następnéj nie można było. Zgromadzili się wszyscy z wyjątkiem jednéj, najważniejszéj osoby: gospodarza, hrabiego Mikołaja. Ciąg dalszy łowów od jego zależał rozkazu. Na rozkaz ten łowczy czekać musiał. Czekał—czekali wszyscy, nikt atoli z taką, jak on, niecierpliwością. Myśliwi rozprawiali o nadzwyczajności wypadku, przemknięcia się niedźwiedzia niepostrzeżenie przez szereg strzelców; łowczego rozprawy te gniewały, z konia zsiadł i w las, zmierzając ku wyznaczonemu dla hrabiego stanowisku, poszedł.

Niebawem o słuchy myśliwych uderzyło trąbienie na „bywaj!“ Trąbieniem takim strzelec zwołuje grono łowcze do trupa zwierzyny zabitéj. Rozprawy na raz jeden umilkły; sam jeno biskup tłómaczył, że niedźwiedź ów skrzydła posiadać musiał i przez szereg strzelców przeleciał. Słowa biskupa jednak brzmiały w próżni. Dojeżdżacze się na piechotę do lasu rzucili. Nastała chwila milczenia, znamionującego natężenie oczekiwania. Sam biskup zamilkł nawet i w momencie, kiedy się do wygłoszenia konceptu jakiegoś zabierał, zamiast konceptu wystosował do stojącego obok koni jego Erdödiego zapytanie:

— Czegoś tak, hrabio, zbladł?..

Erdödi blady był, jak chusta. Na zapytanie nie odpowiedział, zresztą na odpowiedź czasu nie miał, albowiem w tejże chwili łowczy i dojeżdżacze z lasu się wynurzyli, dźwigając hrabiego Mikołaja trup.

Wrażenia, jakie na obecnych widok ten sprawił, opisać ani opowiedzieć nie sposób. Serca przejęła zgroza, która odbiła się na obliczach wszystkich. Do trupa poskoczyła żona. „Jezus Marya!“ jęknął brat. Obecni skupili się około złożonego na ziemi ciała a łowczy, głosem łzami nabrzmiałym, odezwał się tonem uroczystym:

— Oto kto niedźwiedzia puścił...

— Niedźwiedź go zamordował...—ktoś rzekł w tłumie.

— Nie...—odpowiedział łowczy. Niedzwiedź przez zamordowanego przeszedł...

XXI. Gońce.

Oględziny ciała bohatera, do którego się dwa narody przyznają i którym się obydwa chlubią, wykazały, (z czém się i historya zgadza), że na polowaniu, ale nie od dzikiego zwierza zginął. Znaki dopatrzone świadczyły wyraźnie, że morderstwa dokonała ręka człowiecza. Z racyi téj w gronie myśliwych zapanowało oburzenie głębokie a powszechne, oburzenie, które się nie mogło inaczéj, jak pod

dwiema wyrazić postaciami: pod postacią zapytania, kto to sprawił, i pod postacią pragnienia naprowadzenia na sprawcę karzącéj ręki sprawiedliwości. Zapytanie i pragnienie zlewało się w jedno. Ręka sprawiedliwości odszukać mogła sprawcę czy sprawców, których osłoniła tajemnica leśna. Na stanowiskach najbliżéj od nieboszczyka stali, z jednéj strony, hrabia Piotr, z drugiéj, książe Rakoczy.

— Toć zbrodnia taka bezkarnie ujść nie może!..—odezwał się pierwszy.

— Sprawiedliwości!.. sprawiedliwości!..—zawołał hrabia Piotr.

— Gdzie jéj szukać?..—ktoś zapytał.

— W Wiedniu... — odpowiedział hrabia Erdödi, który, jako nadkapitan w Warasdynie, był w tym razie przedstawicielem władzy miejscowéj. Do Warazdynu jadę i depeszę wnet sztafetą wyprawię...

Słowa te w zgiełku żalu oburzenia i rozpaczy zabrzmiały bez echa. Jeden jeno biskup je podchwycił i on jeden na nie odpowiedział:

— Sztafety nasze na żółwiach jeżdżą...

Hrabianka Helena słyszała i słowa Erdödiego i uwagę biskupa. Śród zamieszania ogólnego ona jedna zachowywała na wiek jéj i na płeć dziwną umysłu przytomność, zapowiadającą ów heroizm, jaki w przyszłości rozwinąć miała. Jak skoro uwaga biskupa o uszy się jéj obiła, wnet się zwróciła, oczami po tłumie przez chwilę powodziła i poszła. Poszła wprost do stojącego z boku oficera młodego.

— Jedź natychmiast do Wiednia!..—rzekła.

— Pojadę...—odrzekł.

— Do markiza Frangopano... Wiesz po co?..—zapytała.

— Wiem...

W chwilkę późniéj namiestnik Jowanowicz, na koniu tym samym, na którym polowaniu asystował, do Czakowca nie zajeżdżając, w podróż ruszył. Koń pod nim był dobry, droga znana, oznaki służbowe zapewniały mu bezpieczeństwo w obec podejrzliwości władz, porządku i spokoju publicznego przestrzegających.

Odjazd jego odbył się niepostrzeżenie. Nikt na to nie zwrócił uwagi, skupionéj około zwłok martwych człowieka, co takie wydatne stanowisko zajmował i tak ogólną w kraju miłość i ufność posiadał. Żona lamentowała, kobiety płakały, mężczyzni rzucali wyrazy, stan dusz ich malujące i istotę zbrodni określić probujące.

— Cios ten na nas z Wiednia spadł...—odezwał się młody jeden człowiek, co razem z Rakoczym przyjechał—niezawodnie z Wiednia... Chybażbyśmy ludźmi nie byli, gdybyśmy to Wiedniowi zapomnieli...

— Zemsta!.. zawołał młody Rakoczy, rękę z pięścią zaciśniętą podnosząc do góry.

Wywołania tego nie powtórzyli wszyscy dla téj jeno przyczyny, że wywoływania inne w powietrzu się krzyżowały.

Powtórzyła je jednak hrabianka Helena nie ustami, ale wejrzeniem, jakie na Franciszka I zwróciła. Wejrzeniem tém podziękowała mu i sprzymierzyła się z nim niejako.

Oburzenie było ogólne. We względzie tym wyjątku nie czynił biskup, którego trud cały dochodzenia tajemnic obrócił się w niwecz. Tajemnica, którą zgłębił, któréj uzupełnienie na późniéj odłożył i po któréj spodziewać się mógł korzyści dla siebie na drodze dyplomatycznéj, rozwiała się nagle nakształt mary. Zawód taki w rachubach zirytował go i na drogę podejrzeń wprowadził. Czyja to sprawa?

— Wiedeń... Wiedeń...—powtarzano do koła niego.

— Zemsta...—w uszach mu zabrzmiało.

Zanotował sobie w myśli jedno i drugie i, w milczeniu, wyrazy fizyognomii studyował.

Dostrzegł wejrzenia hrabianki.

Zwrócił uwagę na ożywienie niezwykłe, z jakiém się, w imię sprawiedliwości, Erdödi na morderców odgrażał.

Przypatrywał się badawczo hrabiemu Piotrowi, hrabinie, księciu Franciszkowi i szukać się jął w tłumie młodego oficera. Szukał—nie znajdował; szukał daléj, obracał się i zapytał pierwszego lepszego:

— Jowanowicz?..

— Tu gdzieś być musi ..—była odpowiedź

— Nie ma go...

— Przed chwilą go widziałem...

— I jam widział. .

Daléj się oglądał, ale, luboć posiadał oko bystre, dopatrzéć by nie potrafił człowieka, którego przed oczami jego zasłoniły już lasy i gruntu załomy.

Jowanowicz posuwał się po drodze zrazu kłusem; zmiarkowawszy jednak, że chód ten prędko konia zmęczy i dojścia do Wiednia możności go pozbawi, w stęp go wprowadził. Na wypadek wprawdzie, gdyby koń pod nim osłabł, miał resurs wymiany na gorszego, ale świeżego, nie mógł się jednak na to spuszczać. A nuż by zawód go spotkał! Nie wszędzie i nie zawsze konie się do zamiany trafiają. Postanowił więc oszczędzać tego, na którym siedział i zawieść markizowi wiadomość smutną nie tak prędko, ale za to na pewne. Spodziewał się przytém do Wiednia prędzéj, aniżeli sztafeta, dotrzéć, a opierał nadzieję tę na tém, że, dla wyprawienia sztafety, musiał

nadkapitan najprzód do Warazdina wrócić, gońca wyszukać—goniec mógł pijany być,—raport napisać i wysłać takowy z punktu bardziéj od Wiednia oddalonego, aniżeli ten, z którego on ruszył. Że zaś wieczerzało już, przypuszczał przeto, że wysyłka gońca nastąpi nazajutrz dopiero. Miał więc nad sztafetą przewagę pośpiechu znaczną, przewagę, którą się do końca zatrzymać spodziewał, postanowiwszy na popasach i noclegach zatrzymywać się tyle tylko, ile koniowi do wytchnięcia i pokarmienia się potrzeba.

Wieczór nadszedł—noc nastąpiła. Wieczorem słońce przed zajściem chmurami się osłoniło. Był to dzień rozpoczynających się w r. 1664 słót jesiennych—dzień polowania onego, które się upamiętniło spadnięciem Leopolda I z konia i następstwami, zagadkowością brzemiennemi. Podczas kiedy usychały dyplomatów wiedeńskich mózgi, porucznik z komendy Zrinich kłopotał się, czy pogoda dotrzyma.

— Byle wytrzymała jutro pojutrze...—powiadał sobie.

Rozliczał sobie tak. Miał przed sobą mil trzydzieści bez mała, to znaczy, godzin trzydzieści. Dwie doby—godzin czterdzieści osiem. Na popasy i noclegi potrącał godzin osiemnaście i uważał, że to więcéj, aniżeli potrzeba—na dobę po godzin dziewięć. Z dobrą więc myślą i z otuchą czesał traktem, układając sobie w głowie, jak to markizowi o wypadku opowie i jak go do domagania się sprawiedliwości pobudzi.

— Byle jeno pogoda wytrzymała...

Niestety, pogoda nie dopisała. Z nocy się zasłociło. Nie powstrzymało go to atoli. Konia pokarmił, sam troche się zdrzémnął—czasu sobie trzech godzin nie zabrał i daleko jeszcze do dnia było, kiedy w drogę daléj ruszył. Mokł a jechał—pośpieszał. Po dniu na wytchnięcie przystanął—koniowi siana założył, po południu znów przystanął—pokarmił konia owsem. Deszcz wciąż mżył, nad wieczorem jednak to go pocieszyło, że miał po za sobą większą drogi połowę.

Nic mi chyba nie przeszkodzi jutro nad wieczorem na miejsce zajechać i najpierwszy wiadomość do Beczu (Wiednia) zawieść...

Co do zawiezienia wiadomości omylił się. Gdy do miejsca, na którém noclegować zamierzył, dojeżdżał, dopędził go i w pędzie wielkim wyminął na lotnym koniu jeździec. Koń i jeździec byli całkiem błotem obryzgani. Mimo to wydało mu się, że poznał człowieka z Warazdina.

— Goniec... sztafeta ..—rzekł do siebie. Wiater goni... na rozstawnych chyba koniach jedzie...

Domysł ten jego trafnym był. Od chwili, jak się do Czakowca goście zjeżdżać poczęli, rozstawnych koni dziesięć na trakcie z Warazdina do Wiednia na gońca tego czekało.

— No... to już ja go nie wyprzedzę...—powiedział sobie. Ale markiz się chyba odemnie pierwszego dowie, boć goniec stanie w Wiedniu jutro i ja jutro stanę...

Nie miał jednak zupełnéj, ażeby to sztafeta była, pewności. W jeźdźcu „wydał mu się“ człek z Warazdina.

Zaniósł do niebios prośbę o pogodę na dzień jutrzejszy, prośba atoli jego poszła w niebiosach *ad acta*. Nie tylko deszcz nie ustawał, ale się chwilami do deszczu śnieg przyłączał. Dokuczało to młodemu człowiekowi, nawet bowiem okryć się należycie nie miał czém. Odzież zwierzchnia wiatrem podszyta nie ochraniała go ani od przemoknięcia, ani od zziębnięcia. Zębami dzwonił, ale od powziętego postanowienia nie odstępował. Pamiętał, kto go wyprawił i pamięć ta tak dalece ochotę w nim rozbudzała, iż mu spoczywanie dłuższe na myśl ani przychodzilo. Jechał, wciąż jechał—pośpieszał, dojechał i:

— *Halt*!...

Słowem tém zatrzymano go na rogatce wiedeńskiéj. Wyszedł do niego sam komendant warty.

— Skąd?.. dokąd?..—zapytał.

— Czyż nie widzisz, com za jeden!..—odpowiedział.

— Tylko com dostał rozkaz, bez uwagi na honor rozpytywać przyjezdnych i wyjezdnych... Masz glejt?..

— Glejt mój... o!..—odrzekł, na oznaki odzieży swojéj wskazując...

— To nie dosyć...—odparł komendat. Z konia zsiądź i na strażnicy ze mną się rozmów...

Wezwaniu temu młody człowiek nie uczynić zadość nie mógł. Strażników gromada do koła go, obstępowała.

Na strażnicy komendant wzręcz go zapytał:

— Tyś z Czakowca?..

— Ano... z Czakowca...

— Jedziesz do markiza Frangopano?..

— Do markiza...

— Wieziesz pisanie jakie?..

— Żadnego...

— Ano... Rozmówię się z tobą o tém w plackomendzie, dokąd cię strażnicy zaprowadzą...

— Cóż to znaczy?..—zapytał Jowanowicz.

— Nie wiem... to rzecz nie moja...

Gadania nie było; opieranie się sensu by nie miało. Jowanowicz w towarzystwie sześciu w halabardy uzbrojonych strażników zaprowadzony został wprost do więzienia. Dozorca na wstępie zre-

widować go kazał. Po dokonaniu rewizyi zamknięto go w celi osobnéj ciemnéj, chłodnéj i ciasnéj, w któréj znalazł na podłodze trochę słomy zmierzwionéj, w jednym kącie bochenek chleba i dzbanek z wodą, w drugim szaflik.

— Ano... masz!..—zawołał.

Uczuł gniew i żal wielki. Gniew i żal myśléć mu przeszkadzały. Nie wiedział, co z sobą począć—głową muru rozbić nie mógł. Nie pozostawało mu nic innego, jak na słomie się położyć. Poprawiał się, przewracał, długo zasnąć nie mógł, w końcu jednak zasnął. Przed uśnięciem majaczyło się mu: o koniu, z którym nie wiedział, co się stało i o hrabiance Helenie, z któréj polecenia wywiązać się nie był w stanie. Kto to sprawił?—Niemcy. Ach!—ochota go zbierała Niemcy z rogów czterech podpalić i kraj niemiecki wraz z ludźmi z dymem puścić. Majaczenie to przez noc całą po głowie mu się snuło...

Nazajutrz obudził się, wstał; w myślach mu się jaśniéj nieco zrobiło. Domyślił się mianowicie tego, że aresztowanie sprowadziła nań śmierć hrabiego Mikołaja.

— Ów jeździec, co mnie minął, była to sztafeta, która mnie wyprzedziła...—rzekł do siebie. Szwaby grafa zamordowali, inaczéj bowiem: na cóż by patrzyli za ludźmi z Czakowca?.. O! szwaby...

Po izdebce ciasnéj kręcił się, ku górze do okienka spoglądał i myślał. Położenie jego wiele miało podobieństwa z położeniem ptaka pojmanego i w klatce zamkniętego. Położenie takie miłém ani zabawném nie jest, w samotności zwłaszcza. Samotność wprawdzie młodemu człowiekowi zaciężyć czasu jeszcze nie miała i wkrótce ustała. We drzwiach zgrzytnął klucz, drzwi się otworzyły—przybył Jowanowiczowi towarzysz do celi wepchnięty. Przybyły po węgiersku zaklął. Młody człowiek uszom i oczom własnym wierzyć nie chciał, poznając w wepchniętym Janosza, huzara, co do świty markiza należał. Zdziwienie jego było wielkie, nie mniejsze jak Janosza, gdy w nim porucznika poznał.

Jeden jechał z Czakowca, drugi do Czakowca—obydwa niby w samotrzask wpadli. Huzar splunął, klął i wyrażał żal swój, że się na strażnicy szabli dochwycić nie mógł.

— Byłbym bodaj paru szwabom łby rozpłatał... Ujęli mnie huncwoty podstępem... Jam im glejt pokazywał, a oni mnie za ręce pochwycili...

Wymyślał Niemcom, wyrazów dobierając i gęby nie żałując. Jowanowiczowi do słowa przyjść nie dawał i na zapytania jego nie odpowiadał tak, że ten ostatni z motywowań jeno, w jakie zaopatrywał klątwy, domyślił się, że wiózł do Czakowca list od markiza i że list ten odebrany mu został.

— Czy markiz wie?..

— Wie, żem wyjechał, ale oni nie głupi zawiadamiać go, że mnie pojmali... Sami glejt dali... gubernator podpisał i pieczęć wystawił... *B... a terem, a tiszen...*

Nie szczędził niemieckich matek, ojców, bogów, kóz i innych tym podobnych i niepodobnych rzeczy. Ledwie nieledwie Jowanowicz dokazał tego, że na jego zapytań parę odpowiedział. Wreszcie zamilkł nagle - języka w gębie zapomniał, gdy w słuch wpadły mu po raz trzeci powtórzone wyrazy:

— Graf Mikołaj zamordowany...

— *B... terem tiszen...*—jęknął i oniemiał.

Po dłuższéj dopiero chwili odezwał się:

— Zamordowany?..

— Z tą właśnie wiadomością jechałem do markiza, ażeby się o sprawiedliwość upomniał...

— U kogo?..

— U cesarza...

— Toć nie wiesz chyba, że markiz sam aresztowany.

— Aresztowany?.. za co?..

— Za co?.. nie wiesz?..

— Skądże !..

— Na cesarza skoczył i tak go zdusił, że mu o mało kiszek nie wydusił...

— Więc ciebie nie markiz wysłał...

— Markiz...

— Puścili cię do niego, do więzienia?..

— Do więzienia!.. Nie do więzienia... Markiza by do więzienia tak, jak mnie albo ciebie wtrącali!.. Nie... Areszt mu naznaczyli w domu...

— Cóż to było za duszenie?..

— Duszenie... no...

— Skąd?.. jak?.. kiedy?.. za co?..

— Za to, że cesarz na koniu jeździć nie umie... Co to za cesarz taki!.. Koń skoczył, a on... klap!.. Markiza na to gniew taki przejął że się na cesarza rzucił i o mało, o mało go nie zadusił...

— Kiedyż to się stało?

— Dni temu trzy... zanim się zasłociło... Rzecz świeża...

— Gdzież się to zrobiło?..

— Na polowaniu...

— To znaczy, w dniu tym samym, w którym grafa Mikołaja zamordowano...

Wyrazy te usłyszawszy, huzar kląć na nowo zaczął, dołączając do klątew pogróżki pod adresem Niemców. Obiecywał mścić się na nich, zaczynając dzieło zemsty od karczmarza w Czakowcu.

— Zbiję go na winne jabłko!..

Minęło czasu sporo, zanim krew zimną odzyskał i do rozmowy porządnéj umysł swój przysposobił.

Rozmowa porządna nawiązała się około troski Jowanowicza zawiadomienia markiza Frangopano o śmierci gwałtownéj hrabiego. Jakby tego dokazać? Przedstawiło się do rozwiązania zadanie, które—jak zwykle w podobnych dzieje się razach—naprowadziło na myśl zamiar ucieczki z więzienia. Postawienie kwestyi nasuwało pomysły, tyczące się sposobów doprowadzenia zamiaru do skutku. Huzara to zajęło żywo. Po izdebce kręcił się, nogą o podłogę i o ściany stukał, głowę do góry podnosił i uwagę na okienko zwrócił.

— Najprzód—rzekł—należałoby na świat boży wyjrzéć...

Okienko znajdowało się wysoko, w izbie zaś nie było sprzętu żadnego, przy pomocy którego wspiąć by się można. Medytował nad tém Jowanowicz, medytował huzar; wreszcie ten ostatni na taki koncept wpadł: pod okienkiem stanął i do Jowanowicza rzekł:

— Leź po mnie...

Sposób ten się nadał. Na ramionach huzara stojąc, porucznik położenie zrekognoskował. Ściana więzienna wychodziła ze strony téj na plac pusty i niebrukowany; okienko nad poziomem wznosiło o piętro, było jednak zakratowane.

— Gdyby nie kraty...

— To co?..—zapytał huzar.

— Wyskoczyć by można.

— A krat wyłamać nie można?..

W sensie zapytania tego rozpoczęły się wnet próby, po próbach zaś nastąpiła robota. Jowanowicz i Janosz mieniali się jeden na ramionach drugiego, majstrowali, pracowali przez dzień cały, w ciągu którego przeszkodzono im raz jeden tylko. Stróż wody świeżéj i chleba nieświeżego przyniósł. Praca usilna do tego doprowadziła rezultatu, że, zanim wieczór nadszedł, krata nie stanowiła już przeszkody do wyskoczenia. Wieczorem stróż znów wszedł, Janoszowi kazał szaflik wynieść, więzienie zamknął i więźniów samym sobie zostawił. Nie długo téż z wykonaniem zamiaru zwlekali. Najprzód Jowanowicz, następnie Janosz po uwiązanym do futryny pasie do okienka się dostawali i jeden po drugim na wolność się wydostali. Deszcz, ciemność, ziemia wilgocią rozmiękczona dokonanie zamiaru im ułatwiły. Z po pod muru, niby dwa cienie, przez plac się przesunęli, miasta dopadli i drogą najkrótszą wprost się do mieszkania mar

kiza udali. Janosz za przewodnika służył. Bez niego Jowanowicz, gdyby się był z więzienia wydobył, nie mógłby, miasta ani położenia zajmowanego przez markiza domu nie znając, wieczora tego z zadania się wywiązać. Pod przewodnictwem huzara przyszło mu to z łatwością. Po niewięcéj jak półgodzinnym chodzie, więźniowie na ulicę, przy któréj dom leżał, weszli i na wstępie widokiem niezwykłym porażeni zostali. Wszystkie inne, któremi przechodzili, ulice w ciemności tonęły; w téj uderzyły ich światła, bijące od szeregu latarni i pochodni.

— Co to... pogrzeb?..—odezwał się Jowanowicz.

— Boga mi...—odparł Janosz. Nie wiem... Markiz, markizka, grof Orfeosz dziś rano żywi byli i zdrowi... a chociażby które umarło, toć by się tak z pogrzebem nie śpieszono... Nie wiem, co to znaczy...

Podchodzili ostrożnie, lękając się, jako zbiegowie z więzienia, na światło wystawiać. Z racyi téj zapytywać nie śmieli. Huzar klął, miarkował, głową kręcił, palec do czoła przykładał—do głowy po rozum szedł. Chodziło o to, ażeby się do domu wsunąć niepostrzeżenie. Po namyśle i miarkowaniu:

— Ano — rzekł — innéj tu rady nie ma, jak z tyłu zajść... Chodźmy...

Poszli w kierunku wstecznym.

Dom, który markizostwo zajmowali, przypierał do ogrodu, ogród zaś wychodził na ulicę tylną, od któréj oddzielał go mur wysoki. W murze tym była furtka, ale się na klucz zamykała. Mur wszelako przeszkody stanowić nie mógł dla tych. co w więzieniu kraty wyłamali. Jowanowicz wdrapał się po grzbiecie huzara, z wierzchołka podał temu ostatniemu rękę i obydwa razem zsunęli się do ogrodu na pokład burzanów zeschłych.

— No... a teraz, daléj!..—odezwał się huzar.

Po namokłéj grząskiéj ziemi dotarli do podwórca, które po jednéj stronie zajmowały stajnie, po drugiéj oficyny. Na podwórcu panowała cisza, zalewała je ciemność; w oficynach z jednego tylko okna biło światło. Zachodził kontrast z ulicą, który zbiegów zastanowił. Huzar sie zatrzymał.

— Co to znaczy?..—zapytał—tam jasno, tu ciemno?..

— Ja... to ciebie pytać powinienem...

— Ph... Na niebie i na ziemi dzieją się rzeczy...—odrzekł Janosz słowami Szekspira pomimo, że o Szekspirze nie słyszał i czytać nawet nie umiał, dla tego też inaczéj, aniżeli wielki dramaturg, frazes swój uzupełnił:—których ja nie rozumiem .. Tam jasno, tu ciemno?.. Hm?.. Ano... chodźmy, ale ostrożnie...

Na podwórzu podeszli do okna oświeconego, do środka zajrzeli i zobaczyli trzy młode kobiety szyciem zajęte.

— Szwalnia markizki... — szepnął huzar i dodał, palcem przez okno wskazując: — Na szwaczkę tę człek by się złakomił, choć to niemka...

— Chciałbym się z markizem widziéć... — zauważył Jowanowicz...

— A ba... A nuż to pogrzeb jego właśnie?..

— Dowiedziéć się o tém potrzeba...

— Czekajże... pomiarkujemy... Stąd do domu, wejść można... Tak sień, a tak schody... a tam—dodał, palcem wskazując na okiennicę zamkniętą — pokój grofa Orfana... Przez grofa można by markizowi dać znać...

— Czy graf jednak nie śpi?... Czy jest u siebie?...

— Albo śpi, albo nie śpi, a jeżeli go u siebie nie ma, to jest Jowanni, jego lokaj stary... Jowanniemu powiedzieć tylko: „Psss“... on grofa przywoła a nawet i do markiza samego pójdzie... Ot co... No... Ale: po co my tam obydwa?.. Idź ty, ja... poczekam...

Jowanowicz, rozpytawszy dokładnie o położenie pokoju hrabiego Orfeusza, drzwi otworzył, do sieni wszedł, po omacku, ponieważ w sieni ciemno było, na schody trafił i na piętro się dostał. Na piętrze bez trudności zoryentować mu się przyszło, kierując się wedle skazówek przez huzara udzielonych.

XXII. **Uczucie i interes.**

Przyjazd sztafety, wyprawionéj przez hr. Erdödiego wprost do kanclerza, poprzedziły zdarzenia, odnoszące się do tego świata, co w duszy ludzkiéj całkowicie zamknięty, ze światem zewnętrznym styka się za pomocą wrażeń. Horyzonty świata tego są raz ciasne, znów szerokie, stosownie do tego, jakiéj natury jest punkt ogniskowy: *ja.*

Ja, ah! to ja!... Jak się ono mieni! U jednych wypromienia ze siebie popędy, chęci, intencye, wobec których samo w cień się usuwa; u drugich—przeciwnie, rwie się naprzód z pragnieniem podporządkowywania wszystkich i wszystkiego pod sztandar własny. W jednych się objawia odśrodkowość, w drugich dośrodkowość, u wielu zaś ta z tą znajduje się w stanie walki ustawicznéj, przeważającéj zwycięstwo raz na stronę pierwszéj, znów na drugiéj. Ja działa, nurtuje — w społeczeństwach pierwotnych brutalnie, w społeczeństwach, co się na pewnym stopniu rozwoju cywilizacyjnego znajdują, w ochełznaniu.

U Leopolda I ja, z natury swojéj mocno dośrodkowe, mocnemu téż podlegało ochełznaniu. Wychowanie ujęło je w karby, przy których postawiło wartowników, nadziało pojęciami o obowiązkach, któremi się nawskróś przejął i którym się w niewolę oddał. Był to pan, uważający siebie w przekonaniu głębokiém za bożego na ziemi namiestnika i niewolnik zarazem. Przy wychowywaniu go nie zapomniano, że posiada on rozum i serce i skierowano rozum jego ku wyżynom mistycznym, w których dopatrzył astrologią i alchemią, sercu zaś ukazano rozkosze artystyczne malarstwa i muzyki, które mu starczyły tak długo aż nie obudziły się w nim ludzkiéj, młodzieńczéj natury popędy. Astrologia i alchemia, malarstwo i muzyka nie sprzeciwiały się wpojonym weń doktrynom. Popędy się sprzeciwiały i z niemi nastąpić musiało starcie.

Księżna Julia w oko mu wpadła. Postać jéj sprawiła w nim rodzaj wrzenia, którego pokryć nie umiał. Kiedy ją widział, tracił przytomność umysłu, wyrażającą się u niego sennym automatyzmem, poruszającym się wedle przepisów etykiety; kiedy jéj nie widział, wpadał w niepokój, pozbawiający go apetytu i snu. Trapiła go zazdrość względem tych, co się do niéj zbliżali; huczał w nim gniew. Rozgniewał się na wielkiego marszałka za to, że mu ją z przed oczów usunął; pozazdrościł młodemu hrabiemu X. tego, że ją na konia wsadził. Te były powody, dla których jednego i drugiego aresztować kazał. Aresztowanie markiza również nie poszło z tych pobudek, jakie onemu przypisywano. Leopold I chciał przez to męża w oczach żony piętnem niełaski monarszéj naznaczyć, rzucić na niego w sposób ten klątwę, interdykt w tém przeświadczeniu, że jak go on odepchnął od siebie, tak księżna Julia od siebie odepchnie. O łasce swojéj, widząc jakie ona wywiera skutki, miał wyobrażenie tak wysokie, że nie wątpił, iż pozbawiony onéj mąż wstrętnym się stanie żonie. Tu nim także zazdrość powodowała, zazdrość, która mu w nocach bezsennych nasuwała widziadła takie i sprawiała sensacye takie, że poduszki miął, okrycia gryzł i płakał.

Ci, co nad nim czuwali, nie mogli nie dostrzedz tego. Zdradzał się przed usługą najbliższą i, jak się zdaje, wyznać musiał przed spowiednikiem, najpierwsza bowiem symptomatyczna o stanie duszy cesarza wiadomość z ust księdza Müllera wyszła. Nie była to zdrada tajemnicy spowiedzi. Leopold I ze spowiednikiem swoim i po za konfesyonałem toczył rozmowy długie, których treść, niby około osi, obracała się około przykazania to szóstego, to dziewiątego. Powtarzały się rozmowy te często, po razy parę dziennie. Po wysłuchaniu mszy cesarz prezydował obradom rady stanu, załatwiał sprawy najważniejsze od niechcenia, zbywał je prędko, szedł do gabinetu swego, wzywał księdza Müllera i po kilku słowach wstępu zapytywał:

— Dziewiąte przykazanie... co?..

— „Nie pożądaj żony bliźniego twego“, najjaśniejszy panie...

— Samo więc pożądanie grzech stanowi?..

— Stanowi, najjaśniejszy panie...

— Główny?...

— Nie... Kościół go do grzechów głównych nie zalicza, jak również nie zalicza do takowych przekroczeń i występków, popełnionych bez intencyi... Zabójstwo w obronie własnéj grzechem nie jest i staje się grzechem, gdy się popełnia z podniet pychy, łakomstwa, nieczystości, obżarstwa, gniewu, zazdrości lub lenistwa....

— W nas, zdaje się, podniet tych niema — odzywał się cesarz po chwili namysłu.

— Najjaśniejszy panie, któż, jeżeli nie ja, mógłby w tobie podniet tych dopatrzéć? Nikt nademnie znać lepiéj nie może podniosłości uczuć i czystości intencyi twoich... Jak długo będą one w sercu twojém panowały, póty grzechu głównego popełnić nie możesz....

Podobnie eksplikował przykazanie szóste, opierając się na intencyi i ukazując w perspektywie żal za grzechy i pokutę, mażące winy wszystkie, zbrodnie nawet.

Leopold I nie wymawiał imienia istoty, pod adresem któréj rozmowy te toczył. Nie potrzebował jednak czynić tego. Była to tajemnica przezroczysta.

Raz wytoczył na stół znaczenię wyrazu „bliźni.“

— Bliźnim jest każdy bez różnicy człowiek...

— Tak wogóle — odparł ksiądz Müller — w szczegółach atoli zachodzą różnice, które zaznaczają rozliczne przez kościół wprowadzone i uznane konsekracye... Chrześcianin różni się od poganina, kapłan od człowieka świeckiego, monarcha od poddanych z powodu święceń sakramentalnych, do których wchodzą: słowo, sól, oliwa i rąk włożenie...

— Monarcha i poddany równymi nie są...

— Nie, najjaśniejszy panie...

— Poddani nie są względem monarchy bliźnimi...

— Nie są, o ile poddanymi są...

Delikatne te kwestye, biegły w teologicznych subtelnościach Leopold I mógł sobie rozwiązywać sam, potrzebował jednak aprobaty, jak koń, mogący rów szeroki przesadzić, potrzebuje tknięcia ostrogi. Bez ostrogi nie przesadzi. Powstrzyma go obawa. Obawa podobna nurtowała w sercu cesarza, wyrażając się pod postacią lękliwości do kobiet. Imaginacyą zastępował rzeczywistość, lecz się nią nie zadawalniał. Stawiała mu ona przed oczy uroki i rozkosze i wzbudzała pragnienia, przyprawiające go niekiedy o obłęd. Na ko-

lana się rzucał, krzyżem kładł i modlił nie o odwrócenie pokusy, ale o odwagę. O odwrócenie pokusy modlił się dawniéj: od chwili atoli, jak poznał księżnę Julię, od chwili, jak się przypatrzył jéj obliczu, oczom, ustom, jéj kształtom, urokom, jakie ją od góry do dołu owiewały, czarom, jakie od niéj biły, od chwili, jak się skąpał w atmosferze wydzielającéj się z niéj woni, od chwili téj pokusę wyperswadował sobie i modlił się już o odwagę tylko. O cóż bo się ludzie nie modlą! Leopold I, człek głęboko nabożny, uspokoiwszy teologicznie sumienie we względzie kwestyi delikatnych, ufał, że wybłaga sobie męskie w obec żony cudzéj zuchwalstwo.

Nie wiedział, jak się do tego wziąć, a miał to za ubliżenie powadze własnéj, ażeby kogo o rzecz taką z poddanych swoich zapytać. Kogo zresztą? Jednego z tych mężów stanu, doradców korony, co w kabłąk zgięci do niego się zbliżali i tyłem cofali? Czy którego z dworzan? Czy księdza Müllera? Kogo? Najochotniéj by się zwierzył paziom, w których oczach czytał, że o wszystkiém wiedząc, wiadomości swoich udzielili by mu w obszerności całéj i ze szczegółami wszystkiemi; do nich się najbardziéj wiekiem zbliżał; do nich go ciągnęło; ale—powaga zdala zatrzymywała. Powaga mu ciężyła, stanowiła rodzaj skorupy na ślimaku—pozbyć się jéj na chwilkę, na krótką chwilkę, dla pogawędzenia z rówiennikami i dowiedzenia się od nich o rzeczach ciekawych, dla nikogo i dla niczego rozebrać się z niéj nie mógł. Niewolnikiem się czuł. Jak ślimakowi wolno mu było tylko — rogi wystawiać. Do rozpytywań zniżyć się nie mógł i nie wiedział, jak przystąpić do istoty, o któréj myślenie wprawiało go w drżenie takie, że mu od czasu do czasu zęby dzwoniły a oblicze przybierało wyraz widzianego pod mikroskopem oblicza pijawki. Warga mu opadała i drgała, oczy kocim jaśniały blaskiem, nozdrza się rozdymały.

Biedny człowiek!

Zrobił wszystko, co mu natchnienie podyktowało. Poaresztować kazał ludzi, którzy mu przykrość sprawili. I znalazł się wobec rozwiązać się nie dającéj zagadki, wyrażającéj się pod postacią zapytania:

— Cóż daléj?..

Zapytanie to stanowiło myślenia jego treść główną. Powiedziéć można, że nie myślał o czém inném.

Do głowy mu strzelały pomysły najdziwaczniejsze. Marzył o takim klejnocie, co człowieka niewidzialnym czyni. Za klejnot taki oddałby wszystkie w skarbcu nagromadzone brylanty i poszedł z nim do Julii, do domu jéj, do jéj pokoju by się wkradł i patrzył by na nią. Sam jednak uznawał, że było to marzenie płonne. Zastąpił je inném.

Zachciewało się mu przebrać, jak się Al-Raszyd przebierał i *incognito* do niéj się dostać. I to jednak marzenie na nic się nie zdało. Dla dokonania czegoś podobnego, potrzeba by się komuś zwierzyć—komuż naprzykład?.. Księdzu Müllerowi? Ksiądz Müller był to powiernik jego jedyny. Doradców miał dużo, pomiędzy księżmi szczególnie—powiernika jednego. Jemu powierzył sumienie swoje; ale — serce?.. Powierzył by je księżnéj Julii, gdyby nie lęk, który go na wodzy trzymał i ochełznanie edukacyjne potęgował naturalném. Stan Leopolda I da się za pomocą porównania określić. Podobnym on był wielce do stanu ptaka w klatce złotéj, usiłującego prątki przełamać i na swobodę wylecićć.

Stan ten najpierwszy ze wszystkich rozpoznał ksiądz Müller. Zaniepokoił go on. Nie była mu znaną lękliwość cesarza, ani nieświadomość jego; poznał jeno namiętność silną i głęboką, która doprowadzić mogła do rezultatów pomyślnych; doprowadzić jednak mogła i do fatalnych. Zależało to od księżny. Gdyby się do niéj cesarz przywiązał, zapanować by nad nim mogła a panowanie jéj wyraziło by się w duchu takim lub innym. Cóż ona zacz? Włoszka, wenecyanka, republikanka, przez zamążpójście związana z rodziną Zrinich. Nie były to kwalifikacye obiecujące. Czyby jéj atoli nie można w ręku trzymać? Jest małżonką Frangopana, który się nie zgodzi na to, ażeby była cesarską kochanicą. Czyż się nie zgodzi?

— Nie... nie zgodzi się—powiedział sobie ksiądz tonem, w którym jednak nie brzmiała pewność absolutna.

Ksiądz Müller znał słabe natury ludzkiéj strony. Duma, szlachetność nie bywająż często osłoną podłości? — nie łącząż się z nią niekiedy? Wszelka zaleta, wszelka wada, czyż nie jest względną? Wejście w stosunki poufne z rozdawcą zaszczytów i szafarzem bogactw, czy nie jest to pobudką potężną i racyą dostateczną do zgłuszenia skrupułów natury najdrażliwszéj? Gdyby zgłuszenie to nastąpiło, w razie takim księżna pozostawałaby pod wpływem męża i przez nią cesarz dostałby się pod wpływ markiza, członka rodziny Zrinich. Taki obrót sprawy byłby najgorszym. Drogą tą wśliznąć by się musiało: usunięcie wpływu jezuitów, wprowadzenie tolerancyi religijnéj — osłabienie polityki kościelnéj. Nastąpiłby w kraju pokój: co jednak księdza Müllera pokój obchodził! Zakon, którego członkiem był, ma na celu nie uszczęśliwianie ludzkości, ale panowanie nad nią—panowanie niemożliwe bez tępienia swobody sumienia i niedopuszczania polotu myśli. Węgry zarażała nauka Lutra, przeciwko któréj Zrińscy okuniem nie stawali, byli więc od lutrów gorsi i szkodliwsi, rozmiękczali bowiem opokę Piotrową, podsuwając na miejsce granitu piasek. W interesie więc jego nie było, ażeby się Frango-

pano spodlił. Dla tego to powiadał sobie: „Nie... nie zgodzi się..." Po namyśle rzekł z akcentem postanowienia powziętego:

— Potrzeba, ażeby się nie zgodził...

Ktoby następnie chciał i mógł śledzić kroki spowiednika cesarskiego, oglądał by go kolejno u najwyższych państwa dostojników: u barona Hochera, u księcia Lobkowicza, u generała Montecuculi, u księcia Dietrichsteina, u grafów Schwarcenberga, Lamberga, etc., etc., wkońcu u księżnéj Rakoczy. Z każdym mówił na osobności, głosem przyciszonym, tonem konfidencyonalnym, mrużąc oczy, kiwając głową i okraszając usta uśmiechem.

— Młode piwko burzy się — zaczynał.

„Ano", albo „Hm-hm" — odpowiadał interlokutor dostojny.

— Gdy się nie wyburzyło w warunkach przyjaznych, mogło by beczkę rozsadzić....

— Niezawodnie....

— Zachodzi nie małe *periculum in mora.*

— No?..

— Księżna Julia Frangopano....

— O?.. — odpowiadał dostojnik każdy.

Odpowiedź ta powtarzała się niezmiennie. Wygłaszał ją z dostojników każdy głosem i z miną, za pomocą których pokryć usiłował głębokie wewnętrzne wrażenie, jakie na nim nazwisko księżny sprawiało. „O", nic niby nie znacząc, znaczyło bardzo wiele. W téj jednéj literze, akcentem zapytania nabrzmiałéj, mieściły się: zdumienie, przerażenie, troska o następstwa polityczne i troska o zachowanie stanowiska zajmowanego. Wymawiając je, ten i ów, Montecuculi np., znakomity zarówno jako wojownik i jako intrygant, czuł na karku łechtanie topora. Sensacya ta niemiła zdradzała się w intonacyi, z jaką wymawianą była jedna z pięciu samogłosek, kreślona pod postacią kółka. Może jaka pomiędzy wrażeniem a postacią litery téj analogia zachodziła. Jest to kwestya do rozstrzygnięcia: coś podobnego przypuszczać można; można jednak o tém wątpić; wątpliwości atoli najmniéj nie podlegało wrażenie i zaniepokojenie jaknajgłębsze, wywołane w sferach rządzących wiadomością, że młody cesarz umiłował księżnę Frangopano.

Inaczéj trochę wiadomość tę przyjęła księżna Rakoczy. I ona odpowiedziała księdzu Müllerowi: „O"? — ale w jéj „o" nie zdumienie, nie przerażenie, lecz podkreślenie faktu zabrzmiało. Wiedziała o tém z góry, nie spodziewała się jeno manifestacyi tak rychłéj.

— Pali się... co? — rzekła.

— Płomieniem ogromnym — odrzekł ksiądz.

— Który... oby pożaru nie wzniecił i spodziewanych przez nas żniw nie popalił....

— Oby... — skłonił ksiądz głową na znak aprobowania słów księżny.

— Cóż więc? — zapytała ta ostatnia.

— Trzeba pożar w granicach właściwych zamknąć...

— To znaczy: małżonkę weń wepchnąć a małżonka tak urządzić, ażeby patrzał a nie widział....

— *Dixisti*, wasza wysokość... Jest to sposób jedyny....

— Nasycenia wilka i uchowania w całości kozy—podchwyciła. Bez pomocy mojéj tu się nie obejdzie....

— Solicytuję też pomocy wysokości waszéj...

— Zacząć należy od tego, ażeby jego cesarska mość zamianowała *proprio motu* banem Kroacyi Piotra Zrini...

Ksiądz brwi lekko zmarszczył, uśmiechnął się i odrzekł :

— Może zajdą trudności jakie....

— Czy są jakie na widoku? — zapytała.

— Ph... — ksiądz ramionami ruszył — nie wiem....

— Te bowiem, co już zaszły, do usunięcia, a raczéj do obejścia są... Mikołaj zawinił, Piotr za brata nie odpowiada : tak rzecz tę wsiąść można... co...

Ksiądz brwi wysoko podniósłszy, głowy skinieniem słowa księżny zaznaczył. Było to prostém do wiadomości przyjęciem. Księżna przeto komentarz dodała :

— Byłoby to ujęciem sobie kobiety, która z żądaniem tém do Wiednia przybyła.... Obowiązek wdzięczności miewa znaczenie mostu, wielebny panie...

— Ahm—zaznaczył ksiądz, jakby powiedział: „rozumiem“...

— Najjaśniejszy pan raczy mnie odwiedzinami swojemi *incognito* zaszczycić i zastanie u mnie księżnę Julię... Zostawię ich na chwilkę sam na sam... Reszta samo się zrobi...

— Wasza książęca mość świetne masz pomysły—rzekł ksiądz, głowę pochylając.

— Obmyśliłam rzecz z góry, od pierwszéj bowiem markizowi udzielonéj audyencyi wiedziałam, co się święci... Kobieta najjaśniejszego pana olśniła...

— Zauważono to powszechnie...

— Ale aresztowanie markiza opinię z tropu zbiło....

— Tak... hm? — ksiądz się uśmiechnął.

— Nie waszą, ojcze wielebny i nie moją... Owóż tak : do zamku pojadę, niech mnie jego cesarska mość do osoby swojéj przypuścić raczy a ja rzecz ułożę....

— Byleby jeno księżna Julia cesarza... nie zrazić umiała...

Księżna dłonią machnęła z gestem, mówiącym: „Nie troszcz się o to.“

— Wasza książęca mość przysposobisz ją...

— Co tu przysposabiać!.. Czyż możesz, ojcze wielebny, przypuszczać, ażeby księżna nie uledz mogła... urokowi cesarza!..

Ksiądz się uśmiechnął. Księżna z naciskiem wyraz ostatni powtórzyła:

— Cesarza!!

Ksiądz westchnął.

— Odpraw na tę intencyą mszę śpiewaną....

— Stanie się zadość życzeniu pobożnemu wysokości waszéj — odparł. Rzecz główna w tém, ażeby zaszczyt, jaki żonę spotka, nie doszedł do wiadomości męża...

— O zaszczytach tego rodzaju żony mężów nie zawiadamiają... Można będzie następnie markiza w jakiejś misyi poufnéj do Madrytu wyprawić i kazać mu tam na instrukcye czekać....

— Wysokość wasza — zaczął ksiądz tonem, zapowiadającym bądź dziękowanie, bądź podziwianie.

Księżna mu do słowa przyjść nie dała.

— Nie myśl wielebność wasza, ażebym, sprawą tą się zajmując, korzyści własnéj na widoku nie miała... Chodzi mi o skojarzenie związkiem małżeńskim syna mego z Heleną Zrińską... Przy ogniu tym przeto upiecze się i pieczeń moja....

— Na związku tym kościół nie wyjdzie najlepiéj — zauważył spowiednik cesarski.

— Oskrzydlę go modlitwami swojemi — odpowiedziała.

Że ksiądz Müller wierzył w potęgę modlitwy, to pewne. W tym atoli razie do wiary dołączał się rachunek. Księżna Rakoczy małżeństwo syna postawiła, jako warunek swojéj w sprawie sercowéj cesarza interwencyi. Ksiądz poznał to po akcenie, z jakim rzecz o związku małżeńskim wytoczoną została i domyślić się mu było łatwo, że księżna wkłada na niego obowiązek przysposobienia umysłu Leopolda I do uczynienia zadość dwom żądaniom: zamianowania Piotra Zriniego banem i zezwolenia na związek córki jego z synem księżny Rakoczy. Od uczynienia dwom tym żądaniom zadość zależało zabezpieczenie młodego cesarza od wpływów zgubnych kosztem niewielkim: kosztem czci kobiecéj, pozostającéj pod egidą sakramentu małżeństwa.

Ponieważ strona jedna i strona druga, to jest tak ksiądz Müller, jak księżna Rakoczy, w sprawie téj zainteresowani byli, układ więc nastąpił z łatwością. Nie potrzeba go było spisywać. Interes zobopólny starczył za kontrakt na piśmie, za podpisy i za pieczęci.

Ksiądz zobowiązania dotrzymał. Księżna, gdy w parę godzin późniéj zakołatała do podwoi cesarskich, znalazła drzwi wszystkie przed sobą otwarte i zaprowadzoną została wprost przed oblicze cesarskie.

Leopold I przyjął ją w gabinecie swoim, uprzejmie ją powitał i usiąść kazał. Nie prosił, ale rozkazał — etykieta mu prosić nie pozwalała. Księżna miejsce zajęła i na rozkazy dalsze czekała.

— *Z* czém do nas przychodzi wysokość wasza?..

— Przedewszystkiém, z pragnieniem dowiedzenia się o stanie najdroższego waszéj cesarskiéj mości zdrowia....

— Zdrowie nasze w dobrém, Bogu dzięki, znajduje się stanie....

— Bogu najwyższemu niech będą dzięki... Opowiedziéć nie zdołam przerażenia i niepokoju, w jaki wprawiła mnie wieść o wypadku, jaki waszą cesarską mość spotkał... Widocznie jednak opatrzność nad waszą cesarską mością czuwa.... I czyżby mogło być inaczéj!..

Cesarz głową razy parę skinął i zapytał:

— Cóż więcéj?

— Jak do Boga, tak do was, najjaśniejszy panie, zwracamy się z prośbami... Pozwól, najjaśniejszy panie, przedstawić ci prośby moje....

— Jakie? — odparł.

— Racz łaskawém okiem wejrzeć na hrabiego Piotra Zrini i, zamianowawszy go banem Kroacyi, pozwolić mu córkę wydać za syna mego... Prośba ta dwie prośby zawiera w sobie... Składam ją u stóp waszych, najjaśniejszy panie....

Cesarz przez nos zlekka czmychnął i odrzekł:

— Na uwagę ją weźmiemy... Rada nadworna wolę naszą usłyszy.

— Nie umiem zdobyć się na wyrazy podziękowania waszéj cesarskiéj mości za łaskawość, którą jeszcze, jeżeli wasza cesarska mość pozwolić mi raczy, na próbę wystawić się ośmielę...

— Pozwalamy — odrzekł cesarz z akcentem lekkiego w głosie zająknięcia.

— Zaszczyciłeś mnie niegdyś, najjaśniejszy panie, bytnością swoją, zaszczycić racz jeszcze... Wyświadcz łaskę tę kobiecie, co po Bogu czci najwyżéj ciebie....

Leopold I przez chwilkę milczał, jakby się namyślał; wreszcie milczenie przerwał wyrazem:

— Dobrze....

— Chwilka czasu, jaką spędzisz pod dachem moim, pozostanie mi w sercu, jako wspomnienie szczęścia najwyższego... Pragnę jeno, ażeby ci u mnie czas długim się nie wydawał i dla tego, jeżeli pozwolisz, do pomocy sobie zawezwę damę jednę...

Cesarz powieki spuścił i milczał.

— Damę młodą — dodała.

Cesarz milczał i wargę dolną, która mu mocno opadła, wprawił w drganie lekkie. Powiek nie podnosił. Upłynęło czasu minut parę. Księżna czekała na odpowiedź, któréj doczekała się wreszcie. Leopold I odchrząknął raz, odchrząknął raz drugi, zaczął od pobekiwania niewyraźnego i niebardzo wyraźnie wygłosił zapytanie:

— Kiedy?..

— Jeżeli wola wasza, najjaśniejszy panie, jutro o trzeciéj po południu...

Znów nastąpiło milczenie. Cesarz głowę spuścił. Po obliczu jego przesunął się uśmiech i po uśmiechu udzielił księżnéj pozwolenia do odejścia, bez czego ona oddalić by się nie mogła.

XXIII. Plotki i obrady.

Rada nadworna w pełnym zgromadziła się komplecie. Wszystkie około zielonego stołu siedzenia były zajęte, z wyjątkiem jednego, odosobnionego nieco a różniącego się od innych rozmiarami, kształtem i obiciem. Po rzeźbie na poręczach, po inkrustacyach, po bogactwie obciągającéj je materyi, poznać było można odrazu, że przeznaczoném jest dla śmiertelnika niezwykłego. Przed niém na stole leżały przybory do pisania: papier biały, misternéj roboty kałamarz, świeżo zatemperowane pióra, złotym piaskiem napełniona piaseczniczka, w oprawie z perłowéj macicy nożyk i linia hebanowa. Przybory do pisania leżały przed każdym z radców, przed jednym zaś spoczywała pieczęć ogromna. Naprzeciw próżnego siedzenia zajmowali miejsca dwaj mężowie, przed którymi papier znajdował się w większéj, aniżeli przed innymi ilości. Na środku stołu wznosił się krucyfiks i stały w szeregu księgi w pergamin oprawne.

Dwaj ostatnio wymienieni mężowie pisali, inni zabawiali się cicho prowadzoną rozmową. Generał Montecuculi opowiadał poszeptem księciu de Sagan o zmartwieniu biskupa, któremu uciekł kot. Księcia to bawiło. Uśmiechał się.

— Nie jest to jednak powód do zmartwienia wielki—zauważył.

— Nie wielki... zapewne; jego świątobliwość jednak wypadek ten tak przejął, że apetyt i sen stracił i wczora przy nabożeństwie, jeżeliś wasza książęca mość zauważył, roztargniony był....

— Uhm... — mruknął książę.

— Zauważyłeś wasza książęca mość?..

— Coś... tak... zdaje się...

— Fałszywie śpiewał *salvum fac*...

— A... prawda...

— Otóż to z powodu kota...

— Rzecz ciekawa, czy wpadło to najjaśniejszemu panu w ucho...

— Nie....

— Wpadło może...

— Nie... Najjaśniejszy pan — dodał ciszéj — roztargniony był...

— O tak... był bardzo roztargniony...

— Hh... hm... — chrząknął generał znacząco.

— Hm... — odchrząknął książe.

— Na czém się to skończy?..

Książe ramionami ścisnął.

— Księżna Rakoczy... o....

— Phi... w lot strzela....

— Baba minister... Zdawać się mogło, że czysta waryatka, a ona... proszę.. no...

— A ba... Przybrała na siebie pozory... Jam się domyślał, że się coś tam ukrywa....

— A jam był taki naiwny, żem w jéj pobożność wierzył...

— Nie poznałeś się, ekselencyo, na manewrach wojennych...

— Przyznaję się do tego... hm?.. Końca jednak czekajmy... zobaczymy... Ksiądz Müller...

— Cicho, ekscelencyo — szepnął książe de Sagan.

— Jam jest taki otwarty, że się miarkować nie umiem...

— Dwór to nie plac bitwy—rzekł książe sentencyonalnie...

— Tak... to prawda... Na wojnie nie ma się do czynienia z babami — westchnął i po chwilce dodał: — Czyś wasza książęca mość nie dostrzegł, że księżnéj dwóch zmarszczków ubyło?..

— O?.. nie dostrzegłem...

— Ubyło... jednego pod okiem prawem, drugiego pod lewém....

— Ubyło?.. no, proszę...

— Odmłodnieje... Gotowa... kto wié...

— Pierwéj syna ożeni....

— Prostą drogą ku katastrofom idziemy. Przecieżby... ksiądz Müller — szepnął bardzo po cichu.

Następnie dwaj ci mężowie stanu rozmawiali z sobą w ten sposób, że jeden głowę ku drugiemu nachylał a drugi mu w ucho wyrazy wsuwał.

— Otwartość jest moją wadą główną — odezwał się głośniéj nieco generał. Gdyby nie ona, byłbym nie pisał...

— Nie podpisałeś się jednak....

— No... tak... Alem się sam zdradził...

Mowa była zapewne o polemice, jaką Montecuculi z hrabią Mikołajem zawiązał.

Treści podobnéj rozmowy, z wyjątkiem rzeczy o kocie biskupim, toczyli z sobą inni mężowie stanu. Parami szeptali jeden do drugiego, pochylając jeden ku drugiemu peruki, piętrzące się puklami siwemi. Z pod peruk przeglądały oblicza stare i młode, chude i tłuste, odbijające od niepokalanéj bieli kołnierzy haftowanych, zdobiących szyje i piersi. Na piersiach wszystkim z ukosa przewijały się wstęgi; wszyscy posiadali ordery: co oznaczało, że byli to ludzie nie tylko wysoko postawieni, ale i zasłużeni.

Zgromadzili się w celu obradowania nad sprawami publicznemi w komnacie, przyozdobionéj w dużych rozmiarów portret cesarza i w kilka malowideł treści historycznéj, zawieszonych na ścianach, pokrytych rzeźbieniem i złoceniem. Okna osłaniały firanki, drzwi maskowały portyery. Siedzący za stołem rozmawiając, raz poraz ku jednéj z portyer wejrzenia ukośne posyłali, aż naraz wszyscy zamilkli. Portyerę podniosła ręka niewidzialna, ukazał się w niéj człowiek w peruce i w odzieży suto szamerowanéj i głosem donośnym zawołał:

— Jego cesarska mość!...

Mężowie za stołem wszyscy naraz, jak jeden, powstali i wszyscy, półobrotem ku portyerze się zwróciwszy, głowy pochylili i ciała pod kątem wynoszącym najwyżéj 200⁰ nagięli. W chwili téj z po za portyery wysunął się Leopold I. Wyszedł, ku siedzeniu nie zajętemu wprost się skierował, miejsce zajął, po obecnych okiem powiódł i rzucił wyrazy:

— Panowie... usiądźcie...

Radcy razem usiedli.

— W imię boże obrady rozpoczęte....

Wyrazy te cesarz wymawiał tonem lekcyi wyuczonéj i mechanicznie wydawanéj. Powtarzał je za każdém rady nadwornéj posiedzeniem, na którą przychodził po wysłuchaniu w kaplicy zamkowéj mszy, odprawianéj pod inwokacyą Ducha świętego. Tym razem przy mszy spowiadał się i komunikował, dla tego z zagajeniem obrad spóźnił się nieco. Radców to nie zdziwiło; zdziwiło ich atoli to, że cesarz wszedł, niosąc w ręku we czworo złożony papier, który siedzenie zajmując przed sobą na stole położył. Coś papier ten zawierał w sobie, coś on oznaczał: czy nie pismo to odręczne?—to stanowiło przedmiot nie tyle może zdziwienia, co zatroskania się radców. Z pod oka każdy ku papierowi wejrzenia słał i każdy siebie w duchu zapytywał: „Co to?“

Spóźnienie oznaczało spowiedź; spowiedź odbywał Leopold I, przed obradami zawsze, ile razy kwestya ważna rozstrzygać się

miała. Papier ten przeto do kwestyi jakiejś ważnéj odnosić się musi. Tyle jeno wywnioskować można było. Nie pozostawało więc, jak czekać, aż się rzecz wyjaśni.

Obrady rozpoczęły się, i toczyły, jak zwykle. Kanclerz przedstawiał sprawy; radcy wypowiadali opinie swoje; cesarz rozstrzygał, wygłaszając: „Tak nam się podoba;“ sekretarze notowali, odkładając na późniéj redakcyą dekretu, reskryptu, aktu, manifestu, dyplomu lub innéj, stosownie do rodzaju sprawy, nazwy dokumentu, który następnie miał być cesarzowi do podpisu podany. Niekiedy cesarz sprawy, bądź z porządku dziennego usuwał, bądź téż na późniéj odsyłał. Do tego służyły formuły: „Nie podoba się nam;...“ „Podoba się innym razem.“ Radcy mieli jeno głos doradczy i cała ich troska, cała mądrość na tém polegała, ażeby nie wygłosić opinii, któraby się cesarzowi nie podobała. Z racyi téj obrady odbywały się cicho, spokojnie, bez najmniejszego wydatku krasomówstwa, bardzo porządnie i bardzo poważnie. Zdania przeciwne nie występowały nigdy prawie, samo bowiem przedstawienie przez kanclerza kwestyi zawierało w sobie skazówkę, w jakim ma być ona rozstrzygnięta duchu. W sposób ten odbywały się obrady i obecnie.

Sprawy przez kanclerza wytaczane należały do rodzaju potocznych, z wyjątkiem dwóch, z których jedna tyczyła się stosunków z dworem francuskim, druga zaś—kontrabandy religijnéj. Pierwszą, mimo że była wagi wielkiéj, cesarz na delatę puścił, drugą rozstrzygnąć należało. Kontrabanda polegała na wprowadzeniu protestanckiego domu modlitwy do miejscowości, w któréj ani podejrzywano protestanckiéj zarazy. Donoszący o tém namiestnik prowincyi zawiadamiał o pojmaniu na gorącym uczynku pastora i skonfiskowaniu biblii i zapytywał, czy w nadzwyczajnym tym wypadku postąpić ma sobie drogą zwyczajną, czyli téż chwycić się środków nadzwyczajnych. Sprawa w doniesieniu zaopatrzoną była w kwiaty retoryczne, zbrodnię podnoszące i potęgujące. Była tam mowa o „wilku, co się do owczarni pańskiéj wkradł,“ o „szatanie, co na dusze niewinne czyhał,“ o „pająku, co zdradliwie sieci rozstawił.“ Widocznie namiestnik miał na celu nie tyle zawiadomienie o fakcie, co zaznaczenie gorliwości i żarliwości własnéj w obec cesarza, zaznaczył więc ją tak dosadnie, że słuchaczy raportu groza przejmowała. Przejmowała ich groza tém bardziéj, że się cesarz poruszył. Kiedy kanclerz głosem zwyczajnym wymówił wyraz „wilk“, Leopoldowi I warga dolna mocno zadrgała. Dla tego téż wyrazy „szatan“ i „pająk“ wymawiał baron Hocher z przyciskiem krasomówczym a radcy podkreślali je marszczeniem brwi, zaciskaniem ust i innemi do okoliczności zastosowanemi a formom etykiety dworskiéj się nie sprzeci-

wiającémi, oznakami. Podkreślali je pomimo, że cesarzowi warga już nie drgała—przeciwnie, do góry ją ściągnął i uśmiechem, usta mu od ucha do ucha rozciągającym, okrasił. Leopold I bowiem raportu namiestnika wcale nie słyszał. Podczas czytania onego myślał o księżnéj Julii i myślenie to wargę jego do zadrgania, usta do rozciągnięcia się od ucha do ucha pobudziło. Radcy atoli manifestacye te wytłómaczyli sobie inaczéj i z racyi téj, gdy do opiniowania przyszło, wszyscy jednogłośnie oświadczyli się za środkami nadzwyczajnemi, niektórzy zaś rzecz wyraźniéj zaznaczyli, doradzając ten ćwiertowanie, ów łamanie na kole, inny spalenie żywcem na stosie pastora, co w osobie swojéj mieścił wilka, szatana i pająka. Koléj doszła do cesarza; kanclerz sprawę tę przedstawił mu pod postacią zapytania.

— Jak wasza cesarska mość rozkazać raczy postąpić z pastorem?..

— Z kim?.. — zapytał Leopold I, jakby nagle ze snu zbudzony...

— Z pastorem?.. — powtórzył kanclerz.

— Puścić... — odpowiedział cesarz.

Słowo to rzekł i znów mu warga dolna drgać poczęła.

Wypowiedziéć nie sposób wrażenia, jakie odpowiedź cesarska na radcach sprawiła. Ci co ćwiertowanie, łamanie na kole i palenie na stosie doradzali, skompromitowanymi, zgubionymi się czuli. Mimo to żadnemu na obliczu muszkuł ani nerw żaden nie zadrgał, żadnemu oczy nie zamigotały. Decyzyę cesarską przyjęli w milczeniu, z powagą i z pochyleniem jednozgodném głów na znak uznania woli monarszéj. Peruki się w kierunku osoby cesarskiéj kiwnęły i podniosły, zajęły pozycye poprzednie i kanclerz oznajmił, że na porządku dziennym spraw bieżących więcéj nie ma. Cesarz przed nos odsapnął i ręką ku leżącemu na stole papierowi sięgnął.

— Ale—zaczął kanclerz—jeżeli nie ma spraw bieżących, to jest jedna nadzwyczajna, celem przedstawienia któréj upraszać mam zaszczyt o pozwolenie najmiłościwszego pana, cesarza i króla...

Cesarz na znak pozwolenia głową skinął.

— Najjaśniejszy panie, w dniu wczorajszym około południa rąk moich doszła depesza, wyprawiona sztafetą dni temu trzy z Warazdina przez nadkapetana Mikołaja hrabiego Erdödi...

Na słowa te oblicze Leopolda I oblała bladość śmiertelna. Warga mu zbielała, głowę odwrócił, jakby chciał oczy schować, kanclerzowi nie odpowiadał... W sali zapanowało milczenie. Radcy w nieruchomości posągowéj, porażeni zmianą, jaka z cesarzem zaszła, na

miejscach swoich siedzieli. Trwało to minutę, dłużéj może nieco,— wreszcie baron Hocher przerwał ciszę, ciągnąc daléj rzecz zaczętą:

— ... Dziś zaś rano przytrzymano na rogatce gońca, wyprawionego przez markiza Frangopano z listami... List jeden pisany jest kluczem; drugi, pisany zwykle, zawiera w sobie wyrażenia karygodne...

Po chwilce, ponieważ cesarz milczenie zachowywał, kanclerz zapytał:

— Rozkaże najjaśniejszy pan depeszę odczytać?..

Na skinienie przyzwalające, baron Hocher zaczął:

— „Mam zaszczyt ekscelencyi waszéj donieść, że pod datą dnia dzisiejszego odbyło się w lasach czakowackich wielkie, w asystencyi gości licznych, polowanie, na którém były ban, Mikołaj hrabia Zrini, śmierć poniósł. Smutny ten wypadek nastąpił w kniei; prawdopodobnie zwierz dziki ś. p. hrabiego zadusił, przez zajmowane bowiem przezeń stanowisko niedźwiedź przeszedł. Wiernopoddańcze uczucia donieść mi nakazują, że złośliwość wypadek ten przypisuje nakazowi wyższemu, nie wahając się zębem oszczerczym zaczepiać o tron. Z powodu tego panuje wzburzenie umysłów. Czekam na rozkazy.“—Data i podpis.

W czasie czytania depeszy cesarz powoli ze wzruszenia ochłonął—wargi oddął i brwi ściągnął.

Kanclerz, papier w ręku trzymając, czekał.

Minęło chwil kilka zanim się Leopold I do przemówienia zebrał:

— Nakazać dochodzenie rodzaju śmierci... która — dodał — nie może być inną, jak od zwierza dzikiego...

— Woli waszéj cesarskiéj mości stanie się zadość... Nie przypuszczalném jest, ażeby były ban, Mikołaj hrabia Zrini, zginął inaczéj, jak od niedźwiedzia?..

Radcy, do których z akcentem półzapytania zwrócone były wyrazy ostatnie, razem perukami na znak przyznania kiwnęli.

— O wypadku w mieście nie głosić...—odezwał się cesarz.

— Gońcy z Czakowca i do Czakowca poaresztowani zostali...— odrzekł kanclerz i zapytał:—Zabrane przy nich listy wasza cesarska mość rozkaże?..

— Spalić...

— Woli waszéj cesarskiéj mości stanie się zadość...

Nastąpiło znów milczenie i czekanie.

Radce bez rozkazu cesarskiego ruszać się z miejsc nie mogli. Na rozkaz przeto w nieruchomości posągowéj czekali, cesarz zwlekał, wreszcie, do kanclerza się zwracając, palcem na leżący na stole papier wskazał i rzekł:

— Do odczytania głośno...

Kanclerz, jak skoro papier rozłożył, wnet wstał i tonem uroczystym oznajmił:

— Reskrypt własnoręczny najjaśniejszego pana.

Na słowa te wstali wszyscy, głowy pochylili; kanclerz czytać począł: „My z bożéj łaski cesarz rzymski, król... książe... graf... baron... pan... etc. etc. wszem w obec i każdemu z osobna wiadomém czynimy“ itd., itd. Była to nominacya bana kroacyi w osobie Piotra hrabi Zriniego.

Piorun w dzień jasny, słoneczny, bez cienia chmurki na niebie, padający nie sprawiłby silniejszego, jak nominacya owa, wrażenia. Wrażenia tego jednak na radcach znać zgoła nie było. Przyjęli nominacyą tę do wiadomości bez zmrużenia źrenicy. Cesarz czytania wysłuchał z powiekami przymkniętemi i z drgającą wargą dolną: gdy zaś skończone zostało i pozostawało jeno kanclerzowi, przez przyłożenie pieczęci, kontrasygnowanie, zaznaczenie numeru i zaciągnięcie do akt państwowych, formalności porządkowéj dopełnić, wstał, wyrazy „posiedzenie rozwiązane“ rzucił i szybko wyszedł.

Radcy wynosić się poczęli po jednemu, po dwóch, żegnając się z pozostającymi i nie odzywając się jeden do drugiego o śmierci hrabiego Mikołaja. Mówili jednak o nominacyi.

— O ile niespodziany, o tyle mądrością głęboką nacechowany krok...

Wszyscy się na to zgadzali. Każdy atoli sam siebie w duchu zapytywał:

— Co to znaczy?.. Jakim to zbiegiem okoliczności zeszła się nominacya z wiadomością o śmierci?..

Każdy w myśli sobie karbował:

— Śmierć od zwierza dzikiego..., hm?.. hm?.. Zwierz dziki?.. niełaska cesarska?.. Czy téż niedźwiedź ów na zamówienie się nie stawił?..

Kanclerz Hocher nic nie mówił i o czém innėm myślał. Zadawał on sobie zapytanie dziwne: „Czy zwierz dziki nie zadusi kiedy księdza Müllera?“ W duszy mu wyły wykrzykniki:

— O łasko pańska!.. O zajeżdżaczko pstrych koni!..

Po głowie snuły mu się sielskie życia obrazy. Marzenie przed oczy jego, podczas kiedy papiery do teki wkładał, stawiało: cichą ustroń, pałacyk wygodny, łąki, na łąkach trzody, laski, w laskach ptaszki; przysłuchiwał się mu nawet śpiew słowika, pomimo że na dworze deszcz jesienny padał i listopadowe wiatry pojękiwały; przypomniał sobie jednak pieczęć, godło kanclerstwa i marzenia pierzchły. Gdyby się pieczęci zrzekł, miałby ją kto inny—on by w razie ta-

kim żółtaczki dostał. Westchnął i zajął się uzupełnieniem formalności, tyczącéj się zamianowania banem hrabiego Piotra.

Generał Montecuculi, z sali obrad wyszedłszy, udał się do zamieszkującego w zamku księdza Müllera. Księdza w domu zastał, ale nie samego. Znajdował się u niego astrolog. Ten ostatni atoli zabawił nie długo. Dokończył jeno rozmowy, z któréj do słuchu generała dostały się tylko frazesy następujące:

— Po raz drugi nie był?..—pytał ksiądz.

— Nie był...

— To dziwne... Przekonany byłem, że raz bodaj jeszcze, mianowicie zaś wieczora wczorajszego, do waszmości na wieżę zajdzie...

— Obserwacyom przeszkadza niebo pochmurne...

— Prawda...—rzekł ksiądz, astrologa za próg wyprowadził, słów parę jeszcze z nim zamienił i, powróciwszy, jął się generała za uchybienie mu przepraszać.

— Ale... a. . uspokajał generał księdza.

— Musiałem doktora odprawić...

— Co ojciec trzymasz o nauce jego?..

— Hm... Najwyższa mądrość ludzka jest mniéj, aniżeli niczém w porównaniu z mądrością bożą... *Ex nihilo nihil...* Z niczego stwórca tylko świat wyprowadził, nauka przeto astrologa naszego ani to pomaga, ani szkodzi...

— Zajmuje jednak najjaśniejszego pana...

— Jako rozrywka, która mu do sprawowania rządów bynajmniéj nie przeszkadza...

— Gdyby się mu trafiła rozrywka rodzaju innego...—odezwał się generał tonem zlekka insynuacyą nacechowanym.

— Zajmował by się nią, jak astrologią...

— I w gwiazdy patrzył... No; ale ja do was, ojcze wielebny, przychodzę z wiadomością ciekawą i ważną...

— Naprzykład?..

— Czy wiecie, kto został banem kroacyi?..

— Nie wiem...

— Czy byście się też domyślili?..

— Nie domyślam się...

— Przecie?..

— Kołatało się po kątach nazwisko Piotra Zrińskiego...

— I wykołatało się...

— To być nie może!..—wykrzyknął ksiądz tonem takim, że wykrzyknik ten miał akcent szczerości całkowitéj. Żartujecie, ekscelencyo...

— Wcale nie żartuję...

— Nikt tego nie brał na seryo...

— Fakt jednak stał się seryo... Wracam wprost z posiedzenia rady nadwornéj, na którém czytany był reskrypt cesarski... Nikt inny, chyba jeno najbogobojniejsza księżna tego półheretyka na wierzch wysunęła...

Ksiądz ramionami ścisnął i westchnął.

— Jest to—ciągnął generał daléj—jest to... policzek dla mnie tak, że nie wiem, w którą się zwrócić stronę; czy ofiarować usługi moje—Janowi Kazimierzowi?.. czy do dworu hiszpańskiego kołatać?.. czy u stóp Apeninów osiąść i kapustę uprawiać?.. Bądź co bądź, wynosić mi się stąd potrzeba...

Ksiądz z dobrotliwym, służącym za maskę wejrzeniu drwiącemu, wyrazem w oczach na generała patrzał. Wedle wyrazu tego sądząc, pomyśléć by można, iż powiedziéć chce: „Żartuj sobie, generale, zdrów.“ Powiedział jednak nie to, ale:

— Nie należy bo, ekscelencyo, brać rzeczy ze strony takiéj tragicznéj... Mnie samego nominacya ta, tak dalece dziwi, że wierzę w nią dla tego tylko, że z ust waszych wiadomość tę odbieram... Ale, powiem tak, jak w razach podobnych mówić się godzi: „Nie zbadane są wyroki boże“...

— Zapewne...—odparł generał—i wyroki te właśnie mnie z cesarstwa na banicyą skazują...

— I nie... i nie... Miecz wasz potrzebniejszy jest cesarstwu dziś, jak kiedy... Kto wie, azali najjaśniejszy pan nie dla tego właśnie „półheretyków“, jak ich nazywacie, podnosi, ażeby się uzuchwalili i z wysokości tém głębiéj w dół spadli... Uzuchwalenie się ich to wojna w przyszłości niedalekiéj, a wojna dla kogo, jeżeli nie dla was?..

— Hm?..—mruknął generał.

— Wierzajcie mi, ekscelencyo: stanowisko wasze przez zanominowanie Piotra Zriniego banem, nie jest ani trochę zachwiane...

— Doprawdy?..

— O ile o tém sądzić mogę, nie wdając się w sprawy, które do mnie nie należą...

Przy słowach ostatnich generał spojrzał na księdza z tym samym dobrotliwością zamaskowanym, drwiącym wyrazem, z jakim ksiądz na niego patrzał przed chwilą. Jeden drugiemu wet za wet oddał. Generał się znacznie uspokoił, usiadł, nogę na nogę założył i, stopą kiwając, zawiązał gawędkę, wijącą się nakształt girlandy, w któréj za wiązanie służyły plotki. Powtórzył wiadomość o kocie księdza biskupa i o sfałszowaniu nuty w *salvum fac.* Powtórzył rzecz

o zmarszczkach księżny Rakoczy, do któréj cierpiał ansę szczególną i do rzeczy téj dodał:

— Proteguje księżnę Julię Frangopano nie bez myśli ukrytéj...

— Cóżby za myśl ukrytą miała!..—zareplikował ksiądz.

— Co za myśl?.. Wam, ojcze wielebny, powiem otwarcie... Otwartość jest chorobą moją.,. Co za myśl?.. Najjaśniejszy pan młody, księżna Julia piękna: jéj wysokość więc manewruje, celem sprowadzenia młodości z pięknością i utargowania przy okazyi téj czegoś dla siebie... Ja nie patrzę niby, a... widzę...

— Ekscelencyo..—zaczął ksiądz z namarszczeniem. „Nie mów fałszywego świadectwa naprzeciw bliźniemu twemu,“ zwłaszcza, że wchodzi tu święta pomazańca bożego osoba...

— Czyż ja co mówię!..—odparł generał głosem strwożenia.

— Nie powtarzaj tego, co ci się wydaje, że widzisz...

W ostrzeżeniu tém brzmiało w głębi: „Łaskę stracić możesz.“

— Z Mikołajem Zrinim mogłeś pofolgować sobie — dodał ksiądz — ale... z najjaśniejszym panem...

Generał chciał księdza o śmierci Mikołaja Zrińskiego zawiadomić, lecz słowa cesarskie sobie przypomniał, za język się ugryzł i zmilczał.

XXIV. W opałach.

Wyszedłszy z posiedzenia rady nadzwyczajnéj, Leopold I uczuł się nagle tak, jakby się uczuć musiał człowiek, co nie nawigował nigdy, w łodzi na wodzie. Łódkę prąd unosi, fala nią kołysze, wiatr ją chyli—on użyć nie umie ani steru, ani wioseł, ani żagli. Znęcił go lazur toni, jéj przejrzystość zwierciadlana, zagadkowość czarująca głębi, puścił się i wrócić by rad—nie może. Sposoby, znane każdemu innemu, są dla niego zadaniem do rozwiązania, do którego nie wie, jak się wziąć. W podobnie kłopotliwém położeniu uczuwał się cesarz. Powróciwszy do gabinetu swego, chodził, w palce poklaskiwał, przed oknem stawał, na szybach bębnienia probował i myślał, myślał, myślał głębiéj, aniżeli nad powikłaniami siedmiogrodzkiemi, obszerniéj, aniżeli nad zamętem północno-węgierskim, dłużéj, aniżeli nad stanem Kroacyi, czuléj, aniżeli nad położeniem chrześcian w jarzmie tureckiém, pilniéj, aniżeli nad stosunkami z Polską, Francyą, Wenecyą, Hiszpanią etc.

Nadeszła pora posiłku południowego. Pójście do stołu, przy którym cesarz jadał sam, odbywało się z ceremoniałem odpowiednim. Posługiwali mu urzędnicy wielcy koronni, wielki krajczy, wielki cześnik, wielki itp., którzy dania przynosząc, napoje nalewając, obo-

wiązani byli kosztować z talerza i puhara każdego. Przy jedzeniu przygrywała muzyka niewidzialna. Cesarz jadał powoli i ciamkał głośno, powstrzymywał się jednak od grzechu obżarstwa, w czém zresztą nie było z jego strony zasługi—natura go obżartuchem i opilcem nie stworzyła. Tym razem do stołu zasiadał z apetytem zawziętym. Zdawało się mu że zje, zwłaszcza zaś wypije dwa razy tyle, jak zwykle. Pokazało się jednak, że był to apetyt fałszywy. Przełknął łyżek kilka i talerz z gniewem odsunął; toż samo uczynił z daniem następném; wina mu nie smakowały, obecność urzędników koronnych zawadzała, muzyka—muzyka nawet, którą się rozkoszował—nieznośną mu się wydała. Wszystko to, jadło, napoje, urzędnicy, muzyka szczególnie, przeszkadzała mu myśléć. Od stołu, obiadu nie dokończywszy, wstał i do gabinetu odszedł.

— Cesarz chory...—szepnął z urzędników jeden.

— Gniewny...—odszepnął drugi.

— Czego?..

— Rada go snadź irytowała.

— Niechby radę rozpędził i sam rządził...

— Do tego przyjdzie zapewne... Ksiądz Müller sam jeden ma w pięcie rozumu więcéj, aniżeli radcy wszyscy w głowach...

W gabinecie Leopoldowi I wydało się ciasno. Udał się do komnaty następnéj, z téj do przyległéj, przeszedł szereg pokoi i znów do gabinetu powrócił. W pochodzie tym zatrzymał się przed zwierciadłem i nie poznał siebie. Przedstawiła się mu osobistość jakaś obca. Odwrócił się, znów się zwrócił.

— To my przecie...—powiedział.

Widział się od stóp do głowy; rozpoczął oględziny osoby własnéj od dołu. Miał na nogach trzewiki z klamrami, na których odbijały brylanty—piękne brylanty: zadowolniło go to. Z trzewików wychodziły pończochy—pończochy jedwabne, barwy ciemno wiśniowéj, obciągające należycie nogi po kolana i ujęte w górze w przepaski podwiązek złotem przetykanych i brylancikami zrzadka osypanych: i te go zadowolniły. Pludry aksamitne, odpowiadające barwą barwie pończoch znalazł bez zarzutu. Odzież zwierzchnia z przodu otwarta i okryta szamerowaniem, na które się wysilił kunszt szmuklerski, wielce się mu podobała. Wiódł okiem z dołu ku górze, po guzach i pętlach połyskujących od kamieni drogich, po taśmach misternie tkanych, po szwach umiejętnie a elegancko stębnowanych: przegląd ten przyjemność mu sprawiał. Wzrok najdłużéj zatrzymał na kryzach białych, artystycznie dzierzganych i haftowanych, nakształt nimbu śnieżystego wznoszących się nad piersią i otaczających szyję i powiadał sobie.

— To dobrze... to tak...

Miał to poczucie, że oprawa zewnętrzna odpowiada zupełnie i godnie osobie jego i znajdzie uznanie wszystkich i każdego, szczególnie zaś—jéj. „Jéj—ona; ona—jéj:“—wciąż i wciąż po myśli mu się snuło. Dla „niéj“ to oględziny te czynił, oględziny, które prowadził daléj i, do kryz doszedłszy, zamiast wznieść wejrzenie wyżéj, rzutem jednym przeniósł je w dół, do trzewików. Znów przegląd rozpoczął, powolniéj aniżeli poprzednio. Dłużéj wzrokiem badał trzewiki, klamry, pończochy, podwiązki, pludry, szamerowania, kryzy i kiedy przyszło badać daléj, wzrok jego, niby ptak ze skrzydłem ustrzeloném, na trzewiki spadł. Powtórzył to po raz trzeci i tym razem oględzin dokończył. Spojrzał sam sobie oko w oko—spojrzał, oczy spuścił, znów spojrzał, znów oczy spuścił, raz jeszcze spojrzał i raz jeszcze oczy spuścił, jakby blask go olśniewał. Blask ów bił nie od peruki ogromnéj, strzępiącéj się puklami, które, falistym ułożone kształtem, trworzyły nad czołem pagórek podwójny, podobny do grzbietu wielbłądziego i spływały w zwojach do koła na kark i ramiona, ale od oblicza—blask dziwny, zagadkowy, rzucający w duszę zapytanie: „Czemu on taki?“ i wywołujący w niéj pretensyą do Boga.

— Mój Boże!.. o! mój Boże...—wzdychał.

I myślić się starał nie o obliczu swojém, ale o niéj...

— Ona... taka piękna!.. Ona... musi być dobra, litościwa, o! tak: dobra i litościwa... Czyż by inną być mogła?.. Ona... ach!..

Strzeliła mu do głowy myśl jedna, która do serca jego wlała troche balsamu pociechy. Czepił się etykiety. Etykieta nakazywała damom przedstawiać się monarsze z oczami spuszczonemi. Uradowało go to. Przed źwierciadłem doświadczenie uczynił, oczy spuścił i przypatrywal się odbiciu postaci swojéj. Doświadczenie to, razy parę powtórzone, doprowadziło do rezultatu pomyślnego.

— Tak... — rzekł sam do siebie. Będzie widziała nasze trzewiki, pończochy, pludry, szamerowania, wejrzeniem zachwyci kamizelkę, sięgnie najwyżéj brzeżka kryz i... nie będzie widziała nic więcéj... O! jakaż to rzecz rozumna... etykieta dworska... O! jakim to mędrcem był ten, co ją wynalazł...

W sposób ten pocieszony i uspokojony spojrzał raz i drugi w zwierciadło, zatrzymując wzrok dłużéj aniżeli poprzednio na obliczu swojém, które, dzięki bezsennicom i utrapieniom, jakich przez tych dni kilka doznawał, pobladło i barwą zielonkawą, odbijającą od prąg sinych pod oczami, się oblekło. Patrzał na nie z—pobłażaniem, mimo to w sercu uczuwał zawiść bezimienną, obejmującą wszystkich razem i każdego z osobna, u kogo na tułowiu wznosiła się głowa

ludzka. Majaczyła mu się mianowicie głowa markiza Franciszka Frangopano. O!..

Głowa ta nie utrzymała się—jak z historyi wiemy—na karku. Nastąpiło to jednak późniéj, wyszło atoli z punktu tego, którym był moment obecny. Nadchodziła pora wizyty u księżnéj Rakoczy.

Do wizyty téj przygotował się cesarz ze strony swojéj, przygotowywała się księżna ze swojéj. Tę ostatnią zajmowała ona również żywo, przedstawiając się jéj pod postacią kroku na drodze politycznéj ważnego. Miało z niéj wyniknąć opanowanie sytuacyi—zapewnienie sobie wpływów na czas jakiś. Księżnéj nie chodziło o zachowanie wpływów długich i trwałych; wiedziała, że jest to rzecz niemożliwa: gusta ludzkie zmieniają się, kobiety najpiękniejsze starzeją; tacy jak Leopold I potentaci nie lubią *du perdrix*, *toujours du perdrix*. Chodziło jéj o wykrzesanie wszelkich możliwych z nastręczającéj się okazyi korzyści, które się w chwili obecnéj skupiały w ubezpieczeniu dla syna ojcowizny. Franciszek I zajmował stanowisko chwiejne. Był panującym na pół uznawanym, na pół nieuznawanym. Utwierdzić go na stanowisku tém, na tém, jak na dziś, ograniczały się księżny widoki i zamiary, do przeprowadzenia których wystarczało zapewnienie sobie wpływów na czas jakiś—jeżeli nie na lat parę, to... na godzinę może. Księżna znała potęgę spółzawodników swoich i wiedziała, że długo z nimi walczyć nie zdoła. Przygotowywała się przeto ze strony swojéj do wizyty, przeznaczonéj w mniemaniu jéj na to, ażeby posłużyła, jako zakład zaciągniętego u niéj przez cesarza długu. Potrzeba było zakład ów jak najcenniejszym uczynić.

W celu tym zarządziła niejakie w umeblowaniu komnaty swojéj recepcyonalnéj zmiany—komnaty nie téj, w któréj przyjmowała gości zwykłych, ale innéj, mniejszéj, zbliżającéj tych, co w niéj przebywają. W komnacie téj, zaopatrzonéj w okno jedno i w komin duży, ustawić kazała krzesła rozłożyste i dywan szeroki, miękki, poduszkami obstawiony. Z boku nieco postawiła stolik okrągły. Okno osłoniła firanką ciężką. Podłogę okryć kazała kobiercem puszystym. Na ścianach pozostawione zostały malowidła i zwierciadła, które nie przeszkadzały temu, że pokoik ten przedstawiał się pod postacią utopionego w półcieniu zacisza ustronnego, zakątka rozkosznego, wyzywającego do cichego szeptania i wynurzeń serdecznych. Szum płomienia, jakim gorzało ognisko w kominie, stanowił rodzaj kołysanki, usposabiającéj do wylewu uczuć i wypowiadania tajemnic.

Urządziwszy wszystko, jak należy, opatrzywszy i rzuciwszy wejrzenie ostatnie, księżna pojechała do nieuprzedzonéj o niczém księżny Julii. Moment wizyty téj wypadł w porze dnia nie wizytowéj.

W porze téj czoło towarzystwa wiedeńskiego po spożyciu obiadu, oddawało się wypoczynkowi.

— Spadam na ciebie niespodzianie...—rzekła.

— Niespodzianka ta jest mi miłą...—odrzekła księżna Julia.

— Dziwi cię to?..

— Pani... — odpowiedziała z przymileniem.

— Zachwycająca jesteś...—zaczęła księżna, obrzucając młodą kobietę wejrzeniem od góry do dołu. No... ale, zdziwisz się bardziéj jeszcze, gdy ci powiem, żem przyjechała po ciebie...

— O?.. w celu?..

— Nie innym, jak przewiezienia cię z pałacu twego do mego, posiedzenia przy kominie i spędzenia w towarzystwie twojém chwilki czasu... Odpowiesz mi na to: czyżbyśmy nie mogły tego tu uczynić?.. Mogłybyśmy, ale... kobiety stare mają swoje nawyki, kaprysy, które na niejakie może zasługują uwzględnienie... Co?..

— Jadę z wysokością waszą...

— Nie przeszkadza ci nic?.. — i dodała słów parę do ucha.

— Nie... — odrzekła księżna Julia.

Odeszła i w chwilę późniéj powróciła do wyjazdu gotowa.

Po upływie nie więcéj, jak kwadransu, dwie księżny, jedna stara, żółta, pomarszczona, druga młodością kwitnąca, siedziały przy kominie w zaciszy błogiéj. Księżna stara zabawiała młodą opowiadaniem bardzo zajmującém. Mówiła jéj o Leopoldzie I—o wychowaniu jego. Przeznaczonego do stanu duchownego strzeżono od wszelkich pokus światowych i utrzymywano w stanie niewinności i nieświadomości absolutnéj.

— Był już—mówiła—królem węgierskim, kiedy różnicę płci upatrywał w odzieży.

— Nie może być!..—zawołała młoda kobieta.

— Tak jest... O różnicy rodzaju innego dowiedział się od przełożonéj dominikanek, gdy ta do niego skargę o pogwałcenie przez Węgrów zakonnic zaniosła... Dowiedział się, ale...

— Co?..—zapytała księżna Julia.

— To rzecz pewna, że dotychczas pozostaje w stanie niewinności cielesnéj... niewiasty nie tykał...

Księżna Julia nic nie odpowiedziała na to. Zdawało się, jakby w zamyślenie wpadła, z którego wyprowadziło ją dalsze księżny Rakoczy opowiadanie. Księżna prawiła o osamotnieniu, w jakie ścisłe etykiety przestrzeganie wprawia młodego cesarza.

— Ciążyć mu to musi... Nigdzie, u nikogo nie bywa?.. —zapytała księżna młoda.

— Bywa... Używa sobie... Mnie niekiedy odwiédza...

— O?..

— Spada niespodzianie...

— I jakże?..

— Wprawia mnie to w kłopot nie mały, sama go bowiem bawić i sama, gdy przekąskę jaką przyjąć raczy, posługiwać mu muszę...

— Zdarza się to jednak rzadko?...

— O tak... rzadko; zawsze atoli niespodzianie tak, że dnia, ani godziny przewidzieć nie mogę...

— Gdyby się w chwili téj zdarzyło...

— Hm?.. może byś mnie opuścić musiała, a może by ciebie do towarzystwa przypuścił... W tym ostatnim razie nadarzyła by ci się sposobność podziękowania za mianowanie Piotra Zrini banem...

— Proszenia chyba... — poprawiła księżna Julia.

— Przeciwnie... dziękowania, jest to już bowiem czynem dokonanym... Najjaśniejszy pan *proprio motu* reskrypt wydał... Szwagier męża twego jest już *de facto* i *de jure* banem Kroacyi...

— Niceśmy o tém nie wiedzieli...

— Nastąpiło to bowiem dziś, na posiedzeniu rady nadwornéj... Hm...—dodała—nastąpiło to *in gratiam* wdzięków twoich, które cesarzowi spokoju nie dają... Wdzięki niewieście to potęga... to armia, za pomocą któréj hetmanka zręczna kusić się może o zdobywanie tronów...

Materya ta, przez księżnę Rakoczy poruszana już, młodéj kobiecie do smaku nie przypadała. Milczała jednak. Nie przypuszczała, ażeby wygłaszana przez księżnę starą teorya znaleść mogła zastosowanie tém bardziéj, że się świeżo dowiedziała o szczegółach, które ją uspakajały. Uspokajały i zajmowały—powiedzieć nawet można, zaciekawiały do stopnia pewnego. Młody, lat dwudziestu czterech człowiek? — cesarz? — w stanie dziewiczym?.. Wydawało się jéj to rzeczą niesłychaną. Wianuszek dziewiczy na takiéj głowie?—na takiéj peruce?.. Zajmowało ją to żywo i wprawiało w stan rozmarzenia, do utrzymywania którego przyczyniały się wyobrażenia wieku, jaskrawe a drażniące. Płomień się palił, księżna Julia się w ogień wpatrywała, księżna Rakoczy prawiła.

W ciągu téj przykominkowéj konferencyi słyszéć się dały w pokoju przyległym szmery jakieś. Księżna Rakoczy wyszła, przez chwilę jéj nie było, wróciła wreszcie, poprzedając cesarza...

Opowiedziéć, tém bardziéj opisać nie sposób wrażenia, jakie pojawienie się Leopolda I na młodéj kobiecie sprawiło. Zerwała się, stanęła, nie wiedziała co począć z sobą; przypomniała sobie ceremoniał pokłonny i dygnęła, przysiadając nisko, nisko jak najniżéj, tak

że się jéj to za zbyt nisko wydało. To ją z równowagi niejako wyprowadziło. Czuła się mocno zmieszaną—nie wiedziała, czy się z miejsca ruszyć ma, czyli też na miejscu pozostać. Pozostała, oczy spuściła i słuchała. O uszy jéj obiły się następującc księżny Rakoczy wyrazy:

— Jego cesarska mość pozwala wam najłaskawiéj, mościa księżno, pozostać w towarzystwie swojém... Wasza cesarska mość usiąść raczy... tu... po środku... naprzeciwko płomienia... pomiędzy mną a księżną... Niechże wasza książęca mość łaskawie siada...

Młoda kobieta nie wiedziała, do kogo się stosują wyrazy ostatnie. Usiadła jednak a to dla tego, że posadzoną została. Księżna stara za łokcie ją ujęła i lekko w tył popchnęła, łydki jéj oparły się o krawędź krzesła, osunęła się więc na siedzeniu głęboko i przybrała położenie takie, jakie za czasów powtórnego cesarstwa we Francyi wprowadziły były w modę kobiety półświata do przejeżdżania się w landanach po lasku Bulońskim: popiersie podane w tył, nogi wystawione naprzód. Poprawić się chciała—nie mogła. Do poprawienia się, musiałaby oczy podnieść, a dla niéj podniesienie w chwili téj oczów stanowiło czyn odwagi, na który się zdobyć w stanie nie była.

Rozpoczęło się posiedzenie we trójkę—cesarz i dwie księżny. Posiedzenia tego ciężar cały spadał na barki księżny Rakoczy, ona bowiem sama jedna za wszystkich mówiła, zapytywała, odpowiadała. Baba trabaniła—cesarzowi opowiadała o księżnéj Julii, księżnéj Julii o cesarzu, wystawiała piękność jednéj, unosiła się nad dobrocią i wspaniałomyślnością drugiego, po razy kilka powtarzała jedno i to samo, odegrywała rolę autora, czytającego w głos sztukę dramatyczną. Usiłowała wydobyć słówko od niego lub od niéj. Usiłowania jéj szły na marne. Położenie stało się takiém: księżna Julia, z oczami osłoniętemi rzęsami, siedziała w głębi krzesła i milczała; obok niéj, na krawędzi krzesła wyprostowany siedział cesarz i milczał; stara księżna sama jeno zachowywała swobodę ruchów, podawała się w stronę raz tę, znów owę, mówiła i obserwowała. Obserwacya doprowadziła ją do dostrzeżenia na cesarza lekkiego w prawo głowy zwrócenia. Głowę zwrócił i wnet ją odwrócił, po chwili znów zwrócił i znów odwrócił, powtórzył to razy kilka, za każdym razem zatrzymując głowę w zwróceniu coraz to dłużéj i pozwalając sobie słać wejrzenia ku nogom młodéj kobiety. Z wejrzeniami działo się toż samo, co ze zwracaniami głowy. Były one zrazu krótkie, przelotne, powoli jednak przedłużały się i przewlekały. Przewłoka odbywała się od dołu ku górze, idąc od stóp, ozutych w trzewiki atłasowe, ku kolanom, tworzącym na sukni jedwabnéj dwa wydęcia pagórkowate osłonięte fałdami drapującéj się ku kibici tkaniny. Gdy wejrzenia

te księżna Rakoczy spostrzegła i skonstatowała, podkreśliła je głowy skinieniem i uśmiechem i, do cesarza się zwracając przemówiła:

— Tak... dobrze, najjaśniejszy panie... Może wam przy kominie gorąco, oto—ręką wskazała—dywan... Pozwolę sobie zostawić was na chwilę w towarzystwie księżny Julii; zabawiać się raczcie, nie czyniąc sobie przymusu, a ja tymczasem przygotuję kołacz czeski, piernik toruński, trochę ciasta francuskiego, pomarańcz portugalskich parę i butelkę wina hiszpańskiego... Nie znudzicie się bezemnie...

Kiedy słów ostatnich domawiała, cesarz podniósł na nią oczy pełne wyrazu błagalnego.

— W rzeczy saméj—rzekła—płomień za blisko... Raczcie, najjaśniejszy panie, powstać...

Pod ramię go ujęła. Leopold I wstał, księżna fotel odsunęła i posadziła cesarza na dywanie.

— Mościa księżno, proszę — przemówiła, ramię księżnéj Julii podając.

Młoda kobieta wstała.

— Za reskrypt *proprio motu* podziękować wypada — szepnęła.

Do dywana ją podprowadziła i byłaby tuż obok cesarza posadziła, gdyby się księżna Julia nie oparła i nie usiadła opodal nieco.

— Gołąbków para — akcentem rozrzewnienia, półszeptem wytchnęła i odeszła.

O Ludwiku XIV, gdybyś nieprzedsiębiorczość „brata“ twego widział, wstyd by ci było za niego! O Jowiszu, nie uznałbyś w Leopoldzie I sukcesora swego ziemskiego! O!.. Długim by jednak był szereg imion, mogących być wywołanemi dla kontrastu obok imienia Leopolda I, który po odejściu księżny Rakoczy i pozostaniu sam na sam, w zaciszy, w półcieniu, obok pięknéj, młodéj kobiety, nie wiedział, co i jak począć. Żaden student znajdować się nie mógł gorzéj. Siedział i siedział, i byłby tak siedział kto wié jak długo, gdyby go księżna Julia sama ze stanu nieruchomości nie wyprowadziła. Cud ten sprawiło słowo. Rzekła:

— Waszéj cesarskiéj mości.... najjaśniejszy panie.... dziękuję.... za reskrypt *proprio motu*....

Głosem od wzruszenia drżącym wypowiedziała, wyjąkała raczéj wyrazy powyższe. Wyrazy ostatnie „*proprio motu*“, rozpłynęły się w westchnieniu niby, nastrojoném na nutę wdzięczności, która zabrzmiała nakształt echa pieśni czy muzyki. Cesarz odetchnął z głębi piersi i oczy na księżnę podniósł. Warga mu drżała, policzki powlekała bladość, w oczach świeciła pożądliwość, maskująca się wyrazem niepewności lękliwéj a błagalnéj. Wyobraźmy sobie oblicze ropu-

chy przywalonéj kamieniem. Leopold I czuł się przywalony ciężarem wpojonych weń przekonań i powziętych nawyków, czuł się pod ciężarem stanowiska swego ekstraludzkiego i nie umiał zastosować się do położenia człowieczego. Dałby pół cesarstwa temu, coby zeń w chwili téj ciężar ów zdjął. Dla tego to z wyrazem błagalnym, jak ropucha z pod kamienia, na młodą księżnę oczy podniósł. Niestety— ona nie patrzała na niego. Wymowa przeto wejrzenia cesarskiego nie zdała się na nic. We względzie tym zowodu doznał, ale ośmielił się. Ośmielił się do patrzenia na nią — do nieodrywania od niéj oczów—do pożerania jéj oczami. Następowało to kolejno, jedno po drugiem: stan jeden wyradzał się z drugiego i kiedy do tego przyszło, że się stan pożerania wytworzył, oczy Leopolda I krwią nabiegły, żarem karbunkułów zapałały. Nie mówiący dotychczas wydawać począł stękania:

— Eh... eh...

Przysunął się do księżny najprzód trochę, następnie jeszcze trochę, ręką ku niéj pomknął, cofnął, znów pomknął i cofnął, głowę ku niéj pochylił, peruką jéj pierś całą osłonił, za ramię ją ujął i ścisnął— tak ścisnął, że z bólu krzyknęła i z siedzenia się zerwała.

Zerwała się ona—zerwał się on. Stanęli naprzeciw siebie—oko w oko: księżna strwożona i oburzona, cesarz rozogniony i rozjuszony. Lody przełamał—niech się co chce dzieje! Ręce ku niéj wyciągnął w celu ujęcia jéj w ramiona; lecz się ona cofnęła w przerażeniu, w którém poczuła potrzebę wołania o ratunek i odezwała się nie krzykiem, ale tym rykiem przeciągłym, za pomocą którego wyraża się przerażenie ze wstrętem połączone. Wstręt wzbudżał w niéj widok cesarza, na którego nakoniec patrzyła. Widziała przed sobą napastującą ją w postaci człowieczéj potworność.

Krzyk jéj rozległ się po pałacu całym.

Wpadła księżna Rakoczy.

— Na Boga!.. co to?..

Na widok jéj cesarz ramiona do góry wyciągnął, z głębi piersi odetchnienie długie wydał, zachwiał się i na podłogę runął.

— Żywo, soli, wódki, lawendy! — odezwała się księżna.

Zawinęła się i wnet zemdlałemu pomoc niosła, a skronie mu nacierając i słoiki z solami pod nos tkając, do księżny Julii przemawiała:

— Mała rzecz... mała rzecz... wypadeczek; byle z tego hałasu nie zrobić... Niech to zostanie między nami...

— Odjeżdżam — podchwyciła księżna.

— Dobrze... i owszem... Zniknij: ja tu sprawę wyjaśnię i urządzę... Co się stalo, dobrze się stało... Nie ceni się zdobyczy, która się sama oddaje...

— Ja, wysokość wasza, mam męża—księżna Julia za potrzebne na odchodném dodać uważała.

— Tylko mężowi ani słówka... Gra niebezpieczna... Zgubić możesz i siebie i jego — odrzekła księżna Rakoczy, nacierając cesarzowi wodą lawendową skronie.

XXV. Ślad w historyi.

Za powrotem do domu zastała księżna Julia gości huk. Zaimprowizowała się recepcya, której powód przyszedł niespodzianie a był podwójny: nominacya hrabiego Piotra banem i zdjęcie z markiza Frangopano aresztu. Winszowano markizowi, składano mu życzenia, wróżono podniesienie splendoru domu tyle zasłużonego i tylu czynami świetnemi wsławionego, a obecnie przez wyjście Anny Katarzyny za hrabiego Piotra złączonego z domem równie świetnym i zasłużonym. Wiadomém przytém było o udecydowaném już połączeniu się Franciszka I ze Zrinianką. Było więc czego winszować, było na czém życzenia opierać. Markiz rad przyjmował jedne i drugie i mimo nieobecność żony, zapraszał, zatrzymywał, kazał przysposobić wieczerzą. Księżna, wracając z wizyty, w czasie której przeszła przez opały takie, wpadła w tłum, reprezentujący śmietankę towarzystwa wiedeńskiego. Wzruszenie znać na niéj było. Policzki jéj pałały, irytacya się w oczach przebijała. Potrafiła jednak nad sobą zapanować. Oblicze w uśmiech przystroiła i ku zadowolnieniu powszechnemu pełniła funkcyą gospodyni domu uprzejméj a gościnnéj.

Podejmowanie gości przeciągnęło się do późna. Noc od godzin paru nastała, a ulicę zajmował jeszcze szereg pojazdów magnackich, oświeconych szeregiem pochodni, co tak zbiegłych z więzienia Jowanowicza i Janosza zdziwiło. Nadchodziła już jednak pora spoczynku, oddalana gościnnością gospodarstwa. Roznoszono właśnie wina i ciasta, kiedy hrabia Orfeusz, który się był przed zgiełkiem do pokoju swego wcześniéj usunął, wszedł, do markiza się zbliżył i słów kilka do ucha mu szepnął.

— Gdzie ?— zapytał ten ostatni.

— W pokoju moim...

Markiz się z pośród gości wysunął, na schody wbiegł i w mieszkaniu krewniaka zastał człowieka od stóp do głowy zabłoconego.

— Z Czakowca?..

— Z Czakowca, dostojny panie....

— Cóż przynosisz?.. listy?..

— Wiadomość... Hrabia Mikołaj zamordowany...

Markiz osłupiał. Jowanowicz w kilku słowach opowiedział o zdarzeniu i dodał:

— Przybywam z żądaniem, ażebyś, miłościwość wasza, domagał się sprawiedliwości....

— Nie spotkałeś się z huzarem Janoszem?..

— Spotkałem się...

— Gdzie?..

— W więzieniu....

I opowiedział, jak się to stało, motywując przyaresztowanie swoje i huzara tem, że wyprzedziła go w Wiedniu sztafeta, wyprawiona z Warasdina końmi rozstawnemi.

— W Wiedniu więc od wczora o morderstwie wiedziano — rzekł markiz, zamyślił się, ramionami ścisnął i dodał: — Nie rozumiem tego....

Powrócił do gości, którzy dla tego jeno na nim zmiany humoru nie dostrzegli, że się tłumnie wynosili. Markiz ich nie zatrzymywał. Żegnał, wyprowadzał, odbywając powinność tę, jak się odbywa pańszczyzna i kiedy pojazd ostatni odjechał, stąnął przed żoną i krewniakiem, ręce załamał i rzekł:

— Wesołą wam na waletę powiem nowinę...

Powiedział nowinę tę.

Księżna i hrabia Orfeusz skamienięli.

— Rzeczą jest zastanawiającą, że wiadomość ta, znana w Wiedniu od wczora, nie przeszkodziła mianowania Piotra banem... Co to znaczyć może?...

— Parawan na morderstwo — odpowiedział hrabia Orfeusz.

W przypuszczeniu tém utwierdziła go jeszcze wiadomość o aresztowaniu gońca z Czakowca i gońca do Czakowca.

— Cios wyszedł stąd... Kto wié, czy w sprawie téj Erdödi rąk nie umaczał... Przypominacie sobie spotkanie z nim w Nowém Mieście.

— Ah!—wytchnęła księżna. — Cóż to za jaskinia... ten dwór!. Jaki stek brzydoty, brudów!.. O! — na męża patrzyła nastawiona do mówienia, patrzyła, wahała się i rzekła: — Jedźmy stąd!...

Powiedziała to z przyciskiem szczególnym.

— Pojedziemy — odparł markiz.

— Jedźmy niezwłocznie...

— Wszakże nie dziś....

— Czemu nie? Do dnia daleko .. przez noc ujedziemy mil nie mało....

— Powiedzą, że to ucieczka....

— Niech powiadają... Ucieczka przed sromotą nie hańbi....

— Przed jaką sromotą? — zapytał markiz.

— O... o... — bąkała — ocierania się o brudy...

— Nie wybierzem się tak rychło...

— Nie potrzebujemy wyjeżdżać dworem całym.... Dwór wyciągnie jutro... pojutrze... późniéj nawet, my zaś, jedźmy stąd dziś jeszcze, natychmiast, za godzinę... Idę, do podróży się przeodzieję i... daléj w drogę!..

— Przez rogatkę nas nie wypuszczą...

— Przez rogatkę czakowacką, ale są rogatki inne... Wszystkie drogi do Rzymu prowadzą... Jedźmy!—dodała—zbiera mnie bowiem ochota piechotą się wybrać... Jedźmy!..

Naleganie jéj miało minę zachcianki kapryśnéj. Była to jednak zachcianka kobiety pięknéj; brzmiało w niéj postanowienie niezłomne; markiz uczynił jeszcze obiekcyi parę i uległ. Hrabia Orfeusz wziął na siebie wyprowadzenie dworu i na kwadrans przed północą, po deszczu i błocie, z przed ganku pałacu przez markizostwo zamieszkiwanego, odjechała kareta, przez huzara z kagańcem poprzedzana. Huzarem był Janosz; na koźle obok woźnicy siedział Jowanowicz; wnętrze karety zajmowało ludzi dwoje: markiz i żona jego. Wyjechali przez rogatkę presburską. O wyjeździe ich wiadomość poczęła po mieście krążyć nazajutrz dopiero około południa; do księżny Rakoczy wieczorem doszła, przyniesiona przez księdza Müllera.

— Być nie może! — wykrzyknęła.

— Niezawodnie...

— Chybaż to wyjazd symulowany...

— Najrzeczywistszy.

— A głupia... głupia... głupia... Wydawała się mi roztropniejszą... Zgubiła siebie, męża i...

— Sprawiła zawód wysokości waszéj—podchwycił ksiądz. Zyska jednak na tém chwała boża... Czy wysokość wasza da wiarę, że pod wrażeniem słabości dla niéj najjaśniejszy pan pozwolić raczył pastorowi pewnemu, co zgorszenie szczepił, ujść cało?..

— Czy o tém najjaśniejszy pan już wié?..

Leopold I o wyjeździe markizostwa nie wiedział. Zemdlenie wprawiło go w stan rozstroju moralnego i fizycznego. Gdy dzięki nacieraniom wódkami i wąchaniu soli do przytomności powrócił, uległ temu, co by, ze względu na wyobrażenia jego o stanowisku ekstra-ludzkiém, nazwać się dało słabością. Z tonu spuścił. Zapytał najprzód, jak śmiertelnicy zwyczajni w razach podobnych pytają:

— Gdzie jestem?..

— Wasza cesarska mość jest u mnie, u najoddańszéj sobie poddanki swojéj....

Obejrzał się:

— Gdzie ona?..

— Odjechała, najjaśniejszy panie...

— Odtrąciła mnie...

Nie mówił o sobie w liczbie mnogiéj.

— Nie, najjaśniejszy panie...

— Nie?..

— Nie—powtórzyła. — To, co się waszéj cesarskiéj mości przytrafiło, jest rzeczą zwyczajną... Wasza cesarska mość pokochałeś... kochasz...

— Kocham? — odezwał się cesarz tonem zdziwienia.

— Pokochałeś wasza cesarska mość... kochasz... — powtórzyła księżna dobitnie — czujesz miłość, która nie przybiega i nie oddaje się sama... Miłość się zdobywa, najjaśniejszy panie, wszystko zaś, co się zdobywa, wywołuje opór obronny... Był to więc opór obronny, nie co innego...

— Nie odepchnięcie, nie... wstręt?...

— Skądże wstręt?..

— Skąd? — powtórzył i pierś się mu westchnieniem podniosła.

— Ale nie—perswadowała księżna. — Wstręt nie przypuszczalny jest do osoby cesarza... Nie, stokroć nie!.. Był to opór obronny miłości, nie poddającéj się na zawołanie najpierwsze... Do serca niewieściego szturmuje się, jak do twierdzy, tylko sposobami innemi....

— Innemi... Jakiemi? — podchwycił.

— Czyś wasza cesarska mość powiedział księżnéj Julii: kocham?

— Nie...

— Cóżeś jéj powiedział?..

— Hm... che... te... nie powiedziałem nic...

— Ano... A to się od wyrazu tego szturm zaczyna... Mówi się istocie umiłowanéj: kocham... kocham... kocham... Można to powtarzać bez końca i przytém... Wszak — przerwała sobie — wasza cesarska mość cierpisz?..

— Oh! — westchnął.

— Opowiada się przytém o cierpieniach serca swego... Opowiadanie to wzrusza istotę umiłowaną, wzrusza ją, rozrzewnia, rozmarza, działa na nią jak muzyka, jak śpiew syreni, obezwładnia ją i powolną czyni... Te są, najjaśniejszy panie, do zdobywania serc sposoby...

— Nie wiedziałem o tém — wtrącił cesarz.

— Używając sposobów tych i będąc cesarzem, nie masz na kuli ziemskiéj serca niewieściego, któreby się nie poddało...

— A nie będąc cesarzem? — zapytał.

— To rzecz zmienia o tyle, że powiększa odporność, niekiedy nawet nieprzełomną ją czyni... Nieprzełomność atoli neutralizuje z góry urok stanowiska twego, najjaśniejszy panie, tak, że dzięki urokowi temu, liczyć możesz z pewnością, pod warunkiem przypuszczenia szturmu regularnie, na zdobycie serca księżny Julii...

Leopoldowi I łzy w oczach się pokazały.

— O Boże... — westchnął.

— Bądź więc wasza cesarska mość spokojnym i dobréj myśli... Wypadek pozostanie w tajemnicy pomiędzy waszą cesarską mością, mną a księżną Julią i... rzecz się do pomyślnego doprowadzi końca...

Podniósł na księżnę oczy i wejrzeniem powiedział: „Pomocą, przewodniczką i orędowniczką mi bądź.“

Księżna to zrozumiała i odrzekła.

— Bądź wasza cesarska mość dobréj, jak najlepszéj myśli.... Rzecz się rozstrzygnie pomyślnie, tymczasem zaś pozwolić racz ofiarować sobie ciastek i kieliszek wina hiszpańskiego...

Leopoldowi I w gębie wyschło, ofiarę więc przyjął, wina kieliszek duszkiem wychylił, piernikiem zagryzł, wody szklankę wypił i uspokojony do zamku powrócił, czując się, jakby u początku życia nowego. Otworzyły się dla niego horyzonty nieznane. Odezwała się w nim człowieczość. Dowiedział się, że kocha i nastał w życiu jego moment, który, gdyby się był utrzymał, sprowadziłby w istocie jego moralnéj przełom na stronę serca, wyziębionego wychowaniem teologicznėm. Stał się na chwilę lepszym, łagodniejszym, wyrozumialszym, względniejszym. Nazajutrz rano kanclerz podał mu do podpisu wyroków kilka, opiewających jedne na roboty ciężkie, inne na śmierć—ułaskawił skazanych wszystkich, heretyków nawet.

O miłości marzył; analizował stan serca własnego i drogą analizy do tego doszedł, że księżna Julia przedstawiać się mu poczęła pod postacią narzędzia nie chuci zmysłowych, ale natchnień dobrych. Piękność jéj z dobrém się w myśli jego zlewała w całość harmonijną a bardziéj uroczą, aniżeli wszystko, co dotychczas upodobanie jego zyskiwało. Obiecywał sobie mówić z nią nie tylko o stanie serca własnego, ale i o sprawach, wchodzących do zakresu dobra publicznego. Zamierzył nawet podstępem ją podchodzić, sprawy dobra publicznego wysuwając naprzód i pod osłoną ich przemycając sercowe! W sposób ten to, co się w nim jako popęd zwierzęcy zamanifestowało, oczyszczał, uszlachetniał, na wyżyny człowiecze podnosił i niestety — nie podniósł.

Wiadomość o ucieczce księżny Julii przeraziła go. Udzielił mu jéj kanclerz.

— Uciekła! — krzyknął — nie-go-dzi-wa....

Kazał kanclerzowi iść precz; gdy się on, wpół zgięty, tyłem wycofał i za portyerą znikł, przywołał go, popatrzył się na niego i znów go z przed oblicza swego wypędził. Snuła mu się po głowie myśl pogoni za zbiegłą, ale myśli tej od osoby własnéj oderwać nie mógł. Chciał ścigać sam—konia dosiąść i pędzić. Dziedziczność zapewne obudziła w nim instynkty przodków rycerskich, co wielkość rodu założyli, praktykując heroicznie porywanie, kradzież i rozbój. Instynkty te atoli rozluźniło wychowanie. Mógłże on, potomek różnych „żelaznych", „zuchwałych", „walecznych", konia dosiadać i pędzić? Mógłże, konia dosiadłszy, nie spaść? Ochota przeto zmienić się musiała w szarpanie się wewnętrzne, które mu w duszy powarkiwać poczęło głosem zemsty.

— Wszystko przepadło! — zawołał.

— Co — „wszystko"?

— Pan, w mądrości swojéj — tłómaczył Leopoldowi I ksiądz Müller — zesłał na waszą cesarską mość próbę pod postacią słabości, któréj szatan nadał kształty niewieście... Szatan kusił waszą cesarską mość, jak kusił świętego Bazylego... Bóg miłosierny jednak sam szatana zgromił i pokusę z przed oczu waszej cesarskiéj mości usunął...

— Ależ ja cierpię... cierpię... ojcze wielebny...

— Cierpienie to — odrzekł ksiądz, głowę pochylając — jest dopustem bożym... Jako takie przyjąć je i w modliwie szukać na nie balsamu należy...

Modlił-że się Leopold I! Dzieje przedstawiają go, jako monarchę jednego z najpobożniejszych i najokrutniejszych. Uczucie zemsty w sercu piastował, obejmując niém oporność wszelaką; zwracał je atoli szczególnie w kierunku téj sfery, w któréj jaśniała postać księżny Julii. Tamtędy miał uwagę ustawicznie skierowaną. Czekał jeno na sposobność, któréj się w końcu doczekał (patrz w historyi).

Tak tedy moment przełomowy, dzięki „głupocie" (patrz powyżéj) kobiecéj, nieumiejącéj wstrętów naturalnych przełamywać, przeminął bezpowrotnie.

Księżna Julia, a raczéj markizostwo Frangopano podróż swoją odbyli pomyślnie. W Presburgu się zatrzymali, czując się tam, jako na terytoryum, podległém jurysdykcyi węgierskiéj, bezpieczni. W Presburgu doczekali się dworu i pociągnęli daléj krokiem żółwim z powodu stanu dróg, rozmiękłych od deszczów jesiennych. Hrabia Orfeusz przywoził wiadomości z Wiednia.

— Co tam słychać?—zapytała go księżna, jak skoro z pojazdu wysiadł.

— Słychać to jeno, że gdybyście państwo dostojni do Wiednia powrócili, o progi domu waszego nie biłaby już fala pokłonów i wynurzeń przyjaźni....

— Kto wié — odrzekła księżna.

Sensu odpowiedzi téj nie tłómaczyła nigdy nikomu pomimo, że nadarzyła się jéj po temu sposobność w Czakowcu, dokąd markizostwo przybyli w dni kilka po pogrzebie i gdzie z tego powodu z gości nie zastali już nikogo, ani biskupa nawet. Wyjątek jedyny stanowił Franciszek I-szy, formalny i uznany do ręki hrabianki pretendent.

Zbiegowie nasi, luboć powoli się wlekli, oni wszakże najpierwsi przywieźli wiadomość o zamianowaniu hrabiego Piotra banem. Wiadomość ta sprawiła wrażenie—zadziwiła, a zarazem zaniepokojenie niejakie wniosła, zaniepokojenie, spowodowane rzuceniem przez księżnę wyrazów następujących:

Może nominacya ta odwołaną zostanie....

Jak powyższe „kto wié", tak te ostatnie wyrazy nabrzmiałe były zagadkowością, która uszła uwagi wszystkich, z wyjątkiem hrabiny Anny Katarzyny. Tę zafrapowały one. Jak czasu onego, przyszła do wylegającéj się jeszcze w łóżku księżny, przy łóżku usiadła i w ciągu zawiązanéj z nią rozmowy zapytanie jéj zadała:

— Czemuś powiedziała, że nominacya męża mego odwołaną być może?..

Owóż, dzięki zapytaniu temu, nadarzała się księżnie Julii sposobność wyjaśnienia zagadkowości: zwierzenia się szwagierce, opowiedzenia jéj o wszystkiém, co ją spotkało. Ze sposobności téj nie skorzystała jednak. Dała odpowiedź wymijającą:

— W Wiedniu rządzą się... fantazyami...

— Cesarz wszakże fantastą, jak się zdaje, nie jest...

— Ach! cesarz...

— Cóż?.. jakież na tobie wrażenie sprawił?..

— Obrzydliwości, wstrętu, pajęczych ukłonów, ropusich uśmiechów, skorpionowych uścisków — odparła z uniesieniem. Gdyby nas na świecie całym było dwoje tylko... — zaczęła i urwała.

— Tak się nie podobał tobie, bratowo kochana? — zapytała hrabina ze zdziwienia lekkiego akcentem.

— O! — odparła. — On się ożeni kiedyś, nie wyobrażam sobie, jak go przyjmie ta nieszczęśliwa, co mu się na małżonkę dostanie...

— Dostanie się jéj z nim razem korona cesarska....

— Korona cesarska — powtórzyła księżna w zamyśleniu.

W dni parę późniéj nadeszło oficyalne o nominacyi zaświadczenie. Spóźniło się, przechodzić bowiem musiało przez kancelaryą węgierską. Przywiózł je specyalny z Presburga goniec i wręczył hrabiemu Piotrowi, który zwołał wnet po otrzymaniu onego radę familijną. Radę tę słuszniéj by nazwać można domową, udział w niéj bowiem wzięli: ksiądz Marek, który wcale do familii nie należał

i Franciszek I, który jeszcze nie należał. Kwestya, do rozważania i rozstrzygnięcia podana, brzmiała:

— Przyjąć, czy nie?..

Kwestyą tę wywoływała sama przez się śmierć hrabiego Mikołaja. Zginął z ręki mordercy. Kto mordercę nasłał? Zapytanie to jawiło się w chwili, kiedy z lasu wyniesiono martwe hrabiego zwłoki i w chwili onéj nikt nie wątpił, że cios ten wymierzony został z Wiednia. Było to atoli wrażenie pierwsze, które pozostawało wprawdzie, nie tak atoli żywo, jak w chwili onéj. Dla tego na zapytanie: „przyjąć czy nie?“—odpowiedziała wręcz hrabianka tylko:

— Nie!..

Jéj „nie“ powtórzył Franciszek I.

Hrabiance Helenie i Franciszkowi I odpowiedziała wnet hrabina Anna Katarzyna:

— Cóż nominacya znaczy!.. Cesarz ją podpisał, o śmierci hrabiego Mikołaja wiedząc... Gdyby przeto śmierć ta... życzeniom jego odpowiadała, nie naznaczałby po hrabi Mikołaju brata rodzonego....

Głos zabrał markiz i w te odezwał się słowa:

— Sprawa ta przedstawia się mętnie i nic w niéj rozeznać nie sposób.... Rozważyć ją przeto należy ze strony korzyści politycznéj... Postawmy więc pytanie tak: czy przyjęcie przez Piotra urzędu bana sprawie publicznéj korzyść jaką przyniesie, czy nie?..

— Przyniesie — odpowiedział hrabia Orfeusz.

— Przyniesie — powtórzył ksiądz Marek.

— Takiém jest i zdanie moje — odezwał się markiz.

— Zwłaszcza—zaczął Franciszek I — że ban w osobie hrabiego Piotra będzie miał sprzymierzeńca wiernego w księciu Węgier północnych w osobie naszéj...

— Co na to bratowa dostojna?—zwrócił się hrabia Piotr z zapytaniem do zachowującéj milczenie wdowy, obecnéj obradom w sukniach żałobnych.

— Róbcie, jak się wam najlepiéj zdaje.... Głos mój jest głosem żalu po stracie, któréj mi ani wykrycie morderców, ani nic nie wynadgrodzi... Łzy żalu ronić będę do śmierci... tyle mi tylko pozostaje....

Słowa te obecnych rozrzewniły i przyczyniły się do powzięcia decyzyi. Hrabia Piotr nominacyą przyjął, o przyjęciu zawiadomił władze cywilne, wojskowe i kościelne w Zagrzebiu, dzień objęcia urzędowania oznaczył i w dniu tym odprawił uroczysty do stolicy wjazd. Z dział palono, w dzwony bito; w stolicy najprzód, następnie w krainie całéj, po smutku, jaki sprawiła śmierć brata starszego, zapanowała radość, gdy się wieść o objęciu namiestnictwa królewskiego przez brata młodszego rozeszła.

— *Vivat rex!.. vivat banus!.*

W uradowaniu ogólném udziału nie brali Niemcy, a z Niemcami tacy, jak hrabiostwo Erdödi. Ci ostatni atoli niezadowolnienie ukrywali w serca głębi, na zewnątrz zaś okazywali uradowanie głośno i dobitnie. W ustach ich wiwaty najdonośniéj brzmiały.

Najbardziéj i najszczerzéj cieszyła się hrabina Anna Katarzyna. Ona na nabożeństwo to najpierwsza zadzwoniła. Zachciało się jéj banicą zostać i banicą została — za sprawą czyją? Serce jéj przejmowała głęboka dla sprawczyni wdzięczność, z którą się ukrywać nie myślała. Z najpierwszéj przeto skorzystawszy sposobności, do księżny Julii się zwróciła i, za ręce ją ujmując a w oczy jéj patrząc, przemówiła:

— Ach!.. dziękuję ci, dziękuję...

— Za co?..

— Za twoje w Wiedniu starania....

— Jam się nie starała...

— Przecie?..

— Jam się nie starała—powtórzyła księżna z naciskiem— i proszę cię nie wspominaj mi o tém nigdy...

— Nie lubisz, żebym ci dziękowała...

— Nie to, ale wspomnienie o pobycie moim w Wiedniu przejmuje mnie przerażeniem takiém, jak naprzykład, napad bandytów....

— Nie zbyt to pochlebne dla dostojników, co cię hołdami otaczali... Wszak to nie bandyci...

— Nie? — podchwyciła z akcentem wyrazistym. Zresztą — dodała nie obchodzą mnie już oni... Oddzielę się od nich przestrzenią ogromną... Uprosiłam męża o wyjazd do Włoch, wyjedziemy i już do Wiednia nie powrócę...

Wyjechała i słowa dotrzymała. Zamieszkiwała naprzemian to w Trsacie, to na gruncie posiadłości weneckich, niekiedy w Wenecyi, trzymając się nieopodal od wybrzeży morza Adryatyckiego. Widok lazurowéj toni i szum morskiéj fali milszemi jéj były, aniżeli wystawność, gwar i tajemnice życia dworskiego. Do Wiednia nie wracała więcéj. Zostać była mogła postacią historyczną ; została żoną ukochaną i kobietą szanowaną ; ślady zaś w historyi pozostały po niéj te jeno, że ręka zemsty wiedeńskiéj sięgała po nią, dosięgnąć jéj nie mogła i przesłała jéj wkońcu list, pisany do niéj przez męża w wigilią dnia, w którym głowa jego spadła na rusztowaniu. Był to list z pożegnaniem. „*Giulia mia cara! addio; mondo! addio*" Ostatni z wielkiego Frangopanów rodu, żegnał ją a przez nią świat. I tyle.

T. T. Jeż.



IGNACY ŁYSKOWSKI.

W dniu 14 lipca 1886 zmarł w Poznaniu ś. p. *Ignacy Łyskowski*, dziedzic Mileszew na ziemi michałowskiéj, w powiecie brodnickim, w dzisiejszych Prusach Zachodnich.

Zmarły był w społeczeństwie polskiém zaboru pruskiego znakomitością wielce dodatnią. Słusznie tedy należy mu się nie tylko wspomnienie pośmiertne, ale i obszerniejszy rozbiór jego życia i jego działania, jego wpływu na bieg współczesnych wypadków, na stan materyalny i moralny bądź w odłamie kraju, bądź w kraju całym.

W społeczeństwie normalném umysły i talenta wyższe znajdują z łatwością zakres działania odpowiedni, rozwijają się prawidłowo w jednym lub kilku kierunkach, zapełniają pewne określone stanowisko. W społeczeństwie zaś znajdującém się w warunkach nienormalnych jest inaczéj. Nie tylko że talenta te pozbawione są prawidłowych i jasno określonych zadań i torów; ale owszem narażone na pokusę rozstrzelania sił swych w nieskończoność, zwłaszcza jeśli powodowane są szlachetną ambicyą pracowania dla ogółu, a nie tylko pracę samę, ale i formę pracy stwarzać im przyjdzie.

Do takich ludzi należał u nas niewątpliwie i Ignacy Łyskowski. Nienormalne stosunki społeczeństwa powoływały i pchały go w różne strony i na różne pola działania. Wykazać tedy będzie zadaniem naszém, o ile i jakie po sobie pozostawił zdobycze, o ile i w czém bywał człowiekiem chwili, o ile praca jego ma znaczenie trwałe dla dalszych pokoleń.

Z góry powiedzmy, że mąż ten, umysłu spokojnego, poglądu jasnego, wielkiéj pogodności ducha, z natury swéj nie był założonym na człowieka chwili. Szeroki horyzont jego poglądów, duch organiczny, rozum nie tylko głęboki ale i uporządkowany objawiał mu

rzeczywistość i wskazywał twardą konieczność liczenia się z nią w brew najgorętszym życzeniom serca i wyobraźni żywéj. Był tedy świadom, jakie są nieobyte warunki *bytu* społeczeństwa w ogóle a tém więcéj społeczeństwa nienormalnego. Licząc się ze wszystkiemi jego uzasadnionemi i naturalnemi aspiracyami, najchętniéj i najskuteczniéj pracował w kierunkach, które warunki bytu organicznie ulepszyć mogły nie na *chwilę* zwodniczą, lecz na trwałe.

Taki jest sąd nasz ogólny o mężu, którego przedwczesny zgon opłakujemy. Czytelnik osądzi z nagromadzonego poniżéj materyału, czy sąd ten jest słusznym.

Co do szczegółów życia Ignacego Łyskowskiego, jesteśmy w tém szczęśliwém położeniu, że pozostawił nam po sobie publicznie ogłoszoną autobiografią, która wyszła w języku niemieckim w r. 1861 w Lipsku w Librairie etrangère p. t. „Curriculum vitae der Ritterguts-bezitzers Ignaz von Lyskowski, Landrathsamts-Candidaten für den strasburger Kreis, Regierungsbezirk Marienwerder, auf Mileszewy. Selbstverlag des Verfassers."

Powód do sporządzenia tego życiorysu był urzędowy. W roku 1860 stany powiatu brodnickiego przedstawiły rządowi wedle obowiązującego prawa trzech kandydatów na urząd landrata czyli radcy ziemiańskiego a zawiadowcy czyli naczelnika powiatu. W rzędzie tych trzech kandydatów, a samych Polaków, był i ś. p. Łyskowski. Jako kandydat, miał obowiązek spisać i podać rządowi bieg swego życia. Uczynił to tém chętniéj, żeby zarazem w piśmie tém złożyć polityczne wyznanie wiary w obec rządu, którego miał zostać urzędnikiem. Oczywiście nie nastąpiło to i w obec systemu rządu pruskiego nastąpić nie mogło, bo kandydat był Polakiem, świadomym nie tylko swéj przyrodzonéj narodowości, ale i praw historycznych, tejże narodowości przysługujących a bez ogródki oświadczyć się musiał przeciwko systemowi germanizacyjnemu.

Pisemko to nie tylko więc, że nam podaje ciekawe szczegóły z życia Ignacego, ale zarazem określa jasno i dobitnie jego polityczne stanowisko.

Tymczasem rozpoczynamy rzecz od powtórzenia samego pisma.

Ignacy Doliwa Łyskowski urodził się 12 września r. 1820 w Mileszewach, majątku rodzicielskim, z ojca Konstantego a matki Anny z Rutkowskich. Ród Doliwów Łyskowskich od dawna jest zasiedziałym na ziemi michałowskiéj. W r. 1650 jeden z przodków jego był wysokim urzędnikiem królewskim a w wojnie szwedzkiéj stał wiernie po stronie nieszczęśliwego Jana Kazimierza.

Rodzina ojca Konstantego była dość liczną. Pan Bóg pobłogosławił go siedmiu synami i dwiema córami. Było więc zadaniem nie łatwém wychować i wykształcić tyle dzieci przy skromnéj fortunie jednowioskowéj. Daremnie starał się ojciec, żeby choć jednego syna umieścić w pruskiéj szkole kadetów w Chełmnie. Odebrał odmowną odpowiedź. Zadziwia to tém więcéj, że szkoła kadetów już od Fryderyka II miała właśnie to zadanie, żeby polską młodzież szlachecką z dawnych Prus Królewskich germanizować. Po roku 1830 jednak już sobie nie dowierzano i przestali Polaków przyjmować.

Zatém ojciec nie mogąc łożyć na utrzymanie tylu synów w szkołach publicznych, starał się dać im odpowiednie wykształcenie przez nauczycieli domowych. A że w owych czasach wogóle tylko majętniejsi Polacy garnęli się do wyższych nauk szkolnych, więc i nauczyciele domowi bywali Niemcy. W jakim kierunku w owych czasach nauka takich pedagogów działała, powiada nam jeden z bliskich Ignacego rówieśników, temi slowy (w Nadwiślaninie): „Nie zapomnę ja nigdy ciągów, któremi mi guwerner Niemiec wbijał przekonanie o rozmaitych swoich wielkościach historycznych, starając się we mnie wzniecić pogardę wszystkiego, co polskie i katolickie... tak że prawie cudem uszedłem fabrykacyi sztucznéj na wcale grackiego Niemczyka.“ Dom Łyskowskich jednak nie ulegał tym wpływom.

Szlachta polska Prus Zachodnich do roku 1830 a nawet jeszcze właściwie i do r. 1848 pozostawała w letargiczném uśpieniu świadomości narodowéj. Ileż to razy słyszało się późniéj starszych Niemców, ubolewających nad tém, że „dawniéj“ istniał „najlepszy“ stosunek między obydwiema narodowościami i dopiero w r. 1848 zakłóconym zostal. Przez „najlepszy“ stosunek rozumieli oni taki, w którym świadomość polska obumierała na korzyść języka i obyczaju niemieckiego. W Mileszewach jednak zapewne dzięki bliższym stosunkom z Królestwem Polskiém, utrzymywał się obyczaj polski. Powiada śp. Ignacy, że w domu mówiono tylko po polsku i nauka domowa odbywała się wyłącznie w języku polskim, co w obec dalszych losów Ignacego było rzeczą wielkiego znaczenia.

Przypadek zdarzył, że do Mileszew zawitał w gościnę ks. kanonik Donimirski z Pelplina. Zacny kapłan ten, widząc sporą gromadkę synów w domu gospodarza, nie omieszkał z rodzicami mówić o przyszłości tych dzieci i namawiał ich, żeby choć jednego syna poświęcili zawodowi duchownemu. Niedostatek funduszów stał na przeszkodzie. Zaraz zacny kapłan ofiarował się z własnej kieszeni łożyć połowę kosztów, gdyby najzdolniejszego z braci posłano do gimnazyum. Zgoda nastąpiła, wybór padł na Ignacego, który tedy wysłanym został do gimnazyum w Chojnicach, jedynego, na one czasy katoli-

ckiego gimnazyum w Prusach Zachodnich. Miał wtedy Ignacy lat 13.

Jakim losom uległ w tych szkołach chojnickich, przytoczymy w dosłownem tłumaczeniu z jego *curriculum vitae.*

„Rozpoczął się najnieszczęśliwszy peryod mego życia. W domu rodzicielskim mówiono tylko po polsku; nauka w domu odbywała się tylko w języku polskim, wyszedłem zatém z domu bez znajomości języka niemieckiego. Tymczasem w Chojnicach był wykład nauk wyłącznie niemiecki. Siedziałem w klasie, nie biorąc udziału w nauce. Po za szkołą wałęsałem się, bo przy braku znajomości języka, niepodobna mi było przygotowywać się na lekcye.

„Wśród takich okoliczności i przy znacznėm zaniedbaniu młodzieży szkolnej ze strony nauczycieli gimnazyalnych, znalazłem się na najwłaściwszej drodze do zguby. Przesiadywanie w klasie bez udziału w nauce zabijało mego ducha i podkopywało zdrowie. Brak umysłowego zajęcia po za szkołą popchnął mnie do lekkomyślnego życia.

„Tak upłynęło lat dwa; pod moralnym i umysłowym względem cofnąłem się wielce, cały postęp był w tém, żem zapominał ojczystego języka a obcując z młodzieżą niemiecką, nauczyłem się niemieckiego. Po dwóch latach mówiłem płynnie po niemiecku; w trzy lata późniéj zupełnie polskiego języka zapomniałem i już do rodziców niemieckie listy pisywać musiałem. Ale nabytek języka niemieckiego nie podniósł mnie ani moralnie ani duchowo. Zleniwiałem do szczętu a wszystkie dążenia moje skierowane były na to, żeby zostać burszem zawołanym, tj. łobuzem.

„Takiéj we mnie dokonano odmiany: z niewinnego, dobrze wychowanego i uzdolnionego dziecka polskiego, wyrósł zepsuty człowiek z niemieckim językiem.

„Ale Opatrzność mnie uratowała. W owym czasie otworzono gimnazyum w Chełmnie. Nieszczęśliwi rodzice moi, tyle nadziei na mnie pokładający, spostrzegli rychło, że po manowcach chodzę i przenieśli mnie z Chojnic do Chełmna. Środek był dobrze wybrany. W gimnazyum chełmińskiem panował inny duch jak w Chojnicach. Ówczesny dyrektor, ks. Karol Rychter, śledził kroki prawie każdego ucznia i posiadał dar budzenia w uczniach poczucia honoru sposobem ludzkim i przekonywającemi przedstawieniami. Zatém poszło, że w przeciągu jednego roku młodzież gimnazyalna chełmińska, składająca się po większéj części ze steku zepsutych uczniów z innych gimnazyów, doszła do stanu przyzwoitości i pilności, rzadkiego po gimnazyach. Nadto dostałem się w towarzystwo uobyczajonych chłopców, pochodzących ze znamienitych rodów W. ks. Poznańskiego.

Dwa bodźce moralne działały na mnie równocześnie i wstydziłem się mojego niemieckiego burszostwa a zarazem i tego, żem zapomniał ojczystego języka polskiego. Owładnęła mną silna reakcya na korzyść mojéj moralności i méj narodowości, oburzało mnie, żem się stał ofiarą systemu germanizacyjnego i znów się odtąd czułem Polakiem.

„Z jakimże zapałem pochłaniałem klasyków polskich; a *horribile dictu*, musiałem ich czytać za pomocą słownika. Uczyłem się języka ojczystego, jakby obcéj mowy i po dziś dzień przechowuję sobie na pamiątkę wokabularze, z których się na pamięć uczyłem. Zaraz też obudziła się we mnie potrzeba umysłowego zajęcia; odznaczałem się pilnością i dobremi obyczajami. Po pięciu latach byłem abiturientem i jednym z pierwszych uczniów w gimnazyum. Piśmienny, *examen maturitatis* wypadł tak świetnie, że mnie w pięciu głównych przedmiotach zwolniono od ustnego popisu.

„W październiku 1843 r. poszedłem na uniwersytet do Freiburga w Bryzgowii, na teologią. Z wdzięczności dla dobrodzieja mego, ks. kanonika Donimirskiego, wybrałem ten zawód. Na szczęście zastałem we Freiburgu 11 kolegów polskich, a nadto mieszkał tam filozof polski *Trentowski*, jako docent przy uniwersytecie.

„Pobyt w Freiburgu pod wielu względami był dla mnie wielce przyjemnym. Góry Czarnolasu ze staremi zamczyskami i prześlicznemi dolinami, sięgały do bram Freiburga; ludność we wszystkich warstwach stosunkowo bardzo wykształcona, dała mi pojęcie o *samowiedzy ludowéj*; pokochałem Badeńczyków i na setki liczyłem przyjaciół między uczącą się młodzieżą. Profesor Trentowski dla nas dwunastu akademików miewał w salach uniwersyteckich odczyty filozoficzne w języku polskim. Dziwny zaiste zbieg okoliczności: zazdrością niemczyzny nękany we własnym kraju, znalazł język polski spokojne schronisko na niemieckich niwach nadreńskich!

„Najbliższych feryi uniwersyteckich użyłem na podróż do Szwajcaryi i Włoch. Poprzednio nauczyłem stę w tym celu języka włoskiego. Podróż ta, podjęta wraz z pięcioma kolegami, zostawiła w umyśle moim niezatarte wspomnienie. Swobodne urządzenie szwajcarskie, niebotyczne Alby, urok jezior, bujność Lombardyi, wzniosłość tumu medyolańskiego, znakomitość sceny w *la Scala*, klasyczna powaga Genueńczyków, przyjacielskość i swoboda Florentczyków, skarby sztuk nagromadzone w *palazzo Pitti* i *Palazzo delle belle arti*, ponura pobożność Rzymian, wzniosłość i bogactwo rzymskich kościołów i Watykanu, spodlenie Neapolu, gdzie obok szlachty i biurokracyi biedne lazarony w równéj mierze pogrążeni w niemoralności; niewysłowiona piękność zatoki neapolitańskiéj i Campania

felice, groza Wezuwiusza, który się zdaje być oburzonym na to, że tak nędzny ród ludzki zamieszkuje raj europejski;—wszystko to przemawiało do mnie, poruszało mnie i kształciło. Widnokrąg ducha mego się rozszerzył, a pojęcie moje o najwyższych dobrach człowieczeństwa od przeczucia doszło do świadomości.

„U świętych przybytków Rzymu straciłem chęć do teologii. Zastrzegam się przed mniemaniem, jakobym się stał ateistą. Pozostałem chrześcianinem i katolikiem, ale popadłem w sprzeczność z hierarchią, która wtedy kościół oddała na usługi despotyzmu. Już jako uczeń gimnazyalny miałem sposobność zauważyć, jak często dzierżyciele boskich świętości nogami depczą najświętsze rzeczy ludzkie i oddają je na ofiarę niskich i niemoralnych celów. Tak np. ówczesny biskup chełmiński, ks. dr. Sedlak, podając dłoń usłużną systemowi germanizacyjnemu, wzdłuż granicy Królestwa Polskiego, gdzie lud tylko po polsku mówi, z zasady osadzał często niemieckich proboszczów i wikarych; natomiast polskich duchownych posełał w niemieckie strony Prus Zachodnich. Cel tych nienaturalnych przesiedlań był nadto widocznym, ale wysoki ten dostojnik kościoła nie dbał o to, choć kościół podawał na pohańbienie, a niemieccy duszpasterze złorzeczyć musieli polityce, skoro bez znajomości języka polskiego nie mogąc podołać obowiązkom duszpasterskim, w sumieniu swém zaniepokojeni bywali. W tym to biskupie miałem tedy wkrótce uznać mego przełożonego z urzędu. Nie mogłem sobie zataić, że w ręku jego będę albo sponiewieraną piłką, albo też przyjdzie mi zrzec się działalności na ojczystéj ziemi.

„Wróciwszy do Freiburga, zacząłem się pod względem dalszych studyów wahać między Scyllą a Charybdą. Czémże miałem zostać? Do medycyny miałem wstręt, filologia była mi za nadto pedantyczną, prawo nie przedstawiało w państwie pruskiém żadnych widoków; jako Polak i katolik mogłem się spodziewać, że z końcem karyery prawniczéj zostanę—sędzią powiatowym.

„Wegetowałem tedy jako teolog w niepocieszonych wątpliwościach, ale głównie poświęcałem czas filozofii, historyi i literaturze. Lecz brak ściśle określonego planu nauk tak mi dokuczył moralnie, że popadłem w chorobę, która czerstwość moję podkopała. Lekarze radzili mi zmienić miejsce pobytu. A ponieważ i rok 25-ty życia nadchodził, a z nim ostatni termin odsłużenia wojskowości, wróciłem do Prus i zapisałem się do uniwersytetu wrocławskiego. Mimo to robak wewnętrznego niezadowolenia i rozbrat z wybranym zawodem, nie przestały podkopywać mego zdrowia. Uznano mnie za niezdatnego do wojska, a lekarze zgoła kazali mi porzucić studya i szukać w powietrzu wiejskiém i wiejskim sposobie życia powrotu do

zdrowia. Przed rodzicami nie robiłem tajemnicy; znali oni stan méj duszy, a skorom z N. Rokiem 1846 do domu powrócił i rady lekarskie im przedstawił, nie opierali się ani mi też zarzutów nie robili. Przyjęli mnie w dom całem sercem, choć dużo rodzeństwa przy domowém ognisku siedziało. Polityczne wypadki r. 1846 nie dotknęły mnie. Zagrzebałem się w ulubionych studyach literackich i zajmowałem się gospodarstwem, co na zdrowie moje doskonale oddziałało.

„Dopiero rok 1848 wyciągnął mnie z ojczystego poddasza. Komitet polski dla polskich części Prus Zachodnich, posłał mnie na przedwstępny parlament (*Vorparlament*) do Frankfurtu nad Menem, celem zaprotestowania przeciwko bezwzględnemu wcieleniu Prus Zachodnich do Związku Niemieckiego i celem postawienia zasady narodowości jako podstawy rozgraniczenia. Najprzód pojechałem do Poznania, żeby się porozumiéć z tamtejszym komitetem narodowym, czy i reprezentanci W. Ks. Poznańskiego taką zasadę wygłoszą. Komitet poznański nietylko się zgodził, ale równocześnie ze mną wyprawił swego wysłańca do Frankfurtu. Mieliśmy oświadczyć obydwaj, że podstawą rozgraniczenia może być tylko narodowość.

„Mężowie w przedwstępnym parlamencie niemieckim zasiadający, chętnie tę zasadę przyjęli, a kiedym z mównicy frankfurckiego kościoła św. Pawła takową uzasadnił i swobodę ludów z niéj wywiódł, otrzymałem grzmiące oklaski.

„Niestety wszystko to rozwiało się z dymem. Parlament przedwstępny popełnił wielki błąd, nie zamieniając się w stały, jak radzili jasno patrzący członkowie i gorliwi patryoci, taki Hecker, Arnold Ruge, Struve i inni. Losy Niemiec oddane zostały w ręce parlamentu, wybrać się mającego wedle prawidłowego regulaminu. Władcy Niemiec zyskali na czasie, żeby zebrać siły. Gdyby nie ten błąd (powiada autor w r. 1861) jużby Niemcy były jednem państwem, czego dyplomacya nigdy nie dokaże, a dokazać mogło wtedy owo w parlamencie przedwstępnym zgromadzone ciało rewolucyjne.

„W maju roku następnego zebrał się parlament, a ja powtórnie pojechałem do Frankfurtu, tym razem jako wysłaniec polskich wyborców powiatu lubawskiego i brodnickiego, którzy w liczbie 170 przeciwko 60 Niemcom w Nowém Mieście na wyborze moim zanieśli protest przeciwko bezwzględnemu wcieleniu Prus Zachodnich do Związku Niemieckiego.

„Parlament, jaki się zgromadził, nie był zdolnym, żeby powieść losy Niemiec do historycznéj wielkości. Szczęśliwa chwila minęła; większa część parlamentu składała się téż z profesorów, ciężko uczonych, ale nie zdolnych do czynu i wykonania sprawiedliwości. Wszystkim narodowościom odmawiali wolności, a marzyli o tém, że

w Niemczech reakcya jest niemożebną. Wobec takiego parlamentu przepadłem z moim protestem ; Prusy Zachodnie wcielono do Niemiec, nawet W. Ks. Poznańskie rozpołowiono przez ową znaną linię demarkacyjną. Mnie zbyto tém, że polska ludność Prus Zachodnich miała otrzymać równouprawnienie w szkole, w administracyi i wydziale sprawiedliwości. Nie uszedł rok a historya wydała wyrok swój na parlament, jakoby słowami Wirgila wyrzeczonemi do natchnionego śpiewaka Boskiéj Komedyi : *no ragioniam di' lor me guarda e passa.* Runął w otchłani zapomnienia.

„Opuściłem Frankfurt, wróciłem do domu i stałem się gorącym zwolennikiem polskiéj *Ligi*, która się wtedy utworzyła w Poznańskiém i Prusach na podstawie uzyskanych przez rewolucyą berlińską praw korporacyjnych. Byłem kierownikiem ligi powiatu brodnickiego i członkiem rady prowincyonalnéj, która co trzy miesiące w Chełmnie się zbierała.

„Téj ligi niestety nie zrozumiano i spotwarzono ją. Rząd tak dalece ją ograniczył, że istnienie jéj stało się niemożebném. A jednak jest to faktem, że liga była wręcz przeciwieństwem polityki roku 1846. Polityka ta wyszła od centralizacyi w Paryżu ; w kraju udział w niéj był bardzo nieznaczny. W Polsce już wtedy upowszechniała się wiara, że spiski i rewolucye są anachronizmem, że stoją na przeszkodzie spokojnemu, organicznemu rozwojowi i ukształtowaniu europejskiéj rodziny narodów.

„Mógłby mi ktoś zarzucić, że mimo to w dwa lata późniéj ludność polska W. Ks. Poznańskiego chwyciła za broń. Ale ja twierdzę stanowczo, że ruch ten wywołanym był przez Niemców. Z całych Niemiec nasełano Polaków proklamacyami, *wzywającemi* do wspólnéj walki przeciwko Wschodowi. Po niemieckich miastach nad Renem tworzyły się komitety do zaopatrywania Polaków w broń i pieniądze; niemieccy studenci i t. p. ludzie wykształceni, masami płynęli do Poznania, żeby się zaciągnąć do szeregów na wojnę przeciwko Wschodowi; sam rząd pruski na koszt skarbu sprowadził polską emigracyą z Francyi do Polski. Jakże Polacy nie mieli uledz takiemu parciu? Że jednak ostatecznie broń swą skierować musieli przeciwko Prusakom, było skutkiem reakcyi. Rząd pruski chciał Polaków rozbroić, a całe Niemcy wołały: „nie składajcie broni, Prusacy nie odważą się na was, bo i my tu jesteśmy." Że tak było, mogę zaręczyć, bo sam hasło takie przewoziłem. Albowiem kiedym uwagę prowodyrów parlamentu przedwstępnego w Frankfurcie zwracał na reakcyą, rozpoczynającą się nad brzegami Wisły, otrzymałem polecenie, żeby powyżéj przywiedzione słowa zawieść komitetowi narodowemu do Poznania. Zatém Polacy, doznawszy zawodu

tak w r. 1846 jak i 1848, chwycili się oburącz uzyskanych w r. 1848 praw korporacyjnych, żeby wedle wzoru katolickich Irlandczyków, na prawéj drodze dochodzić swych praw, ukracanych przez zakązy germanizacyjne. Być obywatelem państwa pruskiego, a jednak miéć prawo pozostania Polakami — otóż była zasada Ligi.

„Wedle mego zapatrywania rząd pruski popełnił wielki błąd, że nie wspierał ligi i nie odstąpił od tradycyjnéj polityki germanizatorskiéj. Rozwój narodowy na drodze legalnéj byłby zadowolnił moralne potrzeby ludności polskiéj i powstrzymał ją od wszelkich wybryków. Postępowanie przeciwne, system germanizacyjny wywołał opór, drażnił poczucie narodowe i wprowadzał Polaków w przeciwieństwo do uprzywilejowanych w państwie pruskiém Niemców.

„Żeby się przekonać o prawdzie tego twierdzenia, dość spojrzéć na stan rzeczy w Prusach Zachodnich przed piętnastu laty. Możnaż tam wtedy było mówić o objawach poczucia narodowości u Polaków? Żyliż Polacy w odosobnieniu od Niemców? Nie szliż raczéj za nimi wszędzie z zupełném zaufaniem? Zatém system germanizacyjny osiągnął wręcz przeciwny skutek, nie ten którego się spodziewał.

„Skoro z rokiem 1850 Liga się rozwiązała, wróciłem do rolnictwa i do studyów mych na poddasze rodzicielskiego domu. Tak było do roku 1853. W tym roku sędziwy rodzic postanowił cofnąć się na spoczynek i podzielić majątek między dzieci. Całe rodzeństwo zaproszono na naradę. Ciężkie to było zadanie ochronić ojcowiznę od przejścia w ręce obce, bez pokrzywdzenia reszty rodzeństwa. Ale zaiste rzadki wydarzył się przykład, że dziewięcioro dorosłego rodzeństwa w ciągu jednego dnia zawarło zgodę o działy po rodzicach i otrzymały na nią przyzwolenie i błogosławieństwo rodzicielskie.

„Ja objąłem Mileszewy, za które przed dwoma laty dawano 60,000 tal., za 68,000 tal. z udziałem własnym 3000 tal.

„Położenie moje było trudne, inwentarz nie był wystarczający, żeby podnieść dochody z roli. Kapitałem moim obrotowym była dziesiątka mych palców i zamiar, żeby Niemców przekonać, jak Polak gospodarować potrafi.

„Odtąd upłynęło lat sześć; ożeniłem się (z Paruszewską) i jestem ojcem czworga dzieci. A czy zamiar wyżéj wypowiedziany osiągnąłem, twierdzić nie chcę, ale to tylko nadmienię, że wydany przezemnie „Gospodarz“ stał się podręcznikiem drobnego gospodarstwa, jak daleko język polski sięga.“

Podaliśmy prawie w całéj rozciągłości powyżéj skreślony życiorys, ponieważ takowy przedstawia nam w zarysie zaokrągloną całość, w któréj się dość jasno odzwierciedla człowiek, wraz z otacza-

jącemi go okolicznościami. Biorąc to, co powyżéj powiedziano, jako podstawę rozważymy i objaśnimy życie i działanie Ignacego Łyskowskiego w wybitniejszych kierunkach, a mianowicie pod względem *rolniczym i gospodarskim*, *społeczno-polityczny*, a wreszcie i *literackim* oraz *pnblicystycznym*.

Był tedy Ignacy Łyskowski przedewszystkiém zawołanym rolnikiem i gospodarzem. Widzieliśmy, że majątek ziemski objął w nader trudnych warunkach, jako jeden z dziewięciorga rodzeństwa. Objął go nie uczywszy się rolnictwa ani na akademiach rolniczych, ani jako „elew" we wzorowych gospodarstwach niemieckich, a jednak nie tylko sprostał zadaniu praktycznemu, lecz jeszcze jak nikt dziś w Polsce, odznaczył się na polu teoryi. Poszło to niezawodnie dobrym przykładem i wzorem, jaki miał w domu rodzicielskim, a poszło i tém, że umysł Ignacego szczęśliwie był skierowanym na pojmowanie rzeczy z praktycznéj strony. Wysoka inteligencya, jaką zdobył na uniwersytetach, nie tylko w górę ale i na dół rozszerzyła też i rozjaśniła widnokrąg jego wiedzy i rozumu. Jeżeli kto, to nasz Ignacy jest żywym dowodem, jak to człowiek naukowo wykształcony, przy okolicznościach sprzyjających, łatwo i z dobrym skutkiem sobie poradzi i nie popadnie na bezdroża, bo umie sądzić zdrowo i jasno. Nasz koryfeusz rolniczy tém się przedewszystkiém odznaczał, że w niczém nie przesadzał, szedł średnią zawsze a pewną drogą, ziemi i gospodarstwa nie zmuszał do sztuk łamanych. Gospodarstwo jego było postępowém co do rezultatów przedewszystkiém. Zacząwszy prawie niczém, jak sam powiada, dziesięciu palcami, i tą szlachetną ambicyą, żeby Niemcom pokazać przykład *polskiego* rolnika, zakończył tém, że dzieciom pozostawił fortunę. A przecież, jak zobaczymy niżéj, nie był wyłącznie oddanym zawodowi swemu rolniczemu, lecz owszem trawił dużo sił i czasu na różnych posługach życia obywatelskiego, a kto zajechał w dom jego, znalazł w nim nie tylko uprzejmego ale i hojnie gościnnego gospodarza. Starczyło na wszystko. Starczyło dla tego, że w głowie był *rozum*, a nie tylko rozum ale i *porządek* w rozumie.

Prusy Zachodnie były tak szczęśliwe, że posiadały w epoce, o któréj mowa, dwóch mężów znaczniejszych z takim właśnie rozumem. Był to Teodor Donimirski i Ignacy Łyskowski. Im to głównie zawdzięcza ta dzielnica, że przez czas niejaki stała w kraju naszym, jak to mówią „na świeczniku." Co zaś dziwniejsza u nas, że obadwaj działali bez zawiści i antagonizmu. Obadwaj znali tylko jedną ambicyę, żeby być użytecznymi, bez uszczerbku moralnego i materyalnego dla kogokolwiek. W hartownéj piersi obudwóch biły gołębie serca, a w głowach paliły się znicze czyste, niezatumanione namiętnościami.

Obadwaj téż działali zgodnie na polu mianowicie rolniczo-społecznym, a zatém w towarzystwach i innych zbiorowych usiłowaniach.

Działalność Ignacego Łyskowskiego na tém polu rozwija się pierwotnie już w czasie między rozwiązaniem Ligi a wystąpieniem jego na arenie parlamentarnéj, jak to poniżéj się wywiedzie.

Spędzony wypadkami z pola publicznéj działalności, przy pracy domowéj około rolnictwa, zajął się Łyskowski tém gorliwiéj działalnością piśmienniczą na rolniczéj i ekonomicznéj niwie. Już w roku 1851, kiedy w Chełmnie powstał „Nadwiślanin", umieszcza w nim obok innych prac, artykuły rolnicze w osobnym dodatku p. t. „Gospodarz", któremu i późniejsze sławne dzieło rolnicze tytuł zawdzięcza. Dzieło to wyszło w trzech częściach w r. 1852 po raz pierwszy u Koehlera w Brodnicy. Z wdzięcznością autor sam zaznacza, że rękopis przejrzał mu sławny rolnik wielkopolski, Wojciech Lipski, współzałożyciel i redaktor „Ziemianina". Jemu téż i Włodz. Wolniewiczowi jest poświęcone.

Wiadomo powszechnie, jak przeważny i szeroki wpływ wywarł „Gospodarz" Łyskowskiego na rolnictwo całego kraju w znaczeniu najobszerniejszém. Podobno i na inne języki słowiańskie go przetłómaczono (na bułgarski). Napisaniem téj książki postawił sobie Ignacy Łyskowski pomnik prawdziwie *aere perennius*. Zachęcony powodzeniem, nie tylko go opracowywał w coraz nowych i liczniejszych wydaniach, ale zarazem coraz to nowe podawał do druku artykuły rolnicze, z których znaczna część, zwłaszcza w pierwszym czasie jego działalności piśmienniczéj podpisana jest pseudonimem „Szymona." Artykuły jego, w „Nadwiślaninie" umieszczane, przedrukowywał „Przewodnik Lwowski" i „Czas."

Łyskowski wyznawał zawsze tę zasadę, że główną dźwignią społeczeństwa musi być *nauka* i *czytanie*. W tém przekonaniu wziął się do pióra i zalecał upowszechnianie pism. A kiedy go powodzenie utrwaliło w tém przekonaniu, znajdujemy, że w ulubionym „Nadwiślaninie" tak się w téj mierze wyraża (r. 1858): „gdyby pismo takie jak nasz „Nadwiślanin", było wychodziło od czasu, jak ziemie nasze pruskie pod dzisiejsze przeszły panowanie, gdyby było bez ustanku naszych ojców upominało: *przyjmijcie z pokorą i rezygnacyą* zmianę..... ale strzeżcie waszéj *moralnéj egzystencyi*... bo po utracie takowéj wyjdziecie na nikczemników; strzeźcie wszystkiego co ją zachować i przy pełném zdrowiu utrzymać może, szanujcie ojców zwyczaje i język śpiewny a jędrny, trzymajcie mocno w ręku spuściznę majątkową, jako niezbędną podwalinę wszelkiéj egzystencyi i potęgi na tym świecie; uczcie wasze dzieci, by *obcéj mądrości* spro-

stać potrafiły, nie usuwajcie się od służby publicznéj, by się nie otworzyły kanały napływu obcych, o! zapewne inaczéj by pomiędzy nami wyglądało, z czystszém sumieniem stanęlibyśmy wobec sądu historyi, nie tak pochmurną i straszliwą wydawałaby się nam przyszłość nasza.“

„Gospodarz“ Łyskowskiego obliczonym był przez autora na podniesienie drobnych gospodarstw.. Trzeba nam „książeczki“ gospodarskiéj — powiada sam — puszczając w świat pierwsze wydanie. „Książeczka“ stała się wprawdzie wielce popularną, ale jednakże nie dosięgła do spodu społeczeństwa tak głęboko, jakby był tego pragnął autor, t. j. do ogółu gospodarzy włościańskich, o których już w r. 1852 pisał, że giną i że ich ratować trzeba „nauką, przykładem i zapomogą.“ Dla tego napisał późniéj mniejszą książeczkę rolniczą p. t. „Trzy nauki gospodarskie dla gospodarzy włościańskich“, która się nie mniéj kilku wydań doczekała i znakomicie odpowiada zadaniu. W tymże kierunku napisał w r. 1861 „Rzecz o płodozmianie“ i w r. 1863: „Prawdziwa nauka o płodozmianie.“

Nie wszystkie nadzieje jednak pokładał Łyskowski na nauce i czytelnictwie. Równocześnie prawie z wydaniem „Gospodarza“ rozpoczyna piśmienną agitacyą w sprawie *poprawy kredytu rolniczego*. Już w r. 1857 jako „Szymon“ odzywa się o potrzebie założenia *banku prywatnego* dla gospodarzy ziemskich Prus Zachodnich. W r. 1858 zaś pod właściwém nazwiskiem i „na żądanie osób interesowanych“ ogłosił artykuł p. t. „Uwagi organiczne nad naturą banku w Królestwie Polskiém utworzyć się mającego.“ Bank ten miał wyniknąć z Towarzystwa Rolniczego. Łyskowski był wielkim wielbicielem tego towarzystwa i podnosił jego wpływ moralny. Pisząc o tém w „Nadwiślaninie“ zaznacza, jak pod wpływem towarzystwa ustały rozpusty i pijatyki a zawitał statek i przyzwoitość. Lgnął tedy całą duszą do ruchu tego, a chcąc go przenieść na swoje społeczeństwo, zachwala związki małżeńskie między dziećmi różnych dzielnic, „dla porządnego skąpania się w wyobrażeniach i usposobieniu ziomków, u których żyje jeszcze i wre tętno swojskie ochoczo i mocno bije.“

Po wspomnianéj tu instytucyi kredytowéj i pożądanéj wedle tegoż wzoru instytucyi dla ziemian zachodnio-pruskich, spodziewał się przedewszystkiém poskromienia lichwy, która, jak mówił, Księstwo zjada i do Prus się wkrada. Przy téj sposobności wyłożył zapatrywanie swoje na naturę instytucyi bankowéj, mogącéj oddać rolnictwu rzeczywiste usługi. Może i dziś jest na czasie choć w kilku słowach naszkicować jego zapatrywanie.

Wychodzi on z tego założenia, że *nauka* rolnicza dopiero wtedy będzie płodną, kiedy gospodarzowi otworzy się odpowiedni kre-

dyt. Ale kredyt jest mieczem obosiecznym. Dla tego używać i urządzać go trzeba z wielką rozwagą. Instytucya ziemska przedewszystkiém nie powinna być *wekslową*, bo kredyt wekslowy jest dla rolnika za krótkim. Akcye banku ziemskiego nie powinny być przystępnemi dla każdego, bo rychło przejdą w ręce lichwiarzy, wyzyskiwaczy. Kredyt dla rolnika najstosowniejszy jest to kredyt hipoteczny, umarzający się a nie wypowiedzialny. Zatém obok rozprzestrzenionych towarzystw kredytowych, powinny powstawać banki hipoteczne, jako dwa odrębne czynniki, ale pod *jédną* administracyą zostające, już dla saméj jednolitości taksy. Pierwsza $^1/_3$ taksy ma służyć towarzystwu kredytowemu, druga $^1/_3$ bankowi, a dopiero reszta wierzycielom prywatnym. Rewizye taks odbywać się mają co 6 lat i t. d. i t. d.

Z tych to początkowych uwag i rozpamiętywań urosły następnie projekta kredytowe, które wykonywano w Toruniu i Poznaniu. Lecz to już do rzeczy nie należy, chociaż i w tém wszystkiém Ig. Łyskowski mniéj lub więcéj czynnie brał udział, zwłaszcza w Toruniu.

W r. 1861 dał nareszcie Ignacy Łyskowski w Prusach Zachodnich hasło do zakładania powiatowych towarzystw rolniczych. Pierwsze było dla powiatu brodnickiego. Statut on sam ułożył i obok prezesa Sulerzyckiego pełnił w niém obowiązki sekretarza. Późniejszemi laty sam był przewodniczącym. Wyraził wtedy nadzieję, że niebawem po wszystkich powiatach podobne towarzystwa powstaną. Powstały téż rzeczywiście i niejakiś czas odznaczały się ożywionem życiem, a kiedy tętno życia tego opadać zaczęło, wystąpili dwaj wzwyż wymienieni mężowie: Ignacy Łyskowski i Teodor Donimirski z nowym ożywczym środkiem, który powołał do życia nową formę społeczno-ekonomicznéj pracy. Były to tak nazwane *sejmiki gospodarcze toruńskie.*

Pierwszy sejm odbył się d. 15 stycznia 1867 z udziałem 86 obywateli Prus Zachodnich i 17 obywateli z W. Ks. Poznańskiego. Zagaił go Ignacy Łyskowski, a przemówienie jego daje nam tę wyraźną wskazówkę, że pomysł toruńskich sejmików urodził się właśnie w głowie Łyskowskiego. „Ponieważ pierwsza myśl dzisiejszego zebrania wyszła odemnie, biorę sobie prawo pierwszego przemówienia.“ Tak witał zebranie, a następnie w przydłuższém przemówieniu wyłuszczył zapatrywanie swe o potrzebie i celu zebrania.

Jeżeli nie wypowiedział, czuł to jednak dobrze Ig. Łyskowski, że towarzystwa rolnicze, które z taką skwapliwością popierał, nie kwitną, bo się niejako zaskorupiają w powiatowszczyźnie, do któréj nie docierają z zewnątrz ożywiające idee. W W. Ks. Poznańskiém ożywczem centrum dla towarzystw powiatowych było Centralne To-

warzystwo Gospodarcze i jego walne zebrania. Pragnął tedy Łyskowski i w Prusach stworzyć podobne źródło, bądź dla towarzystw jeszcze wegetujących, bądź dla jednostek, łaknących duchowego pokarmu. Stworzyć w tym celu organizm rozczłonkowany, jak go miało Księstwo, było niepodobieństwem, na to nie starczyło materyału, wpadł więc na genialną myśl, żeby przez odbywanie corocznych, *wolnych* zjazdów, osięgnąć cel pożądany. Nie zjeżdżali się tu z urzędu członkowie towarzystw, ale każdy obywatel i członek inteligencyi, miał równe prawo brać udział w sejmiku.

To była że tak powiem formalna geneza sejmików. Ale Łyskowsi miał cele i zamiary głębsze. Nie pragnął on jedynie nastręczać sposobność do rozpowszechniania światła, lecz jak to w przemówieniu swém zasadniczo zaznaczył, chciał stworzyć arenę, na którejby można zwalczać „*chorobliwy idealizm.*"

„Jest w duchowym ustroju (są słowa jego) naszego społeczeństwa *jakiś* prąd idealizmu, który zdradza śród nas nietylko chorobliwe pojęcia o głównych warunkach bytu społecznego, ale nawet chorobliwe pojęcia o religii i patryotyzmie. Zbyt często odzywają się śród nas nawoływania, że świat zagrzązł w *materyalizmie*, że nie godzi nam się iść torem dzisiejszéj cywilizacyi, która prowadzi do ubóstwienia cielca złotego itd. Ten *chorobliwy idealizm* przebija się u naszego gminu w niedbalstwie o jutro i o fałszywém pojęciu religijném, że ten Bóg, który ptaszki w powietrzu i lilie na polu żywi i o nas nie zapomni. Zbytecznie byłoby dowodzić, że człowiek to nie ptaszek, ani lilia, że inne ma potrzeby, którym myśl i pracę poświęcać winien. Ten sam chorobliwy idealizm przebija się niemniéj u wyższych warstw społeczeństwa naszego i manifestuje się w *lekceważeniu* bytu *materyalnego*, w usuwaniu się od pracy społecznéj, w pokładaniu nadziei w fantastycznych konstelacyach i w składaniu wszystkiego na łaskę Bożę i w wyczekiwaniu jakiegoś cudu. I tu byłoby zbytecznie dowodzić, że z niczego nic nie będzie... Jest więc *potrzebą*, aby nietylko głośno wypowiedziéć, że ten chorobliwy idealizm stoi w dyametralném przeciwieństwie do *realnego* kierunku ucywilizowanych społeczeństw i prowadzi do zguby, ale zarazem z porzuceniem tego zgubnego kierunku, *czynnie* wystąpić na tor trzeźwéj i skrzętnéj pracy około realnych podstaw życia społecznego, około inteligencyi, dobrobytu i moralności społecznéj. Musimy nastrój nasz duchowy i nasze gospodarstwo społeczne zastosować do wymagań wieku i musimy brać udział w pracy i w produkcyjności owego wielkiego mrowiska, aby z pełnemi rękoma stanąć do podziału przyszłego bytu społecznego."

Przyzna każdy, że słowa te zawierają więcéj aniżeli zwykłe przemówienie banalne; one zawierają program, jak na nasz poziom umysłowy tak śmiały, że ani wygłaszający go ani nikt po nim jeszcze się nie mógł odważyć na jego przeprowadzenie we wszelkich konsekwencyach. Nie kusiły się też o to Sejmiki i pozostały przy formalnéj części zadania, które z umiejętnością i spokojem pielęgnował właśnie Teodor Donimirski. Społeczeństwo też snać wolało tę opiekę, bo choć Ig. Łyskowski był ojcem sejmików, odtąd do końca życia ojcował im Donimirski, wszakże bez urazy zobopólnéj. Było to zaiste *par nobile civium*, którzy na jedném polu pracując, sobie nie zawadzali i też zawadzać nie pragnęli.

Ale Łyskowski czuł, że mu w Sejmikach takich, jakie się w praktyce wyrobiły, czegoś nie dostaje a może i zbyteczne zaawansowanie się ich w stronę materyalistyczną, spowodowało go do duchowéj reakcyi; dosyć że w r. 1869 spowodował założenie *Towarzystwa interesów moralnych*, które zamierzal rozciągnąć przedewszystkiém i na W. ks. Poznańskie. To się zgoła nie powiodło a w samych Prusach Zachodnich towarzystwo także nie doszło do rozkwitu przez założyciela upragnionego. Wydał on w r. 1869 w Poznaniu broszurę p. t. „Rzecz o towarzystwie moralnych interesów itd.“ która miała powołać wszystkich, aby „stanęli jak jeden mąż,“ do pracy na polu *społeczno-cywilizacyjnem*. „Założyliśmy“, powiada Łyskowski, „w Toruniu Bank kredytowy (Donimirski, Kalkstein, Łyskowski i Sp.) a następnie Sejmiki gospodarskie. Ubezpieczywszy się *materyalnie*, uczyńmy teraz trzeci rozumny i zdrowy krok, zgromadźmy nasz fundusz *moralny*, aby ubezpieczyć nasze *moralne* interesa społeczne.“ Jak zaś rozumiało to ubezpieczenie na drodze *jawnéj* i *legalnéj*, powiada w końcu swéj broszury temi słowy: „Podnośmy moralnie nas samych, nasze mieszczaństwo i nasz lud, budząc poczucie i krzewiąc oświatę; każda czytelnia; każde kółko gospodarskie; każda biblioteczka parafialna; każde towarzystwo wstrzemięźliwości; każda ochronka, każda opieka, dana szkółce czy to w udzielaniu materyałów szkolnych, czy to w uczeniu dziewcząt robót ręcznych; każde ulepszenie bytu włościan, nawet każde dobre gospodarstwo, dobry przemysł swojski, zgoła wszystko, co niejako społeczeństwo moralnie podnieść może, już jest w myśl towarzystwa itd.“

I w sprawach natury politycznej a mianowicie wyborczych, towarzystwo to miało być kierownikiem opinii i działania, a w tej mierze i tu przemilczéć nie możemy, co leżało na dnie duszy założyciela towarzystwa. W ślad za rozwojem towarzystwa, mówi on w broszurze swej, „rość będzie siła i godność społeczeństwa i wyleczymy się z chorobliwego idealizmu, szukającego zbawienia

albo w gorączkowych porywach i w teoryach burzących, albo w abstrakcyach i cudach, albo nareszcie w abstynencyi, w indeferentyzmie, w kwietyzmie i Bóg wie nie w czém, tylko nie w pracy i cywilizacyi społecznej".

Idei założyciela nie rozumiano lub źle ją rozumiano, dla tego towarzystwo to nie zdołało sobie zjednać popularności a założycielowi zgotowało gorzkie chwile. Była to jedyna sprawa, w której się pozwolił porwać falom polemiki dziennikarskiej i stanął w sprzeczności z organem polskim w Toruniu wychodzącym, z *Gazetą Toruńską*, do której założycieli należał. Mimo to i mimo, że szeroki zakrój, jaki Łyskowski towarzystwu nadać pragnął, okazał się niepraktycznym a zawodnym, mimo, że W. Ks. Poznańskie idei Łyskowskiego wcale nie pochwyciło, jednak towarzystwo to w Prusach Zachodnich wydało błogie owoce na polu oświaty ludu i czytelnictwa. Zatem i tu praca Łyskowskiego nie poszła na marne.

Pod względem politycznym, polityczno-społecznym, a parlamentarnym, była działalność Ignacego Łyskowskiego także dość rozległą, ale nigdy nie była przewodnią, a to po prostu dla tego, że zasadnicze zapatrywania jego polityczne nie były jak dopiero co widzieliśmy, popularnemi. Patrzał on i widział jaśniéj niż przeciętna i tradycyjna opinia, wkorzeniona w krew i kości społeczeństwa. Zatém nie mógł być co się zowie popularnym a nie znajdował téż w tém zadowolnienia, żeby sie o popularność dobijać. Jemu wystarczało być powagą a powagą był w pełnéj mierze tak u siebie w powiecie, jak w całéj ziemi, jak w całym kraju. Przytém choć jasno patrzący, ale jako nieodrodny Polak ulegał złudzeniom politycznym, które instynkt narodu odpędzał i które on sam ostatecznie porzucił.

Dwie rozróżniać należy epoki politycznéj działalności Ig. Łyskowskiego. Pierwsza była na parlamentarnéj arenie, jeśli tak powiedziéć można, *rewolucyi niemieckiéj*, druga późniejsza w *sejmie pruskim*. Jak występował na pierwszéj, sam nam już opowiedział krótkiemi słowy w życiorysie swym. Napojony niemiecką nauką i filozofią; związany stosunkami osobistemi, ulegając zresztą prądowi czasu, wierzył w ówczesny polityczny ruch niemiecki i w ukształtowanie świata przez ruch ten. Wiarę tę musiał naturalnie rychło porzucić, zatrzymał tylko jeszcze nadzieję, że w marnych epigonach dziecinnego ruchu tego tkwi żywioł, od którego się czegośkolwiek spodziewać można, choćby platonicznéj sprawiedliwości. I z tą nadzieją rozstać mu się przyszło, bez żalu a raczéj z pogardą dla niemieckiego liberalizmu. Dosadnio się to uwydatnia w słowach, które w r. 1871 rzucił liberalizmowi niemieckiemu z trybuny sejmu pruskiego: „naszych starszych

deputowanych, którzy chodzili do waszych ciał prawodawczych a prawie już ćwierć wieku patrzeli na Niemcy jako na dźwignię politycznego zbawienia, na pruską konstytucyą jako na twierdzę obywatelskiéj wolności, na tych dziś patrzą jeśli nie jako na zdrajców, to przynajmniéj jako na fałszywych proroków i palcami ich wytykają.“

Lecz to już było w drugiéj połowie jego działalności politycznéj. Czy może w papierach zmarłego znajdą się jeszcze jakowe zapiski, odnoszące się do jego dwukrotnéj bytności w Frankfurcie nad Menem, to przyszłość okaże. Mowa jego wypowiedziana wtedy w przedwstępnym parlamencie przeciwko wcielaniu bezwzględnemu Prus Zachodnich do Niemiec, zrobiła wrażenie na słuchaczach i na całym kraju; był to pierwszy protest parlamentarny z zaboru pruskiego, inaugurujący długą, wspaniałą, tragiczną walkę, niezakończoną i nieskończoną.

Jak nam wiadomo, jeździł Łyskowski dwa razy do Frankfurtu; obadwa razy nie jako członek niemieckich parlamentów, lecz jako wysłaniec komitetu narodowego Prus Zachodnich. Jedność niemiecka, w rewolucyjnym bigosie niemieckim się gotująca, miała pochłonąć polskie prowincye Prus. Komitety polskie zatém posłały swych reprezentantów do Frankfurtu, żeby Niemcom przypomnieć, kędy prowadzi granica między żywiołem teutońskim a słowiańskim. Wiadoma rzecz, jaką rolę marną rewolucya i demokracya niemiecka odegrała w frankfurckiéj komedyi. Jeszcze na t. zw. parlamencie przedwstępnym, zostającym pod wrażeniem świeżém wypadków w Paryżu, Wiedniu i Berlinie, dość platonicznie brano sprawy nie niemieckich narodowości w Niemczech, ale tylko co do W. ks. Poznańskiego. Przyznano łaskawie, że niektóre powiaty tego kraju, mają prawo nienależeć do Pangermanii, ale Prusy Wschodnie i Zachodnie przyłączono bezwzględnie do Niemiec; wszystkie powiaty prowincyi tych miały wybierać porówno z Niemcami posłów do ustawodawczego parlamentu niemieckiego. Łyskowski z zapałem i powagą przemawiał w tej sprawie, wykazując możebność przyjaźni i wspólnéj akcyi politycznéj Polaków z Niemcami, byle uszanowano rzeczywiste granice narodowościowe. Przyjęto to z okrzykami radości, ale powiatów Prus nie wyłączono z Rzeszy. W wychodzącéj w r. 1848 w Poznaniu pod redakcyą Hipolita Cegielskiego „Gazecie Polskiéj“ (N. 64) znajdujemy podpisany przez Ignacego Łyskowskiego raport, spisany i wydrukowany w języku niemieckim, który całą rzecz tak przedstawia.

„Polacy Prus Zachodnich do przygotowawczego parlamentu niemieckiego wysłali adres, w którym wypowiedziano zasady, że nie *polityka*, lecz *narodowość* powinna oznaczać granice narodów. Zastoso-

wując zasady te, przestrzegał adres parlament przygotowawczy przed bezwarunkowém i bezwyjątkowém wcieleniem Prus Zachodnich do Rzeszy. Przygotowawczy parlament przyjął oświadczenie to pełném „bravo“ a kwestyą rozgraniczenia między Polakami i Niemcami pozostawiono w zawieszeniu. (Referaty sejmowe co do Prus orzekają przeciwnie).

„Zatém Polacy Prus Zachodnich, gdzie ludność polska ma widoczną przewagę nad niemiecką, nie przystąpili do wyboru deputowanego na niemieckie zgromadzenie narodowe, uważając że referaty, jakoby wydział pięćdziesięciu prowincyę tę bezwzględnie już był do Rzeszy wcielił, zawierają zmyślone wiadomości. Nie podobna przypuszczać, żeby wydział pięćdziesięciu działać miał wbrew *postanowieniom* zgromadzenia przygotowawczego a zarazem sprawę tak ważną rozstrzygać chciał, nie odczekawszy, jaką wolę w téj mierze objawi niemieckie zgromadzenie narodowe. Zresztą na korzyść ludności niemieckiéj W. ks. Poznańskiego zastosowano zasadę *większości*, zatém takową zastosować należy i na korzyść ludności polskiéj w Prusach Zachodnich.“

„Polegając na takiém zapatrywaniu, wyborcy powiatów brodnickiego i lubawskiego, podali do komisarza wyborczego, p. radzcy ziemiańskiego v. Hindenburga następujące oświadczenie, ze względu na wybór deputowanego do niemieckiego zgromadzenia narodowego:“

„„Niżéj podpisani wyborcy powiatów brodnickiego i lubawskiego składają na ręce urzędu ziemiańskiego następujące oświadczenie:

„„Zważywszy, że w W. ks. Poznańskiém dużo powiatów ze względu na przeważającą większość ludności niemieckiéj wyłączono z *reorganizacyi* a wcielono takowe do Rzeszy, dopominamy się o takież same zastosowanie zasady do powiatów brodnickiego i lubawskiego, a zarazem oświadczamy, że podobnie jak niektóre inne powiaty Prus Zachodnich także i nasze z przeważającą ludnością polską, nie powinny być wcielonemi do związku niemieckiego.

„„Na téj zasadzie i w zgodzie z naszymi prawyborcami, nie możemy przystąpić do wyboru deputowanego na wysoki Sejm narodowy frankfurcki a w miejscu wyborów tylko po to się zgromadziliśmy, żeby powyższe oświadczenie doręczyć król. radcy ziemiańskiemu, jako urzędowi wyborczemu. Zarazem prosimy, żeby takowe wysokiemu ministerstwu stanu doręczyć raczył.—Nowemiasto, d. 10 maja 1848 r.““— (78 podpisów).

„Komisarz wyborczy, pan landrat v. Hindenburg oświadczył na to, że nie uważa się upoważnionym do przyjęcia tego oświadczenia.

Zatém polecono generalnemu dyrektorowi ziemstwa kredytowego, p. Czapskiemu z Bobrowa, żeby oświadczenie to przesłał ministeryum, celem dołączenia takowego do akt wyborczych i doręczenia niemieckiemu zgromadzeniu narodowemu. Podpisani pod oświadczeniem wyborcy reprezentowali czterdzieści tysięcy ludności polskiéj; mimo to drobna reszta wyborców wybrała deputowanego. W powiecie *chełmińskim* ludność polska także nie wzięła udziału w wyborze deputowanego do niemieckiego parlamentu.

Trzebicz, 15 maja. Z polecenia *Ignacy Łyskowski.*"

Nie mylimy się zapewne, przypuszczając, że oświadczenie to napisane było właśnie przez samegoż sygnataryusza i dlatego je przytoczyliśmy w całości, zarazem jako ważny dokument historyczny ludności polskiéj w Prusach Zachodnich.

Z treści dokumentu wynika, że tém więcéj komitet narodowy miał powód wyprawić wysłańca swego do Frankfurtu, żeby dopilnował rugów wyborczych i starał się wpłynąć na odnośne postanowienie parlamentu.

Pojechał tedy z Prus znów Ignacy Łyskowski a z ks. Poznańskiego d-r W. Niegolewski, d-r Libelt, Józef Chozłowski i Jan Wilhelm Cassius. Ci tedy wraz z polskimi reprezentantami z Galicyi (Ledóchowski Jan i d-r Trentowski) podali do zgromadzenia narodowego niemieckiego pod d. 23 maja 1848 r. znaną odezwę, zawierającą wszystkie ówczesne dezyderata. Łyskowski przywiózł z sobą i podał nader licznemi podpisami opatrzone petycye polskich okręgów z Prus, broniące ludność od wcielania do Rzeszy.

Nie chcemy się tu wdawać w szeroki rozbiór ówczesnéj sytuacyi politycznéj i w opisy przebiegu marnego żywota niemieckiego sejmu Rzeszy, w którym sprawa polska już nie tyle głośną odgrywała rolę, co w parlamencie przedwstępnym. Wiemy już od Łyskowskiego samego, że wrócił do domu z niczém, wrócił z niesmakiem i z zawodem. Niemiecki rewolucyonizm, niemiecka demokracya, liberalizm, wszystko to było dziecińśtwem, igraszką, a szczerość niemiecka była bańką mydlaną.

Ignacy Łyskowski z natury i usposobienia a zarazem z krytycznego zapatrywania się na wszelki bieg rzeczy, nie był skłonnym do polityki romantycznéj. Sam nam to już powiedział, że romantyka polityczna r. 1846 nie porwała go w wir wypadków. Ruch niemiecki uniósł go jednak, ponieważ ruch ten przybierał formy jakiegoś prawidłowego rozwoju, a z krwawego bruku przenosił się na arenę prawodawczą. Ale kiedy i tu doznał zawodu dla swych ideałów, a wypadki w kraju smutnie zakończone, poważnie sądzącemu

umysłowi nastręczały aż nadto powodu do wniknięcia w *rzeczywistość*, Łyskowski może był wówczas jednym z niewielu, który z niéj wyprowadził dla zapatrywań swych konsekwencye stanowcze.

Na zgliszczach roku 1848 powstała u nas *Liga* polska. Miała ona zreorganizować życie nasze społeczne, a staraniom o takowe dać pierwszeństwo przed aspiracyami politycznemi. Niestety i do téj pracy wzięto się raczéj z zapałem niż z rozwagą, obmierzającą zamiary wedle sił. Zapał wnet zgasł, a zamiast rzeczy powstała szumna forma papierowéj organizacyi. Już to leży w naszéj naturze, że nie chwytamy rzeczy z praktycznego końca. Tak było i z Ligą. Społecznego odrodzenia, wymagającego cichéj, drobiazgowéj pracy, zaczęto szukać w ostentacyjnych zjazdach i niebotycznych programach, które naturalnie obudziły czujność podejrzliwych władz. A jednak wraz z Łyskowskim musimy zrobić władzom tym ciężki zarzut, że podejrzliwość tę posunęły aż do prześladowania i ostateczmie zwinięcie Ligi. Gdyby jéj byli zostawili spokój i wczas, byłaby się niewątpliwie otrząsnęła z wszelkich niewłaściwości, niezgodnych z jéj duchem i byłaby społeczeństwo ochroniła od szukania po manowcach tego, co osiągnąć należało w danéj mierze na drodze naturalnego rozwoju.

Wiemy już, że Łyskowski stał się gorliwym stronnikiem i propagatorem Ligi w Prusach Zachodnich, a kierunkiem, jaki mu ona nadała, szedł odtąd bez przerwy i zboczenia do końca życia. Jeżeli Marcinkowski był „Ligą przed istnieniem Ligi“ (Gaz. Pol. r. 1848, N. 189), to Ignacy Łyskowski, rzecz można, był zawsze Ligą po jéj rozwiązaniu i kiedy dawno o niéj zapomniano.

W całym ruchu ligowym wielokrotnie się z nim spotykamy. Stowarzyszenie to zawiązano 25 czerwca 1848. Już 26-go września 1848 r. zgromadziło się 26 obywateli w Brodnicy celem zawiązania Ligi powiatu brodnickiego. Posiedzenie zagaił Ig. Łyskowski, odebrawszy polecenie od dyrekcyi centralnéj; określił w krótkiéj przemowie dawny i obecny stan rzeczy, zachęcał do wspólnego działania *na drodze prawnéj*, ku podźwignięciu *moralności*, *przemysłu* i *oświaty* swojskiéj. Do dyrekcyi powiatowéj wstąpili z nim Wybicki i Bulińskí. Dnia 25-go października tegoż roku dyrekcya ta wydała list otwarty Ligi powiatowéj do „Jego kapłańskiéj mości ks. kanonika Rychtera, deputata w Berlinie“, dziękując mu za opiekę nad młodzieżą gimnazyum chełmińskiego, za udział w Lidze i posłowanie w Berlinie. Łyskowski był uczniem Rychtera i zawdzięczał mu poczęści nawrócenie z chojnickiego burszostwa. Łyskowskiemu też niewątpliwie przypisać należy inicyatywę w téj owacyi szczeréj i uznania godnéj, ale dla urzędnika pruskiego zapewne niewygodnéj.

W grudniu obradowała Liga powiatowa nad przygotowaniami na wielki zjazd walny, mający się odbyć w styczniu w Kórniku. Odezwały się głosy, żądające, żeby dla ściślejszego związku, do głównéj dyrekcyi podać także kandydatów z Prus i wymieniono kilku „starszych“ obywateli, „do których mamy zaufanie“ (Sulerzyckiego, Narzymskiego i Wysockiego). Zapewne Łyskowski był jeszcze za młodym, a może též, jak to na innéin miejscu zobaczymy, działalność jego publicystyczna zrażała do niego część opinii. Mimo to nie kto inny, tylko on zawozi życzenie pruskiego obywatelstwa na walny zjazd, bo on jeden z Prus najlepiéj znanym był w Wielkopolsce i miał tam stosunki z parlamentu frankfurckiego. To téż Wielkopolanie przyjęli go z odznaczeniem. Występuje w Kórniku jako *sprawozdawca komisyi* ustawowéj. Przemówienia jego odznaczają się w sprawozdaniu kilkakrotnie. „Nie uganiajmy się za *frazesami* — woła on — starajmy się utrwalić byt Ligi, a pamiętajmy przedewszystkiém, że Liga tylko wtedy będzie *trwałą*, gdy będzie *legalną*.“ Daléj brał żywy udział w dyskusyi nad stosunkiem Polaków do Niemców i Żydów. Gorące przemówienie rodowitego Niemca, ale przychylnego Polakom, d-ra Metziga, obudziło w Łyskowskim frankfurckie wspomnienia, nadzieje i zawody. „Im *boleśniéj* nas — rzekł — dotychczasowe sympatye (ze strony Niemców) *zawiodły*, tém więcéj naszym jest obowiązkiem uznać szczere stanowisko takich ludzi jak dr. Metzig,“ — i postawił wniosek, żeby mowę tego zacnego obywatela podać do druku, co též jednomyślnie uchwalono. A o Żydach tak się wyraził: „Nie każdy Żyd jest złym człowiekiem, jak nie każdy Polak dobrym. Tak Żydów jak i Niemców mamy poczciwych,“ zatém wnosił, żeby z zasady nie wykluczać Niemców i Żydów z udziału w Lidze, a uchwała stanęła, że „dowodnie przychylnych“ dyrekcye poszczególne przyjmować mogą, „albowiem — wywodził daléj — tak nakazuje *zasada demokratyczna*, którą przyjęliśmy jako główne bractwa naszego prawo.“

Spotykamy znów późniéj Łyskowskiego d. 15 czerwca na zjeździe delegatów w Wierzenicy, odbytym w sprawie wyborów do sejmu. Snać przewidywał, że udział w rozpoczętém dziele Ligi nie będzie ani trwałym, ani ogólnym, bo gorącemi słowy zachęcał dyrekcyą główną, aby wpływała na „*warstwy wyższe*, iżby czynniejszy udział brały w obradach i czynnościach Ligi.“

Spotykamy go daléj na polu działań Ligi jako członka *rady prowincyonalnéj* zachodnio-pruskiéj w Chełmnie. Zachęca on tam do rozpowszechniania pism polskich: „Szkoły Narodowéj“, „Wielkopolanina“ i „Ziemianina.“ Wobec prześladowań, jakich wtedy już Liga doznawała, tak się odezwał do obecnego na zebraniu rady

(19 grudnia 1849) komisarza rządowego: „Byłeś pan świadkiem naszych czynności, widziałeś pan, że nie mamy żadnych *zamiarów rewolucyjnych*, jak nasi oszczercy o nas głoszą; że celem Ligi jest oświecać lud i przychodzić w pomoc cierpiącéj ludzkości. My się o to nie gniewamy, że zwierzchność przyséła swoich namiestników na nasze zgromadzenia, owszem po przekonaniu, że tylko do dobrego dążymy, życzylibyśmy sobie, aby nie tylko policya miejscowa, ale i ministerstwo pruske, tu przy naszym stoliku ligowym zasiadło, a przekonawszy się, jakie są nasze cele, przestałaby Ligę prześladować! To powiedz pan w urzędzie." — Późniéj jednak w sejmach często występował przeciwko bezprawnemu nadzorowi towarzystw ze strony policyi pruskiéj.

Jeżeli nas źródła nasze nie zawodzą, z rozwiązaniem Ligi ustała też na dłuższy czas polityczna działalność Ig. Łyskowskiego. Dopiero po 1866 występuje znów na arenie politycznéj, mianowicie jako poseł do różnych ciał parlamentarnych pruskich i niemieckich. Odtąd z małemi przerwami był członkiem *Koła Polskiego* sejmowego jako reprezentant bądź grudziądzkiego i brodnickiego, bądź lubawskiego powiatu. W końcu był koła sejmowego prezesem.

Zbyt szeroko urosłaby objętość niniejszego pisma, gdybyśmy z kolei przechodzić mieli wszystkie wystąpienia Ig. Łyskowskiego na mównicy parlamentarnéj. Prawie w każdéj sesyi odzywał się kilkakrotnie, głównie jednak w sprawach szkolnych i równouprawnienia językowego. Bywało, że przy obradach nad etatem wywodził uprawnione skargi ludności, którą reprezentował, to znów stawiał samodzielne wnioski, lub uzasadniał petycye. Wystąpienia swoje zwykł był popierać broszurami, w języku niemieckim pisanemi, które w sejmie między kolegów niemieckich rozdawał. Broszury te zawierają cały materyał prawny, sprawy szkół i językowéj dotyczący, i odznaczają się znakomitą formą w przedstawieniu rzeczy. Chojnice wydały teraz dopiero właściwe owoce.

Ludność polska Prus Zachodnich podawała do izby deputowanych i ministeryum liczne petycye o równouprawnienie językowe. Najważniejsze są z r. 1861 i 1868, pierwsza z 20000, druga z 30000 podpisów. Wszystko bezskutecznie. W r. 1872 jeszcze raz powtórzono szturm, a Ig. Łyskowski zebrał cały materyał praw i żądań w piśmie, które wydał pod tytułem: *Beitraege zur Beleuchtung der Gleichberechtigungsfrage in Westpreussen, zunaechst eine Denkschrift für die Mitglieder des Hauses der Abgeordneten von Ignaz von Łyskowski, Abgendneten für den Kreis Strasburg. Posen. 1872.* (Dwa wydania). Pisemko to zawiera naprzód brzmienie petycyi, a następnie historyczny rozwój prawnych i faktycznych stosunków w położeniu lu-

dności polskiéj w Prusach Zachodnich ze względu na szkołę, sądownictwo i administracyą. Daléj naszkicowany jest historyczny przebieg prawnego oporu, jaki ludność stawiała naciskowi, a w końcu w autentyczném brzmieniu wszystkie rozporządzenia, petycye, odpowiedzi, odnoszące się do tych spraw.

W roku 1875 agitowała się sprawa (dziś dokonana) podziału prowincyi pruskiéj na dwie odrębne prowincye: Prusy Zachodnie i Wschodnie, które wtedy jeszcze miały jednego wspólnego naczelnego prezesa, rezydującego w Królewcu. Głównym celem téj agitacyi było usunięcie polskiéj ludności z krain tych. Jedni spodziewali się dokonać dzieła przez podział, inni przez zachowanie dawnego stanu administracyjnego. Otóż wobec téj agitacyi odezwały się raz jeszcze w Ig. Łyskowskim dawne wspomnienia frankfurckie i przypuszczał, że polityczną publiczność niemiecką przekona słowem i pismem o daremności germanizatorskich zachcianek i dobrém prawie ludności polskiéj. Wydał tedy broszurę p. t. *Die Nationalitaetsfrage der polnischen Bevölkerung unter preussischer Herrschaft, von einem westpreusichen Polen. Posen 1875.* Przedstawiwszy znów raz jeszcze cały materyał historyczny, wywiódł wniosek, że „kwestya narodowościowa“ w Prusiech rozwiązaną być może tylko na podstawie wolności obywatelskiéj, z któréj naturalnym biegiem wyniknąć musi stan równouprawnienia. W r. 1848 nazywał czynnik ten demokracyą.

Że usiłowania Łyskowskiego pod tym względem były bezskutecznemi tak w r. 1848, jak w r. 1875, chyba dodawać nie potrzeba. Sądził i mylił się zawsze, że stoi przed kwestyą otwartą, w któréj należy dyskutować; ale dyskusyi téj nikt nie słuchał, bo z zasady słuchać nie chciał. Stronie przeciwnéj nie chodziło i nie chodzi o argumenta i badanie sprawy, lecz o wykonanie wyroku zapadłego.

To téż powiedziéć można, że praca Łyskowskiego publicystyczna niemiecka, była z wszystkich prac jego najniewdzięczniejszą. Daremna rzecz chcieć przekonywać tych, którzy nie chcą być przekonanymi. Bądź-co-bądź, on pełnił swój obowiązek.

Jakoby na pociechę zwracał się więc w politycznych publikacyach swych i do wdzięczniejszéj ludności własnéj, do swych wyborców. W roku 1873 wydał broszurę, zawierającą: „Sprawozdanie posła powiatu brodnickiego, Ign. Łyskowskiego, o petycyi ludności polskiéj Prus Zachodnich, względem równouprawnienia języka polskiego z niemieckim. Poznań, 1873.“ Podobnież w r. 1876 wyszło „Sprawozdanie Ignacego Łyskowskiego, posła powiatu lubawskiego, zdane na wiecu relacyjnym w Nowém mieście d. 13 sierpnia 1876 r.“

Wracając raz jeszcze do iluzyi Łyskowskiego, jakiemi się na polu polityczném łudził, przypuszczając, że Niemców przekona i że z niemczyzny wykwitnie odrodzenie ducha ludzkości i sprawiedliwości, zaznaczyć musimy, że pod tym względem rozczarowanie w duszy jego dokonało się stanowczo po r. 1876, kiedy uchwalono prawo językowe, rugujące język polski ze wszystkich urzędów. Wypowiedział to z goryczą dosadnie w kadencyi roku 1881 na 1882. „Dwadzieścia pięć lat—rzekł wtedy—frakcya polska wiernie i szczerze popierała liberalizm, a wyście panowie liberałowie uchwalili prawo językowe. Tak, wy panowie liberałowie dzierżyliście wtedy rządy, a tylko jedno centrum opierało się krzywdzie.“ Brzmi to inaczéj, jak kiedy jeszcze r. 1870 w broszurze swéj p. t. „Panslavismus im Gegensatz zum Allslaventhum“ z przyjemnością powtarzał słowa Ryszarda Boeckha: „die polnische Nationalitaet bedarf des *deutschen* Schutzes.“

Odtąd zamilkły u niego wszelkie sympatye dla niemieckiego „ducha“, a jeśli popierał centrum w walce kulturowéj, to jedynie z dobrze zrozumianego interesu kościelnego, nie narodowego.

Może też to było wynikiem tych duchowych zawodów, że Łyskowski w życiu parlamentarném chętnie się odwracał od spraw politycznych a szukał zadowolnienia w zajmowaniu się sprawami ekonomicznemi.

A na tém polu zyskał też rzeczywiście niejaką wziętość nie tyle u swoich, co właśnie u Niemców. Przyczyniła się mianowicie do tego szczęśliwie przez niego przeprowadzona sprawa obniżenia taryfy przewozowéj na węgle szląskie do Prus Zachodnich. Do roku 1878 węgiel angielski był w Prusach Zachodnich tańszym od węgla szląskiego, gdyż koleje żelazne pobierały za wysokie opłaty od przewozu. W interesie kultury krajowéj, w interesie przemysłu, a ostatecznie i kopalni szląskich, po dwakroć występował Ig. Łyskowski w r. 1877 i 1878 w sejmie za obniżeniem taryfy przewozowéj i mimo opozycyi miast portowych, przeprowadził obniżenie ku wielkiéj radości wszystkich stron interesowanych. Działalność jego w tym kierunku przedstawia broszura p. t. *Ueber den Transport der schlesischen Kohle nach den oestlichen Provinzen Preussens, von Ignaz von Łyskowski, Rittergutsbesitzer auf Mileszewy, Abgeordneten für den Kreis Loebau. Strasburg West. Pr. 1878.*

Powodzeniem w sprawie téj zachęcony tegoż r. 1878 (d. 4-go grudnia) wystąpił w izbie w ogólnéj sprawie zagrożonego rolnictwa. Charakterystycznym był ustęp jego mowy. „Przed *nową* rzeczą—mówił — stoicie panowie, że poseł polski przemawiać będzie o zasadniczo-gospodarskich interesach.“ Więc charakteryzował stan upada-

jącego rolnictwa. Upada ono w Niemczech, wedle niego, przez niedobór z produkcyi, przeciążenie długami, zły system podatkowy i niesprawiedliwe taryfy przewozowe. Banki hipoteczne rolnictwo wyzyskują a akcyonaryuszom ztąd płacą po 9—18% dywidendy. Radził zdecentralizować ziemstwa kredytowe przez zakładanie filii, zmienić system podatku gruntowego i budynkowego, oraz znieść niesprawiedliwe taryfy dyferencyalne na kolejach żelaznych. Z zajęciem słuchano gruntownego i światłego wywodu.

Pomijamy wszystkie drobniejsze wystąpienia bądź zasadnicze na polu politycznèm, bądź przygodne w sprawach administracyi. Tak żywym był ten umysł organiczny, że najdrobniejszy szczegół dawał mu pochop do pełnienia obowiązku poselskiego w najrozliczniejszych kierunkach. Tu się łamał z niesprawiedliwym systemem wyborczym, podczas rugów sejmowych wykazywał nadużycia, działał na rzecz budowy szkół, gimnazyów, kolei żelaznych a nawet nie zaniedbywał kontrolować porządku w ruchu kolei, wytykając ministrowi błędy i niedomagania. Należał tedy niewątpliwie do naszych najwszechstronniejszych parlamentaryuszów.

Pozostaje nam jeszcze słów kilka powiedziéć o literackiéj działalności Ignacego Łyskowskiego. W powyższym szkicu już niejednokrotnie odnosiliśmy się do jego publikacyi politycznych, polityczno-społecznych i rolniczych. Czego się tam nie dotknęło, teraz zestawić należy.

Słyszymy od żyjących jeszcze kolegów szkolnych Ignacego Łyskowskiego, że z Chojnic do Chełmna przybył nie tylko jako „bursz" ale i jako poeta *niemiecki*. Z zamiłowaniem uprawiał tę niwę; czy zaś z powodzeniem, osądzić niepodobna, bo owoce téj muzy młodocianéj nas nie doszły.

Otrząsnąwszy się z niemczyzny, przeniósł zamiłowania literackie na pole literatury rodzinnéj, z którą, jak nam sam opowiedział w swém „*Curriculum vitae*", za pomocą słownika poznawać się musiał. Wpływ dodatni pod tym względem wywarło na niego wtedy kilku młodzieńców, którzy z ks. Poznańskiego przybyli do gimnazyum chełmińskiego. Byli to Bogusław Łubieński, późniejszy dziedzic Kiączyna w Szamotulskiém i poseł na sejmy, daléj znany i sławny późniéj lekarz dr. Antoniewicz, oraz Fr. Mroziński. Znaleźli oni, oraz i ich nowi prozelici oparcie życzliwe w miejscowym wikaryuszu ks. Tułodzieckim, który się potém odznaczył w W. ks. Poznańskiém na polu ludowém. A przemilczéć też nie należy, że jeśli nie wprost, to za pośrednictwem trzecich osób zaufanych, znana póź-

niéj i wielce zasłużona obywatelka, p. Sewerynowa Mielżyńska, z domu Wilkxycka, mieszkająca u rodziców w Wabczu, dostarczała na użytek młodzieży historycznych i literackich dzieł polskich. Téj to opiece porówno z innymi zawdzięczał Ig. Łyskowski swe narodowe odrodzenie. A całą duszą przylgnął do przeszłości i swojskiego piękna w dziełach literatury. Kiedy wyszedł ze szkół, w owéj epoce demokratycznéj z szczególném zamiłowaniem pokochał nie tylko polityczną i społeczną sprawę ludu, lecz i ducha jego moralnego badać i poznawać pragnął z poezyi ludowéj, będącéj wówczas na porządku dziennym literackich zajęć. Jako redaktor i współredaktor „Nadwiślanina“ umieszczał w nim śpiewki gminne i na sposób ludowy przez siebie układane a zarazem wzywał publicznie miłośników ludu do zbierania ludowych przysłów i pieśni.

Mamy z czasu tego kilka publikacyi jego, dość rzadkich i zapomnianych. Nie odznaczają się one ani poprawnym językiem ani wyższym polotem uczuć lub wyobraźni, ale dla szczeréj i najlepszéj woli, jaka je cechuje, warto aby o nich wspomniéć. Wszak autor ich, ów „Szymon z pod ciemnéj gwiazdy,“ jak się sam nazywał już za czasów uniwersyteckich, mieszkał, myślał i działał na niwie duchowo zupełnie nie uprawnéj. Podziwiać więc chyba można odwagę jego, że w ogóle brał się do pióra. Pełną skromności jest téż przedmowa jego do zbiorku poezyi, który wydał w r. 1847 w Brodnicy. Kończy ją zaś temi słowy: „Brodziński, otwierając wrota do nowéj epoki poezyi naszéj, nazwał się skromnym dzwonkiem wiejskiego kościołka, mającym tę jedyną zasługę, iż najwcześniéj, z pierwszym świtem, przebudzał literaturę do porannego nabożeństwa, a który zamilkł, gdy olbrzymie dzwony stolicy odezwały się potężnym głosem, rozlegającéj się po całym kraju poezyi. Miło by mi było, gdybym to, co Brodziński powiedział pod względem całéj rozległéj ojczyzny. mógł powiedziéć pod względem zakątnéj okolicy naszéj; chętnie chciałbym się zwać skromnym dzwonkiem, bylebym olbrzymie przebudził dzwony.“

Dzwony te po dziś dzień śpią w zaklęciu losów.

Ale Ig. Łyskowski spełnił i tu swój obowiązek. Jak na każdéj innéj niwie, tak i na téj pragnął pobudzać uśpionego ducha.

Gdybym posiadał gromy błyskawicy,
Gdybym pioruny miał w mojéj prawicy,
W serca bym godził, w dostatku niedbałe,
Od dumy zastygłe—w przesądzie spleśniałe.

Tak się odzywa w pieśni swéj.

Pieśni jego snują się w sferze pojęć i uczuć ziemiańskich i ludowych.

Z sercem bez kału, na skrzydłach natchnienia
Przejdziem tajniki życia sielskiego,
Zbierzem radości, zliczym cierpienia,
Rozkosze i biedy ziemiaństwa naszego.

Więc daléj snuje wspomnienia młodości, napawa się pięknościami sielskiego przyrodzenia i urokiem dziewcząt:

Śpiewajcie miłe ptaszęta,
Przyznajcie drzewa, krzewiny,
Że piękne są w świecie dziewczęta,
Lecz niema nad Zosię dziewczyny.

Świeży umysł autora lubuje się w zieleni Świąt Zielonych, w opisie odświętnych ubiorów ludu, sukmanie wyszywanéj u chłopa, tołubku nowym i czapce suto złotem litéj u kobiet, u parobków opisuje kapelusze szamerowane i piórami obsadzane, u dziewcząt barwne wstążki, kwiaty śliczne, kaftan sznurkiem obszywany, jak na nim świecą guziki, a lśni fartuch biały haftowany. Opisawszy jak pobożni idą do kościoła, jak

„W cieniu lipy się witają,
Tabakierki śląc do koła,
Póki dzwonek nie zawoła,“

oraz całe opisawszy nabożeństwo, tak kończy z pokorą myślącego chrześcianina:

Kiedyś przeszedł wśród badania
Wszystkie szczeble pojęć, zdania.
I zwątpienia masz katusze,—
Nie gardź tutaj zwisłym progiem,
Może zgodzisz się tu z Bogiem
I pocieszysz trwożną duszę.

Wcale też udatną jest „pieśń chłopka“, naśladująca znaną piosenkę: „Chłopek ci ja chłopek.“ O ile nam wiadomo, ze wszystkich piosenek jego, jedna tylko stała się w szerszych kołach popularną mianowicie: „Polska dziewica“ z owym refrenem.

Nic tu hiszpanki,
Płoche kochanki!
W świecie jedyna
Polska dziewczyna!

O piosence téj powiada autor w przypisku: „Piosnka o jakiejś tam Hiszpance, tancerce w Warszawie, weszła w modę w całéj Polsce. Ponętna jéj melodya zyskuje dla niéj wstęp prawie w każdy dom. Umyśliłem do téj melodyi godniejszą zastosować piosnkę.“

W r. 1848 wydał jeszcze Łyskowski dwa pamflety p. t. „Scena w piekle,“ ale nie udało nam się spotkać z tą publikacyą, dla tego o niéj bliższych szczegółów podać nie możemy.

Zbiory poezyi wyszły jeszcze dwa: Poezye Ziemianina z ziemi michałowskiéj i w r. 1859 „Pieśni gminne i przysłowia ludu.“ Jest to cenny zbiorek z resztek pieśni gminnéj, zamierającéj na ustach ludu, germanizacyą srogo nawiedzonego. Może ciekawą będzie rzeczą poznać stanowisko zbieracza, z którego pracę przedsiębrał. Powiada on: „Zabierając się do zbioru pieśni gminnych Prus Zachodnich, miałem zamiar *wskrzesić* pieśni gminne i zwrócić je ludowi. Gdzieindziéj także zbierano pieśni gminne, ale z innego wychodząc stanowiska. Zbierano je, chcąc niemi zabawić towarzystwo wyższe. Gdzie pieśni gminne brzmią pełnemi piersiami ludu, tam można ich zbiorem, zabawkę mieć na celu; gdzie zaś pieśni gminne odzywają się już tylko zrywanym konania głosem, tam powinien być inny cel. Mając to na oku, nie podałem tych pieśni gminnych w takiém ubóstwie, w jakiém je znalazłem, ale zebrawszy rozerwane i po różnych okolicach rozrzucone części jednéj piosnki, zlałem je w jedną całość; czasem niebrzmienne wyrzuciłem słówko, czasem nieobyczajną wypuściłem zwrotkę, czasem usunąłem słówko a nawet zwrotkę, aby związać wątek rozerwanych i rozrzuconych części, należących oczywiście do jednéj pieśni. To zbrodnia, krzyknie krytyka (Przegląd Poznański), biorąc moje pieśni pod zwyczajne prawidła: Ja na moje usprawiedliwienie powiadam: nie pisałem dla ukształconych, czyniąc im zabawkę zbiorem pieśni gminnych, ale pisałem dla ludu, *zwracając ludowi zgubioną własność*. Lud pozna swoję piosnkę, po jednéj albo po kilku zwrotkach, które się tu utrzymały i przyswoi sobie urywki tej saméj pieśni, które się gdzie indziéj utrzymały, a poznawszy swoję piosnkę, uzna ją w całkości za swoję, pokocha i powtórzy; w ślad zaś za pieśniami wracać będzie dawna uczciwość i cześć bogów ojczystych.“

Oczywiście, że takie stanowisko jest niebezpieczném dla zbieracza i badacza ducha ludowego z pieśni gminnéj, ale „w potrzebie“ jest uzasadnioném względami praktycznemi, które u Łyskowskiego zawsze miały pierwszeństwo.

Na dwie jeszcze publikacye musimy teraz zwrócić uwagę czytelnika.

W roku 1848 wyszła w Brodnicy broszurka Ignacego Łyskowskiego p. t. „Słowa Prawdy.“ Tytuł taki był wówczas modnym. W literackich pismach z owego czasu spotykamy się z nim wielokrotnie. „Słowa prawdy“ Łyskowskiego noszą wyraziste piętno swego czasu. Jest tam cały katechizm demokratyczny roku 1848, oczywiście w najuczciwszéj myśli wygłaszany. Pierwsza część prozą traktuje o prawach i swobodach ludu w przeciwieństwie do ślachty, druga wierszowana, pełna wspomnień z wypadków galicyjskich z r.

1846. Broszura ta najniesłuszniéj ściągnęła na szczerego autora zarzut „czerwoności“, który dużo i długo mu przeszkadzał w życiu publiczném.

Nareszcie wspomniéć jeszcze należy wydaną w r. 1849 w Chełmnie i „Książeczkę dla ludu Polskiego, zawierającą w sobie różne rzeczy dla nauki i zabawy.“ Jest to kompilacya różnych historycznych opowiadań i poezyi wyborowych poetów, przeplatanych własnemi utworami autora, między któremi na uwagę zasługuje „Pieśń o ojcach frankfurckich,“ w któréj autor płaci Niemcom wzgardą za to, że „zaprzedali wolność,“ i „z miana prawości naród swój wyzuli.“ Krytyka poznańska wtedy przyganiała ostro téj książeczce, na stosunki zachodnio pruskie owego czasu bardzo użytecznéj.

Że człowiek tak rozległego horyzontu, jako był Łyskowski, czuł potrzebę wywnętrzania się w prasie, jest rzeczą naturalną. Uznawał on wielkie znaczenie rozumnéj prasy i od początku działalności swéj marzył o tém, żeby prasę taką stworzyć w Prusach. Przykłada tedy rękę czynną do założenia i prowadzenia „Nadwiślanina“ w Chełmnie, popierał „Przyjaciela Ludu,“ zakładał wspólnie z innymi „Gazetę Toruńską“ a prawie we wszystkich pismach polskich znajdujemy liczne jego artykuły i komunikaty, najczęściéj podpisane pełném jego nazwiskiem, co za wielką cnotę publicystyczną uważać należy, zwłaszcza u nas, gdzie bezimienność publikacyi konieczna niestety lub téż obyczajowa, nieobliczone za sobą pociąga niekorzyści dla ogółu i dla jednostek.

Prowadził też Ignacy Łyskowski bardzo obszerną korespondencyą z poważnemi osobistościami wszystkich części kraju. Gdyby się udało komu zebrać choćby część téj korespondencyi, znalazłaby się w niéj niewątpliwie wielka suma myśli i pomysłów godnych, aby je od zagłady zachować. Wspomnimy tu tylko, że np. z Wincentym Polem umawiał się listownie o krzywdę jaką poeta Prusom Zachodnim wyrządził, że o nich nie wspomniał w „Pieśni o Ziemi Naszéj.“

A nie tylko literackie i piśmiennicze sprawy i zajęcia interesowały Łyskowskiego. Przy kierunku swoim ekonomiczno-społecznym zachował żywy zmysł dla wszystkiego co piękne i nadobne. Lubił muzykę i śpiew, a ściany gościnnego domu w Mileszewach ozdobione były obrazami pędzla pierwszorzędnych artystów, na których zakupno obracał z zamiłowaniem oszczędności własne i oszczędności dzieci.

Otóż wszystko, co na razie, na zaszczytne dla mnie wezwanie wasze zebrać zdołałem dla charakterystyki męża niepośledniego, którego ubytek tak głęboko czujemy. Przedstawiliśmy jego dzieła i jego zapatrywania ile możności własnemi jego słowy, żeby nas nie posądzono o naciąganie. Niech łaskawy czytelnik z materyału, tu nagromadzonego, sam sobie wyciągnie ostateczne rezultaty sądu. My przekonani jesteśmy, że jeśli nie wszystko wszystkim podobać się będzie, co się z życia śp. Ignacego Łyskowskiego wedle autentycznych źródeł przywiodło, wszyscy przyznać będą musieli: był to mąż prawy, gorącego serca a zdrowego i wielkiego rozumu.

Dr. W. Łebiński z Poznania.





LISTY CZESKIE.

XIV.

Zależne stanowisko narodów w polityce europejskiéj — Stosunki dwóch narodowości w królestwie Czeskiém. — Projekt ustawy językowéj dla Austryi. — Walka o autentyczność poezyi staroczeskich. — Sprawy teatralne. Wyspa Zofii. — Pomnik Palackiego.

W ostatnim moim liście zastrzegłem, że będę zmuszony mówić o wielkiéj polityce państw europejskich, od jéj bowiem powodzeń albo niepowodzeń zależy niewątpliwie rozwój lub zastój naszego życia politycznego, słowem cała przyszłość narodu czeskiego. A rzeczy tak się mają nie dla tego, że jesteśmy małym narodem, nie mającym zgoła widoków stać się kiedyś państwem samoistném, — bo wielka polityka europejska miała już sposobność wywrzéć swój wpływ stanowczy, jeżeli nie zbawienny, i na losy większych narodów. Pod tym względem zdumiewający przykład przedstawia najnowsza historya Francyi, a służy jako interesujący argument na poparcie znanych słów kanclerza szwedzkiego Oxenstjerna: *Quam pusilla sapientia regitur mundus!* Ten przykład, który pozwalam sobie tu przytoczyć zanim przejdę do rozpatrzenia naszych stosunków, wykazuje nam bardzo wyraźnie, że nawet wielkie narody nie są panami swych losów, lecz losami temi kierują pracujące w ukryciu potęgi, które, jeśli do źródła ich dotrzemy, przedstawią się w końcu jako wyniki uchwał i postanowień wielkiéj polityki europejskiéj.

Mam tu na myśli wielką rewolucyą francuską i jéj sromotne niepowodzenie.

W 1789 r. powstaje cały lud francuski z inteligentną szlachtą na czele pod hasłem „odrodzenia politycznego.“ Wszystko ożywione jest idealném dążeniem usunięcia nadużyć przeszłości i utorowania narodowi francuskiemu nowego, lepszego jutra; początki ruchu politycznego usprawiedliwiają najśmielsze nadzieje, bo król Ludwik XVI jest człowiekiem honoru, gotowym do wszelkich ofiar i owładniętym

myślą, że dobro i szczęście narodu francuskiego powinno być najwyższym celem jego życia. Po tych początkach, pełnych nadziei, następuje dziewięć lat walk i szamotań się politycznych i społecznych, aż w końcu naród jęczący pod brzemieniem ruiny materyalnéj i finansowéj, widzi swoje zbawienie w tém, że szczęśliwy kapral korsykański przez despotyzm wojskowy przywraca oddawna nieistniejący a upragniony spokój i porządek w państwie. Więc rozpoczyna się ruch polityczny idealnemi westchnieniami do wolności, jako do jedynego celu, a kończy prozaicznem wytrzeźwieniem, właściwie zaś politycznemi po upojeniu mdłościami i despotyzmem żołnierskim. Wolno więc z niezaprzeczoném prawem mówić o zupełném i sromotném nieudaniu się wielkiéj rewolucyi francuskiéj, bo nie ma wątpliwości, że do tego, co Francuzi osiągnęli w 1799 r. po 10-letnich wysiłkach, nie myśleli oczywiście dążyć w 1789 r.

A na kimże ciąży wina tego haniebnego niepowodzenia? Bynajmniéj nie na narodzie francuskim, lecz na wielkiéj polityce europejskiéj, co poniżéj postaram się wykazać.

W miesiącu marcu 1789 r. kiedy już zwołano zgromadzenie stanów, a nawet po części członków do takowego wybrano, gdy zatém fale politycznego ruchu we Francyi dość już wysoko podnosić się zaczęły, udało się, dzięki niezmordowanym usiłowaniom dyplomacyi austryackiéj, a raczéj posłowi króla węgierskiego i czeskiego przy dworze francuskim, hr. Mercy-Argenteau doprowadzić do skutku potrójne przymierze między Francyą, Rosyą, a królem węgierskim i czeskim, które miało sparaliżować ambitne plany zaborcze Prus. Utrzymanie Polski miało być jednym z artykułów zamierzonego traktatu. Pod datą 18 marca pisze hr. Mercy-Argenteau następującą cyfrowaną depeszę do księcia Kaunitza w Wiedniu:

„Zdaje mi się, że p. Simolin (poseł rosyjski) zadowolony jest ze swojéj wczorajszéj konferencyi i z tego, co na niéj mówił hr. Montmorin (minister spraw zagranicznych na dworze wersalskim). Hrabia odczytał mu swoję depeszę przeznaczoną do Petersburga, jak niemniéj *gotowy projekt przymierza z Rosyą* i uzyskał jego aprobatę. *Jedno tylko wyprosiła sobie Francya, aby ze względu na obecne tutejsze położenie, podpisanie traktatu mogło być odroczone, aż się czynności tutejszego sejmu* (*t. j. Zgromadzenia Stanów*) *rozwiną.*“

„*Kuryer z odpowiedniemi instrukcyami ma być dziś do Petersburga wysłany.* Krótkość czasu i ważność przedmiotu nie pozwalają mi wchodzić w bliższe szczegóły i sądzę, że tembardziéj mogę tego zaniechać, iż niewątpliwie margrabia de Noailles (poseł francuski w Wiedniu) będzie miał zaleconém zdać o tém waszéj książęcéj mości obszerniejszą sprawę.“

Powyższa depesza kończy się następującą zwykłem abecadłem udzieloną wiadomością, której ważność wystawię niebawem we właściwém świetle.

„Ks. Henryk pruski, jak uprzednio zamierzał, udał się stąd w ubiegły poniedziałek (a zatém 9 marca) do Raincy, majątku księcia orleańskiego, skąd po krótkim pobycie wyruszy w dalszą podróż do Berlina“ (1).

Ks. Henryk pruski, z powierzchowności niepozorny, prawie odrażający, ale bardzo bystry brat Fryderyka II-go, był w sprawach wielkiéj polityki niezmiennie wpływową osobistością na dworze pruskim. W rozmowie z posłem francuskim w Rosyi, hr. Ségurem przejeżdżającym w 1784 r. z Berlina do Petersburga, chełpił się, że jest sprawcą pierwszego podziału Polski (2).

W marcu 1789 r. był tedy już gotów traktat przymierza między Francyą i Rosyą; ostrze tego sojuszu, zawartego przez króla węgierskiego i czeskiego głównie w jego interesie własnym, zwracało się przeciwko Prusom sprzymierzonym podówczas z Anglią. Według życzenia Francyi, traktat miał być dopiero wtedy podpisany, kiedy sprawy tego kraju zostaną w odpowiedni sposób uporządkowane. Ludwik XVI nie chciał względem żadnego mocarstwa europejskiego przyjmować zobowiązania, które możliwie a nawet bardzo prawdopodobnie prowadziło do wojny, dopóki by jego państwo nie uregulowało przedewszystkiém swoich finansów i nie wybrnęło szczęśliwie z rozpoczętego widocznie przesilenia politycznego.

---

(1) C. k. tajne archiwum państwa.

(2) Hrabia Ségur w rozmowie z księciem przypisywał podział Polski cesarzowéj Katarzynie, łącznie z różnemi innemi wypadkami politycznemi, które za jéj dzieło uważał. „*Ah! pour le partage de la Pologne, repliqua le prince, l'impératrice n'en a pas l'honneur, car je puis dire qu'il est mon ouvrage.*“ I książe opowiadał hrabiemu jak się to stało, jak jego brat nie chciał się właściwie zgodzić na ten plan, jak potém on, książę Henryk, nakłonił ku temu najprzód ces. Katarzynę, następnie swego brata. Cesarz (t. j. król węgierski i czeski) musiał na to przystać, bo Francya nie mogła zdecydować się na opór. „*Ainsi*—konkluduje książę—*sans guerroyer, sans perdre de sang ni d'argent, grâce à moi, la Prusse s'agrandit et la Pologne fut partagée.*“ Nader interesujące są słowa, które ks. Henryk wydobył z hr. Ségura, gdy ten nie dawał się nakłonić do pochwalenia politycznéj działalności księcia. Zmuszony do wyrażenia zdania o tém, co usłyszał, hr. Ségur odrzekł: „*Eh bien, Monseigneur, vous voulez absolument savoir ce que je pense? Le voici: la Pologne était indépendante, inoffensive; vous n'aviez aucun grief contre elle; son seul tort a été sa faiblesse: ce demembrement est un grand et premier acte d'injustice dont les suites me semblent incalculables. Que ne doit-on pas craindre pour l'Europe et pour le bonheur de l'hummanité si desormais les souverains, qui la gouvernent, remplacent le droit des gens par le droit de convenance*“ (Mem. du comte de Ségur. I, 297—299). Tak przemawiała szlachta francuska w 1784 r.

W czyimże interesie leżało, żeby to przesilenie nie zakończyło się szczęśliwie, żeby zatém Francya nie była zdolną do zawarcia przymierza? Oczywiście, w interesie Prus i Anglii. Cóż więc miał do czynienia w Raincy u księcia orleańskiego, wyprobowany dyplomata i agent polityczny, książę Henryk? Naturalnie nic innego tylko przygotować go do téj roli, którą książę orleański odegrał w dniach 5 i 6 października 1789 r. Te dni 5 i 6 października, kiedy motłoch paryski zawlókł Ludwika XVI z Wersalu do Paryża, zepsuły właściwie bieg rewolucyi francuskiéj. Pruscy i angielscy płatni agitatorowie wytworzyli ten cały ruch fatalny między tłumami paryskiemi za pieniądze pruskie i angielskie i pozostawali na żołdzie obu rządów w celu podtrzymania we Francyi stanu wzburzenia i przeszkodzenia zawarcia rosyjsko-francuskiego przymierza. Tym sposobem wielka polityka państwowa zgubiła rewolucyą francuską, dążąc krętemi ścieżkami do swoich celów, a ktoby jeszcze chciał o tém wątpić, niech przyjrzy się bliżéj wyższéj polityce, największego z nowoczesnych statystów, ks. Bismarcka. Czyż głównym celem jego tak zwanéj wielkiéj polityki względem Francyi nie jest to samo, do czego zmierzał dwór pruski w 1789 r. — mianowicie uczynienie jéj niezdolną do zawarcia przymierza? I czy środki, używane dziś do osiągnięcia tego celu, nie przypominają tych, jakich chwytały się Prusy w 1789 r.? Któżby mógł wątpić, że dziś jeszcze we wszystkich rewolucyjnych awanturach, w których chodzi o wytworzenie rządowi francuskiemu wewnętrznych kłopotów i o wplątanie skandalu całéj Francyi wobec Europy, pruskie pieniądze ważną odgrywają rolę?

Przytoczyłem ten jeden przykład, ażeby mieć możność jeszcze raz powtórzyć, że i wielkie narody nie zawsze mają we własnych ręku ster swojéj historyi, lecz zależne bywają pod tym względem od rzeczy i okoliczności, które wytwarza tak zwana wyższa polityka. A teraz wykażę treściwie, jaki wpływ wywiera praktycznie wielka polityka na losy naszego narodu i czego prawdopodobnie od niéj spodziewać się możemy.

Wyższa polityka europejska jest z natury swéj polityką państwową, czyli, mówiąc ściśléj, polityką dynastyczną; żywioł narodowy bywa przez nią przyzywany do pomocy, o ile jéj z tém dogodniéj. Charakterystyczną cechą wielkich mocarstw europejskich, wychodzącą również na jaw w wielkich miastach europejskich, jest żądza rozszerzania się. Wysoki cel uświęca niskie środki — oto panująca przytém ogólna zasada, a jak się to wszystko kiedyś skończy, nikt tego nie bierze na uwagę. Podstawy ogólnéj moralności ludzkiéj, to jest zasady i prawa, które duch ludzki w postępowym swoim rozwoju postawił na straży czynów człowieka, żądając aby były ro-

zumne i sprawiedliwe i aby tym sposobem odpowiadały dobru ogólnemu, nie mają żadnego zastosowania w polityce wyższéj. Dla niéj inne istnieją reguły. Jedną z nich jest w ostatnich czasach zasada, że tylko wielkie państwa mają rzeczywiste prawo do egzystencyi; druga, którą uważać można za pewne ustępstwo dążnościom narodowym nowszych czasów, głosi nowy dogmat państw rasowych.

My, Czesi, tworzymy niezbyt liczny, pięciomilionowy naród, zamieszkujący w środku Europy niezupełnie zamknięte terytoryum językowe. Trzy wielkie mocarstwa: Austro-Węgry, Niemcy i Rosya, znajdują się nas tak blisko, że ich wielka polityka musi miéć rozstrzygający wpływ na nasze losy. Należymy do Austryi, chcemy do niéj należyć i szukamy w związku z tém państwem zabezpieczenia przyszłości naszéj egzystencyi narodowéj. Możnaby mniemać, że kwestya istnienia narodowego jest już przez to załatwiona; takby było w istocie, gdybyśmy za sąsiadów nie mieli Niemiec i Rosyi.

Niemcy, albo raczéj cesarstwo niemieckie nie jest właściwie państwem czysto narodowém i dopiero dąży do tego, żeby niém zostać przez germanizacyą Francuzów, Duńczyków i Słowian w zajmowanych przez nich prowincyach pogranicznych. Cesarstwo niemieckie ma się stać, według planu swego założyciela potężném, o ile się da najpotężniejszém państwem w Europie. Taka jest zasadnicza idea wielkiéj polityki niemieckiéj. Czechy, ze względu na swoje położenie geograficzne, byłyby pożądaną warownią graniczną dla tego najpotężniejszego państwa, a gdyby te życzenia niemieckie mogły się spełnić, kwestya przyszłości naszego narodu byłaby, rozumie się, rozstrzygniętą ostatecznie. W téj chwili nie potrzebujemy lękać się niczego w tym kierunku, bo cesarstwo niemieckie obawia się ciągle jeszcze francuskich planów odwetowych, więc potrzebuje przyjaźni i przymierza Austro-Węgier, których terytoryum, w dotychczasowéj jeno rozciągłości zdaje się być przez to zabezpieczoném.

Rosya jest we wszystkich kwestyach wielkiéj polityki europejskiéj mocarstwem stanowczo zawsze rozstrzygającém; tylko za przyczynieniem się Rosyi Niemcy mogły zdobyć powodzenie w latach 1866 i 1870, i kto wié, czy dziś nie żałuje się już w Petersburgu, że się do tych powodzeń pomagało. Wielkiego żniwa wdzięczności Rosya za to nie zebrała, jak się to w r. 1878 okazało. Między Niemcami a Rosyą wytworzyło się pewne współzawodnictwo, które dla nas może być tylko korzystném, bo Rosya nie będzie sprzyjała dalszym zaborczym planom Niemiec. Niepraktyczni politycy, którzyby pragnęli cesarstwo niemieckie postawić na czele politycznego pangermanizmu, a Rosyą na czele politycznego panslawizmu, nie zdają so-

bie sprawy, szczególniéj jeżeli są pangermanistami, z koniecznych następstw podobnéj kombinacyi. Krwawy pojedynek o panowanie nad światem musiałby wtedy niewątpliwie nastąpić między Niemcami i Rosyą, a że Francya w takiéj walce stanęłaby po stronie Rosyi, to również nie może ulegać żadnéj wątpliwości.

Obecnie nie mamy najmniejszéj przyczyny obawiać się panslawizmu politycznego i żywimy silne przekonanie, że ze strony Rosyi nic nie zagraża zupełnemu bezpieczeństwu dzisiejszego terytoryum austryackiego. Jedyna rzeczywista groźba zawieszona nad naszym losem, a nawet nad całością Austryi, to roboty politycznych pangermanistów, którzy w téj chwili nierównie głośniéj dają znaki życia, aniżeli zgoła nieszkodliwi panslawiści polityczni, a jeżeli przypomnimy sobie rok 1789, kiedy potrójne przymierze między Austryą, Francyą i Rosyą postawić miało tamę planom zaborczym Prus, to niepodobna nie widzieć we wznowieniu takiego potrójnego przymierza najpewniejszéj rękojmi zabezpieczającéj od wszelkich niebezpieczeństw, które grożą ze strony cesarstwa niemieckiego całości Austryi, a zatém i naszemu istnieniu narodowemu. Że jednak własnemi usiłowaniami nie dojdziemy do tak pomyślnego rezultatu i że tu rozstrzygać muszą inne czynniki — o tém wiemy bardzo dobrze. Niemniéj przeto możemy, we własnym naszym interesie, przyczynić się, jeżeli nie do ułatwienia takiego pomyślnego rezultatu, to przynajmniéj do usunięcia przeszkód w jego osiągnięciu, mianowicie, jeżeli po pierwsze: naród nasz odpowiednio do zachowawczego ducha czasu okaże się, pod względem politycznym, wspierającym nie zaś niszczącym ustrój państwowy; powtóre, jeżeli poważną pracą na każdém polu ludzkiéj wiedzy i działalności zapewnimy sobie zaszczytne miejsce w rzędzie nowoczesnych narodów. Poważna i sumienna praca, nie zaś husyckie wspomnienia zabezpieczy przyszłość naszemu narodowi, a dodać tu jeszcze winienem, że ta praca musi być nieustanną, wytrwałą i pełną poświęceń, jeżeli nie chce chybić swego celu, bo nasi narodowi przeciwnicy zawsze jeszcze podają w wątpliwość przyszłość narodu czeskiego.

Jako najwymowniejszy dowód powyższego twierdzenia, przytoczę ustęp z reichenberskiéj „Deutsche Volkszeitung“, głównego organu stronnictwa niemiecko-narodowego. Pomieniony dziennik tak się odzywa we wstępnym artykule z 4 maja 1886 r.

„Tylko niemowlęta polityczne mogą jeszcze marzyć o pojednaniu i roić, że Czechowie uszanują prawa germanizmu i zrzekną się zachcianek przewodzenia w państwie, zanim nie uczują na własnéj skórze fizycznéj przewagi niemczyzny. *Wtedy dopiero, gdy 60 milionów Niemców stanie w zwartych szeregach przeciwko slawizmowi*, ugną

się oni ostatecznie i jedynie bagnet przekona ich o niezbitym fakcie, że Czesi są ludem stojącym na niższym stopniu kultury.

„To przeświadczenie określa też naszą pozycyą względem rozmaitych projektów do praw językowych. *Odrzucamy wszelkie próby zakończenia sporu między narodowościami prawem, któreby mowie czeskiéj przyznało coś więcéj prócz roli języka tolerowanego.* Prawo językowe, na które zgodzić byśmy się mogli, musiałoby wyraźnie postanowić, że język niemiecki jest wyłącznie językiem armii, wszystkich władz i całkowitéj oświaty, że zatém nikt nie może być zmuszonym oprócz niemieckiego języka uczyć się jeszcze tak zwanego drugiego języka krajowego i że nikt nie ma prawa piastować jakiegobądź urzędu publicznego, kto nie włada językiem niemieckim i że wskutek tego tylko wyłącznie szkoły niemieckie mogą być z publicznych funduszów utrzymywane. Austrya powstała jako państwo niemieckie, niemiecką jest cała jéj historya, niemieckiego pochodzenia są członkowie panującéj w państwie dynastyi, Czechia zaś specyalnie była więcéj niż pięćset lat częścią składową państwa germańskiego zanim Czesi tam przybyli, a i późniéj kraj czeski pozostawał z małemi przerwami, w stosunku lennym do cesarstwa niemieckiego i stanowił tym sposobem jego część składową. To też my Niemcy mamy tytuł żądać, ażeby uznane było nasze prawo posiadania tego kraju i żeby stwierdziło je prawodawstwo; na projekta zaś do praw językowych, faworyzujące slawizm kosztem germanizmu, mamy tylko jedną odpowiedź: precz z temi fatałaszkami!“

Brzmi to jasno i wyraźnie, wiemy przynajmniéj czego mamy się spodziewać, a raczéj czego się lękać ze strony krańcowéj partyi niemiecko-narodowéj. Fatałaszki, których absolutnego usunięcia domaga się ta partya tak bez ceremonii, — to przedewszystkiém wniesiony 8 lutego 1886 r. do austryackiéj rady państwa przez barona Scharschmida i 116 posłów z lewicy projekt do prawa, „na podstawie którego, przy utrzymaniu języka niemieckiego jako państwowego, wydają się przepisy w przedmiocie przeprowadzenia Art. XIX (1) zasadniczego prawa państwowego z 21 grudnia 1867 r. o ogólnych prawach obywateli w państwie (prawo o językach).“

(1) Art. XIX. Wszystkie ludy w państwie są równouprawnione, a każdy lud ma nienaruszalne prawo do zachowania, pielęgnowania swéj narodowości i swéj mowy.

Państwo uznaje równouprawnienie wszystkich języków krajowych w szkole, w urzędzie i w życiu publiczném.

W krajach, gdzie mieszka razem kilka narodowości, zakłady oświaty publicznéj mają być w ten sposób urządzone, ażeby bez wywierania przymusu do wyuczenia się drugiego języka krajowego, każda z tych narodowości otrzymała odpowiednie środki do kształcenia się w języku własnym.

Praktyczne przeprowadzenie art. XIX jest, jak wiadomo najgłówniejszym punktem spornym między obydwoma stronnictwami narodowemi w Czechach. Czesi żądają uczciwego i rzetelnego zastosowania prawa, Niemcy pragnęliby cały artykuł zupełnie wykreślić, albo przynajmniéj doniosłość jego ograniczyć przez najwygodniejszą dla nich ustawę przechodnią. Podobną próbą jest Scharschmidowski wniosek, którego § 1 brzmi jak następuje:

„Język niemiecki ma być wyłącznie jako język państwowy używany we wszystkich władzach, urzędach i sądach państwowych zarówno w służbie wewnętrznéj, jak w stosunkach tych władz między sobą.

„Wszelkie decyzye i ekspedycye władz centralnych i najwyższych trybunałów mają być wydawane tylko w języku niemieckim nawet wtedy, gdy podania wnoszone są w innym języku.

„Publiczne rozprawy ustne w najwyższych trybunałach prowadzone być winny w języku niemieckim, którym posługiwać się mają również przedstawiciele władz i stron. Strony działające osobiście same mogą, jeżeli nie władają językiem niemieckim, posługiwać się mową swego kraju. Obowiązane są jednak dla przetłómaczenia swoich słów albo przyprowadzić tłómacza przysięgłego, albo wyjednać przydanie sobie takowego z urzędu, drogą, która będzie przepisami prawnemi wskazaną.“

Obok niemieckiego języka państwowego uznaje ów projekt do prawa w publicznêm życiu jeszcze niektóre „języki krajowe“, stara się jednak zdegradować je do znaczenia języków powiatowych w duchu znanéj już dążności stronnictwa niemieckiego, któraby chętnie „królestwa i kraje“ Austryi rozdrobniła na powiaty, na wzór departamentów francuskich. Odpowiedni § 7 brzmi jak następuje:

„Za języki krajowe, których używanie w szkole, urzędzie i w życiu publicznêm uprawnione jest poniższemi przepisami *w okręgach, gdzie stanowią mowę ludności miejscowéj*, należy uważać:

„*niemiecki*, o ile mu już nie zostało określone stanowisko języka państwowego, w Austryi Górnéj i Dolnéj, w Styryi, Karyntyi, Krainie, Salcburgu, Tyrolu i Vorarlbergu, Tryeście, Czechach, Morawii, na Szląsku i w Bukowinie;

„*czeski* w Czechach, Morawii i na Szląsku;

„*polski* w Galicyi i na Szląsku;

„*rusiński* w Galicyi i na Bukowinie;

„*słoweński* w Styryi, Karyntyi, Krainie, Tryeście, Gorycyi i Istryi;

„*serbsko-kroacki* w Dalmacyi i Istryi;

„*włoski* w Tryeście, Gorycyi, Istryi, Tyrolu i Dalmacyi;

„*rumuński* na Bukowinie.“

Dalsze paragrafy określają użycie tych języków powiatowych, nazywanych jednak jeszcze „językami krajowemi“, które naturalnie w życiu publiczném obok języka niemieckiego, odgrywałyby według tego projektu do prawa nader skromną rolę.

Ostatni § 27, zmierzający widocznie do zjednania Polaków i Włochów z południowego Tyrolu, którzy zwykle głosują przeciwko lewicy, brzmi jak następuje:

„O ile rozporządzeniem ministeryalném z 5-go czerwca 1869 r. N. 2354, na podstawie najwyższéj decyzyi z d. 4 czerwca tegoż roku wydaném, wprowadzonym został język polski do służby wewnętrznéj w wyszczególnionych w niém władzach; następnie, o ile język włoski używany jest w południowym Tyrolu, w Dalmacyi i w niektórych częściach Pobrzeża jako język urzędowy w sądach i władzach, niniejsze prawo nie zmienia nic w istniejących stosunkach.“

Dążność tego projektu do prawa jest tak jasną, że się nad nią rozwodzić nie potrzebuję. Język niemiecki, jako urzędowy, ma miéć w publiczném życiu całego kraju przeważające stanowisko, język zaś czéski, w królestwie czeskiém, więc we właściwéj ojczyźnie Czechów, w dawném państwie czeskiém będzie używany w życiu publiczném, obok niemieckiego języka państwowego, tylko w tych okręgach, gdzie większość mieszkańców należy do narodowości czeskiéj; w częściach zaś kraju, gdzie Niemcy stanowią większość zaludnienia, wykluczony zostanie zupełnie z życia publicznego, to jest z urzędu i ze szkoły. My dążymy do zupełnego równouprawnienia obu języków krajowych, a ten projekt do prawa eskamotuje znaczenie języka krajowego i tworzy tolerowane języki powiatowe.

Czescy posłowie w radzie państwa projekt przy pierwszém czytaniu oddalili *a limine*, mimo to przesłano go do komisyi wbrew głosom Czechów, i nie załatwiono się z nim jeszcze *in pleno*, jakkolwiek miał powrócić przed komplet izby poselskiéj w formie znacznie zmienionéj. Ze stronnictwa środka w izbie panów wyszła podobno myśl, ażeby nienawistne dla wszystkich nie niemieckich narodów Austryi wyrażenie „język państwowy“ zastąpić określeniem „język służbowy władz centralnych.“ Na to wszystko nasza krańcowa niemiecko-narodowa partya ma tylko jedną odpowiedź: „precz z fatałaszkami!“

Przytoczony wyżéj artykuł reichenberskiéj „Volkszeitung“ wypowiada wyraźnie czego ta partya chce, a jeżeli się tam mówi, że prawo Niemcom do posiadania państwa austryackiego musi być przyznane, to należy dodać dla uniknienia nieporozumień, że to ma znaczyć, iż Niemcy nietylko muszą być w Austryi panującym narodem, lecz jeszcze, że Austrya stanowić winna część niemieckiego cesar-

stwa. To też niemiecka „Volkzeitung“ w Liberecu obchodziła 22 marca 90-tą rocznicę urodzin cesarza Wilhelma artykułem, w którym czytało się wyraźnie, że Niemcy w Czechach uważają cesarza Wilhelma, za swego właściwego cesarza i poważają go wysoce, a niedawno poseł do rady państwa Türk powiedział na publicznem zgromadzeniu w Liberecu, jak ważną jest rzeczą „że na wypadek gdyby zaświeciło nad nami od północy przyjaźniejsze słońce, znajdziemy się ako czynnik na stanowisku.“

Ci panowie głoszą sobie to wszystko, jak dowodzi przenośnia, bez ceremonii, a w działaniu mniéj się jeszcze krępują; możnaby powiedziéć, że posuwają się nieledwie do brutalstwa. Tak naprzykład, wiedeńska „Neue fraie Presse“ wyraziła się pewnego razu bardzo energicznie, o nieprzyjemnym dla siebie antysemityzmie naszych niemieckich narodowców, a to co wtedy powiedziała, stosować się może nietylko do żydożerstwa ale i do czechożerstwa owych narodowców.

„Jestto patryotyzm, zgoła różny od idealnéj w piersi każdego ukształconego człowieka żyjącéj miłości do swego narodu, do swego języka, lecz cofający się raczéj do pierwotnych odrębności krwi, skóry, rasy, instynkt wyłączny, przypominający początki cywilizacyi, do którego, jeżeli się tak daléj ma rozwijać, trzeba będzie wkrótce zastosować krwawy epigram Grillparzera: *droga nowéj cywilizacyi prowadzi od humanitaryzmu przez racyonalizm do bestyalizmu*“ (N. fr. Pr. 24 lut. 1886 r.).

I do rozbestwienia doszli już nasi niemieccy narodowcy, bo znajdowanie się ich względem czeskich mniejszości w miastach tak nazwanego niemieckiego zamkniętego terytoryum językowego, inaczéj nazwanem być nie może. Nie dość na tém że czeskie barwy narodowe (czerwona z białą) wzbraniane są przy wszelkich uroczystościach, że rozmowa w języku czeskim nie jest w publicznych miejscach cierpianą, ale nadto pracuje się bardzo systematycznie nad tém, żeby Czechów osiadłych w okolicach niemieckich przemocą stamtąd wyrugować. W tym celu zapadają w reprezentacyach miejskich formalne uchwały, jak np. w Hniewinie (Brüx), gdzie kolegium przedstawicieli miasta odbywa w tym przedmiocie tajemne posiedzenia lub w Jabloncu albo Liberecu (Reichenberg), które to miasta pod tym względem ton nadają. Do chwalonych a nawet tu i owdzie przeprowadzonych środków należy zerwanie stosunków we wszelkich interesach, wymawianie mieszkań, do czego każdy prawdziwy Niemiec czuje się zobowiązany a nawet odpowiednim teroryzmem bywa zmuszany. Takim sposobem wiele już rodzin czeskich zostało się w niemieckich okolicach własnéj ojczyzny bez dachu i bez chle-

ba, a władze rządowe przypatrują się temu haniebnemu postępowaniu obojętnie i bezczynnie. Niemieckie dzienniki prowincyonalne wyszydzają i lżą Czechów; władze rządowe rzadko miewają wobec tego cokolwiek do nadmienienia, jak gdyby obraza narodowości możliwą była tylko ze strony Czechów względem Niemców. Słowem rząd nasz patrzy na to szalone, wyraźną zdradą stanu nacechowane postępowanie narodowców niemieckich, jak gdyby nie śmiał przeciw niemu wystąpić.

Niektóre szczegóły przytaczam jako ilustracyą.

Poza Melnikiem na samėj granicy językowéj, stoi przy drodze krzyż na kamiennéj podstawie, w któréj wykute były słowa „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, w dwóch językach:

„Pochvalen bud Jezis Kristus"
„Gelobt, sei Jesus Christus"

Dzieci ze szkoły niemieckiéj zniszczyły napis czeski, a niemiecki pan nauczyciel, pochwalił je zapewne za to, bo ukarane nie były.

W Brunowie (Braunau, na granicy szlązkiéj) odbywała się w sierpniu uroczystość gimnastyczna, na którą naturalnie zaproszeni byli gimnaści z Szlązka pruskiego. Pozwolono wywieszać tylko czarno-czerwono-złote flagi i surowy wydano rozkaz, żeby przed każdym domem taka flaga powiewała. Stara chorowita kobieta nie zastosowała się do tego rozporządzenia, więc w nocy pomazano jéj cały dom dziegciem. Władza odpowiedziała na skargę: „No tak, właściwie trzeba było wywiesić żądaną flagę"—i na tém sprawa się skończyła.

Ludność czeska żyje w tak zwaném niemieckiem terytoryum językowém jak w kraju nieprzyjacielskim a opieka nad nią rządu jest żadną. Przytém winienem wyraźnie zaznaczyć, że o jakimbądź, choćby najlżejsze przedstawiającém podobieństwo prześladowania Niemców przez Czechów, w częściach kraju przeważnie przez Czechów zamieszkałych, mowy nawet być nie może, i że wszelkie w tym kierunku głoszone zarzuty i oskarżenia żadnéj nie mają podstawy. Podczas gdy w Liberecu niemiecka „Volkszeitung" zaraz na gwałt uderza, kiedy pewien pan Radon rozsyła na wieczorek tańcujący zaproszenia w językach niemieckim i czeskim, lub wielkie powstaje wzburzenie, kiedy ktoś w restauracyi albo w kawiarni odezwie się po czesku,—w Pradze spotyka się co krok ogłoszenia na rogach drukowane po niemiecku i po czesku, w publicznych miejscach nikt się o to nie troszczy, czy rozmowa prowadzona jest po niemiecku, czy też po czesku; a zaledwie kilka znajduje się restauracyi, zasekwestrowanych, że się tak wyrazimy, przez Niemców, gdzie język czeski

jest wyszydzany. Słowem, my Czesi pragniemy zgody narodowości, a Niemcy jéj nie chcą, lecz pracują systematycznie i to w porozumieniu z zagranicą nad anneksyą Czech do cesarstwa niemieckiego. Spór ten rozstrzygać będzie wyższa polityka europejska i dla tego życzymy sobie potrójnego przymierza między Austryą, Rosyą i Francyą.

Najnowszy spór o autentyczność rękopisu królodworskiego, nowoczesna Batrachomyomachia, do któréj w zupełności zastosować można starożytne dictum: *Difficile est satyram non scribere.*

Baron Józef Aleksander Helfert pisał w r. 1883: „Fakt autentyczności rękopisu Królodworskiego i Sądu Libuszy (rękopis zelenohorsky), to jest nieistnienie podrobienia tych manuskryptów w latach kiedy je publicznie ogłoszono, nie powinienby być podawany w wątpliwość dla saméj przyzwoitości. Powtarzam dla przyzwoitości, bo obstawać przy fałszerstwie wychodzi na to samo, co naznaczyć całe grono mężów o charakterze nieposzlakowanie prawym piętném łotrów, inne zaś grono ludzi, których długoletnia działalność dostarczała coraz nowych dowodów rozumu i wiedzy, wystrychnąć na głupców, lub udających naiwność wspólników w ukrywaniu wiadomego sobie oszustwa“ (1).

Oba wzmiankowane tu dawne rękopisy czeskie, Kralodvorsky Rukopis i Zelenohorsky Rukopis (Kralové Dvůr, miasto w północnych Czechach—Zelena hora, obecnie zamek księcia Auersperga w południowych Czechach) odnalezione zostały w 1817 r. O znalezieniu rękopisu królodworskiego posiadamy następujący, w 1867 r. sądownie spisany protokół.

Protokół spisany 29 września 1867 r. w c. k. sądzie okręgowym w Královédvoře.—*Treść.*

Pp. Franciszek Palacky, historyograf czeski i Antoni Jarosław Vrt'atko, bibliotekarz Muzeum królestwa czeskiego stawili się w sądzie w charakterze przedstawicieli tegoż muzeum, jako obecnego właściciela rękopisu królodworskiego i domagali się przesłuchania Jana Szafra mieszczanina w Kralovedvorze a zarazem sługi kościelnego w kościele miejskim św. Jana Chrzc. chcąc urzędownie stwierdzić fakt znalezienia rękopisu królodworskiego, przez p. Wacława Hankę i pozyskać na to zarazem pewny na wszystkie czasy dowód.

W skutku tego przywołano świadka Jana Szafra.

---

(1) Czecho-Słowianie. Wiedeń 1883. Artykuł Helferta „Najdawniejsze pomniki piśmiennictwa czeskiego.“

Obecni.

Od sądu:
Mathias Pokorny, c k. adjunkt.
Ernest Hnizdo, protokulista.

Od stron.
PP. Jan Szafr, Dr. Franciszek Palacky, Ant. Jarosław Vrt'atko, Dr. Fr. Rieger, Dr. Porák, Fryderyk Tinus, Burmistrz, Dr. Karol Sladkowsky, Ant. K. Viták.

Jan Szafr, lat 64, mieszczanin i sługa kościelny, upomniany o ważności składanéj przysięgi i o następstwach krzywoprzysięstwa, i w obecności wyżéj wymienionych świadków, zeznaje co następuje:

W 1817 r. p. Wacław Hanka odwiedził swego przyjaciela, b. kolegę Jana Sklenčkę, tutejszego radcę magistratu i razem poszli do ówczesnego kapelana, ojca Pankracego Borča. Przy téj sposobności, obu tych panów zaprosił na obiad ówczesny dziekan, Jan Puš, brat mojéj matki. Miałem wtedy lat 14, urodziłem się bowiem 18 październiknika 1803 r., a wuj mój, dziekan przygotowywał mnie do szkół łacińskich; służyłem mu też zwykle do mszy. Kiedy ci panowie siedzieli przy stole, wszczęła się rozmowa o tak zwanych strzałach „Žyžki," które miały się znajdować w sklepie w jednéj z wież kościelnych. Szczególniéj p. Wacław Hanka życzył sobie zobaczyć te strzały z czasów Žyžki, udali się więc popołudniu między 2 a 3 godziną do wieży pp. W. Hanka, Jan Sklenčka, ksiądz P. Borč i Franciszek Tinus; ja poszedłem z nimi z ciekawości. Prowadził panów ówczesny 50-letni sługa kościelny, Józef Trnka. Wzmiankowany wyżéj sklep znajduje się u dołu w wieży, a dochodzi się do niego z chóru kościelnego (kruchta, gdzie znajduje się organ). Sklep był wtedy, jak jest dziś jeszcze, zamknięty mocnemi drzwiami żelaznemi. Odemknąć tych drzwi nie mógł nikt inny, prócz sługi kościelnego Józefa Trnki, były bowiem przy nich trzy stare zamki, których również nikt nie potrafił otworzyć, tylko ów sługa kościelny, tak jak i dziś ten jedynie z niemi poradzić sobie może, kto zna ich mechanizm i wprawny jest w ich odmykanie. Dziś tylko ja i sługa kościelny Stanisław Vogl umiemy otwierać te stare zamki, a w 1866 r. Prusacy napróżno usiłowali je otworzyć. W sklepie wieżowym znaleziono oprócz szafy dwie skrzynie drewniane i trochę sprzętów kościelnych. Wzmiankowane strzały znajdowały się w szafie stojącéj wtedy na wprost wejścia przy ścianie. Szafa była tak wysoka, że dostać do niéj mógł zaledwie człowiek średniego wzrostu; pomalowana była podówczas na czarno. Leżało na niéj kilka starych kancyonałów i innych ksiąg kościelnych, których już nikt nie używał. Otworzywszy szafę p. W. Hanka i ks. Borč wyjęli strzały leżące razem w jednéj z przegród, oglądali je, rozprawiali a następnie oddali je p. Fr. Tinusowi, ówczesnemu kan-

celiście magistratu, który zabrał strzały pod pachę; kilka z nich pozostało w szafie. Po obejrzeniu strzał chcieli ci panowie zobaczyć i książki leżące na szafie. Ksiądz Borč, mężczyzna niezwykle wysokiego wzrostu, zdołał dosięgnąć do wierzchu szafy i zdjął stamtąd z trudnością jeden z kancyonałów, przy czém spadło z szafy mnie pod nogi kilka kart pargaminowych, które leżały pod kancyonałem lub obok niego i były całkiem zakurzone. Podniosłem je i podałem ks. Borčowi, który rzekł: „to muszą być łacińskie modlitwy.“ P. W. Hanka wziął je z rąk ks. Borča i mówił jeszcze w sklepie wieżowym, że to są prawdopodobnie modlitwy. Chcąc przejrzéć się bliżéj téj rzeczy, pp. W. Hanka, ks. Borč, Fr. Tinus i Sklenčka weszli na chór w kruchcie, gdzie jest więcéj światła. Karty które ja wręczyłem ks. Borčowi, a ten oddał p. W. Hance, niósł ten ostatni; obejrzał je na chórze i rzekł z ucieszoną miną: „Już teraz wiem, co to będzie.“ Potém rozeszli się wszyscy, to jest, ci panowie do dziekanii a ja do domu. Późniéj dowiedziałem się, że p. Hanka zostawił karty owe na dziekanii, a następnie oddano je magistratowi, skąd tenże p. Hanka wyprosił je sobie piśmiennèm podaniem. Ja przestałem się uczyć i zostałem rzemieślnikiem. Kiedy wróciłem z wędrówki do domu rzekł do mnie ks. dziekan, mój wuj: „Czy téż ty wiesz, coś wtedy podniósł?“ Zwracam wreszcie uwagę, że szafa stojąca dziś jeszcze w opisanym przezemnie sklepie wieżowym i na tém samém miejscu, jest tą samą szafą, na któréj wtedy leżał rękopis, z tą różnicą, że jest przerobioną, znacznie mniejszą i scheblowaną—okucia i rygle pozostały dawne. Muszę nadto nadmienić, że oprócz wymienionego wyżéj kancyonału, ci panowie oglądali jeszcze i inne leżące na szafie księgi, które, gdy się okazało, że nie zawierają w sobie nic godnego uwagi, napowrót na szafę położyli. Jedna z tych ksiąg, oprawna w czerwony aksamit zawierała niezapisany papier, który późnièj wyjęto, żeby oprawę do mszału zużytkować. Pargamin ze zdjętego najprzód wielkiego kancyonału użyty był późniéj do zaklejania miechów organowych.—Jestem w zupełności przekonany że karty podniesione przezemnie w sklepie wieżowym są te same, które p. Hanka na chórze przeglądał; jedna z tych kart była bardzo zapylona zapewne dla tego, że nie leżała pod kancyonałem. Grubość wszystkich kart razem wziętych równała się mniéj więcéj grubości mego małego palca.—Następnie protokół został odczytany, a świadek Jan Szafr uznał go za swoje zeznanie. Jednocześnie świadek, gdy mu treść przysięgi wyłożono, prosił, aby mu wolno było stwierdzić to, co powiedział, przysięgą, którą téż złożył w obecności wymienionych świadków. Po złożeniu przysięgi odczytano protokół raz jeszcze, zamknięto i podpisano, z nadmienieniem, że kopia takowego doręcz-

czona zostanie zarządowi Muzeum czeskiego, poczém protokół w dwóch egzemplarzach spisany i opatrzony podpisami wszystkich obecnych był doręczony petentom, dr. Fr. Palackiemu i Antoniemu Vrt'átko.—*Mat. Pokorny mp.—I. N. C. Hnizdo mp. Protokolista.—Jan Safr mp. jako świadek.—Dr. Fr. Palacky mp.—Ant. Jarosław Vrťátko mp. pierwszy bibliotekarz Muzeum królestwa Czeskiego.—Dr. Fr. Wład. Rieger mp.—Dr. Antoni Porák mp.—Dr. Karol Sladkowsky mp.—Fr. Tinus mp. Burmistrz.—Ant. K. Vitak mp.*

Powyższy protokół wyłącza zupełnie możliwość, aby Hanka najprzód położył falsyfikat na szafie w sklepie pod wieżą kościelną w Kralowedworze, poto żeby go tam następnie uroczyście znaleźć. Hanka był w 1817 r. poraz pierwszy w Kralowedworze i nie on dał pochop do udania się do sklepu wieży kościelnéj, gdzie zresztą chciano oglądać stare strzały, nie zaś stare rękopisy. Zbyteczném byłoby nadmieniać, że sługa kościelny Jan Szafr, dowiedziawszy się co podniósł w sklepie wieżowym w 1817 r., musiał opowiadać niezliczoną ilość razy rozmaitym ludziom wydarzone przytém szczegóły, tak że co do treści zeznania człowieka liczącego w 1867 r. 64 lata na chwilę wątpić niepodobna.

W roku 1823, słynny niemiecki badacz dziejowy Pertz był w Pradze i oglądał w Muzeum czeskiém w towarzystwie historyografa Palackiego, stare, pargaminowe karty, znalezione 6 lat przedtém w Kralowedworze. W ocenianiu starych rękopisów, Pertz jest bezwątpienia pierwszą powagą; uczony niemiecki po gruntownéni obejrzeniu i zbadaniu przedstawionych sobie kart pargaminowych, nie wyraził najlżejszego powątpiewania co do ich autentyczności, ani co do dawności manuskryptu i wywiązał się między nim a Palackim spór jedynie co do jéj stopnia: jeden bowiem uważał rękopis za pochodzący z XIV wieku, według drugiego rękopis pochodził z XIII stulecia. Gdyby wprawnemu oku Pertza przedstawiono manuskrypt sfałszowany, niestarszy nad pięć sześć choćby dziesięć lat, byłby historyk niemiecki jakąkolwiek wyraził wątpliwość o jego autentyczności—co się bynajmniéj nie wydarzyło; jest też to najważniejszy argument przemawiający za autentycznością rękopisu królodworskiego.

W tym samym 1817 r. dokonano w innéj okolicy Czech niemniéj sensacyjnego odkrycia literackiego. Na parterze starego zamku Zelena Hora, nader malowniczo położonego na górze obrośniętéj lasem, w blizkości Nepomuka w południowych Czechach, i należącego podówczas od słynnego zwycięzcy pod Kulmem, Hieronima hr. Colloredo Mansfelda, znajduje się sklep, skąpo oświetlony małém wysoko umieszczonéin okienkiem, gdzie chowane były różne w go-

spodarstwie potrzebne przedmioty, jak sól, powrozy, łańcuchy, wśród których w jednym z kątów leżały porzucone stare papiery i książki. Nadzór nad całym zamkiem miał w 1817 r. poborca dochodów hrabiowskich Józef Kovař. Ten oficyalista przeglądając w wolnych godzinach stare papiery, znalazł między niemi dwie pargaminowe karty *in octavo*, w środku zszyte a zatém stanowiące cztery karty czyli ośm stronnic pisma. Kovař nie był w stanie odczytać znalezionego rękopisu, udał się więc z nim do zaufanego przyjaciela, do dziekana, ks. Franciszka Boubla, mieszkającego w Nepomuku, zostawił u niego znalezione pargaminy i prosił, ażeby o pochodzeniu nikomu nic nie mówił, lękając się, aby wyniesienie rękopismu z zamku nie było mu poczytane za sprzeniewierzenie się w służbie. Dziekan Boubel nie mógł również odczytać starego rękopisu, równie jak „lokalist" ojciec Józef Zeman w Pradze, któremu dziekan pokazał manuskrypt. I tak leżały stare pargaminy w dziekanii nepomuckiéj, gdzie je oglądały i inne także osoby—ale nikt nie potrafił powiedzieć, co w nich było napisane.

W dniu 15 kwietnia 1818 r. wielki burgrabia Czech Franciszek Antoni Liebsteinsky, hr. Kolowrat ogłosił wezwanie do ufundowania czeskiego Muzeum narodowego, przyjęte z najżywszą radością w całym kraju przez wszystkich już wtedy dość licznych patryotów czeskich. W. Hanka, któremu wkrótce potém polecono uporządkowanie zbiorów naukowych w nowéj instytucyi narodowéj, ofiarował do Muzeum, rękopis królodworski uzyskany przezeń na własność, jak to wyżéj powiedziano, od magistratu w Kralodworze. Teraz naturalnie wiedziano i w oddalonym Nepomuku, co należy zrobić z pargaminami znalezionemi przez Kovařa. Wprawdzie poborca dochodów hrabiowskich, dbając o to, ażeby wszystkie okoliczności znalezienia wzmiankowanych kart pargaminowych przedstawiły się odrazu w nieprzyćmioném świetle prawdy, i żeby pod tym względem nie mógł istniéć ani cień wątpliwości, powinien był panu swemu hr. Colloredo-Mansfeldowi, powiedziéć co w nich znalazł i zwrócić uwagę na wezwanie wielkiego Burgrabiego Czech, do ofiarowania podobnych pomników piśmiennych za rzecz nowo-zakładającego się Muzeum narodowego czeskiego i tym sposobem zapewnić sobie możność stwierdzenia zupełnéj autentyczności rękopisu. Ale Kovař uważał hr. Colloredo za „zabitego Niemca," któryby pozwolił raczéj zgnić staremu manuskryptowi czeskiemu, lub chętniéj widziałby go w płomieniach, aniżeli w czeskiém Muzeum narodowém. Dziekan Boubel był widocznie tego samego zdania, bo obaj przyjaciele postanowili, żeby Kovař korzystał z pierwszéj sposobności, kiedy go pańskie interesa do Pragi powołają, i oddał rękopis gdzie należy. Tak się też sta-

ło w listopadzie 1818 r. Kovař, obrawszy już raz względem swego pana drogę tajemnicy, nie mógł w Pradze wystąpić publicznie jako znalazca starego rękopisu, musiał więc bezimiennie w skrytości przesłać pargaminy Muzeum czeskiemu. Wystosował więc pismo do wielkiego Burgrabiego Czech, jako do założyciela Muzeum, nazwał w niém swego pana „zabitym Niemcem," itp. (jak już wyżéj powiedziano), chcąc umotywować bezimienność przesyłki i podpisał się: „prawdziwy patryota." O znalezionych kartach pargaminowych pisze: „Co w sobie zawierają, nie mogłem dociec, jakkolwiek nie szczędziłem ani czasu, ani mozołu—a jestem bardzo ciekawy. Spodziewam się, że profesor lub inny jaki uczony czeski, nie będzie miał z tém trudności. *Szkoda, że atrament, kiedy ściągałem z pargaminu pył wilgotną gąbką, zmienił się późniéj na zielony.*"

Z tym dopiskiem, wrzucił Kovař karty pargaminowe pod adresem hr. Kolowrata do skrzynki pocztowéj przy dyrekcyi poczty w dzielnicy Mała strona w Pradze. Hr. Kolowrat oddał otrzymaną w tak dziwny sposób przesyłkę swemu przyjacielowi, hr. Kacprowi Sternbergowi, wspaniałomyślnemu protektorowi na nowo wówczas odradzającéj się literatury czeskiéj. Hr. Sternberg powierzył odcyfrowanie starego manuskryptu swemu proboszczowi w Radnicy, Puchmajerowi. Puchmajer uchodził wtedy za najlepszego slawistę w Czechach po Dobrowskim, ale nie umiał wszystkiego odczytać, i nie był w stanie doszukać się wszędzie właściwego znaczenia i związku. 20 grudnia 1818 r. uwiadomił dokładnie ks. Dobrowskiego o zajmującym manuskrypcie i dołączył *fac-simile* rękopisu. Dobrowsky słyszał już o tém, co się zawiera w rękopisie znanym dziś powszechnie pod nazwą: „Libušin soud", mianowicie było mu wiadomo, że jest w tym poemacie ustęp o „Hufcach Czecha" (*přide s pleky Čechovymi*). Dobrowsky podawał już oddawna w wątpliwość osobę Czecha jako przywódcy Czechów, a kiedy się dowiedział, że w rękopiśmie, podawanym za starodawny, znajduje się wyżéj wzmiankowany ustęp, nie namyślał się nad wyrokiem, nazwał przysłany rękopis „nędzném podrobieniem", „bazgraniną", którą przysławszy, lękający się światła anonym, chciał mu tylko na złość zrobić (1).

Dopiero w 1822 r. opowiedziano kilku osobom w Pradze bliższe okoliczności, towarzyszące znalezieniu najstarszego pomnika literatury czeskiéj, znanego powszechnie pod nazwą Zelenohorskiego rękopisu, ale zupełne światło rzuciły na manuskrypt przedsięwzięte w 1859 r. pod tym względem badania.

---

(1) Czytamy „Hufce Czechów"—nie „Hufce Czecha."

Z całości tych poszukiwań widać, że autentyczność Zelenohorskiego rękopisu natrafiła od początku wśród samych Czechów na silniejsze powątpiewanie aniżeli prawdziwość rękopisu królodworskiego. I tak uchodzący w tych rzeczach za powagę były minister oświaty Józef Jireček pisał 16 sierpnia 1882 r. do barona Helferta: „Według mego, głębokiego przekonania, rękopis królodworski jest autentyczny; spór może się tylko toczyć o to, czy pochodzi z XIII czy z XIV wieku. I dla mnie, jestto jeszcze kwestya nierozstrzygnięta, ale sądzę, że manuskrypt może być uważany za dawniejszy. Przestudyowałem sumiennie całą literatutę od roku 1800 do 1818 i jestem pewny, że ani jeden z ówczesnych pisarzy, nie wyjmując Jungmana,. nie był w stanie czegoś nawet w przybliżeniu podobnego napisać. Jestto rzecz zgoła niemożliwa i co do tego niema się o co spierać. Wszystko co napisałem w 1861 r. (o autentyczności rękopisu królodworskiego) uważam i dziś, po dokładnem zbadaniu za słuszne, a nawet twierdzę jeszcze bardziéj stanowczo niż wtedy. „Sąd Libuszy" uważam też zawsze za autentyczny, jakkolwiek nastręczają się tu pewne trudności do rozstrzygnięcia, które mnie jeszcze wiele pracy kosztować będą."

Aż do 1848, autentyczność obu najstarszych pomników literatury czeskiéj uważana była w kołach patryotów czeskich nieledwie za święte *credo* patryotyczne, mimo niektórych w tym przedmiocie utarczek literackich, o których w ogóle powiedziéć można, że z nich zwycięzko wyszli obrońcy autentyczności. Z zewnątrz, tj. ze strony nie czeskiéj, mianowicie z kół najbliższych naszych sąsiadów, Niemców, nie przedsiębrano głośniejszych w tym kierunku napaści, bo nasi ziomkowie niemieccy śledzili przed 1848 rokiem ze szczerą sympatyą wzrost narodowych dążeń u Czechów i brali życzliwy udziła w naszéj radości z powodu znalezienia świadectw poezyi staroczeskiéj.

Po 1848 r. miało się to wszystko z gruntu odmienić, na miejsce dawnéj sympatyi wystąpiła narodowa antypatya a dawną przyjazną życzliwość zastąpiła niechęć i zła wola. Wkrótce stało się to politycznem *credo* Niemców, pragnących uchodzić za wyższą rasę, powołaną na mocy téj rzekoméj wyższości do hegemonii politycznéj nad niższemi Słowianami: że wszelka kultura umysłowa w Czechach od Niemców pochodzić musi, a jako naturalne następstwo takich pretensyi narodowych wynikła konieczność zaprzeczenia rzeczywistemu istnieniu poezyi staroczeskiéj. Według twierdzenia Czechów rękopis królodworski pochodził z XIII stulecia, więc spisane w nim poezye czeskie musiały sięgać końca XII albo nawet XI wieku. Gdyby chciano zgodzić się na to w obozie niemieckim, trzebaby przy-

znać, że Czesi w XII albo XI wieku stali co najmniéj na równym szczeblu rozwoju umysłowego z Niemcami, a może jeszcze wyżéj, i mniemana wyższość Niemców, jako naturalnych pionierów cywilizacyi upadłaby zupełnie, a w końcu Czesi gotowi by jeszcze wystąpić z twierdzeniem, że przeciwnie, Niemcy XII albo XI wieku mogli byli nauczyć się od Czechów wielu pięknych i dobrych rzeczy. Trzeba więc było zaprzeczyć autentyczności rękopisów królodworskiego i zelenohorskiego: wymagał tego interes narodowy Niemców.

W ten sposób wszczął się w 1857 r. pierwszy wielki spór o autentyczność najstarszych pomników literatury czeskiéj, a prowadził go głównie stypendysta i stronnik ówczesnego rządu niemiecko-narodowego w Austryi. Ruch narodowy, t. j. słowiański w Czechach i Morawii nie był po myśli niemieckich panów w Wiedniu; ci panowie należeli do partyi wielko-austryackiej i wielko-niemieckiéj; polityczny ich program polegał na przewadze niemieckiéj Austryi w Rzeszy niemieckiéj, albo raczéj Wielkiéj Austryi w Wielkich Niemczech. Słowiańskie poczucie narodowe w Czechach i na Morawie nie przypadło do smaku tym niemiecko-wiedeńskim ichmościom, a w Wiedniu uważano formalnie za rzecz leżącą w interesie rządu austryackiego, osłabiać i hamować rozwój słowiańskiego poczucia w Czechach i na Morawie.

Spór rozpoczęty w 1857 r. przez Fejfalika, prowadzony był przez kilka lat z wielką z obu stron gwałtownością; decydująca obrona braci Jirečków (Autentyczność rękopisu królodworskiego krytycznie udowodniona przez Józefa i Hermenegilda Jirečków. Praga 1862 r.) ukazała się w 1862 roku. Józef Jireček miał zupełne prawo powiedziéć późniéj, że można z nieopisaném zadowoleniem rzucić po za siebie okiem na te walki i na ich owoce, bo „autentyczność rękopisu królodworskiego wytrzymała próbę, napaści zaś niemało przyczyniły się do gruntownego zbadania manuskryptu nietylko jako całości, ale i w pojedynczych jego częściach.“

W przeświadczeniu zupełnego bezpieczeństwa co do prawdziwości najstarszych pomników swéj literatury, żył naród czeski aż do roku 1886.

Rok 1886 przyniósł nam — właściwie mówiąc — niespodziankę. Nowa skombinowana napaść dokonaną została na autentyczność rękopismu królodworskiego; znowu zaczęły się dowodzenia, że naród czeski niepotrzebnie i bez żadnego do tego prawa chełpi się posiadaniem już w XII stuleciu artystycznéj poezyi narodowéj, że zatém Niemcy zupełną mieli słuszność, ogłaszając między 1850 a 1860 r. tak zwane najstarsze pomniki literatury czeskiéj za podrobione. Istotną przytém niespodzianką była okoliczność, że nowa napaść na skarby

naszéj literatury wyszła nie od jawnych bądź-co-bądź przeciwników naszych, Niemców, ale od profesorów naszego własnego uniwersytetu czeskiego w Pradze.

Niemam zamiaru wchodzić tu w bliższe szczegóły walki literackiéj prowadzonéj z wielkiém ożywieniem po obu stronach od lutego 1886 i dotychczas jeszcze nie rozstrzygniętéj; pragnąłbym bowiem co innego przedstawić w świetle nieuprzedzonéj, nie oglądającéj się na nic przedmiotowości, a mianowicie właściwe znaczenie i rzeczywistą doniosłość tego sporu literackiego, wywołanego bez usprawiedliwionéj przyczyny. W tym celu podam treściwe przedstawienie znanego już dostatecznie początku, jak niemniéj dotychczasowego przebiegu sporu, a następnie wypowiem moje własne wnioski.

Już przy końcu r. 1885 p. Gebauer, profesor slawistyki na uniwersytecie czeskim w Pradze oświadczył ówczesnemu rektorowi téj wszechnicy, zaszczytnie znanemu badaczowi dziejów W. W. Tomkowi, jak również byłemu ministrowi oświaty Józefowi Jirečkowi, uznanym w tych rzeczach powagom, pierwszemu ustnie, drugiemu piśmiennie podczas pobytu jego w Wiedniu w charakterze posła do rady państwa, że zamierza wystąpić publicznie z pewnemi wątpliwościami co do autentyczności rękopisów królodworskiego i zelenohorskiego i prosił obu tych panów, aby w zaufaniu zdanie swoje w tym przedmiocie wypowiedzieli. Obaj radzili ostrożność i powściągliwość, najprzód dlatego, że spór o autentyczność tych najdawniejszych pomników literackich uważany już jest za rozstrzygnięty, a powtóre, ponieważ pora nie jest do tego stosowna, ażeby podczas walki narodowéj tak namiętnie, między Czechami a Niemcami prowadzonéj, wywoływać jeszcze wojnę domową pośród samych Czechów.

Atoli ta rozważna przestroga starszych patryotów nie mogła dla tego poskutkować, że Gebauer robiąc ten krok, który możnaby uważać za wynik patryotycznego uczucia, rozpoczął był już faktycznie napaść na autentyczność dawnych rękopisów. Napisany przez niego w tym kierunku artykuł ukazał się w niemieckiéj encyklopedyi Erscha i Grubera w tymże samym czasie, kiedy p. Gebauer zapytywał poufnie Tomka i Jirečka, czy może i powinien publicznie występować ze swém powątpiewaniem co do autentyczności pomienionych rękopisów.

Tomek i Jireček nakłaniali do ostrożności, pierwszy ustnie, drugi z Wiednia piśmiennie; ale 21 stycznia 1886 r. odbyła się narada trzech profesorów uniwersytetu czeskiego (Gebauera, Masaryka, profesora filozofii i Kvičali, profesora filologii klasycznéj) w mieszkaniu profesora Kvičali, a przedmiotem jéj było nie to, czy należy rozpocząć napaść na autentyczność dawnych rękopisów, lecz jaki

ma być *modus* takowéj, mianowicie *gdzie* i *jak* się do tego wziąć? Prof. Kvičala utrzymuje, że doradzał, ażeby cały spór przedstawić ludziom fachowym narodowości czeskiéj i załatwić go poniekąd *en famille*, ale był jakoby przez swoich towarzyszy przegłosowany i dobréj jego rady nie usłuchano. Jako organ polemiczny nowych przeciwników dawnych czeskich rękopisów wybrane zostało redagowane przez prof. Masaryka czasopismo „Athenaeum, listy pro literaturu a kritiku vědeckou“, wskutek czego ukazał się 15 lutego 1886 roku pierwszy artykuł Gebauera w „Athenaeum“, a trzej profesorowie czeskiego uniwersytetu narodowego mogli sobie powiedzieć (nie wiem, czy z zupełném zadowoleniem, czy téż z pewnemi niepokojącemi w duszy wątpliwościami): *Alea jacta est!* Kości rzucone i grę rozpoczętą trzeba było do końca doprowadzić.

Rozpoczęła się więc bardzo ożywiona, że tak powiem, na wszystkie strony prowadzona polemika literacka, w któréj brali udział z wielką gorliwością powołani i nie powołani. Możnaby mniemać, że żaden organ publicystyki nie chciał pozostać w tyle i obciążyć się winą, iż zdania swego nie wypowiedział. Cały naród czeski podzielił się na dwa nieprzyjacielskie obozy, zacząwszy od czeskiego uniwersytetu, w którym profesorowie i studenci utworzyli dwa wrogie obozy przeciwników i obrońców dawnych rękopisów czeskich. Za głównodowodzącego przeciwnikami uchodził niewątpliwie wśród profesorów czeskich p. Garryk Masaryk, który téż przedstawił się wobec całéj publiczności jako właściwy twórca i przewódca walki w liście wystosowanym w „Athenaeum“ z 15 lutego 1886 r. do prof. Gebauera i dającym się streścić w nowym okrzyku bojowym: „Daléj do walki przeciwko autentyczności rękopisów królodworskiego i zelenohorskiego!“

Masaryk nie jest fachowym w rzeczach słowiańskich; wykłada, jak już powiedziano, filozofią, i nawet na własne oczy nie widział dawnych rękopisów, przeciw autentyczności których tak nagle wystąpił. Z pośród profesorów uniwersytetu czeskiego w Pradze, wszyscy starsi, z zasłużonym rektorem Tomkiem na czele, należą do obrońców dawnych rękopisów, młodzi zaś profesorowie gromadzą się pod sztandarem Masaryka. Ci młodzi panowie współdziałali swemi artykułami w „Athenaeum“ w ten sposób, że każdy usiłował ze swego specyalnego stanowiska jakąś łatkę rękopismom przypiąć. I tak: prof. Goll, jako badacz dziejów, starał się dowieść, że treść starodawnego poematu nie zgadza się ze stwierdzoną dokumentami historyą; estetyk, Hostinský, krytykował stare poemata ze stanowiska nowożytnéj estetyki naukowéj; astronom i matematyk Seydler nadużył nawet formuł wyższéj matematyki do pastwienia się nad staro-

czeską poezyą, zakończonego prozaicznėm *quod erat demonstrandum.* Niektórzy *dii minorum gentium* musieli nadto dokonać pod komendą Masaryka mozolnej pracy przedstawienia dowodów ze wszystkich możliwych utworów nowszéj literatury czeskiéj, że cały materyał językowy, zawarty w „tak zwanych“ dawnych poematach czeskich, więc zarówno pojedyncze wyrazy jak i całe zdania, właściwie zapożyczone są z tych nowszych dzieł poezyi czeskiéj. Dokąd zaprowadzić musiała taka praca, łatwo pojmie każdy bezstronny sędzia, nie zadziwię więc zapewne czytelników nadmieniając, że w ten sposób nawet „zielona łąka“ i tym podobne rzeczy uznane zostały za nowoczesny falsyfikat, ponieważ takie połączenie wyrazów znajduje się w nowszych poezyach.

Studenci uniwersytetu czeskiego brali bardzo żywy udział w sporach swoich profesorów, choć i tu sympatye i antypatye dla osób ważniejszą odgrywały rolę, aniżeli faktyczne dowody. Ale walka była rozpoczęta i przeniosła się naturalnie z kolegiów do restauracyi i kawiarni, gdzie w dodatku zetknęła się z publicznością czeską, również żywo zainteresowaną temi literackiemi utarczkami. W tém miejscu winienem zauważyć, że cała prasa polityczna czeskiego stronnictwa narodowego, jak niemniéj wszystkie znaczniejsze publikacye beletrystyczne były stanowczo po stronie obrońców autentyczności dawnych rękopisów i że wiele z pomiędzy tych pism z wielką energią, z niemniejszą zręcznością wystąpiło przeciwko napastnikom. Do nich należały przedewszystkiém „Narodni listy“, których właściciel d-r Juliusz Gregr namiętnie potępił początkowanie panów Masaryka i Gebauera; redagowany przez p. Vlčka miesięcznik „Osvěta“, umieścił najwięcéj i to najgruntowniéj napisanych artykułów, poświęconych obronie dawnych rękopisów. Nic więc dziwnego, że znakomita większość publiczności czeskiéj stanęła po stronie obrońców autentyczności dawnych rękopisów, a całą przez pp. Masaryka i Gebauera prowadzoną opozycyą napiętnowała stanowczo jako czyn niepatryotyczny. Głosy odzywające się wśród szerszéj publiczności, powinny tu być zanotowane, bo mówiło się nierównie więcéj i ważniejszych rzeczy aniżeli pisano w gazetach i czasopismach. Należy tu zaznaczyć, że patryotyczne oburzenie w kołach prawdziwych czeskich patryotów, jest o wiele większém aniżeli o tém donoszą dzienniki. Publiczność ukształcona potępia tak stanowczo i wyraźnie postępowanie panów profesorów uniwersytetu czeskiego, że pod tym względem potępieni nie mogą mieć żadnéj wątpliwości.

Uważano dotychczas utworzenie uniwersytetu czeskiego w Pradze za jedną z najważniejszych zdobyczy narodowych; ale w opinii ogółu była przytém dokładna świadomość, że nową instytucyą prze-

niknąć musi duch prawdziwie patryotyczny, jeżeli to ma być istotnie zdobycz wyższéj doniosłości narodowéj. Wszyscy żywili to przekonanie, że rozsadnik najwyższéj oświaty naukowéj powinien być również rozsadnikiem prawdziwych uczuć patryotycznych, jeżeli ma w zupełności odpowiedziéć swemu wysokiemu przeznaczeniu. Miała więc publiczność własne poglądy na stanowisko i zadania życiowe profesorów téj nowéj wszechnicy narodowéj: mniemała, że wszyscy powinni być wzorami prawdziwego patryotyzmu. I na cóż ogół musiał patrzéć, co usłyszał w 1886 r. po trzyletniém zaledwie istnieniu wszechnicy narodowéj? Oto cały zastęp owych wyglądanych patryotów usiłował w pocie czoła, wśród okrzyków radości naszych przeciwników narodowych, jąć się znów tego samego dzieła, które przed 30 laty rozpoczęli nasi wrogowie w celu podkopania narodowéj egzystencyi Czech. Przed 30 laty odparliśmy szczęśliwie te napaści, a teraz wystąpił nieprzyjaciel w naszym własnym obozie pod pozorem, że walczy za cześć i dobrą sławę narodu czeskiego.

Nie jestem bezwarunkowym rzecznikiem klasycznego przysłowia: *Vox populi vox Dei!* ale tym razem ów *vox populi* miał u nas doniosłość nie do pogardzenia i pp. profesorowie uniwersytetu czeskiego ugięli się też pod naciskiem publicznego oburzenia, jak się to poniżéj okaże. Masaryk, którego powszechnie uważano za właściwego inicyatora sporu i Gebauer, znany jako posłuszne narzędzie pierwszego, byli głównemi przedmiotami objawiającego się wszędzie otwartego rozgoryczenia. Ci dwaj towarzysze niedoli nie chcieli znosić swego niepowodzenia bez podziału, ale uważali za stosowne część brzemienia zrzucić na barki tych, którzy, jak im się zdawało, mieli obowiązek dzielić nieprzyjemności niechęci publicznéj. Ze sporu o autentyczność rękopismów wyrodziła się w lipcu 1886 roku kwestya, kto właściwie był pierwszym inicyatorem tego sporu, przyjętego przez szerszą publiczność z tak silném oburzeniem. I oto wyszły na jaw opłakane szczegóły o wzmiankowanych wyżéj naradach między profesorami Gebauerem, Kvičalą i Masarykiem. Nastąpiła nowa polemika; Gebauer i Masaryk z jednéj strony utrzymywali: My obaj nie bylibyśmy nic wszczynali, gdyby nam nie był doradzał Kvičala, albo ściśléj mówiąc, gdyby Kvičala był odradził; ale Kvičala namawiał, więc on jest właściwym inicyatorem całego nieprzyjemnego sporu. Kvičala z drugiéj strony stanowczo przeczy temu twierdzeniu i utrzymuje, że jedynie proponował, ażeby wybrano ściślejszy komitet z ludzi fachowych w celu załatwienia całéj sprawy poufnie, zanimby cokolwiek wyszło przed *forum* publiczne. Tę propozycyą odrzucili jakoby obaj towarzysze Kvičali, który też umywa ręce od odpowiedzialności za wszystko, cokolwiek się późniéj stało i nic nie

32*

chce mieć z tém wspólnego. *Notabene* polemika między trzema panami profesorami jeszcze nie jest zamkniętą, a szczególne ma w niéj znaczenie okoliczność, że w czerwcu 1886 r. z inicyatywy rady zarządzającéj muzeum czeskiego dokonane zostało chemiczne i mikroskopijne badanie rękopisu królodworskiego, przez dwóch profesorów chemii, uznanych pod tym względem za powagi, Šafařika i Lercha. Wynikiem tego badania, przeprowadzonego z największą ścisłością, było orzeczenie: *że rękopis królodworski nie jest żadnym w XIX wieku sfabrykowanym falsyfikatem, lecz dawnym manuskryptem.* Protokół spisany o tém badaniu nie został wprawdzie jeszcze ogłoszony, ale rezultat jest powszechnie wiadomym i zdaje się, że był właśnie powodem téj nieprzepartéj skłonności pp. Masaryka i Gebauera do podziału z innemi sławy początkowania w sprawie napaści na autentyczność rękopisów.

Nie mam bynajmniéj zamiaru mieszania się w prywatny spór trzech profesorów czeskich, ale muszę tu jeszcze nadmienić, że prof. Gebauer jest autorem staroczeskiéj gramatyki i że jego napaści na autentyczność starych rękopisów oparte są głównie na wykazaniu zboczeń od zasad, postawionych przez profesora w jego gramatyce staroczeskiéj. Bądź-co-bądź w tym szturmie na przeznaczoną do zdobycia warownię Gebauer operuje ciężką artyleryą oblężniczą, gdy tymczasem Masaryk ze swemi socyologicznemi wątpliwościami, Goll ze swemi historycznemi zarzutami i Hostinsky z krytyką estetyczną, strzelają przy nim, jakby dla zabawki z lekkiéj broni ręcznéj, a matematyk Seydler puszcza im po za plecami swoje rakiety, które przyjaciela raczéj aniżeli wroga zastraszyć by mogły. Gebauer jest jedynym przeciwnikiem, którego trzeba brać na seryo i którego natarcia stanowczo powinny być odparte przez obrońców autentyczności, jeżeli ten nowy spór o dawne rękopismy ma się równie zwycięsko skończyć, jak się zakończył w 1862 r. I zdaje się, że przeznaczoném jest ówczesnemu zwycięzcy wyrzec ostatnie decydujące słowo: były minister oświaty, Józef Jireček, pracuje znowu nad obroną autentyczności rękopisu królodworskiego i spodziewamy się, że potrafi gruntownie wyświecić wszystkie postawione przez Gebauera wątpliwości gramatyczne, co zapewne ostatecznie zakończy i ten drugi spór o autentyczność najstarszego pomnika literatury czeskiéj.

A teraz, niech mi wolno będzie wyprowadzić wnioski tak z tego przykrego epizodu naszego narodowego rozwoju.

Przedewszystkiém muszę nadmienić, że nie należę bynajmniéj do tych, którzy autentyczność rękopisów królodworskiego i zielonohorskiego uważają za zasadniczy warunek istnienia narodowego i pomyślnego rozwoju narodowego życia. Sądzę, że naród czeski

stałby na tym samym punkcie, na którym dziś stoi, choćby oba stare rękopisy nie były znalezione w 1817 r. Ale znaleziono je szczęśliwie i doniosłość ich dla cywilizacyjnego rozwoju naszego narodu nie ulega wątpliwości. Nasi narodowi przeciwnicy podali w powątpiewanie autentyczność rękopisów, chcąc tym sposobem podkopać cywilizacyjne znaczenie naszego narodu. Autentyczność została świetnie wykazaną i naród czeski z nabożeństwem czcił swoje prastare poematy jak narodową świętość. Przypuściwszy teraz, że uczeni pp. profesorowie wszechnicy czeskiéj znaleźli, dzięki swéj erudycyi, niezbite na to dowody, iż owa czczona dotychczas świętość narodowa jest tylko ułudą, mamidłem, to mieli by niewątpliwie obowiązek powiedziéć to otwarcie narodowi i wyższy swój rozum, lepsze rzeczy pojęcie uczynić wspólném jego dobrem. Ale jeżeli ci uczeni panowie tak postępują, że wprawdzie każdy musi wyraźnie dostrzedz ich naprzód powziętą intencyą zniszczenia uroku narodowéj świętości, nie widząc równie wyraźnie powodów, dla których to zniszczenie uważają za potrzebne i nieuniknione, to rzecz nabiera zupełnie innego charakteru (1).

Nasz teatr narodowy należy niewątpliwie do najlepiéj urządzonych w Europie, jakkolwiek nie ma pretensyi liczyć się do pierwszych teatrów wielkich miast i rezydencyi. Kiedy się pomyśli, że przed 50 laty uważano Czechów za naród martwy, to taki teatr czeski jest bądź co bądź pełnym znaczenia objawem życiowym tego narodu, tém bardziéj, że Czesi dźwignęli ten pomnik własnemi środkami ze składek dobrowolnych. Zbytkownie urządzony i równie zbytkownie utrzymywany teatr, ma jeszcze w rozwoju naszego narodowego życia inne znaczenie, którego lekceważyć nie należy. Dowodzi on, że od lat 50 podnieśliśmy się pod względem społecznym o jeden szczebel wyżéj i że dziś już nie można utrzymywać, jakoby Czesi byli tylko *plebsem*, gminem w swoim kraju. Przed 50 laty istniał również w Pradze teatr czeki, tj. w niedziele i święta grywano popołudniu w niemieckim teatrze po czesku, a elegancka publiczność niemiecka kręciła w wieczór nosem i prawiła o zatrutéj atmosferze. Obecnie musi owa niemiecka publiczność przyznać, że czeski teatr narodowy jest pod każdym względem wytworniejszym i piękniejszym od niemieckiego, a jasna i wygodna sala, wspaniałe *foyer* i wybornie urządzone miejsca wabią do teatru czeskiego, niemiecką publiczność, że już nie będę rozwodzić się nad wystawą granych w nim sztuk,

(1) Korespondent nasz, jako obrońca autentyczności rękopismów, przedstawił sprawę tę z jednéj tylko strony; redakcya pomieści niebawem artykuł, który ją z drugiéj, pod względem naukowym oświetli. (*Przyp. Red.*)

o wiele piękniejszą aniżeli w teatrze niemieckim. Czesi posiadający taki teatr nie są już *plebsem*, gminem w oczach Niemców, bo teatr ich ma stanowczo arystokratyczne formy, słowem przedstawia najwymowniejszy dowód, że naród czeski dźwignął się z głębokiego poniżenia, w które go niegdyś wielkie niepowodzenia wtrąciły i że szczęśliwie ominął niebezpieczną skałę, o którą rozbić się mogła jego narodowa nawa przed dopłynięciem do portu bezpiecznéj narodowéj egzystencyi.

Naród czeski był bardzo skłonny do hołdowania krańcowo-demokratycznym dążnościom nowszych czasów i do uznawania w tych dążnościach celu swego politycznego rozwoju. Dwa momenty miały pod tym względem szczególne znaczenie: po pierwsze, husyckie wspomnienia, powtóre, społeczne stanowisko w obecnéj chwili. Zredukowano naród czeski do rzeczywistego *plebsu*, nic więc naturalniejszego nad to, że chciał on jako *plebs* dojść do politycznego znaczenia, co w zupełnéj było zgodzie z nowoczesnemi demokratycznemi teoryami i dążnościami, które mu do tego celu wskazywały drogi i środki. W tym samym zupełnie duchu wysławiano czasy Hussa jako najświetniejszą epokę życia narodowego Czechów i jego politycznego znaczenia w Europie; naród bowiem czeski miał swoję demokratyczną rewolucyą na 400 lat przed Francuzami, a przy ówczesnym zasobie swoich sił materyalnych, był postrachem całéj Europy środkowéj. Krańcowo-demokratyczny program nowych czasów wydawał się więc bardzo wielu szczerym patryotom, prawdziwym politycznym programatem narodu czeskiego. Otóż nie podlega najmniejszéj wątpliwości, że naród czeski trzymając się konsekwentnie tego programatu byłby na szwank naraził, lub zgoła uniemożliwił główny cel, swoich narodowych dążności, mianowicie zabezpieczenie sobie narodowego bytu, bo w takim razie stanęły by przeciwko narodowi czeskiemu, jako zasadnicze przeciwniczki, dwie potęgi, których skojarzonemu działaniu, Czesi z konieczności uledzby musieli i które w ostatnich czasach zdobyły sobie wpływ decydujący na ukształtowanie stosunków publicznych w Europie środkowéj—potęgi te to konserwatyzm polityczny i polityczno-państwowe stanowisko narodu niemieckiego. Wystawmy sobie tylko te dwie potęgi występujące przeciw małemu narodkowi czeskiemu jako reprezentantowi nowożytnego demokratycznego husytyzmu, a nie oprzemy się przekonaniu, że ostateczne zwycięstwo nie mogłoby być po stronie narodu czeskiego. W takim razie, naturalną koleją rzeczy żywioł niemiecko-narodowy, z którym i tak prowadzić musimy ciężką walkę o narodowe i polityczne równouprawnienie, stanąłby przeciwko nam w dobrze zrozumianym własnym interesie, jako element zachowawczy

w państwie i w społeczeństwie, a nasze istnienie narodowe wydałoby się nietylko groźbą dla austryackiéj monarchii, ale pożądanym do pochłonięcia objektem dla niemieckiego państwa narodowego. Tu szukać trzeba powodu, dlaczego tak dla nas wroga, niemiecka partya narodowa w Austryi żywi wyraźne sympatye dla naszych demokratów i marzycieli husyckich, którzy nieświadomie i bez intencyi prowadzą wodę na młyn niemiecki. I gdyby nasze polityczne przymierze z zachowawczemi Niemcami w Austryi potrzebowało jeszcze usprawiedliwienia, to szukaćby go należało w przytoczonych wyżéj spostrzeżeniach, które również popierają twierdzenie, że nasz arystokratycznie-zbytkowny teatr narodowy ma niezaprzeczone polityczne znaczenie.

Idzie teraz tylko o to, ażeby się ów teatr na téj wyżynie utrzymał, na którym stanął w ciągu krótkiego czasu swego istnienia. Ekonomiczny zarząd teatru sprawuje nie prywatny przedsiębiorca, lecz konsorcyum patryotycznie usposobionych miłośników sztuki. Z natury swojéj takie konsorcyum pracuje i działa nie z zamiarem osiągnięcia zysku pieniężnego, ale raczéj dąży z poświęceniem czasu i pieniędzy do postawienia teatru czeskiego na stopie wzorowéj instytucyi artystycznéj. Teatr czeski, jako druga scena krajowa, otrzymuje z funduszów krajowych 25.000 fl. rocznéj subwencyi, rząd austryacki ani gmina prazka w niczém się do tego nie przykładają. Znajdują się wprawdzie w Niemczech miasta podtrzymujące swoje miejskie teatry znacznemi pieniężnemi subwencyami (Wrocław 80.000 marek, Frankfurt n. M. 120.000 marek, Magdeburg 40.000 marek, woda i gaz; Norymberga, Augsburg, Lipsk, Kolonia od 40.000 do 100.000 marek); niektóre miasta w Austryi mają w swoich teatrach własny zarząd, jak np. Berno, Teplice, Liberec, Karolowe-wary. W Pradze oba teatry są teatrami krajowymi, ale nie w ten sposób, żeby kraj miał je prowadzić pod swoim zarządem, lecz oddają się poniekąd w dzierżawę; dzierżawcą teatru niemieckiego bywa zwykle prywatny przedsiębierca; czeskim teatrem zarządza, jak wyżéj powiedziano, konsorcyum. Gmina miejska w Pradze nie przyczynia się żadną pomocą do utrzymania teatru, tak że w ostatnich czasach na wniesione przez konsorcyum teatru narodowego podanie do prazkiéj rady miejskiéj o bezpłatne dostarczanie wody i gazu, miasto odmówną dało odpowiedź. Nie jestto zapewne ostatnie słowo prazkiéj reprezentacyi municypalnéj w téj sprawie; konsorcyum teatralne zrobiło już potrzebne kroki w celu wyjednania zmiany téj uchwały rady miejskiéj. I tak zresztą będzie musiało w tym razie rozstrzygać całe kolegium reprezentantów miasta, bezpłatne bowiem udzielenie teatrowi gazu i wody zmniejszy dochody gminy

o kilka tysięcy guldenów, a rada miejska może w kwestyach pieniężnych decydować samodzielnie tylko do wysokości 400 guldenów..

Utrzymanie czeskiego teatru narodowego kosztuje teraz dziennie, licząc w okrągłéj sumie 1000 fl. Ponieważ w roku przypada pewna ilość dni, w których przedstawienia odbywać się nie mogą, przeto potrzeba dochodu dziennego przeciętnie nieco więcej nad 1000 fl. dziennie, ażeby zarząd utrzymał się w aktywach. Prócz tego konsorcyum ma jeszcze do pokrycia passywa w wysokości mniéj więcéj 30.000 fl. z czasów budowy teatru. Wpływają wprawdzie jeszcze na ten cel dobrowolne składki dodatkowe, ale nie wystarczają do zupełnego pokrycia długu. Widzimy z powyższego, że zarząd teatralny musi myśléć o jaknajwiększych dochodach, co znów da się osięgnąć tylko przez pełną codzień salę. Wiadomo, że salę napełniają tylko tak zwane kasowe sztuki i na takich też utworach musi opierać się nasz teatr narodowy, chcąc koniec z końcem związać. Nazywa się to słusznie „równią pochyłą,“ po któréj stoczyć się można tam, gdzieby się właściwie znaleźć nie chciało. Ale potrzeba nie zna prawa; to też tak zwane wystawowe sztuki odgrywają teraz w naszym teatrze pierwszorzędną rolę. Balety „Excelsior,“ „Flik i Flok“, które pod względem przepychu wystawy zostawiają po za sobą wszystko, co się dotychczas w Pradze widziało, zapełniają widownię; pierwszy z nich grany był w ciągu roku 80 razy,—drugi, od 1 sierpnia 15 razy. Wszystkie opery przedstawiane są w czeskim teatrze z takim nakładem kostiumów, dekoracyi i komparseryi, że teatr niemiecki, nie może z nim współzawodniczyć; nawet w dramacie, wystawa stała się, że tak powiem, pierwszorzędnym warunkiem. Jestto bądź co bądź niebezpieczna pochyłość, bo wymagania publiczności rosną w miarę tego, co widzi, i właściwa artystyczna wartość przedstawienia dramatycznego, że już zamilczę o wewnętrznych pięknościach samego dzieła poetyckiego, musi przez to spadać w cenie. Zbytniéj surowości nie można tu jednak okazywać, bo dopóki widownia bywa zapełniona, właściwy cel jest osiągnięty, i dopóki szeroka publiczność wyraża swoje zadowolenie w brzęczącéj monecie, lub choćby tylko w papierowych banknotach, musi wszelka krytyka skromne zachowywać milczenie. Reżyserya jest ruchliwą—to rzecz główna,—a jeżeli w ten sposób zawsze będzie ruchliwą, trudno mieć coś przeciw temu do nadmienienia. W rezultacie większość widzów uczęszczających dziś do teatru, chce się tam rozerwać, a wzajemne oddziaływanie na siebie reżyseryi i publiczności teatralnéj w zakresie tego, co surowe umysły nazywają zepsuciem smaku, jest faktem nieustającym. Optymiści, a tych na szczę-

ście jest sporo, nie dręczą sobie zresztą głowy podobnemi rozmyślaniami, i tylko mniejszosć pesymistów przewiduje fatalną reakcyą. Oryginalna twórczość dramatyczna może, naturalnie, tylko wegetować i musi pocieszać się starożytnym wykrzyknikiem: *Hoc saeculum vocatur*! Mimo to wszystko nowy teatr narodowy czeski stał się. w ostatnich czasach miejscem, gdzie niemiecka i czeska publiczności rozdzielona nawet pod względem towarzyskim politycznemi namiętnościami, sięgającemi aż do miejsc rozrywek, wieczorem przynajmniéj razem spokojnie się gromadzi, nie zwracając uwagi na zakazy kilkakrotnie ogłaszane przez stronnicze dzienniki niemieckie, a jeżeli się u nas zdarza w dzisiejszych czasach, że Niemcy i Czechy siedząc przy sobie spokojnie w jedném miejscu, wspólnie dobréj rozrywki używają, to w naszych stosunkach jestto fakt, którego lekceważyć nie należy, a znaczenie jego staje się jeszcze donioślejszém, gdy to miejsce wspólnéj rozrywki jest instytucyą, którą Czesi sami stworzyli i za swoje własne dzieło uważać mogą.

Z tego samego powodu nie weźmie mi zapewne za złe czytelnik tych listów, jeżeli kilka słów powiem o innéin miejscu rozrywki w Pradze, o tak zwanéj „wyspie Zofii.“ Z małych przyczyn wynikają częstokroć wielkie skutki—sprawdza się to może i w tym razie. Wyspa Zofii leżąca w środku miasta, przedzielonego na dwie połowy rzeką Wełtawą, jest od początku bieżącego stulecia miejscem zabawy mieszkańców Pragi. Pierwiastkowo była tu skromna piwiarnia, a dopływało się do wyspy nader pierwotném czólnem. Późniejszy właściciel wybudował tu ładny lokal restauracyjny, urządził kąpiele, a wyspę przekształcił na mały park, do którego przez most wygodnie dojść można. W pewne dni grywała tu orkiestra wojskowa, i wyspa była wtedy licznie nawiedzana bez różnicy narodowości. Tak było aż do końca r. 1884, kiedy po śmierci właściciela kupiła wyspę gmina miasta Pragi. Municypalność prazka jest od kilku lat wyłącznie czeską, z powodu że Niemy dobrowolnie się od niéj odsunęli, straciwszy w kolegium miejskiém większość. Praga liczy przeszło $^4/_5$ czeskiéj, a zaledwie $^1/_5$ niemieckiéj ludności. Otóż studenci niemieccy urządzali na wyspie należącéj już do gminy miejskiéj niemiecko-narodowy festyn, a rada miejska nie pozwoliła na przyozdobienie wyspy niemieckiemi flagami trójkolorowemi. Stąd wielkie między Niemcami oburzenie, choć może nie między wszystkimi, a następnie wydane przez wszystkie niemieckie stronnicze organa surowe wezwanie do mężów i niewiast prawdziwie niemieckim ożywionych duchem, ażeby na wyspę Zofii nie chodzili. Rada miejska nie czuła się zbytecznie zaniepokojoną, tą klątwą, rzuconą przez Niemców na wyspę, zamierzała bowiem przedsięwziąć na niéj przebudowy i upię-

kszenia, tak że wyspa przez kilka miesięcy była wogóle zamknięta dla publiczności. Przeróbki zaczęły się w r. 1885 r. a skończyły dopiero w czerwcu 1886. Pod względem upiększeń, wiele istotnie zrobiono. Budynek restauracyjny został rozszerzony i o wiele lepiéj, wytworniéj urządzony. Mieści się w nim obecnie na pierwszém piętrze sala do tańca tak wielka i gustownie przybrana, że o podobną trudno nawet w Wiedniu. Szpalery w parku zupełnie zostały przekształcone; nareszcie, pewien prywatny przedsiębierca, naturalnie Czech, zaspokoił żywione oddawna przez mieszkańców środkowego miasta pragnienie, utworzywszy dostępny od strony wyspy zakład pływacki dla mężczyzn i kobiet. Pod koniec czerwca wszystko było gotowe i dostęp do wyspy otwarto dla publiczności. W niemieckich dziennikach stronniczych ukazały się natychmiast wznowione wezwania do dobrze myślących Niemców, żeby na wyspę Zofii, ogłoszoną jako wyłącznie czeską, nie chodzili. Z początku wpływ tego zakazu był widoczny, Niemcy trzymali się zdaleka; ale wygodne położenie nowéj szkoły pływackiéj zbyt było nęcące i niebawem można było czytać w niemieckich prowincyonalnych dziennikach korespondencye z Pragi, w których denuncyowano, tę lub ową osobistość, znaną w publicznem życiu jako należącą do partyi niemieckiéj, że mimo wyraźnego zakazu bywała w czeskiéj szkole pływania, a więc i na wyklętéj wyspie. Zdarzały się z tego powodu rzeczy wprost śmieszne; niemieckie rodziny przychodziły na wyspę w rannych godzinach, ażeby przez innych nie być widzianemi, niemieccy dziennikarze ukazywali się w dnie kiedy grywała muzyka, w celu zlustrowania przechadzającéj się publiczności. Nareszcie zwyciężyła, niechcę powiedziéć ciekawość, ale po prostu zdrowa logika; od wielu już tygodni na piękną wyspę Zofii i do tamtejszéj dobréj restauracyi, jak niemniéj do czeskiéj szkoły pływania uczęszczają bez różnicy Czesi i Niemcy, nie wywoławszy dotąd w niemieckich dziennikach żadnego wznowionego zakazu, zgłosiła się nawet do restauratora liczna deputacya od niemieckiego chóru męzkiego, w celu obejrzenia sali i wypróbowania jéj akustyki i wypowiedziała bez ogródek, że nie omieszka spożytkować do swoich muzycznych produkcyi téj nietylko wspaniałéj, ale akustycznie dobrze urządzonéj sali. Lody więc przełamane i wyspa Zofii przez samych Niemców uznana za czeską, staje się miejscem wspólnego spotkania, a w przyszłości może wspólnéj rozrywki Niemców i Czechów. Wszystkie te rzeczy mogą się wydać drobiazgami, ale w naszych stosunkach nabierają niewątpliwego znaczenia, bo u nas chodzi przedewszystkiém o to, żeby rozdział między niemiecką i czeską ludnością, który agitatorowie niemieccy ciągle powiększać pragną, zmniejszał się o ile możności, a w końcu

znikł zupełnie, ustępując miejsca spokojnemu i przyjaznemu obok siebie pożyciu, tak w Pradze jak i w całych Czechach. Obecnie wprawdzie jesteśmy jeszcze dość daleko od tego celu, ale właśnie dla tego notujemy z radością najmniejsze objawy zbliżenia, i dla tego dokonane przez czeską municypalność w Pradze przekształcanie i upiększanie wyspy Zofii znalazło miejsce w tych listach, pisanych w celu obznajmienia czytelników ze wszystkiemi fazami, jakie jeszcze przechodzić będzie opłakana rosterka narodowa zanim, co daj Boże, skończy się nareszcie. Wszakże i największy, najbardziéj imponujący obraz składa się z pojedynczych, małych często sztrychów pędzla, i jak sądzę, podobnie się rzeczy mają z naszą rosterką narodowości; drobne malarskie szczegóły dają dopiero wielkiéj całości pożądaną dla widza jasność i plastykę.

W dniu 8 września 1886 r. odsłonięto uroczyście w mieście Pisek pierwszy pomnik naszego powszechnie cenionego historyka, pierwszego politycznego przywódcy, Franciszka Palackiego. Pomnik modelowany przez Wenzla i wykończony w pracowni snycerskiéj braci Duchačków w Pradze, przedstawia nam Palackiego w siedzącéj postawie, w rozmiarach 3 razy większych od naturalnych; wyrzeźbiony jest z Hořyckiego piaskowca (1).

Odsłonięcie było narodową uroczystością dla południowo-zachodnich Czech; z szlachty naszéj brali w niéj udział: marszałek krajowy, książę Jerzy Lobkowic, ks. Karol Schwarzenberg ze swoim synem, doktorem prawa, ks. Fryderykiem Schwarzenbergiem i baron Hildprandt. Wyliczenie nazwisk innych obecnych znakomitości, jak również szczegółowy opis festynu pomijam, sądzę jednak, że następujące wyjątki z mowy d-ra Riegera, obudzą w czytelniku zajęcie.

D-r Rieger powitany na trybunie burzą oklasków przez całe tłumne zgromadzenie, rozpoczął swoję mowę wśród niczém niezamąconéj ciszy.

„Przyjaciele, ziomkowie! Wśród historycznych wypadków, które się w téj naszéj prastaréj ojczyźnie spełniły, na téj arenie zaciekłych walk i wielkich czynów, w dziejach naszego niewielkiego wpraw-

---

(1) Frančiszek Palacky urodził się 14 czerwca 1798 r. w Hodslawicach, w Morawii, umarł w Pradze 26-go maja 1876 r. wkrótce po ukończeniu swego wielkiego dzieła historycznego „Dejiny naroda českého.“ Palacky zwykł był mawiać: z pochodzenia jestem Morawianinem, z narodowości Czechem. Był w tym narodzie, do którego odrodzenia umysłowego i politycznego, położył, że tak rzekę, kamień węgielny, pierwszym uczonym z europejską sławą. Był téż pierwszym politycznym przywódcą tego narodu od r. 1848, a wdzięczny naród czeski nadał mu charakterystyczne miano „Otec naroda.“

dzie, ale losami swemi wsławionego i ciężką dolą nawiedzanego narodu, występuje w ostatnich czasach fakt szczególnego znaczenia, fakt godny podziwu, który zwykliśmy nazywać odrodzeniem naszego narodu. Jest-to w istocie wypadek wielki, zdumiewający, niespodziewany w Europie i trudny do wyjaśnienia. Wojna 30-letnia ze swemi smutnemi następstwami wytępiła nasz lud do czwartéj części jego pierwotnéj liczby, zubożyła go zupełnie, wydarła mu wszystkie swobody i instytucye historyczne. Najzamożniejsze klasy narodu zostały z kraju wypędzone, a kraj sam dostał się obcym jako zdobycz, awanturnicy zbiegli się ze wszystkich okolic świata, miejscowa inteligencya musiała wywędrować na wygnanie, a lud został bez duszy, bez woli, niby kadłub pozbawiony rąk, głowy i ducha. Nic dziwnego, że wrogowie a nawet przyjaciele narodu czeskiego uważali go za martwy i że nieprzyjaciel nie uważał nawet za potrzebne krępować się względem niego obowiązkami ludzkości, gotowéj zawsze elegią wyśpiewać i łzę uronić na grobem tego, co niegdyś było wielkiém i sławném, nawet nad grobem wroga, który już szkodzić nie może.

„Naród nasz był wtedy bezwątpienia wszędzie za martwy uważany, gdy nagle powstał z nowemi siłami, z nowém życiem i z zupełném przeświadczeniem o swojéj żywotności, podniósł śmiało sztandar swoich praw dziejowych i narodowych i zażądał tego samego stanowiska, które posiadał niegdyś, które miał prawo utrzymać. Wtedy zmienił się niespodzianie obraz, jak gdyby mniemany nieboszczyk, leżący w śmiertelnéj koszuli, wstał nagle i ukazał się wśród tych, którzy go za umarłego uważali i wszystko już przygotowali do podzielenia między siebie tego, co po nim zostało.

„Nie możemy się dziwić, że dla domniemanych spadkobierców takie zmartwychstanie bardzo jest nieprzyjemném — i tak też było u nas, kiedy naród uchodzący za nieżywy, po długiéj niemocy odzywa się znów o swoje prawa do życia, o które tak długo nie mógł i nie śmiał się upominać. Cóż dziwnego, jeżeli takiemu narodowi odmawiają żywotności ci, którzy znajdują się już w posiadaniu tego, co doń z prawa należy? Ale nie tylko wrogowie, lecz i ci, co nie mają żadnego powodu źle nam życzyć, lub prześladować nasz naród niechęcią i zawiścią, nie chcieli wierzyć w jego niespodziane odrodzenie. Cała Europa wątpiła o zmartwychwstaniu czeskiego ludu, a nasi przyjaciele, radujący się tym wypadkiem, nie mogli tego pojąć. Niejednokrotnie słyszałem z ust ukształconych Polaków i Rosyan słowa zdumienia nad nadzwyczajnością tego wszystkiego, co naród nasz zdziałał w ciągu 50 lat na polu narodowego rozwoju, życia kulturowego i politycznego i co po prostu wydaje się jak cud niepojętém.

„Panowie! nie jest-to cud, bo cudem nazywamy wypadek wywołany nadnaturalnemi przyczynami; nie mniéj jednak możemy powiedziéć, że to, co się u nas stało, do cudu jest podobném i że tylko dzielni mężowie, obdarzeni sercem pełném miłości dla swego narodu, mężowie silnéj woli i żelaznego wytrwania mogli dokonać dzieła, które—według ogólnego zdania—stoi na równi z cudem.“

Rieger wykazuje, że Palacky był takim cudotwórcą, i to jednym z najpierwszych i najlepszych, i wymownemi słowy wylicza wielkie, nieśmiertelne zasługi jego, położone około politycznego i duchowego odrodzenia narodu czeskiego.

O politycznéj działalności słynnego historyka mówił Rieger jak następuje:

„Przed r. 1848 obcował Palacky wiele ze szlachtą czeską, która przy swojém ówczesném opozycyjném dążeniu przeciwko biurokratycznemu i centralistycznemu rządowi w Wiedniu, prosiła go często o rady w kwestyach prawa historycznego i dziejów Czech. Przedstawiał w tych kołach swoje idee, które też w zmienionéj formie występowały w ówczesnym sejmie stanowym. Czeskiéj arystokratycznéj opozycyi chodziło o to, żeby na podstawach dziejowych przekształciło się przedstawicielstwo krajowe, żeby mieszczaństwo i stan włościański otrzymał również odpowiednią reprezentacyą.

„Przyszedł rok 1848, a z nim przewrót w publicznych stosunkach. Palacky uchodził wówczas powszechnie za narodowego przywódcę Czechów, za przedstawiciela ich żądań, a kiedy we Frankfurcie utworzył się tak zwany komitet pięćdziesięciu w celu zwołania niemieckiego parlamentu narodowego, zwrócono się przedewszystkiém piśmiennie do Palackiego i proszono go, żeby swoim wpływem nakłonił Czechów do obesłania parlamentu frankfurckiego. Wtedy— i jest to może najznakomitszy czyn polityczny Palackiego — odpowiedział on stanowczo odmownie frankfurckiemu komitetowi pięćdziesięciu w piśmie, które pozostanie wiekopomném i w którém wykazał konieczność istnienia państwa austryackiego dla wszystkich ludów austryackich. W tym memoryale na podstawie dowodów historycznych wykazywał, że państwo austryackie nie było i nie może być nigdy przydatkiem do Niemiec, satelitą niemieckiego państwa,— lecz że dla dobra wszystkich swoich ludów musi zostać państwem samoistném.

„Tym sposobem Palacky pierwszy sformułował program narodowo-czeski i austryacko-polityczny, przy którym dotąd wiernie i silnie stoimy i którego bronimy od trwających dotąd jeszcze napaści. Palacky wskazał nam drogę, którą iść mamy, określił, że tak powiem, samoistność królestwa czeskiego i samoistność monarchii au-

stryackiéj. Ten jego czyn nigdy nie będzie zapomniany. Teki ministeryalnéj, ofiarowanéj sobie późniéj, nie przyjął, nie przestawał jednak pracować dla swego narodu na polu politycznėm. We wszelkich sprawach politycznych i narodowych był Palacky uznanym przez wszystkich przywódcą narodu czeskiego, naszym sternikiem, u którego zawsze szukaliśmy rady i pomocy, na którego silnym, nieustraszonym charakterze mogliśmy oprzéć się zawsze z zupełną ufnością. Był dla nas ojcem i ojcem nazywał go cały naród, a zasłużył na tę nazwę, bo całe życie swoje poświęcił narodowi i nie ustawał w działalności dla jego dobra, w walce za święte prawa Czechów.

„Kiedy zbliżyła się godzina zgonu, stałem przy jego łożu, a w chwili rozpoczęcia ostatnich ze śmiercią zapasów ścisnął mi silnie rękę i ostatnie jego słowa były: *„Riegerze, pomóż do zwycięstwa!“* Te słowa są dla mnie świętym testamentem, który i wam, wierni synowie, wierne córy naszego narodu obwieszczam. I wy pamiętajcie o ostatnich słowach Palackiego i pomóżcie do zwycięztwa. Połączonemi siłami cel nasz osiągniemy!“

Słowa Riegera, przyjęte 8 września w Pisku ogólnym pełnym zapału poklaskiem; znalazły też niewątpliwie odpowiedni oddźwięk w sercach całego narodu czeskiego. Jeżeli usuniemy nasze drobiazgowe osobiste niesnaski i zaprzestaniemy zwad dziennikarskich, prowadzonych wprawdzie tylko dla interesu zawodowego, ale niemniéj szkodliwych dla narodowéj, tyle pożądanéj solidarności, jeżeli natomiast siłami istotnie połączonemi zdążać będziemy do wspólnego celu, do zdobycia poszanowania dla naszych praw narodowych,— zwyciężymy niezawodnie, może nie w tym zakresie i duchu, jak o tém myślał, jak tego pragnął nasz niezapomniany przywódca, ojciec Palacky, ale bądź-co-bądź zwyciężymy!

Praga 10 września 1886 r.

Dr. Gabler.





SZKOŁY HISTORYCZNE W POLSCE.

(Główne kierunki poglądów na przeszłość).

V.

Nowe uogólnienia, podjęte przez Szujskiego i Bobrzyńskiego.

Nagromadzony w licznych monografiach, a niedostępny dla powszechności materyał, wywołał potrzebę nowego przedstawienia całości dziejów, o co od czasu ukazania się dzieła Morawskiego w przeciągu lat ośmiu nikt się nie kusił. Zadośćuczynić potrzebie zamierzył młody uczeń Helcla, profesor historyi prawa polskiego w uniwersytecie jagiellońskim, Michał Bobrzyński; jednocześnie jął się pracy i starszy od niego Szujski, Bobrzyński wytłoczył w r. 1879 *Dzieje Polski w zarysie*, które się rychło powtórnéj, znacznie zwiększonéj doczekały edycyi; Szujski w r. 1880 ogłosił *Historyi polskiéj treściwie opowiedzianéj ksiąg dwanaście*. Gdyby autorowie poprzestali na zsumowaniu rezultatów ostatnich badań i podaniu ich publiczności w kształcie dostępnym, jednoczesne prawie ukazanie się nawet dwóch książek podręcznych, oprócz doniosłości informacyjnéj, innegoby znaczenia nie miało; że względy pedagogiczne usunęli na plan podrzędny i formy elementarza szkolnego użyli do wypowiedzenia osobistych na przeszłość poglądów,—prace ich obudziły śród fachowców zajęcie, historyograficznym stały się faktem. Dzieła obu autorów sformułowały poglądy dziejopisów, grupujących się około Akademii umiejętności, pierwszy raz zamanifestowały dobitnie tak zwaną szkołę historyczną krakowską.

Nim Szujski, dosiadujący kolejno—według własnego wyznania—„wszystkich biegunów z wspaniałéj naszéj masztarni rycersko-poetycznéj,“ skrystalizował w sobie ostateczny pogląd na dzieje, doś-

wiadczył w materyi religijnych i społecznych przekonań fazy przejściowéj. W r. 1860 hołdował poglądom Wróblewsekigo, był demokratą szlachcicem. „Jeżeli mamy, pisał (1), wiernie stanąć na przeszłości, to tylko na szlacheckiéj stanąć możemy, bo szlachecka przeszłość jest jedynie i wyłącznie przeszłością narodu. Wiele w niéj było grzechu, ale w niéj tylko było sumienie, prowadzące do poprawy i przetworzenia się, w niéj duch niesamolubnego poświęcenia się, w niéj patryotyzm nie kasty, lecz narodu. Ale silniejszym dowodem, niż wszelkie historyczne dedukcye, jest sama natura szlachty dzisiejsza. Szlachta jest alfą i omegą narodu, bo ona jedna posiada tajemnicę przypodobniania sobie nieszlacheckich, a nawet obcych żywiołów; bo ona sama jedna daje rękojmią przyszłości, garnąc do siebie i podnosząc do swojéj sfery nieszlachecką inteligencyę; bo jéj idea jest ideą podniesienia wszystkich żywiołów krajowych do godności i uczestnictwa w obywatelskiém życiu.“ Wróg, tak arystokratycznéj starowierczości, jak i ultraliberalnego racyonalizmu, — „starowierczość, wołał i racyonalizm postępowy zarówno zgubne wydały owoce, zarówno sprzeciwiają się najszczytniejszéj idei narodu: idei szlachectwa.“ Wierzył Szujski na równi z Lelewelem w odwieczność polskiego demokratyzmu, który wywodził z pierwocin słowiańskich; poniewieraniu w rzeczypospolitéj żywiołów plebejskich przypisywał upadek. Z takimi poglądami przystąpił do kreślenia *Dziejów Polski* (1862—66), które optymistyczném ozdobił godłem: „Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!“

Jako dziejopis wiernym pozostał Szujski zaznaczonéj przez Wróblewskiego misyi Polski zaszczepiania śród innych ludów znamion słowiańskiéj zacności. „Polska miała dwojaką misyę, widocznie od Boga zakreśloną: miała bronić chrześcijaństwa od nawały wschodu i apostołować wschodowi; miała rozwijać słowiańskie ludy... strzegąc ich narodowéj właściwości przeciw zaborczéj idei pangermanizmu. Téj dwojakiéj misyi odpowiedziała Polska piastowska w ciągu pięciu wieków. Wywalczywszy sobie wielkość w czasach Bolesławów, wytknąwszy w tradycyi narodu kierunki działania swego, odparłszy Niemców, przyłączywszy bratnią Ruś a Pomorze i część Prus shołdowawszy, zdobyła sobie stanowisko olbrzymie... Wypełniła pod Jagiellonami tęż samę misyą, którą miała od początku. Nawróceniem Litwy, zaprowadzeniem unii, bojem z Tatarami, stanowiskiem obronném przeciw Turcyi, odpieraniem moskiewskiéj szyzmatyckiéj nawały służyła chrześcijaństwu katolickiemu, zachodniéj oświacie“ (I, 292. II, 339). Widzi Szujski niezrównaną pod każdym

---

(1) Portrety przez Nie-Van-Dyka. Lwów, 1861, str. 17.

względem wyższość Polski nad państwa zachodu; podziela mniemania poetów, którym się podobało przezwać ją apostołem ludzkości. Nie sterawszy sił młodych w walkach duchowych zachodu, nienarażona na deziluzye podczas krucyat i schyzm papieskich; zachowała Polska dłużéj, niż Europa, silną wiarę i dłużéj była krzyżowym chrześcijaństwa rycerzem. Gdy cesarstwo niemieckie rozminęło się ze swoją misyą i upadło moralnie, Polska wzniosła się, jako przyszłe *antemurale christianitatis* (I, 52. II, 292). Wniosła w świat chrześcijański obfitość myśli wyższych nad wiek... W XVI stuleciu wskazała światu przykład wolnych instytucyi, niepraktykowanych naówczas nigdzie; wydała świetny owoc liberalizmu i cywilizacyi—tolerancyę religijną, poszanowanie każdéj właściwości narodowéj i wszelkich tradycyi. „Polityka Jagiellonów sumienna, chrześcijańsko-moralna, odbijająca tak świetnie przy przewrotności sąsiadów, błyszczy, jak światło przyszłości" (II, 5, 339). Lecz odgrywanie roli podniosłéj narażało Polskę i na klęski straszliwe. Prace Bolesławów „przypłaciła dwuwiekowym upadkiem (1139—1296), który nie był czém inném, jak wewnętrzną walką z żywiołami pokonanymi fizycznie, ale nie moralnie... Wtedy pada co chwila ofiarą Tatarów, Rusinów, Litwy, Prusów i gorszych od nich Krzyżaków i Brandeburczyków.. Służy chrześcijaństwu jako ofiara, jako męczennica, rzucająca się pod stopy nawałowi wschodu, aby w krwi jéj nasycił swoje dzikie pragnienie" (I, 292). Na ruchach szlacheckich za Ludwika i Jagiellonów zyskiwał naród, ale przyszłość państwa traciła. „Zakreśloném widać było od Opatrzności, aby się u nas naród rozwijał na niekorzyść państwa, praktykował idee wolności, o wiele wiek uprzedzające, a pod wpływem ich życiodajnego fermentu rozwijał w sobie siły indywidualne w nieskończoność" (I, 294). Niepotrafiła się rzeczpospolita przekształcić w dobie reformacyi, obumarłą została dla postępu europejskiego i to ją przyprawiło o zgubę. „Katolickie myśli unii, podbicia Moskwy, walki z Turkami pozostały w głowie szlacheckiéj w spokojném sąsiedztwie z całym szlacheckim kodeksem wolności, na który się papieże i cesarze, a z drugiéj strony monarchiści i politycy nowéj Europy z wstrętem i podziwem, jak na raroga patrzyli. Stąd Europa nowa, tak racyonalna, jak katolicka, nie mogła się nigdy porozumiéć z tym dziwotworem państwa, które wolnomyślnością swych instytucyi wyprzedziło najśmielszych liberalistów, a zaśniedziałością średniowiecznych dążeń uchodziło za Chiny. Stąd nareszcie jeden i drugi obóz europejski, zeszedłszy się z sobą na śliskim i płytkim gruncie ośmnastowiecznéj niemoralności, gdzie absolutyzm podawał rękę cynicznéj filozofii rewolucyjnéj, przyszedł do przekonania, że Polska jest zawadzającą na świecie mumią" (III, 6). Długo

Szujski zdaje się wahać, czemu winę upadku przypisać: niemoralności gabinetów ówczesnych, czy życiu Polski odśrodkowemu i decyduje się w końcu na czynnik ostatni. Oczywiście zrywał ze szkołą Lelewelowską, gdy następujące z przeszłości wysnuwał prawdy: „Każdy naród i każde społeczeństwo ludzkie zależnemi są od pewnych warunków ładu, sprawiedliwości na wewnątrz a potęgi na zewnątrz, których nie wypełniwszy, tracą siłę rozwoju, niezawisłość i niepodległość. Nie uwalnia ich od tych warunków żadna idea wyższa, choćby najszczytniejsza, bo dla téj idei trzeba wynaleść formę wystarczającą. Nie uwalnia wzgląd na czas i wiek, bo własnością idei twórczéj jest przerastanie wieku i czasu. Czyniła to Polska za Jagiellonów i pierwszych królów elekcyjnych dzielnością szlacheckiego narodu. Powstawała z pieluch lub dźwigała się z upadku dzielnością Chrobrych i Łokietków, a w chwilach obumierania nawet objawiała tęsknotę do zorganizowania się i zestrzelenia sił dyktaturą konfederacyi z jednéj, dążeniami monarchicznemi z drugiéj strony, które się zeszły w jéj testamencie politycznym dnia 3 maja 1791... Upadek rzeczypospolitéj spowodowała własna nasza kilkowiekowa wina... (IV, 723).

Zarzucala Szujskiemu krytyka republikańska naciąganie przeszłości na korzyść teoryi monarchicznéj, słuszności jednak całkowitéj nie miała. Zdarzają się w dziele—w ogóle dość chaotyczném i deklamatorskiém—pretensye do reformacyi, że „nie zbudowała rozsądnéj i karnéj konstytucyi;" do katolicyzmu, że nie stworzył nieograniczonéj monarchii (II, 327); lecz trafiają się również i utyskiwania na tron, że służył reakcyi religijnéj i absolutyzmowi jezuickiemu, a zachowywał się nieprzyjaźnie względem narodu, wyznającego tolerancyę i wolność (III, 106). Trzydziestoletni naówczas dziejopis nie owładnął należycie materyałem, nie sformułował dokładnie poglądów. Naturę jego poetyczną porywała idea misyi, liberalizmu i wolności; z drugiéj strony uderzały go czynniki dezorganizacyjne, na które w silnym rządzie radby szukać lekarstwa. Słowem, lawirował Szujski pomiędzy szkołą Lelewelowską a monarchiczną Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu, zajął pomiędzy niemi stanowisko pośrednie.

Do zdecydowanych ostatecznie poglądów doszedł w chwili zorganizowania się politycznego w Krakowie stronnictwa, które zamanifestowało dążności swoje w ogłoszonéj w r. 1869 *Tece Stańczyka*. Zasady tego stronnictwa: katolicyzm i lojalność najdokładniéj sformułował urzędnik austryacki, Antoni Walewski (1); wprowadził je

---

(1) *Dumanie Polaka* drukował organ Stańczyków. Znać redakcya podzielała poglądy Walewskiego, skoro im w przypisku następującą dała rekomendacyę: „Szanowny

do badań swoich, lubo nie tak jaskrawo, jak tamten, i Szujski. Wprawdzie przy otwarciu kursu historyi polskiéj w uniwersytecie jagiellońskim potępiał tendencyę, którą nazwał przykrawywaniem dziejów do celów politycznych lub moralnéj propagandy; w istocie jednak z katedry zrobił trybunę, w formie rozpraw naukowych ogłaszał pamflety. I nie mogło być inaczéj, skoro uważał historyę za mistrzynię życia, skoro w niéj poszukiwał „nauk praktycznych.“

W *Historyi polskiéj treściwie opowiedzianéj* nie admiruje, jak dawniéj, gminowładztwa słowiańskiego i spólnot, uważa owszem ostatnie za skutek „długiego trwania na najniższym szczeblu, spowodowanego niezmiennością ekonomicznych stosunków“ (str. 10). Nie uwielbia owéj wyższości moralnéj Polski od państw zachodnich, zaznacza przeciwnie młodszość naszą, ciągłe opóźnianie cywilizacyjnego pochodu. „Wychodzi Polska, powiada (1), na widownię dziejów ostatnia z rzędu zachodnich narodów, późniéj od Czech i późniéj od Węgier, którzy walką z Niemcami uprzedzili nasze wystąpienie. Wiąże się państwo w leśnym ostępie między Wartą i Wisłą, niedotkniętym żadną poprzednią cywilizacyą, chyba dróg po bursztyn na baltyckie brzegi. Formy najdawniejsze jéj bytu naśladują pierwotne formy drużyny u Franków i Germanów. Kościół, przyzwany na pomoc przeciwko eksterminacyi niemieckiéj, gra w społeczeństwie rolę ograniczoną, od książąt zależną. Reforma wielka Grzegorza VII dokonywa się u nas późno, w XIII wieku. Wojny krzyżowe prawie wcale nas nie wciągają. Wykształcenie, które niesie kościół i duchowieństwo, ograniczone w skutkach swoich cudzoziemszczyzną licznego zakonnego i świeckiego duchowieństwa. Do XIV wieku, z wyjątkiem budynków klasztornych i niektórych kościelnych, Polska jest krajem drewnianego budownictwa i ziemnéj fortyfikacyi. Cywilizacya, która jako usamowolniony i wszechwładny kościół, jako emancypacya rycerstwa, jako wolne osadnictwo na prawie niemieckiém ją przenika, przyprowadza polityczny byt Polski nad brzeg przepaści, część jéj terytoryum odrywa do Niemiec, część do Czech. Widocznie władza polityczna pozbawiona była wszelkiéj wiedzy kierowania ruchem społeczeństwa.“ Dopiero dzięki organizacyjnéj działalności Kazimie-

---

autor... zwraca się w *Dumaniach* ku chwilom obecnym, a czyni to z takim zasobem głębokich myśli i spostrzeżeń politycznych i społecznych, że liczymy sobie za prawdziwy zaszczyt umieszczenie ich w piśmie naszém. Czasy nasze obfitują w taką powódź obtartych myśli i poglądów przestarzałych, bezpłodnych, krótkowidzących, że prawdziwem użyciem umysłowém i podniesieniem ducha musi stać się praca, z spokojnego a żywego badania przeszłości świeże i szeroką przestrzeń wypadków obejmująca spostrzeżenia“ (*Przegląd Polski* z r. 1872, t. IV, str. 346). — (1) O młodszości naszego cywilizacyjnego rozwoju.

rza W. Polska dogania Europę raptownie od murowania miast, aż do założenia uniwersytetu; lecz śmierć króla naturalnemu rozwojowi kładzie tamę; przywilej koszycki, a zwłaszcza przyłączenie Litwy i Rusi wstecz cofa zadania wewnętrzne, zwraca bowiem do boju z germanizmem i do pokonania politycznego anneksów. „Społeczeństwo, które zaledwie do europejskich zaczęło przychodzić porządków, ma przed sobą zadanie pokonania ogromnéj, pół-pogańskiéj, pół-wschodnio-katolickiéj przestrzeni... Unia narodów, wobec zewnętrznych niebezpieczeństw pożądana, staje się momentem, gdzie się państwo z konieczności roztapia w olbrzymiéj przestrzeni; gdzie w miejsce utworzenia uporządkowanego organizmu, powstaje zadanie podbicia go cywilizacyą jednego obyczaju i wiary... Ostatecznie przestrzeń pokonała ów niewielki, ale jędrny zawiązek polityczny, jakim była Polska.“ Szlachta, t. j. przestrzeń rolnicza zniszczyła rękodzieła i przemysł—złamała mieszczaństwo; śród ziemian, szukających bytu w oddalonych osadach, wszelka zaciętość stronnicza od lada powiewu musiała stygnąć; a więc w przestrzeni szukać należy przyczyny łagodności naszych walk politycznych i religijnych; w przestrzeni leżała luźność, decentralizacya, słowem bunt przeciwko państwu; w przestrzeni typ szlachecki w wędrówce na kresy wschodnie stał się otyłym, kontemplacyjnym, wygodnym, powolnym, despotyzm pański z indolencyą łączącym (1).

Żałuje Szujski, że ze wzorów Kazimierzowych nie umiała Polska wynieść „monarchicznéj myśli“; że za Jagiellonów oddzieliła swój interes od sprawy króla (str. 73); entuzyastyczny niegdyś rzecznik wolnych instytucyi zżyma się na „przedwczesność“ parlamentaryzmu i opłakane przypisuje jéj skutki. „Na ustanowionym przedwcześnie parlamentaryzmie poszukiwać trzeba w pierwszéj linii niepowodzeń politycznych Polski w wieku złotym: szkodliwego załatwienia sprawy pruskiéj, upadku polityki dynastycznéj w sprawach węgiersko-czeskich, dalszych utrat przy wschodniéj państwa granicy; jak w powolném jego dojrzewaniu, przedewszystkiém zaś w splątaniu sprawy politycznego przeobrażenia z kwestyą religijną szukać przyczyny, dla czego do skutecznéj organizacyi jednolitego państwa doprowadzić nie mógł“ (str. 194). Humanizm i reformacyę poczytuje za pierwiastki rozkładowe, nie chce w nich uznać czynników postępu. „Zachowując pozory wspaniałego kultu religijnego na zewnątrz, humanizm szedł bardzo daleko w emancypacyi swojéj od ducha religijnego średnich wieków, niósł w życie kościelne świeckość i zachodnią wiarę, w życie polityczne utylitaryzm i prywatę“ (str. 199). Żądania w r. 1555 przez szlachtę utrakwizmu, języka na-

---

(1) O młodszości naszego cywilizacyjnego rozwoju.

rodowego w kościele, małżeństwa księży „były retrogresyą, były cofnięciem się do Rusi! były odrzuceniem aspiracyi zachodu religijno-moralnych, jego wyższego, duchowego pojęcia religii; były abdykacyą wobec tych, nad którymi się miało w imię wyższości cywilizacyjnéj panować“ (1). Czasy reformacyi nazywa wiekiem mężobójstwa, bezkarności zbrodni, miękkości i rozwiązłości obyczajów, niewojenności (str. 202). Ubolewa nad tolerancyą naszą, bo nie dopuściła silniejszéj władzy, gdy prześladowania przeprowadziły na zachodzie rządy nowożytne: katolickie we Francyi, akatolickie w Anglii i Szwecyi (str. 198). Autor, zarzucający w r. 1862 (2) papizmowi skostniałość i niemoralność, nazywający go archiwaryuszem dogmatu, — w 1880 zbawienie widzi tylko w związku z kościołem; pogromca jezuitów za hipokryzyę, intrygi, egoizm i wsteczność (3),— uwielbia w kilka lat późniéj ich miłosierdzie, dbałość o światło i mądrość (str. 258). Zakończył Szujski karyerę naukową najskrajniejszém wstecznictwem, które jaskrawiéj, niż ktokolwiek inny, jezuityzmem zaprawił. Zabiegom Zygmunta III w sprawie unifikacyi religijnéj przyznaje w zasadzie racyę; lecz „aby to dążenie nie było stronniczém i nielegalném w kraju, który pokój z dysydentami wpisał w fundamentalne prawa, trzeba było naprzód dokonać wywrotu istniejącéj formy rządu i wzmocnienia władzy królewskiéj.“ Pozbycie się prawie zupełne akatolików z senatu było, według Szujskiego, potężnym środkiem legalnym, którego użycia „ani sumieniu, ani polityce królewskiéj za złe brać nie można.“

Bobrzyński trzy w życiu Polski wewnętrznem, w stosunkach zewnętrznych, w literaturze, obyczajach i nauce spostrzega przełomy i na tyleż dzieje dzieli okresów. W pierwszym grupa ludów słowiańskich z nad Odry i Wisły skupiła się w naród i dała początek państwu. Panujący w charakterze ojca złączonych węzłami pokrewieństwa ludów nieograniczenie rozkazywał i rządził, wychowywał społeczeństwo małoletnie, które dopiero w połowie wieku XIII do dojrzałości dochodzi. W okresie tym walczy naród o Elbę i Odrę, pod względem obyczajów jest wyłącznie niemal wieśniaczym, przyswaja sobie styl romański. Od natury władzy rządzącéj nazywa autor państwo polskie w téj dobie patryarchalném. W okresie drugim naród wyzwala się z pod władzy ojcowskiéj książąt i do samodzielnéj porywa się pracy. Z powodu napływu kolonistów z zachodu rozbija się jednolite dawniéj społeczeństwo na dwa odłamy: polski i niemiecki, a każdy na podstawie praw i przywilejów życie swoje wewnętrzne urządza odrębnie. Obok dwóch grup powyższych staje

(1) Odrodzenie i reformacya w Polsce. Kraków, 1881, str. 97. — (2) Dzieje Polski, II, 162. — (3) Tamże, II, 242; III, 247.

jednocześnie duchowieństwo, które również o samoistną organizacyę się stara. Sytuacyę każdego pierwiastku określa umowa, zawarta z księciem, który, nie mogąc z tego powodu mieszać się w stosunki wewnętrzne narodu, poprzestać musiał na utrzymywaniu pomiędzy stanami harmonii i czuwaniu nad bezpieczeństwem zewnętrzném. W okresie tym toczy się walka o Wisłę, w obyczajach odbija się uczoność kościelna, zamożność miast i ogłada rycerska; w sztuce panuje gotyk. Państwo polskie w téj dobie, przeciągającéj się od połowy XIII do końca XV stulecia, nazywa Bobrzyński patrymonialném. Pod koniec wieku XV żywioł polski zyskał nad innymi przewagę bezwzględnie i nowy uwydatnił kierunek. Doszedłszy do znacznéj zamożności i oświaty, dla pozyskania skutecznego w dalszéj pracy poparcia zapragnęło społeczeństwo wzmocnienia władzy rządowéj; z drugiéj strony rząd z powodu komplikacyi zadań polityki zewnętrznéj i potrzeby utrzymywania stałéj armii wymagać musiał od mieszkańców kraju ciężarów publicznych i ofiar. Złamano więc przywileje średniowieczne, a urządzono państwo nowożytne, tak zwane prawne. Na zewnątrz toczy się walka o wpływ na Bałtyku, obyczaj w XVI wieku panuje włoski, w XVII francuski, w sztuce kwitnie renesans.

Zmarniała Polska, bo się budowa państwa nowożytnego nie dała u nas w zupełności wykończyć. „Wydobyły się żywioły nierządu i swawoli już w XVI wieku, złamały i ubezwładniły wszelkie usiłowania dalszéj reformy i postępu i popchnęły naród w najstraszniejszy upadek, który się w r. 1773 pierwszym, częściowym rozbiorem kraju zakończył“ (I, 39). Bobrzyński nie szczędzi przeszłości wskazówek, w jakim się powinna była rozwijać kierunku; nie tai, że jedynie monarchia nieograniczona przynieść mogła ratunek.

Już w dołączonéj do pierwszego wydania, skreślonéj na podstawie Mohl'a „Krótkiéj nauce o państwie i społeczeństwie“, tendencyjnie formę rządu republikańską dyskredytuje, a rehabilituje monarchię. „Mylném jest—powiada—zdanie, jakoby republika oznaczała wolność i szczęście narodu, zaś monarchia absolutna jego niewolę i ucisk. Owszem w monarchii absolutnéj, rozumnie rządzonéj, lud może się czuć swobodnym i szczęśliwym, zaś w republice, jeśli na jéj czele staną ludzie gwałtowni lub zepsuci, może panować najsroższa niedola i ucisk.“ Gani Słowian, że nie wyrobili w sobie „poszanowania prawa i despotycznéj władzy, nie mieli poczucia siły, jaką daje wewnętrzna karność i zgoda“ (I, 67); podnosi natomiast zdolności organizacyjne ludów mongolskich i normandzkich. Rusinom i Bułgarom zazdrości przymieszki krwi obcéj, „pochopniejszéj do życia politycznego, do którego Słowianie wskutek tradycyjnéj swojéj nie-

zgody i przesadnego zamiłowania wolności nie byli jeszcze dojrzeli“ (I, 69). Dodatnie tylko widzi rezultaty wpływu na Słowiańszczyznę południową i wschodnią instytucyi bizantyjskich. „Absolutyzm cesarzów wschodnich zgadzał się zupełnie z dążeniem jedynowładców bułgarskich i ruskich i gotowe poddawał im formy. Kościół wschodni... służąc we wszystkiém państwu i stanowiąc polityczną instytucyę, nie przedstawiał téż, jak na zachodzie, idei wolności, nie budził do samoistności społeczeństwa i, zamiast z absolutyzmem monarszym walczyć, najsilniejszéj mu dostarczał podpory. Nic więc dziwnego, że cesarstwo bizantyjskie, jego kościół i prawo działały zgodnie w obec Bułgarów i Rusi, a w urządzeniach ich społecznych i politycznych wystąpiły jako czynnik wszystkie inne słowiańskie, a nawet skandynawskie przeważający“ (I, 71). Skutkiem propagandy religijnéj Cyryla i Metodego „cywilizacya wschodnia zapuściła, zdaniem autora, w ludach słowiańskich zachodnich głębsze, niezatarte jeszcze po kilku wiekach korzenie i zbawienne wydała owoce.“ Nieszczęściem było, że „dzikie hordy węgierskie... przecięły zbawienne związki Słowian morawskich i czeskich z Carogrodem i oddały ludy te wyłącznemu wpływowi Niemiec“ (I, 75).

Pochwala Bobrzyński patryarchalną organizacyę Polski pierwotnéj, lecz nie może swych upodobań bizantyjskich pogodzić z emancypacyjnym ruchem społeczeństwa w stuleciu XII. Chociaż przyznaje, że zasada bezwzględnéj, patryarchalnéj władzy książęcéj już się w narodzie przeżyła, trudno mu jednak na bezskuteczne ku utrzymaniu dawnego porządku wysiłki Mieszka Starego „patrzéć bez głębokiego współczucia.“ Upadali książęta, a pod przewodnictwem hierarchii kościelnéj budziło się społeczeństwo do samoistności: „czy nie zanadto, — zapytuje autor — czy nie zawcześnie?“ (I, 147). Chwali Wacława, że poosadzał po grodach gubernatorów wojennych, starostów, — bo to były „rządy silne...“; admiruje za to i Kazimierza W-go, starostowie bowiem „stanowili najsilniejszą, nigdy niezawodzącą podporę władzy królewskiéj i byli największą rękojmą jedności państwa“ (I, 185, 210).

Bobrzyński jest równie jak Szujski doktrynerem, tylko innego stylu. Szujski pragnąłby zawrzéć w monarchii absolutnéj katolicką wyłączność ze średniowiecznym scholastycyzmem i ascetyzmem,— Bobrzyński wyklucza z polityki moralne i religijne zasady, na wszelkie gotów pisać się środki, byleby samodzielność narodu ujarzmić i wedle wzorów bizantyjskich zbudować rząd silny. Szujskiemu oprócz bytu pod osłoną monarchii jedynowładnéj chodzi o cywilizacyą, któréj urzeczywistnienie widzi w kościele; Bobrzyński uznaje kulturę akatolicką, chociaż o tyle tylko, o ile służy idei państwa,

Pochwala więc wbrew Szujskiemu humanizm, bo dopomagał „przedewszystkiém do nowożytnéj politycznéj organizacyi“, bo szerzył zasadę wyższości panującego po nad prawo. „Pierwsi nasi humaniści świeccy byli to — powiada — politycy-prawnicy, którzy z długich a mozolnych studyów uwielbianego prawa rzymskiego wynosili nową ideę państwa starożytnego, podniesionego do najwyższéj harmonii i potęgi kosztem swobody społecznéj; wynosili przedewszystkiém poczucie silnéj władzy panującego, bezwzględnego rozkazu i stanowczéj konsekwencyi w postępowaniu.“ Wyznawali zasadę, że „przywileje tam, gdzie idzie o dobro publiczne, o ratunek ojczyzny, nie mają żadnego znaczenia; że król w razie niebezpieczeństwa ma prawo podatki nakładać i egzekwować, ma prawo każdéj jednostce jéj mienie odebrać, ma prawo nawet skarby, vota i naczynia kościelne zabierać i na pieniądze przetapiać.“ Była to, zdaniem autora, zasada poświęcenia się jednostki dla publicznego dobra, zasada miłości ojczyzny (I, 287—290). Wbrew Szujskiemu chwali Bobrzyński, że Kazimierz Jagiellończyk złamał przywileje duchowieństwa i pozyskał prawo obsadzania beneficyów (I, 292); ubolewa z drugiéj strony, że ogół szlachty polskiéj z czasów późniejszych „nie wnikał dość głęboko w naukę, ażeby dojść do przekonania, że siła rządu była zasadniczą prawa i państwa starożytnego podstawą“ (II, 51); że już na początku XVI stulecia wytworzył parlamentaryzm. „Czy nie był, pyta, przedwczesnym w chwili, w któréj wszystkim narodom średniowiecznym potrzebną była twarda szkoła absolutnych rządów?“ i odpowiada: „niewątpliwie.“ Pociesza się przecież, że wprowadzająca parlamentaryzm ustawa z r. 1505 nasuwała monarsze punkt oparcia w szlachcie przeciwko możnym, że jako „lakoniczna i niejasno sformułowana dawała królowi sposobność do nagięcia jéj na swoją korzyść... Dla dzielnych królów wobec antagonizmu szlachty, duchowieństwa i możnowładztwa nie była wcale nie do usunięcia zaporą, jeśli o absolutnych rządach rzeczywiście myśleli“ (II, 21). Zawiódł autora Aleksander, nie odpowiada wymaganiom i jego następca, nie stworzył bowiem w Polsce sprężystéj a jednolitéj maszyny urzędniczéj—biurokracyi, „bez któréj żadne państwo nowożytne nie może się utrzymać, a bez któréj najzbawienniejsze prawa i reformy, uchwalone na sejmach, musiały martwą literą pozostać“ (II, 32). Najżywszą jednak rości pretensyę do szlachty, że w niéj „nigdy do tego stopnia nie zaostrzyły się przekonania, nie zakipiały namiętności, aby w imię swych zasad porwać się do gwałtownych występów“; nie może wybaczyć Zygmuntowi Augustowi, że nie postąpił jak inni królowie, którzy „dochodzili do głównego celu, do zbudowania silnego rządu i poskromienia anarchii także drogą stanowczego, wy-

trwałego wobec protestantyzmu oporu.* Przyznaje Bobrzyński, że bez walki, może nawet krwawéj, nie byłoby się zapewne obeszło, tak jak nie obeszło się w żadnym narodzie „rozwijającym się zdrowo*; trzeba było przecież z reformacyi tak albo inaczéj wyciągnąć korzyść dla dobra narodu i państwa (II, 79, 80). Tolerancyę naszą w XVI stuleciu uważa za objaw rozstroju, szła bowiem z dołu, z narodu, który ją państwu narzucał (II, 101). Mądrze czynił Batory, że do odrodzenia w narodzie karności, do przywrócenia w Polsce silnéj władzy królewskiéj użył katolicyzmu; wielkie kładli zasługi jezuici, dopóki do szerzenia pojęć monarchicznych i poszanowania rządu zmierzali. „Dla czegoż—pyta autor—w tym kierunku nie wytrwali, dla czego przy pierwszéj próbie, przy rokoszu Zebrzydowskiego, odbieżeli od swéj chorągwi?“ (II, 132, 172). Zginęliśmy, zdaniem Bobrzyńskiego, dlatego, bośmy nie chcieli dla rządu silnego poświęcić „na długie lata“ drugiego pierwiastku szczęścia ludzkiego na ziemi—wolności obywatelskiéj (II, 334); bo najwybitniejsze osobistości nowożytnych dziejów nietylko w dobrém, ale i w złém nie zdołały się wznieść do rozmiarów potężnych, do prawdziwéj dramatyczności (II, 339); bo taki np. Zamojski nie miał odwagi zrzucić z tronu Zygmunta III-go (II, 158), bo nikt się nie pokusił o zamach stanu (II, 240). Ocalić mógł państwo jeden człowiek takiego pokroju, jak Franciszek I, Henryk IV, Ludwik XIV, Henryk VIII, Karol V, Filip II lub Iwan (II, 340). „Zagłada nasza—powiada autor—nastąpić mogła tylko po całym szeregu błędów, po długiém gwałce niu tych wyższych praw, które Bóg narodom dla ich życia i rozwoju przepisał“ (II, 343)... Z powyższéj mozajki łatwo jest odkryte przez Bobrzyńskiego „wyższe prawa, które Bóg narodom dla ich życia i rozwoju przepisał“, odgadnąć.

VI.

Stosunek szkoły historycznéj krakowskiéj do Naruszewiczowskiéj i stanowisko jéj w dziejopisarstwie.

W przeciągu stulecia nauka historyi olbrzymi pod względem nagromadzenia materyału, udoskonalenia metody i wyświetlenia różnych stron życia narodu zrobiła postęp. To, co przed laty rysowało się w konturach zamglonych i dawało pole do najsprzeczniejszych domysłów, w czasach ostatnich stało się bardziéj zdecydowaném lub przybrało charakter pewnika; na jaw wydobyto wiele rzeczy nieznanych, sprostowano mnóstwo tłómaczonych opacznie. Po ostatnich nauki historycznéj zdobyczach nikomu, nawet w kwestyach tak problematycznych, jak ustrój Polski pierwotnéj, niewolno puszczać wodzów nieskrępowanéj wiedzą fantazyi; nikt np. nie może

czasom średniowiecznym narzucać skończonego parlamentaryzmu, jak to przed stuleciem czynił Wielhorski. Czy jednak obok niezaprzeczonych rezultatów, dotyczących pytań szczegółowych, znalazły rozstrzygnięcie zasadnicze, przez wszystkie szkoły poruszane pytania historyozoficzne? czy przynajmniéj, przeprowadzone przez probierz z różnego stanowiska podejmowanych dociekań, w nowém dzisiaj ukazują się świetle? czy uległo modyfikacyi pojmowanie dziejopisarstwa i jego celów? Bardzo stanowczą na te pytania dają odpowiedź uczeni krakowscy, najdobitniéj ją wypowiada Bobrzyński przy ocenie szkół historycznych dawniejszych.

Według Bobrzyńskiego, Naruszewicz 1) chwyta fakta dziejowe nie tyle w ich wewnętrznym, przyczynowym związku, ile z ich strony obrazowéj, zewnętrznéj; 2) opisem wielkich zdarzeń i czynów przeszłości, wspomnieniem minionéj chwały chce zbudzić szlachetniejsze uczucia w narodzie, który upadł prywatą; 3) nie rozróżnia epok dziejowego rozwoju, lecz wszystkie wypadki we współczesném mu świetle ocenia i kreśli. Ujemne strony badań Naruszewicza wybujały, według Bobrzyńskiego, w jego następcach i naśladowcach. 1) Nie zdawali sobie sprawy z wielkich przewrotów społecznych i politycznych, jakie przechodził naród; całe jego dzieje podzielili mechanicznie na trzy okresy: Polski piastowskiéj, jagiellońskiéj i elekcyjnéj. 2) Pisząc pod wrażeniem świeżych klęsk, nie mieli już serca ukazywać złego, gdzie ono leżało — w przywarach naszych; chcieli raczéj hymn pochwalny na cześć przeszłości wyśpiewać... Całą winę nieszczęścia i upadku składali na barki pewnych kozłów ofiarnych..., a wszelkie głębsze pojęcie rzeczy, wykrywanie ogólnych wad narodowych uważali za kalanie własnego gniazda i świętokradztwo. 3) Cel dydaktyczny, stojący na dalszym planie u Naruszewicza, występował na pierwszy plan u jego następców i sprowadzał czczą deklamacyę i frazeologię. Lelewelowi zarzuca Bobrzyński doktryneryzm — wtłoczenie całéj przeszłości w formułkę republikańską. Dziwi się, jak można było „upuścić z oka drugi warunek zdrowego rozwoju każdego narodu, mianowicie siłę i sprężystość jego władzy rządowéj“; oburza się, że szkoła Naruszewiczowska „patrząc na upadek własnemi oczyma, pokrywała go tylko milczeniem“; Lelewelowska zaś uniewinniała go, całe nieszczęście zwalając na obcych.

Dzisiejsza szkoła zmieniła, według autora, „kierunek i ducha historycznéj pracy“ i następujące wyznaje zasady: 1) Niewolno posługiwać się historyą dla uzasadniania jakiegokolwiek z góry ułożonego systemu. 2) Niewolno dla żadnych względów prawdy dziejowéj przekręcać. 3) Podstawą sądu historycznego musi być gruntowna znajomość umiejętności społecznych i politycznych.

O ile krytyka poglądów szkoły Lelewelowskiéj odpowiada do pewnego stopnia słuszności, o tyle charakterystyka Naruszewiczowskiéj jest błahą i wszelkiéj pozbawioną podstawy. Najhaniebniéj zawiodła autora intuicya, oprócz niéj bowiem, żadnych zgoła danych pozytywnych do sformułowania sądu o Naruszewiczu i epigonach jego nie użył. Jest racya, że w dziełach zaprawionego na wzorach rzymskich Naruszewicza przeważa strona dekoracyjna; nie ulega wątpliwości, że oceniał przeszłość przez szkła wyobrażeń swego stulecia; nieprawda jednak, żeby nie odróżniał epok dziejowego rozwoju i żeby za główne pracy swojéj zadanie uważał budzenie w narodzie uczuć szlachetnych przez opis wielkich zdarzeń i czynów. Epoki rozwoju wewnętrznego Naruszewicz znał, lecz nie uwydatnił ich dokładnie najprzód dlatego, że dzieło swoje posunął zaledwie do Władysława Jagiełły; że, powtóre, obrazu stosunków wewnętrznych państwa nie wcielił w organizm wykładu, lecz go zepchnął do suteryn przypisków; po trzecie, nie rozumiał, jak Bobrzyński, że „jednym z najważniejszych wyników sądu historycznego i koniecznym warunkiem zrozumienia dziejów narodu jest podział ich na okresy.“ Wyjąwszy zapożyczony ze stosunków zachodu feudalizm, Naruszewicz miał w gruncie rzeczy taki sam w najogólniejszych zarysach pogląd na dzieje wewnętrzne Polski do końca wieku XIV, jak szkoła krakowska i też same, co ona, w obrębie badanych czasów spostrzegł przełomy. Utylitaryzm Naruszewicza w traktowaniu dziejów nie ulega wątpliwości; nie tyle mu jednak chodziło o budzenie w czytelnikach poczuć, ile o kształcenie pojęć politycznych, dla osiągnięcia zaś tego nie potrzebował opisywać wielkich jedynie zdarzeń i czynów. Nikt też Naruszewiczowi nie dowiedzie, żeby fakta ujemne pomijał lub idealizował,—cnotę staropolską, o któréj pisał w przedmowie do *Żywota J. K. Chodkiewicza* stosował do osobistości reprezentującego przeszłość bohatera, którego przecie za dobry przykład uważać wolno.

Na intuicyi również oparł Bobrzyński zarzuty, wymierzone przeciwko naśladowcom biskupa. Czyż naprawdę następcy Naruszewicza „nie zdawali sobie sprawy z wielkich przewrotów społecznych i politycznych?“; czy istotnie mechanicznie dzielili dzieje na okresy: piastowski, jagielloński i elekcyjny? Zaprowadził tego rodzaju podział Teodor Waga w ogłoszonéj w r. 1767 i wielekroć razy przedrukowanéj *Historyi książąt i królów polskich*; praktykowali go w XIX wieku autorowie książeczek dla młodzieży i dzieci; lecz żaden z tych naśladowców Naruszewicza, którzy mieli zamiar kontynuować mistrza, trzech okresów owych nie przyjął. Ogłoszony przez Towarzystwo przyjaciół nauk *Prospekt historyi narodu polskiego* zna, pominąwszy

dobę przedchrześcijańską i porozbiorową, okresów pięć; za zasadę zaś podziału przyjął zmiany w ustroju władzy rządzącéj, a więc w życiu społecznėm i politycznėm narodu. Wyższą więc, niż sądzi Bobrzyński, ludzie tych czasów posiadać musieli znajomość umiejętności społecznych i politycznych, skoro ją stosowali skutecznie do dziejów; niewolno ich poczytywać za ignorantów, że wynaleźli pięć okresów, a nie jak idący za Mohl'em autor *Dziejów Polski w zarysie* trzy tylko, nieuznane zresztą dotychczas nawet przez kolegów szkoły krakowskiéj. A prawdaż, że szkoła Naruszewiczowska nuciła hymny na cześć przeszłości? że wskazywanie ogólnych wad narodowych poczytywała za kalanie własnego gniazda i świętokradztwo. W odpowiedzi przypominamy znów *Prospekt historyi*, według którego przyczyn wzrostu, potęgi i upadku szukać należy w charakterze narodowym tj. w nałogach, przywarach i wadach, w stosunkach wyznaniowych, układzie społecznym i władzy rządzącéj,—słowem we wszystkiém, tylko nie w wymyślonych przez Bobrzyńskiego kozłach ofiarnych: Kmicie, Zebrzydowskim, Radziejowskim, jezuitach, Targowicy itp. Nie wiedząc o ignorancyi Bobrzyńskiego, możnaby sądzić, że cały jego pogląd na przyczyny upadku jest parafrazą pięciu ostatnich kartek *Śpiewów historycznych* (wyd. z r. 1816), mianowicie *Uwag nad upadkiem i charakterem narodu polskiego*, ze zdumiewającą kreślonych śmiałością i mocą. Dydaktykami naśladowcy Naruszewicza byli; jeżeli jednak potrafili na racyonalny pogląd na dzieje się zdobyć; jeżeli dobrze wiedzieli gdzie szukać przyczyn upadku, a odkryte z całą otwartością wygłaszali w przemówieniach publicznych, jak Staszyc lub w objaśnieniach do poematów, jak Niemcewicz, zarzutu „czczéj deklamacyi i frazeologii“ ściągać na siebie chyba nie mogą. Prawda, co skonstatował Bobrzyński, że „dekoracya i moralizowanie, zajmując miejsce sądu historycznego i prawdy dziejowéj, wystąpiły... w owém mnóstwie dramatów i epopei, pozostawionych nam przez poezyę naszą pseudoklasyczną;—lecz zapytać się godzi, czy słusznėm jest żądać od dzieł tego rodzaju „sądu historycznego i prawdy dziejowéj“? czy zresztą wypada grzechy poetów zwalać na barki dziejopisów, zadośćczyniących wymaganym warunkom.

Z powierzchownéj krytyki, jaką Bobrzyński dotknął dziejopisów XVIII i pierwszéj ćwierci XIX wieku wypadałoby sądzić, że pomiędzy szkołą Naruszewiczowską a krakowską pokrewieństwa nie ma żadnego; rzetelniejsze zbadanie rzeczy prowadzi do wniosku, że historyozoficzne poglądy uczonych podwawelskich są echem głosów dawno przebrzmiałych. O rząd silny, karność, armię i skarb w dziełach szkoły Naruszewiczowskiéj potrąca czytelnik na każdéj niemal stronicy, tak samo jak w pismach autorów, grupujących się około

Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu, jak w czasach najnowszych w rozprawach Kalinki, Szujskiego i Bobrzyńskiego. Wtajemniczeni w twórczość dziejopisarską wiedzą, jak różny z jednéj i téj saméj sumy faktów dwaj historycy, rozporządzający jednakową metodą i równą znajomością nauk polityczno-społecznych, zrobić mogą użytek. Uczeni wieku XVIII, korzystając z jednych i tych samych źródeł, czerpiący znajomość nauk polityczno-społecznych z Mably'ego i Russa, rozbili się w pracy dziejopisarskiéj na republikantów i monarchistów; badacze z doby Lelewelowskiéj na demokratów w ścisłém tego słowa znaczeniu, demokratów-szlachciców, ultramontanów i monarchistów; pomiędzy Szujskim i Kalinką z jednéj, a Bobrzyńskim z drugiéj strony, pomimo punktów stycznych, w poglądzie na takie fakta, jak humanizm, reformacya, różnice zachodzą krzyczące. Jeżeli uczeni jednéj miary i jednakowych zasobów dochodzili w badaniach do rezultatów najzupełniéj przeciwnych,—czemuż przypisać, że na wspólnéj podstawie historyozoficznéj spotkała się szkoła krakowska z Naruszewiczowską, pomimo tego, że biskup smoleński czerpał fakta przeważnie z Długosza, a umiejętność polityczno-społeczną z Russa, Bobrzyński zaś korzystał z najnowszych monografii krytycznych, a wiedzę prawną zapożyczył od antytezy filozofa genewskiego, od Mohl'a? Przypisać to wypada doktrynie, wspólnemu kultowi monarchizmu, w którym reformatorzy wieku XVIII szukali ratunku, a uczeni krakowscy prawdopodobnie szukają—także ratunku. Że ostatni za podstawę uogólnień przyjęli doktrynę i to konserwatywną, nie jestto, zdaniem naszém, rzeczą wypadku, Kraków bowiem stanowi siedlisko dogmatów w najobszerniejszém tego słowa znaczeniu. Odziedziczywszy po przeszłości katolicyzm; stawszy się, zbiegiem warunków historycznych, siedliskiem arystokracyi i konserwatorem pamiątek; pogrążył się w dogmatyzmie zachowawczym, kołysanym prądami politycznymi, wiejącymi od Wiednia. Warunki historyczne niezależność poglądów w Krakowie tamują; położenie na drogach pomiędzy Lwowem, Warszawą i Wiedniem zmusza do ruchu, niewypierającego przecież myśli po za ściśle oznaczoną orbitę doktryn.

Zapatrywanie się na przeszłość ze stanowiska wspólnéj doktryny doprowadziło uczonych, na przeciwległych krańcach wiedzy stojących, do identycznych wniosków, że Polskę zgubił brak rządu. Obie szkoły protegują rząd silny monarchiczny, chociaż skalę natężenia jego krakowska doprowadza do despotyzmu, gdy Naruszewiczowska w ramy konstytucyi władzę króla chce ująć. Daleką jest od biurokratyzmu, unifikacyi religijnéj i wszystkich protegowanych przez szkołę krakowską plag państwa policyjnego; poszanowanie ma

dla najdroższego cywilizacyi dorobku—wolności obywatelskiéj i tolerancyi; nie wyrzuca przeszłości, że nie porodziła potworów takich, jak Filip II i Iwan.

Nic w zasadzie pod względem historyozoficznym uczeni krakowscy nie wymyślili nowego (1), nie różnią się też od szkoły Naruszewiczowskiéj w pojmowaniu dziejopisarstwa i jego celów.

Pomysły Buckle'a, że zadaniem historyi powinno być poszukiwanie praw niezmiennych, rządzących ludzkością, zarówno jak i ogłoszone przez tegoż uczonego tak zwane prawdy zasadnicze nie znalazły śród historyków naszych uznania. Przeciwko prawom w znaczeniu przyrodniczém oświadczył się konserwatywny Plebański; przeciwko prawdom myśliciela angielskiego Pawiński, Korzon i inni (2). Jeżeli jednak Pawiński i Korzon kwestyonują jedynie zasadność prawd samych, jeden z przedstawicieli szkoły krakowskiéj, bezwzględny przeciwnik Buckle'a, Smolka (3), nie zgadza się na definicyę historyi, jako nauki, mającéj na celu badanie praw, rządzących ludzkością. „Jeszcze, powiada autor, bynajmniéj nie stwierdzono, jakoby takie prawa niezłomne i niewzruszone istotnie rządziły życiem i rozwojem ludzkości; nie podniesiono tego zapatrywania do wysokości pewnika naukowego i wskutek tego mamy zupełną swobodę zgadzać się z nim lub nie zgadzać.... Nie przeczymy, ciągnie daléj, tych praw stanowczo, ale przyznajemy, że jeżeli są, my ich nie znamy"... Zna nawet Smolka niektóre prawa w dziedzinie stosunków ekonomicznych, ale „nikt jednak, powiada, wymagać od nas nie może, żebyśmy się przekonali, że takie prawa rządzą wszelkimi objawami życia i rozwoju ludzkości; iż wszystko, co czynimy, wszystko, co się wśród nas dzieje, jest naturalnym i nieodmiennym tych praw wynikiem, tak jak wszelkie zjawiska w świecie przyrody z odkrytych i nieodgadnionych praw natury z niezłomną wynikają koniecznością."

---

(1) Bobrzyński, nie znając literatury wieku XVIII, zdaje się być najmocniéj przekonanym o oryginalności swoich poglądów; za to świadom rzeczy Szujski pokrewieństwa swego ze szkołą Naruszewiczowską nie tai. „W traktowaniu dziejów od Naruszewicza czasów wchodzimy dzisiaj w epokę różną od téj, która czas od r. 1825 do 1861 wypełniała; różną też, acz poniekąd bardziéj pokrewną téj, którą reprezentował Naruszewicz i jego epigonowie. Cokolwiekbądź pozostawiał do życzenia biskup łucki i jego następcy, oddać im trzeba słuszność, że sam fakt zapamiętania lub czynnego przebycia ostatnich zapasów upadającego państwa wpłynął korzystnie na ich sposób pojmowania dziejów, na sąd, który o nich wydawali, a który był zarazem ugruntowanym sądem poważniejszéj i dojrzalszéj części narodu. Wadom rzeczypospolitéj zbyt byli bliskiemi, aby ich nie znali; doświadczenia zbyt naocznemi, aby się mylić mogli w wskazywaniu obłędów politycznych, jakie spotykali w dziejach" (*Historyi* str. II). — (2) Plebański. O historyczném znaczeniu Juliusza Cezara (*Biblioteka warszawska* z r. 1865, t. III i IV). Pawiński. H. T. Buckle (tamże, r. 1868, t. IV). Korzon. Historycy pozytywiści: Buckle, Draper, Kolb (tamże, r. 1870, t. III). — (3) Słowo o historyi.

Argumentacya Smolki jest dość zabawną. Trzeba się zgodzić z autorem, że niewolno jest *a priori* twierdzić, *jakie* prawa ludzkością rządzą: lecz niemożna zasadnie (choćby tylko na podstawie analogii, której i Smolka używa chętnie) zbiorowego człowieka z pod prawidłowości rozwoju usuwać. Przy dzisiejszym stanie wiedzy ogólnéj nie chodzi już o to, *czy* prawa ludzkością rządzą; lecz idzie o zbadanie ich natury i jakości. Sam Smolka powiada, że nie śmie istnienia praw zaprzeczać stanowczo, ale ich niezna... W takim razie potrzebę ich poznania musi chyba uznawać, a jakąż drogą do poznania owego dojdzie, jeżeli nie przez zbadanie zjawisk, dotyczących całego procesu życia ludzkości.? Pomiędzy Bucklem a Smolką ta pod omawianym względem zachodzi różnica, że pierwszy powiada: prawa ludzkością rządzą i znam je; gdy drugi: prawa ludzkością zapewne rządzą, lecz nie znam ich. Buckle wrzekome prawa swoje opiera na współczesnéj wiedzy ogólnéj i zbadaniu przeszłości; Smolka dla tego, że praw nie zna, odmawia nauce historyi kompetencyi do ich szukania. Jakaż więc nauka szukać ich będzie?

Bojując z Bucklem, podaje Smolka definicyę historyi własną. „Cóż jest zatém historya? Jestto suma ogólna wszystkich wydarzeń, odnoszących się do pewnego danego przedmiotu od pierwszych pojawów jego istnienia aż do chwili, w której istnienie jego się kończy.“ Historya taka, jaką pojmuje autor, nie może rościć pretensyi do wysnuwania z materyału praw ogólnych i układania ich w system. Jeżeli przez naukę rozumiemy badanie zjawisk i wyprowadzanie odnośnych wniosków, Smolka zaś kompetencyi podobnéj historyi odmawia,—dziejopisarstwo opowiadaniem jest tylko o przedmiocie jakimś od początku do końca...

Według Bobrzyńskiego, praca dziejopisa jest niczém inném, jak zebraniem faktów i zastosowaniem do nich wyników nauk społecznych i politycznych; zadanie historyi polega na stwierdzeniu i sprawdzeniu prawd ogólnych, znanych skądinąd (1). Jest więc według Bobrzyńskiego historya umiejętnością pomocniczą nauk społecznych i politycznych: ostatnie torują drogę, stanowią podstawę i punkt wyjścia dla pierwszéj, gromadzącéj dla tamtych materyały, udzielającéj nowych spostrzeżeń. Oprócz naukowego, ma, zdaniem autora, historya, jako *magistra vitae* i zadanie społeczne: stosując ogólne prawdy do przeszłości narodu, powinna przedstawić jego charakter, warunki i zasoby, wybitne kierunki i dążenia, uwydatnić zasady umiejętne, które największą odgrywają rolę w jego rozwoju i życiu.

Pod wpływem krytyk: Szujskiego i Smolki, Bobrzyński od definicyi swojéj odstąpił znacznie. Przyznaje, że jako prawnik, nie

---

(1) W Imię prawdy dziejowéj. Warszawa, 1879, str. 10 i 15.

może nie wierzyć, że wszystkie objawy życia społecznego i politycznego narodów pewnym podlegają zasadom; ponieważ jednak nieskończona ilość zjawisk dziejowych jest jeszcze niewyjaśnioną i niezrozumiałą, przeto na prostém ich zanotowaniu ograniczyć się radzi. Nie poczytuje już historyi za sprawdzian praw społecznych i politycznych, lecz za umiejętność samoistną, mającą przedstawić obraz życia narodu w całym jego przebiegu i we wszystkich objawach dziejowych. Zgadza się z Szujskim i Smolką, że znajomość nauk społecznych i politycznych daje historykowi jedynie możność i zdolność do oceniania faktów dziejowych, które przedstawione być powinny w związku przyczynowym, tym samym, jaki je niegdyś łączył w rzeczywistości.

Nie zapewniało Towarzystwo przyjaciół nauk o wierze swojéj w istnienie praw, rządzących ludzkością; wiedziało jednak o przyczynowym związku faktów i zalecało uwydatniać go wszędzie. Nic przeto szkoła krakowska w pojmowaniu dziejopisarstwa nie wymyśliła nowego; daleką jest nawet od wypełnienia programu, nakreślonego w r. 1809 przez Towarzystwo przyjaciół nauk. To, co głosi Bobrzyński o dokonanéj wrzekomo przez szkołę krakowską zmianie „kierunku i ducha historycznéj pracy“ poczytujemy za przechwałki; ogłoszony przez tegoż autora trzyparagrafowy kodeks dla dziejopisów niczego nie uczy, a żadną nie jest nowością. Nie znamy historyka, któryby wyznawał zasadę nakręcania faktów dla poparcia jakich bądź celów; nie było chyba takiego, któryby ignorował znajomość umiejętności społecznych i politycznych.

Tak samo jak Naruszewiczowska poczytuje szkoła krakowska historyę za mistrzynię życia, szuka w niéj „nauk praktycznych.“ Takie pojmowanie celów dziejopisarstwa zmusza do mierzenia przeszłości skalą potrzeb chwili bieżącéj, do krytykowania jéj i oceniania ze stanowiska kultu. Jak przed wiekiem, służy historya szkole krakowskiéj za przewodnika w polityce i trybunał. Zamiast możliwie objektywnego konstatowania zdarzeń, szkoła krakowska nagina je ku poparciu celów praktycznych; zamiast umiejętnego przedstawienia loiki faktów, — z wyżyn doktryny swojéj sądzi przeszłość, rzucając za nią potępienia i klątwy. Metodę taką doprowadzili uczeni krakowscy *ad absurdum*. Ileż w dziełach hołdującego doktrynie panslawistycznéj Kalinki zżymań, że stronnictwo patryotyczne na sejmie czteroletnim przechyliło się nie ku Rosyi, lecz Prusom; ileż w książce Bobrzyńskiego niezadowolnienia, że np. Polska nie popierała waśni religijnych podczas wojny trzydziestoletniéj; że Zygmunt III nie przyciągnął ku sobie ludzi ze szkoły Batorego i t. p. Podobne zachowanie się wobec faktów dziejowych w żaden sposób

umiejętném zwać się nie może, robi zaś wrażenie takie, jak utyskiwanie na ciążenie ku sobie ciał, na obrót księżyca lub inne prawa przyrody.

Na potrzebę przeciwdziałania zapatrywaniom mierzącéj przeszłość piędzią nowożytnego liberalizmu szkoły Lelewelowskiéj zgodzić się można; nie usprawiedliwia to przecież poglądów uczonych krakowskich, skoro w miejsce jednéj doktryny stawiają inną, skoro wpadają w skrajny, również wymagający hamulca reakcyi pesymizm. Bojowanie przeciwko doktrynie orężem innéj, i to po wielekroć stosowanéj, pożytku nauce nie przynosi żadnego, nie nasuwa bowiem nawet nowego ku obserwowaniu przeszłości punktu widzenia.

* * *

Doktrynerya, która w poglądach szkół wszystkich tak jaskrawo uderza, a fałszywe światło rzuca na dzieje, z dwóch, zdaniem naszém, pochodzi źródeł: 1) historycy, zająwszy rolę polityków, usiłowali współczesnemu sobie społeczeństwu dostarczyć wysnutych z doświadczenia przeszłości wskazówek praktycznych; 2) całą uwagę zwrócili ku wyjaśnieniu zasadniczego, według nich, fenomenu — upadku państwa. Oba motywa w ścisłym z sobą są związku, chociaż charakter rdzennego przyznać wypada pierwszemu: wprzód skrystalizować musieli w sobie pisarze widzenia polityczne, nim się do uprawy historyozofii zwrócili. Że w motywach ostatnich czasów rzeczypospolitéj spodziewali się najmocniejsze znaleść stwierdzenie swoich teoryi politycznych, na upadek przeto, jako na fenomen, wrzekomo ogniskujący w sobie treść przeszłości, całą w badaniach historycznych zwrócili baczność.

Kwestyę, czy do historyi należy służba względom praktycznym, rozstrzygają ogólne pojęcia o nauce, która niema innego zadania nad konstatowanie i objaśnianie zjawisk. Dla botanika obojętną jest rzeczą, czy odkryta przez niego własność danéj rośliny znajdzie zastosowanie w medycynie lub kuchni; nie należy również do historyka wyciąganie z przeszłości nauk praktycznych. Z badań botanicznych ciągnie pożytek kucharz, z dociekań dziejowych mąż stanu; praktyczne jednak z nauk korzyści nie koniecznem następstwem, lecz są jedynie przypadkiem. Botanik, któryby nieobiecujące praktycznego zastosowania strony badanych przez siebie zjawisk pomijał, do wniosków by doszedł ułomnych; historyk, poszukujący w przeszłości pożytecznych dla chwili obecnéj wskazówek, nie stwarza dziejów, lecz pamflet. Ignorowanie korzyści praktycznych, jakich przypadkowo nauka może dostarczyć, stanowi jądro obiektywizmu, niezbędnego do wszechstronnego zgłębienia zjawisk. W zawodzie historyka, który namiętnościom podlega, wyznaje zasady i żywi sym-

patye, obiektywizm bezwzględny do osiągnięcia jest trudny; pożądany jest przecież w stopniu możliwie najwyższym. Rezygnuje z niego dobrowolnie dziejopis-polityk, wyzyskujący materyał historyczny ku usłudze chwili bieżącéj, jak to czynili: Naruszewicz z epigonami, Lelewel, Hoffman, Dzieduszycki, Walewski, a w czasach ostatnich Szujski, Kalinka, Bobrzyński, poczytujący przeszłość za zbiornik eksperymentów ku pożytkowi przyszłości. Dla utrzymania względnego obiektywizmu wypadałoby przedewszystkiém zerwać z cyceronowską definicyą historyi i uznać, że nauka dziejów, jak każda inna, nie ma innego zadania nad konstatowanie i badanie natury zjawisk w celu odkrycia praw, rządzących światem. Nie trzeba chyba dowodzić, że dzieje saméj Polski praw owych odsłonić nie mogą, że naukowego istotnie znaczenia nabierają dopiero w związku z historyą powszechną. Dziejopis pojedynczego narodu jest monografistą, dostarczającym materyału do historyozoficznych badań ogólnych. Szczegółowi, zwanemu dziejami Polski, naukową wartość nadaje przestrzegana w badaniu jego bezinteresowność i ścisłość.

Historyozofowie nasi całą baczność zwrócili na fenomen upadku państwa; ku wyjaśnieniu jego całą zużyli dyalektykę i wszystką swą wiedzę. Przyczyn upadku poszukując w czasach zamierzchłych, cały proces przeszłości nawłóczą na jedną nić czarną, ginącą w olbrzymiéj ruinie. Stosownie do wyznawanéj doktryny politycznéj, na któréj fundują budowę świetniejszéj przyszłości, jedni przypisują upadek słabości rządu monarchicznego, drudzy sprzeniewierzeniu się prawowierności katolickiej, inni społecznemu konserwatyzmowi. Zależnie od owéj doktryny, na podstawie motywów ostatnich chwil rzeczypospolitéj jedni w daném zjawisku upatrują rozkład, drudzy objawy zdrowia, troskliwie zaś wszyscy fenomeny różne nanizają na nić dostrzeganego w przeszłości upadku, by ją nawiązać z katastrofą rozbiorów. W taki sposób katastrofa upadku spożytkowaną została do oświetlenia wypadków wstecznych, stała się kryteryum potępiania zdarzeń i ludzi, nieodpowiadających doktrynie, a uwielbień tych faktów i osobistości, które czynią jéj zadość.

Branie katastrofy upadku za punkt wyjścia w poglądzie na przeszłość jest z gruntu rzeczą fałszywą, dla dziejów szkodliwą. Fakt upadku państwa, ważny dla historyi w stuleciu bieżącém, bezzasadnie wzięty został za motyw zasadniczy przy uprawie dziejów przedrozbiorowych. Fakt upadku musi być punktem wyjścia do historyi porozbiorowéj, zmienił bowiem warunki dalszego rozwoju tak samo, jak w XIII stuleciu najazdy tatarskie i kolonizacya Niemców, jak w XIV wieku zjednoczenie z Koroną obszarów Litwy i Rusi; nie widzimy jednak racyi naukowéj do przyjmowania go za główny wątek

przy badaniu całéj przeszłości. Czyż przeszłość gromadziła jedynie materyał dla sprowadzenia upadku? czyż obok wadliwéj organizacyi państwowéj nie rozwijała motywów innych? Upadek państwa nie doprowadził bytu naszego do kresu, lecz stworzył jedynie przełom; nie unicestwił narodu, lecz tylko zmienił warunki jego rozwoju. Ów byt nasz i rozwój w stuleciu bieżącém ważniejszym jest przecież rezultatem pracy przeszłości, niż ruina państwa, bez którego możemy—bo musimy—się obejść. Rdzenniejszym przeto, niż stracenie bytu politycznego, jest motyw gromadzenia dorobku moralnego, który zagwarantował byt dalszy i rozwój; racyonalniéj by było przyjąć za punkt wyjścia do dziejów genezę i formacyę rzeczonego dorobku, niż ogrywanie wszystkich strun przeszłości na temat upadku. Zrozumiałą by była wyłączność motywu upadku w dziejach *państwa*, lecz nie *narodu*, który stanowi główny przedmiot badania historycznego i który po zaniku bytu politycznego istniéć nie przestał. Historyk państwa musi ciągle miéć na uwadze upadek, w nim bowiem znajduje kres badań; dla dziejopisa w rozległém tego słowa znaczeniu zniszczenie warunków bytu politycznego wagę powinno miéć względną. Instytucya, zwana państwem, nie ogniskuje w sobie wszystkich życia promieni; dzieje jéj nie są kwintesencyą przeszłości. Obok urabiania form życia państwowego naród polski snuł wątek cywilizacyjnego dorobku, który przetrwał upadek i główny dziejów naszych stanowi motyw. Upadek państwa w związku z zasobami moralnymi społeczeństwa z końca wieku XVIII musi być punktem wyjścia do historyi w stuleciu bieżącém, lecz nie powinien służyć za normę do oceniania wypadków wstecznych, nie powinien być zasadniczym całych dziejów motywem.

Wyzwolenie badań dziejowych z więzów polityki praktycznéj i zaniechanie naciągania przeszłości do motywów upadku starłoby z historyi panujące w niéj od wieku piętno dydaktyzmu, niemającego żadnego z nauką związku. Praktykowany przez doktrynerów system karcenia lub uwielbiania zdarzeń i ludzi ustąpić by musiał badaniu obiektywnemu; utyskiwania, że tok przeszłości nie zwrócił się w kierunku monarchicznym, ultramontańskim lub rewolucyi socyalnéj, zamilknąćby musiały przed loiką faktów, przed koniecznością dziejową, któréj wobec rezultatów nauki ogólnéj za chimerę poczytywać niewolno. Konsekwencye oceniania przeszłości przez szkła interesów stronnictw politycznych, poszukiwania w niéj wskazówek praktycznych zaciążyły na dziejopisarstwie naszém fatalnie i dotykać je będą dopóty, dopóki rozszerzenie w społeczeństwie gruntowniejszych o nauce pojęć nie powstrzyma od nadużywania imienia historyi.

Władysław Smoleński.



ZMIENNOŚĆ MORSKIEGO POZIOMU.

Badając zamierzchłą przeszłość naszéj planety, przekonywamy się, że stosunek powierzchni lądów i mórz ulegał ciągłym zmianom. Warstwy, spiętrzone dzisiaj w szczyty najwyższych gór, pogrążone były niegdyś w szumiących falach oceanu. Brak niektórych numerów w szeregu formacyi osadowych wskazuje, że w odnośnym geologicznym peryodzie dane obszary wynurzyły się z łona wód, by późniéj znów się pogrążyć a dziś nakoniec znów objawić przed oczami badacza.

Lecz nietylko w odległéj przeszłości geologicznéj ziemia nasza przechodziła takie zmiany; i obecnie, w epoce historycznéj jesteśmy ich świadkami, choć w ciągu krótkiego życia ludzkiego zmiany te są drobne w porównaniu do tych, jakie poznać możemy pośrednio z badania odległych epok geologicznych. Mimo to wiemy, iż w wielu miejscach rolnik uprawia dziś te obszary, na których ojcowie jego zarzucali sieci, że wiele kwitnących niegdyś miast portowych leży dziś zdala od brzegu lub że, chcąc utrzymać swe stanowisko portowe, musi wędrować za ustępującém morzem. Że daléj zatoki morskie zmieniły się w nadbrzeżne jeziora, głębie w mielizny, mielizny w wyspy, że te ostatnie zrosły się z lądem i zamieniły w haczykowate półwyspy lub całkiem posunęły we wnętrze lądu, tworząc lesiste wyniosłości śród obszernych łąk (Szwecya) i t. d. i t. d. Że odwrotnie na wyspach nadbrzeżnych żyją stworzenia, któreby się tam przez wody dostać nie mogły, jak szakal na wyspach Dalmacyi (1), apteryx (kiwi), ptak bezlotny na nadbrzeżnéj wysepce koło Nowéj Zelandyi (2); że na dnie morza dają się spostrzegać pnie dawnych

---

(1) Ob. Unser Wissen von der Erde 1886, II, str. 21.

(2) Ob. G. Hahn. Untersuchungen über das Aufsteigen und Sinken der Küsten. 1879, str. 67.

lasów, torfowiska (1), przedłużenia dolin rzecznych (rz. Hudson (2)) szczątki budowli ludzkich i t. d. i t. d.

Wszystko to dowodzi, że stosunek lądu i morza, że linia brzegowa ulega i w naszych czasach ciągłym choć powolnym zmianom. Rodzi się więc pytanie: jaka jest istota i przyczyna tych zmian? Czy są one rezultatem zmian poziomu lądów, czy też poziomu mórz i jakie siły wywołują zmiany jednych lub drugich?

Pierwsze wrażenie, jakie zmiany te wywierają na mieszkańców morskiego wybrzeża jest, iż morze ustępuje, „wysycha", lub też, że wzbiera, zalewa brzegi. Człowiek naturalnie bardziéj skłonnym jest przypisać zmianę tak ruchliwemu żywiołowi jak woda, aniżeli lądowi, który przyzwyczailiśmy się uważać za żywioł „stały" i którego najlżejsze wstrząśnienie przejmuje nas najwyższym podziwem i zgrozą. To pierwotne surowe objaśnienie podzielali i pierwsi naukowi jego obserwatorowie: Celsiusz na wybrzeżach Szwecyi i Carsten Niebuhr na przesmyku Sueskim. Ale to surowe objaśnienie przyrostu lądu przez ustępowanie morza łatwo było obalić zarzutem, iż morze powinno w takim razie wszędzie ustępować, tymczasem na innych wybrzeżach wzbiera ono, oraz że znaki dawnéj linii brzegowéj nie są równoległe do obecnego poziomu morza. To też wkrótce nad zjawiskami temi zapanowała wszechwładnie buchowska teorya wulkanistyczna: zmiany te przypisała ona wyłącznie lądowi, a jako przyczynę uznała oddziaływanie wewnętrznego ognisto-płynnego jądra na twardą skorupę ziemi. Dopiero w ostatnich dziesiątkach lat, gdy i innym siłom, jak sile wody i procesom chemicznym przyznano przynależną im część w procesie ukształtowania i przekształcania powierzchni ziemi, okazało się, iż wyżéj wspomnione zmiany są zjawiskiem bardziéj skomplikowaném, nawet w takim razie, gdyby istota ich leżała w samych lądach. Mianowicie procesy chemiczne pod niewielkiem ciśnieniem mogą wywoływać zmiany w objętości znacznych obszarów lądu, a stąd wzniesienie; znaczne obszary pulchnych napływów mogą pod własnym ciężarem osiadać, stąd obniżanie brzegu. Daléj grube warstwy napływów osadzone na dnie morza odziewają ziemię niby nową szatą, utrudniają jéj ochładzanie, podnoszą w danéin miejscu geoizotermy, t. j. podnoszą temperaturę warstw ziemskich; każde zaś wzniesienie temperatury musi wywołać powiększenie objętości, a więc fałdowanie, podno-

---

(1). Ob. C. König. Moor und Torf. (Zeitschrift für Wissenschaftliche Geogr. 1885. V, str. 273 — 289.

(2) Ob. Petermann's. Mitteilungen. 1885, str. 363.

szenie warstw (1). Nie wspominamy już o tém, że naturalnie niszcząca lub budownicza praca wody musi też wpływać na ubywanie (Helgoland) lub przyrost wybrzeży (posuwanie delt w morze). Nawet wiatr, nanosząc piasek na płytkie morze lub kierując ruch morskich fal na strome wybrzeża, może bezpośrednio lub pośrednio wywoływać zmiany; przesmyk Sueski np. powstał prawdopodobnie przez nawianie piasku na płytką cieśninę (2).

Nakoniec w ostatnich latach przyznano i morzu na drodze naukowéj czynny udział w tych zmianach, przyznano „zmienność poziomu morza.“ Stąd dla zmian linii brzegowéj przyjęto nazwy niezależne od wszelkiéj hypotezy, od wszelkiéj przyczyny; mianowicie zamiast „podnoszenia i opadania wybrzeży“ — „pozytywne i negatywne zmiany linii brzegowéj“ (zalew i ustępowanie morza). Z prac w tym przedmiocie szczególniéj zasługuje na uwagę praca młodego i niezmiernie utalentowanego geografa A. Pencka, z którą mamy właśnie zamiar zaznajomić czytelnika (3).

I.

Wspomniana wyżéj widoczna na pozór prawda, że zmiany poziomu morza musiałyby się odbywać wszędzie w jednakowym sensie, okazała się wobec najnowszych badań złudzeniem. Albowiem powierzchnia morza nie przedstawia bynajmniéj idealnéj powierzchni sferoidu, jak to dawniéj sądzono, lecz odstępuje od niéj znacznie i tworzy właściwą sobie matematyczną powierzchnię, którą Listing nazwał geoidem. Powierzchnia morza wznosi się mianowicie znacznie ku wybrzeżom lądów i to nie wszędzie jednakowo; stąd wynika, że jeżeli powierzchnia morza ulegnie zmianom, to zmiany te nie wszędzie jednakowo występować będą.

Z praw równowagi ciał płynnych wynika, że ich powierzchnia musi być prostopadłą do kierunku pionu, to też już oddawna wyprowadzono wniosek, że zboczenie pionu w pobliżu gór musi wywoływać też w pobliżu zboczenie powierzchni morza od sferoidu, ale zboczenie to uważano początkowo za zbyt drobne. W 1842 Saigey posunął naprzód tę kwestyą, przyjmując prócz lokalnéj atrakcyi gór także wogóle atrakcyą całych kontynentów na otaczający je ocean. Ale badania Saigeya pozostały prawie nieznane; tymczasem Ph. Fischer (1868) zbadał tę kwestyą daleko gruntowniéj.

(1) Ob. Jentsch. Das Schwanken des festen Landes. 1875.

(2) Ob. Peschel-Krümmel. Europäische Staatenkunde. 1880, str. 12.

(3) Ob. A. Penck. Schwankungen des Meersesspiegels. 1882.

Według Fischera zboczenie pionu u wybrzeży lądów wynosi średnio 70″—80″, a więc przeszło 1′; wzniesienie zaś morskiego poziomu otrzymamy w metrach, mnożąc zboczenie pionu w sekundach przez 8. Z tego wynika, iż ocean wznosi się ku lądom średnio na 560—640 m., w niektórych zaś razach nawet przeszło 850 m., t. j. o tyle poziom morza u wybrzeży lądów jest bardziéj oddalony od środka ziemi, aniżeli pod tą samą szerokością pośród oceanu.

Fischer znalazł potwierdzenie tego rezultatu, rozważając obserwacye nad ruchami wahadła w różnych miejscowościach. Obserwacye te wykazały mianowicie zbyt wielką ciężkość (przyśpieszenie ruchu wahadła) na wyspach oceanicznych, a zbyt mały na kontynentalnych. Fischer objaśnia to zjawisko tą okolicznością, że morze u wybrzeży lądów stoi wyżéj niż pośród oceanu, t. j. że jego powierzchnia u wybrzeży jest bardziéj oddalona od środka ziemi, aniżeli pod tą samą szerokością na otwartém morzu. Na téj nowéj podstawie oblicza téż Fischer różnice poziomu morza w rozmaitych punktach. Jeżeli porównamy obserwowaną ilość wahnień wahadła sekundowego (sprowadzoną do poziomu morza) z obrachowaną na podstawie pewnego przyjętego spłaszczenia ziemi, to według Fischera różnica jednego wahnienia na dzień odpowiada różnicy wzniesienia po nad powierzchnię przyjętego sferoidu na 62,5 toazów = 122 m. (według Hanna zaś tylko 119 m.). Według tego łatwo obrachować zboczenie powierzchni morza od powierzchni sferoidu. Według Fischera, różnica ciężkości na wyspach oceanicznych i kontynentach wyraża się wogóle przez 9,3 wahnień wahadła, co według powyższego odpowiada wzniesieniu morza ku kontynentom na przeszło 1000 m.

Obliczenia Fischera były téż przez innych powtarzane: Listing np. obliczył, że morze Karaibskie i część oceanu Atlantyckiego oblewająca półn.-wsch. wybrzeża Ameryki południowéj wznosi się na 500 m. nad normalną powierzchnię sferoidu, podczas gdy oc. Atlantycki w pobliżu St. Heleny leży na 847 m., a oc. Spokojny około wysp Bonin na 1309 m. poniżéj téj powierzchni. Stąd różnica morskiego poziomu wynosiłaby przeszło 1500 m., co jest tymbardziéj uderzające, że Listing przy mnożeniu różnicy wahnień za stały czynnik przyjmuje nie 122 jak Fischer, lub 119 jak Hann, lecz tylko 110 (*). Do podobnego rezultatu doszedł téż Bruns na zasadzie matematycznéj teoryi.

(*) Z drugiéj jednak strony Penck nie zwraca na to uwagi, że niezwykłe powiększenie liczby wahnień na wyspach Bonin może téż pochodzić od cięższych mas, które być może składają w tém miejscu skorupę ziemską.

Z tego wszystkiego widocznie wynika, że powierzchnia morza nie jest bynajmniéj normalną powierzchnią sferoidu, to jest pod tymże samym równoleżnikiem nie jest we wszystkich punktach jednakowo odległa od środka ziemi; przedstawia owszem bardzo znaczne zboczenia od téj powierzchni, wznosi się ku kontynentom. Wielkość tego wzniesienia jest rozmaita, jak to wynika z natury rzeczy i z obserwacyi nad wahadłem. Teoretycznie wielkość wzniesienia morza musi zależeć od wysokości i wielkości kontynentu, od rodzaju jego wznoszenia się ku wnętrzu i od zarysu linii brzegowéj. Na wyskakujących półwyspach zboczenie pionu a stąd i wzniesienie morza będzie mniejsze aniżeli na wrzynających się zatokach.

Nie potrzeba zdaje się dowodzić, że te *nierówności* morskiego poziomu nie dają jeszcze żadnego powodu do jego *zmian*; albowiem te nierówności reprezentują właśnie równowagę, która wskutek niejednakowéj ciężkości lądu i wody musi się ustanowić i musi pozostać dopóki jakieś zewnętrzne wpływy jéj nie naruszą. Dla rozstrzygnięcia więc pytania o zmienności morskiego poziomu trzeba zbadać te czynniki, które mogą naruszyć wyżéj wspomnianą równowagę.

Zanim jednak zajmiemy się tém, musimy rozstrzygnąć poprzednio inne pytanie, mianowicie: czy *stosunek mas wody i lądu jest stały*, t. j. czy ilość wody w stanie płynnym na powierzchni ziemi ulega zmianom? Każde powiększenie lub zmniejszenie téj ilości wody musi się naturalnie ujawnić w zmianie morskiego poziomu. W kwestyi téj posiadamy mniéj materyału obserwacyjnego aniżeli zwykle przypuszczają. Wprawdzie hypoteza, że kostniejący nasz glob pochłania z biegiem czasu pokrywającą go płynną powłokę, jest bardzo prawdopodobna, tak, iż ziemia w ostatecznéj fazie swego rozwoju stanie się ciałem pozbawioném atmosfery na podobieństwo księżyca; jednakże, jeżeli na podstawie téj hypotezy musimy przypuścić z biegiem czasu zmniejszanie się ilości wody, a stąd i *zniżanie się powierzchni morza*, to z drugiéj strony jest rzeczą bardzo wątpliwą, czy w zakresie czasu podlegającym geologicznéj chronologii zniżanie to dało się czémkolwiek uczuć. Penck nie znajduje żadnego dowodu na to, że od okresu Syluryjskiego ilość wody na ziemi zmniejszyła się. Nawet najstarsze warstwy, zawierające skamieniałości, pokazują, że za czasów ich tworzenia się już lądy i morza istniały obok siebie na ziemi i jeżeli ze szczątków organizmów możemy wnioskować o odpowiadających im warunkach życiowych, to musimy przypuścić, że już najstarsze morza miały skład odpowiadający dzisiejszym. Gdyby zaś z biegiem czasu masa morza zmniejszyła się znacznie, to słonność jego powinna się zwiększyć, a na to nie mamy żadnego dowodu. Penck zbija tedy dowodnie hypotezę Trautscholda,

który chciał zmiany linii brzegowéj objaśnić ubywaniem morza wskutek przenikania wody w ziemską skorupę, i przychodzi do następującego wniosku: *najprawdopodobniejszą jest rzeczą, że jak od czasu wystąpienia organizmów na ziemi ogólny stan fizyczny naszéj planety nie uległ istotnéj zmianie tak téż od téj chwili i ilość wody nie zmniejszyła się.* Wprawdzie w obu razach wskutek ciągłego rozwoju naszego globu odbywają się nieznaczne zmiany jego stanu, nieznaczne ubywania płynnéj ilości wody. Ale te ubywania są tak nieznaczne, iż zupełnie wymykają się od obserwacyi.

II.

Gdyśmy się upewnili, że ilość płynnéj wody, a więc i morskiéj możemy przyjąć za stałą, zajmiemy się teraz temi zjawiskami, które mogą mieć wpływ na stan równowagi między lądem i morzem.

Jedynie zmiany w grawitacyi mogą naruszyć tę równowagę, Z powyższego zaś łatwo wywnioskować, że każdy ruch lądu stałego wywołuje zmianę w grawitacyi i stąd narusza równowagę między lądem i wodą. Z drugiéj jednak strony ogólne kosmiczne warunki, jak rozmaite stanowisko ziemi względem sąsiednich ciał niebieskich, oraz zmiana w szybkości ruchu wirowego, mogą téż wywołać zmiany w natężeniu siły ciężkości. Ale zmiany te stosują się do całéj kuli ziemskiéj, i wtedy tylko mogłyby wywrzéć wpływ na rozkład lądów i wód, gdyby stała skorupa była do tego stopnia stwardniałą, iżby zachowywała się biernie względem zmian ciężkości, i nie mogła zdążać za ruchami płynnéj powłoki. Tak jednak nie jest: skorupa ziemska nie posiada dostatecznéj twardości, aby oprzéć się ogólnym zmianom siły ciężkości; ulega ona téj saméj deformacyi co i płynna powłoka. Wprawdzie gdy owe zmiany ciężkości szybko zmieniają kierunek, jak to ma miejsce przy przypływach i odpływach morza, wówczas twarda skorupa nie może tak szybko im ulegać jak płynna powłoka i wtedy powstają nieznaczne przesunięcia linii brzegowéj; gdy jednak zmiany owe działają długo i stale wówczas twarda skorupa ulega im w równym stopniu jak płynna powłoka, a więc żadne przesunięcie granicy między morzem i lądem nie nastąpi.

Jeżeli więc *ogólne* zmiany ciężkości na ziemi nie są w stanie wywołać trwałego naruszenia równowagi między morzem i lądem, to wszelkie naruszenie tej równowagi musimy przypisać *lokalnym zmianom ciężkości* na ziemi. Te lokalne zmiany ciężkości wynikają z własnych ruchów twardéj ziemskiéj skorupy. Skorupa ta wskutek stygnięcia ziemi fałduje się, a taki ruch fałdowy musi naturalnie naruszać równowagę między elementem stałym i płynnym.

Należy się więc odzwyczaić od uważania powierzchni morza za zero skali do oceniania ruchów lądu stałego. Przypuśćmy np. że na wybrzeżu płaskiego lądu powstają góry, wówczas atrakcya wywarta przez ląd na morze powiększy się i podniesienie lądu wywoła wezbranie morza. Jeżeli góry takie wzniosą się we wnętrzu kraju, a płaskie wybrzeża nie ulegną zmianie, to wskutek wezbrania morza, zostaną one zalane i pozornie wydawać się będzie, iż się obniżyły.

Odwrotnie, jeżeli poziom kontynentu obniży się, naówczas atrakcya jego na morze zmniejszy się, morze się obniży, cofnie od wybrzeża i na pozór zdawać się będzie, iż wybrzeże się podniosło. Poziom kontynentów rzeczywiście ulega obniżeniu wskutek wypłukującego działania płynących wód; obniżenie to wynosi więcéj niż 1 m. w 10000 lat. Jeżeli średnią wysokość południowéj Ameryki przyjmiemy na 400 m. to w 4 miliony lat cały ten kontynent zostałby zniwelowany, znaczna nabrzmiałość, jaką morze u wybrzeży tego lądu przedstawia, zmniejszałaby się zarazem i południowa Ameryka, zdawałaby się pozornie podlegać powolnemu wiekowemu wznoszeniu. Możemy więc wypowiedziéć ogólne twierdzenie, że lądy nieposiadające żadnych ruchów lecz wystawione tylko na niszczące działanie wypłukiwania i spłukiwania (Erosion und Denudation) będą na swych wybrzeżach przedstawiały zjawisko podnoszenia, przeciwnie zaś, lądy, których wnętrze podlega fałdowaniu a wybrzeża są stałe, będą przedstawiały na tych ostatnich zjawisko obniżania. Ale tak fałdowanie jak i spłukiwanie lądów nie odbywają się prawidłowo, ulegają różnym zmianom w różnych czasach, a stąd i zależna od nich wysokość powierzchni morza, ulegać też będzie zmianom. Znaczy to w tłómaczeniu na zwykły język, że podnoszenie i opadanie lądów odbywa się nie z jednakiém natężeniem.

A więc tak zwane zjawiska podnoszenia się i obniżania wybrzeży nie dają zaraz prawa na wniosek, że masy lądowe ograniczone temi wybrzeżami, rzeczywiście podnoszą się lub obniżają bądź powolnie bądź nagle. Albowiem trzeba miéć zawsze na uwadze, że większe lub mniejsze fałdowanie się ziemskiéj skorupy, większe lub mniejsze spłukiwanie wywołane zmianami klimatu mogą wywierać taki wpływ na stan morza, iż będzie ono wznosić się lub opadać u wybrzeży pewnego kontynentu.

Ale ruchy twardéj skorupy mogą wywoływać zmiany linii brzegowéj nietylko przez lokalne zmiany atrakcyi, lecz także poprostu przez czysto mechaniczne wypchnięcie. Nic nie dowodzi, ażeby fałdowanie ziemskiéj skorupy ograniczało się jedynie do kontynentów; owszem powstawanie gór odbywało się też na dnie morza. Każde

podniesienie się gór na dnie morza wypycha pewną ilość wody i wywołuje przez to wezbranie morza, pozorne obniżenie wybrzeży; masy napływów składanych przez rzeki na dnie mórz wypychają tu równoważną masę wody, co następnie ujawnia się na wybrzeżach jako ich obniżanie.

W ostatnim przypadku jedna i ta sama przyczyna wywołuje dwa skutki: napływy osadzone na dnie morza wypychają wodę i wywołują obniżanie wybrzeży, ale zarazem ląd zubożony o te uniesione przez wodę masy zmniejsza atrakcyą, a stąd powstaje zjawisko podwyższania na wybrzeżach. Rodzi się więc pytanie czy te dwa przeciwne sobie skutki znoszą się wzajemnie, czy też jeden ma przewagę i który? Odpowiedź na to pytanie nie jest trudna. Pierwszy skutek przez mechaniczne wypchnięcie wody musi się objawić na całéj powierzchni morza, jest *ogólny*; drugi przez zmniejszenie atrakcyi danego lądu objawia się tylko dokoła tego lądu, jest *lokalny*. Naturalnie, że skutek lokalny musi być znaczniejszy, widoczniejszy aniżeli ogólny.

Tak więc ruchy stałéj skorupy warunkują rozkład lądu i wody, nietylko bezpośrednio tj. przez podnoszenie lądu z dna morskiego, a stąd wyznaczanie nowych granic hydrosfery; ale także i pośrednio, a mianowicie: najprzód przez to, że lokalna atrakcya lądów, wywołująca, jakeśmy widzieli, zboczenia morza od normalnego sferoidu na 1500 m., ulega ciągłym zmianom; powtóre przez to, że podniesienia całych krajów oraz wypełnienia mórz przez uniesione ruiny lądu warunkują wypchnięcie wody morskiéj. Ruchy lądu czy to wskutek fałdowania, czy wskutek spłukiwania, muszą zawsze pociągać za sobą ruchy powierzchni morza. Ruchy lądu, a przedewszystkiém najistotniejsza ich forma—fałdowanie jest zjawiskiem lokalném, ale wynikający stąd ruch wody udziela się większym przestrzeniom i może ujawnić się nawet w okolicach, które żadnym ruchom lądu nie ulegają. Z tego wynika, że powierzchnia morza jak nie stanowi absolutnego zera dla pomiarów wysokości, tak też nie może służyć za skalę do oceny podnoszeń się i obniżań lądów. Wnosić więc ze zjawisk podnoszenia lub spadania na wybrzeżach o rzeczywistém wznoszeniu się lub opadaniu lądów jest to pojmować jednostronnie wieloznaczne zjawisko.

III.

Staraliśmy się powyżéj okazać, że ilość wody na ziemi w czasach obecnych i w bliższéj przeszłości za stałą uważana być może, a przynajmniéj, że nic nieznaczące jéj zmniejszenie nie grało żadnéj

roli w zmianach granicy, między wodą i lądem. Ale ta ilość wody nie zawsze w całości związaną jest z oceanem: nie mamy tutaj na myśli nic nieznaczącego w porównaniu z morzem nagromadzenia wody na kontynencie, lecz tę ilość, która w kształcie lodu pokrywa znaczne przestrzenie lądu. Ta odjęta morzu i nagromadzona na lądzie ilość wody nie jest już tak nic nieznacząca. Grenlandya cała z wyjątkiem wybrzeży jest pokryta lodową powłoką na przestrzeni do 35,000 mil □. Daléj przynajmniéj 1000 mil □ lodu pokrywa Szpicberg, przeszło 500—Kraj Franciszka Józefa. Znaczne lodowce spoczywają w Islandyi i północnéj Nowéj Ziemli, jak również w północno-amerykańskich krajach sąsiednich z Grenlandyą. Tak więc tylko na północnéj półkuli źe 40000 mil □ leży pogrzebane pod lodami, co stanowi 0,65% całego obszaru morza. Jeszcze znaczniejsze zlodowacenie przedstawiać musi półkula południowa. Croll ocenia je na $^1/_{23,46}$ całéj powierzchni morza, Penck na $^1/_{26}$, czyli na 250000 mil □. Jeżeli grubość lodowych mas borealnych, przyjmiemy średnio na 500 m. zaś australnych na przeszło 1000 m. (z powodu większego ich obszaru), to pierwsza wynosić będzie $^1/_7$ a druga $^2/_7$ średniéj głębokości morza (według Krümmla 3438 m.). Na zasadzie powyższych cyfr oraz ciężaru właściwego lodu = 0,9, otrzymamy ilość zlodowaciałéj wody jak następuje:

na północnéj półkuli $= {}^1/_7 \times 0{,}65 \times 0{,}9\% = 0{,}08\%$
na południowéj „ $= {}^2/_7 \times {}^1/_{26} \times 0{,}9 = 1\%$
na całéj ziemi $= 1{,}1\%$ całéj ilości wody.

Ta bardzo znaczna ilość wody, która w postaci lodu pokrywa lądy, nie jest stałą, lecz podlega znacznym wahnieniom. Nowe badania geologiczne wykazały w wyższych szerokościach geograficznych obu półkul ślady dawnego lodowego pokrycia. Nie tylko Alpy posiadały niegdyś daleko większe lodowce niż obecnie, ale cała północ naszego lądu była pogrzebana pod lodami, które rozchodziły się poczęści z wyżyn Skandynawii, poczęści z gór Szkocyi i Walii, sięgając średnio do 51° szerok. Na dalekim północno-wschodzie te skandynawskie masy lodowe zlewały się zapewne z lodowcami gór Timańskich, które znowu łączyły się, być może, z lodowemi strumieniami Uralu. Prócz tego ślady lodowców spotykamy w górach Kantabryjskich, Sierra Morena i Newada, a naturalnie i w Pirenejskich, daléj w górach centralnéj Francyi z Sewennami, w Wogezach, Szwarcwaldzie i Harzu, górach Kruszcowych, Olbrzymich i Lesie Czeskim, w Tatrach i Alpach Transylwańskich, Kaukazie, Armenii, Libanie.

Obok wielkiego północno-europejskiego zlodowacenia stoi więcéj niż na równi północno-amerykańskie sięgające do Suskehanny,

Ohio i Missouri, połączone z lodowcami gór Skalistych, które pokrywały Alaskę i zachodnie wybrzeże do 48° szer. Azya północna nie była, zdaje się tak zlodowaciałą jak północna Europa i Ameryka, ale w każdym razie posiadała obszerniejsze lodowce niż obecnie, jak to pokazują ich ślady w Himalajach, Thianszanie i Munku Sardyk; prawdopodobnie też półwysep Czukczów i części kraju Amurskiego były pokryte lodami.

Wyspy Faroer i Islandya stanowiły własne lodowcowe centra; Szpicberg i Grenlandya też były bardziéj zlodowaciałe niż dzisiaj.

Podobnież na południowéj półkuli w wyższych szerokościach spotykamy ślady dawnego potężniejszego zlodowacenia, jak np. na zachodnich wybrzeżach Patagonii do 41° szer. i na południowéj wyspie Nowéj Zelandyi.

Trudno rozstrzygnąć czy to dawne zlodowacenie miało miejsce równocześnie na obu półkulach, czy też występowało naprzemian, ale kwestyi nie ulega, że daleko większe przestrzenie niż dziś były dawniéj pokryte lodami. Penck oblicza, że na północnéj półkuli lody pokrywały 490000 mil □, z czego 380000 przypada na ląd, zaś 110000 na płytkie morza. Między innemi, w Europie przeszło 115000 mil □ było pod lodami z czego 82000 przypada na ląd, 33000 na morze.

Zlodowacenie więc północnéj półkuli rozciągało się na obszar stanowiący 7,5% całego obszaru mórz, podczas gdy dziś wynosi, jakeśmy widzieli, tylko 0,65%; a zatém dawniéj przeszło 10 razy większy obszar był pokryty lodami na północnéj półkuli niż dzisiaj. Jeżeli średnią grubość tych mas dyluwialnych przyjmiemy tylko na 1000 m. to jest na $^2/_7$ średniéj głębokości morza (3500 m.), to znajdziemy, że masy lodowe na północnéj półkuli stanowiły wówczas $7,5 \times {}^2/_7 \times 0,9\% = 1,9\%$ masy morza. Lecz zmniejszenie objętości morza o 1% wywołuje zniżenie jego powierzchni na 35 m. a zatém zlodowacenie północnej półkuli pochłonęło tyle wody, iż morze musiało się zniżyć na 66, 5 m. Przytém przypuszczaliśmy, że zlodowacenie południowej półkuli było takie samo jak dzisiaj; ale nawet w takim razie gdyby zlodowacenie to w owe czasy nie istniało, to i tak zlodowacenie północnéj półkuli zabsorbowało by tyle wody, iż poziom morza zniżyłby się na 30 m.

Ale te wielkie masy zmarzniętéj wody w epoce lodowéj nie tylko zmniejszały ilość wody płynnéj, lecz także powiększały masę lądów; a zatém wpływały dwojako na naruszenie równowagi między lądem i wodą. Z jednéj strony wywoływały one ogólne obniżenie poziomu morza, z drugiéj strony, powiększając atrakcyą lądów, wywoływały lokalne podniesienie poziomu morza. Naturalnie, że

działanie lokalne było widoczniejsze w rezultacie niż działanie ogólne. Penck obrachowywa, że masy lodowe, pokrywające Europę w epoce lodowéj, wywołały na wybrzeżach zachodnich wzniesienie morza na przeszło 100 m.

Naturalnie, że to wzniesienie morza do koła pokrytego lodem lądu nie wszędzie było jednakowe, lecz podlegało ze swéj strony znowu różnym lokalnym modyfikacyom. Dla tego po zniknięciu pokrywy lodowéj spotykać będziemy na wybrzeżach, ślady dawnego wyższego poziomu morza nie na jednéj wysokości nad dzisiejszym jego poziomem, lecz na różnych odpowiednio do różnéj siły atrakcyjnéj dawnych mas lodowych. Prócz tego dają się dostrzegać i inne nieprawidłowości pochodzące stąd, że każda zmiana lokalna lub ogólna w stopniu zlodowacenia wywołuje odpowiednią lokalną lub ogólną zmianę w poziomie morza. W czasie więc epoki lodowéj powierzchnia morza musiała szczególniéj ulegać ciągłym zmianom.

Ideę związku między zlodowaceniem i zmianami poziomu morza pierwszy wypowiedział Adhémar w r. 1842 w dziele „Revolutions de la Mer.“ Według tego uczonego, okolica polarna téj półkuli, któréj zima przypada w punkcie odsłonecznym (Aphelium) ulega zlodowaceniu. Utworzona tym sposobem misa lodowa (Eiscalotte) przeciąga środek ciężkości kuli ziemskiéj ku jednemu z biegunów, a stąd wywołuje ogólne przelanie się wodnéj powłoki. Pogląd ten w Niemczech został podjęty i rozszerzony przez Bruchhausena (1845), który twierdził, że polarna misa lodowa nie tylko przesuwa środek ciężkości naszego globu, ale także wytwarza nowy środek przyciągania dla oblewających ją wód.

Z postępem wiedzy odkryto wiele podstawowych błędów w poglądach Adhémara. Przedewszystkiém niepodobna już dziś mówić o „polarnych misach lodowych.“ Adhémar sądził mianowicie, że obie okolice polarne są pokryte potężnemi masami lodu, które na biegunie południowym sięgają do 70° szer. na północnym zaś do 80°. Wprawdzie od czasu gdy Adhémar wypowiedział ten pogląd nie posunięto się zbyt wiele ku biegunom, ale w każdym razie możemy dziś twierdzić, że nieznane okolice biegunów nie są całkowicie zlodowaciałe. Nauczono się mianowicie odróżniać pływające pola lodowe powstałe z wody morskiéj i pływające góry lodowe powstałe z odłamywania się lodowców. Jako rzecz pewną możemy dziś twierdzić, iż *morze nigdzie, nawet w najwyższych szerokościach nie jest zupełnie i trwale zmarznięte.*

Wielkie góry lodowe, które dały powód do mniemania o całkowitém zmarznięciu mórz pod biegunami, są odłamkami wielkich *kontynentalnych mas lodowych*, odłamkami polarnych *lodowców* sięga-

jących aż do morza. Lodowce zaś w swém rozprzestrzenieniu ograniczone są do lądów i to tylko do ich górzystych części. Wielkie góry lodowe mórz polarnych świadczą więc o tamtejszych górzystych lądach i *tylko te części okolic polarnych dźwigają potężną i trwałą pokrywę lodową*.

Wiadomo też obecnie, że góry lodowe mórz arktycznych są znacznie mniejsze od antarktycznych i pochodzą tylko z Grenlandyi. Tylko więc Grenlandya jest zlodowaciała, nie cała okolica polarna północna do 80° szer. Dokoła zaś bieguna południowego napotykano na wszystkich morzach olbrzymie góry lodowe na 140—160 a nawet 300 m. wysokości. Ten olbrzymi rozwój gór lodowych da się objaśnić tylko istnieniem rozległego Antarktycznego lądu. Krainy Wilkesa, Wiktoryi, Termination, Enderby, Grahama i Aleksandra są bezwątpienia tylko wybrzeżami lub forpocztami tego lądu.

Z powyższych względów Penck nie zgadza się z Wagnerem, (który powyższe krainy uważa za wązkie pasy ziemi i oblicza cały ląd pod biegunem południowym na 12000 mil □) i na obszar Antarktycznego lądu podaje 250000—300000 mil □.

Tak więc Penck wraz z Crollem uważa antarktyczne masy lodowe za lód kontynentalny, za lodowce, a nie za „polarną lodową misę“ Adhémara. Wogóle sądzi, że zlodowacenie podbiegunowych okolic zależy od stosunkowego rozprzestrzenienia lądu i wody, a nie od pewnych szerokości geograficznych tak, iż w epoce lodowéj zlodowacenie rozciągało się nieprawidłowo dokoła bieguna, odpowiednio do położenia lądów.

Poglądy Adhémara na przyczyny zlodowacenia też nie znalazły potwierdzenia, ale zasadnicza idea o kolejnych epokach lodowych utrzymała się dotąd, gdyż przedstawia najlepszą drogę do objaśnienia epoki lodowéj. James Croll twierdzi, że w peryodach bardzo wielkiego mimośrodu drogi ziemskiéj, gdy różnica między długością zimy i lata dochodzi 36 dni, ta półkula, która ma dłuższą zimę przechodzi każdorazowo epokę lodową, w swych wyższych szerokościach zostaje zlodowaconą; podczas gdy druga półkula cieszy się równocześnie łagodnym klimatem. Croll twierdzi daléj, że w związku z tém jednostronném zlodowaceniem pozostają też zmiany w poziomie morza. Wraz z Adhémarem, przyjmuje on, że środek ciężkości ziemi posuwa się na tę półkulę, która ulega zlodowaceniu, a to przesunięcie środka ciężkości pociąga za sobą deformacyą płynnéj powłoki; która na zlodowaciałéj półkuli wznosi się, a na drugiéj opada. To podniesienie poziomu morza nie jest jednak według Crolla, i to jest jądro jego teoryi, największe w czasie maximum zlodowacenia. Największe wzniesienie morza ma miejsce w pewien

czas po maximum zlodowacenia, wtedy mianowicie, gdy ono na jednéj półkuli zaczyna już znikać, a na drugiéj jeszcze się nie utworzyło. A. Wallace jednak powątpiewa w kolejne zlodowacenie obu półkul, twierdzi owszem, iż w czasach wielkiego mimośrodu obie półkule równocześnie mają epokę lodową. Jeżeli więc — mówi Penck — nie możemy napewno twierdzić, że dwie półkule ziemi miały naprzemian epokę lodową, to nie możemy też utrzymać dawnego poglądu Adhémara o każdorazowém zatapianiu zlodowaciałéj półkuli, ani też modyfikacyi Crolla. Odwrotnie wydaje nam się, iż ze zjawisk podnoszenia i opadania można raczéj wnioskować, czy zlodowacenia występowały naprzemian na obu półkulach, czy też równocześnie, czy nakoniec istniał pewien stan pośredni między jedném i drugiém, t. j. że jak obecnie zlodowaciałe obszary znajdują się w obu okolicach polarnych, tak też i w czasie wielkiego lodowego peryodu lodowce znajdowały się także w obu okolicach polarnych tylko posiadały niejednakowy rozwój. W tych trzech przypadkach wpływ na stan powierzchni morza musi być różny. W pierwszym przypadku muszą nastąpić te zjawiska, które kreśli nam Adhémar i Croll. Pewna część wody odjęta morzu zgromadzi się w kształcie lodu na *jednéj* półkuli; ku téj półkuli przesunie się środek ciężkości globu i wywoła na niéj nagromadzenie wody zwiększone jeszcze atrakcyą mas lodowych. W drugim przypadku lód zbiera się w polarnych okolicach obu półkul, żadne więc przesunięcie środka ciężkości nie ma miejsca, a zatém nie ma też miejsca żadna ogólna zmiana morskiego poziomu, lecz tylko taka, jaką wywołuje lokalna atrakcya mas lodowych. W pierwszym przypadku woda płynie z jednéj półkuli na drugą, każda półkula z kolei bywa zatopioną i ta mianowicie, która w danym peryodzie jest zlodowaciałą. W drugim przypadku znaczna ilość wody odjęta morzu zgromadza się w kształcie lodu na obu biegunach, a do tego masy lodowe ściągają ku sobie wody, a zatém *równikowa* okolica ziemi powinna przedstawiać zjawiska wynurzania. Trzeci przypadek przedstawia kombinacyą dwóch poprzednich.

IV.

Grenlandya jest krainą całkowicie zlodowaciałą we wnętrzu. Z tego wewnętrznego lodowego obszaru spływają ku wybrzeżom potężne strumienie lodowe i po części uchodzą bezpośrednio do morza, po części kończą się w jego pobliżu. Ten wewnętrzny obszar lodowy był niegdyś daleko większy. Nawet ten wąski rąbek (70 do 150 klm.), który obecnie oddziela te masy lodowe od morza, był nie-

zbyt jeszcze dawno zlodowaciały i odwrotnie w najnowszych czasach spostrzeżono znów przyrost wielu z tych lodowców, które lód wnętrza uprowadzają do morza.

Jeżeli więc istnieje jakiś związek między zmianami w zlodowaceniu kraju i stanem okolicznego morza, to musi się on objawić w Grenlandyi. Mianowicie z tego, cośmy dopiero co powiedzieli o zmianach w jéj zlodowaceniu wynika, że na jéj wybrzeżach powinny się objawić dawniejsze ślady podniesienia i mniéj znaczne lokalne ślady nowego obniżania. Obserwacye potwierdzają rzeczywiście ten teoretyczny wniosek.

Ślady wzniesienia kraju, względnie obniżenia morza napotykają się wszędzie wzdłuż zachodniego wybrzeża Grenlandyi w licznych tarasach nadbrzeżnych i dawnych liniach brzegowych, leżących nad obecnym poziomem morza. Wszystkie te zjawiska podniesienia mają jednę wspólną cechę: wskazują one, że przesunięcie linii brzegowéj nie występowało wszędzie z jednakiém natężeniem, lecz tu silniéj, tam słabiéj. Daléj zjawiska te wskazują nie na jeden dawny wyższy poziom wody, lecz na wiele i te pojedyncze poziomy nawet w pobliskich miejscach nie odpowiadają sobie.

Wszystkie te zjawiska dadzą się w sposób łatwy objaśnić przez lokalne ustępowanie lodowców, ustępowanie przerywane pauzami spokoju i niejednakowe co do siły. Wskutek takiego ustępowania atrakcya lądu zmniejszała się nie zawsze i nie wszędzie jednakowo, wywoływała więc niejednakowe obniżanie morza.

Odwrotnie najnowszy przyrost wielu lodowców wywołał obniżenie lądu: nadbrzeżne budowle oraz słupy do suszenia łodzi muszą być przestawiane, gdyż woda je zalewa; dawne budowle stoją pod wodą.

W czasach więc przedhistorycznych Grenlandya była cała zlodowaciała, od tego czasu lodowce ustąpiły znacznie i dla tego na całém zachodniém wybrzeżu widać ślady przedhistorycznego podniesienia. W czasach zaś historycznych widzimy w wielu miejscach przyrost lodu i w pobliżu tych wszystkich miejsc widać świeże zjawiska obniżania. Podobne stosunki zachodzą, jak się zdaje, i w innych krajach polarnych, np. na Szpicbergu, tylko że w krajach niezamieszkałych zjawiska obniżania są bardzo trudne do skonstatowania.

Jeżeli dzisiaj w krainach polarnych zmiany linii brzegowéj idą ręka w rękę z wahnieniami lodowców, to w epoce lodowéj musiało się to zjawisko odbywać na daleko większą skalę. I rzeczywiście spotykamy ślady znacznych zmian linii brzegowéj w owe czasy, a przytém zmiany te nie są bynajmniéj powszechne, lecz lokalne;

ograniczają się na wyższe szerokości geograficzne, a tu na dawne obszary lodowcowe, nie są więc w zgodzie z hipotezą Crolla i nie dadzą się objaśnić przez żadną dotychczasową teoryą zmian poziomu morza. Ślady dawnych linii brzegowych i tarasy szczególniéj obficie występują w Norwegii. Tarasy składają się z osadów pochodzących z epoki lodowéj, leżą w tych miejscach, gdzie doliny wstępują do fiordów i są bardzo często w widocznym związku z dawnemi liniami brzegowemi. Ślady tych linii znajdują się na brzegach biegnących w linii prostéj i powstały widocznie od uderzania fal. Te ślady dawnego poziomu morza okazują wprawdzie wiele nieprawidłowości, biegną nieraz ukośnie do obecnego poziomu morza, nie leżą w jednakowéj maksymalnéj wysokości w różnych częściach wybrzeża; nieprawidłowości te uważano dawniéj jako niezbite dowody rzeczywistego podniesienia, które nie wszędzie z jednakową siłą występowało, jednakże Penck objaśnia je bardzo dobrze za pomocą różnic w stopniu zlodowacenia różnych części kraju oraz pochyłością powierzchni morza przyciąganego przez lodowce wewnętrzne fiordów.

Nie tylko Norwegia, ale wszystkie dawne obszary lodowcowe przedstawiają zjawiska podnoszenia; przytém Półn. Ameryka przedstawia pewne osobliwości, zasługujące na bliższą uwagę. Podczas maksymum zlodowacenia rozciągało się ono w Ameryce do dorzecza Mississipi, a zatém wody wypływające z lodowców mogły spływać bez przeszkody ku południowi. Stan ten jednak zmienił się wraz z ustąpieniem lodowców i ograniczeniem ich do zlewiska zatoki Hudsońskiéj i rzeki Św. Wawrzyńca. Wówczas wody z topniejących lodów nie miały swobodnego odpływu, gdyż w kierunku pochyłości kraju ku zatoce Hudsońskiéj i rzece Św. Wawrzyńca zalegały masy lodowe; wody więc podparte przez południową krawędź lodów utworzyły między tą ostatnią i działem wodnym od Mississipi rozległe jeziora. Między innemi obecne jeziora Wyższe, Michigan, Huron, Erie i Ontario tworzyły podówczas jedno olbrzymie jezioro. Ślady dawnéj linii brzegowéj tego jeziora wznoszą się, rzecz dziwna, wyżéj aniżeli dział wodny od południa i przytém leżą tém wyżéj im daléj ku północy.

Z zupełną słusznością można sobie postawić pytanie: w jaki sposób zbiorowisko wody, które pozostawiło takie ślady, mogło wogóle istnieć i nie spłynąć ku południowi, w jaki sposób mogło miéć ukośną, ku północy wznoszącą się powierzchnię? Do tego dołącza się jeszcze jedno zjawisko: poziom owego wielkiego jeziora nie obniżał się zwolna prawidłowo, lecz peryodycznie, jak to wskazują nadbrzeżne tarasy jeziora Erie, leżące stopniowo jeden nad drugim.

Dla objaśnienia tego zjawiska przypuszczano nierówne podniesienia wybrzeży, ale daleko prościéj da się to objaśnić wahnieniami w poziomie wody. Albowiem w czasie, gdy to wielkie jezioro istniało, północ Ameryki była pokryta lodowcami, które pociągały wody jeziora ku sobie i nadały jéj powierzchnię ukośną, podniesioną ku północy. Ustępowanie lodowców, a stąd zmniejszenie się ich atrakcyi, musiało wywoływać opadanie poziomu jeziora. To ustępowanie lodowców a zatém i opadanie jeziora musiało się odbywać nieprawidłowo i stąd szeregi tarasów nadbrzeżnych jeden nad drugim.

Jedna tylko okoliczność zdaje się przemawiać przeciw teoryi Pencka, a mianowicie, że wszystkie ślady wysokiego stanu poziomu wód odnoszą się do czasu, gdy lodowce już znikały, a nie do czasu największego zlodowacenia; owszem wtedy, gdy atrakcya była największa i wody powinny były stać najwyżéj, stały one w rzeczywistości nisko, jak to badania ówczesnéj linii brzegowéj dowodzą. Penck tłómaczy to w ten sposób, że obok wzniesienia wody wskutek atrakcyi lodów było téż obniżenie wskutek jéj ubytku, a że w czasie największego zlodowacenia wody stały niżéj, to dowód, że wówczas wpływ ubytku był silniejszy aniżeli wpływ atrakcyi.

To daje nam środek ze zjawiska zniżenia poziomu wody robić wnioski o rodzaju zlodowacenia. Jeżeli mianowicie przypuścimy z Crollem kolejne zlodowacenia obu półkuli; to zjawisko obniżenia poziomu wody w czasie największego zlodowacenia nie da się objaśnić, jak to rachunek wykazuje. Przeciwnie, jeżeli przypuścimy równoczesne zlodowacenie obu półkuli, to obniżenie poziomu wody przez ubytek stanie się większe, aniżeli podniesienie przez atrakcyą (témbardziéj, że środek ciężkości ziemi w tym razie nie ulega przesunięciu) tak, iż w czasie największego zlodowacenia ląd będzie okazywał zjawiska podnoszenia, jak to rzeczywiście miało miejsce. W tym względzie Penck dochodzi do jednakowych wniosków z Wallacem, który modyfikuje teoryą Crolla: gdy według Crolla w czasie największego mimośrodu drogi ziemskiéj półkula, która ma dłuższą zimę, przebywa epokę lodową, druga zaś jest prawie wolna od lodów, to według Wallace'a w peryodzie największego mimośrodu lody zebrane w epoce lodowéj danéj półkuli nie zdołają stopnieć w czasie, gdy druga półkula przebywa epokę lodową tak, iż obie półkule są zlodowaciałe jednakowo. W peryodzie zaś małego mimośrodu lody zebrane w czasie epoki lodowéj jednéj półkuli znikają, gdy druga półkula przechodzi zlodowacenie. To objaśnia nam dla czego obecnie, w peryodzie małego mimośrodu obie półkule są niejednakowo zlodowaciałe, podczas gdy w wielkiéj epoce lodowéj u obu biegunów zalegały olbrzymie masy lodowe.

* * *

Wszelkie dawne wyjaśnienia zmian linii brzegowéj za pomocą zmian poziomu morza upadały zawsze wskutek zarzutu, że nie odbywają się one prawidłowo. Obecnie przekonaliśmy się, że poziom morza ulega zmianom lokalnym i wskutek tego zarzut nieprawidłowości upada. Z drugiéj jednak strony nie dowodzi to bynajmniéj, aby zmiany linii brzegowéj były wynikiem jedynie zmian poziomu morza; owszem są one bezwątpienia — jakeśmy to już na wstępie nadmienili — zjawiskiem skomplikowaném, od wielu przyczyn zależném.

Wacław Nałkowski.





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Liv- Est- und Curländisches Urkundenbuch, Band 8. 1429—1435, ed. Hermann Hildebrand. Riga, Moskau, 1884. 4^0, 687 stronnic.

Drugi już tom tak ważnéj do historyi średnich wieków wogóle a do dziejów naszych w szczególności publikacyi, rozpoczętéj przez F. G. Bungego, wydaje uczony Herman Hildebrand. Jest to ósmy tom z rzędu publikacyi, staraniem baltyckiego rycerstwa i miast wydawanéj; poprzedni siódmy omówił ś. p. Klemens Kantecki w jednym z roczników naszego pisma. Obszerny 86 arkuszy obejmujący tom ósmy, obejmuje okres 1429—35, a więc epokę zawikłanych walk na Litwie, zasługuje przeto na bliższe rospatrzenie się w wydanych archiwaliach, zaczerpniętych z licznych bibliotek i archiwów, pomiędzy którémi i biblioteka Czartoryskich tudzież archiwum Tyzenhauzów w Postawach kilka ważnych dostarczyły materyałów.

Usiłowanie króla Zygmunta Luxemburczyka celem zerwania unii Polski z Litwą spełzły za życia Witołda; powtórzył je król z pomyślnym skutkiem skoro znalazł w Świdrygielle powolne narzędzie swoich machinacyi. Wprawdzie ostatni obrany został na następcę Witołda za zgodą panów i bojarów litewskich tudzież za zezwoleniem Jagiełły (366), lecz wnet wszedł w stosunki z królem Zygmuntem, szukał sprzymierzeńców w wrogim dla Polski zakonie Krzyżaków i w ogóle, wobec unii, nieprzyjazne zajął stanowisko. Natenczas postanowił król Zygmunt wziąć Świdrygiełłę pod swą protekcyą, sprawę jego podtrzymywać, a że sam oczywiście tego nie mógł wykonać, użyć w tym celu Krzyżaków (Cod. ep. Vitoldi N. MCDLXIV, p. 953). Mistrz Russdorf uległy koronie rzymskiéj, dający się kierować łatwo, nadawał się na wykonawcę planów Zygmunta a że nie był samodzielnym i łatwo dawał się wyręczać komu inne-

mu, a nadto widział, że mistrz Inflancki w téj sprawie również wielki interes pokładał, postanowił w spółce z tymże działać. Ślady tego wspólnego porozumiewania się zajmują wielką ilość aktów wspomnianéj publikacyi.

I tak 17 stycznia 1431 r. donosił Russdorf, że król Zygmunt ma przybyć do Prus a Świdrygielle ma ofiarować koronę litewską; że tenże książe proponuje zakonowi związek zaczepno odporny przeciwko Polakom i że tego samego domagają się posłowie polscy przeciwko Świdrygielle. Od propozycyi Polaków usunął się mistrz ale nie wie jak ma począć ze Świdrygiełłą. Na to odpowiada mistrz Infl. 23 stycznia, że w téj tak ważnéj sprawie naradzał się wespół ze swoimi i radzi zwlekać, oczekiwać jak się sprawy ukończą, byle tylko Litwinów nie oddalić z upokorzeniem, gdyż Świdrygiełło zawsze był wielkim zakonu przyjacielem a gdyby w nim nie znalazł opieki, natenczas mógłby się łatwo pogodzić z Jagiełłą, coby tylko zakonowi wyszło na szkodę. Gdyby się mistrz zdecydował popierać jednę tylko stronę, to zdaje się nigdy nie możnaby wesprzéć Polaków przeciwko Litwie, gdyż w nich nigdy zakon nie znalazł wiary ni przyjaźni a zresztą należało by się obawiać, że natenczas mielibyśmy całą Ruś przeciwko sobie. Lepiéj tedy stanąć po stronie Świdrygiełły i to na podstawie traktatu, który powinien być przez wszystkich bojarów i panów litewskich podpisany a obmyślany w najkorzystniejszy dla mnichów sposób. Tę myśl związku ze Świdrygiełłą pragnącym pomocy zakonu (407) poparł jak najgoręcéj król Zygmunt, to też przyszedł do skutku w Christmemlu 19 czerwca 1431 r. (N. 462). Był to związek zaczepny i obronny, zwrócony ostrzem przeciwko Polsce, chociaż jéj nie wymieniono. Z wyniosłą pychą zaraz nazajutrz doniósł o nim książe Jagielle (463). Dnia 24 sierpnia miało nastąpić opieczętowanie dokumentów, ale Świdrygiełło pełnomocników swoich na termin nie przysłał. Musiał się bronić od Jagiełły, który z wielkimi siłami ciągnął na Wołyń, wziął szturmem Horodlo i począł oblęgać Łuck. Nawoływania Świdrygiełły o pomoc ze strony zakonu miały ten skutek, że gdy książe 1 września zawierał na dwa lata zawieszenie broni w imieniu obu mistrzów tudzież wojewody wołoskiego, tegoż właśnie dnia donosił mu Russdorf, że z trzema wojskami przekroczył granice Polski, siejąc postrach ogniem i mieczem i chcąc dowieść szczere dla księcia chęci i wiarę zakonu.

Trzy wojska zakonu paliły i mordowały ziemian polskich; jedno z Bydgoszczy w Kujawach, drugie w ziemi dobrzyńskiéj, trzecie w Krainie. Gdy właśnie w tym czasie otrzymał Russdorf od króla Zygmunta wiadomość o nieudałéj wyprawie husyckiéj, w obawie by teraz husyci nie stanęli w obronie Polaków, uprasza (10 września) mi-

strza Inflanckiego o pomoc pieniężną na wojska zaciężne. Bo że Polacy dobrze są uzbrojeni, motywuje mistrz swą prośbę, musimy i my tęgich im przeciwstawić wojowników—dlatego wam wasze posiłki odeślemy a prosimy tylko o pomoc.

Wkrótce już, bo 13 września, uległy owe nietęgie posiłki mistrza Infl. pod Nakłem we wsi Dąbki na zachód od Nakła przemocy rychle zebranego ludu polskiego. Była to szczególna pod owe czasy walka chłopów z jednéj i drugiéj strony. Znaczenie więc całéj bitwy pod Dąbkami jest pod każdym względem o wiele mniejsze, aniżeli je usiłował przedstawić Długosz. Podaje on, że hufce inflanckie składały się z 700 jezdnych a według relacyi współczesnego komtura (507) tylko 150 ludzi umknęło szczęśliwie do Fridlandu, a już ta okoliczność, że komtur doradza mistrzowi, aby kazał odesłać tych Inflantczyków i Kurów, „den is nur lose und blos folk unde doch gleichwol futirn und czeren wil“ zdaje się zupełnie stwierdzać, że i po stronie Inflantczyków nie było rycerstwa jezdnych, lecz tylko chłopi, piechota, zostający pod dowództwem rycerzy. To pewna, że komturowie Tucholski i Mitawski padli na placu boju, że marszałek Inflancki, komturowie z Człuchowa i Goldingi tudzież wójt z Grobinu dostali się do niewoli (511) i że cztery zdobyto chorągwie na Inflantczykach.

Pozycya mistrza Russdorfa była co najmniéj niewygodną; był on skompromitowany wobec Polski, z którą zerwał haniebnie pokój Melneński—narażał się na odwet, a porażka pod Dąbkami nabierała obecnie większego znaczenia aniżeli je miała w rzeczywistości. Udaje się przeto do Świdrygiełły (508) z prośbą, aby Jagiełło uwolnił jeńców inflanckich i usprawiedliwić raczył, że napad ze strony Prus, uskuteczniono z powodu niewiadomości o dokonaném pod Łuckiem zawieszeniu broni. Świdrygiełło chętnie przystał na propozycyą mistrza (512: nie *Woraz* lecz *Worany* i nie *dinstag* lecz *am montage vor Stanislai* czytać należy), przyrzekł napisać do króla Polski, czy zechce żyć w pokoju z zakonem i przyrzekł, że opieczętawanie traktatu, w Christmemlu zawartego, odbędzie się w Wilnie na Boże narodzenie. Na tę propozycyą godzi się i mistrz Inflancki (524), mający się poprzód naradzić z Russdorfem w kwestyi operacyi wojennych przeciwko Polsce (531, 533). Równocześnie i Polacy próbowali układów ze Świdrygiełłą, chcąc go nakłonić do neutralności w wojnie polsko-pruskiéj i twierdzili, że wespół z Fryderykiem Brandenburczykiem, z Mazowszanami i Tatarami tudzież z Puchałą dowódcą husytów, dadzą radę zakonowi. Że zakon nie wiele liczył na Świdrygiełłę i poznawał całą grozę sytuacyi, potwierdzają słowa mistrza, iż nigdy jeszcze nad zakonem nie wisiała tak niebezpieczna burza

jak obecnie (533). Pomimo zapewnień pomocy czynionych przez króla Zygmunta, przez kanclerza Kaspra Schlicka, pomimo że oręż zakonu opanował kilka pogranicznych zamków polskich, werbunki polskie, Puchała i husyci zaniepokajali trwożny jego umysł a i z Rzymu donosił prokurator zakonu (12. XI. 1431 r.) że skargi królowéj polskiéj i biskupa krakowskiego zniechęciły i papieża, zagniewanego na zakon już z tego powodu, iż mistrz nie złożył mu zwyczajem katolickich panujących obedyencyi. Sprawa napadu Krzyżaka na Polskę miała być pod sąd kuryalny oddaną. Z drugiéj znowu strony i Świdrygiełło nie pokładał zupełnéj ufności w siły zakonu, a dowodzą tego jego starania celem wciągnięcia w związek Christmemelski arcybiskupa Rygajskiego i biskupa Dorpackiego, z których pierwszy wraz z kapitułą swoją w żywéj niechęci pozostawał względem Inflanckiego mistrza (538, 551). Nieufność i obawy Świdrygiełły pochodziły stąd, że sprzymierzeniec jego Aleksander wojewoda Mołdawski został pobity i że partyzanci jego na Wołyniu i Podolu również doznawali klęsk od Polaków. Pomimo to obiecywał, że stosunek swój przyjazny z zakonem trwale dochowa, dlaczego też mimo zachęty ze strony Jagiełły, nie przybył na zjazd w Brześciu lit. Do mistrza Inflanckiego mógł uczuć żal, że tenże wskutek dorady swoich komturów, proponowany związek księcia z biskupami odrzucił (561).

Chwiejna sytuacya zakonu (575, 581) w niczém się nie polepszyła. Do wojny przysposabiano się w Prusiech i Inflantach i ponownie zjechał się mistrz ze Świdrygiełłą w Christmemlu 13 maja 1432 r. Poprzysiężono tam „na krzyż święty“ dotrzymywać obustronnie warunków przeszłorocznego traktatu (590) a na wezwanie mistrza, że od strony Polski grozi mu wojna, odpowiedział książe, że ma gotowe wojska, które wyśle do Prus pod rosporządzenie w. mistrza (591). Podczas tego wchodzi Świdrygiełło w związki z synami zmarłego wojewody Mołdawskiego tudzież z Wielkim Nowogrodem (596), czując jakoby niepewne swe stanowisko na Litwie właściwéj, a Russdorf zawsze jeszcze nie wie czego się spodziewać od Polski (600). Ta ślamazarna polityka Russdorfa i Świdrygiełły, stwierdzająca wzajemną ich ku sobie nieufność, gdyż zawsze im jeszcze o opieczętowanie wzajemnego związku idzie (603), sprawia, iż tymczasem w Polsce dojrzał związek z husytami w owoc groźnéj dla zakonu wojny, na Litwie zaś rewolucya przez Zygmunta Kiejstutowica księcia Starodubowskiego przeciwko Świdrygielle zwrócona. Ostatni wierzył posłom polskim biskupowi Kujawskiemu i Zarębie, że Jagiełło chce żyć w zgodzie z zakonem i jego sprzymierzeńcami (606), dał się uwieść obietnicom wypuszczenia na wolność przez Polaków land-

mistrza Inflanckiego (610, 611), gdy ci posłowie po za plecyma jego poparli Zygmunta Kiejstutowica i malkontentów i zagrzali ich do podniesienia sztandaru rewolucyi. Jeszcze 17 sierpnia zajmował się Świdrygiełło kwestyą opieczętowania dokumentu związkowego z zakonem (619), gdy 31 sierpnia rozbity został w Oszmianie a dnia 3 września z Połocka donosił obu mistrzom o szczęśliwéj ucieczce.

Jak trafnie mistrz a raczéj kancelarya jego pojmowała stracone stanowisko Świdrygiełły, poświadcza współczesna nota kancelaryjna na owym liście z 3 września „des alden grossfursten bryef", a na propozycyą nowego wielkiego księcia Zygmunta Kiejstutowica co do wzajemnego dochowania pokoju, odpowiada mistrz, iż się zgadza— a równocześnie wzywa mistrza Inflanckiego, aby Świdrygielle nie dawał pomocy (630).

Jakkolwiek rewolucya w Oszmianie zaskoczyła i Inflanckiego mistrza wcale nadspodziewanie, jednakowoż okazał się on stalszym sprzymierzeńcem Świdrygiełły aniżeli Russdorf i odradzał temuż poświęcać księcia i zdawać go na łaskę wrogów (632). Twierdził on zupełnie słusznie, że skoro Zygmunt zwycięży Świdrygiełłę, to natenczas Litwa połączy się z Polską, skoro atoli Świdrygiełło przy pomocy Rusi zwycięży, to natenczas zakon skompromituje się wobec króla Rzymskiego, *który wszakże był głównym powodem i motorem naszych związków ze Świdrygiełłą* (der en orsprungh und anbegyn unser voreinunge und vorschreibunge ist gewesen). Z tego sądu wypływa, że mistrz Inflancki lepiéj pojmował sprawę i panował nad sytuacyą aniżeli mistrz zakonu, który dopiero po otrzymaniu wiadomości o związku Zygmunta z Polską 13 października 1432 zawartym, wysłał rozkaz do mistrza Inflanck. aby dopomagał Świdrygielle (634). W listopadzie donosił już mistrz Infl. jako wysłał Świdrygielle pomoc 80 kopii w 300 koni pod dowództwem dwóch komturów i że poseł książęcy na kolanach upraszał go o jak najśpieszniejsze posiłki (636).

Zygmunt tymczasem gniótł tyrańsko spiski, knute na jego zgubę przez stronników Świdrygiełły a względem Russdorfa ostrożnie i oględnie ale zawsze pokojowo występował (639). Przeciwnik jego, ufny w pomoc Inflantczyków, nawet jéj nie wyczekiwał, wyruszył z Połocka i zajął Oszmianę i z zamku *usz deme wir vortreben wurden* pisze do mistrza Infl., aby osobiście pośpieszył na pomoc (643). Ta wyprawa na własną rękę skończyła się 8 grudnia zupełną klęską Świdrygiełły pod Oszmianą, skąd powtórnie uciekł do Połocka (645). Stąd okłamywał zakon, że zaledwie 20 dobrych rycerzy utracił i prosił o pomoc, *aby się nieprzyjaciel zeń nie wyśmiewał.* I znowu był Russdorf w wielkim kłopocie, gdyż w. ks. Zygmunt w ostrym i stanow-

czym tonie oskarżał mistrza Infl. że bez wypowiedzenia wojny—czego nawet poganie i Tatarzy nie czynią, wkroczyły wojska Infl. na ziemię Litewską. Zważcie całe niebespieczeństwo, jakie stąd grozi kościołowi rzymskiemu, skoro mistrz Infl. poprze niewiernych (649). Inaczéj doradzał komtur Gniewski, chytry Ludwik Lansee. Twierdził on mianowicie, że gdyby nie był na czas przybył i nie przyobiecał pomocy mistrza, byliby wszyscy Rusini odstąpili Świdrygiełłę, a sprawa jego na długi czas byłaby upadła; że książe za obiecaną pomoc odstępuje zakonowi Połągę (650) a skrawek téj ziemi, łączący Prusy z Inflantami, był dobrą ceną za obiecaną pomoc (651 Werthwiske miejscowość taka nie egzystuje koło Połocka i zdaje się wskazywać na Witebsk). Chwiejny Russdorf bierze na się rolę pośrednika pomiędzy Świdrygiełłą a Zygmuntem, i doradza temu drugiemu, aby zaopatrzył Świdrygiełłę jakimś kawałkiem ziemi (659 etlichen winkel des landes), na co tenże przystaje, gdy 28 stycznia 1433 r. otrzymuje wypowiedzenie wojny ze strony mistrza Infl. Russdorf już nie odpisywał w. księciu Zygmuntowi, oczekując rezultatu tego nowego napadu na Litwę.

Komtur Gniewski oburzony z powodu niestałéj polityki Russdorfa, który raz zachęcał mistrza Inflanckiego do dania pomocy Świdrygielle, to znowu odradzał i zdawał się zupełnie opuszczać księcia, czyni ostre wymówki Russdorfowi z powodu tak wręcz sprzecznych instrukcyi (661). Wskutek téj polityki mistrz Infl. oświadczył Świdrygielle, że się z nim nie połączy i sam na własną rękę będzie wiódł wojnę na Litwie—skutkiem dalszym było, że w. książe Zygmunt rósł w siły i dumę i dwakroć potopić kazał ludzi stanowiących poselstwo księcia Świdrygiełły (661). Ostre za to wymówki spotkały Russdorfa i od mistrza Infl., który w tym czasie napadł na Żmudź, spalił Uciany, Tauroginie i Uszpole (663) lecz nic ważniejszego nie dokonał i woła o pomoc Russdorfa, gdyż sam na własną rękę niczego zrobić nie zdoła (664). Rozporządzenia jego stale wprawdzie zmierzają do orędownictwa nad Świdrygiełłą (666, 668) a komtur Dynaburski w marcu powtórnie napada na Żmudź (673), nie odnosi jednakowoż żadnych ważnych korzyści. Russdorf gra podczas tego rolę sprzymierzeńca Zygmuntowego i spycha nań winę z powodu napadu Inflantczyków, bo gdyby się był z Polską nie połączył—mówi on—byłoby do tych napadów nie przyszło (669).

To temporyzowanie, ociąganie się i oczekiwanie ze strony Russdorfa, było jednak ugruntowane ciągłą obawą ze strony Polski. Staraniom komtura Gniewskiego, który powrócił do mistrza by zdać sprawę z poselstwa do Świdrygiełły, przypisać należy, że Russdorf obiecywał znowu pomoc Świdrygielle, Z powodu zamieci śnieżnych,

pisał on do Świdrigiełły i do jego sprzymierzeńców, jak do ks. Feduszka Nieświeskiego, tudzież do ks. Michała Iwanowicza, wojewody podolskiego, nie mogłem téj zimy uskutecznić napadu na Polskę; pod koniec maja, da Bóg, zamiar uskutecznię i upraszam, abyście około tego czasu i z waszéj strony napadli na Litwę z Wołochami, Tatarami i z kim tylko możebna (667).

Świdrygiełło przystał na ten projekt, zmierzający właściwie do obrony Prus, i wyznaczył 31-go maja, jako termin połączenia wojsk swoich z Inflantczykami, na co jednak nie przystał mistrz Infl. z powodu braku paszy o tej porze w Litwie (685). To też gdy husyci w obronie Polski wpadli do Nowéj Marchii, zdobyli Friedeberg i Woldemberg, gdy spalili Landesberg, odezwał się Russdorf do Świdrygiełły z prośbą o wykonanie dywersyi na Litwie (693), żądanie tém goręcéj przedkładane, ponieważ husyci mieli się już złączyć z wojskami polskiemi (701). Dopiero 8 lipca zebrał mistrz Inflancki siły jakie tylko miał i pociągnął na Litwę, nie łącząc się wcale ze Świdrygiełłą (703). Głuche tylko wiadomości dochodzą o téj odsieczy (715, 720) przybyłéj już za późno aby dopomódz Russdorfowi, a to tylko pewna, że z wielką sromotą wyszedł z niéj mistrz Infl. (723). Russdorf 13 września musiał zawrzeć z Polską krótkie zawieszenie broni do końca roku (725), objęto niém i Świdrygiełłę, a mistrz zakonu upraszał Jagiełłę, aby dał wiadomość księciu o dokonaném zawieszeniu broni (725). Wkrótce już zmuszony był opuścić księcia, a to skoro otrzymał od mistrza Infl. wyjaśnienie, jak właściwie stoją sprawy na Litwie, zawierające smutne relacye, że wszyscy komturowie, którzy zdołali powrócić z wyprawy, leżą chorzy; jedni z nich umierają, inni leżą na łożu boleści (724, 727). Wkrótce umarł sam mistrz Inflancki skutkiem choroby, któréj się nabawił podczas wyprawy, a natenczas pełnomocnicy zakonu zawarli 12-letnie zawieszenie broni z Polakami 15 grudnia 1433 r. (743), na mocy którego zakon zupełnie opuścił sprawę Świdrygiełły.

Spragniony pokoju w. ks. Zygmunt, który tak energicznie bronił Litwy, oświadczył Russdorfowi, że zawieszenie broni, w którém i mistrz Infl. był objęty, będzie stale zachowywać (762). Postąpił sobie w ten sposób, gdyż mu nie tajne były zabiegi Świdrygiełły, aby zjednać dla siebie nowego mistrza mieczowych rycerzy, Franke Kerskorfa, który dyszał wojną i zemstą przeciwko Litwie i Polakom. Rycerski ten mąż pałał śmiertelną zawiścią przeciwko plemieniowi Lecha i Chama, przeklętym psom, jak nazywał Litwę i Polaków (1014). Podzielający taką gburowatą nienawiść komtur Gniewski agituje wespół z Kerskorfem (746, 769), aby znowu podźwignąć sprawę Świdrygiełły, staje na czele poselstwa od tegoż księcia i przedstawia prośby jego w połowie lutego 1434 w Malborgu.

Podobnie kazał oświadczyć i mistrz Infl. w Malborgu, aby nie dotrzymywano warunków zawieszenia broni, gdyż co do jego osoby, „nie godzi się mu ich zachowywać“ (779) i uskarżał się, że Żmudzini ciężko się dają we znaki jego poddanym (780). Ale nawet wezwanie tejże saméj treści ze strony cesarza Zygmunta i to na mocy nowo nadanéj mu „cesarskiéj władzy i pod grozą utraty łaski cesarskiéj“ nie skutkowało już w Malborgu. Natenczas upraszał Świdrygiełło „o dobrą radę w marcu 1434 r. (789), a w kwietniu ukartował Kerskorf cały plan dania pomocy Świdrygielle, który tymczasem odwoływał się do powagi koncylium Bazylejskiego, a Russdorfowi stanowczo oświadczył, że obsadził zamki od strony Litwy i wcale na owo zawieszenie broni zważać nie będzie (797). Cała nadzieja Świdrygiełły spoczywała w rękach mistrza Kerskorfa, który się nawet osobiście miał udać do Prus, aby Russdorfa zniewolić do akcyi wojennéj (816).

Stosownie do swéj natury nieczynnéj, polityki zwlekania, wyczekiwania i łudzenia siebie i drugich, postanowił i obecnie Russdorf biernie tylko się zachować i udawał przyjaciela Polaków a równocześnie zachęcał Świdrygiełłę słowami „że go nie opuści“ (828). Przyrzeczenie pomocy zredukowało się chyba do przesyłki Zygmunta Korybuta przez Prusy i Inflanty do Świdrygiełły (846) i do podżegania Inflantczyków, aby dali rychłą pomoc Świdrygielle. Wyprawa Inflantczyków na Żmudź w sierpniu 1434 r. spełzła na niczém (849), gdyż rycerstwo infl. „nie miało interesu osobiście stawić się do wojny.“ Skutkiem tego napad pod dowództwem komtura z Goldingen tak sromotnie się zakończył, że z 800 rycerzy żaden nie powrócił do ojczyzny (853). Drugie wojsko infl. powróciło „w dość dobrym stanie“ (855). To téż w. ks. Zygmunt Kiejstutowic z ironią przyjmował posła Russdorfa, wyrażając zdziwienie, jak śmie mistrz przesyłać doń posła z dobrém poselstwem, gdy tymczasem Inflantczycy wojują i palą jego kraje? I czyż być może, aby mistrz Inflanc. śmiał i mógł bez zezwolenia mistrza zakonu wieść wojnę ze mną,—wszakżeż i mieczowi kawalerowie są ludzie zakonni, a mistrz wielki ich głową—jak można, aby wspierali schyzmatyków. Skoro kawalerowie Inflanccy są nieposłuszni mistrzowi, to książe postara się o to, aby ich poskromić, a będą łagodni i powolni jak baranki. O Świdrygielle nie dał sobie książeani mówić, a bojarowie na propozycyą dania Świdrygielle jakiejś prowincyi, oświadczyli, że wolą zginąć, aniżeli zezwolić na coś podobnego (855).

Klęski Inflantczyków nie podźwignęły mistrza zakonu z apatyi i bezczynności, owszem stał się bojaźliwym. Zygmunt Kiejst. dochował z nim pokój, kupcom pruskim zezwolił wieść handel na Li-

twie i stale oskarżał Inflantczyków (873). Polacy domagają się trwałego pokoju (877), Russdorf usiłuje wyczekiwać jakiegoś nowego obrotu sprawy na Litwie i zadawalnia się rolą ostrzegacza wobec Inflantczyków (881); proponuje zjazdy z Zygmuntem (890), z Polakami, zrywa je lub odkłada na póżniéj, gdy tymczasem w Inflantach zbrojono się do nowéj wojny. Że na taką politykę Russdorfa wpływał cesarz Zygmunt, okazuje się dowodnie z listu cesarskiego (906). Intrygant ten uznawał wogóle zawieszenie broni z Polakami jako niebyłe, nakazywał zbroić się i pomagać Świdrygielle (781), a obecnie przyobiecywał, że gdyby Polacy zagrozili zakonowi wojną, on sam osobiście pośpieszy Russdorfowi na pomoc. To samo przyobiecywał i Świdrygielle, do którego wysłał osobnych posłów (908), słowem rozwinął swą skrzętną, intrygancką dyplomacyą, aby dzieło zerwania unii doprowadzić do skutku. Russdorf, który krótko przedtém zapewnił był Inflantczyków, że przyśle im małą pomoc (200 schiffskinder), zmuszony był wobec nacisku Polaków tejże odmówić (936), co dotknęło srogo Kerskorfa, który już w spółce ze Świdrygiełłą oznaczył był dzień 25 lipca jako termin napadu na Litwę i témbardziéj domagał się pomocy, na co nawet Russdorf nie odpisał (947). Na zapytywania Polaków i w. księcia Zygmunta odpowiadał Russdorf, iż mistrz Inflancki dla téj przyczyny nie chce dotrzymywać zawieszenia broni, gdyż mu w czasie tegoż wielkie szkody poczyniono w Inflantach (951). Wobec grożącéj wojny przygotował się w. ks. Zygmunt dzielnie do walki. Rozporządzenie koncylium, na mocy których został wespół z królem polskim orędownikiem rygajskiego koscioła (913), dodawały mu otuchy. Żmudź była jednem obozowiskiem, z Polski przybyły znaczne posiłki.

Około Brasławia połączyły się w połowie sierpnia 1435 r. wojska Świdrygiełły z wojskami inflanckiemi i stanęły w Wilkomierzu, aby daléj wzdłuż Święty ciągnąć wgłąb Litwy. Dnia 30-go sierpnia ciągnąc z Wilkomierza (ku Poboiskom) zobaczyły przednie straże po drugiéj stronie rzeki wojska nieprzyjacielskie, wzmocnione posiłkami polskiemi pod dowództwem Jakuba z Kobylan, nad całém zaś wojskiem litewskiém dowodził ks. Michał Zygmuntowic. Dwa dni stały wojska obustronne po obu stronach rzeki, ostrzeliwując się wzajemnie i trawiąc czas na małych utarczkach. Niezgoda zapanowała odrazu w obozie Świdrygiełły pomiędzy nim a Inflantczykami. Jedni chcieli przyjąć bitwę na miejscu, a że rzeka była grząską i bagnistą, radzili drudzy cofnąć się do Wilkomirza i tam walczyć z wrogiem. Ponieważ zdania były podzielone, teren boju niedogodny, trawiono dwa dni w bezczynności i bezskutecznych próbach obejścia nieprzyjaciela i zadania mu ciosu z flanki. W nocy z 31 sierpnia

na 1 września popełnili Świdrygiełło z mistrzem Inflanckim tę niedorzeczność, że postanowili część wojska tylko cofnąć ku Wiłkomirzowi, aby tam przygotowano obóz i zaraz rankiem wykonali ten zgubny projekt, odsyłając silny oddział inflancki, wzmocniony wojskami połockiemi, z armatami i prowiantem do Wiłkomirza, dokąd późniéj cofnąć się miało całe wojsko. Ten rozdział sił był błędem, który nieprzyjaciel natychmiast spostrzegł i nie omieszkał wyzyskać na swą korzyść. Skoro bowiem przestrzeń pomiędzy podzielonymi wojskami była tak wielką, iż hufce, ku Wiłkomirzowi wysłane, nie mogły przybyć na stosowny czas do boju, dano po stronie litewskiéj hasło do ataku, który się rozpoczął równocześnie na całéj linii bojowéj. Litwini i Polacy przekroczyli grząską rzekę, z furyą napadli na chorągiew marszałka Wernera von Nesselrode, a po rozbiciu tejże pierzchnęła i chorągiew mistrza po zaciętéj walce. Skrzydło zajęte przez Tatarów, centrum bronione przez Korybuta słaby tylko stawiały opór. Brak armat i kusz, które odstraszały nieprzyjaciela od przekroczenia rzeki, a głównie rozdział sił sprawiły ogromną klęskę Świdrygiełły.

Rozproszone niedobitki spotykają wysłane do Wiłkomirza chorągwie inflanckie i połockie, te przyjmują nad Świętą bitwę z goniącym niedobitków nieprzyjacielem, chcąc utrzymać most, nad którym krótka zawrzała walka; w obawie aby ich nie oskrzydlił nieprzyjaciel, ratują się ucieczką, a mała tylko część ich przerznęła się do Inflant, resztę, jak wogóle niedobitków i uciekających, wygubiły wojska litewskie i zabrały w niewolę.

Oto główne rysy bitwy zwanéj Pobojską, tudzież nad Świętą i pod Wiłkomirzem. Relacye wszystkich świadków bitwy zgadzają się, że 1) że w wojsku Świdrygiełły nie było zgody co do przyjęcia bitwy nad rzeczką grząską, skutkiem czego nastąpił rozdział sil (relacya Polaka mówi: *inimicorum divisus erat exercitus* N. 986); 2) że wojska Inflantczyków, ktore odesłano do Wiłkomierza, nie przybyły na czas do bitwy i dlatego musiały w obronie mostu nad Świętą przyjąć drugą bitwę, którą téż zupełnie przegrały.

Z tych względów nie możemy podzielać zdania wydawcy, który się w nadzwyczaj ostrych wyrazach odzywa o niewiarogodności wspomnianego listu polaka (Przedmowa, str. XIX). Nie przeczymy, że wiele tam przesady, jak co do liczby poległych, cyfr dotyczących posiłków polskich, lecz że w ogólności jest wiarogodną, polegającą na relacyi świadków bitwy i liście w. ks. Zygmunta (pag. 598, 599) i dającą się pogodzić z relacyą Długosza, tudzież z świadectwami zbiegłych komturów inflanckich (994, 985), nie można jéj przeto

wręcz odrzucać i uważać ją jako świadectwo, mające tylko literacką a nie historyczną wartość.

To pewna, że Świdrygiełło tylko w 30 koni uciekł do Witebska, że z inflanckich rycerzy mało który powrócił do ojczyzny, że mistrz Infl., stary jego marszałek i wielu dzielnych rycerzy poległo, tudzież że od wielu lat nie widziano na Litwie tak wielkiéj wojny, jaką była nad Świętą. Świadectwa te współczesnych przemawiają za doniosłem jéj znaczeniem i jeszcze większemi skutkami strasznéj téj bitwy.

Przedewszystkiém Inflanty były bez obrony — nie było tam rycerstwa, zamki były puste. To téż Polacy radzili Zygmuntowi uskutecznić napad na Inflanty, czego atoli książe, który „jedynie w obronie zagrożonéj wiary katolickiéj przyjął wielkie księstwo—nie uczynił, aby więcéj krwi chrześciańskiéj nie przelewać. Mały tylko napad Żmudzinów notują współczesne listy (1002), skutkiem czego musiał Russdorf wysłać pomoc do Inflant (999) i to chorągiew komtura Brandeburskiego, ale ją nie bardzo chętnie przyjęli Inflantczycy.

Świdrigiełło trzymał się jeszcze w Witebsku,—ale całe brzemię klęski waliło się na Russdorfa, który musiał się krzątać około obrony Inflant, wydobycia jeńców z więzów niewoli, a od cesarza Zygmunta, którego upraszał aby mu rychłą udzielił pomoc, zanim go Polacy zupełnie nie zniszczą—otrzymał słowa zachęty „aby miał dobrą nadzieję i zgryzoty na odwagę zamienił.“ Mistrz rozgoryczony poznał się ostatecznie na wartości téj zachęty, jakotéż wogóle na obietnicach Zygmuntowych, i nie zważając już na nie, zawarł stały pokój z Polską i Litwą w Brześciu kujawskim 31-go grudnia 1435 r. Wprawdzie mistrz Inflancki niechętny był zrazu temu dziełu,— przystał jednakowoż wobec tgo, iż sprawa Świdrygiełły była bez ratunku, a siły Inflant nie zdolne były księcia podtrzymać.

Pokój Brzeski, który ostatecznie złamał zakon i utrwalił unię, jest powtórzeniem 12-letniego zawieszenia broni, dokonanego w Łęczycy. Zakon opuścił Świdrygiełłę, zobowiązał się nie uznawać żadnego w. ks. Litwy, prócz tego, którego uznają Polacy. Upakarzającym dla zakonu był warunek, że tylko tych jeńców wypuszczą Polacy z niewoli, którzy przed zawarciem łęczyckiego zawieszenia broni popadli w niewolę. Późniejszym wyprawom Inflantczyków odmówiono zaszczytu regularnéj wojny i napiętnowano je jako haniebne zerwanie pokoju.

Oto ciekawa treść znakomitego pod każdym względem wydawnictwa. Dzieje Inflant znajdują w niém niejednę jeszcze ciekawą ilustracyą, te atoli mniéj już nas zajmować mogą.

Dr. Antoni Prochaska.

= **Edward Schirmer. Stanisław Chwalczewski i jego kronika.** *We Lwowie 1886.* — Do dziejów historyografii XVI w. stanowi powyższa rozprawa p. Schirmera ciekawy przyczynek, wprawdzie nie ze względu na ważność kronikarza, jakim się zajmuje, lecz na pozytywny rezultat, jaki nam przynosi o wartości jego kroniki. Wiedziano dotychczas, że kronika Chwalczewskiego dla historyi nie ma żadnego znaczenia, gdyż dochodzi tylko do śmierci Bolesława Wstydliwego, podczas gdy Chwalczewski pisze w pierwszéj połowie XVI wieku i nikt go téż na seryo nie brał, nikt jako źródła nie używał. Ale o stanowisku jego w historyografii nie miano dokładnego pojęcia, osądzano go różnie, lecz godzono się ostatecznie na to, że Chwalczewski jest pisarzem oryginalnym, który używał do swéj kroniki rozmaitych źródeł i umiał z nich należycie korzystać. Gołębiowski, który w r. 1829 wydał tę kronikę poraz pierwszy z oryginalnego rękopisu puławskiego, przyznaje Chwalczewskiemu, że używał Kadłubka, Baszka, Nestora, żywotów Stanisława i Wojciecha i rozmaitych innych kronik, roczników, legend, a za nim chórem powtarzają podobne zdania Wiszniewski, Maciejowski, Borowski i inni. Rozbioru jednak krytycznego nie podał żaden. Dopiero p. Schirmer, uczeń seminaryum historycznego prof. Liskego dał nam w powyższéj rozprawce jasne pojęcie o wartości Chwalczewskiego. Żmudna praca porównywania dwóch tomików kroniki z różnemi źródłami, które on znać mógł, doprowadziła autora wreszcie do szczęśliwego wyniku, na jaki każdy zgodzić się musi. Wziął on mianowicie do zestawienia tekstów Miechowitę, na którego nikt przed nim nie zwracał uwagi, choć już sam wzgląd na to, że Miechowita pierwsza drukowana kronika polska najbardziéj musiała być ze wszystkich innych rozpowszechnioną i najprędzéj mogła dostać się do rąk Chwalczewskiego, mógł pobudzić do porównania z nim. Prawdopodobne jednak, że twierdzenie Maciejowskiego, iż Chwalczewski napisał kronikę swą w r. 1506, a więc przed wydaniem Miech. (1519), obalamuciło uwagę. Pan Schirmer porównywując oba teksty, Chwal. i Miech., uderzony został zadziwiającą ich zgodnością, a postępując w pracy, coraz bardziéj się utwierdzał w przekonaniu, że Chwal. po prostu Miech. tłómaczy i to tak dalece, że w miejscach, w których Miech. powołuje się na jakie źródło, Chwal. temi samemi słowy źródło owe przytacza, gdzie Miech. polemizuje z kronikami, Chwal. cały jego wywód dosłownie powtarza, co oczywiście było powodem, że Gołębiowski i inni mniemali, iż on z tych źródeł bezpośrednio korzystał. Ostateczny zatém wynik téj pracy: *że Chwal. nie ma ani jednego zdania oryginalnego, że wszystko od początku do końca przetłómaczył na polski język z Miechowity.* „Tłómaczenie to jest dosyć dokładne i wier-

ne.“ Po większéj części dosłowne, gdzie niegdzie jednak i to dosyć często stara się Chwal. o większą krótkość wyrażenia, ściąga zdania w Miech. znalezione, częstokroć nawet ze szkodą treści. Jedyna oryginalność, jakiéj sobie Chwal. pozwolił, jest podział; nie idzie on za Miech., dzielącym materyał na księgi, a te na rozdziały, lecz dzieli *tylko* na rozdziały, których zachowało się 44 (8—14, 17—53, reszty brak) — fragment bez początku i końca. Wobec tego nie może być mowy o jakiéjkolwiek wartości jego ani dla historyi, ani dla historyografii. Całe jego znaczenie ograniczy się do tego, że *jest to pierwszy po polsku piszący z naszych kronikarzy*, cała jego wartość przeniesie się na pole językowe. — Pozytywny rezultat tego badania, nie dający się obalić, oraz skrzętnie ze szczegółów zestawiony życiorys Chwal. na początku, czynią tę drobną rozprawkę p. Schirmera pożądanym nabytkiem dla naszéj krytyki historycznéj. Tylko strona zewnętrzna, styl i język, pozostawiają niejedno do życzenia. Pragnęlibyśmy także, aby w składni zachowaną była wszędzie logiczność myśli; np. na str. 6 dowodzi autor, że napisanie téj kroniki przypada na czas od 1519—1549, t. j. czas od *1 wydania Miech.*, aż do przepisania kroniki w Raszkowie, — kiedy my jeszcze zupełnie nie wiemy o tém, że Chwalczewski korzystał z Miechowity, bo dopiero od str. 7 rozpoczyna się dowodzenie tego. *F. Bostel.*

= **Rys geografii Królestwa Polskiego**. *Skreślił K. Krynicki. Warszawa 1887* (*z mapą*). — Kto chce uprawiać krajoznawstwo czyli geografię szczegółową (Länderkunde), ten powinien posiadać znajomość dzisiejszéj geograficznéj wiedzy ogólnéj (allgemeine Erdkunde), t. j. posiadać z jednéj strony przygotowanie przyrodnicze, z drugiéj etnologiczno-historyczne; w przeciwnym razie krajoznawstwo jego zmieni się stosownie do literackiego talentu autora albo w turystyczną frazeologię, albo w bezduszny luźny aglomerat faktów. Autor „Rysu geografii“ nie posiada ani ogólnego geograficznego wykształcenia, ani literackiego talentu, to też książka jego należy do drugiéj z dwóch powyższych kategoryi. Wprawdzie i zbiór faktów, nie roszcząc pretensyi ani do pedagogicznego, ani do naukowego wykładu, może przynieść korzyść jako surowy materyał; „Rys geografii“ jednak i pod tym względem nie osiąga celu (przynajmniéj geograficznego); najprzód bowiem fakta w nim zawarte w znacznéj części nie mają nic wspólnego z geografią i kwalifikują się raczéj do jakiegoś informacyjnego kalendarza, powtóre autor nie cytuje źródeł, a nazwisko jego nieznane dotąd na polu geografii, samo nie daje dostatecznéj rękojmi. Ponieważ wreszcie „Rys geografii“ pod względem formalnym, t. j. księgarsko-handlowym czyni zadość obecnemu zapotrzebowaniu, a pod względem treści, jak powiedzieliśmy, nie

zadawalnia ani pedagogicznych, ani naukowych wymagań, więc dla rozwoju naszego krajoznawstwa przynosi on raczéj szkodę, albowiem odsuwa w dalszą przyszłość pojawienie się podręcznika do geografii Polski, stojącego na wysokości dzisiejszéj geograficznéj wiedzy ogólnéj. Podobnie cenną przysługę w stosunku do dobrego podręcznika geografii powszechnéj oddaje nieśmiertelny Czarkowski, — utwór paleontologiczny, odradzający się jednak wciąż w nowych stereotypowych wydaniach, niby Feniks z popiołów. *Quousque tandem*....

= **Studya i szkice z dziejów literatury polskiéj** *skreślił Piotr Chmielowski* (Kraków, Nakład księgarni J. K. Żupańskiego i K. J. Heumanna, 1886, 2 tomy, str. 332, 392) zawierają wybrane rozprawy, pisane od r. 1873 do 1886, dotykające działalności pisarzów naszych od XVI do XIX stulecia. Za wstęp można uważać szkic psychologiczny p. n. „Artyści i artyzm"; poczém idą w 1-szym tomie: rzecz o Sobótce Kochanowskiego i Goszczyńskiego, o ostatnich latach życia Jana Kochanowskiego, o zapomnianym poemacie Wirginia Wacława Potockiego, o epopei Kalińskiego Viennis z czasów saskich oraz charakterystyka Ignacego Krasickiego. W drugim tomie mieszczą się: Pogląd na poezyą polską w pierwszéj połowie XIX stulecia, studyum o Kazimierzu Brodzińskim, szkice o balladach Tomasza Zana, o Słowackim jako Towiańczyku, o korespondencyi Zygmunta Krasińskiego i o Józefie Bohdanie Zaleskim.

= **Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego.** *Zarys literacki Piotra Chmielowskiego. Wydanie trzecie, poprawione i powiększone.* (Kraków-Warsz. 1886, nakład Gebethnera i Wolffa, str. 316).—W nowém tém wydaniu oprócz sprostowań i dopełnień biograficznych wprowadził autor kilka nowych postaci z zakresu twórczości Mickiewicza i Krasińskiego, a mianowicie „Żywilę" z powiastki Mickiewicza pod tym napisem, „Córkę Tuhana" z ballady „Świteź", „Karolinę" z „Konfederatów barskich", oraz „Czarną panią" z „Niedokończonego Poematu" Krasińskiego.

= **Program postrzeżeń psychologiczno - wychowawczych nad dzieckiem** *od urodzenia do 20 roku życia. Przewodnik ułatwiający poznanie dziecka przez J. Wł. Dawida.* (Warsz. Nakł. T. Paprockiego, 1887, str. 101). — Broszura ta powstała w téj myśli, żeby za pośrednictwem znacznéj liczby ludzi interesujących się kwestyami psychologicznemi i pedagogicznemi zebrać jak można najobfitszy materyał faktyczny, do poznania usposobienia i uzdolnienia dzieci posłużyć mogący. W tym celu po krótkiém określeniu sposobu badania w psychologii, po zaznaczeniu potrzeby zbierania faktów, zwraca się do wychowawców w najobszerniejszém znaczeniu tego wyrazu, ażeby przez

spisanie swoich spostrzeżeń przyszli w pomoc badaczowi, przyczém wykazuje doniosłość takich spostrzeżeń zarówno dla psychologii jak i dla pedagogii. Następnie podaje szczegółowy kwestyonaryusz, zwracający uwagę wychowawców na to, co i jak obserwować powinni, ażeby ich obserwacye przydać się mogły dla badacza. Kwestyonaryusz ten rozpada się na 12 działów: 1-szy o rodzicach, wychowawcach i otoczeniu, wśród którego dziecko się wychowuje; 2-gi o czynnikach fizycznych wychowania, o zachowaniu się dziecka w czasie stanu zdrowia i choroby; 3-ci o zmysłach; 4-ty o pamięci oraz o kojarzeniu się wyobrażeń; 5-ty o uwadze i postrzegawczości (o pytaniach dziecka, o prędkości działań umysłowych); 6-ty o zasobie doświadczeń i wyobrażeń; 7-my o wyobraźni; 8-my o rozumie, o nauce i szkole; 9-ty o mowie; 10 i 11-ty o uczuciach; 12-ty o ruchach i woli. Podział ten, jak zauważył sam autor, jest zupełnie empiryczny; chodziło głównie o to, ażeby jaknajbardziéj zbliżał się do pojęć publiczności, ażeby więc łatwo był zrozumiałym i mógł bez wielkiego trudu posłużyć do zoryentowania się w masie faktów psychicznych. Autor liczy najwięcéj na kobiety w sprawie zebrania spostrzeżeń i wymownie wskazuje im możność pracy wyższéj a tak ważnéj. „Gdyby z całéj téj pracy — powiada — nic innego urosnąć nie miało, jak miłość dziecka w sercach naszych, to i tak zysk jéj byłby nieoceniony... bo nam brak bardzo téj miłości... nie téj zwierzęcéj, instynktowéj, która kochać każe siebie samego w przedmiocie, lecz ludzkiéj i rozumnéj, która uczy kochać przedmiot dla niego, budzi gotowość do ofiar, daje chęć i siłę do czynów...“ Życzymy szczerze, ażeby autor z odezwy swojéj mógł zebrać plon jaknajbogatszy, bo rzeczywiście bliższe zajęcie się umysłowością dzieci może z jednéj strony przysporzyć nauce materyału cennego, a z drugiéj może wywrzéć zbawienny wpływ na same matki i wychowawczynie.

= *St. J. Czarnowski.* **Postępy literatury peryodycznéj.** *Studyum z dziejów prasy, z mapą i ośmią tabelami statystycznemi* (Warszawa, 1885, str. 66). — Autor przedstawiwszy powody rozrostu pism czasowych w naszém stuleciu i wskazawszy prace, które starały się ująć cyfrowo ich rozwój, oparlszy się na dziełach Hubbarda, Kolba, Woerla i in. podaje tabele historyczno-statystyczne lub graficzne wszelkich czasopism we wszystkich częściach świata, zarówno ogólne jak i szczegółowe co do czasu wychodzenia, co do treści, co do stosunku numerów czasopism przypadających na jednego mieszkańca w całych krajach i w miastach głównych, co do rozkładu czasopism w pasach szerokości geograficznéj po 10 stopni każdy, sam układa mapę dziennikarstwa świata, przedstawiającą stosunek pojedyńczych numerów czasopism przypadających na jednego miesz-

kańca w ciągu roku 1880, oraz tabelę graficzno-statystyczną dziennikarstwa polskiego od pierwszych jego zawiązków do czasów obecnych ze wskazaniem głównych epok i wydarzeń historyczno-literackich i polityczno-społecznych; nareszcie na podstawie tych wszystkich tabel kreśli zajmujący obraz rozwoju prasy peryodycznéj we wszystkich głównych krajach. Dowiadujemy się tu, że w r. 1880 ilość czasopism na całéj kuli ziemskiéj wyrażała się cyfrą 34.274, ilość zaś numerów produkowanych rocznie—cyfrą 10,589.499.448, że przy ogólnéj liczbie ludności na ziemi 1.623.178.161 na jednego mieszkańca przypadało rocznie numerów 6,52, że liczba piszących do dzienników wynosiła około 200.000; że z ogólnéj liczby pism, pod względem ich ilości i wysokości nakładu na czele stała Europa (pism 19.557), potém Ameryka północna (12.400). Co do języków, w których czasopisma wychodzą, pierwsze miejsce zajmuje szczep anglo-germański (około 24.830), a w nim język angielski (16.500), drugie miejsce trzyma szczep grecko-latyński (około 6.911), a w nim język francuski (3.850), trzecie zaś miejsce szczep słowiański (1.107 czasopism), a w nim język rosyjski (około 560). Czasopism polskich w r. 1884 było 230; tablica graficzna wykonana przez p. Czarnowskiego wykazuje naocznie stopniowy wzrost naszéj prasy peryodycznéj od r. 1661, przyczém dwiema odmiennemi liniami mamy oznaczony przyrost coroczny oraz ilość ogólną pism w danym roku wychodzących. Całość pracy, będącéj owocem nader zmudnych poszukiwań, jest bardzo interesująca; lepiejby tylko było, gdyby styl w ustępach ogólnéj treści (znaczenie i wpływ prasy) uwolniony został od wyrażeń przesadnych i napuszonych, które trochę mijają się z prawdą. O pewnéj, może znacznéj części dziennikarstwa powiedzieć zaledwie można słowa, któremi autor całość obejmuje, mówiąc że ono zawiera „badania najwszechstronniejsze, inteligencyą najgłębszą, myśl gorącą sypiącą iskry dowcipu, krytykę, która zdziera maskę obłudy choćby najlepiéj osłoniętéj, wyrywa najgłębsze korzenie przesądów tradycyi, targa więzy krępujące prawdę, walczy dzielnie z przemocą, usuwa wszystko, co zużyte, nieczyste, szkodliwe“ (str. 29).

= **Wiadomość o biblii litewskiéj,** *drukowanéj w Londynie 1663 r. i wrzekomym jéj tłómaczu Samuelu Bogusławie Chylińskim, podał Maurycy Stankiewicz* (Kraków, 1886, str. 23). Jestto rozprawka bibliograficzna prostująca mylną a bardzo rozpowszechnioną, bo od XVII wieku aż do dziś dnia, od Crovaeusa aż do Bezzenbergera powtarzaną wiadomość, iż tłómaczem biblii litewskiéj, wydrukowanéj w Londynie 1663 roku był Samuel Bogusław Chyliński. Autor wyzyskawszy szczegóły podane jeszcze w r. 1842 przez Józefa Łukaszewicza w „Dziejach kościołów wyznania helweckiego w Litwie,“ oraz

odszukaną w skutek zabiegów Bezzenbergera broszurę Chylińskiego wydrukowaną w Oksfordzie r. 1659, dowiódł, że Chyliński był tylko delegatem wysłanym przez synod kiejdański kalwinów litewskich za granicę celem zbierania datków na druk biblii litewskiéj, że bawiąc w Anglii, podawal się tylko za tłómacza téjże biblii, któréj miał być jeno korektorem, a zebrawszy składkę, roztrwonił ją i do kraju nie wrócił, że synod kiejdański musiał innego wysłać delegata, ażeby naprawił postępek Chylińskiego i nową składkę zebrawszy, druku biblii dokonał, że biblia ta była istotnie drukowana r. 1663, ale z powodu braku funduszów druk jéj musiał być przerwanym na psalmie czterdziestym. Co do istotnych tłómaczów biblii z dokumentów przytoczonych przez Łukaszewicza wynika, że za podstawę przekładu wzięto tłómaczenie dokonane przez Jana Bretkuna, zmarłego w r. 1602, że przerobili go głównie Jerzy Skrodzki i senior żmudzki, którym był, jak wykazuje p. Stankiewicz przeciwko Łukaszewiczowi, nie Samuel Tomaszewski, lecz Jan Borzymowski; dopomagali im zaś w téj pracy inni duchowni kalwińscy z nazwiska nieznani. Przy końcu rozprawki podaje autor kilkanaście wierszy tekstu téj biblii litewskiéj, zestawiając go z odpowiedniemi miejscami przekładu wydanego przez Quandta w Królewcu r. 1735. Praca ta p. Stankiewicza wychodzi jako I numer „Studyów bibliograficznych nad literaturą litewską“ i rekomenduje go bardzo pochlebnie.

= Nowe wydanie **Pana Tadeusza** (Warszawa, 1886, nakładem Gebethnera i Wolffa, str. 448 w formacie 32⁰) na papierze welinowym, drukiem drobnym, ale bardzo czystym i wyraźnym, w eleganckiéj oprawie na wzór francuski, już z powodu saméj zewnętrzności swojéj zasługiwałoby na wspomnienie i odznaczenie, jako pierwszy u nas przykład tak gustownéj, wymaganiom wybrednego oka zadość czyniącéj edycyi; ale wartość jego nie na tych jedynie polega zaletach. Dotychczasowe wydania *Pana Tadeusza* miały wiele błędów tradycyjnie przekazywanych od r. 1834 lub też w ciągu tego czasu nanowo popełnionych; otóż p. Aleksander Walicki, który prowadził korektę téj ostatniéj, miniaturowéj edycyi, zadał sobie pracę starannego porównania wydań poprzednich i nadzwyczaj sumiennie usuwał to, co było mylném. I dlatego jak pod względem zewnętrznym nowa ta edycya *Pana Tadeusza* jest najładniejszą, tak pod wewnętrznym jest najpoprawniejszą ze wszystkich.

= **Pisma Narcyzy Żmichowskiej (Gabryelli)**, z *życiorysem autorki skreślonym przez d-ra Piotra Chmielowskiego*; *wydanie uskutecznione staraniem Redakcyi „Bluszczu“* (Warsz. 1885—86, tomów pięć, nakładem Michała Glücksberga). Po latach 25-ciu od chwili pierwszego ukazania się zbioru pism Gabryelli okazała się potrzeba powtórnego

ich wydania, ażeby tym, którzy niepospolity talent autorki cenić się nauczyli, dać możność przyjrzenia się jego objawom. Nowe to wydanie nie mogło być oczywiście przedrukiem tylko, gdyż w przeciągu owych lat 25 Gabryella niewiele wprawdzie, ale w każdym razie pisała; prócz tego znalazły się po śmierci autorki rękopisma, które lubo się przedstawiały w formie fragmentarnéj, zasługiwały przecież na ogłoszenie, gdyż nawet w takich okruchach łatwo było blask talentu odnaleźć. Fragmenta te rozpoczynają się już w tomie 3-im, gdzie od str. 98—123 znajdujemy dwa dotychczas zupełnie nieznane rozdziały „Książki Pamiątek.“ Szkoda tylko, że umieszczono je trochę niewłaściwie *po* ustępie zaczynającym się od słów: „Na tych wyrazach przerwało się“; gdy stosowniéj było podać je *przed* nim. W tomie 5-ym mamy najprzód odmiankę „Białéj Róży“ (str. 1—59) niezbyt odpowiednio zatytułowaną jako część drugą téj powieści; następnie mamy (str. 63—201) fragment opowiadania p. n. „Kasia i Marynka,“ drukowany poprzednio w „Ateneum“; daléj utwór p. n. „Czy to powieść“, ogłoszony za życia autorki w „Wieku“ i osobnéj odbitce, a tu powtórzony ze zmianami i dopełnieniami przez samę Gabryellę poczynionemi na jednym z egzemplarzy, oraz z dodaniem wstępu, obejmującego plan obszernéj całości, któréj „Czy to powieść“ miała być tylko drobną cząstką. Obok tych pism beletrystycznych pomieszczono w końcu 5-go tomu (str. 461—593) trzy artykuły treści dydaktycznéj, a mianowicie: rzecz „O wychowaniu początkowém,“ częścią z rękopismu, częścią z druku (w „Gazecie Polskiéj“), „Słowo przedwstępne do dzieł dydaktycznych pani Hofmanowéj“ i „Dla jednéj mojéj znajoméj i bardzo wielu nieznajomych rzecz o służących (z „Bluszczu“). Gdyby jeszcze dodano opowiadanie o Edmundzie Strzeleckim, drukowane w r. 1876 w „Ateneum,“ mielibyśmy już całość tych najważniejszych utworów, w których Gabryella zawarła wyraz swych poglądów i uczuć. I w takim atoli stanie, w jakim jest obecnie nowa edycya jéj pism, przedstawia ona nader bogate źródło, z którego bije orzeźwiający napój dla każdego umysłu, chcącego i umiejącego zastanawiać się głębiéj nad tém, co czyta; gorąco je też polecamy, zanim przyjdzie czas, kiedy polecanie takie zbyteczném się okaże.

= Wyszło z druku w osobnéj książce znane naszym czytelnikom dzieło *Jana Gadomskiego:* **Larik.** Tragedya w pięciu aktach, z motywów dziejowych. (Warsz. 1886, nakład Gebethnera i Wolffa, 8-vo, stron 100). Rzecz odznaczona na konkursie i zaszczytnie oceniona przez krytykę.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Brak syntezy w myślach, uczuciach i dążeniach. — Praca nad ludem. — Prawnicy i nauczyciele prywatni. — Literaci ideałem. — Magnaci - królewięta w prasie. — Postanowienia „Głosu“ wobec braterskich szturchańców. — Dymisya marszałka. — Czyja wina? — Losy „Wszechświata.“ — Obojętność kolegów. — „Wisła.“ — Usiłowania d-ra Bujwida. — Ofiarność publiczna i uczniowie szkół prywatnych. — „Towarzystwo historyczne“ w Lwowie. — Reputacya Galicyi w Kongresówce. — Wybory w poznańskiém.— Gnębiące wieści. — Łódź wobec Warszawy i kraju.

Autor artykułu „Między chłopem a szlachcicem“ w 46 numerze „Przeglądu Tygodniowego“ potrącił o kwestyą niesłychanie ważną, która co raz częściéj i dokładniéj w społeczeństwie naszém rozpatrywaną być winna. „Jedna jedyna wspólność — czytamy tam — charakteryzuje ów cały ruch (prasy): rozdarcie na każdym punkcie siły ogólnej, rozdarcie jej na gruncie wyznaniowym, na gruncie stanowym, więc i na ogólno-narodowym. Za dużo mamy analizy, a za mało syntezy.“ „Rozbicia się umyślnego, deprecyonowania się bezwzględnego nie dopuszcza żadne na świecie społeczeństwo, którego rozkładu nie podyktowały jeszcze dzieje. Jeżeliby o co chodzić mogło, to zaprawdę nie o znalezienie prawa, według którego wszystkie części danej całości zdążają w kierunku sił, tę całość rozbijających; ale o znaczenie wypadkowéj, po której społeczna masa zdąża do urzeczywistnienia celów swoich....“

Anarchia, bezład, który niegdyś sił pozbawił Rzeczpospolitą, nie zniknął wcale lecz się przetworzył i panuje samowładnie we wszystkich dostępnych dla nas sferach. W dziedzinie myśli i pojęć nie ma najmniejszego skupienia, każdy wychodzi z innego punktu, każdy hołduje innéj zasadzie; porozumieć się nawet nie podobna, bo słowa też same oznaczają rzeczy różne u różnych ludzi lub w różnych potrzebach. Gdyby się zjawił wśród nas Sokrates i zechciał wytłomaczyć, jak, czytając, lub pisząc, rozumieć należy wyrazy: *cywilizacya*, *postęp*, *szlachta*, *panowie* i t. d. zostałby spewnością napojony bardzo gorzką trucizną szyderstw i niesforności. Samowola prawdzi-

wie szlachecka panuje zarówno w ortografii i w nomenklaturze naukowéj, jak i w traktowaniu rzeczy bieżących. W sferach praktycznej działalności dzieje się kubek w kubek tak samo. Mniej więcej wszyscy deklamują o potrzebie pracy nad ludem, a że praca ta może być bardzo tylko pierwotną, czysto cywilizacyjną, więc różnice filozoficznych poglądów wpłynąć na jéj kierunek nie są nawet w stanie; barwa np. „Gazety Świątecznej“ musi być przez wszystkich niemal uznaną: jedni godzą się na nią chętnie, gdyż odpowiada ich pojęciom, inni — z konieczności, bo inaczéj ani zrozumiani ani słuchani by nie byli. I postępowy demokrata i konserwatywny zwolennik „Niwy“ mogli by wydać pokaźną bibliotekę ludową, nieporóżniwszy się — przy dobrych chęciach — nawet w szczegółach. Ani wierzeń religijnych, ani różnicy doktryn naukowych, oświecając chłopa, dotykać nie podobna, a gdyby nawet któś uznał za właściwe i potrzebne potrącić o drażliwe punkty ustroju społecznego, lub przeszłości, to stanowiło by to mało znaczną jedynie część całego zadania, a wskutek tego nie powinno być wystarczającą przyczyną rozbicia, nieufności, niesnasek. Gdy ktoś ośmieli się wypowiedzieć krytyczne zdanie o ludzie, w téj chwili demokraci w głębi serc swoich uznają i całą siłą piersi obwołają go za obskuranta, „szlachcica,“ niemal rabusia i wampira; gdy znowu ktoś goręcéj broni interesów i praw chłopskich uznany zostaje przez całą potęgę konserwatywnéj zgrozy za demagoga, burzyciela i t. d. Wszelka niezgoda z naszemi pojęciami uznaną zostaje na złą wolę — mosty popalone, stosunki zerwane, możność porozumienia znika.

Kilka miesięcy temu zwracaliśmy uwagę na rozprzężenie wśród prawników, na brak solidarności, na brak często nawet poczucia, że zajmowanie jednakowych stanowisk pociąga za sobą wspólność obowiązków. Toż samo da się powiedzéć o innych stanach. Weźmy chociażby nauczycieli, przełożonych, lub przełożone szkół prywatnych. Rzeczy idą takim torem, że stanowisko ich staje się coraz ważniejszém, a zadanie trudniejszém. Biorąc pojedyńczo instytucye i ludzi, zaprzeczyć niepodobna postępu i wartości wielorakiej, ale jak dobroczynnie wpłynęło by zaprowadzenie jakiéjś spójni, a chociażby tylko przyjaznego zbliżenia się. Tylokrotnie poruszana kwestya wzajemnéj pomocy nauczycieli prywatnych możeby raz nareszcie przyszła do urzeczywistnienia. Dzisiaj każdy sobie wystarcza i gospodaruje, jak chłop na kolonii. Wśród literatów, rozbicie dochodzi do ideału. Konserwatystom zdarza się czasem tu i owdzie jakiś ład zaprowadzić, ale postępowcy...! Zdaje się, że prędzéj pszenica na kamieniu rozradzać się będzie, prędzéj uczniowie Darwina bronić zaczną autentyczności biblijnego życio-

rysu proroka Jonasza, niż postępowe stronnictwo zdobędzie się na jeden chociażby krok solidarny już nie z ogółem lecz między sobą. Jestto bardzo ciekawe, że oni to właśnie jaknajwięcéj smagają przeszłość za bezrząd, oni podnoszą ku wzbudzeniu pogardy nazwiska magnatów — królewiąt, co ufni w bezsilność społeczeństwa i swoją potęgę broili bezkarnie, pchani jedynie samolubną ambicyą, zapominając o dobru publiczném. Tymczasem silni wpływem literaci stają się zupełnie w postępowaniu podobni do tych królewiąt, zamknięci w swoich pismach, wojują na własną rękę, dotknięci w miłości własnej zapominają o wszelkich względach. Słyszymy nieustannie o umiłowaniu zasad nadewszystko, a gdy tylko kto inny zechce głosić ze swojéj ambony téż same zasady, zostaje w téj chwili odsądzony jeżeli nie od czci i wiary, to przynajmniej od rozsądku właśnie przez tych, którzy w imię braterstwa w idei poparciem go otoczyć powinni byli. Historyk literatury dobrze kiedyś będzie musiał się namęczyć, zanim znajdzie kilka przychylnych wzmianek w jedném postępowém piśmie o drugiém. Spewnością musiał drwić ten, co pierwszy powiedział, że „Polak mądry po szkodzie.“ „Głos,“ powstając, chciał się widocznie wyróżnić od postępowéj braci moralną powagą (co téż rzeczywiście pod wieloma względami zrobił) i zawzinał się, że polemiczny ferwor siły nad nim mieć nie będzie. Zaczął od tego, że wszystkich pochwalił, gładził... i nic nie pomogło...; rzeczywiście pod nawałą szturchańców trudno było wytrzymać, i hodować w sobie dłużej uczucia przyjacielskiéj serdeczności.

Każda grupa nowowystępujących literatów racyi bytu swego nie uzasadnia zamiarami wykonania jakiéjś *pracy*, nie zwraca uwagi nigdy na spójnie, łączące ją ze społeczeństwem, i z innymi pracownikami; nie... nigdy; podnoszą się tylko różnice, rozdymają do jak największych rozmiarów; wszystko co dotąd było i żyło — to fałsz, blaga, próchno, — teraz dopiero prawdziwe światło tryskać będzie. Nigdy nikt nie uważa się za pracownika społeczeństwa, zawsze za rycerza i apostoła jakichś jemu jedynie objawionych prawd.

Zdaje się, że odziedziczonej po przodkach nieumiejętności podporządkowywania osoby swej interesom ogółu przypisać należy fakt usunięcia się d-ra Zyblikiewicza od godności marszałka w Galicyi. Dotąd sprawa ta dokładnie wyświetloną nie została. Wiadomo, iż krewki przewodnik sejmu wojował nieustannie z namiestnictwem i z Wydziałem krajowym; w ostatnich czasach wybuchnął nawet przeciw niemu otwarty bunt wśród podwładnych pod przewodnictwem samego vice-marszałka p. Oktawa Pietruskiego. Chodziło o to, kto ma pokryć koszta rewizyi rachunków Rad szkolnych—rząd czy kraj? Dr. Zyblikiewicz widział w tem obowiązek pierwszego,

a że to było ostatnie nieporozumienie i w skutek niego zażądał dymisyi, upadł więc w sprawie popularnéj, broniąc funduszów i interesów kraju wobec Wiednia. Naturalnie, wypadek usunięcia się marszałka wywołał niemałe poruszenie wśród opinii. Organy prasy postępowéj stanęły po stronie d-ra Zyblikiewicza: według ich zdania padł on ofiarą intryg stańczyków, sam zaś był bez zarzutu. Konserwatywniejsze organy wątpią nieco o doskonałości b. marszałka, i podejrzywają jego niewinność. „Kraj“ zaś petersburski zamieścił bardzo surowe, nawet namiętne oskarżenie w korespondencyi z Wiednia, podpisanéj *Verax*. Według tego świadectwa, niewiele szczęśliwszych wypadków mogło spotkać Galicyą, niż pozbycie się nareszcie niefortunnego naczelnika władz autonomicznych. Miał on zawieść wszelkie oczekiwania: o pewnych gwałtownych potrzebach (jak np. reorganizacya administracyi) zapomniał zupełnie, inne znowu załatwiał najfatalniéj—bez talentu i znajomości rzeczy. *Verax* odmawia dr. Zyblikiewiczowi wszelkich zasług; nawet w przeszłości, laska marszałkowska miała mu się dostać jedynie za sprytną „*mise en scène*“ podczas przejazdu cesarza do Krakowa. Postępowi obrońcy b. marszałka, a oskarżyciele namiestnika i stańczyków powołują się na zdanie 53 przewodniczących rad powiatowych, którzy zwrócili się do ministra Taafego z prośbą o zatrzymanie d-ra Zyblikiewicza na dawném stanowisku. Kilka miesięcy temu zwracaliśmy uwagę, jak niesprawiedliwym był w swoim czasie głos opinii publicznéj względem b. burmistrza krakowskiego, dziś znowu moglibyśmy zaznaczyć, że sąd 53 mężów zaufania niekoniecznie ma być ostatecznym i nieomylnym. Że w kwestyi drażliwéj, drgającéj życiem, wszyscy w jakikolwiek bądź sposób interesowani wydać słusznego sądu nie są w stanie i drugorzędnym stronom sprawy nadają przesadne znaczenie, to można uważać za rzecz niewątpliwą. Nam się wydaje, iż bądź co bądź dr. Zyblikiewicz posiada przymioty rzadkie, które go bardzo zalecają na wysokie stanowisko: jest czynny, pracowity, energiczny, śmiały i nieczuły na wiele względów ubocznych, paraliżujących niejedną działalność w Galicyi. Pozatem, o ile sądzić można z wystawianych dziś świadectw—pomimo iż jest mieszczaninem ze Stanisławowa, — odznacza się wszystkiemi tradycyjnemi wadami szlachcica: często samowolny, butny, nadmiarę ambitny, drażliwy i uparty. Nie umiał dla dobra publicznego hamować tych popędów i podporządkować ich względom społecznym — to jego wina. Z drugiéj jednak strony ludzie wpływowi zarówno jak i podwładni b. marszałka powinni byli być wyrozumiali na słabości i wady prywatne człowieka, ożywionego dobremi chęciami i pracującego z pożytkiem. Zawsze stare dzieje!

„Wszechświat“ znowu podobno przebywał kryzys budżetowy, wyszedł z niego zwycięsko i nadal istniéć będzie. Wydawcy i redaktorowie zrobić powinni wszystko co do nich należy, aby się trudne przejścia nie powtórzyły, przedewszystkiém jednak zależy to od publiczności. Grono przyrodników z godną głębokiego uznania wytrwałością od lat kilku już robi wszelkie możliwe wysiłki, aby ogół nasz posiadał pismo, popularyzujące wiedzę, aby miał skąd dowiadywać się, co gdzie indziéj robią na polu nauk naturalnych. Zdaje się, że nikt chyba nie zechce przeczyć, iż tego rodzaju wydawnictwo jest potrzebne, że ze „Wszechświata“ czytelnicy mogą się wiele nauczyć. A tymczasem ogół ani myśli poprzeć usiłowań przyrodników. Ten jeden już wzgląd, że język naukowy musi gdzieś żyć, rozwijać się, kształcić, czyni istnienie „Wszechświata“ koniecznem niemal. Celem marzeń wydawców „Wszechświata“ jest, aby się opłaciły, jedynie opłaciły koszta, a do tego nie potrzeba jakiejś nadzwyczajnéj liczby prenumeratów; mają ich dziś pięciuset czy sześciuset, jeszcze setka lub dwie przywróciła by równowagę w budżecie i téj setki latami staranności zdobyć niepodobna było. W początkach roku bieżącego „Wszechświat“ wydrukował odezwę do ogółu, opowiadając jak rzeczy stoją i wzywając do poparcia. Pisma, które potrafią artykuły wstępne poświęcać reklamie książeczek, gdy chodzi o osobiste zyski wydawców, uspokoiły sumienia swoje krótkiemi wzmiankami, potém zapanowało głuche milczenie i nikt nie mógł się dowiedziéć nawet o istnieniu pisma przyrodniczego polskiego. A jednak kilka artykulików i wzmianek w tych dziennikach i tygodnikach, które obficie czerpią wiadomości z kroniki „Wszechświata“, z łatwością zdobyło by potrzebną ilość prenumeratorów, co późniéj wdzięczni byli by za informacyą. Spotykamy co tydzień stałe pochwały dla każdego numeru „Tygodnika Ilustrowanego“ naprz., a pismo to, bardzo szanowne zresztą, ani poparcia nie potrzebuje, ani nie zadawalnia jakiejś palącéj potrzeby społecznéj; czyżby więc tegoż samego nie można było zrobić dla „Wszechświata.“ Postępowe tygodniki za hasło mają wiedzę, czemuż nigdy w ich szpaltach doszukać niepodobna wzmianki o jéj rozsadniku?

Smutne losy „Wszechświata“ są niewesołą przepowiednią dla nowo powstającego miesięcznika „Wisła.“ Zainteresowanie i ciekawość widocznie budzą u nas jedynie czysto literackie wydawnictwa, a „Wisła“ ma wyłącznie być poświęconą krajoznawstwu. Czytelnicy przypominają sobie zapewne, iż przed 10 miesiącami mowa była w prasie o potrzebie Towarzystwa Geograficznego, narady w téj sprawie doprowadziły właśnie do tego, że p. A. Gruszecki wystarał

się o koncesyą na pismo geograficzno-etnograficzne i takowe ofiarował ludziom, pragnącym na tém polu pracować. Że tego rodzaju wydawnictwo odpowiadałoby bardzo poważnéj potrzebie, to nieulega wątpliwości, ale czy zyska poparcie...? W każdym razie sprobować należy.

Co znaczy brak poparcia, dowiedział się ze smutnego doświadczenia także dr. Bujwid. Młody ten lekarz nauczył się w Paryżu od Pasteura sztuki szczepienia wścieklizny, i wiedzę swoją chciał zaraz zużytkować dla kraju; w tym celu, choć niezamożny, założył własnymi środkami w Warszawie pracownię i lecznicę. Chorych zjechało się dużo zarówno z Królestwa, jak i z zachodnich części Cesarstwa. Przez czas istnienia zakładu 64 osoby znalazły ratunek. Rada miejska dobroczynności publicznéj urządziła w szpitalu wolskim specyalny oddział dla chorych, pokąsanych przez wściekłe zwierzęta, i zawezwała dr-a Bujwida na kierownika, czego on nietylko że się podjął bezinteresownie, ale używał preparatów z osobistéj pracowni. Pacyenci dotychczasowi byli to przeważnie ludzie biedni, więc albo wcale nie robili nadziei doktorowi zapłacenia za leczenie, albo téż pozostali winni. Stąd téż, według zapewnienia „Wieku"—z którego wszystkie szczegóły w téj sprawie czerpiemy—w pierwszym miesiącu lecznica przyniosła właścicielowi za 20 chorych *ośmnaście* rubli. Szczupłe fundusze d-ra Bujwida wyczerpały się i z żalem będzie on musiał zamknąć swoją pracownię. Dotąd *nikt* nie przyszedł mu z pomocą. Sądzimy, że jeżeli ubogi lekarz mógł poświęcić swój czas i skromne mienie na ratowanie bliźnich, to powinien chyba znaleść się jaki kapitalista żyjący, lub umierający, któryby zechciał zapewnić byt pożytecznéj instytucyi. Wiele u nas spoczywa na barkach ludzi prywatnych, i wiele się téż robi środkami jednostek—to prawda; ale we wszystkich instytucyach dobra publicznego spotykamy zawsze prawie téż same nazwiska, a przecie ludzi bogatych jest więcéj: jeżeli się sami nie poczuwają do obowiązku, to może by można było zapukać do nich jakoś.

Jeszcze jeden kierunek pragnę wskazać ofiarności ogółu. Corocznie obracane są dosyć znaczne sumy na zapomogi dla uczniów gimnazyalnych, nie słychać zaś wcale, aby kiedy kto pomyślał o biednych wychowańcach szkół prywatnych, których jest coraz więcéj i którzy drożéj za naukę płacić muszą. Prowadzenie szkoły jest materyalnie przedsiębiorstwem nietylko wcale nie świetném, ale często bardzo uciążliwém, przełożeni więc ulg robić nie są w stanie i wymagać od nich tego niepodobna. Dawniéj oddanie dziecka „na pensyą" było uważane za złe konieczne, dziś złém stanowczo być przestało i powinno téż stracić niewłaściwą reputacyą konieczności.

Społeczeństwo więc ma obowiązek goręcéj zaopiekować się prywatnemi instytucyami wychowania publicznego. Pośrednicy szczególniéj powinni zwracać uwagę ofiarodawców, aby przynajmniéj dzielili dawane sumy. Prócz wielu innych jest jeszcze i taki wzgląd, że w tym wypadku można być pewniejszym należytego użycia zapomogi.

Towarzystwo historyczne, założone w lipcu r. b. we Lwowie przez uczniów prof. Xawerego Liskego i pod jego dożywotniém przewodnictwem, odbyło pierwsze zebranie ustawodawcze, na którém było obecnych 50 członków. Zastępcą prezesa wybrany został Tadeusz Wojciechowski, profesor historyi Polski w tamtejszym uniwersytecie, autor znakomitego dzieła p. t. „Chrobacya“, skarbnikiem — d-r Antoni Prohaska, adjunkt w krajowém archiwum akt ziemskich i grodzkich. Do wydziału weszli: d-r Oswald Balzer, profesor prawa polskiego, d-r Wojciech Kętrzyński, dyrektor zakładu Ossolińskich, d-r Fryderyk Papée, sekretarz biblioteki uniwersyteckiéj i profesor d-r Roman Pilat; do komitetu zaś redakcyjnego — docent uniwersytetu d-r Ludwik Finkel, d-r Kętrzyński i inni.

Już to wogóle z pocieszającym objawem w życiu naszém można najczęściéj spotkać się w Galicyi. Pomimo ciężkich warunków, dzielnica ta dźwiga się, w wielu kierunkach dojrzała i pracuje poważnie. Pomimo to jednak w Warszawie nieustannie panują zastarzałe uprzedzenia, a narzekania na Lwów i Kraków nabrały charakteru sterotypowości i wcale dziś już nie odpowiadają rzeczywistemu stanowi rzeczy. Publicysta np., który zapuszczenie chłopa w Galicyi porównał do dzikości Albańczyków, powtórzył tylko starą piosenkę za panią matką i nie słyszał widocznie nigdy o seminaryach nauczycielskich, o ilości szkół, o programatach.

W okręgu *brodnicko-grudziąskim* odbyły się wybory do parlamentu niemieckiego po śmierci posła-polaka, Ignacego Łyskowskiego. Tą razą niemiec zwyciężył 420 głosami na 19 tysięcy przeszło wyborców. Niemcy katolicy głosowali na kandydata protestanckiego; z tego powodu „Dziennik Poznański“ powiada: „Nie pierwszy to raz już tak się stało. My jednak zawsze liczyliśmy na nich. Sądzimy, że obecne wybory wyleczyć nas powinny z téj naiwnéj wiary i że odtąd tylko na siebie samych liczyć będziemy.“ Postanowienie to łatwiéj powziąć, aniżeli wykonać. Koło polskie jest zbyt słabe, aby mogło nie dbać o pomoc w parlamencie, a to się odbija przy wyborach; może zresztą można nie liczyć, ale trzeba się chyba starać o sprzymierzeńców. Naturalnie to narazi nas na różne zawody i na nie trzeba się przygotować. Zdrady podobne trzeba brać w rachubę i nie wypuszczać z pamięci, ale zmieniać na ich podstawie polityki chyba nie należy. Lista majątków polskich, sprzedanych po ustano-

wieniu komisyi kolonizacyjnéj wzrasta wciąż. Korespondent „Kraju“ z Gniezna zaprzecza wieściom, aby tamtejsi obywatele dobrowolnie sprzedawali majątki; za małém wyłączeniem wszędzie był taki lub inny przymus. I tak jesteśmy zgnębieni, na co my się sami jeszcze gnębimy takiemi ciężkiemi oskarżeniami!

Z powodu poruszenia w zeszłym miesiącu przez „Ateneum“ kwestyi przyjmowania praktykantów do fabryk i milczenia w téj sprawie obu prowincyonalnych oddziałów Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, „Dziennik Łódzki“ wyjaśnił, iż oddział warszawski przesłał i do Łodzi i do Tomaszowa „wybornie umotywowane“ zapytanie, które było przedmiotem obrad, zostało gorąco, z zadowoleniem i uznaniem przyjęte. Postanowiono téż zwrócić się do przemysłowców tamtejszych z prośbą o zakomunikowanie warunków, pod jakiemi gotowi są przyjmować krajowców na praktykę. Co się daléj stało—niewiadomo. „Dziennik“ nie wątpi, że sekretarz towarzystwa p. Bronikowski uchwałę wykonał, milczenie więc oddziału i nieodpowiadanie Warszawie pochodzi zapewne ztąd, że fabrykanci nie chcą nic wiedziéć o praktykantach krajowcach.

Ludwik Straszewicz.

NEKROLOGIA.

† **Aloizy Alth** urodził się w Czerniowcach d. 2 czerwca 1819 r., tu uczęszczał do szkół i na ówczesny wydział filozoficzny; studya prawne skończył we Lwowie, otrzymawszy w r. 1841 stopień doktora praw. Obrawszy zawód obrończy, praktykował w Czerniowcach aż do r. 1855, kiedy został mianowany adwokatem w Krakowie. Podczas pobytu w Czerniowcach, wybrany był r. 1848 posłem tego miasta na ówczesny sejm prowincyonalny we Lwowie; w roku 1849 powołano go do komitetu, któremu poruczono przedłożenie wniosków do organizacyi sądownictwa na Bukowinie oraz do komitetu, mającego wypracować projekt organizacyi obrony obywatelskiéj. Obok prac w zawodzie prawniczym oddawał się z wielkiém zamiłowaniem przyrodoznawstwu, a mianowicie mineralogii, geologii i paleontologii. Wyniki badań swoich ogłaszał z początku po niemiecku: *Geognostisch-paleontologische Beschreibung der nächsten Umgebung von Lemberg, mit 5 lithographischen Tafeln* (Wiedeń, Braumüller, folio, str. 114); *Ein Ausflug in die Marmaroscher Karpaten im Sommer 1855* (Wiedeń, str. 13); *Ueber die Gypsformation der Nordkarpathen-Länder* (1858, str. 16) i inne. W uznaniu wartości tych poszukiwań wiele towarzystw uczonych tak krajowych jak zagranicznych policzyło

Altha do grona swych członków, a w r. 1862 uniwersytet krakowski powołał go na katedrę profesora mineralogii z językiem wykładowym polskim, opróżnioną przez przeniesienie prof. Zepharowicha do Gracu; po trzech latach rząd zatwierdził go na profesora zwyczajnego. Obowiązki swoje pełnił nader gorliwie aż do końca roku akademickiego 1885/86. poczém z powodu nadwątlonego zdrowia podał się do urlopu. Prace w języku polskim, rozpoczęte od czasu wezwania do Towarzystwa naukowego krakowskiego w roku 1858, („Rzut oka na kształt powierzchni Galicyi i Bukowiny“ 1861) ogłaszał w ciągu swojéj profesury, jakkolwiek drukował je i po niemiecku. Z dzieł polskich wymienić należy „Zasady mineralogii“ (Kraków, 1869, str. 782 i atlas), z broszur: „Pogląd na geologię Galicyi zachodniéj“ 1872, „Rzecz o bolemnitach krakowskich“ 1874, 1875, „O galicyjskich gatunkach skamieniałych otwornic rodzaju Gyroporella“ 1878, „Rzecz o ropie i wosku ziemnym w Galicyi“, „Pogląd na źródła solne i naftowe“ oraz kilka sprawozdań z badań geologicznych od r. 1877—79. Umarł 4 listopada r. b. w Krakowie.

† **Adam Honory Kirkor** urodzony r. 1881, pobierał nauki w gimnazyum mohilewskiém i w instytucie szlacheckim w Wilnie, gdzie zamieszkawszy stale, oddał się najprzód pracy literackiéj, ogłaszając pisma zbiorowe: „Radegast“ (1843), „Pamiętniki umysłowe“ (r. 1845/6 tomów 3); następnie zajął się badaniami archeologicznemi, rozkopywał kurhany, odkrył wiele horodyszcz, opisał je, a znalezione w nich zabytki złożył w muzeum wileńskiém. Wtedy ogłosił po rosyjsku: „Istoriczesko - statisticzeskija oczerki wilenskoj gubernii“ (Wilno, 1852/3, tomów 2), „Czerty iz istorii i żizni litowskawo naroda“ (Wilno, 1854); a po polsku: „Przechadzki po Wilnie i jego okolicach“ (Wilno, 1856, 2-e wyd. 1859). Następnie znowu się zwrócił do wydawnictw peryodycznych; pod jego kierunkiem wyszły: „Teka Wileńska“ (Wilno, 1857/8, numerów 6), „Pismo zbiorowe wileńskie“ (Wil. 1859); w r. 1858 wydał „Album Wileńskie“ ofiarowane cesarzowi Aleksandrowi II, gdzie umieścił obok utworów Odyńca, Chodźki i Malinowskiego swoję rozprawę o Wilnie po rosyjsku. Od r. 1860 do końca 1863 redagował „Kuryer Wileński“ i podniósł znacznie jego wartość literacką. Przeniósł się potém do Petersburga i tu wraz z Jumatowem wydawał „Nowoje Wremia“ od r. 1864 do 1868. W roku 1871 osiadł w Krakowie, ogłosił w r. 1872 trzy tomy pisma zbiorowego „Na dziś“, w r. 1873 „Zarysy współczesnéj literatury rosyjskiéj“, w roku 1874 „O literaturze pobratymczych narodów słowiańskich“; w r. 1878 „Słowianie nadbałtyccy, zarysy etnologiczno-mitologiczne.“ Obok tych prac, zostawszy członkiem Akademii krakowskiéj prowadził badania archeologiczne w Galicyi i ogłaszał rezultaty swych

poszukiwań: „Badania archeologiczne w okolicach Babic i Kwaczały", „Badania archeologiczne w Kwaczale", „O grobach kamiennych na Podolu galicyjskiém", „Badania archeologiczne w r. 1878", „Pokucie pod względem archeologicznym", „Poszukiwania zabytków pierwotnych w bliższych okolicach Krakowa", „O znaczeniu i ważności zabytków pierwotnych oraz umiejętném ich poszukiwaniu" i in. Zmarł w Krakowie 23 listopada r. b.

† **Semenenko Piotr** urodził się w r. 1803; brał udział w wypadkach r. 1831; na emigracyi należał z początku do stronnictwa najzagorzalszych demokratów, następnie pod częściowym wpływem Mickiewicza porzucił to stronnictwo i zwrócił się do życia religijno-ascetycznego; urządził w Paryżu klasztorek, w którym on i dawniejsi jego koledzy z wojska spólnie żyli, kształcąc się w seminaryach katolickich. Wyświęcony na kapłana w Rzymie r. 1841, odznaczył się następnie w Paryżu gorliwemi kazaniami i otworzył nowy zakon oo. zmartwychwstańców. Występował w szczególności przeciw Towiańskiemu i mistycyzmowi świeckiemu. Był jednym ze stałych współpracowników „Przeglądu Poznańskiego." Z licznych jego pism wymieniamy: „....Prawda o kościele bożym" 1843, „O magnetyzmie" 1850, „Towiański et sa doctrine jugés par l'enseignement de l'église" 1850, „Obraz słowa polskiego i jego odmian" 1852, „Ksiądz Jan Pociej i jego dzieło o Jezusie Chrystusie Odkupicielu" 1853, „O magii a w szczególności o stolikach" 1857, „Przeciw błędom Andrzeja Towiańskiego" 1858, „Studio critico sull' Averroe di Ernesto Renan" 1861, „O miłości ojczyzny" 1864, „Quid papa et quid est episcopatus" 1875, „Mowa pochwalna na cześć św. Cyryla i Metodego" 1881.— Umarł 18-go listopada r. b. w Paryżu jako przełożony zakonu Zmartwychwstańców.



Wydawca, **W. Spasowicz**. — Redaktor, **Piotr Chmielowski**.

